BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

353/183
1860/2
II

BIBLIOTEKA



WARSZAWSKA.

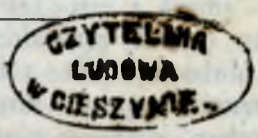
PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1860.

Tom drugi.

NOWEJ SERYI TOM X.



WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ,

przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

1860.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 20 Marca (1 Kwietnia) 1860 r.

Cenzor, RADCA KOLLEGIALNY
Stanisławski.



O ŻYCIU I PISMACH

AUTORA POJATY.

NAPISAŁ

Kajetan Kotowski.

Pamięć imion zasłużonych w literaturze pięknéj, dopóty zwykle bywa w poszanowaniu, dopóki jéj nowe, znakomitsze w tymże zawodzie, nie zaćmią imiona. Dzieła pisarzy, nawet niepospolitym obdarzonych talentem, niegdyś ulubione i poszukiwane, po niedługich latach wziętości i sławy, zwolna wychodzą z obiegu, nabierają niby piętna starości i nikną w pomroce zapomnienia, ustępując miejsca innym, które świeższe na siebie przybrawszy barwy, nowe przyjąwszy dążności i formy estetyczne, całą na pewien czas pochłaniają uwagę czytających, dopóki z kolei temuż samemu co i poprzednie nie ulegną losowi. Liczba imion i dzieł niezapomnianych, a wyższych nad opinie i upodobania czasowe, nader jest ograniczoną: gust publiczności zmienia się co chwila, szereg zaś piszących za dni naszych wzrasta niesłychanie, tak, iż płody literatury pięknéj coraz bardziéj tracą na swojéj wziętości, już dla téj jednéj przyczyny, iż jest wiele i coraz więcéj przybywa.

Sumienna krytyka jednak i historya literatury nie jest tak niestałą i niewdzięczną dla autorów, jak czytająca ich dzieła społeczność: prędzéj czy późniéj odróżni

ona w tym różnorodnym tłumie prawdziwy talent i zasługę, od nieudolnych prób i fałszywych uroszczeń; a utwory piśmienne oceni, nie według zmiennego smaku powszechności, tak chętnie ubiegającéj się za każdą chociażby mierną nowością, tak łatwo zapominającéj o tém nawet, co przed chwilą było przedmiotem jéj hołdu i poklasków, lecz według rzeczywistéj ich wartości i wpływu, jaki wywarły na swoich spółczesnych i ogólny postęp krajowéj literatury.

Nie nadto dawno, bo przed dwudziestu kilku laty, romans z dziejów lub obyczajów narodowych wysnuty, był jeszcze nowém i nie ledwie znakomitém zjawiskiem w literaturze naszéj; piérwsze w tym rodzaju, mniejwięcéj szczęśliwe, próby Niemcewicza, Wężyka, hr. Skarbka, Bernatowicza, księżnéj Wirtembergskiéj, Tańskiéj, hrabiny Jaraczewskiéj, miały licznych wielbicieli, znajdywały chętnych wydawców, a niektóre i tłumaczów na obce języki: zdawało się nawet, iż na długi przeciąg czasu wystarczą umysłowym potrzebom i upodobaniom czytającéj publiczności. Dziś wszakże forma romansu stała się najpospolitszą i najdostępniejszą każdemu, komukolwiek spodoba się doświadczać sił swoich w zawodzie pisarskim; cały obszar coraz więcéj bogatéj i rozjaśnionéj krytycznie wiedzy historycznéj, kwestye społeczne i moralne, najpoważniejsze prawdy i najdziwaczniejsze urojenia, mieszczą się w niéj wygodnie: słowem, literatura nasza, nie wiem, czy na korzyść czy na szkodę swoję, nie ustępując w téj mierze francuzkiéj i niemieckiéj, przepełnia się mnóstwem romansów i powieści różnéj osnowy i wartości, przybierających na się kształty najswobodniejsze, dążności najrozmaitsze; a pośrodku wielu na tém polu pracowników, imiona Kraszewskiego, Chodźki, Korzeniowskiego, hr. Rzewuskiego, Sztyrmerowéj, Dzierzkowskiego, Kaczkowskiego, że wielu innych równie odznaczających się zdolnościami pomijam, kazały nam prawie zapomnieć o starszych powieścio-pisarzach polskich, którzy obok innych zasług tém jeszcze pochlubić się mogą, iż pierwsi w obyczajach i wspomnieniach własnego kraju poczęli szukać treści dla swoich utworów, i jednocześnie, a prawie wspólną siłą z wieszczami

Litwy i Ukrainy, wzięli się do odbudowania ojczystéj literatury, według nowszych pojęć i zasad estetycznych. To, co wyszło z pod ich pióra, lubo nie zawsze zaspakaja wymagania dzisiejszéj krytyki, nosi wszakże na sobie znamiona rozważnéj pracy i niepoślednich zdolności, tchnie miłością rodzinnéj ziemi i nieposzlakowaną tendencyą moralną; wszędzie zaś odznacza się biegłą i poprawną mową polską, a niekiedy żywém i poetyczném przedstawieniem zdarzeń i miejscowości. *Malwiny*, *Pojaty*, *Tenczyńscy*, *Wieczory adwentowe*, chwalebnie rozpoczynają szereg romansów polskich; miłośnicy ksiąg poważnych nawet i surowi moraliści z upodobaniem odczytywali je niegdyś: żywo one zajmowały wyobraźnią naszych ojców i matek i nas samych w młodzieńczych leciech; a lubo dzisiaj zeszły już prawie z półek księgarskich i w coraz rzadszym są obiegu, jednakże twórcom swoim trwałe powinny zjednać wspomnienie na kartach dziejów ojczystéj literatury.

W zacném gronie tych autorów i autorek, nietylko ze sławy powieściopisarskiéj w kraju znanych i poważanych, a do dzisiaj w większéj liczbie zeszłych już z doczesnéj świata widowni, najwięcéj bez wątpienia, jako autor historycznych romansów, odznaczył się Feliks Bernatowicz. *Nierozsądne śluby*, *Pojata*, *Nałęcz*, *Powieści z podań ludu*, jako piérwsze z wyższym talentem napisane powieści polskie, dają mu niejako naczelne stanowisko w tym oddziale literatury naszéj. „Skutkiem tylko małego ruchu w literaturze polskiéj (mówi Michał Grabowski), te, chociaż stawały się nawet popularne, ale ulegały mało dokładnym krytycznym rozbiorom, nie zajmowano się nim ani jako autorem, ani jako człowiekiem, i dzieli los wielkiéj części naszych autorów, co przeszli niepostrzeżeni prawie wśród swoich spółczesnych. Warto, póki czas, zaradzić temu względem Bernatowicza, bo niewątpliwie, że wśród pisarzy swojego czasu położył on niepoślednie zasługi, i ze wszech miar się godzi, ażeby pamięć życia tego pisarza przechowaną była troskliwie w ojczystéj literaturze".

Mimo tych słów wzywających naszego znakomitego krytyka, krótkie bardzo i niedokładne w tym względzie podano nam w czasopismach naszych wspominki (1); przyjaciele i bliżsi znajomi naszego autora, z których wielu żyje i pamięta zapewne czasy wspólnego pożycia i trudów koleżeńskich, obojętne zachowują milczenie. To powinno usprawiedliwiać opóźnienie i śmiałość zarazem naszą w kreśleniu rysu życia człowieka, z którym nas żadne znajomości nie wiązały stosunki. W istocie, cóż można powiedzieć o nieznajomym? Trzeba nie ledwie za każdém słowem radzić się cudzéj opinii, a przy jéj słabém świetle niepodobna głębiéj wnikać i rzetelnie oceniać usposobienia umysłu, skłonności serca i moralną wartość charakteru; niepodobna żywszych użyć kolorów do wizerunku jego ducha, a tém samém dodać wagi i zajęcia życiorysowi, nie obfitemu w zdarzenia i przygody. Prawiący o nieznajomych, mogą tylko suche i bezbarwne podawać biografie. Podajemy przecież jednę z takich: posiadanie bowiem skryptów pozostałych po zgonie autora „Pojaty," jak niemniéj udzielone nam niektóre szczegóły biograficzne od osób z jego rodziny,

(1) Wprawdzie p. Seweryn Ciemniewski o życiu, a p. Skimborowicz o rękopismach Bernatowicza dali nam wiadomość w *Przeglądzie naukowym* z r. 1844; lecz wiele błędnych pomieszczonych tam szczegółów, jest jeszcze jednym więcéj z powodów do napisania niniejszego wspomnienia. P. C. powiada, iż autor Pojaty kończył nauki w *Kamieńcu Podolskim* (gdzie wcale nie był), że *tłumaczył Nierozsądne Śluby*, napisał *powieść Helenkę* (?) i t. p. P. S. mówi, iż napisał *Podróż z Kielc do Karlsbadu* w 2 listach zamieszczoną w *Pamiętniku umiejętności moralnych i literatury* (r. 1830. Zeszyt VII i VIII); wiadomo zaś, iż podróż ta wyszła z pod pióra Franciszka Bogdańskiego i że cyframi F. B. podpisywali swoje prace wtedy, oprócz Bogdańskiego Feliks Bentkowski, Feliks Boznański i inni.

Niniejszych wiadomości, oraz pozostałych skryptów udzielił nam brat Feliksa ś. p Ignacy Bernatowicz, sędzia trybunału łomżyńskiego, także p. Szpadkowski Józef, podprokurator w Łomży zamieszkały. Inne rękopisma mogły się znajdować w ręku professora ś. p. Teodozego Sierocińskiego; najbliższe zaś wiadomości dotyczące życia autora zapewne posiada p. Adolf Dobrowolski *b.* naczelnik wydz. w Banku pol., późniéj jlny plenipotent księcia Wittgenszteina, jako niegdyś żyjący z nim w Sieniawie i Puławach w koleżeństwie i przyjaznych stosunkach. Portret w miniaturze autora posiadać ma p. Symforyan Szpadkowski budowniczy w m. Piotrkowie.

wkładają na nas niejako obowiązek obznajmienia z takowemi miłośników rzeczy dotyczących krajowéj literatury. a zarazem oddania autorowi ostatecznéj chrześciańskiéj oraz literackiéj czci, na którą przeszło od lat dwudziestu w grobie od swych ziomków oczekuje. Iżby zaś ta była usprawiedliwioną, a wspomnienie to dać mogło czytelnikom naszym jakiekolwiek wyobrażenie o całkowitym zawodzie pisarskim Bernatowicza, nie możemy pomijać szczegółów już przed nami wypowiedzianych: a lubo powieści jego w znaném dziele *Literatura i krytyka* dokładnie rozebrane i sprawiedliwie ocenione zostały, i o tych nie przemilczymy, składając one bowiem jedyną jego trudów doczesnych iściznę, niekiedy wiążą się ze zdarzeniami życia i w jaśniejszém stawiają je świetle.

Feliks Aleksander Geisztowt Bernatowicz urodził się w Kownie, dnia 18 maja 1786 r., z matki Wiktoryi z Baranowiczów i ojca Jakóba Bernatowicza, rotmistrza b. województwa trockiego, który młodość swoję spędzić miał na usługach książąt Radziwiłłów nieświeżskich, wojewodów wileńskich, w obowiązku sekretarza, a ostatecznie osiadł w powiecie maryampolskim w dziedzicznéj majętności Opuszata; tam dni swoich dokonał, a potomstwu dobre imię, lecz nie dość zabezpieczającą byt mu w przyszłości, przekazał iściznę. Feliks oddany do szkół do Wilna, nie ukończywszy jeszcze nauk, w szesnastym roku życia wraz z młodszém rodzeństwem, siostrą Józefą i bratem Ignacym, ujrzał się w stanie sieroctwa. Wszakże matka troskliwa o los swoich dzieci, nieco późniéj od ojca wstępując do grobu, testamentem obrała za opiekuna Józefa Godlewskiego, niegdyś posła, właściciela dóbr Fredy. Mąż ten zacny, znany z uczuć obywatelskich, który nie jednemu z litewskiéj młodzieży chętnéj pomocy udzielił, nie uchylił się od téj miłéj dla cnotliwego serca powinności, i zajął się losem sierot. Własność ziemska do czasu pełnoletności w dobrym stanie zachowaną im została, a umysły i serca młodociane nie poszły w zaniedbanie, lecz przyjęły trwałe zasady moralne i edukacyą gruntowną.

Siostra Feliksa weszła w związek małżeński z obywatelem gubernii grodzieńskiéj Żukowskim; brat Ignacy obrał zawód sądowy, a Feliksa zawezwał stryj jego Tomasz Bernatowicz, stolnik witebski, znaczną na Podolu dziedziczący posiadłość ziemską, i dla ukończenia edukacyi, wraz z dwoma swoimi synami, oddał do liceum krzemienieckiego. Wiadomo, jak w szkołach tych, prawie nie niższych pod względem wykładu nauk od ówczesnych uniwersytetów, znakomite talenta i sława profesorów pod sterem zasłużonego Tadeusza Czackiego, potężny wpływ wywierała na postęp moralny i umysłowy uczącéj się młodzieży, a pośrodku niéj saméj każda wyższa zdolność i usilniejsza praca w jednym uczniu, obudzała chwalebne współzawodnictwo w drugich, wzmagała ogólny zapał do nauk. Malczeski, Wiszniewski, Korzeniowski, Szczeniowski, Sienkiewicze i wielu innych, którzy się tutaj kształcili, niewątpliwie nietylko wrodzonym zdolnościom, ale i tym błogim wpływom zawdzięcza swoje stanowisko w świecie uczonym. Nauka tutaj straciła swój wyraz surowy i pedancki, a nauczycieli, uczniów i ich rodziny złączyła w jedno przyjacielskie koło. Liczne familie najzamożniejszych obywateli z Wołynia, Podola i Ukrainy, które dla kształcenia swoich synów przemieszkiwały w Krzemieńcu, podawały młodzieży sposobność nawykania do życia towarzyskiego i zawiązywania życzliwych stosunków, co ściągnęło może nadzbyt surowe przygany niektórych ówczesnych pedagogów i samegoż Jana Śniadeckiego, jakoby edukacya krzemieniecka, ze szkodą gruntowniejszego naukowego doskonalenia, wiodła młodzież do zamiłowania w zabawach, w życiu miękkiém i światowém. Przywodzimy te okoliczności z przekonaniem, iż one silny wpływ wywarły na dalszy żywot Feliksa, przeważnie działały na jego stosunki, skłonności i obyczaje: zdaje się nawet, iż zaszczepiły w sercu jego żądzę sławy, a prosty i otwarty charakter wychowańca Litwy, uczyniły giętkim i łatwo uległym wymaganiom form światowych. Nauki przychodziły mu z łatwością, mianowicie filologiczne, którym ze szczególném zamiłowaniem się poświęcał. Języki starożytne dokładnie poznał i zgłębiał ich literaturę:

w francuzkim języku tłumaczył się i pisał z wielką biegłością; dzieła pisarzy Zygmuntowskich znał i wysoko cenił.

Tak usposobiony przybywszy do domu swego stryja, zaledwie miał pozostawionego kilka miesięcy wolnego czasu na odwiedzenie Litwy, swego rodzeństwa, oraz poznanie niektórych okolic Podola i Pińszczyzny; stolnik bowiem żyjąc w życzliwych stosunkach z księciem Adamem Czartoryskim, generałem ziem podolskich, feldmarszałkiem Ptwa austryackiego, umieścił go na dworze księcia, w Sieniawie przemyślskiéj, gdzie miał sobie powierzony obowiązek sekretarza, i używanym był do mnogich w polskim i francuzkim języku korrespondencyj jużto z różnemi władzami kraju, jużto z wielu znakomitemi owego czasu mężami. Aby ocenić to, niby prywatną służbą określone, ale ze wszech miar błogie i korzystne jako dla młodzieńca, i nie tyle może małoznaczące, jakby zdawać się mogło, położenie Feliksa w Sieniawie, trzebaby wspomnieć na ogrom ważnych zajęć jego zwierzchnika, przeważny wpływ wywierającego na bieg spraw politycznych, wymiar sprawiedliwości, postęp edukacyi narodowéj i rozkrzewienie nauk; trzebaby nadto przywieść sobie na pamięć owe czasy, pełne ważnych wypadków i nieustannych zmian politycznych w kraju, pośrodku których, lubo już w podeszłe lata zachodzący książę, nie był jeszcze bezczynnym, a tém samém i jeden z najbliższych powierników i wykonawców woli jego, coraz większe jednający zaufanie i życzliwość, nie mógł niebrać jakowegoś udziału. W licznych i ważnych sprawach księcia wysyłanym będąc w różne strony kraju i za granicę, nawiedzając kilkakrotnie Wiedeń, Monachium, Drezno i inne miasta niemieckie, patrząc niekiedy z blizka na ludzi, czyny i miejsca świeżo krwawéj epopei naznaczone śladem, nabierał rozleglejszéj znajomości świata i jego bieżących stosunków, a tym sposobem przechodził niby szkołę praktyczną, dopełniającą edukacyi teoryczněj, w Wilnie i Krzemieńcu nabytéj.

Wiadomo, jak w drugim lat dziesiątku wieku naszego, gdy burze polityczne uciszać się zaczęły a popęd do nauk i sztuk wyzwolonych, od czasu króla Stanisława Augusta prawie uśpiony, na nowo w kraju coraz więcéj obudzać się zaczął, dwór księcia generała ziem podolskich, jaśniał nad wszystkie dwory magnackie, światłem, wytwornym smakiem, doborem towarzystw, a nadewszystko starodawną gościnnością i hojnie udzielaną protekcyą naukom i sztukom. Sieniawa i Puławy, nie jednokrotnie zaszczycane odwiedzinami potężnych władców, były naprzemian ogniskami zjazdów obywatelskich, napływu cudzoziemców, posiedzeń mężów stanu, wojskowych, artystów i uczonych, którym książe chętnie otwierał gościnne podwoje, radził, wspierał, zachęcał do pracy: sam pisząc w różnych przedmiotach był razem kolegą i promotorem; te zaś chwalebne usiłowania o podźwignienie zaniedbanych muz ojczystych, z równą żarliwością wspierała jego światła małżonka Elżbieta z hr. Flemingów, autorka znanego dzieła o *Ogrodach*, i córka jéj Marya Wirtembergska, autorka *Malwiny*. Im najwięcéj zawdzięczały powab tamtejsze słynne zgromadzenia osób, związkami pokrewieństwa, wzajemną życzliwością i zamiłowaniem nauk zjednoczonych; zgromadzenia codzienne z kilkudziesiąt a niekiedy kilkuset osób złożone, w których kształcił się umysł młodzieży, gust artystów i poetów tamtoczesnych; gdzie zresztą nabywał się prawdziwy polor towarzyski, a umacniała się miłość cnoty i dobra publicznego. Różnorodne elementa społeczeńskie łączyły się tu z sobą w związek przyjazny jednym prawie tchnący duchem. Spokrewnione rodziny Zamojskich i Potockich, obywatelstwo przemyślskie, jakoto: hr. hr. Dembińscy, Krasiccy, Wiesiołowscy, Drohojewscy, Stadniccy, Górscy, Prekowie i inne z dalszych nawet okolic familie ziemiańskie miały w Sieniawie swój punkt zjednoczenia, już to do zabawy, już to do narady, o własnych i kraju potrzebach. Staszyc, Niemcewicz, Szaniawski, Kropiński, Feliński, Morawski, Wężyk, Koźmian, Chomiński, Lipiński i inni przedstawiciele ówczesnéj intelligencyi, których słusznie do tak zwanéj (przez jednego z naszych autorów) szkoły pu-

ławskiéj zaliczyć można, nie rzadko tu i w Puławach gościli, spotykali się z sobą, odczytywali swoje utwory, a w zbiorach starożytności i bogatych bibliotekach czerpali obfite zasoby wiedzy i popęd do dzieł w swoim czasie mających rozgłos i wziętość; z duchowieństwa: ksiądz arcybiskup Woronicz, ks. biskup przemyślski Gołaszewski, ks. kanonik Siarczyński proboszcz jarosławski, znany z dzieł statystycznych i historycznych, ks. Krasnodębski, proboszcz sieniawski, byli najbliższemi przyjaciołmi, oraz powiernikami sumienia rodziny i dworu książęcego. Lecz trzebaby wymieniać długie szeregi osób różnego powołania, rozmaitych zasług i talentów, chcąc dać wyobrażenie o tych towarzystwach, pośród których znalazł się Bernatowicz, w których nie ledwie połowę swojego życia spędził i przejął się ich duchem i wyobrażeniami; należy jednak wymienić tych jeszcze, z któremi w najbliższych przyjaźni i koleżeństwa zostawał stosunkach, mianowicie: Ksawerego Preka, Adama Kłodzińskiego, Łukasza Gołębiowskiego i Adolfa Dobrowolskiego, który był wtedy drugim sekretarzem w Sieniawie.

W gronie goszczących, oraz w licznym orszaku dworzan i rezydentów znajdowali się ludzie młodzi i zdolni, a nie mający stale wskazanego zatrudnienia, lub posiadający dość wolnego czasu od prac urzędowych; książę jednych na dłuższy czas zatrzymując u siebie, podawał środki specyalnego ukształcenia, innych swoim kosztem wysyłał do instytutów naukowych zagranicznych; wielu pod swoim okiem polecał doskonalić w naukach i sztukach, mianowicie w rysunkach i typografii, niektórych zaś sam usposabiał do pióra. Wyznaczał różne prace literackie, wybierał celniejsze dzieła wierszem i prozą w obcym, a najczęściéj w francuzkim napisane języku, i takowe kazał tłumaczyć na polski; niekiedy naznaczał temata do rozpraw, lub żądał relacyi z dzieł poważnych i systematycznych. Późniéj zwykle prace takowe przeglądał, a niekiedy udzielał rad i upomnień. Tego rodzaju zajęcia jeżeli wiele miernych ośmieliły zdolności, to za to nie jeden istotny wyrobiły

talent. Niemcewicz w swoich pamiętnikach otwarcie wyznaje, iż podobnym okupacyom, a mianowicie zadawanym mu tłumaczeniom wierszy francuzkich, zawdzięczał swoję łatwość i wprawę pisarską. W podobnyż sposób i Bernatowicz przechodził szkołę autorską. Tłumaczenia pism panny Trimadeur, Choisnena, uzbierane z różnych źródeł wiadomości o Husie i reformacyi i wiele innych przekładów i wyciągów, mianowicie z dzieł francuzkich, traktujących dawne dzieje polskie, jakie znajdujemy w szczątkach pozostałych po nim rękopismów, niewątpliwie należą do rzędu tych początkowych prób, pod okiem księcia dokonywanych. Posiadając umysł bystry, wyobraźnią żywą, a przy nabytéj wprawie do pióra przebywając w sferze tak silnie obudzającéj namiętności autorskie, nie mógł poprzestać na skromnéj roli tłumacza lub referenta monotonnych korrespondencyj. Naprzód tedy zapragnął sławy autora dramatycznego i napisał dwie komedye prozą: jednę pod tytułem *Koczyk pomarańczowy*, w 1 akcie (1), a drugą *Bezżeniec w kłopotach*, w 3 aktach. Obie miały być przedstawiane niegdyś na teatrze lwowskim. *Koczyk pomarańczowy* jest dość słabą i najpierwszą, jak się zdaje, próbą autorską; druga ma dużo humoru, mieści w sobie kilka scen prawdziwie dramatycznych, a niektóre charaktery osób wprowadzonych oddane są trafnie i ze znajomością serca i namiętności ludzkich, tak, że i dzisiaj nawet mogłaby wzbudzić zajęcie. Oprócz tych komedyek mamy pod ręką dwa pomysły do dramatów na wielki rozmiar: jeden wzięty z dziejów Władysława III, zwanego Warneńskim, w czasie jego ostatniéj wyprawy na Turków; drugi zaś zawiera przygody Halszki, księżnéj Ostrogskiéj. Obie te postacie w późniejszych czasach przedstawiły się w tragedyi Niemcewicza i dramacie Kraszewskiego, w rękopismach zaś Bernatowicza pozostały na planach nie przywiedzionych do wykonania,

(1) Bernatowicz w biografii księcia Adama C. w *Pamiętniku umiejętności moral. i liter. r. 1830* zamieszczonéj, nadmienia, iż on między innemi napisał komedyą *Koczyk pomarańczowy*, przetłumaczył *Pamiętniki Choisnena*; mamy jednak w ręku przekonywające dowody, iż te sam Bernatowicz pisał lub przynajmniéj miał udział w napisaniu.

chociaż narysowanych starannie i szczegółowo, tak pod względem historyi, jak i określenia charakterów osób i sytuacyj dramatycznych. Teraz posłużyć one mogą za dowód, iż Bernatowicz do swoich prac literackich przystępował sumiennie, z namysłem i starannie nagromadzonym materyałem, lecz egzekucya była słabą stroną jego talentu. Wiele innych ledwie napoczętych planów moglibyśmy przytoczyć na poparcie naszego zdania. Być też może, iż obliczywszy się ze swojemi siłami i nie znalazłszy w sobie dosyć zdolności do dramaturgii, porzucił ją na zawsze, a wziął się do pisania powieści. Uważał zapewne, iż w formie powieściowéj, wtedy jeszcze świeżéj i niezużytéj, mógł swobodniej pomysły swoje rozwijać i śmieléj kreślić to, co mu młoda wyobraźnia podawała, nie będąc niewolonym naginać toku rzeczy do efektów scenicznych. Pierwsza powieść jego, *Nierozsądne śluby*, tchnie życiem myśli i słowa, porywa siłą uczucia i namiętności, jakiéj nie dostrzegamy ani w żadnéj współczesnéj, ani w żadnéj późniejszéj jego własnéj powieści. W przedmowie wyznaje, iż zamieścił tam wiele pomniejszych wydarzeń, których był świadkiem, że wiele uczuć wynurzył, których sam doświadczył; wyraża obawę surowéj krytyki i uprzedza czytelników, iż wcale nie miał na widoku reputacyi autorskiéj, lecz że największą będzie dlań nagrodą, jeżeli ta, któréj pamięć kierowała jego piórem, zwróci zechce uwagę na te karty, zabawi się i rozśmieje. Rzeczywiście jestto utwór najbliższy serca autora, kreślony pośród tęsknych myśli i ponętnych wrażeń gościnnego dworu, pod wpływem uczuć platonicznych i zawiedzionych młodzieńczych marzeń, które ten przynajmniéj osiągnęły skutek, iż mógł z francuzkim wieszczem powiedzieć o sobie:

Souris d'une femme m'a fait pôete!

Wiadomo z niejednéj biografii, jak wiele najprzedniejszych dzieł sztuki i literatury zawdzięczamy jedynie tym burzliwym i niebezpiecznym przejściom ich twórców, dla których wdzięczny lecz często zwodniczy uśmiech piękności rozsiewał w sercach iskry natchnienia, budził do czynu i pracy bezczynnie drzémiące talenta.

Powieść *Nierozsądne śluby*, albo *Listy dwojga kochanków na brzegach Wisły mieszkających*, w 2 tomach, z dwiema rycinami wyszła na widok publiczny w r. 1820, lecz o parę lat wcześniéj napisana: nie była to na swój czas pospolita publikacya. Ówczesne czasopisma warszawskie, jedne zamieszczały całkowite z niéj listy, inne nie szczędziły pochwał, już to stawiając ją obok *nowéj Heloizy* J. I. Roussa, już utrzymując, iż podobne dzieła język nasz do gładkości i pięknego wyrażania serdecznych uczuć naginają, tém bardziéj, że autor *Ślubów* nie wzorem francuzkich, zbytnią i przesadną wytworność i sentymentalność, ale wylanie się czułego serca z prostotą i naturalnością przedstawia: „Tak ubodzy jesteśmy w dzieła oryginalne (mówi jeden z redaktorów Pamiętnika: „Wanda"), tyle się na ten niedostatek uskarżamy, tyle mamy tłumaczeń nawet i w romansach, tak powszechnie teraz od płci pięknéj czytanych, że po dość zajmującéj *Malwinie* i nieszczęśliwym *Hrabi Ostrorogu*, to dopiéro pierwsze oryginalne dzieło z druku wychodzi. Krom tych i tym podobnych pobieżnych uwag, nie znajdujemy przecież nigdzie dokładnego krytycznego rozbioru, na jaki zasługiwał ten prawie pierwszy, a niewątpliwie wtedy najlepszy romans polski w ściślejszém tego nazwiska znaczeniu; nie można bowiem dydaktycznych opowiadań Krasickiego, ks. Krajewskiego, lub powiastek Anny hr. Mostowskiéj i innych do owego czasu znanych pism, pozorny tylko kształt romansu na się przybierających, zaliczać bezwarunkowo do tego rodzaju literatury. Celniejsze romanse zagranicznych pisarzy nawet były wtedy jeszcze nieznane: tłumaczono stare francuzkie i włoskie nouvelle, moralne powieści pani Genlis i Cottin; a nieco późniéj dopiéro dzieła Walter Scotta, Ducangea, Wan-der-Welda i inne w nowszym guście napisane romanse rozpowszechniły się u nas, szczególniéj w przekładach Fr. Salezego Dmochowskiego.

Lecz nietylko powieść Bernatowicza nie została należycie ocenioną, ale nawet doznała krzywdzącego zarzutu, jakoby była plagiatem przesławionego romansu *Julia* i *Adolf*, który we dwa lata późniéj generał Kropiński ogłaszając drukiem, w przedmowie ostrzegł swo-

ich czytelników, iż autor *Nierozsądnych ślubów* posiadał go poprzednio w rękopiśmie, a tém samém na swój własny przerobił. Mimo podobieństwa osnowy tych dwóch utworów, z tych samych podobno prawdziwych zdarzeń wziętéj, wielka zachodzi różnica w duchu, ekspozycyi i przedstawieniu rzeczy w obudwu. *Julia* i *Adolf* żadną nie może się pochlubić z tych zalet, jakie przyznać należy *Nierozsądnym ślubom*. Koloryt rodzimy, trafne rysy obyczajów narodowych, krajobrazy niekiedy z natury malowane, sceny żywe, niekiedy rozrzewniające, a język właściwie tłumaczący myśli i namiętności osób wprowadzonych, nie może iść w porównanie z przesadnemi deklamacyami, próżnego poezyi a pełnego pretensyj i udanych uczuć romansu Kropińskiego. Lecz nie czas wznawiać tę dawną i zapomnianą sprawę literacką: już ją rozstrzygnął M. Grabowski na korzyść Bernatowicza; my zaś kończąc nasze pobieżne sprawozdanie z téj pierwszéj pracy naszego autora, dodamy, iż możnaby jéj słuszniejszy od wymienionego uczynić zarzut: zasługuje na takowy jéj część historyczna wcale słaba i skrzywiona. Sprawa powieści odbywa się w połowie XVI wieku, a myśli i zdarzenia zdradzają często czas i okoliczności, wśród których autor je opisywał: dwory Puław i Sieniawy z ich życiem, zabawami i zwyczajami, dziwacznie rysują się na tle odległych czasów Zygmunta Augusta. Poezya historyi i poezya egotyczna, są dwa różnéj natury pierwiastki, które nigdy nie dadzą się z sobą pomieszać i pogodzić bez obrazy prawdy i smaku.

Z kolei wspomnimy o drugiéj, prawie jednocześnie wyszłéj na widok publiczny powieści Bernatowicza, niegdyś głośnéj i wielce popularnéj, którą on sam zdawał się chlubić, tytułując się od jéj nazwiska na wszystkich swoich późniejszych pismach autorem *Pojaty*.

Ogólny popęd literatury w owym czasie, coraz bardziéj zwracał się do powieścio-pisarstwa. Sława historycznych romansów Walter-Scotta wywołała wszędzie jego mnogich naśladowców. Bernatowicz był pierwszym u nas, który może najlepiéj ocenił i zrozumiał metodę po-

wieścio-pisarską *proroka minionych czasów*; zapragnął ją przyswoić naszéj literaturze, i zajął się napisaniem romansu ściśle historycznego. Początek założenia Wilna, unią Litwy z Polską, upadek litewskiego politeizmu i zaprowadzenie wiary chrześciańskiéj, wypadki prawie najważniejsze w historyi naszego kraju, obrał za przedmiot tego dzieła. One wiążąc się z osobistemi wspomnieniami rodzinnych stron autora, gdzie światło dzienne ujrzał i lata pierwszéj młodości spędził, silnie zajęły jego wyobraźnią, i zapewne kierowały wyborem miejsca i osnowy. Mając plan przygotowany wyjechał na Litwę, zwiedzał Kowno, Krewo, Kiernowo, Troki, Antokol i inne miejsca wsławione w dziejach Litwy i Krzyżactwa; tam na malowniczych wybrzeżach Wilii i Niemna, lub pośrodku lasów i jezior litewskich, dalekie pieszo odbywał wycieczki, badał podań ludu, śledził zabytki przeszłości, kreślił widoki okolic pamiętnych, a myślą zagłębiał się w czasy Jagiełłów, Olgierdów i Gedyminów.

Po powrocie z téj artystycznéj wędrówki, wykończył swoję pracę i wydał w czterech tomach pod tytułem, *Pojata Córka Lezdejki* albo *Litwini w XIV wieku*. Sam tytuł wskazuje prawie, iż to jest w połowie romans, w połowie obraz historyczny, połączenie rzetelnie opisanych najważniejszych faktów historycznych ze zdarzeniami w wyobraźni czerpanemi, utwór znacznego rozmiaru, mieszczący w swéj osnowie mnóstwo wypadków i obrazów, niekiedy ściśle, niekiedy słabiéj powiązanych z sobą. Aby ocenić ogrom téj pracy, należy pamiętać, iż ona podjętą była przed czterdziestą laty, że autor jéj wchodził w nową i obcą jeszcze dla naszéj literatury sferę, że nie miał przed sobą żadnego wzoru w ojczystym języku, żadnych wskazań estetycznych: a co najważniejsza, że nie było wtedy jeszcze dzieł, ułatwiających szczegółowe badanie dziejów naszego kraju, nie było krytyki historycznéj. Dzisiaj przy światłych i licznych na tém polu poszukiwaniach Maciejowskiego, Narbutta, Raczyńskiego, Malinowskiego, Lelewela, Przezdzieckiego, Wojcickiego i innych, snadniéj rozejrzeć się można w obliczu danéj epoki, łatwiéj poznać jéj ducha, prawa i obyczaje, a tém samém wysnuć z niéj wątek przydatny do poetycznego utworu. Wówczas była to trudna i mozolna praca: trzeba było nader

uważnie rozpatrywać się w mnóstwie często sprzecznych z sobą kronikarskich podań, zaczynać się uczyć archeologii, przerzucić setki tomów dla obznajmienia się z jednym szczegółem, dotyczącym dawnego obrządku, ustawy lub obyczaju. Że autor *Pojaty* sumiennie wykonał tę część swojéj pracy, temu nikt zaprzeczyć nie może: owszem, zdaje się, że nieraz za nadto powstrzymywał lot swojéj wyobraźni ograniczając go kołem zawarowaném historyą; długo też pośród ustępów godnych pióra dziejopisarza, znajdujemy niekiedy rysy blade i pospolite, jakby zdradzające obawę śmielszego i żywszego przedstawienia rzeczy. Dokładnie rozebrał i sprawiedliwie osądził to dzieło cytowany już przez nas autor Literatury i Krytyki, możemy więc jego wyręczyć się słowami: „Objąwszy myślą ogół kompozycyi Bernatowicza (mówi on zamykając rozbiór *Pojaty*) zadziwia w rzeczy saméj całość osnowy; liczne szczegóły wymyślone są szczęśliwie, wykonanie tylko nie wszędzie się udało: w niektórych miejscach gwałtowna zmusza się potrzeba poetyczniejszego wystawienia, wyższych barw, umiejętniejszego światłocienia. Spotykając pomysł szczęśliwy, obrobiony na chłodno, chce się wołać poezyi! poezyi! Są wszelako części szczęśliwsze: wejrzenie poety na Litwę XIV wieku, na epokę jéj przechodu w chrześciaństwo i sojusz z Polską, dostrzegło nawet wyraźnych kształtów w tym zamierzchłym świecie, takiemi są: gruppa Heleny, Dowojny, Lasdona i t. p. Utwór Bernatowicza wygląda dla nas jak robota rzeźbiarza, który zamyślił utworzyć gruppę w sto figur. Wykuł już, ustawił, robota materyalna około nich ukończona, ale niedostawało mu tchnienia między nie wszystkie rozdzielić. Należy więc podziwiać jego pracowitość, nie zapoznawać rozum, który pomysłowi i uszykowaniu tych figur przewodniczył, a nie w lekkiéj mieć wadze, że przynajmniéj na kilku czołach ogień pigmalioński błyszczy. Jakkolwiek (mówi w końcu) surowo osądziliśmy Pojatę, znajdujemy wszelako, że zapewnione dla niéj miejsce na zawsze w naszéj literaturze. Jako próbie romansu historycznego przewodniczyły jéj bardzo poważne rozmysły; kilka scen, kilka postaci żywych, przybyło do świata powstałego z twórczości narodowych poetów; nawiódł

też barwami żywemi kilka obrazów naszéj ponętnéj staroświecczyzny. Wywiązał się zatém z długu poety." Pan Kraszewski w swoim przeglądzie romanso-pisarzy polskich mniéj pochlebne wyrzekł zdanie o *Pojacie*: odparł je wszakże nasz krytyk w powyższym rozbiorze; autor *Amerykanki* chlubnie o niéj wspomina; lecz jakkolwiek słuszne mogą być przeciwko niéj zarzuty dzisiejszej krytyki, sądzimy, iż sama znakomita jéj wziętość, jakiéj jawnie dowodzi cztery wydań i tłumaczenia na język francuzki, angielski, niemiecki i rossyjski, wziętość, jaką rzadko który nasz romans pochlubić się jest w stanie, nie pozwalają ważyć ją lekko w naszéj literaturze. Wziętość ta nawet nie przeszła bez znacznych materyalnych korzyści dla autora; o czém, jako o wypadku nadzwyczajnym w owym czasie, wspominamy. Można wreszcie twierdzić, iż mimo licznych wyrobów literackich podobnejże treści, z wyłączeniem może jednego dzieła Szajnochy, nic dotąd nie znajdujemy w piśmiennictwie naszém, coby więcéj od *Pojaty* jaśniejszego i barwniejszego rozlało światła na czasy Jagiellońskie, lub odbitym od niéj nie zalecało się blaskiem. Powieść w francuzkim języku p. t. *Jagiełło* i *Jadwiga* czyli *połączenie Litwy z Polską*, napisana przez hrabinę Choiseuil-Gouffier, jest naśladowaniem Pojaty; p. Emil Deryng przerobił ją na dramat. W ogóle mówiąc o naszém historycznem powieścio-pisarstwie, ani wątpić, iż Rzewuski i Kaczkowski na wyższym postawili je dzisiaj szczeblu, lecz jakież to od owego czasu we wszystkiém zaszły zmiany i udoskonalenia!...

Kiedy Bernatowicz uzyskawszy uwolnienie od zatrudnień sekretarza, do nowych prac literackich się sposobił, śmierć księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P. w d. 19 marca 1823 r. przypadła, ciężkim okryła smutkiem dwór sieniawski. Według życzeń dzieci hr. Dembiński wraz z księdzem Siarczyńskim zajął się urządzeniem okazałego obrzędu pogrzebowego, a Bernatowicz opisaniem życia i zgonu zmarłego. *Żywot ks. Adama Czartoryskiego* zamieścił w *Zbiorze wizerunków sławnych ludzi w Polsce*, wydawanym przez Ksawerego Preka; bio-

grafią tę powtórzył *Pamiętnik umiejętności warszawski*, a *opisy pogrzebu* znajdujemy w gazetach lwowskich i warszawskich. Artykuły te są tylko streszczeniem dokładniejszych i więcéj szczegółowych opisów, których szczątki napotykamy w pozostałych rękopismach. Ostatnie chwile życia, chorobę, śmierć i obchód pogrzebowy, znajdujemy w nich z drobiazgową a niekiedy przemawiającą do serca i wyobraźni dokładnością opowiadane: znać tu rzetelne uczucie żalu szczerze przywiązanego dworzanina, po stracie miłego mu zwierzchnika i dobroczyńcy. „Kto był tyle lat (powiada) świadkiem nieporównanéj dobroci, gościnności i tylu cnót towarzyskich i publicznych tego pana; kto przed kilkudniami widział go ożywiającego to całe zgromadzenie, które wkrótce jego stratą miało być zasmuconém a teraz ogląda złożonego na katafalku, pośrodku ścian obitych kirem, na których trzy srebrem wyszyte krzyże błyszczą naprzeciw trzech ołtarzy mnóstwem świateł gorejących; komu też same światła, innych, weselszych użyczały blasków w chwilach świetnych zabaw, przyjemnych posiedzeń; kto w świeżéj jeszcze miał pamięci te uroczystości świąteczne i familijne, chrzty, śluby różnych osób, jakie na tejże saméj odbywały się sali, w ciągu lat kilkunastu: ten bez najgłębszéj boleści nie mógł pozierać na tę okropną zmianę!“

Z owéj sali pogrzebowéj przechodzi do przedpokoju dla ukrycia łez, mimowoli do oczu się cisnących: lecz i tam znajduje powody do smutnych dumań; a zwróciwszy uwagę na stary i wydarty z ram portret posła i nadwornego marszałka królewskiego, Opalińskiego, wiszący tam od dawna w zaniedbaniu, marzy: „Wszak i ten pan niegdyś możny i bogaty równie żył wspaniale, równie był hojnym i uczynnym, równie okazałym był uczczony pogrzebem, i ten obraz zdobił może jego wezgłowia: dziś już nikt i nie spojrzy na niego, a nie bacząc czyj on jest, wkrótce zapewne wyrzuconym będzie nawet z przedsionka pałacu.“ Temi i podobnemi gorzkiemi uwagami przeplata wspomnienia cnót zmarłego, przygotowań pogrzebowych; kreśli obrazy żalu wdowy, skazującéj się na po-

sty i modlitwę w zamknięciu swego pałacu; córki Maryi, całe noce czuwającéj nad łózem chorego a potém nad ciałem zgasłego ojca; smutku domowników, włościan skrapiających łzami jego ręce i nogi; wreszcie owych hajduków i kozaków, co knuli spisek przemocą wzbronić lekarzom dyssekcyi ciała nieboszczyka, jako grzesznéj i zbrodniczéj w ich oczach operacyi. Czytając te karty, mające wartość tylko familijnéj nie zaś literackiéj pamiątki, i mierząc wrażenie z wrażeniami nawet najpiękniejszych ustępów jego powieści, niepodobna nieprzyznać, iż prawdziwe obrazy rzeczywistego swiata, choćby drobiazgowe i mniéj udatne, ale z rzetelném uczuciem kreślone, więcéj mówią do serca, niż najuludniejsze zmyślenia wyobraźni. Z tą myślą i wrażeniem przerzucaliśmy skrypta naszego autora, spodziewając się natrafić na więcéj podobnych wspomnień; badaliśmy rodziny, czy nie spisywał spostrzeżeń swoich z tamtoczesnego świata, czy nie zostawił pamiętników? Wszak życie swoje spędził w społeczeństwie godném pamięci potomnych, a z tego, co widział lub słyszał, nader ciekawe i zajmujące umiałby ułożyć obrazy, których czas wartościby nie zniżył, jak to zwykł czynić z utworami literatury pięknéj. Próżne jednak były nasze nadzieje: pełno tam znajdowaliśmy pomysłów, wyciągów z dzieł obcych, postrzeżeń z obumarłéj przeszłości, ale nie ze świata, który go otaczał i żywém owiewał tchnieniem, a bez szperania w zapylonych księgach obfitych do pióra nastręczał materyałów. Napotykaliśmy niejakie ku temu zaczątki, lecz tak mało znaczące, tak żadnego niedające światła na czas, osoby i obyczaje, że i wspominać o nich nie warto.

Zostawiliśmy naszego autora, dzielącego żałość rodziny książęcéj. i smutnie rozglądającego się w zamku sieniawskim. Jakoż z ostatniém echem pogrzebowych pieśni ucichł on i osamotniał, a z nim osmutniała cała okolica przemyślska i w znak czci i żalu na sześć tygodni przywdziała żałobę. Owdowiała księżna z drużyną domowników przeniosła się do Puław, rezydencyi swego syna; dokąd także zawezwała Bernatowicza, gdzie miał

powierzony sobie zarząd księgozbiorów i starożytności. Obok tego znajdujemy ślady jego pracy w urządzeniu i zarządzie szkół elementarnych w dobrach książęcych. Zresztą pobyt jego w Puławach, prawie nie różnił się od lat przeżytych w Sieniawie: był raczéj dalszym ciągiem tegoż samego trybu życia z niejaką odmianą w zajęciach urzędowych, mniéj odrywających go od prac literackich. Mając pod ręką obfite źródła do historyi ojczystéj, zbiory archeologii, monumenta, kroniki, dyaryusze, rzadkie rękopisma, mógł wzbogacić literaturę naszą dziełami poważniejszéj historycznéj treści, do czego niewątpliwie posiadał znakomitą zdolność i naukowe usposobienie; znać jednak, iż po śmierci swojego pana i mentora, nie miał ku temu popędu z zewnątrz siebie, a był istotnie z liczby tych indywiduów, które nic nie przedsiębiorą bez środków zachęcających; długi więc przeciąg czasu upłynął, zanim dał jakiś dowód działalności, w obranym zawodzie, bo dopiéro w r. 1827 ogłosił drukiem powieść historyczną w 3 tomach pod tyt.: *Nałęcz*. Wychodząc na świat powieść ta spotkała się z dwiema innemi podobnéj osnowy, to zaś dało powód ówczesnym czasopismom do licznych krytyk i porównań (1). „Już tą samą zaletą wyboru (utrzymuje jeden z recenzentów), iż jak najbieglejsi malarze, lub rzeźbiarstwem trudniący się mistrze, na jednostajnym przedmiocie nieraz sił swoich doświadczają, a każdy z innego uważając go stanowiska, inną postawę mu nadając, współzawodników prześcignąć usiłuje i w słodkie wprawia omamienie, podobnież u nas znakomici pisarze, jakby na wyścigi, zajmują się otatnim z plemienia Piastów, Kazimierzem Wielkim. Jakoż, jestli w dziejach naszych godniejszy piękności ideał, jak król potężny, szlachetny, dobroczynny, ojciec ludu swojego, wielki prawdziwie, mimo to przecież ludzkim słabościom uległy? Jak więc zajął ten monarcha Bronikowskiego, Bernatowicza, tak zajął i Bułharyna.“ Bronikowskiemu przyznają dobitniéj skreślone charaktery i żywszy koloryt, Bułharyna chwalą, iż więcéj swojéj powieści nadał jedności

(1) Gazeta polska N. 174 i dalsze. Pamiętnik umiejętności. T. IV z r. 1829 i t. p.

i trafny dał wizerunek Kazimiera Wgo; w *Natęczu* znajdują doskonalej utkaną osnowę, lepiéj obraną stronę prawdy historycznéj i wydatniejszą cechę narodowości: wykazują zaś usterki, w przedstawianiu szczegółów, w sytuacyach i zagmatwaniu rozciągłéj intrygi romansu. Naszém zdaniem wszyscy ci trzej współzawodnicy, wcale pochlubić się nie mogą wyborem osnowy, jako ujemną tylko stronę dziejów wielkiego monarchy odsłaniającéj. Wprowadzając na jaskrawe światło sztuki nie najlepsze pożycie małżeńskie i pokątne króla miłostki z Esterką i Rokiczaną, jakoby te ważną stanowiły treść jego żywota, nie przedstawili nam w odwet, ani nawet mogli nam przedstawić tych dzieł i uczynków, jakiemi uświetnił swoje panowanie, gdyż to przechodziłoby zadanie powieści a wkraczałoby w zakres historyi. Ztąd tego rodzaju utwory, jako tylko jedną stroną i to w złém świetle stawiające nam swój przedmiot przed oczy, nie mogą przypadać do smaku powszechności poważnéj i z większą czcią przyzwyczajonéj u nas zapatrywać się na historyą ojczystą jak gdzieindziéj. *Natęcz* nietylko z tego względu ale i ze względu rozwlekłego i dosyć prozaicznego przedstawienia rzeczy (z wyjątkiem może kilku początkowych rozdziałów) niższym jest od poprzednich dzieł Bernatowicza.

Daleko lepiéj okazał się talent jego w mniejszego rozmiaru powieściach, jednéj p. t. *Reginka z Sieciechowa*, a drugiéj *Powódź Pińska*, ktore zamieszczone były naprzód w czasopismach warszawskich, a potém wyszły w osobném wydaniu F. S. Dmochowskiego p. t. *Powieści z podań ludu*. Opowiadaczem pierwszéj czyni autor starego zakrystyana z Sieciechowa, który stylem kantyczkowym prawi dość zabawną historyjkę szkółki klasztornéj. Obrazy żaków i dziadów z niedawnej tradycyi ujęte, trafnie są tu narysowane; w drugiéj powieści wprowadza nas na Polesie, i daje nam nie obszerny, ale nader zajmujący rys zdarzeń i miejscowości. Bernatowicz znalazł się tutaj w prawdziwie polskiéj sferze artystycznéj, zrozumiał rodzaj poezyi, który nas nie odrywa, ale godzi z życiem powszedniém, na pozór jednostajném i prozaicznem; nie snuł téż pasma zawiłych intryg, nadzwyczajnych zda-

rzeń i namiętności wyjątkowych, lub za obrębem rzeczywistego świata istniejących; lecz wszedł na pole prawdy i umiał znaleźć żywioł poetyczny nawet w tłumie lichego dziadostwa, lub pośród lasów i bagien posępnéj Pińszczyzny. Żałować należy, iż ów zajmujący sposób opowiadania tradycyj miejscowych, jakim w obcéj literaturze Walter-Skot i Waszyngton Irving, tak szczęśliwie się odznaczyli, u nas nie wielu znalazł umiejętnych mistrzów, i Bernatowicz, który do tego miał pole wtedy otwarte i nietknięte prawie, oprócz dwóch wymienionych, więcéj nie zostawił nam w tym rodzaju powieści. W rękopismach znaleźliśmy tylko jednę małą i niewielkiéj wartości powiastkę, wysnutą z życia i stosunków miejscowych, pod tytułem: „*Szczęście z przypadku.*“ W téj chwili nie umiemy powiedzieć, czy była ona lub nie była pomieszczoną w dawniejszych czasopismach naszych.

Rok 1831 Bernatowicz spędził w Warszawie; w dwa lata potém przebiegł Niemcy, bawił czas jakiś w Poznaniu, Dreznie i Paryżu. Wówczas w dziennikach francuzkich miał pomieścić kilka artykułów treści historycznéj i opisać współczesne sobie wypadki polityczne. W roku 1834 wróciwszy do Warszawy, przyjął obowiązek redaktora Dziennika Powszechnego rządowego; a w chwilach wolnych od obowiązku zajmował się napisaniem na 3 tomowy rozmiar powieści historycznéj p. t.: *Madonna* albo *Niemy zakochany*. Sprawa téj powieści odbywa się w mieście i okolicach Łomży, w czasach pierwszych wojen szwedzkich, kiedy to niegdyś znakomite miasto w Polsce, przez pożar i rabunek najezdników zupełnemu uległo zniszczeniu. Autor ze zwykłą sobie sumiennością zamierzył poznać miejscowość i jéj tradycye: w tym celu nawiedził dom brata swojego Ignacego, sędziego tryb. w Łomży. Powieści jednak swojéj nie doprowadził do końca, niespodziane bowiem cierpienia umysłowe wytrąciły mu pióro z ręki.

Ostatnie chwile jego życia przywodzą nam na pamięć podobnyż peryod w biografii Kniaźnina: owszem, nawet prawie we wszystkich tegoż peryodach znajdujemy uderzające podobieństwa, tak, iż możnaby nieledwie powiedzieć, że taż sama gwiazda, co zeszła nad grobem lirycznego rymotworcy, ożyła na nowo nad kolébką naszego romanso-pisarza, aby wodzić go po tychże samych ścieżkach doczesnego tułactwa, równe zsyłać troski i pociechy, a nakoniec wtrącić w nieuleczony stan cierpień duchowych. Zaledwie pewna różnica temperamentów, usposobień umysłu, czas i okoliczności stawiają w odmiennem świetle te dwie smutne postacie literatów-dworaków. Zdaje się, iż Bernatowicz osiadłszy w Warszawie, wszedł w nowy tryb życia, do którego nie nawykł: ujrzał dotychczasową swoją karyerę zwichniętą i uczuł się prawie samotnym i osieroconym po utracie osób, z któremi los swój na zawsze mniemał być związanym. Właściwie, wtedy zapewne, mógł zastosować do swego położenia słowa jednego z bohatérów swojéj powieści: „jako ptak, co drzewo opuszcza, o które topór uderzył, nagle uleciała wszystka moja nadzieja!"

Bliżéj jeszcze przekonywamy się o tym smutnym stanie duszy, pogrążającéj się w cierpienia i mizantropią, z własnych słów jego: „Żyję w odosobnieniu (pisze on do jednego ze swoich przyjaciół), rzadko odwiedzam świat, oddaję się naukom i tym marzeniom o przeszłości i przyszłości, które pocieszając na chwilę, pomagają żyć tam, gdzie dla serca nic już nie zostało. Nawykłem każdego wieczora, w największą nawet ciemność, puszczać się na przechadzkę. Celem jéj są jużto place miasta, jużto przyległe jego okolice, a nawet odległe i nieznane mi strony za miastem. Przechadzki te są moją jedyną rozrywką, i bardzo ważnych potrzeba przyczyn, ażebym je kiedy zaniechał. Deszcz, nawet śnieg i zawieja, nie są często w stanie mnie zatrzymać. Błąkając się wśród ciemnéj ciszy, lubię szczególniéj wywoływać dawne wspomnienia, bo te z latami coraz droższemi się stają: niepowetowana przeszłość, piérwsze uczucia miłości, znikłe i zawiedzione nadzieje młodzieńcze, coraz słabszy popęd do prac i rozrywek, które tyle miały dawniéj uro-

ku; o! w grze życia tyle się już straciło, że jest za czém spojrzéć za siebie z westchnieniem! Lubię w tém nocném samotném tułactwie wzywać jakiéj urojonéj istoty, jakiéj zachwycającéj mary, z którą rozmawiam, a ona ulgę duszy mojéj przynosi; wynurzam jéj wszystkie moje szalone myśli, nadzieje i utrapienia, a tak, jakkolwiek zatrudniam serce i wyobraźnią, lecz wkrótce przychodząc do rozwagi, z żalem zapytuję siebie: czemuż to wszystko jest tylko urojeniem?"

Widoczną jest rzeczą, iż serce jego przepełnione było czczością, wyobraźnia roiła o przeszłości, a dusza łaknęła silnych wrażeń. Nie znamy dokładnie innych bliższych przyczyn i okoliczności, które stopniowo zgubny wpływ wywierały na umysł naszego romansopisarza: czy to był zawód w widokach lepszéj przyszłości, czy (jak niektórzy mniemali) niefortunne uczucia ku jednéj z najsławniejszych wtedy cór Melpomeny, czy inne skryte moralne cierpienia serca, lub może nawet wada tegoż organiczna: dość, iż to smutne nastrojenie duszy czekało tylko okazyi, aby udeterminować się w chorobę. Taka okazya łatwo się też nastręczyła....

Wieść o nieszczęściu, jakie dotknęło Bernatowicza, o ile bolesne uczyniła wrażenie na sercach jego licznych przyjaciół i znajomych w Warszawie, o tyle obudziła szczerą ich troskliwość w obmyśleniu środków zaradczych. Fryderyk hr. Skarbek, Adolf Dobrowolski, wówczas naczelnik w banku, Piotr Chlebowski, Teodozy Sierociński, Paweł Paliński, byli piérwsi z liczby tych uczynnych i zacnych osób, które zebrały się w jedno grono dla odbycia narady nad losem nieszczęśliwego. Przez sumienność biograficzną podajemy wyciąg z protokółu téj narady.

Przybyły z Łomży na wezwanie kollegów i znajomych Feliksa, brat jego Ignacy B. przystąpił wraz z temiż w d. 17 czerwca 1835 r. do narady, jakich środków użyć należy dla zapewnienia choremu stosownéj opieki i lekarskiéj pomocy. Naprzód objawił życzenie przyjęcia go do swojego domu, iżby tam nie zbywało mu na koniecznych życia potrzebach i staraniach familijnych; lecz rozpoznawszy bliżéj stan rzeczy i bacząc, iżby zdro-

wie jego brata, które obecnie zdaje się polepszać, na nowo się nie pogorszyło, że dla osiągnienia pewnych skutków polepszenia właściwa metoda lekarska zastosowaną być powinna, odstąpił od powziętego zamiaru. Pomoc, jaką w miejscu miał sobie daną, nie zdawała się dostatecznie uręczać za jego zdrowie; zgodzono się zatém na wniosek hr. Skarbka (który szczególniéj zajmował się losem chorego), aby obrać za miejsce kuracyi dla Feliksa instytut Dra Martyniego w Lejbus pod Wrocławiem, który hrabia sam zwiedzał i uznał za najlepiéj urządzony z bliższych tego rodzaju zakładów. Dla przywiedzenia do skutku tego projektu, przyrzekł niezwłocznie napisać do Dra Martyniego, iżby z tutejszego instytutu, gdzie tymczasowo pomieszczonym został, można było w jak najkrótszym czasie przeprowadzić chorego do Lejbus. Nadto postanowiono zawrzéć ugodę z przełożonym na 3, 6 miesięcy lub rok cały, w miarę potrzeby i skutków, jakie się okażą; procentu zaś od około stu tysięcznéj summy Feliksa, jaką w części z daru księżnéj Elżbiety Cz., w części z ulokowania własnych jego funduszów miał ubezpieczoną na dobrach puławskich, użyć na opłatę instytutu. Jeżeliby zaś kuracya nie osiągnęła pożądanego skutku, postanowiono porozumiéć się wspólnie raz drugi, lub przystąpić do zwołania rady familijnéj i dalszych kroków, jakie prawo w tym razie naznacza. Że zaś brat chorego zajętym był w Łomży urzędowaniem, a tém samém wykonywaniem powyższéj uchwały zająć się nie mógł, zastąpił go więc w tym względzie Adolf Dobrowolski. Przystąpiono w końcu do zabezpieczenia własności ruchomej. Za kilka tysięcy złotych znalezionéj gotowizny, kupiono listy zastawne, i te złożono w kassie ordynata Zamoyskiego. Meble, książki i papiery przyjął na skład professor Sierociński; resztę zaś ruchomości już przeznaczono na podróż, już dano do przechowania bratu. Dodamy tutaj (jak utrzymywał tenże brat Feliksa), iż przed dopełnieniem téj czynności wiele zaginęło skryptów wraz z innemi dosyć kosztownemi objektami i pieniędzmi, które przeszły do rąk ludzi w nieszczęściu bliźniego szukających nikczemnéj korzyści. Zniknąć wtedy miała *Historya literatury polskiéj*,

dzieło jednotomowe, napisane ze znajomością i zdrowym sądem o rzeczy, jak o tém ś. p. professor Sierociński wspominał; że wówczas nie jeden utwor powieścio-pisarski, nie ogłoszony jeszcze drukiem, mógł uledz podobnemuż losowi, o tém również nadmienił.

W skutku umowy z Drem Martynim, zawartéj za pośrednictwem Karola Wejgiel, bankiera z Wrocławia, chory niezwłocznie do Lejbus zawiezionym został. Tam rok cały przebywał. Pomimo jednak usiłowań i troskliwości p. Martyniego, który we własnym pomieścił go domu i wszelkiemi wygodami otoczył, chory nie wracał do zdrowia. Nie dające się usunąć przyczyny wewnętrzne i wiek już niemłody, główne zapewne stawiały przeszkody.

Umysł nieszczęśliwego nader rzadko i chwilowo tylko wychodził z obłędu: nie rzadko pogrążał się w głuchéj apatyi, najczęściéj zaś pod wpływem manii błąkał się pomiędzy światem rzeczywistym a urojonym. Imiona i role osób historycznych były dlań ulubione: często przybierał je na siebie lub otaczających niemi obdarzał; na odgłos muzyki wpadał w zachwycenie lub melancholią. Niekiedy znajdowano go wesołym i zabawnym, a zawsze posłusznym i nikomu krzywdy lub szkody wyrządzającym. Zapewniono nas nawet, iż ten rodzaj obłąkania żadnego przykrego wrażenia patrzącym nie czynił, a nawet wcale nie zdradzał cierpień moralnych; dlatego wątpiono o ich przyczynie. Głębsze jednak zastanowienie i znajomośc serca ludzkiego przekonywa, iż nie zawsze jego boleść łzami lub bladém i posępném wyraża się obliczem.

W takim stanie umysłu Feliksa, brat jego w końcu m. czerwca 1836 r. przywiózł go z Lejbus do Łomży.

Dowody współczucia, oraz tkliwa opieka zacnéj rodziny brata, zdawały się pomyślnie wpływać na uspokojenie umysłu chorego. Siły fizyczne znacznie się wzmogły, nabrał tuszy i wyrazu zdrowia. Byłyto przecież mamiące pozory, albo raczéj oznaki zupełnego uśpienia ducha, ostatnie wysilenia natury fizycznéj; nad wszelkie bowiem spodziewanie otaczających, w d. 7 wrze-

śnia 1836 r., tknięty apoplexyą nagle żywot zakończył. Zwłoki spoczęły na cmentarzu łomżyńskim pod skromnym nadgrobkiem z ciosowego kamienia, na którym znajdujemy napis: „Tu leży autor *Pojaty*". Pierwsze wspomnienie pośmiertne i opis pogrzebu zamieścił w ówczesnych gazetach sędzia Wyrzykowski z Łomży, przyjaciel zmarłego.

Oto wszystko, co mogliśmy wypowiedzieć o życiu i pracach autora *Pojaty;* widzieliśmy, iż dni jego ubiegały pośród roztargnień i zabiegów dworactwa, bez walk i trosk materyalnych o chleb powszedni, ale nie bez cierpień i wstrząśnień moralnych, ostatecznie upokarzającym upadkiem ducha przerwanych. Ubiegły, zawodząc go w błogich marzeniach o sławie i miłości, o losach kraju i rodziny, której wiernie służył; ubiegły wreszcie, zawodząc może nawet oczekiwania powszechności, która z jego talentu i nauki bogatszych nad te, jakie nam przekazał, miała prawo domagać się plonów: ubiegły przecież nie bez śladu, nie bez istotnych korzyści dla ojczystéj literatury.

Dziś pamięć jego zatarła się przy nowym ruchu umysłowym, i nie dziw: od czasu jego zgonu tak ważne zaszły zmiany w pojęciach i dążnościach piśmiennictwa, a nawet w powodzeniu ludzi poświęcających mu swoje trudy i zdolności! Nie czuwa nad niemi życzliwa opieka Poniatowskich, Jabłonowskich, Załuskich, Czartoryskich; lecz za to zawód pisarski przy coraz większém zamiłowaniu społeczności w czytaniu dzieł przyjemnych i użytecznych, coraz mniéj ma powodów hołdować prywacie i możnowładcom: lecz coraz więcéj zdobywa sobie byt pewny, niezależny, o własnych środkach istnieć mogący.

Dobrzyjałów, 15 grudnia 1858 r.

Skrypta pozostałe po ś. p. Feliksie Bernatowiczu, jakie obecnie posiadam:

1. Komedya w 1 akcie prozą: *Koczyk pomarańczowy.*
2. Komedya w 3 aktach: *Bezżeniec w kłopotach.*
3. *Madonna* albo *Niemy zakochany*, powieść historyczna w 3 tomach, niedokończona: rzecz wzięta z czasów pierwszych wojen szwedzkich.

4. Powiastka: *Szczęście z przypadku.*

5. Badania i wyciągi z dzieł historycznych, dotyczące panowania króla Władysława zwanego Warneńskim.

6. Opisanie ostatnich chwil życia, zgonu i pogrzebu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P. (bez początku).

7. Badania historyczne o Husie i reformacyi, w szczątkach.

8. Różne papiéry, plany do powieści i dramatów, badania genealogiczne familii Bernatowiczów; także w szczątkach tłumaczenia pism panny Trimadeur i Pamiętniki historyczne Choisnena, parę listów księcia Adama, księcia J. Poniatowskiego i t. p., oraz jego własne listy *szkolne do rodziców* i listy późniejsze do brata z Warszawy.

9. Opisanie przygód z buldogiem, którego przewoził dla hrabiny Z. z Wiednia do Lwowa; Skargi i użalenia na niejakiego pana K. i t. p. (są to niby własne jego pamiętniki, ale małéj wartości) *K.*

KOBIÉTA.

STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Zygmunta Kaczkowskiego.

I.

RZECZ O HISTORYI KOBIETY.

Stanowisko, znaczenie i w ogóle wszelka dola albo niedola, jaka koleją wieków spotykała naszą kobietę w rodzinie i społeczeństwie, jéj charakter, przymioty i wpływy, jakie wywierała na rozwój uczuć rodzinnych i narodowych, były oddawna przedmiotem mojego najżywszego zajęcia. Rozpatrywałem się pilnie, tak w pomnikach pisemnych, jak też w tradycyach, obyczajach, obrzędach, pieśniach a nawet legendach i bajkach, ażeby z nich sobie utworzyć ile możności jasne i niewątpliwe pojęcie, jaką była postać moralna kobiéty przez cały ciąg naszéj historyi. Zacząłem, jak się to dzieje zazwyczaj, od czasów teraźniejszości najbliższych i zastałem żniwo bardzo bogate; lecz napotkawszy na niejedną wątpliwość, szedłem daléj i daléj, a nie znalazłszy jéj rozwiązania w epokach Jagiellońskich, przyszło mi nieraz za jakąś nicią, w zmrokach dziejowych niknącą, zapuszczać się w wieki Piastowskie i przedchrześciańskie.

Badania te zawsze zmudne i trudne, często rozbijające się o brak lub niepewność podań dziejowych, a nieraz w zetknięciu się z ich zupełném milczeniem urywane i porzucane, były mi zrazu do celów li artystycznych potrzebne: mimo to wszakże przywiązywałem do nich zawsze nie małą wagę historyczno-ogólną.

Zdawało mi się bowiem i jestem wciąż tego zdania, iż dopóty naprożno silić się będziem nad dokładném i zupełném zro-

zumieniem ogółu naszéj przeszłości, dopóki nie odgrzebiemy z pod gruzów zapomnienia składu i ducha społeczeństwa naszego przez wszystkie wieki. Nie zrozumiemy zaś społeczeństwa z pewnością, dopóki dowodnie i umiejętnie nie odbudujemy każdo-czesnego składu rodziny; a nie zrozumiemy nigdy rodziny, nie przyszedłszy wpierw do jasnego pojęcia stanowiska, zajmowanego w niéj przez kobietę, kobietę matkę, karmicielkę i wychowawczynię tak tych, którzy zabijając słupy żelazne w odległych rzekach rozszerzali państwa polskiego granice, jak tych, którzy zasiadając na wiecach, budowali jego potęgę wewnętrzną.

Wyjaśnienie dziejów naszego wewnętrznego żywota, a mówiąc ściśléj, rozwikłanie wszystkich szczegółowych węzłów, składających wielką sieć więzi społecznéj, zdaje mi się do zrozumienia naszéj przeszłości o tyle więcéj niezbędném, o ile u nas samo społeczeństwo, sam naród miał po wszystkie czasy daleko większe znaczenie, daleko stanowczéj wpływał na swoje losy, niżeli się to działo gdzieindziéj. Kiedy bowiem w narodach innych, zazwyczaj despotycznie rządzonych, naczelny zwierzchnik, łącząc w sobie wszechwładzę, sam bywał społeczeństwa duszą, wolą, sumieniem, a społeczeństwo tylko massą bezwładną, bezmyślną i nieruchomą: u nas, jakiekolwiek chwilowo zachodziły odmiany, nigdy książe lub król, lecz zawsze naród był głównym na scenie swoich dziejów aktorem; a lubo czasem w działaniach zewnętrznych stawał się tylko wykonawcą woli swego zwierzchnika, to przecież nigdy u siebie w domu nie był massą bezwładną. My, od najdawniejszych czasów aż do ostatnich, byliśmy społeczeństwem mającém świadomość siebie, swoją wolę i przynajmniéj część władzy nad sobą; my w niemowlęctwie naszém byliśmy narodem dojrzałym i wyzwolonym, zdradzającym dojrzałość swoję stanowczemi czynami: a jeśli był ktoś nad nami, to ten najczęściéj tylko się świecił na naszém czele, tak jak się świeci sztandar na czele wojennego zastępu. Nie zaprowadził nas nigdzie ten sztandar, gdzieśmy sami go nie zanieśli; nie narzucił nam nic, chyba podstępem, czegośmy sami nie chcieli; nie ujarzmił nas nigdy zupełnie i nie odebrał nam nigdy naszéj stanowczéj, od niepamiętnych czasów jak najstaranniéj strzeżonéj, udzielności we władzy. Naród nasz był zawsze u siebie potęgą główną, król tylko dodatkową: od dawnych wieków zawsze go naród dobrowolnie obierał, czasem odrzucał, a nieraz przez długie dziejowe chwile wcale się bez niego obchodził (1). Znajome są wszy-

(1) Lelewel. Polska średnich wieków. Tom IV, p. 12, 13.

stkim naszym narodowe podania, dziś z każdym dniem coraz więcéj nabierające jasności, o owych wiekach gminowładnych w Polsce urządzeń, które się obchodziły bez żadnego zwierzchnictwa; znajome są również owe kilkowiekowe targania się kmieci o przewagę i władzę ze szlachtą, w których królowie najczęściéj nie brali żadnego stanowczego udziału i tylko korzystali z nich w sposób prawie dzisiejszy, przechylając się wedle swojéj potrzeby i okoliczności na jedną stronę lub drugą (1). Nowsze poszukiwania w dziejach nauczają nas, że nawet najpotężniejszy z tamtoczesnych monarchów, samodzielny Bolesław Chrobry, miewał u swego boku radę złożoną z dwunastu mężów (2) i w obec téj starożytnéj, zwyczajowéj udzielności narodu niejednokrotnie w sprawach wewnętrznych taką samą polityką się rządził (3), jakiéj przez przezorność używali jego najbliżsi następcy aż do tego czasu, dopóki walka o przeważną udzielność we władzy nie została stanowczo rozstrzygniętą na rzecz rycerstwa. Ze słabszymi od niego a niemiłymi narodowi władcami postępowano sobie woale dowolnie: wypędzono po prostu znienawidzoną Ryxę wraz z Kazimierzem; wyrzucono obiedwiema rękami z kraju Bolesława Śmiałego (4). Jak zaś wysoko wzniosło się niebawem przeważne znaczenie szlachty, zamieniającéj się szybko w społeczeństwo osobne, a jak nizko upadła władza królewska, naucza nas najlepiéj panowanie Kazimierza Wielkiego, którego niemożność ukrócenia téj szkodliwéj przewagi, pomimo słusznie sławionéj mądrości, nieraz nawet na rozpaczliwe naprowadza pomysły. W późniejszych wiekach, a mianowicie od czasu Ludwika Węgierskiego, kiedy udzielność już narodem nazywającéj się szlachty we władzy, na wieczną tamę dalszego społeczeńskiego rozwoju, została zawarowaną pisemnie; przeważne społeczeństwa znaczenie staje się niewątpliwém, a wznosząc i rozszerzając się coraz zuchwalėj, dochodzi nareszcie do tego przewagi stopnia, iż zbezwładniwszy zupełnie władzę królewską, zamienia się w swawolę i sporządza rozkład i rozerwanie swéj więzi a narodu upadek.

(1) Lel. Pols. śr. w. T. II, p. 276.
(2) Lel. Pols. śr. w. T. IV, p. 76.
(3) Lel. Pols. śr. w. T. II, Bolesława Śmialego upadek.
(4) Obydwiema rękami..... *Non minus patriae, quam patribus invisus*". Mattheus II, 19, „*cum nullus rusticorum fugitivo obediret*", *Gallus I, XXVIII*, pag. 114, edit. Bandt.

Chociażby tedy biografie królów, opisy wojen i chronologiczne obrazy zdarzeń dziejowych mogły zastąpić historyą u narodów innych, a mianowicie tych, które były rządzone przez samowładnych monarchów; to u nas rzeczy te dadzą zawsze nie historyą, tylko historyi cząstkę, a mówiąc ściśle: przedstawią tylko ostateczne, prawie zewnętrzne skutki przyczyn, daleko głębiéj leżących. Historya nasza, historya taka, która chce być prawdziwem i dokładném zwierciadłem dziejów naszego narodu, musi się koniecznie odkleić od tronów i sejmów i wojen, a spuścić w najgłębsze dno społeczeństwa: musi tam odkryć, rozjaśnić, rozwikłać wszystkie niteczki to społeczeństwo wiążące: musi nam odrysować przedewszystkiém całą sieć więzi społecznéj od czasów najdawniejszych aż do ostatnich; a dopiéro natenczas będzie mogła zasiąść na przeznaczonéj dla siebie trybunie i stać się prawdziwym prorokiem przeszłości.

Wiadomo wszakże każdemu, jak jeszcze daleko u nas do tego. Prawda ta, że bez odtworzenia historyi społeczeńskiego rozwoju dzieje nasze będą zawsze i jednostronne i powierzchowne, nie znalazła jeszcze dość skutecznego uznania. Kronikarzom najdawniejszym, tak naszym, jak obcym a o nas piszącym, była ona nieznaną zupełnie. Myślący Długosz może ją już przeczuwał, ale widać w nim ledwie samo przeczucie. Naruszewicz wpadł na jéj tropy, ale mając przed sobą zamiar przechodzący siły jednego człowieka a nadto jeszcze uciśniony wymaganiami niewolącemi go do tendencyjności ubocznéj, przerąbał tylko bramy pozamykanych dotychczas gmachów i otworzył drogę dla swoich następców. Późniejsi od niego zaczęli już wprawdzie coraz lepiéj rozumieć, że bez zwrócenia dostatecznego względu na życie narodu wewnętrzne, odtworzenie historyi jest niepodobném: ale przecież pomiędzy nimi znajdujemy daleko więcéj takich, którzy usiłowali wypracowywać całkowite obrazy dziejów albo dziejowych ustępów, niżeli takich, którzyby się zajmowali krytyczném śledzeniem szczegółowych nici, na ogół dziejów się składających. Wszakże z mnóstwa powodów, które są łatwo domyślne, a głównie może z powodu naglącéj potrzeby choć jakiej-takiéj historyi, musiało tak być; a jak zresztą nie łatwo było tym pracownikom porzucić dawny tryb rozpatrywania się w dziejach, jak późno dopiéro zdołali oni odwrócić swój wzrok badawczy od królów i głównych zdarzeń dziejowych, a zwrócić go w wnątrz społeczeństwa: dowodzi najlepiéj to, że nawet jeden z najprzenikliwszych i najkrytyczniejszych badaczy,

strawiwszy większą połowę życia na najrozmaitszych pracach dziejowych, prawie przy końcu dopiéro zwrócił swoję uwagę na więź społeczeństwa wewnętrzną, a poczyniwszy na téj drodze odkrycia, godne głośnego uznania, zostawił ważną dla swych następców naukę (1).

W takim stanie literatury dziejowéj, gdzie w ogóle dokładnie szczegółowe badania prawie dopiéro się zaczynają, gdzie jeszcze kroniki nie są krytycznie odczytane i wydrukowane, a nawet najważniejsze źródła do dziejów wewnętrznych, narodowe statuty i prawa, nie objaśnione i nie porównane: samo ze siebie wynika, iż rzecz, tak powszechnie za podrzędną uznana, jak stanowisko i rola kobiéty w przeszłości, nie zwróciła nawet jeszcze niczyjéj uwagi.

Jakoż w saméj istocie, czyniąc poszukiwania do tego przedmiotu, prawie nie można wyjść z zadziwienia, jak mało, jak prawie nic się nie znajduje. Przerzucamy całe stosy ksiąg i foliantów, opowiadających dzieje narodu, i spotykamy wskroś tylko głuche, rzadko kiedy jakiemiś niewyraźnemi głosami przerywane milczenie. Kronikarze, nieraz tak wymowni, czasem aż gadatliwi o rzeczach nieobchodzących nas wcale nateraz, nie wiedzą nic o kobiécie: a jeżeli który z nich rzuci jaką pobieżną wzmiankę o któréj królowéj lub księżnie, najczęściéj obcego rodu a zawsze wyjątkowéj w stosunku do ogółu społeczeństwa, to już jest wszystko, co się od niego o całéj płci pięknéj dowiadujemy. Nie wymowniejsi są od nich późniejsi, czy to dziejopisowie, czy badacze dziejowi. Kobiéta musi być przynajmniéj królową, ażeby mogła ich oko zwrócić na siebie, jeżeli się nie zakradła w ich łaskę jaką głośną w historyi a dokonaną przez siebie zbrodnią. Ogół kobiét, chociaż zwykle wynosi społeczeństwa połowę (2), ich dola i stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, ich wpływ na oświatę i obyczaje, wcale ich nie obchodzi. Dopiéro krytyczne objaśnienie i porównywanie statutów, w których przecież nie przepomniano kobiéty, wyrządza jéj ten zaszczyt, iż ją wprowadza do przybytku ksiąg dziejopisarskich w jéj własnéj, zwyczajnéj, w miliony rozrodzonéj osobie; ale i wtedy jeszcze, przypadkowym tylko sposobem dotknięta, zwraca ona na siebie tylko o tyle uwagę, o ile tego konieczność,

(1) Lelewel, Pols. śr. w. T. IV, pag. 4 i inne.

(2) Podług obrachowania T. Czackiego, stosunek mężczyzn do kobiét w Polsce ma się tak jak 100 do 97. Patrz dzieła T. Czackiego. Poznań. 1844. T. II. Str. 25. Nota 31.

wynikająca ze względów prawnych, wymaga. Co się zaś z nią dzieje poza obrębem sądu i prawa, znów najupartsze kryje milczenie..... Takie jest mniéj więcéj wrażenie, jakiego doznajemy przy pierwszém pod tym względem spotkaniu z pisarzami źródłowemi i im najbliższemi; z czego wynika wniosek: iż o kobiécie w przeszłości nic właściwie nie wiemy, a nawet, że wiedzieć nic nie możemy: bo gdzie jest brak źródeł współczesnych, brak materyałów, brak podań, tam musi milczeć historya.

Niejednokrotnie też na tym opierając się wniosku wypowiedziano już zdanie: iż lubo może z czasem będziem mieć tak szczegółowe historye, jak np. historya szkół, sztuki wojennéj, rzemiosł, handlu i tym podobne; jednak historyi kobiéty z czasów dawniejszych, a mianowicie aż po tę porę, odkąd się nią zaczynają zajmować pisarze narodowi i tacy, jak Rej, Kochanowski, Górnicki, nigdy mieć nie będziemy. Mniemanie to, wypowiedziane mniej albo więcéj dobitnie, znajdujemy rozprószone po bardzo wielu autorach: a oprócz tego jest ono jakoby dowiedzione, że tak powiem uczynkiem, albowiem jedyna książka, zajmująca się historyą niewiasty polskiéj, czasy przedzygmuntowskie przemilcza i poczyna swoje opowiadanie dopiero od wieku XVI-go (1). Mamy wprawdzie jeszcze i drugi utwór pisemny, poświęcający się wyłącznie historyi kobiéty polskiéj, który nawet zasięga w czasy Bolesławowskie (2); ale praca ta, lubo bez wątpienia znakomitego i jedynego w tym rodzaju talentu, jak z jednéj strony daje nam tylko urywkowy obrazek z czasów Bolesława Śmiałego, tak znowu z drugiéj, przyjąwszy obrazowość za cel główny, zrzeka się przez to samo pretensyi do ścisłéj historyczności (3). Oprócz tych dwóch książek, nie

(1) „*Niewiasty polskie*". Zarys historyczny K. Wł. Wójcickiego. Warszawa 1845. O książce téj mającéj już dlatego samego nie małą wartość, że pierwsza oddaje się wyłącznie historyi kobiéty, wspomnę dokładniéj w właściwém miejscu.

(2) „*Niewiasta polska w 3 wiekach*, przez D. M. (Dominika Magnuszewskiego). Poznań 1843. W niéj „*Krwawy chrzest*", powieść z r. 1074.

(3) Nieodżałowanéj pamięci D. Magnuszewski, jedyny z naszych poetów, który zrozumiał naturę i cel dramatu polskiego i jako taki, choćby nawet najgenialniejsi po nim nastąpili dramatyczni poeci, powinien wysokie stanowisko zajmować w historyi literatury, popełnił w téj książce grzech przeciw prawdzie a z ujmą przeszłości niewiasty polskiéj. Biorąc rzecz ściśle, grzech ten leży tylko w przedmiocie: bo gdyby był w niéj nie

wiadomo mi o żadnéj innéj w całéj naszéj literaturze, któraby się zajmowała wyłącznie historyą kobiéty, a tém mniéj o takiéj,

zapowiedział, że w książce téj zamierza przedstawić przeszłość kobiéty, to byłby wcale bez grzechu. Obadwa tam zawarte obrazki jak niemniéj dramat są nietylko jak najzupełniéj udatne, ale prócz tego jeszcze tak silnie napiętnowane szczęśliwém odtworzeniem ducha przeszłości, jak się to po nim rzadko komu udaje. Tak w osobności wzięty na oko, niemniéj szczęśliwym jest „*Krwawy chrzest*", przedstawiający znane powszechnie z Długosza rozpasanie się niewiast za Bolesława Śmiałego. Ale jeżeli ta powiastka ma być charakterystyką niewiast z czasów Piastowskich, natenczas staje się grzechem. W każdym bowiem razie, jeżeli zdarzenie to miało istotnie miejsce i jeżeli tak miało miejsce, jak nam go opisują dziejopisarze po-Długoszowi, to było ono tylko wypadkiem sporadycznym, wyjątkowym, a jako taki nie może służyć za podstawę do charakterystyki ogólnéj. Ale prócz tego zachodzi jeszcze wątpliwość co do istoty samego zdarzenia. Była naówczas zamieszka w kraju, powstanie, ludu, *factio servorum in dominos conspirata*: było nawet dwa takie powstania nazywane przez kronikarzy, to *seditiones civium*, to *pestis servorum*: jedno w latach 1036—1042, drugie 1078—1081, które co do charakteru nie są jeszcze dokładnie rozróżnione od siebie: a co najgorsza, opowiada nam Lelewel, iż było niegdyś takie powstanie w Scytyi, które się przechowuje u Justyna (II, 5), a do którego bardzo upodobnionem okazuje się opisanie powstania w Polsce u kronikarzy przed-Długoszowych. Lecz gdyby i nie to, to jeszcze zachodzi wątpliwość, jakie to było to rozpasanie się niewiast? Wszakżeż kronikarz daleko w téj mierze od Długosza wiarogodniejszy, mówi wyraźnie: że kiedy pachołcy pod niebytność swych panów bunt podnieśli i pozajmowali ich miejsca, to gwałt zadali niewiastom. „*Uxores eorum incestuose, honoresque sceleratissime rapuerunt*". Gallus I, 19, p. 89. Jedyne zresztą prawdopodobieństwo, że niewiasty poporywane przez pachołków gwałtownie, same się potém oddały swawoli, leży w tém, że ich mężów, jak podanie przynosi, przez siedm lat nie było w domu: ależ i ten wypadek nie jest prawdziwym dowodnie, a nawet wcale tego nie można przypuścić, ażeby król taki, jak Bolesław Śmiały, wojujący jeszcze do tego rycerstwem na roli osiadłém, mógł przez lat siedm bez przerwy zabawiać się poza granicami ojczyzny. Jakoż podobno najtrafniéj rozstrzyga tę sprawę Lelewel, który mówi: „*Co zaś z czasem wymyślono o zepsuciu obyczajów w kraju, o rozpuście królewskiéj, o zniewieścieniu wojska w Kijowie, o powabach Rusinek i leżach kapuańskich w stolicy Rusi, to na żadną nie zasługuje uwagę.* (Polska śr. w. T. II, 274). Nie wdając się tedy tutaj wcale w rozprawę o tém, o ile lub w jaki sposób tego zdarzenia użyć można, albo nie można w dramacie albo powieści, utrzymuję z pewnością, iż w żaden sposób nie może ono służyć za podstawę do charakterystyki kobiet z owego czasu; jak mi się zaś samemu ta sprawa pod tym względem przedstawia, opowiem dokładniéj w tekście.

któraby w jakibądź sposób rozmyślała nad jéj przeszłością z czasów przed-Zygmuntowskich (1).

Nie chcąc bynajmniej wyrokować stanowczo o rzeczy tak mało dotychczas jeszcze dotykalnéj, a w każdym razie wcale nie blizkiéj, zdaje mi się jednak, iż zdanie powyższe co do historyi kobiéty, mianowicie z czasów dawniejszych nie jest wcale ugruntowaném. Zastanowiwszy się nad tym przedmiotem wszechstronnie i rozpatrzywszy się bliżéj pod tym względem w dziejowych źródłach, przyszedłem nawet do przekonania, że nietylko sprawy téj nie godzi się mieć za przepadłą, ale owszem można jéj śmiało najpiękniejsze rokować nadzieje na przyszłość.

Przekonanie to trzeba wyłożyć dokładniéj.

Przedewszystkiem tedy, już samo doświadczenie lat kilkunastu ostatnich wskazuje nam, iż nauka historyi u nas, tak w ogóle, jak też w szczegółach, ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą. Zrobiono na téj drodze przed nami niezmiernie wiele: lecz nam dopiéro dano dożyć tych czasów, w których historya zniewoliwszy sobie pracowników z odpowiedniemi zdolnościami, nauką i wytrwałością, zaczęła robić zadziwiające postępy. Badania dziejowe u nas, wzięte w swojéj całości na oko, przedstawiają obraz wspaniały i budujący. Podobne są one poszukiwaniom, czynionym w ziemi za drogocennemi kruszcami. Jaki postęp rozwinął się w wieku XIXtym w górnictwie, taki sam dokonanym został ostatniemi czasy w krainie naszych badań dziejowych. Co tam zrobiła fizyka, mineralogia, geologia i chemia, tego w historyi dokonywa pracowitość, wytrwałość i umiejętna krytyka. Do niedawnego czasu jeszcze grzebano w kronikach, wydobywając z nich nader małe korzyści: nie umiano ich czytać, nie zdołano nic z nich wygrzebać, a co wygrzebano, nie umiano zużyć w sposób istotnie korzystny. Dopiéro krytyka, zaopatrzona w odpowiednią naukę, wzrok przenikliwy i należytą cierpliwość, zużyła już znalezione wykopaliska, pootwierała nowe szyby i poodkrywała nieznane

(1) Wszakże na baczną uwagę tu zasługuje opowiadanie historyczne Karola Szajnochy p. t.: „*Jadwiga i Jagiełło*". Lwów 1855 i 1856. Dzieło to nie zajmuje się wyłącznie kobiétą, ale daje w wielu miejscach bardzo dokładne opisy kobiét, obyczajów i stosunków rodzinnych; a przynosząc niejednokrotnie spostrzeżenia zupełnie nowe, składa także nieobojętny dowód, jak wiele jeszcze do wyjaśnienia tego przedmiotu znaléźć można nawet w autorach tych, których stokroć przewertowano.

dotąd pokłady. Niejeden stary kronikarz, dotychczas ledwie półgębkiem szepcący, wzięty w krytyczne kleszcze, całkiem innym przemówił głosem i wytrysnął wiadomościami wysokiego znaczenia. Drugi, wcale dotąd niepewny, plotący jakieś bajki wierutne, odniesiony w czasy sobie właściwe, okazał się prawdziwym wieszczem przeszłości. Trzeci, miany dotychczas pod tym lub owym względem za historyczną wyrocznią, wzięty na konfessaty, przyznał się dobrodusznie, że sam nic nie wié; ale wskazał jakichś wysłanników włoskich, geografów arabskich, germańskich, frankskich, którzy przynieśli nam wiadomości arcy-ciekawe i pożyteczne. Tym to sposobem, skutkiem zaostrzonéj bystrości wyroku, wytrwałości żelaznéj i pracy prawie benedyktyńskiéj, rozszerzyło się pole naszych badań dziejowych do nieokreślonych rozmiarów. Zapuszczono się w głębie bezdenne, przenurtowano najskrytsze kryjówki, przerzucono całe góry gruzów i ziemi na nowo, poprzyzywano Gallów i Niemców, Greków i Rzymian, Skandynawców, Arabów, Turków na świadki, ażeby w zachmurzone otchłanie przeszłości wnieść nowe światła i za ich pomocą fałsze odrzucić, a prawdzie jak najszersze pootwierać widoki. To też dzięki téj pracy, a głównie dzięki tym mężom, wysokiéj czci godnym, którzy nie spuszczając się wcale na pracowników podrzędnych, wzięli sami ciężkie narzędzia górnicze do ręki, badania dziejowe u nas weszły dziś na tę drogę, na któréj mają nieprzejrzaną przyszłość przed sobą. Ta wielka, piękna, wspaniała praca odbywa się teraz właśnie z niesłychaną skrzętnością i budującym zapałem. W chmurnych otchłaniach naszéj wielo-wiekowéj przeszłości widzimy całe gromady takich duchowych górników, zajętych pracą niepowstrzymaną i bez odpoczynku. Dzień i noc teraz kują tam młoty, nurtują świdry, skrzypią żórawie, warczą parowe machiny. Bez wyraźnego porozumienia się z sobą, bez widomego wodza na swojém czele, dzielą się wszyscy tą pracą jak mogą, a praca ich postępuje wciąż w jednym kierunku. Tu bowiem, aby wydobyć skałę za ciężką na jednego człowieka, wiąże się wspólka i dokonywa swego zamiaru połączonemi siłami; tam kilku pracowników, wcale sobie nieznanych, kopie w głębi jednego szybu, i mimo wiedzy dopomaga sobie nawzajem; gdzieindziéj jakiś pracownik sam jeden, lecz obdarzony siłą olbrzyma, wyrębuje całe otchłanie i kolosalne lomy wynosi na swoich barkach nad ziemię. Rozpatrzywszy się lepiéj w tych rozległych podziemiach,

widzimy gromadkę pracowitych mrówczek wynoszącą drobne grudeczki wykopaliska na światło dzienne; chwyta te grudki jakiś pracownik inny i starannie je z kału oczyszcza; niedaleko od niego znajduje się trzeci, który te kruszce rzuca w chemiczne naczynie, rozkłada je na pierwiastki i odebrawszy każdy atomik cenny, do skrzyni skarbu narodowego odnosi. Nie brakuje na takich, którzy zasiadłszy wysoko, wytykają górnikom kierunki, w których mają kopać na przyszłość; są inni, którzy prowadzą, to ogólną, to porównawczą kontrolę tego wspólnego skarbu; są wreszcie tacy, którzy biorąc z téj skrzyni brantowne już złoto, przebijają je pod swym stęplem na monetę obieg mającą i oddają na użytek publiczny. Praca ta wspólna, przedstawiająca jeden z najwspanialszych widoków, jaki można znaleźć na ziemi, zdaje się być rozstrzeloną, bez organizacyi, bez składu: a przecież jest ona silnie wewnątrz ujętą, bo mieszka w niéj silny, nie rozerwany duch narodowy; biegnie téż jednostajnie do świadomego sobie celu, bo ten duch, wcielający się w każdą jéj cząstkę, wszystkiemi razem jednostajnie kieruje. Dla tego téż z każdym dniem coraz znamienitsze z niéj wypływają pożytki. Od tego czasu, kiedy się z takiém zamiłowaniem do niéj zabrano, i któż tego nie widzi, że w zachmurzonéj głębi naszéj przeszłości coraz nowe rozniecają się światła, coraz jaśniejsze, coraz więcéj obiecujące się otwierają widoki? Każdy rok dzisiaj zjawia się u nas w postaci ducha, który długie wieki przespał w marmurowym grobowcu, a teraz wstaje z pochodnią nowego światła w prawicy, aby nas wieść w nowo poodkrywane świątynie przeszłości. Przy świetle jego czarownéj pochodni niespodziewane dziwy dzieją się przed naszemi oczyma: zjawiają się króle, książęta i wojewodowie, o których dotąd tylko sny niewyraźne błąkały się między nami; pokazują się nam całe pokolenia osiadłe, zamożne i pracowite, o których ani wieści dotąd nie było; maluje się nam jakby na dłoni ówczesna postać naszéj ziemicy, jéj jeziora i puszcze, miasta i grody, drogi kupieckie i szlaki wojenne. Tak cała przeszłość nasza, tu i owdzie ciemnością nocy okryta, z każdym dniem coraz widomiéj występuje na jaśnią: dotychczasowe bajki przybierają poważną postać dziejowéj prawdy; nierozwikłane dawniéj węzły sprzeczności, układają się w siéć dzierzganą misternie i składnie; zapełniają się z nowa osierocone trony; dzieci odzyskują rodziców; wracają wywołańcy i zbiegi. występują przed nami całe postacie tak widomie i jasno, jak gdyby je odtworzy-

ła ręka najbieglejszego rzeźbiarza. Takie już dziś odnosimy z naszych nowszych badań dziejowych korzyści, a praca ta ledwie się dopiero poczęła, zaledwie dzisiaj w pełnym jest biegu. Czyż godzi się wątpić, że to, co dzisiaj w niektórych szczegółach wiemy, jest tylko małą cząstką tego, co oczekuje jeszcze wyjaśnienia albo zgoła odkrycia? Czyż nie należy się z pewnością spodziewać, że tak jak inne rzeczy, do niedawna nie znane, niebawem także wystąpi jasno przed nami kolejny skład naszéj rodziny i zajmująca postać kobiéty? Ktokolwiek choćby tylko pobieżnie jest obeznany z bogactwem naszych dziejowych źródeł, z ich nietkniętemi jeszcze dotychczas skarbami, a zatém i z widokami, jakie następne krytyczne ich odczytanie jeszcze przed nami otwiera, ten ani na chwilę o tém wątpić nie może.

Nadzieja ta zdaje się być o tyle jeszcze pewniejszą, ile że już dziś mamy bardzo wymowne skazówki, że kronikarze nasi i annaliści, właśnie ci, którzy do najdawniejszych należą czasów, nie milczą tak zupełnie o składzie społeczeństwa, o rodzinie i jéj matce-kobiécie, jak się to nam, czytającym tych kronikarzy pod względem historyczno-ogólnym, zwykle wydaje. Kto nie ma tak blizkiéj styczności z tymi nie dla każdego strawnymi autorami, ten się może o tém przekonać nawet z naszych badaczy dziejowych najnowszych. Pracownicy ci, jak już wspomniałem powyżéj, nie zajmowali się wprawdzie jeszcze dotychczas badaniem kolejnego stanowiska kobiéty w historyi, ale każdy z nich prawie zwrócił już baczną uwagę na wewnętrzny skład społeczeństwa, na ustrój rodziny, na obyczaje, obrzędy, małżeństwa, rozwody, śluby; a tym sposobem pomimowoli musiał potrącić o los i rolę kobiéty. Wspomnienia takie znajdujemy przedewszystkiem w pracach T. Czackiego, J. Lelewela, W. A. Maciejowskiego, K. Wł. Wójcickiego i wielu innych. Prócz kilkunastu kartek w Czackim (1) i kilkunastu w Lelewelu (2), że Wójcickiego nateraz pominę, mówiących szczególnie jużto o prawach dotykających kobiétę, już o małżeństwach, rozwodach, ślubach, nie spotykamy nigdzie wiadomości o kobiécie szczególnych, niezaprzeczenie pewnych, a tém mniéj ciągłych; ale we wszystkich tych dziełach w ogóle, a osobliwie w dziełach Maciejowskiego, jest mnóstwo wiadomości porozrzucanych,

(1) Dzieła Tadeusza Czackiego. Poznań 1845. Tom II, p. 1—64.

(2) Lelewel. Polska śred. wieków. Tom IV. Rozdział o małżeństwach.

luźnych, do tego przedmiotu się odnoszących, a nadzwyczajnie ciekawych i nauczających. Są tam wejrzenia w wewnętrzne dzieje społeczeństwa naszego niezmiernie jasne, są wnioski nadzwyczaj trafne, są podania i wieści zajmujące całą uwagę, a nadewszystko znajdują się jużto umyślne, już mimowolne skazówki, gdzie w których autorach dawnych można się czegoś o przedmiocie nas obchodzącym doczytać. A kiedy oni, prawie nie szukając umyślnie, przecież tak wiele znaleźli, o ileż więcéj znajdzie ten, który te źródła odczyta w tym celu umyślnie? Jakoż istotnie, nie chcąc w badaniu prawdy dziejowéj na pośrednikach poprzestać, lecz idąc za ich skazówkami do źródeł, doczytujemy się w nich wiadomości, rzucających niejednokrotnie bardzo jasne światło na najdawniejszą historyą kobiéty; a z cierpliwością i umiejętnością przez nas czytany, nie skąpi nam ich wcale ani Matensz z Kadłubkiem, tém mniéj gadatliwy Gall albo Gawel, jak go nazywa Bielowski, ani nawet niechętny nam, a zdala nas tylko znający, Thietmar Mersburgski. Trudném niezmiernie jest korzystanie pod tym względem z takich autorów, choćby tylko dlatego, iż obcy język, którym do nas przemawiają, nie dozwala im wyobrażeń krążących w narodzie oddać z taką ścisłością i subtelnością wszystkich barw i odcieni, jakbyto potrafił język ojczysty. Z użycia starszéj o wiele wieków i niczém nam nie pokrewnéj łaciny, wynika wiele niedokładności i nieporozumień, a duch narodowy ledwie nie całkowicie uleciał. Również niebezpieczną jest rzeczą wierzyć cudzoziemcowi na słowo, osobliwie w opisach zwyczajów i obyczajów, których pojęcie zwykle sobie podług wyobrażeń swego narodu wyrabiał, a często wiele ich nie rozumiał. Z tego wynika, iż badania takie wymagają bardzo pilnego czytania i wczytywania się, a w końcu krytyki porównawczéj i przenikliwéj. Ponieważ zaś, jakto powszechnie wiadomo, do dziś dnia jeszcze nawet ogólna wartość tych kronikarzy nie jest orzeczona nieodwołalnie, a ledwie jeden z nich jest wydany krytycznie, rzeczą jest oczywistą, iż praca tak szczegółowych, tak drobnostkowych wymagająca studyów, jak historya kobiéty, nie może być jeszcze tak prędko dokonaną z takim skutkiem, jakiego się po niéj godzi spodziewać na przyszłość. Ale materyał do tego jest i znajduje się w kronikarzach nawet najdawniejszych w bardzo obfitych pokładach.

Drugiém, niezmiernie ważném źródłem, w którém poszukiwania do historyi kobiéty znajdują równie obfitą, a jeszcze daleko głębszą kopalnię, są nasze staropolskie statuty.

Prawa polskie, w jakokolwiek dokładne formy ujęte, zaczynają swój byt historyczny za Władysława Łokietka, a występują widomie na jaśnią dopiéro za Kazimiérza Wielkiego. Przyjąwszy mylną zasadę, że je natenczas na wzór jakichś innych utworzyć musiano, szukano ich pochodzenia w prawach niemal całego świata. Atoli już sam zdrowy rozum, oparty na znajomości historyi tworzenia się i wzrostu polskiego państwa, naprowadza na domysł, iż lubo prawa nasze mogły czasowo ulegać wpływom postronnym, jednakże treść ich musiała być daleko dawniejszą, a zarazem narodową i własną. Przynajmniéj już państwo takie, jakiém była Polska za Bolesława Chrobrego, nie mogło istnieć bez prawa. Nie byłoby nazywano Bolesława Śmiałego „twórcą praw niesprawiedliwych, *conditor legum iniquarum*", gdyby praw tedy nie było. Jest zresztą rzeczą najlogiczniejszą, że społeczeństwo, zacząwszy stałe istnienie swoje, choćby istnienie to nie zalecało się wcale organizacyą wymyślną, jakto właśnie się działo w Polsce pierwotnéj, rządzonéj prostemi gminowładnemi ustawy, nie może się obejść bez praw. Na téj niemylnéj opierając się prawdzie, a idąc za skazówkami, rozsianemi obficie po kronikarzach, nasi nowsi badacze dziejowi, a mianowicie Lelewel i Maciejowski, wzięli pod ścisły rozbiór późniejsze prawa pisane i poszukali początków ich w czasach dawniejszych. Poszukiwania ich odniosły najzupełniejsze nad ich poprzednikami zwycięztwo; a dzięki im, wbrew T. Czackiemu, który źródeł praw polskich szukał aż w Skandynawii, i J. W. Bandtkiemu, który je od Rzymian wywodził, nie od dzisiaj już wiemy z pewnością, że prawa polskie, jakkolwiek w całości późno dopiéro spisane, są nasze rodzime, własne, a początki ich odnoszą się do czasów jak najdawniejszych. Urodziły się one na ziemi naszéj, wywinęły się z potrzeb społeczeńskich rodzimych, prawdopodobnie tak dawno, jak dawno naród nasz, zająwszy kraje pomiędzy Wisłą a Elbą, zaczął byt trwały. W jakim stosunku wewnętrzny skład społeczeństwa się rozwijał i kształcił, w takim i prawa mnożyły się, rozwijały, kształciły. Ciągiem tych czasów, znających wprawdzie pismo, ale mało piśmiennych, nie były one oczywiście pisane. Istniały tylko w sumieniu sędziów, ojców familii i narodowéj starszyzny, a granice swe znachodziły w obyczajach utrwalonych wiekami, chociaż często gwałconych przez stronnictwo rycerskie czyli szlacheckie, wypływające coraz widomiéj na powierzchnią narodu. Nie były one tedy natenczas bardzo foremne, a tém

mniéj stałe: zmieniały się ciągle skutkiem postępu w oświacie; skutkiem zachodzących zmian społecznych i religijnych, skutkiem nareszcie wpływów postronnych, już chwilowych, już trwających przez całe wieki. Mimo to wszakże były one po wszystkie czasy swojskie, były utworem własnego narodowego geniuszu. W późniejszych czasach, a mianowicie z gruntownem wkorzenieniem się chrześciaństwa, rozprzestrzenieniem oświaty, a z nią umiejętności pisania, z postępującą ciągle wewnętrzną organizacyą państwa, a nareszcie ze szlachtą sięgającą coraz zuchwaléj po przewagę i władzę i szukającą jakiegoś gruntowniejszego dla swych moralnych zdobyczy oparcia, niżeli go mogą dać prawa zamknięte w ustnych podaniach i obyczajach, musiano zapewne spisywać te prawa. Pomniki te dziś zaginęły, ale nie brak ich śladów. Lelewel, który w badaniach dziejowych wyobraźni swéj zazwyczaj bardzo twarde zakłada wędzidło, utrzymuje z pewnością, że Wielkopolanie już na sto kilkadziesiąt lat przed Wiślicą mieli swój statut spisany (1). Prawdopodobnie zdarzało się to jeszcze daleko dawniéj i wszędzie indziéj; a kiedy nawet Wiślickiego Statutu tekst czysty rąk naszych nie doszedł, tem łatwiéj jeszcze mogły owe ułamki, z których ten statut złożono, zaginąć. Cóżkolwiekbądź, rzeczą jest pewną, iż prawa te, które się do naszych dochowały czasów, są tylko zlewkiem praw dawnych, często swoim początkiem sięgających w najodleglejsze wieki. Świadczy zatém niejednokrotna sprzeczność pojedynczych paragrafów ze sobą do dziś dnia jeszcze nie wyświecona, powtarzanie jednéj i téj samej rzeczy z małą odmianą po kilka razy, przytaczane przykłady i wydarzenia, sięgające naturą swoją w czasy daleko dawniejsze, a wreszcie wyobrażenia, pojęcia, duch, albo o wiele starszy, albo wcale niechrześciański, zawiewający nas z ksiąg tych we wielu miejscach. Owo więc prawdy te: pierwsza, że nasze statuty są utworem rodzimym, własnym; druga, że są tylko zlewkiem praw i w prawa zmienionych zwyczajów daleko od Wiślicy dawniejszych, są dla nas niezmiernie ważném odkryciem. Albowiem pomniki te, żywe świadki minionych wieków, niejednokrotnie bardzo zblizka się zajmują kobietą, a rozprawiając szeroko o sukcessyi, posagu, oprawie, wianie, opiece, rozwodach, wielożeństwie i innych rzeczach podobnych, rzucają jasne światło nai stanowisko i całą dolę kobiety; co więcéj, dają do jéj history

(1) Lelewel. Początkowe prawod. Polska śr. w. T. III.

fundamentalne podstawy, a zarazem służą jako kryterya podań i wieści, które nam się zdarzyło znaleźć w kronikarzach tak swoich, jakoteż obcych. Będąc zaś w znacznéj swéj części zlewkiem praw dawnych, a więc zawierając w sobie odgłosy czasów nieraz bardzo odległych, otwierają przed naszą myślą badawczą bardzo dalekie i nieskończone widoki, i stają się, jak wspomniałem powyżéj, prawie bezdenną dla nas kopalnią.

Przy prawach świeckich równie niemało ważném dziejowém źródłem do wyjaśnienia naszego przedmiotu są synodalne statuty polskie, jakoteż bulle i listy pasterskie papieżów, dotyczące Polski i Słowiańszczyzny. Piérwsze bywały różnemi czasy stanowione i spisywane na tak zwanych soborach, zjeżdżających się w Łęczycy, Lubuszu, Sieradzu albo Krakowie; obowięzywały pojedynczemi paragrafami swych ustaw częstokroć także osoby świeckie, i jak się zdaje bywały swojego czasu obowiązkowo rozpowszechniane (1). Drugie wydawała apostolska stolica z najrozmaitszych powodów, wprawdzie najczęściéj w sprawach kościelnych i religijnych, ale nie rzadko także dotykała niemi spraw społecznych i politycznych. Źródła te zdają się być na piérwszy pozór dla naszego przedmiotu bardzo dalekie, ale tak nie jest: są one bowiem i pod tym względem bardzo bogate, a nawet samo częściowe wejrzenie w ich treść okazuje, iż znajdują się w nich nader obfite wiadomości do historyi społeczeństwa, rodziny, a zatém także kobiety. Znajdujemy w nich nietylko dosyć częste ustawy przeciw wykroczeniom społecznym, religijnym, obyczajowym, rodzinnym, które oczywiście istniały, kiedy się przeciw nim warowano; ale także i wzmianki nieraz bardzo dokładne o obyczajach, obrzędach i obowiązkach względem kościoła, rodziny i społeczeństwa, jakiemi dawniéj bywały, czasowo są, albo być nadal powinny. Niejednokrotnie tam wyłuszczono przyczyny, dla których to albo owo obyczajów skażenie się wszczęło, albo zkąd do nas przybyło; opowiedziano środki, ducha narodowego i starodawny obyczaj nieraz bardzo uwzględniające, któremi trzeba złemu zaradzić; a znajdują się także nie rzadko paragrafy wprost dotyczące kobiéty (2). Chcąc tedy ze źródeł wyjaśnić najda-

(1) *Omnes tenentur habere istas constitutiones*, mówi ustawa synodalna dyecezyi krak. Nankiera z Okszy. M. Wiszniewski. Hist. lit. pols. T. II, p. 300.

(2) Np. „*De concubinis et concubinariis, qui foveant eas*". Tamże. Jak dalece niespodziewane a szczegółowe znajdujemy czasem wiadomości

wniejszą historyą kobiéty, nie można na żaden sposób pomijać ani statutów synodalnych krajowych, ani też bull i listów pasterskich; a należy do nich tém większą przywiązywać wartość, ile że piérwsze, stanowione i spisywane przez korporacye tak poważne i kraj znające, jakiemi były prowincyonalne sobory, zasługują ze wszech miar na wiarogodność daleko większą, niżeli wszelkie wieści innego rodzaju i pochodzenia; a piérwsze i drugie razem, osobliwie też bulle papiezkie, przynoszą nam wiadomości nawet z tych czasów, z których, z powodu mało rozpowszechnionéj u nas umiejętności pisania, nie dochowały się naszych czasów albo zupełnie żadne, albo tylko zbyt skąpe pomniki pisemne.

Czwartém nakoniec źródłem do najdawniejszéj historyi kobiéty, są nasze podania rodzinne i narodowe, legendy, klechdy, bajki ludowe i pieśni.

O wartości tych rzeczy pod historycznym względem, jak mi się zdaje, piérwszy u nas nadmienił Hugo Kołłątaj (1), a tuż po nim głos zabrał, a mianowicie wymowne żale „za pogardzoną przez skrybów, pod słomianą strzechę tulącą się muzą polską," podniósł Woronicz (2). Niebawem potém jeszcze daleko otwarciéj i z wyraźniejszą świadomością swych celów podnieśli sztandar téj sprawy Zoryan Chodakowski, Brodziński i wielu innych; a już w roku 1828 Towarzystwo przyjaciół nauk warszawskie uczuło tak mocno potrzebę zbierania tego rodzaju narodowych pamiątek, iż ogłosiło pewną za taką pracę nagrodę. Nie wiadomo nic, czy kto tę nagrodę otrzymał, a nawet czy się kto o nią pokusił; podobno przyniosła ona téj sprawie taki sam pożytek, jaki zazwyczaj przynoszą wszystkie konkursowe nagrody: ale rzeczą jest pewną, że mniejwięcéj od tego dopiéro czasu zaczyna się właściwa praca około téj nowéj, a tak wiele obiecującéj literatury, którą Mickiewicz tak trafnie nazwał „literaturą kopalną". Albowiem już we dwa lata potém wychodzą z druku znane powszechnie piérwsze zbiory Gołębiowskiego (3); występ-

w tego rzędu statutach, dowodzi między innemi np. to, iż w téjże saméj ustawie zamieszczony jest dosyć dokładny opis ubiorów ówczesnych księży.

(1) „*Listy o przedmiotach naukowych*", napisane w roku 1802, wydane w Krakowie 1844.

(2) Roczniki Tow. Prz. Nauk. Warsz. T. II z r. 1803 i T. VI z r. 1810.

(3) „Lud polski, jego zwyczaje i zabobony". Warszawa 1830.

pnje tuż za nim K. Wł. Wójcicki, Wacław z Oleska, Żegota Pauli i wielu innych: aż też niebawem ta literatura zbierana tak bujnie zakwitła, iż z dzieł na nią się składających i pod tym lub owym względem do niéj się odnoszących, możnaby dzisiaj całą biblioteczkę ułożyć. Książki samego K. Wł. Wójcickiego, który przeważną i arcy-szanowną na tém polu odegrał rolę, prawie wszystkie tutaj należą i przedstawiają szereg tak swoją liczbą, jak treścią, wcale imponujący (1). Nie brakuje także i rozpraw, usiłujących krytycznie ocenić wartość tych rzeczy jako materyałów, jużto dziejowych, już literackich. Mamy nawet całe broszury li temu poświęcone przedmiotowi; a nie masz pomiędzy nowszemi prawie żadnéj cokolwiek tylko ogólniejszéj historycznéj rozprawy, któraby choć ubocznie coś nie wspomniała o znaczeniu naszych klechd, podań i pieśni. Jednakże jakie w ogóle, a mianowicie jakie o wartości tych rzeczy pod historycznym względem przeważa mniemanie, do dnia dzisiejszego

(1) Oddając ze ścisłością sumienną, co się komu należy a co w naszéj literaturze jeszcze nie dosyć upowszechnioną jest rzeczą, trzeba przyznać, że K. Wł. Wójcicki w sprawie podań i pieśni pierwszy głos zabrał nawet przed Gołębiowskim, napisawszy (podobno na wyż wspomniono wezwanie Towarzystwa Prz. Nauk) rozprawę o tym przedmiocie, którą potém Gołębiowski swe pierwsze dzieło ozdobił. Patrząc w ogóle na ten poważny widok, jaki przedstawiają bogate zbiory samego p. Wójcickiego a tém więcéj ta cała literatura kopalna, z całego serca przychodzi żałować, iż do dnia dzisiejszego jeszcze się nikt nie znalazł, któryby wszystkie te prace pod szczegółowy wziął rozbiór i oceniwszy wielostronną ich wartość, zarazem wskazał, co już dopełnioném zostało a czego jeszcze brakuje. Takie literackie spowiedzi, takie, że tak powiem wglądania literatury w siebie samą, odbywające się w literaturach francuzkiéj, angielskiéj, niemieckiéj, ciągle i bezustannie, uważane tam jako konieczny warunek postępu tak dla tych, którzy około literatury pracują, jak dla tych, którzy z niéj korzystają, przynoszą jak najpowszechniejszy i drogocenny pożytek. Ale prace takie u nas, choć nie brak do nich zdolności, nie znajdują pochopu; zdaje mi się dlatego, iż służąc z natury swojéj tylko obecnéj chwili, mają przed sobą tylko efemeryczne istnienie. Ależ kto dobrze usłuży chwili, ten równie dobrze usłuży wiekom. Nie jest też wcale niepodobieństwem także sprawozdanie z którego działu literackiego napisać tak, aby przetrwało wieki, jak tego dowodzi mała lecz ważna książeczka M. Mochnackiego napisana „O literaturze polskiéj w pierwszéj połowie XIX wieku". Takie literackie spowiedzi dokonywane we wszystkich piśmiennictwa kierunkach, uważam za tém konieczniejsze, iż bez nich, zwłaszcza przy naszém rozstrzelaniu się i przy takiéj rozmaitości wpływów postronnych, rzeczywisty postęp literatury niezmiernie jest utrudniony.

jeszcze niepodobna rozstrzygnąć. Owszem, w mniemaniach tych, nawet pomiędzy tymi, którzyby w tym zakresie nauki powinni jakąkolwiek stanowić powagę, panuje jak największa rozmaitość i sprzeczność. I tak, przed innymi Lelewel, zwykle dość ścisły w swych orzeczeniach krytycznych, a zajmujący się w ogóle z wielką skrzętnością historycznemi pamiątkami tego rodzaju, osobliwie zaś temi, które przeszły do kronikarzy, pod tym względem nie jest tak jasnym, jakby się tego po nim należało spodziewać. Pobiwszy na tém polu Mateusza herbu Cholewa, odrzuca on ryczałtowo nawet podania dziejowe i nie przywięzuje do nich żadnéj wartości (1). Po latach wielu namyśla się znowu inaczéj, cześć im oddaje, wielką przyznaje wagę i widzi nawet w powiastkach gminnych wszędzie sens moralny i polityczny (2). Takiegoż samego zdania, jak dawniéj Lelewel, zdaje się być A. Bielowski, nie przyznający podaniom ustnym, choćby też zapisanym przez kronikarzy, żadnego historycznego znaczenia (3). Maciejowski trudniący się podobno najskrzętniéj ze wszystkich wszelkiego rodzaju podaniami, bajkami i pieśniami, rozmyślający nad niemi jak najwszechstronniéj i powołujący się na nie we wszystkich a dosyć licznych swych dziełach, jest w zdaniach o ich tak historycznej, jak wszelkiéj innéj wartości sam jeden niemal tak rozmaity, jak wszyscy inni razem wzięci, a ztąd okazuje się pod tym względem w nieustającéj ze samym sobą sprzeczności (4). Również sprzecznym ze sobą, a raczéj siebie niepewnym, przedstawia się w téj sprawie M. Wiszniewski, zbywający zresztą pięknemi

(1) Lelewel.: „*Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa*". „*Dzieje Polski* etc." Rozdz. 3: „Baśni bez końca na świecie potworzono, a z tego *żadnéj nauki, żadnego pożytku* nie ma".

(2) Polska śred. wiek, T. I, str. 320.

(3) „*Wstęp krytyczny do dziejów Polski*", przez A. Bielowskiego. Lwów 1850, str. 290. Uwaga do słów: „*Diis immortalibus Wanda pro suis victimet*".

(4) Za dalekoby mnie to zawiodło, gdybym chciał moję powyższą wzmiankę temi wszystkiemi poprzeć dowodami, jakich dostarczają dzieła tego autora; trzebaby o tém pisać osobną książkę. Ale najlepsze i na najkrótszéj drodze powzięte wyobrażenie o téj sprzeczności a przynajmniej o wielkiéj jeszcze niejasności ogólnego o tym przedmiocie pojęcia, da nam sąd następny, ogólny i tę sprawę niejako kończący a znajdujący się w jednem z ostatnich dzieł p. Maciejowskiego. „Powiem więc tylko", mowi Maciejowski w Piśmiennictwie Polskiém, zeszyt I, str. 189: „że wszystkich słowiańskich ludów klechdy mają *coś powszechnego a własnego*

ogólnikami rzecz taką, której wypadaloby albo jasne dać orzeczenie, albo przyznać poprostu, że jeszcze czas na nie nie przyszedł (1). A kiedy taką rozmaitość i chwiejność napotykamy w zdaniach autorów tych, którzy sądzili na zimno rzecz przyniesioną przez innych i dali już niejednokrotne i bardzo świetne dowody, że sądzić jasno umieją, nie możemy się wcale dziwić, widząc samychże zbieraczy tych podań i pieśni, w rozumieniu o ich wartości jeszcze daleko więcéj rozmaitych i chwiejnych. A dziwną zaprawdę znajdujemy tu rozmaitość. Kiedy bowiem Zoryan Chodakowski chce z podań i pieśni odtworzyć całą geografią słowiańską, a nawet heraldykę, znajduje się ktos drugi, który do tych utworów nie chce przypuścić żadnéj rozprawy, ani krytyki, i każe na ślepo przyjmować to wszystko, co tylko dawne przynosi podanie (2); znajduje się wreszcie ktoś trzeci, który znowu dowodzi, że podania ludu w ogóle i jego pieśni nie mają żadnéj wartości, albowiem nie zostały przezeń stworzone, tylko weń jak w martwe naczynie wrzucone zkądinąd (3). Zdaje mi się, iż wcale nie przesadzę, jeżeli powiem, iż nie masz u nas naukowego przedmiotu, w którego pojęciach panowałby zamęt tak chaotyczny i tak powszechna niezgoda, jak się to dzieje w przedmiocie klechd, podań i pieśni.

Jednakże wzmianka ta nie ma najmniéj uwłaczać zasługom tych mężów, których powyżej wspomniałem nazwiska, a których prac w dziedzinie historyi nikt nie może wyżéj poważać odemnie. Niezadawalającemu wypadkowi ich badań krytycznych na téj drodze nie należy się dziwić bynajmniéj. Leży on w naturze tego przedmiotu i nateraz jest jeszcze koniecznym. Ta

i obcego, tudzież posiadają *coś wyłącznego a miejscowego i swojskiego*". Z niemałém zadziwieniem znajduję to samo mętne orzeczenie, powtórzone dosłownie w najświeższéj o tym przedmiocie rozprawie: „*Studya nad podaniami ludu naszego*", przez Józefa Grajnert. Biblioteka Warsz. 1859. Maj. Zesz. XXIX, str. 475.

(1) M. Wiszniewski. Hist. lit. pols. T. I, str. 181—466. Najniewłaściwszy znajdujemy tam podział podań na powieść, gadkę (?) i podanie historyczne, które to trzy rodzaje zresztą nie są zupełnie rozróżnione od siebie. Taka niejasność głównéj dalszego rozumowania podstawy odbiera wszelką wartość całemu rozumowaniu, chociaż zresztą trzeba przyznać, iż w niém znajdują się spostrzeżenia prawdziwe i trafne.

(2) Przedmowa do książki: „*Podania i legendy* etc.", zebrane przez L. Siemieńskiego. Poznań. 1845.

(3) „*Studya o literaturze ludowej, ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*", przez R. W. Berwińskiego. Dwa tomy. Poznań. 1854.

literatura kopalna, która, jak wspomniano powyżéj, dziś już, choć jeszcze pewnie nie jest skończoną, małą biblioteczkę stanowi, przedstawia w sobie kłąb prawdziwie przedstworzennego chaosu, złożonego z pierwiastków najrozmaitszych tak co do treści, jak wieku, jak nareszcie i pochodzenia. Rzeczy te pozbierano ze wszystkich czasów, ze wszystkich warstw społeczeństwa, ze wszystkich wreszcie niby nam blizkich, lecz mimo to, bardzo rozległych okolic. Pochodzą one z Polski, Litwy i Rusi, z Czech i Pomorza, z Pruss, Serbii, Bośnii, Illiryi. Jedne z nich zdradzają powinowactwo z podaniami Germanii lub Skandynawii, drugie znajdują odgłos w Normandyi albo Hiszpanii, trzecie przypominają dźwięki indyjskie. Równie i treść ich najrozmaitszych dosięga czasów. Tu występują jakieś potworne postacie, podobne do tych, jakie stwarzała tylko wyobraźnia ludzi półdzikich; gdzieindziej w jednéj i tejże saméj pieśni mieszają się wyobrażenia pogańskie i chrześciańskie; w niektórych wreszcie wieje duch katolicki i ascetyczny; te opiewają początki powstania narodu, drugie przedstawiają wojny i czyny rycerskie, trzecie się tulą do roli i strzechy domowéj; we wielu innych występują upiory i strzygi, wilkołaki, dziwożony lub czarownice, wiedźmy i jędze. Wszystko się tutaj miesza ze sobą w chaotycznym bezładzie, a duch poruszający tego olbrzymiego organu klawisze, uderza we wszystkie możliwe akordy, jakie kiedykolwiek wydobyła ze siebie pierś ludzka. Jak się tu znaleźć w tém wszech-żywiołów skłóceniu? jak je uporządkować? jak tylko wziąć je w całości na oko? Praca to wielka, wymagająca długiego czasu i nie dla jednego człowieka. Zważywszy jeszcze do tego, iż wszystkie te podania i pieśni, krom bardzo nie wielu zachowanych po kronikarzach, przeszły przez ust miliony, zanim się do nas dostały; że zatém każda z nich uległa po drodze najróżnorodniejszym czasowym wpływom, a niektóre z nich, skutkiem niezrozumienia najgłówniejszego warunku ich możliwéj wartości, zostały przez ich zbieraczy nawet przerobione umyślnie: widzimy jawnie, iż ocenienie naukowo-krytyczne ich wartości, jako materyałów dziejowych, musiało być dotąd odpowiedniém ich chaotycznéj, nieokreślonéj, niezbadanéj naturze; musiało być rozmaitem jak w Lelewelu, nieokreślonem jak w Maciejowskim, lub zgoła sprzecznem jak jest w powszechności. Tutaj téż, a mianowicie w braku prac na téj drodze przedwstępnych, porządkujących, szczegółowo-krytycznych, leży przyczyna tego zamętu w mniemaniach o hi-

storycznéj wartości tych podań, nawet pomiędzy tymi, którym zkądinąd nie braknie wcale ani bystrości wzroku, ani trzeźwości umysłu.

Cóżkolwiekbądź, nie brak nam przecież pojedyńczych wejrzeń w tę sprawę, uderzających niewątpliwą jasnością, a przynajmniéj nie brak skazówek, z jakiego punktu się na nią zapatrywać można i trzeba. Mijając tych, którzy badaniem tych materyałów zajmowali się tylko częściowo albo ubocznie, nadmienię tutaj, iż przed wszystkimi sam Maciejowski oddał na téj drodze swoim następcom niepospolitą przysługę (1). Niezmiernie wiele szczegółowych skazówek przynosi nam bez wątpienia jeden z najbieglejszych znawców tych rzeczy, K. Wł. Wójcicki; bardzo trafnym i naturalnym na ogół téj literatury poglądem zaleca się J. I. Kraszewski (2); a arcy-ważny krok naprzód czyni na téj drodze R. W. Berwiński (3), który pierwszy ze wszystkich cały ogół téj literatury kopalnéj bierze pod rozbiór naukowy i historyczny. Poszedłszy z zawarowaną dla siebie swobodą zdania za temi skazówkami do samychże źródeł i rozpoznawszy wszystkie charakteryzujące je cechy, zdaje mi się, iż nie jest nareszcie tak trudno zrobić sobie o téj nierozstrzygniętéj dotychczas sprawie jasne i niewątpliwe wyobrażenie.

Mnie się ona przedstawia w następującéj postaci:

Podania, legendy, klechdy, bajki i pieśni, miały niegdyś przed czasy a mianowicie wtedy, gdy je tworzono, wartość niezmiernie wielką. Rozprzestrzeniały one w pewnym stopniu oświatę, kształciły pojęcia i uszlachetniały uczucia narodu; wpływały na jego charakter i usposabiały go do myślenia nad sobą, do poczuwania się w sobie i tworzenia jakiéjś opinii publicznéj: bo miały, jak to trafnie uważa Lelewel (4), idący zresztą tutaj za Moraczewskim (5), „wszędzie sens moralny i polityczny.“ Stawały się one natenczas niejednokrotnie pobudką do wielkich czynów, dopomagały silnie do zrozumienia ducha dziejowych zdarzeń już dokonanych, a roznosząc po kraju wiadomości o nich, zastępowały poniekąd samę historyą. Miały zatém swojego czasu wartość moralną, społeczną i polityczną, a dla

(1) Patrz pod tym względem wszystkie dzieła W. A. Maciejowskiego, a głównie: „*Polska i Ruś, aż do pierwszéj połowy XVII w.*“. T. IV.

(2) „*Studya literackie*“. Wilno. 1842.

(3) „*Studya o literaturze ludowéj*“. R. W. Berwińskiego.

(4) Polska średnich wieków. T. I, str. 319—320.

(5) J. Moraczewski. Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj. T. I, str. 4.

blizko-następnych pokoleń, zwłaszcza dopóki znacznemu przerobieniu nie uległy, nawet i historyczną. Wartość ich moralna, społeczna i polityczna, z postępem ogólnéj oświaty a zatém ze zmianą natury moralnych i politycznych pobudek, prawie całkiem zniknęła; zaś wartość ich historyczna, lubo jeszcze w nią długo wierzono, musiała ciągle się zmniejszać w takim samym stosunku, w jakim z jednéj strony pierwotna ich treść się zmieniała, a z drugiéj wzrastały pojęcia i wymagania historyi. Wartości swéj pierwszéj nie odzyskają one już nigdy; a wartość drugą mogą jeszcze odzyskać, ale dopiéro natenczas, kiedy krytyka umiejętna i ścisła w téj massie najróżnorodniejszych rupieci ziarno wyróżni od plewy, a oczyszczoną treść sprawdzi na podstawach historycznych i naukowych. Ale dziś, kiedy się to jeszcze nie stało, kiedy rzeczy te, niepewnego pochodzenia pod każdym względem, nie zbadane, nie rozróżnione i nie objaśnione, przedstawiają nam tylko massę bezładną i chaotyczną, wartość ich, jako źródeł dziejowych, jest pod względem historyczno-ogólnym zupełnie żadną, a pod szczególnym niezmiernie wielką, ale zarazem niezmiernie względną. Historyk, stanowiący o losach narodu, śledzący przedwszystkiém bieg głównych zdarzeń i opowiadający tylko zdarzenia takie, których dowieść potrafi, nie może się opierać na dowodach takich, które same się chwieją i potrzebują podpory. Może on się niemi tylko objaśniać, ale i to tylko w niektórych względach, a i tam jeszcze ostrożnie. Jezeliby się zaś poważył na nich samych coś wybudować, czego i u nas już próbowano, fantastyczna to będzie budowa, może prawdopodobna lecz nie prawdziwa, powieść lecz nie historya: budowa pod względem prawdy dziejowéj, zawsze tak wątła i krucha, jak jéj pokrewne utwory, zbudowane na wywodach etymologicznych. Chcąc tę rzecz zresztą obrazowo przedstawić, można powiedzieć, że podania, legendy, klechdy, bajki i pieśni są w nauce historyi tém, czémby była woskowa świéca przy oglądaniu wnętrza gotyckiego tumu śród dnia białego. Do obejrzenie nawy głównéj i wielkich ołtarzy świéca nam nie jest przydatną, bo tam jest światło słoneczne, przy którém taki płomyczek mdły gaśnie. Ale w tym tumie rozległym są ołtarze poboczne, do których światło dzienne już nie dochodzi, są krużganki, wgłąb' zasunione posągi, są kruchty pochmurne, są podziemia i groby, a wszędzie wielorakie symbole, rzeźby, napisy; a tam świéca jarzęca jest bardzo pomocnym, często nawet jedy-

nym przeciw zupełnéj ciemności środkiem. Tak się ma w ogóle do historyi ta massa materyałów surowych, którą nazywamy literaturą kopalną.

Ale literatura ta, tak chaotyczna, niezrozumiana i zmienna w obec saméj historyi, w zupełnie inném przedstawia się świetle, jeżeli ją z innego punktu weźmiem na oko. Pomijam tutaj jéj wysokie znaczenie i nie przebrane bogactwo, z jakiém się ona roztacza w obec każdego rodzaju poezyi i sztuki; pomijam to, co z niéj wydobyć może intuicya i zmysł artystyczny, i pomijam wreszcie jéj rolę przeważną tam, dokąd nie sięga historya: ale nawet ten sam dziejopis, który śledzi tylko bieg głównych i zkądinąd wiadomych zdarzeń, jak tylko się zechce tym zdarzeniom z blizka i szczegółowo przypatrzyć, znajduje w niéj wiadomości wcale nieobojętne a z czasem nawet jedynie do rozwiązania téj lub owéj zagadki służyć mogące skazówki. Wszakże jeszcze daleko większe znaczenie mają te materyały dla badacza takiego, któremu chodzi o zrozumienie wewnętrznéj istoty narodu i wyśledzenie kolejnego rozwoju jego oświaty. Po wiadomościach tego rodzaju, rozsianych wprawdzie dość gęsto po kronikarzach, ale za zwyczaj zwięzłych i krotkich a często pomimowolnych, jest ta literatura podaniowa pod tym względem, źródłem bardzo obfitém. Jest ona bowiem jakby ruchomém zwierciadłem myśli, uczuć, pojęć i wyobraźni społeczeńskiego ducha: jest w swojéj całości zamąconą jeszcze na dzisiaj, ale w swych częściach, zwłaszcza dla zaostrzonego gdzieindziéj oka, staje się bardzo przejrzystą krynicą, odbijającą w sobie całe ówczesne sumienie narodu. Równie bogatym skarbem jest ta literatura dla tego, który szuka dziejowych podstaw dla swéj wyobraźni, chcącéj odtworzyć skład i naturę owczesnego społeczeństwa; a jak czasem żywo się tam maluje zmieniająca się dola i cała postać kobiety, wiadomo pewnie każdemu, kogo tylko przypadkiem zaleciały te dźwięki urocze, te głosy wymowne, to smętne jak podwoje grobowe, to krwawemi łzami płaczące, to znowu dziwnie swobodną przemawiające prostotą, jakiemi do nas się odzywają te podania i pieśni.

Jakoż w saméj istocie nieprzebrany to skarb jest do odtworzenia zamierzchłéj historyi kobiéty. Zapomniana prawie zupełnie przez kronikarzy, w jakiś odległy kącik zasunięta w statutach, zaniedbana nateraz przez dziejopisów, tu, w téj literaturze pełnéj poetycznego uroku, znalazła ona za to wcale przeważne miejsce dla siebie. Buja téż tutaj wdzięczna, urocza

i ciągle się zmieniająca jéj postać z całą swobodą dziecka, któremu pozwolono igrać z kwiatami w ogrodzie. Widzimy też ją tutaj, pomiędzy temi najpiękniejszemi wieńcami naszéj poezyi i pieśni, we wszystkich dobach jéj życia, we wszystkich kolejach jéj losu. Od niemowlęcia, kołysanego piosenką matki albo piastunki do snu w kolebce, czasem ukochanego daleko namiętniejszą miłością niż dzisiaj, a czasem zabijanego krwawym toporem przez pogańskiego ojca, aż do téj pochylonéj, bezzębnéj staruszki, która idąc przed Bolesławowskiemi hufcami, wróżyła im świetne zwycięztwa na Rusi,—całe jéj życie się tu przesuwa przed nami w malowanych obrazach. A jak te obrazy nieraz po mistrzowsku są malowane! Oczyma ciała widzimy ją wtedy, kiedy młodą dziewczyną chodzi w zamyśleniu po domowym ogródku, aby co najpiękniejszą wyszukać różę i oddać ją swemu ulubionemu; albo jak stoi nad brzegiem rzeki i puszcza lewandowy wieniec na wodę, a modli się z cicha do bogini Dziedzilii, aby jéj dobrą sprawiła wróżbę; albo kiedy ją zaślubioną już wedle obrzędu, z wieńcem barwinku, goździków i lilij na głowie, ze spuszczonemi ku ziemi oczyma, ze łzami w oczach, odprowadzają rodzice do domu jéj męża, a otaczający ją tłum weselników dzikiemi pląsy i pogańskiemi krzykami rozdziera drżące z obawy jéj serce. I czy ona tam w chacie mężowskiéj kilka żon innych zastanie, czy zajmie miejsce pierwsze czyli ostatnie; czy zamorduje się pracą bydlęcą, czy spokojnéj dożyje starości; czy w téj starości poprzestanie w pokorze na zatrudnieniach domowych, czy z rozpaczliwéj tęsknoty za lepszą dolą czarnoksięzkie z zaziemskim światem pozawiązuje stosunki: wszystko to nam te podania i piosnki wyśpiewają koleją, czasem odmalują widomie a często tak dotykalnie wyrzeźbią, że aniby w to potrafił mistrz najbieglejszy. Dziwnie plastyczne są wszystkie dawne podania i pieśni: najlichsza wyobraźnia wystarcza, aby obaczyć oczyma to, co się z nich wyczytuje. Z ogromną oszczędnością słów malują one nieraz kolosalne obrazy, zazwyczaj nawet z taką wyrazistością, jakiéj dziś bez wdania się w drobiazgowość niepodobna osięgnąć. Czasem jedna maleńka zwrotka jakiéj piosenki, jeden króciutki ustęp podania, rzeźbi nam cały obraz jak dłutem, opowiada jakieś wielkie zdarzenie, zawiera w sobie sens moralny, religijny albo społeczny, rzuca stanowcze światło na owoczesny stan wyobrażeń, a nadto wszystko jeszcze jest allegoryą, obejmującą w sobie jakąś prawdę czasową. Badać materyał, tak wielostronną mający wartość, i zbadać go do dna, jest wiel-

ką pracą: ale to właśnie stanowi tych materyałów główną zaletę a razem dowód, jak nieprzebrane w nich się znajdują bogactwa. Ponieważ zaś wszystkie nasze podania, legendy, klechdy, bajki i pieśni, niezmiernie skrzętnie się zajmują kobietą, czasem się jéj poświęcają wyłącznie, nieraz bardzo szczegółowo opowiadają jéj losy a często wnikają w najskrytsze tajniki jéj umysłu i serca; zatem literatura ta jest jedném z najobfitszych źródeł do wyświecenia jéj zmiennéj a nieznajoméj dotychczas postaci, właśnie z tych czasów, w których jeszcze się nią pióra takie, jak Rej, Kochanowski, Górnicki, nie zajmowały umyślnie. Nie przeczę temu, iż to, co o wartości téj literatury w obec prawdy dziejowéj powiedziałem powyżéj, musi i tutaj znaleźć swoje zastosowanie. Chcąc uczyć prawdy, nie można się opierać na źródłach takich niepewnych i niedowiedzionych. Ale wykazałem na swojém miejscu, że nie brak nam także źródeł poważnych i pewnych, przynoszących wiadomości dowodne, o dawnych losach kobiety; toż oparłszy się na takich podstawach, nie trudno sobie potworzyć kryterya, wedle którychby można osądzić, które ze znalezionych w literaturze téj wiadomości należy policzyć do utworów fantazyi a którémi z nich prawdę dziejową wzbogacić i poprzeć.

Jak tedy widzimy, materyałów do historyi kobiéty nawet z czasów najdawniejszych, o których tu przedewszystkiem jest mowa, wcale nam nie brakuje; chociaż dotychczas jeszcze przeciwne się utrzymuje mniemanie, a historyczne o niéj wspomnienia w pracach dzisiejszych poczynają się dopiéro od czasów Zygmuntowskich, wyjątkowym tylko sposobem od Jagiellońskich.

Zapewne, że napisanie historyi takiéj, zwłaszcza w ten sposób, ażeby praca ta odpowiedziała w zupełności wymaganiom dzisiejszéj nauki i sztuki, jest jeszcze nateraz prawie niepodobieństwem. Dziś, kiedy jeszcze z pewnością nie wiemy, jakie jest nasze pochodzenie pierwotne; kiedy nam jeszcze dokładnie i szczegółowo nie są znajome rzeczy tak ważne, jak np. wprowadzenie chrześciaństwa do Polski albo Bolesławowskie zdobycze; kiedy wśród skrzętnéj dziejowéj pracy żyjemy wciąż w niepewności, jaką prawdę nową nam dzień jutrzejszy odkryje albo starą zaprzeczy: dziś o utworze tego rodzaju, który zazwyczaj dopiéro wszelkich badań dziejowych skończonych bywa owocem, nie można nawet pomyśléć. Ale tak z dzisiejszego postępu nauki historyi w ogóle, jak z przejrzenia materyałów dzie-

jowych w szczególności, do tego przedmiotu się odnoszących, widzimy już dziś, iż praca ta będzie w przyszłości możebną.

Jakoż istotnie można to przepowiedzieć z pewnością, iż jak tylko nasze materyały historyczne zostaną za pomocą krytyki choć do takiego doprowadzone porządku, ażeby się w nich można znaleźć z łatwością, i jak tylko z postępem oświaty upowszechni się u nas odpowiednie prawdzie wyobrażenie, jak wiele ważną podstawą dla moralnego postępu społeczeństwa być może i powinna kobiéta: natenczas pewnie znajdzie się ktoś między nami, który historyą kobiety napisze i wystawi w niéj pomnik wspaniały téj prawdzie, któréj wypowiedzenie i rozwinięcie, acz zaniedbane dotychczas, z każdym dniem więcéj się okazuje niezbędném.

Jakkolwiek jestem daleki od rozumienia, iżbym téj potrzebie choć w małéj części mógł zadość uczynić, sądzę przecież, iż tém nie zgrzeszę, jeżeli w téj pracy zamieszczę przynajmniéj niektóre o kobiécie *wieści historyczne*.

UKŁADY ZAPOLSKIE

1582 r.

Hejdenstejn, Possewin, a za niemi Albertrandi, podali nam dokładną wiadomość o wojnie Stefana Batorego z Iwanem Wasilewiczem, któréj owocem było ustąpienie Inflant. Układy w tym przedmiocie prowadzone w Zapolu, znane są z rezultatu, jaki przyniosły: Inflanty dostały się Polsce. Szczegółowy dyaryusz tych układów, spisany, jak się przekonywamy z osnowy jego, przez Haraburdę pisarza król., jednego z posłów polskich wyznaczonych do traktowania, znaleziony w Metryce litewskiéj, przepisanéj za Stanisława Augusta w księdze N. 215 f. 1527, podajemy tutaj jako dopełnienie szczegółów wiadomych dotąd z historyi: wyświeca on cały bieg układów i stanowisko posłów, jakie względem siebie zachowali. Akt ten spisany jest w staro ruskim języku. O tych układach pisał także Krzysztof Warszewicki, w mowie jego drukowanéj w Wilnie 1582 r. pod tytułem: *Cristophori Varsevicii ad Stephanum Regem Poloniae oratio qua cum Joanne Magno Moscorum Duce XV Januarii ad Zapolsciam confectam pacem gratulatur.*

Janusz książę Zbaraski, wojewoda bracławski, starosta krzemieniecki i piński, Olbrycht książę Radziwił, marszałek nadworny litewski i Michał Haraburda sekretarz, posłani zostali do Zapola, na zjazd z posłami W. księcia moskiewskiego; dokąd z jego strony przybyli książę Dymitr Piotrowicz Jelecki, Roman Wasilewicz Olfiryn, Mikołaj Bassorek i Zacharyasz Swiażew. Wszyscy posłowie zeszli się dnia 13 grudnia 1581 r. w mieszkaniu Antoniego Possewina, posła papiezkiego. Po oświadczeniu: iż przybywają zawrzéć pokój, przedewszystkiem zażądał Zbaraski piśmiennego pełnomocnictwa do zawarcia pokoju i upoważnienia do stanowczéj umowy we wszystkich

szczegółach, któreby się podczas układów wywiązały. Posłowie moskiewscy oświadczyli, że list zawierzytelniający ich jako posłów, daje tém samém pełnomocnictwo wszelakie, którego wszakże polscy posłowie w liście tym nie uznawali. List bowiem wyrażał, żeby uznawano ich za posłów, ale o pełnomocnictwie nic nie mówił, jak to przeciwnie wyraźnie określał list króla Stefana, który pokładał Zbaraski. Odpowiedzieli posłowie, że pan ich nie miał zwyczaju dawać listownie takich pełnomocnictw, jakich obecnie od nich żądano, bo zawsze poprzedni posłowie przybywali z podobnymi listami do królów polskich i na mocy ich zawierali pokój, bez żadnych kwestyj co do ich ważności.

Robiono następnie uwagi, czy posłowie moskiewscy mają być uznanymi, jako pełnomocni do zawarcia ostatecznych warunków pokoju. Polscy posłowie wnosili, że król pisząc do W. księcia żądał przysłania posłów z zupełną mocą traktowania i stanowczego zakończenia układów; przypominali, jak niedawno, kiedy państwa te zawierały układy o ziemie Inflanckie, posłowie moskiewscy musieli się byli starać o oddzielne pełnomocnictwo, bo listy, które mieli z sobą, tylko ich zawierzytelniały, z czego powstały następne zatargi, gdyż W. książę nie chciał potwierdzić umowy co do ustąpienia części Inflant. Odpowiedzieli, że mają ustne pełnomocnictwo i instrukcye, oraz moc stwierdzenia przysięgą ostatecznéj umowy, którą zaręczali, że pan ich również zatwierdzi i zaprzysięże.

Jakkolwiek Zbaraski miał zastrzeżone w instrukcyach sprawdzenie pełnomocnictw posłów, przekonawszy się jednak, że posłowie moskiewscy i dawniéj mieli zwykle dawane tylko listy uwierzytelniające, nie zaś listowne nieograniczone pełnomocnictwo, a nadto zapewnieni i przez Possewina, że W. książę potwierdzi traktat, zgodzili się na prowadzenie układów, które rozpoczęto dnia następnego.

Jakoż, 14-go grudnia, zjechały się strony w mieszkaniu posła papiezkiego. Zbaraski przed przystąpieniem do układów, przypomniał im wczorajszą obietnicę, co do zatwierdzenia punktów mających się ułożyć i zapytał: ja-

kie W. książę dał obiaśnienia posłom, i jakie podał im środki do ukończenia wojny, gdyż z listów poprzednich króla, wiedzą dokładnie, jakie były powody rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Jelecki, zamiast odpowiedzi, zażądał wprzód od niego objaśnienia: czego żąda król, żeby mógł stanąć pokój? Wówczas Zbaraski, stosownie do instrukcyi, odpowiedział: że król Stefan na wyraźne żądanie papieża, przysłane przez Possewina, zgodził się na zjazd obecny, i jak wprzód oświadczył posłom W. księcia przysyłanym do Wilna, tak i teraz żąda ustąpienia całych Inflant, a nie kilku zamków, które mu oddawano. Mówił: że W. książę w skutek danego wówczas oświadczenia, na które zgodził się poseł papiezki, obiecał wyprawić, jakoż i przysłał posłów; widoczną więc jest rzeczą, że się tém samém zgadza na zasady, na jakich ma być ułożony pokój. I teraz zatém oświadczają posłowie polscy, że po przyrzeczeniu wypełnienia dwóch warunków:

1. ustąpienia całych Inflant królowi Stefanowi,

2. wyprowadzenia z nich wojska—dopiéro nastąpi zgoda względem innych punktów traktatu, do którego ma należéć i król szwedzki.

Wówczas odpowiedzieli posłowie, że nie mają mocy ustępować całéj ziemi inflanckiéj, ale tylko niektóre zamki, w miarę tego, jak im powrócone będą Wielkie-Łuki, Zawołocie, Newel i inne miasta pskowskie. Co zaś się tyczy króla szwedzkiego, oświadczyli, że król Stefan nic nie wspominał o tém, żeby miał należéć do układów, i że zezwalać na to nie mają mocy; jeżeli zaś potrzebne są układy z Szwecyą, to niechby z jéj królem oddzielnie traktował W. książe.

A Zbaraski na to: „póki całe Inflanty nie będą odstąpione, dopóty nie będzie mowy o pokoju. Król szwedzki zabrał W. księciu niektóre zamki, a nasz król odebrał ich więcéj jak cztery, które dajecie; nie domagajcie się więc tego co utracone na wojnie. Z posłami W. księcia mówiono o tém w Wilnie; wspomniano tam i o królu szwedzkim, żeby i znim do pewnego czasu utrzymany był pokój, bo to obchodzi zarówno i rzeczpospolitą; dla

tego król Stefan zawczasu kładzie ten warunek, żeby późniéj nie naruszyła się przyjaźń."

Jednak Jelecki, tak, jak i poprzednio odpowiedział: że nie może zgodzić się na odstąpienie całych Inflant, i zaprotestowawszy co do króla szwedzkiego, z powodu późnéj pory odjechał.

D. 15 grudnia ten sam przedmiot stanowił treść długich rozpraw i dowodzeń. Zbaraski ze swemi żądał całych Inflant dla króla, Jelecki znów ustąpiwszy kilka zamków, chciał je zyskać dla W. księcia. Po długich nadaremnych przemowach, Zbaraski pokazał list W. księcia pisany do króla, w którym wyraźnie mówił, w jakim celu posyłał na ten zjazd posłów, którzy tymczasem, jak sami przekonywają, nie mając potemu mocy, o żadnych ustąpieniach stanowić nie mogli. Przedstawiwszy w ten sposób cały stan rzeczy posłowi papiezkiemu, pożegnał tak jego, jak i posłów moskiewskich i zaraz z orszakiem swym odjechał z Zapola.

Na pierwszym zaraz noclegu dogonił go posłaniec Possewina, który przysyłał Zbaraskiemu wiadomość, że po jego odjeździe miał rozmowę z Jeleckim i innemi posłami i przekonał się, że posłom polskim raz jeszcze potrzeba się z niemi zjechać. Nazajutrz więc, d. 16 grudnia stanęli z powrotem Polacy i udali się do Possewina, który zaraz wezwał Jeleckiego. Po jego przybyciu czas jakiś trwało milczenie; wreszcie Zbaraski pokazując pismo posła papiezkiego, rzekł do niego: „pożegnaliśmy się wszyscy, widząc, że panowie posłowie nie zgadzają się na warunki konieczne do dobrego zakończenia sprawy i nie mieliśmy się wracać, gdyby nie to pismo Waszéj Miłości, panie pośle, o znaczeniu którego chcielibyśmy się dowiedzieć?".

Possewin odpowiedział, że z polecenia Ojca świętego stara się o pokój między rzecząpospolitą a W. księciem; chcąc zaś, żeby zjazd ten uwieńczył dobry skutek, rozmawiał się raz jeszcze z posłami i nakłaniał ich, aby byli skłonniejsi do pokoju i dlatego wezwał posłów polskich z drogi. Zbaraski odpowiedział, że król polski gotów jest zawrzeć pokój i dlatego chętnie na zjazd

ten przyzwolił, że i on (poseł) z towarzyszami pragnie tegoż samego; wszakże nie jego wina, że się układy przerwać muszą.

Jelecki i drudzy posłowie tłumaczyli również W. księcia i siebie. Possewiniusz jął wtedy przekładać obu stronom, jako nie należy zwlekać dobrego dzieła, gdzie każde opóźnienie znaczy toż samo co rozlew krwi, lub nowe wielkie szkody sprowadzać. Zbaraski przerywając, rzekł: że co przed odjazdem mówił, to i teraz powtarza, że posłowie mogli go już wyrozumieć i raz jeszcze oświadcza, iż nie chce słyszéć o żadnych układach jeśli wprzód przyznaném nie będzie ustąpienie Inflant. Jelecki na to powiedział, że kiedy król ze swéj strony da początek do zgody, to i oni zrobią, co uznają za słuszne. Zbaraski odrzekł mu, że król Stefan już dał początek, bo wojnę wstrzymał, nie korzystając z powodzenia oręża; a zresztą chce ostatecznie wiedzieć, czy Inflanty będą odstąpione, czy nie? Wówczas odbył Jelecki na miejscu krótką pocichu naradę z swemi towarzyszami, do któréj zawezwał na końcu Possewina i porozumiawszy się z nim, odpowiedział, że dla chrześciańskiego pokoju ustępuje jeszcze prócz czterech poprzednio oddawanych zamków i miasto Hassel; większe zaś ustępstwo wtedyby tylko mógł uczynić, gdyby mu wrócono Wielkie-Łuki, Hełm, Zawołocie, Newel, Wieliż, oraz Ostrów, Kraśne, Woroniec i Wielią i wszystko, co było zajęte.

Zbaraski nie chciał na to przystać, i kładł warunek, że wtedy dopiéro będzie mógł zrobić niejakie układy względem żądań posłów, kiedy wprzód W. książe ustąpi królowi Inflanty, oraz zamki zajęte przez Szwecyą. Wnoszono znów żądania różnych wzajemnych ustępstw i nowe projekta. Zbaraski nie chcąc napróżno tracić czasu, w myśl pewnych instrukcyj królewskich i przedstawień Possewina, zgodził się wreszcie ustąpić Hełm za bezwzględne ustąpienie Inflant. Jelecki domagał się więcéj, popierał go legat, tak, że Zbaraski pragnąc jedynie pokoju, zgodził się oddać jeszcze Krasnohorodek i Woroniec. Poseł odrzekł wtedy, że to są za małe ustępstwa ze strony rzeczypospolitéj i że ani można myśléć o dobrym końcu sprawy, póki nie odzyska Wielkich-Łuk,

Zawołocia, Wieliża i Newla; dodał, że posłowie umawiający się poprzednio z królem w Wilnie, mieli obiecywane Łuki, Hełm i Zawołocie. Zbaraski odparł, że co wtedy mówiono w Wilnie, dziś nie można brać za zasadę układów, gdyż już potém W. książę nie jedno utracił, a nie małą część zamków w Inflantach zabrał król szwedzki. Późno w noc toczyły się układy.

Następną naradę odbyto d. 20 grudnia. Zbaraski do poprzednich ustępstw dodał jeszcze Ostrów i Wielią, za co wzajem chciał stanowczych ustąpień Inflant i Siebieża. Jednocześnie posłowie polscy donieśli kanclerzowi Zamojskiemu, że posłowie moskiewscy bez ustąpienia Wielkich-Łuk, Zawołocia, Wieliża i Newla nie chcą przystąpić do układów. Kanclerz odpisał zaraz w ten sposób, żeby odstąpiono Nowogródek, Sesswegę i Nowe Kościany w Inflantach, a zatrzymano dla króla Wielkie-Łuki i Siebież; gdyby zaś to się stać nie mogło, wówczas zalecał odstąpić też Wielkie-Łuki, Wieliż i Newel, a natomiast odzyskać całe Inflanty.

Zbaraski jednak przez odstąpienie kilku zamków nie chciał poddawać w wątpliwość i zachwiać siłę pierwotnego oświadczenia co do całéj ziemi inflanckiéj, a prócz tego narażać się na zwłokę czasu, jakąby spowodowały nowe układy, gdyby Jelecki zażądał więcéj zamków; nie wystąpił więc wcale z tym projektem. Possewin zgadzał się na tę uwagę i nie radził wspominać o tém, co napisał kanclerz. Prowadzono więc dawniejsze układy, a posłowie ustępowali królowi jeszcze zamek Laiszę, z warunkiem, żeby Wielkie-Łuki, Zawołocie, Wieliż i Newel odstąpiono im, oświadczając, że już nic więcéj uczynić, ani ustąpić nie są w możności.

Zbaraski zgadzał się na ustąpienie Newla, ale Possewin zarzucał mu, że postępuje nie szczerze, bo wié dobrze, iż może oddać Wielkie-Łuki. Na tém skończono całodzienne układy.

We czwartek, d. 21 grudnia powtórzono poprzednie umowy. Jelecki za Wielkie-Łuki oddawał sześć zamków inflanckich: Parnawę, Weissenstein, Kiriempe, Kokenhauz, Pirchel; dodał wszakże, że całą ziemię inflancką może ustąpić tylko za zwrotem wszystkich miast i zam-

ków pskowskich. Zbaraski nic nad to, co dnia poprzedniego, nie postępował i stanowczo żądał Inflant i Siebieża.

Począwszy od 21 do 30 grudnia codziennie zjeżdżali się posłowie; Zbaraski trzymał się ciągle drugiego projektu kanclerza, o którym mówiliśmy poprzednio. Tymczasem z Moskwy przyszły nowe instrukcye, ażeby posłowie za powyżéj wymienione sześć zamków inflanckich żądali czterech (już im odstępowanych); żeby bez zwrotu miast i ziem pskowskich do niczego się zgoła nie zobowiązywali. Gdyby zaś posłowie polscy nie przystawali na to, zabronił kończyć układy i kazał bezzwłocznie odjeżdżać. Zbaraski dowiedziawszy się o tém i przestrzeżony od Possewina i posłów, żeby napróżno nie tracić czasu i nie wywiązywać trudności, poznał, że trzeba mu będzie ustąpić coś z miast i ziem pskowskich. Tego dnia długo w noc przeciągnęły się narady.

W Nowy Rok 1582, zaraz po przyjeździe odezwał się Jelecki, że, aby przyjść do stanowczych z jego strony oświadczeń, trzeba wprzód ustąpić Zawołocie, Newel i Wieliż. Zbaraski przekonywał się, że poseł podaje mu ostateczne warunki, zgodził się na ustąpienie Newla, żądając ze swéj strony, żeby spalono Siebież; na co gdy nie przystawano, dodał, że król Stefan każe od siebie zburzyć stojący naprzeciw niego zamek Drysę. Jelecki odparł, że w instrukcyi jego nie ma żadnéj wzmianki ani mocy do układania się o Siebież, tém więcéj zatém nie może stanowić o burzeniu.

Zbaraski mówił daléj, że prócz Zawołocia i Newla jeszcze jeden zamek ustąpiony będzie W. księciu za Inflanty, a to podług wyboru posła papiezkiego. Któryś z posłów wymienił Wieliż, na co Zbaraski odpowiedział: że posłowie będąc w Wilnie, nic o nim nie mówili i on téż nie chce o nim mówić, bo również i w jego instrukcyach nie ma wzmianki o tym zamku. A gdy się usilnie domagano Wieliża, Zbaraski pożegnał posłów i wrócił do swéj gospody.

Nazajutrz nie widzieli się posłowie. Dnia 3-go stycznia przybył Zbaraski z towarzyszami do Possewina jakoby z pożegnaniem. Poseł papieski przekładał, że nie

godzi się rozjeżdżać teraz, kiedy już do pewnego stopnia posunięto układy, ale raczéj należałoby poszukać drogi, która doprowadzić może do zgody. Projektował nawet, żeby odstąpić W. księciu Wieliż, a na siebie brał za to obowiązek, wyjednać u papieża, aby corocznie płacono z Rzymu do skarbu królewskiego taką summę, jaką czyniły dochody tego miasta (1). Zbaraski pod żadnym względem nie chciał przystać na taki warunek i postanowił bezzwłocznie wyjechać. Possewin udał się zaraz na naradę do posłów moskiewskich; zkąd niezadługo wróciwszy mówił, że chcą się widzieć z posłami królewskiemi: wkrótce sami przybyli.

Po długich naradach przystał wreszcie Jelecki na ustąpienie królowi Wieliża, z tym warunkiem, żeby W. księciu oddany został Newel, Zawołocie i Siebież, względem którego nie miał żadnéj instrukcyi. Przyczém Possewin, jak wprzód listownie, tak teraz ustnie w długiéj przemowie upominał i wystawiał, że nie można odjeżdżać nie zawarłszy traktatu pokoju, i litował się nad rozlewem krwi chrześciańskiéj.

Skończywszy rzecz co do powyższych zamków, zapytał Zbaraski posłów, czy wszystkie zamki inflanckie, które książę ich trzyma, jak i te, które mu zajął król szwedzki, ustąpione będą królowi polskiemu?

Posłowie odbyli znów między sobą dość długą, cichą naradę, do któréj kilkakrotnie wzywali Possewina; poczém odpowiedzieli, że już kilkakrotnie słyszeli to żądanie, ale nie mają mocy zadosyć mu we wszystkiem uczynić; że chcą pokoju na krótki czas, na dwa, albo na trzy lata, i żeby przy każdéj stronie pozostało to, co posiadała w chwili układów. Zbaraski nie zgadzał się na to; wtedy Jelecki mówił, że jeśli Zawołocie i Newel będą odstąpione, wtedy on zatrzymawszy dla W. księcia Nowogródek, Kiriempe i Juriew w Inflantach, resztę ich ustąpi królowi. Co się zaś tyczy zamków zajętych przez Szwecyą, oświadczył, że ponieważ pan jego nie ma ich obecnie w posiadaniu, tém samém nie może ich ustępować. Zbaraski w żaden sposób nie zgadzał się na ustąpienie ja-

(1) Metr. Lit. 915 f. 1549.

kiéjkolwiek najmniejszéj choćby części Inflant; a co do zamków zajmowanych przez Szwecyą, zastrzegł sobie zapisanie w akcie pokoju, że królowi Stefanowi, bez żadnéj ze strony W. księcia protestacyi, wolno je będzie odzyskać. Gdyby zaś miało przyjść do wojny między Moskwą a Szwecyą, wtedy car mógłby tylko walczyć o te zamki, które trzyma król szwedzki, nie zaczepiając Inflant pozostałych przy Polsce.

Żądanie to wywiązało nowe spory. Jelecki nie pozwalał umieszczać wniosku tego w akcie pokoju, utrzymując, że zamki, zajęte przez Szwedów, mają prawo zdobywać zarówno Moskwa jak Polska i że zaprzysiężony pokój względem zachowania przyjacielskich stosunków między obydwoma państwami, tém samém do nie zaczepienia Inflant polskich będzie zobowiązywał. Zbaraski złożył wtedy piśmienną protestacyę przeciw wnioskowi Jeleckiego, w któréj domagał się wyraźnego zastrzeżenia w akcie pokoju, że zamki trzymane przez Szwecyą, wyłącznie król Stefan ma prawo odebrać i przyłączyć do swego państwa. Gdyby zaś W. książe działając przeciwnie, zszedł się pod temiż zamkami z wojskami królewskiemi i stoczył z niemi bitwę, wówczas zajście to nie ma niweczyć obecnie zawartego pokoju, a wojna wszczęta wyłącznie o zamki, nie powinna naruszać spokojności W. księcia litewskiego i Inflant; co wzajemnie król ze swéj strony względem Moskwy przyrzeka.

W ciągu następnych kilku dni umawiano się o Inflanty. Posłowie polscy nie chcieli nic odstępować od poprzednio danych warunków, kiedy właśnie odebrali list od Zamojskiego, który pisał, że z powodu wielkiéj i ważnéj przyczyny, trzeba, żeby pokój jak najprędzéj stanął. Wzywali o toż samo jednocześnie wojewodowie i starostowie ukraińscy, donoszący, że załogi chciały opuszczać zamki na Ukrainie.

Zbaraski widział, że posłowie niewzruszenie stali przy swém ostatniém oświadczeniu: bacząc jednak na listy kanclerza, wojewodów i starostów, ustępował jeszcze Zawołocie za całe Inflanty; poczém dał im trzy dni do namysłu. Po upływie tego czasu, zjechawszy się na naradę, ustępował Jelecki zamek Kiriempe, zatrzymując

Nowogródek i Juriew oraz Zawołocie, którego bez oddania Inflant nie zrzekał się Zbaraski.

Kilka dni znowu ubiegło, a posłowie nie mogli się jeszcze zgodzić, kiedy przyszedł drugi list od kanclerza, żądającego jak najspieszniejszego pokoju, bo niepokojące wiadomości odbierał o Wołoszy, którą podejrzywał, że ma zamiar porozumieć się z Moskwą, coby sprowadziło nowe zamieszanie.

Wtedy Zbaraski ustępował już Zawołocie, a Jelecki oddawał całe Inflanty, zatrzymując tylko Juriew. A tak co chwila wywiązywały się nowe spory; i teraz, już po raz trzeci posłowie polscy nie mogąc przyjść do końca układów, chcieli odjechać. W nocy odebrali list od posła papiezkiego, który nie radził odjeżdżać, nie osiągnąwszy skutku. Zbaraski szczerze pragnął zgody, wszakże bez Juriewa nie mógł na nią przystawać. Zatrzymał się jednak, czekając na stanowczą odpowiedź, a tymczasem puszczono umyślną pogłoskę, jakoby wojsko i kozacy, byli już zawiadomieni, że nie zawarto pokoju, i że na nowo rozpoczną się zaraz działania wojenne.

Kiedy nazajutrz przybyli do Possewina posłowie moskiewscy, Zbaraski pokazał im list jego odebrany w nocy, mówiąc, że już chciał wracać do króla i tylko na prośbę posła papiezkiego zgodził się na dzisiejszy zjazd, dodając: że ostateczne stawia pytanie, czy odstępują od żądania Juriewa czy nie? Odpowiedział Jelecki, że według instrukcyi i mocy, nie może tego uczynić; wtedy Zbaraski zaczął sam przekładać, że dla jednego zamku nie należałoby niweczyć układów w tak ważnéj sprawie i znów sprowadzać miecz na swą ziemię, wywoływać nowy rozlew krwi, który nigdy nie przynosi korzyści. Przedstawiał, jak on, działając w imieniu króla Stefana, ustępował zajęte podczas téj wyprawy miasta i zamki jedynie dla ukończenia wojny i uniknienia nieodstępnych jéj nieszczęść; wreszcie zagroził, że w razie zerwania układów, król z nierównie większemi jak dotąd wystąpi siłami; poczém żegnał się i chciał odjeżdżać.

Jelecki rzekł wtedy: „widzimy, że jako zacny człowiek, mówicie prawdę; ale cóż mamy robić, kiedy pan nasz w żaden sposób nie kazał nam ustępować Juriewa."

Pokazał przytém instrukcyą na piśmie: zgadzała się z jego słowami.

Przypomniał Zbaraski i zapytał: czy mają upoważnienie stwierdzić na piśmie poczynione ustąpienia; odpowiedziano, że w odebranym obecnie liście poleca im W. książe to uczynić, jakoż pokazali list upoważniający ich do spisania w jego imieniu traktatu pokoju i opatrzenia go pieczęcią. Ale w tymże liście wyraźnie napisano, że W. książe potwierdzi wszystko, co postanowią posłowie; w myśl więc tych słów, Zbaraski na nowo domagał się Juriewa i wzajemnie pokazał swoje instrukcye, gdzie mu kazano zatrzymać Wielkie Łuki, Zawołocie, Newel, a jednak je ustępuje, na mocy podobnego, jak ich, upoważnienia. Wystawiał więc, że upór nie może w tym razie doprowadzić do pokoju, a odpowiedzialność za wojnę na nichby spadła. Jelecki zażądał czasu do namysłu, obiecując nazajutrz dać stanowczą odpowiedź.

Zbaraski przybywszy do posła papiezkiego na oznaczoną godzinę, nie zastał jeszcze posłów moskiewskich. Opowiedział mu Possewin, że w nocy był u niego Jelecki i mówił, iż jest przekonany, jako bez ustąpienia Juriewa posłowie królewscy nie przystąpią do pokoju. A choć miał zastrzeżoném nie ustępować tego zamku, to wszakże gdy i posłowie polscy, trzymając się nie tyle instrukcyi, ile zapewnienia królewskiego, że co postanowią będzie zatwierdzone, poczynili ustępstwa; zatém i oni oddają Juriew: prosili tylko posła papiezkiego, aby ich usprawiedliwił przed W. księciem, którego lękają się tém rozgniewać; co im zostało przyrzeczone.

Possewin uwiadomił zaraz posłów o przybyciu Zbaraskiego, którzy się bezzwłocznie stawili. Zbaraski zażądał zaraz od nich odpowiedzi na wczorajsze pytanie; wtedy Jelecki powtórzył toż samo co mówił poprzednio do Possewina. Zgodzono się nareszcie wówczas na ustąpienie całych Inflant i wszystkich zamków z taką bronią i amunicyą, jakie w nich każda ze stron zastała. Jelecki dopominał się, aby oddano z innego zamku broń w miejsce téj, która zgorzała w Wielkich-Łukach, ale Zbaraski nie chciał się na to zgodzić.

Rozpisano wnet listy, donoszące o warunkach pokoju, z wezwaniem, żeby do zamków obustronnie ustąpionych, powróciła ludność wraz z dobytkiem i aby zwieziono broń, jeśli jéj gdzie brakuje. Jednocześnie punktacyą umówionych warunków, podpisaną przez Haraburdę i jednego z posłów moskiewskich, posłano kanclerzowi. Spisano przytém oddzielny akt z opisem i wyszczególnieniem wszystkich zamków i miast, i wskazaniem granic ustąpionych posiadłości (1).

Skończywszy układy o ziemie, wspomniał Zbaraski posłom, aby ludność wracająca pod panowanie W. księcia nie była karaną za przysięgę złożoną królowi, który karać nie będzie tych, co przysięgali W. księciu: posłowie przyrzekli zadość uczynić temu żądaniu. Jelecki wniósł następnie rzecz o więźniach i jeńcach, i spytał posłów polskich, czy mają instrukcyą względem zakończenia téj kwestyi. Zbaraski za wykupienie ich położył summę 300,000 złotych i oddanie wszystkich jeńców polskich. Kiedy się to posłom wydało nietylko zbyt wielkiém ale i niepodobném do wykonania, Zbaraski podał drugi warunek, żeby zamiast pieniędzy oddano zamki Opaczno i Siebież i jak poprzednio jeńców polskich: odpowiedzieli posłowie, że instrukcya nie pozwala im kończyć przedmiotu tego w podobny sposób. Possewin zatrwożony, żeby się na tym punkcie nie zerwały układy, kilkakrotnie przemawiał do posłów polskich, żeby w tym przedmiocie lżéj i słuszniéj postępowali i skłonniejszemi się okazali do obustronnego uwolnienia jeńców. Jeleckiemu dziwném się bardzo wydało żądanie posłów i kilkakrotnie odwoływał się do Possewina, żeby wiedział, jak „chrześcianie szacują i sprzedają chrześcian". Zbaraski odpowiedział im, iż jemu uwaga podobna wydaje się tém dziwniejszą, bo żąda tylko tego, co pierwéj W. książe robił; więc żądanie, które oni chwalili i wykonywali, nie może mieć w sobie nic szczególnego. Przypomniał przytém, jak za Zygmunta Augusta po wzięciu Połocka żądano za jeńców

(1) Hejdenstein i Albertrandi wymienili już wszystkie ustąpione miejsca, które w tym akcie powtórzono. (*Przyp. aut.*)

polskich Uswiata i Ozeryszcza; a gdy się na to król nie zgodził, jak wtedy za wymienionych jeńców naznaczono jeszcze wielki okup, jak np. za Dowojnę, wojewodę połockiego wzięto 10,000 czerwonych złotych i jeszcze nie mało jeńców. Odpowiedział Jelecki, że to nie stosuje się do obecnéj sprawy: bo podówczas monarchowie byli w nieprzyjaźni, a teraz gdy między niemi stanął pokoj, w inny sposób rzecz tę załatwić należy. Ponieważ zaś posłowie nie mieli dostatecznéj instrukcyi, odłożono sprawę o jeńców do czasu, kiedy posłowie polscy wysłani zostaną do Moskwy.

Zbaraski wniósł następnie rzecz względem zatrzymanego gońca królewskiego Macieja Przeworskiego, wysłanego z Zawołocia do W. księcia, oraz zatrzymanych kupców i ich towarów, co także naruszało przymierze. Co do gońca, odrzekł Jelecki, to dotychczas musi już być wypuszczony; co się zaś tyczy kupców, przyrzekł odnieść się do W. księcia.

Rzucono potém pytanie, z czyjéj strony mają być naprzód wyprawieni posłowie. Jelecki mówił, że kiedy pan jego już ich kilkakrotnie wysyłał, należałoby teraz królowi wysłać pierwszemu, na co z początku nie przystał Zbaraski. Posłowie z płaczem przekładali jemu i Possewinowi, że już i tak w wielu rzeczach postąpili inaczéj, jak kazały dane im instrukcye: prosili więc o uwzględnienie, żeby im nie przyszło dać gardła, gdyby jeszcze i to miało rozgniewać monarchę ich o nieposłuszeństwo jego rozkazom. Prosili Possewina o wstawienie się do polskich posłów, aby przystali na to, iż pierwéj od króla przybędą posłowie; na co ci odpowiedzieli namawiającemu posłowi papiezkiemu, iż nie mogą w żaden sposób zgodzić się na podobne żądanie, które byłoby z ujmą zwycięzkiego króla. Posłowie tém silniéj ponowili prośby, a Possewin popierając ich, zaręczał, że król warunkiem tym nie obrazi się wcale, ani swym posłom za złe tego nie weźmie. Ustąpił w końcu Zbaraski i przyrzekł, że poseł królewski przybędzie do Moskwy na dzień ś. Trójcy, skoro mu na czas przysłany będzie list bezpieczeństwa; zastrzegł przytém, żeby po-

słowie moskiewscy przybyli na dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny tegoż roku.

Na pytanie następne Zbaraskiego, jak długo ma stać obecne przymierze, odpowiedzieli posłowie, że jest jeszcze jeden bardzo ważny warunek, bez spełnienia którego pokój stanąć nie może, tojest: żeby odtąd tytułowano W. księcia carem. Odrzekł Zbaraski, że dotychczas nie był używany ten tytuł, więc i on nie może dawać innego, jak tylko używanego poprzednio przez królów i posłów. Jelecki przeczył temu i odwoływał się do Harabardy, który odrzekł, że jako pisarz i sekretarz, nigdy w listach, ani za Zygmunta Augusta, ani za Henryka, nie pisał tego tytułu, chyba że go dawał jaki inny pisarz. Jelecki żądał dziesięciu dni czasu, na ściągnienie listu Zygmunta Augusta, który po wzięciu Kazania tytułował W. księcia carem kazańskim: czemu zaprzeczył Zbaraski, utrzymując, że Zygmunt August, uwiadomiony o tém zwycięztwie, posłał dworzanina swego Jerzego Tyszkiewicza z powinszowaniem szczęśliwego panowania. Po długich jeszcze rozprawach, kiedy Zbaraski ciągle się tłómaczył, że nie ma w tym przedmiocie żadnéj instrukcyi, i że o nim traktować nie może, przestał się i Jelecki domagać.

Zbaraski powtórnie zapytał, na jak długo pokój ma być zawarty? odpowiedziano, że na dwa lata. Poseł polski porozumiawszy się w przód z Possewinem, nie chciał go zawrzeć jak tylko na rok jeden. Possewin wdał się wtedy i przekładał, że pokój podpisany być powinien przynajmniéj na dziewięc lat, przeciw czemu żadna ze stron nie zaprotestowała. Kiedy późniéj czytano punktacyą, odezwał się Zbaraski, że nie przystoi w liście wielkich monarchów kłaść wyraz dziewięć; niech będzie pokój na lat ośm, siedm, pięć wreszcie, byle nie na dziewięć (1). Jelecki zaprojektował, żeby zapisano pokój na lat dziesięć, na co zgodzili się posłowie polscy; zapisano więc: że poczynając od upłynionych Swiętych Trzech Króli, na dziesięć lat zawartém zostaje przymierze.

Kiedy już po wygotowaniu traktatu, posłowie polscy przybyli go zaprzysięgać, podczas czytania traktatu

(1) Tamże f. 1569.

z drugiéj strony, usłyszeli zapisane wyrazy, których nie było w punktacyi, to jest: „że W. książę z ojczystéj swéj ziemi inflanckiéj ustępuje Jego Królewskiéj Mości te a te zamki.” Zbaraski, nie dając skończyć czytania, protestował przeciw wciśniętym bez jego przyzwolenia wyrazom i nie chciał wziąć takiego traktatu. Jelecki odpowiedział, że wyrazy te umieścił w skutek rozkazu, i że ich wykreślić nie może. Zbaraski po długiém przekonywaniu, nie mogąc go skłonić do wypuszczenia powyższego ustępu, odjechał, powiedziawszy, że bez uczynienia czego żąda już więcéj nie wróci. W nocy przybył do niego Possewin z Swijarowem podczaszym W. księcia, prosząc i przekładając, żeby wziął traktat, tak jak był napisany, bo wyrazy tam umieszczone w żaden sposób szkodzić nie mogą. Zbaraski pod żadnym pozorem nie chciał przystać na to żądanie.

Nazajutrz, tojest w poniedziałek, dnia 15 stycznia 1582 r. uwiadomił Jelecki, że wygotowano nowy traktat bez wyrazów kwestyonowanych. Zebrano się znów u Possewina. Po odczytaniu obu aktów, spisanych według układów powyżéj przytoczonych, zaprzysiężono go obustronnie. Jelecki przed przysięgą raz jeszcze obiecał, że W. książe potwierdzi wszystko i zastrzegł, aby zaraz po przysiędze od tego dnia, wojska królewskie ustąpiły z posiadłości oddanych; aby nic z nich nie zabrano i nie popalono domostw, wsi i cerkwi. Zbaraski przyrzekł to wszystko uczynić tak prędko, jak tylko wiadomość o zaprzysiężonym pokoju odbierze król i kanclerz; wszakże nie pierwéj, jak gdy wzajemnie zamki i ziemie inflanckie zwrócone zostaną w posiadanie królewskie. Poczém w nocy o godzinie 5-éj, naprzód moskiewscy, a następnie polscy posłowie wykonali przysięgę, po któréj wymieniono traktaty, wraz z regestrami uzbrojeń zamków (1). Natém zakończone zostały układy.

(1) **Regestr strzelby, z jaką zamki Inflanckie mają być zwrócone J. Król. Mci** (Metr. Lit. 215, f. 1609).

W Kokenkausie *dział* 10, *hakownic* 26; w Skrownem *dział* 5; w Czestwinie *dział* 8, *tiufiak* żelazny 1, trzy *soroki* niemieckie: w jednéj z nich 8 *piszczali*, w drugiéj 7, a w trzeciéj 3; w Borzunie *dział* 9; w Włodzimierzu *dział* 23, *hakownic* 28, *fołkonietów* 9; w Doszce *rusznic* 10, *tiufiak* drogowy 1, *fołkoniet* 1

W księdze, w której znaleźliśmy opis powyżéj podanych układów, znajdują się jeszcze następujące materyały, które dopełniają i rozświecają wszelkie szczegóły zawartego w 1582 roku pokoju:

1. List posłów moskiewskich, dotyczący postanowień pokoju w Zapolu umówionego (f. 1571).

2. List podobny od posłów polskich, dany posłom W. księcia (f. 1587).

Oba te akta, długie w swéj osnowie, dokładnie obejmują to wszystko, co podczas układów zostało umówio-

żelazny; w Rownem *dział* 4, *tiufiaków* 5, *hakownic* 14; w Trikacie *dział* 2, *fołkoniety* 3, *działo półkowe*, *hakownic* 16; w Reżycy *dział* 4, *hakownic* 16; w Lucenie *dział* 5, *fołkoniety* 2, *działo* 1 zepsute, 2 *tiufiaki* żelazne, *hakownic* 44; w Juriewie *dział* 72; w Elsenie *dział* 24, *hakownic* 15, *rusznic* 37; w Nowogrodku inflackim *dział* 4, *hakownic* 15; w Felinie *dział* 15, *hakownic* 28; w Lajsce *dział* 14, *tiufiaczek* 1, *hakownic* 27; w Połczewie *fołkonietów* 4, *hakownic* 17; w Parnawie *dział* 35, *hakownic* 47, *rusznic* 8; w Wejssenstejnie *dział* 35, *tiufiaków* żelaznych 8, *hakownic* 33.

Regestr strzelby, z którą zamki mają być zwrócone W. Księciu Moskiewskiemu, i téj, która z nich ma być wywieziona.

Strzelba w zamku Newel.

Dwa działa miedziane, półtora sążnia długie z herbem Zygmunta Augusta, przywiezione z Połocka; kula do nich wielkości gęsiego jaja. *Dwa działa*, przeszło sążeń długie, z Połocka przywiezione; kula do nich mniejsza od gęsiego jaja. *Cztery działa* W. Księcia Moskiewskiego, dwa po półtora sążnia długości, a dwa nieco krótsze; kula do nich większa od gęsiego jaja. *Cztery małe działka;* kula do nich wielkości kurzego jaja. Do dział *kule* w beczkach i w kupach ile zostało, są wszystkie. *Rusznic* sto dwie. Z tą wszystką strzelbą, z działami i rusznicami i kulami, ten zamek Newel ma być oddany dworzanom W. Księcia. W tymże zamku jest wiele kul Króla JMci; te wszystkie z zamku mają być zabrane i wywiezione.

Strzelba w zamku Zawołocie.

Działek małych *miedzianych* 10, *hakownic* 36. Kul ile zastano w zamku, tyle jest w całości. Z tą wszystką strzelbą, z działami, hakownicami, kulami, ten zamek Zawołocie ma być oddany dworzanom W. Księcia. A na obu tych zamkach, na Newlu i Zawołociach, jest strzelby Króla JMci hakownic 61, a rusznic 600 i nie mało innéj armaty wojennéj. Ta wszystka strzelba, hakownice, rusznice i wszystka inna armata Króla JMci wojenna, ma być z tych zamków wzięta i wyprowadzona.

A na Wielkich-Łukach i na Helmie Króla JMci dział 16; te działa z zamku tego mają być wzięte. A w Helmie są 2 działa W. Księcia, w W.-Łukach znalezione i do Helma przywiezione; oba te działa w Helmie mają być zostawione.

ném, a mianowicie wyszczególnienie wszelkich nomenklatur i granic ziem wzajemnie ustąpionych, podpisane przez posłów, stanowią właściwie traktat pokoju. Ciekawe te akta, spisane w języku staro-ruskim, dla zbytniéj obszerności winnyby znaleźć miejsce w jakim oddzielnym zbiorze.

3. Protestacya zaniesiona przed Possewina przez posłów polskich, pod d. 14 stycznia 1582 r., w przedmiocie ustąpienia zamków inflanckich, zajętych przez Szwecyą, o czém mówiliśmy poprzednio. Akt w języku łacińskim (fol. 1605).

4. List króla Stefana do W. księcia pod d. 17 marca 1582 r., posłany przez gońca Piotra Wiżgirda, względem wysłać się mających do Moskwy posłów, dla których król żąda glejtu, żeby na oznaczony w traktacie dzień stanąć mogli, oraz żeby wojsko jego pod żadnym względem do Inflant nie wkraczało.

5. List tegoż króla o wypuszczenie zatrzymanego dawniéj gońca Macieja Przeworskiego dworzanina król. — data jak wyżéj.

6. List od panów rad polskich i litewskich do bojar moskiewskich w przedmiocie potwierdzić się mającego pokoju, dat. 18 marca 1582 r.

7. Instrukcya dana posłom polskim: Januszowi Zbaraskiemu, wojewodzie bracławskiemu; Mikołajowi Talwoszowi, kasztelanowi żmudzkiemu i Michałowi Haraburdzie, w Rydze 28 marca 1582 r. Akt ten interesujący obejmuje nader szczegółowe nauki postępowania i wskazówki żądań względem miast inflanckich, zajętych przez Szwecyą, i tytułu inflanckiego użytego przez W. księcia; daléj, co do traktowania wspólnego z posłami szwedzkiemi, gdyby układy z niemi przyszły do skutku; co do tytułu carskiego, za którego przyznanie żądał król Smoleńska i ziemi siewierskiéj; co do więźni, za które żądano Zawołoci albo Newla i Siebierza; co do wiecznego pokoju, i t. p.

8. List króla zawierzytelniający posłów polskich, pisany do W. księcia 2 kwietnia 1582 r. (fol. 1636).

9. Pełnomocnictwo udzielone tymże posłom, pod tąż datą (f. 1636).

10. List W. księcia przywieziony do Rygi, gdzie bawił król, względem pokoju (f. 1638).

11. Drugi list od tegoż.

12. Przymierze między W. księciem, a królem Stefanem, przywiezione z Moskwy przez W. posłów. Jest to dziesięcioletni traktat obszerny, potwierdzony przez W. księcia (f. 1650).

13. Drugi takiż traktat ze strony króla polskiego.

Leopold Hubert.

LITERATURA FRANCUZKA.

LA LÉGENDE DES SIÈCLES

PAR

Victor Hugo,

Bruxelles. 1859. Dwa tomy.

II.

Zakończa ten cykl, dzień trzech Królów, okropny obraz domowych zapasów w Pireneach; poczém Hugo przechodzi do następnego, który nazwał cyklem *błędnych rycerzy*. Rozpoczyna go poeta odezwą do tych mężów poświęcenia, którzy w pomroku średniowiecznym jawią się jak przelotne błyskawice, na tle czarnéj nocy. Okuci w twarde pancerze, w spuszczonych przyłbicach, na rumakach okutych żelazem, z wierną szablicą przy boku, snują się wzdłuż i w poprzecz po Europie, zawadzają o Azyi i Afryki wybrzeża, a śmierć stąpa w ich ślady: bo owi rycerze, mieniący się narzędziami Opatrzności i wykonawcami sądów Bożych, tarczami swemi zasłaniają niewinnych od ucisku, i odpierają gwałty, ciążące twardem nad ludzkością brzemieniem.

Cykl ten składają dwa obszerne poematy: *Mały Król Galicyi i Ewiradnus*. Bohatérem piérwszego jest sławny Roland, par Francyi, synowiec Karola Wielkiego. Rzecz

dzieje się w Hiszpanii. Dziesięciu infantów asturyjskich, rodzonych braci, zmówiwszy się, porwało i uprowadziło z Kompostelli piętnastoletniego króla Nuno, sierotę po zmarłym bracie. Skrępowanego przytwierdzili do muła, lecz gdy młodzian skarżył się, że mu dolegają powrozy, rozwiązali go, ale baczném okiem ścigają nieszczęśliwą ofiarę.

Przebywszy wpław rzekę z orszakiem dworzan i żołnierzy, wjechali na górę zarosłą gęstym lasem, pozsiadali z koni i spoczęli nad strugą rozstawiwszy czaty w około. Sierota siedzi opodal i duma samotnie, stryjowie tymczasem radzą co uczynić z młodzianem: jeden chce go wtrącić do poblizkiego klasztoru, drugi pragnie go zaprzedać Jussufowi książęciu Saracenów, trzeci zamierza wrzucić go w głęboką studnią.

Żołnierze posnęli niebacznie na czatach, a rycerz na białym rumaku, cały okuty w zbroję, ze spuszczoną przyłbicą, wjeżdża od strony morza pomiędzy radzących.

— Czego żądasz rycerzu?— zapyta najstarszy z braci.

Rycerz obejrzał się w około: spostrzegł młodziana, siedzącego smutno na ziemi: zsiadł z konia i przystąpił śmiało do infantów.

— Kiedym niedawno przebywał góry Tunis— rzecze z powagą— po woni odrażającéj poznawałem legowiska drapieżnych lwów i panter: taż sama woń zalata mnie w téj chwili. Widząc was tylu razem w téj dzikiéj kniei, domyślam się zbrodniczych zamiarów. Co tu robicie? kto jest ten smutny młodzian.?

Śmiech szyderczy dziesięciu książąt był odpowiedzią na te słowa: śmiech tak głośny, że spłoszony sęp zerwał się nagle z gniazda.

Jeden z infantów powstał groźno i rzecze.

— Jakiém prawem śmiesz wchodzić w nasze sprawy? Zaczém jednak powiesimy cię na tym konarze dębu, gotowiśmy odpowiedzieć ci na pytanie; posłuchaj więc: jesteśmy bracia, infanty Asturyi, a ten młodzian to Nuno, syn zmarłego brata, który na łożu śmiertelném powierzył go naszéj opiece. Otóż my uprowadziliśmy małego króla z Kompostelli, i dziś jeszcze wtrącim go do klasztoru, albowiem kraj potrzebuje dzielnego ramienia, a słabe pacholę nie zdoła nim zawładnąć, ani obronić go od Maurów. Dziesięć

hrabstw składa puściznę sieroty, nas jest dziesięciu; słuszna więc, abyśmy rozdzielili ją między siebie. Wszak słońce nie przestanie świecić ziemi, a ziemia nie odmówi ludziom plonu, ztąd, że dziesięciu bitnych rycerzy rozdzieli się łupem, a potomek królewski zgnije w celi klasztornéj.

Na te słowa, obcy rycerz podniósł w górę blachę szyszaku, odkrył oblicze i zawołał piorunującym głosem:

— Imię moje Roland: jestem parem Francyi!

— Waleczny rycerzu—odrzecze starszy infant z uśmiechem— pozdrawiamy cię radzi. Nie skorzy jesteśmy do daremnych zapasów i nie chcemy korzystać z przewagi, jaką mamy nad tobą. Obejrzyj się bacznie: widzisz nas dziesięciu zbrojnych rycerzy, każdy znas ma przy boku również zbrojnego dworzanina, a oprócz tego, mamy liczną straż, gotową do walki na pierwsze hasło nasze. W tém dzikiém ustroniu, nie dopatrzysz ogniska, ani nawet śladu ludzkiéj stopy. Wokoło głębokie parowy, a huk potoków zgłuszyłby głos wołający o pomoc. Waleczny Rolandzie, sława imienia twego dobiegła uszu naszych; nie chcemy krwi twojéj, a więc ostrzegamy cię: ustąp!

— Gdybyście mnie skłonili— zawoła Roland— nie skłonicie konia mego, który wstecz się cofać nie umie.

Książęta radzili chwilę między sobą, poczém starszy wystąpił.

— Rolandzie— rzecze— w dowód naszéj cześci, dajemy ci w upominku dwa miasta, żądamy w zamian, abyś nam podał rękę i chciał być przyjacielem naszym.

— Co wam się śni— odrzecze Roland, i to mówiąc podaje pacholęciu wodze białego rumaka.

— Śmiało! królu — zawoła— daléj przez góry i wody: w mgnieniu oka staniesz w rodzinném mieście.

Pacholę skacze na koń, puszcza wodze: rumak pędzi jak strzała, przez góry, lasy i wody, prosto do Kompostelli.

A Roland zawołał grzmiącym głosem:

— Kto ruszy w pogoń, rozpłatam go na dwoje.

I szerokiemi ramiony, wsparł się o olbrzymi pień dębu, a dobywszy z pochwy przesławną szablicę Durandallę (1) wywijał nią w powietrzu.

(1) Tak się zwała głośna w legendach szpada Rolanda.

Rozpoczyna się bój zawzięty, istny bój Michała Archanioła, ze srogim piekieł potworem. Durandalla stępiła się i poszczerbiła, lecz nie omdlało dzielne rycerza ramię. Po jednemu położył trupem dziewięciu zdradzieckich infantów, ostatni z nich tylko umknął z pola. Wiatr umilkł zgłuszony szczękiem oręży. Trupy zasłały górę, strugi krwi rozbiegły się po dolinach, garstka niedobitków pierzchała w zarośla, a zwycięzki Roland pozostał sam jeden na górze: młodzian tymczasem popędził do rodzinnego miasta.

Nie spinany ostrogą, przez lasy i pole
Rumak niósł pędem strzały królewskie pachole
Wpław przez rzekę, a strome parowy i wzgórza
Na lotnych skrzydłach wiatru prześcigał jak burza.
Młodzian drży, lica jego cudnie zachwyt pali,
I zawraca wstecz głowę i patrzy, ażali
Z dzikiéj kniei nie bieży pogoń jego torem:
O nie! tylko oręże szczękają za borem.

Mrok zapadał pomału, na niebie bez chmury
Zrysowały się szare Kompostelli mury;
Głucho rumak Rolanda zatętnił kopyty
Po tym moście, którego granitowe płyty
Kładł niegdyś Jakób święty apostolską dłonią;
Szczyty wieżyc tumany mgły wieczornéj słonią
I sierota swój Eden wita łzawém okiem.

Przy moście na wzniesieniu wykuty wysokiem
Stoi krzyż, a pod krzyżem Marya Dziewica:
Pada światło gromnicy na boskie Jéj lica,
Tém jaśniéj, im mrok grubszy błękit nieba ściele.
Młodzian wstrzymuje konia, przystępuje śmiele,
Przyklęka, składa ręce, kłoni się w pokorze
I rzecze:

„Słodka Maryo! miłosierny Boże!
Jam był starty jak robak pod stopą przechodnia:
Wróg trzymał mnie w swéj mocy, lecz łaski pochodnia
Zaświeciła mi z góry: Wyście mi zesłali
Rycerza niezłomnego w pancerzu ze stali;
Wasze to miłosierdzie snać nademną zdarza,
Iż odróżnić zacnego zdołam od zbrodniarza;
Może zaród występku tkwił w méj duszy na dnie,
Możebym w nikczemności kiedyś zagrzązł snadnie;
Lecz Tyś, Panie, ocalił mą duszę i ciało,
I ujrzałem w tym mężu promienistym chwałą

Odblask oblicza Twego: cześć, wiarę i cnotę,
I Tyś przezeń, o Panie, nauczył sierotę,
Że przywilejem królów mądrze a łaskawie
Nieść pomoc uciśnionym, poskramiać bezprawie.
O Jezu! o Maryo! na klęczkach, ze drżeniem,
Pod krzyżem, zkąd spływała krew Twoja strumieniem,
Przysięgam, jako będę w pasmie mojéj drogi
Pobłażliwy dla dobrych, dla przestępców srogi,
Ku niewinnych obronie gotów do oręża,
Godny uczeń Rolanda, niezłomnéj czci męża:
Niech mi zaświadczą wasze święte aureole!"

Posłyszał biały rumak co rzekło pacholę,
„Dobrze królu!" zawoła potrząsając grzywą.

Wskoczył nań dzielny młodzian, a rumak co żywo
Pomknął, znać niecierpliwą radość pana dzieli:
A na wieżach brzmią wszystkie dzwony Kompostelli.

Drugi poemat tegoż cyklu: Ewiradnus, miałby dla nas Polaków tém więcéj jeszcze zajęcia, albowiem jednym z jego bohatérów jest nasz Władysław Jagiełło: cóż kiedy zupełny fałsz historyczny, odbiera w nim wszelkie złudzenie. Dziwna rzecz, czemu Viktor Hugo nie wprowadził tu zamiast dwóch znanych w świecie monarchów: Zygmunta cesarza niemieckiego i Władysława króla polskiego, jakich burgrafów niemieckich, i nie przeniósł sceny do któregobądź z nadreńskich zamków, gdzie tyle nadzwyczajnych i zbrodniczych przygód utonęło w mroku zapomnienia. Rzecz zyskałaby tym sposobem na prawdopodobieństwie i sile. Hugo przedstawia Zygmunta i Jagiełłę jako dwóch *czarnych sąsiadów, wciąż zajętych czarnemi sprawy*:

Deux noirs voisins, qui font une noire besogne
L' Empereur d' Allemagne et le roi de Pologne.

Obaj bez czci i wiary, trzymają z sobą ścisłe przymierze, albowiem łączy ich węzeł wspólnéj chciwości i równe rozpasanie w zbrodni. Historya tymczasem dostatecznie wyrzekła o łagodnym i bezinteresownym charakterze Jagiełły, który tak oględnie i pobożnie przystępował do walki z Krzyżakami, lubo tak srogie ponosił od nich krzywdy, a który po śmierci Jadwigi gotów był już oddać Polakom koronę, a powrócić w litewskie bory swoje. Wiadomo także, jakie stosunki panowały między królem polskim,

a niemieckim cesarzem przez cały ciąg ich długoletnich rządów. Chytry Zygmunt stawał zawsze w sprzeczności z królem polskim, czy to łącząc się z zakonem krzyżackim przeciw niemu, czy to podkopując władzę Jagiełły na Litwie przez tajemne zmowy z Witoldem i przyrzekanie mu litewskiéj korony. Podobało się też poecie przedstawić Jagiełłę młodzianem i trubadurem; gdy tymczasem król wstępując na tron polski, miał już około lat 40, a o poetycznych jego zdolnościach nie wspominają dzieje. Obaj monarchowie, według Wiktora Hugo, od północnego bieguna poza Alpy, olbrzymiemi szponami łupią nieszczęśliwe kraje: z tą różnicą, że Zygmunt pastwi się nad stałym lądem, Władysław zaś posiadając brzegi Bałtyku, opanował całe morze Celtyckie, i rozsyła *djabelskie* okręta po dalekich falach północnych, aż po wybrzeża Islandyi, a na grzbiecie Jutlandyi zuchwałą stawia stopę!! Kto choć cokolwiek zna dzieje, wie, ile w tém fałszu: bo wszakże marynarka polska nie zrodziła się jeszcze za Jagiełły, i zaledwie pod wnukiem jego okazała pierwsze ślady życia. Równym i to fałszem, że cesarz Zygmunt zawojował Wschodnie i Zachodnie Prusy, i że prowadził wojnę z zakonem Teutońskim, bo wszakże z tym ostatnim wierne chował przymierze, a Prusy ani na chwilę nie były nigdy łupem cesarzów niemieckich. Gwałtowny wreszcie skon obu monarchów w starym zamku łużyckim jest bajką poniżéj wszelkiéj krytyki, bo i któż nie wié, że król Władysław umarł w Krakowie, stuletnim prawie starcem, a w kilka lat dopiéro po nim (r. 1437) podążył do grobu równie zgrzybiały Zygmunt.

Podajemy tu w treści ten dziwny poemat, który lubo osnuty na zupełnie fałszywéj podstawie, zawiera wiele poetycznych ustępów, tak w obrazowaniu, jak w uwydatnieniu głównéj postaci poematu rycerza Ewiradnusa.

Ewiradnus, sławny rycerz rodem z Alzacyi, istny Samson chrześciański, przez ciąg długiego życia wsławił się w niezliczonych przygodach. Nie szczędząc ramienia w obronie uciśnionéj niewinności, toczył ustawiczne harce z burgrafami reńskiemi i równie drapieżnemi baronami z Wogezów. Oswabadzał miasta, wyzwalał całe ludy, a tak miłował sprawiedliwość, że gdy niegodnemu książęciu Lupusowi zbudowano pomnik w katedrze strasburskiéj, uniósł go

na barkach i zatopił w Renie, aby z posągiem zaginęła pamięć przestępcy. Oręż jego nie rdzewiał nigdy w pochwie; a lubo wiek ubielił włos rycerza, ramię jego nie osłabło bynajmniéj, i jak stary orzeł, nie rad spoczywał w gnieździe, lecz krążył bezustannie za zdobyczą.

Otóż dzielny Ewiradnus wysłuchał w ciemnym lesie tajemną zmowę cesarza Zygmunta z królem Jagiełłą, a skory do obrony słabych, bieży czémprędzéj do zamku łużyckiego, uprzedzić niegodny zamach.

Zamek Korbus, odwieczna siedziba książąt łużyckich, sięga najodleglejszéj starożytności. Mury jego opasane zwojami bluszczu i powoju, już poczynają rozsypywać się w gruzy. Oddawna nikt nie zamieszkuje tego zamku, a pastuszki omijają go nocą, bo krążące wieści o zaklętych rycerzach i duchach pokutujących, czynią go postrachem okolicy.

Bywają wszakże chwile, w których co lat kilkanaście ożywia się starożytne zamczysko, a w oknach jego płonie światło tajemnicze. Zwyczaj albowiem mieć chce, aby każdy nowy margraf łużycki, podejmując dziedziczne berło, po zeszłym poprzedniku, wieczerzał sam jeden w najwyższéj baszcie zamku Korbus, i przepędził w nim noc samotnie. Któryby z książąt zaniedbał tego zwyczaju, i nie pokrzepił piersi tchnieniem przeszłości, zaklętém czarodziejsko w témże miejscu, nie byłby godnym potomkiem mężnych swych protoplastów. U podnóża zamku, pomazaniec odbiera błogosławieństwo biskupa i przyjmuje z rąk jego kielich z winem, którego zakosztowawszy idzie na zamek, spożywa ucztę, a potém ulegając cudownemu działaniu wina, wpada w sen tajemniczy i widzi w nim duchy zmarłych poprzedników. Zwyczaj ten, nie ustaje nawet wrazie, kiedy berło przechodzi na księżniczkę w braku potomków męzkich.

W wieku XV, zaszedł właśnie ten wypadek. Piękna księżniczka Mahaud, bratanka ostatniego margrafa, podejmowała berło łużyckie. Dwudziestoletnia dziewica, równie piękna jak wesoła i niebaczna, odrzucała mnogi poczet książąt, ubiegających się o jéj rękę, pragnąc jak najdłużéj nacieszyć się swobodą; a potrzebném jéj było dzielne ramię do obrony, albowiem dwóch *czarnych sąsiadów* przy-

zwawszy w pomoc szatana, sprzysięgło się pospołu na jéj zgubę. Temi sąsiadami są: Zygmunt cesarz niemiecki, i król polski Jagiełło.

Młoda Mahaud trzyma już berło w białéj dłoni, oczekując ważnego dnia koronacyi: Łużycanie bowiem zwykli w czerwcu namaszczać władców swoich. Na dworze pięknéj księżniczki, czas upływa na pląsach i turniejach. Trubadurowie i lutniści garną się zewsząd; między innymi przybyli właśnie dwaj młodzieńcy: Joss i mały Zeno; pierwszy biegły lutnista, drugi zawołany trubadur: obaj młodzi, piękni i przebiegli, stają się duszą dworu.

Nadchodzi nakoniec owa noc czerwcowa, przeznaczona na tradycyjny obrząd. Dworzanie zastawiają wieczerzę w odwiecznéj sali zamku Korbus; na murach téj sali spłowiałe malowidła przedstawiają długie pasmo zapadłych w przeszłości dziejów, a po obu jéj stronach, stoją dwa szeregi zbrojnych rycerzy, okutych w żelazne zbroje, w hełmach z opuszczonemi na twarz przyłbicami. Są to właściwie olbrzymie a puste zbroje po rycerzach, ktorych prochy spoczywają w podziemiach zamkowych.

Wszystko przygotowano w sali. Na stole, za którym stoi tron osłoniony baldachimem, płonie siedmio-ramienny świecznik, wyrwany z otchłani piekielnéj przez Atyllę. Księżniczka ma przybyć niebawem. Zaskrzypły podwoje, lecz w miejsce pięknéj dziewicy, wchodzi mąż od stóp do głów uzbrojony: to stary Ewiradnus. Nie tracąc czasu, porywa z konia jednego z rycerzy, wlecze go w najciemniejszy zakąt, a ująwszy w silną prawicę jego tarczę i koncerz, siada na żelaznego rumaka i czuwa milczący a nieruchomy jak posąg.

Nagle, daje się słyszeć tentent koni, cicha pieśń brzmi niewyraźnie w oddaleniu. Odmykają się wreszcie podwoje, i wchodzi księżniczka Mahaud w złotolitéj szacie, a za nią dwaj młodzieńcy: jeden z gitarą zwieńczoną bluszczem, drugi smagły i drobny. Jestto Joss lutnista, i mały trubadur Zeno. Obaj towarzyszą potajemnie księżniczce, która nie ma odwagi, wieczerzać w zamku sama jedna.

— Na co ci księżno chować stare graty— rzecze żartobliwie Zeno, wskazując na szereg żelaznych rycerzy, a przystąpiwszy do jednego z nich daje mu lekkomyślnie policzek,

— Zostaw w pokoju moich naddziadów— zawoła piękna Mahaud— tyś za mały i za nikczemny, aby śmieć dotykać ich bezkarnie.

Zeno zbladł, i połknął zniewagę w milczeniu.

Tymczasem czarodziejskie wino poczęło działać: księżniczka czuje, że sen nieprzezwyciężony ogarnia ją po mału. Siada z towarzyszami do wieczerzy: lutnista i trubadur zaręczają słowem, jako przez całą noc czuwać będą wiernie przy boku pani. Nakoniec piękna Mahaud skłania głowę i z uśmiechem na ustach zasypia spokojna i niewinna.

— Ona śpi— rzecze Zeno— teraz ciągnijmy losy.

I obaj jak sępy zatapiają wzrok w przyszłą zdobyczy: każdemu bowiem przypadnie część łupu: jeden posiędzie margrabstwo, drugi młodą dziewicę.

Rozpoczyna się gra w kości. Lutnista wygrywa koronę.

— Co do mnie, wolę mój udział— rzecze trubadur.

— Cóż myślisz z nią uczynić?— zagadnie Joss ciekawie.

— Myślę ją zabić. Ona umrze, albowiem znieważyła mnie przed chwilą; a potém, wszak ją kochamy oba..... gdyby żyła, kto wie czy przyjaźń nasza nie poniosłaby szwanku. Zamordujmy ją natychmiast.

I dwaj zbrodniarze, zgodziwszy się na jedno, przemyślają, w jakiby sposób zgładzić młodą księżniczkę. Zeno świadomy od dawna kryjówek łużyckiego zamku, znajduje wnijście do podziemnych sklepień, porusza sprężynę, i czarna paszcza lochu otwiera się przed nimi.

— Tu piękna Mahaud zbudzi się porankiem — rzecze Zeno, wskazując ręką pieczarę— a my tylko z nocnemi puszczykami wiedzieć będziemy, co zamek ukrywa we wnętrzu swojém.

— A co powié dwór— zagadnie lutnista— ujrzawszy nas dwóch zamiast księżnéj?

— Padnie czołem, gdy się dowié kto jesteśmy.

I oba zbliżają się do śpiącéj, biorą ją pospołu na barki, i niosą wzdłuż przez salę. Nagle stają jakby skamieniali: bo oto jeden z rycerzy stojących szeregiem pod ścianą, powstaje, schodzi z żelaznego rumaka, i z podniesionym w górę mieczem zastępuje im drogę.

— Stój! Zygmuncie, stój! Władysławie— zawoła głosem grobowym.

Na ten okrzyk przerażeni spólnicy, wypuszczają z rąk ofiarę: Joss pobladł jak trup; Zeno drży jak maszt miotany wichrem podczas burzy.

— Kto jesteś? zkąd przychodzisz— pytają oba.— Jestżeś ty widmem z grobu?

— Jam sędzia— odrzecze rycerz— jam mściciel pogwałconego prawa; jam jest miecz sprawiedliwéj pomsty Bożéj. Już dla was wybiła straszna godzina kary: tu potwory odpokutujecie zbrodnią waszę;— to mówiąc, wskazał ręką uchylone wieko czarnych sklepień.

Zygmunt z Władysławem padają przed widmem na kolana i błagają o łaskę; ale rycerz stoi niewzruszony jak skała.

— Jam nie duch grobowy— odrzecze— ale człowiek ze krwią i ciałem: jam rycerz Ewiradnus.

To rzekłszy, podniósł przyłbicę, i długa, siwa broda spłynęła na pierś, okutą pancerzem stalowym.

Na ten widok odwaga wstąpiła w serca przeciwników.

— To starzec!— wyrzekli obaj pogardliwie.

Rycerz zmierzył ich dumnym wzrokiem.

— Starzec z mego czasu— odrzecze— stanie śmiało, za dwóch dzisiejszych młokosów.

To rzekłszy Ewiradnus, widząc że obaj bezbronni, począł rozbierać się także ze zbroi. Jagiełło tymczasem porywa ze stołu nóż i zachodząc nieznacznie, chce go utopić w boku rycerza; Ewiradnus widzi to, zwraca się nagle i ręką olbrzymią chwyta króla za gardło: Władysław z oczyma wyłupionemi upada na ziemię i kona. Cesarz występuje do boju i z bronią w ręku śmiało naciera na rycerza; bezbronny Ewiradnus porywa trupa za nogi, miota nim jak maczugą: Zygmunt ustępuje, a cofając się wpada do otwartego lochu. Rycerz rzuca nań trupa Jagiełły, zamyka wieko, podnosi z ziemi uśpioną księżniczkę i sadza ją na tronie. Wtém dzwony ozwały się w oddali, jutrzenka zabłysła, i lud z wieńcami w ręku przybywa tłumnie po księżnę. Piękna Mahaud budzi się ze snu i mniema, że moc czarodziejska zmieniła dwóch młodzianów w starego rycerza z siwą brodą.

Na tym poemacie kończy się cykl błędnych rycerzy, a rozpoczyna nowy p. t. *Trony Wschodu*. Dwa rapsody składające ten cykl: *Zim-Zimi* i *Murad* są stekiem najsroższych okrucieństw. Włosy powstają na opis tych czarnych zbrodni, nakreślonych z dosadnością i mocą, właściwą wielkiemu poecie. Dziwnie przeraża ten obraz sułtana Egiptu, potężnego a srogiego Zim-Zimi, który siedząc sam jeden przy stole, zastawionym w wymyślne przysmaki i drogocenne wina, nudzi się, albowiem przesycon już tém wszystkiém, co tylko ziemia dać może. Ciężką stopą depcze on po karkach ujarzmionych ludów, jakby wół po bałogu, a krzywym bułatem coraz szersze zakreśla granice olbrzymiemu państwu swemu. A jednak potężny Zim-Zimi nudzi się: daremnie przykłada do ust pełny puhar; drogie wino nie zdoła rozproszyć czarnych myśli, ciążących mu chmurą na czole.

Spoczywa on na tronie złotym, wspartym na barkach dziesięciu sfinksów; przygląda im się smutném okiem.

— O wy, — zawoła — którzy podpieracie podnóże tronu mego, wy tajemnicze sfinksy, otwórzcie milczące usta i przemówcie do mnie, skoro ludzie oniemieli przed obliczem mojém!

Sfinksy posłuszne woli padyszacha, przemawiają kolejno, a każdy z nich odsłania straszne tajniki grobu i objawia znikomość chwały ludzkiéj, przytaczając liczny poczet sławnych bohatérów, którzy niegdyś zdumiewali świat potęgą ramienia swego, a dziś stali się zgnilizną i prochem.

Zbladł sułtan, pogroził sfinksom pięścią i rzucił okiem na puhar pełen wina.

— Ty, wierny towarzyszu, — zawołał — który jeden umiesz koić dręczący mnie niepokój, odezwij się wesoło i rozpędź ciemne mgły z myśli mojéj.

I puhar przemówił, ale słowa jego brzmią żałobnie, równie jak słowa sfinksów. Sułtan rzucił go o ziemię i roztrącił na części.

Wówczas to zwracając się ku złotéj pochodni, któréj blask oświeca salę, Zim-Zimi wzywa ją, aby mu zaśpiewała Boską pieśń, jako córa światłości. I pochodnia przemawia na rozkaz pana, ale słowa jéj brzmią ponuro

o bratobójcy Ninusie, który zamurowany żywcem w ziemi, spotyka się oko w oko ze śmiercią.

Sułtan uniesiony gniewem, rzuca pochodnią na marmurowe płyty; światło zagasło: wówczas to przerażająca noc weszła w podwoje, ujęła za rękę sułtana i powiodła go w czarną krainę śmierci.

Drugi rapsod o Muradzie, synu Bajazata, równie prawie okropny. Sułtan rozpasany na wszelkie występki, popełniwszy tysiące zbrodni, zmazany krwią ojca i własnych synów, dobiega kresu dni swoich. Na krótko przed śmiercią przechodzi koło sklepu rzeźnika, a ujrzawszy skaleczonego wieprza, uniesiony chwilową litością, zgania roje much z jego rany. Téjże nocy zachorował Murad, a w kilka dni zakończył zbrodniczy żywot. Otóż gdy w obec sprawiedliwości najwyższéj ważono w niebie czyny jego, poratowany zwierz przechylił szalę najczarniejszych przestępstw. Legenda tegoż rodzaju, ale nierównie piękniejsza od podjętéj przez Wiktora Hugo krąży zarówno po nad Renem. Jeden z tamtejszych burgrafów, człowiek zły i okrutny, ale przywiązany mocno do młodéj i cnotliwéj małżonki, znając jéj wielką pobożność, rozkazał potrząsnąć garść słomy na posłanie dwom światobliwym pielgrzymom, którzy w ubogiéj stajence pod bokiem zamku znaleźli nocny przytułek. I otóż spełniwszy ten czyn miłosierdzia, najpierwszy w całém życiu, uczuł, jak łaska Boża rozświeciła mu tajnie serca: wyczytał w niém dawne zdrożności i rozpoczął ciężką pokutę, aż w końcu serdecznym żalem i świętemi czynami dokupił się zbawienia. A gdy umarł i aniołowie ważyli czyny jego w obec najwyższéj sprawiedliwości, anioł stróż przyniósł ową garstkę słomy, porzuconą niegdyś pielgrzymom i przechylił nią szalę. Śliczna ta legenda wyraża wielką prawdę, któréj nie dostrzegamy w podaniu o Muradzie: że jeśli drobny nawet uczynek miłosierny znajduje cenę przed Bogiem, to tylko wytrwanie w dobrém zdoła prawdziwie uświęcić i zbawić człowieka.

Okres siódmy obejmuje trzy ustępy z średniowiecznych dziejów Włoch, wszystkie trzy odnoszące się do jednego czasu. Krwawym ich bohatérem jest Radbert syn Rudolfa, król Arles, który się mieni cesarzem niemieckim.

Odziany w togę rzymską z włócznią ś. Maurycego w prawicy, zasiada Radbert w rynku miasta Ankony na tronie Henryka Ptasznika. Otacza majestat jego stu baronów, którzy jak muchy do miodu zbiegli się z okolicznych zamczysk. Stu murzynów półnagich i tyluż strażników w perskich zbrojach, stając w rogach ulic z halabardami, wzbraniają ludowi przystępu. Głuche milczenie zaległo Ankonę: domy i pałace pozamykane szczelnie, zegar na wieży ratuszowéj złowrogo wybija godziny: słońce tylko jasnym przyświeca promieniem, jakby urągało ludzkiéj zbrodni.

Siedzi Radbert na tronie; sejm ma się niebawem rozpocząć. Dwaj heroldowie głoszą, jako każdy z obecnych ma śmiało wypowiedzieć swoje zdanie. Ale u stóp Radberta leżą trzy topory: pierwszy przeznaczony na porąbanie wołu, który w téj chwili dopieka się nad ogniskiem; drugi na otworzenie ogromnéj kufy wina; trzeci na kark tego, kto się odważy podnieść głos, przeciwny woli królewskiéj.

Zebrani baronowie uchwalają jednomyślnie wojnę i na wyścigi sławią czyny Radberta, a szatan wyrzeźbiony na pysznym przedsionku katedry uśmiecha się szyderczo, słysząc słowa nikczemnych pochlebców.

Po odbytym sejmie Radbert puszcza się w drogę, otoczony licznym orszakiem: stawa u bram warownego miasta Carpi, dokąd nieufny podesta Onfroy wzbrania mu przystępu. Zawiedziony król obraca kroki w inną stronę.

W odwiecznym zamku Final, po nad brzegiem genueńskiéj zatoki, mieszka ośmdziesięcioletni baron Fabrycy z pięcioletnią wnuczką Izorą, jedyną dziedziczką wspaniałego grodu i zachowanych w nim skarbów. Sędziwy baron od lat wielu żyje zdala od świata, nie lęka się niczego, bo sumienie ma czyste, nie zbrudzone w ośmdziesięcioletniéj pielgrzymce, a sam nie pojmując zdrady nie przypuszcza jéj w drugich.

Jak kwiat pod cieniem dębu, tak pod opieką starca rośnie urocza Izora. Dziadek prowadzi codziennie dzieweczkę do zamkowéj kaplicy, gdzie aniołowie ulatują wieńcem w obłokach, a kamienni rycerze stojący, na płytach grobowych, strzegą od zniewagi własnych kości.

W zamku Final ukrywa się odwieczny skarbiec rodzinny, złożony z bajecznych bogactw w klejnotach i złocie:

sam tylko baron zna tę kryjówkę, a klucza od niéj nie powierza nikomu.

Dnia jednego zatrąbiono w róg, rozwarły się bramy zamku i wjechał w nie poseł z listem Radberta. Król oznajmia, jako pragnie odwiedzić małą krewnę Izorę, tymczasem zaś przysyła jéj w upominku wóz, pełen dziecinnych zabawek. Izora przyjęła dar, klaszcząc z radością w obie ręce. Poseł odjechał skłoniwszy się przed nią z poszanowaniem, jakby w dziecinie chciał uczcić przyszłą królową.

Błoga nadzieja rozpromieniła czoło starca; ale właśnie w chwili, gdy składał list, kruk wzleciał w górę z wieżycy zamkowéj i czarny cień, odbity od jego skrzydeł, przysłonił pismo królewskie.

Nie skończyło się na tej wróżbie. Tegoż wieczora kiedy stróż kościelny zstąpił do grobowych sklepień, w których spoczywali umarli baronowie, w chwili, gdy dolewał jak zwykle oliwy do kagańca zawieszonego przed grobem rodziców Izory, spostrzegł łzy błyszczące pod kamienną matki powieką, spostrzegł cień gniewu na marmurowém ojca czole.

Nazajutrz zamek zabrzmiał radośną wrzawą: długi szereg wozów, poprzedzających obóz królewski, ciągnął przy odgłosie trąb, włócznie połyskiwały od słońca, dzwony biły z wieży zamkowéj. Słudzy i dworzanie krzątali się żywo, rozwieszali drogie makaty, zdobili kwiatami podwórze.

W komnacie Izory nie mniejszy ruch panuje: niewiasty służebne stroją śliczną dzieweczkę a stary baron siedząc w szerokiém krześle, pogląda z miłością na modre jéj oczęta i złote włoski wijące się po nad bieluchném czołem, istnie jak u anioła.

Nadchodzi wieczór: słońce zapada, a chmary sępów, kruków i nocnych puhaczy zbierają się czarną gromadą i krącząc wzlatują po nad wieżycami Finalu, na których powiewa chorągiew Radberta.

Na zamkowym dziedzińcu przy zastawionych stołach odbywa się uczta godna Heliogabala. Król Radbert siedzi na tronie, otoczony zgrają popleczników i bezwstydnych niewiast. Śpiewacy bizantyjscy przy huku trąb i bębnów

śpiewają pieśni na cześć króla—wino płynie po ziemi; ale i czemuż tak krwawym płynie strumieniem? Co tak chciwie pożerają te psy zbiegające się tłumami? Czemu stado sępów i krogulców z iskrzącém okiem okrąża dziedziniec i krakaniem głuszy tę sprosną wrzawę? Patrzmy, oto błysły pochodnie, a przy bladém ich świetle widać stosy pomordowanych trupów. Ale krwawa rzeź nie przerywa biesiady: Radbert ucztuje, nie bacząc na jęki nieszczęśliwych ofiar, a woń świeżej krwi tonie w dymie buchających w górę kadzideł.

Nagle umilkła wrzawa: stary Fabrycy ukazuje się w progu. Służalcy prowadzą go okutego w łańcuchy przed tron króla Radberta: za nim postępuje kat z podniesionym w górę mieczem.

Fabrycy stanął u podnóża tronu, podniósł z powagą siwą głowę, ale stoi groźny i milczący, jakby posąg kamienny. Król pyta go o skarby, lecz starzec milczy; pogląda tylko na króla strasznym wzrokiem wyrzutu, aż Radbert spuścił oczy, nie mogąc znieść tego groźnego wejrzenia.

Wtém powstaje szmer w tłumie: zimny dreszcz przeniknął zgromadzonych. Niewolnicy wnoszą mary, pokryte czarnym całunem i stawiają je na boku: z pod całunu wyglądają drobne stopki dziecięcia. Fabrycy wstrząsł się jak dąb zdruzgotany gromem; Radbert daje znak, aby odkryto całun: spada zasłona i ukazuje się blady trup pięcioletniéj Izory, z powrozem okręconym w koło szyi.

Starzec wydziera się zrąk oprawców i upada na kolana przed zwłokami dziecięcia. Boleść wydziera okrzyk i przekleństwo ze zgrzybiałéj piersi Fabrycego i wyciska łzy z zagasłych jego oczów. Tymczasem dają znać królowi, że odkryto wnijście do sklepień, kędy zachowane są skarby.

Radbert spojrzał na pochyloną głowę starca, dał znak katowi: kat zrozumiał skinienie, podniósł miecz i siwa głowa dziadka stoczyła się na martwe ciało wnuczki.

I oto w téjże chwili stał się niepojęty cud: głowa Radberta spadła z łoskotem na bruk dziedzińca, kadłub tylko królewski siedział na tronie a krew tryskając w górę, spły-

wała z pluskiem na stół i na struchlałych biesiadników. I głowa królewska nieprzepartą pchana siłą zaryła się głęboko w ziemię; a z siwéj starca głowy, orle wyrosły skrzydła i uniosły ją w niebo.

Nikt z obecnych nie dostrzegł niewidzialnego miecza, który spadł na kark winowajcy; w krótce jednak rozbiegła się wieść, jako pobożny zakonnik z poblizkiego opactwa widział tegoż dnia archanioła, ocierającego miecz o chmury.

Nic okropniejszego nad ten obraz, który Hugo skreślił po mistrzowsku, z szczególném znać upodobaniem, gdyż krwawy ustęp o Radbercie przechodzi rozmiarem wszystkie inne.

Cykl ósmy poświęca poeta czasom *odrodzenia*, które nastąpiły po długich wiekach średnich. Nie wchodząc w to bynajmniéj, czyli Wiktor Hugo nie nazbyt wielką wagę nadaje owym czasom, w których rozumowanie zastąpiło gorącą wiarę średniowieczną, zdajemy tu poprostu sprawę z jego myśli. Uosabia on *odrodzenie ludzkości* w postaci satyra, błąkającego sie długo w ciemnym lesie u podnóża Olimpu. Bogowie zniecierpliwieni jego złośliwemi sprawkami, oskarżają go przed Jowiszem, na którego rozkaz Herkules przyprowadza winnego przed tron gromowładcy.

Jowisz gotów już zdruzgotać piorunem jego czoło, ale powstrzymuje go w gniewie śmiech wszystkich bożków i bogiń, na widok téj kulawéj, rogatéj i śmiesznéj postaci. Rozweselony Jowisz przebacza mu i rozkazuje pieśnią zabawić grono niebieskie.

Satyr bierze flet z rąk Merkurego, śpiewa smutno i tajemniczo, a niebo i ziemia, bogowie, ludzie, zwierzęta, a nawet dęby leśne przysłuchują się z zachwytem jego pieśni. Opiewa on ziemię i niezliczone cuda, zawarte w łonie przyrody; następnie opiewa człowieka pogrążonego własną winą w upadku i upośledzeniu: wylicza wszystkie klęski, ciążące nad ludzkiém plemieniem: wojnę, przemoc i ucisk, a nadto głód, mór i nędzę, wlekące się w ich ślady. Wszystko bowiem sprzysięga się na człowieka; sama przyroda wypowiada mu posłuszeństwo. Podniecany pieśnią własną, Satyr w coraz to większy wpada zapał: porzuca flet a po-

dejmuje lirę Apollina, i trącając w złote jéj struny opiewa odrodzenie przygnębionéj ludzkości. W miarę jak śpiewa, promienieje jego szpetne oblicze, a barki rozrastają się olbrzymio przed oczyma zdumionych bogów: czoło jego świeci wspaniałym blaskiem zorzy; włosy zmieniają się w stóletnie drzewa; z ramion spływają strumienie, jeziora i rzeki; rogi sterczą jak strome szczyty Atlasu i Kaukazu; członki pokrywają się kwiecistą zielenią łąk, pól i leśnych zarośli, wśród których ludzie zakładają osady a zwierzęta bezpieczne legowiska. Z ust jego skrzydlate wylatują orły, miryady gwiazd połyskują na szerokiéj jego piersi; lira pod dotknięciem jego palców olbrzymieje zarówno z nim, a uragany potrącając jéj struny, czarodziejskie wydobywają z niej brzmienia. Tak zolbrzymiony Satyr, czyli raczéj odrodzony duch ludzkości, wypowiada walkę Jowiszowi i gromom, i na zwaliskach obalonego porządku zakłada nowego bytu podwaliny.

Wspaniały to obraz, zaprawdę, i nie wchodząc w to, czyli droga postępu wskazana przez poetę, doprowadziłaby ludzkość do przeznaczonych jéj celów, uznać musimy, że Wiktor Hugo silnie i po mistrzowsku myśl swoję wypowiedział.

Następne cztery cykle: *Róża Infantki*, *Momotombo*, *Pieśń awanturników morskich i Wojska najemnicze*, krążą znów w dziedzinie historyi. Pierwszy z nich i ostatni zasługują szczególniéj na uwagę. W pierwszym poeta kreśli prześliczny obraz maleńkiéj infantki hiszpańskiéj Maryi, córki Filipa IIgo, jak stojąc nad wodą w eskuryalskim ogrodzie, pod cieniem brzóz i jodeł, trzyma w ręku pyszną różę stolistną i wdzięcznie uśmiecha się do niéj; ale mrok zapada, ptastwo tuli się do gniazd, promienie gasnącéj zorzy rumienią marmurowe lica posągów.

Podczas gdy dziecię bawi się z różą w ponurym pałacu królewskim, Filip podobniejszy do grobowego widma niżeli do żyjącéj istoty, przykłada blade czoło do okna, a w głębokiéj jego źrenicy widać tajemną trwogę. Filip drży, albowiem dręczące przeczucia zapowiadają mu klęskę niezwyciężonéj floty, którą wysłał był na Anglią. Jakoż przeczucia nie zawiodły: nagle burza zebrała się na niebie, wi-

cher zadął i rozwiał listki róży, z którą pieściła się mała infantka, a równie jak te listki po sadzawce, rozproszył na morzu liczne okręta Filipa, niwecząc zarazem dumne zamiary ojca i błogie marzenia dzieweczki.

Dziecię smutno ścigało okiem wodę, a stara dozorczyni rzekła ponurym głosem:

— Wszystko na ziemi w mocy jest królów, ale wiatr nie słucha ich woli.

Cykl p. n. *Wojska najemnicze* (les Mercenaires) wymierzony jest przeciwko Szwajcarom, którzy wywalczywszy sobie swobodę, zaprzedają się obcym i wytaczają krew w złéj sprawie. Poeta wziął za cel ostrych pocisków, pułk barona Madrucego, który w XVII wieku, służąc na żołdzie cesarza niemieckiego, walczył przeciwko Czechom, Węgrom i Włochom, upominającym się o swe prawa.

Dziwna rzecz, że Wiktor Hugo pominął zupełnie wiek XVIII, tak obfity w wielkie dziejowe wypadki, mianowicie też we Francyi; prosto z XVII wieku, poeta przechodzi do dzisiejszych czasów i trzynastemu cyklowi daje nazwisko: *Teraz* (*Maintenant*). Cykl ten zamyka w trzech ustępach. W pierwszym p. n. *Po bitwie*, wspomina przygodę własnego ojca. Podczas wojny hiszpańskiéj spostrzegł on na pobojowisku konającego gerylasa, który błagał o kroplę wody; rozkazuje więc napoić go natychmiast—a lubo Hiszpan wymierza zdradliwie broń przeciw niemu, on uchylając się przed strzałem, woła na sługę, aby mimo to napoił spragnionego.

W drugim ustępie tegoż cyklu p. n. *ropucha*, poeta uwydatnia myśl, że tylko biedny zdoła pojmować litość: wystawia on brzydką ropuchę, leżącą na drodze w kałuży; każdy kto przejdzie potrąca ją noga, dzieci nawet pastwią się nad biedném stworzeniem. Wreszcie nadchodzi wóz, ciągniony przez wychudłego i napół ślepego osła. Otóż ten biedny osioł, spostrzegłszy ropuchę, mimo batogów woźnicy, zwraca w bok, aby ocalić nieszczęśliwą. Widząc to swawolny chłopiec, wypuścił z dłoni kamień i w téj chwili posłyszał pod błękitném sklepieniem głos wołający nań: bądź dobry i miłosierny!

Ostatni ustęp p. n. *biedni ludzie*, wyrażający też samą myśl, ale w piękniejszy sposób, przytaczamy w całości.

BIEDNI LUDZIE.

I.

Noc. Chata snać uboga, lecz zamknięta wkoło,
Izdebka ocieniona, a jednak wesoło
Jakiś promyk tajemny wśród pomroku świeci:
Wkoło izby rybackie rozwieszone sieci,
A na półce dębowéj, szczelnie wbitéj w ścianę,
Rzędem misy i dzbanki błyszczą polewane.
Naprzeciw stoi łoże pod obrazem świętym,
A przy niém na tapczanie słomą potrząśniętym
Śpi dziateczek pięcioro: gniazdeczko to raczéj,
Które Bóg zlepił duszom do drogi tułaczéj.
Słaby płomień z ogniska rzuca blask na łoże,
Pod nim klęczy niewiasta modląc się w pokorze;
To matka: sama czuwa. A rykiem swych fali
Niebu, wichrom i skałom ocean się żali:
I noc głucho roznosi jęki po przestworzu.

II.

Mąż popłynął, on z młodu rybakiem na morzu;
Czy to zamieć, czy słota, po wszystkież to czasy
Z srogim wichrem i burzą stacza on zapasy:
Bo dziatwa łaknie chleba. O słońca zachodzie
Wypływa śmiały rybak po przybranéj wodzie,
Wiatr dmie w żagle i łódka pomyka jak strzała,
A żona sama w chacie z dziatkami została.
Ona przyrządza wędkę, łata sieci stare
I warzy na wieczerzę drobnych rybek parę;
A gdy dziatki posnęły, trwożliwa i blada
Z pokorą do modlitwy na kolana pada:
Bo on biédny pchnął łódkę w rozhukane wały,
Po omacku, w noc czarną i wskroś zziębły cały
W kłębach kipiącéj fali bacznie śledzi okiem,
Gdzie ma siatkę zapuścić, i w morzu szerokiem
Bada miejsca, zkąd połysk tajemniczo strzeli,
Gdy w mroku pomknie ryba o srebrzystéj skrzeli.
O! trudnoż ją dopatrzéć w oceanu toni,
Gdy tuman mgły grudniowéj w koło przestrzeń słoni:
Musi chwile przypływu obliczać koleją
I łódź wątłą kierować tam, gdzie prądy wieją.
A gdy spiętrzone fale chłoną wód głębiny,
Gdy z głuchym jękiem maszty pękają i liny,
On myśl swą ku Joannie zasyła tajemno
I Joanna go płacząc woła: i w noc ciemną
Krzyżują się ich myśli jak ptaszęta Boże.

III.

Ona rzewnie się modli oparta o łoże,
A szyderczy krzyk mewy przenika ją trwogą;
Drży na ryk oceanu i widma złowrogo
Snują się w błędnéj myśli, i widzi trwożliwa,
Jak wicher słabą łódkę żeglarza porywa.
A wtém zegar ponuro zadźwięczał na ścianie
I kroplę nową w czasów przetoczył otchłanie,
Kroplę, z jakich się sączą dni, pory i lata,
A z których uderzeniem wśród przestrzeni świata,
Duszom, stadom gołąbków lub groźnych jastrzębi,
Otwiera się kołyska lub grób w ziemi głębi.

Ona klęczy i duma nad dolą ubogą:
Dziatki zimą i latem chodzą bosą nogą,
Jadają chleb jęczmienny, bo nie ma pszenicy;
O Boże! wicher szumi niby miech w kuźnicy,
Skała jęczy jak twarde kowadło pod młotem,
Gwiazdy zgasły spłoszone czarnym chmur namiotem,
Jak w dymie gasną iskry wybiegłe z ogniska.
To chwila, w któréj północ śmiało okiem błyska,
Unosząc płochą młodzież w obłęd biesiadniczy;
To chwila, w któréj północ zbrodzień tajemniczy,
Kryjąc słotną zamiecią swe czoło zuchwałe,
Łódź biednego rybaka roztrąca o skałę;
O zgrozo! jęk człowieka głuszy wściekła burza:
On czuje jak łódź zwolna w głębią się zanurza
I w bezdennéj otchłani, w ciemności bez końca,
Widzi przystań w marzeniu i złoty blask słońca.
Te czarne myśli dręczą jéj umysł strwożony,
Drży i płacze....

IV.

O! biedneż wy rybaków żony!
Któraż z serdeczną w duszy boleścią nie powie:
Wszystko co kocham, ojciec, mąż, bracia, synowie,
W tym okropnym odmęcie, łódce się powierza:
Jednoż być łupem fali, albo łupem zwierza.
O! dość pomnieć, że woda igra z głowy temi,
Z głową starca i dziecka kędziory złotemi;
Że wicher wściekły w trąby gdy zahuczy nagle,
Roztacza ponad nimi z chmur utkane żagle;
Że może łódź ich wątła już w otchłań się chyli:
Bo któż zdoła odgadnąć co czynią w téj chwili?
Oh! żeby bezdennemu stawić czoło morzu,
Gdy drobna nawet gwiazda nie lśni na przestworzu.

Mają kruchą deszczułkę i skraj płótna mały,
I z tém się między groźne zapuszczają skały;
Fala rośnie i kipi, niewiasta z rozpaczą
Woła: „o! Ty ich ocal, niech próg swój zobaczą!"
I nie wié, myśl obłędną w którą zwrócić stronę,
Bo myśl jéj zawsze czarna, morze wciąż szalone.
Lecz Joanna biedniejsza, mąż sam jeden płynie
Sam pod tém chmurném niebem, w téj strasznéj godzinie:
Dziatki drobne, któż ojca od szwanku uchowa?
„Gdybyć urosły!" matko, odwołaj te słowa!
Później, gdy pójdą z ojcem, czując trwogi dreszcze,
Rzekniesz płacząc: „O! gdybyć małe były jeszcze!"

V.

Bierze płaszcz i latarkę: to właśnie godzina,
W któréj patrzy, czy morze opadać poczyna,
Czyli światło połyska na maszcie wysokiém.
Wyszła z chaty: w około, jak zasięgnąć okiem,
Noc czarna, słychać tylko głuchy łoskot fali;
Jeszcze blada jutrzenka nie świta w oddali —
Deszcz mży: smutnoż gdy rankiem niebo się rozpłacze,
Rzekłbyś, iż jako dziecię na dolę tułaczę
Dzień rodzący się zżyma i trwoży tajemno.
Idzie, pogląda w okna, ale w oknach ciemno.

Nagle, gdy po omacku szuka śladu drogi,
Mignął jéj przed oczyma niby cień złowrogi:
To napół rozwalona mchem przerosła chata:
Ni w niéj ognia, ni światła; wiatr drzwiami kołata
I wstrząsając krokwiami z strzechy nastroszonéj,
Czarne i zgniłe snopy rozrzuca na strony.

Tu Joanna jak wryta stanęła wśród drogi:
„Patrzcie, jam przepomniała o wdowie ubogiéj —
Rzecze — a mąż mi mówił, że sama i chora!
Muszę zajrzéć, czy lepiéj biedaczce od wczora!"

Puka we drzwi i słucha, nie widać nikogo,
Joanna drży jak listek wskroś przejęta trwogą:
„Ona chora! a dziatki kto karmi w téj dobie?
Prawda! ich tylko dwoje, ależ ojciec w grobie! —
Znów kołacze. — Hej, matko! — zawoła co siły,
Lecz chata głucho milczy. — O mój Boże miły!
Jakże ona śpi twardo, daremneż me słowa."
Wtém drzwi, jakby je litość przejęła chwilowa,
Same przed nią na oścież rozwarły się w cieniu,

VI.

Weszła i przy latarki gasnącym płomieniu,
W głąb ubogiéj izdebki spojrzała z obawą:
Deszcz pada jak przez sito przez strzechę dziurawą;
W głębi, na potrząśniętym barłogu na ziemi,
Leży na wznak niewiasta z nogami bosemi:
Oczy jéj mgłą zmroczone a postać straszliwa.
To trup, niedawno matka serdeczna i tkliwa,
Dziś blade widmo głodu w postaci niewieściéj,
Szczątek ludzki po długiéj walce i boleści;
A z pomiędzy barłogu ohydnie wystała
Ręka jéj sucha, zimna, zżółkła i skościała;
A z ust napół rozwartych przerażenie wiało:
Z nich dusza znać rzucając to śmiertelne ciało,
Wyrwała okrzyk śmierci zasłyszany w niebie.

Przy barłogu matczynym leżą koło siebie
Dwoje maleńkich dziatek w kołysce jedynéj,
Cudnież się uśmiechają te śpiące dzieciny!
Biedna matka śmiertelne czując dreszcze z trwogą
Otuliła dziateczki w swą odzież ubogą,
By na nie chłód grobowy nie powiał z jéj łona,
Aby im było ciepło, gdy skostnieje ona!

VII.

Jak one śpią w kołysce, choć ją wiatr tak chyli,
Ich oddech tak spokojny! zda się, że w téj chwili
Nic uśpionych sierotek z snu zbudzić nie zdoła,
Gdyby nawet zagrzmiała trąba archanioła.
O! bo wszakże niewinny sądu się nie trwoży.
A na zewnątrz w chmur kłębach toną brzaski zorzy:
Deszcz leje, istny potop, przez dachu szczelinę
Spada kropla po kropli na twarz matki sinę,
Jakby z oczu zagasłych zdrój łez tryskał nowy;
Fala huczy o skałę, jak dzwon pogrzebowy,
A trup słucha łoskotu z twarzą osłupiałą:
Bo gdy jasny duch ubiegł, wtedy martwe ciało
Zda się Stróża Anioła przyzywać z oddali,
I trup niby zdumiony milcząco się żali;
Nieme usta i zgasłe zapytują oczy:
Gdzie twoje ciepłe tchnienie? gdzie twój blask uroczy?
O żyj, kochaj, rwij kwiaty, młodości swobodna,
Pląsaj, żartuj, płoń sercem, spełniaj puhar do dna.
Jak strumienie w ponurym oceanie toną,
Tak wszystkiemu na ziemi jeden kres znaczono;

Matkom, którym uroczo brzmią dziateczek głosy,
Miłości, która duszę porywa w niebiosy,
Wdziękom w pełnym rozkwicie, pieśni w pełnéj sile,
Znaleźć cień i ochłodę w milczącéj mogile!

VIII.

Co tak długo Joanna bawiła u wdowy?
Cóż to niesie pod płaszczem dążąc w próg domowy?
Czemu tak pilnie bieży w ciemności głębokiéj
Z sercem mocno bijącém i drżącemi kroki?
Czemu błotnistą ścieszką w cwał pędząc w omroczu,
Nie śmie zwrócić za siebie bojaźliwych oczu?
Cóżto wbiegłszy do chaty, zdyszana, wpół żywa
Składa cicho na łoże i w pościel ukrywa?

IX.

Ledwie do dom wróciła, błysnął świt poranny;
Siadła drżąca przy łóżku: na licu Joanny
Odbija groźny wyrzut— twarz jéj dziwnie blada,
Czoło jéj ciężkie troską na wezgłowie spada—
Jakieś słowa bezładne z ust rwą się chwilowo,
A morze groźnym rykiem huczy jéj nad głową.

— Biedny mąż! co on powie? O Boże czyż mało
Ma trudów! mnież przyczyniać jeszcze ich przystało?
Pięcioro dziatek cięży na ojcowskiéj głowie,
I te ciężko wyżywić! A cóż gdy się dowie,
Że mu dwoje przybyło:— To on! nie.... Drżę z trwogi,
Jeżeli mnie wybije, rzeknę: dobrze, drogi!
Onże to? Nie..... tém lepiéj— drzwi się poruszyły—
Jakby kto wszedł. Nie jeszcze... O mężu mój miły,
Na myśl o twym powrocie, krew ścina się we mnie....
A potém zadumana, poczęła tajemnie
Zstępować jak po szczeblach w ciemną otchłań myśli,
Gdzie bojaźń i zgryzota srogie widma kreśli:
I biedna, już nie słyszy ani huku burzy,
Ni krzyku kormoranów, owych czarnych stróży,
Ani groźnego wichru, ani plusku fali.

Nagle drzwi się rozwarły— brzask błysnął z oddali.
I rzeźki rybak ciągnąc potężném ramieniem
Sieć, z pod któréj się woda sączyła strumieniem,
Stanął w progu i rzecze:— Oto połów cały!

X.

— To ty!— woła Joanna, zwraca wzrok nie śmiały
Na męża i ku niemu wybiega w próg chaty.
Przyciska drżące usta do przemokłéj szaty.
Rybak rzecze łagodnie — to ja, żono miła;
A w kominie płonąca głownia rozświeciła
Swobodny jego uśmiech i wydatne czoło.
— Złupiono mnie jak w lesie— zagadnie wesoło:
— Zły czas miałeś?— Oh twardy! — A połów?— Nie tęgi;
Ale gdy cię już widzę, nie pomnę mitręgi.
Nic zgoła nie złowiłem! na domiar pociechy
Podarłem sieć! sam szatan musiał dąć dziś w miechy.
Cóż za noc? istne piekło! Wiatr zerwał mi linę,
Mniemałem, że się łódka zanurzy w głębinę;
Lecz Bóg ustrzegł od złego: a ty, żono droga
Coś robiła?— Nic— cicho odrzecze nieboga;
I zimne dreszcze trwogi przenikły struchlałą—
Łatałam sieć a słysząc jak morze huczało
Drżałam!— Tak twarda zima, lecz Bóg czuwa przecie!—
Wtedy trwożna jak zbrodniarz, gdy go wyrzut gniecie
Rzecze z cicha:— wiesz, mężu, umarła już chora,
Wczora biedna skonała, zapewne z wieczora,
W chwilkę potém, gdyś z siecią popłynął na morze;
Zostało dwoje sierot... Dziwneż sądy Boże!
Córeczce imię Magdzia— a Wilhelm synowi:
Jedno jeszcze nie chodzi, drugie ledwie mówi;
Biedaczka! w ciężkiéj była za życia potrzebie.
Rybak utonął w myślach, rzucił precz od siebie
Czapkę, którą na wylot zmoczyła ulewa:
— Tam do licha! pomruknął. człek się nie spodziewa
Co nań spadnie, z pięciorga będzie ich siedmioro;
Już i tak, kiedy zimą połów szedł nie sporo,
Szliśmy spać bez wieczerzy.... Ot, jakaż tu rada?
Źle.... aleć jam nie winien. Snać Bóg ciężar wkłada;
Trzeba przyjąć, kark poddać, skoro wyrok taki:
Czemuż pozbawił matki te biedne robaki?
A małe to jak piąstka. Dziwnież świat się toczy—
Ten to pojmie, kto biedzie spójrzał nieraz w oczy;
Trudnoż je gnać do pracy, gdy nie starczą siły.
Żono, ruszaj co żywo, może się zbudziły,
Same przy trupie matki, drżą z głodu i trwogi;
Czy słyszysz? duch umarłéj zakolatał w progi:
Otwórzmy je sierotkom. Daléj, w imię Pana.
Będzież to nam wieczorem łazło na kolana;
Spólnie z pięciorgiem naszych wychować je trzeba;
A gdy Pan Bóg dostrzeże z wysokości nieba,

Że nam chleba zabrakło dla tych biednych dzieci,
Więcéj ryb przy połowie napędzi mi w sieci.
Będę pił czystą wodę a pracę podwoję:
No, idź żono! — Co widzę? chmurne czoło twoje?
Nie lękaj się daremnie, gdy ja się nie trwożę;
— One już tu! — odrzekła — wskazując na łoże.

W następnych dwóch cyklach poeta wybiega za obręb teraźniejszości, a zapędza się marzeniem w tajemniczą przyszłość. W czternastym okresie, ukazuje nam wiek XXty. Z jednéj strony na falach oceanu widać szczątki Lewiatana, ponuro przesuwające się po niezmierzonéj okiem przestrzeni. Lewiatan wyobraża dzisiejszy stan społeczny, naznaczony złowrogiém piętnem nienawiści, walki, chciwości i zwątpienia. Ale wicher powiał na ten skażony gmach i pogrążył go w otchłani wiekuistéj. Ten świat zamarł już bezpowrotnie. Na morzu pusto i głucho, nie dojrzeć okiem białych żagli ani wysokich masztów o różnobarwnych flagach: i kędyż się podział człowiek? Tu poeta wskazuje błękitną przestrzeń niebios, po któréj przebiegają balony olbrzymich rozmiarów. Geniusz ludzki wprzągł wichry do napowietrznych wozów swoich i kieruje niemi dowolnie. Człowiek król przyrody, porzuca pielgrzymi kosztur, a podejmuje złote berło — poezya jednoczy się z rzeczywistością; rachunek Newtona dosiada jakby rumaka ody Pindarowéj i pociąga ludzkość drogą postępu, w błękitne powietrza sfery, powyżéj ziemskich burz i gromów, po nad mętne mgły, w świat podsłoneczny, żadną nie omroczony chmurą.

I kędyż zatrzyma się człowiek, zuchwały pogromca sił przyrody, którą ujarzmił i poddał swojej woli? Rychłoż-li pomknie na łono gwiazd i rozedrze tajemną zasłonę nieskończoności?

O powtrzymaj się w szalonym twym polocie! — woła nakoniec poeta. Pozostań człowiekiem, pozostań Adamem, ale Adamem odrodzonym ze starych przestępstw i zbrodni. Bądź ideałem ziemskim, zdążaj do coraz wyższéj doskonałości, w właściwym ci obrębie.

Niechaj wiara zaprom ienieje w oku twojém, niechaj nadzieja rozjaśni twoje czoło! niechaj myśl twoja orlemi skrzydły ulatuje w niebiosa!

W ostatnim okresie, poeta poza krańcami spełnionych wieków, widzi leżącą na chmurach olbrzymią trąbę archanioła, która za chwilę zabrzmi strasznym głosem, zwołując na sąd ostateczny zmarłe plemiona ludzkie.

Na tém widzeniu Hugo zakończa swój wielki poemat, którego dopełnieniem mają być dwa ukończone już poemata: *Koniec szatana i Bóg.*

Stosownie do założenia naszego, wstrzymujemy się od wszelkich uwag nad tym znakomitym utworem: jedyną chęcią naszą było obznajmić z nim bliżéj polskich czytelników i wykazać główne jego piękności. Pozostawiamy innym wykazanie błędnego stanowiska z jakiego wychodzi poeta, wiedziony nie światłem Bożém, ale pychą rozumu i mrzonkami panteistycznéj filozofii.

LITERATURA ANGIELSKA.

Żywoty sławnych mężów Plutarcha, które na angielski język przełożyli North, Dryden i Langhorn, doczekały się obecnie nowego w Anglii wydania. Nie jestto właściwie nowy przekład, tylko przekład Drydena przejrzany i poprawiony według oryginału greckiego. Z powodu téj pracy, dokonanéj przez A. H. Clough, angielski dziennik *Athenaeum* zamieścił w jednym z ostatnich numerów nader zajmujący artykuł, który mniejwięcéj dosłownie podajemy:

„*Żywoty sławnych mężów* są płodem klassycznego umysłu, zajmującym szczególne i jedyne miejsce w nowoczesnym świecie. Stary biograf otrzymał naturalizacyą pomiędzy nami. Innych pisarzy starożytności tłumaczono, tegośmy sobie przyswoili. Jak o bażancie lub o pawiu, o wiśni lub o brzoskwini, tak o *Żywotach sławnych mężów* zapomnieliśmy, że są obcego pochodzenia. Mówimy o Homerze Popego, o Arystofanesie Frerego, ale kiedy wspomnimy o Plutarchu, nazwisko tłumacza jest tu rzeczą podrzędną. Czytelnik w ogólności nie wiele o to dba, czy mówiący o nim czerpał wiadomości z Northa, Drydena, Langhorna, Amyota lub Daciera, lub czy był i jak dalece skrupulatnym w przeniesieniu go z greczyzny. Nie może być nad to jawniejszego dowodu jego niepospolitéj popularności. Inni pisarze są również znani i czytani, ale nie w tym sposobie. Kto mówi o Horacym lub Tacycie, o tym się przypuszcza, że ich czytał w oryginale: jakoż w istocie, czyniąc to, byłby uczynił co mógł najlepszego, jeżeli chciał miéć prawdziwe poczucie ich piękności. Inaczéj się rzecz ma z prostym i ujmującym Beotem, tym ulubionym klassykiem Europy. On jest obywatelem naszego świata. Szlachetny jego i szanowny cień przechadza się

pomiędzy nami tak swobodnie, jak na elizejskich polach swéj ojczystéj mitologii. W powszechnym braku prawdziwie *popularnych* tłumaczeń klassyków, ta nieustająca sława Plutarcha, jest rzeczą zastanowienia godną. Ona go wyróżnia z pomiędzy autorów starożytności, jako najpowszechniéj wpływowego. Pisarze tacy, jak Arystoteles i Plato, Horacy i Cycero, wywierają wprawdzie swój wpływ znakomicie, wszakże nie bezpośrednio, raczéj za pośrednictwem autorów nowoczesnych. Ale Plutarch do wielu pokoleń sam wprost od siebie przemawiał. Gdyby można było szczegółowo obliczyć, ile czytanie starożytnych pożytku nowszym pokoleniom przyniosło, bodaj czyby się nie pokazało, że sam Plutarch przyniósł go więcéj, niż wszyscy inni klassyczni pisarze razem wzięci. To mu taką ważność nadaje, i dlatego książka, o któréj mówimy, budzi w nas o wiele większe niż zwyczajne zajęcie. Jeżeli przekłady mogą tyle dokazać, komuż nie zależy na poznaniu ich wzajemnéj wartości?

Plutarch odrazu znalazł powodzenie w Europie. Tłumaczony był w XVI wieku zarówno we Francyi, jak w Anglii, i zaraz był godnie oceniony. We Francyi przekład Amyota do dziś dnia niepospolitą ma wziętość, i wyrażenie: „*homme de Plutarque*," „*héros de Plutarque*," stało się tam przysłowiem, używaném do oznaczenia człowieka bohatérskiéj wyższości. Pomiędzy Plutarcha-to ludźmi de Retz znalazł jedynie paralellę do Montroza. Rousseau siadywał nad *żywotami*, dopóki dzień nie oświecił bladéj jego twarzy; Napoleona nieodstępną towarzyszką była ta książka. Ważniejszym atoli faktem nad inne jest to, że w Plutarchu Northa, jakkolwiek ten był wzięty z francuzkiego, Szekspir znalazł postacie, jaśniejące aureolą jego jeniuszu w Juliuszu Cezarze, oraz Antoniuszu i Kleopatrze. Cokolwiek z starożytnéj sztuki bądź w języku, bądź w kamieniu pozostało, wywołałoż utwory tympodobne?

Gdy jednakże starożytni, sami przez się, są nieśmiertelni, przekłady ich są przemijającemi. Wirgiliusz Pheera zszedł z pola i Northa Plutarch doznał tegoż losu. Biédny tłumacz nie znalazł nawet drogi do biograficznych dykcyonarzy, chociaż był synem parowskim! Za czasów Karola II nowy Plutarch stał się pożądanym i wielki Dryden dał swe imię temu przedsięwzięciu. Sam się wprawdzie niém nie trudził, ale zebrał pod swój sztandar ludzi odpowiednich i dodał do ich pracy zwykłe Drydenskie przyczynki w takich razach, tojest *Życie* i *Wstęp*, napisane

z męzką siłą. Wyuczył on zdolne młode pokolenie pisać prozą i to go teraz godnie wyręczyło. Somers i Evelyn, Garth i Creech, oto są, z pomiędzy innych, nazwiska Drydenowskich tłumaczy. Dzieło ich ukazało się 1683—1686 r., w powtórnéj edycyi w 1716 r. i pozostało wzorowym Plutarchem aż do czasu Langhornów. Plutarch braci Langhornów wyszedł na świat w 1770 r., miał powodzenie i doczekał się trzeciéj edycyi w r. 1819. Teraźniejsze pokolenie zapoznaje się ze starożytnym biografem powiększéj części za pośrednictwem Langhornów i kwestya zachodzi teraz, czy ci panowie mogą być zepchnięci z posady? Odpowiadamy na to potakująco, nie zaprzeczając im zasługi, jaką co do Plutarcha położyli.

Nazwisko p. Artura Clough z góry już dobrze uprzedza. Daje on pierwszeństwo tak zwanemu przekładowi Drydena nad przekładem Langhornów, poprostu dlatego, że ostatni jest niesmacznym i ciężkim, *a dull and heavy book*. Oto wszystko, co uważał za potrzebne o tém powiedzieć i nie jeden z czytelników zgodzi się na to, rozumiemy. Wyznając z naszéj strony, żeśmy za młodszych lat nie znajdowali ciężkim Langhorna, otwarcie przyznajemy wyższość Drydenowskiemu przekładowi w jego obecnéj formie, a powody dlaczego, winni jesteśmy objaśnić.

Plutarch, prawdziwy grecki Plutarch, nie jest, jak dobrze wiadomo, pisarzem, któregoby *styl* stanowił przedewszystkiem zaletę. Pod tym względem pewne zaniedbanie ze strony uczniów i pod tym téż względem pewna swoboda może być jego tłumaczom dozwoloną, co nie mogłoby miéć miejsca w obec autora, u którego forma głównie pociąga. Treść, w najrozleglejszém znaczeniu tego słowa, moralna strona raczéj, nie artystyczne przymioty, stanowią wartość Plutarcha; jeżeli więc tłumacz wiernym treści pozostanie, może miéć wolność oddania go jak najswobodniéj. Naturalna jego wymowa, widoczny wynik poczciwéj prostoty, wymaga przeniesienia go na inny język w sposób łatwy i potoczysty. Langhornów zaś przekład, w porównaniu z Drydenowskim, wydaje się nadętym i przesadnym, *a priggish version*. Przekonać się o tém może każdy, kto którybądź żywot w obudwu przekładach porówna. Tragiczne sceny, naprzykład takie jak śmierć Demostenesa i Katona, dramatyczniéj wyglądają w dawniejszym przekładzie, bo język w nim jest prostszy i bardziéj malowniczy. Styl

Langhornów jest napchany konwencyonalnemi parafrazami, rażącemi naprzeciw niewymuszonéj prostoty, jaka w oryginale panuje.

Przytoczmyż teraz kilka wybornych uwag, jakie p. Clough czyni w tym przedmiocie w przedmowie:

„Czytając Plutarcha, należy miéć na pamięci następujące względy. Jest on moralistą raczéj niż historykiem. Mniéj go obchodzi polityka i koléj państw, jak charakter osób, ich czyny i bodźce do tych czynów; powinność spełniona i wynagrodzona; pycha ukrócona; gwałtowność ukarana; ludzkość, prawość i szlachetność tryumfujące w widzialnym lub oczekujące wieńca w niewidzialnym świecie. Umysł jego w tych nieporównanych życiorysach, które nam zostawił, krąży ciągle w kole Etyki Arystotelesa i teoryj Platona, które stanowiły religią ukształconéj społeczności z jego czasów. Czasy jego, to druga okoliczność, na którą wzgląd mieć należy: czasy-to Nerwy, Trajana i Hadryana; początek najszczęśliwszego wieku w wielkim okresie rzymskiego cesarstwa. Socyalny system, rozciągający się przez wszystkie kraje nad brzegami morza Śródziemnego, kraje, których środkowemi punktami były Grecya i Italia, a z któremi Wschód i najdalszy znajomy Zachód zniewolony był miéć stosunki, doszedł był wtedy najwyższego szczytu rozwoju i udoskonalenia. Rzymskie prawa i filozofia grecka potężnemi były od rzeki Tygrys, aż do wysp Brytańskich. Ostatniato była wielka era greckiéj i rzymskiéj literatury. Epiktet uczył w Grecyi cnót, któremi się Marek Aureliusz wsławił, jako cesarz. Dio Chryzostom i Arrian przywoływali pamięć najsławniejszych retoryków i historyków ateńskich; a gdy Plutarch pisał w Cheronei, Tacyt, Pliniusz młodszy, Martialis i Juwenalis pisali w Rzymie. Możnaby powiedziéć, i zaiste, bez minięcia się z prawdą, że Rzymianie, pisarze wielkiego miasta, mniéj wiernie przedstawiają ogólny duch i charakter czasu, niż ów prosty Beotczyk, mieszkaniec greckiéj prowincyi, piszący w bardziéj rozpowszechnionym języku i nie absorbowany miejscowemi reminiscencyami staréj stolicy senatu i rzeczypospolitéj. Tacyt i Juwenalis są może raczéj starożytnymi Rzymianami, niż obywatelami wielkiego południowego Cesarstwa. Wady cesarskiego rządu zbyt rażące, bo z blizka widziane, odmalowane są w pismach ówczesnych Rzymian, prozą i wierszem, żywiéj i gwałtowniéj, niż się to zgadza z ogólném przedstawieniem stanu państwa, nawet za czasów samego Domicyana.

W każdym razie spokojniejszy pogląd i lepsza era odbijają się w pismach Plutarcha. Język jego jest językiem człowieka zadowolnionego w sobie i z tego co widzi wkoło siebie. Naturalna jego wesołość nie ustaje, swobodna prostota jego nie ponosi uszczerbku, humor jego nie zasępia się i nie przesiąka goryczą, skutkiem jakiegoś rozpamiętywania lat upłynionych i porównywania ich z obecnemi pod ohydném berłem cesarzów. Choć więc mógł sobie przypominać Nerona, a był już mężem, gdy Domicyan był cesarzem, ostatecznie możemy powiedzieć, iż widać w nim człowieka szczęśliwego, który żył w dobrych czasach, z dala od złego, i że męzki charakter jego zadowolenia wskazuje, iż ono nie naginało się do okoliczności ani zbyt pobłażliwie, ani przyjaźnie".

Dla nas, przyzwyczajonych słyszeć naszych poetów, opłakujących upadek greckiéj chwały i wolności, po upływie tylu czasów, ta swoboda Plutarcha ma coś zadziwiającego w sobie. Mieliż starożytni mniéj niż my uczucia? Lub mąż to być przypisane naturalnemu temperamentowi i filozofii samegoż Plutarcha?

Niezaprzeczenie, trudno jest czytać Żywoty bez powzięcia pewnego osobistego szacunku dla ich autora, i to już jest zdolném odeprzeć wszelkie ataki, które z różnych względów były mu czynione. Prawda, że Plutarch, co do niektórych pojedyńczych faktów, niekiedy sam jest z sobą w sprzeczności. Ale główna kwestya leży w tém, czy którykolwiek z jego portretów, (a biografie jego są portretami *par excellence*), *jako całość* może ulegać uzasadnionemu zarzutowi? Jeżeli nie, wszelkie jego usterki stają się rzeczą podrzędną. W niektórych razach nie ma środka rozstrzygnięcia téj kwestyi, ale gdzie jest, tam nie możemy się dopatrzéć, aby Plutarch oddalił się od prawdy w głównych szczegółach. Mamy podostatkiem wiadomości o Cyceronie naprzykład; i z swojéj strony Plutarch mógłby być także posądzony, że pisał pod wpływem tych greckich przesądów, o które go oskarżają, a do obudzenia których rzymski mówca i filozof był właśnie zdolną figurą. Ale czyż który z wielbicieli Tulliusza ma słuszny powód do pożalenia się na jego greckiego biografa? jakikolwiek zarzut do uczynienia, któryby mógł przeważyć przyjemność widzenia go zportretowanym z taką dokładnością i prawdą, przez tę mistrzowską rękę?

Plutarch, ze względu na ten dar, może być uważanym jako typ biograficznego geniuszu, i nie ma sobie równego, tak pomię-

dzy starożytnymi, jak i nowoczesnymi pisarzami. Nazywał on siebie filozofem i słusznie; ale zdolność wyciśnienia cechy podobieństwa tego i owego bohatéra na opisie biegu jego życia, była u niego czemś wrodzoném i wcale oryginalném, czego filozofia sama nie może dać człowiekowi, i czego on sam nabyć nie mógł. Sekret tego nie leży, powtarzamy, w jego stylu, który jest w ogólności prosty, lubo ożywiony; ani w jego uwagach, które nie mają w sobie téj głębokości i epigrammatyczności, jaką miał Agrykola, jemu współczesny. Leży on w moralnym charakterze pisarza, objawiającym się w jego szczerém uwielbieniu dla tego, co jest w ludziach dobrem i wielkiem, a do którego natura przyjaźnie dodała instynktowe poczucie stosunków pomiędzy małemi a wielkiemi szczegółami życia i charakteru.

Na tém niniejszy excerpt zakończymy. Być może, iż przy zaczynającéj się dziś budzić dążności do zajmowania się literaturą starożytną, odczytanie go zachęci którego z naszych filologów do podjęcia pracy podobnéj p. Clough. Byłoby to, w dokonaniu, pełném zasługi, a w wykonaniu nie tak trudném zadaniem, skoro ścisłe zastosowanie się co do formy nie jest tu warunkiem nieodzownym. Mógłby wreszcie przedsiębierca tego tak pożądanego przekładu, pójść zupełnie za przykładem p. Clough, i przypuściwszy, że przekład Krasickiego jest u nas tém, czém w Anglii przekład Drydenowski, porównać go tylko z oryginałem i uzupełnić (1).

— *Adam Bede. By George Elliot. London. Blackwood and sons*, 1859 *r.* Pod tym tytułem wyszła niedawnemi czasy powieść, o któréj pisma angielskie i inne, szerzéj lub krócéj, ale wszystkie jednozgodnie z wielkiemi pochwałami mówią. Jeden z angielskich tygodniowych przeglądów, p. t. *Saturday Review*, odznaczający się pod względem artykułów krytycznéj treści, tak pisze o téj książce.

„Nie często bywa bezpiecznie chwalić jaką powieść, bo jakkolwiek małe podkadzenie nietylko nie jest zdrożném, ale nawet jest pożyteczném dla autora, który przyrzeka więcéj, niżeli jeszcze dokonał, a regularnego czytelnika powieści zwraca

(1) Dodamy tu, że daleko dokładniejszy i w większych rozmiarach, mamy przekład Plutarcha przez X. Filipa Golańskiego, wydany w Wilnie w 4 tomach. *Przyp. Red.*

uwagę na książkę lepszą od pospolitych; tę wszakże ma niekorzystną stronę, że naraża na stratę czasu osoby, nie chciwe czytania powieści, chyba jeżeli te są prawdziwie dobre. Ale *Adam Bede* jest powieścią, o której możemy dobrze zaświadczyć bez skrupułu. Osoby czytające na rok jednę tylko powieść, a rzadko się zdarza, aby w ciągu roku więcéj dobrych powieści było wydanych jak jedna, mogą śmiało tym razem zrobić wybór, i przeczytać *Adama Bede*. Jeżeli w téj powieści znajdą jakie usterki, to niezawodnie znajdą w niéj także takie strony, które jéj właściwą i odrębną cechę nadają, budzą nowe uczucia i nowe pozostawiają wrażenia. Autor wszedł na oryginalne pole obserwacyi, a ponieważ ma wielki dar obserwowania i szczęśliwą metodę łączenia luźnych punktów obserwacyi w spojną całość, daje nam przeto coś, czegośmy dotąd jeszcze nie mieli. Widocznie jest nim jakiś wiejski duchowny, przedmiotem zaś jego obserwacyi było wieśniacze życie w jedném z hrabstw środkowych. Przedmiot to nieco jałowy dla większéj części ludzi, ale większa część ludzi nie obserwuje. Wiemy wszyscy, że ubogi wiejski cieśla może miéć swoje dzieje i charakter, zamiary, nadzieje i zawody, które, gdyby nam były objawione, mogłyby nas równie zainteresować, jak wykrycie tajemnic bogatego pana. Ale pomiędzy człowiekiem ukształconym, a wiejskim cieślą jest powszechnie zapora nie do przebycia. Łatwo jest twierdzić, że ten ostatni nosi kaftan flanelowy, że ma ogładę i nie jest pijakiem; ale pójść krok daléj, i sprawdzić to w sposób przekonywający, to nie tak łatwo. Bądź jak bądź, zawzdy się zdarzało i zdarza, że cieśla wchodzi w drogę dżentelmanowi, który ma dar naturalny zrozumienia go; jeżeli więc ten dżentelman chce sobie zadać pracę i nie tylko zatrudnić swoje umysłowe władze, ale i zapisać wypadek swych postrzeżeń, przychodzimy wtedy do poznania cieśli. To właśnie uczynił autor *Adama Bede*. Adam Bede jest cieślą, a jego współtowarzyszami są rolnicy i kowale. Rzeczywistą jest zasługą pisarza, kiedy takie charaktery ukaże w rzeczywistém świetle, a nie postępuje tak, jak to czyni większa część powieściopisarzy, którzy, pozawieszawszy na lada jakich figurach swoje stare rupiecie, chodzą na około nich w sukniach od parady zacierając ręce i wskazując, jak to ich bohaterowie naturalnie i genialnie wyglądają w właściwéj sobie odzieży.

Przychodzimy do poznania, co téj książce uczyniło wziętość, biorąc pod rozwagę rysy charakterów całkiem podrzędnych. Spotykamy czasem rysy skończone nawet tam, gdzie charaktery raz jeden tylko są wprowadzone na scenę, a wprowadzone są widocznie tylko dlatego, żeby ich rys mógł być podany. Mamy naprzykład opis wieczornéj szkoły dla dorosłych, którego jedynym celem jest podanie rysu trzech uczniów: są to wieśniacy, których autor studyował, a te studya są tak dokładne, iż mogłyby się stać materyałem do obrazu większych rozmiarów: szkice te, jakkolwiek lekkie, mają jednak wielką zaletę. Nastręcza się tu uwaga, że sama tylko obserwacya nigdy nie jest dostateczną, do nadania wartości nawet lekkiemu szkicowi. Musi tu być coś więcéj jak dar wydatnego kreślenia, opowiadania, przedstawiania charakterystycznych punktów; musi być główne pojęcie przedmiotu, którego rys się podaje, a wkoło którego grupować się powinny szczegóły. Musi być coś, co odpowiada hypotezom na drodze doświadczenia; coś, co pochodzi od obserwującego, a nie od obserwowanego: ogólny klucz do charakterów, który ktoś kreślący te charaktery przyjmuje, a przez nakreślenie ich pokazuje, że go trafnie użył. Władzą, zdolną do rezultatów obserwacyj dodać własne myśli obserwującego, w najrozciągłejszéj i najwyższéj formie, jest humor. Skorośmy zaś z góry niepospolitą wartość *Adamowi Bede* przyznali, nikt wątpić nie może, że w nim jest humor, humor prawdziwy i rzadki. Pani Poyser, żona kolonisty, jest prawdziwie humorystyczną kreacyą, nie mającą w sobie cienia przesady. W kolonii *Hall* znajduje się prawdziwa obora i dojarnia, które należy czysto trzymać, i prawdziwe dziéwki wiejskie, które należy trzymać krótko: jest to kolonia rzeczywista, nie teatralna, w któréj ladajaki parobek może rozwijać swoje zdolności. A przecież każde zdanie pani Poyser ma w sobie coś zajmującego: jak czynna jest, przedsiębierczа i praktyczna; jak pełna życia i cięta w mowie!

Charaktery, nietylko pani Poyser, ale Adama Bede, i dwóch siostrzenic pani Poyser, w których się Adam kocha po kolei, tak są dobrze utrzymane, że niesłusznieby było nazwać tę powieść zbiorem luźnych szkiców; ale ciąg utrzymany jest tylko co do charakterów, rzecz sama jest poprzerywana. Trudno może było autorowi znaleźć w życiu wiejskiém prawdziwie drama-

tyczny i żywo zajmujący wątek, koło któregoby się wszystko obracało; ale jakiekolwiek mógł napotkać trudności, żałować przychodzi, że im uległ. W początkach zalotów dziedzica mamy kilka scen dobrze pomyślanych, i chociaż widzimy Hetty w niebezpieczeństwie, nie bardzo nas to trwoży i razi. Adam zazdrości i na tém koniec. Ale na końcu drugiego tomu zostajemy pogrążeni w morzu okropności: biédna Hetty, opuszczona od kochanka, zgadza się na zaślubienie Adama Bedy; ale w końcu nie może tego przenieść na sobie, żeby zwodzić jego i siebie: porzuca dom swego wuja, i udaje się na Południe szukać swego kochanka. Ostatecznie zostaje matką, zabija swoje dziecko, oskarżona jest o morderstwo i na śmierć skazaną: miecz dotyka już prawie jéj szyi, gdy jéj dawny kochanek wpada na rusztowanie, przynosząc zamianę wyroku śmierci, na wyrok wygnania. Koleje te wypadków sprowadzają autora z pola, gdzie stał mocno, na pole, gdzie się potyka. Nie chce o niczem inném wiedzieć, jak o sądach, rusztowaniach i ułaskawieniach; wprowadza je zaś jedynie dlatego, że pewien przymieszek melodramatycznego pierwiastku, zdaje mu się potrzebnym dodatkiem. Skutkiem tego trzeci tom jest słabym, bladym i powierzchownym w porównaniu z dwoma pierwszemi. Przeniesieni jesteśmy z nowéj sfery wiejskiego życia, w spowszedniałą sferę silnych wzruszeń. Każdemu naturalnie wiadomo, że wszelki grzech pod słońcem popełniany jest zarówno na wsi jak w mieście, i jeżeli komu się podoba twierdzić, że hoże wiejskie dziewczęta są w niebezpieczeństwie zostania uwiedzionemi, ten zaiste nie wychodzi z granic faktu. Ale nie idzie zatém, żeby obraz wiejskiego życia i charakteru wieśniaków miał koniecznie budzić przykre wrażenie, mieszcząc na pierwszym planie sromotną stronę wiejskiéj rzeczywistości. Nie spodziewaliśmy się bynajmniéj, że nam przyjdzie przéjść od skromnéj miłości poczciwego cieśli do dzieciobójstwa i egzekucyi, i wstrząśnienie, jakie nam przez to autor sprawia, wydaje się nam zarówno niepotrzebném jak dowolném. Jest jeszcze inna strona téj części powieści, któréj nie możemy nawiasowo nie wytknąć. Autor *Adama Bede* daje w nim poparcie zwyczajowi, jaki się w nowszych czasach upowszechnił pomiędzy powieściopisarzami, a zwyczaj ten uważamy za nader naganny. Mamy tu na myśli rozprawianie i rozszerzanie się o pojedyńczych peryodach, poprzedzających urodzenie się dziecka. Poczucia i zmiany stanu

Hetty podane są z tak ścisłą dokładnością, że czytając opis jéj nieszczęść, zdaje się, jakby się słuchało rozmowy akuszerki z położnicą: to jest nie do darowania. Ta literatura ciąż za bardzo nam już cięży. Zapatrzmy się na starych mistrzów w sztuce, jeżeli który z nich dał nam dziecko, dał nam je odrazu. Skromna publiczność poprzestaje na jednym lekkim symptomacie i domyśla się dalszych.

Możnaby także zarzucić autorowi sposób, w jaki do swéj powieści wtrąca samego siebie. Oryginalnym będąc we wszystkiem, co zawisło od osobistéj jego obserwacyi, przy ogólnym poglądzie na życie i obowiązki, ulega, podobnie jak wszyscy ludzie, wpływowi swego czasu. Są to wszakże tylko pojedyncze skazy dzieła, pełnego zresztą zalet. Po wszystkiém, coby można przeciw niemu powiedzieć, *Adam Bede* nie przestaje być powieścią trudną do dorównania, nawet w tych czasach obfitujących w płody fikcyjne."

Dowiadujemy się świeżo z innego źródła, że autorem *Adama Bede* jest kobiéta, miss Marian Evans, z Coventry, znana z przekładu *Życia Jezusa* Straussa i z innych teologicznych prac oryginalnych, które ogłoszonemi były w *Westminster Review*.

— P. Jeaffreson, który wydał w roku zeszłym wielce nauczające i zajmujące życiorysy angielskich romansopisarzy w 2 tomach, obdarzył teraz świat literacki angielski romansem własnego utworu p. t.: „*Miriam Copley*". Po autorze tak poważnym nie można było się spodziewać dzieła, w którém zasadnicze społeczne podstawy nietylko nie są uszanowane, ale są owszem obalone. Zdawałoby się, że to pisał jakiś Francuz z epoki tak zwanéj literatury *szalonéj*, a Anglik przełożył. Miriama Copley jest kobietą pełną wdzięków, która przyszła na świat, aby nam dowieść, że mamy prawo sami sobie wymierzać sprawiedliwość. Jestto amerykańskie prawo *Lynch'u*, które trybunał indywidualnego sumienia ma w wykonanie wprowadzać. Miriama jest najuczciwszą w świecie kobietą, po przebyciu różnych kolei błogo pędzącą życie; chociaż otruła swoję panią będąc jeszcze służącą, i tak samo się przysłużyła jednemu z swych wielbicieli, który nie żądał od niéj niczego więcéj, jak żeby mu swoję rękę oddała. Jakież jéj usprawiedliwienie? Oto 1°d: pani jéj była złą kobietą, która jéj samej powolną zadawała truciznę; 2re: ten, co z nią

pragnął wejść w prawe związki małżeńskie, był niecnotą i grubianinem i przywiódł ją intrygami swemi do bigamii; mimo jéj wiedzy ma się rozumieć, bo Miriama była zawsze przykładnych obyczajów, bądź to, będąc panną, bądź mężatką; bądź to kiedy pasła świnie, bądź to kiedy została parową; bądź to poszedłszy za mąż ze skłonności, bądź to zawarłszy małżeństwo wedle rozumu. „Czytelnicy, mówi ona, sądźcie mię z wyrozumiałością; jeżeli się liczycie do mojéj płci, przypomnijcie sobie, że byłam matką i kochałam moje dziecię bardziéj niż siebie samą; jeżeli należycie do płci męzkiéj, bądźcie wspaniali, i pomnąc na to, że prawie wszystko złe i dobre w nas będące zależy od przyczyn działających na nas znacznie pierwéj, nim jesteśmy w możności oprzeć się im lub poddać, podziękujcie Bogu, jeżeli dzieciństwo wasze święte otaczały wpływy".

Zostawimy ją w pokoju; zamiast rozwodzenia się daléj nad tym niefortunnym płodem p. Jeaffreson, wolimy przy okazyi podać kilka dat statystycznych, dotyczących romansopisarzy i romansów pisanych w Anglii, które nam świeżo w oczy wpadły. Nie ma zapewne kraju (wyjąwszy Amerykańskie Stany), w którymby płeć niewieścia na arenie literackiéj liczniéj szła w zawody z naszą. Aby się o tém przekonać, dość przeczytać listę nazwisk figurujących, w powyżéj wzmiankowaném dziele p. Jeaffresona: *Życiorysy romansopisarzy*. W drugim op. tomie tego dzieła, który się zaczyna od Anny Radcliffe, a kończy się na Miss Younge (autorce romansu *Dziedzic Redcliffów*), na 90 nazwisk znajdujemy 36 samych kobiet! D. Mason, professor uniwersytetu londyńskiego, wydał świeżo dalszy ciąg *Prelekcyj*, które miał przed niejakim czasem w edymburgskim filozoficznym instytucie w przedmiocie tym samym, któremu p. Jeaffreson poświęcił dwa tomy. Te prelekcye dają nam poznać statystykę romansów wydanych w Anglii od r. 1820, w którym to czasie Walter Scott tak wielką miał wziętość. Według obliczenia p. Mason literatura angielska od czasu wyjścia *Waverleja* wzbogaconą została o 3000 romansów, składających się z 7000 tomów; tym sposobem wypada około 100 romansów na jeden rok, czyli blizko dwa na tydzień. Nie będziemy wchodzili w bardziéj szczegółowe obliczenia p. Mason, takie bowiem subtylizacye statystyczne, w których się Anglicy kochają i które aż do przesady posuwają, dla nas zbyt mało mają i mieć mogą zajęcia.

Wspomniany tu p. Mason jest autorem *Biografii Miltona*, dzieła, którego pierwszy tom świeżo wyszedł, a które przez zagraniczne pisma bardzo jest chwalone.

— Ciekawém zapewne będzie dla czytelników a zwłaszcza czytelniczek naszych doniesienie, że pani Beecher Stowe, autorka powieści *Chata wuja Toma*, która tyle współczucia obudziła, wydała obecnie nowy romans p. t. „*Narzeczona pastora*" (The Minister's Wooing). Po *Chacie wuja Toma* i drugiéj powieści p. t. „*Dred*" późniéj wydanéj, (tamta wyszła w r. 1852, ta zaś w r. 1856) a będącéj co do treści i dążności niejako waryantem pierwszéj, można było uczynić sobie pytanie, czy szanowna protektorka emancypacyi murzynów w razie wzięcia jeszcze pióra do ręki wejdzie i potrafi wejść na inne pole, czy też nie przestanie traktować czytelników negrami. Otóż dzieło obecne jest na to pytanie odpowiedzią. Jestto także powieść, ale nie polemizująca w kwestyach bieżących, żywotnych dla nowego świata, tylko uczuciowo-obyczajowa, właściwy romans. Autorka uczyniła rozbrat, jeżeli nie z negrami, to z ideami abolicyonistów i przenosi nas w sferę cichego domowego pożycia, opromienioną cnotami i ogrzaną ciepłem miłości.

Marya bohaterka powieści jest jedyną córką pewnéj wdowy, pozostałą z zawartego ze skłonności małżeństwa. Pani Scudder, takie jest nazwisko téj wdowy, osoba poważna i surowych obyczajów, w wysokim stopniu praktyczna, która pracą i rządnością przyszła do nabycia nie wielkiego folwarku i dworku (cottage), prawdziwy typ amerykańskiéj matrony: po śmierci męża oddała się prawie całkiem pobożności i religijnym praktykom. U niéj mieszkał pastor miejscowy i we wszelkich kwestyach dotyczących dobra kościoła do niéj się udawano. Pod troskliwém okiem takiéj matki wzrosła młoda Marya. Było to siedmnastoletnie dziewczę, bladéj cery, ciemnych włosów, z sercem otwartém dla miłości, ale obwarowaném surowością zasad przez matkę wszczepionych. Wychowanie jéj nie było takie, jakieby się w dzisiejszym świecie mogło podobać.

„Nie umiała ona, pisze p. Stowe, ani walcować, ani polkować, ani paplać po francuzku, ani śpiewać włoskich aryj. Natomiast umiała prząść na małym i większym kołowrotku i szafki w domu były pełne serwet, chustek, dywaników i powłoczek świadczących o zręczności jéj palców. Marya nie-

porównanie była biegłą w haftowaniu, w krajaniu i szyciu sukien: słowem, pod względem prac gospodarskich, była to prawdziwa czarodziejka, której umiejętność zdawała się nieomylną i wrodzoną. Czy to prała lub prasowała, czyto piekła jakie ciasto, lub przyrządzała kompot, słodki jéj wdzięk zdawał się przyoblekać w poezyą całą prozę życia.

„Było wszakże w Maryi coś, co ją odróżniało od innych jéj rówieniczek: miała z ojca usposobienie do rozmyślania i refleksyi, do egzaltacyi moralnéj i religijnéj".

„Szanowny doktor Hopkins, tak się nazywał pastor miejscowy, był jéj duchowym przewodnikiem; on jéj rozwijał teorye Edwardsa, o naturze prawdziwéj cnoty.

„Z pojętnością prawdziwie kobiecą umiała Marya uchwycić subtelną poezyą tych szczytnych abstrakcyj, których przedmiotem są nieodgadnione tajemnice i nieskończoność, które jéj mówiły o wszechświecie, o wielkim jego Budowniczym, o ludzkości i t. p. Nauczyciel jéj z wielkością duszy łączący rzadką prostotę serca, dziwił się nieraz łatwości, z jaką to młode, nadobne dziewczę przebiegało wysokie sfery oderwanych pojęć, z bystrością uprzywilejowanych umysłów, odgadując często wnioski, do których on przyszedł dopiéro po długim i mozolnym ciągu rozumowań. Gdy ona zwróciła ku niemu swą twarz dziecinną a poważną, aby mu odpowiedzieć lub uczynić jakie zapytanie, zdarzało się czasem zacnemu doktorowi drgnąć mimowolnie, jak gdyby jaki anioł nagle mu się ukazał. Nie zdając sobie z tego sprawy ulegał jéj wpływowi, pociągnięty jéj urokiem, jak Dante urokiem Beatryki, wstępującéj w niebieskie przestworza".

Tym sposobem, jako nauczyciel, lokator i stołownik, ciągle mając przed oczami piękną dziewicę, piękną z duszy i z ciała, świątobliwy mąż uczuł ku niéj miłość, o któréj sam nie wiedział, miłość świętą jak jego missya purytańskiego kapłana, która tego rodzaju uczucia dopuszcza i uświęca. Zobaczmy, jak p. Stowe dotyka tego punktu.

„Mogłoż-to być, aby miłość dostała się do izby czcigodnego doktora, aby wniknęła w serce ogołocone z tych wszystkich marnych przyborów poezyi i romansowości, które zwykły materyał jéj czarów stanowią? Zaiste, tak się stało; ale miłość przyszła tak cicho i bogobojnie, krokiem tak ostrożnym i roztropnym, że poczciwy doktor nigdy nie podniósł nosa, aby

zobaczyć kto wchodzi. Biedak nie wiedział o niczém więcéj, jak że oddycha dziwnie lubém i wonném powietrzem. Z jakiegoż raju powietrze to pochodziło? Nigdy doktor nie przerywał swoich pobożnych rozmyślań, aby sobie na to pytanie odpowiedzieć.

„Nigdy nie zadał sobie pytania poczciwiec, czy Marya była piękną, lub nie; sumiennie nie mógł sobie powiedzieć, czy na nią patrzał kiedykolwiek: tém mniéj wiedział, jak się to działo, że teologiczne prawdy, jakie jéj wykładał, przybierały w jéj ustach cudowną, nieznaną mu w nich piękność. Gdy ona przy nim siedziała, przepisując w milczeniu zagwazdane jego rękopisma, które miał podać do druku, nie odgadywał, zkąd cała jego izba napełnioną była boską jakąś wonią, jak gdyby Marya na podobieństwo świętéj Dorotei nosiła niewidzialnie na piersiach wszystkie róże Edenu. Zapisywał pilnie do swego dziennika, jak cudowne rozjaśnienie ducha Pan mu tego dnia zesłał i jak mu się zdawało, iż jest wzniesiony nad ziemię w rozmowach swoich z niebem; nie zdarzyło mu się ani razu pomyśléć o aniele, który przyniósł to błogosławieństwo jego pracy.

„Nieraz przyrządzając masło i śmietanę, lub zagniatając placuszki na śniadanie dla doktora, Marya śpiewała urywki z starych psalmów. Poczciwy doktor zatopiony w swéj porannéj dewocyi, od czasu do czasu przysłuchiwał się temu pieniu i marzył to o aniołach, to o owym tysiącu lat, przez które dusze sprawiedliwych z Chrystusem na ziemi królować będą. A gdy przestawała śpiewać, odrywał nagle oczy od biblii, jak gdyby mu czegoś brakło. Co to było? nie wiedział: bo zaledwie mu przez myśl przeszło, że ten głos był miły dla ucha; nie zdawało mu się nawet, aby go słyszał. Przecież zostawał pod wpływem uroku i czuł się tak pełnym błogiéj radości i wdzięczności, że wołał gorąco: „Otworzyła się przedemną księga na najpiękniejszych ustępach i część mojego dziedzictwa jest dobrą".

Miłość ta, jakkolwiek niewinna i naiwna, nie mogła ujść czujnego i przenikliwego oka p. Scudder; nie mogła jéj się także nie podobać. Gdzieżby znalazła tak pod względem umysłu jak serca, godniejszego męża dla swéj corki, zdolnego bardziéj ją uszczęśliwić? A potém, wielce szanowny doktor, jakkolwiek był wysoki i chudy, miał twarz długą i dochodził już średniego

wieku; nie był przecie brzydkim w jéj oczach. Kiedy mu poprawiono perukę i sfałdowano jak się należy czarną suknią, miał postać wcale wspaniałą; a kiedy zapał wiary lub chrześciańskiéj miłości rozpromienił jego rysy, wydawał się nawet przystojnym. Czekała więc tylko sposobnéj chwili, w któréjby mogła wraz z ręką Maryi powierzyć mu jéj szczęście, pewna, że serce młodéj dziewicy nietylko nie będzie przeciwne temu połączeniu, ale owszem chętnie do niego się przychyli. Ale na nieszczęście często podobne rachuby matek bywają zawiedzione: często się znajdzie ktoś mniéj godny, co najzacniejszym kandydatom przy młodém sercu podstawi stołek i zawichrzy spokój rodziny. Tak się stało i tym razem.

„Marya ma kuzyna: to dosyć powiedzieć; a co gorsza, kuzyna trzpiota, wietrznika, z żywém czarném okiem, z jasnym włosem, spadającym na ramiona, z którym matka, zacna Ellen Marvyn, od samego dzieciństwa rady sobie dać nie mogła.

„Gdy dorósł, tyle był wart co będąc chłopcem. Nie miał wcale ochoty do nauki, ziewał nad książką; wyrzynał kotwice, zamiast przepowiadać konjugacye. Nikt nie mógł odgadnąć, jakim sposobem nauczył się czytać, bo nie widziano nigdy, aby usiedział na jedném miejscu tyle czasu, ile potrzeba, żeby się czegoś nauczyć. Umiał jednakże czytać, i korzystał z tego pożerając opisy podróży lądowych i morskich, oraz żywoty wojowników i admirałów. Na przekor ojcu, matce i braciom, zdawał się mieć szczególny talent do zabierania złych znajomości. Przyjaźnił się ze wszystkimi Tomami, Jackami, Jimami, Benami i Dickami, włóczącemi się po nadbrzeżach Newportu. Zdumiewał ojca szczegółową znajomością wszystkich brygów, skunerów i galliot w porcie stojących, i biograficzną wiedzą swoją o wszystkich Tomach, Dickach i Harrych należących do ich osady. Razu jednego nie wrócił do domu, i z listu, który przyniósł jakiś majtek, dowiedziano się, że się wyprawił na morze, na okręcie *Ariel*.

„Po upływie roku powrócił. Ustatkował się przez ten czas, zmężniał i wypiękniał tak, że serca połowy dziewcząt z okolicy rozgorzały ku niemu pierwszéj niedzieli, w którą się pokazał w kościele. Był czuły dla matki, jak kobieta, przeprowadzał ją wzrokiem, jak kochanek, wszędzie gdzie się ruszyła. Upokorzył się przed ojcem, przyznając się do winy, ale zarazem oświadczając niezłomne postanowienie trzymania się zawodu, jaki sobie

obrał, i rozdzielił pomiędzy wszystkich członków rodziny podarunki, jakie dla nich przywiózł z dalekich krajów.“

Można sobie łatwo wystawić, jakiego kłopotu zjawienia się takiego ladaco w sąsiedztwie nabawiło zacną p. Scudder. Przezorna matrona odrazu przewidziała niebezpieczeństwo, jakie zagrażało jéj córce i téj błogiéj przyszłości, jaką już dla niéj w myśli swojéj osnuła. To też nie zaniedbała uczynić wszystkiego, co było w jéj mocy, ażeby się młodzi ludzie nie widywali i ażeby wzbudzić w sercu Maryi odrazę do tego niesfornego młokosa. Ależ wiadomo, że ażeby coś uczynić tém pożądańszém, dosyć jest tego zakazać. Marya, wierna przedstawieniom matki, ubolewając sama nad zdrożnościami swego kuzyna, postanowiała zgoła o nim nie myśleć, chyba w modlitwach; ale ponieważ modliła się nieustannie, trudno jéj było o nim zapomnieć. Wkrótce miłość rozgościła się na piękne w sercu młodéj dziewicy, ale miłość taka, jak ją pojmuje p. Stowe, tojest upatrująca ideał w drugiéj osobie.

„Nie ten to młody marynarz, wesoły, przedsiębierczy, porywczy, nierozważny w słowach, szlachetnego serca, ale światowy w swych zamiarach i żądzach, był przedmiotem, który Marya namiętnie pokochała; nie on to stawał pomiędzy nią i Bogiem w jéj modlitwach: ale ideał człowieka szlachetnego i wielkiego, jaki sobie utworzyła; człowieka, jakim on mógł stać się z czasem: przedstawiał się on jéj okryty chwałą, jako wzór siły, biorącéj górę nad materyą, odwagi, która pogardza obawą honoru, niezdolnego skłamać, wytrwałości nieznającéj znużenia, tkliwości, opiekującéj się słabym, prawowierności religijnéj, która składa u stóp Najwyższego Pana i Zbawiciela skarb męzkiéj doskonałości. Takim był człowiek, którego kochała: w taki to królewski płaszcz wszelkiéj doskonałości przyoblekała indywiduum, zwane Jakóbem Marvyn, a co widziała, co wiedziała, iż mu braknie, to, z całym zapałem kobiety pełnéj wiary, prosiła Boga, aby mu udzielił.“

Postęp téj miłości nie mógł długo pozostać obcym p. Scudder: kilka pytań zręcznie rzuconych dało jéj poznać, niestety, że złe, którego się obawiała, które sądziła usuniętém, już się stało. Przerażona, otwiera oczy Maryi, wykazuje zdrożność tak skierowanéj skłonności; zaleca jéj modlitwę i pracę. Same też okoliczności popierają jéj troskliwość. Jakób wyjeżdża— wyjeżdża na trzy lata. Co z oczu to i z myśli, myśli sobie poczciwa matka; trzy lata, to palcem nie przekiwać: zapomni o nim

i wszystko wróci do dawnego. Ale jak często rozsądni ludzie mylą się w rzeczach serca! Zapomnieć zresztą kochance zdarza się, ale nie wtedy, kiedy kochanka jest bohatérką romansu.

„Czasami pani Scudder, z ściśnionem sercem, przypominała sobie spójrzenia i dźwięk głosu Maryi, w ów wieczór, kiedy ostatecznie o Jakóbie mówiły; przychodziło jéj smutne przeczucie, że w głębi tego młodego serca tkwi uczucie, którego nic zeń wyrwać nie mogło: a jednakże Marya zdawała się mieć humor tak jednostajny, tak spokojny, kształty jéj ciała rozwijały się i zaokrąglały z takim wdziękiem, śpiewała tak wesoło przy pracy, a nadewszystko tak stałe zachowywała o Jakóbie milczenie, że matka jéj nie traciła nadziei.

„Ach! to milczenie! Nie słuchajcie pochwał, jakie oddaje kobieta, by z tego sądzić o jéj sercu i nie pytajcie się, o kim ona mówi z uniesieniem; ale jeżeli jest jaki mężczyzna, którego ona dobrze znała, a którego imię nigdy z jéj ust nie wychodzi; jeżeli zmienia przedmiot rozmowy, kiedy o nim mówią—baczność! wtedy musi być coś w jéj sercu. Kiedy przez gęsty trawnik przechodząc, zobaczycie ptaszka, pokaźnie uciekającego przed wami, bądźcie pewni, że jego gniazdko nie jest tam, gdzie się zerwał; zostawił on je gdzieś daleko, pod pokryciem jakiéj kępiny, i przesunął się milczkiem przez trawę dla odegrania swéj naiwnéj komedyi.

„Gniazdkiem biednéj Maryi było wybrzeże, na które morze wyrzucało tysiącznobarwne rośliny, niby kawałki świetnego stroju Nereid. Nieraz siadała sobie gdzie na skale, o którą się fale rozbijały; słuchała ich ryku, ścigała okiem rzędy pian zrumienione ostatniemi promieniami słońca, a ponad lazurową płaszczyzną rozpoznawała żagiel, zaledwie tak wielki jak skrzydła mewy. Zdawało się jéj niekiedy, że się przed nią otwiera brama, prowadząca do wieczności, w jakąś bezdeń, tak przestroną i głęboką, że jéj myśl zgruntować nie mogła. Przestawała być wtedy młodą dziewicą w śmiertelném ciele: był to duch nieśmiertelny, ukorzony u stóp nieskończonéj piękności i miłości.“

Tak mijały dnie, miesiące i lata; papiery doktora nie podnosiły się wcale, i czas powrotu Jakóba zbliżał się. Aliści jednego dnia przybywa z Newportu majtek, z oznajmieniem, że okręt na którym płynął Jakób, rozbił się, i z całéj osady, on tylko jeden (to jest majtek) ocalał. Wiadomość ta uderza jak piorun całą rodzinę, a zwłaszcza Maryą. Biedne dziewczę szuka pociechy w modlitwie i pozornie odzyskuje spokojność. Po-

dwoja starania i uprzejmość dla matki, doktora i wszystkich ją otaczających, oddaje się jeszcze żarliwiéj uczynkom miłosiernym, staje się coraz bardziéj świętą na ziemi.

Półtora roku upłynęło od dnia, w którym owa fatalna wiadomość nadeszła. Ciągła bladość na twarzy i powolny ubytek ciała, są jedynemi śladami cierpienia Maryi. Pani Scudder, która uważnie śledziła walki tego zranionego serca, liczyła na to, że wpływ czasu i wiary zabliźni wreszcie tę ranę. A gdy jéj córka zdawała się już być zupełnie zrezygnowaną, zaczęła jéj mówić o potrzebie zapewnienia sobie losu. Marya z oburzeniem przyjmuje z razu myśl o małżeństwie, ale pani Scudder, tak mocno jéj wykazuje korzyści z tego związku, który jéj zabezpieczy starość, który daje wszelkie rękojmie jéj szczęścia i który wynagrodzi najlepszego z ludzi za tyle dowodów przyjaźni i poświęcenia, że nareszcie Marya ulega: pani Scudder przyspiesza przygotowania do małżeństwa; sąsiedzi uwiadomieni zostają o téj wielkiéj nowinie i doktor widzi zbliżającą się od tak dawna upragnioną chwilę. Już go od niéj tylko trzy dni oddzielają. Ale jeżeli od wieków ciała niebieskie nie przestają krążyć po niezmiennie zakreślonéj drodze, stalsze jeszcze prawo od tego, co rządzi ich biegiem, chce mieć, aby ukochany kochanek nie mógł ani być zabitym, ani spalić się, ani utonąć: Jakób więc nagle się ukazuje. Nie długo serce Maryi oddaje się z tego powodu radości; uczucie obowiązku staje na przeciwnéj szali i szalę tę przeważa. Marya mówi do siebie:—gdyby był za cztery dni przyjechał, byłby był mnie znalazł po ślubie; dałam słowo, jestem nim związaną, nie mogę się cofać. Czyni więc z swych uczuć ofiarę i oznajmia matce, że dopełni swego zobowiązania.

Nielitościwy romansopisarz byłby był na to pozwolił, iżby ten szlachetny akt poświęcenia został spełniony; byłby był nieszczęsną narzeczoną poprowadził do ołtarza, a potém skazał ją na powolne niknięcie i posuwanie się do grobu: pani Stowe nie była tak okrutną. Wysyła ona do doktora życzliwe Jakóbowi, czułego serca sąsiadki, kumoszki i sługi, które go o całym stanie rzeczy uwiadamiają. Doktor przepędza noc całą na modłach a nazajutrz wzywa do siebie panią Scudder, Maryą i Jakóba.

„Doktor siedział przy stoliku i wielka ulubiona biblia jego leżała przed nim otwarta; powstał i przyjął wchodzących z uprzejmą i uroczystą powagą. Przez kilka chwil trwało milczenie, nareszcie doktor podnosząc głowę, którą był zakrył rę-

koma, zwrócił się do Maryi, przy nim siedzącéj i rzekł: „wiecie, jak drogi i ścisły węzeł miał mię połączyć z tą przyjaciółką. Nie byłbym był godny zawarcia tego związku, gdybym był nie czuł w mojém sercu prawdziwéj miłości małżonka takiego, jakiego nam wskazuje Nowy Testament, małżonka „kochającego swą żonę jak Chrystus kochał swój kościół, za który oddał życie;“ w razie niebezpieczeństwa, któreby było téj kochanéj duszy groziło, byłbym był gotów dla niéj się poświęcić; inaczéj nie byłbym był godny zaszczytu, jaki mi czyniła. Mniemam, że jeżeli z dwojga małżonków jedno ma koniecznie dźwigać jaki krzyż lub ciężar, mąż, który jest na podobieństwo Boga stworzony, pod względem siły i wytrwałości na cierpienie, powinien go przyjąć na swoje barki, nie składać go na barki téj, która jest słabszą od niego: bo jeżeli on jest silny, to nie dlatego, ażeby ciemiężył tę, co jest słabą, ale dlatego raczéj, ażeby dźwigał jéj ciężar, tak jak to Chrystus dla swego kościoła uczynił. Odkryłem, dodał, rzucając wzrok pełen dobroci na Maryą, że jedno z nas dwojga, to jest to kochane dziecię albo ja, będzie musiało ciężki krzyż nosić na sobie, nie z własnéj winy, ale z świętéj woli Boga: niechże ten krzyż na mnie cięży! Maryo, kochane dziécię, będę dla ciebie ojcem, ale nie zrobię przymusu twemu sercu.“

Słysząc to Marya, nagłém wiedziona wzruszeniem, którego nie mogła być panią, zarzuciła mu ramiona na szyję, uścisnęła go i opierając się ze łkaniem na jego ramieniu, rzekła:— „Nie, nie: będę twoją, tak jak przyrzekłam.

— „Będziesz li mogła, kiedy ja nie chcę, lube dziécię? odpowiedział szlachetny mąż, z dobrotliwym uśmiechem. Zbliż się, młodzieńcze, rzekł do Jakóba tonem nakazującym; daję ci tę dziewicę za żonę. I odejmując od swego ramienia rękę Maryi, popchnął lekko młode dziewczę w objęcia Jakóba, który, przepełniony radością, przycisnął ją w milczeniu do piersi.

— „No, moje dzieci, rzekł wtedy doktor, rzecz skończona. Niech was Bóg błogosławi! Młodzieńcze, zabierz ją z sobą; wkrótce się uspokoi.

„Przed wyjściem, Jakób uchwycił rękę doktora i rzekł mu:— Ten czyn, panie, wymowniéj przemawia do mego serca niż wszystkie kazania. Nigdy tego nie zapomnę: niech was Bóg błogosławi!

„Doktor odprowadził ich zwolna aż do drzwi, zamknął je za niemi i na tém się skończyły jego zaślubiny”.

Radzibyśmy i my na tém zakończyć nasze sprawozdanie, bo aż do tego punktu wszystko się prześlicznie załatwiło i charaktery wszystkich osób powieści a zwłaszcza doktora, wyszły z swego zadania zwycięzko. Ale do końca powieści pozostają jeszcze dwa rozdziały, których osnowa nietylko psuje wrażenie tego co poprzedziło, ale nawet w rażącéj zostaje z tém sprzeczności. Dziwić się trzeba, że p. Stowe, która się tak miłosierną okazała względem Jakóba, iż go cudownym sposobem uratowała z morskich topieli, z doktorem, który przecież zasługiwał na większą sympatyą, obeszła się tak barbarzyńsko, iż go w dalszym ciągu powieści zniewala do dania ślubu rywalowi i to z najzupełniejszą spokojnością; wkrótce zaś potém żeni go samego i czyni ojcem licznéj rodziny. Cały efekt poświęcenia się doktora i cały krąg promienisty ideału, jaki go okalał, zaciera się tym sposobem i znika.

Otóż ogólny szkic téj powieści; zamknęliśmy go w szczupłych ramach, chcąc dać tylko wyobrażenie czytelnikom o treści dzieła i przytoczyliśmy niektóre wyjątki, aby dać poznać tegoż dzieła koloryt. Nie zaznajomiliśmy czytelników ze wszystkiemi występującemi w niém podrzędnemi osobami, chociaż niektóre są wcale zajmujące, jak np. murzynka Candace, która Maryą wypiastowała; pominęliśmy także wiele szczegółów mogących zainteresować, ale będących epizodami, boby to było przeszło granice, jakieśmy sobie zakreślili. Z tego wszakże pobieżnego rysu i z tych wyciągów będzie mógł czytelnik urobić sobie sąd o całości i wartości niniejszego utworu głośnéj autorki. Co do nas, mniemamy, iż książka ta jest niezaprzeczenie budującą i z wielkiém nawet zajęciem może być czytaną, zwłaszcza przez czułą żeńską publiczność. P. Stowe jest w istocie nieporównaną w malowaniu odcieni charakterów, w studyowaniu tajników serc, w przedstawianiu tych rozlicznych wewnętrznych sprężyn, które kierują ludzkiemi czynami. Poznajemy w *Narzeczonéj pastora* tę rękę, która z takim wdziękiem i talentem nakreśliła postacie Ewangeliny w *Chacie wuja Toma* i negra Tobiasza w *Dredzie*. Niniejsza zaś powieść ma tę wyższość nad tamtemi dwiema, że jest ujęta w pewną organiczną całość; że występujący w niéj aktorowie mają sobie naznaczone role, które wiernie przeprowadzają od początku aż do końca; gdy tymczasem tamte są raczéj zlewkiem luźnych scen, w których najrozmaitsze postacie przesuwają się tylko przed oczami widza, służąc jedynie za narzędzie

do wyrażenia lub poparcia politycznéj myśli autorki. Są wszakże dwie strony, które nas rażą w téj powieści, tojest: ultraromantyczny, że tak powiemy i teologiczno religijny pierwiastek. Miłość, jak ją p. Stowe pojmuje i przedstawia, zdaje się nam za idealną, za powietrzną. Gdyby tylko doktor i Marya tak kochali, moglibyśmy to objektywnie usprawiedliwić purytańskiemi zasadami, mistyczną egzaltacyą, która odrywa od ziemi pewne wyjątkowe usposobienia; ale w *Narzeczonéj pastora* wszyscy tak kochają: tak samo pani Scudder kochała swego męża, tak samo Wirginia Frontignac kocha Arona Burr. Jestto więc czysto subjektywne autorki pojmowanie miłości, na które my z naszéj strony zgodzić się nie możemy. Co większa, zdawałoby się, że i u saméj autorki wiara w taką miłość nie jest dość silną: bo gdyby taką była, nie widzielibyśmy doktora, wkrótce po szlachetném jego zrzeczeniu się ręki Maryi, zawierającego małżeński związek z inną kobietą; sama nawet eteryczna miłość Maryi dla Jakóba ma w sobie coś podejrzanego, boć Jakób nie jest czém inném, jak młodym, przystojnym chłopcem, zdolnym jedynie do natchnienia ziemską miłością.

Podobnież radzibyśmy byli widzieć tło téj powieści nie tak bardzo powleczone teologiczną barwą. Teologia i romans są to dwie rzeczy, dla nas przynajmniéj najzupełniéj sobie przeciwne. P. Stowe, jak się to okazuje z jéj dzieł poprzednich i z obecnego, trzyma się dogmatu tak zwanych *universalistów*, którzy twierdzą, iż Bóg wymierza zapewne karę grzesznikom; ale ta kara nie może być wieczną i wszyscy ludzie będą nakoniec zbawieni. Dogmat ten stawia p. Stowe, jako oppozyt zasadzie purytanów, wierzących w predestynacyą i w małą ilość wybranych. Zostawiamy tę kwestyą do rozbioru protestanckim teologom, sami zaś wolimy powtórzyć zdanie murzynki Candace, która wziąwszy swoję panią na kolana i kołysząc ją jak dziecko, rzekła, że nie należy sobie łamać głowy nad niektóremi rzeczami; że są rzeczy, których nie możemy pojąć, i że trzeba wierzyć, iż Bóg, który jest tak dobrym, nie narzucił nam warunków, któreby nasz byt uczyniły plagą, zamiast dobrodziejstwem.

O PTAKACH DRAPIEŻNYCH

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

IV.

JASTRZĄB KROGULEC Wodz. — *Astur nisus.*

Falco nisus et minutus Linn.— Accipiter nisus Pall.— Nisus communis Boie. —Sparvius nisus Vieil. - Daedalion fringillarius Sav.— Sokół krogulec Rzącz.— Jastrząbek, krogulczyk, przepiórnik, ptasznik gmin. L'epervier Buff.— Tiercelet hagard d'Epervier id (juv). Finkenhabicht, Sperber, Kleiner Habicht N.— Перепелятникъ Ross.— Krahulík Cz.

Dziób, głowa i nogi stosunkowo szczuplejsze jak u jastrzębia; pazury mocno zakrzywione, szczupłe i ostre; ogon długi, dosyć szeroki, w końcu równo przycięty; złożony, zawsze w końcu jest cokolwiek szerszy, jak przy nasadzie.

Długość samca 15″, siąg 25″; długość dzioba 8‴, wysokość w nasadzie 5‴; długość skoka 2″3‴, palca średniego 15‴, pazura u ksiuka 8‴, ogona 6″3‴. Długość samicy 16″—16″3‴, siąg 31″—32″, dziób 10‴, wysokość w nasadzie 6‴, długość skoka 2″6‴ palca średniego 1″7‴, pazura u ksiuka 10‴, ogona 8½.

Dziób błękitnawo czarniawy, w końcu czarny, ma na bokach białawą plamę, jak u jastrzębia; woskówka i obwody powiek zielonawe, nogi i tęcze żółte; szpony czarne.

Stary samiec z wierzchu jest modro popielaty; szeroka brew i plama na potylicy białe, śniademi końcami piórek upstrzone; policzki i szyja rdzawe; cały spód biały, na gardzieli wązkiemi pędzelkowatemi kreskami

rdzawemi upstrzony; na reszcie gęste faliste poprzeczne pręgi tegoż samego koloru; takie same nogawice; na białych pokrywach podogonowych rzadkie, poprzeczne, faliste prążki. Ogon cokolwiek światlejszy od płaszcza z sześcioma czarniawemi przepaskami, same końce sterówek płowo popielate; lotki ciemno śniade, od spodu białawe, czarniawo poprzecznie pręgowane.

Samica znacznie większa ma płaszcz mocniéj modry, ale ciemniejszy, gardziel białą z ciemno brunatnemi kreskami, na spodzie białym szersze poprzeczne pręgi, w ogólności śniade, i rzadko gdzie na nich rdzawy kolor przebija.

W pierwszém pierzu płaszcz samca jest brunatno śniady; każde pióro w końcu rudawo wązko obwiedzione na grzbiecie, a rdzawo na pokrywach skrzydłowych; wierzch głowy koloru płaszcza rudawo podłużnie plamisty. Brew i potylica biała, więcéj są przyćmione ciemnemi końcówkami piórek jak u starych; kark mocno rudawo plamisty. Policzki śniade, szaro gęsto upstrzone; cały zaś spód brudno biały, urozmaicony brunatnemi plamami: na gardzieli i szyi drobnemi, pędzelkowatemi, na piersiach grubemi, serduszkowatemi, mniéj więcéj rdzawemi w środku, na brzuchu grubemi poprzecznie falowanemi pręgami, na nogawicach subtelnemi, a na pokrywach podogonowych drobnemi strzałkami. Sterówki jaśniejsze od płaszcza, mają pręgi czarniawo brunatne, same końce spłowiałe i miejscami są rdzawo zafarbowane; na spodniéj stronie między pręgami ciemnemi są szare połyskujące. Lotki koloru, płaszcza ciemniéj pręgowane; od spodu białawe, rudawo zafarbowane; pokrywy podskrzydłowe podobnego koloru, brunatno drobno plamiste.

Samica większa i silniejszéj budowy, na płaszczu jest jaśniejsza, a spód ma szerzéj pręgowany i brudniejszy.

Ptak ten przez kilka zmian musi przechodzić, zanim dojdzie do właściwéj barwy: po pierwszéj zmianie traci rudawe obrzeżenie piór na wierzchnich częściach, a w miejsce tego dostaje białawych, bardzo wązkich obwódek, widocznych szczególniéj na świeżych piórach. W następnym roku traci i te obwódki: tym sposobem cały wierzch staje się jednostajnym, śniado popielatym;

spodnie zaś części, małe przez ten czas zmiany przechodzą. Po kilku dopiéro wypierzeniach przybiera właściwy modry kolor na płaszczu, który coraz daléj ku starości staje się wydatniejszym; stopniowo także i pręgi na spodzie ciała z wiekiem coraz więcéj rdzawieją.

Prócz wyżéj wymienionych zmian wiekowych ulegają wielu wypadkowym i nieprawidłowym odmianom. Dosyć często trafiają się indywidua z przemagającym rdzawym kolorem na częściach wierzchnich i cały spód mocno wówczas bywa rdzawy; bywają także podobne z wierzchu do młodych jastrzębi, od spodu płomykowato lub serduszkowato urozmaicone; zdarzają się nawet niekiedy białawe. Zdaje się jednak, że wszystkie te zboczenia znikają ku starości, gdyż pomiędzy ptakami staremi nie spotykamy tak wielkich różnic.

W puchowéj odzieży są zupełnie podobne do młodych jastrzębi i prócz tego, że są znacznie mniejsze, niczém się od nich nie różnią.

Jaja krogulca są krótkie, mocno pękate i dosyć rozmaite w zakończeniach: najpospoliciéj są nagle zaokrąglone w końcu grubszym i mniéj więcéj śpiczaste w cieńszym, lecz niektóre miewają oba końce prawie jednakowe. Pod względem ubarwienia zaś mnóstwo przedstawiają odmian: tło ich jest białe, mniéj więcéj lekko zielonawe, upstrzone w najrozmaitszy sposób plamami rdzawemi, ceglastemi lub koloru krwi spiekłéj. Najpospolitsze mają na sobie grube plamy, mniéj więcéj z drobnemi pomięszane, zebrane po większéj części w obrączkę przy jednym z końców lub w samym środku będącą; miewają także jeden koniec zupełnie zamazany. Inne bywają bardzo podobne do najzwyczajniejszych jaj orlikowych, tojest plamy na nich blade i drobne, mniéj więcéj gęste są na całéj powierzchni, przy jednym zaś z końców mają obrączkę prawie ciągłą bladego także koloru; inne znowuż są tylko drobnemi, dosyć blademi lub ciemnemi plamkami po całéj powierzchni mniéj więcéj jednostajnie narzucone; a jedno zniesienie posiadam popisane cienkiemi bardzo długiemi strychami tak zupełnie, jak jaja poświerek. Słowem, mnóstwo jest

odmian, których nawet i opisać niepodobna. Pod względem wielkości także są dosyć zmienne. Skorupa w środku jest zielonawa; pory gołém okiem widoczne. W każdém zniesieniu kształt i wielkość bywają prawie jednostajne, ale pod względem barwy mogą być najrozmaitsze odmiany. Długość od 1″6‴—1″9½‴, szerokość od 1″3‴—1″5‴.

Krogulec z powierzchowności i ubarwienia bardzo jest do jastrzębia podobny, jednakże porównywając bliżéj oba te gatunki, okazuje się, że budowa pierwszego stosunkowo jest znacznie szczuplejsza; różnica ta najwidoczniéj się okazuje na głowie, dzióbie i nogach. W żadnym innym gatunku ptaków drapieżnych krajowych różnice rozmiarów między samcem i samicą nie są tak uderzające, jak w krogulcu: samczyk nie większy jest od kukułki, do któréj tak dalece na pozór w kolorach podobny, że małe ptaszki mylą się i tak przed tą ostatnią uciekają, jak przed drapieżnym ptakiem; z tego to powodu powstała między łatwowiernem pospólstwem bajka, która dotąd w wielu miejscach się utrzymuje, jakoby kukułka na starość zamieniała się w krogulca. Samica zaś dorównywa wielkością sroce i tym sposobem łatwo przez nieznających się dokładnie na ptakach, może być uważana za inny gatunek; niektórzy nawet naturaliści wpadają w podobne błędy i koniecznie chcą między krogulcami dwa oddzielne gatunki postrzegać.

Prócz tak znacznych różnic między płciami tych ptaków indywidualnie jeszcze im podlegają, samice szczególniéj więcéj są jeszcze zmienne od samców i niektóre do znacznych rozmiarów dochodzą.

Krogulec należy do małéj liczby ptaków pospolitych w każdéj porze roku w kraju naszym; przez całe lato zamieszkują one w znacznéj ilości, rozproszone po wszystkich dużych i małych lasach, zawsze w pewném oddaleniu jedne od drugich; zdaje się nawet, że na zimę więcéj ich przybywa z krajów północnych. Mieszka w całéj Europie i w Azyi, dosyć jest także pospolity w Ameryce północnéj i widywano go także w północnéj Afryce. Lato przepędza w gęstych lasach

i rzadko z nich się wtenczas wydala, lecz przebywa ciągle w blizkości gniazda i tam tylko poluje; na zimę zaś wynosi się w miejsca więcéj otwarte i odwiedza ogrody i osady ludzkie, gdzie się wówczas najwięcéj ptastwo drobne gromadzi. Największym jest prześladowcą drobnych ziarnojadów, a mianowicie wróbli, które głównie prawie gnębi przez zimę. Znają też go one doskonale, i skoro go tylko który dostrzeże, ucieka i właściwym krzykiem drugie ostrzega; na to odpowiadają inne, i tak coraz daléj trwogę oznajmują: wszystkie natychmiast uciekają w gęstwiny i do budynków i gdzie tylko bezpieczne schronienie znaléźć mogą. W porze letniéj łowi prócz tego rozmaite inne drobne ptaszki, z większych zaś bekasy, przepiórki, kwiczoły, szpaki i t. p., a nawet samica odważa się w potrzebie na sójki, gołębie i inne podobnéj wielkości ptaki.

Przymioty ma dosyć podobne do jastrzębich: lot równie zwinny lecz niezbyt ścigły, wzrok dobry, pamięć, uwagę, zuchwalstwo i zapamiętałość. Najczęściéj wypatruje zdobycz zdaleka i napada niespodzianie, albo też odwiedza miejsca, w których spodziewa się ją znajdować. Przelatując po nad samą ziemią, po za płotami i rozmaitemi innemi zasłonami, zbliża się do zabudowań i nagle przeleciawszy nad dachem, wpada na gumna, okólniki i podwórza, gdzie zwykle ptaki małe po ziemi żywność zbierają; napadłszy je tym sposobem, goni pierwszego lepszego zmieszanego i przerażonego, i chwyta w podobny zupełnie sposób jak jastrząb, jeżeli mu się gdzie blizko skryć nie zdoła. Lubi szczególniéj napadać gęste stada ptaszków na ziemi żerujących i w takim razie najlatwiéj mu się powodzi: często schwyci na ziemi, nim się postrzegą; a gdy się zerwą tłumem, wpada między nie i często uderzeniem skrzydła lub skutkiem samego impetu strąci któregoś na ziemię i porwie z największą łatwością; zdarza się nawet, że prosto ze strachu spadają tak nawet oddalone od niego, że ani uderzenia, ani skutków rozpędu doświadczać nie mogą. Gdy jednak nie powiedzie mu się w pierwszéj chwili podobnego napadu, rzadko kiedy mu się już uda; widocznie się bo-

wiem mięsza, nie wiedząc, za którym się puścić i traci tym sposobem najlepszy czas dla siebie; a gdy się już ptaki oddalą i ochłoną ze strachu, trudno mu już dosięgnąć, nim się skryją w bezpieczne miejsce. Łatwiéj nierównie dogania ptaka pojedynczo uciekającego, lecz gdy tenże jest dosyć lotny i w górę ucieka, niepodobna mu go dopędzić; zawzięty jest jednak i długo zwykł gonić. Często tak się zapala, że wpada za ptakiem do środka budynku, lub też pod same nogi człowiekowi. W lecie wybiera mnóstwo ptasząt młodych z gniazd po lesie będących. Żywiąc się wyłącznie prawie drobnemi ptaszkami, których więcéj nierównie potrzebuje, jak gatunki żyjące zdobyczą, nie mniejszą od siebie, więcéj też musi na siebie pracować i po kilka razy dziennie uganiać się za niemi.

Gnieździ się w gęstych lasach, zarówno w iglastych jak i liściowych, w głębi jak i przy brzegach. Gniazdo ściele najczęściéj na drzewach średniowiekowych, a niekiedy nawet na sośniakach wybiegłych, zaledwie dopiéro na łaty zdatnych; zwykle w połowie wysokości, w konarach przy samym pniu, czasami zaś nierównie niżéj; widywałem już gniazda w gęstéj świerczynie, zaledwie na parę sążni nad ziemią będące. W kraju naszym, gdzie lasy iglaste są nierównie pospolitsze jak liściowe, rzadko bardzo ściele gniazdo na inném drzewie jak na sośnie, świerku lub jodle; przyznam się nawet, że prócz jednego lub dwóch umieszczonych na brzozie, na inném drzewie liściowém nigdy nie widziałem.

Gniazdo jego jest dosyć odmienne od gniazd wszystkich innych ptaków drapieżnych: najprzód ściele je z nierównie drobniejszych gałązek, bardzo płasko ułożonych i w nieregularnym obwodzie; sam wierzch bardzo płaski, wyściela drobnemi gałązeczkami świeżemi z drzew iglastych, z czego w skutek przegnicia, urabia się zbita massa do próchna podobna. Lęże się zwykle po kilka lat w jednem gnieździe i za każdym razem w podobny sposób wierzchnie posłanie urządza; jednak gniazdo to jest mniéj trwałe jak innych gatunków, nie tyle więc dba o nie, i chętniéj inne urządza, a czasem przerabia wronie na

swój użytek. Zacząwszy od początku maja, przez cały ten miesiąc i początek czerwca, ciągle się znajduje świeże zniesienia krogulców, składające się najczęściéj z pięciu jajek, rzadzéj zaś miewają po 4 lub po 6: niektórzy zapewniają, że bywa i 7, ale téj liczby nigdy nie znalazłem.

Oboje je zwykłym porządkiem wysiadują; twardo siedzą na gniaździe, nie tak jednak jak jastrząb; zwykle dopiéro po kilku uderzeniach w drzewo, zlatują, lecz zdarza się często, że pierwsze zaraz je wystrasza: strzału zaś nigdy nie przesiedzi. Siedzącemu na gniaździe ogon zawsze prawie wystaje. W ogólności tajemniczo się zachowują przy gniazdach: nie krzyczą przy nich, nie kręcą się i nie gonią wron lub innych ptaków jak to zwykły czynić drobne sokoliki; często jednak lubią się wzbijać w górę i krążyć nad lasem, a szczególniéj, towarzyszyć innym ptakom drapieżnym i razem z niemi bujać.

Chociaż krogulec małe bardzo wyrządza szkody w ptastwie, z którego człowiek ciągnie bezpośrednie użytki, z uwagi jednak, że żywi się wyłącznie prawie drobnemi ptaszkami, wyświadczającemi wielkie usługi przez niszczenie szkodliwych owadów i wszelkiego robactwa, i że będąc bardzo pospolitym w kraju dosyć ich jest wstanie wyniszczać, na tępienie zasługuje.

Krogulca używano także w sokolnictwie, na łowienie drobnego ptastwa; najkorzystniéj jednak może służyć do przestraszania i ułatwiania tym sposobem nakrycia siatkami.

BŁOTNIAKI Tyz.— *Circus. Lacep.*

Błotniaki kończą szereg ptaków składających dawny Linneuszowski rodzaj sokoła i przedstawiają grupę, zbliżającą się pod pewnemi względami do sów. Dziób ich jest dłuższy i szczuplejszy jak u jastrzębi, ze szczytem od nasady spadzistym, w końcu mocno zakrzywiony, na bokach miernie ścieśniony; brzegi szczęki wierzchniéj mają feston zaokrąglony, dosyć wydatny, a na brzegach dolnéj,

wcale nie mają wycięcia. Nozdrza okrągłe, podługowate, pokryte są szczeciami ku górze zawiniętemi; takież same szczecia tworzą pewien rodzaj brwi nad okiem. jak to już widzieliśmy u krótkoszpona. Nogi szczupłe, wysmukłe; skoki wysokie, nagie, pokryte z przodu i z tyłu rzędem tarcz, a z boków siatkowato; palce mierne, szczupłe, z brzuścami wydatnemi pod spodem, tarczowato na grzbietach pokryte; i szpony mocno zakrzywione, bardzo ostre, nierówne, a z nich tylny największy, zbliżają je do jastrzębi. Do podobieństwa tego przyczynia się jeszcze długi ogon, w końcu prawie równo przycięty. Skrzydła mają długie, z trzecią lub czwartą lotką najdłuższą. Głowę krótką, szeroką, z wierzchu przypłaszczoną; twarz całą otacza wkoło podobnie jak u sów szlara, przerwana na samym wierzchu głowy, utworzona z drobnych piórek odmiennego kształtu i mniéj więcéj kolorem się od znaczających od otaczającego ją upierzenia. Przestrzeń między dzióbem i oczami, rzadkim puchem i położystemi szczeciami pokryta, powieki gęstym drobnym puszkiem nabite.

Ptaki rodzaj ten składające przedstawiają obyczaje dosyć charakterystyczne i różniące je pod wielu względami od wszystkich poprzedających rodzajów. Nie trzymają się lasów, lecz wyłącznie w równinach przebywają; mało siadają na drzewach, lecz zwykle tylko po stożarach, pniakach, kamieniach i na równéj ziemi. Gnieżdżą się na ziemi między trawą, krzewiną lub trzciną: do budowy gniazd więcéj traw jak gałęzi używają. Lot ich zupełnie jest odmienny od wszystkich innych ptaków drapieżnych: nadzwyczaj lekki, zwinny, wahający, przypomina pod pewnym względem rybitwy lub mewy. Za wyszukaniem żywności najczęściéj kręcą się nad samą ziemią w rozmaitych kierunkach i ciągle w jedne miejsca najstaranniéj wracając, pracowicie całą okolicę obszukują; można powiedzieć, że polując, wycierają pole jak dobry wyżeł. Upatrują w tych przelotach myszy, żaby, drobne ptaki, jaja i owady po gęstych trawach ukryte, i na te rzucają się nagle, porywają i na miejscu pożywają; następnie zaraz zrywają się napowrót i rozpoczynają podo-

bne starania. Żywiąc się głównie drobnemi istotami, po całych dniach prawie tak jak rybołówki lub mewy polować muszą. Niektóre gatunki gonią ptaki drobne z trawy wylatujące i na sposób jastrzębi dosyć sprawnie je chwytają; lecz to tylko jest wyjątkowe, bo na ziemi głównie żywność wyszukują.

Pomiędzy czterema gatunkami europejskiemi, samice i młode trzech gatunków tak są do siebie podobne, że przedstawiają wielką trudność w zdeterminowaniu; posiadają jednak stałe gatunkowe cechy, przez professora Blasiusa podane, w różnicach wycięcia kilku pierwszych lotek: te to cechy przy opisie każdego gatunku podaję.

Rodzaj ten niezbyt bogaty w gatunki, teraźniejsi naturaliści na dwa rozdzielają; nie ma jednak dobrych do tego powodów, tak blizkie są bowiem kształty i obyczaje tych ptaków, że w żaden sposób zgodzić się na ten podział nie wypada.

BŁOTNIAK BŁOTNY Jundz.— *Circus rufus.*

Falco rufus Linn.— Falco aeruginosus Gmel.— Falco arundinaceus Bech.— Accipiter circus Pall. — Busard de marais Buff.— Die Rohrweihe, Sumpfweihe, Rostweihe Niem. — Pochop. Cz.— Лунь камышевой Ross.

Dziób stosunkowo silniejszy jak u innych gatunków; nogi i pazury potężniejsze; we wszystkich stanach upierzenia szlara wyraźna; złożone skrzydła równają się z końcem ogona, trzecia i czwarta lotka najdłuższe, druga z piątą równe. Wycięcie chorągiewek wnętrznych na czterech pierwszych lotkach, a zwężenia chorągiewki skrajnéj na drugiéj, trzeciéj, czwartéj i piątéj. Na wierzchu i tyle głowy pióra dłuższe i ostrzejsze niż w innych gatunkach.

Długość samca cali 20, siąg stóp 4; długość samicy cali 22, siąg stóp 4 3/4; długość dzioba 1″ 1‴, wysokość w nasadzie 9‴; długość skoka 3″ 4‴, palca średniego 1″ 7‴; pazura u tegoż 8 1/2‴, ogona 9″ 9‴.

Dziób czarny, woskówka i nogi żółte, szpony czarniawe. Gatunek ten w upierzeniu wiele zmian przechodzi, nim dojdzie do barw właściwych; każdy wiek ma właściwe sobie odcienia i rozmaitości, dosyć także ulegające zmianom: trudno więc znaleźć dwa indywidua, któreby do siebie zupełnie były podobne. Młode tylko w pierwszém pierzu są jednostajne, oprócz tylko małych różnic na głowie: samice są wiecéj między sobą podobne jak samce.

Stary samiec ma tęcze czerwonawo żółte. Wierzch głowy białawy, upstrzony brunatnemi kreskami, mniéj więcéj wązkiemi, zajmującemi środek każdego pióra wzdłuż czarnéj stosiny; twarz mniéj więcéj płowo szarą, obwiedzioną białawą szlarą, drobno brunatno zrzadka upstrzoną; na karku pióra brunatne, rdzawo i płowo brzeżyste. Grzbiet, pokrywy skrzydłowe i barkówki brunatne. Szyja i piersi płowo białawe, brunatno płomykowane; brzuch rdzawy z podobnemi także płomykami; nogawice rdzawe bez plam, a pokrywy podogonowe brudno, płowo i białawo plamiste. Lotki pierwszego rzędu czarniawo brunatne; lotki drugiego rzędu, nadlotki i szrank skrzydła popielate; spód skrzydeł prócz końców lotek płowo białawy. Ogon płowo popielaty, od spodu białawo popielaty. Im ptaki są starsze, tém głowa ich i wyższa część spodu jest jaśniejsza i węziéj płomykowana; przeciwnie im młodsze, tém ciemniejsze.

U roczniaków tęcze są żółtawo brunatne; szlara ciemniejsza; szyja i piersi brunatne, rudawo plamiste; na piersiach prócz tego bywają białawe plamy. Brzuch, nogawice, pokrywy ogonowe i podogonowe rdzawe; sterówki mniéj więcéj brunatno z wierzchu naleciałe: reszta jak u starych.

Stara samica znacznie większa, tęcze ma żółtawo brunatne; wierzch głowy, twarz, podbródek i piórka szlary czysto białe; na wierzchu głowy stosiny czarne. Zresztą cała odzież brunatna, na piersiach, karku i barkach plamami białemi urozmaicona. Mniéj stare są światlejsze: białość na wierzchu głowy nie tak czysta, zwykle żółtawa, podłużnemi brunatnemi kreskami upstrzona; po-

liczki mają mniéj więcéj brunatnawe i plamy na piersiach większe jak u starych i mniéj więcéj rudawe.

Pierwsza odzież młodych jest jednostajna w obu płciach: cała jest brunatno kafowa, ciemna; jednych cały wierzch głowy, u innych sam tylko tył tejże, podgardle, plamy na karku i skrzydłach rude; niektóre miewają jeszcze takie plamy i na piersiach. Upierzenie to jest bardzo delikatne, miękkie i z wierzchu do światła ma metaliczny dość mocny połysk.

Pisklęta puchowe są czysto białe, nogi mają zielonawe i oczy czarniawe.

Jaja stosunkowo do wielkości ptaka za małe, nie wiele większe od krogulcowych, od którego sam ptak znacznie jest większy, a znacznie mniejsze od jaj pszczołojada, którego samica prawie jest równéj wielkości. Są czysto białe lub cokolwiek zielonawe, z bardzo słabym połyskiem, kształt i wielkość dosyć bywają zmienne, są mniéj więcéj podługowate, w cieńszym końcu znacznie zeszczuplone i mniéj więcéj zaostrzone.

Długość od 1″9 1/2‴—2″5‴ szerokość od 1″6‴—1″8‴.

Gatunek ten zamieszkuje błotniste okolice Europy, Azyi i północnéj Afryki; zbyt daleko na północ nie zalatuje a z krajów północnych i umiarkowanych usuwa się przed zimą; we Francyi południowéj i w innych krajach Europy południowéj corocznie zimuje. U nas bardzo pospolity, przez lato nierównie liczniejszy od dwóch innych gatunków tego rodzaju, i gnieździ się w większéj liczbie jak tamte. Późniéj jednak przylatuje, a wcześniéj zabiera się do odlotu; w początku dopiéro kwietnia zaczyna się pokazywać, a przy końcu lata jest już rzadkim; w późnéj jesieni, kiedy błotniaki zbożowe są jeszcze dosyć liczne, tych już wcale nie widać.

W okolicach błotnistych są najobfitsze, trzymają się głównie wielkich stawów, zarośniętych w znacznéj części trzciną i łozami, równie i na przyległych im łąkach i błotach; lubią także osiedlać się w zaroślach rozległych bagien. W czasie lęgowym najwięcéj się tych miejsc trzymają, tam się wyłącznie gnieżdżą i żywności szukają; w żniwa zaś podobnie jak inne gatunki wynoszą się w pola i po ścierniskach razem z innemi polują.

Lot jego podobnie jak wszystkich błotniaków jest powolny, jaskółkowaty; mniéj jednak lekki i zwinny jak innych gatunków; rzadko kiedy wznosi się wysoko, lecz szukając zdobyczy wałęsa się nad krzakami i trawami, zwykle wyżéj cokolwiek od tamtych.

Wylatuje często w miejsca otwarte a głównie na mokradle, lecz czasami i w zbożach zwykł szukać żywności. Ponieważ częściéj niż innym gatunkom zdarzy mu się zdobyć coś większego, nie potrzebuje zatém tak wiele jak tamte latać za pożywieniem, częściéj przeto odpoczywa po stożarach, nizkich krzakach, kopach i kępach.

Jada głównie gady, szczury, myszy, polniki, młode ptaki i jaja; szczególniéj w gniazdach kaczych i innych ptaków wodnych i błotnych duże szkody wyrządza: wzrok do tego ma tak wprawny, że upatruje ukryte w gęstéj trawie i krzewinie, a głównie wtenczas, gdy samica nagle z nich spędzona nie ma czasu starannie ich przykryć; gdy ptak siedzi na gniaździe, częściéj je ominie; tak jest na to łakomy, że często innym błotniakom wyjada. Małe jaja całkowicie połyka, większym na miejscu rozbija skorupy, a same środki wypija. Gdy postrzeże kaczkę siedzącą na gniaździe, póty ją napastuje, uderzając z góry i drapiąc pazurami, póki się ta nie ustąpi. W porze lęgowéj prawie niczém innem nie żyje: każdy ubity w tym czasie ma pióra i dziób żółtkami powalane. Nie przepuszcza także młodym bardzo zajączkom, zręcznie także porywa z trawy kryjące się tam bekasy, przepiórki, młode kuropatwy i inne ptaki, twardo na ziemi dosiadujące: znaglony potrzebą odważa się na kaczki dorosłe, które udaje mu się niekiedy pokonać. Nigdy jednak nie widziałem, aby gonił ptaki w locie, na co się inne gatunki często odważają. Ptak ten byłby zapewne jednym z najszkódniejszych drapieżników, gdyby nie to, że w pewnéj tylko porze wyniszcza pożyteczne ptaki, i to po większéj części przelotne; wynagradza to w części w końcu swego pobytu na polach, lecz nigdy nie jest w stanie pokryć szkód pierwéj zrządzonych; zasługuje więc na szczególną uwagę myśliwych i tępienie wszelkiemi sposobami. Łatwo go bardzo odróżnić zdaleka nawet i we wszystkich stanach od innych gatunków, których

zasługi przeważają znakomicie szkodliwość, a tém samém zasługujących na ochranianie; bicie go zatém nie może sprowadzać szkodliwych omyłek. Chociaż jest dosyć ostróżnym, wałęsając się jednak po całych dniach, zawsze prawie dosyć nizko, często na strzał myśliwemu naleci. Młode wkrótce po opuszczeniu gniazd nie są wcale bojaźliwe a przeto łatwe do podejścia.

Należy do ptaków dosyć późno gnieżdżących się: zwykle dopiéro w połowie maja najwcześniejsze się niosą, a niektóre do połowy czerwca się ociągają. Umieszczają gniazdo w gęstych zaroślach łozowych lub w kępach trzciny; najczęściéj na kępie lub wysepce zabezpieczonéj od zalewu, na stopę lub dwie nad powierzchnią gruntu wyniesionéj; niekiedy na pniu lub wyrąbanym krzaku. Układa je suto z długich, suchych gałęzi olszowych lub łozowych, zmieszanych ze znaczną ilością trzciny i grubych traw; sam zaś wierzch wyściela tatarakiem i drobniejszemi trawami, także suchemi; środek pod jajami jest cokolwiek zaklęsły i popruszony własnym jego puchem.

Niosą 3—5 jaj, które oboje tak jak inne ptaki drapieżne wysiadują. Młode karmią samemi tylko myszami, żabami i ptakami; jaj bowiem donieść do gniazda nie mogą. Zostają na gniazdach, dopóki zupełnie nie wyrosną: najwcześniejsze zaczynają dopiéro wylatywać w połowie lipca; większa część w początku jeszcze sierpnia siedzi po gniazdach. Stare bronią gniazda dosyć odważnie, z podobnym krzykiem jak inne gatunki, ale nie tak uporczywie jak tamte, i rzadko kiedy można je zastać przy gniaździe, gdyż po całych dniach wałęsają się za żywnością. Po wylocie trzymają się przez jakiś czas w rodzinném towarzystwie, i wtenczas dopiéro rozlatują się, gdy nabiorą dosć wprawy do starania się o żywność; krótko już zostają po stawach i błotach, lecz zaraz w początku żniw przenoszą się na pola, gdzie myszy i inne zwierzątka drobne obficie wtenczas znajdują; do samego czasu odlotu podobnie zupełnie jak inne gatunki tułają się razem z tamtemi, i powolnie z pola na pole przelatując przenoszą się w inne klimaty.

BŁOTNIAK ZBOŻOWY Tyz. — *Circus cyaneus* Blas.

Falco cyaneus Linn. — Falco bohemicus, albicans, rubiginosus et ranivorus Auct. — Falco pygargus (samica i młode) Linn. — Accipiter variabilis Pall. — Strigiceps cyaneus Bonap. — L'oiseau Saint-Martin Buff. — Die Kornweihe, Halbweihe Niem. — Pilich Cz. — Лунь полевой Ross.

Dziób stosunkowo znacznie mniejszy i szczuplejszy jak u poprzedzającego; nogi wysmuklejsze; skrzydła złożone od ogona znacznie krótsze; w nich lotki 3 i 4 najdłuższe, zupełnie równe, 2 zaś równa 5, wycięcie chorągiewek wnętrznych i zwężenie skrajnych jak u poprzedzającego.

Długość samca cali 18, siąg cali 42; długość dzióba $10\frac{1}{2}'''$ wysokość w nasadzie $7\frac{1}{2}'''$ długość skoka $2''9'''$, palca średniego $1''1\frac{1}{2}'''$ pazura u tegoż $6'''$ ogona $8''6'''$. Długość samicy 19—20″ siąg 44″; długość dzióba $1''2'''$, wysokość w nasadzie $8'''$, długość skoka $3''2'''$, palca średniego $1\frac{1}{2}''$ pazura średniego $10\frac{1}{2}'''$, ogona 10″.

Dziób czarny z plamką białawą przy nasadzie żuchwy; woskówka, nogi i tęcze żółte; szpony czarniawo-rogowe.

Stary samiec ma głowę, cały wierzch ciała, pokrywy skrzydłowe, szyję, przód piersi i ogon siwo popielate; szlarę wkoło twarzy można tylko rozróżnić po odmiennym kształcie piórek; plecy i barkówki cokolwiek ciemniéj są miejscami odcieniowane; toż samo wierzch głowy, na czalu białawy kolor miejscami przebija z pomiędzy ciemniejszych plamek; dwie skrajne sterówki białe, śniado w poprzek pręgowane, daléj ku środkowi coraz więcéj zmieniają się w popielate i coraz mniéj pręgowane, same średnie nieprężgowane, spodnia strona wszystkich biaława. Cały spód zresztą czysto biały, u mniéj starych do pewnego wieku mniéj więcéj centkowany śniado lub rdzawo, coraz drobniéj ku starości, spód skrzydeł czysto biały, prócz lotek od nasady tylko białych, wreszcie tak czarnych jak z wierzchu.

Samica nierównie większa, często tak duża jak samica poprzedzającego: z wierzchu jest brunatna, na pokrywach skrzydłowych rudo plamista; wierzch głowy i kark ma rdzawo rudemi brzegami piór mocno upstrzony; brew i plamę pod okiem płowe. Cały spód płowo rudawy,

podłużnie brunatno płomykowany; płomyki te daleko większe na bokach i pokrywach podogonowych; nogawice jaśniejsze. Sterówki brunatne rudawo w poprzek pręgowane i takimże wązkim paskiem zakończone; ku środkowym pasy coraz więcéj są cieniowane brunatno popielatawym kolorem, a średnie zupełnie już tym kolorem są zastąpione. Szlara wkoło twarzy bardzo wyraźna, drobniéj centkowana jak otaczające ją pióra. Lotki brunatne ciemniéj w poprzek pręgowane, brzegi skrajnych mniéj więcéj popielato naleciałe; pokrywy skrzydłowe białe, lekko rudawo zafarbowane i brunatno drobno plamiste; spodnia zaś strona lotek biała wa między ciemno brunatnemi pręgami; pokrywy ogonowe czysto białe.

Samiec dwuletni różni się w kolorycie od samicy znacznie bielszym spodem ciała, węziéj i bladziéj płomykowanym—i bladym mocno spłowiałym kolorem brunatnym, na częściach wierzchnich. Gnieździ się już w takiéj odzieży.

Młode w piérwszém pierzu, z wierzchu brunatne, z każdém piórem rudawą obwódką oprowadzoném; brew i plama na potylicy płowo rudawa; spód jaskrawo rudy bez odmiany; policzki brunatne, sterówki popielato brunatne, czterema ciemno brunatnemi pręgami przepasane, od środka ku brzegom coraz więcéj przechodzą na rudawe, tak, że na ostatnich, prócz przepasek brunatnych, kolor tylko rudawy zostaje. Lotki czarniawo brunatne, od spodu płowe, brunatno pręgowane; pokrywy ogonowe białe.

Pisklęta puchowe czysto białe różnią się od poprzedzającego gatunku tém tylko, że są znacznie mniejsze.

Jaja nie wiele większe od krogulcowych, krótkie i mocno pękate, mało zeszczuplone w końcu cieńszym, bardzo gładkie i mocno połyskujące. Białe, rdzawemi mniéj więcéj ciemnemi plamkami dość obrzednio upstrzone, na niektórych jednak trafiają się płamy dosyć duże i liczne, a na innych prawie ich nie ma. Długość około 1″10‴, szerokość około 1″6‴.

Mieszka na rozległych równinach Azyi i Europy, z krajów północnych na zimę ku południowi się usuwa; z granic jednak Europy nie oddala się. U nas pospolity

a mianowicie na jesiennym ciągu bardzo obfity. W czasie wiosennych pierwszych roztopów już się zwykle pokazuje, a bardzo długo, bo do saméj zimy bawi, młode jednak nierównie wcześniéj od starych odlatują; w niewielkiéj liczbie zostaje na czas lęgowy; w niektóre niezbyt ciężkie zimy pokazuje się, nigdy jednak dłużéj nie zatrzyma się na miejscu, lecz tylko przeleci; na Podolu częściéj i w większéj ilości zimuje.

Jestto ptak bardzo zgrabny i ozdobny, samiec szczególniéj jest piękny; w locie zdaje się być zupełnie białym, końce mu tylko skrzydeł czernieją; więcéj do mew (1) i rybołówek zdaje się być w locie podobnym jak do innych ptaków drapieżnych; sposób lotu nawet pewne podobieństwo przedstawia: pławi się nieustannie nad samą ziemią, lekkim wahającym polotem, i dosyć podobnie jak wyżéj wymieniony błotniak, rzuca się na zdobycz. Na drzewach nie siada, a usiadłszy niekiedy na kępie, bryle lub kopie zboża, chwilę odpocznie i w dalszą puszcza się drogę.

Stary bardzo ostrożny: człowieka omija zdaleka, nie łatwo daje się podchodzić, wozem nawet trudno go podjechać; więcéj to zapewne pochodzi ze zbytniéj ruchliwości jak z przezorności i bojaźni, gdyż nigdy długo na miejscu nie posiedzi. Samice mniéj są ostrożne, a młode zupełnie nie bojące, często umyślnie do człowieka lecą, a mianowicie gdy psa przy nim zobaczą: lubią bowiem unosić się nad wyżłem wycierającym pole i gonić wystraszone przez niego ptaki.

Błotniak ten jada myszy, żaby, duże owady, jaja, młode ptaki; łowi także małe ptaszki na jajach siedzące, porywa nawet bekasy, przepiórki, młode kuropatwy i małe ptaszki, kryjące się po krzakach i trawach, z wierzchu na nie napadając; puszcza się także za ptakami wylatującemi z trawy i nieraz uda mu się schwycić, nie ma jednak zwyczaju długo ich gonić. Raz w mojéj obecności schwycił czajkę w locie, i odniósłszy ją paręset kroków zaczął rozszarpywać; lecz gdy go zacząłem gonić w chęci ubicia,

(1) Rzeczywiście do mewy śmieszki (Larus ridibundus) w locie bardzo podobny: kolor siwy wierzchnich części ciała, spód biały i czarne końce skrzydeł, taż sama prawie wielkość, nie jednego mogą w błąd wprowadzić.

odnosił ofiarę coraz daléj przeprowadzany przez gromadę czajek i szlamników, z wrzaskiem nacierających na niego i starających się ją oswobodzić; nie chciał jéj porzucić, lecz oddalając się coraz daléj, pożarł ją całkowicie. Widziałem także, jak samica porwała nurka małego (Podiceps minor) z gniazda na wodzie pływającego i na miejscu darła go w obec samca, wrzeszczącego przeraźliwie; następnie gdy ją spędziłem, unosiła coraz daléj między krzaki; po strzale dopiéro rzuciła napół napoczętego. Jaja wyjada głównie małym ptaszkom, z gniazd błotnych ptaków na otwartych miejscach wysiadujących, w kaczych zaś rzadko kiedy szkodę wyrządzi, latając bowiem najwięcéj nad zbożami i nagiemi łąkami, nie spotyka ich tak łatwo a przytém nie odważa się spędzać matki z gniazda, chociaż ją dostrzeże. Wszystko to, co się tutaj wyliczyło, za wyjątkowe i przypadkowe prawie uważać należy, myszy bowiem i polniki główną jego żywność stanowią; od początku żniw, gdy najwięcéj poluje po polach, nic prawie innego nie jada, a w lata gdy te szkodliwe zwierzątka rozmnożą się obficie i prawdziwie zagrażają klęskami wszelkiego rodzaju, błotniaki wszystkich gatunków zlatują się w niezwykłych ilościach i zatrzymują się póty, póki ich znakomicie nie przerzedzą. Zdaje się, że gatunek ten i dwa następne w krajach wschodnio-południowych Europy i w Afryce północnéj, gdzie nierównie są pospolitsze, jak w naszych stronach, ważne muszą wyświadczać usługi przez wyjadanie szarańczy; wnosząc z tego, że blizki ich bardzo gatunek amerykański *Circus histrionicus* głównie się niemi w pewnych porach żywi. Kto tylko miał sposobność bliżéj się im przypatrzyć i śledzić z uwagą ich postępowanie, nie może nie uznać nieocenionych usług, jakie rolnictwu wyświadczają, a szkody przez nie zrządzane, są tak mało znaczące w obec tychże, że za nic śmiało mogą być uważane. Ptak ten zatém na szczególne poszanowanie i opiekę zasługuje.

Gnieździ się najwięcéj w zaroślach, wśród łąk lub błot będących, a w niektórych okolicach między zbożami. Gniazdo ściele w dość podobny sposób, jak poprzedzający, częściéj jednak na równéj ziemi w miejscu

suchém, jak na jakichkolwiek wywyższeniach; dostatecznie różniące się, aby je w każdym razie z łatwością poznać. Mało bardzo używa gałązek: zwykle na kilku tylko od spodu położonych układa znaczną ilość wązkich lecz długich suchych traw błotnych, dosyć ściśle, i wyrabia tym sposobem gniazdo około czterech cali wysokie, około dwóch stóp szerokie, dosyć regularnie zaokrąglone, dosyć gładkie, trwałe i w środku pod jajami cokolwiek zaklęsłe. Samica niesie najczęściéj 4 jaja, niekiedy tylko 3. Tak twardo na nich siedzi, że można tuż obok niéj przechodzić, a ta się nie poruszy; za to téż samiec zbytecznie bywa troskliwy: byle tylko postrzegł człowieka w blizkości, leci ku niemu z krzykiem *ker-ker-ker*, w pewnych przerwach powtarzanym ciągle nabija i tym sposobem najczęściéj zdradza obecność gniazda. Samica jednak nie porusza się i póty uporczywie dosiaduje, póki się tuż na nią nie najdzie; straszona po kilka razy nie staje się ostrożniejszą. Przy dzieciach oboje są szczególniéj natarczywe.

BŁOTNIAK POPIELATY Tyz.—*Circus cinereaceus* Blas.

Falco cinereaceus Montagu.— Strigiceps cinereaceus Bonap.— Błotniak łączny Wodz.— Busard Montagu Temm. Die Wiesenweihe, Aschgraue Weihe Niem.—Moták Cz. Лунь голубой Ross.

Dziób podobny zupełnie jak u poprzedzającego, z hakiem jednak cokolwiek krótszym; ogon znacznie dłuższy, w końcu mocniéj zaokrąglony; skrzydła o wiele dłuższe jak u innych gatunków, złożone końcami po za ogon sięgają. Wycięcie chorągiewek wnętrznych na trzech tylko lotkach, zwężenie zaś skrajnéj na drugiéj, trzeciéj i czwartéj: tém się także odznacza, że początek tych wycięć jest nierównie odleglejszy od końców nadlotek, jak w innych gatunkach. Ciało w ogóle wysmuklejsze, jak poprzedzającego.

Długość samca 17″, siąg 44″; długość samicy 18—19″, siąg 45—46″; długość dzióba 9½‴, wysokość

w nasadzie 6½‴; długość skoka 2″4½‴, palca średniego 1″, pazura u tegoż 6‴, ogona 9½″.

Dziób i szpony czarne; nogi, woskówka i tęcze żółte. Stary samiec z wierzchu śniado popielaty z mniéj więcéj brunatnawym odcieniem; przód twarzy i szyja jaśniejsze, modrawo popielate; szlara niezbyt wyraźna odznacza się głównie kształtem piórek i słabą ciemniejszą pstrocizną; pokrywy skrzydłowe jaśniejsze od grzbietu, śniado plamiste; nadlotki i lotki drugiego rzędu jasno popielate, miejscami białawo popylone, przepasane dwoma czarnemi szerokiemi pręgami, z których na skrzydłach złożonych jedna tylko widoczna. Popielaty kolor szyi daleko na piersi zachodzi, ku dołowi coraz więcéj poplamiony rdzawo brunatnawemi, blademi plamami; brzuch, boki i pokrywy podogonowe białe, długiemi płomykami rdzawemi gęsto upstrzone; na nogawicach czysto białych płomyki są bardzo zwężone i znajdują się tylko na długich, bocznych piórach. Dwie średnie sterówki brudno popielate bez odmiany; następne białe od nasady, popielate w końcach i tak daléj stopniowo coraz więcéj białe, aż skrajne mają tylko chorągiewkę węższą od połowy i sam koniec popielaty, z szerokiemi, poprzecznemi, rdzawemi pasami na skrajnych, coraz więcéj czerniejącemi ku środkowi ogona; pasy te na spodniéj stronie ogona są o wiele bledsze, na skrajnych sterówkach jest ich 5, na następnych 4 a daléj po 3. Lotki czarne, pokrywy podskrzydłowe białe z plamami rdzawemi przy pachach, najdłuższe zaś mają parę czarniawych przepasek.

Samica i młode w pierwszéj odzieży niczém się w upierzeniu nie różnią od poprzedzającego gatunku; można je tylko poznać po cechach wyżéj podanych.

Samiec w drugim roku niepodobny już jest do ptaka poprzedzającego gatunku w tymże samym wieku; zmiana, któréj ulega skutkiem wypłowienia piór, nie jest tak znaczna, jak u tamtego. Na wierzchu ciała jest jednostajnie światło brunatny, bez śladu rudawych obwódek, spód cały płowo rudawy nie plamisty, szlara wyraźna wkoło twarzy płowa. Skrzydła i ogon jak przed zimą, różnią się tylko światlejszemi kolorami.

Pisklęta puchowe nic się nie różnią od poprzedzających. Młode powracają jeszcze na wiosnę w przeszłorocznem upierzeniu, zmienione tylko skutkiem spłowienia i zużycia piór; wcześniéj jednak zaczynają je zmieniać od starych: w pierwszych dniach czerwca bywają już mocno wypierzone i przybierają właściwe barwy; zawsze jednak można je poznać w drugiém pierzu po brzuchu, którego białość nie jest tak czystą, jak u ptaków starych i zwykle od piersi jest mniéj więcéj popielato pociągnięta.

Jaja są podobne do poprzedzającego, ale więcéj nierównie przedstawiają odmian tak pod względem wielkości jak i ubarwienia: na jednych białość tła jest zupełnie czysta, na innych brudna, żółtawa lub zielonawa; jedne są zupełnie bez plam, inne brunatno rdzawemi, lub różowo rdzawemi, ciemnemi lub blademi plamami upstrzone, podobne do niektórych odmian krogulca rzadko plamistych. Długość od 1″7½‴—2″, szerokość od 1″3½‴—1″6½‴.

Błotniak ten za jedno z poprzedzającym długo uchodził, Montagu dopiéro rozpoznał go; prócz znacznych różnic w kształcie i w upierzeniu samca, prócz cech, o których się wyżéj wspomniało, dostatecznych do uznania gatunkowego, pod względem obyczajowym znaczne także przedstawia różnice.

Mieszka na równinach Azyi wschodniéj i wschodnio-południowéj Europy; u nas wprawdzie rzadszy w ogóle od zbożowego, na lęgu jednak w równéj prawie bywa ilości. Więcéj się trzyma łąk i błot krzakami zarośniętych, jak otwartych i suchych pól. W locie zręczniejszy i zwinniejszy od tamtego, a z kształtu więcéj do jastrzębia podobny; pomimo to, że ma nierównie dłuższe od innych skrzydła, długość ta jednak skrzydeł pozornie się skraca w skutek znacznéj długości ogona. Łatwo także lecącego samca odróżnić od błotniaka zbożowego, najprzód po różnicy téj, którą się tylko co wymieniło i po kolorze znacznie ciemniejszym; prócz tego przestrzeń biała pod skrzydłami nierównie jest mniejsza, gdyż lotki od nasady zaraz są czarne. Za

wyszukaniem żywności lata podobnym sposobem jak poprzedzający, ale nie tak nizko nad ziemią.

Żywi się podobnemi przedmiotami, jak tamten i głównie je także po ziemi upatruje; zręczniéj jednak chwyta małe ptaki w locie; ptaszyna najprędzéj może uciec przed nim, jeżeli ciągle wynosi się w górę po nad niego; lecz przeciwnie, jeżeli chce się skryć na ziemi, najczęściéj ginie, bo nawet gdy zdoła wpaść w trawę, błotniak ten zawzięcie go szuka. W czasie żniw tak samo, jak inne gatunki przenosi się głównie w pola na myszy; młode i samice żadnym wtenczas sposobem poznać się nie dają. Podobnie jak poprzedzający gatunek wielkie tym sposobem usługi oddaje rolnictwu, równie zatém, jak tamten na poszanowanie zasługuje.

Gnieździ się podobnym zupełnie sposobem jak poprzedzający, z tą tylko różnicą, że zawsze tylko w zaroślach, na błotach i łąkach, nigdy zaś w polach. Gniazdo urządza takie same z traw suchych i mało bardzo gałęzi używa. Jaj niesie 3—5, i tak samo się przy gniaździe zachowuje.

BŁOTNIAK BLADY.— *Circus pallidus* Sykes.

Strigiceps dalmaticus Licht.—Falco dalmatinus Rüpp.— Strigiceps Swainsoni Smith.—Лун. степной Ross.

Skrzydła złożone od ogona krótsze, tak samo jak u poprzedzającego, wycięcie chorągiewek wnętrznych na trzech lotkach pierwszych, a zwężenia skrajnych na drugiéj, trzeciéj i czwartéj z tą różnicą, że zaczynają się one nie tak daleko od końca nadlotek jak u błotniaka popielatego, lecz w takiém położeniu jak u zbożowego. Ogon równie długi jak u poprzedzającego i równie w końcu zaokrąglony; sterówki skrajne o $^1/_2$ cala krótsze od następnych. Kształt ciała i wysmukłość jak błotniaka popielatego.

Stary samiec podobny z ubarwienia do błotniaka zbożowego: różni się bledszym popielatym kolorem na wierzchnich częściach ciała, głową białawą; pokrywy

skrzydłowe większe mocno są zbielałe; ogon bledszy nie pręgowany wcale, a spód skrzydeł czysto biały, daléj rozciągnięty na lotki. Dziób, nogi i tęcze jak u poprzedzających.

Samica i młode niczém się nie odznaczają od dwóch gatunków poprzedzających, mogą być tylko rozpoznane za pomocą wycięć skrzydłowych.

Jaja tego błotniaka, znane z licznych okazów dostawionych do zbiorów europejskich przez Hernhutów z Sarepty nad Wołgą, gdzie gnieździ się w znacznéj obfitości, są tak podobne do jaj obu poprzedzających gatunków, że niepodobna ich prawie rozróżnić: wielkość ich jest pośrednia, ale tak się schodzi z tamtemi, że nie można oznaczyć pewnych granic. Rzadko są zupełnie białe, lecz najczęściéj upstrzone plamami i kreskami rdzawo czerwonemi, niezbyt ciemnemi, w dosyć rozmaity sposób.

Gatunek ten w ostatnich dopiéro latach odróżniony od dwóch poprzedzających, zamieszkuje w znacznéj obfitości stepowe okolice Rossyi azyatyckiéj i wschodnio europejskiéj; w przelotach zalatuje na zachód; postrzegane już były w okolicach morza Czarnego, w Turcyi, w Dalmacyi, a nawet i w Niemczech; zawsze jednak młode tylko, starego bowiem samca nikt dotąd jeszcze w Europie nie widział. Zdaje się zatém, że i u nas bywać powinien i to mnie skłania do objęcia go w niniejszéj pracy, aby tym sposobem zwrócić uwagę krajowych obserwatorów.

Gnieździ się w stepach na ziemi w sposób do innych gatunków podobny.

Przymioty i obyczaje przedstawia wspólne z dwoma poprzedzającemi gatunkami; żywi się podobnemi istotami, a z powodu rzadkości nie może żadnego wpływu na rolnictwo krajowe wywierać.

PTAKI NOCNE.

Wszystkie sowy odznacza wielka głowa sutém upierzeniem nastroszona, oczy wielkie naprzód zwrócone,

otoczone naokoło gęstemi piórami mniéj więcéj tęgiemi, rozstrzępionemi, rozchodzącemi się promienisto wkoło całéj twarzy i kryjącemi w znacznéj części mocno zakrzywiony dziób aż poza nozdrza; twarz całą otacza całkowicie lub w części obwódka, utworzona z kilku rzędów drobnych pióreczek, odmiennych zupełnie budową a często i kolorem od otaczających je piór, szlarą zwana; piórka ją składające są zwykle zaokrąglone, gęste i niekiedy połyskujące. Wszystko to nadaje sowom wéjrzenie dziwaczne i oryginalne, im tylko właściwe.

Dziób sowi jest mocno zakrzywiony, w podobny sposób jak u sokołów, ulegający dosyć rozmaitym zmianom w różnych gatunkach; w miejscu woskówki mają także błonę powierzchowną, w któréj umieszczone są nozdrza mniéj więcéj nabrzękłe; lecz błona ta nie odznacza się odmiennym kolorem od dzióba i w żadnym gatunku nie pokazuje się z pod piór.

Nogi są mniéj więcéj kosmate, aż do samych pazurów: u jednych piórka są miękkie i sute, część pazurów ukrywające, u innych mniéj więcéj włosowate, także gęste, lub też sprowadzone do obrzednich szczeci, z pod których nagie obuwie przegląda. Palec skrajny zwrotny ku tyłowi, tym sposobem, sowa może siadając na gałęzi obejmować ją zarówno trzema, jak dwoma palcami od przodu według upodobania; uzbrojone są potężnemi, ostremi, mniéj więcéj zakrzywionemi pazurami.

Skrzydła długie, szerokie, zaokrąglone w końcu, dosyć przedstawiające zmian pod względem stosunkowéj długości pierwszych kilku lotek. Brzegi skrajnych przedstawiają także właściwość wspólną wszystkim gatunkom w tém, że końce promieni chorągiewek skrajnych są zadzierzysto pozaginane na pierwszéj i pewnéj liczbie następnych, przez co tworzy się pewien rodzaj ząbkowania. Całe upierzenie jest bardzo miękkie, wietkie i mniéj więcéj nastroszone.

Jako ptaki nocne obdarzone są zmysłem słuchu do wysokiego stopnia wykształconym: budowa też organów tego zmysłu jest pod wieloma względami odmienna i wyższa jak w całéj gromadzie. Sowy tylko same mają wyraźną konchę, tak jak u zwierząt ssących mniéj lub wię-

céj rozwiniętą, utworzoną przez fałd skórny otwór sam przymykający. Fałd ten mniéj lub więcéj obszerny, u niektórych połowę większą szlary obejmujący, wyłożony jest wewnątrz bardzo czułą błoną i może się dowolnie otwierać i stulać. Tém jednak różni się głównie to urządzenie od konch uchowych zwierząt ssących, że nie z tyłu jak u tamtych, ale z przodu otworu ucha jest ten rodzaj konchy umieszczony.

Z powodu zbyt obszernéj źrenicy i wypukłości oka są nadzwyczaj czułe na blask światła dziennego, i tego unikając kryją się powiększéj części we dnie w zacienionych miejscach; wyleciawszy dopiéro o zmroku, przez całą noc nieustannego ruchu używają. Nie wszystkie jednak gatunki są równie na to czułe: niektóre bowiem tak dobrze widzą we dnie jak inne ptaki, zawsze jednak obyczaje nocne zachowują; inne zaś tak dalece razi światło dzienne, że w ostatniéj dopiéro potrzebie z kryjówek wylatują i widocznie przez to cierpią.

Budowa kości przedstawia także właściwość wyżéj posuniętą, jak w innych ptakach, w tém, że są zupełnie czcze, jakby dęte, ze ścianami delikatniejszemi, więcéj zbitemi jak zwykle; czaszka nawet składa się z dwóch nadzwyczaj delikatnych blaszek, pewnym rodzajem blaszkowatéj siatki wypełnionych.

Postać sów jest pełna powagi, a twarz mniéj więcéj płaska z wielkiemi naprzód patrzącemi oczami, nadaje im wyraz roztropności i rozumu. Siedząc, przybierają zwykle nieruchomą postawę pionową, zwężającą się stopniowo od szerokiéj głowy ku ogonowi; mimo to ruchy mają nadzwyczaj żwawe i gwałtowne, gdy są poruszone jakąkolwiek namiętnością lub obawą; wykręcają głowę na wszystkie strony i błyskają wyłupiastemi oczami; mogą ją przekręcać zupełnie za siebie, a nawet więcéj jeszcze ku drugiemu bokowi. Napastowane przez nieprzyjaciela w razie niemożności ucieczki gwałtownie bronią się szponami i mocno kaleczą.

Tryb życia nocny przedstawia pod wszelkiemi względami wiele różnic obyczajowych od wszystkich innych ptaków, i wymaga odmiennych zupełnie przymiotów. Polując wyłącznie prawie nocami, kiedy wszystkie prawie

ptaki są uśpione, a ssące tylko drobne zwierzątka w ruchu, sowy temi ostatniemi głównie się tylko żywią a ptaki wyjątkowo tylko biorą, jeżeli gdzie którego na noclegu postrzegą. Niemając potrzeby gonienia zdobyczy lecz tylko napadania niespodziewanie, nie mają ani bystrości lotu, ani wytrzymałości, ani téj rzutności dziennym ptakom właściwéj; za to lekki i cichy, aby nie płoszył zwierzątek kierujących się więcéj słuchem i innemi zmysłami jak wzrokiem.

Sowy w ogóle są miejscowe i całe życie spędzają w blizkości miejsca urodzenia, prócz tylko kilku gatunków północnych, które z powodu braku żywności w najostrzejszéj porze roku muszą ustępować do umiarkowańszych okolic. Zawsze samotne, żyją w zupełném odosobnieniu lub w parach; na czas nawet podróży, gdy zwykle inne ptaki, nawet drapieżne łączą się w mniéj więcéj liczne towarzystwa, sowy zawsze pojedynczo wędrują i nigdy dalekich naraz przelotów nie odbywają; lecz posuwając się zwolna stopniowo zalatują tam, gdzie mają czas ten głównie przepędzić.

Głosy sów są rozmaite i dziwaczne: w porze weselnéj wabią się po całych nocach rozmaitego rodzaju hukaniami, syczeniem, chrapaniem lub gwizdaniem, bardzo nawet urozmaiconém w niektórych gatunkach. Głosy te w czasie ciszy i ciemności nocnéj szczególne wrażenie posępne i przerażające na słabe umysły wywierają; dlatego też stały się przedmiotem obaw i przesądów najrozmaitszych, i wyrodziły pewien rodzaj wstrętu i nienawiści ku sobie. W złości wszystkie gatunki chrapliwie syczą w połączeniu z mocném kłapaniem dzioba, tém mocniejszém i wyrazistszém, im ptak jest większy.

Wszystkie ptaki szczególnie sów nienawidzą, i to jest głównym powodem tak starannego ukrywania się we dnie; gdy bowiem którą postrzegą, zlatują się z krzykiem i sprowadzają przez to wszelkie ptaki, jakie się tylko w blizkości znajdują: cała ta różnorodna gromada ciągle wzrastająca nacierając ze wszystkich stron tak napastuje i niepokoi poważną, tajemniczą i spokojną sowę, że ta wszelkiemi sposobami chciałaby natręctwa tego uniknąć, a mianowicie gdy się zacznie zgromadzać

większe ptastwo, mogące dotkliwiéj dokuczać; mścić się jednak nie śmié w porze tak dla siebie niewłaściwéj. Najwięcéj nieprzyjazne sobie ptaki zapominają przy sowie wspólnych nienawiści i obaw, i jedynie są tylko zajęte widokiem powszechnie nienawidzonego ptaka; można nieraz widzieć drapieżne atakujące sowę razem z ptakami, których właśnie największemi są prześladowcami, nie zwracające na siebie wzajemnie uwagi. Nie można brać tego jedynie za zemstę za nocne rozboje, albowiem ptaki nierównie od sów większe i silniejsze, a przeto nigdy i żadnéj krzywdy od nich nie doznające, tak samo je napastują jak najsłabsze, a zatém wystawione niekiedy na ich napaści. Dziwaczna zapewne postać, straszne spojrzenie i niezwykłe ruchy, nienawiść tę sprowadzają.

W gnieżdżeniu sowy mniéj przedstawiają własnego przemysłu i pracowitości od innych ptaków drapieżnych. Same gniazd nigdy nie ścielą. Największa liczba gatunków gnieździ się w dziurach drzew, skał i budynków bez żadnego posłania, na barłogu tylko na miejscu znalezionym; inne zajmują puste gniazda po dziennych drapieżnych lub innych ptakach i bez żadnego przerabiania wysiadują w nich swe jaja; niektóre zaś gatunki niosą się na ziemi na suchéj trawie w miejscu będącéj, którą tylko ugniatają i nagarniają na nędzne dosyć posłanie.

Jaja wszystkich gatunków są czysto białe bez żadnych odmian, odznaczające się krótkością i prawie kulkowatą formą; można je tylko rozróżniać po wielkości, gładkości lub chropowatości skorupy.

Pisklęta sów są podobnie jak dziennych ptaków drapieżnych białym lub szarym puchem okryte. Gdy pióra całkowicie na nich wyrosną, w ogóle są już zupełnie do starych podobne, małe tylko niektóre gatunki przedstawiają różnice; nim jednak pióra całkowicie się wykształcą, wszelkie odmiany i plamy niezupełnie jeszcze na wierzch pokazane, tworzą zupełnie odmienną pstrociznę. Samice prócz wielkością niczém się w ubarwieniu nie odznaczają.

Mała bardzo jest ilość gatunków wyłącznie szkodliwych; większa nierównie wynagradza sowicie małe

szkody przez siebie zrządzane tępieniem najszkodniejszych istot, a największa żadnych szkód nie robiąc, wyniszcza w wielkich ilościach myszy, polniki i tym podobne zwierzątka. Przy szczegółowych opisach gatunków będziemy mieli sposobność przekonać się o tém i osądzić jak wielce te ptaki są użytecznemi.

Familia sów nierównie jest trudniejsza do podzielenia na rodzaje od poprzedzającéj: niepodobna w niéj trafić na równie naturalne grupy, jak w ptakach dziennych; któréjkolwiek bowiem części ciała cechę weźmiemy za zasadę podziału, zbliżymy gatunki najmniéj podobne, a rozerwiemy najbliższe siebie, i dojdziemy tym sposobem do najnienaturalniejszych rodzajów. Różnice obyczajowe sów są tak małe i tak wspólne gatunkom w różnych grupach, według rozmaitych zasad mieszczonym, że nic prawie w zadaniu tém nie pomagają. Śmiało możnaby wszystkie sowy obejmować w jednym rodzaju, gdyby nie to, że konieczność ułatwień oryentowania się w tak licznéj familii zmusza do pewnych podziałów.

Wszystkie cechy, jakie sowy przedstawiają, porównane z cechami innych familij i uważane ze względu wywieranego wpływu na ogólne przymioty i usposobienie ptaka, mają tylko ważność gatunkową; wziąwszy bowiem za przykład budowę tak ważnego organu, jakim jest ucho, którego znaczne różnice niektórzy ornitologowie spróbowali użyć za główną zasadę podziału sów, tak porozrywali i pomieszali gatunki podobne z niepodobnemi, że nietylko nie ułatwili, ale wiele utrudnili trafienie do ładu.

O ile naturalne ugrupowanie przedmiotów naturalnych jest pożyteczne w nauce, o tyle zbytnie rozdrabnianie, nie oparte na ważnych powodach, przykłada się tylko do zamieszania i utrudnień. Rozdrobnienie tak daleko posunięte, jak to widzimy na kilkunastu gatunkach sów europejskich, bardzo niekorzystne następstwa sprowadza; z gatunków tych nie wiele mniéj rodzajów utworzono, a gdyby jeszcze ściśléj zwrócono uwagę na odpowiednią ważność cech do podziałów tych prowadzących w innych familiach; każdy prawie gatunek oddzielny rodzaj powinienby stanowić.

Wchodząc przeto w wyżéj przytoczoną potrzebę podziału, mniemam, że kształt ogona, stosunek długości lotek, upierzenie nóg i brak lub obecność dwóch czubków uszami zwanych, na bokach wierzchu głowy będących, najwygodniéj mogą być użytemi za zasadę podziału; bo chociaż grupy tym sposobem utworzone nie będą zupełnie naturalne i nie tak ważne jak grupy ptaków dziennych drapieżnych, najmniéj pociągają za sobą niestosowności, a przytém najwięcéj są zdolne ułatwić determinowanie.

SOWA.— *Ulula* Cuv.

Ogon mniéj więcéj klinowaty, mniéj więcéj przedłużony, zawsze od złożonych skrzydeł dłuższy; nogi suto upierzone po same końce palców, albo po ostatnie stawy; lotka trzecia lub czwarta najdłuższa; dziób mniéj więcéj krótki, od nasady mocno zagięty.

Gatunki, które tym rodzajem obejmuję, zebrane z rodzajów Surnia Dum. Nyctea Steph. Syrnium Sav. i Nyctale Brehma, jakkolwiek nie tworzą zupełnie naturalnéj grupy, najwięcéj jednak do siebie zbliżenia pod wieloma względami przedstawiają, a większa część nie zasługuje pod żadnym pozorem na odosobnienie, tém więcéj, że nie ma drugich gatunków w innych nawet częściach świata, któreby mogły z nimi być rodzajowo połączone.

SOWA JARZĘBATA Tyz.— *Ulula funerea.*

Strix funerea Linn.—Strix nisoria, canadensis, hudsonia, ulula, doliata Auct.— Surnia borealis Less. — Surnia nisoria Dum.— Le Caparacoch ou Chouette à longue queu de Sibérie Buff.— Die Gesperberte Habichtseule Niem.— Sova krahujni Cz.

Dziób krótki, od saméj nasady mocno zagięty, do sokolego podobny; ogon mocno przedłużony i mocno stopniowany; w skrzydłach lotka trzecia najdłuższa; koń-

ce skrzydeł zaledwie do połowy ogona sięgają; upierzenie nóg sute po same pazury; szlara po bokach tylko głowy cokolwiek wyraźna. Kształt głowy najwięcéj do sokolego zbliżony; czoło mało jest podniesione i mało wypukłe, a promieniste okolenie oczów rozchodzące się na twarz, ma tylko od spodu i z boków, nie tak wyraźne i miejscami z krótszych piórek utworzone; tym sposobem więc upierzenie czoła bezpośrednio nad oczy zachodzi: szlara po bokach tylko twarzy wyraźna. Oczy stosunkowo są nierównie mniejsze jak w innych gatunkach. Szpony silne i ostre. Pióra w ogólności krótsze, twardsze i więcéj wygładzone na ciele, jak u innych sów. Brzeg lotki pierwszéj zadzierzysty; otwory uszów małe, okrągłe.

Długość samca cali 14, siąg cali 29; długość samicy 15—15½", siąg 31"; długość dzioba 11"', wysokość w nasadzie 6½, długość skoka 1", palca średniego 9"', pazura u tegoż 8"', ogona 7"6"'.

Dziób białawy, nasada tylko szczęki dolnéj szaro rogowa; szpony rogowo czarniawe; tęcze mocno żółte.

Tło na wierzchnich częściach jest oliwkowo szare; wierzch głowy upstrzony bardzo gęstemi kroplami białemi; boki szyi, kark, barkówki i niższa część grzbietu tak mocno biało plamiste, że kolor ten jest przemagającym; środek pleców bez plam, a na pokrywach skrzydłowych kilka ich tylko na brzegu. Twarz biaława, kreska nad okiem i długa pręga oddzielająca promienie twarzy od karku i boków szyi czarne; zresztą spód cały biały z plamą na gardzieli; z pasem złożonym z gęstych pręg falowanych, oddzielającym piersi od szyi i z gęstém, poprzecznem, dosyć subtelném falowaniem całego spodu, kolorem takim samym, jak tło na częściach wierzchnich; przez całe piersi między owém falowaniem i ciemną pręgą oddzielającą je od szyi, znajduje się pręga czysto biała, małemi tylko plamkami gdzieniegdzie znaczona. Upierzenie nóg brudno białe, szaro miejscami plamiste. Lotki koloru płaszcza z plamami białemi na skrajnych chorągiewkach i podługowatemi im odpowiadającemi na wnętrznych. Na ogonie bledszym od pła-

szcza dwanaście wązkich, białych przepasek i same końce także białe.

Samica większa z barwą mniéj czystą i wyraźną, a mianowicie brudniejszą na spodzie ciała.

Jaja eliptyczne szczupłe i podługowate, lub miernie podługowate i miernie pękate; w obu końcach wolno zaokrąglone; skorupa na nich gładka, miernie połyskująca; na niektórych ponalepiana bąbelkami.

Długość 1″9 ½‴, szerokość 1″3 ½‴—1″5‴.

Sowa ta tak ze względu kształtów jak i upierzenia jest jedną z najpiękniejszych krajowych gatunków. Mała płaska głowa, długi ogon i wysmukła postać zbliżają ją do ptaków dziennych, a pręgowanie spodnich części krogulca przypomina. Najwięcéj téż w obyczajach i przymiotach do dziennych zbliżona. W dzień przed światłem nie kryje się wcale i widzi daleko i dobrze; chociaż lata niechętnie, kieruje się w locie wzrokiem i zdaleka upatruje miejsca, na którém ma usiąść. Lubi szczególniéj przebywać w małych gajach przy błotach i w blizkości wód, a mianowicie w olszowych i brzozowych. Pomimo krótkości skrzydeł lot jéj nierównie zwinniejszy, a nadewszystko równiejszy jak innych sów; ostrożna i bojaźliwa, dosyć jest trudna do podejścia, zwykle zdaleka się przed człowiekiem zrywa i daleko ciągnie.

Pospolita jest w całym pasie północnym obu lądów; znajduje się obficie w całéj Syberyi, nie wyjmując Dauryi; w porze zimowéj posuwa się w części ku południowi i wtenczas aż do nas zalatuje w małéj ilości i nie każdego roku; w okolicach północnych kraju częściéj daje się postrzegać, jak w południowych; w Litwie w każdéj porze roku ma być dość pospolitą.

Żywi się głównie myszami i innemi drobnemi ssącemi. Naturaliści nie zgadzają się pod względem czasu, w którym poluje: jedni utrzymują, że tak samo we dnie jak i w nocy rzuca się na zdobycz; inni stanowczo temu zaprzeczają; ostatnie zdanie objawił także Pallas.

P. Wałecki, który przez pobyt w Dauryi miał sposobność bliżéj przypatrzyć się obyczajom téj sowy, udzielił mi następujących o niéj wiadomości. We dnie przesiaduje najwięcéj na brzozach, których kora tęż samą

mieszaninę kolorów białego ze śniadym przedstawia; drzewa tam w miejscach wilgotnych rosnące, przedwcześnie zwykle na pniu butwieją i naprzód tracą wierzchołek: na tych to przyłamanych pniach sterczących sadowi się najchętniéj i nieruchomie na pozór przesiaduje. Zwraca jednak ciągle uwagę na to, co się koło niéj dzieje, a mianowicie na podstawę pnia, bo tam myszy miewają zwykle swoje kryjówki wśród próchna wypełniającego wnętrze drzewa, lub nory między korzeniami. Na dostrzeżoną zdobycz spuszcza się nagle i porwaną na drzewie pożera. Do budynków, nawet w Syberyi nigdy się nie zbliża.

Ptak ten, gdzie się obficie znajduje, bardzo jest pożytecznym z powodu wytępiania szkodliwych zwierzątek, niszczących zboża, trawy i nasiona leśne. U nas tak rzadki, że żadnego wpływu ani dobrego, ani złego wywierać nie może; nie zasługuje tu zatém na szczególną uwagę, a przytém nie godzi się go tępić bez potrzeby.

SOWA BIAŁA Jundz.— *Ulula nyctea.*

Strix nyctea Linn.— Strix candida Lath — Nyctea nivea Daud.— Surnia nivea Blas.— Le Harfang Buff. — Die Schneeeule Niem. — Сыпуш бѣлый Ross.

Dziób potężny, mocno zakrzywiony, od saméj nasady w piórach całkiem prawie ukryty; nogi tak mocno kosmate, że szpony całkiem się prawie w pierzu chowają. Skrzydła nie wiele krótsze od ogona z trzecią lotką najdłuższą, czwarta równa z drugą; cały brzeg lotki pierwszéj zadzierzysty, na drugiej zaś, trzeciéj i czwartéj przy końcu tylko na zwężeniu. Ogon mierny słabo w końcu klinowaty. Głowa mierna, cokolwiek podobna z kształtu do poprzedzającéj, wypuklejsza jest z wierzchu z powodu stosunkowo większych piór; promieniste okrążenie oka daléj zachodzi ku górze z boków na stronie zewnętrznéj głowy, a przytém i oczy są stosunkowo nierównie większe. Żadnego śladu szlary w około całéj twarzy nie przedstawia.

Długość około 2 stóp, siąg stóp 4; długość dzióba 1″3‴, wysokość w nasadzie 10‴; długość skoka 2″, palca średniego 2 , pazura u tegoż 1″7‴, ogona 9½″.

Dziób i szpony czarne, tęcze żółte otoczone wkoło czarnym brzegiem powieki.

Ptak zupełnie stary jest całkiem czysto biały, ma tylko na płaszczu i na brzuchu bardzo rzadkie i bardzo wypłowiałe prążki, prócz tego gdzieniegdzie na karku rozrzucone kropeczki wielkości prosa, i na lotkach perełki ciemne, kryjące się przy złożeniu skrzydła.

Młode pierwszoletnie są po całém ciele poprzecznie śniado i biało pręgowane tak, że na każdém piórze znajduje się kilka pasków ciemnych, szerszych od białych je przegradzających.

Po pierwszém zaraz wypierzeniu się twarz, szyja, tył głowy z karkiem, pokrywy podogonowe i nogawice są czysto białe; na całéj przestrzeni czoła dość gęste śniade krople; na całym płaszczu poprzeczne przerywane pręgi ciemno śniade, a na piersiach, brzuchu i bokach bledsze, węższe, lecz liczniejsze falowanie. Przy końcach sterówek dwa rzędy czarnych plam, oprócz dwóch z każdéj strony wcale nie plamistych.

Po każdém wypierzeniu się plamy zmniejszają się i blakną, lecz kilku lat potrzeba do otrzymania stałego już ubarwienia.

Sama odzież najlepiéj wykazuje, że sowa ta jest mieszkanką najwyższéj północy; rzeczywiście też zamieszkuje obficie polarne kraje Europy, Azyi i Ameryki; w Islandyi, w Szwecyi, w Norwegii, w północnéj Rossyi, w Syberyi bardzo pospolita. W porze zimowéj zwiedza niekiedy kraje Europy środkowéj; u nas bardzo rzadka, w zimie tylko roku 1858 na 1859 naleciała w takiéj ilości, że je w rozmaitych okolicach kraju bito i widywano; w Niemczech środkowych jeszcze rzadsza jak u nas; do Litwy corocznie w późnéj jesieni przybywa, a w okolicach Astrachanu bardzo pospolita; w Dauryi nie gnieździ się, lecz tylko w porze zimowéj w obfitości nalatuje.

Podobnie jak wszystkie ptaki północne jest wędrowna; wędrówki te jednak nie każdego roku jednakowo odbywa, a nawet nie we wszystkich w jednakowych wy-

konywa je ilościach; co jest niewątpliwie w związku z niezupełnie jeszcze wyjaśnionemi wpływami kosmicznemi. Nie można powiedzieć, aby sroższe zimy miały ją tém więcéj pobudzać do podróży; ostatni bowiem przykład pokazania się jéj u nas w przeszłym roku, podczas jednéj z najlżejszych zim, tak u nas jak w krajach więcéj północnych, oczywiście przeciw temu przemawia. W ściślejszym to niezawodnie jest związku z obfitością pokarmu; wiadomo bowiem, że wędrówki téj sowy odbywają się razem z wędrówkami drobnych, myszowatych północnych gatunków, jakiemi są: skandynawskie lemingi i sybirskie polniki gospodarne. Za niezliczonemi gromadami tych zwierzątek znaczne przestrzenie peryodycznie co kilka prawie lat, niewiadomo jeszcze dokładnie z jakiego powodu przebywającemi, sowy te pojedynczo nie zaś w małych gromadkach jak sowa krótkoucha (Strix brachyotus) postępują i znaczną ich ilość przez drogę wyjadają. Indywidua przybywające do nas, zapewne także dla braku żywności, ojczyznę swoją czasowo opuszczają.

Obyczaje téj sowy i natura pierza, zbliżają ją do dziennego drapieżnego ptastwa.. W najjaśniejszy dzień zimowy wcale nie widać, aby ją raził blask słoneczny, i wcale się téż nie kryje; lecz owszem zawsze w otwartych pokazuje się miejscach. Siada zawsze nizko, na słupach drogowych, płotach, kamieniach, a najczęściéj na równéj ziemi; lubi szczególniéj miejsca poorane późno przed samą zimą. Lasów unika, lecz zato często się przybliża do mieszkań ludzkich, a mianowicie odwiedza zagrody opuszczone, w których bydło lub konie hurtowały długo pod gołém niebem. W bliskości także skał często przebywa i czatuje na piszczuchy skalne (Lagomys); człowieka dosyć się obawia, i rzadko kiedy daje mu się zejść na piechotę: spłoszona, dosyć daleko odlatuje.

P. Wałecki, od którego poprzedzające także wiadomości obyczajowe o téj sowie posiadam, utrzymuje, że nigdy w ich żołądkach innego mięsa prócz kilkunastu myszy lub innych gryzących zwierzątek nie znajdował; z tego więc powodu w ogólném gospodarstwie raczéj za pożyte-

czną jak za szkodliwą uważać ją należy. U nas zaś tak jest rzadką, że żadnego wpływu wywierać nie może.

SOWA DŁUGOOGONOWA Tyz. — *(Ulula uralensis).*

Strix uralensis Pall. — Strix litturata Retz — Strix macroura Natt. — Ptynx uraleuse Blyth. — Syrnium uralense Sav. — Sowa uralska Wodz. Chouette de l'Oural Temm. — Die uralische Tageule Niem. — Sowa bělava Cz. — Неясыть уральская Ross

Ogon dłuższy od ciała, mocno stopniowany i klinowaty, w dwóch trzecich częściach skrzydłami przykryty; lotka czwarta i piąta najdłuższe i równe, trzecia równa szóstéj i bardzo mało krótsza od tamtych; brzegi pierwszéj i zwężenie drugiéj i trzeciéj mocno zadzierzyste; upierzenie nóg niezbyt sute po ostatnie stawy palców; szpony słabo łukowate, bardzo ostre. Głowa wielka, suto upierzona, oczy zdają się być mocno zapadnięte, wkoło otoczone kręgiem promienistych piórek; szlara całą twarz wkoło otaczająca, wyraźnie odznaczona. Całe upierzenie bardzo sute i miękkie.

Długość samca cali 20, siąg stóp 3 cali 5; długość samicy cali 21—22, siąg stóp 3 cali 7; długość dzióba 1″7½‴, wysokość w nasadzie 11‴, długość skoka 2″5‴ palca średniego 1″4½‴, pazura u tegoż 1″ ogona 13″. Dziób u żyjących morelowo żółty; szpony przy nasadzie żółtawe, w końcach rogowe; tęcze ciemno brunatne, prawie czarne; pięty i spód palców pomarańczowe; obwódka powiek blado karminowego koloru.

Przód twarzy jest brudno żółtawo biały, czarnemi promienisto rozchodzącemi się stosinami urozmaicony; otoczony biało rudawą szlarą czarno upstrzoną, najmocniéj po bokach głowy. Wierzch głowy, kark i plecy okryte piórami rudawo białemi, mającemi przez środek szeroki płomyk brunatny, kończący każde pióro; na głowie i karku plamy te stosunkowo więcéj miejsca zajmują, jak węższe od nich białawe brzegi, a przeciwnie na plecach ostatni ten kolor jest przemagającym; pokrywy skrzydłowe brunatno, biało i rudawo urozmaicone. Cały spód biało

rudawy, brunatno płomykowany; nogawice rudawe bez odmiany. Lotki brunatne, płowo poprzecznie pręgowane i zakończone; na pręgach tych miejscami przemaga kolor rudawy, miejscami popielaty lub brunatnawy. Na ogonie 7 pasów brunatnych, 7 płowych i takież końcówki; pasy te jasne na środkowych sterówkach są mniéj więcéj zafarbowane kolorem popielatym, a na dalszych brunatnym.

Samica prócz wielkości niczém się więcéj nie odznacza. Na pisklętach puch jest jasno czekoladowy (jak z mlekiem czekolada), końcówki białe, a zatém różnią się dostacznie od wszystkich sowiąt w gniazdowéj barwie, zwykle białych lub popielatych. Gdy w pióra porosną zupełnie, przybierają doskonałą odzież.

Jaja podługowate, z kształtu podobne do jaj błotniaka błotnego (Circus rufus), ze skorupą delikatną, gładką i połyskującą; pory mają nieznaczne; chropowatości dostrzedz nie można nieuzbrojoném okiem, długość 2″2‴—2″3‴, szerokość 1″9‴, pełne ważą 2 łuty 16 granów, wypróżnione 62½ gran. Porównywając te jaja z jajami następującego gatunku tak okrągłemi, można się dopiero przekonać o wielkości różnic między niemi, tak w kształcie jako też w skorupie; w pierwszéj są podługowate i gładkie a na obu końcach jednakowo zaokrąglone, w drugiéj chropowate i okrągłe.

Gatunek tu zamieszkujący obficie kraje północne starego lądu, głównie trzyma się górzystych miejscowości; bardzo pospolity w Uralu, gdzie pierwszy raz przez Pallasa był postrzeżony; daléj na wschód przez całą płaską część Syberyi jest rzadki; dopiéro na drugim jéj końcu zacząwszy od gór Jabłonnych przez całą górzystą Dauryą północną jest bardzo upowszechniony; znajduje się także w górzystych okolicach Norwegii, Szwecyi i Laponii. W środkowéj Europie jest nierównie rzadszy, jednak w górach szwajcarskich i francuzkich niekiedy postrzegany; hr. Wodzicki wykrył je w podgórzu karpackiém, i utrzymuje, że jest tam pospolitą w staropniowych bukowych lasach, i niemal wszędzie się gnieździ w lesistéj stronie wschodniéj części Galicyi. Według hr. Tyzenhauza, w Litwie się gnieździ i jest także dosyć pospo-

litą; w Królestwie zaś Polskiém jest wielką rzadkością: znam tylko jeden okaz krajowy, ubity w roku 1854 w porze zimowéj w lasach Iłżeckich, w gubernii radomskiéj; zdaje się jednak, że w północnych okolicach gubernii augustowskiéj, powinna być pospolitszą niż w innych częściach kraju.

Przebywa najchętniéj wśród rzadkich ale obfitujących w starodrzew lasów, i zwykle siada na najwyższych drzewach; do wsiów, jeżeli są w bliskości drzewa, zbliża się przed zachodem słońca a mianowicie w późnéj jesieni. Poluje przed zmrokiem, a nawet w dnie pochmurne jest bardzo ruchawa; nietylko że wśród dnia często przelatuje z miejsca na miejsce, ale widocznie zwraca baczną uwagę na otaczające okoliczności.

Lot jéj jest silny, ale pracowity i nierówny; po kilku drobniejszych rozmachach skrzydeł następuje jedno silniejsze poruszenie, a przytém trzyma ciało w locie w położeniu ukośném, tak jakby w zawieszeniu na skrzydłach tył ciała przeważał.

W drapieżności, sile i odwadze przewyższa wiele innych gatunków; następujące dwa przykłady zdolne są objaśnić, że nietylko żywi się drobnemi ssącemi zwyczajem innych sów, ale i nierównie większe zwierzęta napada; a zarazem dowodzą one oczywiście, że dzienne ma także obyczaje. P. Walecki powiada: że z pomiędzy kilku przykładów, których był świadkiem, najwięcéj maluje jéj drapieżność następujący wypadek. W listopadzie, gdy zając już zupełnie wybielał w Dauryi, wyszedł w towarzystwie trzech innych myśliwych, w gęstą bardzo, lecz małą kępę krzaków, tuż przy samych zabudowaniach folwarczku nad źródełkiem, w okolicy otwartéj rosnących; las modrzewiowy był za górą na pół mili odległy, a na południowym stoku góry rzadko rozrzucone koślawe i pochylone pnie czarnéj brzozy. Gdy po kilku strzałach jeden z gonionych zajęcy wysunął się na czyste pole i zaczął się kierować ku górze, nie wiadomo zkąd zjawiła się nad nim sowa długoogonowa i zaczęła go natarczywie ścigać i nabijać z góry; za każdém natarciem zając przewracał się na grzbiet i młócąc nogami przedniemi jak pałeczkami dobosza walecznie napad odpierał, za ka-

żdém odstąpieniem ptaka, zrywał się napowrót i daléj umykał. Manewr ten powtarzał się do ośmiu razy w obec świadków, którzy w tę stronę pobiegli; nakoniec zając jakby w skutek ostatniéj rozpaczy widząc ciągle zawieszonego nad sobą zawziętego wroga, zwrócił się nagle ku strzelcom i poległ od strzału, a sowa dopiéro się oddaliła. Wszystko to działo się przed zachodem jeszcze słońca; okoliczności miejscowe naprowadzają jeszcze na ten domysł, że gęstemi strzałami zwabioną została.

Drugi fakt, który także przytaczam, innym wprawdzie powodem wywołany, daje także wyobrażenie o jéj odwadze i wykazuje do czego jest zdolna. Hrabia Wodzicki, znany gorliwy ornitolog galicyjski, udał się w ostatnich dniach kwietnia roku 1851, do lasu dla wybrania dwojga piskląt téj sowy i pobicia starych. Po długiém nadaremném oczekiwaniu poszedł ogrzać się do ognia, gdyż było dokuczliwe zimno; gdy wtém piesek gajowego pobiegł do drzewa, w którego dziuplu były pisklęta, i nóżką chciał się do nich dobrać; w téj chwili, w biały dzień sowa rzuca się na niego jak sokół z szybkością błyskawicy i porywa w powietrze na jakie 30 stóp; obecni usłyszawszy skowyczenie psa, nadbiegli i krzykiem i strzałem uratowali tę ornitologiczną ofiarę. Skóra psa w miejscach, gdzie była ujętą, na wylot była przedziurawioną, a podniesienie tego kilkufuntowego ciężaru, nie zdawało się żadnego wysilenia ptakowi powodować.

Wyżéj przytoczony naturalista utrzymuje, że trudno wynajdować jéj jaja z powodu wczesnego bardzo niesienia się w porze, gdy śniegi utrudzają chodzenie po lasach, a przytém cichego zachowywania się przy gniaździe ptaka zwykle hałaśliwego. Głos samca donośny i żałosny można przyrównać do mięszaniny wycia puhacza (St. bubo) i puszczyka (St. aluco), ton zaś podobny do wabienia się grzywacza; głoskami można go w ten sposób naśladować *hu-hu-hu-huuu* długo przeciągnięte, po pewnéj pauzie zawsze dodaje *hu hu*; samica kiedy niekiedy odpowiada monotonnym *huuum* głosem wilczycy wyjącéj i to nigdy przy gnieździe, lecz w znaczném oddaleniu od tegoż: zdaje się, że to robi przez wrodzoną ostrożność, która te ptaki w czasie lęgu cechuje.

Mieszkańcy Syberyi w głosie jéj upatrują podobieństwo do wyrazu szubu i powiadają, że zbliżając się w późnéj jesieni do domostw, zaleca nieustanném tego przypominaniem, aby się zaopatrywali w ciepłą odzież na zimę.

Gnieździ się w Galicyi w dziuplach starych lip i buków i to niezbyt obszernych; hr. Wodzicki przekonał się, że siedząc na jajach lub na świéżo wyklutych pisklętach, ogon trzyma do góry oparty na ścianie dziupla. Dziuple te niekiedy są tak ciasne, że wierzyć trudno, aby ptak tak duży mógł się w nich pomieścić. Posłania na gniaździe prawie nie ma, proch tylko ze spróchniałego drzewa, gdzieniegdzie trawka sucha lub korzonek i piórko całą pierzynę stanowią.

Bardzo wcześnie gody weselne odbywa: w lutym już daje słyszéć afektowe wycia, a często w marcu lub w kwietniu, gdy pora ostra zbytnie się przedłuża, niesie 2 lub 3 jaja. Samiec równie jak samica do gniazda przywiązany, wyręcza ją w siedzeniu na jajach, po kilka godzin dziennie i traci w tym czasie pióra na brzuchu, lecz na nierównie mniejszéj przestrzeni.

Przywiązanie do potomstwa w znacznym stopniu okazują; po utracie jaj lub piskląt, żałośnie wyją i najczęściéj na długie lata te niegościnne lasy opuszczają.

Młode są pocieszne i oryginalne: chowane w domu trudniéj się do jedzenia wkładają i okazują się dzikszemi jak innych gatunków pisklęta. Syczą rzadko i innym tonem, za to mocno kłapią dzióbem jak puhacze; w głodzie wydają monotonny piskliwy ton *czit-czit*, przymrużają oczy i ustawicznie wykręcają głową. Pisklęta nawet okazują zbliżenie do dziennych drapieżnych, połykają wielkie kawały mięsa, gdy zaś te są zaduże, noszą go w dzióbie przez pewien czas, następnie kładą w szponę i szarpią na sztuki, lub chowają na potém. Dobrze w dzień widzą, gdy nie ma nikogo przy nich lub gdy się oswoją, w biały dzień wyskakują na rozmaite sprzęty a nie siedzą nieruchomo jak pisklęta innych gatunków.

Z rysów wyżéj przytoczonych pokazuje się, że sowa ta jest szkodna; z powodu jednak rzadkości uważać ją u nas należy raczéj za osobliwość jak za przedmiot do wyniszczania.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historya wolności religijnéj we Francyi, przez p. Dargaud.—Hugona przekład *Dzieł kompletnych Szekspira*: „Ryszard III", „Burza".—*Tragiczni Grecya*, przekład Leona Halévy.—Prawnuczka Racina.—*Historya Chorągwi*, dramat epiczny w dwunastu obrazach.—Wiadomości literackie.

Wydane przed dwoma miesiącemi dzieło pana Dargaud, *Historya wolności religijnéj we Francyi*, coraz większéj nabiera wagi. W chwili swego ukazania się, książka ta zwróciła tylko uwagę głębszych myślicieli; teraz, skutkiem zapewne że kwestye średniowieczne odżyły i stały się znów przedmiotem zaciętéj polemiki, dzieło, w którém autor uczenie i śmiało kréśli analizę sporów religijnych z XVI wieku, budzi zajęcie powszechne, jak broszura polityczna, dotykająca najdrażliwszych kwestyj bieżących, a raczéj wiszących.

Z tego powodu, chociaż już w poprzedniéj kronice wspominaliśmy o téj publikacyi, powracamy dziś do niéj, chcąc bliżéj zaznajomić czytelników naszych z książką, na którą się teraz często powołują ludzie, biorący tu czynny udział w wznowionych zapasach liberałów z Jezuitami.

Pan Dargaud, jestto historyk podszyty filozofem, jeżeli tak z francuzka wyrazić się godzi, nadto, pisarz poprawny: styl jego ma wiele jędrności i poezyi zarazem, co u prozaików francuzkich rzadko z sobą chodzi w pa-

rze. Posiada on także w wysokim stopniu zmysł dramatyczny, jak tego dowiódł dawniéj opisując *Życie Maryi Stuart*, a teraz *Rzeź św. Bartłomieja*.

Dotąd historya reformy we Francyi pisana była z wyłącznego stanowiska ortodoksyjnego lub protestanckiego, i wedle tego, jakiego autor był wyznania, przeklinano ją lub wychwalano nad miarę. Pan Dargaud piérwszy zapatrzył się na religijną rewolucyą XVI wieku z filozoficzno-historycznego stanowiska; piérwszy wykrył w tych krwawych dziejach nader ciekawą genealogią intellektualną; piérwszy, patrząc na nie z wysoka przez teleskop rozsądku, podłożył pewną zasadę pod tę czarną historyą, która gołém okiem widziana, wydaje się tylko pasmem mordów, intryg i gwałtów, dokonywanych w imię Boga.

Cóż bo to były za czasy! Istny rozbój nocny, podstępny i bezkarny. W saméj Francyi jakiż długi szereg zbrodni się roztacza: książę Guise wywołuje rzeź Vassy, Poltrot zabija Guisa, Balafré zabija Coligniego, Henryk III zabija Balafréta, jakóbin zabija Henryka III, Henryk IV zabija Ligę, Ravaillac zabija Henryka IV, i to wszystko robi się w imię Boga, na chwałę Bożą.... A jednak zdawałoby się, że Bóg człowieka w innym celu stworzył, a nawet wyraźnie mu powiedział: „nie zabijaj!"

Dargaud dowodzi, że inaczéj być nie mogło; że ten krwawy chrzest ludzkość odbyć musiała, żeby na lepsze losy zasłużyć; że wiek XVI musiał krwią swoją wypłacić okup nowoczesnego świata. Dzięki to temu puszczeniu krwi, ziemia obraca się dziś koło słońca, chemia spokojnie dmucha w ogniska, a para gwiżdże w przestrzeni; bez reformy czemże byłaby astronomia?—herezyją, o chlebie i wodzie w lochu trzymaną; czém chemia?—szatańskwem; lokomotywa?— wozem lucypera—Stephenson poszedłby na stos wraz z Berzeliuszem.

Daléj Dargaud zwraca uwagę, jak dziwne człowiek obiera sobie drogi, i twierdzi, że najczęściéj obraca się tyłem do miejsca, do którego zajdzie. Kolumb ambarkował się do Azyi, a wylądował w Ameryce; Luter chciał ujarzmić umysł ludzki, ale wyszedł z fałszywego punktu i ten fałsz właśnie zaprowadził go do odwrotnego bie-

guna. „Błąd upada, fakt zostaje," tak idzie świat, powiada Dargaud.

Wyrób myśli ludzkiéj ściśle z sobą złączony, ciągnie się nie przerwanie... Pojedyńczo brane doktryny czy ogniwa, nieraz wydają się absurdem; dopiéro z nich utworzony łańcuch oglądając, widzimy potrzebę i logiczną konieczność bytu każdego z tych ogniw.

Po prozaicznym Lutrze przychodzi Kalwin i posuwa doktrynę *łaski* aż do ostatecznego krańca, do *przeznaczenia*. Rób co chcesz, powiada, pracuj, zasługuj się jak możesz, nie będziesz przezto ani mniéj ani więcéj zbawiony, ani mniej ani więcéj przeklęty—jesteś, albo nie jesteś *wybranym*. Świat może się zawalić, a twe przeznaczenie nie zmieni się przezto ani na jotę, bo jest ci z góry przepisane na całą wieczność.

Tak dowodził Kalwin. Rozbierając teraz jego naukę, zdaje się, że taka teologia spycha człowieka niżéj zwierza, gdzieś aż pod trawę; nakazuje mu, jak jéj, słuchać prawa natury, z tą różnicą, że trawa o sobie nie wié, człowiek zaś mający samowiedzę, ma poczucie złego i dobrego, które, przy systemie predestynacyi, widziałby, nie mogąc go uniknąć ani dosięgnąć. Przyjąwszy teoryą *przeznaczenia*, trzeba także przypuścić, że Bóg dał człowiekowi duszę jedynie dla obdarzenia go jedném więcéj cierpieniem, niż resztę stworzenia.

A jednak teorya Kalwina była w swoim czasie bardzo potrzebna. Reforma musiała walczyć zbrojno z władzą, która nie chciała ani dyskutować, ani dowodzić, tylko brać i palić. Jedynie *ślepa* wiara w przeznaczenie mogła dostarczyć dość mocnych do takiéj walki rycerzy. Wychodząc z zasady przeznaczenia, każdy kalwin sądził się wybranym: zakryty puklerzem Boga, szedł więc odważnie na bój, szedł na mękę wesoło.... Źle mówię *wesoło*, gdyż kalwin nigdy się nie śmieje, ale spokojnie, niezłomnie i dzięki téj wierze w przeznaczenie, umierał śpiewając psalmy na chwałę Pana.

Kalwin, jak Mahomet, czynił z każdego wierzącego, żołnierza: doktryna jego wydała Coligniego, ideał rycerskiego bohatérstwa i zastęp żelaznych apostołów, którzy szczupłą swą liczbę nagradzali niespożytą siłą ducha.

Tento śmiertelny pojedynek garstki ludzi z wszystkiemi żywotnemi siłami narodu, Dargaud opisuje w sposób porywający, tak żywy, iż czytając go, uwierzyć trzeba na chwilę w metempsychozę i przypuścić, że autor przed trzystu laty w tych walkach ducha wyzionął.

Protestantyzm, zdaniem Dargauda, począł się na ziemi francuzkiéj pomiędzy literatami i stanem średnim, „który sam jeden po wszystkie czasy był gotów do przyjmowania udoskonaleń w rzeczach wiary". Późniéj wprawdzie, skoro protestantyzm wzmógł się, część szlachty chciała zaraz eksploatować tę siłę i przyjęła wiarę Kalwina z tego samego powodu, z którego jednozgodnie późniéj ją opuściła, tojest dla widoków osobistych.

Skoro kalwinizm dał ludziom *prawo* wierzenia, stracił przyczynę bytu i z nią razem upadła doktryna predestynacyi.

Po prawie do wiary, przyszło z porządku zdobywanie *prawa myślenia*. „Myślę, więc jestem! — zawołał Descartes—więc jestem! ale czém?" i brnąc daléj w herezyą dodał po cichu: „jestem dogmatem, kościołem". Pascal zrozumiał od piérwszego słowa znaczenie téj zasady i powiedział sobie: „ja téż myślę, więc *mógłbym być* tém wszystkiém," ale na samą myśl podobnego zuchwalstwa zakręciło mu się w głowie, przeraził się tak, że zakazał sobie myśléć, chciał nawet zaprzeczyć władzy myślenia, i w téj walce z samym sobą skonał.

Teorya Descartesa, która zabiła Pascala, wnet znalazła człowieka śmielszego, co ją daléj posunął. Descartes powiedział: „myślę, ale dla siebie i w sobie; niema myśl moja, to słońce mojéj celi, moja rozkosz, mój skarb największy... nie dam go nikomu i zabiorę z sobą do grobu."

Wtedy Voltaire zawołał z kolei: „Nie! nie dość myśléć po cichu, nie dość miéć rozum dla siebie i wskazywać go na przymusową bezdzietność! Trzeba myśleć głośno, myśléć wspólnie. Niechaj każdy powié, jak wierzy i w co wierzy, ażeby drugi mógł z nim się połączyć, spotęgować jego prawdę, lub fałszowi jego zaprzeczyć. Najlepszą religią jest wolność religijna, bo obok niéj nie ma hipokryzyi, nie ma obojętnych: każdy swą wiarę z sobą samym jednoczy i przepisy jéj pełni gorąco. Kto

wierzy chłodno, słabo działa: „qu'on croie *différemment* là n'est pas le mal; le mal, au contraire, est qu'on croie *indifféremment*"; bo wiara apatyczna zsuwa się po umyśle i nie wpływa wcale na postępowanie."

Tak mówił Voltaire. Wiek XVIII uwierzył mu na słowo; rewolucya wyryła wolność religijną na żelaznéj tablicy swych przykazań... a wyryła tak głęboko, że późniéj z jakiejbądź strony wiatr dmuchał na politycznym horyzoncie, choć zatarł wiele innych, téj wolności nie zmazał i została tak szanowaną, jak wtedy, kiedy poraz piérwszy objawiła się Francyi na rewolucyjnym Synaju.

Tak więc, wedle Dargauda, genealogia wolności religijnéj we Francyi następująca: Kalwin począł Descarta; Descartes począł Voltaira; Voltaire począł wolność sumienia.

Każdemu trzeba oddać co mu się należy, powiada autor; niechaj ludzie i dzieła zajmą swoje miejsca na słońcu. „Reforma dokonała w swoim czasie wszystkiego, czego dokonać mogła; wpadając bowiem w czysto teologiczną społeczność, z niéj musiała wyciągnąć nowy zwrot myśli; ale poślubiając starą teologią, ożeniła się także ze słabością: wprawdzie odrzuciła z niéj połowę, połowa jednak została. Niechaj teraz ktoś drugi daléj dzieło posunie, a trzeci jeszcze daléj. Przeszłość uczy, że taka koléj rzeczy. Na drabinie historyi każdy wiek na innym stoi szczeblu, a *prawda* od początku świata przechodzi z rąk do rąk, jak kamień mularza".

Taka jest główna myśl dzieła Dargauda, myśl poważna, na którą można się nie zgodzić, ale ją rozważyć warto, bo nowa. Niech jaki człowiek, długo patrząc w teleskop, odkryje małą plamkę na tarczy słonecznéj, wnet zdobywa prawo do uwielbienia powszechnego: odkrył gwiazdę! wołają. A cóż znaczy ludzkości jedna mniéj lub więcéj gwiazda w złotéj kurzawie firmamentu? w czémto może wpływać na losy nasze? w niczém. Ale jeżeli człowiek jaki z talentem znajdzie ideę, co więcéj znaczy niż gwiazdę, ideę, którąby oświeciła choć mały kącik kwestyi na porządku dziennym będącéj, temu najczęściéj i Bóg zapłać nie powiedzą; a jednak należy mu

się jeźli nie wdzięczność, to posłuch, bo jest pracownikiem postępu.

Mówiliśmy już na tém miejscu o przekładzie *Dzieł kompletnych* Szekspira dokonywanym przez Franciszka Hugo. Znakomita ta praca w równéj mierze posuwa się naprzód; rzec można bez przesady, że młody Hugo oddaje literaturze francuzkiéj tę samą przysługę, jaką Schlegel oddał niemieckiéj.

Dotąd wyszły cztery tomy przekładu: dwa piérwsze zawierają *Dwóch Hamletów*, *Sen nocy letniéj* i *Burzę*; w trzecim pod ogólnym tytułem *Tyranów*, tłumacz zgromadził *Makbeta*, *Króla Jana* i *Ryszarda III.*

Ostatnie te dwa dramata należą do działu sztuk historycznych Szekspira, obejmujących trzy wieki średnie: są to tragiczne annale Wielkiéj Brytanii. Z najeżonym włosem, bez tchu i nadziei, czytelnik chodzi za autorem po tym lesie katastrof i zbrodni, gdzie wciąż krew kapie, a głowy jak poschłe liście spadają; czy w tył, czy naprzód spojrzysz, wszędzie tam zdradę spostrzegasz i gwałty, wszędzie śmierć czyhającą na zdobycz z nienacka; wojny podobne do szczwalni, wojska okrutne jak zażartych psów sfora, zemsta nienasycona wciąż łapie ofiary na nagankę: a to wszystko odbywa się przy nieustannym akompaniamencie katowskiego młota, którego stuk po rusztowaniach rozlega się głucho, jak stuk siekiery walącéj odwieczne dęby w lesie.

Chwilami ów krwawy las straszliwemi zaludnia się widmy: jakieś głosy prorocze klną lub świadczą; wstają z grobu zamordowani książęta i jękiem skargi, lub grzmotem przekleństwa głoszą przepowiednie, albo pogróżki. Wtedy dramat milknie i zawiesiwszy nad karkiem ofiary topór, słucha, aż skoro przebrzmiały grobowe głosy, znów rozpoczyna dzieło zniszczenia: wojna domowa wybucha płomieniem, zgrzytają tortur narzędzia, a czytelnik rzucony znów w otchłań tego ziemskiego piekła, woła, jak król Lear do geniusza, co go z sobą ciągnie: „Boże! po cóż mnie włóczysz po tym twardym świecie"?!

Zaprawdę, *twarde* były czasy w Wielkiéj Brytanii, w epokach opisanych przez Szekspira. Dyssydenckie mordy jednocześnie dokonywane we Francyi, bledną obok tych królewskich zbrodni. Zdaleka patrząc, rzekłbyś stado drapieżnych ptaków, zażerających się na nadmorskiéj skale. Wieki średnie straszliwe wszędzie, w Anglii są przerażające. Król tam zawsze srogi; prawodawstwo okrutnie kręte, przypomina ową starożytną potworę, co zjadała ludzi w labiryncie; wojna tam krwawsza niż gdzieindziéj, bunt dzikszy, skomplikowańsza tortura i czarniejszy eszafot.

Od podbicia począwszy, widzimy przeciągającą przez tron angielski processyą samych złych i wyrodnych monarchów: Wilhelm każe wydzierać oczy każdemu, kto mu ubije jelenia; syn jego Wilhelm-Rudy gra w historyi podobną rolę, jaką odgrywał smok w starożytnéj tragedyi; Henryk II, zabójca świętego Tomasza, z ogromnym brzuchem i krwią zaszłemi oczyma, więcéj do bydlęcia niż do człowieka podobny: wpadłszy w gniew, kąsał swych paziów i gryzł słomę, którą miał pokój wysłany. Jan chciwy żydowskich pieniędzy, wyrywał im zęby po jednemu, aż póki złota nie wycisnął z nich aż do kropli. „Zwyczajem jest w naszéj rodzinie, mawiał Ryszard Lwie-serce, żeby syn nienawidził ojca; z szatanaśmy wyszli i do niego wracamy". Gofred brat jego znów powtarzał: „Przeznaczeniem naszego pomiotu zwada, nienawiść naszą spuścizną; żaden z nas jéj się nie zrzecze".

Jakoż ojcobójstwo i kaziorodztwo jest tradycyą monarchów owéj dynastyi; mord zdaje się być wrodzoną ich potrzebą, namiętnością rozwiniętą w lesie, gdzie na polowaniu życie spędzali. Są i w innych dynastyach zabójstwa, ale nigdzie tak bezecne. Zbrodnie greckie naprzykład, mają zawsze pewną wielkość, jakiś powód lub cel wysoki na swe usprawiedliwienie: krew, którą tam rozlewano, piękna jak purpura; ofiary padają jak Niobidesy przebite złotemi strzałami Apollina. Zbrodnie gotyckie przeciwnie, są zawsze brzydkie, często piekielnie trywialne. Szukając porównania w mitologii, można powiedzieć, że Oresta marmurowa ręka Nemezy

w grób wtrąca, a Ryszarda III szatański kozioł kopytem w dół spycha.

Nie wychodząc po za granice tronu, jakąż w owym czasie straszną girlandę ze ściętych głów w Anglii uwito! Edward II zabity sztabą żelaza rozpaloną przez własną żonę Izabellę; Ryszard II pada pod maczugą morderców Lancastra; Henryk VI zakluty przez Glocestera; syn jego Edward ubity przez Clarensa; Clarence utopiony przez brata w beczce małmazyi. Do téj królobójczéj seryi trzeba dodać jeszcze rzeź królewskich *niewiniątek;* Edward zastrzelony jak jeleń na łowach; książę Artur utopiony w rzece przez Jana; dwóch synów Edwarda zaduszonych poduszką. A któż policzy lordowskie głowy, spadłe w londyńskiéj wieży; kto zrachuje członków wielkich rodzin, których śmiercią naturalną była kaźnia: Buckinghamów, Sommersetów, Norfolków, Suffolków przez wszystkie pokolenia dziesiątkowanych królewskiemi razy.

Skoro wojny domowe ucichły, mord przybrał w Anglii pozory prawne. Prawo saksońskie „ta, jak je zowie Szekspir, czarownica, co gryzie zardzewiałe wędzidło, zabija wedle przepisów i wymrukuje po łacinie wyroki śmierci", odtąd trudniło się wysyłaniem ludzi na tamten świat. Na niém oparty Henryk VIII ścinał głowy swym żonom; Marya Tudor zgładziła Joannę Grey; Elżbieta Maryą Stuart i tam daléj, aż w końcu na téj niezmiernéj piramidzie rusztowań, co bezkarnie ku niebu przez wieki rosła, stanął eszafot Karola I i Opatrzność przyłożywszy tę pieczęć powiedziała: basta!

Wieża londyńska, miejsce tych wszystkich kaźni, sama jedna jeszcze tylko świadczy o prawdzie owych dziejów, które bez tego naocznego świadka jużby dawno do bajecznéj zaliczono historyi. Tam, na tak zwaném Białém Podwórzu dotąd stoi fatalny pień dębowy, przez całą szerokość połupany toporem: przy nim, na żelaznym przykuta łańcuchu leży siekiera czerwoną rdzą pokryta. Na tymto pniu kładły się kolejno najszlachetniejsze głowy całéj Anglii; nad nim naginały się nieugięte czoła i pieszczone lica, którym dziwnie twardém wydawać się musiało to ostatnie wezgłowie: Joanna

Grey z zawiązanemi oczyma długo małemi rączkami macała, nim je znalazła; Anna Boylen wskazując na wiotką szyjkę swoję, prosiła kata, żeby przeciął odrazu. Ileż dusz czystych z tego miejsca uleciało ku niebu! Powinniby Anglicy postawić teraz w kościele ten klęcznik męczenników, ten schód, który tyle już razy dotknął progu wieczności.

Najsroższe w historyi wypadki z woli Opatrzności, dostały za piewcę największego na świecie poetę Szekspira: on pobłogosławił męczenników swego kraju— wszystkie te ścięte głowy Melpomena pocałowała w usta.

Krwawą epopeę Anglii, Szekspir w dziewięciu zamknął dramatach, ale wszystkie jéj zbrodnie koncentrują się w jednéj: w *Ryszardzie III.*

Ryszard jest ideałem przewrotności angielskich wieków średnich: pod piórem Szekspira wygląda on jakby Tartuf zbrojny. Nigdy czarniejszy charakter lepiéj nie był zgłębiony. Szekspir pomieszał trzy własności najsławniejszych téj ziemi tyranów: *fałsz* Tyberyusza, *jad* Ludwika XI i *okrucieństwo* Borgii; z nich ulepiwszy głowę, dał jéj potworną twarz Ryszarda i jego usta sardonicznym wykrzywione śmiechem.

Fatalny ten potwór maluje sam siebie w dramacie: jakby unikając zarzutu potwarzy, Szekspir każe mu się spowiadać przed publicznością: „Ja, który jestem tak grubo wyciosany, mówi Ryszard, który nie mam ani majestatyczności, ani powabów, żebym się pysznił przed nimfą kokietką; ja, który jestem krótszy od zwykłéj miary, którego hipokrytka natura oszukała i posłała na świat przed czasem w nieforemnym, ledwie napół skończonym kształcie, tak koszlawym i połamanym, że psy na mnie szczekają jak idę; ja w téj miękkiéj epoce pokoju nie mam innéj przyjemności dla przepędzenia czasu, jak szpiegować swego cienia i opisywać własną szkaradę. Ponieważ tedy nie mogę być kochankiem, któryby zachwycał, w tych krasomownych czasach, chcę być zbrodniarzem, mącicielem tych dni błahych.“

Temi to słowy sam Ryszard maluje siebie, wymazuje się z rodu ludzkiego, ażeby dać sobie prawo prześladowania i nienawidzenia ludzkości.

Cały dramat jest rozwinięciem powyższego postanowienia.

W pierwszéj scenie zaraz widzimy Ryszarda zatrzymującego trumnę Henryka VI, prowadzoną przez synową, lady Annę. Ryszard zabiwszy króla i syna jego Edwarda, zakłada się sam z sobą, że uwiedzie wdowę swéj ofiary przy trumnie ojca. Nie ma żadnego interesu w téj grze dziwnéj: ot chce po prostu odbyć okrutne doświadczenie na kobiecém sercu. Anna z razu pluje mu w oczy: on nie zważa, i gada swoje; aż powoli, powoli, wściekłość uspokaja się w niewieście, przekleństwo cichnie, pogarda mdleje, i Anna przyjmuje pierścień tego, którego przed chwilą rozedrzeć chciała ze złości.

Cóż to za scena! A jaki po niéj monolog! Znane to wszystko rzeczy, więc zbyteczna je powtarzać; ale w istocie, trudno, odczytawszy świéżo te karty, od takiego oderwać się dzieła.

Po śmierci Edwarda IV, Ryszard uwolniony z krępujących więzów, z zabójczą rozwija się energią: otaczające go powietrze wnet zmienia się w truciznę: równie przyjaźń jego, jak nienawiść jest ludziom śmiertelna; wieść o blizkiém wstąpieniu na tron Ryszarda rozchodzi się po mieście, jak wieść o zbliżającéj się zarazie. Synowie Edwarda wjeżdżają do Londynu, ale ich wjazd królewski, któremu Ryszard towarzyszy, podobny raczéj do pochodu na rusztowanie. Wnet przez wzburzony motłoch kazawszy sobie podać koronę, Ryszard kładzie ją na głowę, knując morderstwo dzieci Edwarda. „Kto mnie od nich uwolni"? pyta. Buckingham, stary zbójca, rejteruje się przed taką zbrodnią; wołają Tyrrel'a: ten podejmuje się zabić — i dusi.

Tak Ryszard wedle swego programu bawi się aż do chwili, w któréj znużone jego czynami niebiosa, zsyłają nań klęski: Ryszmond wylądowuje i podburza przeciwko niemu naród i wojsko. Widma, które w wigilią bitwy wstają przed jego namiotem, poraz pierwszy i ostatni zamącają sumienie Ryszarda... ale brzask dzienny wnet rozpędza te mary. „Moje królestwo za konia!" woła, walczy do końca i umiera jak bohatér, bezkarny, nierozgrzeszony, w finalnéj zakamieniałości sumienia.

„*Burza*“ także nic z piękności swojéj w tłumaczeniu Hugona nie utraciła. Jestto podobno ostatnie dzieło Szekspira. Wyobraźnia czytelnika chętnie na to przystaje; rada widzi wielkiego poetę, zarzucającego kotwicę przed tą wyspą cudowną: wieszcz, co starł się w drodze z nawałnicą wszelkich namiętności ludzkich, na ten spokojny port zasłużył. W drodze wyrzucił on z okrętu wszystkie złości i kłopoty, które człowieka na tym podole płaczu ciemiężą, i do oazy niby do świątyni zawitał, czysty jak dziewica, któréj wizerunek tam skreślił, zacny i poważny jak król-wygnaniec, któremu tam mieszkanie wyznaczył. Żadna zła myśl, żaden czyn zdrożny nie zakłóca téj wyspy szczęśliwéj. Łatwo pojąć, że Szekspir poczuwszy na ziemi ten przedsmak nieba, jak Prosper, abdykował; jak tamten swe berło, tak on swe pióro złamał i rzucił w morze tak głęboko, że go ztamtąd żadna ręka ludzka nie wydostanie.

— Mówiąc o przekładach, wspomnieć należy o „*Grecyi tragicznéj.*“ Pod tym tytułem Leon Halévy wydaje tłumaczenie wierszem arcydzieł Eschyla, Sofokla i Eurypidesa. Pierwszy tom tego dzieła ukoronowała dawniéj akademia; drugi wydany teraz, zawiera pomiędzy innemi przekład *Jon'a* Eurypidesa. Ukazanie się téj tragedyi w języku fancuzkim narobiło wiele hałasu, z powodu, iż tłumacz utrzymuje, jakoby sławna *Athalia* Racina z tamtąd żywcem wykrojoną była. Pan Patin, jeden z najumniejszych krytyków francuzkich, w swych *Studyach tragików greckich* powiada tylko, że Racine *naśladował* Jon'a w *Athalii*. Tak Halévy jak Patin twierdzą, że Laharpe w swych komentarzach do *Athalii* fałsz napisał, kreśląc te słowa: „Pierwszy to i ostatni raz użyto dziecinnych wdzięków do urzewnienia tragedyi. *Athalia* jest bezprzykładnym cudem sztuki, bo nie miała *wzoru* ani naśladowców.“

Przekład pana Halévy przekonał, że miała *wzór* i podobna doń jak dwie krople wody. Każdy bezstronny czytelnik to widzi; ale Francuzi zazdrośni o chwałę swego ubóstwionego Racina, wolą raczéj zadać kłamstwo oczywistości, nazwać erudyta Patin'a, nieukiem, jak utracić

choćby jeden promień z tego słońca belletrystyki narodowéj, które Racinem zowią.

Przekład pana Helévy jest znakomity: z ogromnemi musiał się łamać trudnościami, żeby tłumaczyć wierszem na tak odmienny język, z zachowaniem wszystkich odmian rytmu i miary, używanéj w oryginalnych utworach trzech wielkich tragików greckich. Tom o którym mowa, złożony akademii, nagrodzony zapewnie zostanie na wiosnę.

Co do autora *Athalii*, zapisać tu należy fakt równie dla cieniów wielkiego dramaturga jak dla ludzkości pocieszający. Znalezioną w nędzy prawnuczkę Racina, Francya wychowuje i wyposaża składkowemi pieniędzmi. Jestto poniekąd uznanie i wypłata intellektualnego spadku, którego dotąd rodziny geniuszów nie dziedziczyły. Własność autorska w coraz tu realniejszych przedstawia się kształtach, co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną. Być nie może, żeby wiek XIXty, prostujący wszystkie niesprawiedliwości, odpychał zasadę, że sukcessya dzieł geniuszu winna być równie świętą jak sukcessya talarów, nagromadzonych przez spekulacye finansisty. W Paryżu tak dalece uznano już za słuszne, iż płody umysłowe są majątkiem pisarza; że rodzina autora może się nawet zadawnionych dopominać sukcessyj. Co dawniéj uważano za łaskę, lub wspaniałomyślną cześć dla zmarłego pisarza, dziś oddaje mu się poprostu jako dług nie zapłacony.

W końcu ubiegłego stulecia, Lebrun chcąc dopomódz ubogiéj wnuczce Corneilla, napisał do Voltaira odę. Sławny artysta mniemał, iż tylko dwunasto-zgłoskowym wierszem może przemówić skutecznie, tojest pozyskać serca możnych, w nędzy żyjącéj sierocie. Jakoż, na owe czasy, kiedy ludzie powinność z łaski pełnili, forma taka była potrzebna. Ponieważ wiersz był udatny, Voltaire odpowiedział drugą odą; a co większa, adeptował pannę Corneille, wychował starannie i wydał za mąż.

W roku 1853 już obeszło się bez ody. *Stowarzyszenie dramatyczne* czyli rada opiekuńcza paryzkich artystów, dowiedziawszy się, że prawnuczka Racina żyje gdzieś w biednéj mansardzie o chłodzie i głodzie, wzięła

ją pod swą opiekę i oddała na pensyą do klasztoru Urszulinek w Blois, gdzie od sześciu lat pobiera godną pradziada edukacyą.

Bez owéj ody i owéj opieki, która wyprzedziła brukselskie narady o literackiéj własności, wnuka Corneilla i prawnuczka Racina, mogły były obie pomrzeć z głodu przed drzwiami teatru francuzkiego, téj saméj chwili, kiedy publiczność paryzka okrzykami zapału wielbiła geniusz swych wielkich poetów i talent ich wyrazicieli.

Chénier kiedyś dziękując Voltairowi za dobrodziejstwo, wyświadczone pannie Corneille, powiedział: „*Ton génie acquitta la dette des Français.*“ Stowarzyszenie dramatyczne daléj posunęło kwestyą, bo spłaciwszy *dług Francuzów* wychowaniem wnuczki Racina, dziś żąda, już nie wierszem ale prozą, od wszystkich wielbicieli autora *Fedry*, ażeby mu dopomogli do zebrania dla niéj posagu. Cesarz Napoleon rozpoczął składkę: ofiarował 10,000, cesarzowa pięć, a cesarzewicz tysiąc franków; każdy literat francuzki podpisał się na téj liście; wielu dało po parę tysięcy franków, nie literaci dawali także: dość, że w kilka miesięcy uzbierano w saméj Francyi przeszło 100,000 fr.

Teatr francuzki i *Odeon* dadzą po dwie wspaniałe reprezentacye na korzyść panny Racine. Jest nadzieja, że mając tak sławne nazwisko, staranne wychowanie, urodę i posag, prawnuczka Racina wkrótce odpowiednią znajdzie partyą.

Ponieważ przykłady takiéj pomocy dość jeszcze są rzadkie, życzyćby należało, żeby prawo *literackiéj własności* rychło określono w kodeksie narodów, jak prawo do każdéj innéj własności; przepisy bowiem dotyczące téj kwestyi, choć już blizkie sprawiedliwości, jeszcze nie są takie, jakie być powinny. Prawa autorskie, obowiązujące obecnie w rozmaitych krajach, są następujące:

W Anglii prawo własności literackiéj służy autorowi przez dwadzieścia cztery lat za życia i siedm lat po śmierci; w Grecyi i Sardynii taż własność trwa tylko lat piętnaście od dnia ogłoszenia dzieła; w Belgii i Szwecyi dzieło staje się własnością ogółu we dwadzieścia lat po śmierci autora; we Francyi prawo autora trwa na

korzyść wdowy lub dzieci do podziału przez lat trzydzieści: na korzyść dalszych spadkobierców trwa tylko lat dziesięć. W Hiszpanii trwa przez lat pięćdziesiąt po śmierci autora; w Austryi, Bawaryi, Portugalii, Prusach, Saksonii i państwach Związku niemieckiego, prawo własności autorskiéj trwa przez lat trzydzieści po śmierci; w Danii toż samo, z tą różnicą, że nowe wydania muszą po sobie następować co pięć lat, inaczéj, własność autorska staje się własnością publiczną. W Stanach Zjednoczonych własność intellektualna trwa przez czternaście lat; toż samo prawo przedłuża się o drugie lat czternaście na korzyść wdowy, dzieci lub wnuków. Opinia publiczna domaga się teraz, żeby rodzina pisarza tak umysłową jak nominalną po nim schedę dziedziczyła na zawsze.

W *Cyrku* grają obecnie przepyszną sztukę: jestto nowa, wspaniale illustrowana edycya zwycięztw pierwszego cesarstwa. Bohatérką tego dramatu jest chorągiew, noszona i broniona przez trzech żołnierzy, rekrutów w prologu, a w epilogu grenadyerów. Pomysł wzniosły i prawdziwy. Bo cóż na świecie żywszego od chorągwi? cóż nad nią droższego? Chorągiew chodzi, drży, oddycha, ludzie najchętniéj oddają zań życie. Im więcéj podarta tém szlachetniejsza, jak twarz poorana bliznami; skoro jéj ostatni strzępek przy orle powiewa, wtedy chorągiew staje się relikwią, talizmanem narodu.

Nic rzewniejszego jak to bohatérskie życie, które wojna w narzędzia swe wlewa. Zwierzę i broń, co mu do zwycięztwa pomagały, żołnierz po wszystkie czasy za równe sobie istoty uważa. Cyd w pieśniach Romanceró w, rozmawia ze swemi szpadami jak z przyjaciółkami. „Ciebie, *lyzonie*, mówi konający wojownik, wyrwałem królowi Maurów przy oblężeniu Walencyi; ciebie Kollado, wytrąciłem hrabiemu Barcelonie odbierając Maurom Brianda pałace. Nigdym was nie spodlił, przeciwnie, w obronie chrześciańskiéj wiary zawsze tęgo saraceńską poiłem was posoką.“ Do konia swego babiesy, ideał rycerzy, rozstając się z tym światem, miał czulszą niż do kochanki przemowę; zrosły z nim za życia, w godzinę

śmierci odrywał się od niego jak popiersie centaura od swego grzbietu.

Chorągiew przedstawiana w *Cyrku*, z pierwszym ogniem spotyka się na arkolskim moście: na ręku Bonapartego przebywa owe francuzkie Termopile. Że wszystkich czynów wielkiego wojownika, ten choć nie największy, najjaśniéj błyszczy w jego epopei, bo zwycięztwo to jest jakby przedświtem słońca sławy. Późniéj, Napoleon wydaje się niby rzymski Cezar, poruszający z daleka ogromne wojska wedle strategicznych planów; pod Arcole wygląda jak geniusz wojny, wolny, improwizujący zwycięztwa, jak Grek na płaskorzeźbie, co z gronem walecznych wystaje na haftowanym błyskawicami pożarze wojny.

Następny obraz czyni wrażenie wizyi: przedstawia tytaniczną walkę stoczoną u podnóża piramid, walkę dziś nieledwie tak bajeczną, jak zwycięztwa Alexandra w Persyi i Indyach. Dziwny tu kontrast pomiędzy dwoma wojskami: wojsko francuzkie szare, koloru żelaza czy bronzu, zakreśla w pustyni niezłomne kadry; wojsko mameluków błyszczące od złota, wiejące piórami, wre i krąży jak spłoszone stado kolibrów. Orzeł chwyta egipskiego ibisa za gardło i dławi go spokojnie w żelaznych szponach. Rzekłbyś, że to partya szachów, którą Bonaparte gra z Harun-al-Raszydem: żelazne jego piony umiejętną posuwane ręką, obalają odrazu koralowe skoczki i perłowe wieże kalifa. Wschód tu walczy z Zachodem. Po jednéj stronie barbarzyńska fantazya, nie celne fuzye złocone, strzelają w powietrze, jeźdzcy na zbieganych koniach pędzą w bezładnym szale; po drugiéj, ściśnione szeregi, jak stal zahartowane w ogniu, pewne i niezwyciężone, strzelając regularnie idą do strategicznego szturmu. Rozważna odwaga i zimna krew wodza krąży w żyłach żołnierzy. Żywy obraz w Cyrku przedstawia tę chwilę, kiedy mameluki odbiwszy się o brygadę Marmonta, wegnani w Nil topią się w nim gromadami.

W drugim końcu sceny, obóz egipski cały w popłochu składa bagaże i gotuje się do ucieczki. Przepyszny nieład téj grupy bije w oczy: migają perskie dywany, z wywróconych kufrów perły się toczą, objuczone wiel-

błądy gną się pod ciężarem haremów; agi i beje uciekają prując końskie boki ostrogami, i cała ta wschodnia fantazya jak stado spłoszonych ptaków rozbija się o mur francuzkich bagnetów.

Dekoracya téj sceny przecudna! Piramidy rysują twarde trójkąty na tumanach wzburzonego piasku pustyni; na prawo lubieżny Nil toczy turkusowe wody, po których niegdyś pływała kolebka Mojżesza i rozkoszniejsza od muszli Wenery, złota łódź Kleopatry. Po nad nim, wyżéj, widać Kair, miasto cudów, zakreślające w płonącém powietrzu czterysta smukłych minaretów. Jestto nowa historya, oprawiona w stare jak świat ramy: w środku widzisz wojującą Francyą, bohatéra z pod Lodi, wojsko z pod Arkoli; w około rzekę koranu, mauzolea Faraonów, same starożytności, niby senne dziwadła.

Cyrk nadzwyczaj artystycznie przedstawił tę wiekopomną walkę.

Po bitwie *piramidalnéj*, chorągiew przeskakuje przez Austerlitz, Wagram i wchodzi tryumfalnie do Wiednia, gdzie jéj Napoleon krzyż swój przypina.

Po tém następuje odwrót z Rossyi, scena przerażająco-prawdziwa. Teatralne dekoracye z dziwną trafnością oddają winiety téj niezmiernéj klęski. Widać śniegowe obszary, na których, jak olbrzymie szkielety, czarne sosny sterczą. Cały widnokrąg zalewa mgła szara.

„Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta;
...Po polach pustych wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów wzdęte, nie czernieje:
Wyzwane wichrem powstaje z łożyska
I znowu jakby nagle skamieniałe
Pada ogromne, jednostajne, białe“

Na pierwszym planie pod drzewem obok drogi, tuląc się do siebie, marznie trzech żołnierzy: jeden jeszcze przytomny, daremnie stara się ocucić dwóch towarzyszy, na których czole już śmierć usiadła; wtém nadjeżdża cesarz z orszakiem: odgłos bębna spędza sen śmierci z ociężałych powiek chorążego, wyciąga ręce do przejeżdżają-

cego cesarza, który za to, iż chorągwi nawet z martwéj nie wypuścił dłoni, sam ratuje i zabiera z sobą wiarusa.

Podczas jednego przedstawienia téj sceny, wydarzył się w Cyrku rozrzewniający wypadek. W chwili kiedy Napoleon wyciąga ręce do konającego chorążego, jakiś stary inwalida porwał się z miejsca na parterze i krzyknął z całéj mocy: „to ja byłem!“ poczém, trzęsąc się ze wzruszenia, nie mogąc słowa więcéj wymówić, upadł płacząc na ławkę. Tumult powstał ogromny: krzyczano, płakano, ściskano starego; ledwie w pół godziny można było ciągnąć daléj przerwaną reprezentacyą. Wypadek ten tak wielkie sprawił wrażenie, że opowiadający nam go w parę dni późniéj cudzoziemiec, jeszcze nie mógł od łez się wstrzymać. Podobne sceny widzieć tylko można w stolicy wielkiego kraju, co ma tak wielką historyą.

Nam ten odwrót z Rossyi przypomniał fantastyczny obraz Raffeta z paryzkiéj wystawy, przedstawiający wielką rewią pośmiertną. „Zmarły Cezar przegląda swe poległe zastępy.“ Jestto apokalipsa staréj gwardyi.

Wydobytą ze śniegów chorągiew, odnajdujemy w Grenobli, gdzie wita powracającego z Elby cesarza. Potém na skrzydłach apoteozy porwany, sztandar francuzkiéj chwały znika w niebie, i dopiéro we czterdzieści lat późniéj jawi się na wyżynach Solferino, koło *Spia Italia*.

Wśród tych obrazów jakaś akcya romansowa się plącze, ale trudno na nią uważać; ja przynajmniéj, ani jednego słowa z téj miłosnéj intrygi nie schwytałem: czytelnicy pewnie mi to wybaczą, zważywszy, że trąba bojowa głuszy gitarę kochanka, a huk dział nie do wzdychania usposabia duszę.

Kommissya wyznaczona do *Korrespondencyi Napoleona I*, złożyła cesarzowi trzeci tom tychże. Jak każda wielka publikacya, praca ta postępowała z początku wolno; teraz tomy wychodzić mają w krótkich odstępach: całe dzieło będzie ukończone w pięciu a najdaléj w sześciu latach.

— Wyszedł dziesiąty tom *Biblioteki użytecznéj*; zawiera: *La Decadance de la Monarchie Francaise*, Euge-

niusza Pelletan. Autor obejmuje panowanie Ludwika XIV i wykazuje przyczyny wielkiego kataklizmu politycznego, który zatrząsł Francyą w końcu ubiegłego stulecia.

— Ernest Feydeau napisał znów nowy romans pod tytułem: *Catherine d'Overmeire*. Jestto rzecz w rodzaju mocno skrytykowanéj *Fanny* i *Daniela*, co nie przeszkadza, że piérwszą edycyą w przeciągu dwóch dni rozkupiono.

— *Journal des Economistes* za luty, zawiera dwa ciekawe artykuły: analizę listu cesarskiego, przez p. Baudrillart, i wolno-handlową rozprawę członka Instytutu, pana Reybaud, pod napisem: *Des retours de fortune dans les industries*. Pismo to redagowane zdolnie, propagowało od lat wielu we Francyi dziś urzeczywistnić się mające reformy ekonomiczne: z tego powodu nabrało wagi w umysłach i jest powszechnie czytane.

— Biblioteka cesarska w Paryżu zbogaciła się w ciągu ubiegłego roku znakomitemi dary tak osób prywatnych, jakotéż rozmaitych uczonych towarzystw i monarchów. Z podarunków tych wypisujemy tu najważniejsze:

Książe Lucyan Bonaparte nadesłał do działu druków przekłady w rozmaitych językach i narzeczach europejskich pisanych *ewanjelij* i *ksiąg świętych*. Zbiór ten składa się z siedmnastu tomów drukowanych w hotelu księcia w Londynie.

Z podarunków przybyłych do działu manuskryptów najciekawszy jest kontrakt spisany na pargaminie przez księdza Saint Marie *in organis*, w Weronie, roku Pańskiego 1323. Niniejszy dokument znaleziony został w czasie ostatniéj kampanii nad brzegiem Mincio, przez sierżanta z 73 pułku piechoty.

Do działu sztychów malarz Ingres podarował trzydzieści sztuk rysunków i szkiców, robionych przez malarzy szkoły francuzkiéj. Są to oryginalne kompozycye najpopularniejszych we Francyi sztychów, litografij i fotografij.

Minister stanu podarował Bibliotece następujące dzieła: 1) wydane przez paryzkiego budowniczego Hittorffa: *Architecture polychrome chez les Grecs* i *Architecture moderne de la Sicile*. 2) *Les Travaux d'Hercule*, Poussina, przez Gatteaux. 3) *Jerozolima*, przez Salzmanna.

4) *Oryginalne rysunki wielkich mistrzów*, sztychowane przez Leroy.

Od ambassadora rossyjskiego dostała Biblioteka dwadzieścia jeden tomów pod tytułem: *la Concordance des lois de l'Empire Russe.* Od posła pruskiego dalszy ciąg *Dzieł Fryderyka Wielkiego* i dokończenie dzieła Lepsius'a, *Pomniki Egiptu i Etyopii.* Każde mocarstwo złożyło dar jakiś; nawet poseł szacha perskiego, świeżo do Paryża przybyły, przywiózł dla Biblioteki zbiór rozmaitego rodzaju książek drukowanych w Teheranie.

Wszystkie akademie, uniwersyteta i towarzystwa, nadesłały swe sprawozdania; nawet dyrektor szkoły armeńskiéj w Paryżu ofiarował kompletny zbiór dzieł, wydanych w języku armeńskim od 1811 roku do dziś dnia w Wenecyi.

Do najwspanialszych darów policzyć należy podarunek pana Bossange, dziekana księgarstwa paryzkiego: jestto przepysznie oprawiony *Poemat Napoleoński*, wydany w 1838 r. na wyspie St. Maurice.

— Książek naukowych przybyło parę w tych czasach. Wyszła powiększona o dwa tomy czwarta edycya dzieła: *Précis de Chimie Industrielle*, pana Payen, sławnego professora w paryzkiém konserwatoryum *sztuk i rzemiosł.* Praca ta wysoko tu ceniona, jest wiernym wykazem obecnego stanu chemii we Francyi. Nie tu miejsce na szczegółowy rozbiór tego dzieła, témbardziéj, że jest zapewne znane ludziom specyalnym w naszym kraju; powiemy więc tylko, że w dwóch ostatnich tomach autor mówi o odkryciach nowych, odnoszących się do sztuki farbierskiéj; opisuje szczegółowo świeżo wynaleziony proceder otrzymywania rozmaitych kwasów, z których pomocą farby nabierają nadzwyczajnego blasku. Dzieło pana Payen bardzo jest ważne dla téj gałęzi przemysłu.

— Jednocześnie pan Rivot, professor w szkole min, wydał *Traité de Métallurgie*, ważne dzieło dla ludzi trudniących się topieniem kruszców. Nader rozmaite są sposoby używane w fabrykach metalurgicznych do wyciągania kruszców z ich rudy. Książka pana Rivot zawiera najprzód opisy wszystkich tych sposobów, a następnie wyrezonowane powody, dlaczego jedne lepsze

a drugie gorsze; daléj autor mówi o wpływie, jaki wywiera handel na te operacye; o tém jak jest i o tém jakby być powinno. Inżynierowie i osoby trudniące się metalurgią znajdą w książce uczonego professora objaśnienia, mogące posłużyć skutecznie w poszukiwaniach i doświadczeniach, zwykle długich i kosztownych, jeżeli je o własnych siłach dokonywać trzeba.

— Wyszedł drugi tom *Kursu fizyki szkoły politechnicznéj* professora Jamin. Cały poświęcony jest studyowaniu ciepła i akustyki. Dwieście figur objaśnia tekst téj naukowéj pracy. Jestto wykład wysokiéj fizyki, z którego mogą tylko korzystać ludzie biegli w matematyce.

— Jeszcze jedno *pseudo* naukowe dzieło. Sekretarz paryzkiego Towarzystwa fotograficznego, pan Mailand, wydał ważną dla muzyków książeczkę pod tytułem: *Decouverts des anciens Vernis Italiens employés pour les Instruments à cordes et à archets.* Wiadomo, że sposób, w jaki dawni majstrowie kremońscy przyprawiali werniksy do pociągania instrumentów strunowych i smyczkowych, nie był znany tegoczesnym fabrykantom: tym jednak werniksom przypisywano w części przedziwność onychże instrumentów. Autor książki, o któréj mowa, skutkiem cierpliwych poszukiwań, doszedł, z czego się składały owe pokosty: podanie téj tajemnicy do powszechnéj wiadomości, jest przedmiotem jego publikacyi.

— Wyszedł piąty poszyt ważnego dzieła wydawanego przez dyrektora Monitora, pana Turgan, pod tytułem: *Grandes usines de France.* W poszycie tym autor mówi o drukarni cesarskiéj: opowiada postępy, jakie ten ważny zakład uczynił od swego założenia aż do dni naszych. Historyą drukarni rozpoczyna rzecz o fabrykacyi czcionek; dalsze numera zawierać będą szczegóły o udoskonaleniach, wprowadzonych świeżo do pras typograficznych i galwano-plastycznych.

KRONIKA LITERACKA.

Poezye Włodzimierza Wolskiego. Tom 1 i 2. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1859 *r.*

Jeżeli słowo poety nie jest czczą kombinacyą wyrazów, ale poważném myśli i wiary jego wyrażeniem: to wolno każdemu uważać je za zobowiązanie się, za którém idzie odpowiedzialność. W tém znaczeniu biorąc jednę z pierwszych pieśni p. Wolskiego, p. n. *Duch*, musimy patrzyć na nią jak na program, który zakreślił sobie poeta w uznaniu i głębokiém poczuciu swego powołania. Nie każdy może uznaje, jak ciekawą i nauczającą rzeczą jest rozbierać słowo prawdziwie natchnionych wieszczów; nie każdy dostrzega, ile w nich częstokroć spoczywa żywiołu cywilizacyjnego, materyału dla przyszłych systematów filozoficznych: to pewna wszakże, iż poeta namaszczony, nietylko jest dawcą rozkoszy, ale zarazem dawcą światła, nietylko artystą, ale najwyższym mędrcem, wypowiadającym ogólowo wielkie i jakoby jemu tylko objawione prawdy, które następnie filozof rozszczególnia i systematycznie udowadnia. Działanie poety przyjmowane jest wprawdzie mniéj świadomie: słowo sercem wypowiedziane, wbiega wprost do serca i lubo jak wyziew ziół leśnych, tajemnie odbywa przebieg swój w organizmie człowieka, niemniéj przeto wpływ jego jest silnym i zbawiennym, choć drogi i kombinacye nie są jeszcze widocznie zdefiniowane. A działa-

nie to, potęga wpływu, zkąd przychodzi? na to już doprawdy nie umiemy inaczej odpowiedzieć jak pentametrem Owidyusza:

Est Deus in nobis, agitante calescimus illo;
Impetus hic sacrae semina mentis habet.

Nie przypisując zbyt wysokiego znaczenia, powyżéj wzmiankowanemu utworowi p. Wolskiego, nie przestajemy wszelako uważać go za objaw natchnienia, za wskazówkę, jaką poeta otrzymał w tajemnéj z duchem rozmowie, i nie zastanawiając się nad każdą myślą, zwrócimy uwagę głównie na te miejsca, które zostają w najbliższym związku z jego zawodem poetyckim. Punkt tedy, przez który przejdzie każda myśl jego, nim się stanie słowem, poeta określa w następującym czworowierszu:

Nie w pozłacanéj, lśniącéj komnacie
Kolebka moja, lecz w nizkiéj chacie:
Pierwszych łez moich żałobne echo
Głucho konało pod niską strzechą.

To więc stanowisko, na którém dostąpił nieodstępnych wrażeń, ma być stałym punktem zapatrywania się poety na świat i jego sprawy, i z tego stanowiska nic go sprowadzić nie zdoła, jeśli wierzyć mamy następującemu zapewnieniu:

Próżno mnie chcecie pieszczotą zwabić,
Próżno hart męztwa łzami osłabić!
Próżno mnie w pęta złote wiążecie.

Żeby zaś nie zaćmiewać sobie jasności poglądu, poeta, wszystko co jakiekolwiek usiłowania nagromadziły przez wieki, odrzuca jako zwodnicze światła, i zostaje przy jednéj tylko przewodniczce,— naturze.

Od takiego punktu wyjścia przejdźmy do samych działań i zobaczmy, jakie mają być ich rezultaty:

Nie czczą ułudą moje marzenia,
Nie dźwiękiem lutni moje natchnienia.
Lecz w pieśni mojéj cały świat żyje,
Jak całe niebo w morza spójrzeniu;
I każdy dźwięk jéj, — jakby w kamieniu,—
Dłutem się w sercu człowieka wryje.
Jéj nuta ogniem myśli namiętna,
Miękkich serc twardym tonem nie zmęci,
Ale brzmi echem w wieków pamięci,
Nią biją ludzkości tętna....
....Na jedno mojéj woli skinienie,
Jak bór odwieczny pod burzy uściskiem,

Runie odrazu całe pokolenie—
I krwawa zorza błyśnie nad zwaliskiem.
Aż ponad ciemne grobu otchłanie,
Znowu gmach nowy zmartwychpowstanie.
W nim gdy się nowe życie rozżarzy,
Tęczę nadziei zegnę nad wami;
Jak wschodnia gwiazda błyska dla żeglarzy,
Co długo błądząc, z dziękczynienia łzami
Za jéj srebrnemi dążą promieniami,
Światło wam celu wskażę w oddali.

Jest to wielki programat i zaiste godny geniuszu: trafnie poczuwał go p. Wolski w młodém natchnieniu i dość żywo okreslił. Ci, którzy czytali to przed szesnastą laty, nie dziw, że poszli za tak obiecującym głosem, a my po latach szesnastu mamy prawo przekonać się, o ile poeta dopełnił tego programatu. Gdzież więc są te ruiny zburzonych gmachów, gdzie nowa budowla, gdzie cel, do którego dążyć mamy po tęczy nowych nadziei?

Przytaczając ten ustęp, nie mamy jednak bynajmniéj zamiaru chwytać autora za słowo: bierzemy go owszem tylko w znaczeniu intencyi, jako wyraz wielkich pragnień młodzieńczéj duszy, która zaledwie poczuwa siły do lotu, ale nie rozmierzyła jeszcze obszaru, jaki ma przebiedz. Za pragnienie nikt odpowiedzialnym być nie może; zasługę stanowią usiłowania. Jeżeli więc poeta napotkał czy to w sobie samym, czy zewnątrz siebie, przeszkody w urzeczywistnieniu wielkich zamiarów, to rzecz wypadku, konieczność nieodwołalna; ale jeżeliby przy zupełném powodzeniu i środkach dostatecznych dobrowolnie odstąpił od celu przez prosty brak wytrwania, to na nim ciążyć będzie odpowiedzialność żołnierza kartagińskiego, zamkniętego w Kapui.

P. Wolski, jak sobie założył, tak i usiłował przy pierwszych krokach rozwinąć się na polu ludowém; nie ograniczył się jednak na zdejmowaniu obrazków, przedstawiających lud sam w sobie, ale poszedł inną drogą, już poniekąd przed nim uczęszczaną, drogą stosunku pomiędzy ludem i szlachtą. Ztąd też nie spodziewajmy się od p. Wolskiego arkadyjskich scen: głos jego nie będzie dźwiękiem pastuszéj fletni, ale wyrazem skargi i namiętności; fantazya poety wysnuje postacie tchnące życiem, ale nie zawsze mające sprawdzenie w świecie rzeczywistym, lubo przyobleczone w ludowe szaty. Poeta zapatrując się z jednéj tylko strony, i nieco namiętnie, nierówno obdzieli kreacye swe: cała

jego sympatya, siła uczucia i wyobraźni, powiemy, cała moc talentu, przejdzie w pierwiastek ludowy; lud, jako żywa karyatyda, która nigdy ciężaru swego zrzucić nie może, stanie oświecony blaskiem niewinności i niedoli; będzie on miał za sobą przewagę siły moralnéj i prawa naturalnego, błędy jego nawet będą nacechowane jakąś wielkością duszy; kiedy przeciwnie, klassa uprzywilejowana zajmie ciemną stronę obrazu; postacie jej blade i bezbarwne, potępione moralnie, nie zaświadczą nawet o staranności autora w nadaniu im choćby artystycznego wdzięku i wykończenia

Jeżeli konieczną jest rzeczą doszukiwać się pewnéj jedności w dziełach poetów, to tu jedyną myślą przewodniczącą, jaką wynaleźć można w produkcyach p. Wolskiego, jest właśnie to przeciwstawienie. Pod odmiennemi nieco postaciami myśl ta powtarza się tu w trzech większego rozmiaru poematach: *Ojcu Hilarym*, *Połośce i Halce*. Dwa pierwsze z tych utworów, według oświadczenia autora, poczęły się jednocześnie, choć drugi, znacznie, bo w kilkanaście lat późniéj, objawił się słowem: może i to więc jest powodem, że pomiędzy niemi, pomimo jednorodności myśli, wielka zachodzi co do formy różnica. *Ojciec Hilary*, niekształtna to budowa, pełna błędów architektonicznych, ale trzyma się siłą płomienia, od niego bierze blask i fantastyczne kształty. Któż będzie się zastanawiał tam nad niepodobieństwem sytuacyi, nad dziwolągiem miłości pomiędzy chłopcem stajennym a wojewodzianką, kiedy zapał poety bez chwili odpoczynku prąc na czytelnika, nie da mu czasu do zastanowienia się. Trudna rada, krytyka nawet musi być usprawiedliwioną, że nie rada odczynić od siebie tego uroku, jaki na nią tak dobrze jak i na wszystkich rzucił poeta tym swoim utworem, w którym i myśl i kompozycya i forma nawet zewnętrzna stopiły się w jednym ognistym wybuchu, do którego ręka uzbrojona w skalpel anatomiczny ma bardzo trudny dostęp. Inną jest zgoła forma *Połośki*: dokładniejsza ona pod względem zewnętrznym kształtów, ale dokładność jéj nabyta kosztem pierwotnego zapału, pozbawiona dawniejszych energicznych błysków poetycznéj fantazyi, zamknięta w spokoju opowiadawczym, z łona którego trudno dosłyszeć jakieś strzeliste słowo; chłodnych to, słowem, form poemat, cały nocnym zakwefiony mrokiem, a ponieważ obecnie pierwszy raz on wyszedł, na widok publiczny, przeto nie zawadzi treść jego choć wkrótkości przytoczyć. Połośka była córką wiejskiéj kobiéty, a wychowywała się na dworze, snadź w charakterze słu-

gi respektowéj, gdyż ojcem jéj był sam dziedzic. Póki ten żył, było jéj nieźle, ale po jego śmierci, żona dziedzica, tak dokuczała dziewczynie, że ta poszła utopić się w Nidzie. Dziwna rzecz, że postać tytułowa nie żyje już w miejscu, gdzie się rozpoczyna powieść: wszystkie wypadki odbywają się już po jéj śmierci, a i ta jest nawet faktem nieusprawiedliwionym. Polośka miała inne środki jak śmierć: miała matkę na wsi, dlaczegoż więc nie uciekła do niéj, wszak to droga tak naturalna? Bądź co bądź, dosyć że po jéj śmierci, matka w uczuciu rozpaczy i zemsty, zakrada się w nocy do sypialnego pokoju wdowy, podpala go i na poły uduszoną ciągnie za włosy na grób córki nad brzeg tejże saméj Nidy, w któréj córka jéj śmierć znalazła. W tejże saméj chwili syn dziedzica z pierwszego małżeństwa powraca z wygnania, dokąd go zapędziła nienawiść macochy, a dojrzawszy śród mroku z drugiego brzegu szamotanie się, i sądząc, że jest świadkiem jakiéj zwyczajnéj rozbójniczéj sceny, grozi wystrzeleniem. Gdy zaś ruch podejrzany nie ustaje, wędrowiec strzela i strzał pada w pierś kobiety, która była matką jego przyrodniéj siostry. Okropność téj sceny tém jedynie łagodzi się, że wdowa wróciła do życia, a tém samém matka Polośki nie umarła z grzechem morderstwa, od którego ocala ją tylko wdanie się córki. W chwili gdy matka, choć z raną śmiertelną w piersi, jeszcze nie wypuszcza ofiary swéj i z wściekłością wpija palce w jéj gardło; nagle siła ją opuszcza i zda się jéj słyszéć z poza grobu głos pieszczotliwy córki, która woła do niéj:

Oj, w trumience méj ciasno! I tém ciałem kobiéty
Ty mi jeszcze krwią własną Zasłoniłaś błękity!

Ta scena, gdzie umarli i żywi z sobą rozmawiają, przez połowę na ziemi przez połowę w nadziemskich sferach rozegrywająca się, jest kwiatem tego poematu: tak jakoś w niéj poeta żywo i z poczuciem prawdy odznaczył zagrobowe stosunki dusz kochających się, wzajemne wpływy łez i bolości, tak zgodnie z tajemnicami wiary i pokuty złożonemi w sercu człowieka działanie ich odmalował, że scena ta częścią dzika i okropna, częścią rzewna i fantastyczna, odwraca uwagę od wszystkich naciągań, które ją przygotowały. Jużto p. Wolski bardzo lekko traktuje sobie kompozycyą i jak ułoży jakiś projekt, tak i dąży do niego bezwzględu na drogi. Tu naprzykład, dla usłyszenia kilku słów prawdy prostéj, trzeba co krok potrącać o jakąś sztuczną sprężynę: taką jest, naprzód jak wspomnieliśmy, śmierć

Połoski, w każdym razie tu zgoła nie potrzebna, żadnym powodem psychicznym czy artystycznym nie dająca się usprawiedliwić: wynajdywać bowiem takie rzeczy, jestto zbytecznie szafować samobójstwem. Następnie, zemsta jéj matki, nie jest wcale zemstą, jakiéj lud nasz dopuszczać się zwykł; żal nwagi nie ma, powiada on, a iżby nietylko spalić i zabić nieprzyjaciela, ale jeszcze wlec go gdzieś koniecznie na grób ofiary, dla nasycenia się zemstą w jakiś sposób dokładniejszy, to właśnie zbyt rozważne, zbyt wyrafinowane i zbyt dzikie jak na nasz lud; jeżeli więc cała ta korsykańska ekspozycya była koniecznie potrzebną, trzeba było ją naturalniejszemi środkami przygotować. Brat przybywający z daleka, strzał, który wypadł z jego ręki jak *deus ex machina*, aby ocalając jedną kobietę, pozbawić życia drugą, to również rzeczy naciągnięte. Jestto fakt, ależ nie same fakta i awantury stanowią żywioł kompozycyi: tu widocznie autor chwieje się między poematem a tonem powieści, które mu styl popsuły; boć przecie kompozycya zależy na tém, aby jedna część koniecznie wypływała z drugiéj, a wszystkie organicznie wiązały się z sobą: tu zaś rządzi dowolność i przypadkowość, tak, że całość ma więcéj charakter szkicu niż dzieła wykończonego. Myśl główna tego poematu zawiera się w tych słowach, które duch Połoski szepcze do matki odrywając jéj rękę od ciała, nad którém się pastwiła:

Oj, krwi bratniéj nie chciejmy! Lepiéj własną przelejmy
Czyśmy winne, niewinne, Za te grzechy rodzinne:

i ta myśl stanowi różnicę tego poematu od *Ojca Hilarego*. Tam wszystko kończy się rozpaczą, zemstą i nieubłaganą nienawiścią; tu wszystkie te uczucia, lubo odbywają przebieg, ale następnie topnieją w uczuciu przebaczenia: tam więc rozdział wieczny, tu pojednanie. W *Ojcu Hilarym* fantazya i uczucie stanowiły główne tło przedmiotu; w obecnym zaś utworze malowanie natury wiejskiéj i samego ludu, zajmują szerokie miejsce, chociaż jako epizody.

Wyraźniéj jeszcze kolorytu ludowego użył p. Wolski w *Halce*, któréj usiłował nie bez powodzenia przyswoić ton i charakter ludowéj pieśni, ku czemu bardzo dopomagał cel, do jakiego utwor ten przeznaczył. Zbyt dobrze znajoma jest nam ta praca, abyśmy o niéj rozpisywać się potrzebowali: nie wypada jednak o jéj poetycznéj wartości sądzić z przedstawień na scenie, gdzie siła jéj organizmu nad miarę rozciągnięta nie wytrzymuje siły muzyki, która na nią ciśnie ogromem sobie właściwych

środków. Halka zostawiona sobie saméj, jako poezya, nie jest utworem, o którymby z lekceważeniem mówić można: część jego mianowicie liryczna nie pozostawia nic do żądania, o ile i jakie żądanie do tego rodzaju prac rozciągniętém być może; radzibyśmy owszem widzieć we wszystkich podobnych utworach taką swobodę i śpiewność przy pieśni pojedyńczych i zbiorowych układzie, na którym żaden nie cięży przymus. Liryka w Halce, pomimo całéj lekkości, nie jest jednakże czczą, nie pełni służalczéj jedynie funkcyi względem muzyki: ma ona samodzielne znaczenie, ukryte w dobrém pojęciu sytuacyi i uczuć, które powinna wyrazić. Pomysłowi téj sztuki zarzucają, że na głównem miejscu stawia istotę shańbioną, która jeżeli zyskuje sympatyę, to przezto jedynie, że to ofiara biédna, bezbronna, igraszka w ręku wesołego rozpustnika, któréj głos, stracony pośród ludzi, do Boga tylko woła o pomstę. Ci co patrzą przez szkło trywialnéj rzeczywistości, istotnie ruszają ramionami na rozpacz i obłąkanie uwiedzionéj wiejskiéj dziewczyny; nie wierzą, aby zdarzenie tak małe i pospolite mogło robić tyle hałasu; nie czują wstydu, który stracili sami: nie czują wyrządzonéj krzywdy, która dla nich stała się smacznym chlebem powszednim. Nie przeczym, byćby mogło, iż lud, dla jakichbądź powodów, stracił to uczucie godności, które zapala krew na wspomnienie hańby, co jednak nie jest prawdą; ale pozwólmyż, choć wyjątkowo, poecie odezwać się głosem sponiewieranéj prostoty i słabości, za którą nie ma kto się ująć. Tak pojmując tę rzecz, nie poczytamy Halki za zbyt sentymentalną, urojoną. Słyszeliśmy, że p. Wolski obecnie zmienił zakończenie, każąc Januszowi skakać do rzeki za topiącą się Halką, i w ogóle przyklaśnięto téj szczęśliwéj reformie. Otóżto właśnie fałsz; może to efektowniéj na deskach teatralnych, ale w gruncie, to grzmot grudniowy: nie spodziewajmy się tyle serca pod liszajem rozmyślnego bezprawia, bo Janusz nie jestto kochanek przypadkowo niewierny: to owszem jeden z tych, dla których hańba istoty takiéj jak Halka jest rozrywką uprawnioną zwyczajem, a rezultaty jéj rzeczą obojętną. Porzuciwszy względy moralne i wracając do artystycznych, dodać musimy, że utwor ten, jakkolwiek ścieśnionych ram, opierając się na takich dwóch postaciach, jak Halka, a szczególniéj Jontek, oprócz wdzięcznéj liryki, ma w drugiéj zwłaszcza połowie dosyć ruchu dramatycznego, który na scenie tylko idzie z oporem dlatego, że mu nadano za wielką przestrzeń.

Poeta nasz tam tylko żywszém odzywa się słowem, gdzie czy to ze strony socyalnéj, czy malowniczéj, dotyka pierwiastku ludowego: widocznie coś go ciągnie w tę stronę. Wprawdzie powyższe trzy utwory, w któreh koncentrują się prądy jego młodzieńczych natchnień, pomimo wszelkich zalet, dalekiemi są bardzo od tego, co nam niegdyś zapowiedział, i czego po jego talencie spodziewać się było można. Są to wprawdzie jakieś pieśni, jakieś obrazy; widać w nich poetę, nie widać jeszcze artysty, nie widać tém mniéj myśliciela, a my mierząc zdolności p. Wolskiego na przyzwoitą skalę, chcielibyśmy, aby on połączył w sobie wszystkie te przymioty. Jestto postulat do wypowiedzenia, którego może i uzurpujemy prawo; ale biorąc rzeczy tak jak są i sądząc je bezstronnie, notujemy ten fenomen, że z pomiędzy przejrzanych obecnie utworów pod względem wartości tylko poetycznéj, Ojciec Hilary stoi najwyżéj, Halka niżéj, a Połoska jeszcze niżéj—jestto więc kierunek wsteczny.

Ale o ileż słabszym pokazał się p. Wolski, jak zeszedł z traktu ludowego i wstąpił na wielki gościniec szlachecki. Pomiędzy *Wielkim panem* a *Ojcem Hilarym* jest przynajmniéj taka różnica, jak pomiędzy szkłem i kryształem: odjąć temu poematowi wytworną formę wierszową, a co z niego pozostanie? Kilka zaledwie ustępów prawdziwéj poezyi, charakter Kazimierza i to *in potentia* raczéj niżeli *in actu*, kilka scen gładko wypowiedzianych. Za to nieład w układzie straszliwy, obrazy w ogóle bez żadnéj proporcyi, a w odtwarzaniu przeszłości więcéj widać manierę lub naśladowanie, niżeli przejęcie się i poczucie jéj w sobie na własność. Czuć, że podówczas jeszcze się poeta z tym światem nie pogodził, jeszcze nie wpatrzył się dobrze w to, co tam było rzeczywiście pięknego, co jakby łzą pokuty i zadośćuczynienia patrzało w niebiosy... W utworze tym jest zakrój wielkiéj kompozycyi: chciał w nim autor połączyć miłość i poświęcenie, cnoty i obyczaje domowe, odmalować życie szlacheckie; chciał stanąć w tém połączeniu wyżéj jak inni, którym zaledwie pojedyńczo udają się te rozmaite odcienia przeszłości. Ale przeszłość nie jest tak znowu na zawołanie: ona wybranym tylko i poświęconym odchyla swe tajemnice; trzeba się samemu z trudem i wytrwałością do jéj skarbów dobierać; kto zaś bierze z drugiéj ręki, zamiast ziarna znajduje popioły. My tak rzecz tę pojmujemy, iż poeta po to wkracza w krainę przeszłości, aby odkrył w niéj i na jaw wykazał jakąś prawdę, myśl czy ideę, która stanowi duchowy doro-

bek pewnéj epoki, nadaje jéj od siebie charakter i tak z nią się zrasta, iż w każdym innym czasie byłaby anachronizmem. Taka więc tylko prawda charakterystyczna, zrozumiana w całém rozwinięciu i zastosowaniu, może być lolicznie przedmiotem poematu dziejowego; wszystko zaś co stanowi zewnętrzną stronę świata, to przedmiot dla poety podrzędny. W *Wielkim panu* rzecz się ma przeciwnie: pomysł jest zupełnie obojętnéj epoki, wspólny wszystkim wiekom i ludziom, w których biją szlachetne serca; pocóż więc sadowić go między karabele i kontusze, jeśli ten materyał staropolski nie ma co dźwigać, nie ma co właściwego sobie wyrazić? Bo też p. Wolski widocznie tu wziął sobie za przedmiot główny stronę zewnętrzną, chciał poświecić karmazynem, a nie postarał się o myśl taką, któraby nigdzieindziéj nie mogła postać, tylko w karmazynowych czasach. Nie jestto wprawdzie przestępstwem, ale w każdym razie, jak zaczniemy sobie dorabiać pomysły do form a formy postawim na piérwszym względzie, to będzie wyglądało na zabawkę, nie na pracę. Im wdzięczniejsza i uroczystsza jest jakaś forma, tém mniéj ją samą dla siebie na świat wypuszczać można, bo prędko zwietrzeje i sponiewiera się, zostanie szyldem zapomnianym na pustym budynku: gdybyśmy nie już więcéj znali, ale więcéj szanowali przeszłość, rzadziéj zdarzałoby się spostrzegać kontusz rozpostarty na mannekinie. Nie stosujemy tego w literalném znaczeniu do obecnego przypadku, bo ten utwor p. Wolskiego na większe zasługuje uwzględnienie; lecz robimy ogólną uwagę, że dziś jest w téj mierze rażące nadużycie: byle jaki pomysłek czy z głowy, czy z książki, czy z księżyca, szuka sobie koniecznie drogi do historycznéj dziedziny, do jakiegobądź zamierzchłego wieku, nie dlatego przecież, że mu tam miejsce przypada, ale żeby tylko mógł zwrócić na siebie sympatyczne oko powagą historycznych strojów: piękny mi assumpt; toż to krawiecka robota nie artystyczna. W powieści *Wielki pan* rzeczywiście to ma miejsce, tylko że w szlachetniejszy sposób, bez téj smutnéj rachuby na efekt popularności; a pomimo surowych uwag, jakie nad utworem tym zrobić można, zawszeż to dzieło, które dźwięczy talentem rzadzéj i ciszéj jak inne, ale niezaprzeczenie, w tych mianowicie ustępach, gdzie poeta zapominając swéj roli opowiadacza, chwilami zostaje sam sobą.

Otóż te ostatnie słowa sprowadzają nas w inną stronę produkcyi p. Wolskiego, do jego liryków. Oj, z temi będzie

krótka, ale najcięższa sprawa. Przyrzekł nam poeta (Duch), i tego już obowiązany był dotrzymać, że nic w nim nie osłabi hartu, że zostanie zawsze ten sam jak dąb żylasty między sosnami, i tego tu właśnie najkompletniéj się zaparł. Prawda i to z drugiéj strony, że nigdy niczemu i nikomu nie schlebiał, niczego nie wyzyskiwał; jeżeli robił ustępstwa, to tylko siłom własnym, a więc z zawodu swego wyszedł osłabiony wprawdzie, ale wolny i czysty. Mnie się zdaje, że p. Wolski w samym początku zaszkodził swemu powołaniu, przystępując do ołtarza poezyi z pewném, niech nam wybaczy ten wyraz, roztrzepaniem. Byłato może duma, która szeptała zapewnienia, że talent zastąpi wszystko; za tém więc odrazu poszła mała dbałość o formę, ład, a nawet język, snadź, iżby rozwagą i zastanowieniem nie osłabić gwałtownego wybuchu natchnienia. Prawie temi samemi słowy uznaje to sam autor w przedmowie, dodając, że przy obecném wydaniu w pierwotnych pracach swoich, nic prócz kilku wyrazów nie zmienił. Są zapewne powody, które mogły go słusznie od tego wstrzymać, ale do nich nigdy przynajmniéj należéć nie będzie wzgląd na czystość języka; tymczasem znajdujemy tam śród jednéj z najpiękniejszych fantazyi taki ustęp (t. I, str. 16):

Może tam jeden znajdzie się młodzieniec,
Może tam jedna znajdzie się dziewica,
Co posłyszawszy głos widma morderczy,
Pierzchnie im z twarzy chwilowy rumieniec.

Wszakże to przetłumaczone z francuzkiego, a po polsku, doprawdy, niepojęte; albo co ma znaczyć to wyrażenie (str. 21), *że więzień na odgłos domowéj fujarki łamie kratę lśniącą powieką?* Wszak takie rzeczy godziło się poprawić bez ujmy wszelakiéj dodatniéj, czy ujemnéj charakterystyce.

Szereg pieśni lirycznych rozpoczyna się wierszem p. t. *Zapał*, który widocznie maluje nie to co pod tą nazwą rozumiéć można: w przeciwnym bowiem razie byłby tylko paradoksem; bo czyż zapał objawia się jedynie szyderstwem, żądzą niszczenia i mordu, i czy może gwiazda radości zabłyszczéć w niszczącym uścisku? jestto tedy nie *zapał*, ale *szał*, który wybacza się poecie, i to tylko bardzo młodemu, ale nie myślicielowi. Wymieniamy tu ten wiersz dlatego, aby wyrazić, iż pierwszym utworom p. Wolskiego, mniejszym czy większym, towarzyszy istotnie pewna gorączkowość, nastrój burzliwy, który autor bierze za rzeczywistą siłę, mówiąc (t. I, str. 68):

Wolę być czynnym, ognistym szaleńcem,
Niżeli cichą, bladą, bierną cnotą.

Przy takim nastroju jest on istotnie najpoetyczniejszym; szkoda, że to sztuczna tylko siła, która nikogo szczerze nie pociągnie i sama nazajutrz ustąpić musi omdleniu. To też w tłumie liryków p. Wolskiego trudno wybrać coś takiego, coby było zdobyczą duchową dla narodu, jasną gwiazdą pośród mroku, słowem pociechy w cierpieniu ogólnem. Z niemałym wdziękiem i słodyczą wypowiada on marzenia duszy i przemijające affekta serca w rozmaitych urywkach, elegiach i strofach, w których właśnie coraz widoczniéj rozstraja się ten męzki hart, o jakim tak często wspomina p. Wolski, a natomiast wielkim krokiem wstępuje zniewieściałość: jako szmer melodyjnych słów, któremi spowiada się serce, mile przechodzą te strofy po duszy czytelnika, lecz wywierają wrażenie muzyki, któréj słuchając człowiek, zostaje wprawdzie pewien czas wzruszonym, ale po wysłuchaniu ani lepszym, ani gorszym. Bo też p. Wolskiemu należy przyznać mistrzostwo w nadawaniu pieśniom swym muzykalnéj barwy nie zewnętrznym tylko układem wiersza, czego każdy mierny nawet talent dokonaćby potrafił, ale tchnieniem czucia artystycznego, które przywilejem jest wysokich tylko talentów. Nie wiem dlaczego przy wielkich potrzebach społeczeńskich poeta nasz tak bogate środki obrócił na drobne cele, bo że ich mógł użyć do czegoś większego, na to są dowodem jego *Krakowiaki* i wspaniała fantazya, *Fryderyk Szopen*, która jest najpiękniejszym nekrologiem, jaki kiedykolwiek mistrz słowa napisać mógł mistrzowi dźwięków. Jakkolwiek w takiéj liczbie utworów krótkiego rozmiaru, które p. Wolski napisał z zamiarem zastosowania ich do muzyki, mało napotykamy żywiołu dla myśli, a tém samém mało wartości w całém znaczeniu estetycznéj, poczytujemy mu to jednak za zasługę, iż obok Lenartowicza, udziałem swym nastręczył sposobność naszym kompozytorom do rozwijania muzykalnych pomysłów na pieśni w duchu i języku naszym napisanéj, gdyż tym tylko sposobem muzyka nasza rodzinna mogła się w zupełności wypowiedzieć i upowszechnić.

Od takiego tedy przeglądu, w którym staraliśmy się podać treściwy obraz szesnastoletnich działań naszego poety, wracając do programatu, widzimy, że p. Wolski znacznie od niego odstąpił, a szkoda, bo program był dobry. Powiedzieliśmy już i powtarzać nie będziemy, z jakiego wyszedł punktu, co głównie

zajmowało duszę jego, i co stanowi pewną jedność jego utworów. Okrzyk oburzenia na odwieczne bezprawia, który wybiegł z jego dwudziestoletniéj piersi, był tylko hasłem, ale jeszcze nie samym czynem; echo jego przebrzmiało, a odtąd myśl poety porzuciwszy wysokie zamiary, rozprasza się w różne coraz drobniejsze i coraz mniéj systematyczne kierunki, z których nie ma co sprawy sobie zdawać. Na każdéj, by najmniejszéj rzeczy pozostały jednak ślady dotknięć talentu, boć on się nigdy i nigdzie nie ukryje, kiedy go Bóg raz wlał w duszę człowieka; ale na jego prawdziwéj wysokości raz tylko właściwie stanął p. Wolski i odtąd nie dorównywa samemu sobie: wówczas téż widzieliśmy go na oddzielném stanowisku, dzisiaj szukamy go w kółku, które nie on utworzył.

Dnia 15 lutego 1860 roku. *Kazimierz Kaszewski.*

Ocenny pogląd na dzieło:

Przegląd form grammatycznych języka staropolskiego.

(Lwów 1857 roku. Stron. 114 in 8vo).

Ogólny rzut na całość dzieła.

Autor niejako we wstępie wyłożył nam pisownią, a zatym wynikła stąd mowa o samogłoskach i współgłoskach. Piérwsza część obejmuje rzeczowniki, rozkładające się na cztéry odmiany; liczbowniki i zajimki osobiste. Drugą część składają przymiotniki w kształcie rzeczownikowym i przymiotnikowym, zajimki inne, tudzież stopniowanie przymiotników. W trzeciéj umieścił słowa pod nazwą czasowników; w czwartéj części mowy nieodmienne, objaśniając swoje uwagi wszędzie przykładami, z pomników czerpanemi. Nadmienić tu jeszcze wypada, iż ta praca jest tylko wstępem do obszerniejszego dzieła pod tytułem: *Wypisy Polskie dla użytku klass wyższych. C. K. szkół gimnazyjalnych*

Lecz jakiż główny cel tego dzieła? Ten bez wątpienia, aby pokazać, o ile język polski przy wyłanianiu się piérwotnym w oddzielne narzecze i przy stawianiu piérwszych kroków o własnych siłach w pochodzie i rozwoju już dla siebie odrębnym,

słowianizował jeszcze po staremu w mowie swojéj, zasilając się wprost wyrobem starszego może brata swego, dopóki sam w upływie czasu nie odkrył drogi, przez Opatrzność dla siebie wytkniętéj. Przekonywamy się najwidoczniéj, że autor zamierzył nam najprzód wskazać podobieństwo i różnicę między językiem starosłowiańskim, a staropolskim, a następnie stopniowe przekształcanie się ostatniego na krój sobie właściwy w różnych dobach czasu aż do chwili obecnéj.

Zajisto! pomysł téj pracy nader szczęśliwy i trafny, dla naszego języka nietylko korzystny, ale konieczny: przynoszący prawdziwą chlubę autorowi; jednak ubolewamy, iż o samym jéj wykonaniu tego samego powtórzyć nie możemy: albowiem układ, mianowicie w słowach, nieoparty na samodzielnym rodzimym myśleniu, ale kierowany obcą nauką, pozbawioną uczucia i ducha słowiańskiego, a zatym rozdrabniającą szczegóły do nieskończoności i przyprowadzającą ostateczne wypadki prawie do zera, bo do jakichś pierwiastków, *np: pr, wr*, które dla każdego stają się nieodgadniętemi sfinksami, jeżeli autor nie wypowié, co mają znaczyć, stanowi stronę ujemną dzieła i o wiele wartość jego zniża wewnętrzną. Z obcéj nauki, nie mającéj w sobie życia słowiańskości, wynikło, iż, co powinno być na czele i służyć za roztocz dalszego rozwoju, znajduje się gdzieś na końcu, jako niemodelność, lub ułomność jaka; na którą ledwo ktoś okiem rzuci, lub nawet pominie. Same końcówki często kładzione i dodać należy, niezupełne, w fałszywym świetle rzecz przedstawiając, jeszcze ją bardziéj zaciemniają. Taż sama nauka nie pozwoliła mu zwrócić uwagi, czyli też czasem język, dziś żyjący i rozwijający się, gdy się wyłaniał w oddzielne narzecze, nie uniósł z sobą takiego pierwiastku, lub też w biegu żywota swojego z siebie go nie wyrobił, którymby można wyjaśnić zboczenia, jakie dziś za niezmienne prawo poczytują. Zapomniał wreszcie nasz autor, że pisał dla uczniów, wprawdzie klass wyższych, że przedmiot przez niego obrany nowym jest zjawiskiem w naszéj literaturze; pojedynczych bowiem uwag i postrzeżeń tu i owdzie wypowiedzianych, za całość obrazu poczytywać nie śmiemy; że nareszcie ta rzecz zupełnie dotąd u nas obca nie tylko dla uczniów, ale i dla starszych, a nawet, mogę śmiało powiedzieć, i dla wielu piszących o języku, potrzebuje dokładnego wyjaśnienia.

Gdybym więc przedsięwziął tę pracę, zamiast samych końcowek, często niedokładnych, zamiast form wątpliwych,

czyli przypuszczalnych, zamiast 30 tematów, czyli wzorów słów położyłbym trzy kolumny sobie odpowiednie. W pierwszéj pomieściłbym wzory starosłowiańskie z oddzieloną końcówką; w drugiéj usiłowania i wahania się języka staropolskiego, po odrębnéj już drodze postępującego; w trzeciéj nakoniec wzory języka dzisiejszego i nie zwiększyłbym dzieła. Ależ nie mam obowiązku pisać planu, ale ocenę dzieła; tym chętniéj przeto do szczegółów się zwracam, gdyż ze wszech miar na nię zasługują.

Głoski.

W samym wstępie uderza silnie przypisek następujący: „W przeglądzie niniejszym przez wyrazy: *głoska*, *samogłoska*, *współgłoska* rozumieją się brzmienia mowy ludzkiéj, a bynajmniéj tychże znaki pisemne, (litery)." (str. 5). Nie pojmuję takiéj subtelności, boć wiadomo, że znaki są obrazem brzmień lub głosów: że zatym sama rzecz lub jéj obraz jednakowo się rozumie w tym zdarzeniu, i sam autor, myśląc o brzmieniach, używa tych znaków, aby nam dał poznać myśl swoję; przypisek ten więc z tego względu uważam za zupełnie niepotrzebny, tym bardziéj, że sam autor nim się nieco późniéj skrzyżuje. Oprócz samogłosek ma jeszcze w dziele swojim półsamogłoski (semivocales), jakiemi być mają *jor* i *jer*. Jak to rozumieć połowę głosu? Maż on być krótszy lub cieńszy? Trudno mi było wystawić go sobie, udałem się przeto o wytłumaczenie do innych i objaśnili mię, pierwszy: że *jor* i *jer* są bezgłoskami (1); drugi, że są znamionami twardéj lub miękkiéj wymowy (2), skąd wniosek oczywisty wynika, że w słowiańskich dyjalektach *jor* i *jer* nie były nigdy półsamogłoskami. Ważna to okoliczność, obca na-

(1) Grammatyka języka Starosławiańskiego przez ks. A. D. z Waławy. Przemyśl 1837 (strona 2) (*).

(2) Grammatyka języka ruskiego (małoruskiego) przez ks. Józefa Łozińskiego. Przemyśl 1846 (str. 3).

(*) I nasz autor, którego pracę oceniamy, i Ks. A. D. z Waławy, tu przytaczany, narzecze, na które Cyryl i Metodyjusz, apostołowie słowiańscy, przełożyli Pismo Święte w drugiéj połowie 9go wieku, (863) językiem starosłowiańskim nazywają. W przeglądzie tym zatrzymałem tę nazwę, aby zachować jednostajność; jednak poczytuję sobie za obowiązek wyjaśnić, jak tę rzecz rozumieć należy. Nikt dotąd nie wątpi iż przekład ten Bibliji jest jednym z najdawniejszych pomników w języku słowiańskim; ale zatym nie jidzie, aby narzecze to, które znawcy słowiańszczyzny językiem bulgarskim zowią, było językiem pierwotnym. Inne gałęzie języka słowiańskiego żyły z nim współcześnie, bo inaczéj dzisiby nie jistniały; tylko w tym między niemi zachodzi różnica, że swego życia w piśmie nie objawiły,— lub też, że pomniki jich zaginęły. Ta bez wątpienia przyczyna znaglila niejako naszych autorów, iż przekład ten starosłowiańskim nazwali.

nka, nie znająca ducha języka, położyła tę zasadę, aby na niéj niby bardzo mądre, a rzeczywiście fałszywe kuła prawidła, i na nieszczęście nasz autor ją przyjął, jak to na właściwym miejscu zobaczymy.

Następnie dzieli współgłoski na piérwotne czyli twarde i pochodne, czyli miętkie: piérwotnemi są pojedyncze litery z alfabetu łacińskiego, chociaż do nich *ch* włączył: pochodnemi znamionowane, lub składane z piérwszych. Tu znowu sprzeczność daje się postrzegać z tym, cośmy na samym początku widzieli. Jeżeli przez głoski mamy rozumieć, jak się autor wyraził, tylko brzmienia i głosy; oczywisty stąd wniosek wynika, iż podziału współgłosek na piérwotne i pochodne na żaden sposób przypuścić nie możemy, gdyż te brzmienia twarde i miętkie jednocześnie z językiem się urodziły, są jego kardynalną własnością i on bez nich jistnieéby nie mógł. Tu język w tym względzie jest, jak pojedynczy człowiek; obydwa się rodzą i przynoszą z sobą na świat wszystkie zdolności w zarodzie i dopiéro w ciągu żywota je rozwijają i udoskonalają: dla tego, gdybym się uparł i na odwrot pochodne współgłoski nazwał piérwotnemi; autor nie znalazłby tak silnych dowodów, aby zdołał niemi zniweczyć moje zdanie. Przypuśćmy, iż autor daje przykłady, które w pierwotnikach mają współgłoski twarde, a w pochodnikach miętkie, jak: *głos głośny, szkoła szkolny, szczodry szczodrzéjszy, Bóg boży, róg rożek, but bucik, bat bacik, płótno, płócienny, złoto złocisty, baran barani, studnia studzienny, lew lwi*; znajdzie na odwrot zniszczoną swoję zasadę następującemi przykładami: *dzień dzienny, morze morski, niedźwiédź niedźwiadek, płoć płotka, żérdź żerdka, oś podosek, ołów' ołówek, nić nitka, liść listek, kość kostka* i t. p. Stojimy tu, jak dwa przeciwne obozy z przekonaniem osobistym o prawdzie, któréj bronimy; ale inni o nas wyrzekną: obydwa błądzą. Skoro taki wyrok ma zapaść, pominmy nazwę współgłosek piérwotnych i pochodnych, bo w niéj całe zło spoczywa i zostańmy przy nazwie twardych i miękkich, jako najwierniéj malującéj przymioty tych współgłosek.

Odmiany wyrazów przez spadki.

W odmianach rzeczowników dwie autor położył zasady, to jest, że rzeczowniki kończą się na samogłoskę lub współgłoskę, przeciw czemu nic powiedzieć nie możemy, ale rozwijając swe zasady, tak mówi: „Odmiana rzeczowników rodzaju nijakiego

jest pierwotnym tłem, na którym się rozwinęła i urozmajiciła odmiana rzeczowników rodzaju męskiego.". (str. 10). Daléj tak się wyraża: „Źródłosłowy (tematа) jimion, należących do pierwotnych trzech odmian, mają, lub miały pierwotnie zakończenie samogłoskowe męskie drugiéj odmiany prawdopodobnie na *o* i *e*, jak nijakie, wszystkie należące do pierwszéj odmiany na *a*, (a wyjątkowo na *o*); nareszcie źródłosłowy trzeciéj odmiany na *i*, przybierające częstokroć własność półsamogłoski w formie miękczenia poprzedniéj współgłoski źródłosłowowéj, np. *rzecz*, *kość* i t. p. Ponieważ jich zakończenie stanowczo wpłynęło na kształt i charakter zakończeń przypadków wszystkich trzech liczb; nie bez przyczyny przeto grammatyka porównawcza zowie deklinacyją jich w ogólności samogłoskową. A iż co do ilości w języku słowiańskim w ogóle, rownie jak i w polskim tak przeważają, że liczba tematów współgłoskowych jest prawie nieznaczną: stąd nietylko mogło łatwo wyrodzić się mniemanie, jakoby język polski i słowiański już nie miał innéj deklinacyji, tak zwanéj współgłoskowéj, ale nawet instynkt językowy kierowany częstokroć uczuciem analogiji, przywłaszczył tu i owdzie tym źródłosłowom zakończenia przypadków, co do jistoty tylko deklinacyji samogłoskowéj właściwe, albo nadał jim zupełnie postać, zakończenie, a tym samym i cechę źródłosłowów samogłoskowych" (str. 21. 22). Cały ten ustęp, zupełnie ciemny, przecież ta myśl główna z niego się przebija, że pierwotna forma rzeczowników rodzaju nijakiego była podstawą dla formy rzeczowników rodzaju męskiego i że początkowo rzeczowniki kończyły się zawsze na samogłoski. Zasadę tę fałszywą będziemy się starali obalić.

Czy to weźmiemy cały żywot słowiańszczyzny, gdzie niegdzie się pojawiający, to w prawach, zwyczajach i obyczajach; czy zwrócimy uwagę na religiją jeszcze pogańską praojców naszych, spostrzegamy już dwie płcie, a zatym rodzaju męskiego i żeńskiego. Płeć męska oznaczała siłę, płeć żeńska przedstawiała piękność, łagodność, ale przy tym i niemoc. Za rzeczą poszły wyrazy, jako znaki myśli i dla tego wszystkie wyrazy, któremi oznaczamy moc, przewagę, siłę, kończą się po największéj części na współgłoski twarde. A jeżeli tu zdarzają się niekiedy wyjątki, natenczas to jest zupełną prawdą i ogólnym prawem, że w języku polskim nie ma ani jednego wyrazu, ze współgłoską przybierającą twardą, któryby był rodzaju żeńskiego. Co jest dziś, było dawniéj. *Mężczyzna* i *żeńszczyzna* (wyraz z statutu Wiślickiego) stanęły obok siebie repre-

zentantami płci, lecz zaraz powstał *mąż*, jako silniéj płeć swoję odznaczający, i *człowiek*, wyraz gatunkowy, nie płeć, ale gatunek jistoty przedstawiający, i z powodu siły większéj we płci męskiéj, niż żeńskiéj, jest rodzaju męskiego. Za jistotami żywotnemi, poszły nieżywotne, a za temi poszły wyrazy, które, gdy oznaczają moc, tęgość, są rodzaju męskiego, gdy zaś przeciwne mają malować przedmioty, są rodzaju żeńskiego, i stąd niezawodnie wynikły dwa piérwsze rodzaje rzeczowników.. Jednakże nie we wszystkich jistotach mógł człowiek płeć oznaczyć; ujrzał niemowlę, dziécię, kocię, które jeszcze płci nie rozwinęło. Cóż więc uczynił? Poszedł za rodą jego, umieścił je w rodzaju nijakim, i z téj to przyczyny ktoś, nie pisząc w całe mowni, powiedział: *Dziecię w całym znaczeniu tego wyrazu jest rodzaju nijakiego.* Toż samo się stało z rzeczownikami nieżywotnemi; gdy jich zakończenia nie odpowiadały końcówkom form rodzaju męskiego i żeńskiego, utworzono dla nich odrębną odmianę, to jest rodzaju nijakiego.. Nadto zwróćmy uwagę na nazwę wyrazów: *nijaki, pośredni.* Ony przecież muszą malować jakieś pojęcie, i tak jest jistotnie. W języku polskim *rodzaj nijaki* znaczy ani męski, ani żeński, to jest jakiś inny, różniący się od znanych. W innych pobratymczych językach nazywa się *rodzajem pośrednim*, to jest takim, który trzyma środek pomiędzy wyraźnemi rodzajami, a zatym najoczywistszą jest wynikłością z dwoch piérwszych; skąd ostateczny wniosek wyprowadzić się daje, że rzeczowniki rodzaju nijakiego nie są pierwotnym tłem do odmiany rzeczowników rodzaju męskiego, jak nasz autor w zasadzie zakreślił. Ażeby utrzymał swoję zasadę, tak jeszcze mówi: „Temat słowiańskich rzeczowników męskich piérwotnie musiał tak, jak nijakich, pokrytym być samogłoską *o* (lub *e* po miękkiéj); zabytki tego znajdują się w dawnéj polszczyznie, np. *brzuch* i *brzucho*; *trzon* i *trzono*; *czółn* i *czółno*; *obrzęd* i *obrzędo*; a podziśdzień nazwy siedlisk w północno-zachodniéj polszczyźnie brzmią: *Ostrowo, Witkowo, Janowo, Bojanowo, Piotrkowo, Tarnowo*; — w południowo-wschodniéj zaś: *Ostrów, Witków, Janów, Bojanów, Piotrków, Tarnów*" str. 14. 15).

Co do piérwszego. Wyrazy przytoczone: *brzucho, czółno, obrzędo, trzono*, wszystkie mniéj więcéj wewnętrznym swym znaczeniem malują miejsce, naczynie, lub narzędzie; przy małéj więc rozwadze piérwszych twórców języka musiały pójść do formy nijakiéj, jako niewybitnie rodzaj męski lub żeński przedstawiającéj. Dopiéro późniéj, gdy już więcéj nad językiem my-

ślano, zaczęto probować, czyli też te, że tak powiem, wybierki, do rodzaju nijakiego pierwotnie odrzucone, nie mogą stanowić formy męskiéj, lub żeńskiéj, co się sprawdziło na wyrazach: *brzuch*, *trzon*, *obrzęd*,—a *czółn* pomimo wysileń musi jeszcze być rodzaju nijakiego *czółno*, bo spadek drugi *czółnów* bardzo na przeszkodzie stawa. Z resztą, gdyby autor porównawczym okiem patrzył na trzy formy rzeczowników, przez siebię danych, (str. 14), niezawodnieby się przekonał, że forma dla rzeczowników rodzaju nijakiego jest zlewkiem, sklejeniem form, rodzaj męski i żeński składających, albowiem na złożenie swojich końcówek bierze je z rodzaju męskiego, tudzież żeńskiego i najwięcéj ma spadków podobnych do siebie, co wszystko przekonywa o jéj późniejszym powstaniu i zbliża ją do części nieodmiennych, a mianowie przysłówków takich, w których drga życie rzeczownikowe i które są wyraźnemi spadkami drugiemi rodzaju nijakiego, *np. daleko z daleka*, *naprzeciwko z naprzeciwka*; *stąd*, *stamtąd od tędy*, *tamtędy*; *z dawien dawna od dawno*; *zamiast*, *natychmiast* i inne bez liku.

Co do drugiego. Na wyrazy: *Ostrowo*, *Witkowo*, *Janowo*, *Broniszewo* ma odpowiedź autor w swojim dziele (str. 31), gdzie mówi o odmianie przymiotników w postaci rzeczownikowéj, to jest: *młod*, *młodo* drugi spadek *młoda* i t. p. Jimiona te, dziś własne, były kiedyś przymiotnikami i kładły się zapewnie jeszcze dawniéj z rzeczownikami: *obydle*, *stanowisko*, *miejsce*, jako to: *obydle Witkowo*, czyli *mieszkanie Witkowo*, (bydlić albowiem w staréj polszczyznie znaczy: *mieszkać*), to jest: miejsce obfitujące w chrust, w wici; *stanowisko Tarnowo*, miejsce obfitujące w ciernie; *siedlisko Broniszewo*, służące za obronę. Do dnia dzisiejszego leży Broniszewo tuż nad Gopłem, a jego wzgórza, na których stoji, dziś świadczą, że były kiedyś przed wiekami sypane i że je Gopło będąc dawniéj o 11-cie stop wyższe, swemi wodami otaczało, co wszystko potwierdza, iż było miejscem obronnym, skąd jego nazwa *Broniszewo* pochodzi; *Obydle Bojanowo*, miejsce dziedzinne Bojana i t. d. Że zaś te wyrazy: *obydle*, *miejsce*, *mieszkanie*, *siedlisko* są ogólne,—a przymiotniki: *Witkowo*, *Broniszewo*, *Bojanowo* i t. p. stanowiły treść nazwy, bo ją w sobie przedstawiały; opuszczono więc rzeczowniki ogólne, zostawiając tylko: *Witkowo*, *Broniszewo*, *Piotrkowo* i t. d., do czego zmuszała jich krótkość wyrażenia bez nadwerężenia jasności. Przykład takiego opuszczania wyrazów, powszechnie znanych, mamy w następnych przykładach: *czopowe*, *beczkowe*, *podymne*, *pogłówne*, *porękawiczne*, *łanowe*, *poradlne* i t. p.,

gdzie się opuszczają domyślne rzeczowniki: *cło* lub *myto*. Z upływem czasu dla krótkości mowy: *Witkowo*, *Tarnowo*, *Broniszewo*, *Piotrkowo* przedzierzgnęły się na: *Witków*, *Turnów*, *Broniszew*, *Piotrków*, utrzymując się przy formie rzeczownikowéj, bo ją, oznaczając rzeczy, miały od początku swego utworu, a nie przymioty. Gdy znowu zbiegły się dwa jimiona jednakowe, natychmiast je odróżnili dla uniknięcia dwójznaczności, jeżeli nie w języku pismiennym, to przynajmniéj w mowie potocznéj, innym dodanym wyrazem, np: *Brześć kujawski*, *Brześć litewski*; *Kamieniec podolski*, *Kamieniec litewski*; *Janów biskupi*, lub podlaski *Janów ordynacki*, oprócz kilku jeszcze innych; *Piotrków trybunalski*, *Piotrków żydowski* i t. p. Takiego skracania przymiotników mamy dziś zabytki w mowie gminnéj, *np. ojców*, *stryjów*, *matczyn*, *ciotczyn*, *babczyn*, zamiast: *ojcowy* i t. d.

Następnie autor przejęty myślą, że rzeczowniki koniecznie się kończyły na samogłoskę, tak się wyraża: „Źródłosłowy męskie na *eń*, *np. kamień*, *krzemień*, *jęczmień*, *korzeń*, *rzemień* i t. p. w których atoli zakończenie *eń* już jest utworem ducha języka, usiłującego zbliżyć te źródłosłowy do źródłosłowów drugiego oddziału, dając jim zakończenie męskie półsamogłoskowe. W języku starosłowiańskim mianownik wszystkich tych źródłosłowów zakończony jest na *y*, jako to: *kamy*, *krzemy*, *płomy*, skąd to zapewnie wyprowadzać należy wiadome polskie pochodniki: *kamyk*, *krzemyk*, *płomyk* i t. d. A że to *y*, któremu niektórzy badacze języka przypisują w starosłowiańszczyznie brzmienie nosowe, jest tylko brzmieniem pochodnym, wynikłym w skutek zasady, iż w języku starosłowiańskim żadne słowo nie może się kończyć na otwartą wspólgłoskę, lecz pokryte musi być półsamogłoską ъ lub ь, dowodzą tego przypadki uboczne (casus obliqui), w których już snadniéj odróżnić źródłosłów od końcówki. Uważając przeto dzisiejszą postać np. dopełniacza liczby pojedynczéj: *kamienia*, po odrzuceniu końcówki *a* otrzymujemy: *kamień*: a wiedząc, że końcowe zmiękczenie jest późniejszym nieorganicznym dodatkiem instynktu językowego, wnosimy, że *kamień* albo ponieważ z końcowym zmiękczeniem odpada wedle zasad językowych także potrzeba cieńczenia *o* na *e*, że *kamion krzemion*, *jęczmion* i t. d., musi być pierwotnym źródłosłowem tych rzeczowników" (str. 22). Autor utrzymuje, że *kamy*, *krzemy*, *płomy* kończą się na samogłoskę—i dla tego mamy pochodne wyrazy: *kamyk*, *krzemyk*, *płomyk*. Gdyby to prawdą było, wyrazy: *nożyk*, *czyżyk*, *krzyżyk*, *koczyk*, *koszyk*, *rydzyk*, *ha-*

czyk miałyby za swe pierwotniki: *noży, czyży, krzyży, koczy, koszy, rydzy, haczy*, zamiast: *nóż, czyż* i t. d.; a nawet wyraz autora: *korzeń* musiałby pochodzić od *korzy*. Daléj mówi, że w *kamy y* jest brzmieniem nosowym; a więc może odpowiadać, o czym nie wspomina, przypuśćmy— *kamę*, lecz w tym wyrazie po rozłożeniu ostatnie brzmienie jest *n*, a zatym współgłoską, to jest: *kamen*, czyli późniejszy przerobiony na *kamień*, aby utrzymać zasadę, że każdy rzeczownik kończy się na samogłoskę, lub ma zakończenie miękkie półsamogłoskowe; z czego znowu wynikło ostatecznie, iż: *krzemion, kamion, jęczmion* i t. d., musi być pierwotnym źródłosłowem tych rzeczowników. W całym ustępie autor ciemny i zawiły, co pochodzi stąd, iż poszedł za tych nauką, którzy patrzyli na literę języka, a nie na duch jego; że zasady, której się ściśle trzymali, nie wyprowadzili z rody języka; że autor, uwierzywszy w jich naukę, splątał się i dowiódł zupełnie czego innego, to jest: że *krzemion, kamion, jęczmion*, kończące się na współgłoski twarde, są źródłosłowami; dążnością zaś jego i głównym założeniem było przekonać, że każdy źródłosłów kończy się na samogłoskę, lub zakończenie ma miękkie półsamogłoskowe.

Gdybym tę rzecz rozwijał, w następujący postąpiłbym sposób. Wyrazów: *kamień, krzemień, płomień, rzemień*, są pierwotnikami: *kamy, krzemy, płomy, rzemy* w starosłowiańskim języku. Końcówka *y* w nich się znajdująca, musiała się w wielu razach uważać za brzmienie nosowe, czego nam dowodzi język polski, w którym uformowały się dwojakim sposobem pochodniki: raz przez dodanie wprost końcówki *yk* do przybierającéj *m*, np. *krzem krzemyk, kam kamyk, płom płomyk, rzem rzemyk*; drugi raz przez rozłożenie nowego *y* na samogłoskę i współgłoskę *n*, skąd wynikły: *z krzemę krzemień, z kamę kamień, z płomę płomień, z rzemę rzemień*. Do takich pierwotników należało się podług wszelkiego podobieństwa policzyć starosłowiański pierst' (palec), z którego pochodniki mamy: *naparstek, pierścień*. Tych pochodników drugi spadek liczby mnogiéj w dalszym rozwoju języka stał się znowu zasadą nowych wyrazów w języku, jako to: *krzemień krzemionka, kamień kamionka*, o czym nas przekonywają na téj saméj drodze rozwijania następujące wyrazy: *pierścień pierscionek, goleń golonka, gleń glonek, jeleń jelonek, dzień dzionek, pieczeń pieczonka, sień sionka, przedsionek*; a nawet rzeczowniki dziś mające końcówkę *ę* lub *e*, zbliżone bardzo brzmieniem do starosłowiańskiego nosowego *kamy*, jako to: *ramię ra-*

mion ramionko, wymię wymion wymionko, jimię jimion jimionko, nasienie nasion nasionko tu należą. Tu się także odnoszą urobione z drugich spadków nieużywanych, lub bardzo rzadko się zdarzających np: *bór borówka, sól solówka, masel maselko, dzieciąt dzieciątko.* Chociaż ostatnie przykłady nie mają brzmienia *n*; jednakże taż sama myśl w jich urabianiu się przepływa i dla tego tutaj je zamieściłem.

Za jednym rzutem zwróćmy uwagę na wyrazy: *ojciec, macierz, córka, słowo* i *dla.*

O *ojcu* tak mówi: „Pierwotnik tego rzeczownika jest: *ot, ocz* (*oc* lub *oć* najstarszy, wódz, patryjarcha)" (str. 14). Nie wątpimy, aby *ot, ocz* nie miał oznaczać *patryjarchy*, lub *wodza*, ale pierwiastek jego jest *ciéc, ciecz*, a samogłoska *o* jest przedjimkiem (praepositio); a zatym: *oćc, ociec,* dziś dla złagodzenia mowy: *ojciec,*—i na téj zasadzie, wskazując uderzające podobieństwo między ojcem, a synem, mówimy dziś jeszcze w mowie potocznéj o drugim: *wykapany ojciec.*

O *macierzy* i *córce* tak się wyraża: „Źródłosłowów na *r* nie ma język polski, tylko dwa: *macier* i *cer* (*cór*), które w języku starosłowiańskim brzmią *matier* i d'szter, (zamiast d'gter). (A czy tu wyrazu *paździérz* dodać nie można?) Z tych tylko pierwszy źródłosłów w języku zatrzymał swoję pierwotną postać, odmieniając się podług prawideł sobie właściwych; drugi przez przybranie już w mianowniku zakończenia *a*, (córa, cera) przeszedł do oddziału źródłosłowów samogłoskowych, przybierając odmianę tychże. Źródłosłów *mać r* (macier) w mianowniku (1. przyp.) liczby pojedynczéj, wedle zasady starosłowiańskiego języka, w skutek któréj słowo nie kończyło się na współgłoskę, (chyba powinno być: *na samogłoskę*), po odrzuceniu głoski *r* przybrał postać: *maci* (*mac*), przyjmując w dopełniaczu liczby pojedynczéj (2gi przyp.) *e*, miękczące z natury swojéj poprzedzającą współgłoskę *r* na *rz*, jako charakterystyczną końcówkę odmiany współgłoskowéj, a w temacie stale pełne *e*, pozostające także we wszystkich innych przypadkach, których końcówki wzięte są z odmiany źródłosłowów zakończonych na *i*, lub współgłoskę miękką, np: *kość*, jakoby się odmieniał rzeczownik *macierz* następującym wzorem: pierwszy spadek: *maci* lub *mać*; drugi *macierze* i t. d." (str. 26.)

Autor poszedł za obcą nauką, która nie miała dokładnego pojęcia o rzeczy i stąd taki zamęt w ciemnym jego wykładzie się objawia.

Ponieważ, zapatrując się na rodę języka polskiego, w chwili obecnéj rozwiniętego, nie mogłem na żaden sposób przypuścić, aby w starosłowiańskim dłuższe wyrazy: *matier* i *dszczer* były źródłosłowami krótszych: *mati*, *dszczy* w spadku piérwszym liczby pojedyńczéj kładzionych; udałem się do bibliji cerkiewnéj, w któréj nigdzie nie znalazłem wyrazu *matier* w piérwszym spadku użytego, tylko zawsze *mati*; wyraz zaś *dszczy* i *dszczer* przemiennie się znajduje, jak następne przykłady nas przekonywają: *Rachel dszczy eho idiasze so owcami* (Gen. 29 6). *Dszczer mudraja naśledyt muża swoeho* (J. Syr. 22).— *Dszczer matiere twoeja ty esi* (Ezech. 16. 45). *Jakoże mati, tako i dszczer.* (Ezech. 16. 44). *Mati wasza Chetteanyna* (Ez. 16. 45). Pozwólmy nawet, że i *matier*, jak *dszczer* w piérwszym spadku się używa; mimo to nie pójdę za autorem, ażebym *mati* i *matier* uważał za jeden wyraz, chociaż jedno pojęcie oznaczają. Piérwsze zatym spadki: *mati* i *dszczy* są czysto słowiańskie, a inne wyszły z użycia, bo je wyparły od pochodników: *matier*, *dszczer*,—*mati matiere*, *dszczy dszczere* i t. d.— i urobiła się deklinacyja na wzór greckiéj lub łacińskiéj, w których dopiéro drugi spadek stanowi jądro wyrazu, np. *pus podos*, *pes pedis*, *odus odontos*, *dens dentis*.—Tego zgrecyzowania lub zlatynizowania dokonali tłumacze Bibliji nietylko w swojim dziele, ale nadto wywarli wpływ stanowczy na język rossyjski, w którym dziś taż sama jest deklinacyja, np: *mat' matier*, *docz doczeri*, tudzież w mało-ruskim, jako to: *mati* i *matieri* piérwszy spadek, *matieri* drugi i t. d. Ostatecznie, przytoczenie cudzéj myśli niech będzie dowodem, że zgłoska *er* skąd inąd ród swój wywodzi. „Rzeczowników nieforemnych rodzaju żeńskiego nie ma, jak tylko: *mati* matka, *dszczy* córka, które w dalszym spadkowaniu przyrostek *er* dostają: *mati*, *matiere*, *matieri*, *mati*, *matieriju*, *matieri* (str. 38) (1). Stąd najwidoczniéj się przekonywamy, że język starosłowiański przyjął na swoje łono ten grecyzm i ustalił go mocno w wyrazach: *mati* i *dszczy*.

W języku polskim zupełnie inaczéj się dzieje; widać, że od najpiérwszéj swojéj kolebki pilnował téj zasady, jak oka w głowie, aby w piérwszym spadku liczby pojedynczéj miał współgłoskę wyraźną przybierającą, np: *płot*, *chata*, *błoto*, *ból*, *sól*, *pole* i t. p. Jeżeli téj zasady w widocznéj współgłosce przybierającéj nie mógł utrzymać, złączył ją z samogłoską, ale jéj nigdy nie

(1) Grammatyka Języka Starosłowiańskiego napisana przez ks. A. D. z Walawy. Przemyśl, 1837 roku.

tracił, jak to widziemy na wyrazach: *jimię*, *ramię*, gdzie w ę ukrywa się przybierająca *n*, która natychmiast na jaw występuje, skoro tylko dla niéj pomyślna okoliczność się nadarzy, jak: *jimienia*, *ramienia* i t. p. Toż samo było w staréj polszczyźnie z *maci* lub *mać*; wyraz ten miał wszystkie odmiany spadkowe, ale gdy się zużył i przybrał znaczenie mniéj szlachetne, zastąpił go wyraz *maciérz*, bez wątpienia przez naśladownictwo starosłowiańskiego *matier*, (jak z łacińskiego *pater* jidzie spolszczony *pacierz*), ale wyraz ten już w spadku piérwszym liczby pojedynczéj był zupełny i tylko, przechodząc odmiany spadkowe, dobierał końcówki do przybierającéj współgłoski. Autor, poszedłszy za naśladownictwem, nie zgłębiwszy rody swojego języka w tym względzie, znalazłszy w pomnikach staropolskich raz *mać*, to znowu *maci*, to *macierze*, zawnioskował błędnie, że *mać* nie ma inaczéj drugiego spadku, jak koniecznie: *téj macierze*, o czym jego wzór nas przekonywa (Patrz str. 26). Zapomniał o tym, że w owym czasie obydwa wyrazy pełnym życiem płynęły; że zatym jeden pisarz użył *maci*, słowianizując,—drugi *mać*,—trzeci *macierz* i t. p. Jeżelić dziś, jak w dawniejszéj pracy okazałem, (Patrz Bibl. Warsz. T. III mies. sierpień 1852 r.), mamy przeszło 60 osobnych wyrazów na pojęcie matka; dla czegożby oni nie mogli mieć dwoch, kiedy duch języka i uczucie mówiącego na to zupełnie pozwalają? Czym oni byli, my tym samym dziś jesteśmy z tą różnicą, że przy większym ukształceniu umysłowym wyrobiliśmy więcéj zwrotów do wydawania swych uczuć i myśli. I dla tego, gdy przewiodę pojęcie *matka* w ten sposób: *matka jest*; *do matuli mówię*; *matusi przyrzekam*; *matuchnę pozdrawiam*; *matuniu droga*; *z matulenią jidę*; *przy matusieni zostanę*:— nikt nie powié, że wyraz *matka* tak niemodelny; ale, że każdy spadek z wymienionych ma swój pochodnik, który się w znaczeniu równa zupełnie wyrazowi *matka*. Jak dziś: *matka*, *matula*, *matusia*, *matulenia*, *matunia*, *matusienia* mają znaczenie jedno; tak toż samo się działo dawniéj kiedyś z wyrazami: *mać* i *maciérz*.

O wyrazie *dla* taki sąd daje: „Przyjimek *dla* przestawiano, lubo nie zawsze po słowie rządzonym, np: *Nas dla*. *Tego dla*. *Dla tego cię proszę*" (str. 111). Jeden tylko wyraz *dla*, kładący się dawniéj po wyrazie rządzonym, powinien zwrócić uwagę badacza języka starego, skąd ten pojaw wynika, jednak tego nie uczynił, chociaż mógł mieć przewodników, którzy tego wyrazu za przedjimek w całéj rozciągłości nie chcą poczytywać.

W grammatyce Starosłowiańskiéj tak znajdujemy. „Własność przyjimkową mają także przysłówki następujące: *bliz* blisko, *w miesto* zamiast, *wnutr* wewnątrz, *dlia* dla i t. d. (str. 125) (1). Téj kwestyji dotykałem dawniéj, (Patrz Bibli. Warsz. T. III, Sierpień 1852 r.), teraz mogę ją lepiéj rozjaśnić. Wewnętrzne znaczenie *dla* pokazuje, iż jest ostoją, miejscem, stanowiskiem; a w znaczeniu umysłowym przyczyną, powodem, pobudką czynności, oraz kierunkiem, na czyję korzyść, czyli dla kogo to działanie skierowało przedmiot wskazany, np. *Dla syna bratu posyłam pieniądze. Dla ciebie to czynię. Dla nauk wszystko poświęcił. Dla tego tak się tłumaczę*, aby mnie *rozumiano* i t. d. To więc *dla* było ostateczną ostoją przedmiotu przez czynność skierowanego. Ale jeszcze to *dla* było dwojakie: ogólne i szczególne, czyli wyłączne. Jeżeli było ogólne i na swoję korzyść odbierało, że tak powiem, czynność z przedmiotem; kładło się zawsze z określnikiem, zachowującym zgodę w rodzaju liczbie i spadku,—i takie użycie było najdawniejsze. Jeżeli znowu to *dla* było czyjąś własnością; natenczas przybierało na określenie drugi tylko spadek, aby wskazać, czyje jest, np. *Dla brata to robię*, lub: *Brata dla to robię*. Dopóki przeto to *dla* było drugim spadkiem żywego jeszcze wówczas rzeczownika, nie raziło nikogo; mogli je więc przekładać podług upodobania, jak dziś toż samo się dzieje z rzeczownikami, np: *Tego stanowiska*. i *stanowiska tego. Stanowisko wojsk*, i *wojsk stanowisko*, bo stanowisko dziś jest zupełnym rzeczownikiem. Z wyrazem zaś *dla* tak postępować teraz nie możemy, albowiem z upływem czasu skostniał w przysłówek i z téj przyczyny zawsze mu towarzyszy spadek drugi, z którym w związku zostaje.

Powiedzieliśmy dotąd, że jest drugim spadkiem rzeczownika i oznacza miejsce; poszukajmy jednego i drugiego. W starosłowiańskim języku jest *dla*, ale to już przysłówek (str. 125 143) (2), u naszego autora parę razy znajdujemy słowo *bydlić*, a znaczenie jego jest—*mieszkać* np: *Czyń dobrze i bydli* (*inhabita*) *na wieki wiekom* (str. 102), w słowniku Wileńskim M. Orgelbranda mamy rzeczownik *obydle* z oznaczeniem, że *obydle* jest miejscem przebywania, pomieszkania, stanowiskiem żórawi z dodanym przy-

(1) Grammatyka Języka Starosłowiańskiego przez Ks. A. D. Przemyśl, 1837 r.

(2) Grammatyka Języka Starosłowiańskiego przez Ks. A. D. Przemyśl, 1837 r.

kładem następującym: *żórawie tam swoje obydle miewały;* nie uchodzą naszéj uwagi przysłówki: *wedle, wpodle, z wedla, z podla.* które są czwartemi i drugiemi spadkami zagubionego rzeczownika. Zebrawszy to wszystko razem, zawnioskujemy prawdziwie, że *dla* jest drugim spadkiem liczby pojedynczéj od pierwszego spadku *dle*, bo rzeczownik *obydle* tak się kończy i że przysłówki: *wedle, wpodle* podobne mają końcówki;—że *wedle, wpodle,* ponieważ są rodzaju nijakiego, podobieństwo zawsze zachowują ze spadkiem pierwszym;—że *bydlić* znaczy *mieszkać,*—a nasz wyraz *dla,* jakeśmy już powiedzieli, pokazuje ostateczną ostoję przedmiotu do niéj przez słowo skierowanego; że nareszcie z całego rozbioru téj rzeczy wynika, iż wyraz *dla* jest dziś najoczywistszym przysłówkiem z zastygłego spadku drugiego pochodzącego od nieużywanego dziś rzeczownika *dle.*

Wyraz *słowo.* Za obowiązek poczytuję sobie uczynić następującą uwagę. Do dnia dzisiejszego powszechnie wyrazem: *słowo* nazywaliśmy i nazywamy część mowy, która maluje bytność, lub czynność; autor zaś mianuje ją *czasownikiem* w całym dziele, a wszystkie inne *słowami.* Wyraz *słowo* nadzwyczaj w znaczeniu jego poniżył, a nazwą *czasownika* tak on, jako też ci, za któremi poszedł, nie dopiął głównego celu, albowiem część mowy, przedstawiająca działanie, nie tylko czasy sobą wyobraża i dla tego możnaby ją równym prawem nazwać: *trybownikiem,* czyli *sposobnikiem, rodzajnikiem, liczbownikiem, osobnikiem.* Przypatrzenie się przedmiotowi z jednéj tylko strony i urobienie nazwy jego na téj jednej własności z pominięciem innych będzie błędem, bo nie będzie obejmowało w sobie całego pojęcia téj rzeczy,—a stąd czy prędzéj, czy późniéj upaść koniecznie musi. Jak nasz autor poniżył wyraz *słowo,* nazywając nim aż głoski *a i,* bo i te są wyrazami, tak znowu A. Morzycki wyniósł *słowo* do téj godności, którą właściwie piastować powinno.—Pomijam najpierwsze i najgłówniejsze znaczenie *słowa,* jak je kościół rozumie i do wierzenia nam podaje; rozprawa zatym o téj prawdzie wychodzi z mojego zakresu: ale przystępuję do *słowa,* co przez nie w języku wyrażamy. Przez *słowo* rozumiemy od bardzo dawnych już czasów to tchnienie ducha przez Najwyższą Opatrzność nam udzielone, czyli myśl, którą za pomocą mowy na zewnątrz drugim objawiamy; na téj przeto zasadzie mówiliśmy i mówimy: *Brzmiało słowo Boże po świątnicach pańskich z ust Skargi i Birkowskiego, poskramiało namiętności i lało balsam po-*

ciechy, nadziei w skruszone i zbolałe serca. Bezustannie Kaznodzieje ogłaszają słowa naszego Zbawiciela. Albo z życia towarzyskiego, światowego: *Dał słowo honoru i pewny jestem, że dotrzyma. Słówko ci powiem, a wszystko zrozumiesz.* A Morzycki, jako samodzielny myśliciel, rozpoznawszy wielkie to pojęcie *słowem* przedstawiane, usiłując je wybitniejszym uczynić, aby się w tym względzie nigdy nie mylono i nie brano jednego znaczenia za drugie, postanowił część mowy, wyrażającą działanie, dotąd *słowem* nazywaną, *sprawomianem* odznaczać. Nazwa ta najszczęśliwsza dotąd ze wszystkich, bo ogarnia sobą pojęcia tego wyrazu, że sprawę mianuje, wystawia, wyobraża,—oraz nie wkracza już w pojęcie drugie, którym myśli, czyli mowę wewnętrzną przedstawiamy. *Słowo* więc ostatecznie—jest to duch,—*mowa wewnętrzna* czyli myśli; *sprawomian* jest to nazwa na jeden wyraz do mowy zewnętrznéj potrzebny. Autor nasz, nie zwracając uwagi na postęp w téj nauce uczyniony, poszedł za pospolitym dawnym zwyczajem i wszystkie prawie części mowy słowami nazywa; A. Morzycki, aby usunąć zamięszanie pojęć i uczynić w nich jasność, na oddanie wyrazu, którym czynność malujemy, nowy znak *sprawomian* tworzy.

Przymiotniki.

W przymiotnikach rodzaju męskiego przypuszcza autor, że mówiono *młody* i *młodyj*, co potwierdza słowy:, „W języku ludowym dotąd słychać: *młodyj, dobryj, wielkij*, zamiast: *dobry, młody, wielki*" (str. 40). Śmiem z pewnością twierdzić, iż Polak czysto mówiący nigdy się tak nie wyrażał, jeżeli zaś znajdują się pomniki dowodzące téj prawdy, mogę również śmiało odeprzeć, że Polak rusinizował tylko, żyjąc w styczności z tym ludem.

W rodzaju żeńskim w spadkach z końcówką *éj* przypuszcza autor aż trojaką pisownią w różnych czasach: *młodej młodyj* i *młodéj*. To wszystko prawda, ale autor nic nie chce włożyć na karb niewiadomości piszących; duch języka polskiego ciągnął jich do ściśniętego *é*, środkującego między *e* otwartym, a samogłoską *y* lub *i* — i dlatego się wahali w pisowni, ale niezawodnie zawsze dobrze wymawiali, to jest: *dobréj*, gdzie i *e* ściśnięte i współgłoska *j*, chociaż nie wybitnie słyszéć się daje. Na okazanie, że *éj* w tych zdarzeniach brzmi jak *y* lub *i*, przytacza Smitha, który podług autora tak miał powiedzieć:

Wymowa zgłoski *éj* przechodzi na *y* lub *i*; *dobréj* brzmi jak *dobry*." Zgorszyłem się bardzo tym wyrokiem Smitha; nie chcąc go jednak posądzać, udałem się do źródła i znalazłem: „Bisweilen geht die Aussprache des *éj* in einen einfachen J.—Laut über. — Es geschieht gewöhnlich im Genitivus und Dativus der Einzahl im weiblichen Geschlechte der Beiwörter *z. B.*: *dobréj* (der guten) klingt *fast* wie *dobry*. Gewöhnlich man markirt in diesem Falle das *e* mit einem Strich. (dobrej). (str. 6. *). Wyrazem *fast* w tym ustępie umieszczonym ze wszystkiego się uniewinnia i chociaż cudzoziemiec, uchwycił dobrze brzmienie wyrazu *dobréj*; nieszłusznie przeto o nieznajomość rzeczy posądzony, to jedna rzecz; a druga, że przytaczany autor do dowodzonéj prawdy staje się nietykalnym kościelcem, naruszać go przeto i do swojich widoków nie godzi się przemieniać.

Liczba podwójna zajimków: *ja*, *ty*.

W zajimku *ja* kładzie autor na spadek 1. 4. 5. starosłowiańskie *wa*, *wie* i obok tego staropolskie *wa*, *wéj*; a chcąc okazać, że *wej* jest zapewnie liczbą podwójną rodzaju żeńskiego, taki przykład z pieśni gminnéj przytacza:» *Tak się téż wej skrobiewa*." (str. 30) To czysty błąd, albowiem to *wej* najwidoczniéj jest wykrzyknikiem doznanego podziwu, można go też innym zastąpić; *Tak się téż oto skrobiewa, niewiedząc, co daléj mawa począć*. Lud albowiem prosty, gdy mówi, zwłaszcza z człowiekiem wyższego usposobienia i wykształcenia, zakłopotany szukaniem wyrażeń na odpowiedź, drapie się w głowę, jakby w niéj chciał swój rozum poruszyć, i wykrzyknik *wej* to pojęcie tutaj wyraża. Liczba zaś podwójna rodzaju żeńskiego, jak wstarosłowiańskim, jest zawsze *wie*, któréj ślad widoczny pozostał w liczbowniku *dwie*; dla tego też liczbowniki: *dwaj*, *trzej*, *czterej*, przez podobieństwo do *wej* za dowód służyć nie może; przemianę bowiem tę inna okoliczność spowodowała.

W rubryce pod zajimkiem *ty* przy 1. 4. 5. spadku liczby podwójnéj napisał: *nienaleziony*, (to jest: *spadek* lub *przykład*). Tak jest rzeczywiście, bo go i inne starosłowiańskie grammatyki nie mają; mimo to, ośmielam się rzucić hypotezę, iż niezawodnie w odległéj starożytności jistniał w brzmieniu *ta tie*, a okażę

(*) Grammatik der polnischen Sprache von C. W. Smith. Berlin 1845.

to na żyjącym języku w mowie ludowéj. Wiemy już dziś z pewnością, że końcówki słowne są przyczepionemi zajimkami. Weźmy najwidoczniejsze, jako: *jest, jest-eś, jest-em, jesteś-cie, jesteś-my, jesteś-wa, jesteś-ta.* Skoro *wa* i *ta* ze słowem połączone oznaczają działanie dwoch osób, np. *jesteswa robiwa* to jest: *ja i ty jestem; ja i ty robię; jesteśta, robita*, to jest *ty i ty jesteś; ty i ty robisz*; — skoro znowu *wa* oddzielnie wzięte jest zajimkiem liczby podwójnéj i znaczy *ja i ty*, czyli nas dwoch razem: niezawodnie *ta* osobno uważane oznaczać musiało liczbę podwójną zajimka *ty*, to jest *ciebie i ciebie* lub *ty i ty*, czyli was dwoch razem. Nadto w języku ludowym często słyszemy: *wa robiwa, wa jedziewa*, gdzie widziemy dwa zajimki: osobny *wa* i ze słowem złączony *robi-wa*; słyszemy równie: *ta robita, ta jedzieta*, ale na nieszczęście nasze wyraz *ta* jest tu przysłówkiem, mającym bliskie znaczenie z wyrazami: *to, toć, tać, oto, taj, więc, zatym, wszak, przecie*, które się wyrażają w mowie z podniesieniem głosu. Takie jego przejście w przysłówek najwidoczniéj tym się objawia, iż go można użyć razem przy liczbie podwójnéj od *ja*: *ta wa robiwa, ta wa siedziwa* i t. p. Że więc jistniała liczba podwójna od *ty*, ani na chwilę o tym nie powątpiewam; ale już to dla zbiegu podobnych końcówek z zajimkiem *toj* w starosłowiańskim i *ten* w staropolskim, które także mają liczbę podwójną *ta*; już téż, że z zbiegiem czasu przeszedł w znaczenie przysłówka: stąd aby nie dawał powodu dwójznaczności, musiał jako, zajimek osobisty, umrzéć, i dla tego w pomnikach pozostałych dotąd liczby jego podwójnéj nie odszukano.

Słowa czyli sprawomiany.

Poznał autor ważność téj części mowy i dla tego najstaranniéj, najobszerniéj ją obrabiał, a gotów jestem wyrzec, że nawet zbytecznie ją rozdrobił, przesadził wiedzą niesłowiańską, która nie wyjaśniła przedmiotu, ale zmudniejszym go dla czytającego uczyniła. Wiedza ta objęła go wkoło i niepozwoliła mu spojrzéć samodzielnym myśleniem; stąd przeszedłszy w jéj ślady, nie spostrzegł, w czym starosłowiański język grecyzmował, w czym staropolski słowianizował, w czym daléj poszedł swoją drogą, i czy téż z dzisiejszego polskiego nie można wykryć czego, coby się przyczyniło do zdobycia jakiejś prawdy na tym polu; musiał przeto skończyć z innemi na słowie *być*, od

którego właściwie zacząć naukę wypadało; w tym więc ustępie sprobuję jiść na odwrot.

Po rozwinięciu słów foremnych i nieforemnych tak mówi:„ Względy czasownika *być* utworzyły się z dwoch pierwiastkowych tematów: *jes* i *by*, i źródłosłowu *bąd*, pochodnika pierwiastku *by*, nosującego *y* na *ą* i przybierającego obcą pierwiastkowi zupełnie współgłoskę *d*.“ (str. 107).

W dawniejszéj pracy utrzymywałem, że trzy są różne pierwiastki w dzisiejszym słowie *być*, jako to: *jest*, *by*, *będź będ*, lub *bąd*, bo to wszystko jedno. Ks. Ksawery Malinowski bardzo sobie z trzeciego pierwiastku żartował; nie wiem, jak sobie teraz postąpi, gdy i nasz autor ze mną podziela zdanie z tą jedyną różnicą, że u niego *bąd* jest pochodnikiem od *by*, w czym niezawodnie się myli, albowiem *bąd* jest odrębnym wyrazem, nie dającym się wywieść z *by*, jak zaraz okażemy. W żadnym dyjalekcie słowiańskim samogłoska *y* nie odpowiada, tylko *u* np: *ruku*, *rękę*, *sut*, *są* i t. p; współgłoska zaś *d*, Bóg wie, dla czego dowolnie się połączyła z samogłoską *y*, przechodzącą w brzmienie nosowe: *by*, *bąd*, co jasno nas przekonywa, iż autor się tutaj pomylił, nie patrząc na przemianę samogłosek, czyli raczéj, że poszedł za tych nauką, którzy nie odróżniają przemian zawartych w szczególnych i mniejszych zakresach języka od przemian rozlewających i znajdujących się w całym jego rozwoju; skąd ta pozorna niby prawda wynika, iż jedna współgłoska przemienić się może na wszystkie współgłoski, a jakakolwiek samogłoska przechodzi dowolnie w inną. Taka nauka, zrobiwszy tylko ogólny zamęt językowy, nie zdoła nigdy przyjść do jasnych i stanowczych prawideł mówniczych.

Następujący wywód jeszcze nas lepiéj o trojakim pierwiastku słowa *być* przekona. Przebiegając całą konjugacyją języka starosłowiańskiego, spostrzegamy, że każdy pierwiastek ma dwa jimieslowy czynne, jak je powszechnie zowią; od *jest*: sy, *syj*, lub *suszczyj*;—od *by*: *byw*, *był*;—od *bąd*: *buduszcz*, *buduszczyj*. Skądże taki pojaw wynika? Oto, że każdy pierwiastek przyniósł z sobą do współki te jimiesłowy, które już sobie wyrobił przed zlaniem się w jedno słowo *być*. Nader to ważna okoliczność, pozwala bowiem z największą pewnością twierdzić, iż język ten, który dochował wszystkie te jimieslowy w pomnikach, bardzo dalekiéj przeszłości sięga. Inne dyjalekty, łącząc podobnie, jak starosłowiański, te trzy pierwiastki w jedno słowo *być*, z wolna pozbywały się tego, co było zbyteczne, jak mamy przykład tego oczywisty na języku mało-ruskim i dzisiejszym polskim.

Tryb oznajmujący.

Czas teraźniejszy.

O téj prawdzie, że piérwiastkiem słowa bytu w czasie teraźniejszym jest wyraz *jest*, a nie *jes*, najwyraźniéj nas przekona język polski dzisiejszy—i dla tego wypisujemy tu formę *jestem* dla porównania w cztérech narzeczach.

	Starosłowiański	Mało-ruski	Staropolski	Dzisiejszy Polski.
3.	(j) *ѣ́ть*	(j) *e.* (j) *еѓт*	*jest* (*jeść*) skró. *je*	*jest*
2.	(j) *esi*	(j) *еѕ*	*jeś* zamiast *jes-ś*)	*jest-eś*
1.	(j) *eśm'*	(j) *eśm*	*jesm*	*jest-em*
2.	(j) *eśta, tie*	—	*jeśta*	*jest-eśta*
1.	(j) *eśwa, wie*	—	*jeśwa*	*jest-eśwa*
3.	*sut'*	*sut*	*s-ąt. są*	*są*
2.	(j) *eśtie.*	(j) *eśtie*	*jeście*	*jest-eście*
1.	(j) *eśmy*	(j) *eśmo*	*jeśmy*	*jest-eśmy*

Z takiego zbliżenia dyjalektów widziemy najprzód: że dzisiejszy polski najstaléj utrzymał *jest* prawie przez wszystkie zmiany, wyjąwszy osobę trzecią liczby mnogiéj, skąd oczywisty wniosek wynika, iż *jest*, a nie *jes* jest piérwiastkiem; 2re), że *jest* równa się *jeść*, czyli swojemu trybowi bezokolicznemu, który zaginął przy połączeniu się trzech piérwiastków oddzielnych: *jest*, *by*, *bąd* w jedno słowo bytu, którego tryb bezokoliczny *być* od piérwiastku *by* przemógł nad innemi i tamte, jako zbyteczne, usunął; 3cie), że trzecia osoba *jest* równa się trybowi bezokolicznemu zagubionemu *jeść*, podług naszego nawet autora, albowiem kładzie obok *jest* w nawiasie *jeść* (str. 49. 107), tudzież mówi: „Tryb bezokoliczny skrócony, (od niektórych *supinum* zwany), miał sam narostek *t* bez zakończenia samogłoskowego *i*: *A nieprzyjaciele jego będą lizat ziemie*: *Nie będzie karat.* (str. 58); 4te), że A Morzycki nie bez zasady wywodzi jeden początek bytu i jedzenia; tryb albowiem bezokoliczny bytu *jeść*, usunięty przez tryb bezokoliczny *być*, stał się zasadą innego słowa, czynność jedzenia wyrażającą: *jeść*, *jjem*: że nakoniec dodane końcówki osób i liczb do piérwiastku *jest*, urobiły całą odmianę słowa *być* w czasie teraźniejszym.

Końcówki te liczb i osób od słowa *być* w czasie teraźniejszym przeszły do słów innych—i tak:

W języku polskim dzisiejszym widziemy je *najprzód* w słowach piérwotnych, a w czasie teraźniejszym następujących: *wiem*, *śmiem*, *umiem*, *jjem*, *mam*, *jimam*, *dam*, (dok.); *powtóre*, we

wszystkich słowach pierwotnych, które mają cechę *a*, np: *kocham*, *gram*, *dbam*, *znam* i t. d; *po trzecie*, we wszystkich prawie słowach pochodnych różnociągliwych i częstotliwych, np: *umiewam*, *mawiam*, *bywam*, *wiewam*, *czytywam*, *wybadywam* i t. d. *po czwarte*, we wszystkich czasach przeszłych bez wyjątku, np: *byłem*, *wiedziałem*, *słyszałem*.

W staro-polskim toż samo się dzieje z tą różnicą, że wahanie ciągłe się pokazuje między końcówką *em* i *ę*, np: *znaję*, *składaję*, *zgibaję*, *podnaszaję*, *wylewaję*, *spowiedaję*, *badaję*. *poznawam*; tudzież w czasach przeszłych, gdzie niekiedy jimiesłów przymiotny osobno się pisze, a słowo *jestem* osobno, np: *wspomionął jesm*, *począł jesm*, *wybrał jesm*, *porodziła jeś*, *miłował jeś*, *chodziła jeśwa*, *wyszli su*, *płakałasta*, *rozumiałasta*.

W języku staro-słowiańskim zatrzymują *m* tylko słowa następujące w czasie teraźniejszym: *jestem*, *jjem*, *zjem*, *wiem*, *dam*, *mam*; a w czasie przeszłym jimiesłów zawsze odrębny od słowa *jestem*.

W języku mało-ruskim *m* utrzymuje się tylko w *jestem*, *jjem*. *powiem*, *dam*; a w czasach przeszłych sam się tylko jimiesłów kładzie z zajimkiem, np. *ja był*, *ja widział* i t. d.

W języku rossyjskim tylko w słowach: *jjem*, *dam* *m* się utrzymało; w czasach przeszłych toż samo sie dzieje, cośmy w mało-ruskim widzieli.

Z takiego zbliżenia i porównania ta prawda wynika, iż język polski dzisiejszy najstalej utrzymał pierwiastek *jest* i końcówki do niego pierwotnie dodane, najobszerniej rozwinął w innych słowach, które dla tego też po odmianie słowa *być* następować winny, jeżeli rozumowo objaw języka przedstawić zamierzamy. Dodać tu należy to jeszcze spostrzeżenie, że dzisiejsi niektórzy pisarze przez nieuwagę, lub naśladownictwo piszą: *ja mówił*, *ja robił* i t. d., czego jim pochwalać nie możemy.

Czasy przeszłe.

Mamy teraz pomówić o czasach przeszłych. Nasz autor tak się wyraża. „Oprócz różnic bowiem zachodzących, jak w nowym polskim, między objawem jednotliwym, a częstotliwym, między czasem przeszłym, a zaprzeszłym, między czasem przeszłym i zaprzeszłym niedokonanym, a dokonanym, język staropolski miał jeszcze czas przeszły względnie chwilowy i względ-

dnie trwały. Czasów przeszłych niedokonanych było tedy cztery: a) przeszły względnie chwilowy, (aoristus); b) przeszły względnie trwały (imperfectum); c) przeszły bezwzględny (perfectum); d) zaprzeszły (plusquamperfectum)." I zaraz daléj pisze: „Jak język grecki miał dwa aorysty, a staro-słowiański prócz aorystu piérwszego, (słabego), wykazuje pojedyncze formy także aorystu drugiego, (mocnego); tak też i w języku staropolskim znajdujemy szczątki obydwóch." (str. 59). Ponieważ dużo nam czasów nawymieniał, iż trudno je nawet wyliczyć za jednym rzutem; bierzemy sobie w pomoc drugiego dla wyjaśnienia rzeczy. Słowa są jego: „Czas przeszły piérwszy (jednotliwy) *biech* odpowiada łacińskiemu *fui*, niemieckiemu *ich war*; czas przeszły drugi (jednotliwy), *bych* łacińskiemu *factus sum*, niemieckiemu *ich ward*; a czas przeszły częstotliwy *biejach* znaczy tyle, co łacińskie *eram*, lub *solebam esse*, lub co polskie: *bywałem*." (str. 104) (1). Do tych dodać winniśmy czas przeszły dokonany: *był jesm* i czas zaprzeszły: *był biech* (byłem był).—Tu już jakieś światło widocznie nam przyświéca, przy którym wysnujemy dalszy ciąg myśli.

Po rozpatrzeniu się w pomnikach języka starosłowiańskiego i staropolskiego, wyprowadzić możemy następujące spostrzeżenia. Najprzód. Metodyjusz i Cyryl widzieli, iż w narzeczu, na które Pismo Śte. przekładali, znajdują się zwroty, mogące odpowiadać aorystom greckim i dla tego jich używali dla oddania myśli wyraźnéj, nie wchodząc w to, czyli te zwroty są czasami jednego słowa, czyli też ony należą do słów innych, bo oni prawideł mówniczych nie wykładali. Powtóre. Jest niezawodną rzeczą, że wówczas były w tych narzeczach odcienie bezwzględnéj trwałości, różnokierunkowości, częstotliwości i jednotliwości, ale się oznaczały odmiennemi słowami, nie zaś czasami, o czym nas przekonywa autor w pomoc wzięty, który mówi: *biejach* znaczy tyle, co *bywałem*. To *bywałem* rozwiązuje wszystko, bo *bywać* jest różnym od *być*. Po trzecie. Narzecze, szczycące się dawnym i wielkim pomnikiem językowym, nie miało, widać sposobności daléj się rozwijać; dla tego formy rozmajitych odcieni skostniały, które dzisiejsi mównicy za aorysty poczytują, przez co tłumaczów obwiniać się zdają, iż oni grecyzmowali, lub, że język starosłowiański miał aorysty greckie, które w dalszym ro-

(1) Grammatyka Języka starosłowiańskiego przez Ks. A. D. Przemyśl, 1837 r.

zwoju utracił. Po czwarte. W języku staropolskim również się te zwroty znajdują, lecz jich na żaden sposób za aorysty poczytywać nie można. Nasz autor, dając przykłady, sam je tłumaczy łacińskim wyrazem, lub też robi objaśnienie, np. *Gdy mołwich jim (cum loquebar illis)*. (str. 90). *A jich mię chwalechą* (w znaczeniu ciągłotliwym); to jest: chce autor powiedzieć: *A iż mię ciągle chwalili, Mołwiach pokój o tobie*, zostawia bez objaśnienia, ale ma się znaczyć: *Mówiłem lub mawiałem pokój o Tobie*, (t. j. *tobie*). *Iż mnie chwalechą, przeciwo mnie przysięgachą*, (str. 91) znaczy: *Iż mię ciągle chwalili, przeciwko mnie przysięgali*. Wyrażenia, mianowicie: *mołwiach, przysięgachą* pochodzą od słów różnociągliwych: *mawiać, przysięgać*,—a nie od pierwotnych; *mówić przysiądz*; skąd wniosek oczywisty wynika, iż nie są aorystami języka greckiego, który, nie mając osobnych odcieni w różnych słowach, musi te względy różnemi czasami jednego słowa wyrażać. Jeszcze wyraźniejszy dowód twierdzenia mojego w następnym pokazuje się przykładzie. *Wzywali są gospodna, a on wysłuchawa je, a we słupie obłoka mołwiasze k nim.* Słowa: *wzywać, wysłuchawać*, są częstotliwemi, a *mołwiasze*, (czyli *mawiał*) jest słowem różnociągliwym; pierwotniki zaś jich są: *wezwać, wysłuchać*, (lub bez przedjimków), *zwać słuchać* i *mówić*. Dzisiejszy znowu język polski najwidoczniej nam tę prawdę okaże. Dajemy tu przykłady słów takich, które posiadają wszystkie cztery odcienie: *trząsł. trząsał, trzęsywał, trząsnął: ryczał, rykał, rykiwał, ryknął; brzęczał, brzękał, brzękiwał, brzęknął* i t. p. Widziemy tu cztery czasy z jednej rodziny, ale każdy z nich ma swój tryb bezokoliczny: *trząść, trząsać, trzęsywać, trząsnąć* i t. p.; czyli, że to są czasy czterech słów, mających swoję zupełną i odrębną konjugacyją. Gdyby język polski nie miał téj własności w najpierwszym zarodzie swojim; niezawodnie nie zdołałby jéj w późniejszym rozwoju tak dobitnie wykształcić; nie mógłby nam pokazać i wypowiedzieć jasno, czym był w swojim niemowlęctwie. Język Starosłowiański niezawodnie też same posiadał własności, ale, że jego życie śmierć przerwała, poniósł je więc z sobą do grobu, pozostawiając po sobie wielki tylko pomnik, który przecież w sobie całego języka objąć i wszelkich jego zwrotów nie mógł pomieścić (1).

(1) Dowodzą téj prawdy języki zamarłe, jak grecki i łaciński; zostawiły ony dużo dzieł, czyli pomników, jich literaturę składających; przecież całego języka nie zawierają. Pokazuje toż samo zjawisko język hebrajski, przechowany w Bibliji, w któréj dosyć często się zdarza, że jakaś

Po piąte. Rozważywszy powyższe powody, zawnioskujemy prawdziwie, że dwa czasy: *biech*, *bych* są czasami słów jednotliwych, a trzeci: *biejach*—czasem słowa różnociągliwego. Następnie, ponieważ w dalszym rozwoju języka słowa silniéj się w swojich odcieniach rozwinęły; czasy te, niby jednego słowa *być*, jako nie potrzebne, upadły;—co się tym widoczniéj pokazuje, że jednego z nich osoba trzecia liczby pojedynczéj przeszła w spójnik *by*, którym oznaczono warunek przy wszystkich innych słowach, np: po staropolsku: *mówiłbych*, *robiłbych;* po dzisiejszemu: *mówiłbym*, *robiłbym*. Spójnik ten *by*, łącząc się, jak widziemy, z czasami powstałemi z jimiesłowu przymiotnego i słowa *jestem*, jako to: *robiły jestem*, *mówiły jestem*, czyli dziś w jednym zlewie: *robiłem*, *mówiłem*, — a z warunkiem: *robiłbym*, *mówiłbym*, pokazuje dwie własności. Chociaż dziś *by* jest spójnikiem, jednak ponieważ kiedyś był trzecią osobą czasu przeszłego, zawsze wymaga dla siebie kształtu czasu przeszłego bez względu, że czynność jest teraźniejsza, lub przyszła, np: *poszedłbym natychmiast; jutro opowiedziałbym wszystko*. Druga własność jest taka: ilekroć w zdaniu warunkowym znajduje się drugi spójnik; natychmiast *by* porzuca słowo, unosi z sobą jego końcówkę i łączy się ze swojim bratem, słowo poprzedzającym, lub nawet z innym częstokroć wyrazem w zlew jeden, np: *Wypowiedziałbym myśl swoję, gdyby mi się nadarzyła sposobność. Gdybyś mógł rozrządzać, kogożbyś wybrał za pośrednika?* Jak łączenie się *by* z czystemi spójnikami jest koniecznością, tak znowu z innemi wyrazami może się łączyć, lub pozostać przy słowie. I dla tego nie możemy dziś powiedzieć: *Gdy mógłbyś rozrządzać*; tak znowu jest dobrze: *Kogoż wybrałbyś za pośrednika?* Z tego wszystkiego ostatecznie pokazuje się, że czas przeszły, powstały z jimiesłowu przymiotnego i słowa *jestem*, oznacza przeszłość bezwzględnéj czynności,—a odcienie rozciągłości lub różnokierunkowości, częstotliwości i jednotliwości wyrażają się w słowach; nic przeto w języku nie zginęło i pełnym płynie życiem.

Czas przyszły.

Czas przyszły *będę* od pierwiastku *będ* stał się wzorem dla czasów teraźniejszych i przyszłych dokonanych słów wszelkich,

forma—bądź słowa, bądź innéj części mowy, jistniejąca z wszelkiemi swemi odmianami w żyjącym języku, raz tylko jedyny, jako okruszyna, w niéj się znajduje.

np: *rosnę urosnę, gniotę zgniotę, niosę poniosę.* Pokazuje się stąd najprzód, że piérwiastek *będ* przed wejściem swojim w skład słowa *być* był czasem teraźniejszym, kiedy wszystkie słowa przyjęły jego końcówki. Powtóre, że jest daleko późniejszym wyrobem języka, kiedy znowu słowa, za nieforemne poczytywane: *wiem, umiem, rozumiem, jjęm, śmiem, dam,* ze swemi złożonemi, przyjęły końcówkę słowa *jestem*; skąd oczywisty wniosek wyprowadzić się daje, że końcówki tych słów ustaliły się między formą *jestem*, a *będę*. Gdyby nasz autor rozważył tę okoliczność; gdyby zaczął od najpiérwszego zaczątku formowania się słów: w jaśniejszym świetle wystawiłby nam swoję pracę; albowiemby nam pokazał, skąd się zrodziła ta nieforemność nietylko w języku naszym, ale i w innych narzeczach, jakeśmy wyżéj wskazali.

Tryb rozkazujący.

Musiemy coś powiedzieć o trzeciéj osobie w liczbie mnogiéj trybu rozkazującego. Autor się nasz wyraża. „Zatraconą cechę na osobę trzecią liczby mnogiéj zastępowano cechą drugiéj osoby téjże liczby.” (str. 105). W grammatyce języka starosłowiańskiego toż samo niby prawo znajdujemy; przecież na tę rzecz zupełnie inaczéj się zapatruję. W badaniach podobnego rodzaju bądźmy ostrożni, pobłażliwi i sprawiedliwi dla przeszłości. Autor nasz mówi, że zatracili końcówkę trzeciéj osoby, a ja powiadam, że osób trzech nie mieli i mieć nie mogli, co wypływa z własności trybu rozkazującego, którym zwracamy mowę, czyli rozkaz tylko do osoby drugiéj, a zatym do obecnéj; osoba zaś trzecia, jako ta, o któréj się mówi, rozkazu nie odbiera—i osoba piérwsza mówiąca jéj go nie oddaje, tylko wyraża swe życzenie z innym dodanym rozkazem osobie drugiéj, aby osoba trzecia rozkaz w życzeniu zawarty spełniła. Nadto osoba druga, za pośrednictwem któréj rozkaz ma przejść do osoby trzeciéj, staje się w chwili przesyłania rozkazu osobą piérwszą, a osoba trzecia—drugą, aby mogła polecenie wykonać. Dla jaśniejszego wyłuszczenia okażmy to w przykładzie. Przypuśćmy, że Jan jest osobą piérwszą, Paweł—drugą, a osobą trzecią—najemnicy. Jan tak mówi do Pawła: „Pawle! poleć najemnikom, aby zanieśli, lub: niech zaniosą rzeczy do domu.” Teraz Paweł, wypełniając polecenie Jana, mówi znowu: „Najemnicy! zanieście rzeczy do domu.”—Skoro się przekonywamy, że tryb rozkazujący z rody

swojéj osoby trzeciéj mieć nie może; zatym nie należy oskarżać starych języków, że utraciły to, czego mieć nie mogły. Jeżeli zdarzają się przykłady inaczéj przekonywające, np: *osromeceni bądźcie (confundantur)*, t. j: *niech się osromocą; spadńcie, (decidant)* t. j. *niech spadną*; trzeba to przypisać słabemu rozwojowi ówczesnego języka, w którym się silili na oddanie myśli, ale jim to jakoś się nie udawało;—jednakże i to widać, iż tryb rozkazujący nie ma trzeciéj osoby. Przykład takiż sam, tylko w liczbie pojedynczej, mamy jeszcze w dzisiejszym *Ojcze nasz: Święć się jimię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja.* Pojmujemy myśl całą i wiemy, że zanosimy modły do Ojca w niebie; jednak w języku błądzimy. bo zdaje się, jakbyśmy do jimienia, królestwa i woli mowę zwracali. Jest to zwrot języka stary, należałoby go w ten sposób poprawić: *Niech się święci jimię Twoje, niech przyjdzie królestwo Twoje; niech będzie wola Twoja.* Nie tknęlibyśmy myśli,—owszem, uczynilibyśmy ją wyraźniejszą i sprostowalibyśmy dawny zwrot podług języka łacińskiego, który używa tu trybu łączącego: *Sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua*; lub nawet podług starosłowiańskiego: *Da swiatitsia imia Twoje, da prijdiet carstwyje Twoje, da budiet wolia Twoja.*

Uwagi swoje na słowie zakończam; pozostałe bowiem części, jako: przysłówki, przedjimki (praepositio), spójniki i wykrzykniki mniéj mają w sobie interesu; mogą ony znaleźć stosowne miejsce w słowniku ze swym znaczeniem i określeniem:—dla tego także parę kart tylko na nie poświęcił nasz autor, któremu w jimieniu ziomków składam dzięki za pracę tak mozolną, a tyle korzystną dla naszego języka. Jeżeli w niektórych zdarzeniach inaczéj się na nię zapatrywałem i osmieliłem się wyrzec sąd inny; wynikł on z tego samego uczucia, które autorowi w pracy towarzyszyło.— Wreście, zdania różne, choćby niekiedy i błędne, ostrzegą późniéj pracujących i sprostują ścieżkę; a tym samym nie będą bez korzyści.

Feliks Żochowski.

LEGENDA WIEKÓW (*).

(LA LÉGENDE DE SIÈCLES).

Tom Iszy i IIgi.

Wyszło w tym czasie pod napisem Legenda wieków, nowe dzieło Wiktora Hugo, poprzedzone rozgłosem, jaki zazwyczaj towarzyszy każdemu z utworów tego poety.

Autor zapowiada w przedmowie, że zamierza przedstawić w tém dziele ludzkość, w całym jéj rozwoju, od stworzenia pierwszego człowieka aż do dnia sądu ostatecznego; nadto, obiecuje, że wyrażenie postępu w poglądzie wielostronnym, ze stanowiska filozofii, historyi, podań i nauki, będzie głównem jego zadaniem. Olbrzymi i hardy pomysł, którego wykonanie, z góry możemy zaręczyć, że jest nad siły pojedynczego człowieka. Dzieło to ma być bowiem wielką epopeą ludzkości, do któréj prolog napisał Milton, a któréj zakończenie wyraził nieśmiertelny pędzel Michała Anioła w obrazie sądu ostatecznego. Geniusze wieków, z całą zbiorową potęgą swych talentów, od Homera do Göthego i Bajrona, nie zdołali dotąd zapełnić wszystkich luk tego olbrzymiego dramatu. Każdy z nich opiewał walkę człowieka, ale człowieka uważanego jednostronnie, bo względnie do miejscowości i epoki, w jakiéj żył autor; każdy z nich dokładał tylko po jednym kamieniu do téj olbrzymiéj budowy, ale nikt dotąd, nie umiał użyć stosownego cementu, do połączenia oderwanych części, w jednę tak wyborną całość, ażeby dokonane przez niego dzieło odpowiadało nazwie legendy wieków. Przypatrzmy się bliżéj trudnościom tego zadania. Ażeby wyrazić w legendzie ducha ludzkości upłynionych wieków, z całą sumiennością i prawdą, nie dość jest posiadać łącznie: wieszczy i potężny umysł Danta, geniusz i powagę Tassa, bujną fantazyą Aryosta, geniusz i ognistą duszę Kalderona, głęboko filozoficzny pogląd na serce ludzkie Szekspira; potrzeba nadto, z zupełną abnegacyą wyrzec się wszystkich stronniczych teoryj, a całém sercem ukochawszy przeszłość i ludzkość, ubolewać nad jéj

(*) Ponieważ artykuł zamieszczony w tekście o *Legendzie wieków*, obejmuje tylko sprawozdanie bez krytycznego sądu, przeto redakcya uważała za stosowne dać miejsce w tymże zeszycie swego pisma niniejszéj recenzyi. *Przyp. red.*

niedolą, płakać jéj łzami, a cieszyć się jéj radością, bez względu na to, czy ta radość, lub łzy te zgadzają się lub nie z osobistemi naszemi cierpieniami lub weselem. Daléj powiemy, że chcąc wyrazić postęp w rozwoju ludzkości, nie dość jest oderwane z różnych epok zamieścić epizody; potrzeba w logicznym porządku wykazać przyczyny i następstwa zebranych i cechujących daną epokę faktów, a z ręką na sercu wyszukiwać nieraz tam światła, gdzie pozornie same zalegają cienie: boć i w tak zwanych wiekach barbarzynstwa i ciemnoty nie brakło na świecznikach, co wskazywały drogę do celu, wytkniętego ręką Opatrzności. Nareszcie, stosownie do założenia autora oczekiwać się godzi, że z téj malowniczéj mozaiki, jaką przedstawiają połączone niewidzialném ogniwem dzieje różnych narodów i epok, utworzy harmonijną całość, owianą duchem Bożym; że oznaczy dobitnie wszystkie przejścia stanowiące główne fazy w życiu narodów, czyli wszystkie ogniwa tego ogromnego łańcucha.

Duch ludzkości nie cofa się nigdy, nie zna stagnacyi, jest zawsze żywy i jak krew gorący, a więc i postęp jego ani na chwilę obumierać nie może. Zbyteczną rzeczą byłoby dowodzić, że w epokach najkrytyczniejszych, w godzinach powszechnego pozornie upadku, rozprzężenia obyczajów, zaślepienia lub niewiadomości, znajdują się zawsze indywidua, co w porę chcą i mogą pochwycić chorągiew swego wyznania z walących się murów świątyni, ażeby ją przekazać następnie, w imieniu wiecznego prawa postępu przyszłym pokoleniom. Człowiek umiera, naród także, ale nie ludzkość, bo ta zawsze żyje i działa, a co ciągle żyje i działa, musi się doskonalić: takie jest prawo Boże. Słusznie więc zapowiedział autor legendy, że zamierza przeprowadzić w niéj życie ludzkości przez wszystkie szczeble postępu, w całym ciągu jéj dziejów.

Zanim przejdziemy do rozbioru szczegółów, zobaczymy, jak dalece autor wywiązał się ze swego olbrzymiego zadania, a najprzód, rzućmy okiem na całość tego utworu. Z samego zaraz początku, po przeczytaniu kilku ustępów, mających stanowić oddział wieków starożytnych, zupełnego doznaliśmy odczarowania. Oddział zatytułowany D'Eve à Jesus zamyka następujące legendy, czyli opowiadania: Poświęcenie kobiety. Sumienie, Wszechmocność równająca się dobroci, Lwy, Świątynia, Booz śpiący, Bóg niewidzialny dla oczów filozofa, Chrystus wskrzeszający Łazarza. Oderwanych kilka fragmentów z podań biblijnych, nie połączonych żadnym węzłem: oto jest cała tak pysznie

zapowiedziana mozaika, mająca przedstawić nam postęp ducha ludzkości starożytnych wieków, od stworzenia świata do Chrystusa Pana! Doprawdy, że jak wielkie było oczekiwanie, tak wielkiéj doznaliśmy niespodzianki: więc tyle wieków walk, cierpień i oczekiwania ludzkości, zdołało tylko nasunąć autorowi kilka oderwanych mysli, poczerpniętych z biblii, ubranych w szatę poetyczną, mniéj więcéj udatną; ale oprócz formy mistycznéj, jaką starał się naśladować autor w niektórych ustępach, naprożnobysmy szukali owego namaszczenia biblijnego, jakie wieje od niesmiertelnych hymnów Dawida lub trenów Jeremiasza. A gdzież jest ów pogląd ze stanowiska filozofii, historyi i umiejętności? Oto nie mamy nawet czego się pytać. Te olbrzymie i nigdy niewyczerpane skarby, owoce długich walk i pracy starożytnego ducha, owi mędrcy i prorocy, których wielkie dusze były przed świtem chrześciaństwa, nie znajdują dla siebie żadnéj karty w Legendzie Wieków. Przeszedłszy takim sposobem autor całe dzieje ludzkości do Chrystusa Pana, pozostawia znowu ogromną próżnię do upadku Rzymu, który w kilkunastu maluje wierszach, następnie przechodzi do wieków średnich. W opisie téj epoki natchnienie autora widocznie nabiera siły, ramy obrazu znacznie się rozszerzają, a w pojedynczych legendach koloryt epoki jest świetny, choć jednostronny. Z widocznem upodobaniem rozgląda się p. Hugo w téj epoce, ale niestety! ciemna strona obrazu najwięcéj go zajmuje. Kilkanaście legend, których szereg zaczyna Mahomet, stanowią wyłącznie obrazy mordów i grabieży, z wyjątkiem trzech lub czterech, gdzie z tych cieniów nocnych nieco jaśniejsze wyglądają postacie; ale gdzież są bohatérowie owéj epoki, ci wielcy lub święci mężowie, których imiona od kolébki ze czcią nawykliśmy wymawiać? nie ma dla nich miejsca w legendzie p. Hugo. Każdy król występujący jako bohatér jest tyranem, każda królowa Messaliną, koniecznem następstwem takich małżeństw dzieci są bękartami, a każdy uchodzący za świętego jest obłudnikiem, czyli w dzisiejszém znaczeniu słowa jezuitą; naodwrót zaś, wszystkie podobne postacie, jak Alfreda W., Ludwika ś., Kazimierza W., Pustelnika z Pikardyi, ś. Franciszka z Assyżu lub Dziewicy Orleańskiéj, zapomniane zupełnie zostały w Legendzie wieków.

Ludzkość, jak człowiek, ma dwoiste życie, tojest materyalne i duchowe; pierwsze wyraża się w namiętnościach grubych, zmysłowych, jak ta nasza pokrywa cielesna; to zawsze jest, było i będzie takie same, tylko stosownie do ducha epoki różne przybiera

formy, i raz gwałtowniéj i wyraźniéj to znowu skryciéj się objawia. Drugie zaś życie wewnętrzne czyli duchowe, wyraża się w szczególności w rozwoju urządzeń społecznych, w naukach, w sztukach pięknych, i w ogóle, w ideach wieku; a że duch ludzki ciągle jest czynnym i raz zaszczepiona idea nie ginie nigdy, ale stopniowo rozwija się i dojrzewa, więc ludzkość idzie naprzód zawsze, choć wolnym, ale pewnym krokiem. Niektóre płody ducha, mianowicie nauki i sztuki piękne nie w każdéj epoce dochodzą wyższego rozwoju: co ztąd pochodzi, że na gruzach jednych powstają inne narody, a zatém potrzebują pierwéj pewnego wyrobienia, nim otarłszy się z pierwotnéj grubości uchwycą berło cywilizacyi i pójdą naprzód po śladach swoich poprzedników. Taką koleją szły narody, które zaszczepiły nową cywilizacyą na gruzach obalonéj Romy. Ależ w łonie tych narodów, na początku ich nowego posłannictwa, świeciła już iskra postępu, a tym świętym ogniem Znicza, pielęgnowanym tak starannie w katakumbach Rzymu, była idea chrześciańska. Otóż autor Legendy, uważając ludzkość wieków pochrystusowych najwięcéj ze stanowiska materyalnego, zapomniał zupełnie wspomnieć o najpiękniejszych epizodach epoki, będącéj kolebką chrześciaństwa. Pominąwszy dzieje męczenników, którzy chrztem krwawym ścierali piętno pogaństwa, przeskakuje p. Hugo do dziewiątego roku mahometańskiéj ery i tkliwym opisem śmierci proroka, napróżno chce wzbudzić w czytelniku współczucie. Daléj pomija autor wojny krzyżowe, a zamieszczone w jego dziele legendy rycerskich czasów, albo malują li tylko ujemną stronę człowieka, albo uosabiają pewne przymioty rycerskiego ducha, jak np. odwagę, zapał młodzieńczy, (Roland, Aymerillot) nie podniesione do chrześciańskiego ideału ofiary i poświęcenia. Jak zaczął, tak zamyka autor szereg bohatérów chrześciańskich scenami mordów i grabieży, a następnie przechodzi do opisu podbojów i okrucieństw, dokonanych przez wyznawców Mahometa. Powieścią o Muradzie i oddziałem o Włochach, (L'Italie-Ratbert) zamyka autor dzieje epoki, którą powszechnie wiekami średniemi zowiemy. Z powieści o Ratbercie tyle dowiadujemy się o Włochach, ile możemy się nauczyć z powieści o królowéj Magelonnie. Ponieważ pogląd autora na dzieje nowożytne jest żaden, bo właściwie strofy oderwane i legendy z wieków średnich zajmują całą prawie przestrzeń dzieła; wypada więc wspomnieć o ogólnym poglądzie p. Hugo na tę część dziejów ludzkości. Chociaż zapowiedział w przed-

mowie autor, że wykazanie postępu będzie głównem jego zadaniem, tymczasem, gdyby nie częste wyrzekania na królów i odezwy Satyra do wolności, przeczytawszy prawie całą książkę, jeszczebyśmy nie wiedzieli, w czém właściwie pan Hugo chce upatrywać postęp. Otóż dowiadujemy się nareszcie, że rozwinięcie idei demokracyjnéj, poczytuje autor za wyrażenie postępu ludzkości, na co i my w części się zgadzamy, uważając postęp w dążności do urównania wszystkich stanów w obliczu prawa, ale bez względu na formę najwyższéj władzy, która zawsze odpowiednią być musi do miejscowych obyczajów, okoliczności wewnętrznych i postronnych, a co najwięcéj do stopnia cywilizacyi każdego narodu, w danéj epoce. Zobaczmyż teraz, gdzie i jak przeprowadza p. Hugo ideę postępu? Przekonamy się po długich poszukiwaniach, że w niczém zupełnie nie wykazuje téj idei, oprócz miotania klątw tu i ówdzie na bezbronną przeszłość. I nie dziw! bo zapomniał zupełnie autor, że nie tacy tyrani, jak bohatérowie jego w legendzie, nie Murad, nie Piotr okrutny, nie Filip II byli prawodawcami i ojcami ludów, ale tacy, jak Ludwik ś., lub nasz Kazimierz W.; ci to bohatérowie w różnych zjawiając się epokach, posuwali postęp ludzkości nie na drodze mordów i grabieży, ale według słowa sprawiedliwości i pokoju, na chrześciańskiéj ugruntowanego zasadzie.

Jeżeli w krótkich słowach zechcemy objąć całą treść dzieła, możemy ją zamknąć w następującéj osnowie:

Kilkanaście fragmentów różnéj treści i barwy, nie stanowiących żadnéj całości, tojest, kilka okruszyn z biblii, kilka legend z czasów rycerskich, kilka powieści o zaborach królów chrześciańskich i parę o muzułmańskich podbojach. W umieszczeniu tych dwóch ostatnich w Legendzie, żadnego nie dostrzegamy celu, oprócz mysli moralnéj, jaką wyraża zakończenie powieści o sułtanie Muradzie. Inaczéj uważalibyśmy zupełnie, gdyby chciał był autor wystawić obok téj hydry zaborów i mordów bohatérską odwagę ludów, które długą i krwawą pracą ochraniali zachodnią Europę od przemocy wschodniego despotyzmu. Wprawdzie po przeczytaniu całego dzieła przekonaliśmy się, że idea posłannictwa nietylko narodu, ale całéj chrześciańskiéj społeczności obcą jest zupełnie p. Hugo. Napróżno chcielibyśmy usłyszéć w Legendzie wieków głos jakiegokolwiek z bohatérów chrześciaństwa, oprócz głosu samego autora, odzywającego się niby to z wyżyn przeszłości, ale w istocie z katedry i w kostiumie XIX stulecia. Rzuciwszy ogólny rzut oka na całość utworu, ażeby usprawie-

dliwić się z naszego sądu, jakotéż, żeby wykazać dodatnią i ujemną stronę dzieła w szczegółach, przejdziemy do ich przeglądu.

Niektóre szczegóły same w sobie zawierają całość, a chociaż treść ich nie zawsze odpowiada celowi Legendy wieków, mieszczą jednak wiele pięknych ustępów, opisów i myśli, wyrażonych w poetycznéj i wdzięcznéj formie. Tak pierwszy oddział Legendy piękny zawiera opis stworzenia w rozdziale pod napisem: *Poświęcenie kobiety*. Wyjątek z tego rozdziału przytaczamy w przekładzie:

Promienie światła i wiatrów tchnienia
W taką harmonią cudną się zlały,
Że drżały lasy, jak liry brzmienia,
Cienie i światło, doliny, skały,
W zgodzie braterską miłością grały.
Zazdrość w robaka oku nie pała,
Z gwiazd żadna dumą nie napojona,
Zda się harmonia z światłem spływała
Z tajemniczego przyrody łona
W młodzieńczą ziemię, w gór jéj ramiona.
Kwiaty i zioła, wody i chmury,
Na wskróś tém światłem są przesiąknięte
Nucące lasy, milczące góry.
Jak dary niebios czyste i święte
W kielichy kwiatów rosy spadają,
A za te dary wdzięcznie przyjęte,
Kwiaty im w zamian woń posyłają.

W następującym ustępie pod napisem: *Sumienie*, odmalował autor niespokojność duszy skalanéj zbrodnią. Kain widzi nad sobą olbrzymie oko, które wśród cieniów nocy patrzy się na niego groźnie i ponuro, a więc przyzywa synów swoich, ażeby mu dopomogli skryć się przed tém straszném wejrzeniem; ale daremne są wszystkie usiłowania, bo nawet ukryty pod ziemią, nie może uniknąć obecności tego groźnego wzroku.

W trzecim rozdziale pod napisem: *Wszechmocność wyrównywa dobroci*,—Bóg zapytuje się szatana, czy nie żąda łaski. —Nie, zły duch odpowiada.— A więc, czegóżbyś żądał?— Zróbmy zakład—odrzecze szatan—kto z nas dokona piękniejszego dzieła; ja wezmę Twój utwór i przerobię go po swojemu, a Ty rozmnożysz ofiarowane ci przezemnie dzieło. Każdy z nas natchnie swym geniuszem przedmiot dostarczony i podany przez drugiego. —Zgoda— odrzekł Bóg. Jakoż na żądanie szatana dostarcza mu Stwórca cząstkę po cząstce z różnych zwierząt, nareszcie daje mu kolor złota, a w pomoc dla rozżarzenia ogniska każe

dąć uraganom. Po ukończeniu téj piekielnéj fabryki wychyla się z głębi Etny szatan, a z rąk jego wyleciała szarańcza. Wtedy Eblis z pychą i z dzikim zawołał uśmiechem: Mistrzu! teraz koléj na ciebie. A że ciemność sama za Bożą wolą może stać się przejrzystą, więc Stwórca wyciągnął rękę skąpaną w światłości ku cieniom i szatan dał mu pająka.

Bóg zawiesił pająka w przestrzeni, nie będącéj jeszcze błękitem niebios, a w miarę jak spokojny wzrok Boga patrzał na potworną istotę, dziwne światło, niby wschodzącą jutrzenką olśniło pająka, którego kształty zaczęły się powiększać, potworny brzuch jego przyjął kształt światłéj kuli, a nogi wyciągnęły się niby długie i świetne promienie. Szatan podniósł wzrok w górę, ale zadrżał olśniony nagłém światłem i pogrążył się natychmiast w otchłani, ponieważ Bóg przemienił pająka w słońce. Pomysł piękny i z wielką rozwinięty poezyą. Następujące z porządku rozdziały aż do epoki przyjścia Chrystusa Pana są to ustępy biblijne i należą do słabszych miejsc tego dzieła. Co do powieści o Chrystusie wskrzeszającym Łazarza, jakotéż co do dwóch następnych fragmentów: upadek Rzymu i Islamizm, toż samo wyrzec wypada, chociaż zaprzeczyć nie można, że tu i owdzie znajdzie się jakaś zwrotka szczęśliwsza i myśl wznioślejsza; ale całość tych pojedynczych utworów znacznie jest słabszą od trzech pierwszych.

Oddział IV pod napisem: Bohatérowie chrześciańscy (Le Cycle Héroique Chrétien) zaczyna się Legendą o Kanucie (Le Parricide). Treść następująca: Kanut zabiwszy ojca swego Swenona wstępuje na tron i zostaje wielkim królem; drżą ościenne państwa przed jego potęgą: zwycięztwa odnosi za zwycięztwami. Upojony uczuciem swojéj potęgi i dumy zapomina o zbrodni; nareszcie dosiągłszy szczytu sławy, umiera, uznany powszechnie za bohatéra, olbrzyma i największego geniusza wieku. Poczytany po śmierci za świętego, odbiera cześć mu należną.

Po skończeniu żałobnego obrzędu duch Kanuta bierze miecz w rękę i wychodzi z grobowca. Zbliżywszy się ku górze Sawo, woła: O góro, któréj śnieżne wierzchołki kąpią się w chmurach, dozwól mi odciąć kawał twojego śnieżnego płaszcza. Góra go poznaje i nie śmié mu odmówić, więc Kanut ostrzem swego niezwyciężonego miecza odcina kawał śniegu i robi z niego całun dla siebie. Zapytuje się znowu góry, gdzie mu udać się należy, ażeby mógł zobaczyć Boga; ale góra odpowiada: nie wiem, gdzie znaleźć go możesz duchu, ja jestem tutaj, jak wi-

dzisz. Wtenczas Kanut postępuje daléj, z czołem wzniesioném w górę, osłonięty białą ze śniegu szatą. Idąc coraz daléj ku północy, posuwa się w przestrzeń bezmierną, gdzie nocne zalegają cienie; przecież z tego dzikiego chaosu jakiś wzrok dziwny pada na niego. Kanut mówi do siebie: zapewne to grób jest, a za nim Bóg być musi; to powiedziawszy, robi trzy kroki daléj; ależ o dziwy! na białéj śnieżnéj szacie spostrzega czarną, coraz więcéj rozszerzającą się gwiazdę, a za dotknięciem się jéj ręką widzi, że to kropla krwi padła na niego. Kanut nie znał nigdy co to jest trwoga, więc podnosi głowę i śmiało postępuje naprzód, ale druga kropla krwi pada i jeszcze więcéj niż poprzednia się rozszerza. Napróżno w różne strony zwraca Kanut swoje kroki: wszędzie kropla krwi pada na niego. Zatrzymuje się ów bohatér z drżeniem i schyla głowę, jakby usiłował się modlić, ale kropla krwi znowu splamiła mu szatę.

I wtedy posuwa się daléj w te strony
Z modlitwą na ustach zamarłą, strwożony,
Okropny i drżący ponury duch biały,
A krople od czasu do czasu padały
Na śnieżną bieliznę i drżą mu kolana,
Jak burzą miotany szczyt gibkiéj topoli:
Bo widzi jak plama rośnie niezmazana
I w krwawą się chmurę zamienia powoli.
Więc idzie znów daléj, a z ciemnéj przestrzeni
Ta kropla krwi pada i całun rumieni,
Jak z szubienicy nóg czarnych w noc ciemną,
Z téj czarnéj przestrzeni krwi krople spadały;
Któż płacze tą straszną łzą, krwawą, tajemną?
To nieskończoność.

Ku przybytkowi chwały,
Gdzie błyszczy tron Boga w światłości i mocy,
Przybliżał się Kanut przez ocean nocy,
Gdzie wieczna bezwładność i cisza zalega;
Tak blady i drżący przebiega świat ciemny,
Gdy wrota przed sobą zamknięte spostrzega,
Z za wrót tych dzień wielki świta i tajemny.
Więc spuszcza on oczy, bo miejsce zamknięte,
To miejsce straszliwe, choć wielkie i święte;
Bo promień już Boski z za wrót tych wybiega,
A głos się za niemi hosanna rozlega.
Więc nie śmié wznieść oczów i zadrżał on blady,
Bo widzi czerwone, nie zmyte krwi ślady;
On mocarz ciemności, co krwi zmyć nie może,
Skoro się kieruje, gdzie światło lśni Boże,

Zaledwie krok zrobi, już krew go rumieni,
I błąkać się musi w krainie tych cieni.
Więc wiecie, dlaczego od światła on stroni?
Bo nie śmié się stawić z krwią straszną na skroni
Przed sędzią, co światło na czole ma słońca,
I błądzić tak będzie w téj nocy bez końca.

Przytoczona powyżéj legenda o Kanucie należy do najpoetyczniejszych miejsc tego dzieła. Toż samo można powiedzieć o legendach: Ożenienie Rolanda (Le Mariage de Roland) i Aymerillot; nadto jeszcze, koloryt rycerskich czasów z wielką wyrażony jest prawdą, bohatérska odwaga prawie cudów dokonywająca, szał młodzieńczéj namiętności, cześć dla kobiet w osobie Rolanda, chętnie zapominającego urazy na wspomnienie kobiety i miłości: te cechy średniowiecznego rycerstwa oddane są tutaj z wielką siłą i poezyą; szkoda tylko, że jedną z cech najgłówniejszych, mianowicie gorącą wiarę owych czasów, autor pozostawił zupełnie w cieniu.

Podobało się p. Hugo rozpocząć szereg bohatérów chrześciańskich zbrodnią ojcobójstwa w osobie Kanuta króla, dla téjże saméj przyczyny zamyka go opowiadaniem pod napisem: Dzień królów (Le jour des Rois), gdzie już nie jeden, ale kilku królów zbrodniarzy występuje na scenę i z tą różnicą, że legenda o Kanucie jest wielce piękną i poetyczną, a ta ostatnia oprócz wyraźnéj tendencyi do ohydzenia wszystkich monarchów średniowiecznych żadnéj innéj nie posiada zalety. W piątym oddziale Błędni rycerze (Les Chevaliers Errants) dwie legendy: Mały król Galicyi (Le Petit Roi de Galice) i Eviradnus w jednym napisane są duchu; w obudwu legendach, mianowicie w pierwszéj są miejsca piękne i wysokiéj poetycznéj wartości. Ostatnia legenda o Eviradnusie z powodu sfałszowania znanych powszechnie historycznych charakterów i faktów skłania do zwrócenia na jéj treść uwagi. Bohatérami téj legendy są dwie historyczne postacie: Władysław Jagiełło i Zygmunt cesarz niemiecki. W rozdziale pod napisem: Dwaj sąsiedzi, w następujący sposób odmalowani są obaj monarchowie:

„Każdy z nich odgrywa właściwą mu rolę: Niemiec zagrabia wszystkie kraje stałego lądu; Polak zaś posiadający już brzegi Baltyckiego morza, pała chęcią zdobyczy nowych portów i w tym celu podbija całe morze Celtyckie: jakoż na wszystkich morzach północy krzyżują się jego statki i nawet Islandya widzi jego szatańskie okręta. Niemiec pali Antwerpią i zdobywa ziemie

Pruss obydwóch, kiedy tymczasem Polak daje pomoc Spotokiusowi, księciu ruskiemu, jako większy rzeźnik wspomaga mniejszego. Cesarz wojuje z zakonem teutońskim, kiedy król polski gniecie plugawą stopą Jutlandyą? Daléj czytamy, przy zakończeniu tego opisu: „kochają się obaj wspólnie, jeden z nich jest kręlaczem a drugi oszustem, obaj są rozbójnikami na wielkim królewskim gościńcu".

Po przeczytaniu tego ustępu dwa wypada zrobić przypuszczenia, tojest: że albo autor nie zna dobrze historyi powszechnéj i w dobréj wierze pisze takie brednie, lub że rozmyślnie tworzy historyczne postacie i fakta dla poparcia własnego fałszywego poglądu na dzieje. W pierwszym razie ubolewaćby należało, że z tak fałszywych źródeł czerpał p. Hugo wiadomości, przystępując do tak olbrzymiego dzieła, jakiém być powinna Legenda wieków (1). W drugim zaś razie (to przypuszczenie uważamy za prawdopodobniejsze), podziwiamy brak sumienności i hardość autora, który ohydzeniem królów we wszystkich narodach i epokach chce podwyższyć zasadę, którą sam dziś wyznaje, jako syn XIX stulecia i nie waha się, dla dopięcia tego celu, zrobić z nabożnego i poczciwego Władysława Jagiełły mordercę i potwora. Największą jest wadą tego dzieła, że autor zapatrując się stronniczo na dzieje, wszędzie złą tylko i fałszywą dostrzega stronę, i to jest powodem, że żadna z prawdziwie wielkich postaci nie ukazuje się w legendzie. Gdyby był umiał przenieść się duszą w przeszłość, gdyby mógł tak oderwać się od krępujących jego pogląd wyobrażeń czasu, lub indywidualnych namiętności, że w zamglonych cieniach przeszłości powitałby znajome i bratnie postacie; wtenczas na tle ciemném zbrodni i występków, jakie każdą zasępiają epokę, wystąpiłyby świetne obrazy cnót i poświęceń; wtenczas to ciemne gotyckie świątynie olśniłyby się ogniem tak potężnéj miłości i wiary, jak ów duch, z którego wyrosły. A pomiędzy tym tłumem władzców, którym p. Hugo bez wyjątku naznacza rozbójniczą rolę, znalazłyby się bez wątpienia w najciemniejszych nawet epokach dziejów godniejsze legendy wieków postacie.

Nie godzi się doprawdy, przy jakiéj takiéj sumienności i znajomości historyi, pomiędzy tą ćmą łupieżców umieszczać polskiego króla i to jeszcze Władysława Jagiełłę, który jeżeli

(1) Władysław Jagiełło nazwany jest także w legendzie: *le nain Royal* chyba dlatego, że go p. Hugo miesza z Władysławem Łokietkiem?

nie ze znaczenia, jakie miał wówczas w rzędzie europejskich mocarzy, to z przyczyny jedynego faktu w dziejach ludzkości połączenia Polski z Litwą nie powinien być obcą osobą światłemu ogółowi.

Treść téj legendy co do głównych postaci jest następująca: — Władysław Jagiełło zmawia się z cesarzem Zygmuntem, ażeby podstępem zagrabić Luzacyą, rządzoną przez markizę Mahaud. W tym celu zjawiają się obaj w zamku jéj przodków, a ułożywszy się co do warunków podziału, po osiągnieniu zdobyczy, postanawiają zabić ją śpiącą. W chwili, w któréj zabierają się do wykonania morderczego czynu występuje ukryty w sali rycerz Ewiradnus, wyzywa obydwóch na pojedynek, zabija, a ciała ich wrzuca do lochu.

Następujący oddział: Trony Wschodu (les Trones d'Orient), zawiera dwie powieści: Zim-Zizimi i Sułtan Murad. Zakończenie ostatniéj powieści jest téj osnowy: Sułtan Murad nieubłagany i nigdy nie znający litości tyran, spostrzega raz przy drodze, na skwarze południowego słońca, leżącego świeżo zarzniętego wieprza: widzi on, jak rój much obsiadł skrwawioną szyję dokoła, i serce jego po raz pierwszy wzruszone zostaje uczuciem litości; przybliża się do wieprza tyran i spycha go nogą w miejsce ocienione. Ow Murad po dokonaniu tego miłościwego czynu umiera, a wieprz zarznięty wzlatuje do nieba w chwili skonu nawróconego tyrana i wstawieniem się swojém zmienia wyrok sądu czyniącego się nad Muradem.

Pomysł ten bardzo jest pięknie rozwinięty przez autora.

W oddziale siódmym, pod napisem L'Italie-Ratbert, powtarza się znowu historya mordów, zdrad i okrucieństw. Wszyscy bohatérowie téj powieści zaczynając od króla aż do księdza, sąto zdrajcy, obłudnicy lub wszetecznicy, za wyjątkiem rycerza Onfroy, który ma dość odwagi, ażeby wyrzucić królowi w oczy jego zbrodnie i przypłacić tę śmiałość śmiercią, i drugiego rycerza Fabrycyusza opiekującego się wnuczką swoją Izorettą. Powieść o starym Fabrycyuszu jest jedném z tych rzadkich miejsc w Legendzie, gdzie p. Hugo mocno jaśniéj przedstawia dodatnią stronę człowieka, ale zanadto słabym jest ta powieść szkicem, ażeby mogła pokryć tak jaskrawo wyrażoną dążność autora, do ohydzenia całéj przeszłości. Założywszy sobie na samym wstępie wykazać czytelnikowi nietylko ujemną, ale i dodatnią stronę dzieła w jego szczegółach, obowiązani jesteśmy przytoczyć ustępy z powieści o *rycerzu Fabrycyuszu*, które dla pięknéj myśli i wdzięcznéj szaty poetycznéj zasługują na wzmiankę.

Starzec Fabrycyusz porzuciwszy sprawy publiczne, zamyka się w osamotnionym zamku z wnuczką swoją po córce, Izorettą. To dziewczę jest sierotą i jedyną latorośla znakomitéj rodziny; otóż starzec z macierzyńską pieczołowitością poswięca się wychowaniu dziecięcia.

Co wieczór z dziecięciem on bywa w kaplicy,
A dziecię się modli do Bogarodzicy;
To znowu wesołém nań okiem spogląda,
Lub pyta o groby i wyjaśnień żąda;
Do oczów się starca łza ciśnie gorąca.
Krok wątły podpiera dłoń słaba i drżąca,
Pomiędzy kolumny, gdzie długi rząd stoi
Aniołów skrzydlatych i rycerzy w zbroi.
Gdy starzec przechodzi z dziecięciem tém w bieli,
Myślałbyś naonczas, że czynią pokłony
Rycerze starcowi, dziecięciu anieli;
Na odgłos tych kroków, jak gdyby wzruszony,
Każdy z tych posągów wykutych z kamieni
Zdaje się drżéć życiem i wysuwać z cieni.

Drugi ustęp pod napisem: Ojciec i Matka, podajemy także w niniejszym przekładzie:

Przed chwilą okropnego końca, jaki ma spotkać ród markizów de Final w osobie potomka płci żeńskiéj młodziuchnéj Izoretty, tak opisuje autor groby jéj rodziców.

Królewskie w podziemiach markizów są groby,
Dniem, nocą im światło dodaje żałoby:
W zwyczajnéj godzinie, jak spadnie zmrok szary,
Do grobów tych spuszcza niewolnik się stary,
I lampę napełnia nad grobem, gdzie w cieniu
Ów markiz z markizą spoczęli w milczeniu:
I śpią tym snem ciężkim, gdy robak ich toczy,
A żadne z nich światła téj lampy nie zoczy,
Co smutnie, ponuro się pali nad niemi.

Niewolnik się zbliża z kadzidły wonnemi,
Gdzie obie postacie z kamienia rzeźbione
Rodziców Izory, młodéj jego pani,
Ich ręce spokojnie są nakrzyż złożone
A pańskie są szaty i na nim i na niéj;
Tak leżą w milczeniu, głowa obok głowy,
Lew godłem jest męża a pies białogłowy.
Tam lampa ponurym błyszczała płomieniem,
Niewolnik podchodzi z łzą w oku wspomnienia,
Nachyla się, patrzy i cofa ze drżeniem:

Ten ojciec z granitu i matka z kamienia
Zwróceni obliczem ku sklepom; w téj chwili
Zdało się, że smutną się chmurą pokryli,
Bo w licu jéj większą boleść on spostrzega,
A cień jakiéjś groźby na twarz męża wbiega.

Osmy oddział Legendy ma zawierać epokę odrodzenia (Renaissance). Pogląd autora na całą przeszłość chrześciańską, obejmującą wieków piętnaście, zamyka się w następujących słowach Satyra:

Ci bogowie i ci królowie są to upiory, odradzające się i następujące po sobie bez końca. Równość starożytnych ludów jest w oczach ich podłością. Drakon podaje rękę Buzyrysowi a śmierć staje się kodeksem, podległym rozkazom mocniejszego. Iskra Boża i ostatnie tchnienie wolności przytłumione zostaje pod okrutném jarzmem potwornego prawa. Godność człowieka milczy pod tych praw naciskiem: robi się on mściwym i fałszywym, kradnie i kłamie. W istocie, z téj tylko strony przedstawioną jest ludzkość w Legendzie wieków: jakoż całe natchnienie autora skupia się wyłącznie w opisie występków i zbrodni, a wiejący zewsząd duch zwątpienia, w zupełną zdaje się pogrążać ciemnią, nieświadomą wyższych celów i li tylko głosu namiętności słuchającą ludzkość. Ależ nie rozpaczajmy jeszcze, autor gotuje nam wielką niespodziankę. Nie zbudowawszy nic więcéj nad piramidę z kości wzajemnie mordujących się braci, myśli stworzyć p. Hugo z niczego świat nowy, wielki i idealnie piękny, a to wszystko w bardzo krótkim czasie, bo jednym pociągiem pióra. Ten sam Satyr, malujący na jednéj stronnicy w tak czarnych kolorach przeszłość, przepowiada na drugiéj w tęczowéj barwie przyszłość i zupełny tryumf ducha nad materyą.

Jakkolwiek nie zgadzamy się wcale na stronniczy pogląd Satyra na dzieje, musimy przyznać, że czwarty ustęp tego rozdziału pod napisem: *L'Etoile* jest z wielką siłą i poezyą napisany, ale jest za obszerny, ażebyśmy go tutaj przytoczyć mogli,

Z powodu pięknego pomysłu w powieści Róża Infantki, przytaczamy treść téjże w niniejszéj osnowie:

W epoce najświetniejszéj dla Hiszpanii, kiedy Filip II. wysłał niezwyciężoną swoją Armadę wcelu poniżenia nieprzyjaznéj i zawistném okiem patrzącéj na niego Anglii; w téj właśnie chwili, w któréj ta dumna flota pokonana i rozproszona przez burzę, szuka przytułka w portach biskajskich, w pysznym ogrodzie królewskim, młodziuchna Marya, infantka hiszpańska, stoi nad

wodą, trzymając świéżo rozkwitłą różę. Podczas kiedy to piękne z błękitném okiem dziewczę przegląda się w wody kryształe i bawi swoją różą, zrywa się nagle wicher, listek po listku zmiata, i wkrótce w ręku zdumionego dziecięcia samą tylko zostawia łodygę. Dziewczę się schyla ku wodzie, spostrzega z podziwieniem i strachem jak burzą się i pienią, nie dawno tak spokojne i przezrocze fale, a na nich widzi swą biedną różę, rozerwaną na setne cząstki, z których jedne wirują w odmęcie, to znów lecą w przeciwne strony, unoszone pędem wzburzonéj fali. Ochmistrzyni infantki widząc podziwienie dziewczynki, rzecze do niéj: wszystko, pani, ulega władzy książąt na ziemi, oprócz wiatrów.

Usprawiedliwia się p. Hugo ze swego poglądu na chrześciaństwo, w tłumaczeniu Momotomba (*Les raisons du Momotombo*). Wulkan Momotombo, zapytany, dlaczego nie dopuszcza na swój wierzchołek księży, którzy go ochrzcić chcieli, tak odpowiada:

„Nie cierpiałem bogów dawnych, bo ci są chciwi krwi i złota a więc ujrzawszy twarze białe waszych księży, myślałem, że może Bóg wasz jest lepszym; jednak widok ponuréj pochodni, którą zowiecie inkwizycyą i jęk zamordowanych na jéj stosie ofiar, przekonał mnie o mylności mojego mniemania. Otóż przypatrzywszy się z blizka waszemu bogowi, powiedziałem sobie, nie warto robić takiéj zamiany.“ Po przeczytaniu tego ustępu, wypada nam ubolewać tylko, że wulkan w legendzie p. Hugo tak krótkim obdarzony był wzrokiem, skoro niczego więcéj nad inkwizycyą świętą nie mógł dostrzedz w społeczności i w religii chrześciańskiéj. W dalszym ciągu Legendy wieków, przedstawiony jest wiek XVII w najemniczym regimencie Szwajców, którym wyrzuca autor przedajność, następnie robi nagły zwrot do Szwajcaryi i naznacza jéj wielkie posłannictwo w przyszłości, upewniając, że Szwajcarya będzie ostatniém słowem dziejów. Jakoż rozdział pod napisem: Regiment Barona Madrusa (*Le Regiment du Barone Madruce*) zakończa epopeę przeszłości. Moglibyśmy się zapytać, dlaczego p. Hugo zakończa legendę przeszłości powieścią o będących na żołdzie Austryi Szwajcarach? ależ wiele innych jeszcze możnaby zrobić zapytań, na które tę tylko podobno mógłby dać nam autor odpowiedź, że tak a nieinaczéj wyobraźnia jego mieć chciała.

Po przeszłości następuje teraźniejszość (*Maintenant*). Parę powieści pięknych, zawartych jest w tym odddziale: nie zdaje jednak nam się wcale, ażeby treść ich w jakimkolwiem razie była wyłączną cechą naszéj epoki; mimowolnie więc nasuwa się pyta-

nie, dlaczego tak wspólne człowiekowi we wszystkich epokach jego rozwoju uczucia, jak litość nad nędzą w dobrém, a brak tegoż uczucia w złém sercu zapełnia wyłącznie miejsce, przeznaczone w Legendzie wieków dla teraźniejszości.

Jedna z pomienionych powieści, pod napisem: „Żaba," z powodu prześlicznéj poetycznéj formy i świeżości niektórych pomysłów, należy do najpiękniejszych ustępów Legendy. Treść jéj następująca:

Przy schyłku dnia letniego, potworna żaba siadła nad kałużą z deszczu, a przypatrując się wspaniałemu widokowi nieba i wód oskrzonych promieniami zachodzącego słońca, westchnęła smutnie nad losem i swoją brzydotą. Tymczasem liście drzew zapłonęły w ostatniéj jaskrawéj barwie promieni; wszystko cichło dokoła w powietrzu, na ziemi i wodzie, kiedy żaba, lubując się ciszą nadchodzącego wieczora, słodkim i spokojnym wzrokiem przyglądała się wielkiéj aureoli słońca. Może to pogardzone stworzenie poczuło w téj chwili promyk padającego nań błogosławieństwa, bo czyż jest istota, w któréjby oku nie świeciła iskra nieśmiertelności; czyż jest na ziemi potwór tak szkaradny i nieczysty, w któregoby oczach nie odbiły się gwiazd ogromy?.... Ale otóż człowiek przybliża się do spokojnie dumającéj żaby, spostrzega potworną istotę, a drżąc ze wstrętu depcze ją nogą; był to ksiądz, który trzymał w ręku i czytał książkę. Przechodzi późniéj tąż samą drogą, młoda i piękna kobieta, z uśmiechem na ustach i z różą na piersiach: spostrzega żabę i wykala jéj oko parasolką. Następnie nadchodzą dzieci i najdziwniejsze biednéj żabie zadają męczarnie, a wszyscy ludzie mimo przechodzący śmieją się serdecznie i przyklaskują małym tyranom. Nareszcie kiedy widzą dzieci, że żaba pomimo licznych męczarni jéj zadanych oddycha jeszcze, umawiają się, ażeby ją dobić kamieniem, ale w téj chwili nadjeżdża wózek ciągniony przez zbitego kijami i wycieńczonego na siłach osła. Zobaczywszy to dzieci, zmieniają na prędce wydany wyrok a to w nadziei, że koło od wózka przejedzie niewątpliwie żabę, i że widok ten sprawi im więcéj zabawy, niż gdyby ją dobili kamieniem. Tymczasem nieszczęśliwy osioł zobaczywszy w błocie zranioną żabę, dobywa sił ostatnich i skręca wózek w stronę, ażeby jéj nie przejechać. Wtenczas jedno z tych dzieci wypuszcza z ręki kamień a głos wychodzący z nieba rozlega się nad jego głową i mówi, „Bądź litościwym!

Taką odezwą do mędrców zakończa autor swoję powieść:

O myśliciele, mędrcy naszéj ziemi,
Chcecież tę prawdę z skrzydłami jasnemi
Odsłonić z za mgły, co niebo zakrywa;
We łzach miłości zanurzcie swe oko,
Kto kocha sercem, ten w niebie przebywa:
Kto kocha, widzi daleko, głęboko.
Mędrcy! ta cnota, co świat opromienia
Uśmiechem wiosny i porannéj zorzy,
Co kocha w nocy i we mgle cierpienia,
Instynkt miłości, promień światła Boży,
Jest tém ogniwem wielkiém, świętém, drogiém,
Co łączy w mglach tak ponurego cienia
Osła nieuka z mistrzem mistrzów Bogiem.

Drugą powieścią o biednych ludziach (*Les Pauvres Gens*) kończy autor Legendę wieków przeszłych i teraźniejszych: obie powiastki są piękne i poetyczne, ale zupełnie czego innego spodziewaliśmy się od Legendy wieków, sądząc po założeniu autora, wyrażoném w przedmowie.

Skończywszy z epoką średniowieczną, potrąca tylko p. Hugo o wieki nowożytne mimochodem i już z wieszczbą nowéj przyszłości i z piorunem na czole staje u bram XX stulecia. Ta część Legendy, którą nazwiemy przyszłością, jest słabszą nie równie od poprzedniéj.

Na zakończenie naszego poglądu na Legendę wieków, powiemy, że dzieło to uważane pod względem całości żadnéj nie wytrzyma krytyki: bo nietylko że nie odpowiada w rozwinięciu założeniu autora, ale w żadnym razie Legendą wieków nazwaném być nie może. Cały pogląd filozoficzno-historyczny zasadza się tutaj na tém, że ani ofiara krzyża, ani przestrzeń kilkunastu wieków żywota ludzkości, nietylko że nie posunęła jéj na drodze postępu, ale przeciwnie poniżyła ją w stosunku do starożytnych ludów; tak przynajmniéj sądzić każe autor z trzeciéj pieśni Satyra (*le Sombre*). Powiększéj części bohatérowie Legendy nie mają innego posłannictwa, nad to tylko jedynie, ażeby mordować i ciemiężyć słabszych od siebie: a ci, co padają tutaj w walce, tak słabo są narysowani, że nie wiadomo, w imieniu czego i pod jaką chorągwią walczą. Jeden tylko Roland, walczący w obronie małego króla Galicyi, świetniejszą od innych i godniejszą rycerskich czasów jest postacią. Zresztą jedna tylko część dziejów, tojest wieki średnie mają swoich kilku przedstawicieli w tém dziele. Nie łudźmy się więc bynajmniéj, książka p. Hugo nie jest Legendą wieków: jest ona raczéj zbiorem kilkunastu legend, pieśni i strof oderwanych, z których każdy szczegół jeżeli będziemy uważać jako oddzielną całość, musimy przyznać niezaprzeczenie wysoką poetyczną wartość dziełu p. Wiktora Hugo.

Władysław Chomętowski.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

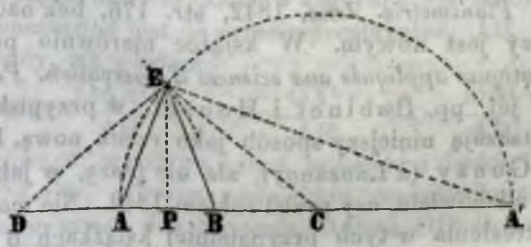
O NAJPROSTSZYM SPOSOBIE WYNAJDOWANIA ŚREDNIEJ GEOMETRYCZNIE PROPORCYONALNEJ MIĘDZY DWIEMA LINIAMI DANEMI, WYZNACZANIU PEWNYCH PUNKTÓW ELLIPSY, TUDZIEŻ O WZORACH NA POWIĘRZCHNIĄ PASA KULISTEGO I NA OBJĘTOŚĆ NIEKTÓRYCH BRYŁ OBROTOWYCH.

1.

Najprostszy sposób wynajdowania średniéj geometrycznie proporcyonalnéj między dwiema liniami danemi, w którym nie potrzeba ani dzielić linii na dwie części równe (dla znalezienia środka półokręgu), ani też wyprowadzać prostopadłéj, zależy na użyciu trójkąta równoramiennego, jak następuje:

Na linii prostéj nieograniczonéj odcinam część AB *(fig. 1)* równą danéj linii mniejszéj, tudzież, w strony przeciwne sobie, części AC i BD, każdą równą danéj linii większéj; z punktów C i D, jako ze środków, promieniem CA=DB, kréślę dwa łuki kola, przecinające się z sobą w punkcie E; linia EA lub EB, będzie średnią żądaną.

Fig. 1.



Niech bowiem ten łuk kola, który się nakréśliło ze środka C, będzie dopełniony do półokręgu AEA′; niech też z punktu E

będzie do DC spuszczona prostopadła EP, i złączmy EA'. Ponieważ punkt E jest, z wykréślenia, równo oddalony od punktów D i C, prostopadła przeto EP dzieli linią DC na dwie części równe; a że BD=AC z wykréślenia, a tém samém i AD=BC, prostopadła zatém EP dzieli oraz i linią AB na dwie równe części. Linia więc EA, bok trójkąta prostokątnego AEA', jako średnia proporcyonalna między AA' i AP, jest średnią proporcyonalną między 2AC i $\frac{1}{2}$AB, a tém samém i między AC i AB; linie zaś EB i EA, jako pochyłe równo oddalone od spodka prostopadłéj EP, są równe.

Aby to samo udowodnić bez kréślenia półokręgu i spuszczania prostopadłéj, poprowadźmy linie EC i ED. W trójkącie EDC, z wykréślenia równoramiennym, kąty D i C przy podstawie DC, są równe; a że nadto dwa boki trójkąta EDB obejmujące sobą kąt D, są, z wykréślenia, równe dwom bokom trójkąta ECA obejmującym sobą kąt C; trzecie przeto boki EB i EA tych dwóch trójkątów są także równe. Trójkąty zaś EAB i CAE, jako równoramienne i mające kąt A przy podstawach AB, AE, wspólny, a zatém względem siebie równokątne, dają proporcyą AB:EA=EA:AC.

Uważmy, że niniejsze wykréślenie, jeżeli je będziemy mogli i zechcemy zacząć od przedłużania danéj linii mniejszéj, odbędzie się całe za pomocą jednéj tylko rozwartości cyrkla, daną linią większą obejmującéj.

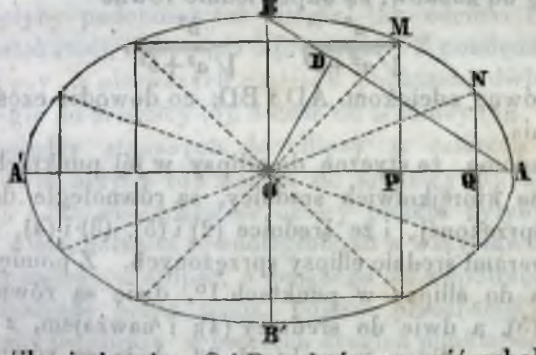
Kto piérwszy nauczył wynajdowania średniéj geometrycznéj wyłożonym tu sposobem, nie jest mi wiadomo. Nié ma tego sposobu Paucker w swych *Fundamente der Geometrie. Mitau*, 1842, chociaż tamże *(Erster bis vierter Cursus*, str. 96—98) podaje siedm innych sposobów. Znajduje się zaś ten sposób, z nieznaczną tylko odmianą, a z dowodzeniem na piérwsze poprzedzające wychodzącém, w dziele Kunze'go: *Lehrbuch der Geometrie. Planimetrie. Jena*, 1842, str. 176, bez nadmienienia jednak, czy jest nowym. W książce nierównie późniejszéj: *Calculs pratiques appliqués aux sciences d'observation. Paris*, 1857, autorowie jéj, pp. Babinet i Housel, w przypisku na str. 127, przytaczają niniejszy sposób jako rzecz nową, którą miał podać p. Gouzy (z Lauzanny), ale nie piszą, w jakiém dziele i kiedy, a mianowicie, czy przed rokiem 1842. Nie masz rzeczonego wykréślenia w tych przynajmniéj książkach o geometryi polskich, które się mogło miéć pod ręką, chociaż z nich, biorąc tylko obszerniejsze i pomijając przekłady, pięć wyszło w latach

1844, 1848, 1853, 1854 i 1858. Mniemało się więc, że pożyteczna być może powtórzyć tu rzecz, małéj tylko liczbie osób w latach 1843—1848 wykładaną, i dołączyć dowodzenie drugie, aby nauczyciel mógł wybrać, które zdawać mu się będzie dla uczniów łatwiejszém.

2.

Jeżeli ze środka O (fig. 2) *ellipsy, do cięciwy łączącéj którykolwiek koniec* A *osi wielkiéj z którymkolwiek końcem* B *osi małéj, spuścimy prostopadłą* OD, *która zatém ową cięciwę* AB *podzieli na dwa odcinki* AD i BD: 1°, *każdy ze cztérech punktów, któregoby odległości od obu osi były (odrywając uwagę od znaków) równe téj prostopadłéj* OD (jak punkt M, dla którego OP i PM są = OD), *będzie się znajdował na ellipsie*; 2°, *każdy ze cztérech punktów, któregoby odległość od osi małéj była równa odcinkowi większemu* AD, *a odległość od osi wielkiéj równa odcinkowi mniejszemu* BD (jak punkt N, dla którego OQ=AD, a QN=BD), *będzie także punktem należącym do ellipsy.*

Fig. 2.



W trójkącie bowiem OAB, w którym z wiérzchołka O kąta prostego spuszczona jest do przeciwprostokątnéj AB, prostopadła OD, mamy, jak wiadomo:

$$OD=\frac{OA.OB}{AB},\quad AD=\frac{OA^2}{AB},\quad BD=\frac{OB^2}{AB}$$

(piérwsza równość wypływa i ztąd, że każdy z dwóch iloczynów AB.OD, OA.OB, wyraża podwojoną powiérzchnią trójkąta OAB). Kładąc zatém, dla skrócenia, OA=a, OB=b, i uważając, że $AB=\sqrt{OA^2+OB^2}=\sqrt{a^2+b^2}$, będzie

$$OD=\frac{ab}{\sqrt{a^2+b^2}},\quad AD=\frac{a^2}{\sqrt{a^2+b^2}},\quad BD=\frac{b^2}{\sqrt{a^2+b^2}}.$$

Ellipsa, gdy jednę jéj oś, tu wielką, weźmiemy za oś odciętych x, a oś małą za oś rzędnych y, ma, jak wiadomo, za równanie

$$a^2y^2+b^2x^2=a^2b^2. \qquad (1)$$

Zakładając, w tém równaniu,

$$y=x \quad (2), \quad \text{lub} \quad y=-x \quad (3),$$

widzimy, że każdego z tych punktów, w których ellipsę przecinają linie dzielące kąty między jéj osiami zawarte na dwie równe części, odcięta, a tém samém i rzędna, jest, co do jéj bezwzględnéj wartości, równa

$$\frac{ab}{\sqrt{a^2+b^2}},$$

a zatém równa prostopadłéj OD: co dowodzi części piérwszéj twierdzenia.

Szukając zaś punktów, w których ellipsę przecinają średnice mające za równania

$$y=\frac{b^2}{a^2}x \quad (4), \qquad y=-\frac{b^2}{a^2}x \quad (5),$$

widzimy, że odcięta i rzędna każdego z tych punktów, odrywając uwagę od znaków, są odpowiednio równe

$$\frac{a^2}{\sqrt{a^2+b^2}} \quad \text{i} \quad \frac{b^2}{\sqrt{a^2+b^2}},$$

a zatém równe odcinkom AD i BD: co dowodzi części drugiéj twierdzenia.

Wiadomo, że styczne do ellipsy w jéj punktach leżących na jednéjże którejkolwiek średnicy, są równoległe do średnicy z tamtą sprzężonéj, i że średnice (2) i (5), (3) i (4), są właśnie dwiema parami średnic ellipsy sprzężonych. Z pomiędzy zatém stycznych do ellipsy w punktach 1°, dwie są równoległe do średnicy (5), a dwie do średnicy (4); i nawzajem, z pomiędzy stycznych do ellipsy w punktach 2°, dwie są równoległe do średnicy (3), a dwie do średnicy (2). Jak więc punkta 1° są oczywiście wierzchołkami kwadratu wpisanego w ellipsę, tak znowu punkta 2° są temi punktami ellipsy, w których się jéj dotykają boki kwadratu na niéj opisanego.

Aby się zresztą o niniejszéj własności punktów 2° jeszcze inaczéj przekonać, uważmy, że styczna ellipsy w punkcie téj linii krzywéj mającym na współrzędne x' i y', przecina się z osią odciętych w punkcie mającym za odciętą $\frac{a^2}{x'}$, a z osią rzędnych, w punkcie mającym za rzędną $\frac{b^2}{y'}$; a że ta odcięta i ta

rzędna, w założeniu

$$x' = \pm \frac{a^2}{\sqrt{a^2+b^2}} \quad \text{i} \quad y' = \pm \frac{b^2}{\sqrt{a^2+b^2}},$$

przechodzą obie na $\pm\sqrt{a^2+b^2}$; styczne więc do ellipsy w punktach 2°, tworzą czworokąt mający za swoje wierzchołki te punkta, w których się okrąg koła współśrodkowy z ellipsą, a mający za promień cięciwę AB, przecina z osiami ellipsy przedłużonemi: co nietylko dowodzi, że niniejszy czworokąt jest kwadratem, ale nam jeszcze przypomina, jak się na ellipsie, którejby obie osi były, co do ich długości, dane, opisuje kwadrat.

Łatwo tu postrzedz, że gdyby równanie (1) wyrażało, ogólniéj, ellipsę odniesioną do jéj środka i do jéj średnic sprzężonych; współrzędne punktów przecięcia się téj ellipsy z średnicami (2) i (3), byłyby téż, co do swych długości, równe prostopadłéj spuszczonéj z wierzchołka kąta prostego na przeciwprostokątną w takim trójkącie prostokątnym, któryby za boki obejmujące kąt prosty, miał połowy a i b owych średnic sprzężonych: odcięta zaś i rzędna każdego z punktów przecięcia się téj ellipsy ze średnicami (4) i (5) (względem średnic (3) i (2) sprzężonemi), byłyby podobnież tak długie, jak odcinki rzeczonéj przeciwprostokątnéj, bokom a i b przyległe. Z pomiędzy stycznych do ellipsy w pierwszych czterech punktach, dwie byłyby téż równoległe do średnicy (5), a dwie do średnicy (4); i nawzajem, z pomiędzy stycznych do ellipsy w czterech drugich punktach, dwie byłyby równoległe do średnicy (3), a dwie do średnicy (2). Jak więc pierwsze cztéry punkta byłyby wtedy oczywiście wierzchołkami równoległoboku o wszystkich bokach równych wpisanego w ellipsę, a mającego osi współrzędnych za linie przechodzące przez środki boków przeciwległych; tak znowu styczne do ellipsy w czterech drugich punktach, tworzyłyby prostokąt opisany na ellipsie, mający przekątne na osiach współrzędnych, czyli czworokąt o wierzchołkach przypadających na przecięciu się osi współrzędnych z okręgiem koła współśrodkowym z ellipsą, a mającym za promień rzeczoną przeciwprostokątną (która, jak wiadomo, jest równa linii łączącéj koniec osi wielkiéj z końcem osi małéj w téjże saméj ellipsie). A gdyby, w założeniu $a=b$, równanie (1) wyrażało ellipsę odniesioną do jéj środka i do jéj średnic sprzężonych równych; natenczas cztéry piérwsze i cztéry drugie punkta byłyby jednemi i temi samemi czterema punktami, i to końcami obu jéj osi, czyli jéj wierzchołkami.

W *Kompendium der ebenen und sfärischen Trigonometrie. Wien*, 1856, autor, p. Ernest Sedlaczek, dowodzi (str. 109—113) piérwszéj części twierdzenia podanego na początku niniejszego artykułu, przerabiając powyższe równanie ellipsy, odniesionéj do jéj środka i do obu jéj osi, na układ równań

$$x^2=\frac{b^2\mathrm{dos}^2\vartheta}{1-e^2\mathrm{dos}^2\vartheta},\quad y^2=\frac{b^2\mathrm{wst}^2\vartheta}{1-e^2\mathrm{dos}^2\vartheta}$$

(gdzie e^2 oznacza stosunek różnicy a^2-b^2 do a^2), dających współrzędne punktu rzeczonéj krzywéj, do którego wyprowadzona ze środka linia prosta czyni z osią odciętych kąt ϑ. Dla okazania zaś, że w tym samym układzie współrzędnych, odcięta i rzędna takiego punktu ellipsy, w którym styczna téj krzywéj jest do obu jéj osi równo nachylona, są, co do swych długości, równe odcinkom AD i BD, używa równań

$$x^2=\frac{a^4\mathrm{wst}^2\varphi}{a^2\mathrm{wst}^2\varphi+b^2\mathrm{dos}^2\varphi},\quad y^2=\frac{b^4\mathrm{dos}^2\varphi}{a^2\mathrm{wst}^2\varphi+b^2\mathrm{dos}^2\varphi},$$

dających współrzędne punktu rzeczonéj krzywéj, w którym jéj styczna czyni z osią odciętych kąt φ. Przeglądając owo *Kompendium* przy końcu r. 1856, zanotowało się łatwą do uczynienia uwagę: że autor mógł był tych własności dowieść innym sposobem, prowadzącym oraz do twierdzenia ogólniejszego, którego nie podaje.

Chcąc nakréślić przez przybliżenie ellipsę, któréj obie osi są, co do ich długości, dane: możnaby, wyznaczywszy jéj wiérzchołki, wyznaczyć jeszcze, według twierdzenia podanego na początku niniejszego artykułu, jéj punkta 1° i 2°; a mając, tym sposobem, dwanaście punktów żądanéj ellipsy ściśle wyznaczonych, dokończyć jéj rysunku za pomocą liniału do kréślenia linij krzywych, lub też od ręki. A chociaż nie każdy zgodzi się z autorem na to, żeby niniejszy sposób kréślenia ellipsy (którego się on, jak pisze, nauczył od swojego niegdyś nauczyciela, ś. p. Leopolda Karola Schulz von Strasznicki) należało przekładać nad inne sposoby dobrze wiadome; zawsze przecież przyda się wiedzieć i o wyłożonym dopiéro sposobie mniéj znanym, komu często przychodzi kréślić ellipsę.

3.

Niech AB i CD *(fig. 3)* będą dwie cięciwy koła, do jego średnicy PQ w punktach G i H prostopadłe; któreto zresztą punkta G i H mogą przypadać nietylko po jednéjże któréjkol-

wiek stronie środka S rzeczonego koła, ale i ze stron przeciwnych, lub też jeden z nich może być samymże środkiem S. Gdy półokrąg PAQ lub PBQ, zrobiwszy obrot całkowity około osi PQ, zakréśli powiérzchnią kuli; natenczas łuk AEC lub BFD zakréśli część téjże powiérzchni, zwaną pasem kulistym. Równoleżniki nakréślone w tym obrocie przez punkta A i C lub przez punkta B i D, nazywają się podstawami rzeczonego pasa; a wysokością onego jest odległość płaszczyzn tych dwóch równoleżników od siebie, jak np. HG, lub też prostopadła DI spuszczona z punktu D do AB. Jeżeli w szczególności punkt H, a z nim i punkta C, D, padają na punkt P; wtedy pas kulisty, część powiérzchni kuli utworzona obrotem całkowitym łuku PEA lub PFB około osi PQ, ma tylko jednę podstawę, i zowie się czaszką kulistą.

Fig. 3.



Według znanego powszechnie twierdzenia geometryi elementarnéj, pas kulisty (bądź o jednéj, bądź o dwóch podstawach) ma za miarę iloczyn z okręgu koła wielkiego przez wysokość. Gdy zatém pole pasa kulistego utworzonego przez obrot łuku AEC lub BFD około PQ, nazwiemy Z; będzie

$$Z=\pi.PQ.DI, \qquad (1)$$

gdzie π oznacza stosunek okręgu koła do średnicy. Jestto wzór do znalezienia pola Z najprostszy, gdy znamy średnicę kuli i gdy można łatwo wymierzyć wysokość pasa.

Poprowadźmy cięciwy AD i BD. Wiadomo, że jakimbykolwiek był trójkąt ABD, zawsze prostokąt z dwóch jego boków AD i BD jest równoważny prostokątowi ze średnicy PQ

koła opisanego i z prostopadłéj DI spuszczonéj na bok trzeci AB. Zamiast więc wzoru (1) można napisać

$$Z=\pi.AD.BD, \qquad (2)$$

gdzie AD i BD znaczą, nie łuki, lecz cięciwy. Przyczém można uważać, że dla równości łuków AEC i BFD, cięciwa AD jest równa cięciwie dzielącéj oba te łuki na dwie równe części, i że w przypadku równości podstaw pasa, wzór (2) nie różni się od wzoru (1).

Niech r oznacza promień kuli, czyli połowę średnicy PQ; a przyjmując łuk APB większym od łuku CPD, oznaczmy kąty przy S mające te łuki za miary, odpowiednio przez 2α i 2β. Ponieważ z kątów przy S, mający za miarę łuk APD, jest równy $\alpha+\beta$, mający zaś za miarę łuk BFD, jest równy $\alpha-\beta$, a tém samém cięciwy

$$AD=2r\,\mathrm{wst}\frac{\alpha+\beta}{2}, \qquad BD=2r\,\mathrm{wst}\frac{\alpha-\beta}{2};$$

wzór przeto (2) wychodzi w gruncie na jedno ze wzorem

$$Z=4\pi r^2\,\mathrm{wst}\frac{\alpha+\beta}{2}\,\mathrm{wst}\frac{\alpha-\beta}{2}, \qquad (3)$$

dobrze znanym, chociaż pospolicie inaczéj się dowodzącym, i do którego, zamiast kątów α i β, zwykło się częściéj wprowadzać ich dopełnienia do 90°, czyli szerokości geograficzne podstaw pasa. Za pomocą tego wzoru (3) obliczają się powierzchnie różnych pasów ziemi, uważanéj w przybliżeniu za kulę.

Położmy, dla skrócenia, promienie podstaw pasa

$$AG=GB=a, \quad CH=HD=b, \quad \text{a wysokość } DI=w.$$

Ponieważ

$$AI=AG+HD=a+b, \quad BI=\pm(GB-HD)=\pm(a-b),$$

biorąc przed nawiasem znak +, gdy $a>b$, a —, gdy $a<b$; trójkąty przeto AID i BID, jako prostokątne przy I, dają

$$AD^2=(a+b)^2+w^2, \quad BD^2=(a-b)^2+w^2;$$

a na mocy tych wartości, równanie (2) przechodzi na

$$Z=\pi\sqrt{\{(a+b)^2+w^2\}\{(a-b)^2+w^2\}}. \qquad (4)$$

Wzór dopiéro napisany odpowiada, jak widzimy, jednemu ze znanych wyrażeń na objętość O odcinka kuli, mającego uważany tu pas kulisty za swoję powierzchnią boczną (czyli na objętość bryły utworzonéj przez obrot całkowity figury HGAEC lub HGBFD około osi HG), mianowicie wyrażeniu

$$O=\tfrac{1}{2}\pi w(a^2+b^2+\tfrac{1}{3}w^2); \qquad (5)$$

i służy do znalezienia Z, gdy się nie zna średnicy kuli, a może łatwo zmierzyć a, b i w.

Gdyby np. naczynie, w kształcie odcinka kuli o podstawach równoległych wydrążone, miało 25,3 cali średnicy górnego otworu, 17,5 cali średnicy dna, a 10 cali głębokości; wzór (4), zakładając w nim $a=12{,}65$, $b=8{,}75$, a $w=10$, pokazałby nam, że sama boczna powierzchnia wewnętrzna tego naczynia wynosi 796,52 cali kwadratowych; do czego doliczając powierzchnią dna, mielibyśmy 1037,05 cali kwadratowych całéj powierzchni wewnętrznéj. Według zaś wzoru (5), naczynie to obejmowałoby w sobie 4239,87 cali sześciennych, a zatém 5,65 wiader (licząc 750,57 cali sześciennych na wiadro), lub też 58,61 kwart (litrów), stosownie do tego, jakby całe były rossyjskiéj lub też nowéj polskiéj miary.

Chcąc przy obliczaniu drugiéj strony wzoru (4), w przypadku trudności podnoszenia do kwadratów, mieć większą pomoc z tablic logarytmowych, wprowadza się kąty posiłkowe, tojest: z wiadomych a, b i w, szuka się najprzód kątów $DAB=\lambda$ i $DBA=\mu$ (czyli $\frac{1}{2}(\alpha-\beta)$ i $\frac{1}{2}(\alpha+\beta)$) przez równania

$$\text{sty}\,\lambda=\frac{w}{a+b},\qquad \text{sty}\,\mu=\frac{w}{a-b};$$

następnie boków AD i BD za pomocą równań

$$AD=\frac{w}{\text{wst}\,\lambda}=\frac{a+b}{\text{dos}\,\lambda},\qquad BD=\frac{w}{\text{wst}\,\mu}=\frac{a-b}{\text{dos}\,\mu};$$

a potém powierzchni Z, za pomocą wzoru (2).

Jak wzór (1), tak też i wzory (2), (3) i (4) służą nietylko dla pasa kulistego o dwóch podstawach, ale obejmują w sobie i przypadek czaszki kulistéj, tudzież przypadek powierzchni kuli całéj. Podobnież, jak wiadomo, ma się rzecz ze wzorem na O. Wzór (3) można nawet brać w znaczeniu jeszcze ogólniejszém, tojest, jako wyrażający różnicę między powierzchniami dwóch czaszek o podstawach niekoniecznie równoległych.

Oczywista zresztą, że aby z linij w, a i b, danych od upodobania na odległość od siebie środków G i H, tudzież na promienie GB i HD podstaw pasa kulistego, znaleźć, przez wykréślenie, środek i promień kuli; dosyć ze środka linii BD wyprowadzić do niéj prostopadłą aż do przecięcia się z linią przechodzącą przez punkta H i G. Chcąc zaś, przez rachunek, znaleźć odległość x, w jakiéj od środka linii HG, na niéj saméj lub jéj przedłużeniu przypada środek kuli; dosyć uważać, że środek

kuli, tudzież środki linij BD i HG, są wierzchołkami trójkąta podobnego trójkątowi BDI, i że zatém

$$x=\frac{(a+b)(a-b)}{2w},$$

przyjmując dodatność wartości na x za wskazującą kierunek od środka linii HG ku punktowi G: a co do promienia r téjże kuli, samo zestawienie z sobą wzorów (1) i (4) pokazuje, że

$$r=\frac{\sqrt{\{(a+b)^2+w^2\}\{(a-b)^2+w^2\}}}{2w}.$$

W naczyniu np. powyżéj uważaném, środek kuli przypadałby na osi pasa o 9,173 cali wyżéj dna, a promień téjże kuli wynosiłby przeszło 12,677 cali.

Przejście ze wzoru (1) do wzoru (2), a z tego znowu do wzorów (3) i (4), ma Paucker w przytoczonych powyżéj *Fundamente der Geometrie. Mitau*, 1842 *(Stereometrie*, str. 236—237); tylko, że dla skrócenia wykładu, pominął naumyślnie samoż równanie (4), a poprzestał na wskazaniu postępowania, które uważał za dogodniejsze w praktyce, tojest: że aby z wiadomych a, b i w, znaleźć Z, każe zaczynać od wynajdowania kątów posiłkowych μ i λ. Pomimo łatwości zagadnienia, i chociaż się nie rzadko natrafia na przypadki wzorów (2) i (4) odnoszące się do czaszki kulistéj, mało jednak musi być takich dzieł elementarnych, któreby nauczały, jak znaleźć powierzchnią pasa kulistego, mając dane promienie jego podstaw i wysokość. W książeczce bowiem: *Die Berechnung vom Flächeninhalt der Kugelzone. Ein Beitrag zu jedem Lehrbuch der Stereometrie von Dr. Paul* Escher, *Privatdocenten an der philosophischen Abtheilung des Schweizerischen Polytechnikums in Zürich. Zürich*, 1859, autor jéj, powiedziawszy, że dzieła do nauki stereometryi bynajmniéj wspomnionego zagadnienia nie dotykają, wykłada dwa sposoby algebraiczne, dwa trygonometryczne i nareszcie sposób czysto-geometryczny, któremi toż zagadnienie rozwiązał, podając tamże wzory (2) i (4), a nawet i wskazaną sobie przez p. Dra Fries możność przerobienia wzoru (2) na $Z=4\pi r^2 \operatorname{wst}\mu \operatorname{wst}\lambda$, za rzeczy nowe. Dodaje też, że znaczenie wzoru (2), gdybyśmy drugą onego stronę chcieli uważać za wyrażenie powierzchni ellipsy lub powierzchni bocznéj walca prostego o podstawie kołowéj, podał był do protokułów 31go zebrania się niemieckich badaczów natury, i że sobie zamówił, aby trzy z jego rozwiązań

były w 32 tomie Grunert'owego *Archiv der Mathematik und Physik* zamieszczone.

Dajmy, że uważany tu pas kulisty przecięty jest płaszczyzną do płaszczyzn jego podstaw równoległą, dzielącą wysokość onego (a zatém i samże pas) na dwie części, z których leżąca przy podstawie z promienia a, do leżącéj przy podstawie z promienia b, ma się jak m do n, rozumiejąc przez m i n dwie linie lub dwie liczby dodatne; i niech c będzie promień tego przecięcia. Opiérając się na własności cięciw przecinających się w kole lub za kołem, przyjdzie się łatwo do równań

$$AD^2=\frac{(m+n)^2c^2-(na-mb)^2}{mn},$$

$$BD^2=\frac{(m+n)^2c^2-(na+mb)^2}{mn},$$

$$w^2=\frac{m+n}{mn}\{(m+n)c^2-na^2-mb^2\},$$

z których zresztą każde prowadzi już do dwóch pozostałych. Dwa piérwsze z tych trzech równań, w połączeniu ze wzorem (2), dają

$$Z=\frac{\pi}{mn}\sqrt{\{(m+n)^2c^2-(na-mb)^2\}\{(m+n)^2c^2-(na+mb)^2\}}; \quad (6)$$

a trzecie pokazuje, że promienie a, b, c i stosunek $m:n$ nie mogą się brać od upodobania, ale muszą dopełniać warunku

$$(m+n)c^2>na^2+mb^2.$$

W szukaniu współrzędnych prostokątnych środka okręgu mającego przechodzić przez trzy punkta, którychby odcięte były

$$\frac{w}{2}, \quad -\frac{w}{2}, \quad \frac{n-m}{m+n}\frac{w}{2},$$

a rzędne odpowiednio

$$a, \quad b, \quad c,$$

równanie powyższe dla w^2 wypadłoby nam jako warunek na to, aby środek okręgu przypadał na osi odciętych.

Jeżeli w szczególności założymy $m=n$, i wartość promienia c, temu założeniu odpowiadającą, czyli promień tak zwanego średniego przecięcia pasa, nazwiemy c_0; będzie, według wzoru (6),

$$Z=\pi\sqrt{\{4c_0^2-(a-b)^2\}\{4c_0^2-(a+b)^2\}},$$

a powyższa nierówność przejdzie na

$$2c_0^2>a^2+b^2.$$

Wyrażenie objętości O przez promienie a, b, c i przez stosunek $m:n$, byłoby, w porównaniu do wzoru (5), wyrażeniem

zawiłém. Ale wspomniona dopiéro objętość wyraża się bardzo prosto przez c_0 i w; na mocy bowiem związku

$$n^2+b^2=2c_0^2-\tfrac{1}{2}w^2,$$

wzór (5) sprowadza się do

$$O=\pi w(c_0^2-\tfrac{1}{12}w^2),$$

pokazując: że odcinek kulisty, bądź o jednéj, bądź o dwóch podstawach równoległych, jest równoważny nadmiarowi walca téj saméj wysokości, mającego za podstawę średnie przecięcie odcinka, nad połowę kuli mającéj tęż wysokość za średnicę.

Wzmiankę o wzorze (6) i jego przypadku, może gdzieindziéj niepodanych, tudzież o niniejszém najprostszém a mało znaném wyrażeniu na O, dopisało się dlatego, aby uczącym się nastręczyć łatwe, a z poprzedzającemi wzorami wiążące się ćwiczenie. W tym samym celu dodamy tu jeszcze, że gdy łuk BFD nie większy od półokręgu, wraz z prostopadłemi BG′ i DH′ spuszczonemi z jego końców na linią prostą P′Q′ względem PQ równoległą, gdziekolwiek w kole lub za kołem na jego płaszczyznie położoną, ale rzeczonego łuku nieprzecinającą, zrobi około téjże linii prostéj P′Q′ obrot całkowity; pole Z' powiérzchni, jaką wtedy nakréśli łuk BFD, tudzież objętość O' bryły, tą powiérzchnią pobocznie, a kołami przez prostopadłe BG′ i DH′ nakréślonemi, jako podstawami ograniczonéj, dają się znaleźć sposobem zupełnie elementarnym.

Niech albowiem d oznacza odległość średnicy PQ od osi P′Q′ obrotu, biorąc d za ilość dodatną lub odjemną, stosownie do tego, czy łuk BFD i oś P′Q′ obrotu leżą ze stron przeciwnych średnicy PQ lub po jednéjże jéj stronie; $2l$ niech oznacza długość łuku BFD, a p niech wyraża pole figury HGBFDH. Uważając powiérzchnią w obrocie całkowitym figury H′G′BFDH′ około osi P′Q′ przez łuk BFD nakréśloną, za granicę powiérzchni nakréślonéj, w tym obrocie, przez linią łamaną, złożoną z cięciw coraz mniejsze części rzeczonego łuku podpiérających, a bryłę nakréśloną przez saméż figurę H′G′BFDH′ za granicę summy walców coraz krótszych, w tęż bryłę wpisanych lub na niéj opisanych, okaże się łatwo, że

$$Z'=\pm(2\pi d.2l+Z), \qquad (7)$$

$$O'=\pi d^2w+2\pi d.p+O: \qquad (8)$$

gdzie w równaniu piérwszém należy przed nawiasem brać znak +, jeżeli łuk BFD zwrócony jest do osi P′Q′ obrotu, stroną wklęsłą; a znak —, jeżeli przeciwnie, łuk BFD zwrócony jest do osi P′Q′ obrotu, stroną wypukłą.

Gdyby np. łuk DFB zaczynał się w punkcie P, i wynosił $\frac{1}{4}$ swojego okręgu, byłoby $2l=\frac{1}{2}\pi r$, $Z=2\pi r^2$, $w=r$, $p=\frac{1}{4}\pi r^2$, $O=\frac{2}{3}\pi r^3$; a zatém, oznaczając jeszcze bezwzględną wartość odległości d przez d', wiedzielibyśmy, że w tym razie

$$Z'=\pi r(\pi d' \pm 2r).$$

$$O'=\pi r(d'^2 \pm \tfrac{1}{2}\pi r d' + \tfrac{2}{3}r^2);$$

i że z podwójnych znaków + i — nad sobą napisanych, potrzeba brać górne lub dolne, stosownie do tego, czy niniejsza ćwiartka okręgu, powierzchnią boczną bryły kreśląca, jest do osi P′Q′ obrotu zwrócona stroną swoją wklęsłą lub wypukłą. A jeżeli półokrąg, wraz ze stycznemi wyprowadzonemi z jego końców aż do spotkania się z równoległą do jego średnicy, onegoż nieprzecinającą, obrócimy całkowicie około téj równoległéj, jako około osi; powierzchnia boczna bryły tak utworzonéj, i samaż bryła, będą miały za miarę podwojone drugie strony równań dopiéro podanych, rozumiejąc przez r promień półokręgu, przez d' bezwzględną odległość środka od osi obrotu, i biorąc, podług tego, czy półokrąg jest do wspomnionéj dopiéro osi zwrócony stroną swoją wklęsłą lub wypukłą, z podwójnych znaków górne lub dolne. Te same równania pokazują jeszcze, że gdy na płaszczyznie przechodzącéj przez linią prostą stałą, ze środka w odległości d' od téj linii prostéj położonego, promieniem r nie większym od d', nakreślimy okrąg koła, a potém płaszczyznę obrócimy całkowicie około rzeczonéj linii prostéj, jako około osi; powierzchnia *pierścienia* przez koło utworzonego będzie miała za miarę $4\pi^2 r d'$, a objętość tegoż pierścienia będzie równa $2\pi^2 r^2 d'$.

Ogólnie, ponieważ odległość cięciwy BD od środka S, jest czwartą proporcyonalną do w, $\frac{1}{2}(a+b)$ i BD, potrafimy łatwo przewyżkę trapezu GBDH nad trójkąt SBD wyrazić przez a, b i w; a przydając tak znalezioną przewyżkę do wyrażenia na wycinek SBFD, znajdziemy wyrażenie na p. Tym sposobem, podstawiając jeszcze za O drugą stronę równania (5), przekonamy się, że wzór (8) wychodzi na równanie

$$\left.\begin{aligned} O'=&\tfrac{1}{2}\pi w(2d^2+a^2+b^2+\tfrac{1}{3}w^2)\\ &+\frac{\pi d}{2w}(a+b)\{w^2-(a-b)^2\}+2\pi d r^2.\text{łuk sty}\,\frac{w}{a+b}, \end{aligned}\right\} \quad (9)$$

w którém, zamiast r, należałoby jeszcze położyć jego wartość powyżéj podaną, chcąc mieć O' wyrażonem w samych tylko d, a, b i w. Przez wyrażenie mnożące tu $2\pi d r^2$, rozumié się

w kole z promienia równego jedności, najmniejszy z tych łuków, których styczna trygonometryczna jest równa stosunkowi wysokości w do $a+b$, wyrażony w częściach rzeczonego promienia: jestto, innemi słowy, stosunek połowy łuku kréślącego powiérzchnią boczną bryły, do promienia r tegoż łuku.

Gdy w równaniu (9), zamiast w, napiszemy $2w$, a zakładając potém $a=b=\sqrt{r^2-w^2}$, weźmiemy całego wypadku połowę; będziemy mieli równanie

$$O'=\pi w(d^2+r^2-\tfrac{1}{3}w^2+d\sqrt{r^2-w^2})+\pi d r^2.\text{łuk wst}\frac{w}{r}, \quad (10)$$

odnoszące się do przypadku, kiedy jeden z punktów G, H, pada na środek S. Przez wyrażenie mnożące tu πdr^2, rozumié się podobnież w kole z promienia równego jedności, najmniejszy z tych łuków, których wstawa jest równa stosunkowi wysokości w bryły do r, w częściach rzeczonéj jedności wyrażony: jestto, innemi słowy, stosunek łuku kréślącego powiérzchnią boczną bryły, do promienia r tegoż łuku.

Wskażemy teraz, jakby równanie (9) można stosować do wynajdowania objętości tych części słupa w porządkach architektonicznych. które albo są bryłami takiemi, jakich tu objętość oznaczamy przez O', albo się téż składają z dwóch tego rodzaju brył, powiérzchnie boczne na wspólnym równoległniku z sobą zgodzone (tojest do siebie styczne) mających. Co się może przydać tém bardziéj, że autor dzieła: *Gründlicher und ausführlicher Unterricht zur praktischen Geometrie von* Johann Tobias Mayer. *Fünfter Theil, zweite, verbesserte Auflage. Göttingen*, 1820, w nauce o wynajdowaniu bryłowatości członków słupa dopiéro wspomnionych (str. 668—677), nie podaje równania (9), ale ogranicza się uwagą tych tylko przypadków, które się zawiérają w równaniu (10). (*)

(*) W niniejszém (a może i w piérwszém z r. 1808) wydaniu téj piątéj części swojego dzieła, mówiąc w § 122, str. 491—497, o przybliżoném dochodzeniu objętości brył obrotowych przez ostrokręgi ścięte, używa Mayer (str. 493) i dowodzi twierdzenia: że ostrokrąg mający za podstawę koło, a ścięty płaszczyzną do niéj równoległą, jest co do objętości równy $\frac{1}{4}$ walca mającego za podstawę koło z promienia równego summie promieni obu podstaw ostrokręgu ściętego, więcéj $\frac{1}{12}$ walca mającego za podstawę koło z promienia równego różnicy promieni podstaw tegoż ostrokręgu ściętego, a którebyto walce miały oba jednaką z ostrokręgiem ściętym wysokość. Nie można więc rzeczonego twierdzenia przypisywać autorom, którzy o niém po roku 1820, i to w znaczną liczbę lat późniéj pisali.

Niech dla skrócenia, promienie podstaw téj bryły, do któréj się ściąga równanie (9), będą: G'B=a', H'D=b', i niech będzie dot λ=l. Położymy nadto,

$$\text{w przypadku } a'>b', \quad \mathfrak{m}=\frac{a'-b'}{w},$$

$$\text{a w przypadku } a'<b', \quad \mathfrak{m}=\frac{b'-a'}{w};$$

tak, iż rozumiejąc przez *wysterk* lub *wypust*, przewyżkę większego z dwóch promieni a' i b' nad mniejszy z nich, m będzie wyrażało stosunek wypustu do wysokości: w przypadku $a'=b'$, wypust, a z nim i stosunek m, przywiedzie się do zera. Samęż wreszcie bryłę. o któréj tu mowa, stosownie do tego, czy łuk BFD kréślący jéj powierzchnią boczną, zwrócony jest do osi P'Q' obrotu stroną swoją wklęsłą lub wypukłą, nazywajmy, w piérwszym razie, *kręgiem*, a w drugim, *żłobkiem* lub *wkléskiem*; i niech odtąd, dopóki się inaczéj nie powié, O' wyraża tylko objętość kręgu, objętość zaś żłobka oznaczajmy przez O''. Ponieważ $a-b=\pm(a'-b')$, $d=\pm a'-a$, biorąc z podwójnych znaków + i — nad sobą napisanych, górne dla kręgu, a dolne dla żłobka; na mocy przeto związków $a+b=w$ dot λ, $a-b=w$ dot μ, będzie

$$a+b=\mathfrak{l}w, \quad \text{dot}\mu=\pm\mathfrak{m}, \quad a-b=\pm\mathfrak{m}w, \quad x=\pm\tfrac{1}{2}\mathfrak{l}\mathfrak{m}w,$$

$$r=\tfrac{1}{2}w\sqrt{(1+\mathfrak{l}^2)(1+\mathfrak{m}^2)}, \quad d=\pm a'-\tfrac{1}{2}(\mathfrak{l}\pm\mathfrak{m})w:$$

gdzie z podwójnych znaków + i — przed m i dla x, należy, dla kręgu, brać górne lub dolne, stosownie do tego, czy $a'>b'$ lub $a'<b'$; dla żłobka zaś przeciwnie. Co wiedząc, i biorąc jeszcze, jeżeli się podoba, na uwagę tosamość $a^2+b^2=\frac{1}{2}\{(a+b)^2+(a-b)^2\}$, potrafimy drugą stronę równania (9) wyrazić przez a', w, m, l i λ, z którychto ostatnich dwóch ilości jedna którakolwiek wyznacza już drugą z nich. Okaże się tym sposobem, że kładąc, dla skrócenia,

$$\mathfrak{n}=\tfrac{1}{2}(1+\mathfrak{m}^2)\{(1+\mathfrak{l}^2)\lambda-\mathfrak{l}\}, \qquad (11)$$

będzie objętość kręgu

$$O'=\pi w\{a'^2+(\mathfrak{n}+\mathfrak{m})a'w+\tfrac{1}{2}[\tfrac{1}{3}+\mathfrak{m}^2-\mathfrak{n}(\mathfrak{l}+\mathfrak{m})]w^2\}, \qquad (12)$$

a objętość żłobka

$$O''=\pi w\{a'^2-(\mathfrak{n}\pm\mathfrak{m})a'w+\tfrac{1}{2}[\tfrac{1}{3}+\mathfrak{m}^2-\mathfrak{n}(\mathfrak{l}+\mathfrak{m})]w^2\}: \qquad (13)$$

gdzie, tak w piérwszém jako i w drugiém równaniu, z podwójnych znaków + i — nad sobą napisanych, potrzeba brać górne, jeżeli a' jest promieniem podstawy większéj; a dolne, jeżeli przeciwnie, a' jest promieniem podstawy mniejszéj. Pamiętajmy

nadto, że w oznacza wysokość bryły; m stosunek wypustu do wysokości, czyli dostyczną mniejszego z kątów G'BD i H'DB, kiedy podstawy są nierówne, i któryto kąt (przechodzący wraz z większym, przy równości podstaw, na prosty) będziemy nadal oznaczali przez (u); a przez λ=łuk dot l rozumié się połowa długości łuku kréślącego powiérzchnią bryły boczną, biorąc promień r tegoż łuku za jedność.

Gdy np. wypust jest równy wysokości, a łuk kréślący powiérzchnią boczną bryły, ma 90°; wtedy m=1, $\lambda=\frac{1}{4}\pi$, l=1 Jeżeli więc zechcemy jeszcze, żeby a' oznaczało, dla kręgu, promień jego podstawy większéj, a dla żłobka, promień jego podstawy mniejszéj; otrzymamy z równań (12) i (13), na teraźniejszy przypadek, wzory:

$$O'=\pi w\{a'^2-(2-\tfrac{1}{2}\pi)a'w+(\tfrac{5}{3}-\tfrac{1}{2}\pi)w^2\},$$
$$O''=\pi w\{a'^2+(2-\tfrac{1}{2}\pi)a'w+(\tfrac{5}{3}-\tfrac{1}{2}\pi)w^2\},$$

czyli, w przybliżeniu,

$$O'=\pi w(a'^2-0{,}429a'w+0{,}096w^2),$$
$$O''=\pi w(a'^2+0{,}429a'w+0{,}096w^2).$$

Mamy tu zresztą $x=\frac{1}{2}w$, $r=w$; i łatwo sprawdzić, że z podanych dopiéro wzorów dla O' i O'', ściśle zgadzają się ze wzorem dla O' powyżéj na teraźniejszy przypadek podanym.

Dla kręgu i żłobka, utworzonych przez obracanie się półokręgu wraz ze stycznemi, wyprowadzonemi z jego końców i przedłużonemi aż do spotkania się z osią obrotu do tychże stycznych prostopadłą, a półokręgu nieprzecinającą, mielibyśmy $a'=b'$, m=0, $\lambda=\frac{1}{2}\pi$, l=0; a ztąd, według równań (12) i (13), wzory:

$$O'=\pi w(a'^2+\tfrac{1}{4}\pi a'w+\tfrac{1}{6}w^2),$$
$$O''=\pi w(a'^2-\tfrac{1}{4}\pi a'w+\tfrac{1}{6}w^2),$$

zgodne z tém, co się o niniejszych dwóch bryłach powyżéj podało, bo teraz $w=2r$, $a'=d'$.

Gdybyśmy za oś obrotu wzięli linią na płaszczyznie koła, do średnicy PQ, po jéj prawéj stronie, w odległości nie mniejszéj od HD, równolegle poprowadzoną, i obróciwszy całkowicie płaszczyznę około téj osi, chcieli mieć objętość bryły ograniczonéj w części powiérzchnią, jaką w tym obrocie opisał łuk APD, a w części kołami, których okręgi powstały z obiegu końców A i D tegoż łuku: wypadłoby od objętości kręgu, którego powiérzchnią boczną nakréślił w tym obrocie łuk AEP, odjąć objętość żłobka, którego powiérzchnią boczną nakréślił w tymże obrocie łuk PD. Podobnież bryła, ograniczona w części powiérzchnią, jaką teraz opisał łuk QAPD, większy od pół-

okręgu, a w części kołami, których okręgi zostały nakreślone przez końce Q i D tegoż łuku, byłaby przewyżką kręgu, którego powierzchnią boczną opisał łuk QAP, nad żłobek, którego powierzchnią boczną opisał łuk PD. A jeślibyśmy za oś obrotu wzięli linią na płaszczyznie koła, równolegle do średnicy PQ, po jéj prawéj stronie, za kołem poprowadzoną; bryła ograniczona w części powierzchnią, jakąby w całkowitym obrocie rzeczonéj płaszczyzny około teraźniejszéj osi, opisał łuk BQAPD, a w części kołami z okręgów nakreślonych przez punkta B i D, składałaby się z pierścienia nakreślonego przez całe koło, i ze żłobka o powierzchni bocznéj nakreślonéj przez łuk BFD.

Krąg i żłobek, wystawione z przeciwnych stron na podstawie wspólnéj, a mające powierzchnie boczne na okręgu téj podstawy wspólnéj do siebie styczne, składają bryłę, która się nazywa *piętką*, gdy podstawa wspólna jest mniejszą z dwóch podstaw kręgu, a większą z dwóch podstaw żłobka; nazywa się zaś *gruszcem*, gdy przeciwnie, podstawa wspólna jest większą z dwóch podstaw kręgu, a mniejszą z dwóch podstaw żłobka. Do opisanéj dopiéro styczności powierzchni bocznych, rozumiejąc przez a' promień podstawy wspólnéj, potrzeba, żeby kąty μ i λ czyniły tę samę summę w żłobku, co i w kręgu; a zatém, żeby w piętce różnica $(\mu)-\lambda$, a w gruszcu summa $(\mu)+\lambda$, była dla kręgu i żłobka ta sama. Co gdy będzie dopełnioném, obliczenie drugich stron równań (12) i (13), biorąc z podwójnych znaków przed m, dolne w równaniu piérwszém, a górne w drugiém, i zebranie wypadków w summę, doprowadzi nas do objętości piętki; obliczenie zaś drugich stron tychże równań (12) i (13), biorąc z podwójnych znaków przed m przeciwnie, górne w równaniu piérwszém, a dolne w drugiém, i zebranie znowuż wypadków w summę, doprowadzi nas do objętości gruszca.

Pospolicie atoli krąg i żłobek, składające czyto piętkę, czy gruszec, są takie, że (μ) i λ, a tém samém m i l, mają te same wartości w żłobku, co i w kręgu, a nadto jeszcze ten krąg i ten żłobek mają wysokość jednaką. Taka piętka, lub taki gruszec, w przecięciu płaszczyzną poprowadzoną przez oś obrotu, przedstawia, po jednéjże którejkolwiek stronie téj osi, trapez, którego bok przeciwległy osi zastąpiony został przez dwa łuki kołowe, na połowach tegoż boku jako na cięciwach, z przeciwnych stron onegoż nakreślone, po jednakiéj liczbie stopni mające, a zatém równe; a m (jak w ogóle, kiedy łuki kręgu i żłobka są tylko podobne sobie) jest tu oraz stosunkiem bezwzględnéj różnicy

podstaw trapezu do wysokości tegoż czworokąta, czyli stosunkiem wypustu bryły złożonéj, do jéj wysokości. Jeżeli więc objętość takiéj piętki oznaczymy przez P, a objętość takiego gruszca oznaczymy przez G, będzie, według równań (12) i (13),

$$P=\pi.2w\{a'^2+\tfrac{1}{3}[\tfrac{1}{3}+m^2-n(l-m)](2w)^2\},$$
$$G=\pi.2w\{a'^2+\tfrac{1}{3}[\tfrac{1}{3}+m^2-n(l+m)](2w)^2\}:$$

gdzie przez n rozumié się zawsze wyrażenie (11). W każdym z dwóch niniejszych wzorów, $2w$ oznacza wysokość bryły, tojest, w piérwszym, piętki, a w drugim, gruszca; a' oznacza promień równoleżnika jednako oddalonego od obu podstaw bryły, równy połowie summy promieni tychże dwóch podstaw; m jest stosunkiem wypustu bryły do jéj wysokości; λ oznacza w kole z promienia równego jedności, wyrażony przez tę jedność łuk podobny połowie każdego z dwóch łuków równych, stykających się z sobą na owym równoleżniku, i składających linią esowatą, któréj obrotem około osi słupa, tworzy się powiérzchnia boczna bryły; l zaś oznacza dostyczną łuku λ.

Gdy np. piętka, w przecięciu onéj płaszczyzną poprowadzoną przez oś obrotu, przedstawia, po jednéjże któréjkolwiek stronie téj osi, trapez mający różnicę podstaw równą $\frac{2}{3}$ wysokości, a którego bok przeciwległy osi zastąpiony został przez dwa łuki, na połowach tegoż boku jako na cięciwach, z przeciwnych stron onegoż nakréślone, po 60° mające; natenczas $m=\frac{2}{3}$, $\lambda=\frac{1}{6}\pi$, $l=\sqrt{3}$, a ztąd, w przybliżeniu, objętość piętki

$$P=\pi.2w\{a'^2+0{,}062(2w)^2\}.$$

Jeżeli zaś różnica podstaw rzeczonego trapezu jest połową jego wysokości, a wspomnione łuki, zamiast mieć po 60°, należą do kół, z których jedno ma środek na podstawie większéj, a drugie na przedłużeniu podstawy mniejszéj; będzie wtedy $m=\frac{1}{2}$, $l=1:m=2$ (co prowadzi do promienia $r=\frac{5}{4}w$ na wykréślenie rzeczonych łuków); ztąd, w przybliżeniu, λ ($=26°33'54''$) $=0{,}4636$, a objętość piętki

$$P=\pi.2w\{a'^2+0{,}0356(2w)^2\}:$$

niezgodnie z przytoczoném powyżéj dziełem Mayer'a, który na str. 676, zamiast 0,0356, czyli krócéj 0,036, pisze 0,042.

Niech znowu np., przecięcie gruszca płaszczyzną przechodzącą przez oś obrotu, będzie, po jednéjże któréjkolwiek stronie téj osi, trapezem mającym różnicę podstaw równą wysokości, a którego bok przeciwległy osi zastąpiony został przez dwa łuki, na połowach tegoż boku jako na cięciwach, z przeciwnych

stron onegoż nakréślone, mające, każdy po 60°, lub każdy po 90°. W piérwszym z tych dwóch przypadków, będzie $m=1$, $\lambda=\frac{1}{6}\pi$, $l=\sqrt{3}$; a ztąd, objętość gruszca

$$G=\pi.2w\{a'^2+0{,}0429(2w)^2\},$$

przestając na przybliżeniu. W przypadku zaś drugim, będzie $m=1$, $\lambda=\frac{1}{4}\pi$, $l=1$; a zatém, w przybliżeniu, objętość gruszca

$$G=\pi.2w\{a'^2+0{,}024(2w)^2\}:$$

cobyśmy téż otrzymali, dodając do siebie wartości przybliżone dla O' i O'', powyżéj po równaniach (12) i (13) za przykład podane. W niniejszym drugim przypadku, biorąc końce podstaw trapezu nie na osi leżące; spodki prostopadłych, spuszczonych z tych końców na linią dzielącą każdy z dwóch pozostałych boków onegoż na dwie równe części, są środkami, z których, promieniem równym połowie odległości tychże środków od siebie, kréślą się rzeczone dwa łuki po 90° mające.

Jeżeli dwóch żłobków, wystawionych z przeciwnych stron na podstawie wspólnéj z promienia a', powiérzchnie boczne mają być, na okręgu téj wspólnéj podstawy, do siebie styczne; powinna wartość summy $\mu+\lambda$ w jednym z dwóch żłobków, z wartością téjże summy w drugim z nich, spełniać się do dwóch kątów prostych; przyczém należy pamiętać, że jeśli podstawa wspólna jest mniejszą od każdéj z dwóch pozostałych, natenczas, tak w jednym jako i w drugim żłobku, jest dot $\mu=m$; w którymby zaś żłobku podstawa wzięta za wspólną, była większą od pozostałéj, w tym dot $\mu=-m$. Mając dany promień a' wspólnéj podstawy żłobków, dane ich wysokości, tudzież, w obu żłobkach, dane m i λ (lub l), wskazanemu dopiéro warunkowi styczności zadość czyniące, potrafimy, według wzoru (13), znaleźć objętość każdego z tych dwóch żłobków, a zatém i objętość bryły z nich złożonéj.

Niech bryła, z dwóch żłobków w sposób dopiéro opisany złożona, nazywa się *cygą* lub *skocyą* w przypadku, kiedy podstawa zewnętrzna każdego żłobka jest do jego powiérzchni bocznéj styczną. Ponieważ do téj styczności, rozumiejąc przez a' promień podstawy wspólnéj, potrzeba, żeby kąty μ i λ były, w każdym z dwóch żłobków, sobie równe; każdy więc z tych kątów w żłobku jednym, względem każdego z nich w żłobku drugim, powinien być dopełnieniem do kąta prostego, jeżeli rzeczone dwa żłobki mają składać skocyą.

Gdy np., w jednym z dwóch żłobków składających skocyą, wypust jest równy wysokości, a tém samém i łuk kréślący po-

wiérzchnią boczną ma 90°; będzie téż i w drugim z tych dwóch żłobków rzecz miała się zupełnie tak samo. Objętość więc téj skocyi, według przykładu podanego po wzorze (13), będzie ściśle równa

$$\pi\{a'^2(w_1+w_2)+(2-\tfrac{1}{2}\pi)a'(w_1^2+w_2^2)+(\tfrac{5}{3}-\tfrac{1}{2}\pi)(w_1^3+w_2^3)\},$$

rozumiejąc przez a' promień podstawy obu żłobkom wspólnéj, a przez w_1 i w_2 wysokości tychże żłobków. Środki, z których się tu kréślą łuki żłobków, leżą na przedłużeniu linii, podług któréj podstawę wspólną przecina płaszczyzna poprowadzona przez oś obrotu; a promienie tych łuków są równe wysokościom w_1 i w_2. Jeżeli, jak pospolicie, jedna z dwóch dopiéro wspomnionych wysokości wynosi $\frac{1}{3}w$, a tém samém druga wynosi $\frac{2}{3}w$, rozumiejąc teraz przez w wysokość skocyi; natenczas wyrażenie poprzedzające na objętość przywodzi się do

$$\pi w\{a'^2+\tfrac{5}{18}(4-\pi)a'w+\tfrac{1}{6}(3\tfrac{1}{3}-\pi)w^2\},$$

a zatém, w przybliżeniu, do

$$\pi w(a'^2+0.238a'w+0,032w^2).$$

Weźmy jeszcze za przykład dwa żłobki: jeden o wysokości w_1, mający $l=m=\frac{1}{3}$, a drugi o wysokości w_2, mający $l=m=3$; i niech w każdym z tych dwóch żłobków, a' oznacza promień podstawy mniejszéj. Wzór (13), gdy w nim z podwójnych znaków przed m weźmiemy dolne, pokaże nam, że w przybliżeniu, objętość piérwszego z dwóch niniejszych żłobków jest równa

$$\pi(a'^2w_1-0,2525a'w_1^2+0,0269w_1^3),$$

drugiego zaś równa

$$\pi(a'^2w_2+1,9125a'w_2^2+1,4041w_2^3).$$

Przyjmując, że a' ma w obu żłobkach jednę i tę samę wartość, i ustawiwszy te dwa żłobki na sobie tak, aby miały koło z promienia a' za podstawę wspólną i były z jéj stron przeciwnych położone; powstanie ztąd skocya, któréj objętość będzie, w przybliżeniu, równa summie dwóch wyrażeń dopiéro napisanych. Mając zresztą dane, w piérwszym żłobku, w_1 i $m=\frac{1}{3}$, a w drugim, w_2 i $m=3$, i wiedząc nadto, że podług powyższego wyrażenia ogólnego na r, łuk żłobka piérwszego ma za promień $\frac{5}{9}w_1$, a łuk żłobka drugiego ma za promień $5w_2$; potrafimy wykonać i sprawdzić wykréślenie łuków stycznych, składających linią krzywą, któréj obrotem około osi słupa tworzy się powiérzchnia boczna teraźniejszéj skocyi.

Miejmy téj skocyi daną wysokość w, i załóżmy w szczególności, że promień r_1 łuku w żłobku piérwszym, ma się mieć

do promienia r_2 łuku w żłobku drugim, jak 3 do 8. Okaże się, że w tym razie powinno być

$$w_1=\tfrac{3}{55}w,\quad w_2=\tfrac{8}{55}w;\quad r_1=\tfrac{3}{7}w,\quad r_2=\tfrac{8}{7}w.$$

Podstawiając w podanych ostatnio wyrażeniach na objętość żłobków, za w_1 i w_2 wartości dopiero napisane i zbierając wypadki w summę, przekonamy się, że w tym przypadku, objętość skocyi ma za wyrażenie przybliżone

$$\pi w(a'^2-0{,}0503a'w+0{,}0291w^2).$$

Jak zresztą samęż niniejszą skocyą wykreślić, pokazuje to figura na tablicy pierwszéj w dziele Marconi'ego: *O porządkach architektonicznych. Poszyt I. W Warszawie*, 1828.

Wystawmy sobie teraz, że na płaszczyznie dwóch linij równoległych PQ i P′Q′, dowolnie poprowadzonych, BFD, zamiast być łukiem koła, jest linią krzywą, według upodobania od punktu B aż do punktu D poprowadzoną, byleby jéj żadna z linij prostych PQ i P′Q′ między końcami B i D nie przecinała, i byleby taż linia krzywa BFD była taką, aby każda z prostopadłych do PQ, począwszy od GB aż do HD włącznie, spotykała ją w jednym tylko punkcie. Niech $2l$ oznacza długość rzeczonéj linii krzywéj BFD; p niech oznacza pole odcinka HGBFDH; w wysokość HG; a d niech oznacza odległość linii PQ od P′Q′, uważając d za ilość dodatną, gdy linia P′Q′ i krzywa BFD leżą z przeciwnych stron linii PQ, a za ilość odjemną, gdy linia P′Q′ i krzywa BFD leżą po jednéjże stronie linii PQ. Obróćmy płaszczyznę równoległych PQ i P′Q′ całkowicie około linii PQ jako około osi; i niech Z oznacza pole powierzchni, jaką w tym obrocie opisała linia krzywa BFD, a O niech oznacza objętość bryły, tą powierzchnią pobocznie i kołami z okręgów przez punkta B i D teraz nakreślonych, jako podstawami ograniczonéj. Tęż samę płaszczyznę obróćmy znowuż całkowicie około osi P′Q′; i niech Z' oznacza pole powierzchni, jaką teraz opisała ta sama linia krzywa BFD, a O' niech oznacza objętość bryły, tą powierzchnią pobocznie i kołami z okręgów przez punkta B i D teraz nakreślonych, jako podstawami ograniczonéj. Rozważywszy sposób, którym się dowodzi związków (7) i (8), kiedy BFD jest łukiem koła, przekonamy się, że wspomnione dopiero związki (7) i (8) ostoją się jeszcze i przy teraźniejszém znaczeniu ogólniejszém liter d, l, Z, Z', p, O i O', do nich wchodzących; bylebyśmy w związku (7) brali przed nawiasem znak +, gdy krzywa BFD przypada po jednéjże stronie obu linij PQ i P′Q′, a znak —, gdy taż krzywa BFD przypada

między liniami PQ i P′Q′. Zostawiając własnemu domysłowi czytelnika, jakby związki (7) i (8) można podnieść do jeszcze większéj ogólności, zakończymy rzecz wzorami na objętość kręgów i żłobków elliptycznych.

Dajmy, że BFD jest częścią półobwodu ellipsy, mającéj za jednę oś, linią PQ=2r, a za drugą oś, linią 2s, od PQ krótszą lub dłuższą; i położmy $q=s:r$. W takiém przypuszczeniu, okrąg koła, ze środka S rzeczonéj ellipsy, promieniem SP=SQ=r nakréślony, będzie okręgiem na téjże ellipsie opisanym lub w nię wpisanym; i przez którykolwiek punkt na osi PQ poprowadziny do niéj prostopadłą, powstająca ztąd cięciwa ellipsy, do powstającéj ztąd cięciwy koła, będzie się miała zawsze, jak q do 1. Z czego wypada, że i odcinek elliptyczny HGBFDH, czyli teraźniejsze p, do odpowiedniego mu odcinka kołowego, tojest do powiérzchni, linią HG, prostopadłemi GB i HD, jeśli tego potrzeba, przedłużonemi, tudzież łukiem rzeczonego koła ograniczonéj, ma się także, jak q do 1; a z dwóch brył utworzonych przez całkowite obrócenie się wspomnionych dopiéro dwóch odcinków około osi PQ, piérwsza, czyli odcinek ellipsoidalny O, ma się do drugiéj, czyli do odpowiedniego odcinka kuli, jak q^2 do 1. Jeżeli więc teraz będziemy przez O' rozumieli objętość bryły ograniczonéj powiérzchniami, w obrocie całkowitym około osi P′Q′, przez łuk elliptyczny BFD i prostopadłe BG′ i DH′ zakréślonemi, i jeśli nadto przez a=GB i b=HD będziemy teraz rozumieli rzędne końców wspomnionego dopiéro łuku elliptycznego BFD, do osi PQ odciętych prostopadłe; przystosowanie związku (8) uogólnionego, tudzież zapatrzenie się na wzór (9), w którym rzędne a i b końców łuku kołowego mają się do teraźniejszych a i b, jak 1 do q, doprowadzi nas do równania

$$O'=\tfrac{1}{2}\pi w(2d^2+a^2+b^2+\tfrac{1}{3}q^2w^2)$$
$$+\frac{\pi d(a+b)}{2q^2w}\{q^2w^2-(a-b)^2\}+2\pi dqr^2.\text{łuk sty}\frac{qw}{a+b}:$$

gdzie, zamiast r^2, należałoby jeszcze położyć

$$\frac{\{(a+b)^2+q^2w^2\}\{(a-b)^2+q^2w^2\}}{4q^4w^2},$$

chcąc mieć O' wyrażoném w samych tylko a, b, q, w i d. Bryła, któréj tu O' oznacza objętość, jest kręgiem elliptycznym, jeżeli łuk elliptyczny BFD, nie większy od półobwodu ellipsy, jest do osi P′Q′ zwrócony swoją stroną wklęsłą; jest zaś żłobkiem elliptycznym, jeżeli przeciwnie, łuk BFD jest do osi P′Q′ zwrócony swoją stroną wypukłą.

Gdy w podanem dopiéro wyrażeniu na O', zamiast w, napiszemy $2w$, a założywszy potém $a=b=q\sqrt{r^2-w^2}$, weźmiemy całego wypadku połowę; będziemy mieli wzór

$$O'=\pi w(d^2+s^2-\frac{s^2w^2}{3r^2}+\frac{ds}{r}\sqrt{r^2-w^2})+\pi drs.\text{luk wst}\frac{w}{r},$$

odnoszący się do przypadku, kiedy punkt G lub H pada na środek S ellipsy.

Jeżeli w niniejszych dwóch wyrażeniach na O', założymy $q=1$ czyli $s=r$; wrócimy do wzorów (9) i (10) na objętość kręgów i żłobków, któreby właściwie należało nazywać kręgami i żłobkami kołowemi.

Rzecz o związkach (7), (8) i o przystosowaniu drugiego z nich, pisałem w listopadzie, poprzednie zaś w sierpniu 1859 r.

A. F.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Bibliotéki Warszawskiéj.

Zdanie sprawy w przedmiocie zadań przez ces. król. Towarzystwo Naukowe Krakowskie do nagrody ogłoszonych.

Wiadomo z ogłoszeń w miesiącu lipcu r. 1858 uczynionych, iż szanowny członek honorowy Towarzystwa naukowego krakowskiego, W. Wincenty Siemieński Dr filozofii, powodowany godną powszechnego uznania gorliwością o dobro nauk, obdarzył Towarzystwo kwotą 2500 złr. w listach zastawnych galicyjskich, przeznaczając ją na nagrody za wypracowania w języku polskim nadesłać się mające, w odpowiedzi na zadania przez Towarzystwo ogłoszone.

Dopełniając zamiaru czcigodnego dawcy, Towarzystwo ogłosiło w tymże celu cztery następujące żądania:

I.

Skreślić Florę północnéj strony Tatrów.

Treść tego zadania w ten sposób bliżéj określoną została.

1) Obszar północnéj Flory tatrzańskiéj ma sięgać od wschodu, południa i zachodu do granic Galicyi z Węgrami, od północy po rzekę Piekielnik aż do jéj ujścia, daléj do Czarnego i z Białym połączonego Dunajca. Zostawia się do woli podejmującego wypracowanie posunienie się za wskazany obręb tak daleko, jak tego wymagałby wzgląd geograficzny, porównawczy lub jakibądź inny. W tym to sposobie uwzględnioną także będzie, z osobna zresztą objąć się mająca Flora Pienin.

2) We właściwéj Florze północno-tatrzańskiéj mają być objęte wszystkie rośliny dziko w tych stronach rosnące, tudzież będące przedmiotem powszechniejszéj uprawy. Opis ich być powinien ile można krótki, a przytém dokładny i pewny; porządek według jednego z układów przyrodniczych, którego zresztą wybór zostawia się samemu autorowi. Dokładne podanie nazwisk roślin tak w nauce

przyjętych, jako też miejscowych ludowych, wskazanie zakresu, w jakim każda roślina spostrzegać się daje w obrębie wyżéj oznaczonym, wskazanie przytém wysokości, tudzież geologicznéj lub innéj własności miejsca, będzie jednym z głównych przymiotów wypracowania.

3) Wypracowanie dokonane pod warunkami wyżéj podanemi, oprócz wstępu geograficznego, składać się będzie z trzech części; z tych 1-sza botaniczno systematyczna: obejmie wyliczenie i opisanie roślin północno-tatrzańskich; 2-ga botaniczno geograficzna: wyliczy rośliny poprzednio opisane, według pewnych zakresów wysokości okolic północnego stoku Tatrów, odznaczających się ubytkiem jednych, a pojawieniem się innych gatunków roślin; 3-cia porównawcza: przez porównanie ze znanemi Florami okolic odznaczających się położeniem alpejskiém, mianowicie pobliższych, wykaże tożsamość lub właściwości Flory północno-tatrzańskiéj.

II.

Wykazać w sposób dla każdego dostępny zasady, prawa i przepisy o spadkach, testamentach i darowiznach w Austryi, Rossyi, Prusach, Królestwie Polskiém i byłém Wolném mieście Krakowie.

W części poświęconéj spadkom beztestamentowym, wskazać:

1) Zasady dziedziczenia beztestamentowego: a) po szlachcie i mieszczanach w dawnéj Polsce, poczynając od wieku XVII; b) zasady według prawa austryackiego, francuzkiego, pruskiego i rossyjskiego, przy odniesieniu się do praw rzymskich:

2) Wskazać różnicę zachodzącą pomiędzy przepisami dziedziczenia według praw rzeczonych, tak względem powołanych lub wyłączonych od niego osób, jak i części spadkowych, z objaśnieniem przykładami;

3) Przywieść warunki, od których zależy objęcie spadków według przepisów praw dawnych polskich, prawa austryackiego, francuzkiego, pruskiego i rossyjskiego, tudzież przepisów w Królestwie Polskiém i byłéj Rzpltéj krakowskiéj.

W części poświęconéj testamentom i darowiznom:

1) Opisać formę zewnętrzną testamentu i darowizny według przepisów praw dawnych polskich i prawa austryackiego, pruskiego, rossyjskiego, francuzkiego, przy odniesieniu się do prawa rzymskiego;

2) Wskazać warunki ważności testamentu i darowizny według praw powyższych;

3) Rozwiązać pytanie: o ile testament zrobiony w jednym kraju według form tamże przepisanych (z ograniczeniem się do praw austryackich, francuzkich, pruskich i rossyjskich), ma swoję ważność w kraju drugim, według zasad prawa publicznego i praw nadanych?

W części traktującéj o opłatach od spadków beztestamentowych, testamentowych i darowizn wskazać:

1) Opłaty spadkowe w Austryi, Francyi, Prusach, Rossyi, Królestwie Polskiém i byłéj Rzpltéj krakowskiéj;
2) Opisać sposób wymierzania i uiszczania takowych.

III.

Napisać historyczny wywód naprzód przyczyn *przeniesienia stolicy Polski z Krakowa do Warszawy, obok wiernego obrazu stosunków kraju, przeniesieniu temu społecześnie towarzyszących. a następnie* skutków, *jakie z rzeczonego przeniesienia na dalsze losy kraju wpłynęły, tak ze względem na wewnętrzne przetworzenie się narodowych instytucyj i obyczaju, jako też na zewnętrzne państwa stosunki.*

IV.

Wykazać cechy właściwe sztukom pięknym w dawnéj Polsce w zakresie architektury, malarstwa i rzeźby.

W rozwiązaniu tego zadania wymagano:
1) Wykazania, w któréj gałęzi sztuki jakie cechy właściwe występują najwydatniéj i najpierwéj;
2) Twierdzenia autora, oprócz ogólnych rozumowań filozoficzno-estetycznych, popierane być mają dowodami czerpanemi ze źródeł dziejowych, i przykładami wszelkiego rodzaju zabytków architektury, malarstwa i rzeźby, których oznaczenie powinno być ściśle naukowe;
3) Wysnuwszy tym sposobem zasadę poglądu swego z ducha narodu, jego sposobu życia i właściwości ziemi, którą zamieszkuje, zastanowi się autor nad wpływem, jaki obce cywilizacye wywierały na rozwijanie się sztuki w dawnéj Polsce, a skréśliwszy tém samém charakter sztuk pięknych w rozmaitych epokach narodu, przeprowadzi na tém tle historyą twórczości naszéj, od najdawniejszych czasów do końca XVIII wieku.

Skutkiem ogłoszenia tych zadań Towarzystwo otrzymało w zakréślonym terminie 2 wypracowania, z których przedmiotem jednego była Flora tatrzańska, drugiego przyczyny i skutki przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy; pierwsze miało za godło: „*Docuisti me Deus a juventute mea, et usque nunc pronuntiabo mirabilia Tua;*" drugie: „*Idąc przedewszystkiem w widoki zapomniane*" i t. d.

O wypracowaniach tych odpowiednie oddziały Towarzystwa złożyły następującéj treści opinie:

Co do pierwszego; „Oddział nauk przyrodniczych po wysłuchaniu wniosków zaproszonych w tym celu z grona swego członków, prof. Czerwiakowskiego i Sawiczewskiego, tudzież Dra Altha i Zebrawskiego, zwróciwszy uwagę na szczegóły zadania do nagrody ogłoszonego, przekonał się, że wszystkie względy tamże wymagane,

a ustępem 3-im zadania szczegółowo objęte, autor należycie wyczerpnął. Wątpliwém tylko byćby mogło orzeczenie co do dostateczności poglądu geologicznego. Wszakże ustęp nadmieniony nie wymagał, i słusznie, opisu Tatrów geologicznego, wiadomo bowiem było czyniącym zadanie, że opis taki sam przez się, gdyby został dokonanym, godzien byłby uwieńczenia nagrodą. Szło zatém tylko o to, aby w miejscach właściwych, gdzie jakiś gatunek roślin przeważnie lub wyłącznie się objawia, wskazać między innemi i stosunki geologiczne; i takie też żądanie wyrażono w drugim ustępie zadania. Że temu warunkowi autor przy opisie roślin systematycznym zadosyć uczynił, że nadto wymienił jeszcze z osobna rośliny na każdym gatunku skał przeważnie żyjące, mianowicie tylko na wapieniach lub na samych granitach, lub wreszcie na jednych i drugich zarówno rosnące; na to wszyscy sprawozdawcy zgodzili się jednomyślnie. Jakkolwiek zatém strona wypracowania geologiczna, gdyby szło głównie w zadaniu o zbadanie i opisanie Tatrów pod względem geologicznym, byłaby całkiem niedostateczną: to jednak pomnąc, że celem zadania było właściwie poszukiwanie i opisanie roślin tamże dziko rosnących albo hodowanych, wydział uznał ją za taką, jakiéj od zajmującego się z powołania tym tylko przedmiotem, a nie badaniem geologicznem, wymagaćby można.

„Co do głównych kategoryj, objętych, 3-m ustępem zadania; praca cała miała być poprzedzona topograficzno-geograficznym poglądem na obszar kraju, którego Flora stanowi przedmiot wypracowania. Poglądu tego autor nie zaniedbał, owszem dokonał go z pewnym wdziękiem i należytą ścisłością, nie zamieścił go jednak na czele swéj pracy, lecz uczynił go wstępem do części botaniczno-geograficznéj. Gdyby praca ta drukowaną być miała, byłoby życzeniem wydziału, ażeby opis geograficzny badanego pod względem botanicznym obszaru, zajął miejsce w zadaniu wskazane. Uwaga ta oczywiście bynajmniej nie uwłacza pod tym względem dokładności dokonanéj pracy.

„Dokładność ta, sumienność i naukowa ścisłość, zgodnie przyznaną została części botaniczno-systematycznéj. Tutajto w szczególności jest zasługą autora: że sprostował w zdeterminowaniu roślin wiele błędów, z jednéj do drugiéj Flory galicyjskiéj dotąd przechodzących; że wykrył kilkadziesiąt gatunków roślin, o których żadna tych okolic Flora dotąd nie wspomniała; że wiele takich, które poczytywano za czysto bukowińskie, odszukał w Tatrach północnych; że z godną uznania starannością wyczerpnął synonimy każdéj opisywanéj rośliny; że wreszcie zwracał uwagę na nazwy miejscowe ludowe.

„Autor podzieliwszy obszar swych botanicznych poszukiwań według rozmaitych wzniesień na 4 krainy, skreśliwszy każdéj z nich znamiona, wyliczywszy rośliny najwięcéj każdą cechujące, wykazawszy pod tym względem właściwości Pienin; wywiązał się z wszystkiego, czego wymagała w zdaniu część botaniczno-geograficzna. Jeżeli jaka nastręczałaby się tu uwaga, to tylko ta jedna, ażeby przy

wskazywaniu wysokości miejsc, dodane było, z jakich pomiarów takowe powzięte zostały. Naostatek w części botaniczno-porównawczéj skrzętność autora niemniéj okazała się chwalebną. Przechodzi on kolejno rodziny roślin, wylicza w każdéj ilość gatunków znalezionych w Tatrach i Pieninach, porównywa ją z ilością tychże w odpowiednich wysokościach północnéj Szwajcaryi, Tyrolu, Norwegii, Laponii, Alp włoskich, francuzkich i niemieckich, a poczęści i Kaukazu, zwracając przytém uwagę na gatunki właściwe badanemu przez siebie obszarowi kraju; daje więc pogląd dokładny na stosunek Flory tatrzańskiéj do innych, mniéj więcéj spowinowaconych.

„Wydział przeto zważywszy, że główne części zadania rozwiązane zostały z należytą dokładnością, że opis geologiczny, aczkolwiek sam w sobie nie stanowi całości, odpowiada jednak temu, czego ze względu na właściwy przedmiot w téj mierze słusznie wymagaćby można; wypracowanie, o którém tu mowa, uznał za gruntowne, sumienne, ściśle umiejętne, tém samém godne uwieńczenia przeznaczoną w tym celu nagrodą."

Co do drugiego: „Oddział nauk moralnych zwraca uwagę, że zadanie będące przedmiotem tego wypracowania, składa się z dwóch głównych części, mianowicie: jakie były *przyczyny* i jakie *skutki*, przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy?

„Pod pierwszym względem, autor odpowiedział w znacznéj części oczekiwaniu: rozprawa jego odznacza się niepospolitemi zaletami, osobliwie pożądaną w historyi metodą syntetyczną, śmiałym i często trafnym poglądem na dzieje, ich szczegółowe epoki i znaczenie wewnętrzne wypadków. Praca ta cechuje badacza usiłującego z rozrzuconych zasobów historycznych, dokumentów częstokroć ułamkowych i świadectw z sobą niezgodnych, zbudować całość dziejową, wyrozumować ducha narodu, naturę jego społeczeństwa i rządu. Umie autor z właściwego stanowiska pojmować wieki średnie i ten wpływ potężny, jaki wywierał kościół na wychowanie i losy narodów. Zarzucić mu można, iż zaniedbał przytoczenia źródeł i dowodów, na których wnioski swoje opiera, przez co nowe i częstokroć nader trafne jego pomysły tracą na potrzebnéj powadze i pewności. Zbyt wiele z inąd przywięzuje uwagi do szczegółów tyczących się miasta Krakowa, a więcéj jeszcze Warszawy.

„Pod drugim względem nie wypowiedział autor dostatecznie swojego zdania. Wyłożywszy przyczyny przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy, omieszkał rzeczy nierównie ważniejszéj, wyrozumowania skutków, jakie z takiego przeniesienia wypłynęły. W téj wtóréj części zadania szło o skreślenie obrazu wewnętrznego i oblicza narodu w dwóch kolejnych epokach, w których środkowe ognisko władz i działań publicznych naprzód w Krakowie, a potém w Warszawie osadzone, sprawiło tak silny zwrot w dziejach ojczystych. Nie mogło być bez ważnego wpływu na moralne i polityczne pojęcia, na obyczaj i losy narodu, przerzucenie stolicy z miejsca tylu historycznych tradycyj, mającego za sobą powagę starożytności i urok pierwszeństwa, wyobrażającego jedność nawet w epoce po-

działów, do miasta podrzędnego znaczenia i ledwo historycznego dla Mazowsza.

„Styl autora téj rozprawy, choć przy swojéj zwięzłości często żywy i dramatyczny, w ogóle jednak zaniedbany, język wcale niepoprawny, zostawiają wiele do życzenia. Pod obu temi względami dzieło jego nosi cechę pośpiechu i okazuje brak wykończenia.

„Oddział tedy, z powodów powyżéj przytoczonych, nie może przyznać nagrody rozprawie powyższéj, mimo wielu zalet, któremi się ona odznacza. Gdy jednak Oddział postanowił oba swoje zadania konkursowe jeszcze do rozwiązania ogłosić, autor ocenionéj powyżéj rozprawy znaleźć może sposobność do uzupełnienia i wykończenia pracy swojéj w myśl i wedle sądu Oddziału."

Uwzględniając opinie właściwych Oddziałów, w skutek wniosku komitetu, Towarzystwo na posiedzeniu pełném w dniu 18 lutego b. r. uchwaliło, jedno tylko z nadesłanych wypracowań, mianowicie za opatrzone godłem *Docuisti me Deus* etc. uwieńczyć wyznaczoną na ten cel nagrodą 500 złr. w listach zastawnych galicyjskich.

Po rozpieczętowaniu koperty, noszącéj to samo godło, na posiedzeniu publicznėm odbytém w d. 25 lutego r. b. okazało się, że autorem uwieńczonego wypracowania był pan Feliks Berdau, członek czynny Towarzystwa, niegdyś adjunkt przy professorze botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim, czasowo bawiący w Warszawie.

Gdy tym sposobem jedna tylko część funduszu na nagrodę wypracowań przeznaczonego wyczerpniętą została, Towarzystwo mogąc rozporządzać trzema jeszcze innemi, zgodnie z przedstawionemi sobie przez Komitet wnioskami Oddziałów, uchwaliło trzy pozostałe zadania powtórnie ogłosić. Powodem do ich ponowienia o ile z jednéj strony było przekonanie o ich rzeczywistéj, już to ściśle naukowéj, już praktycznéj ważności, o tyle z drugiéj zamiar zachęcenia do wytrwałości w dokonaniu pracy tych, którzy bądźto ją rozpoczęli, lecz dla krótkości czasu nie dokonali, bądź téż wykończoną nadesłali, jednakże nie wszystkim zażądanym warunkom zadania zadość uczynili.

Ogłasza więc Towarzystwo następujące zadania:

I.

Skréślić historyczny wywód przyczyn i skutków przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy.

II.

Wykazać w sposób dla każdego dostępny zasady, prawa i przepisy o spadkach, testamentach i darowiznach w Austryi, Rossyi, Prusach, Królestwie Polskiem i byłém Wolném mieście Krakowie.

III.

Wykazać cechy właściwe sztukom pięknym w dawnéj Polsce w zakresie architektury, malarstwa i rzeźby.

Bliższe określenie każdego z tych zadań znajduje się na początku niniejszego sprawozdania.

Pozostała do rozrządzania Towarzystwa summa 2000 złr. rozdzieli się w ten sposób, że wypracowanie każdego z trzech przytoczonych zadań, przez Towarzystwo naukowe za najlepsze uznane, uwieńczone zostanie nagrodą 500 złr. czyli 2000 złp. w listach zastawnych galicyjskich, resztujące 500 złr. wraz z odsetkami, które summa całkowita przyniesie aż do chwili wypłacenia nagród, użyją się do stosunkowego wynagrodzenia tych rozpraw, które pod względem dokładności, zdaniem Towarzystwa, najwięcéj zbliżają się do wypracowań główną nagrodą uwieńczonych.

Termin nadesłania nagród pod adresem „c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego" zakréśla się, dla 1-go po dzień ostatni grudnia r. b.; dla 2-go i 3-go po tenże dzień 1861 r.

Nadesłanie ma nastąpić sposobem zwykle używanym, t. j. rozprawa ma być zaopatrzona godłem, które też wypisanem będzie na kopercie, zawierającéj w sobie nazwisko autora i dokładnie wskazane miejsce jego pobytu; przesyłka taka, jeśli nastąpi przez pocztę, winna być przez autora opłaconą.

Na publicznem posiedzeniu Towarzystwa, najbliższém wskazanych tu terminów, nastąpi ogłoszenie nazwisk uwieńczonych autorów.

Mimo otrzymanéj nagrody, prace zostaną własnością autorów; zastrzega się jednak pozostawienie w aktach Towarzystwa nadesłanego autografu, ogłoszenie drukiem uwieńczonéj pracy w ciągu roku, a następnie nadesłanie Towarzystwu naukowemu 30-stu egzemplarzy; gdyby zaś autor w ciągu roku dzieła swego nie ogłosił, Towarzystwo mieć będzie prawo wydania go na własną korzyść.

Kraków, d. 1 marca 1860 r.

Dr *Majer*, Prezes T. N. K.

X. *Walerjan Serwatowski*, Sekr. T. N. K.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Luty 1860 roku.

DZIEŁA.

Piramowicz Antoni Konrad ks. Katechizm zawierający w krótkich odpowiedziach wykład całéj nauki rzymsko-katolickiéj, z francuzkiego przepolszczony i przejrzany. Warszawa, 1860, nakł. G. Sennewalda, druk J. Ungra, w 8ce mn., str. 288, okł. druk. k. 50.

Wagner Józef B. Gimnastyka domowa dla użytku dzieci i dojrzałych osób według najnowszych autorów francuzkich i niemieckich ułożona w dwóch częściach z licznemi drzeworytami. Część I ćwiczenia pokojowe z hantlami str. 111; część II ćwiczenia pokojowe bez przyrządów lekarsko-hygieniczne, według Dra Schröber z 30 drzeworytami, str. 101. Warszawa, 1860, nakł. i druk J. Ungra, w 12ce, okł. druk. rs. 1.

K. M. B. Lamentorius Letuwiszkas diel mažu wojku. Suwalkuose, 1859, w 8ce mniejsz., str. nieliczb. 32 k. 4.

Encyklopedya powszechna. T. II, zeszyt 13, 14. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 321—432, 433—544, *(Astronomia-Awacza)*, okł. druk., każdy zeszyt kop. 35.

Dawid Wincenty. Tehe czyli Zburzenie Auli Dubby, powieść kaukazka. Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. 40.

Droga krzyżowa śladami krwawéj podróży Chrystusa Pana do szczęśliwéj wieczności utorowana, czternastą stacyami w kościołach XX. Bernardynów wymierzona. Z nabożeństwem w czasie wielkiego postu poczynającym się od słów: „Gorzkie żale.” Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 12ce, str. 50, okł. druk. k. 7½.

Połujański Aleksander. Wykład popularny nauki gospodarowania w lasach. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. wstępu nieliczb. 2, liczb. 110 i tab. 3, okł. druk. kop. 30.

Katalog książek polskich najnowszych znajdujących się w księgarni Aleksandra Nowoleckiego. N. 6 obejmujący w sobie dzieła: 1) Teologię. 2) Prawo. 3) Rolnictwo i przemysł. 4) Romanse i powieści. 5) Poezye. 6) Dzieła historyczne. 7) Naukowe we wszystkich gałęziach. 8) Dzieła

medyczne i t. d. 9) Książki dla młodzieży i dla ludu. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz. str. 36.

Katalog książek polskich najnowszych znajdujących się w księgarni Rudolfa Friedleina. N. 6 obejmujący w sobie dzieła: 1) Teologię. 2) Prawo. 3) Rolnictwo i przemysł. 4) Romanse i powieści. 5) Poezye. 6) Dzieła historyczne. 7) Naukowe we wszystkich gałęziach. 8) Dzieła medyczne i t. d. 9) Książki dla młodzieży i dla ludu. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. 36.

Ganot A. Wykład początków fizyki doświadczalnéj i stosowanéj oraz meteorologii, przekład z francuzkiego podług ósmego wydania przez studentów C. K. Warsz. M. Ch. Akademii pod kierunkiem *Stanisława Przystańskiego*. Warszawa, 1860, nakł. J. Błaszkowskiego, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, zesz. 8, str. od 805—916.

Zabierzowski Aleksander. Przewodnik praktyczny dla budujących, zawierający zbiór wszelkich wiadomości tyczących się budownictwa, zebranych i ułożonych z praktycznych doświadczeń techników i budowniczych jako też własnych. Warszawa. 1860, druk S. Orgelbranda, w 8ce, zeszyt IV i ostatni, str. od 209—290 i spisu przedmiotów nieliczb. 3, Tab. 2, okł. druk., 4 zesz. rs. 3.

Grammatyka łacińska teoretyczno-praktyczna, decyzyą JW. Ministra oświecenia narodowego przepisana do użytku w szkołach Okręgu naukowego warszawskiego i nakładem tegoż okręgu wydana. Kurs trzeci zawierający całkowitą składnię. Warszawa. 1860, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. X i 390, okł. druk. kop. 60.

Album lubelskie rysowane z natury przez *A(dama) Lerue*. Oddział II, Zeszyt IV (zawiera): Chełm i wieża na Bielawinie. Wieża w Stolpi. Zamek w Sielcu. Kościół w Spasie. Pomnik Uchańskich w Uchaniach. Kościół w Tarnogórze. Rysowane na kamieniu p *J. Ceglińskiego*, odbijane w litogr. A. Pecq et Comp. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk J. Jaworskiego, fol. str. od 17—24, okł. druk. każdy zeszyt rs. 1.

Atlas do nauki historyi naturalnéj z kolorowanemi 222 wizerunkami, objaśniony nomenklaturą polską. łacińską i francuzką, przedmiotów które wyobraża, tudzież ich opisami wykonanemi pod kierunkiem i z pomocą *A. W.*, nakł. i litogr. J. Odessera, fol. podłużne. Tablic X. Do tego tekst w 8ce, str. IV, II, 191. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, okł. druk. rs. 2 k. 50.

Rozmyślanie męki Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, które w czasie czterdziestodniowego postu w kościołach KK. Franciszkanów w Kaliszu, w Warce, w Dobrzyniu nad Wisłą, w Radziejowie, w Radomsku i Nowém-Mieście Korczynie odprawia się. Przedrukowane nakładem ks. Juliana Osoik prowincyała Zgromadzenia KKs. Franciszkanów. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 12ce, str. 15, kop. 5.

Hypoteka szczęścia małżeńskiego. Studyum J. Cześnikiewicza *(Miniszewskiego)*. Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 12ce, str. 106 (Przedruk z Gazety Codziennéj)

Neügebauer Ludwik Adolf. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. Dzieło ozdobione drzeworytami. T. 1. Zesz. 3. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. od 129—192, każdy zesz. k. 30.

List pasterski o poście (ks. Józefa Michała Juszyńskiego biskupa sandomierskiego). Warszawa, 1860, druk XX. Missyonarzy, w 8ce mniejsz., str. 14.

Dietrich Adolf. Nowa metoda mechaniczna w sześciu oddziałach, zastosowana do nauczania się w krótkim czasie pisania charakterem pięknym, czytelnym, kaligraficznym, bez pomocy nauczyciela, służąca tak dla dzieci poczynających pisać, jako i dla osób dorosłych, pragnących zmienić, ukształcić i udoskonalić charakter swego pisma. Oddział 6. Warszawa, nakł. autora, druk A. Gins, w 4ce podłużnéj, arkuszy 4, kop. $7\frac{1}{2}$.

Wybor najnowszych tworów literatury zagranicznéj. T. I: Hollandya przez *Alfonsa Esquiros*, str. 152. Epoka Attyli p. *Amedeusza Thierry*, str. 35. T. II: Powieści hiszpańskie przez pannę *Faber*, str. 142. Miłość w małżeństwie przez *Guizota*, str. 48. Warszawa, 1860. Wydanie F. S. Dmochowskiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz. rs. 1 k. 20.

Kossakowski Stanisław Kazimierz. Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich, z przypisami *Juliana Błeszczyńskiego*. T. 2 z dwiema tablicami genealogicznemi. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. 360, III i poczetu rzeczy nieliczb 3, rs. 3 k. 60 za oba tomy.

Prawo cywilne obowiązujące w Królestwie Polskiém, wydał *Stanisław Zawadzki*. (Ustawy przechodnie do kodeksu Napoleona i kodeks cywilny Królestwa Polskiego ar. 1 do 16 włącznie). T. 1. Zesz. 1. Warszawa, 1860, nakł. wydawcy, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 96, okł. druk., każdy zesz. k. 30.

Nabożeństwo wielko-postne. Warszawa, 1860, nakł i druk J. Psurskiego, w 12ce, str. 71, z drzeworytami drogi krzyżowéj.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Gwiazdka przez Aleksandra Niewiarowskiego. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz. T. I. Część III, IV i V, str. 63—92, 93—129, 123—152.

Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 5 tomach, obejmujące: powieści, podróże, literaturę i rozmaitości przez *Sewerynę z Żochowskich Pruszakową*. Serya III. Tom I. Część I str. 144. Część II str. od 145—288. Część III str. 289—432. Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 16ce, okł. druk. rs. 4 k. 50, zawierają:

Modlitwa przy rozpoczęciu nowéj pracy. Halszka Jagiellonka. Epagathus czyli Męczennicy lyońscy. Literatura polska: Czasy Jagiellońskie. Wiadomości z nauk przyrodzonych: O polipach i wyspach koralowych, o gąbkach, o wymoczkach, p. *St. Chomętowskiego*. List 1. Matka do córki, o tegoczesnéj literaturze. Wiersz do A. E. Odyńca z powodu wydania nowych poezyj. Polski uczeń Karola Boromeusza, p. *Al. z Ch. Borkowską*. Henryeta Bucher-Stowe, autorka Chaty wuja Tomasza. Adelaida, siostra Mieczysława I, p. *Al. z Ch. Borkowską*. Swięty krzyż, legenda. Kilka słów o bractwie

Matek chrześciańskich w Paryżu. Aleksander Orłowski, p. *F. C.* List p. *Antoninę M.* Wspomnienia Anglii i Szkocyi p. Bucher-Stowe. Powój, poezya. Iwanko, powieść p. *Leona Kunickiego.* Hetmańska wdowa, p. *Al. z Ch. Borkowską.* Do M. K. wstępującéj do zakonu Norbertanek, poezya. Młodość Lineusza. Ustępy z opisu Węgier. Dęby i brzoza, poezya p. *Wł. Chomętowskiego.*

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Miesiąc luty 1860. N. 2, str. od 121—220, zawiera:

Radom. i fara nowo-radomska do 1800 r., p. ks. *Józefa Gackiego.* Listy Fenelona o częstéj kommunii. Rozporządzenia rządowe. Ks. Piotr Gabryel Baudouin. Korrespondencye. O uroczystościach Szyllerowskich. Kronika kościelna i Rozmaitości. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Miesiąc luty 1860. Poszyt 2, str. II i od 221—358, Tab. 2, zawiera:

Czynności Komitetu Towarzystwa roł. w Król. Pol. w m. styczniu 1860 r. Opis porównawczy gospodarstw, ktorym medale wielkie Tow. rol. w r. 1859 przyznane zostały, p. *Maksymiliana Oborskiego.* Klucz do zrozumienia teoryi Liebiega, p. *Zdzitowieckiego.* Sprawozdanie zarządu Spółki jedwabniczéj za czas od 1 maja 1858 do 1 maja 1859 r. Przegląd pism rolniczych angielskich, p. *Maksymiliana Oborskiego.* Jaką ilość każdego ziarna na morg 300-prętowy wysiewać należy, p. *A. Kozłowskiego.* Korrespondencya p. *Lompy.* Zobowiązanie łącznego wspierania pogorzelców słomą w okr. Błońskim. Wiadomość o czynnościach Domu zleceń rolników płockich. Sprawozdanie z handlu gdańskiego za m. grudzień 1859 r., p. *Aleksandra Makowskiego.* Przegląd wiadomości przez korrespondentów Tow. rol. w K. P. za m. styczeń 1860 r. nadesłanych. Doniesienia o otwartych praktykach gospodarczych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. grudzień 1859 r. Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum astronomicznem warszawskiém w r. 1859 robionych.

Tygodnik lekarski. N. 3—6 zawierają:

Natanson: Patologia cellularna. *Warszauer:* Listy z Wiednia. *Soczołowski:* Zastosowania siarczanu baryty. *Eborowicz:* O hypnotyzmie. *Janikowski:* Szlachtuzy pod względem sądowo lekarskim. Posiedzenie 23 i 24 Towarzystwa lekarskiego z d. 20 grudnia 1859 r. i 3 stycznia 1860 r. *Minkiewicz:* Spostrzeżenia chirurgiczne. *Eborowicz:* O wskazaniach i przeciwskazaniach w leczeniu gruźlicy tranem. *Nelowski:* Nowsza forma przepisywania chloroformu do miejscowych wcierań. *Rolle:* Zastosowanie elektryczności. *Sciborowski:* Leczenie trądziku. *Sciborowski* i *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Ogłoszenia konkursowe. Nowe dzieła. Wiadomości miejscowe.

Ruch Muzyczny. Miesiąc luty 1860. N. 5—9 zawierają:
Jeszcze jeden kłosek dorzucony do Pokłosia, w R. M. N. 39 r. 1859, w związku z 7 ustępem, mówiącym o pierwiastku moralnym w muzyce, p. *Władysława Stelmasiewicza* (dokoń.). Korrespondencya z Ukrainy, p. *M. Bl...* Czterogłosowość i kwartet. Koncert Henryka Vieuxtemps. Korrespondencya z Kijowa, p. *B. Dołęgę.* Hrabina, opera komiczna w 3 aktach, rozbiór. Teatr w Turynie. Manuel Garcia i jego szkoła śpiewu. Melodina, p. *M. Hubę.* O organach, p. *Fr. Stevich.* Przegląd kompozycyj. Gazeta muzyczna. Rozmaitości.

Tygodnik illustrowany. Miesiąc luty 1860. N. 19—22 zawierają:
Kornel Ujejski, z drzeworytem. Zalucze i Borejkowszczyzna, z dwoma drzeworytami, p. *Adama Pługa* (*Pietkiewicza*). Hussarze polscy, z drzeworytem, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego.* Circulus vitiosus, krakowiak na dwa głosy, z drzeworytem. Spokój, poezya *Kornela Ujejskiego.* Kwestya podrzędna przy kominkowym ogniu rozbierana (dokoń.). Dzwon Zygmunta I w Krakowie, z drzeworytem. Józef Gołuchowski, z dwoma drzeworytami, p. *Adolfa Hennel.* Stracona, poezya p. *Maryę Ilnicką.* Medal wielki Towarzystwa rolniczego w Król. Pol. z drzeworytem. Posiedzenie Towarzystwa rolniczego w Warszawie, z drzeworytem. Ambicya, humoreska *Władysława Maleszewskiego.* Pasterz napadnięty przez panterę, z drzeworytem. Kilka słów o książce Micheleta p. t. „L'Amour". Bal pod względem hygienicznym. Edward Ostrowski, z drzeworytem. Bal w pałacu Paca w Warszawie na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego, z drzeworytem. Pierwsze walne posiedzenie Towarzystwa rolniczego w Warszawie, z drzeworytem. Hebdow, z drzeworytem. Stanisław Jachowicz, z drzeworytem. Kościół i klasztor Święto-Krzyzki na Łysej górze, z dwoma drzeworytami. Zamek w Uniejowie, z drzeworytem, p. *Juliana Bartoszewicza.* Młodemu artyście nieużyteczna przestroga, poezya p. *Gabryelę.* Kronika tygodniowa. Kronika sztuk pięknych. Kronika zagraniczna. Sprawozdania z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. Korrespondencye. Rozmaitości. Szachy. Rebusy. Zadania konikowe.

Magazyn mód. Miesiąc luty 1860. N. 6—9 zawierają:
Modna i niemodna, p. *A. Niewiarowskiego* (dokoń.) Korrespondencya, obrazek p. *Wł. Sabowskiego.* Wystawa aparatów kościelnych w Warszawie. Obrazek z życia, p. *H. P.* Sen wiosennéj nocy, poezya p. *Maryę Ilnicką.* List J. Łepkowskiego do p. Seweryny Pruszakowéj. Marzenia, wiersz p. *H. Przybysławskiego.* Telegraf, wiersz p. *J. P.* Kulig. Gwiazdka, p. *Aleksandra Niewiarowskiego.* Nowości zagraniczne. Opisy rycin, mód. Opisy krojów ubiorów i robót żeńskich. Przepisy kuchenne. Przypomnienia ogrodnicze. Korrespondencye. Szarady.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc luty 1860. N. 6—9 zawierają:
Tracz Rakietnik (dokoń.). Towarzystwa chóralne. Przemiana rzeczy najpośledniejszych w najprzedniejsze, dokonywająca się sposobem leśniczym (ciąg dalszy). Odmiana, wiersz. Piosnka Jagusi,

obrazek wiejski wierszem. Syn odzyskany. Godziny po robocie. Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych. Krakowiak, wiersz. Ręka Opatrzności, zdarzenie prawdziwe. O Kassie rzemieślniczo-pożyczkowéj przy redakcyi Czytelni Niedzielnéj. Elżbieta Sieniawska. Na dzień popielcowy, wiersz. Garderobiana. O pijawkach. Jeszcze o polowaniu na lwa. Leszek Biały. Zdania.

Gazeta Warszawska. Miesiąc luty 1860. N. 30—57 zawierają: Małe podróże po odległych krajach: Z Fontainebleau do Berville, p. *J. Zam.* (dokoń.). Szandor Kowacz, szkic p. *Teod. Tom. Jeża* (c. d.). Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. Wspomnienie pośmiertne o Janie Łosiu. Listy z nad brzegów Krożenty (p. *Michała Balińskiego*). Słówko o naszych literackich konkursach, p. *Wiktoryna Zielińskiego.* Przegląd literatury krajowéj: Poezye Antoniego Edwarda Odyńca, Prolog dramatu „Jerzy Lubomirski," rozbiory p. *Edwarda Siwińskiego.* Rodzina Cencich. Sprawozdanie komitetu powołanego do ocenienia komedyj nadesłanych na konkurs p. n. Edwarda Starzyńskiego. Wiadomość historyczna o poczcie w dawnéj Polsce. O dwukrotném zamężciu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłównéj i wynikłych ztąd w Polsce zamieszkach przez Antoniego Zygmunta Helcla (sprawozdanie p. *K. J.*). Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości bieżące naukowe, literackie i artystyczne.

Gazeta Codzienna. Miesiąc luty 1860. N. 30—57 zawierają: Kartki z przejażdżki po Europie, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego* (ciąg dal.). Przegląd nauk społecznych, p. (*Ludwika Wołowskiego*). Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. Korrespondencya finansowa z Wiednia. Królestwo Lombardzko-Weneckie (dokoń.). Kronika paryzka, p. *Z. W.* Hrabina, opera St. Moniuszki, rozbiór *Maurycego Karasowskiego.* Sprawozdanie z Roczników Towarzystwa rol. za m. styczeń r. b Kilka wspomnień z młodości Adama Mickiewicza, p. *J. Prusinowskiego.* Sprawozdanie komitetu powołanego do ocenienia komedyj nadesłanych na konkurs p. n. Edw. Starzyńskiego. Rozbior komedyi Józefa Korzeniowskiego: „Majątek albo Imie," p. *F. Henryka Lewestama.* Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Pogadanka, p. *Edwarda L(eo).* Rozmaitości. Drobiazgi. Co tam słychać? Wiadomości bibliograficzne, literackie i bieżące.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc luty 1860. N. 30—57 zawierają: Malarz i grajek, powiastka p. *Henryka Przybysławskiego* (ciąg dal.). Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. Listy z gubernii płockiéj. Polemika *Wacława Aleksandra Maciejowskiego* z p. J. B. O(strowskim). Sprawozdanie komitetu powołanego do ocenienia komedyj nadesłanych na konkurs p. n. Edw. Starzyńskiego. Wilhelm Roscher ekonomista niemiecki i ostatnie jego dzieła, p. *Fr. hr. Skarbka.* Rozbiór szkicu dramatycznego: „Scena za sceną." Marta córka kowala, powieść p. *Eleonorę Ziemięcką.* Korrespondencya z przejażdżki, szkic obyczajowy. Społeczność i litera-

tura angielska. Kronika warszawska tygodniowa, p. *Franciszka Salezego Dmochowskiego.* Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości literackie, bibliograficzne i bieżące.

Kuryer Warszawski. Miesiąc luty 1860. N. 30—57.

Gazeta rządowa. Miesiąc luty 1860. N. 24—47.

Warszawska gazeta policyjna. Miesiąc luty 1860. N. 32—60 zawierają: Salteador w San Francisko (ciąg dal.). Noc w domu gry w Kalifornii. Psy w Chinach i w innych krajach.

Warschauer Zeitung. M. Februar 1860. N. 26—49 zawierają: *Eine Reise nach Brasilien. Die protestantische Kirche in Ungarn. Breslauer Briefe. Kazimir Łyszczyński dessen Leben, Schrifften und Tod. Physiologie des gemeinen Geldmenschen, v.* Kossak's *Humoresken. Ueber den Geist der Frobel'schen Kinderspiele und die Bedeutsamkeit der Kindergärten. Pater Lacordaire. Die Musik als kulturgeschichtliches Moment in der Geschichte, v. Dr* A. W. Ambros. *Ernst Moritz Arndt. Ein Wort über die: „Neue Lirenka von Theophil Lenartowicz, v.* A. Woyke. *Die Gitterbrücken der Weichsel bei Dirschau und Marienburg. Ueber Zeitungen. Musikalisches. Technisches. Handelsnachrichten. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc luty 1860. N. 8—15 zawierają:

Zmiana miary na wagę w sprzedaży zboża. O środkach urządzania lasów prywatnych, p. *Aleks. Rolbieckiego.* Dlaczego bydło robocze drożeje, i czy gospodarstwa folwarczne mogą się wychowem jego zajmować? p. *Nowińskiego.* Myśli w celu wzniesienia chowu koni, przez ułatwienie rzetelnego nabycia i sprzedaży, p. *H.* Uprawa pszenicy w Anglii i Szkocyi. Słówko o cukrowniach w ogólności i o tartaku parowym w Willanowie, p. *M. R.* Objaśnienia tyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem, dla użytku właścicieli ziemi podane przez dom kommissowy Aleksander Makowski et Comp. w Gdańsku. Chów łososi w zamkniętych wodach, p *Z. G.* Ocet z poszrótowanéj pszenicy i jęczmiennego słodu, p. *Z. G.* Kilka uwag nad pamiętnikiem dla gospodarzy wiejskich przez Towarzystwo rol. w Król. Polsk. wydanym, p. *Flor. Szucha.* Jak gospodarowano dawniéj a jak dziś, przez starego gospodarza. O zastosowaniu węgla do przechowania w dobrym stanie ziemniaków i w ogóle warzyw, tudzież drożdży. Karmienie zwierząt gospodarskich papką. Listy do redakcyi. Lasy prywatne. Myśli rolnika z powiatu pułtuskiego w przedmiocie oczynszowania i uregulowania ostatecznie stosunków włościan i mieszczan rolników w dobrach ziemskich prywatnych w Królestwie Polskiém. Nowy sposób wyrabiania mierzwy, pomysłu St. Chodźki. p *S. P.* Przegląd projektowanego płodozmianu przez p. Nowińskiego w Korrespondencie rolniczym N. 84, p. *Bogdarzewskiego.* Jeszcze o łąkach torfowych, p. *A. G.* Wiadomości handlowe. Korrespondencye rolnicze i handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc luty 1860. N. 5—7 zawierają:

Pług krakowski Józefa Konopki. Poeta i gospodarz, p. *Michała Wiszniewskiego* (dokoń.). Ekonomia polityczna i jéj uprawiacze, p. *Władysława Maleszewskiego*. Kierunek jaki nadać należy hodowli koni w Polsce. Gawędy leśnika, p. *Aleksandra Polujańskiego*. O p. Piotrze Kopczyńskim i jego zakładzie chemii stosowanéj do rękodzieł i rolnictwa w Żytomierzu, p. *A. Grozę*. Przegląd krytyczny kalendarzy na r. 1860 w Warszawie wydanych, p. *Leona Kąkolewskiego*. Wiadomości handlowe. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny gospodarskie. Rozmaitości. Ceny na produkta gospodarskie w najgłówniejszych miastach Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Snarsky Marie. Souvenir Mazurka, composé pour le pianoforte. Lit. J. V. Fleck, k. $22^1/_2$.

Le Prince Impérial, Nouveau Quadrille français: Théorie et Musique composées par la Société Academique des Professeurs de danse de Paris, Artistes du Théâtre Impérial de l'opera. Varsovie, chez R. Friedlein, lit. J. V. Fleck, str. 8, k. 45.

Roguski Gustaw, Trzy śpiewy z towarzyszeniem fortepianu. 1) Zbieraj kwiatki. 2) Łzy. 3) Pierwiosnek. Dzieło 4. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 7, kop. 30.

Modliński St. Chłopka polka skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł M. Glücksberga, lit. J. V. Fleck, str. 3, k. $22^1/_2$.

Polka z baletu Modniarki czyli Karnawał w Paryżu, ułożona na fortepian. Warszawa, nakł. Józefa Kaufmana i Spółki, lit. W. Otto, str. 3, k. 15.

Kadler Louis. Les Brulesques Contredanses composées pour le piano. Varsovie, chez Wende et Comp., lit. J. V. Fleck, str. 7, k. 45.

Einert Teodor. Powitanie karnawału mazur. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., litogr. W. Otto, str. 5, k. $22^1/_2$.

Krzyżanowski Ignace. Chansons Polonaises. Deux krakowiaks pour le piano. Op. 23 Varsovie, chez G. Gebethner et Comp., litogr. W. Otto. N. 1 str. 15, kop. 75. N. 2 str. 11, kop. 60.

Moniuszko Stanisław. Hrabina, opera w 3 aktach, słowa *Włodzimierza Wolskiego*. N. 6. Arya Kazimiérza, str. 13, kop. $52^1/_2$. N. 10. Balet: Zefir goniący Florę, str. 17, kop. $67^1/_2$. N. 12. Neptun na Wiśle, str. 11, kop. 45. N. 15. Piosnka Broni, str. 5, kop. $22^1/_2$. N. 17. Arietta Dzidzi, str. 11, kop. 45. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół, litogr. W. Otto.

Schultz Karol Karnawałowa uciecha mazur na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 3, k. 15.

Dobrzyński Joseph. La Victorie galopp. Varsovie, litogr. J. Müller, str. 5, k. $22^1/_2$.

Hertz Theodore. Le Prince Imperial, nouveau Quadrille français pour piano. Op. 39. Varsovie, lit. J. Müller, str. 7, kop. 30.

Zientarski Romuald. Muzyka kościelna choralna i figuralna używana przy obrządkach kościoła rzymsko-katolickiego. Zesz. 8. Warszawa, litogr. K. Tytz, str. od 77—88, każdy zesz. k. 75.

Raudny Venceslas. Polka Mazurka chromatique. Morceau de Salon pour le piano. Oeure 18. Varsovie, litogr. W. Otto, str. 9, kop. 37½.

Szpanowski F. Kontredanse bez tytułu na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, litogr. Paszkowskiego i Petersilge. str. 7, kop. 30.

Gieppart St. à Ma Mère Couronne de lierre Valse. Varsovie, lith. A Pecq et Comp., str. 3, k. 22½.

Strauss Johan. Champagner polka für das pianoforte. Warschau, bei J. Kaufman et Comp., lith. W. Otto, str. 3, k. 15.

Sosnkowski Józef. Pierwiosnek mazur na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. A. Pecq et Comp., str. 3, k. 15.

Łodwigowski E. S. Tańce Nadwiślańskie. 6 mazurów. N. 3. Sandomierski, str. 3. N. 4. Puławski, str. 3. Warszawa, nakł. i litogr. H. Hirszla, k. 30.

Sosnkowski Józef. La Belle Brunette Polka pour le piano. Varsovie, nakł. i litogr. A. Pecq et Comp., str. 3, k. 15.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Zaklęte skarby Monte Christo, strzeżone przez dzikie zwierzęta. Gra towarzyska, odbywa się 2 kostkami. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müllera, fol. str. 3, kop. 50, z kostkami kop. 75.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Marzec, 1860 r. — Resursa kupiecka szczęśliwą myślą wiedziona, otworzyła salon balowy na prelekcye, które tłumy wykształconéj publiczności ściągają ze wszystkich stron miasta. Natłok ten słuchaczów dowodzi potrzeby nauki i gorącego przyjęcia, z jakiém się u nas spotyka każdy jéj objaw.

Nie żal nikomu opłaty, mającéj służyć w dalszym rozwoju na dobroczynne cele.

Professorowie, znani już w uczonym świecie, przynieśli nauką swoją i słowem, szlachetnie dla publiczności zaofiarowaném, najważniejszy datek i przyłożenie się tak dla dobra powszechnego, jak i dla celów dobroczynnych.

Nie jeden żądał porządku większego w pomieszczeniu słuchaczy to miejsc oznaczonych dla abonentów; lecz wymagania takowe nie godzą się ani z naturą resursy, ani kursów publicznych, których godłem jest swoboda i równość zupełna.

Redakcye dzienników pragnęłyby swojéj trybuny dla swobodnego stenografowania kursów, ale w resursie miejsc uprzywilejowanych nie ma i być nie może: kursa zaś wykładane przez professorów dla ogółu, po większéj części ustnie, przeznaczonemi nie są do druku, i sprawozdania krótkie w treści, jakie czytamy w pismach codziennych, są dostateczne.

— Zakład litograficzny Maksymiliana Fajansa przygotowywa tablice chromolitograficzne, do trzeciéj seryi „Wzorów sztuki średniowiecznej," którą, ofiarą prawdziwie obywatelską szanowni wydawcy Aleksander Przezdziecki i Edward Rastawiecki podtrzymują i coraz świetniéj rozwijają, pomimo że kosztów nakładu dotąd zwróconych nie mają. Serya ta ze wszystkich będzie może najwięcéj zajmującą, gdyż głównie zajmuje się starożytnościami polskiemi, jak ubiorami i zbrojami naszych przodków. Będzie tu i cały ołtarz Wita Stwosza z kościoła Panny Maryi w Krakowie, najstaranniéj oddany, podług wybornego rysunku p. Łepkowskiego. W tymże zakładzie wykończają się ostatnie zeszyty „Wizerunków polskich," które zamkną całą seryą, stosownie do ogłoszenia p. Fajansa.

— „Encyklopedyi powszechnéj" rozpoczął się druk sylaby Bo; w ciągu miesiąca litera B cała ukończoną zostanie; postęp pracy dalszych liter ani na chwilę nie ustaje, równie jak druk tego dzieła.

— Zeszyt 3 i 4 „Anatomii opisowéj" ciała ludzkiego, doktora i professora L. A. Neugebaura, wykładającego akuszeryą w Ces.-król. Medyko-Chirurgicznéj Warszawskiéj Akademii, wyszły z druku. Z zeszytem IV kończy się prawie nauka osteologii łącznie z syndesmologią. Tekst ozdobiony jest szesnastu drzeworytami, wykonanemi w Warszawie: przedstawiają one kości z więzami. Odbicie bardzo staranne, co przynosi chlubę drukarni p. Psurskiego. Powtarzamy cośmy już powiedzieli poprzednio, że dzieło to, odznaczając się jasnością i przystępnym wykładem, powinno znaleźć upowszechnienie nietylko między lekarzami, ale i między zajmującemi się naukami.

— O ważném wydawnictwie p. J. Ohryzki „Voluminów Legum" we właściwym dziale złożymy obszerne sprawozdanie. Teraz donosimy, że szanowny wydawca pamięta o potrzebie dodatkowych tomów, i w tym celu rozpoczęto już pracę i poszukiwania w bibliotece cesarskiéj. Zwracamy jego uwagę, że główne archiwum krajowe u nas, może mu podać nie małą pomoc.

— Jużeśmy ogłosili w naszém piśmie o prenumeracie, którą w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj przyjmujemy na drugie wydanie dzieła Karola Szajnochy: „Jadwiga i Jagiełło," mając nadzieję, że inne redakcye pośpieszą z pomocą czcigodnemu autorowi, w téj rzeczy. Nadzieje nasze nie były daremne. Gazeta Codzienna zapowiedziała, że przyjmuje prenumeratę; wydawca Tygodnika Illustrowanego p. Józef Unger, dał piękny przykład współczucia dla autora: podpisał prenumeratę na piętnaście egzemplarzy, a nadto zobowiązał się wszystkim prenumeratorom swego pisma zamówione egzemplarze dzieła Szajnochy przesyłać własnym kosztem. Ta szlachetna ofiara powinna być dowodem dla autora współczucia, jakie ma u nas. Nie możemy ominąć milczeniem ustępu korrespondenta lwowskiego Gazety Codziennéj, który z powodu skromnego ogłoszenia Szajnochy o prenumeracie pisze: „Przeczytawszy to, pomyśli ktoś sobie, że to jest proste ogłoszenie prenumeraty na książkę, i nic więcéj. My jednak wyczytujemy więcéj z téj małéj kartki. Ze skromnego zacisza odzywa się tu autor do narodu, podając pracę, przy któréj ociemniał. Żołnierz, który w służbie kraju rękę utracił, patrzy spokojnie w przyszłość swoję: jakaż przyszłość czeka tych, którzy w służbie literatury na siłach podupadli i zdrowie stracili? Nie ubliżamy bynajmniéj autorowi

Jadwigi i Jagiełły, jeżeli bez jego wiedzy i woli wyrazimy tutaj nasze zdanie, że w tém ogłoszeniu prenumeraty słyszymy głos jego do narodu i pragniemy, aby głos ten doszedł do ostatecznych kończyn ziemi naszéj. „Jadwiga i Jagiełło" powinny wejść do każdéj rodziny polskiéj."

— W pierwszych dniach marca otwartą została przy ulicy Miodowéj nowa księgarnia komissowa i nakładowa J. I. Okońskiego. Cieszymy się z otwieranych coraz nowych księgarń w stolicy naszéj, bo to znamionuje ruch większy handlu księgarskiego, cieszymy się więcéj, że rodowici Polacy biorą się do tego zawodu, z tym młodych serc zapałem, który dobrze wróży na przyszłość; dotąd bowiem księgarstwo liczy tak małą liczbę rodaków, że nikną prawie bez śladu, w ogólnéj cyfrze księgarzy polskich.

— W Paryżu, nakładem Wilczyńskiego, wydawcy „Album wileńskiego" wyszły z druku w 4 ce: „Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy" edycya illustrowana drzeworytami, podług rysunków autora J. I. Kraszewskiego, który we wstępie pisze: „Kto inny lepiejby może potrafił odmalować fizyonomię kraju, ludzi i rzeczy, ale inaczéj, ale nie po mojemu. Książka byłaby się zawsze kłóciła z rysunkami, rysunki przymawiałyby jéj, ona im: tak jak są, będą przynajmniéj w najlepszéj zgodzie."

— Zakład litograficzny A. Pecq'a ogłosił prospekt na nowe wydawnictwo wizerunków „Hetmanów polskich," z tekstem Juliana Bartoszewicza, zachęcony świetném przyjęciem galeryi królów polskich. Obecnie przygotowywa w formacie ćwiartkowym w (4-ce) tęż galeryą królów polskich, z krótkim tekstem, i o piątą część niemal taniéj, dla użytku młodego pokolenia. Nie wątpimy, że ten szczęśliwy pomysł znajdzie dobre przyjęcie. Tekst do życiorysów Hetmanów polskich daje, jakeśmy mówili, Julian Bartoszewicz: to nada wysoką wartość samemu dziełu, a miłośników rzeczy krajowych, wabić będą nie same portrety tylko, ale i życiorysy, podług bogatych zapasów, jakie ten badacz zebrał przez długie lata pracy i studyów.

— Aleksander Stadnicki pracuje obecnie nad zebraniem materyałów do historyi osiedlenia Małopolski i Rusi Czerwonéj. Ciąg rozpraw, które przygotowywa, będą ogłoszone w Rocznikach Towarzystwa Naukowego krakowskiego.

— Professor chemii w tutejszém gimnazyum realném Karol Jurkiewicz przygotowywa do druku: „Wykład chemii nieorganicznéj," podług francuzkiego chemika Cahours. Dzieło to, w obecnéj chwili jest wielce pożądaném dla uczącéj się młodzieży.

— W numerze 22 „Tygodnika illustrowanego" znajdujemy dwie sceny z nowéj opery St. Moniuszki: „Hrabina," sposobem nowym oddane, przez J. Lewickiego dyrektora części artystycznéj Tygodnika, które wynalazca nazwał cynkotypami. Wynalazek ten, mogący w znacznéj części zastąpić drzeworytnictwo, wyborny: pod względem szybkości wykonania, jest ważnym nabytkiem dla pisma, w którym po raz pierwszy znalazł zastosowanie. Postępowanie p. Lewickiego tém się różni od zwyczajnéj cynkografii, że nie potrzebuje otrzymywać za pomocą trawienia kwasami blachy z wklęstym rysunkiem, aby z niéj potém otrzymać wypukłą, ale tę ostatnią otrzymuje odrazu. Po udoskonaleniu tego wynalazku przyjdziemy bardzo łatwo do tanich wydań illustrowanych, gdyż i koszt cynkotypów, bez porównania jest mniejszy od drzeworytów,

— W dniu 23 lutego r. b. mieliśmy rzadki w swoim rodzaju literacki jubileusz. Znany z tylu prac znamienitych i zasług literaturze ojczystéj oddanych Józef Korzeniowski, zaprosił w dniu tym grono literatów, artystów i redaktorów, przed którymi odczytał jako ostatni swój utwór dramatyczny komedyą w 4 aktach wierszem p. n: „Plotkarz." Czterdziesty rok właśnie skończył zawodu swego literacko-dramatycznego od czasu napisania dramatu „Klara" w r. 1820; a obecni, w nowym utworze nie dostrzegli ani mniejszéj siły poetycznéj, pomimo posuniętego wieku, ani mniejszego zapału, zwykłego tylko młodym sercom i młodéj myśli. Nie chcemy wierzyć, żeby to był utwór dramatyczny ostatni, bo wiemy, że tacy pracownicy jak autor „Górali karpackich," z martwych tylko rąk wypuszczają pióro.

— Album Lubelskiego A. Lerue z oddziału II-go wyszedł zeszyt IV, obejmujący tekst i ryciny następne: 1) Chełm i wieża na Beławinie. 2) Wieża w Stołpi. 3) Zamek w Sielcu. 4) Kościół w Spasie. 5) Pomnik Uchańskich w Uchaniach. 6) Kościół w Tarnogórze. Piękna ta publikacya i zajmująca, powinna znaleźć większe upowszechnienie niż dotąd: liczy tylko 150 prenumeratorów! Smutna wróżba dla wykształconéj społeczności, która tak obojętnieje na pamiątki, które jéj sercu drogie być powinny. Połóżmy obok najważniejszych pamiątek narodowych romanse francuzkie, wiersze bez poezyi i dzienniki mód paryzkie, a ujrzymy, że na pierwsze znajdzie się chętnych nigdy więcéj nad 200, gdy na drugie tysiące rozchwytują egzemplarzy. Każde nasze wydawnictwo tego rodzaju, musi się opierać na ofierze i poświęceniu niezamożnego autora i artysty; wybrani z wybranych chętnie zacne i szlachetne usiłowania podeprą, chociaż bardzo słabo: ogół ciągle obojętny, nic jego skamieniałości rozbudzić nie może! Handel księgarski wzrasta, ale tylko łakomym towarem dla księgarzy są dotąd jeszcze powieści, różnéj a przeróżnéj wartości! Smutny objaw umysłowej tylko zabawki: nic dla nauki, dla poważnego poglądu w kraj i jego potrzeby— nic dla serca wyższego, coby je trwale rozgrzać potrafiło!

— „Kuryer Wileński" rozszerza coraz więcéj swoje ramy: wszyscy znakomitsi i zasłużeni pisarze litewscy wspierają ten organ. Mikołaj Malinowski, A. E. Odyniec, Syrokomla, Ignacy Chodźko i wielu innych. W ostatnich numerach donosi o przedstawieniu Barbary Radziwiłłównéj Odyńca, i wychwala grę artystów: pochwałę tę uważamy raczéj za zachętę, aniżeli za głos prawdy i sumiennéj krytyki. Wielkich to trzeba artystów i artystek, aby role takie, jak Zygmunta Augusta, Barbary, Bony, Kmity i t. d. potrafili oddać tak, jak je poeta nakreślił. Żaden z artystów teatru wileńskiego nie grał nigdy w takim utworze: zatracili nawet tradycyą. Oczekujemy przeto rozbioru ścisłego, ze znajomością sceny i talentu artystów skreślone. Sądzimy bowiem, że czas już przestać próżnemi pochwałami napełniać kolumny pisma, które za pierwszą zasadę powinno mieć sumienną prawdę. Kuryer przemilcza o wrażeniu publiczności, lubo po trzykrotnem przywołaniu autora, sądzić należy, że Barbara będzie się cieszyła długiem powodzeniem na scenie.—Kuryer dobrze i starannie redagowany, wprowadził od nr. 11 dział nowy, który już Teka Wileńska obejmowała: „Bibliografii wileńskiéj" zaczynając od listopada r. z. Ważny to będzie materyał dla bibliografii polskiéj. Jednę tylko uwagę

zrobimy, że redakcya zbyt rozdrabia tak korrespondencye jak i artykuły literackie. Co do pierwszych może mieć słuszne powody, i te oceniamy; co do drugich, nie ma żadnego tłumaczenia. Z pisma tego dowiadujemy się, że wyszły z druku: „Rarogi salonowe" przez Bociana wileńskiego. Jestto znany z talentu dawny współpracownik Wolnych żartów. Z jakiego stanowiska patrzy autor na śmieszności swego społeczeństwa, ustęp następny wyjaśni:

„O różne są natchnienia: jeden sługa Boży,
Wzór gmachu w wieszczym planie dla przyszłości tworzy;
Drugi, z martwych brył skalnych wyrzeza kolumny,
Trzeci, wznosi nad poziom arkad szereg tłumny;
Czwarty, dźwignął sklepienie i zatknął krzyż Pański;
Inni cegły znosili na ołtarz kapłański;
Ostatni, stare głazy oczyszczali z pleśni....
Lecz wszyscy byli w chórze jednéj świętéj pieśni,
A i pierwszych trud wzniosły, i ostatnich praca,
Przed obliczem postępu zarówno popłaca.
Nie zgrzeszy ten przed wnukiem, kto błąd dziada zmaże,
Nie umarł ten moralnie, kto czci swe ołtarze;
Komu cięży na piersi naga kraju rana,
Próżnością rozjątrzona, występkiem skalana,
Serce kona w rozpaczy, ucieka krew z twarzy.
Kto go nazwie przeżytym, ten młodość znieważy:
Bo ów uśmiech na ustach bolesnéj pogody
Powie mu, że tak tylko śmieje się człek młody;
A więc, nim się pień stary na próchno nie skruszy,
Śmiej się bracie, szydź ze mną, i przebacz mi w duszy."

Autor Rarogów, zapowiada wydanie dalszych seryj pod napisem: „Rarogi obywatelskie" i „Rarogi urzędnikowskie."

— P. Akielewicz tłumaczy na język litewski „Elementarz dla chłopców wiejskich," prócz tego w tymże języku drukuje małe książeczki: wykład „Modlitwy Pańskiej" i „Kwestarz jeżdżąc po Litwie lud naucza." Przygotował zaś do druku „Słownik litewsko polski" oraz pisze słownik „litewsko-porównawczy" z językami: słowiańskim, greckim, gockim, łacińskim i sanskrytem. W numerze 14 Kuryer donosząc o wyjściu zbioru listów Zygmunta Krasińskiego, daje z nich wyjątek o Deotymie, jako osobliwszém zjawisku w naszéj literaturze i dopełnia zdaniem Tyszyńskiego o téj poetce, oraz nadzwyczaj zajmującym listem A. E. Odyńca, który pisał do M. Malinowskiego d. 7 lipca 1857 r., pod świeżém wrażeniem w dni kilka, po poznaniu Deotymy. Mamy i wyjątki z wiersza Adama Mickiewicza pisanego do Deotymy. Wszystko wzięte razem, stawia na wyniosłym piedestale postać téj dziewicy natchnionéj.

— Otrzymaliśmy IX zeszyt Encyklopedyi Czeskiéj, a na okładkach wyczytaliśmy, że już liczy 4,800 prenumeratorów. Godne uwagi zjawisko! Kraik tak mały, napoły zniemczony, zniemczoną magnateryą swoją, więcéj bez porównania daje prenumeratorów, niż cała Polska: dotąd bowiem Encyklopedyi powszechnej w Warszawie wydawanéj nie rozeszło się 4,000 egzemplarzy. Ale łatwo zbadać tak ogromną różnicę; W Czechii nietylko ubożsi mieszczanie, ale chłopi prenumerują każde ważniejsze czeskie dzieło; u nas pojedynczego nie postawimy przykładu, gdy tam na tysiące liczy się prenumeratorów między chłopami. Redakcya Czeskiéj Encyklopedyi pierwsze wydanie odbiła w 4,000 egzem-

plarzach; teraz drugie bić zaczęła wydanie ze 4,000 egz. także, i spodziewa się niewątpliwie, że przed ukończeniem całego przedsięwzięcia wszystkie egzemplarze rozprzedane zostaną.

— Otrzymaliśmy prospekt p. Mieczysława Piotra Sawickiego na mające wychodzić dzieło wierszem p. n.: „Lirnik Polski". Piszemy dzieło, bo wedle prospektu ma być dwa tomy z 72 arkuszy druku złożone, a zawierające stronnic 1296 samego tekstu. Treść tego ogromnego zbioru wierszy tak sam autor streszcza w prospekcie. „W zamierzonéj drodze nie będę się piął do równości z mądremi, nie wzlatał pod niebiosa z natchnionemi: lecz tułając się po świecie, śpiewać wam będę o rzeczach ziemskich, o rzeczach najbliższych naszego serca, z myślą i przekonaniem prawem zgodnych. Z wesołemi będę wesoły, z płaczącemi popłaczę, cierpiącym starać się będę osłodzić, wielkim duchem czy czynem, godnością prawą, czy zasługą, cześć poniosę w ubogiéj mej pieśni: słowem, śpiewać będę wszystkim i każdemu zosobna o tyle, o ile uczuciowa strona mej pieśni poruszoną będzie. Zdaje się, że wypowiedziałem wszystko, co może dać wam łaskawi czytelnicy pobieżny obraz mych pieśni; skończyłem na niczém mój prospekt, małogodny tego szumnego nazwiska; nic mi więcéj nie pozostaje, jak w nadziei bratniego współczucia nastroić lirę, wziąć kij w rękę i popędzany pustą torbą, którą wiatr jakby skrzydłem pomiata:

„Skwapliwie biegnąc w świat,
Z piosenką z chat do chat".

Cena nie droga, bo za 70 arkuszy druku złp. 20, a do tego do każdego zeszytu będą dodane gratis nuty. O wartości samych utworów i pieśni powiemy szerzéj po wyjściu z druku.

— Druk tomu IV Historyi literatury polskiéj w zarysach K. Wł. Wójcickiego wkrótce się rozpocznie: obejmuje okres cały od Brodzińskiego i Mickiewicza aż do obecnych czasów.

— Jeden z pracowitych literatów galicyjskich i zdolnych opracował życiorys Adama Mickiewicza w obszernych rozmiarach i umieścił go w Rozmaitościach Lwowskich. Ma wyjść ta szanowna praca w oddzielnym oddruku.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszła w r. 1859 komedya przepolszczona z angielskiéj Tomasza Taylor przez Aleksandra Przezdzieckiego. Tłumacz przypisał ją: „J. I. Kraszewskiemu najzacniejszemu przedstawicielowi Piśmiennictwa". D. 9 lipca 1858 przedstawiono tę komedyą na teatrze Rozmaitości. Tłumacz w kilku słowach do czytelnika, chwaląc wyborną grę artystów, harmonią w całości i staranność w przedstawieniu, zamyka je następnie: „To wszystko jednak nie zdołało przebłagać z góry ukartowanéj zawziętości pewnéj koteryi, która poznać chciała siebie w zwierciedle komicznem Taylora, a nie mając oryginału angielskiego pod ręką, sądziła, że przepolszczenie nadało Grzecholkom i Pawężom owe zbyt charakterystyczne cechy, o których słuchy kilkakrotne czytanie rękopismu po kółkach literackich aż do niej zaniosło. Po zużyciu wszelkich sprężyn, aby ofiary nie były przedstawione; po niepomyślnych usiłowaniach uczynienia z nich prawdziwéj ofiary na scenie, udano się do skuteczniejszego środka: roz-

dmuchnięto pierwej już rzuconą iskrę nieukontentowania pomiędzy artystami. Wytłumaczono im, że to, co przedstawione na królewskiéj londyńskiéj scenie, zaraz po komedyi Szekspira, najdelikatniejszej na świecie publiczności angielskiej nie raziło—w Warszawie jest, a raczéj ma być nieprzyzwoitém. Pod tem danem hasłem odezwały się głosy krytyki teatralnéj warszawskiéj. Nawiasem tylko wspominano, że sztuka słaba, że zakończenie nieprawdopodobieństwem grzeszy, że zresztą rozbioru nie warta: zabawna wprawdzie, ale *źle się bawicie; im idzie o* przyzwoitość. Na takie zarzuty odpowiadać wówczas było niepodobném, dziś już jest niepotrzebném. Sąd czytelnicy wydadzą".

— Nakładem Gustawa Sennewalda, wyszła: „Modlitwa do Najświętszéj Maryi Panny Ostrobramskiéj", przez Józefa Wieniawskiego w ozdobném wydaniu. Przywiedziemy tu tekst cały:

O! Maryo Wilna obrono!
Tyś Bramy-Ostréj koroną!
Niech Twa łaska w sercach dzieci
Żywszéj wiary płomień wznieci.
Gdy od niebios grzech odtrąca,
Cudami tylu słynąca,
Matko! chroń je pod Twe skrzydła,
Złego ducha stargaj sidła!
Niech miłosierdzie nam Twoje,
Niebios otworzy podwoje!
Święta gwiazdo Ostréj bramy,
Wstaw się do Syna, błagamy!

— Pp. Bronisław i Witold Marczewscy, inżynierowie kommunikacyi i drogi żelaznej, ogłosili prospekt następny na nowe dzieło, zeszytami wychodzące, które dzisiejszym potrzebom naszym wielce odpowiedzieć może.

„Ogromny ruch przemysłowy, jaki się ostatniemi czasy rozwinął w zachodniéj Europie, rozchodząc się ztamtąd po całym świecie, wywołał tak wielki postęp w naukach politechnicznych, że nawet zasady projektowania i wykonywania robót inżynierskich zmienione zostały.

Ruch całego tego postępu podają wciąż liczne dzienniki zagraniczne. Z uwagi jednak, że zasad, jakich się dziś potrzeba trzymać w projektowaniu i wykonywaniu robót, trudno dopatrzyć w rozpierzchniętych wiadomościach tak wielu pism zagranicznych, postanowiliśmy wydawać dzieło p. t.: „Zbiór wiadomości politechnicznych", w któremby był zebrany dokładny obraz dzisiejszego stanu politechniki pod względem teoryi i praktyki, oraz ruchu naukowego i przemysłowego tak w kraju, jak za granicą.

Że dzieło to musi być bardzo obszernego zakresu, ażeby objąć wszystkie gałęzie politechniki, postanowiliśmy wydawać je poszytami; ułatwiając sobie tym sposobem zgromadzenie znacznego kapitału nakładowego, jakiego to przedsięwzięcie będzie wymagało, przez zwrot cząstkowy za pomocą prenumeraty, a zarazem dając możność naszym współpracownikom obfitego zebrania i dokładnego opracowania przedmiotów.

Ażeby zaś dzieło to mogło stać się odrazu użytecznem we wszystkich gałęziach, postanowiliśmy nie rozdzielać treści, lecz w każdym poszycie umieszczać wiadomości z różnych oddziałów nauk, sprawozdania z ruchu przemysłowego i wykonywanych znaczniejszych robót, oraz spisy dzieł nowych krajowych i zagranicznych w przedmiotach

tyczących się sztuk, nauk i przemysłu. Poszyt pierwszy, który znajduje się pod prasą, da wyobrażenie o układzie i treści całego dzieła. Cena pojedynczego poszytu kop. sr. 50. Prenumerować można we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi, oraz na stacyach i urzędach pocztowych.

— Drugi rok upływa, jak Józef Jerzmanowski wydał małą książeczkę, ale wielce ważną i zajmującą p. n.: „Roczniki do dziejów Podtatrza i Spiża z lat 1680—1748". Kraków. 1858. Kilkaset egzemplarzy nabyła księgarnia Michała Glücksberga. Miłośnicy dziejów krajowych mają ułatwione nabycie w oznajomieniu się z dziejami mało dotąd znanej części dawnej rzeczypospolitéj.

— Z pociechą możemy donieść, że już zaczynamy się obchodzić bez pomocy zagranicznych tak w drzeworytach, jako też w sztychowaniu nut. Czynna księgarnia G. Gebethnera obecnie przestała wysyłać kompozycye Moniuszki do Lipska: warszawskie sztycharnie odpowiadają potrzebom. Pomienioua księgarnia w miejscowej sztycharni odbija teraz tak uwerturę, jak przegrywki i śpiewy z najnowszej opery ulubionego mistrza z Hrabiny.

— Z Wilna otrzymujemy wiadomość, że wyszły z drukarni Kirkora: „Tryptyk, Kremera": „Chata wuja Toma", przekład Przybylskiego i Iwickiego, i V tom „Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich prymasów korony polskiéj i W. X. Lit.": „Skarbiec dyplomatów" skończony, tylko opracowywa się indeks. „Sztuka u Słowian". Kraszewskiego, już iest pod prasą.

— Z Żytomierza z drukarni Kwiatkowskiego otrzymaliśmy powieść wierszem Aleksandra Grozy część pierwszą p. n.: „Śmieciński". Z Kijowa: „Latopis Nestora", stary tekst mnicha Ławrentego z XIV wieku. Oddział pierwszy. Część przez Schlözera krytycznie wypracowaną przepolszczył Julian Kotkowski. Na końcu czytamy następną wiadomość od szanownego pracownika i wydawcy:

Określony cel pracy sobie wytknąwszy, niejednokrotnie uczuliśmy obowiązek odwoływania się do ściśle z obecną pracą spojonych studyów, z któremi się czytający rychło spotkać mogą i takowe w obecném uwiadomieniu poszczególniamy. Prace te są:

1) „Historyczne o Słowianach badania". T. I. Cz. etnograficzna i historyczna. Jestto wyciąg: a) z narodów na ziemiach słowiańskich przed powstaniem Polski (Lelewela); b) z Polski średnich wieków (tegoż); c) z Starożytności słowiańskich (Szafarzyka); d) z Wstępu krytycznego do dziejów Polski (Bielowskiego) i innych dzieł poważnych, zastosowany krytycznie do *Monde Slave* Cypryana Roberta. Część ta nie może być odłączoną od Latopisu Nestora; dla tych zaś którym czasu brakuie na studyowanie znakomitych naszych historyków, a obowiązek sumienia i światła nagli do zapoznania się choć w treści z ich pracami, wyciąg ten zupełnie będzie zadowalającym. (Ta część zostaje pod pr są).

2) Historyczne o Słowianach badania. T. II. Część literacka i religijna. Oprócz dzieł wzmiankowanych w T. I i Historyi narodu polskiego Naruszewicza, umieściliśmy tu: a) całkowity życiorys z żywociarza pannońskiego o błogosławionych apostołach Słowian: Cyrylim i Metodyuszu; b) postosowaliśmy rozmaite abecadła starosłowiańskie i ru.

niczne Słowian, w zamiarze rzucenia kwestyi o pierwszeństwie Głagolicy przed Kirylicą. Tę część podobnież stosujemy krytycznie do wspomnionego dzieła *Monde Slave*. (Studyum to zupełnie gotowe).

3) Próby grammatyki polskiej psychologicznej, do ułożenia której pobudką posłużyło nam upomnienie się Libelta w jego Filozofii i Krytyce. Wiemy, że wezwaniu tego znakomitego uczonego słabe nasze siły odpowiedzieć nie mogą; przy pomocy jednak matek Polek, którym tę pracę poświęcamy, spodziewamy sie jakąś iskierką ducha rozświetlić piękny nasz w filozofii i historyi język, dla początkujących przynajmniéj.

(Praca ta również wykończona prawie).

4) Dalsze tłumaczenie Nestora, wsparte pracami znakomitych historyków naszych i rossyjskich, wytrwale zmierza do końca.

— Mówiliśmy już o nagłéj śmierci Karola Sienkiewicza: podamy teraz krótki jego życiorys. Urodził się w r. 1792 we wsi Kalinowie, w powiecie skwirskim, dawném województwie podolskiém. Był jednym z najpierwszych uczniów liceum krzemienieckiego: to też gdy w niem obchodzono żałobne nabożeństwo po śmierci Tadeusza Czackiego, on pierwszy w świątyni deklamował wiersz własny, żeby uczcić pamięć wdzięczności dla założyciela téj wszechnicy nauk, z któréj tylu wykształconych mężów, tylu zacnych obywateli, ujrzał kraj gotowych na swe usługi. Po skończonych naukach w towarzystwie Konstantego i Andrzeja hr. Zamojskich udał się do Anglii i lat kilka słuchał nauk w uniwersytecie edymburgskim: następnie sam zwiedzał Szwajcaryą i Włochy, zbierając zasoby do dziejów i literatury narodowéj; poznany bliżéj przez księcia Czartoryskiego, przełożonym został nad biblioteką puławską. Spisał katalog i urządził sprzedaż dubletów, zabrał się do wydawania historycznych źródeł, gdy wypadki temu przeszkodziły. We Francyi wydawał kronikę; w r. 1839 rozpoczął druk: „Skarbca historyi polskiéj", i 4 zeszyty ogłosił; pracował przy wydaniu naprzód w języku francuzkim: „Portofolio" ogłaszanego w Londynie przez Urghart'a. W ostatnich chwilach tłumaczył wierszem odę Mickiewicza pisaną po łacinie na wzięcie Bomarsundu. Zgromadzał skrzętnie materyały do historyi polskiéj, dopełnienia do herbarza Niesieckiego, spisywał krytyczne rozbiory kronikarzy naszych. Jako poeta mniéj rozgłośny, a jednak talentem i potężną dykcyą godzien jednego z miejsc pierwszych. Przekład jego „Pani Jeziora", Walter-Scota i wiele poezyj oryginalnych, jak i tłumaczonych nadają mu do tego niewątpliwe prawo.

— Wydawca „Katedry krakowskiéj na Wawelu" ogłosił, że w ciągu 2 miesięcy dzieło to całkowicie ukończoném zostanie. Cieszymy się, że szanowny autor raczył uwzględnić naszą uwagę i cofnął zagrożenie, iż praca tak pożądana w każdéj rodzinie polskiéj, po zamknięciu prenumeraty, miała mieć cenę podwojoną; a cena i tak złp. 200 nie jest dostępną dla wielu, którzyby dzieło takie posiadać pragnęli. W temże ogłoszeniu czytamy, że wzywa tych, co się zajmowali zbieraniem przedpłaty, aby takową nadsyłali wydawcy, a w końcu przyrzeka księgarzom znaczny rabat. Jeżeli tylko księgarze mają korzystać i otrzymywać znaczny rabat, nie lepiejżeby było, ażeby obniżono cenę dzieła, a zrobiwszy go dostępniejszém, upowszechnić więcéj pomiędzy czytającą publicznością i mi-

łośnikami rzeczy ojczystych. Tego dobrodziejstwa, tak wyłącznego dla księgarzy, nie rozumiemy: owszem, uważamy za utrudnienie w rozprzedaży większej liczby egzemplarzy, gdyby cena samego dzieła była właśnie o ów znaczny rabat obniżoną. Ten znaczny rabat u nas, przy zastrzeżeniu płacenia z góry, wynosi 50%, czyli, że dzieło kosztujące po cenie katalogowej złp. 200, księgarz nie zapłaci jak sto, a drugie sto weźmie sobie. Publiczność więc płacić musi podwójnie i wydawcę i księgarza.

— W Berlinie wyszedł z litografii Fecherta w kroju arkuszowym portret Karola Forstera, znanego z wielu prac literackich naszego pisarza. Pod imieniem i nazwiskiem czytamy następujące godło: „Oświata sama tylko może zagoić ciężkie rany, zadane mieczem namiętności ludzkich: z nią tylko samą jest postęp, w niej tylko jest zbawienie".

— Chociaż zawsze z gorącem współczuciem jesteśmy dla Towarzystwa naukowego krakowskiego i pragnęlibyśmy jak najczęściej zdawać sprawozdania z czynności i posiedzeń tego uczonego grona, opóźniamy się w tym względzie, ale nie z naszej winy. Towarzystwo samo skąpo udziela o swych pracach wiadomości, opóźnia je nawet: dosyć tu nadmienić, że miejscowa gazeta krakowska „Czas" o posiedzeniu oddziału archeologii odbytém d. 22 lutego r. b. dopiero prawie w miesiąc, bo 18 marca zdała sprawozdanie. To i nas powinno usprawiedliwiać, że powtórzymy odrazu dwa sprawozdania z d. 13 i 22 lutego r. b. w zeszycie obecnym kwietniowym, który jednakże kończy się drukować w ostatnich dniach marca.

Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych w c. k. Tow. naukowém krakowskiém dnia 13 lutego.— W nieobecności zastępcy przewodniczącego p. Franciszka Paszkowskiego, złożonego chorobą w Warszawie, zagaił posiedzenie dotychczasowy sekretarz oddziału Jan hr. Załuski przemówieniem, w którém wspomniał o zasłudze, jaką sobie zjednał w obec oddziału, zmarły dnia 28 stycznia prezydujący ś. p. Karol Kremer.

Następnie zawezwał Zgromadzenie do obioru przewodniczącego w miejsce zmarłego prezesa; tudzież do obioru przyszłego sekretarza w miejsce p. Józefa Mączyńskiego, który poruczony mu w uprzednio odbytych wyborach urząd był złożył.

Zebrani członkowie oddziału uskutecznili obiór przez zapisywanie nazwisk proponowanych osób na przygotowanych kartkach, czego skutkiem większością głosów obrani zostali: prezesem p. Teofil Żebrawski, doktor filozofii i b. dyrektor budowy dróg i mostów za rządów wolnego miasta Krakowa; sekretarzem p. Jan Radwański.

W dalszym toku obrad rozbierało Zgromadzenie przedmiot nierozwiązanéj dotychczas rozprawy konkursowej, której założenie, jak wiadomo, jeszcze w roku 1858 ogłoszonem zostało (patrz N. 154 Czasu z 1858 roku).

Po przydłuższéj dyskusyi uchwalono utrzymać w mocy dawniejsze założenie, mające za cel „wyśledzenie i określenie cech właściwych sztuce polskiej w zakresie budownictwa malarstwa i rzeźbiarstwa;" ze względu jednak na trudność rozwiązania tak doniosłego zadania zakreślić termin do składania rozpraw konkursowych po dzień 1 stycznia 1862 r.

Sekretarz okazał nadesłaną od p. Marcina Kęszyckiego z Dźwiniaczki w obwodzie czortkowskim koronę z kompozycyi spiżowej, wydobytą pod tak zwanego Wału Trajana na Podolu galicyskiem, urządzoną tym sposobem, iż stykające się końce kabłąków rzemykami lub taśmami spinać można. Okazał także mapkę archeologiczną okolicy

położonej między Zbruczem i Dniestrem (1), nakreśloną przez wspomnionego korrespondenta, i odczytał list oden pisany do szanownego prezesa Towarzystwa w przedmiocie powyższych przesyłek, który jest mniejwięcej téj osnowy:

„Pospieszam z przesłaniem żądanego opisu wsi Zalesia, jakoteż miejsca, gdzie koronę znaleziono. Dla prędszego zoryentowania się załączam szkic tutejszéj okolicy. Wieś Zalesie leży w powiecie mielnickim, na pograniczu zabranych prowincyj (Podola rossyjskiego), które rzeka Zbrucz od Galicyi przedziela. Oddaloną jest od Zbrucza na sto sążni. Koronę znaleziono w lesie zwanym Sieminiec, należącym do Zalesia, oddalonym od wsi na 200 kroków; od Wału Trajana zaś, który z tamtéj strony Zbrucza aż do wsi Germakówki się ciągnie, na 134 sążnie. Przy karczowaniu owego lasu, który chciano na pole orne przemienić, wykopano pod pniem starego buka, prawie w środku lasu, w głębokości $2^3/_4$ łokci rzeczoną koronę. Następnie objawił piszący zdanie, iż ta korona była może dyadematem arcykapłanów pogańskich, gdyż nie zdaje się ona być *corona vallaris*, którą Rzymianie dawali w nagrodę waleczności żołnierzom, zdobywającym wstępném natarciem okopy nieprzyjacielskie.

Zgromadzenie zastanawiając się nad tak rzadkim u nas zabytkiem, nie poczytywało w mowie będącéj korony za dyademat z rodzaju tak zwanych *norm*, wieńczących niegdyś skronie arcykapłanów lub arcykapłanek pogańskich, ale raczéj za *distinctorium* książęcia lub bohatera, albo za koronę bałwanka bożka Plutona w mniejszym rozmiarze, który ostatni domysł znalezienie jéj w lesie, może niegdyś bogom poświęconym, zdaje się poniekąd potwierdzać.

Członek p. Hipolit Seredyński złożył spis zabytków i dokumentów po dawnych, teraz już nie istniejących cechach krakowskich pasamonników, kordybanników i czerwono-skórników pozostałych, które magistrat tutejszy Towarzystwu do przechowania powierzył (2).

Są to przedmioty następujące:

A. ZABYTKI W OGÓLNOŚCI:

I. *Cechu passamonników.*

1) Dwa buzdygany srebrne wyzłacane, roboty wytwornéj XVII wieku, trzonki ozdobne w wyrzynane arabeski; głównie złożone z 8 skrzydeł roboty przeźroczéj. Na jednym buzdyganie jest kamień błękitny; na drugim turkus i rubin;

2) Passyjka srebrna z postumentem; na spodzie napis: *Panowie starsi: Wawrzyniec Wiśniowski, Kajetan Siewierski, roku 1820;*

3) Cztery *wzory rękodzielnicze (Meisterstücke)* robót passamonniczych z jedwabiu, złota i srebra;

4) Pieczęć cechowa srebrna na toczonym trzonku drewnianym. W środku pieczęci św. Michał z szalami ważkowemi w jednéj, a mieczem w drugiéj ręce. Powyżéj św. Michała napis: *Concordia* nakreślony na taśmie, czyli tak zwanym *filakterze;* poniżej godło cechowe. W okół legenda: *Sigillum fraternitatis passamentari(or)um metropoli(s) Cruc(oviensis) 1766;*

5) Kobierzec karmazynowy jedwabny złotem przetykany, podszyty płótnem modrawem, bramowany wkoło półcalowym szlakiem galonkowym z frężelką jedwabną barwy karmazynowéj;

(1) Pod względem historycznym zasługuje ta okolica na uwagę, z tego powodu, iż w jéj obrębie położone są w samych widłach między Zbruczem a Dniestrem „Okopy św. Trójcy," słynne obroną Jana III, a następnie konfederatów barskich. *(Przyp. sekr. oddz.)*

(2) Jak dalece owe dziś już nie istniejące rzemiosła były niegdyś kwitnące, świadczą taryfy poborowe. W r. 1681 np. było w Krakowie: pasamonników 23, kordybanników 12, czerwono-skórników 28. W niespełna sto lat potem, t. j. w r. 1770, nie doliczył się poborca nad połowy dawnéj liczby, gdyż zostało tylko pasamonników 7, kordybanników 3, czerwono-skórników 3. *(Przyp. sekr. oddz.)*

6) Kobierzec karmazynowy, srebrem i żółtym jedwabiem przetykany, podszyty płótnem szarem, bramowany wkoło podwójną tasiemką jedwabną z frężelką żółtą (1);

7) Całun kirowy czarny przebutwiał;

8) Chorągiew kitajkowa karmazynowa z drzewcem. U góry drzewca gałka i dwa przemienne godła mosiężne z r. 1800. Na tle chorągwi wyobrażenie Boga Ojca, Matki Boskiej i Arona; obok węzeł passamonniczy;

9) Lada cechowa dębowa zamykana. Od wewnątrz przytwierdzony do wieka krucyfiks; zamek i zawiasy staroświeckie.

II. *Cechu kordybanników:*

1) Lada cechowa dębowa staroświecka z zamkiem sztucznym zamykanym na dwa klucze. Na wierzchu wieka schowek, jak się zdaje, na pióra i kałamarze;

2) Berełko toczone drewniane żółte, przystrojone w wypłowiałą wstążkę jedwabną i taśmę staroświecką;

3) Pieczęć mosiężna o żelaznym trzonku, z wyobrażeniem tarczy herbowej. W herbie kozieł w poskoku, tudzież godła cechowe. W okół legenda: *Sigel der Cordiwanmaher der Stat Croca(u) in Pole(n)* (2);

B. DOKUMENTA I INNE AKTA.

I. *Cechu passamonników:*

1) Ustawa cechowa, zatwierdzona przez rajców krakowskich (r. 1614), na pergaminie bez pieczęci;

2) Transumpt téj ustawy;

3) Zatwierdzenie tejże przez Zygmunta III (r. 1615), na pergaminie bez pieczęci;

4) Ustawa towarzyszów i czeladzi w mowie będącego cechu, zatwierdzona przez rajców krakowskich (r. 1617), na pergaminie z pieczęcią;

5) i 6) Transumpty powyższego dokumentu na papierze;

7) Zatwierdzenie ustawy cechowéj (uchwalonéj w r. 1625) przez Zygmunta III (r. 1626), na pergaminie bez pieczęci;

8) Zatwierdzenie owéj ustawy przez rajców krakowskich (r 1625), na pergaminie z pieczęcią;

9) Zatwierdzenie przywilejów passamonników (wyszczególnionych pod 1, 3 i 8) przez Władysława IV (r. 1633), na pergaminie z pieczęcią;

10) Zatwierdzenie przywileju powyższego przez Jana Kazimierza (r. 1651), na pergaminie z pieczęcią;

11) Zatwierdzenie tegoż przywileju (pod 1, 10) przez króla Michała (r. 1669), na pergaminie z pieczęcią;

12) Wyrok Jana III, rozstrzygający spór cechu passamonników z żydami kazimierskiemi (r. 1685), na papierze;

13) Zatwierdzenie przywilejów rzeczonego cechu przez Augusta II (r. 1706), na pergaminie z nadwerężoną pieczęcią;

14) Zaświadczenie prawego pochodzenia Piotrowi Stojanowiczowi passamonnikowi, przez Franciszka Cyrusa, rajcę krakowskiego (1659 r.) na pergaminie bez pieczęci;

15) Ośm ksiąg rękopiśmiennych oprawnych, zawierających protokóły posiedzeń, oraz rachunki i sprawy cechowe od 1617 do 1843 r.

II. *Cechu kordybanników.*

1) Siedm ksiąg rękopiśmiennych, zawierających rejestra, rachunki, akta sporu z garbarzami o przeszkadzanie w rzemiośle, protokóły posie-

(1) Oba kobierce zdają się być wyrobem wieku XVI. ponieważ do osnucia ich nie użyto kręconych nitek złotych lub srebrnych, lecz drócików metalowych

(2) Ta pieczęć pochodzi snadź z wieku XVI, gdyż odcisk jéj znajduje się na jednym dyplomacie z r. 1611.

dzeń całocechowych i czeladniczych (od 1651 do 1843); następnie poświadczenia uiszczonych do wielkorządów krakowskich poborów (od roku 1723 do 1825) i t. p.;

2) Fascykuł aktów i dekretów, tudzież cztery zwitki kwitów dotąd nieuporządkowanych;

3) Zatwierdzenie przywileju króla Stefana z r. 1585, przez Zygmunta III (1588 r.), na pergaminie z podpisem króla i malaturami bez pieczęci;

4) Transumpt powyższego przywileju z wieku XVIII na papierze;

5) Przekład polski powyższego przywileju z wieku XVIII, na papierze;

6) Przekład niemiecki, przywileju Zygmunta III (bez daty) potwierdzającego: a) przywilej króla Stefana z r. 1585; b) ustawy cechowe z r. 1583, na pergaminie bez podpisu i bez pieczęci;

7) Potwierdzenie ustawy towarzyszów cechowych (z r. 1583) przez mistrzów i czaladź (1611 r.), na pergaminie z woskową pieczęcią cechową wiszącą;

8) Zatwierdzenie uchwały starszyzny cechowéj, zabraniającéj mistrzom kupowania ziela *borówki* (potrzebnego do wyprawy skór) pojedyńczo przez rajców krakowskich (1621 roku), na pergaminie, z miejską pieczęcią mniejszą w puszce blaszanéj;

9) Zatwierdzenie przywilejów cechowych przez króla Michała (1669 r.), na pergaminie z podpisem królewskim i pieczęcią koronną w puszce blaszanéj;

10) Zatwierdzenie przywilejów powyższych przez Jana III (r. 1676), na pergaminie z podpisem królewskim i pieczęcią jak wyżéj;

11) Zatwierdzenie wszystkich przywilejów powyższych przez króla Stanisława Augusta (1775), na pergaminie z podpisem i pieczęcią jak wyżéj;

12) Transumpt przekładu niemieckiego ustawy towarzyszów cechowych z r. 1611 (patrz pod liczbą 7), sporządzony w r. 1822 na pergaminie.

III. *Cechu czerwono-skorników:*

1) Zatwierdzenie ustaw cechowych, mianowicie przywileju Władysława Jagiełły z r. 1423, Zygmunta I z r. 1540, Henryka Walezyusza z 1574, przez króla Stefana (1578 r.) na pergaminie z podpisem królewskim, bez pieczęci;

2) Transumpt potwierdzenia ustaw cechowych przez rajców krakowskich w r. 1690, sporządzony w wieku XVIII na pergaminie;

3) Zatwierdzenie powyższego przywileju króla Stefana z r. 1578 przez Zygmunta III (1604 r.), na pergaminie bez pieczęci;

4) Zatwierdzenie przez Jana Kazimierza (1649) przywileju Władysława IV z r. 1637, potwierdzającego wyrok Zygmunta III z r. 1616, zakazujący przedaży skór wyprawnych obcym garbarzom, okrom w trzech jarmarkach, na pergaminie, z woskową pieczęcią wielką koronną w puszce blaszanéj;

5) Zatwierdzenie przywilejów powyższych przez Augusta II (r. 1697) na pergaminie, z podpisem królewskim bez pieczęci;

6) Transumpt powyższego przywileju na papierze, sporządzony w wieku XVIII.

Po przyjęciu owego sprawozdania przez oddział do wiadomości, wniósł członek p. H. Seredyński, by z powodu zwinięcia niektorych cechów na prowincyi, oraz w Krakowie, wystosować pismo do c. k. rządu krajowego, a względnie do magistratu krakowskiego o przekazanie w całości pamiątek pozostałych po rzeczonych cechach, jakoto: ksiąg, dokumentów, dystynktoryów, pieczęci, skrzyń, chorągwi, malowideł, kobierców, medalów, monet, sygnetów, passyj, wzorów rękodzielniczych, roztruchanów, godeł i t. p. zabytków do przechowania Towarzystwu.

Zgromadzenie pochwaliło wniosek i postanowiło zanieść prośbę do komitetu Towarzystwa o wystosowanie odnośnych pism gdzie potrzeba.

Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych w c. k. Tow. naukowem krakowskiem dnia 22 lutego.— Członek p. Karol Rogawski, który w roku przeszłym uskutecznił jako delegat oddziału wespół z członkiem hr. Józefem Załuskim rozkopanie mogiły starożytnej we wsi Siedliszewicach w obwodzie tarnowskim, i przy tej sposobności rozpatrywał zabytki architektoniczne w niezbyt zdaleka oddalonym Radłowie i Gręboszowie, zdał na tem posiedzeniu sprawę z owych czynności naukowych.

Przedewszystkiem doniósł oddziałowi o znalezieniu w Radłowie dwu cennych zabytków architektoniki polskiej z XIV wieku, mianowicie tablicy erekcyjnej (wmurowanej niestety obecnie w ścianę kościoła), przytem słupa granicznego, którego właściwe znaczenie odszukany trafem szczęśliwym w księgozbiorze imienia Ossolińskich we Lwowie i za staraniem hr. Maurycego Dzieduszyckiego udzielony referentowi dokument wyświecił.

Złożywszy opisanie rzeczonych zabytków z domieszczeniem ich rysunku (wykonanego przez p. Ludwika Łepkowskiego), wraz z dołączeniem kopii dokumentu, o którym mowa, do aktów oddziału, odczytał następnie p. Rogawski uczoną rozprawę „*o mogiłach*," do której nakreślenia dało mu pochop rozkopanie mogiły siedliszewskiej.

Traktując o *mogiłach* w ogólności wytłumaczył autor ich stosunek do poezyi zawartej w dotyczących podaniach.

Zauważając wszakże podania ze stanowiska naukowości bezwzględnej przytoczył, iż w obec górującej w dzisiejszych pracach historycznych analizy, rozwianie tradycyi w miarę postępu badań na tej drodze jest rzeczą nieuchronną.

Wytknął więc nader wątpliwą z tego powodu wartość mogił w rzeczach historyi.

Tem wyżej atoli podniósł i ocenił wartość tych zabytków pod względem archeologii. W zestawieniu porównawczem wykazał, iż czem się okazały przerożne *z głazów kamiennych stawiane pomniki* dla starożytnej Grecyi, Italii, Indyi, Etyopii z Egiptem, Assyryi, wreszcie dla ludów galicko-celtyckich, niemniej dla mieszkańców skandynawskiej północy: tem były *usypy ziemne* dla Słowiańszczyzny osiadłej w kraju płaskim, posiadającym mało kamienia. Potwierdził owo mniemanie rozpatrywaniem się w tyczących się mogił pracach, istniejących w dawnych krajach polskich korporacyj naukowych, mianowicie w badaniach komissyj archeologicznych w Odessie i w Kijowie, z których badań wypływa pewnik, iż *mogił* nie ma w okolicach górzystych, lecz są tylko w równinach, pozbawionych wydatniejszych punktów (1).

Przystąpiwszy potem do właściwego przedmiotu rozprawy, traktował autor o *mogiłach nadwiślańskich* w szczególności, między innemi o *mogile siedliszewskiej*. Zdając sprawę z podjętej czynności rozkopania, nadmienił o pomocy, jaką udzielił temu przedsięwzięciu członek hr. Józef Załuski, ponosząc wyłącznie koszt ztąd wynikły, który okazał się tem większym, iż rozkopanie przeszło tydzień trwało; wreszcie podejmując ów czas najgościnniej u siebie referenta, łącznie z towarzyszącym mu rysownikiem.

Kreśląc obraz miejscowości, ocenił autor ważność okolicy pod względem starożytniczym, opartą na przytoczonych faktach. Opisał potem mogiłę pod względem jej kształtu, rozmiaru i położenia. Nadmienił o zupełnym braku dotyczących podań ludowych. Nakoniec dał pogląd na technikę rozkopywań w ogóle, niemniej na tryb uskutecznionego tym razem rozkopania, doniósł o zupełnej bezowocności podjętych w tej mierze usiłowań; gdyż (mimo rozkopania mogiły w kierunku naprzód pozio-

(1) Mogiły najdują się po wielu miejscach właśnie na samém przejściu z *gór* do *równin*, np. w Podgórzu pod Krakowem, w Krakuszowicach, w Przemyślu.

(*Przyp. Sekr. Oddz.*)

mym a ostatecznie także pionowym) nie znaleziono w jéj wnętrzu ani kości ludzkich, ani jakichkolwiek innych zabytków, z czego z pewnością wnosić można, iż rzeczona mogiła nie była *grobowiskiem*.

Wspomniawszy wreszcie o przywróceniu mogile po owém rozkopaniu dawnego kształtu, oraz odczytawszy osnowę pisma, które w puszce blaszanéj wewnątrz mogiły pogrążono, odczytał potém autor część krytyczną swojej rozprawy.

Rozbierał tedy sposobem porównawczym prace uczonych polskich jako to: Lelewela, Michała Grabowskiego, Pola, Marcinkowskiego, Bielowskiego, Szajnochy i innych piszących w przedmiocie zbadania natury usypów ziemnych, które się w naszych krajach najdują.

W roztrząśnięciu nasamprzód dzieła Michała Grabowskiego pod tytułem: *Ukraina dawna i teraźniejsza* objawił autor sąd ogółowy o badaniach tego rodzaju; poczém wykazał względną jeno naukową wartość dzieła M. Grabowskiego w obec już dopiętych wynikłości w tym przedmiocie.

Biorąc wszakże spostrzeżenia M. Grabowskiego, jako najszczegółowiéj obrobioną u nas w tym przedmiocie pracę, za konieczny punkt wyjścia, odwołał się p. Rogawski do wyrzeczonego przez tegoż autora zdania: *iż nie wszystkie mogiły są grobowiskami*, które referent w zupełności podziela. Następnie zastanawiał się nad jego pochybnem dowodzeniem w rzeczy właściwości mogił ukraińskich, wnioskując przeciwnie: iż zewnętrzne kształty nie dowodzą bynajmniej ich znaczenia.

Przyrównując daléj powierzchowność najdujących się w krajach dawnéj Polski usypów ziemnych do kształtów świątnic zagranicznych, odszczególnił referent od grobowiski *mogiły obrzędowe*, poczytując je za *symbola* religijne, odpowiednie stosunkowi punktów wyniośléjszych, a wszczególności *gór*, do praktyk obrzędowych dawnego poganizmu i judaizmu. Z tego samego powodu poczytywał też mogiły zgodnie z M. Grabowskim za *ołtarze ofiarne*; mianowicie według słów Wincentego Pola, który mogiły mieni *wynikłością natchnienia religijnego*.

Dzieląc tedy istniejące u nas usypy na usypy obrzędowe *(mogiły)* (1), tudzież usypy nagrobkowe (*kurhany* czyli *kurgany*) z wykluczeniem mniemanych *stróżysk (farusów)*, wywodził referent w uzasadnieniu swojego zdania pochodzenie wyrazów *mogiła* i *kurgan* etymologicznie.

Ów podział usypów ziemnych na *dwa* główne działy, poczytywał p. Rogawski za najwłaściwszy, i chciałby go nadal stale utrzymać w miejsce podziału na *trzy* kategorye, który Michał Grabowski na zasadzie zewnętrznego kształtu w mowie będących usypów zalecił.

Na tem się skończyła pierwsza część rozprawy.

W drugiéj części rozprawy rozwinął autor cały szereg konkluzyj wymierzonych przeciw dochodzeniu początku *mogił* na zasadzie treści legend i podań.

Mając głównie na uwadze podania, tyczące się mogił nadwiślańskich, dowiódł oparty na powadze znanych źródeł historycznych: iż pierwszą wzmiankę o mogiłach Graka i Wandy przytoczył dopiéro Dąbrówka, komentator Kadłubka; że jednak prawie równocześnie piszący Kallimach powiada: iż Grzegorz Sanocki, najuczeńszy z ówczesnych Polaków, powiątpiewał o prawdziwości owéj powieści. Właściwe wszakże autorstwo owéj powieści trzebaby zdaniem referenta przypisać Długoszowi, który swoją kroniką zjednał jéj największy rozgłos. Późniejsi bowiem pisarze powtarzali jeno to, co Długosz w téj mierze był przyto-

(1) Pod względem nadania usypom *obrzędowym* (w przeciwstawieniu *nagrobkowych*), nazwy *mogiła*, zachodzi pewna pomyłka: skoro według Lindego *mogiła*, w języku staroslowiańskim i rossyjskim *grób* oznacza. *(Przyp. Sekr. Oddz.)*.

czył. Wszakże dopiéro Sarnicki pisze wyraźnie o mogile Wandy, i powiada: iż na jéj grobie znajdował się słup kamienny (1).

Po przedsiębraniu dowodzenia mylności podań, zbijał jeszcze autor mimochodem etymologiczne hipotezy Szajnochy. Potém usiłował wykryć pochodzenie pierwotne nazwy góry Lasoty, na któréj się mogiła Krakusa czyli Graka znajduje. W końcu konkludował: iż usypane w pobliżu Krakowa mogiły nie są *kurhanami*, lecz *ołtarzami ofiarnemi*, wystawionemi ku czci *słońca*.

W rozwinięciu téj tezy nadmienił referent o czci Heraklesa u starożytnych, który niekiedy (np. u Egipcyan) był poczytywanym za jedno co *słońce*, któremu wreszcie za świadectwem Herodota oddawali cześć Scytowie, dawni mieszkańce tych krajów. Polegając na owéj okoliczności, poszedł daléj i wskazał styczność mogił z ogniami *czerwcowemi* czyli tak zwanemi *sobótkami*, niemniéj z obchodem *wianków*, które to dwie uroczystości w dzień ś. Agrypiny (23go czerwca) u Słowian i Celtów się odbywają.

Tłumacząc następnie znaczenie owych ogniów, niemniéj znaczenie dnia, w którym rozniecane bywają, rozbierał etymologicznie wyrazy *sobótka*, *kupało*, *wianki* i konkludował: iż cześć *słońca* była praktykowaną u dawnych Słowian, równie jak indziéj, i że *sobótki* są *świętem słońca*. Przypisywał zatém zwyczajowi sobótek początek pogański, któremu dopiéro późniéj użyczył chrześcianizm kościelnéj sakry, naznaczając na dzień 24ty czerwca obchód Narodzenia ś. Jana Chrzciciela, jako przedstawiciela tajemniczego *oczyszczenia* ludzi przez *chrzest ś.*

W aktach religijnych dawnych Słowian, upatrywał referent objaw ich statecznego charakteru, którego objaw też widzimy w ich podaniach.

Powyższe zdanie uzasadnił p. Rogawski dowodzeniem: iż dawni Słowianie, aczkolwiek czcili w saméj rzeczy *słońce*, wyznawali wszakże w gruncie religią monoteistyczną, co ustęp o Słowianach w dziele arabskiem Massoudego (mimo zaprzeczenia Lelewela) oczywiście potwierdza. Aliści i Lelewel nie przypuszcza wyraźnego politeizmu u dawnych Słowian. Autor zestawiwszy dowody czerpane z autorów piszących o religii dawnych Słowian, utwierdza się w powyżéj wyrażonéj konkluzyi: iż starożytni Słowianie byli rzeczywiście wyznawcami jednego Boga, aczkolwiek czcili przytém bóstwa lub raczéj istoty (władze natury) podrzędne.

W końcu dowodził jeszcze referent: iż owa cześć nie była oddawaną, jak niektórzy sądzą, *ogniowi*, lecz właściwie *słońcu;* przyczém rozbierał symboliczny stosunek *ognia* do *słońca* u pogan i chrześcian Dowodził potém: iż usypy obrzędne tudzież *ognie czerwcowe*, służyły wyłącznie czci *słońca*, którego wyobrażeniem plastycznem u dawnych Słowian mienił bożyszcze *Światowida*

Kwoli uzupełnienia owego zdania, zajął się następnie autor wywodem nazwy Światowida, oraz uwydatnieniem analogii pojęć *Światowida* i *słońca*.

Streszczając wreszcie rzecz odczytanéj rozprawy, dodał w epilogu: iż mogiła siedliszewska jest jednym z najstarszych zabytków świadczących o czci *słońca* czyli *Światowida* u dawnych mieszkańców tych krain, prawdopodobnie Słowian, przelewających ożywiający ich serca zapał w pomnikowe mogiły.

Zarówno w toku czytania rozprawy, jak i po przeczytaniu jéj zawiązywała się krótka dyskusya nad zawartym w jéj osnowie przedmiotem, w któréj udział brali członkowie: Józef hr. Załuski, p. Jan Radwański, przewodniczący p. Teofil Żebrawski i sekretarz oddziału Jan hr. Załuski.

— Komedye, które na konkursie otrzymały premia: Wacława Szymanowskiego: „Dzieje serca" i Józefowicza: „Po naszemu", zostały

(1) Szczątek owego słupa najduje się na wspomnionéj mogile po dziś dzień. (*Przyp. Sekr. Oddz.*)

ogłoszone drukiem: pierwsza w Gazecie Codziennéj, druga w Tygodniku illustrowanym. Gazeta Warszawska wydrukowała komedyą Józefa Korzeniowskiego: „Plotkarz", o któréj jużeśmy wspominali. Zasłużony ten pisarz pomimo sił starganych nie ustaje w pracy. Obecnie tłumaczy akt drugi: „Ryszarda II", Szekspira, i ten mamy nadzieję, że niedługo w piśmie naszém ogłosi; studyuje komedye Fr. Zabłockiego słynnego pisarza z czasów Stanisława Augusta; pracę tę obszerniejszych rozmiarów umieścimy następnie.

— Od nowego roku pismo rolnicze: „Ziemianin", wychodzące w Poznaniu nakładem Ludwika Merzbacha zmieniło format i zamiast zeszytami, wydawane będzie arkuszami co tydzień.

— P. J. Sporny inżynier, ogłosił prospekt na dzieło wielce obchodzące rolnictwo krajowe p. n.: „Hydraulika agronomiczna". Składać się będzie z 4 wielkich zeszytów, tworzących dwa tomy, każdy od 30 do 40 arkuszy w 8-ce. Zeszyty czyli części traktować będą: 1. O drenowaniu. 2. O osuszaniu zwyczajnem. 3. O nawodnianiu. 4. O torfach. Potrzebne do objaśnienia figury i plany zamieszczone będą w osobnym atlasie, téj saméj co i tekst wielkości. Prenumerata rsr. 5; skład główny w księgarni Gustawa Gebethnera.

— „Rozrywek dla młodocianego wieku", pod redakcyą S. z Z. Pruszakowéj wyszły już dwa tomy. Zaleca je, jak zawsze, dobór artykułów i obrobienie ich równie staranne, jak pięknym językiem oddane. Wkrótce w dziale właściwym powiemy obszerniéj o téj zajmującéj i wielce użytecznéj publikacyi.

— W drukarni Gazety Codziennéj ukończono druk tomu II Monografij Historyczno-Genealogicznych niektórych rodzin polskich, przez Stanisława Kazimierza Kossakowskiego z przypisami Juliana Błeszczyńskiego. Stron 360. IV. 4 z dwiema tablicami genealogicznemi. Nakład autora. Egz. 300.

W tomie tym pomieszczono następujące monografie, obrobione głównie według źródeł archiwalnych: Ledochowskich, Lubomirskich, Łempickich, Łubieńskich, Olizarów, Ossolińskich, Platerów, Potockich, Przezdzieckich, Rzewuskich, Siesickich, Skorulskich, Steckich, nadto genealogie: Małachowskich, Mniszchów, Tyzenhauzów i Zyberków i dwie rozprawki o herbach Radwan i Ślepowron z treściwą wzmianką o rodzinach tych herbów używających.

Tom III ma wyjść w końcu bieżącego roku i zawierać między innemi monografie: Sapiehów, Sobieskich, Szembeków, Toporczyków, Tyszkiewiczów, Walewskich, Wołłowiczów, Wesslów, Zamojskich, Zawiszów, genealogie; przytém Błeszczyńskiego: kilka słów o Heraldyce polskiéj i legendach herbowych.

— Litografia Czasu w Krakowie, ogłosiła teraz nakłady swoje; szereg ich jest niemały. Oprócz portretów znakomitości naszych, wydała: „Album wystawy starożytności w Krakowie": niewiadomo, czy jest tekst objaśniający 18 widoków Krakowa. Co do tych widoków musimy zwrócić uwagę na niepraktyczność wydawnictwa i małą znajomość potrzeb naszych. Widoki te z dodanym tekstem mogłyby złożyć piękne album i w handlu księgarskim znalazłaby niewątpliwie liczny pokup; ryciny oddzielne, wątpimy, czy wrócą koszta nakładu. Wieści dochodzące nas z Krakowa, zapewniały, że taki rodzaj albumu wyjdzie niezawodnie: w miejsce jego widzimy pojedyncze ryciny. Dawne widoki Krakowa, nakładem Friedleina, wyczerpane zostały, chociaż tekst do nich był skromny: teraz można było obszerniejszy i dokładniejszy opracować. W takim formacie album, jako książka puszczona w handel księgarski, mogło się jak najświetniejszego spodziewać przyjęcia; wydawca pomimo powiększonego kosztu miał zapewniony zwrot ich hojny, naznaczając cenę najumiarkowańszą nawet, bo ilość egzemplarzy rozprzedanych nagrodziłaby wszystko. Doświadczenie długoletnie ten śro-

dek i taki rodzaj publikacyi wskazuje, jako jedyny: kto tą drogą nie poszedł, nigdy u nas kosztów nakładu zwróconych nie miał.

— Zwrócić musimy uwagę czytelników na odcinek Gazety Warszawskiej w N. 79 p. n.: „Małe podróże po odległych krajach", w którym utalentowany pisarz w humorystycznym sposobie dotyka kwestyi żydów polskich. Jest tam wiele bardzo trafnych spostrzeżeń, w rzeczy niemało obchodzącej prawdziwego męża stanu.

— Nakładem księgarni Karola Bernsteina wyszedł tom X użytecznej publikacyi: „Biblioteki popularnej nauk przyrodzonych". Tom ten obejmuje wykład: „O praktycznem opalaniu". Następny tom pod prasą będący, zawiera: „Podróż fantastyczną po świecie".

— Księgarnia Michała Glücksberga, przyjmuje prenumeratę na dzieło Józefa Kremera: „Podróż do Włoch". Dla ułatwienia nabycia rozdzieliła prenumeratę tak, iż przy odbiorze każdego tomu można uiszczać po rsr. 2. W tejże księgarni już jest do nabycia: „Historya Wymowy w Polsce" tom III, Karola Mecherzyńskiego i komedya Apolla Korzeniowskiego: „Dla miłego grosza", która poprzednio w pięknem Zbiorowem piśmie Józefata Ohryzki była ogłoszoną.

— Gwiazdka, publikacya p. Aleksandra Niewiarowskiego regularnie podług prospektu zeszytami wychodzi i znajduje licznych czytelników.

— J. A. Miniszewski wydał trzy pierwsze tomy zapowiedzianego dzieła p. n.: „Życie w parafii". Obejmują dwie powieści: „Justynę" w 2 tomach i „Kronikę plebana", w jednym tomie.

— Od 1 czerwca r. b. ma wychodzić pismo ludowe p. n.: „Kmiotek", nakładem Michała Glücksberga, pod redakcyą J. K. Gregorowicza. Pismo to tygodniowe ozdobionem będzie drzeworytami na odpowiednim papierze, żeby drzeworyty starannie odbijane być mogły. Będziemy więc mieli dwa pisma jednej treści i dążności: „Czytelnię Niedzielną" która potrafiła wyrobić sobie liczne grono czytelników, najwięcej po miastach i w klassie rzemieślników i „Kmiotka", który z samego tytułu jak się zdaje, więcej dla ludu wiejskiego poświęconym zostanie.

† Dnia 13 lutego r. b. w mieście powiatowem Bielsku, gubernii grodzieńskiej, umarł w 67 roku Józef Jaroszewicz emeryt, professor b. uniwersytetu wileńskiego, autor „Obrazu Litwy" i wielu rozpraw naukowych. Przygotowywał oddawna drugie wydanie wspomnionego dzieła i kilka ustępów ogłosiliśmy w naszem piśmie téj nowéj pracy przed kilku laty.

† Dnia 24 lutego r. b. odbyło się w kościele ks. Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Karola Sienkiewicza, o którego zgonie już podaliśmy wiadomość.

† Dnia 21 marca r. b. umarł w Warszawie Adolf Fryderyk Dietrich, jedyny artysta sztycharz, jakiego posiadała Warszawa. Wiele prac świadczy o jego zasługach i talencie. Gazeta Codzienna w N. 80 z d. 23 marca r. b. obszerny podała zmarłego życiorys.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1860.

Luty, 1860. **Dostrzeżenia Meteorologiczne**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad

$1^s.14^m.45^s,7$ czyli w łuku $18°41'25'',5$

w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

poziom morza, jego szérokość geogr. $52°13'5''$, długość w czasie na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.	
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	Z deszczu	Z śniegu
1		736.69	737.36	737.02	737.30	737.09	— 2°.3	— 1°.8	+ 0°.6	+ 0°.6	—0° 27	pochmurny	pochmurny	poch. mgła	deszcz	PdW.	PdW.	PdW.	—		
2		738.01	739.72	741.74	744.48	740.99	— 0.5	— 0.4	— 1.5	— 2.8	— 1.30	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Z.	Z.	3.6	
3		747.20	749.68	751.20	753.08	750.29	— 5.0	— 4.2	— 2.3	— 5.4	— 4.22	pochmurny	praw. poch.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
4		751.82	753.09	752.20	750.29	751.85	— 3.7	— 2.4	— 0.5	— 2.1	— 2.17	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdZ	PdZ.	Z.	Z.		
5		746.27	746.00	743.09	740.66	744.01	— 1.9	— 0.3	+ 1.4	+ 1.7	+ 0.22	Śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z	Z.	2.0	2.8
6		736.80	735.72	732.51	733.12	734.54	+ 0.3	+ 0.8	+ 0.8	— 0.2	+ 0.42	pochmurny	śnieg	śnieg	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.	5.4	6.8
7	☽.	729.07	730.39	735.38	740.67	734.03	— 2.6	— 2.1	— 0.8	— 3.4	— 2.22	pochmurny	zad śnież.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		5.6
8		744.16	744.42	741.65	734.53	741.17	— 6.9	— 2.7	+ 1.4	— 1.7	— 2.47	pogodny	pochmurny	pochmurny	śnieg zad.	Z.	Z.	Pd.	Pd.		2.0
9		732.80	734.48	737.37	740.20	736.01	+ 0.8	— 0.2	— 0.8	— 6.3	— 1.55	pochmurny	praw. poch.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
10		741.71	743.64	745.21	749.43	745.25	— 8.2	— 5.1	— 4.2	— 6.0	— 4.88	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pń.	Pn.		
11		751.76	753.08	752.97	753.84	752.91	— 8.4	— 8.6	— 4.6	— 9.3	— 7.72	pochmurny	pog. mgła.	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		
12		752.86	752.51	750.73	750.44	751.64	— 11.4	— 8.2	— 5.1	— 6.5	— 7.80	pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	PnW.	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.	
13	☾.	751.34	752.64	753.20	753.40	752.65	— 7.5	— 7.3	— 7.8	— 7.6	— 7.55	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		5.2
14		752.06	752.06	751.12	751.32	751.64	— 8.3	— 8.3	— 7.8	— 5.2	— 7.60	pochmurny	poch. śnieg	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.		4.8
15		749.64	748.36	744.80	741.72	746.13	— 7.3	— 4.7	— 2.3	— 4.0	— 4.57	pochmurny	śnieg	śnieg	śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		4.0
16		740.28	741.92	744.63	747.77	743.65	— 3.8	— 1.3	— 0.2	— 2.9	— 2.05	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pn.		3.6
17		750.96	752.12	751.66	750.16	751.23	— 3.5	— 3.2	— 4.4	— 5.6	— 4.17	pochmurny	poch. mgła	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Z.		4.0
18		744.08	744.20	744.08	745.80	744.69	— 5.6	— 2.8	— 0.8	— 4.8	— 3.42	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
19		745.24	744.60	740.27	736.32	741.61	— 6.5	— 7.0	— 2.3	— 1.2	— 4.25	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Pd.	PdZ.		2.8
20		732.62	732.35	733.57	735.74	733.56	— 0.8	— 0.2	+ 1.3	— 3.0	— 0.80	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
21	●.	737.46	738.69	740.25	742.00	739.60	— 5.0	+ 0.2	+ 0.4	— 2.5	— 1.72	pochmurny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	Pd.	Pd.	Z.	Pn.		
22		743.24	744.56	749.87	748.10	746.44	— 7.8	— 5.0	— 3.1	— 4.4	— 5.08	pochmurny	pochmurny	śnieg	śnieg	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.		4.8
23		751.68	754.56	757.00	760.14	755.92	— 6.4	— 5.6	— 2.8	— 4.0	— 4.70	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
24		762.44	763.64	763.74	764.32	763.54	— 6.7	— 5.9	— 5.7	— 6.3	— 6.15	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn	PdW.		
25		764.24	764.16	763.04	762.04	763.37	— 8.6	— 6.7	— 6.4	— 12.6	— 8.58	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
26		760.27	759.44	756.96	753.11	757.44	— 10.9	— 8.4	— 4.6	— 7.1	— 7.75	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		745.03	74 .08	734.39	732.66	738.04	— 10.1	— 3.8	+ 2.3	— 1.3	— 3.22	pogodny	pogodny	pochmurny	śnieg	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		4.8
28		736.44	740.20	742.67	741.49	740.18	— 0.3	+ 1.0	+ 1.9	— 0.6	+ 0.80	pochmurny	pochmurny	deszcz	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
29	◑.	735.14	734.61	736.78	742.42	737.24	— 0.2	+ 2.7	+ 0.5	+ 0.7	— 0.57	Śnieg	pochmurny	śnieg	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		9.2
Śre.		745.23	745.80	745.52	746.09	745.75	—5°.17	—3°.50	—2°.02	—3°.90	—3°.64	94.3								11.0	60.4

Wilgotność średnia dzienna: 94.3 | 100. | 89.2 | 93.8 | 97.8 | 96.5 | 97.2 | 91.0 | 91.5 | 88.5 | 91.2 | 93.2 | / | / | / | 95.5 | / | 90.2 | 96.0 | 90.0 | 88.7 | 95.2 | 89.0 | 93.5 | 89.5 | 99.5 | 93.3 | 96.2 | 98.5

	m.	s.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.75	27	6.59
Najwyżej barometr dochodził d. 24 o g. 10 w.	764.32	28	2.82
Najniżej — — d. 7 o g. 6 r.	729.67	26	11.46
Średnia zmiana dzienna barometru	6.43		2.85
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 4 w.	22.57		10.00
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	4.53		2.00
	750.28	27	8.59
Średnia temperatura lutego wynosi:	— 3°.64 C.		— 2°.91 R.
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	0.35 ,,		0.27 ,,
	— 3.29 ,,		— 2°.64 ,,
Największe ciepło było d. 29 o g. 10 r.	+ 2.7 ,,		+ 2.16 ,,
Największe zimno — d. 12 o g. 6 r.	— 11.4 ,,		— 9.12 ,,
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.65 ,,		2.12 ,,
Największa zmiana dzienna temperatury d. 27—28 o g. 6 r.	9.8 ,,		7.84 ,,

Termometrograf wskazał: Maximum: + 2°.5 R. przed połud.
Minimum: — 9°.8 ,, d. 12 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 94.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.33 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o dwie setne większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 11.0 mil. czyli 4.87 lin. par.; ze śniegu 60.4 mil. czyli 26.76 lin. par.; razem wody z deszczu i śniegu 71.4 czyli 31.63 lin. par.; ilość ta wody jest większa o 31.5 mil. czyli o 13.95 lin. par. niż w stanie normalnym (32.96 mil.).

Dni pogodnych było 0, napół pogodnych 8, pochmurnych 21.
Dni deszczu 3 (d. 1, 5, 28).
— śniegu 14 (d. 4, 5, 6, 7, 8, 12, 14, 15, 16, 17, 19, 22, 27, 29).
— mgły 3 (d. 1, 11, 17).
Wiatrów mocnych 14
Wichrów 7 (3 Z., 1 Pd., 1 PdZ., 1 Pn., 1 PnZ.).
Wiatr panujący Zachodni, częste były także Północno-Wschodnie i Południowo-Wschodnie.

Luty r. b. odznaczał się niepogodnem stanem nieba, mroźnem powietrzem, częstemi i obfitemi śniegami i ten miesiąc stanowił u nas w r. b. właściwą zimę, był bowiem blizko o dwa stopnie R. zimniejszy od stycznia r. b. a o 0.3 stop. R od stanu normalnego. Najcieplejsze dni były: d. 5, 6, 28; najzimniejsze d. 11, 12, 13, 14, 25, 26. Barometr utrzymywał się nizko i przy częstych zmianach wiatru, podległ znacznym i częstym zmianom; śniegi i zamiecie śnieżne były częste. Ilość wody z deszczu i śniegu jest dwa razy większa niż zwykle; ilość wody z samego śniegu 26.76 lin. par. jest przeszło trzy razy większa niż w stanie normalnym. Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest 26.7 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 54 stopni d. 11 o g. 10 rano, przy niebie pogodnem i mroźnem powietrzu. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 4.1:6.6:17.6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 0:8:21; wichry i wiatry mocne były częste. Dnia 7 o godz. 3 m. 52 rano w czasie pełni, przypadło zaćmienie księżyca cząstkowe, które dla chmur tylko w początku było widzialném; poczem nastąpiła zamieć śnieżna; tegoż dnia panował silny wiatr zachodni.

Wysokość wody na r. Wiśle pod Warszawą największa stóp 5 cali 6 d. 27,
„ „ „ najmniejsza „ 4 cali 9 d. 13.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o 8 godz. rano.

JAN HUNIAD

WOJEWODA.

NAPISAŁ

Karol Sosnowski.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

ROZDZIAŁ I.

Stan Węgier; urodzenie Huniada; pierwsze jego zasługi u Zygmunta i Alberta. —Wybór Władysława Jagiellończyka na tron węgierski; bitwa pod Szegszard, oswobodzenie Belgradu. — Wojna turecka w Siedmiogrodzie, bitwa pod Szent Imre, na Jałomnicy i pod Waskapu.

W końcu XIV wieku islamizm był w całéj sile zapału religijnego i żądzy zdobyczy. Niezgody monarchów chrześciańskich, współzawodnictwo naczelników kościoła, upadek obyczajów, ułatwiały im jeszcze drogę do zaborów. Cesarstwo greckie utraciwszy całą Azyą mniejszą, najpiękniejsze Europy prowincye, nie było w możności opierać się naciskowi Turków. Zamknięte w murach Konstantynopola, wyglądając co chwila ostatecznego upadku, nikczemną pokorą i intrygami przedłużało na krótko swój byt. Wszystko do brzegów Dunaju, było już w mocy najezdzców. Koléj obrony Europy przyszła na Węgry. Pod panowaniem Ludwika Wielkiego, państwo węgierskie dosięgło wielkiéj potęgi i znaczenia: granice powiększone, porządek i zamożność wewnątrz. Ale po jego śmierci, z braku męzkiego potomka, wybuchły zawichrzenia; panowanie Maryi i Karola II zapeł-

nione mordami i zdradą, nie dawały czasu myśléć o wrogach zagranicznych. Dopiéro gdy Zygmunt utwierdził się na tronie, widząc coraz groźniejsze niebezpieczeństwo, zrobił dwie wyprawy: piérwszą zrobił w 1392 r. z Mirczą hospodarem wołoskim, wpadł do Bułgaryi i po długiém oblężeniu opanował Nikopolis nad Dunajem, ale nadeszłe przeważające siły Turków, zmusiły go do cofnięcia się nazad bez stanowczych skutków; druga, na którą zebrało się rycerstwo z całéj Europy, poniosła okropną klęskę pod Nikopolem w 1396 roku. Cała armia, liczna do stu tysięcy, była zniszczoną zupełnie: Zygmunt zaledwie z życiem uciekł. Powodem téj klęski, mimo waleczności Krzyżowców, był nieporządek i brak jedności w dowództwie. Wyciągnięci długą linią, natknęli na skoncentrowane siły Bajazeta, i wtedy, kiedy tył kolumny dochodził, to czoło już było pobite. Przyczém Serbowie walcząc na stronie sułtana, głównie do jego zwycięztwa się przyczynili. Nie piérwszy to raz Słowianie użyci jako narzędzie, wylewają więcéj krwi, zdobywają więcéj korzyści dla wroga, aniżeli potrafili dla samych siebie. Dopiéro wyprawa pod wodzą Alberta austryackiego była pomyślniejszą: pobito Ottomanów, odebrano Belgrad i część północną Serbii. Granice węgierskie zetknąwszy się z tureckiemi, były otwarte na ciągłe ich napady. Pograniczne komitaty musiały być zawsze w pogotowiu do walki. Przeciw mniejszym napadom opierali się sami. W zamkach położonych na nieprzystępnych miejscach zostawiali rodziny, majątki, a sami w polu ucierali się z wrogiem. Obie strony na lekkich zwinnych koniach, jednakowo prawie uzbrojone, wysilały się na lepsze podstępy i niespodziane uderzenia. Często udawało się Węgrom wygonić nieprzyjaciela, a nawet popędzić za nim na Wołoszę lub do Serbii. W razie mocniejszego napadu, zamykali się w murach i harcując ostrożnie, czekali odsieczy ze środka kraju. Wśród takich nieustannych zapasów i ciągłych niebezpieczeństw, gdzie każdy musiał być rolnikiem i żołnierzem, zarówno pługiem jak i szablą władać, wychował się mąż, którego całe życie poświęcone było opieraniu się mahometanizmu, który trzy razy wdzierał się w środek ich pań-

stwa, i który, mimo klęsk poniesionych, jedyną był dla nich zaporą—był nim Jan Huniad.

Pochodzenie i urodzenie jego jest niepewne i niejasne. Mimo, że on sam do takiéj sławy i godności się dobił, że był piérwszym w kraju, że syna purpurą odziano, genealogia jego jest ciemna: nie wiadomo z pewnością gdzie i kiedy się urodził i jaka była narodowość i stan jego rodziców. Zapewne musiało to być nie świetne, kiedy współczesni woleli zamilknąć lub niezręcznie nakręcać. Najprawdopodobniéj urodził się około 1392 r. Miejsce urodzenia jest wątpliwe między Siedmiogrodem i Wołoszczyzną, gdyż rodzice jego w tym czasie rozmaicie przebywali. Ojciec zwał się Buth albo Wojk z Huniad (1), z pochodzenia rumuńskiego; matka Elżbieta Morsinaj, Greczynka, którą kronikarze robią pokrewną cesarzów wschodnich. Józef Teleki, jeden z najnowszych badaczy historyi węgierskiéj, dowodzi usilnie, że pochodzenie Huniada jest czysto madziarskie. Mimo wielkiéj erudycyi, znać jednak nakręcania patryotyczne. Przed 1848 rokiem w Siedmiogrodzie Węgrzy, Szeklery i Niemcy, mieli tylko prawa swéj narodowości; Rumuny, których ludność była największa, bo prawie trzy czwarte całéj, nie mieli żadnych. Byli jako włościanie przywiązani do gruntu, lub jeżeli nawet wolni, jak po miasteczkach, to bez praw politycznych. Jeżeli więc który wyniósł się talentem lub zasługą, to musiał przybierać którą z prawnych narodowości, i zwykle wybierano węgierską. U dawnych Madziarów, pochodzenie takie nie było za świetne uważane: dlatego takie wahanie i niepewność o przodkach wojewody i króla. Podnosi to więcéj zasługi Huniada, iż w tych feudalnych czasach, gdzie urodzenie takie znaczenie i ułatwienie wyniesienia się dawało, tak wysoko się wzniósł. Najtrudniejszém dla człowieka nieznanego, a dobijającego się sławy, jest wybić się z tłumu; późniéj talenta i szczęście łatwiéj torują drogę.

(1) W akcie urzędowym Władysława Warneńczyka, nadającym donacyą dwom Huniadom, nazwani są synami Wójka z Huniad. W kronikach węgierskich często rodzic jego nazwany jest Buth albo Butho.

Naród węgierski, niezadowolony skromném pochodzeniem swego bohatéra i ulubieńca, stworzył legendę, w któréj choć nie moralne, ale świetne dał mu urodzenie. Opowiadają, że gdy Zygmunt król węgierski szedł na wyprawę przeciwko Turkom, na jednym odpoczynku poznał piękną i młodą dziewicę Elżbietę Morsinaj, córkę wołoskiego bojara. Król pokochał ją, zyskał wzajemność i uwiódł. Za powrotem z wojny, znowu tu się zatrzymał, żeby zobaczyć swą ulubioną. Elżbieta wyznała mu wtedy, że jest w stanie błogosławionym. Zygmunt przysięgał jéj miłość, wierność i opiekę. Prosił ją, żeby jak urodzi dziecko, przybyła z niém do Budy, a on mu zapewni przyszłość. O małżeństwie rozmowy nie było, gdyż król był już po drugi raz żonaty z Barbarą hrabianką Cylii. Żeby jednak za przybyciem do stolicy ułatwiony miała przystęp do niego, zostawił jéj kosztowny pierścień, za którego pokazaniem, wszystkie drzwi będą jéj otworzone. Stary Morsinaj jednak po odjeździe Zygmunta, nie wierząc w obietnice królewskie i dla pokrycia hańby, wydał córkę za mąż za biédnego bojara. Wtedy urodził się Jan Huniad. Mąż niezadługo umarł, a Elżbieta ufna w obietnice Zygmunta, i chcąc zyskać dla syna godności i majątek, w towarzystwie brata, wybrała się w podróż do Budy. W drodze dziecku bawiącemu się na łące złotym pierścieniem, kruk porwał i uleciał na poblizkie drzewo. Na krzyk matki, brat przyleciał i dwa razy strzelał z łuku, nim kruka zabił i pierścień odebrał. W Budzie Zygmunt dobrze ich przyjął, nadał synowi donacyą Huniad w Siedmiogrodzie, złożoną z zamku i kilkudziesiąt wsi, a za herb, na pamiątkę wypadku w podróży, Kruka, trzymającego w dzióbie pierścień złoty.

Huniad miał trzy siostry, o których nie zostało żadnéj wieści, i młodszego brata, także Jana, który podzielał z nim początkowo przygody i sławę aż do 1441 roku. Obaj bracia piérwszą młodość przepędzili w zaciszu domowém; wykształcenia wyższego nie odebrali, kiedy nie umieli po łacinie, języka, który wówczas był językiem rządu i dyplomacyi. Za to umieli doskonale dosiadać dzikiego konia, rąbać szablą lub strzelać z łuku.

Piérwsza ich szkoła wojenna nie jest z pewnością wiadomą; kronikarze rozmaicie utrzymują: podług jednych, miał najprzód służyć u króla bulgarskiego; inni znowu, że zaczął w szeregach Dymitra Suchi, biskupa zagrabskiego. To pewna, że późniéj wstąpił do wojsk królewskich Zygmunta i tam odwagą i świetnemi czynami odznaczywszy się, szybko niższe stopnie przebiegł, został dowódzcą oddziału, radzcą koronnym. Towarzyszył późniéj Zygmuntowi na koronacyą do Frankfurtu, następnie miał udział w wojnie przeciw Husytom czeskim, w wyprawach przeciw Turkom; w końcu jego panowania policzony został między szlachtę królewską (Milites Regii), i pozyskał ogromne donacye. Cały ten piérwszy początek jego losu, kronikarze krótko i ogólnie wspominają i łączą z bratem młodszym. Zięć i następca Zygmunta, Albrecht habsburgski, jeszcze więcéj wynosi obu Huniadów: mianuje ich baronami królestwa z donacyą Szóreny. Baronia ta, położona w południowym Siedmiogrodzie, była narażona na ciągłe napady Turków; z godnością więc połączono zaszczyt niebezpieczeństwa i obowiązek obrony. Huniad na czele szlachty okolicznéj i swego nadwornego hufcu, postawiony jak przednia straż chrześciaństwa, ciągle ucierał się z niemi, odpierał napady, dniem i nocą był gotów do walki. W tych utarczkach ranny był młodszy Huniad w 1441 roku, i więcéj na pole bitwy i dziejów nie występuje. Wszystkie czyny na polu wojskowo-politycznym, odnoszą się już tylko do starszego Janosza Huniad, wątpliwości i cienie znikają. Historya przedstawia nam wyraźnie i szczegółowo działania tego męża, które tak żywotne dla Węgrów i tak smutnie skończyły się dla naszego Warneńczyka.

Po nagłéj śmierci Albrechta w 1439 r., ponieważ pozostały dwie córki i królowa przy nadziei, mimo, że tron był upewniony następcom lub żonie, stany państwa mając na względzie coraz grożniejsze niebezpieczeństwo potęgi tureckiéj, postanowiły wybrać na tron młodego Władysława króla polskiego, spodziewając się, że połączonemi siłami dwóch państw i energicznym rządem, łatwiéj się oprą napływowi wschodniemu. Jednym z partyi, która widziała zbawienie kraju w tym wyborze, i który

wiele swemi przedstawieniami do tego się przyczynił, był Huniad. Miała i Elżbieta swoje stronnictwo, będące w części z przywiązania do jéj domu, więcéj zaś w nadziei rządzenia pod jéj imieniem. Spory wszczęły się najżywsze, kiedy większość dla pojednania obu stron dołożyła do wyboru Władysława warunek, poślubienia królowéj wdowy. Elżbieta przystała na to. Dla uregulowania następstwa tronu, zgodzono się, że jeżeli królowa urodzi syna, to będzie panował tylko w Czechach i w Austryi; dzieci zaś z nowego małżeństwa, nad królestwem węgierskiém. Wybrano posłów do Władysława pod przewodnictwem Jana biskupa segnijskiego, z ofiarą korony i z chęcią skłonienia do przyjęcia tejże. Władysław z początku zawahał się, bał się łączyć z kobiétą o tyle starszą od niego, i któréj córkę pierwéj mu przeznaczali. Względy jednak polityczne przeważyły, zgodził się i zaczął wybierać się do Budy. Podczas tego, Elżbieta w Komarnie 22 lutego 1440 roku porodziła syna nazwanego Władysławem Pogrobowcem, i czy przez chęć panowania za jego małoletności lub też przez prawdziwe przywiązanie, nie chcąc go pozbawiać korony węgierskiéj, odwołuje swoje zgodzenie się, jako wymuszone, i protestuje przeciw wyborowi króla polskiego. Jagiellończyk jednak za radą swoich i posłów nie cofa swego przyjęcia, ale na czele licznéj a świetnéj drużyny swych panów, siłą zamierza poprzéć swoje prawa. Udał się naprzód z Krakowa do Sącza, gdzie był punkt zborny dla wszystkich, potém przez Kesmark do Jagry (teraz Eger). Tu się dowiedział, że królowa Elżbieta na wieść o jego wkroczeniu, koronę świętego Szczepana potajemnie z zamku wyszehradzkiego zabrawszy, w Białogrodzie stolicznym (Stuhlweissenburg) trzechmiesięcznego syna koronować dała. Nie zrażony jednak posuwa się do Budy, która przez naprzód wysłany oddział, już zajętą została: d. 23 lipca przybywa do stolicy, gdzie uroczyście i okazale przez lud i panów madziarskich przyjęty. Ze wszystkich stron przychodziły poselstwa z pozdrowieniem Władysława. Słowianie Południa piérwszy raz zobaczyli zblizka potęgę Polaków i radziby się pod jéj skrzydła utulić. Poselstwo od króla Bośnii przypomina-

ło o wspólności plemienia i języka, i o korzyściach wspólnego przymierza i przyjaźni. Posłowie serbscy Jerzego Brankowicza także napominali o tożsamości pochodzenia i potulnie, jak zwykle słabi, prosili o pomoc przeciwko Turka (1).

Spokoju jednak w kraju nie było: Elżbieta sprowadziwszy z Czech wojska najemne, osadziła niemi świeżo oszańcowany Jaworyn (Raab); niektóre miasta w północnych Węgrzech, które się za nią oświadczyły, zachęcała do oporu i walki. Sama zaś schroniła się z synem do Preszburga. Władysław zmuszony do dobycia oręża, posyła wojsko na obleganie Jaworynu, pod dowództwem Huniada i Stanisława Ostroroga wojewody poznańskiego. Hrabia Cylii, główny doradca królowéj, przypadkiem tu się znajdując został schwytany, jak się wymykał z fortecy.

Władysław zniechęcony widokiem długiéj wojny domowéj, chcąc przytém poznać prawdziwe myśli otaczających go panów węgierskich, zwołuje na radę wszystkich znakomitszych i oświadcza, że dla uspokojenia kraju, dla zapobieżenia krwi wylewu, przekłada zrzec się praw do korony, i wróci do Polski. Mowa ta zrobiła ogromne wrażenie i podniosła tylko zapał dla króla. Powtarzano przysięgi przywiązania i wierności, i ubłagano króla, że został. Wzięto się zaraz do obrzędu koronacyjnego, i w braku korony uwiezionéj, wzięto koronę, którą się król Stefan I. koronował, a również miała wielkie poważanie. Obrzęd koronacyi odbył się ze zwykłemi ceremoniami w Białogrodzie stolicznym. Koronacyą Pogrobowca unieważniono, a biskup Agryi ogłosił edykt, aby nikt nie ważył się syna Alberta za króla uważać.

Wojna jednak nie ustawała. Elżbieta niezrażona niczém, ciągle swych stronników podbudzała do działania,

(1) Jerzy Brankowicz wstąpiwszy na tron serbski po Stefanie Lazarewiczu w 1427 roku, długo chytrą polityką utrzymywał się od zaborów tureckich. Ale w końcu Murat zdobył całą Serbią 1439, wraz z stolicą Smederewem, gdzie znalazłszy dwóch jego synów, kazał ich oślepić. Jerzy ze swemi skarbami uciekł naprzód do Raguzy a potém do Węgier, gdzie znalazł gościnne przyjęcie, i gdzie mu naznaczono kilka miast i wsi na utrzymanie.

choć sama dla bezpieczeństwa schroniła się do Austryi do Fryderyka króla rzymskiego, powierzając mu dziecko na wychowanie, i w zastaw za pożyczone pieniądze koronę świętego Szczepana. Jeszcze jeden potężny stronnik jéj przybył: Władysław Gara ban Sławonii. Niewdzięczny za uratowanie życia i dostojności Jagiellończykowi, powodowany zmiennością charakteru, i zazdrością, że nie jest piérwszą osobą przy królu, przeszedł na stronę Elżbiety. Na zachęcenie jéj podburzył Kroacyą, Sławonią, południowe komitaty, i z liczném wojskiem stanął pod miastem Batta. Ślepi Słowianie dali się przeciwko słowiańskiemu królowi łatwo pobudzić. Władysław przeciwko niemu wysyła Huniada, daje mu swoich przybocznych żołnierzy, wojska, które bezskutecznie oblegały Jaworyn i oddział wojsk węgierskich pód wodzą Mikołaja Ujlaki Fryntarcha. Huniad przybywa pod fortecę Szegszard, w komitacie Tolna, zajętą już przez nieprzyjaciela. Po próżnych namowach do zgody, Gara występuje z warowni i przyjmuje bitwę na otwartém polu. Bitwa była zacięta i długo niepewna. Regularne wojsko Huniada dużo ucierpiało, nim potrafiło złamać waleczne tłumy Słowian; w końcu porządek, zręczne rozporządzenia wodza, który w stanowczéj chwili umiał użyć rezerwy Ujlakiego, zapewniły mu zwycięztwo. Gara widząc swoich rozpierzchłych, opuścił pole bitwy, i zostawiszy załogi po fortecach, schronił się do Granu, gdzie przebywała królowa. Huniad zdobył Szegszard, zabrał wiele jeńców i łupów; ale inne zamki, jak Simontornya i Siklos, dzięki swym wyniosłym położeniom, oparły się. Nie chcąc tracić czasu i ludzi na ich zdobywanie, Huniad zostawił tylko małe oddziały do ich strzeżenia, a sam z niewolnikami powrócił do Władysława, gdzie mile został przyjęty. Jeńców dosyć łagodnie król o złamanie przysięgi napomniawszy, przypominając wspólność pochodzenia, że tym sposobem przeciw własnéj krwi walczyli, po krótkim czasie na wolność wypuścił, a nawet udarował wsparciem na drogę.

Nie długo jednak Huniad odpoczął: Turcy korzystając z zamieszek domowych, z wielką armią i liczną artyleryą przyszli pod Bielgrad 1440 r. Amurat pragnął ko-

niecznie zdobyć tę warownią, przeszkadzającą napadom do Węgier. Sześć miesięcy trwało oblężenie. Ale Bielgradu dzielnie bronił przeor rycerzy świętego Jana jerozolimskiego, Jan Szövany, rodem z Raguzy. Wszystkie wysilenia sułtana rozbiły się o wytrwałość i czujność tego wodza. Na pomoc zagrożonemu miastu nadleciał Huniad; nie mając odpowiednich sił do stoczenia stanowczéj bitwy, rozpoczął wojnę podjazdową: przecinał dowozy żywności, niepokoił w nocy, rozbijał małe odosobnione oddziały, i tak znużył wojsko Amurata, iż tenże straciwszy nadzieję zdobycia miasta, odstąpił od oblężenia. Władysław na początku oblężenia, próbował przez posła Piotra Łączyńskiego, odciągnąć Turków od fortecy. Poseł zawiadomił sułtana urzędownie, że Władysław król Polski, z którym w dobrych zostawał stosunkach, a nawet niedawno jeszcze pomoc mu ofiarowywał przeciw Albertowi, teraz został królem węgierskim; że zatem żąda, aby państwa jego nie napadał, i od oblężenia odstąpił, czém dowiedzie swéj przyjaźni, z którą się tak oświadczał. Ale Turka od zdobyczy nie tak łatwo słowami odgonić. Pod pozorem traktowania, Łączyńskiego odesłano do Smederewa (Semendria), i tam tak długo zwlekano odpowiedź, aż się sułtan zdecydował odstąpić. Na końcu odpowiedziano: że wtedy nastąpi przyjaźń i zgoda między monarchami, jak Władysław zgodzi się odstąpić Roscyą po Sawę wraz z Bielgradem.

Świetne czyny Huniada przeciwko Garze i pod Bielgradem, przy tém obstawaniu na sejmie lub radzie zawsze za stroną królewską, wymagały słusznéj nagrody: Władysław mianował go współwojewodą siedmiogrodzkim razem z Mikołajem Ujlaki, oraz dowódcą Bielgradu i dolnego Dunaju.

Chcąc się pokazać godnym tych łask królewskich, Huniad dowiedziawszy się, że oddział Turków stoi pod Smederewem, niedaleko granic węgierskich, zbiera swoje poczty, oraz towarzysza Ujlakiego, napada niespodzianie i znosi ich zupełnie 1441 r. Zwycięztwa te, oraz jego niezmordowana czynność i odwaga szalona, robią coraz głośniejszém i sławniejszém imię Janosza Huniad. Węgrzy

z dumą spoglądają na swego bohatera i obrońcę od napadów tureckich; rozgłos o nim już się rozchodzi daleko.

W Węgrzech tymczasem wojna domowa nie ustawała: tłumy Czechów, najęte złotem Elżbiety, pod wodzą zdolnego i bystrego Jana Iskry, tytułującego się hetmanem wojsk Władysława Pogrobowca, dużo szkód i zawichrzeń sprawiały. Wiele miast, jak Koszyce, Bardyów, Kremnica i inne, stronę królowéj trzymały. Władysław za łagodnie z niemi postępując, jeszcze bardziéj uzuchwalał. Panowie przechodzili z jednéj strony na drugą, i wszędzie łaskawie przyjmowani. Wojska nie były prowadzone z ogólnym planem zniszczenia nieprzyjaciół, ale rozdrobnione, rozrzucone, biły się bez skutku: dowódcy i razem właściciele tych oddziałów, pamiętali więcéj o łupach jak o sprawie królewskiéj. Polacy bez myśli politycznéj, o połączeniu się naprawdę z Węgrami, których ludność po większéj części była słowiańska, słabo popierali Władysława. Dopiéro papież Eugeniusz IV obawiając się potęgi Ottomanów, których lotne wojska mogłyby i na pola Italii zawitać, mianował kardynała Cezaryniego legatem przy dworze polsko-węgierskim, z poleceniem przyprowadzenia zgody między Elżbietą i Władysławem, skłonieniem króla do wypowiedzenia wojny, oraz do oświadczenia posłuszeństwa władzy papiezkiéj w imieniu ludów rządzonych.

Na południowych granicach zachodziły teraz ważne wypadki. Amurat rozgniewany o nie wzięcie Bielgradu, a jeszcze bardziéj o zaczepne działanie Węgrów; zgromadza na wiosnę, 1441 roku, ogromne wojska, i pod dowództwem Meszid Beja wielkiego koniuszego swego, szle na zawojowanie Siedmiogrodu i na pomszczenie klęsk doznanych. Na tę wiadomość Huniad szybko zbiera swe hufce, i idzie 18 marca na spotkanie najezdców. Szczęście odmówiło mu swego uśmiechu, wojska były za słabe; mimo więc odwagi i talentu wodza, oskrzydleni przez baszi buzuków, z frontu naciskani przez regularną jazdę spahów, zostali zgnieceni i zmuszeni do spiesznego cofnięcia. Południowy Siedmiogród został otwarty. Zachęceni zwycięztwem Turcy, podług zwyczaju, rozsypują się po całym kraju, rabują, niszczą: wszystko ucieka albo

ginie. Jeden Sibin (Hermanstadt) bogaty, ludny, otoczony grubemi murami, opiera się. Meszid Bej oblega go z głównemi siłami, używa wszystkich środków do jego dobycia. Z jego upadkiem cały Siedmiogród i ogromne skarby wpadną mu w ręce. Huniad pamięta także o tém, nietracąc ani czasu, ani odwagi: podniecony klęską i niebezpieczeństwem, zbiera resztki wojsk, ogłasza insurekcyą czyli nasze pospolite ruszenie. Miecz krwawy obnoszony jest od wsi do wsi. Na ten znak widomy niebezpieczeństwa kraju, każdy Madziar obowiązany pod utratą czci i majątku schwycić za broń, na koń i daléj na wroga.

Zobaczywszy Huniada, Meszid Bej porzuca oblężenie: doświadczony wódz nie rozdziela swych sił przed chwilą stanowczą. Jeżeli wygra bitwę, miasto pozbawione odsieczy samo się podda; jeżeli przegra, to i tak wszystko stracone. Spotkanie następuje na równinie między Sibinem i Szent Imre (świętego Emeryka). Przed bitwą w obozie madziarskim rozchodzi się wieść, że bej dał opis szczegółowy Huniada najwaleczniejszym swym spahom, z rozkazem żywego lub martwego dostać koniecznie. Wieść ta przestrasza Węgrów o życie ukochanego i walecznego ich wodza. Jeden ze szlachty, Szymon Kemeny śmiały młodzian, podobny do niego z ruchów i powierzchowności, prosi go o pozwolenie przebrania się w jego zbroję, oznaki, by tym sposobem oszukać Turków. Huniad na usilne prośby towarzyszy zgadza się, więcéj dla ich uspokojenia, jak dla uniknięcia niebezpieczeństw. Kemeny dobiera sobie z ochotników doborowy szwadron i w znakach hetmańskich zuchwale stawa przed frontem wojska. Walka się rozpoczyna utarczką przednich straży dla rozpoznania sił i zamiarów wzajemnych; główne korpusy poruszają się zwolna, stępo. Później coraz prędzéj, kłusem zbliżają się do siebie: konie i ludzie rozgrzewają się na widok boju, krzywe szable dobywają się z pochew, galop, i w cwale uderzają na siebie. Spahy skierowali się na przebranego Huniada i jego orszak: tam najzawziętsza walka się rozpoczyna. Jeźdźcy zmieszali się, tumany kurzu się wznoszą i ukrywają cięcia i śmierć.

Ziemia jęczy pod kopytami, a powietrze od okrzyków. Wszystkie oddziały szybko wchodzą do bitwy, która coraz gorętsza, coraz ogólniejsza się staje. Kemeny z niezwyciężonym szwadronem coraz głębiéj zanurza się w tłumach Osmanów, i jak lawa wszystko roztrąca i niszczy przed sobą. Huniad i Meszid Bej objeżdżają swe wojska i zachęcają do wytrwania: jeden obiecuje huryski w niebie lub łupy na ziemi; drugi zagrzewa obowiązkiem obrony wiary i kraju. Na widok bitwy załoga Sibina występuje nagle i uderza z tyłu na Turków. Na to tylko czekał Huniad; to jest chwila stanowcza: na czele rezerwy rzuca się śmiało w sam środek linii tureckiéj, przełamuje zachwiane ich szeregi i zdobywa szalę zwycięztwa. Turcy zmięszani, rozbici, uciekają, a w ucieczce więcéj ich jeszcze ginie, jak w bitwie. Węgrzy dumnie wchodzą do oswobodzonego miasta. Na pobojowisku znaleziono do 20,000 zabitych i rannych. Węgrów zginęło do 3,000, a między nimi bohatérski Szymon Kemeny. Meszid Bej uciekł z synem z pola bitwy, ale w pogoni Madziary roznieśli ich na szablach. Obóz cały, napełniony bronią i grabieżą, był zabrany: część rozdano żołnierzom, a resztę obrócił Huniad na zbudowanie klasztoru w dolinie Töwis, na cześć św. Pawła Pustelnika.

Korzystając ze swego zwycięztwa, Huniad nie odpoczywa, ale uporządkowawszy wojska, przechodzi Karpaty i goni Turka na Wołoszy. Jednocześnie despota serbski Jerzy Brankowicz na wiadomość o napadzie, zbiera swe hufce, przeprawia się przez Dunaj pod miasteczkiem Slatina, uderza na nich z tyłu i dopomaga do zupełnego zniesienia. Huniad zadaje im ostatni cios na rzece Jałomnicy i resztki przepędza za Dunaj.

Wynagradzając za pomoc Jerzemu, posyła mu wóz naładowany zdobyczą, który zaledwo dziesięć koni uciągnąć mogło. Na wierzchu ozdobionym bronią i chorągwiami, leżały ucięte głowy Meszid Beja i jego syna. Na przodzie siedział okuty z założonemi nogami stary Turek, któremu polecono pozdrowić księcia i ofiarować łupy w imieniu wodza.

Po skończonéj wyprawie, gdy Huniad wrócił do kraju, ludność wszędzie wybiegała przeciw niemu, witała

okrzykiem i kwiatami, dziękując za swoje wybawienie. Pokój jednak był niepewny; sułtan nie przebaczy klęski, nie pożałuje krwi swego ludu. Naród złożony z samych żołnierzy, których zajęciem i utrzymaniem była wojna i rabunek, nie wyczerpnie się jedną straconą armią. Na rozkaz Amurata w następnym roku nowe hordy z Azyi i Rumelii się zbierają, liczne do 80,000 pragną pomścić się mieczem i ogniem. Dowództwo bierze Szechabedin pasza, leci znanemi drogami i po świeżych śladach do Siedmiogrodu. Wytrwały Huniad gotuje się do oporu: wojsko zgromadzone, insurrekcya powołana, ale niestety, mimo zapału, potrzeby, armia jego nie przenosi razem 20,000. Doświadczenie przekonało go, że to zamało do zmierzenia się w otwartym boju. Trzeba więc zmienić taktykę i prowadzić wojnę partyzancką. Huniadowi łatwo to przychodzi, znając doskonale położenie kraju: unika walnéj bitwy, a trapi tylko wroga drobnemi napadami. Zniszczył okolicę, żeby ogłodzić nieprzyjaciela, poniszczył drogi i mosty, a ludność i składy żywności pozgromadzał w dużych i warownych miastach.

Turcy nie mogąc nigdzie znaléźć przeciwnika w massie, żeby jedném zwycięztwem spokojność i przewagę sobie zapewnić, zmuszeni przytém głodem, naśladują działanie Huniada i rozdzielają się na kilka kolumn. Tego też czekał chytry Janko, jak go Turcy przezywali: zbiera szybko swe hufce rozrzucone i uderza niespodzianie na osłabionego podziałem Szechabedina paszę. Pod Waskapu pobija go ogromnie i zmusza do ucieczki. Przegrana jednak zgromadza Turków i do nowéj bitwy prowadzi. Walka zawiązuje się żywa i zacięta. Pasza przestraszony ucieka bezwstydnie, jego miejsce zastępuje dzielny Osman Czelebi, który ginie w zamieszaniu; Huniad coraz ostrzéj napiera i nakoniec rozbija zupełnie: Turcy w nieładzie uciekają. Zwycięztwo zupełne: kilkanaście tysięcy na placu, pięć tysięcy niewolników, cały obóz, dwieście chorągwi i buńczuków: dzięki i chwała Huniadowi! Siedmiogród wolny od tłumów niewiernych. Huniad znów gonił aż do Dunaju, a podobno i wpadł na ziemię Bulgarów.

W tym czasie przysłał Amurat świetne poselstwo do Budy, niby dla zawarcia pokoju, gdyż warunki były niepodobne do przyjęcia—płacenie haraczu lub oddanie Bielgradu—ale rzeczywiście dla rozpoznania stanu wewnętrznego Węgier. Ale zwycięztwa Huniada, zgoda z królową za pośrednictwem kardynała legata, a potém jéj śmierć, dając nadzieje pokoju i obrócenia wszystkich sił państwa przeciwko Turkom, sprawiło, że dumnie i groźnie odpowiedziano na żądania sułtana.

ROZDZIAŁ II.

DŁUGA KAMPANIA.

Przygotowania wojenne; drogi prowadzące z Węgier do Turcyi.—Zdobycie Kruszewca, Niżu, i bitwa pod tém miastem.—Polowanie królewskie, napad nocny, bitwa u stóp Bałkanu, opanowanie wąwozu Zlatyckiego, odwrót, wejście do Budy.—Skinder Bej.

Zuchwałe roszczenia sułtana pokazywały jasno, że wojna z nim stanowcza jest nieuchronną i konieczną; wybór Władysława i przyjęcie korony, były dowodem zrozumienia położenia i chęci wykonania. Przytém dowiedziano się, że Ibrahim książe Karamanii wpadł do posiadłości sułtana i wiele miast i okolic mu poniszczył; przez co Amurat zmuszony był pospieszyć do Azyi dla powstrzymania jego napadu. Namawiał on króla do jednoczesnego napadu na Osmanów: jak z dwóch stron uderzymy, mawiał, to ich zdusim w pośrodku. Despocie powrócimy jego kraje, Anatolia do morza do mnie należéć będzie, a wam dostanie się Rumelia. Zniszczywszy potęgę sułtana, sami w zgodzie sąsiedzkiéj żyć będziemy. Zamieszania domowe nie pozwoliły pierwéj wykonaniem się zająć. Teraz jednak kiedy śmierć królowéj uciszyła rozterki, kiedy większa część jéj stronników złożyła u stóp tronu oświadczenia uległości i wierności, pole do działania nadeszło. Król korzystając spiesznie z tego, nie dbając, że kilka miast razem z Iskrą opierało się, zwołuje na dzień Zesłania Ducha Świętego, 9 czerwca 1443 roku, sejm węgierski, oświadcza swe

chęci, wskazuje stosowną porę i żąda pomocy. Młodemu królowi, pełnemu ducha rycerskiego, uśmiechała się myśl wsławienia oswobodzeniem chrześcian od ucisku niewiernych i może wypędzenia całkiem Turków z Europy. Mógł przytém świetnie rozszerzyć swoje panowanie: Słowianie południowi, jak Serby, Bośniacy, Bulgary, z radością przyjęliby jego rządy. Nikt zresztą, jak on i wola oswobodzonych ludów, prawa do tych prowincyj mieć nie mógł. Zgromadzenie z zapałem przyjmuje wezwanie, wszyscy ochotnie ofiarują życie i mienie na poparcie wyprawy. Kardynał legat, którego głównym celem posłannictwa było zachęcanie do wojny, oświadczył w imieniu papieża złożyć znaczne skarby na koszta uzbrojeń. Ogłoszona krucyata w Europie ściąga tłumy krzyżowców pod chorągwie Cezaryniego. W Polsce i Węgrzech przygotowania spiesznie postępują: Huniad pamięta o wszystkiém i stosowne rozkazy wydaje. Posiadając zasługę i zaufanie króla, jest głównym organizatorem sił państwa. Wyprawiono poselstwa do cesarza Fryderyka i Wielkiego Mistrza krzyżackiego, wzywając ich do współdziałania. Nie chcieli jednak przyłożyć ręki do dzieła, w którém nie widzieli bezpośredniéj korzyści; pod błahemi pozorami wymówili się: zaledwie zdołano zawrzéć z cesarzem dwuletni rozejm, żeby sił nie rozrywać i mieć tył zabezpieczony. Prośby Brankowicza, któremu Turcy zabrali państwo, a dwóch synów wziętych w niewolą w Smederewie oślepili, pobudzały do zemsty. Z łaski Władysława znalazł schronienie i utrzymanie w Węgrzech. Teraz obiecywał zebrać resztki swych walecznych Serbów i przyłączyć się do głównéj armii. Na początku lipca piękna i dobrze uzbrojona armia do 35,000 się licząca, zebrała się. Nakazano modlitwy po kościołach za pomyślność wyprawy. Ostateczny punkt zboru dla Huniada, który swoim kosztem w Siedmiogrodzie wojsko formował, wydawszy na to 32,000 dukatów, i dla despoty, który przy dolnym Dunaju zbierał swoich, naznaczono Szlankemen. Władysław na czele wojsk polskich, węgierskich i krzyżowców różnéj narodowości, liczących do 20,000, wyrusza z Budy 22 lipca 1443 roku i posuwa się lewym

brzegiem Dunaju ku Bielgradowi. Tutaj połączył się Huniad na czele 12,000 wyborowéj jazdy i Jerzy Brankowicz despota Serbii i Albanii (północnéj). Król połączywszy wszystkie oddziały, podzielił je na trzy korpusy: wojewoda Janko ze swoim oddziałem tworzy straż przednią i maszeruje o dwa dni naprzód; drugi korpus kilkotysięczny Brankowicza; trzeci najgłówniejszy, tak liczny, jak przy wyjściu ze stolicy, zostawał pod bezpośredniém dowództwem Władysława, szedł ostatni. Rzeczywiste ogólne dowództwo z powodu młodości i niedoświadczenia króla, miał bowiem wtedy lat 18, sprawował pod jego imieniem Huniad; w głównych zresztą razach zwoływano radę. Rozpoznając drogi wojskowe, jakiemi się dostać można z Serbii do Adryanopola (po turecku Edrene) głównéj siedziby sułtanów w Europie i ich potęgi, trzy kierunki nam się nasuwają: najbliższa, najlepsza jest środkowa, idąca doliną Morawy i Nisawy do Zofii; potém przechodzi przez strome Bałkany i spuszcza się znowu na piękną i żyzną dolinę Maricy: zbiegiem jéj bez żadnéj naturalnéj przeszkody dochodzi się do stolicy padyszacha. Droga to stara, wydeptana jeszcze z czasów wojen rzymskich i wypraw krzyżowych, używana przez kupców; jedyną ma trudność przebycie gór. Dwa wąwozy prowadzą z Ichtimaru do Tatar Bazarczyka; trzeci o dzień drogi oddalony idzie przez Samoków i Bonie. Wąwozy te są kręte, spadziste, raz za szerokie, to znowu za wązkie: są łatwe zazwyczaj do obrony. Nikt tam od wieków drogi nie naprawiał, prędzéj nawet zarzucano kamieniami przed najściem nieprzyjaciół. Potrzeba je koniecznie nagłym i niespodzianym pochodem ubiedz, inaczéj będą prawie niezdobyte. Dlatego wodzom nasuwały się inne drogi dalsze, ale nietyle oporu przedstawiające. Na lewo od téj głównéj idzie droga brzegiem Dunaju. Góry są tylko od Bielgradu do Widynu (Bdyń po serbsku) zwane Hajduckie, ale Turcy mało tu byli usadowieni i zwykle ich nie bronili. Idąc daléj pobrzeżem Dunaju, wyjąwszy miast umocowanych, żadnych przeszkód niezwykłych nie było. Zbliżywszy się do Ruszczuka (po bulgarsku Perejasław) i Sylistryi (Dorostoł), trzeba było żwawo

rzucić się na prawo i szybko przebyć jeden z licznych wąwozów Bałkanu. Jest ich do ośmiu w dalekich odstępach, trudno je wszystkie dobrze bronić, zwłaszcza, kiedy mieszkańcy są nieprzychylni; jeden zdobyty, drugie wzięte we dwa ognie, muszą się otworzyć: wszystkie wychodzą na pola Tracyi. Cesarz Zygmunt tą drogą się puścił na zgnębienie islamu, ale jeszcze nad Dunajem pod Nikopolis okropną klęskę poniósł w 1396 roku.

Trzecia droga idzie na prawo od środkowéj, i jest najdłuższa. Obraca się naprzód na południe, przez sławne i nieszczęsne Kosowe Pole, przebywa się góry Skordus (po turecku Czar-dach) i wchodzi się do Macedonii na dolinę bystrego Wardaru, do Saloniki i Seresu. Późniéj brzegiem Białego (Egejskiego) morza do ujścia Maricy i Adryanopola. Korzyści z téj drogi są, że wąwozy jako najodleglejsze od oka sułtana, są najłatwiejsze do zdobycia; przytém można rachować na powstanie i pomoc niechętnych i dzielnych Arnautów, a nawet i Greków; w końcu najprędzéj można się złączyć z flotą chrześciańską i z jéj współdziałania korzystać.

Armia Władysława zaufana w swe siły, niedbając o trudy i niebezpieczeństwa, wybrała pierwszą i najbliższą drogę. Przeprawiono się przez Dunaj koło Słonego Kamienia (po węgiersku Szlankemen) przy ujściu Cisy do Dunaju, przebyto Sawę pod Bielgradem i podstąpiono naprzód pod umocowany Smederów; dowódca oddziału tureckiego Isaak Bej, niewidząc nadziei oparcia się, zburzywszy mury, cofa się lewym brzegiem Morawy; doścignął go jednak Huniad nad rzeką Zlaticą, i rozbił zupełnie. Bej straciwszy do dwóch tysięcy zabitych i do czterech tysiecy jeńców, uciekł do Kruszewac (Aładża Hissar). Huniad nie dał mu odpoczynku, przeprawiwszy się przez serbską Morawę zdobył i spalił Kruszewac, wszystko niszcząc po drodze; ztąd pociągnął do miasta Niż, gdzie nowy cios zadał Osmanom. Szczegóły o téj bitwie mamy z jego własnego listu, pisanego w pięć dni późniéj do swego współwojewody:

„Wielmożnemu panu Mikołajowi (Frysztackiemu), wojewodzie siedmiogrodzkiemu, bratu naszemu najmil-

szemu. Wielmożny panie, bracie nasz najmilszy! Sądzimy że byłoby zbytecznem, powtórnie opisywać Waszéj Miłości to zwycięztwo, jakiém przed kilku dniami Bóg Wszechmogący nas i lud chrześciański udarował; jesteśmy pewni, że Wasza Miłość i przez listy królewskie, i przez nasze, a nakoniec z samego jéj odgłosu po Węgrzech, dostacznie o wszystkiém jesteście uwiadomieni. Co zatém pominąwszy, zwracamy pióro do tych przewag, jakich Najwyższy znowu w miłosierdziu swojém dokazać nam pozwolił. Kiedyśmy bowiem po owém pierwszém zwycięztwie, głębiéj w ziemię nieprzyjacielską wkroczyli, szukając zręczności rozprawienia się z wrogami, których jednak nigdzie nie mogliśmy zaskoczyć, za rozkazem więc i pozwoleniem królewskiém, wybrawszy 12 tysięcy jazdy, tudzież wziąwszy z sobą Wasze poczty, opuściliśmy obóz nad Morawą; przeprawiwszy się przez tę rzekę, przetrząśliśmy cały kraj okoliczny, szukając ażali nieukrywał się kędy nieprzyjaciel. Późniéj podstąpiliśmy pod miasto zwane Nissa, które zdobywszy i wyniosłszy co się wziąść dało, puściliśmy je z dymem. Wtém ukazał się przed nami Isaak Bej, którego łatwo udało się pokonać i z pola spędzić. Po jego zniesieniu nadciągnął inny pasza, lecz i ten podobnież został odparty i pogromiony; nakoniec trzeci Turahan Bej wystąpił do boju, wszakże również nie dostał kroku. Widoczném było, że działali wspólnie, aby na dzień umówiony złączyć siły swoje pod miastem Nissą, i razem uderzyć na nasz obóz, ale Bóg zmieszał i zniweczył ich zamiary.

Wśród pogoni, gdyśmy się pod pewném miastem zatrzymali dla wypoczynku, doniosły czaty, że liczne i potężne wojsko, z lewego boku naszego zbliża się, i prosto kieruje swój pochód na obóz królewski, że złączyły z niém się te wszystkie oddziały, któreśmy świeżo rozgromili. Skorośmy to usłyszeli, wnet nietracąc ani chwili, pospieszyliśmy prosto do obozu króla; za powrotem naszym na to stanowisko, rozwinął się przed oczami naszemi na rozległém błoniu, widok tak groźnego i licznego nieprzyjaciela, że serce zazdrżało nam nieco z obawy; wszakże natychmiast pokrzepiwszy się na duchu, sprawiliśmy trybem

wojskowym szyki, i bez zwłoki dałem hasło do walki. Za Boską pomocą, nasze i Wasze chorągwie nieprzyjaciela rozbiły, z błahym z naszéj strony uszczerbkiem. Za co Boga błagać i błogosławić powinniśmy, że tak wielkie miłosierdzie nad ludem swoim chrześciańskim objawić raczył. Znajdowali się w téj potrzebie nowy pasza Isa Béj syn Ewrenosa. Kosim Bej pasza widyński, Siwan Bej pasza Kursolchski (?) Turahan Bej z chorągwiami chorossańskiemi, Omar Bej z sofijskiemi, i Siwan Bej z kajwanowskiemi (?), nadto Hermen (?), Begler Bej przezwany Janon, Ali Bej rządca Samly (?), Assan Bej z oddziałem z Beze (?), Kabus Bej kanclerz sułtański, Isaak rządca płowdeński (filipolski), nakoniec Daud Bej dzierżawca zetnicki (?) i wielu innych. Z tych dawny pasza został schwytany, nowy umknął. Między jeńcami liczymy wielu dowódzców, niektórzy z nich polegli, zaledwo kilku ocaliło się ucieczką. Po skończonéj bitwie złożywszy dziękczynienia Bogu Wszechmogącemu, zdobyte chorągwie na nieprzyjaciołach, oraz brańców naszych odwieźliśmy do króla, który to wszystko najpobożniéj i oddając cześć Panu Zastępów przyjął. Teraz słychać, że sułtan Amurat sam osobiście, o trzy dni drogi od nas obozem leży; inaczéj być nie może, tylko przyjdzie nam z nim walczyć. Bóg już przewidział to, co ma nastąpić, bo dni nasze w ręku Boga; niech się wola Jego stanie: wszak raz umierać przyjdzie zwłaszcza za wiarę! Wojska nasze jeszcze świéże i odważne, i z każdym dniem pomnaża się jego liczba, bo zbiegają się ludzie gromadnie, pod opiekę królewskiego majestatu. Bułgarowie, Bośnijczykowie, Albańczycy i Racowie (Serby) przybywają z darami, radują się i cieszą ze zbliżenia naszego w ich kraje. Żywności mamy podostatek, wszystkiego pełno na obozowém targowisku. A przeto, najdroższy panie, ponieważ dowiadujemy się i z Waszych listów i z doniesień przyjaciół Waszych, że zdrowie wasze już się nieco wzmogło, prosimy i radzimy Waszéj Miłości, abyście do nas jak tylko można najrychléj osobiście przybywali, i nie chcieli zaszczytu swojego ustępować komu innemu; przeciwnie, okażcie skutkiem to, co zawsze było pragnieniem

Waszém uczynić dla króla i korony. Nie dajcie się nikomu od tego zamiaru odwodzić; ktoby Wam inaczéj radził, tego miejcie za oszusta i zdrajcę. Możecie tu przybyć z największem bezpieczeństwem, choćbyście się sami wybrali, bo gdy już wjedziecie do Serbii, poszlemy Wam taką straż, jakiéj tylko zażądacie. Dalsze szczegóły opowie Antoni, który Wam ten list wręczy, i któremu we wszystkiém chciejcie dać wiarę. Zbrojne poczty Wasze, za łaską Bożą są zdrowe, nie uszczuplone, rzeźwe i ochocze, słowem w najlepszym stanie. Dan w pochodzie królewskim skarońskim (?) dnia 8 po Wszystkich Świętych (listop.), naprzeciw rozwalin zamku Baleran zwanego, roku Pańskiego 1443. Jan z Huniad wojewoda siedmiogrodzki, Hetman najwyższy.“ (Katona niniejszy list własnoręczny Huniada przepisał ze zbiorów biblioteki Pięciokościelnéj (Fünfkirchen) do swojéj historyi królów węgierskich, tom 13, str. 251, tłumaczony przez Mikołaja Malinowskiego). Pismo to maluje nam charakter religijny wodza, jego czynność, obrotność, świetne zwycięztwo odniesione, głównie z powodu cząstkowych uderzeń Ottomanów. Bitwa była stoczona dnia 3 listopada. Ujlaki zachęcony przyjacielską radą, zebrawszy świéże posiłki, pospieszył do wojsk królewskich. Armia krzyżowców posuwając się daléj, zdobyła i zniszczyła miasto ufortyfikowane Szehirkioj (po grecku Pirot), i znużona pochodem rozbija obóz nad brzegiem Nissawy. Jednego dnia 500 jazdy posłano na zwiady. Ci napadli na małą garstkę Turków, i wziąwszy czterech do niewoli, dowiedzieli się, że tuż blisko znajduje się dwutysięczny ich oddział. Mając nierówne siły, zaczynają się powoli cofać, gdy nagle Turcy się pokazują i cwałem gonią za niemi. Podjazd widzi się nagle zamkniętym między urwistym brzegiem rzeki lub nierówną walką: gotują się już jednak do rozpaczliwéj obrony, gdy widzą Turków nagle zatrzymujących się chwilę, a późniéj cofających się zupełnie. Niespodzianym tym zbawcą był król Władysław, który wracając z polowania w licznym orszaku z góry spostrzegł niebezpieczeństwo swoich, bez namysłu puszcza się galopem, przebywa wpław rzekę i pędzi

z boku na Turka. Ci myśląc że to zasadzka, że cała armia musi być tuż zebrana, spiesznie uciekają (1).

W parę dni po odpoczynku i uporządkowaniu się, ruszono daléj. Przebyto szczęśliwie góry rozdzielające doliny Nissawy od Iskeru, nad którym leży ogromne bulgarskie miasta Sredec po grecku Sofia. Tu krajowcy królowi donoszą, że niedaleko nad brzegiem rzeki obozuje wojsko tureckie, i w nocy bez straży zostaje; Władysław korzysta natychmiast z téj wiadomości, i wysyła Huniada z wyborowém wojskiem na podejście nieostrożnego wroga. Janko wojewoda (tak Serbi Huniada przezywali) podchodzi nocą, po niedopalonych ogniskach poznaje położenie obozu, otacza go po cichu łańcuchem, i na czele kilku kolumn w sam środek wpada. Turcy zrywają się przestraszeni, w zamieszaniu rzucają się do ucieczki, ale łańcuch dokoła rozstawiony, nie przepuszcza nikogo i kładzie trupem każdego uciekającego. W rozpaczy, naciśnięci, chcą drogo przynajmniéj sprzedać swe życie i rozpoczynają przy świetle księżyca najzaciętszą walkę. Wrogi poznają się więcéj po krzyku jak po stroju. Krzywe szable madziarskie zmordowały się samém zwycięztwem. Poranek przedstawił okropne pobojowisko: pole zasłane poległemi, których do kilkunastu tysięcy rachowano; cztery tysiące zabrano do niewoli, dziesięć buńczuków i ogromne łupy. Po zrabowaniu obozu zapalają namioty i ogień niszczy do reszty co ludzie rozpoczęli. Zofia potém została z łatwością zajęta. Stara zasada, że wojna żywi wojowników, tu była zanadto wykonywaną. Krzyżowcy zabierają nietylko żywność, ale rabują i niszczą wszystko, co im się podoba. Mieszkańcy tureccy odrazu uciekli, ale Bułgary z początku zostawali, z radością witając swoich oswobodzicieli i pobratymców; widząc jednak, że mimo usiłowań króla, nie są wcale oszczędzani, że kościoły ich jako greckie i heretyckie, są znieważane i obdzierane, że krzyżowcy obok walki z niewiernemi, więcéj jeszcze o zdobyczy pamiętają, zabrali swój dobytek i skryli się w góry. Armia

(1) Kalimach mylić się musi, że to się stało nad rzeką Morawą, gdyż wspomina pierwéj o zajęciu Niżu; a przed tém miastem już zostawiono tę rzekę; nie ma więc innéj tylko Nisawa.

przez to na głód została narażona, na brak przewodników i wiadomości. Żołnierze wzbogaceni, ostudzeni zimnem z zapału, już zaczęli myśleć i tęsknić za powrotem, kiedy najważniejszéj rzeczy jeszcze nie zrobiono, tojest nie zdobyło Bałkanów. Nie śmiano jednak jeszcze głośno szemrać, i posunięto się po zwyczaju naprzód. Zbliżono się do wąwozów, ale te były zajęte i dobrze umocnione; potrzeba je było siłą zdobywać. Pasza Anatolii zebrawszy wojska, oczekiwał przy wejściu na Krzyżowców: widząc przednią straż nie bardzo liczną i zanadto wysuniętą, zapragnął spróbować jeszcze raz na otwartém polu dzielności swéj jazdy. Roztacza swe szeregi w półkole, i zdusić zamierza zuchwałych Giaurów. Huniad widzi niebezpieczeństwo nierównéj walki, ale cofnąć się niepodobna, a czekać na króla nie pozwolą. Wojewoda na dzielnym koniu, w złocistéj zbroi, przebiega szeregi, ustawia, zachęca, przypomina poprzednie zwycięztwa; widząc zbliżających się Turków, prowadzi do szarży swoich w sam środek nieprzyjaciół. Szwadrony pędzą. Jezdcy pochyleni naprzód, brew zmarszczona i wąs najeżony, z szablami nad głową, jak huragan wpadają i roztrącają przed sobą. Od pierwszego uderzenia Turcy złamani. Pasza Anatolii napróżno w imię proroka, zatrzymuje i grozi; dla przykładu, rzuca się sam w ognisko bitwy: wszystko napróżno, impet jest dany, połamane szeregi nie mogą się utrzymać, i w chwili bezładnie uciekają. Węgrzy z jeszcze większym zamachem uderzają po schylonych karkach, i zapamiętale aż do nocy gonią. Pamiętają dobrze, że najbezpieczniéj i największą klęskę zadaje się wrogowi w pogoni. Koło północy uradowany Huniad wraca do namiotu, rozbitego na polu bitwy, i chce spocząć po trudach największego zwycięztwa, gdy nagły hałas, okrzyki, budzą go: to ostatnie oddziały wracają z pogoni i prowadzą świetny łup bitwy, paszę Anatolii, wziętego w niewolę. Nazajutrz przyszła armia królewska, markotna że była bezczynna i że wszystkie laury zabiera Janko. Zaczęto wchodzić w wąwozy Bałkanu.

Dotychczasowe pomyślności natchnęły wodzów zbytecznem zaufaniem i lekceważeniem nieprzyjaciela.

Wprawdzie bito się walecznie z nieprzyjacielem, ale i bawiono się polowaniem, i za często i za długo odpoczywano sobie. W wojnie czas jest najdroższy: jedną chwilę straconą naprożno, późniéj trzeba okupić potokiem krwi lub nawet przegraną—a tutaj bez celu, bez potrzeby marnowano go ciągle. Krzyżowcom bardzo małe posiłki przybyły, Turcy zaś rozbite wojska ciągle wzmacniali i fortyfikowali przejścia w Bałkanach. Zima musiała się nagle zerwać, kiedy tak o niéj zupełnie zapomniano. Teraz już było blizko 20 grudnia, z Budy wyruszono 22 lipca, a zatém pięć miesięcy bez dwóch dni upłynęło, jak na wojnę wyruszono, a jakże małą przestrzeń przebyto, nie będąc nigdzie ani oblężeniem, ani złą porą zatrzymani. Z Budy do Szegedinu jest mil 25, do Bielgradu od ostatniego miasta 29, do Kruszewca przez Smederewo 32, do Nizu 10, do Zofii 24, do stóp Bałkanu, gdzie się teraz krzyżowcy znajdują, 5; razem więc zrobiono mil 125. Wojsko w czasie pokoju bez wysilenia robi od trzech do cztérech mil dziennie, w czasie wojny i potrzeby naturalnie daleko więcéj. Rachując więc tylko po trzy mile na dzień, to armia królewska potrzebowałaby na 125 mil 42 dni nie całe. Pamiętając przytém, że wojsko w czasie pokoju co dwa dni marszu ma jeden dzień odpoczynku, to dodawszy dni 14, będziem mieli 56 dni na przebycie przestrzeni od stolicy do Bałkanu. Co się więc zrobiło z trzema miesiącami najpiękniejszéj pory? Trudno zapewnie przyszłoby się wodzom z tego wytłumaczyć. W grudniu, kiedy śnieg zawieje drogi, kraj opustoszony nie dostarcza ani schronienia, ani żywności, i w mroźnéj nocy przychodzi biwakować na polu; zapał stygnie, niechęć ogarnia i wojska najbardziéj ochocze i zwycięzkie pragną odpoczynku. Szemrania o powrocie były coraz głośniejsze i tylko wpływ króla i Huniada, przedstawienia Brankowicza, nadzieją, że po zdobyciu ostatniéj zapory bogate i żyzne równiny będą im otwarte, ożywiły krzyżowców i ruszono naprzód. Wąwozy od Ichtimonu coraz są większe, urwistsze; zaledwie dwoma lub trzema ludźmi we froncie można postępować: tylko u stóp i na wiérzchołku góry droga rozszerza się jak pole. Koło wioski Korabachlar

wąwóz rozdziela się i formuje dwa przejścia przez Bałkany. Piérwszy główny zwany Porta Trajana przez Rzymian, po turecku Kapulu Derwend, Wrota żelazne po słowiańsku; drugi mniejszy idzie korytem rzeki zwanéj Złatica, po turecku Isladi, na prawo piérwszego i przez wieś Szaruci spuszcza się w dolinę Maricy. Obie te drogi schodzą się pod miasteczkiem Tatar Bazarczyk, o dwa dni marszu od swego rozdziału. Ztąd idzie się przez Płowdin (Filipopol) siedm dni do Adryanopola. Amurat dowiedziawszy się o wkroczeniu krzyżowców, zawiera dogodny pokój z pobitym Ibrahimem i spieszy do Europy bronić przynajmniéj Bałkanów: na przyjęcie Władysława kazał wąwozy poprzekopywać, zasiekami opatrzyć, kamieniami pozawalać. Wojsko pospiesznie zebrane oddał pod dowództwo Kosim Beja, z zaleceniem nie wdawania się w bitwę w otwartém polu, ale trzymać się odpornie w obronnym obozie pomiędzy skałami i zacięcie bronić przejścia. D. 23 grudnia krzyżowcy przedarli się pod bramę Trajana. Turcy bronili każdy krok uporczywie, i każdy krok posunięty drogo kazali zapłacić. Widząc tak silny opór i wielkie straty przy zdobywaniu, Huniad doradza użycie wybiegu, żeby zakrytych Turków wyciągnąć z za kamieni i wałów. Korpus główny pod wodzą króla ukrywa się u podnóża góry, a Huniad ze swoim atakującym oddziałem udaje pobitego i cofa się spiesznie. Stary to podstęp, a jednak tak często się udawał. Kosim Bej zachęcony wygraną łapie się w sidła, i każe swoim wystąpić z ukrycia i gonić niewiernych Giaurów. Nie wié, że imbardziéj się zapuszcza za uciekającemi, tém zupełniejsza jego klęska. Nareszcie wychodzi na dolinę i z przerażeniem widzi występujące z boku wojska królewskie. Zapóźno jednak widzi swój błąd: bitwa na ostre teraz się zawiązuje, potrzeba zwyciężyć lub umrzéć. Smutnato walka, kiedy jedna strona widzi pewną zgubę, druga pewną wygraną. Turcy cofając się, biją się jeszcze walecznie, szczególniéj koło zagrożonego odwrotu. Wązkie przejście nie pozwala im całą gromadą uciekać. Nareszcie straciwszy z połowę ludzi, Bej z trudnością przedziera się do swego warownego obozu. W téj walce odznaczyli się bardzo polscy

piesi krzyżowcy: byłto rodzaj nieregularnéj piechoty, mającéj za całe uzbrojenie na długiém drzewcu osadzoną pikę lub kosę, którą, jak pisze Kalimach, kłuć i rąbać mogli a koniom pruć brzuchy. Jeździec piérwszy, nim z krótką szabelką mógł zbliżyć się do niego, już leżał zwalony. Turcy bardzo się ich bali. Musieliło być chłopi lub mieszczanie, gdyż szlachta wstydziła się wtedy służyć pieszo i takiém prostém narzędziem władać.

Zwycięztwo jest sławą dla wojska, ale dla wodza wtedy, kiedy umié z niego korzystać. Huniad nie daje więc wojsku odpoczynku i każe na spłoszonych Turkach atakować powtórnie bramę Trajana. Żołnierz rzuca się śmiało, walczy zawzięcie z położeniem, z mrozem i wrogiem, sił jednak rozwinąć nie może: obsypani chmurą strzał i kamieni, nie mogąc się wdrapać po ślizgich i obmarzłych skałach, po ogromnych stratach o zmroku dopiéro cofają się powolnie. Garstka Turków, broniąca się dzielnie, dzięki położeniu i czasowi, potrafiła zatrzymać całą armią chrześciańską. Wojewoda jednak jeszcze nie rozpacza i nie oddaje wszystkiego za przegraną. Nazajutrz podchodzi pod drugie przejście Złatickie, przypuszczając, że bieg rzeki nie pozwoli go tak bardzo zamknąć lub nie będzie tak dobrze strzeżone. Turcy w nocy polali drogę i wały wodą, mróz ściął to i ogromna ślizgawica się zrobiła. Nie zważając na wszelkie przeszkody i trudności, krzyżowcy atakują, Władysław i najwaleczniejsi rycerze zsiadają z koni i mieszają się w piérwszych szeregach żołnierzy: bój zawzięty i rozpaczliwy się zaczyna, wiele ofiar i poświęceń z obu stron kosztuje; jeszcze jedno wysilenie i zdobyta ostatnia zapora—przejście otwarte. Z wiérzchołka Bałkanów zwycięzcy pozdrawiają szerokie pola Tracyi. Święto Bożego Narodzenia witają pogromem Mahometa. Armia wesoło spuszcza się na dół. Bulgary witają ich jak zbawców, szczególniéj Polaków, z któremi łatwo mogą się zrozumiéć. Gdziekolwiek jazda polska się ukaże, wszędzie dobrowolnie otwierano im bramy, z radością poddając się jako jednopleminnemu i bohatérskiemu narodowi. Piérwszyto raz cała Słowiańszczyzna południowa garnęła

się pod skrzydła dzielnych hussarzy polskich. Gdyby Jagiellonowie mieli więcéj wytrwałości i przezorności, to łatwo wszystkie ludy pobratymcze mogłyby się z Polską złączyć. Szczęście im bardzo pomagało. Czechy także się prosiły, a odepchnięto je za namowy duchowieństwa rzymskiego. Z Słowianami tureckiemi także się nie udało dla braku cierpliwości. Już dawno Polacy mają sławę, że umieją zwyciężyć; lecz nie lubią ze zwycięztwa korzystać i owocu zbierać. Sułtan Amurat nie tak łatwo oddawał co zabrał. Mimo tylu klęsk, mimo zdobycia wąwozów, on jeszcze zbiera wojska i stawa obozem na górze Kanolicy; nie śmie otwartą siłą uderzyć na wojska królewskie, ale je męczy i trudni podjazdami, i nie daje chwili wytchnienia. Jedno z tych małych spotkań prawie było bitwą. Władysław z zapałem młodzieńczym walcząc, był ranny lekko strzałą w rękę. Turków spędził, ale nie chciał narażać swych wojsk na zdobywanie wyniosłego ich obozu. Armia tyloma zwycięztwami osłabiona i przerzedzona, trapiona zimnem, ciągłemi trudami, obładowana zdobyczą, coraz głośniéj żądała powrotu, przesadzając nawet swoją biédę. Huniad opierał się jeszcze i zachęcał do wytrwania. Brankowicz obiecał nawet sto tysięcy dukatów żołnierzom, byle tylko jeszcze zostali; ale fraszka złoto, mówili, w tęskliwym głodzie. Władysław jednak znudzony, litując się nad cierpieniami wojska, nie wierząc w możność dosięgnięcia Adryanopola, dał rozkaz do powrotu do Węgier. Żołnierze Północy pokazali się mniéj wytrwałemi na zimno, jak żołnierze Południa: zdawało im się, że trudy powrotu będą mniejsze, jak czekanie na miejscu; pocieszono się, że wzmocniwszy się na siłach, powiększywszy hufce, z przyszłą wiosną jeszcze łatwiéj i pewniéj Ottomanów z Europy wyprą. Chyżo wzięto się do przygotowań: spalono zbyteczne bagaże, dobito pokaleczone konie, zakopano zbyteczną broń. Huniad w gniewie 170 jeńców kazał ściąć na miejscu, dwóch tylko bejów zostawiwszy dla tryumfu do Budy. Tak ulżeni spiesznie przebyto Bałkany i pomykano do kraju. Amurat w pogoń wysłał Kasim paszę rumulskiego Bejlerbeja, Bałaban paszę rządzcę Tukotu i bolskiego beja Machmut Czelebi brata wielkie-

go wezyra Chalil paszy, żeby nieustannemi napadami szarpali i utrudniali pochód niewiernych. Wojewoda teraz dowodził tylną strażą. Chytry ten i przebiegły potępieniec, jak go Turcy nazywali, chcąc się pomścić i zabezpieczyć od pogoni, w lesie przy zamarzłych wodach zrobił zasadzkę. Gdy wojsko padyszacha nieostrożnie weszło już w środek, nagle otoczyły ich porozstawiane dokoła i ukryte oddziały, i okropną rzeź sprawiły. Mnóstwo żołnierzy i najznakomitszych dowódzców poległo lub dostało się do niewoli. Między ostatniemi był Kasim pasza i Machmut Czelebi, szwagier sułtana. Po tém ostatniém zwycięztwie, armia spokojnie już przeszła Serbią i odpocząwszy trochę nad Dunajem, wesoło wracała do Budy.

Wejście do stolicy było uroczyste i tryumfalne. Lud, szlachta, ambasadorowie, duchowieństwo z krzyżami wyszło daleko za bramy witać zwycięzców. Na czele armii król z Huniadem, na ofiarę Bogu za pomyślność, postępował pieszo; za nim okuci znakomici jeńcy, jak Kasim pasza i Machmut Czelebi, daléj trofea wojenne: buńczuki, chorągwie, na końcu wojsko. Z okrzykami i uniesieniem byli witani, i ta chwila tryumfu kazała im zapomnieć trudy i cierpienia poniesione. Orszak skierował się do kościoła Świętéj Maryi, odśpiewano *Te Deum*, zatknięto sztandary nad ołtarzem, i na pamiątkę najwaleczniejszym Władysław kazał odmalować herby dwunastu rycerzy polskich (1) i dwunastu węgierskich. Król podzieliwszy zdobycze, kazawszy być gotowym na nową potrzebę, rozpuścił wojska do domów.

Huniad pojechał do Kołoswar w Siedmiogrodzie, gdzie mu żona pokazała nowonarodzonego Macieja, przy-

(1) Nazwiska Polaków wypisane na ścianach kościoła Panny Maryi: 1) Piotr ze Szczekocin, podkanclerzy koronny, herbu Odrowąż. 2) Piotr z Szamotuł h. Nałęcz. 3) Paweł Wojnicki z Sienna, h. Dębno. 4) Jan z Tarnowa, h. Leliwa. 5) Mikołaj Chrząstowski, h. Kościesza. 6) Mikołaj z Zakrzewa, h. Róża. 7) Hinko z Balic h. Sulima. 8) Michał Lasocki, h. Dołęga. 9) Stanisław z Pleszowa, h. Sulima. 10) Zbigniew Rosperski, h. Płomieńczyk. 11) Jan Ligęza z Bóbrku h. Półkozic. 12) Piotr Kamieniecki, h. Pilawa. Długosz dodaje trzynastego, Tomasza Wawrzynowskiego herbu Pomian.

szłą chlubę kraju i rodziny. Z radością w sercu, ze łzą w oku, bohatér rzucił się na kolana, serdecznie dziękując Bogu za szczęście w boju i za szczęście w domu.

Kampania ta chociaż nie wypełniła swego posłannictwa, tojest wypędzenia Turków z Europy, zadała im jednak straszne ciosy i zrzuciła urok ich niezwyciężoności. Pokazała, że pod zgodném dowództwem, przy średnich siłach, chrześciaństwo jest zawsze w stanie tryumfować nad mahometanizmem. Władysław odznaczał się świetną odwagą, ale na końcu pokazał, zwyczajny charakterowi polskiemu, brak wytrwałości. Huniadowi, jako wodzowi, zarzucić tylko można nadzwyczajną powolność w marszach i przez to chybienie celu kampanii; zawsze jednak dał dowody niepospolitéj odwagi, przytomności umysłu w bitwach i zaciętości w zamiarach. Szkoda niezmierna, że tak lekceważyli owoce swoich poświęceń i trudów. Po zdobyciu Bałkanów armia cała wraz z wojewodą, kiedy czuła się zbyt słabą do posuwania daléj, powinna się była zatrzymać, okopać i w razie ataku Turków, do ostatniego bronić. Żywności zawsze prędzéj, jak nieprzyjaciele, od sympatycznych Bulgarów i Serbów mogliby dostać. Król tylko i Brankowicz, co powinni byli wrócić do swoich krajów, dla uorganizowania nowych posiłków i wzmocniwszy armią z piérwszą pogodą wiosny, nie zatrzymani już przez żadne przeszkody naturalne, wyjąwszy bitew w otwartém polu, popędzić do Adryanopola dla zniszczenia potęgi sułtanów. Kampania ta od współczesnych przezwaną została Wyprawą Złatická albo Długą. Wzmiankować tu wypada, że w téj wojnie powstał jeszcze jeden bohatér, Skinder Bej (1), czyli Jerzy Kastryota. Księztwo jego ojca Turcy zabrali, a jego dzieckiem wychowali w wierze mahometańskiéj; przez 31 lat udawał i zyskał zaufanie sułtana i dowództwo oddziału w wojsku. W bitwie Huniada z Kasim bejem, korzystając z popłochu wpada do namiotu Reis Efendego, czyli sekretarza Amurata, i z jataganem w ręku zmusza go do napisania rozkazu o wydanie fortecy Kroja, stolicy

(1) Skinder bej przez pisarzy owczesnych przekręcony na Skander Berg.

jego księztwa. Dla ukrycia zamiaru morduje Efendego i w orszaku zaufanych towarzyszy puszcza się do Albanii, odbiéra podstępem fortecę i wzywa do powstania ludy Albanii. Lud przyjmuje go z radością, ogłasza księciem i wodzem, i wyrzyna wszystkich Turków. Przez trzydzieści lat opierał się całéj potędze Turków i nieraz wytępiał ogromne ich armie; dopiéro po jego śmierci, 1467, północna Albania straciła swoję wolność. Władysław idąc na wyprawę Warneńską, pisał do niego, wzywając go do współdziałania. Kastryota był gotów z ochotą, ale go w górach Serbskich zatrzymał despota Jerzy, chcąc się tym sposobem zasłużyć Turkom.

BURGRAFOWIE

DRAMAT W TRZECH CZĘŚCIACH

WIKTORA HUGO.

TŁUMACZYŁ

Kazimierz Kaszewski.

OSOBY.

Job, burgraf z Heppenhoff.
Magnus, syn Joba, burgraf z Wardeck.
Hatto, syn Magnusa, margrabia Werony, burgraf z Nollig.
Gorlois, syn Hattona, burgraf z Sareck.
Fryderyk Hohenstaufen.
Otbert.
Gerhard, książe Turyngii.
Gilissa, margarbia Luzacyi.
Platon, margrabia Morawii.
Lupus, hrabia Mons.
Cadwalla, burgraf z Okenfels.
Dariusz, burgraf z Lahneck.
Hrabianka Regina.
Guanhumara.
Jadwiga.
Karl
Hermann.
Cynulfus.
Haquin.
Gondicarius.
Teudon.
Kunz.
Swan.
Perez.
Jossius, żołnierz.
Kapitan burgu.
Żołnierz.

Niewolnicy.
Studenci.
Kupcy i mieszczanie.

Heppenheff w r. 120...

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PRADZIAD.

OSOBY.

Job.	Regina.
Magnus.	Guanhumara.
Hatto.	Burgrafowie i książęta.
Gorlois.	Niewolnicy.
Otbert.	Żebrak.

Paziowie, żołnierze, łucznicy, halabardnicy.

Starożytna galerya portretów familijnych burgu Heppenheff. Galerya ta, która była okrągłą, rozwijała się wokół wielkiéj wieżycy, i łączyła się z resztą zamku czterma wielkiemi podwojami, umieszczonemi w czterech punktach świata. Przy podniesieniu zasłony widać część téj galeryi załamującą się i niknącą za zaokrąglonym murem wieżycy. Na lewo, jedne z wielkich podwojów kommunikacyjnych. Na prawo, wysokie i szerokie drzwi prowadzące do wnętrza wieżycy, na wzniesieniu o trzech wschodach. Wgłębi chodnik gotyckiéj struktury połączony z galeryą wschodami o sześciu stopniach. Przez szerokie arkady tego chodnika widać niebo i resztę zamku, na którego najwyższéj wieży powiewa ogromna czarna chorągiew. Na lewo przy wielkich podwojach małe okienko z szybami różnokolorowemi. Przy oknie krzesło. Cała galerya ma pozór zniszczony i nie zamieszkały. Mury i sklepienia kamienne, na których znać kilka śladów zamazanych fresków, pozieleniałych od okapu deszczowego. Portrety wiszące na ścianach galeryi są wszystkie poodwracane płótnem do ściany.

Przy podnoszeniu się zasłony, zapada wieczór. Część zamku, którą widać przez archiwolty chodnika wgłębi teatru, zdaje się wewnątrz oświecona i nilluminowana, choć jeszcze dobrze widno. Z téj strony burgu słychać odgłosy trąb i tletni, a od czasu do czasu pieśni przy brzęku kielichów. Bliżéj słychać brzęk żelaza tak jakby gromada ludzi pokutych w kajdany snuła się po chodniku w części, któréj nie widać. Kobieta, samotna, stara, nawpół zakryta długą czarną zasłoną, przyodziana płachtą szarą porozdzieraną, okuta łańcuchem, który przymocowany jest do pasa i do nogi, z żelazną na szyi obrożą, opiera się o wielkie podwoje i zdaje się słuchać trąbek i śpiewów z sąsiedniéj sali dochodzących.

SCENA I.

GUANHUMARA *sama, słucha.*

(Śpiew z zewnątrz).

Domowe boje, to mi rzecz!
Tam każdy syt jest krwi,
Burgrafie! wtedyto twój miecz
Z grodów i królów drwi.

Strach wtedy chodzi wzdłuż i wszerz,
Burgrafie! to twój los;
Z twym panem śmiało oręż zmierz,
A prawa wydrwij w głos.

Burgrafie! wtedy rządź ty sam,
Masz siły, ogień, miecz;
Piekło nie wejdzie w drogę nam,
A niebo.... z niebem precz!
(Odgłos trąb i fletni).

GUANHUMARA.

Książęta się weselą, kielich w kielich brzęka,
(patrzy w drugą stronę sceny)
A batog pracy więźniów od rana przywodzi.
(Słucha).
Tam brzmi uczta rozpusty, tu żelazo szczęka!
(Wskazuje drzwi na prawo).
Tam, zdaleka od miejsca gdzie ucztują młodzi,
Tam, syn i ojciec zimy ubieleni tchnieniem,
Rozmyślają nad życiem i nad swém plemieniem;
A przywodząc na pamięć dokonane czyny,
Widzą ohydne zbrodnie, ohydniejsze syny.
Niezmienną pomyślnością silni burgrafowie!
Margraf, hrabia udzielny, kark przed nimi chylą;
Książęta nawet, gockich królów potomkowie,
Przerosnąć ich w potędze daremnie się silą.
Bo burg ich niedostępny z skalistéj opoki,
Śród trąb, śpiewów i wrzawy wznosi się w obłoki,
A tłum zbrojnych żołdaków, bez snu i pokoju
Czuwa nad nim bez przerwy oczyma rozboju.
Wszystko tu téj jaskini nie zdobytéj broni;
Tylko kobieta stara w zakątnéj ustroni
Włóczy się, niewolnica; choć okuta w pęta,
Na jéj szyi obroża, łańcuch u jéj nogi

W zagrobowym całunie pełza w wasze progi:
Lecz ona, to nienawiść!... więc drżyjcie książęta!

(Uchodzi wgłąb i wstępuje na wschody chodnika.)

(Niewolnicy w kajdanach, niektórzy po dwóch przykuci, wchodzą z prawéj strony galeryi, niosąc w ręku narzędzia robocze, jakoto: rydle, łopaty i t. d. Guanhumara oparta o słup chodnika patrzy na nich w zamyśleniu. Na sukniach niewolników widać jeszcze ślady dawnego ich fachu).

SCENA II.

NIEWOLNICY.

KUNZ, TEUDON, HAQUIN, GONDICARIUS, mieszczanie i kupcy siwobrodzi; JOSSIUS, stary żołnierz; HERMANN, CYNULFUS, KARL, akademicy z Bolonii i Moguncyi; SWAN, kupiec z Lubeki. Niewolnici zbliżają się wolno osobnemi gromadami: studenci ze studentami, kupcy i mieszczanie razem, żołnierz sam. Starcy zdają się obarczeni znużeniem i boleścią. Podczas całéj téj sceny i dwóch następnych, słychać czasami trąbki i śpiewy z przyległéj sali.

TEUDON

(rzucając narzędzie siada na stopniu kamiennym przy podwójnych drzwiach).

Ach! godzina spoczynku! przecie... ledwiem żywy...

KUNZ

(potrząsając łańcuchem).

Jam był wolny, bogaty... teraz...

GONDICARIUS

(oparty o filar).

Nieszczęśliwy!

CYNULFUS

(prowadząc okiem za Guanhumarą, która wolnym krokiem idzie po chodniku).

Ciekawym bardzo, kogo ta kobiéta śledzi.

SWAN

(cicho do Cynulfa).

Ona już przeszło miesiąc jak w tym zamku siedzi,
Z kupcami walliskiemi zabrano ją razem.

CYNULFUS.

Lecz ją zwolnili dawno z więzów i ciemnicy,
A my pracować musim okuci żelazem.

SWAN.

Bo przez nią wyleczony z śmiertelnéj zimnicy
Hatto, najstarszy z wnuków.

HAQUIN.

A grafa Rollona,
Gdy go raz wąż ukąsił, któż wyleczył?—ona.

CYNULFUS.

Czy doprawdy?

HAQUIN.

Istotnie, to kobieta rzadka,
Bodaj nie czarownica...

HERMANN.

Prędzéj waryatka.

SWAN.

To nie dość dwóch burgrafów, są jeszcze i inni.
A ci trzej trędowaci: Azzo, Knüd, Eloi,
Któremu świat się brzydził, wszak jéj zdrowie winni.

TEUDON.

Ja wam mówię, ta baba coś strasznego broi,
I głęboką przysłania wszystko tajemnicą...
Jakieś czarne zamiary łączą ją tajemnie
Z tą trójką trędowatych, bo czyżto daremnie
Oni za nią wciąż chodzą, jak psy za wilczycą?

HAQUIN.

W mieszkaniu trędowatych za cmentarza głazem,
Wczoraj we czworo nad czémś pracowali razem.
Ona, śpiewając z cicha, jak się dzieciom śpiewa,
Maczała suche ręce w jakimś czarnym płynie
I proszek z trupich kości sypała w naczynie;
Oni ciosali trumnę ze świeżego drzewa.

SWAN.

Jam ich czworo téj nocy widział przy potoku,
Ach, to było okropnie: baba przysłoniona,
Oni w maskach; już potém ani snu na oku:
Noc była taka widna...

KUNZ.

Ja ręczę, że ona
Zna się dobrze z tutejszych podziemiów skrytkami,
Bom raz ją przecie widział, kiedy z niemi trzema
Szła wzdłuż wielkiego muru wolnemi krokami.
Ledwiem oczy odwrócił, patrzę, już ich nie ma:
Przepadli gdzieś za murem.

HAQUIN.

Ci ludzie, te czary,
Te dziwne tajemnice, — gdy o nich zamarzę,
Doprawdy strach mnie bierze.

KUNZ.

To tam, przy Pieczarze,
Którą znacie.

HERMANN.

Trędacze usługują staréj,
Która ich uleczyła: to rzecz najsłuszniejsza.

SWAN.

Mniejsza o trędowatych i zbójcę Hattona,
Wszak jest w tym zamku chora, pomocy godniejsza:
Ta miluchna Regina, jego narzeczona,
A Joba siostrzenica.

KUNZ.

Ona! w saméj rzeczy,
To anioł!

HERMANN.

Konający!

KUNZ.

Jéj nikt nie uleczy;
Wstręt do Hattona, nudy, sieroctwo, wszak wiecie...
Codzień śmierć jéj zbliżają.

TEUDON.

Nieszczęśliwe dziecię!

(Guanhumara ukazuje się przechodząc w głębi teatru).

HAQUIN.

Otóż znowu ta wiedźma. Ach! cóż za straszydło!
Z tym dzikim sępa smutkiem, z tą cerą obrzydłą,
Z tym wzrokiem, co raz straszny, raz jasny, głęboki,
Z tą nauką, a w któréj ja wierzę wyroki,
Ona we mnie strach budzi.

GONDICARIUS.

Przeklęty burg.

TEUDON.

Ciszéj!

GONDICARIUS.

Toż przecie w tej galeryi nikt nas nie posłyszy;
Nasze pany ucztują, o nas ani wiedzą,
Tu nikt nie bywa.

TEUDON
(zniżając głos wskazuje drzwi na prawo).

Oni tam obydwa siedzą!

GONDICARIUS.

Kto?

TEUDON.

Starcy, syn i ojciec, cichoż mówcie, proszę!
Ja co wiem od Jadwigi, zaraz wam ogłoszę.
Otworzyć tych podwoi nikt się tu nie waży
Oprócz Reginy, z którą pacierz mówią starzy,
I młodego Otberta, który w przeszłym roku
Przyjął służbę wojenną przy pradziada boku:
To wolny-lucznik, młodość niczém nie skalana,
Więc Job w potomkach swoich zawiedziony srogo,
Jakby syna ukochał zacnego młodziana.
Za ten próg prócz nich dwojga nikt nie stąpi nogą,
Tak, że samotny, zdala od młodszéj gawiedzi,
Stary drapieżny człowiek w swéj jaskini siedzi.
Szeroka przestrzeń kraju dawniéj przed nim drżała,
Dwudziestu hrabiów, książąt; synów, wnuków, kmotrów,
Pięć pokoleń, dla których arką jego skała,
Otaczało jak króla, patryarchę łotrów.
Dziś wiek go skruszył. Teraz żyje w oddaleniu.
Sam tylko stary Magnus, syn jego jedyny,
Z chorągwią przy nim stoi w ostatnie godziny;
Bywa, że cały miesiąc przesiedzi w milczeniu,
Widać go tylko nocą, jak wchodzi w ten ciemny
Korytarz, od którego sam ma klucz tajemny.

SWAN.

Ten starzec dziwnie jednak na duszy znękany.

HAQUIN.

Synowie jego ciężą nad nim jak szatany!

KUNZ.

Nie darmo on przeklęty.

GONDICARIUS.

O! nie darmo, zgoda.

SWAN.

Gdy był już bardzo starym, Pan Bóg dał mu syna,
On kochał tego chłopca: zwykle siwa broda
To lgnie do jasnéj główki, boskać w tém przyczyna:
To dziecię ktoś mu ukradł, gdy zaledwie miało
Rok życia.

KUNZ.

To cyganka.

CYNULFUS.

Na polach za skałą.

HAQUIN.

Jam słyszał, że ten zamek dawnemi latami
Był świadkiem wielkiéj zbrodni, która go w téj chwili
Pozbawiła mieszkańców, i tak stał pustkami,
Aż go bracia Teutońscy okropnie zniszczyli.
Czas miał reszty dokonać: spadał głaz za głazem,
O panu nie wiedziano nic zgoła, aż razem
Zmienił imię, jak maskę, w zamek się sprowadził
I czarny sztandar nad nim na zawsze zasadził.

SWAN
(do Kunza).

U stóp okrągłéj baszty, czyś zważał tę ścianę
Nad potokiem, co w wąwóz szumno grzmi ze skały?
Tam jest wązkie okienko, patrzy wprost na wały,
A w niém widać trzy kraty zgięte i złamane.

KUNZ.

To loch, przy którym stara odbywa narady.

HAQUIN.

Mówią, że tam przebywa jakaś widma postać.

HERMANN.

Ot!

CYNULFUS.

Na murze widziałem wyraźne krwi ślady.

KUNZ.

To pewna, że tam dziś się nikt nie może dostać;
Sposób wejścia zaginął, tylko to posępne
Okienko pozostało dla oczu dostępne.

SWAN.

A ja wieczorem chodzę na zakręt opoki
I co noc tam wyraźnie słyszę ludzkie kroki.

KUNZ
(z niejaką trwogą).

Czy doprawdy?

SWAN.

Istotnie.

TEUDON
(tajemniczo).

Dajmy pokój temu,
Rostropniéj pono będzie.

HAQUIN.

Jakież straszne wieści!
Jak czarne tajemnice ten burg w sobie mieści!

TEUDON.

Co one znaczą, Bogu wiadomo jednemu.

(Odwraca się do gromady, która jeszcze nie miała udziału w tém co się dzieje na przodzie sceny i na ustroniu, zdaje się mocno zajęta opowiadaniem młodego akademika).

Daléj Karolu, prosim cię o dokończenie.

(Karl występuje naprzód sceny, wszyscy zbliżają się także: obie gruppy niewolników, młodzież i starcy, łączą się we wspólném natężeniu uwagi).

KARL.

I to fakt jest istotny, nie żadne zmyślenie.
Miesiąc będzie zaledwie téj szczególnéj sprawie,
A przecie upłynęło....

(Zdaje się w pamięci wyszukiwać).

Lat dwadzieścia prawie,
Jak Frydryk Rudobrody zginął na krucyacie.

HERMANN.

Wiem. Twój Maks tedy był gdzieś w miejscu bardzo dzikiem.

KARL.

O tak, w miejscu ponurém, w straszném miejscu, bracie.
Stado kruków z złowrogim, przeraźliwym krzykiem
Wciąż buja koło góry, albo na niéj siada,
Że nieraz przed ich wrzaskiem, kiedy mrok zapada,
Aż do Lautern przesądni myśliwce odbiegą.
Była burza, dżdżu krople z téj opoki czoła
Jak łzy ze szpetnéj twarzy spadały dokoła;
Na wąwóz wychodziła kształtu okropnego
Jaskinia; graf Maks Edmond, człek mężnéj natury,
Nie lękał się więc zajrzeć w tajnie staréj góry.
Ciemności groty blade światło rozjaśniało,
Lecz Edmond szedł do wnętrza dość żwawo i śmiało;
Aż razem w głębi groty, patrzy, pod sklepieniem
Spostrzega w cieniu starca. Ten na krześle z miedzi,
Długiém aż poza stopy okryty odzieniem,
Z berłem w prawéj i z globem w lewéj ręce, siedzi:
Zgarbiony, zwiędły, skóra na nim pomarszczona,
W purpurze, miecz przy boku, na głowie korona,

Ten starzec siedział wsparty łokciem o stół z lawy;
A choć Maks człek nie lada, pełen męzkiéj siły,
Choć dość zyskał pod Janem Bitewnikiem sławy,
Jednak mu krople potu na twarz wystąpiły.
Bo ten starzec schylony, wysokiéj urody,
To był, zgadnijcie, cesarz Frydryk Rudobrody!
Ciało jego nadludzkim było snem ujęte,
I broda, niegdyś złota a dzisiaj już biała,
Śnieżne włosy na całym stole rozściełała,
Siwa rzęsa śnieżyła powieki przymknięte;
I mimo sen głęboki rycerskiego męża,
Zdało się, że myśl jego coś gwałtownie wzrusza,
Prawica drgała, niby szukając oręża:
O czemżeto marzyła ta potężna dusza?
Bóg to wié....

HERMANN.

Czy już wszystko?

KARL.

Dopiéro połowa.—
Na krok Maksa z uśpienia starzec się ocucił,
Wzniosła się jego łysa, poorana głowa,
Groźne spojrzenie zaraz na hrabiego zwrócił,
I z ust jego grobowe wyszło zapytanie:
„Kawalerze, czy kruki ztąd już odleciały?"
A Maks na to: „Nie jeszcze, najjaśniejszy panie".
Po tych słowach znów starca usta zaniemiały,
Czoło opadło; Maks zaś, jakto sam powtarza,
Widział, iż się znów do snu zabrał cień cesarza!

(Podczas gdy Karl mówił, wszyscy niewolnicy skupili się około niego i słuchali go z wzrastającą ciekawością. Jossius zbliżył się najpierwszy na wyraz Rudobrody).

HERMANN
(wybuchając śmiechem).

Piękna baśń.

HAQUIN
(do Karla).

Jeśli dziejom wiara się należy,
To on w Cydnie, w obliczu tysiącznych rycerzy
Utonął.

JOSSIUS.

Jam go widział we wściekłości prądu.—
Ta chwila była dla nas dniem strasznego sądu,
Pamięć jéj pozostała mi na całe życie.
Otto z Witelsbach władcę nienawidził skrycie,
Jednakże kiedy spostrzegł, że cesarz już tonie,
A Saracen pocisków chmurami nań zionie,

Otto z Witelsbach wtedy od gniewów daleki,
Zaraz piérwszy popędził z koniem w nurty rzeki,
A idąc przeciw wrogom chrześcian i ołtarza,
Wołał, miotając ciosy: „Ratujmy cesarza!"

HERMANN.

Lecz naprożno.

JOSSIUS.

Daremnie najlepsi przybiegli!
Sześćdziesięciu żołnierzy, dwaj hrabiowie legli,
Ratując go.

KARL.

To wszystko nie dowodzi przecie,
By cień jego nie błądził po Malpasu grzbiecie.

SWAN.

Mnie mówiono, że z wody się wydostał skrycie
I w skutek ślubu wiedzie pustelnicze życie
Niewidziany.

GONDICARIUS.

Daj Boże, by znów mógł się zjawić,
Kraj przed rokiem tysiącznym dwóchsetnym wybawić,
Bo mu w tym roku wróżba zgubę zapowiada!

SWAN.

I tak na wszystkie strony nasza wielkość pada.

HAQUIN.

O! gdyby żył Fryderyk, czyżby na tej ziemi
Śmiał przewodzić rozbójnik nad ludźmi wolnemi?
Onby, ręczę, wszczął znowu wojnę z burgrafami.

SWAN.

Ej! wszystkieć prawie ludy cierpią równo z nami.

TEUDON.

Niemcy są bez sternika.

KUNZ.

Europa bez wodzy.

HAQUIN.

Lud bez chleba.

GONDICARIUS.

Gdzie spojrzeć nad Renu brzegami,
Roją się w czarnych bandach rozbójnicy srodzy.

KUNZ.

Nam tu krwi dobywają łotrowskie oręże,
A tam grają w intrygi elektorscy męże.

HERMANN.

Kolonia jest za Szwabem.

SWAN.

Erfurt za Brunszwikiem.

GONDICARIUS.

Moguncya za Bertholdem.

KUNZ.

Trewir za Frydrykiem.

GONDICARIUS.

Tymczasem wszystko ginie.

HAQUIN.

Zamknęły się grody.

SWAN.

Ledwie za dom, wraz musisz zejść się z rozbójnikiem.

KARL.

Drobni łupiezce całe ciemiężą narody.

TEUDON
(do Kunza).

Pięciu władzców! to nadto: kmiotkowi czy księciu
Wiadomo, że król jeden lepszy niźli pięciu.

KUNZ.

Oj! dziśby nam się przydał dzielny Rudobrody,
Lecz on zginął podobno już dla nas na wieki.

SWAN
(do Jossiusa).

I czy nie wydobyto jego ciała z rzeki?

JOSSIUS.

Nie, fale go uniosły.

TEUDON.

A o wróżbie wiecie
Przy jego urodzeniu? mówiono: „To dziecię,
Które pod swoje prawa kiedyś świat podbije,
Dwakroć rzekomo umrze i dwakroć ożyje"...
Téj wróżby zapomniano lub ją wyszydzono,
Ona pierwszy raz jednak została sprawdzoną.

HERMANN.

Ej! o tym Barbarossie plotą już bez miary.

TEUDON.

Ja wiem co mówię: w Pradze przed dziesięciu laty,
Poznałem ja szlachcica nazwiskiem Sfrondati,
W szpitalu więźniów. Byłto Dalmata, człek stary
I, jak mówiono, waryat. On nam tedy gadał,
Że gdy był jeszcze młodym, zagnały go losy
Do księcia Fryderyka, ojca Barbarossy;
Ten mu u siebie urząd koniuszego nadał.
Owoż książę był z wróżby bardzo niespokojny
I wahał się nie wiedząc co ma robić z synem,
Témbardziéj, że syn wzrastał do dwustronnéj wojny;
Był bowiem z matki Gwelfem, z ojca Gibelinem,
Musiałby zatém kiedyś obu stronnictw bronić.
Książę od złego losu chcąc syna ochronić,
Zrazu trzymał go w wieży tajemnie przed światem,
Zdala od ludzkich oczu; lecz nie koniec na tém.
Lękał się, choć go ukrył pod ścisłem zamknięciem.
Miał on syna miłości z szlachetnéj dziewicy,
Przed którym w jak najgłębszéj chował tajemnicy,
Że był hrabią cesarstwa i Szwabii książęciem.
A to pewnie dlatego, by młodzian olśniony
Świetnością rodu, sięgnąć nie chciał do korony;
Ten miał w spadku po matce jakiś burg nad Renem,
Którego był burgrafem, oraz suzerenem.
Zamek jak orle gniazdo na odludnéj skale
Zdał się księciu schronieniem pożądaném wcale.
Przybył więc do burgrafa, ścisnął go z westchnieniem,
Oddał mu dziecię innem zowiąc je imieniem,
I rzekłszy: Oto brat twój, zwierzam ci go, synu!
Odjechał nie zgadując skutków swego czynu.
Prawda, że tajemnica była dochowana,
Bo i chłopiec imienia swojego nie wiedział,
I tak do lat dwudziestu u burgrafa siedział.
Dopieroż tam się stała zbrodnia niesłychana:
Raz dwaj pasterze idąc na zakręcie skały,
Nad potokiem, co z góry nurzał się w dolinie,
Przy mdłym jutrzenki blasku ujrzeli w gęstwinie
Dwa ciała pokrwawione, które jeszcze drgały;
Dwóch ludzi, których w zamku śmiertelnie raniono
I rzucono nad przepaść głogiem otoczoną,
A którzy jednak żyli. Chyba niebios siła
Życie tych dwojga ludzi cudem ocaliła.
Bylito Barbarossa i Sfrondati, który,
Świadomy rodu, z chłopcem posłany był w góry.
Wyzdrowieli obadwa. W wielkiéj tajemnicy

Sfrondati przywiózł syna księciu do stolicy.
A ten w dowód, że umie cenić poświęcenia,
Rozkazał Sfrondatego wtrącić do więzienia,
A syna już na swojéj zatrzymał dzielnicy.
Starając się jedynie, by tę sprawę zdławić.
Z burgrafem się już więcéj nie widział. A kiedy
Uczuł śmierć blizką, kazał synowi się stawić,
I klęcząc krzyż całować. Barbarossa wtedy
Schylony nad śmiertelném rodzica posłaniem,
Przysiągł, że bratu pierwéj prawdy nie odkryje,
Że się, choćby mógł nawet, mścić nie będzie na niém,
Aż brat jego przyrodni setny rok przeżyje,
Tojest nigdy, albo też.... tajemnice świata,
Bogu tylko wiadome. Dość, że burgraf potém
Może i życie skończył, a nie wiedział o tém,
Że miał ojca książęciem a cesarzem brata.
Sfrondati bladł, gdy o téj powiadał rodzinie,
Drżał ze zgrozy, gdy mówił o burgrafa czynie:
Lecz innych wiadomości wywieść z siebie nie dał,
Prócz, że oba się w jednéj kochali dziewczynie,
Że starszy brata zabił, a dziewczynę sprzedał
Jakiemuś nieludzkiemu rabusiowi, który,
Bez uwagi na słabość kobiécéj natury,
Zaprzęgał ją do statków, co to, jako wiecie,
Dla mordu i rabunku włóczą się po świecie.
Lecz z burgrafem, kobietą, co się daléj stało,
Z słów starca wyrozumieć mogłem bardzo mało.
Umysł jego się całkiem już rozprzęgł, niestety!
W ciemniach zbolałéj duszy wszystko się schowało,
I nazwisko burgrafa i imię kobiety,
Jak było i gdzie było, napewne nie wiedział;
Jam go widział, gdy między waryatami siedział,
A dziś on już nie żyje!

HERMANN.

Cóż ztąd wnosisz?

TEUDON.

Wnoszę,
Że coś te tajemnice godzą się po trosze,
Które odległa przeszłość swym całunem kryje.
Gdy Rudobrody raz już miany za zmarłego
Zmartwychwstał, więc w tem nie ma nic niepodobnego,
By znowu odżył....

HERMANN
(śmiejąc się).

Dobrze, czekaj aż odżyje.

KUNZ
(do Teudona).

Mnie toż samo prawiono, będzie cztéry lata,
Że Rudobrody w zamku miał imię *Donata*,
A burgraf zwał się *Fosko;* zaś oblubienica
Była z Korsyki, jeśli pamięć mnie nie mami.
Miejscem schadzki bywała podziemna ciemnica,
Do któréj tajne wejście znali tylko sami:
Tamto Fosko zazdrosny zeszedł Korsykankę
Z swym bratem i w trajedyą przemienił sielankę.

GONDICARIUS.

Jeśli Fryderyk władzy osiągnąwszy szczyty,
Nie szukał ukochanéj przez siebie kobiéty,
Uszczuplilbym mu sławy, jaką ma po świecie,
Gdybym choć trochę wierzył w to, co wy bajecie.

TEUDON.

On jéj szukał! on całą potęgą ramienia
Lat trzydzieści przetrząsał kryjówki Nadrenia,
Lecz burgraf....

KUNZ.

Tojest Fosko?

TEUDON
(mówiąc daléj).

Zamek swój porzucił,
Kędyś aż do Bretanii na służbę zawrócił,
I przez długi czas zdala od kraju się chował.
Cesarz kazał obsadzić i góry i lasy,
Dobywał wszystkich zamków, burgrafów mordował,
Lecz nic nie znalazł...

GONDICARIUS
(do Jossiusa).

Wyście pewnie pod te czasy
W rycerskich szykach przeciw tym łotrom walczyli,
Pamiętacież?

JOSSIUS.

Byłyto olbrzymie zapasy!
Burgrafowie broń z bronią przeciw nam łączyli.
Na ich krwią zlane ciała padał cios za ciosem,
Oléj i ołów wrzący lano im na kaski,
A oni wciąż walczyli, tylko strasznym głosem
Śmiali się obleczeni w swe okropne maski.
Trzeba było dobywać każdy mur i bramę,
Zewnątrz szturmować, wewnątrz znów bić się z tłumami,
Mieczem przebijać serca, ręce gryść zębami.

Straszneto były szturmy! Nieraz baszty same
Dobyte przez nas, z trzaskiem runęły wraz z niemi
I gruzem szereg wojska przybiły do ziemi.
Podczas owychto szturmów, na góry załamie
Raz cesarz Barbarossa u podnóża wieży
Walczył z rabusiem, który party przez żołnierzy
Trójkątném mu żelazem sparzył prawe ramie,
Na co cesarz powiedział do hrabiego Wrata:
„Ja mu to, przyjacielu, zapłacę przez kata!"

HAQUIN.

I wzięto go w niewolę?

JOSSIUS.

Nie, znikł gdzieś za bramą;
Maska twarz mu skrywała, pewnie uniosł życie,
A cesarz już pozostał z wypieczoną szramą.

TEUDON
(do Swana).

Mnie się zdaje, że cesarz żyje; zobaczycie.

JOSSIUS.

A jam pewny, że zginął.

CYNULFUS.

Lecz hrabia Maks?

HERMANN.

Brednie!

TEUDON.

Ależ grotta Malpassu....

HERMANN.

To plotki powszednie!

KARL.

Jednak tutaj Sfrondati rzuca światło nowe
Na ten węzeł wypadków.

HERMANN.

To sny gorączkowe,
Które się w chorym mózgu jak ogniki rodzą,
Chwile świecą i znowu w nicość się rozchodzą.
(Wchodzi żołnierz z batem w ręku).

ŻOŁNIERZ.

Niewolnicy dość tego! dzisiaj biesiadnicy
Chcą się bliżej z téj strony przyjrzeć okolicy;

Hrabia Hatto niebawem z niemi tu przybędzie,
Niechże was nie zastanie na próżnéj gawędzie!

(Niewolnicy zabierają narzędzia, kupią się w milczeniu i ze spuszczoną głową wychodzą pod batem żołnierza. Guanhumara ukazuje się na wyższéj galeryi i prowadzi wzrokiem za niemi. W chwili gdy niewolnicy znikają, wchodzą wielkiemi drzwiami: Regina, Otbert i Jadwiga, mamka stara okryta czarno: Otbert w ubraniu wolnego strzelca z kordelasem i długim mieczem; Regina młoda, blada, znękana, stąpa z trudnością, jak osoba długi czas chora i prawie umierająca. Opiéra się na ramieniu Otberta, który podtrzymując ją, spogląda okiem boleści i miłości. Jadwiga idzie za nią. Guanhumara nie będąc przez nich widzianą, uważa jednak i podsłuchuje ich przez kilka chwil, następnie wychodzi przeciwną stroną téj którą weszła).

SCENA III.

OTBERT, REGINA, *chwilami* JADWIGA.

OTBERT.

Idź powolniéj, kochanko, i oprzéj się lepiéj,
Lub spocznij na tém krześle, może to pokrzepi.

(Prowadzi ją do wielkiego krzesła przy oknie).

Jakże się czujesz dzisiaj?

REGINA.

Oh! bardzo znękaną.

(do Jadwigi).

Bądź przy gościach, Jadwigo.

(Jadwiga wychodzi).

Uczta mnie zmęczyła...

OTBERT.

Nie trwóż się: ci przededniem pewno nie przestaną.
Nie na twojeto zdrowie uczty, moja miła!

REGINA.

Hatto....

OTBERT
(ze zgrozą).

Hatto!

REGINA.

Mów ciszéj: on mym losem włada...

(Zagadując go).

Przyszły mąż!

OTBERT.

Z tém się możesz udać do pradziada,
A Hatto się go boi.

REGINA.

Ja umrę niedługo,
Na cóż więc...

OTBERT.

Oh! nie mów tak, przez litość...

REGINA.

Niestety!
Cierpieć, marzyć i umrzeć, oto los kobiéty!

OTBERT
(wskazując na okno).

Patrz, jakie słońce!

REGINA.

Prawda, zachód ognia strugą
Oblał się, lecz to wieczór, jesienny wiatr wieje,
I liście opadają i las już czernieje.

OTBERT.

Liście odżyją.

REGINA.

Prawda!
(zamyślona patrzy w niebo).
Patrz, jak lotem strzały
Mknęły bystre jaskółki w powietrznem przezroczu,
Uciekły na południe i lato zabrały.

OTBERT.

One wrócą.

REGINA.

Tak, lecz nie dla moich już oczu
Ani liści zieloność, ani powrót ptaków!

OTBERT.

Reginol...

REGINA
(wstając).

Niech choć oknem prześlę im spojrzenie.
(Słychać krzątających się niewolników, Regina podaje Otbertowi woreczek).
Otbercie, rozdziel, proszę, między tych biedaków.
(Otbert rzuca woreczek przez okno, w głębi Regina mówi dalej patrząc za okno).
Tak; cudne słońce! jego ostatnie promienie
Czoło Taunu złocistą okryły koroną;
Rzeka i las przybrały piękny strój świąteczny;
Szyby wioski w dolinie wszystkie ogniem płoną;
Jakto piękne, jak wielkie! O, Stwórco przedwieczny.

Twory natury życiem i światłością gorą,
A mnie ojca i matkę odebrały nieba:
Nikt więc mnie nie ocali, nie uleczy chorą,
Samam na świecie, czuję, że umierać trzeba!

OTBERT.

Sama! a ja, co ciebie tak kocham!

REGINA.

Złudzenie!
Ty mnie nie kochasz. Patrzaj, wstają nocy cienie,
Pochłoną mnie... zapomnisz...

OTBERT.

Luba! cóżto znaczy!
Ja nie kocham!... twe słowo równa się rozpaczy,
Jabym dla ciebie podjął śmierć i potępienie...
Od chwili, gdym cię ujrzał w tym wyklętym domu,
Śród tych zbrodni bez liczby, śród łotrów bez sromu,
Ciebie tu, jako kwiatka pośród nagiéj skały,
Jak gwiazdki pośród mroku me oczy szukały.
Ja cię kocham, dziedziczko nadreńskiego grodu,
Zaręczona hrabiemu o sercu z kamienia,
Jam śmiał ciebie ukochać, żołnierz bez imienia,
Pewny ręką i mieczem, choć nie pewny z rodu.
Może król, może nędzarz, lecz czémkolwiek słynę,
Co mam, to mam przez ciebie: opuścisz mnie,—zginę.
W tym zamku znam was dwoje, ja was kocham dwoje,
Ciebie więcéj niż wszystko, nawet niżli moje
O nieznanym rodzicu serdeczne marzenia;
Po tobie

(wskazując na drzwi pawilonu).

Tego starca, co żegnając ziemię,
Przeraźliwéj przeszłości tajne dźwiga brzemię,
Cichy a silny ojciec strasznego plemienia.
W tém kole, które żyje i oddycha zbrodnią,
Ty jemu opromieniasz, słodzisz żywot srogi,
Tyś jego czcią ostatnią, ostatnią pochodnią,
Jutrzenką, co ozłaca grobu jego progi.
Ja żołnierz, który-m głowę schylił pod troskami,
Ja was wielbię oboje, bo mi błogo z wami;
I dusza ma cierpiąca w każdéj życia dobie,
Czuje się przy nim wielką a czystą przy tobie!
Teraz widzisz me serce, widzisz prawdę szczérą,
Ja płaczę, ja zazdroszczę, ja cierpię. Dopiéro
Gdy Hatto na cię patrzył oczy iskrzącemi,
Krew we mnie zapłonęła, a piekielne szały
Gniewu i nienawiści w głowie méj zawrzały;

Jam był mógł i powinien przybić go do ziemi,
A jednak się wstrzymałem śród téj strasznéj męki,
I jaż ciebie nie kocham!... Za uścisk twéj ręki
Dałbym chętnie krew moją: powiédz kapłanowi,
Że on nie kocha Boga; powiédz żeglarzowi,
Że śród nocy on gwiazdy nie kocha na niebie;
Więźniowi, co na długość życia się użala,
Że on nie kocha ręki, która go wyzwala:
Ale mnie nie powiadaj, że nie kocham ciebie.
Bo ty dla mnie w téj nocy, która grubym cieniem
Otacza moje życie, która pośród drogi
Nie da dojrzéć rzuconych sideł pod me nogi,
Jesteś więcéj niż gwiazdą, niźli wyzwoleniem.
Jam jest twoim bez granic, twoim niepowrotnie!
I ty o tém wiész dobrze, kobiéty istotnie
Są częstokroć okrutne, to znać tryb niewieści,
Żartować z duszy męża i z jego boleści!!
Ale przebacz! ty cierpisz, ja mówię o sobie;
Kiedym raczéj powinien na klęczkach przy tobie
Nie drażnić cierpień, owszem, nieść ulgę twéj męce,
Pozwolić ci na wszystko i całować ręce!

REGINA.

Równéj siły cierpienia nas, Otbercie, gniotą,
Bo ty sierotą jesteś, jam także sierotą:
Bóg więc łącząc nas wszystkiem co smuci i boli,
Mógłby utworzyć szczęście z tych dwojga niedoli,
Ale....

OTBERT
(padając przed nią na kolana).

Ja ciebie kochać, ja ubóstwiać będę,
Służyć ci, oh! ja umrę, gdy cię nie posiędę.
Jeśli Hatto przeszkodą, Hattona zabiję;
Ojcem tobie i matką będę, póki zyję.
Przysięgam, i Bóg widzi, że czucie nie kłamie,
Matkę ci da to serce, a ojca to ramie.

REGINA.

Ja cię znam, duszy mojéj przenikam oczyma,
Ty masz serce kobiéty a wolę olbrzyma;
Wdzięcznam ci, lecz to próżne co mówisz w zapale,
Już ty mię nie ocalisz, Otbercie....

OTBERT
(wstając).

Ocalę!

REGINA.

O nie! bo nie z Hattonem o mnie walczyć trzeba,
Mnie z innym narzeczonym zaręczyły nieba.
A ty go nie pokonasz, choć piękny§ i dzielny,
Bo moim narzeczonym jest całun śmiertelny!
Nim mnie jednak grób w swoich ciemnościach zagrzebie,
Co we mnie najzacniejsze, rozdzielę na dwoje:
Jedno będzie dla Boga a drugie dla ciebie.
Ja chcę, abyś ty przymknął martwe oczy moje
I mówięć dzisiaj, stojąc przy jutrzejszym grobie:
Otbercie! duszę Bogu, serce daję tobie!

JADWIGA
(wchodząc).

Ktoś się zbliża!

REGINA
(do Jadwigi).

Pójdź.

(Zbliża się kilkoma krokami do drzwi podwójnych, wsparta na ręku Jadwigi i Otberta. W chwili wyjścia zatrzymuje się i odwraca).

Umrzeć tak młodo, tak wcześnie,
Kiedy szczęście tuż przy mnie, ah! jakto boleśnie.
Ja chcę żyć, chcę żyć z tobą, mój Otbercie miły!
Smierć okropnem widziadłem w żywota poranku;
Nie dozwól, by mnie zakrył zimny głaz mogiły,
Błagam cię, oh! ratuj mnie! ratuj mój kochanku!

OTBERT.

Ty żyć będziesz.

(Regina wychodzi z Jadwigą. Drzwi się zamykają, Otbert zdaje się wzrokiem prowadzić za nią i mówi do niej choć już zniknęła).

Tak, ja cię uratować muszę,
Choćbym miał szatanowi zaprzedać mą duszę.

(Spostrzegając Guanhumarę, która stoi od niejakiego czasu nieporuszona w głębi teatru).

Otóż jest!

SCENA IV.

OTBERT, GUANHUMARA.

OTBERT
(idąc prosto do Guanhumary).

Dziś na ciebie jednę liczyć mogę:
Daj mi dłoń, Guanhumaro!

GUANHUMARA.

Nie wchodźże mi w drogę.

OTBERT.

Zaczekaj!

GUANHUMARA.

Czy znów chcesz się wywiedzieć odemnie,
Gdzie twój kraj i rodzina? Nie pytaj daremnie.
Czy twe imię jest Otbert, Jorgi, czyli inne?
Czemuś ze mną przebłąkał swe lata dziecinne?
W Korsyce-ś czy w Mołdawii w moje popadł ręce,
Rozpocząwszy zaledwie życie niemowlęce?
Dlaczegom cię do tego przywiodła zamczyska
I każę ci udawać, że mnie nie znasz zblizka?
Dlaczego, choć Regina uprosiła pana,
Noszę łańcuch na szyi, co mi cięży srodze,
I jak gdyby tajnemi ślubami związana,
Zawsze i wszędzie dźwigam
(pokazując nogę)
Tę obręcz na nodze?
Czy ja jestem Arabka, Włoszka, czy żydówka?
Próżne są twe pytania: nie powiem ni słówka.
Wydaj mnie, ja pozwalam, lecz i to daremno;
Nie, wiem, że ty się pastwić nie zechcesz nademną,
Bom ja ciebie karmiła jako własne dziecie,
Gorzkim prawda pokarmem, lecz karmiłam przecie;
A przytém dla mnie śmierci nie straszna godzina.
(Chce odejść, Otbert ją zatrzymuje).

OTBERT.

Ja z tobą muszę mówić, ale nie o sobie.
Słuchaj, ty co wiesz wszystko, powiedz mi: Regina..

GUANHUMARA.

Zanim miesiąc upłynie, zobaczysz ją w grobie.
(Chce odejść, Otbert znów ją zatrzymuje).

OTBERT.

Czy możesz ją uleczyć? me nadzieje w tobie.

GUANHUMARA.

I cóż ztąd?
(Marzy i mówi do siebie).
Prawda, w Indyach często pośród nocy
Błądziłam w głębi lasów, doświadczając mocy
Ziół i trucizn; znam takie, że ten, co umiera,
Wstaje, a żywy postać zmarłego przybiera,

OTBERT.

Cóż, możesz ją uleczyć?

GUANHUMARA.

Mogę.

OTBERT.

Ah! litości,
W imię Boga, litości nad moją Reginą!
Błagam cię na kolanach...

GUANHUMARA.

Gdyby przed godziną,
Kiedyś patrzył w Reginę oczyma miłości,
Hatto podobny burzy urodzonéj w piekle,
Wbiegł, stanął tu przed tobą i śmiejąc się wściekle,
Niewinną zamordował i wrzucił jej ciało
W ten potok, co jak tygrys ryczy poza skałą,
Potém chwyciwszy ciebie swą dłonią zbrodniczą,
Gdyby okuł twą nogę w obręcz niewolniczą,
I nie bacząc żeś wolny, że jesteś rycerzem,
Stawił, jak rzecz na sprzedaż, w rynku pod pręgierzem
I sprzedał cię istotnie, a ten, co stargował,
Zaprzągł cię tak jak wołu, byś jak on pracował!...
Przypuść teraz, że po téj okrutnej rozprawie
Śmierć o was obu sto lat zapomniała prawie,
Że błądząc bez wytchnienia, jak nędzarz wzgardzony,
Natuławszy się starcem wróciłeś w swe strony,
Cóżbyś dzisiaj miał w sercu? Powiedz mi otwarcie.

OTBERT.

Zemstę, mord, krwi pragnienie!

GUANHUMARA.

A więc przyjacielu!
Ja jestem mord i zemsta! Ja w wiadomym celu
Dążę, jak ślepe widmo, zimno i zażarcie.
Ja jestem krwi pragnienie! O! dzisiaj daremnie
Ty litości i cnoty wymagasz odemnie.
Ja, co szydzę z żyjących, jaż mam ich ratować?
Nie żądaj usług moich, bo mógłbyś żałować,
Gdybym ci powiedziała, że żądam w nagrodę
Równych od ciebie usług; gdybym powiedziała,
Żem dla własnych widoków ciebie wychowała,
O! wtedy mróz-by ścisnął twoje serce młode.
A kiedy ja przed twoją cnotą się cofnęłam,
To i ty nienawiści méj wyroków nie łam.
To coś słyszał odemnie, to treść mego życia:

Zabito mi kochanka w owéj strasznéj nocy,
Mnie sprzedano, zginęłam, i wyszłam z ukrycia,
By się zemścić nad zbójcą przy twojéj pomocy.
O! jam długo jęczała. Wszystkich chmur strumienie
Spłynęły na me czoło. Czy widzisz?... cierpienie,
Jak straszny kir brzydoty na licu rozwiesza!
Ja żyłam lat sześćdziesiąt tém co śmierć przyspiesza—
Boleścią!—głód i nędza ugięły mą głowę;
Widziałam Nil i Indus, ocean i burze,
I rozległe, gwiaździste noce biegunowe;
Żelaznych pęt czernieją pręgi na méj skórze;
Dwudziestu służąc panom, jak pies na powrozie,
Pracowałam pod batem o głodzie i mrozie.
O! taki żywot wszystko co ludzkie wytruje:

(Przykładając rękę do serca).

Ja téż, gdy dłoń tu kładę, nic już tu nie czuję.
Dziś ja jestem posągiem, grób jest moim domem.
Miesiąc temu, w godzinie kiedy mrok zapada,
Ukazałam się w zamku przeziębła i blada;
A dziwno mi jest nawet, że przed drzew rozłomem,
Przed świstem uraganu, nikt nie słyszał stuku
Moich stóp marmurowych po zamkowym bruku.
Nie zasnęła na chwilę ma zawziętość sroga;
Dzisiaj, jeżeli zechcę, mam w mém ręku wroga,
Naznaczyłam mu karę, i ta go nie minie,
Rzeknę słowo, a zadrży, zbliżę się, a zginie.
Liczyłam, że twą wolę do méj zemsty nagnę,
Bo ty sam możesz sprawić taką, jakiéj pragnę.
Lecz już gdym miała pewność, że celów mych dopnę,
Jeszczem rzekła do siebie: nie, to zbyt okropne!
Ja co stoję przed piekłem, a jam się wstrzymała,
Témbardziéj ty się wstrzymaj, ty, coś nieskalany;
Bo gdyby między nami przyszło do wymiany,
Jabym od ciebie strasznych rzeczy zażądała.
Powiedz, czy chciałbyś zerwać z niebem i ze światem?
Dobyć sztyletu! stać się mordercą lub katem?...
Ha! drży twe słabe serce, twój rozum trwożliwy!
Więc precz odemnie: odtąd o tém ani słowa.

OTBERT

(blady, zniżonym głosem).

Cóż chcesz odemnie?

GUANHUMARA.

Zostań, jak dotąd, cnotliwy.
Idź precz.

OTBERT.

Krew moją oddam, a niech będzie zdrowa.

GUANHUMARA.

Idź precz.

OTBERT
(z gwałtownem wysileniem).

Chcesz? spełnię zbrodnię, a ocal jéj życie.

GUANHUMARA.

Wszak on mnie sam namawia. szatany słyszycie!
Dobrze, więc od téj chwili zależysz odemnie,
Jesteś moim i pomnij, że mnie nic nie wzruszy,
Radzę ci zatém czasu nie tracić daremnie,
Wszelka prośba utonie w ciemniach mojéj duszy;
Bo dla mnie czas litości, czas wyrzutów minął,
Chyba gdyby ten odżył, co w mych oczach zginął,
Donato luby! teraz daję ci przestrogę,
Zastanów się, nim wstąpisz na tę straszną drogę,
Zastanów się i rozważ, wszakże nic nie taję:
Kogo wskażę, czy starca, czy kwiat w życia wiośnie,
Winieneś zamordować zimno, bezlitośnie,
Jak kat na rusztowaniu: jakże ci się zdaje?

OTBERT.

Dokończ!

GUANHUMARA.

Na twą Reginę już nie ma sposobu,
Ją każdy wiatru powiew pochyla do grobu,
Ja mogę śmierć odtrącić, ty zatém nie zwlekaj.
(pokazując flakonik).
Patrz! kropla tego płynu co wieczór użyta,
Sprawi, że do jéj łona znów życie zawita.

OTBERT.

Wielki Boże!... kobiéto, daj mi to...

GUANHUMARA.

Zaczekaj...
Jeśli ten napój przerwie jéj długie konanie,
Jeśli Regina jutro jak z martwych powstanie
I z usmiechem anioła dłoń ci silną poda,
Ty odtąd będziesz moim, zgoda na to?

OTBERT
(zapamiętale).

Zgoda.

GUANHUMARA.

Przysięgnij mi.

ORBERT.

Przysięgam.

GUANHUMARA.

Ja w twojéj Reginie
Mam rękojmię, że musisz dotrzymać mi wiary;
Ty wiesz, że doskonale znam ten zamek stary,
W najskrytszy zakąt wchodzę o każdéj godzinie.

OTBERT
(*wyciągając ręce po flakonik*).

Daj mi to!... Ja Reginę uratować muszę.

GUANHUMARA.

Pamiętaj, cośmy tutaj wzajem poręczyli.

OTBERT
(*z dziką radością*).

Ona żyć będzie!

GUANHUMARA.

Tak jest. Lecz pomnij, że w chwili,
Gdy ty bierzesz ten napój, ja biorę twą duszę.

OTBERT.

Daj i bierz.

GUANHUMARA
(*oddając mu flakonik*).

A więc jutro.

OTBERT.

Jutro!

(*Guanhumara wychodzi*).

OTBERT
(*sam*).

Mniejsza o to!
Kto jesteś, jakakolwiek działa przez cię siła,
Wdzięcznym ci niepojęta, nadludzka istoto!
(*Idzie ku podwojom i zatrzymuje się patrząc przez chwilę na flakonik*).
Niech piekło mnie pochłonie, byle ona żyła!
(*Wybiega spiesznie przez drzwi, które zamykają się za nim; tymczasem z przeciwnéj strony słychać śpiewy i śmiechy w coraz większém zbliżeniu; wielkie podwoje otwierają się na rozcież*).

SCENA V.

Wchodzą z wesołym gwarem książęta i burgrafowie, wiedzeni przez Hattona; wszyscy ustrojeni w kwiaty, ubrani w jedwab' i złoto, bez koszul drucianych i naramienników, z puharem w ręku. Rozmawiają, piją i śmieją się w różnych gromadkach, pomiędzy któremi obchodzą paziowie z winem, ze złotemi nalewkami i z tacami pełnemi owoców. W głębi halabardnicy nieruchomi i milczący, muzykanci, trębacze i heroldowie.

BURGRAFOWIE.

HATTO, GORLOIS, GERHARD książe Turyngii, PLATON margraf Morawii, GILISSA margraf Luzacyi, ZOAGLIO GIANILARO szlachcic genueński, DARYUSZ burgraf z Lahneck, CADWALLA burgraf z Okenfels, LUPUS hrabia z Mons (młody jak Gorlois). Inni burgrafowie i książęta, osoby nieme, między innemi UTHER pendragon bretonów, oraz bracia Hattona i Gorlois. Kilka kobiét wystrojonych, paziowie, oficerowie, kapitanowie służbowi.

HRABIA LUPUS
(śpiewa).

Wiatr ze śniegiem z gór się zrywa,
Zima ciągnie dokuczliwa;
Mniejsza, wichry i zawieje,
Moje serce miłość grzeje.

Matka w ziemi pochowana,
Jam wyklęty przez plebana;
Mniejsza klątwy, niepokoje,
Ja miłością serce koję.

Belzebuba czarna rota
Darmo stuka w moje wrota,
Mniejsza piekło i szatany,
Bo ja kocham, jam kochany.

MARGRABIA GILISSA
(wyglądając oknem bocznem, do hrabiego Lupusa).

Patrzaj hrabio, ztąd widać okoliczne bory
I rogatkę grodową i ścieżki po górach.

MARGRABIA PLATON
(przyglądając się zniszczeniu sali).

Co za starość, żałoba, wisi na tych murach.

KSIĄŻE GERHARD
(do Hattona).

Rzekłbyś, że w téj galeryi mieszkają upiory.

HATTO
(*ukazuje na drzwi pawilonu*).

Tu jest przybytek mego rodzica i dziada.

MARGRABIA PLATON.

Żeś się jednak ich pozbył, to sztuka nie lada.

HATTO.

Starość nie radość, musi raz ustąpić z pola;
Oni czas swój przeżyli, rozstrojona głowa.
Stary ze dwa miesiące nie wymówił słowa:
Ma coś sto lat. Dziś tutaj moja rządzi wola.
A oni ustąpili.

GIANNILARO.

Sami?

HATTO.

Prawie.
(*Wchodzi kapitan służbowy*).

KAPITAN
(*do Hattona*).

Panie!

HATTO.

Czego chcesz? o co idzie?

KAPITAN.

Ten lichwiarz bogaty,
Żyd Perez, nie uiścił się jeszcze z wypłaty.

HATTO.

Powiesić go.

KAPITAN.

Niezwłocznie... Linzejscy mieszczanie
Przejęci strachem, do łask Waszych się udają.

HATTO.

Zrabować ich.

KAPITAN.

A Rbensów?

HATTO.

Zrabować: niech giną.
(*Kapitan wychodzi*).

BURGRAF DARIUSZ
(*podchodzi do Hattona z puharem w ręku*).

Niech cię nie znam, margrabio, masz wyborne wino!

HATTO.

Ba! wierzę. Mnie corocznie z Bingen dostarczają
Dwie beczki wybornego szkarłatnego wina;
Boją się mnie, więc raczą.

KSIĄŻE GERHARD.

Do tego Regina,
Twa narzeczona piękna.

HATTO.

Tak sobie, niczego;
Trzeba przestać na pięknem w braku piękniejszego.
To krewna po kądzieli.

KSIĄŻE GERHARD.

Wydaje się chorą.

HATTO.

Nic strasznego.

GIANNILARO
(*cicho do księcia Gerharda*).

Niedługo w całun ją ubiorą.
(*Wchodzi kapitan.*

KAPITAN
(*cicho do Hattona*).

Jutro iść będą kupcy.

HATTO
(*głośno*).

Więc czaty rozstawić.
(*Kapitan wychodzi, Hatto mówi daléj zwracając się do książąt*).
Mój ojciec jużby był tam. Ja w domu zostanę:
Po co mamy wojować, gdy możem się bawić.
Dawniéj siła, dziś podstęp stanowi wygranę.
Podróżny mnie przeklina, mówi: „Hatto zbrodzień,
On z bracią w czarnym burgu, który drwi i z burzy
I z siły ludzkiéj, winu i rozpuście służy;
On książętom, margrabiom, daje uczty codzień,
Na których z jego woli, zrzuciwszy z rąk pęta,
Książętom gościom służą więźniowie książęta."
To mi los właśnie! wszyscy boją się, zazdroszczą,
Ja się śmieję w téj twierdzy, gdy oni się złoszczą,
I czekając szatana, mam tu raj prawdziwy,
Wypuszczam moich zbrojnych jako psów myśliwy,
Żyję wesoło, prawda?—mam piękną kochankę.
(*do księcia Gerharda*).
Ale ty, czyś zaślubił już swoją hrabiankę
Izabellę?

KSIĄŻE GERHARD.

Nie.

HATTO.

Przecież było umówione,
Że miałeś, gród jéj wziąwszy, pojąć ją za żonę.

KSIĄŻE GERHARD
(*śmiejąc się*).

Przysiągłem nawet, ale przestając na małém,
Narzeczonéj się zrzekłem, a gród zatrzymałem.
(*Śmieje się*).

HATTO
(*śmiejąc się*).

A cóż na to sejm mówi?

KSIĄŻE GERHARD.

Sejm.... milczy, a potém....
(*Z lekceważeniem*).
Co mi tam!

HATTO.

A przysięga?...

KSIĄŻE GERHARD.

Mniejsza!...

(*Od kilku chwil drzwi wieżycy na prawo otworzyły się i na stopniach ciemnych schodów ukazali się dwaj starcy: jeden więcéj niż 60-letni z brodą i głową siwą, drugi daleko starszy prawie zupełnie łysy z długą białą brodą; obaj mają żelazne koszule z drucianemi golennikami i naramiennikami, przy boku miecze, a na wierzchu wojenne ubrania: starszy ma płaszcz biały podszyty suknem złocistém; młodszy skórę wilczą, któréj paszcza wystaje nad głowę. Za starszym stoi nieruchomie, jak figura z kamienia, białobrody koniuszy okryty żelazem z czarną bez herbów chorągwią, która ponad głową starca powiewa.— Otbert ze spuszczonemi oczyma stoi przy starszym, który prawą ręką opiera się na nim.— W cieniu za każdym z sędziwych rycerzy dają się spostrzegać dwaj mastalerze okryci żelazem, jak ich panowie, i niemłéj starzy; białe ich brody wyglądają z pod puklerzy.— Ci masztalerze trzymają na poduszkach ze szkarłatnego aksamitu hełmy obu starców ogromne i dziwnego kształtu, na wierzchach ich wyrobione paszcze fantastycznych zwierząt.— Dwaj starcy słuchają w milczeniu: młodszy jedną ręką podparty pod brodę, drugą opiera na rękojeści ogromnego szkockiego topora; biesiadnicy, zajęci rozmową, ukazania się ich nie spostrzegli*).

SCENA VI.

CIŻ, JOB, MAGNUS, OTBERT.

MAGNUS.

W dawne lata
Przysięga była w Niemczech jak wojenna szata,

Z hartownéj stali; z dumą można wspomnieć o tém,
Bo byłato rzecz trwała i lśniąca zdaleka,
Po niéj sądzono zwykle o wzroście człowieka;
Rycerz z nią się nie rozstał w żadnéj życia dobie,
Kiedy spał, wtedy nawet czuł ją tuż przy sobie.
Ona, choć rdzą przejęta, miała wartość swoją,
I rycerz mógł spokojnie zasnąć w czystym grobie,
Bo był cały okuty przysięgą jak zbroją;
A czas, który granity rozwalał i kruszył,
Zbroję zniszczył niekiedy, przysięgi nie ruszył.
Lecz dziś wiara, cześć, sława, w gruncie i z pozoru
Przybrały krój nowego hiszpańskiego wzoru.
Dziś przysięga.... to jedwab', błyskotka, trwa chwilę,
Jak kołnierzyk do stroju, czasem mniéj niż tyle;
Służy dopóki modna, a gdy się zużyje,
Jak łachman niepotrzebny na śmiecisku gnije.

(*Na te słowa Magnusa, wszyscy obrócili się w osłupieniu. Chwila milczenia między biesiadnikami*).

HATTO
(*schylając się przed starcami*).

Ojcze!...

MAGNUS.

Za wiele młodzi robicie hałasu:
Dozwólcie nam zgrzybiałym spokojnego wczasu,
Blask biesiady zbytecznie razi nasz wzrok stary;
Starzy dzwonili w miecze; wy, dzwońcie w puhary,
Lecz zdala od nas!

HATTO.

Panie!...

(*W téj chwili spostrzega portrety poodwracane przodem ku ścianie*).

Ale cóżto znaczy?
Któżto sobie pozwolił mych przodków portrety
Poodwracać ku ścianie?

MAGNUS.

Ja!...

HATTO.

Ty?

MAGNUS.

Ja, niestety!

HATTO
(*z gniewem*).

Mój ojcze!...

KSIĄŻE GERHARD
(*do Hattona*).

To zwyczajnie stary wiek dziwaczy!

MAGNUS
(*do Hattona*).

Jam ich twarze odwrócił, ażeby w złéj chwili
Na ohydę potomków swoich nie patrzyli.

HATTO
(*popędliwie*).

Za mniejsze ubliżenie, niż co mnie spotyka,
Barbarossa, ukarał dziada Ludowika....

MAGNUS
(*odwracając głowę ku Hattonowi z całą gwałtownością*).

Barbarossa!... kto wyrzekł to straszne nazwisko,
Które płomieniem zemsty duszę mą przenika?
Niech go nikt nie wspomina, kiedy Magnus blisko?

HRABIA LUPUS
(*śmiejąc się*).

A cóż on wam zawinił?

MAGNUS.

O! moi przodkowie,
Odwróćcie oczy! Co on zawinił?... Panowie!
Przejdźcie wzdłuż po rozległéj nadreńskiéj krainie,
Zliczcie na obu brzegach te zamki w ruinie...
On nasze córy, siostry, wlókł jak niewolnice,
Na naszych własnych skałach, z naszych baszt kamieni,
Cesarskie gwoli sępów stawiał szubienice,
Szturmował, deptał po nas śród krwistych strumieni;
Najdzielniejsi z rąk jego poginęli marnie...
To on nam i wam zrobił, a zrobił bezkarnie.
Lat trzydzieści ten Cezar wkraczał w nasze góry,
Zawsze z tryumfem: więził, zakuwał w kajdany,
Sądził, palił, katował, ciągnął na tortury,
I musieliśmy cierpieć ten gwałt niesłychany.
Znosiliśmy jak żydzi, jako sklawonowie,
Jego dłoń obelżywą, jego miecz zwycięzki;
Ale o tém nie wiedzą wyrodni synowie,
Obojętni na swoje i na ojców klęski!
Wszystko się przed nim gięło. Ale jednym razem,
Gdy Frydrych piérwszy lśniący złotem i żelazem
Wkraczając na płonącą ze wszech stron wieżycę,
Wszem naszym wojskom dumnie rzucał rękawicę,

Wszystko drżało, pierzchało na błysk jego zbroi,
Tylko mój ojciec jeden.
(*Ukazując na drugiego starca*).
Który tutaj stoi,
Zastępując mu drogę w wązkiéj baszty bramie,
Rozpaloném żelazem sparzył prawe ramie!
O wspomnienia! o czasy! czemuż was tak mało!!
Błyskawicą przemknęły przed memi oczyma,
Burgi runęły w padół, baronów niestało;
Z całego lasu ledwie jeden dąb się trzyma:
(*Schylając się przed drugim starcem*).
A tym dębem ty jesteś, mój ojcze czcigodny!
(*Prostując się*).
Barbarossa! przekleństwo dla tego nazwiska!
Nasze tarcze herbowe padły w muł podwodny,
Zniesławiony Ren czarne obmywa zwaliska!
Lecz ja się zemszczę za nas, on mi się nie skryje!
Ja straszne zemsty piekło w duszy méj otworzę,
Zionę w niego lub w synów, jeśli on nie żyje;
To będzie moja wielkość... spraw to mocny Boże,
Niech nie umrę przed zemstą, by pogrzebne dzwony,
By mi grób nie urągał, żem legł w nim shańbiony.
Bo, żeby mieć tę radość, téj się chluby dobić,
Żeby mogilny kamień od piersi odrzucić
I na ziemię z zagrobu po zemstę powrócić,
Młodzieńcy! jam jest gotów okropny gwałt zrobić.
Tak! z Bogiem czy bez Boga! potężny i dumny,
Gdy przyjdzie zemsty chwila, ja się wydrę z trumny,
Jaką spotkam, niebiańską czy piekielną bramę,
Jednym cięciem
(*Wyciągając rękę*).
Téj pięści granitowéj, złamę!
(*Zatrzymuje się chwilę i pozostaje w milczeniu*).
Co téżto mnie się marzy, mnie, mdłemu starcowi!
(*Wpada w głębokie zamyślenie i zdaje się nic około siebie nie słyszeć, stopniowo wesołość odradza się między biesiadnikami. Dwaj starcy stoją jak dwa posągi. Wino obchodzi i śmiechy powstają*).

HATTO,
(*cicho do księcia Gerharda, ukazując na dwóch starców i zżymając ramionami*).

Wiek rozum odjął.

GORLOIS
(*cicho do Lupusa wskazując na Hattona*).

Ojciec mój będzie jak oni,
A ja będę tak jak on, i któż mi zabroni?

HATTO
(*do księcia Gerharda*).

To bieda, że im wierni żołnierze zamkowi!

(*Tymczasem Gorlois i kilku paziów przybliżyli się do okna i wyglądają. Gorlois odwraca się raptownie*).

GORLOIS
(*do Hattona*).

Patrz, ojcze, jakiś starzec na zamkowéj drodze.

HRABIA LUPUS
(*biegnąc do okna*).

Jaki wolny krok jego, snadź zmęczony srodze.

GIANNILARO
(*podchodząc*).

Wiatr przez jego dziurawą przewiewa siermięgę.

GORLOIS.

Widać, że on się w zamku schronić ma ochotę.

MARGRABIA GILISSA.

Pewnie żebrak.

BURGRAF CADWALLA.

Szpieg może.

BURGRAF DARIUSZ.

Wypędzić niecnotę!

HATTO
(*przy oknie*).

Wygnać ztąd kamieniami, odstraszyć włóczęgę.

GORLOIS, LUPUS i PAZIOWIE
(*rzucając kamieniami*).

Idź, psie!

MAGNUS
(*jakby ocknąwszy się*).

Cóżto za czasy, o Boże wszechwładny!
Co za ludzie dziś żyją, jakiż płód szkaradny,
Co rzuca kamieniami w starego biedaka!
(*Mierząc wszystkich oczyma*).
I myśmy przecie mieli wiek młodości złoty.
I biesiady i pieśni i huczne pustoty;
Lecz gdy śród szumnéj uczty spostrzegł kto żebraka,
Co drżał z wieku i zimna... wraz cichła biesiada
I czém inném się żwawa zajęła gromada.
Napełniano kask złotem, winem kielich spory,
I to było dla gościa, którego Bóg zdarzył;
Potém w weselsze jeszcze huknęliśmy chory,
Bo starzec się pokrzepił i wesoło gwarzył,
I miał o czém iść w drogę... Cóż tedy sądzicie
Po naszych czynach, o tém, co wy dziś czynicie?!

JOB
(*prostuje się, postępuje krok dotykając ramienia Magnusa*).

Przestań, młodzieńcze!—dawniéj gdy w biesiadnéj sali
Piliśmy, o! i głośniéj niż wy tu śpiewali,
Siedząc w gromadném gronie za dębowym stołem,
Co się giął pod leżącym w złotéj misie wołem;
To jeśli kto z goszczących spostrzegł za oknami
Starca, co szedł o kiju, w łachmanach i bosy;
Eskorta szła po niego! grzmiały trąb rozgłosy,
Czekając nań wstawali baronowie sami;
A młodzi, bez uśmiechu, bez pieśni, bez mowy,
Choćby byli książęta, uchylali głowy;
A starcy żebrakowi rękę podawali
I „zawitaj nam Panie!" okrzykiem wołali.
(*do Gorlois*).
Sprowadź go!

HATTO
(*schylając się*).

Lecz...

JOB
(*do Hattona*).

Milczenie!...

KSIĄŻE GERHARD
(*do Joba*).

Panie! ja tak cenię...

JOB
(*przerywając*).

Któż tu śmie jeszcze mówić, gdym ja rzekł: *milczenie!*
(*Wszyscy odstępują, Gorlois wychodzi*).

OTBERT
(*na stronie*).

Dobrze! dobrze!... lwie stary!... nim opuścisz ziemię,
Skarć tych szakalów, twoje... lecz wyrodne plemię.
I gdy który znieważyć zechce cię umyślnie,
Wstrząśnij grzywą, aż strach go do ziemi przyciśnie.

GORLOIS
(*wracając do Joba*).

Już idzie.

JOB
(*do synów*).

Stańcie przy mnie.
(*Do panów, którzy jeszcze siedzą*).
Powstać! czy słyszycie?
(*do heroldów i trębaczy*).
Teraz grzmieć w trąby, jakby na króla przybycie.

(*Trąby grzmią, burgrafowie i książęta stają na lewo. Rodzeństwo Joba po prawéj stronie około niego. W głębi halabardnicy powiewają chorągwiami*).

Tak!

(*Wchodzi przez galeryą w głębi żebrak, prawie w wieku Joba. Biała broda spada mu do pasa. Odziany jest opończą z grubego brunatnego sukna z podartym kapturem, na wierzchu ma płaszcz długi tegoż samego koloru i podziurawiony, głowa łysa, u pasa sznur, na którym zawieszony różaniec o grubych ziarnach, trepki na nogach przyczepione szpagatem. Zatrzymuje się na wysokości sześciu schodów i staje oparty na sękatym kiju. Halabardnicy witają go chorągwiami, a trąby powtórnym grzmotem; od kilku chwil Guanhumara ukazała się na wyższém piętrze chodnika i obecną jest całéj scenie*).

SCENA VII.

CIŻ I ŻEBRAK.

JOB

(*pomiędzy rodzeństwem, do żebraka stojącego na progu*).

Gościu! czy słyszałeś, przechodząc po świecie,
Że pomiędzy Kolonią a Spirem na grzbiecie
Opoki, która głowę swą nurza w niebiosach,
Jest zamek najgłośniejszy pomiędzy zamkami,
A w tym burgu, wzniesionym na kamiennych stosach,
Jest burgraf najgłośniejszy między burgrafami?
Czy ci opowiadano, że ten czlek szatański,
Którego groźnych czynów wieści brzmią dokoła,
Przez trybunał frankfurcki, przez sobór pizański,
Wymazany z cesarstwa, wykluczon z kościoła,
Potępiony przez wszystkich, z pod prawa wyjęty,
Lecz wrosły w swą opokę, w swéj woli nie zgięty,
Wyzywa, ściga, bije bez przerwy, bez miru,
Hrabiego Palatyna, biskupa Trewiru,
I lat sześćdziesiąt stale on tylko jedyny,
Odpycha od swych murów cesarskie drabiny?
Mówionoż ci, że on jest schronieniem dla mężnych,
Że bogatych magnatów w jeńców przeobraża,
Że silniejszy od książąt, królów i cesarza,
Drwi w oczach Niemiec z jego szeregów orężnych?
Na wieży swéj zawiesił jako wyzyw srogi,
Jak otuchę dla ludzi, co jęczą w kajdanach,
Czarny żałobny sztandar. przed którym drżą wrogi,
Cały, choć się w burzliwych zwija huraganach.
Mówionoż ci, że w latach on równy wiekowi,
Że nie uległy niebu, ludziom i losowi;
Od czasu jak się podniósł na swojéj opoce,
To-ni wojna, co burgi strąca i druzgoce,
Ni zawziętość Cezara, ani Rzymu siła,
Ni rdza lat w nim żelaznéj woli nie skruszyła?

Że ten olbrzym nie zlękły, groźny, nie ugięty,
Ten stary Tytan Renu, zwie się *Job wyklęty?*
Czy wiész o tém?

ŻEBRAK.

Wiem.

JOB.

Teraz on ci na to powie:
Witaj gościu i panie!... bo to ja się zowię
Job wyklęty.

(*Ukazuje na Magnusa*).

Tu klęczy jego syn jedyny,

(*Wskazując na resztę rodzeństwa*).

A to mniejsi już od nas, mego syna syny.
Tak częstokroć nadziei rozchwieją się mary?
Po ojcu nieboszczyku wziąłem ten miecz stary,
Po mieczu groźne imię; po matce dostałem
Ten zamek, w którym dotąd nie wzruszony stoję:
Otóż miecz, imię, zamek,—wszystko, gościu, twoje:
A więc mów do nas słowem otwartém i śmiałém.

ŻEBRAK.

Panowie, za gościnność dziękczynienia składam.
Witam was, i was jeńcy, i to wam powiadam:
Jeśli wszystko spokojne w waszych uczuć głębi,
Jeżeli nic z przeszłości serc waszych nie gnębi,
Radujcie się, śpiewajcie, żyjcie życiem błogiem;
A jeśli nie, to wcześniéj jednajcie się z Bogiem!
O młodzieńcy! o starcy wielcy doświadczeniem!
Wy strojni w wieńce z kwiatów, wy lat wieńcem strojni,
Jeśliście źle czynili pod niebios sklepieniem,
To patrzajcie przed siebie, bądźcie bogobojni.
Człek po świecie zaledwie obejrzéć się zdąży;
Nad młodym wisi starość, nad starcem grób ciąży!
Więc młodzi, ufni w siły z swéj świeżości dumne,
Miejcie na względzie starość, a wy starcy trumnę!
Bądźcie gościnni, tożto dług ludzkości święty:
Czyż wiecie, kim być może żebrak odepchnięty?
Szanujcie go, choćbyście byli i królami,
Bo nie wiecie zkąd przyszedł, od kogo. Czasami
Bóg, by na ziemi cele rozwiązać zawiłe,
Składa do rąk, żebraczą okrytych odzieżą,
Pasmo zdarzeń, błyskawic i piorunów siłę,
Co nie wiedzieć gdzie zagrzmią i w kogo uderzą.

JERZY NIEMIERZYC

PODKOMORZY KIJOWSKI, STAROSTA OWRUCKI I KRZEMIENIECKI.

PRZYCZYNEK DO HISTORYI PANOWANIA JANA KAZIMIERZA.

PRZEZ

J. Łukaszewicza.

W dawném województwie kijowskiém osiadła od wieków rodzina Niemierzyców herbu Klamry, piastując w niém rozmaite wysokie urzędy obywatelskie i niewyszczególniając się pomiędzy innemi rodami szlacheckiemi. Ale gdy od środka XVIIgo wieku zwaliło się na Polskę całe brzemię klęsk i nieszczęść, znalazł się w tym rodzie odszczepieniec, który sprzysiągłszy się z wrogami na zgubę własnéj ojczyzny, służył im ręką i głową, spodziewając się za ich pomocą nasycić własną dumę, wyniesieniem się na najwyższe stopnie godności w kraju. Tym odszczepieńcem był Jerzy Niemierzyc, podkomorzy kijowski, starosta owrucki i krzemieniecki, człowiek przebiegły i na wiek, w którym żył, wysoce ukształcony. Ojcem jego był Stefan Niemierzyc, także podkomorzy kijowski, matką Marta Wojnarowska. Stefan za powodem matki z domu Chreptowiczownéj, pierwszy z rodu swojego przeszedł z wyznania wschodniego do socyniańskiego i w licznych dobrach swoich zbory tego wyznania

pozakładał, częścią znowa (1), częścią też pozamieniawszy w nie cerkwie. Syn jego Jerzy, o którym słów kilka powiedzieć zamierzyłem, spokrewniony z domami szlacheckiemi tego wyznania, jakoto z Czaplicami, Lubienieckiemi, Moskorzewskimi i wielu innymi, odebrawszy początki nauk w domu rodzicielskim, wysłanym został do głównéj wówczas szkoły socyniańskiéj w Rakowie, w któréj pobywszy lat kilka i napoiwszy się w niéj nienawiścią ku religii panującéj w kraju, zwiedził zachodnią Europę pod przewodnictwem uczonego współwiercy owego Andrzeja Rutkowskiego, autora rzadkiego dziś dziełka *Cteticae*, wydanego w Amsterdamie 1650 roku. W podróży téj między innymi uczonymi zapoznał się z sławnym Hugonem Grocyuszem (2), do którego miał list polecający od Marcina Ruara (3), niegdyś swego nauczyciela, uczonego Rakowczyka, czyli raczéj Socynianina zboru rakowskiego. Bawił właśnie w Paryżu, zwiedziwszy poprzednio Anglią i Włochy, gdy się dowiedział o wyprawie pod Smoleńsk, na którą się Władysław IV wybierał. Porzucił natychmiast stolicę Francyi, a powróciwszy na Ukrainę, zebrał w dobrach swoich znaczny poczet zbrojnych pieszych i jezdnych i pospieszał z nim do obozu króla, który już Szchina do reszty łamał. Wśród drogi odebrał rozkaz od króla, podobnie jak wielu innych ściągających się z swojemi pocztami pod Smoleńsk, aby się udał pod chorągwie hetmana Koniecpolskiego, strzegącego granic z strony Turcyi. Niemierzyc wypełniając wolę monarchy połączył się z zastępami Koniecpolskiego i miał udział w bi-

(1) Zbory te były w Horoszkach, Noryńsku, Czerniechowie i indziéj. Powiem o nich nieco w historyi antytrynitarzy polskich.

(2) Zapoznał się także i z sławnym Piotrem Gassendem.

(3) Ruar ten rodem z Holzacyi, którego dzieła wyliczają Sandyusz i Bock, tak doskonale wyuczył się po polsku, że pisał w tym języku daleko poprawniéj, niż wszyscy współcześni mu rodowici Polacy. Zmarły niedawno Ignacy Skorzewski, pochodzący po kądzieli od Socyan Iwanickich udzielił mi dość obszerną korrespondencyą jego z Iwanickiemi i innemi Socyanami, którzy po rozproszeniu zboru rakowskiego szukali przytułku w Gdańsku. Napisał Ruar historyą wypraw hetmana Koniecpolskiego. Ukrywa ona się w rękopiśmie może jeszcze gdzie w Szlązku, Siedmiogrodzie, Prusach wschodnich lub też Holandyi, dokąd się po roku 1658 gminy Socyan polskich wyniosły. Odkrycie tego dzieła, wnosząc z listów Ruara, byłoby niemałém zbogaceniem historycznéj literatury naszéj.

twach, które hetman z Tatarami i Turkami pod Kamieńcem Podolskim i w Multanach staczał. Po zawarciu pokoju z Turcyą (1634 r.), gdy się nowa burza na Polskę z strony Szwecyi zbierała, Koniecpolski wezwanym został z wojskiem swojém do Prus, w których jeszcze za panowania Zygmunta III dał się Szwedom w znaki. Nie odstąpił go i Niemierzyc. Wszakże przygotowania na wojnę szwedzką przerwał traktat w Sztumdorfie na lat 26 zawarty. Poczém wojsko polskie wrócilo na zwykłe stanowiska swoje, a Niemierzyc poszedł z chorągwią swoją na Podole.

Kilka następnych lat panowania Władysława IV przeszło spokojnie. Niemierzyc też porzucił służbę wojskową, a zostawszy po śmierci ojca swojego podkomorzym kijowskim, oddawał się sprawom domowym i publicznym usługom (1) współpowietników, a nadewszystko opiekował się zborami własnego wyznania, tak w obszernych dobrach i starostwach swoich, jakotéż w całéj Kijowszczyznie i na Wołyniu (2). Ta gorliwość jego (3) religijna wplątała go w długie i kłopotliwe zatargi z władzami krajowemi. Gdy bowiem w dom swój wygnanych wyrokiem trybunału lubelskiego z Rakowa nauczycieli tamtejszéj szkoły gościnnie przyjął, wytoczono mu o to proces i po długich korowo-

(1) Między innemi posłował na sejmy z województwa kijowskiego. Tak np. był posłem na sejmie 1638 roku i protestował z wielu innemi przeciwko wyrokowi znoszącemu szkoły i zbór rakowski.

(2) „Huic postea commodas sedes Sersnis et Ussomiriae filius Stephani Georgius (Niemierzyc) patri in illo officio terrestri et praefectura succedens designavit et tutatus est non sine multis persecutionum assultibus et incommodis". Lubieniecki pag. 277.

(3) Żarliwość jego socyańską wyobrazić sobie można z słów, które Sandyusz w Życiu Wiszowatego przytacza. „Nec minore ipsum Niemiricii, luculenti census haeredes magnaeque in illis oris auctoritatis viri, favore prosequebantur. Quorum natu maximus Georgius kijoviensis Archicamerarius, jam pridem ab ecclesia flagitaverat, ut Wissovatium ex exteris reducem, ipsi concederent, in divinis rebus ministrandi gratia. Tunc vero ipsum invitabat, ut cum eo Borysthenem trajiciens, in oppidum suum Orel ad ripam ejus fluminis situm, proficisceretur. his eum animans verbis; „Sanctus (inquit) Andreas apostolus cognominis tuus, Scythis eisque finitimis populis Evangelium praedicasse fertur, tu in easdem mecum vade oras, idem acturus". Ten sam Niemirycz, który pastora socyańskiego porównał do ś. Andrzeja apostoła, nieco późniéj potém nakłaniał swoich współwierców do przejścia do cerkwi wschodniéj!

dach prawnych na zapłacenie 10,000 grzywien skazano. Zniósł atoli niesprawiedliwość tę cierpliwie.

Najście Szwedów na Polskę za czasów Jana Kazimierza, jak wielu innych tak i Niemierzyca z drogi bitéj obowiązków obywatelskich popchnęło na bezdroża. Połączył on się natychmiast z nieprzyjacielem i nie odstępował boku Karola Gustawa, któremu służył gorliwie radami, porozumiewaniem się z ludźmi tego samego, co on sposobu myślenia i kuszeniem do zdrady ludzi prawych. Nawet gdy już sprawa Szwedów w Polsce chwiać się zaczęła i wielu obłąkanych chwilowo przypomniało sobie o obowiązkach względem ojczyzny, on jeszcze wraz z kilku współwiercami swymi socyanami zalegał obozy Szwedów. Z Karolem Gustawem i Rakoczym podstąpił po drugi raz w kwietniu 1657 roku pod Zamość (1) i w imieniu króla szwedzkiego wezwał Jana Zamojskiego, natenczas podczaszego koronnego, aby bramy twierdzy nieprzyjacielowi otworzył. „Jako przedtém, pisał do Zamojskiego, król JM. szwedzki Pan mój miłościwy wdzięcznie to przyjmował, coś W. Mość Pan ludzkości swéj, oświadczał J. W. Wittembergowi, hetmanowi J. K. Mości i innym w Zamościu osadzonym oficerom, tak oświadcza to i teraz przez mię WMPanu, abyś nieczekając zbliżenia do majętności swoich wojsk szwedzkich, węgierskich, kozackich, wołoskich i multańskich chciał jak najprędzéj akkordować, zabiegając zgubie swéj i majętności swoich ostatniemu które następuje złemu. Doznałeś WMPan tego, że ochronione były majętności WMPana od wojska króla JMości, który jako umie w dobrym porządku i dyscyplinie wojsko swe zachować, tak ledwo *sensibile* było od tegoż wojska króla JM. *damnum* majętnościom koło Zamościa będącym. Lecz teraz iż różne narody w różnych wojskach już następują, za zbliżeniem ich co WMPan obiecywać sobie możesz, podaję do uwagi WMMPanu, zwłaszcza, iż król JM. Kazimierz jest *extra regnum*, jako mamy wiadomość, i wojsko polskie nie śmie pola stawić i nie może, ztąd i *subsidii spes nulla*. Zaczém sam rozum to radzi, abyś WMPan

(1) Wojsko szwedzko-siedmiogrodzkie nie podemknęło się jednakże pod sam Zamość, ale pomiarkowawszy z odpowiedzi Zamojskiego, że twierdzę swoję nie tak łatwo podda, ruszyło z okolic Kraśnika wprost pod Brześć litewski.

i zdrowia swego i fortun swoich nie chciał odważać tam, gdzie przegrana z Boskiéj dyspozycyi pewna, ale raczéj żebyś i sam nie gardził tą łaską JKMości, i ktokolwiek lubo w Zamościu lubo w okolicy zostaje z stanu szlacheckiego, abyś im powodem być raczył do tego, żeby ten prawie ostatek Polski w całości, małżonki swe i panieński stan przy uczciwości, niewinne dziatki jako latorostki Rzeczypospolitéj przy zdrowiu, a wszystka ojczyzna przy prawach i swobodach zachowaną była. A jako król JMPan mój miłościwy, tak i książę siedmiogrodzkie cokolwiek przyrzeką, pewnie WPanu i inszym Ichmościom dotrzymają Pańskiego słowa swego. Oddaję się zatém łasce WMPana. Datum w obozie pod Zawichostem *die* 16 *Aprilis Anno* 1657.“ Zamojski opatrzywszy poprzednio dostatecznie w żywność i amunicyą twierdzę swoję (1) odpowiedział Niemierzycowi z wzgardą, jak przystało na potomka wielkiego Jana Za-

(1) Zamojski dowiedziawszy się przez szpiegów, że nieprzyjaciel zamyśla pokusić się o Zamość, wydał w kwietniu następujące rozporządzenie:

1. Obwołać gotowanie żywności na pół roku, a kto jéj nie może mieć, żeby z miasta wychodził, prócz tych, co do obrony sposobni, żeby się prezentowali zamkowi i opowiedzieli, kto żywności nie może mieć.

2. Koni żeby w mieście nie chowano, aby, gdyby niestało owsa i siana, ludziom nie wytrawiły żywności.

3. Ostrzedz zawczasu tych, którymby zołdatów (sic) żywić przyszło, żeby i dla nich przygotowano, aby z niewiadomości, albo niedostawało wszystkim, albo do tumultów nie przychodziło.

4. Wozić kazać zewsząd i za kilka mil zboża, ktokolwiek jakie ma i gołe i w snopach, aby i sobie gotowano i nieprzyjacielowi nic nie zostawiono.

5. Bydło i świnie kazać bić i solić.

6. Strzelbę i prochy zewsząd naokoło z miasteczek i wsiów kazać pozwozić.

7. Wodę i skóry moczone wszędzie po dachach mieć, a ktoby nie miał, dachy zrzucać.

8. Siana i słomy aby nikt pod dachem nie chował.

9. Żywności z miasta żadnéj, ani soli nie wywozić, ani przedawać za miasto pod zabraniem i wina i skór żadnych nie wywozić, które wszystkim mieć potrzeba.

10. Gospodarze, aby wszystkich obcych tak szlachtę jako i inszych, kogo kto w domu ma, wiele osób i wiele czeladzi i z dziećmi opisali i na regestrze do zamku jako najprędzéj podali, każdy gospodarz tak z miejskiego, jako i szlacheckiego i duchownego domu.

mojskiego, na takowe wezwanie. „Nie spodziewałem się, mówi w swojéj odpowiedzi, inakszego od WMPana, *abominabili* i u samego nieprzyjaciela *exemplo* w dawnym błędzie *pertinaciter* dotąd zostawającego, pisania jedno takiego jakie rąk moich doszło. Temu się tylko dziwuję, że WMPan doświadczywszy niedawno nienaruszonéj cnoty mojéj w dochowaniu całéj wiary Panu i ojczyźnie, od każdego dobrego i pobożnego jéj syna powinnéj, znowu *tentare* nie zaniechywasz. Życzyłbym ja raczéj, żebyś i WMPan *salubria* miał przed się *consilia* i od wrodzonéj mojéj i domu mego ku Panom moim cnocie, tak każdego upewniał, że ani żadnemi perswazyami ani ostatniém życia niebezpieczeństwem nadwątlona być może. Co zaś do dalszéj kawalerów tych szwedzkich intencyi, aby miała przynieść ruinę majętnościom moim, nie wiem, żeby ich nieprzyjacielski *furor* co miał *procedere*. Wiadome będzie każdemu, *qua humanitate* dotąd sam z nimi postępowałem sobie. Ale jeźliby i do tego przyjść miało, tedy nie facilitowałaby się tem onych dalsza eliberacya, których sam wielu mając, musiałbym też pomyśléć o sposobach, jakoby mi się przez nich, któremi WMMPan przestrzegasz, ruiny reperować mogły.“ Podobną odpowiedź odebrał od Zamojskiego Rakocy, nakłaniający go, aby Zamość poddał. Gdy więc sprzymierzone wojska szwedzkie i siedmiogrodzkie nic pod Zamościem wskórać nie mogły, zwróciły się ku Brześciu litewskiemu, który zdobywszy, poszły pod Warszawę. Warszawa już poprzednio przez Szwedów ogołocona ze wszystkiego, obsadzona słabą załogą, któréj nawet na pierwszych potrzebach wojennych, np. na prochu (1) całkiem zbywało; Warszawa, któréj

11. Kto tu zostawać ma, aby miał gotowego pachołka z muszkietem na stawanie, kędy potrzeba będzie, a tak, aby od trzech żyjących dusz najmniéj nie mogących stawać do obrony, jeden stawał przynajmniéj.

12. Aby żaden mieszczanin, kupiec i Szkot nie wyjeżdżał z miasta, ani wychodził bez dozwolenia; także, aby żadnych schadzek, ani znoszenia się nawet, ani gadania z tego narodu ludźmi, którzy teraz wojują i ku miastu przystępują nikt nie ważył się, ani publicznie, ani prywatnie pod gardłem. A na kogoby się praktyka jaka, albo przestroga nieprzyjaciół, albo zdrada pokazała, takowy ze wszystkim rodem i domem swym na zdrowiu i substancyi karan będzie.

(1) „Rakotzi cependant a pris Varsovie par composition, faute de poudre dans la place, tant nous sommes peu soigneux!“. Noyers.

mury i baszty waliły się, nie mogła nieprzyjacielowi stawiać silnego oporu, nie była też przygotowaną na długie oblężenie. O tém wszystkiem wiedzieli dobrze Karol Gustaw i Rakocy (1). Niechcąc jednakże w szturmie, któryby się niezawodnie był udał, ludzi tracić, i zagrożeni wojną duńską, pragnęli jak najprędzej i sposobem kapitulacyi zająć stolicę Polski. Wtym celu polecili Niemierzycowi, aby z komendantem Warszawy i kasztelanem warszawskim traktował o poddanie Warszawy. Niemierzyc skory na usługi swych nowych panów, napisał natychmiast listy tak do komendanta Warszawy jako też i do kasztelana warszawskiego. „Po staréj znajomości naszéj, mówi w liście do pierwszego, i dobréj przyjaźni ozywam się WMPanu pod ten czas teraźniejszy, kiedy najwięcéj przyjaźni potrzeba. Gdy bowiem W. Pan uważysz dobrym rozsądkiem, co za obronę ma Warszawa, jako wiele ludzi do jéj obrony, jako wiele prochów, uznasz to, że wojskom tym, któreś wczora mógł widzieć i które dziś i jutro przystępujące obaczysz z wielką armatą, wytrzymać jest rzecz niepodobna wedle ludzkiego rozumu, odsieczy też żadnéj WMPan spodziewać się nie możesz, gdyż wyszedłszy z Prus, a więcéj niż półtorasta mil Polski okrążywszy, żadnejśmy rezystencyi wojska polskiego, albo litewskiego nie mieli. Owszem z widomego karania Bożego rozproszeni poszli, że i wiedzieć o sobie nie dają. Samejby tedy Warszawie chcieć *resistere* wojskom szwedzkim, węgierskim, kozackim, wołoskim, multańskim, cóż jest inszego, tylko tym animuszem, którym wszystka Polska prawie już zginęła i ginie, Bogu się sprzeciwiać i radzie jego *et contra aemulum calcitrare*. A to nim druga połowica wojska nastąpi i nim sie szturmowe porządki nagotują, Najjaśniejszy książę JMCi siedmiogrodzki częstuje WMPana i wszystkich w Warszawie oblężonych *oblatione* łaski swéj Pańskiéj i klemencyi, żebyście się WMość księciu JMCi poddali. Upewniam, iż co przyrzecze, statecznie WM. dotrzyma. W któréj materyi abym miał prędką a rzetelną deklaracyą, proszę i bratersko radzę, bo jeźli szturm ze

(1) Pod Warszawę poszedł atoli sam tylko Rakocy, bo Karol Gustaw musiał pobiedz na obronę własnego kraju, któremu Duńczycy wojnę wypowiedzieli.

wszech stron zacznie, ludzi, których jest więcej niż półtorakroć stotysięcy, hamować rzecz będzie niepodobna, gdy jedni *spe gloriae*, drudzy *spe praedae* cisnąć się do miasta poczną. Jużeści WPan pokazał kawalerski gieniusz swój przez któryście się okurzyli, niechciéj WPan brać na duszę swą tak wielu niewinnych ludzi i płeć białą i dziatek i *clerum inermem*, bo tego wszystkiego *nulla discretio* w szturmie w tak wielkiém mnóstwie ludzi z różnych narodów i języków niepohamowaném. Jako Pan chrześciański książę JM. *offert gratiam suam* i WMPanu i wszystkim oblężeńcom, ale i ja z dawnego affektu mego życzę, abyś WMPan nie gardził przyjacielską radą moją, który się natenczas łasce WMPana pilnie oddaję. W obozie pod Warszawą *die* 16 *Julii* 1657.“ W liście zaś do kasztelana warszawskiego tak się wyraził: „Nikt lepiéj nad samegoż WMPana wiedzieć nie może, lubo i nam wszystkie defekta WMościów wiadome, jaka jest obrona Warszawy i co za proporcya jéj defensorów *ad oppugnantes*, zaczém i snadno uznać to raczysz, że rezystencya niepodobna. Cóż tedy lepszego jest, czyli *clementią* Najjaśniejszego księcia JMCi siedmiogrodzkiego *oblatam* przyjąć, którą ja imieniem księcia JM. siedmiogrodzkiego WMPanu i wszystkiemu rycerstwu stanu szlacheckiego ofiaruję, czyli sprzeciwiwszy się Boskiéj dyspozycyi bez potrzeby odważyć zdrowia swe, małżonek swoich i dziatek, ruiny kościołów, zgubę prałatów i cokolwiek jest miłego człowiekowi. Jeżeli bowiem WM. Panowie prędkiéj nie dacie rezolucyi, gdy wojska wszystkie do szturmu przystąpią, akkordować naonczas nie będzie można. A gdy się do klemencyi księcia JM. zawczasu ucieczecie, *servabitis animas vestras* i wolności i *pignora* i majętności i kościoły i cokolwiek *chorum* macie. Ja w tém upewniam WMościów MPanów, odsieczy żadnéj nie spodziewajcie się WM., bo o wojsku polskiém i litewskiém ledwo jest wiadomość, że jest gdzieś *in rerum natura* i to bardzo szczupłe. Tećto wojska (w których ledwo co stanu szlacheckiego zostaje żołnierzów, a po większej części Tatarów, Serbów i inszych cudzoziemców nie mało, albo *ex infima plebe*) zawiodły wszystką Rzeczpospolitą, swój własny w tém interes mając, aby wojnę ciągnęły, utrapioną Polskę zdzierały i stan szlachecki niszczyły, a kiedy się okazya do bitwy podaje, uciekały zo-

stawiszy domy WMościów *praedae occupantium* i wiele niewinnych ludzi po borach, lasach i błotach na śmierć i zelżywość wydawszy, na co sami *victores ingemiscunt*. Obcych też Panów posiłków upadła Polska jako się ma spodziewać, widząc *victores exercitus* w Polsce? Komu się to zechce o cudzą krzywdę Państwo i *fortunas* swoje odważać? Bajki to i nader wielkie są bajki, któremi Rzeczpospolitą kilka osób wichrowatych ludzi, to ztąd, to zowąd posiłki obiecując. O jako wiele Polski zginęło, czekając na te płonne nadzieje, mogąc się inaczéj salwować i uspokoić ojczyznę swą. Żebyście tedy WMM. Panowie tę zdrową i przyjacielską radę moją przyjęli, uprzejmém życzę sercem i usługę moję ofiaruję, oddając się łasce WMM. Panów. W obozie pod Warszawą 16 *Junii Anno* 1657." Na obadwa listy odpowiedział Niemierzycowi sam tylko komendant Warszawy. Opłakany atoli stan miasta powierzonego obronie jego, a może i osobiste usposobienie umysłu, nie dozwoliło mu odpowiedzieć z tą godnością, jaką należało okazać zatwardziałemu zdrajcy kraju. „Przyjaźń WM. Pana dawna, mówi komendant Warszawy w odpowiedzi swojéj, w świeżéj u mnie zostawa pmięci, któréj korrespondując z moją wzajemnie odzywam się W. Panu powolnością. A że WM. Pan przy oświadczeniu przyjaźni swojéj raczysz pisać do mnie w téj poważnéj i *magni momenti* sprawie, krótko na list WM. Pana do mnie posłany odpisuję. Już to *constat* WM. Panu, że z woli i rozkazania J. K. M. mam sobie powierzone tuteczne miasto i z ludźmi na niém zostającymi, będąc *obstrictus* od J. K. M. *fide, honore et vita*, abym tego miejsca już *tot anteactis calamitatibus* zrujnowanego od wszelkich następujących niebezpieczeństw bronił i ono konserwował. Teraz za podstąpieniem księcia JMCi siedmiogrodzkiego z wojskami swemi pod to miasto, zkądeśmy się nigdy żadnych *insultus* nie spodziewali, raczysz mi WMPan proponować i perswadować, abym obrony téj fortecy supersedował, a *oblatam* przez WMPana księcia JM. *clementiam* akceptował. Przyznawamy to, i widzimy, że jest wielka księcia JMCi potęga, ani też *oblatam* księcia JM. *clementiam spernimus*, ale też nie i o tém nie wątpię, że książe JMCi nad tém jedném miastem kommizeracyi raczéj wielkiéj, aniżeli rozlania krwie

godném, *robur virium suarum experiri* nie zechce, ani życzyć mi tego będzie, abym *fidem meam* Bogu i Panu *obstrictam* miał *frangere et prostituere*. Wszak jeżeli książe JM. *per sortem et aleam fortunae* do korony przyjdzie, tedy jako nie jesteśmy teraz pierwszymi, tak potém nie będziemy *ad praestandam* księciu JM. *subjectionem* pośledniejszymi. A ja *interim* o to przez WM. Pana jako tego, ktory jesteś *os ex ossibus nostris* proszę, abyś to u księcia JM. *authoritate sua*, którą *emines, efficere* raczył, aby *exemplo* inszych miast, jako mianowicie Lwowa, Samborza, Przemyśla, które *a praesidio* księcia JMCi i od decydyi wolne zostały, tak i z tém miastem jako *magnanimus Princeps* obejść się raczył, gdyż to i samemu WM. Panu nie jest tajno, jako wielka w cudzoziemskich wojskach na tych zostawa infamia, którzy powierzone sobie fortece *dederunt*. Nic tedy nie wątpiąc, że WM. Pan z życzliwości swojéj *ad eam rationem* księcia JM. przywiedziesz, o co WM. Pana powtórnie prosimy, łasce się WMP. z powolnemi usługami memi oddaję. W Warszawie 17 *Junii* 1657."

Z odpowiedzi téj komendanta Warszawy, Niemierzycowi danéj, widać, że dowódzcy załogi warszawskiéj nie byli dalekimi od poddania stolicy nieprzyjacielowi; chodziło im tylko o ocalenie honoru wojskowego przez tak nazwane od Niemierzyca okurzenie się z wojskiem Rakocego. Ale Warszawianie inaczéj myśleli. Tych na samą wieść, że załoga wchodzi z nieprzyjacielem w układy o kapitulacyą, ogarnęła rozpacz. Poznawszy bowiem poprzednio na wojsku szwedzkiém, w jakiejkolwiek jeszcze karności utrzymywaném, co to jest nieprzyjaciel kraju, czegoż się mogli spodziewać po zachwalonéj przez Niemierzyca *klemencyi* Rakocego, ktorego wojsko złożone z saméj hołoty rozmaitych narodów, czyhającéj tylko na łupy, rozpasane było na wszelkie bezprawia i okrucieństwa? Postanowili tedy bronić się do upadłego, pojednać się naprzód z Bogiem, a potém biedz na wały z bronią, jaka komu w ręce wpadła. Kronika kollegium jezuickiego warszawskiego opiewa, że jak długo to oblężenie Warszawy przez Rakocego trwało, świątynie Pańskie napełnione były dzień i noc ludem, błagającym Niebios o odwrócenie od miasta téj nowéj klęski, a natłok do konfessyonałów tak był wielki, jakiego najstarsi ludzie nie zapamiętali. Duchowieństwo świeckie, Jezuici i in-

ni zakonnicy warszawscy przemawiali do ludu w kościołach, na rynku i ulicach zachęcając go do skruchy i do dzielnego odporu nieprzyjacielowi ojczyzny i religii. Co takiego ducha Warszawianom dodało, że nawet niedorostki chłopcy (*imbellis puerorum aetas* są słowa kroniki) nad siły swoje robiąc odważnie wycieczki i odpędzając od murów miasta nieprzyjaciela, zabrali mu jednego dnia trzy chorągwie i dwa działa. To poświęcenie się mieszkańców Warszawy w obronie miasta nic jednak nie pomogło. Warszawa musiała się poddać Rakocemu, który przecież niedługo w niéj gościł, wezwany na obronę własnego kraju, w którym mu Polacy pod dowództwem Lubomirskiego wet za wet oddawali. Po wyjściu Rakocego z Warszawy odstąpili go Kozacy, a z nimi i Niemierycz. Tymczasem nadszedł nieszczęśliwy dla socyan polskich rok 1658. Uchwałą sejmową wywołani z kraju woleli utracić majątki i tułać się po świecie, niż przejść na łono religii panującéj, która im nawróconym zapewniała wszelkie prawa i swobody obywatelstwa. Inaczéj myślał Niemierzyc. Nie chciał on utracić obszernych dóbr swoich na Ukrainie wyniesieniem się z kraju, a miał wstręt niepokonany ku religii panującéj. Aby więc wilk był syty a koza cała, przyjął publicznie wyznanie wschodniego kościoła i wstąpił w szeregi Zaporożców, ocaliwszy tym sposobem majątek, ale nie pozbywszy się bynajmniéj zasad i dogmatów socyańskich, o które go Kozacy słusznie podejrzywali. Z tém wszystkiém Kozakom pozyskanie takiego człowieka, jakim był Niemierycz, nie mogło było być obojętném. Zrobili go natychmiast obożnym w wojsku swojém: a gdy jedna ich część pod Wychowskim wracała pod panowanie Polski, Niemierycz, jako pomiędzy Kozakami celujący rozumem, nauką i wymową, wysłanym od nich został do Warszawy w celu zaprzysiężenia wierności królowi. Przydano mu za towarzyszów Daniela Wychowskiego i Teterę, ludzi napół okrzesanych, którzy go raczéj szpiegować, niż mu w poselstwie tém pomagać mieli polecenie. Wprowadzony w dniu 15 kwietnia 1659 na sejm walny warszawski (1) miał mowę przed królem i stanami,

(1) Dawid Braun w dziele *De jurium Regnandi fundamentalium* wyliczając sejmy polskie, opuścił sejm warszawski 1659 roku. Był on jednakże istotnie zwołanym i rozpoczął się dnia 27 marca.

w której nie zaprzeczając przeniewierstwa swego względem własnéj ojczyzny, rozciągnął je zręcznie na cały naród, albo raczéj na cały stan szlachecki, porównawszy Polskę do zalanego potopem korabiu, z którego gdy wody ląd opuściły, jedni rychléj, drudzy późniéj wymykali się, ale przecież wszyscy byli w tym korabiu zdrady i przeniewierstwa. Towarzysze jego Wychowski i Tetera zadowoleni jego szumną mową, któréj może nie rozumieli, potakiwali mu giestami. „Czego monarchów najpotężniejszych mnogie wojska, prawił, czego bohatérów najwaleczniejszych siła ręką, czego mędrców najsławniejszych subtelne dowcipy dokazać nie mogły, z tego głos ludzki za wieku starego i teraz w oczach wszystkiego świata tryumfuje. Na głos ludzki dwakroć stanęło w biegu słoneczne koło, rozumem ani mocą żadnego stworzenia niepohamowane. Na głos i słowa W. K. Mości niezmazanego królewskiego kredytu, rzadkiéj i niezwyciężonéj klemencyi; na słowo cnéj korony polskiéj i jéj starożytnéj cnoty *instar miraculi* wielka część walecznego W. K. M. państwa i już obcemu hołdującego horyzontowi, dzisiaj *cursu extraordinario et super naturali* do łaskawego powraca nieba i w niém *Serenissimum solem* i prześwietne *astra* W. K. Mości Pana naszego miłościwego i Rzeczpospolitą *veneratur*. Jużeśmy byli, Najjaśniejszy Miłościwy królu, *non tam culpa nostra*, jako *fato Reipublicae alieni*, zimnemu służyli monarsze i byłoto coś *fatale*, żeśmy wszyscy lepszego szukali bytu i lepszych Panów. Aż kiedy potopu tego opadły wody, wtenczas się tém popisujemy, kto wprzód na góry wysiadł, a kto późniéj z matką się swą wita z jednego wysiadłszy korabiu. Boskie to sprawy tym uczynione celem, żeby się jeden nad drugiego nie wynosił, ale dziwne kół niebieskich obroty uważywszy, to co było i co się dzieje, nie ludzkiemu, ale Boskiemu przyczytał rozrządzeniu, którego siła wszechmocna, jako wszystek świat stworzyła, tak niepojęta wola i nieograniczona władza wszystko kieruje i rządzi i dysponuje wedle upodobania. Wyrok wszechmocnego Boga stawia nas tu dnia dzisiejszego przed majestat W. K. Mości Pana naszego miłościwego i zjazd tej Rzeczypospolitéj, posłów J. W. Hetmana z wojskiem zaporożskiém, a oraz z niém wszystkiego narodu

ruskiego, abyśmy W. K. Mość wolnych narodów Pana za Pana swego, Rzeczpospolitą za ojczyznę i matkę swoją zdeklarowali wszystkiemu światu i potomnym wiekom. Jedyny to jest we wszystkim świecie specyał Państwo W. K. Mości wolnością sławne, Boskiemu podobne królowaniu, który jako płomienistym duchem tak i ludzkiemu narodowi podawszy *divinas et humanas leges, libero arbitrio* bez nagany przez wszystkie wieki moderuje. Niechaj się inne państwa cieplejszem niebem, mnóstwem złota i drogich kamieni i największych dostatków i delicyi wynoszą bogactwy! Niechaj się wszystkiego świata, jako kamienia drogiego w pierścieniu chlubią zacnością, bez wolności prawdziwej, przyznać im to możemy, że w złotej siedząc klatce żyją (lubo od Boga darowani wolnością) *alieni arbitrii* niewolnicy. Wolności Królestwa Polskiego, jako żadna nieporówna cena, tak nieco inszego Najjaśniejszy królu, nas *ad eandem societatem*, tylko ta nieoszacowana przyciągnęła wolność. *In libertate nati sumus, in libertate educati*, do téjże i teraz *liberi* przystępujemy, za tę przy dostojeństwie W. K. M, i całości ojczyzny wspólnie umierać gotowi jesteśmy: to było *motivum* nasze, to grunt nierozerwany jedności tych narodów, religią, językami i prawami różnych, której nie my tylko, ale i *posteritas* nasza wiecznie strzedz będzie, gdy wolności *aequalitas* zachowana zostanie, jako między bracią, ponieważ *regna quibus mediis fundantur, iisdem et retinentur*. Może to wszechmocna ręka Boska uczynić, że inne narody *exemplo nostro* przyjdą i pokłonią się majestatowi W. K. Mości, *exosculabuntur* cną koronę polską z jéj talentu nieoszacowanego, *et ecrescet* ta korona *in imperium magnum et ingens* za Boskiém błogosławieństwem, szczęściem i staraniem W. K. M. a rządem dobrym Wszech Stanów. Przy wiernem poddaństwie naszem przynosimy przed majestat W. K. Mości Pana naszego miłościwego pewne *desideria* nasze, w których nie mogliśmy być od Ichmość panów kommissarzów W. K. M. ukontentowani. Sam na to W. K. M. potrafić możesz z Rzecząpospolitą, abyś materye namówione i postanowione ufirmował i hojną ręką pańską przygarnął wiernych poddanych swoich jeszcze *suspensos animos*. Nie tuszę, aby kto miał być tak *malevolus* w Rzeczypospolitéj, żeby się

dał poszlakować w próżnéj zazdrości. Téj próżni są *generosi*, a *degeneres* kryć się z nią zwykli dla wstydu. Wraca się syn zgubiony do ojca swego, coża dziw, że go *osculo pacis et gratiae* uszanuje, że pierścień złoty na palec jego włoży, że go szatą oblecze ozdobną, że tłustych nie pożałuje bydląt i weselić się będzie *usque ad invidiam?* Wraca się więcéj niżeli grosz stracony frasobliwéj matce ojczyznie wspólnéj, coża dziw, że się z niego raduje niezmyślonąradością? Wraca się obłądliwa owca czułemu pasterzowi, którą nalazłszy na ramieniu swém niesie i weseli się weselem wielkiém? Zastępy niebieskie pełne doskonałéj szczęśliwości dla nawróconego jednego człowieka, nowego nabywają wesela. Oto tu więcéj aniżeli jeden, co mówię? nie tysiąc, ale miliony dziś garną się do poddaństwa W. K. Mości i zjednoczenia Rzeczypospolitéj. Wesel się W. K. M., Panie nasz miłościwy ze wszystką Rzecząpospolitą z nawróconych synów, ciesz się W. K. M. z prowincyi powróconych błogosławieństwem Bożém, szczęściem i pracą wierną W. K. M., niemniéj i królowéj Jéjmości staraniem, z żyznego Egiptu ruskiego, ziemi obfitującéj mlekiem i miodem, rodzajnéj Cerery bogatych dostatków, złotego jabłka, walecznego narodu ruskiego, morzem i lądem od dawnych wieków sławnego, tak jako my się weselimy i radujemy i wykrzykujemy, z obfitego serca winszując: *Vivat, Vivat feliciter, Serenissimus Rex Casimirus. Vivat* Królestwo Polskie aż na wieki."

Mową tą wydał Niemirycz sam na siebie wyrok śmierci. Zrobiła na sejmujących jak najgorsze wrażenie. Jedni z posłów, a tych było najwięcéj, dosłyszeli w niéj wyrzuty zdrady; drugich oburzało to zespolenie się Niemiryczа szlachcica polskiego z chłopstwem, jak się wówczas wyrażano, kozackiém; inni nakoniec, prawsi, nie mogli mu przebaczyć wczorajszych jeszcze sprawek. Wszystko sprzysięgło się na zgubę jego. Przewidując to, co go czekało, Niemierzyc szukał protekcyi u dworu i u ministrów za pośrednictwem Jana Zamojskiego, natenczas już wojewody sandomierskiego, i owemu Zamojskiemu, którego z taką butą nakłaniał niedawno, aby Zamość nieprzyjacielowi poddał, czołgał się teraz u nóg, błagając go o miłosierdzie. „Ostatnie *suspirium*, pisze do Zamojskiego, po-

kornie posyłam *ad clementissimas aures* W. M. Pana z unizoną supliką, abyś W. M. Pan nie chciał *desistere* w miłościwéj przeciwko mnie łasce i protekcyi, a wnieść powagę swoją do królestwa Ichm. i do Jaśnie Wielmożnych Ichm. Panów hetmana W. X. Litewskiego i Ichm. Pana kanclerza tegoż księstwa litewskiego, żeby Ichmość *authoritate sua comprimere* raczyli *conspiratas* Ichmość panów posłów niektórych ziemskich na krew moją *voces*, a mnie *superstitem* Ojczyznie, krolestwu Ichm. i W. M. Panu *conservare*, któremu wszystkie *residuas dies perpetuo voto* i usługą dożywotnią *litabo*". Wkrótce po napisaniu tego listu do Zamojskiego, Kozactwo poduszczone od naszych ziomków, zamordowało okrutnie Niemierzyca. Tak skończył burzliwe życie człowiek, który mogąc być własnéj ojczyznie użytecznym, podniósł na nią dłoń świętokradzką, a będąc za tę zbrodnią za życia jeszcze ukaranym, podał imię swoje i pamięć w ohydę u potomnych.

Ale Niemierzyc nietylko stał się głośnym w dziejach narodu naszego: zajmuje on jeszcze miejsce, lubo niepoczesne, w szeregach pisarzy krajowych. Jest autorem następujących pism:

1. *Discursus de bello Moschovitico.* Będąc jeszcze w Paryżu, wydał broszurkę pod tym tytułem w czasie, gdy Władysław IV wybierał się na wyprawę pod Smoleńsk. Broszurka ta jest niesłychanie rzadką, bo jéj nie znali ani Sandyusz (patrz Bibliotheca Anti-Trinitariorum p. 145), ani też Bock (Historia Antitrinitariorum pag. 547. Tom I); nie wpadła też w ręce żadnemu z późniejszych naszych bibliografów. Wspomina atoli o niéj Andrzej Rutkowski w dedykacyi Niemiryczowi dziełka swego *Cteticae*, w któréj mówi między innemi: „Szerzyła się w Moskwie wojna, gdyś we Francyi przebywał, gdzieś dyskurs o wojnie moskiewskiéj wydał". (Gliscebat cum Moscho bellum cum in Galliis ageres, ubi *Discursum de bello Moschovitico* edidisti).

2. Modlitwy i hymny 1653 roku w 12-ce. Dziełko to przytaczają Sandyusz i Bock, a za nimi Oloff i inni.

3. Wzywanie wszystkich dyssydentów polskich, aby się z kościołem wschodnim połączyli. Czy taki tytuł jest pisma tego, przezemnie z Bocka przepolszczony, nie wiem.

Na wezwanie to odpowiedział Niemiryczowi sławny socyanin Samuel Przypkowski. Że Niemirycz zacięty antitrynitarz nie z wewnętrznego przekonania, ale z nienawiści ku religii panującéj sam przeszedł do wyznania wschodniego i do naśladowania siebie współwierców swoich zachęcał, nie trzeba dowodzić. Zachodzi bowiem pomiędzy wyznaniem wschodniém a socyanizmem jeszcze większa różnica, niż pomiędzy katolicyzmem a socyanizmem. Kozacy téż nie wierzyli bardzo jego prawosławiu.

4. Kommentarz jakiś na listy do Efezów.

5. Mowa do króla na sejmie 1659 miana, którą wyżéj przytoczyłem.

6. Mnóstwo listów. Niemierzyc był niezmiernie czynnym. Przerzuciwszy się wraz z wszystkiemi swemi współwiercami do Szwedów, aby im jak najwięcéj zjednać stronników, rozpisywał się na wszystkie strony. Ja sam miałem kilkanaście listów jego w ręku, pisanych do Sapiehów, Lubomirskich i innych.

KOBIÉTA.

STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Zygmunta Kaczkowskiego.

II.

WIEŚCI HISTORYCZNE.

W czasach przedchrześciańskich smutną była u nas dola kobiety. Ażeby tę dolę zrozumieć, dosyć jest sobie przypomnieć, że wielożeństwo było obyczajem powszechnym (1).

(1) Są, którzy ten barbarzyński obyczaj w łagodniejszém usiłują przedstawić świetle: raz przezto, iż utrzymują, że Lechici, miani powszechnie za wierzchnią warstwę narodu, zazwyczaj o jednéj obchodzili się żonie; a powtóre przezto, iż zdaje im się, że w każdym razie tylko zamożni mogli być w stanie wiele żon utrzymywać; ubożsi zaś, jakich i dziś i wtedy bywało najwięcéj, musieli z konieczności żyć w jednożeństwie. Tym sposobem wielożeństwo, chociaż na obyczaju oparte i nim uprawnione, byłoby było i wówczas zdarzeniem jeżeli nie wyjątkowém, to przynajmniéj dość rzadkiém. Mniemanie to wszakże nie odpowiada prawdzie. Najpierwéj bowiem sami Lechici, jeżeli w ogóle to, co o nich wiemy dotychczas, ma uchodzić za pewnik, wedle wszelkiego podobieństwa byli tak samo wielożenni, jak wszystkie inne narody i stany przed chrześciaństwa przyjęciem; jeżeli zaś w skutek swego wyjątkowego, a z sobą przyniesionego zwyczaju nimi nie byli (co wszakże tylko wtedy przypuścić można, jeżeli istotnie germańskie przyznamy im pochodzenie), to się zapewne bez wyjątku wielożeństwa chwytali, jak skoro im tego nie bronił krajowy obyczaj. Jeżeli nasi królowie, nawet jeszcze w lat wiele po przyjęciu chrześciańskiéj religii i poddaniu się jéj kanonom, swawolnie porzucali swe żony i bierali inne, a nawet po kilka razem chowali, dlaczegożby lepszymi od nich mieli być ci, którzy ich otaczali i to natenczas, kiedy wielożeństwo nie było niczém

Jakie na miejsce dzisiejszych konkurencyj lub swatów, ślubów i wesel, istniały wówczas obrzędy, nie łatwo jest dzisiaj opowiedzieć dokładnie. Co do pierwszego zdaje się, iż przedewszystkiém dwa panowały zwyczaje:

Jeden był prosty, nieokrzesany, pół-dziki obyczaj porywania gwałtownie, pogonienia, pojmania, pojęcia (1), praktykowany zapewne zwykle tylko w warstwach uboższych, lecz niemniéj przeto i u zamożnych się zdarzający (2); a drugi odbywał się trybem prawie dzisiejszym, za pośrednictwem dziewosłębów lub swatów, z tą tylko od dzisiejszego oświadczania się

wzbronione. Co się zaś tyczy ubogich, to można przyjąć za pewnik, że ubóstwo, wyjąwszy niewolników, którzy własnego kawałka ziemi, a może i chaty własnéj nie mieli, nie mogło być żadną do wielożeństwa przeszkodą. Chcąc ze skutkiem rozmyślać nad stanem moralnym owoczesnego społeczeństwa, nie można ani na chwilę spuszczać z oka dzisiejszego wiejskiego ludu. Wiele z tych uczuć, pojęć i wyobrażeń, które dziś spotykamy u ludu, są jeszcze tamtych wieków spuścizną. A chłop dzisiejszy umié bardzo ocenić wartość pracy, chociaż o niéj mało rozprawia, a nic zgoła nie pisze. Chłop téż dzisiejszy ceni swoją zamożność głównie podług ilości rąk, które posiada w swéj chacie: wyrazy *jedynoki* albo *ubogi*, są synonimami u niego; jakoż stara się on wszelkiemi sposoby te ręce pomnożyć i nie frasuj się wcale o to, czém je wyżywi. Ma on swą ziemię, a przy téj ziemi same się one wyżywią i jeszcze jego zrobią zamożnym. Otóż takie samo wyobrażenie o wartości pracy, naród przedewszystkiem rolniczy i rzemieślniczy miał z pewnością i dawniéj. A kiedy ubogi, ale posiadający kawałek ziemi, o którą wtedy nie było trudno, miał tak łatwą sposobność nabycia rąk do pracy, jak dowolne żon kilku pojęcie, to pewnie z niéj jak najskrzętniéj korzystał i brał zazwyczaj żon tyle, ile ich mógł przy swojéj roli zatrudnić i z niéj wyżywić. Nie miewał ich prawdopodobnie w liczbie zbyt wielkiéj: Getowie i Dakowie, jak nas wedle dzisiejszych domysłów nazywano podówczas, miewali żon, co najwięcéj, po dwanaście. Ten, co miał żon cztéry lub pięć, za biednego był poczytywany (Lelewel. Pols. śr. w. T. I pag. 377). Mieczysław I, jak mówi Gallus, *sua consuetudine septem uxoribus abutebatur*. Ale miewali ich prawdopodobnie po trzy, po cztéry; a choćby tylko po dwie, to zawsze razem z Lachami żyli w wielożeństwie, które było obyczajem powszechnym.

(1) Lel. Pols. śr. w. Tom IV pag. 48.

(2) Bolesław Chrobry w taki sposób gwałtowny pojął (*duxerat*, jak mówi Thietmar Mersburgski) Predisławę, córkę Włodzimierza ruskiego, któréj mu przedtém w dobrowolny sposób nie dano. Żeniono się późniéj w taki sam sposób z mniszkami, porywanemi z klasztorów, co było zapewne czynnością tylko samych rycerzy. W ogóle trza to nadmienić, że jeszcze i wtedy musiały być rozmaite żon pojmowania sposoby, na co wskazują już same wyrazy *ducere* i *nubere*, zapewne nie bez rozmysłu przez kronikarzy używane. Kiedy Bolesław Chrobry pojmuje Henildę, córkę margrabi Rigdaga, Thietmar powiada *duxit*; kiedy poślubia Judytę Węgierkę, powiada *nupsit*, i znowu mówi *duxerat*, kiedy tenże król gwałtem porywa Predisławę, któréj potém nie poślubia.

czyli proszenia o rękę, różnicą, iż pan młody ofiarował pewne dary przy tym obrzędzie, za które sobie pannę młodą niby kupował. Dary te, których pamięć pod imieniem oprawy, wiana, przywianku, (*dos mariti*, *dotarium*, *dotalitium*, *donatio propter nuptias*), w późne przechowała się czasy a nawet weszła w prawa pisane (1), były nawet podówczas koniecznie potrzebne; albowiem kiedy kobieta była wykluczoną od wszelkiego dziedzictwa, były one zrazu jéj jedyną, późniéj dopiéro ruchomościami po zmarłym mężu, pomnożoną własnością. Obyczaj ten kupowania sobie żony był tak naówczas, jak jeszcze czasem i dzisiaj, praktykowany tylko przez zamożniejszych. Nie idzie wszakże zatém, ażeby i u uboższych po porwaniu, pogonieniu czyli pojmaniu, podobne nie odbywały się swaty jak u zamożnych. Również nie trzeba sobie owego porywania rzeźbić w wyobraźni wedle dosłownego znaczenia tego wyrazu. Ażeby prawdę uchwycić, trzeba sobie przypomnieć, że człowiek ówczesny, inaczéj był usposobiony moralnie niżeli dzisiejszy. Jego uczucia były płomienne, jego pożądliwości piekielne. Miłość się zapalała w młodzieńcu jak iskra i wybuchała jak wulkan, porywając jego całą istotę siłą niepowstrzymaną. Takiéj miłości nie mógł okiełzać rozum, bo był maluczki; nie złagodził jéj gładki obyczaj, bo go wcale nie było. Dziś kiedy młodzieniec się rozmiłuje w dziewczynie, to goni za nią myślą, i sercem; ale naówczas myśl jego była tak słaba a serce takie gwałtowne, niepowściągliwe, przemagające, iż spłonąwszy ku niéj miłością, gonił za nią w swojéj własnéj osobie. Gonił, aż dopóki jéj nie dogonił, i porwał. Widzieli to starsi i powiedzieli, że pojął. Wówczas następowały swaty, a po nich ślub i wesele w téj formie, jak ją starodawny przynosił obyczaj.

(1) Wzmianki o tém znajdują się, jak wiadomo, we wszystkich prawie statutach i Voluminach Legum, a wielu konstytucyach. Prawo polskie w ogóle bardzo się skrzętnie zatrudnia kobietą. Ścisła różnica pomiędzy *oprawą* i *wianem*, nie jest wynaleziona dotychczas. Zdaje się wszakże, iż bylato rzecz jedna i ta sama, tojest (jak mówi Czacki, Dzieła Tom II, str. 6) fundusz dożywotni od męża żonie w miarę jéj posagu zabezpieczony. Przywianek *donatio propter nuptias*, w Polsce *crinile* nazwany, we Francyi *cadeau de noces*, w Niemczech *Morgengabe*, lecz u nas niewątpliwie od najdawniejszych istniejący czasów bylto dar jedno-razowy, przedślubny. Jednakże wywód Czackiego nazwy małżeństw morganatycznych od *Morgengabe* jest mylny; albowiem nazwa ta pochodzi od słowa gockiego morgjan, które w tymże języku znaczyło *ograniczyć* lub skrócić, a nawet i tam już używane było na oznaczenie małżeństwa zawartego *na lewą rękę*.

Dziką się dzisiaj wydaje taka miłość niepowściągliwa a jeszcze dzikszym taki gwałtowny sposób oświadczania swojéj miłości; ale ówczesny prosty i naturalny obyczaj umiał w nim znaleźć i przywiązać do niego pewną rękojmię dla moralności.

Każde miłosne zbliżenie się do dziewczyny, było uważane za jéj pojęcie; kto pojął, ten się też i ożenił. Taki był wtedy obyczaj, mający powagę prawa. Nad zachowaniem tego obyczaju czuwali starsi, i nikt się mu nie śmiał sprzeciwić. Przy dozwolonem wielożeństwie nie mogło być żadnéj od niego wymówki. Było więc wielożeństwo, ale nie było uwodzicielstwa. Uwodzicieli, wyłamujących się z pod tego powszechnego obyczaju, najsroższemi prześladowano karami.

W jaki sposób odprawiano ślub potém, tyle nas tylko naucza podanie, iż akt ten nie był zawisłym od żadnéj hierarchii, ani duchownéj ani też świeckiéj. Dopełniano go w obrębie rodziny i uproszonych przyjaciół, nie biorąc nań zezwolenia od nikogo i nie zdając zeń sprawy nikomu.

Nagradzając atoli tę skromną późniejszéj solenności prostotę, z wielkim za to rozgłosem i trzaskiem odprawiano wesela. Trwały one zazwyczaj dni kilka w domu rodziców nowo zamężnéj, wśród tłustych biesiad, muzyki, tańców i śpiewów; trwały znów potém dzień albo dwa dni w domu pana młodego wśród takiéj saméj zabawy.

Dzisiejsze całotygodniowe wesela wiejskie, ze wszystkiemi obrzędami swatów, oczepin i odprowadzań do domu męża, z ową szaloną wesołością objawiającą się w tańcu, hukach i świstach, ze swatami i swaczkami, starostami i starościnami, i wielką cześcią śpiewów weselnych, pochodzą z pewnością jeszcze z czasów pogańskich. To huczne, hałaśliwe, swawolne odprawianie tego obrzędu, wymagającego z natury swojéj jak największéj skromności i ciszy, przeniosło się z czasem od gminu do szlachty, albo mówiąc podobno właściwiéj, pozostało u szlachty, choć się już była wyróżniła od gminu, i niepojętym zapewne przez pokolenia po nas nastąpić mające wypadkiem, zamieniło się w narodowy obyczaj tak mocno zakorzeniony, że aż do naszych dochował się czasów. Dopiéro dzisiejszy postęp ogólnéj oświaty, umiejący przedewszystkiem uszanować świętość czysto-ludzkiego uczucia, przełamał go wreszcie i zapewne niebawem wyruguje do szczętu.

Po odprawionem weselu w domu rodziców, odprowadzano młodą niewiastkę do domu jéj męża. Nie wiemy z pewnością,

w jaki sposób pojętą została, czy z wolą, czy mimo swéj woli, lecz w każdym razie czekał ją tutaj najczęściéj los opłakany. Bardzo to był bogaty mąż w owe czasy, który miał jakokolwiek znośne mieszkanie. Rycerze i supanowie mieszkali w domach z nieciosanego stawianych drzewa: zamożni kmiecie liche miewali chaty pod strzechą; reszta rolników siedziała w krzywych, zgarbionych, pozapadanych lepiankach, ciemnych i dymnych, wystawionych na słoty, nieopatrzonych od zimna, o wiele jeszcze dokuczliwszego i dłużéj trwającego niż dzisiaj. Domowe wygody owoczesnego bogacza, było to podług naszych wyobrażeń dzisiejszych wielkie ubóstwo, zamożnego to prawie nędza, ubogiego, to rozpacz.

Weźmy chatę zamożną.

Mieszkał w niéj kmieć, najprzedniejszy podówczas obywatel kraju, wolny właściciel obszernego kawałka ziemi, nieplacący żadnego czynszu, nie dający żadnéj daniny, nie podległy nikomu, a szanujący tylko patryarchalną władzę supana i obowiązany tylko do służby wojskowéj w obronie kraju. Na swoim gruncie, w swéj chacie, był on panem samowładnym i robił co mu się podobało. Nie zatrudniony do zbytku wojną, zajmował się rolnictwem, często rzemiosłem, które umiał tak dobrze, że w niém sąsiednim Niemcom mistrzował. Wszakże leniwy z natury pewnie się nigdy nie zapracował, wyręczając się w pracach domowych swymi niewolnikami, których albo sam przyprowadził z wojny albo u żydów zakupił (1), tudzież swemi żonami, których utrzymywał po kilka. Tak urządzony, miewał on wszystko, czego mu było potrzeba: ale jakżeż to mało on potrzebował. Mieszkiwał w chacie najprostszym uciosanéj toporem; bogatym był bardzo, jeżeli miał osobną komorę na warsztat, a osobną dla niewiast; ubierał się w płótna i sukna, na domowych utkane krosnach; jadał potrawy najprostsze a domowym zapijał je miodem; nieznając zaś wcale pieniędzy, które zastępowała wymiana towarów, nie łaknął zapewne i zbiorów. Takie prowadząc życie, próżne wszelkiego wyższego celu, nie ujęte w żadne stateczne formy, nie uduchowione żadną myślą wznioślejszą, wyrywającą się poza obręby jego chaty i roli, był on zmysłowym jak zwierzę, namiętnym, gwałtownym, dzikim, może przebiegłym i chytrym, rozmyślającym bardzo mozolnie nad sposobami zy-

(1) Jak powszechnie wiadomo, handlowano i w Polsce ludźmi, a handel ten, jak każdy inny, znajdował się po największéj części w rękach żydowskich.

sków, lecz najmniéj usposobionym do tego, ażeby uszanował tę delikatność płci i uczucia, jaką już sama natura uposażyła kobiétę.

Wprowadzona do mieszkania i oddana pod władzę takiego męża, nowo zamężna niewiastka miała jak najsmutniejszą dolę przed sobą. Do wczoraj jeszcze tak szanowana powszechnie, iż każde zbliżenie się do niéj mężczyzny było uważane za jéj pokalanie i musiało być opłacone małżeństwem; miana za stworzenie tak czyste i wyniosłe, że ją nazywano dziewą, diwą, boginią (1); mogąca każdéj chwili zająć zaszczytne miejsce kapłanki w kontynie bogini Dziewanny, a wtedy zdolna do wieszczenia rzeczy niewidzianych przez innych: dzisiaj przezwana została niewiadomą, nic niewiedzącą, niewiestną czyli niewiastą i wtrącona do dymnéj chaty dzikiego i gwałtownego człowieka, któremu wolno było rozrządzać jéj życiem i śmiercią. Biada jéj, jeśli płomienna miłość jéj męża znalazła przy pojęciu odgłos w jéj sercu! Jakże boleśnie się jéj dusza rozdarła, kiedy w téj chacie obaczyła kilka żon innych, które ją zielonemi z zazdrości powitały oczyma! Jakież tam między niemi było jéj życie! jak każda rozkosz zatruta! jak każda praca ciężka i nienagrodzona! Przez jakiś czas pewnie doznawała ona szczególniejszéj opieki od męża. Nie przeciążał ją pracą, chronił od prześladowań nienawistnych rywalek. Ale cóż na téj ziemi nie mija? Jakież to dobre uczucie może trwać długo w sercu takiego męża, który miotany ustawicznemi namiętnościami, a nie przykuty duszą do jakiéjś myśli wyniosłéj a wiecznéj, jest jako łódka bez steru na morzu? Jakaż to miłość z takiego serca się nie wytrzęsie? Toż i ta miłość minęła prędko jak sen, jak złudzenie. Została po niéj rzeczywistość twarda i chropowata jak grube ściany takiéj chaty pogańskiéj. A w niéj ciężka nieustająca praca od świtu do nocy, poniewierka w jakimś odległym kącie komory, barłóg z spleśniałéj słomy za łoże, łachmany za okrycie: a za to wszystko czarny kawałek chleba do śmierci, a potém trzy łokcie ziemi w kurhanie.

W dzisiejszych czasach nieszczęśliwa małżonka znajduje wielką dla siebie pociechę, jeżeli ją Pan Bóg obdarzy dzieciątkiem. Nad ową ziemią pogańską nie było naszego Boga, ale niewiasty miewały tak samo dzieci jak dzisiaj. Przysyłała im je wielbiona przez nie bogini miłości, Dziedzilia, która w po-

(1) Dziewa, diwa, dea.

święconym gaju dębowym miała wspaniałą świątynię. Przysłała ona je także nieszczęśliwéj w swém nowém życiu niewiastce. I byłoby-to dziecko przyniosło jéj rzeczywiście pociechę, lecz na nieszczęście nie urodził się chłopiec, którego mąż jéj zapragnął, ale dziewczyna. Zrazu był on tylko niekontent z tego przybytku, lecz dnia jednego powrócił gniewny do domu, a wtedy oderwał od piersi matki jéj ukochane dzieciątko, ciął je w głowę toporem i zabił.

Dzisiejsza matka pewnieby po takiéj stracie umarła, a jeśliby ją Pan Bóg uchował przy życiu, to porzuciłaby męża, ażeby na resztę dni swego życia poszukać schronienia i ulgi w Bogu poświęconym przybytku. Tamta zniosła ten cios okrutny, bo był to wówczas jak najzwyklejszy wypadek (1): do klasztoru nie weszła, bo go nie było, i nawet męża nie opuściła, boby ją straszne za to czekały kary. Cóż jéj zostało? Cierpieć i milczeć: od czasów najdawniejszych aż do dzisiejszych, los najzwyklejszy kobiety.

Ale takie cierpienie, jak strata dziecka z ręki własnego męża, było przecież daleko sroższém, niżeli wszystkie dzisiejsze. Dziecko utracić i niewolnicą pozostać w domu mordercy, to była męka piekielna. A musiała ją znosić biedna ówczesna niewiasta, musiała połykać gorzkie łzy swoje, trawić w sobie swoje boleści, niemogąc się z nich ani zwierzyć nikomu, ani gdziekolwiekindziéj znaleźć ulgę albo pociechę.

Biada jéj, jeżeli téj pociechy szukała na drogach takich, na jakich w czasach późniejszych, w czasach obyczajowego zepsucia, szukały je nieszczęśliwe w domowém pożyciu albo swawolne niewiasty. Przeniewierstwo mężowi i wszelka tego rodzaju swawola, pomimo tak ciężkiéj doli kobiety, była naówczas grzechem śmiertelnym. Karano téż je zazwyczaj śmiercią, naj-

(1) Barbarzyński obyczaj zabijania dzieci płci żeńskiéj wytrwał w Polsce aż do czasu zaprowadzenia chrześciaństwa. Kto wié, czy nawet i potém jeszcze czasem się nie powtórzył, a mianowicie w chwilach takich, kiedy wśród zaburzeń wewnętrznych religia Chrystusowa na chwilę obaloną została, a bałwochwalstwo wprowadzone na nowo, jak np. po zgonie Mieczysława II i czasu panowania Bolesława Śmiałego; ale są to tylko prawdopodobne wnioski, bez żadnego dowodu. Tylko na Pomorzu jeszcze niezmiernie długo, bo prawie półtora wieku po ochrzczeniu się Mieczysława I, trwało w całéj swéj mocy i wielożeństwo i zabijanie dzieci płci żeńskiéj. Patrz Sefrida *Vita Sti Ottonis*, § 77: „*Et partus foemineos, quia vos mulieres, necare consuevistis*" etc.

rozmaitsze jéj wymyślając sposoby (1). Wolno było wprawdzie mężowi ulitować się nad winną i tylko ją z domu wypędzić, ale wtedy szła ona zwykle na wiekuiste tułactwo, albo musiała się żydom zaprzedać w niewolę, i dać się wywieźć na zawsze z ojczyzny.

Pozostawszy przy cnocie i w domu męża, nie znachodziła ta nieszczęśliwa żadnéj pociechy w religii. Ciasna to była, potworną, nieustalona w pojęciach, przymrużonemi tylko oczyma za grób sięgająca, religia. Obiecywała wprawdzie wiele po śmierci: ale ziemskie cierpienia osłodzić, cierpliwości nauczyć, panowania nad sobą silne podstawić podpory, oderwać cierpiącego już za życia od ziemi, do tego nie umiały się wznieść jéj zmysłowe pojęcia. Wszakże umiała ona natomiast dzielnie wyprowadzać na harc młodą jeszcze natenczas wyobraźnię człowieka. To też wyobraźnia była jedyném źródłem, w którém srogiemi losami uciśnione kobiety szukały ulgi i pociechy dla siebie.

Wyobraźnia ludzi ówczesnych zasługuje w ogóle na bardzo pilną uwagę. Niepospolite jéj twory dochowały się dosyć szczęśliwie aż do naszych czasów, a skrzętnie zebrane już z kronikarzy dawniejszych, już z podań, bajek i pieśni, przedstawiają liczbę wcale nieobojętną. W nich się zawiera cała mitologia słowiańska; zawiera się także i mitologia polska, gdyby ją tylko można ściśle od tamtéj wyróżnić. Być może, że ciągle postępująca nauka kiedyś i tego dokaże, choć sprawa ta w swojéj dzisiejszéj postaci przedstawia niezwyciężone trudności. Cóżkolwiekbądź, już i dzisiaj w tych klechdach, podaniach, bajkach i pieśniach, wyobraźnia ówczesna daje swojéj jędrności, świetności i sile niezaprzeczone świadectwo. Jéj śmiałość dochodzi czasem niepojętego dzisiaj zuchwalstwa, jéj kapryśność, lekkość, naiwność, wprawia nas w zadziwienie, a przed jéj wznioslém uczuciem piękna można nieraz ugiąć kolano. Przypatrując się dzisiaj tamtemu niebu, na którém takie olbrzymie walczyły ze sobą duchy, że aż sprawiały zaćmienie słońca; odtwarzając sobie ówczesną ziemię, na któréj piętrzyły się brylantowe góry, wyrastały drzewa, złote rodzące owoce i rozle-

(1) W całéj Słowiańszczyznie przeniewierstwo małżeńskie jak najsroższéj karano. Potwierdzają to wszystkie dotychczas znane świadectwa. Kary te dochowały się nawet jeszcze czasów późniejszych, jak np. Bolesława Chrobrego, o których mówi kronikarz Thietmar: *„Si quis alienis abuti uxoribus vel fornicari praesumit, etc. In pontem mercati ductus, follem testiculi clavo affigitur et novacula prope posita, his moriendi sive de his absolvendi dura electio sibi datur."*

wały się śpiewające jeziora; gdzie w każdém drzewie, w każdéj roślinie, w każdym niemal listeczku mieszkał jakiś duch zaklęty i gadający; gdzie olbrzymy i karły zwodziły ustawiczne boje ze sobą, zwodnicze Lublinki i Cuddziewice się unosiły nad zbożami, Topielce i Topielice wystawiały widomie swoje zielone twarze ze stawów, Dziwożony błądziły po lasach, śmierć się wiła po płotu, a Dziw siedział na drzewie i przeraźliwym wrzaskiem straszył przechodniów: przypatrując się mówię téj ziemi tak żywéj, tak bezustannie ruchliwéj i napełnionéj taką nieprzeliczoną ilością najrozmaitszych postaci, w które każdy podówczas wierzył, a niejeden widział własnemi oczyma: pytamy się siebie: któż to wszystko stworzył? czyjaż to wyobraźnia była tak dzielna, ażeby taki świat cały wyroić z siebie i przybrać w szaty tak piękne? czyja wiara tak żywa, ażeby w to wszystko uwierzyć?

Zapewne, że świat ten mitoligiczny nie stworzyły kobiéty: przyniesiony on jest w jednéj swéj części z pierwotnych siedlisk słowiańskich, gdzie z krain dalekich Azyi, gdzieś z nad źródeł Gangesu; a w drugiéj stworzony tutaj przez starych wieszczów, przez brodatych gęślarzy, którzy zabrawszy miejsca na brzegach poświęconych gajów, pod ścianami rzeźbionych kontyn pogańskich, wyśpiewali go przy pobrzęku swoich naczyń muzycznych. Wyśpiewali go i roznieśli pomiędzy kmiece osady, ażeby ich lud ukochany, widząc we wszystkich objawach téj ziemi duszę tak samo żywiącą jak swoją, kochał tę ziemię i bronił ją kosztem swojego życia— a widząc, że dusze jego pomarłych braci żyją w drzewinach, kwiatach i trawach, w nieśmiertelność uwierzył i nie obawiał się śmierci: i lud w to wszystko uwierzył. Ale jego męzka połowa, nie wiele zatrudniała się tym światem. Mąż owoczesny, człowiek ze krwi i kości, żyjący więcéj pod gołém niebem niżeli pod strzechą, zatrudniony jeżeli nie wojną, to pracą rolną, rybołostwem, łowami, silny cieleśnie, czerstwy, rumiany, jedzący smoczemi usty, pijący gardłem bezdenném i spiący potém jak głaz, tym światem duchowym, pewnie się nie zajmował. Jego myśl ciężka, nieobrotna, realna, nie umiała wwikływać się w tkanki tak idealne; jego wyobraźnia, choć żywa i bujna, jednak zajęta bliższemi, widzialniejszemi rzeczami, była do takich spraw ciepłych za zimną. Wierzył więc temu, że drzewo to, w które piorun uderzył, stało się pomieszkaniem Peruna; składał żertwy tym bogom, o których mu prawili kapłani, wyprawiał na ich cześć sute nieraz objaty: wszakże żadnego z tych

bogów nigdy nie widział, szat ich i twarzy w wyobraźni swéj nie upiększał, zielonych wieńców na głowach bogiń nie wieszał. Ale kto za pomocą swéj wyobraźni, w duszném zamknięciu rozgrzanéj, ujrzał własnemi oczyma olbrzyma, jak najwyższe wyrywał drzewa i rozbijał kontyny; kto spotkał w lesie straszliwą Dziwożonę z korzeniem słodyczki w ustach a ukradzionem dzieckiem na ręku; kto zieloną twarz Topielicy pomiędzy trzcinami stawu obaczył i przestraszony uciekł przed nią do domu: to była pewnie kobieta. A kto wynalazł owe cudowne źródło, którego woda starzejącéj się twarzy wracała młodość; kto w martwe kwiaty wetchnął znaczenie i życie; kto polską boginię miłości w takie urocze przystroił szaty, że może śmiało stanąć obok swéj greckiéj siostrzycy: to była także kobieta. Jakoż istotnie wyobraźnia kobiéty, żyjącéj w takim ucisku i poniżeniu, musiała nadzwyczajnie być czynną. Była ona tak czynną jak dziś na Wschodzie, gdzie owe potworne, kapryśne, naiwne bajki, jakie nam przyniosły Tysiąc nocy i jedna, jeżeli się wcale nie wylęgają, to przynajmniéj wyrabiają się wszystkie w haremach. Tak samo się działo i u naszych poganek. Owoczesna kobieta, żyjąca pod despotyczną władzą swojego męża i pana, pozbawiona jego wyłącznéj miłości, która jest pierwszém jéj szczęściem, ograniczona w macierzyńskiéj miłości, która jest szczęściem jéj drugiém i ostatniém, pozbawiona nareszcie należącego się jéj stanowiska w rodzinie, żyła na ziemi tylko jak we śnie bolesnym, który ją tak ciasnemi spętał więzami. Toż kiedy tylko mogła, wymykała się z tych więzów i uciekała w świat wyobraźni i myśli, który był dla niéj bez granic i po którym mogła bujać dowolnie. Bujała téż po nim z taką rozkoszą, jak buja więzień wyswobodzony z dna wieży po bożym świecie, z taką swawolą, jak dziecko wypuszczone ze szkoły na łąkę, z taką lekkością, jak motyl uciekający z przestrachem od cierni a unoszący się nad kwiatami. Zamknięte w ciasnocie domowego obejścia kobiéty, znużone ciężką całego dnia pracą, zbolałe sercem stęsknioném i uciśnioném, obsiadały wieczorem ognisko świetlicy i tam dopiéro poczynało się to zaświatowe bujanie. Żartka ich wyobraźnia, wyrywająca się z niecierpliwością nerwową z umęczonego ciała, unosiła się lotem ptaka w błękity i tworzyła dziwy niepojęte przez innych. Z lada okruchu podania, albo pieśni gęślarskiéj, wyrabiała całą powieść tak misternie rzeźbioną, jak delikatna sieć listka, któremu może po całych godzinach przypatrywała się z nudów; z lada wieści dalekiéj urastała dokładna klech-

da, udrapowana w pyszne widoki i krajobrazy. Nieprzetrawiona boleść, zatruta stratą wszelkiéj w tém życiu nadziei, tworzyła wieści o rajskich rozkoszach za grobem; strach często doświadczany od męża stawał się ojcem Karłów i Dziwów, Jędz i Topielic; tęsknota serca i miłość, usychająca w płomieniach ustawicznéj zazdrości, przywoływała cudnéj piękności młodzieńce, Krasawice i Miłosteńki w postaci panien prześlicznych i ubierała boginię miłości Dziedzilię w coraz to piękniejsze postacie (1). Niektóre z tych kobiét, morzone nieugaszoną tęsknotą za czémsiś lepszém, silnie uczutém a nie pojętém, przyprowadzały swój rozdrażniony umysł do tego stanu, iż widywały na własne oczy drzewa o złotych owocach, krwią ludzką ciekące rośliny, śpiewające jeziora; inne wyschłe cieleśnie, przechodzące w półmęzkość, z włosem porosłym na ustach i brodzie, miewały żywe widzenia, zawięzywały blizkie ze światem duchowym stosunki, wpadały w stan jasnowidzący: stawały się wróżkami i prorokiniami. Tym tylko sposobem można dzisiaj wyjaśnić pochodzenie wielkiéj części ówczesnych wierzeń i podań, których niepospolita piękność w drobnostkach, nieraz niesłychana subtelność, kapryśność, naiwność, a często wcale dziecinna natura, nie mogła być żadną miarą utworem wyobraźni męzkiéj. Z tego też względu można przyjąć za pewnik, że cała ta mitologia słowiańska, cały ten świat owoczesny nadziemski, taki uroczy i piękny, tylko w swych głównych rysach został stworzonym przez narodowych gęślarzy; a zresztą wyrobiła i przystroiła go wyobraźnia kobiety. Jestto zresztą wypadek najzwyczajniejszy od najdawniejszych czasów do naszych: bo przecież wszystko, co wzniosłe i piękne na ziemi, jest dziełem kobiét i wieszczów.

(1) Boginię miłości, Dziedzilię, przedstawiano sobie naówczas w postaci kobiéty wspaniałego wzrostu i lśniącéj piękności. Ubrana była w szatę białą, włosy miała rozpuszczone na głowie, a na nich wieniec z róż czerwonych i mirtów. W drobniutkich ustach trzymała pączek róży, w lewéj ręce kulę, symbol zapewne (nie ziemi, o któréj nie wiedziano, że jest okrągłą, lecz) nieba, a w prawéj trzy jabłka złote. Jéj bok lewy był tak otwarty, że przezeń widać było serce niepokalane. Stała na złotym dwukoleśnym rydwanie, do którego była zaprzężona para łabędzi, a nad nią unosiła się para gołębi. Tak objeżdżała podległą swéj władzy ziemię, a towarzyszyły jéj w tym pochodzie unoszące się przy niéj w powietrzu a równie piękne jak ona, pomniejsze boginki miłości, nazwane Lublinki i Miłosteńki.

Do wyobraźni tedy uciekały się biédne ówczesne kobiéty, a utworzywszy sobie za jéj pomocą cały świat nowy, bez porównania piękniejszy niżeli był rzeczywisty, w nim szukały dla siebie pociechy. Jednakże skąpa to była pociecha, skąpa i smutna, a nawet czasem szkodliwa i jeszcze daleko więcéj przynosząca cierpienia niż rzeczywistość. Pomijam tutaj domysły o tém, na jakie drogi musiała czasem naprowadzać kobiéty wyobraźnia tak bardzo rozkołysana; a wspomnę tylko o tém, iż przyprowadzała je zwykle do takiego stopnia ekstazy, iż po śmierci swojego męża i pana, z zapałem dawały się ścinać albo się rzucały w płomienie stosu, pożerającego jego śmiertelne zwłoki... (1).

Tak kończyła swoje doczesne życie nasza matka-poganka.

Smutnyto obraz!

Niezmiernie smutny. Ale nie można go inaczéj zestawić z dat suchych a pewnych.

Jednakże tenże sam obraz o wiele łagodnieje i wypogadza się pod wpływem względów ogólnych, pod wpływem wieści

(1) Ścinanie i palenie żon było we zwyczaju najpierwéj u Getów, o czém świadczy Pomponiusz Mela, mówiąc, że podówczas każda z żon takiéj śmierci pragnęła, „*super mortuorum virorum corpora interfici simulque sepeliri.*“ *Pomp. Mela. De situ orbis II. 2.* Ten sam obyczaj trwał u Lechitów, podług świadectwa Thietmara, VIII, 2: „*unaquaeque mulier post viri exequias sui igne cremati decolata subsequitur.*“ Dowiadujemy się również z tego kronikarza, że po śmierci męża zazwyczaj wszystkie paliły się żony (IV. 35. podług Lelew.). Lelewel pozwala tylko na spalenie się jednéj. Mimo to, wszakże można a nawet trzeba przypuścić, że choć nie zawsze, jednakże często musiały się zdarzać wypadki, że się wszystkie spaliły. Nie byłoto może obyczajem, nie było prawem, ale bywało skutkiem szalonego religijnego zapału, który je przy ich egzaltowanéj wyobraźni, w obec takiego uroczystego obrzędu, ogarniał. Śmierć zresztą taka nie była u nich poświęceniem tak wielkiém, jak sobie to my, w dzisiejszym materyalnym wieku tak bardzo przywiązani do życia, wyobrażamy. Panowała bowiem natenczas nadzwyczaj żywa wiara w nieśmiertelność duszy, a jeszcze żywsza w szczęśliwe i rozkoszne życie po śmierci. Nie jedna też owoczesna kobieta, paląc się na stosie męża, była przekonaną najmocniéj, że tylko mienia gorsze na lepsze. To przekonanie, rozpłomienione wyobraźnią ognistą, zamieniało się w zapał porywający tak silnie, że mu się oprzéć nie mogła i szła na śmierć jak na wesele. Przykład to może lepiéj objaśni: w Indyach obyczaj takiego palenia się żon trwał jeszcze do czasów niedawnych. Otóż, jak wyczytuję w książce *Asiatic. Researches. T. VII, str. 220 i. n.* po śmierci księcia Maratów, zaszłéj w r. 1810, spaliło się jego żon czterdzieści i siedm razem. Każda z nich ubrała się do téj uroczystości jak najświetniéj, w suknię ponsową, w drogie kamienie i kwinty. Zbliżywszy się do stosu, odmówiła modlitwę zwaną *Sancalpa*, ucałowała zwłoki swojego męża i zawoławszy trzy razy *Satya! Satya! Satya!* z niewysłowionym zapałem rzucała się w ogień.

o całém społeczeństwie ówczesném, które są daleko bogatsze od skąpych szczegółów, dotyczących saméj kobiéty.

Na tych też opierając się wieściach, trza przedewszystkiém powiedzieć, iż jakikolwiek był los kobiéty u naszych ojców pogańskich, zawsze on był o wiele lepszym, szczęśliwszym, znośniejszym, niżeli, może tylko jednych Germanów wyjąwszy (1), u wszystkich innych narodów. Rękojmią tego daje nam już sam charakter Polanów, już ich obyczaje, wieloma utwierdzone świadectwy. Mieszkańcy pól, nawet podług powieści ruskiego kronikarza Nestora, mieli daleko łagodniejsze obyczaje, niżeli mieszkańcy lasów: byłto naród spokojny, pilnujący swéj roli, nie najeżdżający nigdy siedzib sąsiednich; bronił się tylko walecznie, najechany przez innych. Bywał zawsze walecznym, a już ta sama waleczność daje pewną rękojmią, iż nie mógł być srogim dla bezbronnych i słabych. Był on zresztą w swych obyczajach łagodnym: lubił zajmować się rolą, rzemiosłami, rybołóstwem, żeglugą i handlem. Przez częste stosunki z sąsiedniemi narody, jeżeli się nie ocierał z swéj surowości, bo tamte narody były jeszcze surowszemi od niego, to zawsze nabierał pewnego doświadczenia, za którém szła powaga, rozmyślność, roztropność, pierwotną dzikość złagadzająca. Był on też w domu o wiele obyczajniejszym od innych. Żył w posłuszeństwie i poszanowaniu dla swojéj starszyzny, składał przecie jakąś rodzinę, znał swoich krewnych i szanował ich związki. Pomimo wielożeństwa, czuwał nad moralnością i o ile ją pojmował, jak najsurowiéj przestrzegał. Miał może zmienną w szczegółach, ale w głównych zasadach dość ustaloną religią. Wierzył w jednego Boga, w nieśmiertelność duszy, w nagrody i kary po śmierci. Kochał zapamiętale ojczyznę i był gotów do wszelkich dla niéj poświęceń. Wielkato cnota, dająca walną podstawę charakterowi narodu i wyradzająca ze siebie mnóstwo cnót innych. Byli też ci Polanie już jakokolwiek oświeceni, osobliwie w tych czasach, kiedy jako naród osobny wyłonili się z powszechnego odmętu. Jak wszyscy inni Słowianie mieli swe prawa

(1) U starych Germanów nie było wielożeństwa. Wyjątkowo było ono tylko pozwolone panującemu, dla tém pewniejszego potomstwa. Inni żyli w jednożeństwie, a obustronna wierność była obostrzona srogiemi karami. Kobiéty w ogóle używały najwyższéj czci: ceniono nawet ich roztropność do tego stopnia, iż dawano im miejsce w radach krajowych i zasięgano ich zdania w sprawach wojennych i politycznych. Dopiero prawo salickie pozbawiło je tego zaszczytu.

nazwane *prawdą*, tak i oni je mieli. Byli podzieleni na dwanaście ziem czyli supanii, nad któremi supanowie sprawowali zwierzchnictwo. Mieli sądy ziemskie i sądy krajowe, w których dwunastu sędziów zasiadało we wiecu; mieli swe pismo, które jak Etruskowie i Grecy prowadzili od prawéj ręki do lewéj, i na piśmie zawierali ze sąsiadami umowy. Znali górnictwo i hutnictwo, tkactwo i płatnerstwo; kochali się w muzyce i rzeźbiarstwie; znali także malarstwo i przyozdabiali niém nieraz z wysokiém uczuciem piękna swoje świątynie. Lubili kwiaty i sadzili je przy swych domach, oddając zawsze pierwszeństwo kwiatowi róży (1).

Nie byli tedy nasi pogańscy ojcowie tak bardzo nieokrzesani i dzicy, jak się to z owych kilku dat suchych, odnoszących się ściśle do historyi kobiéty, wydaje; a ile tylko naród pogański, nieoświecony światłem i nieogrzany ciepłem chrześciańskiéj religii, może wyrobić w sobie zacności, łagodności i obyczajności, tyle jéj przed wszystkiemi innemi mieli spokojni, zamiłowani w swéj ziemi, Polanie. Potwierdzają to wszystkie, nawet nam nieprzyjazne, świadectwa. Potwierdzają to również wiadomości z czasów późniejszych, w których jeszcze przez całe wieki utrzymywały się dawne nałogi i dawnych obyczajów zarody. Potwierdza to wreszcie dzisiejszy charakter naszego wiejskiego ludu, który w wielu miejscach nie daleko się jeszcze odsunął od tamtych przedchrześciańskich praojców, a przecież przy całém nieokrzesaniu swojém, przy chropowatéj prostocie swych obyczajów, nigdy nie zdradza barbarzyńskiéj dzikości, nie bywa srogim, przeniewierczym i mściwym; ale przeciwnie, odznacza się dzisiaj między oświeconymi, serdecznem przywiązaniem do ziemi, jest łagodnym w obejściu z rodziną, ma głębokie uczucie sprawiedliwości, nigdy nie łakuie cudzego dobra, byle go nikt w posiadaniu jego własności nie mącił, własności téj broni zapamiętale i bywa wtedy zawsze walecznym, a o ile tylko jego nieoświecony umysł dozwala, nie brak mu nawet pewnego uczucia piękna.

(1) Długosz, I, 1159. Narusz. Hist. nar. p T. I. Lelewel, Uw. nad Mat. herb. Chol. str. 287. Hartknoch, p. 198. Maciejowski, Hist. praw. sł. T. I, p 204. Pierwotne dzieje Polski i Litwy, passim. Polska i Ruś etc. passim. Jungman, Hist. lit. czeskiéj, T. I, p. 200 i. n. M. Wiszniewskiego His. lit. pols. T. I. Lelewel. Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski. Rozpatrzenie niektórych względów i pomników prawodawstwa i t. d.

Jakkolwiek tedy pierwotna ludzka natura, obałamucona błędnemi zasadami religii pogańskiéj, przygotowała dla ówczesnéj kobiéty dolę niezmiernie smutną, znalazła ona przecież walną dla siebie obronę w łagodnym charakterze narodu, i chociaż srogiemi uciśniona prawami, a nawet przez wielożeństwo, zniżona do wartości tylko żywego sprzętu, była przynajmniéj ochronioną od zwierzęcych wybryków dzikości.

Tyle można powiedzieć o historyi ówczesnéj kobiéty.

Ale jaką była ta ówczesna kobiéta? jakie jéj przymioty? jaka jéj cała postać moralna?

Na to pytanie odpowiedzieć nie łatwo.

Odtworzenie postaci ówczesnéj kobiéty jest nawet tak trudném, iż niezapożyczywszy się w barwy do tego potrzebne w podaniach Greków i Rzymian, zdaje się wprost niepodobném. Do wskrzeszenia poganki Litwinki, dzisiejszym czasom daleko bliższéj, możnaby może choć z jakąkolwiek nadzieją szczęścia przystąpić, jakoż mamy tego już dosyć liczne przykłady; ale co do niewiasty polskiéj, nie znam w całéj literaturze naszéj ani jednego takiego obrazu, któryby był odmalowany z uderzającą prawdą. Bóg to wie nawet, ażali kiedykolwiek jéj postać w świecie sztuki się zjawi. Z takich skalisk bezkształtnych i chropowatych, w ciemniach takich pochmurnych przy skąpém świetle tak mdło płonących kagańców, jak tu wykuwać posągi jasne i wyraziste?

Jednakże, lubo bez żadnéj pretensyi do odrysowania całości, wymienimy chociaż tych kilka rysów, które już z wiarogodnych świadectw wyjęte, już wywnioskowane z pewnych premissów, niezaprzeczenie do ówczesnéj kobiéty należą.

Tu przedewszystkiém trzeba nadmienić, iż ówczesna kobiéta rysuje się nam w dwóch całkiem odrębnych i bardzo od siebie różnych postaciach. Jedną z nich jest dziewica, drugą niewiasta. Jak niepodobne do siebie były ich role i stanowiska w społeczeństwie przyznane, tak samo odmienne musiały być ich usposobienia i charaktery.

Jak wówczas wychowywano dziewczęta, nie wiemy dzisiaj z pewnością. Są wieści, jakoby tak dalece dbano o ich wychowanie, że przy świątyniach stawiano szkolne zakłady niewieście (1). Jeżeli to prawda, to byłyto prawdopodobnie nie

(1) Studya nad pod. ludu nasz. Biblioteka Warsz. Lipiec, 1859, str. 80.

szkółki dla dzieci, które się w Polsce w ogóle dopiéro po ustaleniu chrześciaństwa zjawiły, ale byłyto nowicyaty dla przyszłych kapłanek. Cóżkolwiekbądź, zawsze należy przypuścić, iż je wychowywano starannie, może nawet staranniéj niż chłopców. A działo się to najpierw dlatego, iż niektóre dzieci płci żeńskiéj zabijano. Jeżeli tedy szczęśliwym przypadkiem uchowała się matce dziewczynka, to ją pewnie kochała gorąco, ochraniała od złego troskliwiéj niż dzieci inne i o ile umiała i mogła, wpływała na ukształcenie jéj umysłu i serca. Powtóre, musiało to być powszechnie przyjętém, ażeby się dziewczęta ile możności kształciły tak w umiejętności przybierania jak najpowabniéj swojéj postaci zewnętrznéj, jak w znajomości ziół, roślin i kwiatów, jak wreszcie we wiadomościach dotyczących już samej religii, już religijnych obrzędów, a to znowu dlatego, iż ich obowiązkiem na przyszłość miała być służba w świątyniach. Oneto bowiem przybierały posągi bogiń i bogów w wieńce plecione z zieleni i kwiatów; one utrzymywały ognie ofiarne w świątyniach; one służyły przy żertwach składanych bogom z bydląt, owoców i zboża; one przy soleunościach święte śpiewały pieśni; one nareszcie stawały się czasem godnemi wysokiego urzędu kapłanek. One mogły nawet przyszłe przewidywać rzeczy i na wieszczbiarskim zasiadać trójnogu: otaczano też je za to czcią równą czci bogiń, a nietykalność ich tak wysoko wielbionéj czystości była najsurowszemi obwarowana prawami. Musiało tedy ich wychowanie być koniecznie staranném, i wyjąwszy może tylko co najuboższych, było takiém powszechnie. Wychowanie jak dziś, tak i wtedy usposabiało je w pewne przymioty; a temi były zapewne podówczas kształtność zewnętrzna i obyczajność, swoboda umysłu i serca, skromność, a raczéj ów srom dziewiczy, który pod owe czasy doznawał czci Bożéj, a który potém również w czci niezwyczajnéj chował się u nas przez wszystkie wieki. Ze świadomości o tém, że z powodu jéj dziewiczéj czystości, tylko jéj służy zaszczyt tak blizkich z bogami stosunków, i że za czasem może ją spotkać zaszczyt daleko większy, bo urząd kapłanki, musiała się w dziewicy ówczesnéj wyradzać pewna wyniosłość, która się stawała cechą jéj charakteru. Należy w to wierzyć o tyle pewniéj, ile że takaż sama wyniosłość umysłu i charakteru jest cechą dziewicy polskiéj przez wszystkie wieki historyi, jak tego liczne dowodzą świadectwa, i takaż sama wyniosłość, osobliwie w rodzinach staro-szlacheckich, jest jéj cechą jeszcze i dzisiaj, jakto

codziennie widzimy. Ale znowu myśl o tém, że lada chwila jakiś dzielny młodzieniec ją dogoni i pojmie, albo jakiś stateczny gospodarz zaswata, a wtedy ze swobodnéj, wyniosłéj, uwielbionéj dziewicy, zamieni się w uciśnioną, ohydnemi wielożeństwa więzami spętaną niewiastę: ta myśl straszliwa, wieszająca się nad nią jak Dziw wielko-oki albo zębata twarz Topielicy, napełniała ją pewną poważną zadumą, pewną smętnością duszy, która jest drugą cechą jéj charakteru. Zauważajmyż i tutaj, że ta poważna zaduma, ta jakaś smętność, ten promień blady, jakby melancholiczny, który się nawet jak najwyraźniéj maluje na jéj twarzy, był również po wszystkie czasy cechą polskiéj dziewicy i jest nim także jeszcze i teraz. Nakoniec z téj smętnéj trwogi o przyszłość, wyradzał się jeszcze jeden przymiot jéj serca. Uważajmy to zawsze, że ludzie nie pewni swojego losu, przeczuwający dla siebie coś złego albo zgoła nieszczęścia, żyjący w oczekiwaniu złéj doli, są pospolicie czuli, są dobrzy sercem, a nawet i dobrotliwi. Człowiek był zawsze przedewszystkiem człowiekiem, a jednakowe przyczyny jednakowe też w jego istocie wewnętrznéj zradzały skutki. Owa młoda poganka, patrząca z trwogą w dzień przyszłéj zmiany jéj roli, a myśląca o nim ze łzami, co dzień, co godzina doświadczana bolesném uczuciem swojéj przyszłéj niedoli, musiała bardzo tkliwego być serca, musiała być dobrą i dobrotliwą. Takiemi też były dziewice polskie zawsze i takiemi są przedewszystkiem jeszcze i dzisiaj. Ale niedosyć na téj dobrotliwości, która zazwyczaj w bardzo ciasnym działa zakresie. Owa piękna poganka, która poświęcała część swojéj swobody, ażeby służyć swym bogom, która poświęcała najpiękniejsze swe wstęgi i kwiaty, ażeby w nie bogi ubierać, która często całe swe życie poświęcała czci bogów, miała serce zanadto obszerne, ażeby go mogła wypełnić sama dobroć lub dobrotliwość. Jéj serce, poświęcające się ciągle i bezustannie, było do najwyższych poświęceń się zdolne, a to było czwartą cechą jéj charakteru. Nikt też zapewne nie zechce zaprzeczyć, że zdolność do wysokiego zapału i poświęcenia się, była po wszystkie czasy i jest do dziś dnia wybitną i znaną całemu światu cechą kobiéty polskiéj. Więc tedy wzniosła i prawie dumna powaga umysłu, smętność strwożonéj przyszłością duszy, tkliwość serca, dobroć, a nawet i dobrotliwość, a wreszcie zdolność do uniesień, zapału i poświęcenia się, oto są główne rysy naszéj dziewicy pogańskiéj. Taką była i tak ją widzę przed mojemi oczyma. Wysoka wzrostem, zbudowana

jak posąg, o małéj twarzy, o czarnych włosach i dużych ciemnego koloru oczach, wyniosła i prawie dumna, lecz z bladym promieniem smutku na licu, dobra jak dziecko w spokoju serca, ale szalona jak wicher w burzy, topiąca nóż po samę rękojeść w gardle wroga ojczyzny, a idąca z zapałem i poświęceniem w wiekuistą niewolą za swego ojca lub brata: oto jéj postać. Takbym chciał, aby ją ktoś z jéj zachmurzonéj ojczyzny wywołał i natchnąwszy ją życiem, na wieczne czasy pomiędzy nami postawił.

Ale niestety! niedługo uchowywała się ona w takiéj postaci. Oto niebawem przychodzi ów dzień fatalny, w którym w jéj domu rodzinnym zjawiają się dziewosłęby i swaty. Dzień ten jest rzeczywiście fatalnym, bo jest zarazem dniem ślubu. Myślała ona o nim z trwogą przez całe życie, a teraz rzęsistemi oblała go łzami. Dzień ślubu jest od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego dniem łez dla polskiéj dziewicy (1). I plakała ona natenczas nie bez powodu, albowiem z dniem tym traciła wszystko, co było dotąd jéj szczęściem. Traciła ukochany przez siebie dom swój rodzinny i kochających ją całém sercem rodziców, traciła swoję dziecięcą swobodę, traciła zaszczytną wolność służenia bogom, traciła czystość dziewiczą, a z nią razem ten wysoki szacunek, tę cześć, to uwielbienie, jakiém ją

(1) Nie znam Włoch i Hiszpanii, zaczém nie wiem, jak tam się dzieje; ale w Niemczech, we Francyi i Anglii jeszcze żadnéj dziewczynie na myśl nie przyszło płakać w dzień ślubu, chyba może natenczas, kiedy ją za mąż wydają przymusem. W Polsce jeszcze żadna dziewczyna nie poszła za mąż, ażeby dnia ślubu nie przepłakała, a to nawet natenczas, kiedy idzie za tego, w którym się kochała lat kilka i ledwie sobie zdołała pozwolenie zamęźcia u rodziców wyprosić. Nie chcę tego usposobienia, leżącego w naturze dziewicy polskiéj, wywodzić historycznie z czasów pogańskich, gdzie się z koniecznych i naturalnych wyrobiło powodów, ale wielkie za tém jest podobieństwo. Wszakże w ogóle muszę tu zrobić uwagę, iż my usposobieniem naszém dzisiejszém, naszą szczepową naturą, nie jesteśmy tak bardzo oddaleni od czasów przedchrześciańskich, jakby się to na pozór zdawało. Wieleby się dało na to wyliczyć dowodów, które jednak przemilczam, bo tu nie należą. Ale następująca uwaga tu służy. Pomiędzy dziewicą a niewiastą pogańską kładę wielką różnicę, bo tak mnie nauczył sumienny rozmysł, oparty na wiarogodnych źródłach dziejowych. Jestto rzecz zresztą jak najpowszechniéj wiadoma, przez wszystkich badaczy tych czasów przyjęta. Ale takąż samą różnicę widzimy u nas także i dzisiaj, rozumie się, że z taką odmianą, jak odmiennym jest duch i obyczaj epoki dzisiejszéj od tamtéj, a nie widzimy téj różnicy w narodach innych. Wszedłszy we Francyi i Niemczech do jakiegokolwiek salonu, prawie nie podobna rozpoznać panny od młodéj mężatki. Wdawszy się z panną tamtejszą w rozmowę, bałamucisz się jeszcze daleko prędzéj. Jak bowiem okiem nie widzisz na jéj

otaczano dotychczas. Z wysokiego stanowiska spowinowaconéj z bogami, wiele wiedzącéj, czasem wieszczym duchem natchnionéj dziewicy, zstępowała na nizki poziom niewolnéj, obojętnéj dla wszystkich, przez nikogo nie czczonéj, nic nie wiedzącéj niewiasty (1).

Jaka była jéj dola, już powiedziano powyżéj.

Dola też ta, całkiem od doli dziewiczéj odmienna, odmienny jéj nadawała charakter. Niewiasta wzięta w harem swojego męża, pozbawiona swobody i czci, którą traciła razem z dziewiczą czystością, musiała oczywiście pozbyć się przedewszystkiem téj wyniosłości, jaka cechowała dziewicę. Stawała się pokorną, cichą, posłuszną i potulną jak swawolna wiewiórka,

twarzy tego dziewiczego i może nawet zazwyczaj troszeczkę surowego sromu, który u naszych panien jest tak wybitnym, tak rozmowa ich z bardzo rzadkim wyjątkiem jest zwykle niepospolicie swobodną, a często nawet daleko swobodniejszą niżeli rozmowa mężatek. W Polsce na pierwszy rzut oka rozpoznaje się pannę od mężatki, a omyłka jest niepodobną. Nie przeczę temu, a nawet wspomnę o tém na swojém miejscu obszerniéj, iż od pewnego czasu i u nas zaczynają się zjawiać panny, których ułożenie i formy, a nadewszystko rozmowa jest tego rodzaju, iż możnaby je wziąć za mężatki; ale zjawisko to jest dla nas zawsze rażącém, i słusznie, bo nie odpowiada ani naszym obyczajom rodzimym, ani naturalnemu porządkowi rzeczy.

(1) Jestto dosyć powszechnie przyjętém mniemaniem, że w Polsce pogańskie kobiéty doznawały czci niezwyczajnéj. Muszę się temu sprzeciwić: nie znajduję bowiem żadnego na to świadectwa w pismach źródłowych; nie wspomina również o tém i Lelewel, któryby pewnie rzeczy tak ważnéj nie przepomniał, gdyby ją gdzie był wynalazł. Trza tedy tę rzecz tak przyjąć, jak ją przynoszą źródła dziejowe. Obyczaj narodowy kazał czcić wysoko dziewice i czczono je, ale ta cześć znikała, skoro dziewica została wydaną za mąż. Nie mogło téżto inaczéj być. Nie mógł mieć „największego uszanowania" dla żony, jak chce Maciejowski (Pierwotne dz. Polski i Litwy, str. 290), mąż taki, który tych żon miewał po kilka i „wiarę małżeńską łamał," jakto sam zacny nasz badacz przyznaje (tamże). Nie mógł też ją tak bardzo szanować i naród, jak skoro ją skutkiem uprawnionego wielożeństwa zniżał do wartości żywego sprzętu. Jakże więc było z tą naszą niewiastą? Oto tak samo, jak jest dzisiaj na Wschodzie. Kupowało się ją jak towar i odrzucało jak towar, skoro został zużytym. Odrzucano u nas żony jeszcze za chrześciaństwa: odrzucali je sami królowie, bez dania racyi i zezwolenia kościoła (Mieczysław I, Bolesław Chrobry); odrzucali je inni; o ileż pewniéj i swawolniéj przerzucano niemi za czasów pogaństwa? A skoro się jakąś rzecz łatwo nabywa, skoro się ma jednakowych po kilka i skoro się niemi wedle swéj woli przerzuca, to się jéj pewnie nie szanuje i nie czci. Owa tedy tak głośna cześć naszych ojców pogańskich dla kobiét, była, wedle dziejowéj prawdy, tylko połowiczną: czczono wysoko dziewicę, ale niewiast nawet nie szanowano. Przyszły późniéj te czasy i trwały długo, w których kobiéty w ogóle dostąpiły wysokiego szacunku w Polsce; ale nie stało się to jeszcze tak prędko, jakto wyłożę poniżéj.

ujęta silną dłonią człowieka. Pokora więc i potulność, była wyłączną cechą niewiasty, która ją wielce od dziewicy różniła. Smętność dziewicy, którą wywoływało przeczucie niepomyślnéj przyszłości, a która tylko jak blady promyk snuła się po jéj twarzy, kiedy się to przeczucie ziściło, stawała się u niewiasty wyraźnym, zdecydowanym smutkiem, który całą jéj twarz zalewał. Niewiasty pogańskie, smutneto były postacie. Ale dobroć jéj serca pewno jéj zostawała a nawet, w téj nieprzeżytéj niedoli, o wiele się jeszcze zwiększała. Pozostawała jéj również zdolność do zapału i uniesienia, jak niemniéj poświęcenia się; była ona nawet prawdopodobnie daleko więcéj egzaltowaną, niżeli dziewica, do czego duszne powietrze zamknięcia, uczucie poniżenia, boleść niedoli i rozkołysana w niéj wyobraźnia, wielce się przyczyniały. Czy ówczesne małżonki kochały swych mężów? Odpowiedzieć nietrudno. Czy można kochać takiego męża, którego się nie posiada wyłącznie? Nie można. Sprzeciwia to się ludzkiéj naturze. Nasza matka-poganka nie kochała swojego męża. Tu trzeba jak najprędzéj powiedzieć, iż nie należy ztąd wyprowadzać analogii do małżonek dzisiejszych: a wszakżeż one posiadają swych mężów wyłącznie. Ale nasza matka-poganka kochała za to jak najtkliwiéj swe dzieci. Musiała je kochać: byłto bowiem jedyny, wyłączny przedmiot dla jéj miłości. Wszystko inne: dom, ogród, dobytek i sam mąż nawet, były własnością wspólną żon innych, tylko jéj dzieci należały do niéj wyłącznie. Nad niemi też rozlewała się cała jéj miłość, troskliwość, opieka; dla nich jéj cała zapobiegliwość, jéj dnie pracowite, jéj noce bezsenne, jéj zgoła wszystko. Jakoż trzeba to przyznać naszéj matce-pogance, iż jakąbądź była małżonką, była zawsze wzorową matką. Wielka cnota! trwająca ku zaszczytowi naszego narodu do dziś dnia.

Jakże się nam tedy przedstawia owoczesna niewiasta?

Cicha, skromna, pokorna, z wyrazem smutku a nawet ciężkiéj boleści na twarzy, dobra i dobrotliwa, znosząca z poświęceniem się dla swych dzieci swoją niedolę, lubiąca obfitą karmę dla swéj wyobraźni, bo to jéj karma jedyna, kochająca się w bajkach, podaniach i pieśniach, zdolna do zapału i uniesienia, ale ciągle strwożona i drżąca przed gromkim głosem swojego męża i pana, cierpiąca żona, ale za to wzorowa i najlepsza matka pod słońcem—oto jéj obraz. Jest ona nieszczęśliwą przez całe życie. Jeżeli ją mąż odpędzi, błąka się jak nieszczęście po świecie. Ale nie łatwo mu ją odpędzić, zwłaszcza jeżeli

ma dzieci. Znosi ona natenczas z cierpliwością anioła obojętność i zapomnienie, poniewierkę i nędzę, ale dzieci swych nie odstąpi. Szczęśliwa, jeżeli te dzieci wychowa i sama później dożyje starości. Przeżyła ona już prawdopodobnie do tego czasu wszystkie swoje wspólnice, a przynajmniéj z powodu pięknie wychowanych przez siebie dzieci, zyskała nad niemi pierwszeństwo. U starego już wtedy męża znachodzi się dla niéj przywiązanie stateczne, a może nawet szacunek. W każdym razie nie chybia przynajmniéj ufność, długiemi wyprobowana laty, a za nią idzie oddanie jéj władzy nad rodziną i domem, przypuszczenie do rady w sprawach domowych, wspólnictwo w poważném kmiecem znaczeniu. Rozjaśniło się wtedy jéj życie, ależ to promień słońca nad grobem!

Taką była nasza pogańska dziewica, taką niewiasta.

Jako charakterystyczną obudwóch cechę, należy jeszcze wymienić nieposzlakowaną moralność. Panowało podówczas wielożeństwo, wedle dzisiejszych jaśniejszych pojęć bezdenna studnia niemoralności, lecz wedle pojęć ówczesnych największa dla niemoralności zapora. Przez wielożeństwo poprzerzynano powierzchnię społeczeństwa całą siecią obrzydliwych kanałów, lecz tym sposobem osuszono resztę przestrzeni. Jakoż po za wielożeństwem każda tego rodzaju swoboda, była wprost niemożliwą. Uwodzicielstwa dziewic nie było, bo kto uwiódł, ten uwiódł na to, aby się ożenił. Nikt nie myślał inaczéj, a ktoby myślał inaczéj, tego przekonała starszyzna. Swawoli kobiét nie było już dla przyczyny powyższéj, już dlatego, że każdą swawolę karano śmiercią. A jeżeli nastąpiło wypędzenie z domu przez męża, to wypędzenie to, wiekuista ohyda, było gorsze niż śmierć. Taki był wówczas obyczaj, takie pospolite uczucie, nad którego nietykalnością czuwali starsi narodu (1).

Ostatnią nakoniec cechą kobiét owego czasu, była ich rycerskość, któréj nie jednokrotnie dawały dowody. Wieść o tym przymiocie zdaje się bardzo dalekich, może jeszcze przed-Chry-

(1) W niektórych okolicach polskich przechowywał się aż do końca XVIII wieku zwyczaj, że gospodarz, w którego domu popełniono takiego rodzaju swawolą, płacił swojemu panu za to karę pieniężną, która nawet miała osobne nazwisko. Nie można przypuścić, ażeby ten zwyczaj wymyślony został w czasach późniejszych: pochodził on prawdopodobnie jeszcze z czasów pogańskich, jak o tém świadczy jego niechrześciańska natura. Władza, która się później dostała w ręce szlachcica czy pana, była naówczas przy gminowładnéj starszyznie i onato wymyśliła tę karę.

stusowych dosięgać czasów. Aczkolwiek my, wedle mniemań najnowszych, nie mamy żadnego ze Sarmatami powinowactwa, jednak nie można o tém zapomnieć, iż pochodzenie sarmackie przyznawała nam nasza rodzinna historya przez wiele wieków. A u Sarmatów, jak świadczy taż sama historya, kobiéty wsiadały na koń razem z rycerstwem i brały czynny udział w wojskach. Wieść o tém, która się zresztą mięsza z podaniami o amazonkach zamieszkałych nad Donem, powiada nawet, iż dorodnym dziewicom ówczesnym wypalano pierś prawą, ażeby mogły tém łatwiéj naciągać łuki. Być bardzo może, iż obyczaj ten laty dawnemi był między naszemi pogańskimi pradziady, a wieść o nim przeszła tradycyą na wnuki, z taką tylko od prawdy istotnéj odmianą, iż ci wnukowie nie przekształciwszy rzeczy, przekształcili swych dziadów nazwisko. Cóżkolwiekbądź, że kobiéty nasze pogańskie były napełnione duchem rycerskim, nie ulega żadnemu wątpieniu. Śmiałe, wyniosłe dziewice dosiadały rumaków i towarzyszyły swym ojcom i braciom w walecznéj ojczystych siedzib obronie; pozostałe zaś w domu niewiasty zasiadały po lasach i uchodzących z pola bitwy wrogów dobijały żelazem, albo związanych przyprowadzały do domu. Nie jednokrotnie się wydarzało, że młode dziewczęta wybiegały w gęste za jagodami zarośla, znachodziły tam czatujących wysłańców z nieprzyjacielskiego obozu: zastanowiwszy się chwilę, z odwagą łani, wyskakującéj z piersią otwartą na strzelców, rzucały się na nich, pętały ich w pędzie ukręconemi łykami i przywodziły ku chatom (1). Ta rycerska odwaga i taka prawie męzka determinacya przeszła potém spuścizną na polską kobiétę do wszystkich wieków następnych i objawiała się zawsze, kiedy jéj było potrzeba. O niezliczonych téj wielkiéj i nigdzieindziéj nieznanéj cnoty przykładach, od otoczonéj nieprzejrzystemi mgłami Wandy, aż do bohatérskich ostatnich czasów, z twarzy nam nawet znajomych, nie potrzeba tu ani wspominać, boć wszystkie żyją w narodowéj pamięci.

Otóż i wszystko, co mi się udało ze starych ksiąg i pomników wydobyć o kobiécie ówczesnéj; bardzo to mało: lecz więcéj prawie wymagać nie można.

Niewymownie są skąpe w powieści, milczące i zamknięte przed nami te wieki przedchrześciańskie.

(1) Gallus, II, XLIX, p. 235. Maciejowski, Polska etc. T. I, p. 79.

Przedstawiają się one nakształt jakiejś rozległéj, wielkiemi równinami, gajami i jeziorami ożywionéj krainy, którą zaległy grube mgły przedświtowe. Niewypowiedziany czar jakiś otacza w naszych oczach ten obraz. Patrzymy weń wzrokiem napiętym: chcielibyśmy obaczyć tę ziemię dziewiczą, po któréj ludzie się przechadzali wespół z bogami; gdzie były góry kryształowe i złote, olbrzymie drzewa i brzmiące śpiewami jeziora; gdzie cudnéj piękności dziewice unosiły się nad kwitnącemi łanami, a bogini miłości o złotym rydwanie przejeżdżała się po ziemi; gdzie wilkołaki i karły mieszkały w leśnych oparach, a bies straszliwy wytrzeszczał swoje iskrzące oczy z sitowia. Ale przez owe murem przed nami leżące mgły nic nie widzimy. Czasem tylko lekkim ruszone powiewem te mgły się rozsuwają, a wtedy zjawia się przed nami tutaj jakaś rozległa równina, ubogiemi zasiana chatami, tam gaj poświęcony zielonemi spowity wieńcami, owdzie świątynia zbudowana na rogach żubrzych albo jelenich, indziéj gwar się roznosi, toczy się walka krwawa o chleb, o siedzibę, o kawał ziemi, o brzegi rzeki.... lecz zresztą cisza. Cisza i mrok przedświtowy, przez który przebłyskują z daleka gwiazdy poranne i mieszając swe światła z cieniami nocy, dziwną rozprzestrzeniają ciemnicę. Wytężamy jeszcze tém mocniéj nasze rozciekawione oczy i czekamy z niecierpliwością, dopóki słońce nie wzejdzie i tych mgieł nie rozprószy. Ale to słońce już gdzieś daleko i tutaj nigdy nie wzejdzie.

O PTAKACH DRAPIEŻNYCH

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

V.

SOWA PUSZCZYK Jundz. — *Ulula aluco.*

Strix aluco Mey.— Strix stridula Gmel.— Strix ulula Linn.— Syrnium aluco Less. — Sowa rdzawa (odmiana) Jundz. — Puszczyk zwyczajny Waga.— Chouette hulotte Temm.— Chat huant Buff.— Baumkauz, Brandkauz Niem.— Pustik, Sova Cz.

Ogon mierny, cokolwiek dłuższy od długości ciała, słabo stopniowany i klinowaty, około 2 cali od końców złożonych skrzydeł dłuższy; lotki 4 i 5 najdłuższe i równe, 3cia cokolwiek krótsza od 6téj, obie jednak nie wiele krótsze od najdłuższych; zadzierzystość na brzegu pierwszéj i na zwężeniu przy końcu 2 i 3; na 4 i 5 słabe karbowanie; upierzenie na nogach dosyć sute, podobnie jak u poprzedzającéj sięga tylko po ostatni staw palców; szpony słabo łukowate i miernie ostre. Głowa duża, puszysta; oczy duże zapadłe, podobnie jak u poprzedzającéj otoczone promienisto rozchodzącemi się piórkami wokoło, lecz z tą różnicą, że na części od strony dzióba są krótsze, nie tworzą więc tak regularnego okolenia; szlara wkoło twarzy wyraźna. Dziób krótki, mocno zakrzywiony, w większéj połowie w piórach ukryty. Całe upierzenie sute i bardzo miękkie.

Długość cali 14, siąg cali 37—38; długość dzióba 1″, wysokość w nasadzie 7 ½‴, długość skoka 1″9‴, palca średniego 1″3‴, pazura u tegoż 9‴, ogona 7″6‴.

Dziób żółtawy lub zielonawy, brudniejszy przy nasadzie; szpony od nasady biało żółtawe, w końcach czarniawo rogowe; tęcze ciemno brunatne; brzegi powiek różowe, czarniawo obwiedzione; pięty i spód palców żółtawo cieliste.

Z wierzchu szaro popielata, subtelnie upstrzona w ten sposób, że każde pióro ma wzdłuż stosiny brunatny płomyk, i rzędy falistych lub ząbkowanych poprzecznych ciemnych prążek, i białawe plamki; na barkówkach i na brzegach pokryw skrzydłowych rzędy wielkich białych plam. Twarz szaro biaława, upstrzona czarniawemi stosinami i niezbyt wyraźnemi kręgami ciemnemi, współśrodkowemi; szlara biała, subtelnie brunatno prążkowana, a na bokach głowy ciemniejsza, z powodu, że w większéj części piórka ją składające są zupełnie ciemno brunatne. Cały spód także jest mocno urozmaicony w ten sposób, że na tle piór białém płomyki brunatne środki piór zajmujące przedłużają się na kilka poprzecznych prążek, liczniejszych i gęściejszych na piersiach, jak na brzuchu i pokrywach podogonowych. Upierzenie nóg białawe drobno brunatnawo nakrapiane. Na lotkach brunatnych poprzeczne szaro rudawe pręgi. Sterówki blado brunatne, rudawo w poprzek pręgowane i na całéj powierzchni ciemno w rozmaity sposób upstrzone i prążkowane.

Samica ma te same odmiany, taką samą pstrociznę, lecz jest cokolwiek większa.

Kolor tła ulega w tym gatunku wielu odmianom, przechodzi bowiem przez rozmaite odcienia rudawe aż do ciemno rdzawego na wszystkich częściach ciała. Uważałem zawsze, że w każdéj prawie parze koloryt jest dziwnie dobrany, tojest: że obie są siwe, lub rude, lub rdzawe w jednakowym prawie stopniu; na młodych nawet te same kolory już się powtarzają i skoro tylko piórka zaczynają występować, przybierają odrazu odcienia rodziców. Tak dziwna dziedziczna zmienność może być za familijną rasowość uważaną; wprowadziła jednak dawniejszych naturalistów w błędy i tworzyli z tych odmian oddzielne gatunki.

Świeżo wylęgnięte pisklęta są białym obrzednim puchem okryte, który przez kilka dni coraz gęstnieje i w końcu dosyć jest nabity; gdy zaś piórka zaczną występować, tworzy się pewien rodzaj przechodniego, dosyć odmiennego od starych ubarwienia: na tle popielatém lub rdzawém z wierzchu, a białém lub rudawém od spodu pokazuje się poprzeczne pręgowanie ciemne, a koła współśrodkowe twarzy są bardzo wyraźne. Gdy pióra całkowicie wyrosną, ubarwienie to zamienia się na zupełnie podobne do rodziców.

Jaja czysto białe, bardzo krótkie i pękate, prawie kuliste: w obu końcach jednakowo zaokrąglone, skorupa na nich chropowata, słabo połyskująca i często grudkami ponalepiana.

Długość 1″8‴, szerokość 1″4½‴.

Zamieszkuje Europę południową i umiarkowaną; ku północy coraz rzadsza i daleko się tam nie posuwa; w Syberyi wcale niepostrzegana. U nas nietylko ze wszystkich gatunków sów, ale nawet ze wszystkich ptaków drapieżnych najpospolitsza: wszystkie lasy, ogrody, stare opuszczone mury, miasta i budynki gospodarskie są tych sów siedliskiem. Na zimę niektóre z lasów wynoszą się do budynków, ale nie zmieniają okolicy.

Przy świetle dziennem słabo widzą, dnie więc przepędzają ukryte w zacienionych gałęziach, w strzechach, w dziurach starych murów, w obszernych dziuplach i w pustych barciach; dobrowolnie tych kryjówek nie opuszczają, a wystraszone z nich siadają w blizkości i dozwalają się zbliżyć człowiekowi do siebie. O zmierzchu dopiéro wylatują na połów. Lot ich jest bardzo cichy, powolny i pracowity.

Główne ich pożywienie stanowią myszy i szczury, które łowią zarówno wewnątrz jak i zewnątrz budynków, w ogrodach i w lasach; ptaki drobne wybierają tylko wyjątkowo z noclegów, albowiem siedzące po rozmaitych gąszczach i kryjówkach są nierównie trudniejsze do wyszukania, niż drobne nocne zwierzątka przez całą noc biegające. Nigdy nie dostrzegłem, aby kiedykolwiek większego jakiego ptaka upolowała i nigdy w jéj żołądku nic innego, prócz myszowatych zwierzątek nie znajdo-

wałem; wnoszę nawet z tego, że często przebywając w gołębnikach. nigdy na gołębie się nie porywa, wystrasza je tylko swą obecnością; że przeto równéj wielkości ptakom, jak np. kuropatwom żadnéj szkody nie zrządza. Gospodarzom więc nieocenione usługi oddaje, tępiąc najszkodniejsze zwierzątka nietylko na dworze, ale nawet wewnątrz budynków w ilościach bardzo znakomitych, i zastępując doskonale koty domowe; nic przeto nie usprawiedliwia nierozważnego prześladowania, któremu ciągle podlega: owszem każdy gospodarz powinien jak najstaranniéj ochraniać i szanować tego pożytecznego ptaka, gdy się w jego budynku osiedli i nie niszczyć mieszkających zdala od zabudowań, bo i te nietylko, że po lasach ważne oddają usługi, ale i w pewnych porach budynki odwiedzają.

Gnieździ się po obszernych dziuplach, barciach, strzechach, wieżach, szczelinach starych murów i skał i w opuszczonych gniazdach wron lub ptaków drapieżnych, gdzie bez żadnego własnego posłania niesie 4 lub 5 jaj, które samica sama wysiaduje, a samiec trudni się ciągle dostarczaniem żywności i znosi nocami co tylko zdobyć może. Młode wtenczas dopiéro matka odstępuje, gdy same są zdolne bronić się w razie napaści innych drapieżnych ptaków; nie oddala się jednak od gniazda, lecz przez cały dzień ukryta w blizkości w gałęziach nie spuszcza z oka i bacznie uważa na to co się tam dzieje; gdy człowiek zbytecznie się przybliża, zaraz się odzywa, a niekiedy daje dowody szczególnéj odwagi, jak tego raz byłem naocznym świadkiem, gdy do gniazda, w którém znajdowały się sowięta dosyć już duże, wlazł po drabinie kozak i włożył w dziupel rękę: na to niewiadomo zkąd zjawia się sowa i tak nagle uderza na kark napastnika, że go szponami mocno podrapała. Nim jeszcze młode latać zaczną, wychodzą często na gałęzie obok gniazda będące i rzędem obok siebie siadają, a w razie niebezpieczeństwa chronią się napowrót. Gdy się wywiodą, przez parę tygodni trzymają się jeszcze razem przy rodzicach, dopoki same nie wprawią się do łowów; razem po zachodzie słońca wylatują z dziennego ukrycia i wabią się nieustannie piskliwym głosem, po-

dobnym do skrzypienia niesmarowanego koła, a gdy które z rodziców zobaczą, lecą ku niemu i natrętnie napastują: stara gdy nie ma się czém odczepić, odgania je klapaniem, a najczęściéj nie mogąc się pozbyć ucieka.

Głosy tych sów są rozmaite: wieczorami gdy wylatują z kryjówek odzywają się w sposób do śmiechu ludzkiego podobny, lub też zgłoski: *ku-wik*, *ku-wik*, kilka razy dość szybko powtórzone naśladującym; na wiosnę zaś wabią się po całych nocach donośném, przeciągłém hukaniem. Łatwo głosy te naśladować, ale oszukać trudno, bo nie chcą przylatywać. Zabobonne pospólstwo rozmaite znaczenia tym głosom przypisuje: jedni uważają to za śmiechy złych duchów, inni wiedzący, że pochodzą od sów, poczytują je za przepowiednie śmierci lub narodzenia. W lutym już zaczynają się wabić, a w kwietniu miewają już jaja.

SOWA WŁOCHATKA Gab. War.— *Ulula dasypus.*

Strix Tengmalmi Linn.— Strix dasypus Bechst.— Strix noctua Teng.— Strix passerina Pall.— Sowa pójdźka Tyz. — Sowa Tengmalma Wodz.— Chouette Tengmalm Temm. — Der rauchfüssige Kauz, Tengmalm Kauz Niem.— Syć rousnák Cz.

Sterówki równe, ale cokolwiek w końcach zwężone nadają ogonowi formę klinowatą; ogon na cal od złożonych skrzydeł dłuższy; lotki 3cia i 4ta najdłuższe, równe, 2ga równa 5téj; brzeg lotki 1wszéj i koniec 2giéj ząbkowane; nogi krótkie, suto upierzone po same pazury. Głowa duża, napuszysta; oczy miernie duże wkoło okrążone promienistemi piórami, krótszemi od strony czoła; dziób w większéj części w piórach ukryty; szlara wkoło twarzy wyraźna; otwory uszne całe boki głowy zajmują. Szpony długie, delikatne, mocno zakrzywione i bardzo ostre. Całe upierzenie długie i bardzo miękkie.

Długość cali $8\frac{1}{3}$, siąg 22 cale; długość dzióba 8‴, wysokość w nasadzie 6‴; długość skoka 1″, palca średniego $10\frac{1}{2}$‴, pazura u tegoż 6‴, ogona 4″ 3‴.

Dziób białawy; tęcze żółte; szpony rogowo czarniawe; podeszwy cieliste; brzegi powiek czarne.

Z wierzchu szaro oliwkowa, czoło gęsto upstrzone białemi kroplami; na karku duże białe plamy nieregularne, tworzą dwa szerokie pasy schodzące się u spodu przed plecami; środek pleców nieplamisty, na barkówkach tylko duże białe plamy w znacznéj ilości zebrane; na pokrywach skrzydłowych dwie lub trzy plamki przy krawędzi i rzęd na nadlotkach okrągławych podobnie ułożony, jak kilka innych w poprzek lotek idących; na każdéj sterówce pięć par plamek okrągłych tworzą pięć rzędów na ogonie, odpowiadających pręgom u następujących gatunków. Twarz jest biała, ciemno gdzieniegdzie przyćmiona, samo zaś okrążenie oczów czarne; szlara biała, brunatno drobno upstrzona, na bokach tylko za uszami piórka jéj brunatno kafowe, tworzą podłużną ciemną plamę. Spód cały biały, brunatno upstrzony, szerokiemi plamami na boki poprzedłużanemi, najmocniéj na bokach piersi; upierzenie nóg białe, brunatnemi blademi plamkami lekko narzucone.

Samica większa barwę ma zawsze ciemniejszą. Młode w pierwszém pierzu ciemniejsze ze spodu od samicy, upierzenie nóg mają płowe brunatno plamiste.

Jaja są albo eliptyczne, miernie podługowate, albo prawie kulkowate; w obu końcach równo zaokrąglone, u niektórych jednak w wierzchołku są zwężone i mniéj więcéj śpiczaste. Skorupa gładka, miernie połyskująca, drobno na niektórych ponalepiana.

Długość od 1″3½‴—1″5½‴, szerokość od 1″2‴—1″2½‴.

Pomimo tak znacznych różnic, odznaczających we wszystkich prawie szczegółach tę małą sowę od sówki (Strix noctua), dawniejsi naturaliści mieszali razem te dwa ptaki i nie postrzegali zupełnie różnic gatunkowych, w ptakach tak do siebie niepodobnych. Trudno nawet przypuścić, jakim sposobem można się było mylić tam, gdzie kształty głów, nóg, ogona, skrzydeł, proporcye tych wszystkich części, rodzaj upierzenia i koloryt tak są odmienne, i na pierwszy rzut oka uderzające.

Sowa ta dosyć jest rozprzestrzeniona: zamieszkuje lesiste okolice Europy północnéj i umiarkowanéj, i Azyi północnéj i środkowéj, prócz tego znajduje się jeszcze w wielu górach Europy południowéj. Nie wszędzie jednak równie jest pospolitą i niewiadomo dla jakich przyczyn niektóre kraje pomija zupełnie lub jest rzadką, gdy wszędzie wokoło przy tychże samych warunkach obficie się znajduje. Przykład tego kraj nasz przedstawia, gdzie jest jedną z najrzadszych sów miejscowych, gdy tymczasem w Niemczech, w Litwie i w Karpatach jest pospolitą. W całéj Syberyi aż po Kamczatkę wszędzie pospolita. Zapewne się gnieździ u nas, ale dotąd żadnéj pewnéj wiadomości znikąd nie można było powziąść.

Trzyma się po większéj części dużych lasów i ogrodów w starodrzewia obfitujących, w budynkach wcale nie przebywa. W dzień słabo widzi i wcale nie poluje; przepędza je spokojnie po dziuplach, lub między gałęziami ukryta; za zbliżeniem się człowieka niechętnie zlatuje, a nawet niekiedy kijem ubić się daje: siada bowiem często dosyć nizko i spędzana daleko nie odlatuje.

Żyje głównie myszowatemi zwierzątkami, na które o zmierzchu zupełnym zaczyna dopiéro polować; wybiera także i małe ptaszki na noclegu, które też ją za to bardzo we dnie prześladują, prócz tego łowi chciwie ćmy i inne nocne owady.

Gniazda jéj nie znam, lecz według podań naturalistów gnieździ się w obszernych dziuplach starych drzew, na próchnie popruszoném cokolwiek własnemi piórkami i niesie 2—4 jaj, które samica sama wysiaduje.

Na wiosnę po całych nocach odzywa się głosem krótkim, donośnym, często powtarzanym, odmiennym i łatwym bardzo do odróżnienia od innych gatunków. W Syberyi hodowana w domu przez jednego myśliwego, który tam kilka lat przebył, wyuczyła się z łatwością naśladować doskonale skamlenia psów, piania kogutów i głosów innych zwierząt domowych.

Szkód żadnych nie wyrządza, lecz owszem w miejscach, gdzie jest pospolitą, oddaje usługi przez niszczenie myszy i innych drobnych szkodników, niesłusznie zatém dotąd prześladowana.

SÓWKA.— *Athene Boié.*

Ogon równo w końcu przycięty, krótszy od połowy długości ciała; skrzydła krótkie z lotką trzecią najdłuższą, nie dostają do końca ogona. Upierzenie skoków nie tak sute jak w poprzedzającym rodzaju, sprowadzone na palcach do rzadkich włosowatych lub szczecinowatych piórek. Budowa głowy bardzo podobna do niektórych z poprzedzającéj gruppy, a mianowicie do sowy jarzębatéj; otwory uszne małe i szlara mało wyraźna. Upierzenie bardzo miękkie i gładkie.

Liczna ta gruppa złożona z drobnych gatunków rozproszonych po całéj kuli ziemskiéj dwa tylko w Europie posiada i te są u nas pospolite.

SÓWKA PÓDŹKA.— *Athene noctua.*

Strix passerina Linn.—Strix noctua Retz.—Sowa sówka Rzącz.—Pójdźka zwyczajna Waga. — Puszczyk, Pójdźka gmin. — Chouette chevèche Temm. — Steinkauz, Sperlingskauz Niem. — Kulisek Cz. — Сирнъ домовой Ross.

Dziób gruby, odęty, mocno zakrzywiony, mniéj w piórach ukryty jak u włochatki; nogi wysmukłe, bardzo słabo upierzone, na palcach rzadkiemi tylko szczecinowatemi piórkami posiane; szpony grube, mocno zakrzywione i ostre; ogon na półcala za złożone skrzydła wystaje; lotki 3cia i 4ta najdłuższe i równe; cały brzeg pierwszéj i zwężenie przy końcu 2, 3 i 4téj zadzierzysto ząbkowane. Głowa mierna, słabo wypukłe czoło, promieniste okolenie oczów, z wierzchu bardzo krótkie, nieznaczne; szlara mało wyraźna.

Długość cali 9, siąg cali 23; długość dzioba 8‴, wysokość w nasadzie 6‴; długość skoka 1″6‴, palca średniego 10½‴, pazura u tegoż 6½‴; ogona 3″6‴.

Dziób blado żółtawy, tęcze żółte, szpony rogowo czarniawe, brzeg powieki czarny, podeszwy brudno cieliste.

Wierzch całego ciała brunatnawo szary; cała głowa upstrzona podługowatemi, zaokrąglonemi w końcu plamkami biało rudawemi; na karku plamy są większe, mniéj regularne i więcéj białe; skrzydła mocno biało plamiste, na plecach plamy w większéj części zakryte pod ciemnemi końcami piór. Spód płowo białawy mocno urozmaicony brunatnemi grubemi podługowatemi plamami; nogawice i pokrywy podogonowe czysto białe. Twarz biaława płowo zafarbowana i brunatno miejscami drobno plamista, gardziel biała; szlara odznacza się tylko ciemniejszym krążkiem. Na sterówkach pięć poprzecznych płowych przepasek, mniéj lub więcéj przerwanych w samym środku pióra i same końcówki płowe. Samica nie wiele większa niczém się więcéj nie różni. Ubarwienie młodych pierwszoletnich jest mniéj wyraziste, tojest: wszystkie plamy są więcéj rudawe i spód ciemniejszy na tle więcéj płowém. Nim im pióra wszystkie wykształcą się całkowicie, głowa jest ciemno szara bez żadnéj odmiany.

Pisklęta są puchem ciemno szarym odziane. Jaja białe, krótkie, pękate, kuliste, lub eliptyczne, miernie podługowate i szczupłe; wszystkie w obu końcach są jednakowo nagle zaokrąglone, lub bardzo mało zwężone. Skorupa ich jest gładka, drobnemi grudkami rzadko posiana, dość mocno połyskująca.

Długość od 1″3‴—1″5‴, szerokość od 1″ ½‴—1″1‴.

Sówka ta mało co mniejsza od poprzedzającéj, z powodu jednak mniejszéj głowy i krótszych piór na ciele zdaje się być jeszcze mniejszą, jak jest w istocie. Mieszka w południowéj i umiarkowanéj Europie, w Afryce północnéj i w zachodniéj Azyi; na północ daleko się nie posuwa, w południowéj Szwecyi już jest rzadka, w Norwegii wcale niepostrzegana; u nas z gatunków drobnych najpospolitsza, w Litwie rzadsza nierównie od włochatki.

Trzyma się głównie w starych ogrodach i w aleach lipowych przy drogach, w bliskości zabudowań będących; czasami także w starych murach i w budynkach, a rzadko w lasach. We dnie ukrywa się po większéj części w dziuplach i strzechach, niekiedy także w gę-

stych gałęziach; wieczorami zawczasu wychodzi z kryjówek, lecz siedzi spokojnie na najbliższéj gałęzi, lub sęku, dopóki nie zacznie się ściemniać. W dzień widzi dość dobrze, jednak nie poluje i od dziur się nie oddala, z powodu obawy nieprzyjaciół i prześladowań drobnych ptaków, natrętnie się zlatujących na jéj widok. Znaczna część udaje się na zimę do budynków, na lato zaś wszystkie wynoszą się na drzewa, a gdy liście je zacienią mało kryją się w dziuplach.

Żywią się głównie myszami łowionemi w budynkach i w polach przyległych; wkrótce po zachodzie słońca dosyć nizko po nad ziemią przelatując, szukają ich nieustannie, siadają po ziemi przy dziurach i wyczekują, dopóki która nie wyjdzie: złowione niosą na drzewo dla pożarcia; wybierają także nocami z dziur wróble; we dnie wśród ciemnych tylko budynków na zdobycz uderzają.

Lęgą się tylko w dziuplach starych drzew; najczęściéj w lipach i gruszach, niekiedy w odosobnionych zupełnie, lecz niezbyt odległych od budynków; dziuple najchętniéj obierają ciasne, lecz niekiedy i dosyć obszerne zajmują. Samica bez żadnego posłania wprost na próchnie niesie 4—6 jaj i te sama wysiaduje, samiec zaś pamięta o jéj potrzebach i żywności dostarcza. Młode nim jeszcze zupełnie w pióra porosną, co wieczór z gniazda wyłażą, a siedząc rzędem na sąsiedniéj gałęzi oczekują rodziców z żywnością; za najmniejszém niebezpieczeństwem jak myszy do dziupla z pośpiechem uciekają. Skoro już latać zupełnie mogą, opuszczają stanowczo gniazdo i kryją się we dnie osobno po sąsiednich dziurach, a na noc łączą się i razem za rodzicami przez jakiś czas jeszcze latają; po kilku dopiéro tygodniach każde osobno żyć zaczyna.

Na wiosnę wieczorami wabią się głosem krótkim, po kilkadziesiąt razy w małych przerwach powtarzanym, wyraz *pójdź*, dobrze naśladującym: to stało się powodem przesądu gminnego, iż przypisują jéj wywoływanie dusz, tojest, przepowiednię śmierci; w obecnych czasach nie jeden nawet przestraszy się, gdy usłyszy pódźkę na mieszkaniu swojém wołającą. Hrabia Tyzenhauz zastosował

nazwisko z głosu tego utworzone do włochatki, lecz właściwie téj się należy; pospólstwo ją bowiem pódźką lub pućką nazywa. W zadziwieniu wydaje głos ćwierkoczący, do dzięciolego podobny; nieraz ukryta w gałęziach przy drodze odzywa się w ten sposób na widok przechodzącego człowieka.

Szkód żadnych nie wyrządza, owszem wytępiając mnóstwo myszy w polach, ogrodach i wewnątrz budynków ważne oddaje usługi, dla tego téż nietylko, że nie zasługuje na prześladowanie, ale owszem zyskuje prawo do opieki i oszczędzania.

SÓWKA KARLICZKA.— *Athene acadica.*

Strix acadica Gmel.— Strix pygmea Bechst.— Strix pusilla, passerina Auct.— Chouette chevechette Temm.— Zwergkauz, Kleinerkauz Niem.— Syć nejmensi Cz.— Сычикъ воробьиный Ross.

Skrzydła stosunkowo jeszcze krótsze jak u poprzedzającéj; końcami sięgają połowy tylko ogona; lotka 3cia najdłuższa, 2ga i 4ta równe, bardzo mało od niéj krótsze; ząbkowanie na brzegach 1wszéj i na zwężeniach przy końcu 2giéj i 3ciéj mało wyraźne; nogi więcéj kosmate jak u poprzedzającéj, na palcach mało gdzie nagie obuwie przegląda; szpony silne i ostre, mocno zagięte. Głowa mierna podobnéj budowy jak u pódźki; dziób w większéj połowie piórami zasłoniony, między temi znajdują się szczecia znacznie dłuższe od dzióba; szlara bardzo mało odznaczona.

Długość cali 6, siąg cali 14—15; długość dzióba 7‴, wysokość w nasadzie 4 ½‴; długość skoka 10 ½‴, palca średniego 7 ½‴, pazura u tegoż 4 ½‴; ogona 2″8‴.

Dziób żółto zielonawy, tęcze żółte, szpony czarne, brzegi powiek czarne, podeszwy żółtawe.

Z wierzchu jest szaro myszata; wierzch głowy ma nakrapiany małemi kropelkami, białawemi i gęstemi na czole, coraz rzadszemi i więcéj kryjącemi się pod końcami ciemnych piór ku tyłowi; na karku szeroka półobróż złożona z plamek biało rudawych większych i gę-

ściéj zgromadzonych; całe zaś plecy narzucone obrzedniemi plamkami rudawemi, większemi i gęściejszemi na barkówkach; na pokrywach skrzydłowych plamki białe i rudawe. Twarz biaława, na zewnątrz oczów łukami współśrodkowemi ciemnemi znaczona, z drugiéj zaś strony od dzióba czarne szczecia kończące stosiny całe upstrzenie stanowią; reszta spodu czysto biała, na piersiach w poprzek rudawo i ciemno nieregularnie pręgowana; na niższych zaś częściach wązkie długie ciemne pędzelki w końcach mocno rozszerzone; boki ciemne, rudawo poprzecznie plamiste. Na lotkach odcień rdzawy i białawe prążki; sterówki także rdzawo pociągnięte, czterema wązkiemi, białemi prążkami przepasane, każdy z tych pasków obwiedziony jest po obu stronach ciemniejszą prążką, nie mającą na sobie wcale rdzawego odcienia; na samych końcach po obu stronach kreski białe ukośnie ku górze skierowane. Pokrywy podskrzydłowe białe, lekko zielonawo zafarbowane, a świeżo po wypierzeniu różowo; upierzenie nóg brudno białawe, szaro plamiste.

Samica większa, na spodzie ciała ma grubsze plamy co jéj nadaje barwę ciemniejszą.

Młode do starych podobne, plamy wierzchnie mają więcéj rude i na spodzie cokolwiek grubsze i nietyle od tła odznaczone; przepaski na ogonie także rudawe.

Jaja są eliptyczne, w obu końcach nagle zaokrąglone, gładkie i miernie połyskujące.

Długość 1″2‴, szerokość 10½‴.

Piękna ta sówka ze wszystkich gatunków europejskich najmniejsza, w całym zaś rodzaju mało bardzo jest jéj równych, lub niewiele mniejszych. Zgrabna jest, w ruchach dosyć żwawa i gwałtowna; lot ma ciężki, zerwawszy się zniża się odrazu nad samą ziemię i tak nizko niedaleko odleciawszy wznosi się dopiéro przy drzewie, na którém ma usiąść. Słabo w dzień widzi i rzadko kiedy z kryjówek wylatuje.

Mieszka w południowéj i umiarkowanéj Europie, w północnéj rzadsza i zbyt daleko się nie posuwa. Trzyma się głównie dużych lasów liściastych, w starodrzewia obfitujących; u nas dość pospolita, mało jednak

znana, z powodu ukrywania się w gąszczach, w dziuplach lub w stosach gałęzi, a przytém tak mała, że mało na siebie zwraca uwagi; po zachodzie słońca zaczyna się poruszać.

Na wiosnę i w jesieni karliczki wabią się co wieczór zaraz po zachodzie słońca i zrana przed wschodem, gwizdaniem przerywaném, dosyć donośném, nie dłużéj jak kwadrans; skoro tylko bowiem jedna drugą usłyszy, zaraz się zlatują; w czasach tych są bardzo ruchliwe i znaczne przestrzenie oblatują. Człowiek przysłuchawszy się temu głosowi, łatwo go może naśladować, każdą przywabić, ale nie ubić; gdyż przylatuje bardzo cicho, nieznacznie i siadłszy w blizkości na gałęzi nie porusza się, dopiéro głosem obecność swą zdradza: trudno ją jednak dostrzedz w ciemności.

Gnieździ się w ciasnych dziuplach bez posłania, jak inne gatunki, i niesie 3—4 jaj.

Żywi się najwięcéj ćmami i innemi nocnemi owadami przez lato; w zimie zaś jada myszy, pilchy i inne drobne ssące, zapewne także sprząta i małe ptaszki. Sama małość jest najlepszym dowodem jéj niewinności, a trudność, z jaką się ją wynajduje, ochrania od nierozważnego tępienia: zawsze należy jednak zwrócić na nią uwagę i jako pożytecznego a niewinnego ptaszka na oszczędzanie zalecić.

PUSZCZYK. — *Strix.*

Ogon równo przycięty, krótki, w skrzydłach mocno śpiczastych lotka 1ª i 2ª najdłuższe; złożone znacznie dłuższe od ogona; upierzenie nóg uboższe jeszcze jak u poprzedzających, na skokach od połowy już jest więcéj szczeci jak piórek, a palce samemi tylko włosami rzadko porosłe. Dziób znacznie dłuższy jak w innych gruppach, prosty od nasady; oczy mocniéj zapadłe, przedzielone rodzajem podniesionego grzebienia, utworzonego przez dwa rzędy tęgich promienistych piórek wzajemnie na sobie opartych, stanowiących część okrycia całéj twarzy, i kryjących znaczną część dzióba; szlara wkoło bardzo wyraźna.

Gruppa ta złożona z kilku gatunków rozproszonych na kuli ziemskiéj, ma tylko jeden w Europie. Ptaki te przedstawiają najwybitniejsze cechy i charaktery budowy jako też obyczajów familii sowiéj.

PUSZCZYK PŁOMYKOWATY.— *Strix flammea. Linn.*

Sowa płomykowata Tyz.— Sowa puszczyk Rzącz.— Ogniczek Kluk.— Sowa płomienista Jundz. — Chouette effraie Temm. — L'effraie Buff.— Schleierkauz, Perlkauz N.— Sova pálená Cz.— Сипуха рыжая Ross.

Kształt twarzy ma odmienny pod wieloma względami od innych sów: szersza u wierzchu, zwężona pod dzióbem z przedziałem kątowato zachodzącego czoła przedstawia zupełnie formę sercowatą; cały brzeg lotki 1ej mocno zadzierzysty, następnie nie mają wcale zwężenia w końcach i żadnego ząbkowania. Całe upierzenie sute, bardzo miękkie, jedwabiste z połyskiem.

Długość cali 13; siąg cali 38; długość dzióba 1″2‴, wysokość w nasadzie 7‴; długość skoka 2″6‴, palca średniego 1″3‴, pazura u tegoż 9‴ ogona 5″.

Dziób biały; tęcze ciemno brunatne; szpony czarniawo rogowe z białawemi końcami; obwody powiek czarne. Wierzch głowy i całego ciała popielaty, subtelnie bardzo i ozdobnie upstrzony, najprzód przez prężeczki bardzo delikatne, mocno falowane i gęsto w poprzek piór idące, ciemniejsze; powtóre, przez podługowate czarniawe plamki wzdłuż stosin każdego pióra, mające na sobie jedno lub dwa oczka nieregularne, jasno popielate jak samo tło pierza. Twarz biała, lub różowo płowa; samo okrążenie oczów ciemniejsze; szlara doskonale odznaczona budową łuskowatą piórek, u niektórych zafarbowana brunatno, mniéj więcéj mocno od spodu twarzy. Cały spód białawy lub glinkowato rudawy, ciemniejszy lub jaśniejszy, z pięknym jedwabistym połyskiem; mniéj więcéj upstrzony tego rodzaju plameczkami jak na częściach wierzchnich podługowatemi, złożonemi z dwóch przedziałów ciemno śniadych i dwóch białych, większych i liczniejszych na bokach ciała; niektóre z tych ostatnich są jeszcze otoczo-

ne drobném ciemném nakrapianiem. Lotki i sterówki rdzawo rude, ciemniejsze jak spód ciała, z poprzecznemi pręgami i końcami koloru wierzchnich części, lecz bez plamek z samém tylko falowaniem; spód lotek biały z ciemno śniademi przepaskami; pokrywy podskrzydłowe koloru spodnich części ciała, a spód sterówek białawy z ciemniejszemi wyraźnemi pręgami; szersze chorągiewki lotek mają śniade ciemne poprzeczne pasy.

Gatunek ten wielu ulega odmianom kolorytu, co spowodowało niektórych tegoczesnych ornitologów do utworzenia kilku nominalnych gatunków: odmiany te polegają na białości mniéj więcéj czystéj spodnich części ciała, i rdzawym kolorze w miejscu popielatego na wierzchnich; niektóre indywidua mają cały spód najczyściéj biały bez żadnych odmian i tak mocno jak atłas połyskujący. Odmiany te bardzo pospolite w Europie południowéj a więcéj jeszcze w Afryce północnéj, gdzie są nierównie częstsze jak w barwie wyżéj opisanéj; u nas są rzadkie, a nawet tak daleko nie zachodzą: pomiędzy bowiem przeszło dwustu egzemplarzami krajowemi, które dotąd widziałem, zaledwie było kilka białych z pstrocizną, przy popielatym płaszczu; czysto zaś białych z nieplamistym wierzchem rdzawym nigdy nie spotkałem.

Pisklęta są białym puchem całkowicie odziane, i ten po kilku dniach mocno na nich gęstnieje; oczy mają czarne błyszczące, a wyraz twarzy tak charakterystyczny, że nie trzeba wielkiéj znajomości ornitologicznéj, aby je w tym stanie rozpoznać od innych gatunków. Porastające w pióra inaczéj się przedstawiają jak inne sowy; nowo występujące upierzenie nie mięsza się tak z odzieżą puchową i nie składają się tak skombinowane barwy jak u tamtych, ale odrazu dostają takich samych piór jak na starych; wprawdzie puch zostaje jakiś czas na ich końcach, lecz zawsze widocznie jest odznaczony, że do innéj odzieży należy. Po dopełnieniu zupełném pierwszego upierzenia są podobne do starych; spód jednak mają mocniéj żółty z bledszemi i mniéj wyrazistemi plamkami, i połysk nierównie słabszy.

Jaja białe tak duże jak gołębia siniaka, tém odznaczają się najwięcéj od jaj innych sów krajowych, że for-

ma ich jest wyraźnie jajowata i miernie podługowata; ku końcowi cieńszemu są wolno zeszczuplone i łagodnie przytępione. Skorupa ich dosyć jest gruba, gładka, słabo połyskująca, pory gęste widoczne.

Długość 1″6‴ szerokość 1″.

Sowa ta najozdobniejsza z krajowych gatunków z powodu piękności kolorów i ozdobnéj ich mięszaniny, jak równie świetnego blasku pierza, a oryginalna przez szczególny kształt głowy dziwny jéj wyraz twarzy nadający; bardzo jest rozprzestrzeniona na kuli ziemskiéj. Zacząwszy bowiem od samego prawie bieguna północnego jest pospolitą w całéj Europie, w całéj Azyi i w znacznéj części Afryki, toż samo w Ameryce od ciaśniny Behringa aż do ostatnich krańców Patagonii; nie postrzegano jéj tylko na wyspach morza południowego. Rzadko przeto który ptak drapieżny jest tak rozpowszechnionym i zamieszkuje tak różnorodne klimaty; a z porównania okazów, pochodzących z rozmaitych miejsc, pokazuje się, że żadnym ważnym zmianom nie uległ, i niczém nie różnią się ptaki pochodzące z pod bieguna od ptaków równikowych, prócz tylko odmian w upierzeniu, o których się wyżéj wspomniało, jak równie ze stałego lądu i Ameryki. Z tego to powodu uważają sowę płomykowatą jako ptaka w najwyższym stopniu wędrownego, i utrzymują, że corocznie i regularnie znaczne przestrzenie przebywa. P. Marcel de Serres w ważném swém dziele o wędrówkach zwierzęcych, sowę tę stawia jako ptaka najwięcéj wędrownego z całéj gromady; co nie zdaje się trafiać do przekonania, gdyż nie ma powodów, dla którychby potrzebował przelatywać tak wielkie przestrzenie, jak inne ptaki, nie mogące znosić znacznych zmian klimatu i znajdować wszędzie stosowny pokarm we wszystkich porach roku; a przytém pomięszał z nią niektóre blizkie gatunki w nowszych czasach rozpoznane. Ściślejsze obserwacye niezawodnie okażą, że gatunek ten podobnie jak niektóre inne sowy, usuwa się w części przed srogością zimy a więcéj jeszcze zapewne przed brakiem pokarmu z krajów przybiegunowych do umiarkowańszych, lecz że w krajach umiarkowanych i ciepłych jest stale miejscowym. U nas dość pospolita, znajduje się wszędzie, ale

wszędzie w niewielkiéj ilości; i żadnego śladu podróżowania na naszych ptakach dostrzedz nie można. Trzyma się powiększéj części w budynkach, w starych murach, w kościołach, wieżach, a rzadko w lasach.

Wzrok we dnie ma bardzo słaby; przepędza je w ukryciu po dziurach i ciemnych kątach, których nigdy dobrowolnie nie opuszcza; wypędzona siada w blizkości i tak jest nieostrożna, że się kijem ubić lub nawet żywcem złowić daje. Blask dzienny tak ją razi, że ciągle prawie oczy przymyka, w obecności nieprzyjaciela a nawet ujęta przez człowieka, nie może ich długo trzymać otwartych. Przytém więcéj jest niedołężną od innych gatunków i w łowach nie tak sprawną, co najlepiéj wykazuje ta okoliczność, że zawsze prawie jest chuda, gdy inne gatunki znacznie pod zimę tyją; dość często nawet zdycha z głodu, pomimo, że jest dość zgrabna i obrotna. Lata wolno, lecz tak lekko, że żadnego szelestu skrzydłami nie sprawia.

O zupełnym dopiéro zmierzchu wylatuje, i poluje wewnątrz lub w blizkości swego mieszkania, od którego zbyt się nigdy nie oddala. Pożywienie jéj stanowią myszy, szczury, i drobne ptaszki, które nocami wybiera z dziupli i ze strzech; lubi także tłuszcze, i powiadają, że po kościołach łój z lamp wyjada.

Często sowa ta sadowi się na dzień po gołębnikach, z tego to powodu niektórzy najniesłuszniéj ją posądzają o pożeranie gołębi; tymczasem najspokojniéj się tam zachowuje, widywano nawet jak te ptaki zupełnie się jéj nie obawiają i obok swobodnie siadają.

Gnieździ się w dziurach starych murów, pod dachami, na gzymsach lub w rozmaitych zaklęsłościach, w gołębnikach, niekiedy w szczelinach skał lub w dziuplastych drzewach; zawsze jednak woli w budynkach. Nie robi zwykle żadnego gniazda, lecz prosto na śmieciu lub próchnie gotowém na miejscu, składa swe jaja; niekiedy jednak nagarnia cokolwiek barłogu, pierza lub słomy, ale nie nadaje temu żadnego kształtu, ani też trwałości.

Późniéj nierównie gnieździ się od innych sów; w końcu dopiéro maja lub na początku czerwca niesie zwykle 3—6 jaj; szczególny jednak przykład mnożności

téj sowy miałem w roku 1855 w Królikarni pod Warszawą, gdzie w baszcie na gzymsie para wysiadywała 11 jaj, i z tych wszystkie były płodne, w ostatnich dniach lipca zaczęły się wylęgać, i to odbywało się przez kilka dni; tym sposobem jedne były już dosyć duże, gdy ostatnie zaledwie z jaj wylazły.

P. Moquin Tandon w artykule pod tytułem: „*Notes ornithologiques*“ zamieszczonym w Revue et Magazin de Zoologie na r. 1857 p. 449, przytacza podobny fakt, to jest, że przyniesiono mu 24 kwietnia roku 1844 gniazdo sowy płomykowatéj z dzwonnicy Croix Daurade w Tuluzie, składające się z 9 jaj, z których 5 było blizkich wylęgnięcia a 4 świéżo zniesione. Ztąd wnosi, że dwie pary naniosły się w jedno gniazdo; w Królikarni jednak nie postrzeżono, aby więcéj nad dwoje starych uczęszczało do gniazda, co bardzo łatwo dałoby się postrzedz, gdyż większą część młodych zostawiono rodzicom do wykarmienia.

Samica twardo dosiaduje na jajach, spędzona z gniazda, kryje się w budynku, na zewnątrz niechętnie wylatuje; natychmiast wraca do gniazda, skoro niebezpieczeństwo przeminie. Samiec przez dzień przy samicy przesiaduje, w nocy zaś szuka dla siebie i dla niéj żywności.

Gdy młode dorastają, rodzice oboje polują na całą rodzinę; dzieci w oczekiwaniu chrapią podobnie jak stare; w parę tygodni po wylęgnięciu zaczynają w piórka porastać, a w miesiąc mogą podlatywać: mimo to długo jeszcze miejsca się trzymają i na dwór nie wylatują; rodzice muszą je ciągle w żywność opatrywać, co też z wielką troskliwością wykonywają.

Głos téj sowy jest do mocnego chrapania człowieka śpiącego podobny, zabobonne przeto pospólstwo bardzo się go obawia i smutne wróżby z niego wyprowadza.

Sowa ta jest jednym z najpożyteczniejszych ptaków: kto miał sposobność obserwować ją w czasie gnieżdżenia, mógł się łatwo przekonać, ile ona myszy i innych szkodliwych zwierzątek wyniszcza, a jeżeli złowi kiedy jakiego ptaka, to zawsze takiego, który nam żadnych bezpośrednich korzyści nie przynosi. Najlepszym dowodem, że szkód w ptastwie dzikiém i zwierzynie wyrządzać nie

może, jest ta okoliczność, że się rzadko od zabudowań oddala i że w ptastwie domowém żadnych szkód nie robi; nierozważne więc zabijanie jéj i niszczenie, nie tylko nie odpowiada celowi, ale nawet wielką krzywdę gospodarstwu wyrządza.

PUHACZ.— *Bubo.*

Ogon krótki, słabo w końcu zaokrąglony; lotka 2a najdłuższa, 3a i 4a prawie z nią równe; wszystkie gatunki mają ponad oczami kępki piórek dłuższych od otaczającego je upierzenia, które ptak dowolnie nakształt uszów zwierząt ssących może podnosić i składać na innych piórach tak, że zupełnie się z niemi wyrównywają, albo bardzo mało odstają. Cecha ta ostatnia, chociaż na pozór tak mało znacząca, wspólna jednak jest grupie więcéj między sobą dobranéj pod wieloma względami jak inne.

Obyczaje puhaczów tém się głównie odznaczają od innych sów, że większa część gatunków nie gnieździ się w dziurach lecz na wierzchu, tojest na ziemi lub w gniazdach innych ptaków.

PUHACZ BŁOTNY Tyz.— *Bubo brachyotus.*

Strix brachyotus Lath.— Strix ulula, accipitrina, aegolius, stridula, palustris, arctica Auct. — Hibou brachyôte Temm.— Die kurzohrige Eule, Sumpfohreule Niem.— Pustovka Cz.— Сычь болотная Ross.

W porządku, w jakim przeprowadzamy sowy, najwłaściwiéj puhacze zaczynać od tego gatunku, gdyż najwięcéj się zbliża do sów nieuszatych, pod wieloma bardzo względami. Głowa miernie duża, całą twarz ma pokrytą promienistemi piórami od oka rozchodzącemi się, cokolwiek krótszemi tylko od strony czoła, za to dłuższemi, szczeciastemi na przodzie, ukrywającemi w większéj części dziób mocno zakrzywiony od saméj nasady, między nozdrzami nabrzękły. Otwory uszów wielkie, całe

boki głowy zajmują; szlara wkoło twarzy wyraźna; nad oczami czubki z kilku piórek niewiele dłuższych od innych złożone, i tak przystające do upierzenia głowy, że wcale od niéj nie odstają i nie odznaczają się. Upierzenie skoków miernie sute, na palcach zaś dosyć szczupłe, po ostatni staw sięgające; zadzierzystość na brzegu całéj lotki skrajnéj i małéj części zwężonéj przy końcu następnéj, szpony słabo łukowate bardzo ostre.

Długość cali 12—13. Długość dzioba 11‴, wysokość w nasadzie 7½‴, długość skoka 1″11‴, palca średniego 1″, pazura u tegoż 9‴, ogona 6″.

Dziób i brzegi powiek czarne, szpony rogowo czarniawe, tęcze cytrynowo żółte, pięty i spody palców cieliste.

Kolor wierzchu ciała składa mieszanina ciemno brunatnych środków piór, z płowo rudawemi obrzeżeniami dosyć szerokiemi, na barkówkach i pokrywach skrzydłowych brzegi te są szersze z plamami ze swéj strony brunatnemi, co tworzy w tych miejscach więcéj skomplikowaną pstrociznę; na pokrywach kilka prócz tego dużych białych plam okrągławych. Spód ciała płowo białawy z wązkiemi czarniawo brunatnemi płomykami wzdłuż każdéj stosiny; upierzenie nóg i pokrywy podogonowe nieplamiste. Pióra twarzy białawe, gdzieniegdzie rudawo zafarbowane; okolice oczów czarniawe; szlara i czoło płowe, drobno czarniawo kropkowane, na bokach tylko za uszami piórka téj ostatniéj są w większéj części całkiem brunatne. Przez ogon płowo rdzawy pięć lub sześć brunatno czarniawych, szerokich przepasek; lotki płowo rdzawe, brunatno szeroko pręgowane i zakończone; spód skrzydeł biały, końce tylko lotek, jedna lub dwie pręgi blizko tegoż i pręga na końcu ostatnich pokryw podskrzydłowych brunatne.

Samica większa niczém się nie różni.

Młodych pierwsze upierzenie więcéj rudawe, wokoło oczów więcéj mają czarnego; zresztą jak stare.

Pisklęta puchowe są czysto białe. Gdy zaś pióra dojdą do połowy wykształcenia, przedstawiają się w bardzo odmiennych kolorach od rodziców; a mianowicie na spodnich częściach ciała: są wtenczas jednostajnie rudawe

bez żadnych plam, prócz tylko wyższéj części piersi ciemno plamistéj; wierzch głowy mają przytém czarniawy rudawemi końcówkami piór bardzo mało upstrzony; okolice oczów mocno czarne.

Jaja odznaczają się formą od innych sowich: są podługowato eliptyczne, w obu końcach jednakowo i znacznie zeszczuplone; bardzo rzadko trafiają się słabo jajowate, tojest w końcu cieńszym widocznie szczuplejsze jak w drugim. Skorupa dość gruba, gładka, miernie połyskująca; barwa czysto biała.

Długość 1″7‴ szerokość 1″2‴.

Puhacz ten mieszka na całéj kuli ziemskiéj; z krajów północnych na zimę wylatuje i dość daleko przenosi się na południe; zdaje się nawet, że wszędzie jest wędrowny, opinia przeto do sowy płomykowatéj stosowana, temu właśnie gatunkowi właściwiéj się należy. U nas bardzo pospolity, z wiosny poprzedza prawie wszystkie ptaki wędrowne, a najpóźniéj odlatuje; zdarza się jednak, że na zimy lekkie i mało śnieżne niektóre indywidua zostają; a nawet wśród ciężkich zim, gdy śniegi na jakiś czas zginą, ptaki te, których przedtém wcale nie było, nagle się okazują, i znowu nikną gdy śnieg powtórnie upadnie.

Najpospolitsze są w okolicach bagnistych po błotach torfowych, obrzednią trawą i karłowatemi krzaczkami zarośniętych; w miejscach suchych trzymają się najchętniéj chróstów i parowów, jednak i na zupełnie nagich polach spotykać się dają. Dnie całe przesiadują na ziemi, najczęściéj ukryte w trawach i pod krzakami; na drzewach ani na krzakach nigdy nie siadają. W czasach wędrówek spotyka się wśród pól po wyrwach, miedzach, krzaczkach i t. p.; o zmierzchu dopiéro na żer wylatują.

Podróżni, zwiedzający południowe kraje Ameryki, wspominali o sowach żyjących we dnie w norach wspólnie z bobakami, na łąkach i stepach, przez te zwierzęta wykopanych; następnie gdy kapitan Portlak spotkał na piasczystém pobrzeżu rzeki Long-Foyle w Irlandyi, puhacze nasze mieszkające po norach razem z królikami, przekonano się, że i ten ptak do podobnych obyczajów jest skłonny. Co jesień gromadzą się w tych miejscach, we dnie siedzą w blizkości, a za zbliżeniem się dopiéro

człowieka, lub w razie innego niebezpieczeństwa do nor uciekają.

Puhacz ten we dnie doskonale widzi, i dobrze uważa co się wkoło niego dzieje; lotem przewyższa inne gatunki, wzbijać się może do znacznych wysokości i krążyć tak jak ptaki dzienne. Mimo to we dnie nie poluje i mimowolnie się nie porusza. Człowiekowi bardzo blizko zejść się dozwala, często przypada do ziemi na sposób ptaków grzebiących lub błotnych, i tak twardo dotrzymuje, że kijem lub batem ubić się daje; lecz raz poruszony siada już na widoku i staje się ostróżniejszym, a nawet często już nie daje się na strzał podchodzić, bacznie się na wszystkie strony ogląda i coraz daléj odlatuje.

Główne pożywienie tego ptaka stanowią drobne myszowate zwierzątka, na które przez całą noc poluje, przelatując nieustannie po nad polami i łąkami w sposób podobny do myszołowów i zatrzymując się tak jak tamte chwilowo w zawieszeniu nad obiecującemi miejscami. Jak wiele jest w stanie wyniszczać tych szkodników, miałem sposobność przekonać się obserwując rodzinę, która się w okolicach Warszawy wychowywała. Wybrawszy młode o świcie znalazłem w każdém po 5 myszy lub polników całkowicie połkniętych, a że ich było 5 lub 6, razem więc z potrzebami starych wypada około 40 tych zwierzątek codziennie na rodzinę. Trzeba prócz tego wiedzieć, że tym razem sama samica téj rodzinie dostarczyła żywności, gdyż samiec poprzednio już został zabity dla łatwiejszego wynalezienia młodych. Młode wychowują się na miejscu około sześciu tygodni; przypuściwszy, że przez trzy pierwsze potrzebują tylko przecięciowo połowy tego zapasu, a przez trzy drugie całkowitego, wypada na cały czas 1365 sztuk; do czego dodać należy żywność starych przez cztery tygodnie wysiadywania i słania gniazda przedtém, tojest 280: cyfra ta podniesie się do 1645. Lecz że przez cały ten czas mogły i inne zwierzątka spożywać, a które w żadnym razie dwustu nie mogły dosięgnąć, pozostała ilość dostatecznym jest i widocznym dowodem znakomitéj pożyteczności tego ptaka. Ma téż także zwyczaj objawiania się w niezwykłych ilościach w okolicach, gdzie

się myszy zbytecznie rozmnożą, jak tego najświeższy był przykład w księztwach Anhalt-Coethen i Dessau w roku 1857, gdzie przedtém za pamięci obecnego pokolenia nie postrzegano go wcale w czasie lęgowym. W okolicach Diebzig, według zapewnienia p. Baldamusa osiedliło się na łąkach i błotach około 200 par tych ptaków, i wychowawszy potomstwo wkrótce odleciały. Nie ma żadnéj wątpliwości, że przybyły w skutek pojawienia się w przeszłéj jesieni tak wielkiéj ilości myszy polnych i żniwiarek (Mus agiarius et messorius); że winnice, ogrody i pola doświadczyły od nich wiele klęsk i na większe były jeszcze wystawione; zwierzątka te tak były rozmnożone, że polniki przed niemi zupełnie prawie ustąpiły. Dopiéro, gdy się te sowy osiedliły, tak je przetrzebiły, że w ciągu jednego lata sprowadzone zostały do zwykłéj ilości. Sowy téż strony te opuściły.

Prócz zwierzątek myszowatych sowy te są bardzo sprawne w łowieniu bekasów i innych ptaków błotnych, po zachodzie słońca żerujących: przekonać się o tém bardzo łatwo można usiadłszy nad błotem w miejscu, gdzie się to ptastwo na żer zgromadza. Sowy tam zlatują się z odległych miejsc i krążąc po nad trawą upatrują i porywają ptaki na blaczki i miejsca przerzedzone wychodzące. Chociaż w téj porze dnia trudno jest dopatrzyć, co się w pewném oddaleniu odbywa, każdy jednak porwany bekas krzykiem o nieszczęściu swojém znać daje. Po polach także w podobny sposób napadają kuropatwy i przepiórki; co się zaś tyczy innych ptaków śpiących nocami w ukryciu, te najmniéj od sów tych cierpią. W braku lepszego pożywienia biorą się niekiedy do żab i jaszczurek, lecz to bardzo rzadko się trafia.

Jakkolwiek szkody tu wymienione, w niektórych okolicznościach mogą być dosyć znaczne i mogą nie jednego skłonić do wypowiedzenia prześladowania tym sowom, niczém jednak są one w porównaniu z ważnością oddawanych usług. Ptaki bowiem niszczone przez nie wyłącznie są dla nas przedmiotem zabawy i zbytku, a zwierzątka myszowate główny ich pokarm stanowiące zagrażają przedmiotom pierwszych potrzeb życia; niceby

więc nie usprawiedliwiało nierozwagi, gdyby ptaka tak pożytecznego chciano uznać za szkodliwego i na wyniszczanie przeznaczać.

W kraju naszym bardzo rzadko się gnieździ; przez dwadzieścia lat ciągłych ekskursyj po kraju zaledwie dwa gniazda tych sów znalazłem i prócz tego nigdzie nawet ptaków samych w porze lęgowéj nie widywałem. Jedno z tych gniazd było w Lubelskiém na rozległém błocie w okolicy Łęczny, w miejscu rzadką brzezinką porosłém; drugie pod Oborami o dwie mile od Warszawy w drobnéj łącznéj olszynie. Wszystkie zaś gniazda, które mi p. Baldamus w okolicach Diebzig pokazywał, były wśród łąk zupełnie otwartych, żadnych krzaków nie mających na sobie.

Gniazda zawsze słane między trawą na ziemi, pod krzaczkiem, karpą lub w równém i otwartém zupełnie miejscu: są tylko urządzone nędznie i niedbale z suszu grubych traw błotnych, nagarniętego bez ładu z miejsc przyległych, lub nawet wytłuczonego na miejscu; materyał ten pod jajami i dziećmi kruszy się z czasem i żadnéj spójności nie przedstawia. W gniazdo takie samica niesie od 6—10 jaj i tak twardo na nich siedzi, że trzeba tuż najść na nią, aby się z gniazda zerwała. Samiec zawsze w bliskości na ziemi przesiaduje i ciągle uważa co się w okolicy dzieje. Gdy się przechodzi koło gniazda, czyto w dzień, czy w nocy, wzlatuje w powietrze, krąży i przelatuje, krzycząc nad nieprzyjacielem; ciągle zapada, tłucze się po ziemi i rozmaite wydaje głosy; w locie podobnie do chrapliwego szczeknięcia małego pieska dwa lub trzy razy powtórzonego; gdy zaś siądzie na ziemi, kwokcze podobnie jak kaczka lub piszczy i chrapie rozmaitemi tonami. Samica przez cały ten czas nie ruszy się z gniazda i nie da żadnego znaku.

Dzieci, gdy zaczną w piórka porastać, wylażą z gniazda, rozłażą się po trawie i kryją się we dnie każde w osobnym dołku; tak do ziemi przypadają jak ptaki grzebiące lub niektóre błotne. Wtenczas stare latają przez całą noc za żywnością. Skoro które z nich wraca ze zdobyczą, szczeknie parę razy, na co młode odpowiadają z trawy przeciągłym chrapliwym piskiem. Gdy

się w nocy przechodzi w blizkości, stare nabijają z krzykiem z wielką natarczywością; wtenczas żadne z dzieci się nie odezwie. Gdy się człowiek ukryje w blizkości w celu wysłuchania, gdzie się młode znajdują, stare tak pamiętają miejsce, w którém się schował i tak doskonale zdają się odgadywać cel tego, że chociaż go zupełnie nie widzą za każdym razem przelatując, skręcają nad niego i wymijając go właściwym głosem ostrzegają dzieci o obecném ciągle niebezpieczeństwie; te też doskonale to rozumieją i najciszéj całą noc przepędzają. Rodzice jednak widzą, gdzie które przesiaduje i cichaczem każdemu jego porcyą donoszą. Gdy się jednak całą noc cierpliwie przesiedzi, o świcie młode zaczynają się wabić i można doskonale wysłuchać, gdzie się które znajduje.

Po zupełném dorośnięciu długo razem przebywają, a nawet wędrują najczęściéj w rodzinném towarzystwie. Pod tym względem przedstawiają wyjątek w familii sowiéj zawsze samotnéj: wszystkie bowiem wędrowne gatunki, jak się wyżéj powiedziało, pojedynczo podróżują.

U nas najpospolitsze są od końca żniw do późnéj jesieni; na ciągu zaś wiosennym są nierównie rzadsze.

PUHACZ USZATY Tyz. — *Bubo otus.*

Strix otus Linn.—Strix deminuta Pall.—Otus otus Lich.—Hibou moyen-duc Buff.—Sowa uszata Jundz.—Die Mittlere Ohreule N.—Сова ушастая Ross.—Kalous Cz.

Głowa mierna, kształtu kociego; pokrycie promieniste twarzy od strony czoła niższe jak na zewnątrz; na bokach czoła czubki z kilku piórek złożone, na cal wysokie, szerokie i zaokrąglone, na boki pochylone; szlara w około twarzy wyraźna; sam tylko koniec dzióba z między piór wystaje. Nogi po ostatnie stawy palców upierzone, podobnie zupełnie jak u poprzedzającego gatunku; szpony długie, bardzo ostre, miernie zakrzywione. Skrzydła około dwóch cali dłuższe od ogona; brzeg lotki piérwszéj całkowicie zadzierzysty, a drugiéj zwężenie

przy końcu nie dłuższe nad 2 cale. Otwory uszne całe boki głowy zajmują; oczy mierne; całe upierzenie bardzo delikatne i dosyć sute.

Długość samca cali 12, siąg cali 36; długość samicy cali 13—14, siąg cali 38; długość dzióba 10‴; wysokość w nasadzie 6 ½‴; długość skoka 1″6‴; palca średniego 1″1 ½‴; pazura u tegoż 8‴; ogona 5″8‴.

Dziób i obwódy powiek czarne; szpony czarno brunatne; tęcze pomarańczowe; podeszwy żółtawo-cieliste.

Twarz od strony dzióba biaława, od strony ucha mniejwięcéj rudawa, czarnemi stosinami miejscami widocznemi urozmaicona; samo okrążenie oczów u niektórych wkoło czarniawe, u innych w kątach tylko od strony dzióba; czoło brunatno czarniawe, biało i płowo, drobno i gęsto poprószone; krésa czarniawa ciągnie się od oka do czubka czarniawego, rudawo z obu stron obwiedzionego i białawo plamistego na brzegu wiérzchnim; szlara biaława, na zewnątrz rudawo zafarbowana i czarniawo zygzakowato prążkowana. Wiérzch głowy i kark płowo rudawy, brunatno plamisty i białawo popylony; cały zaś grzbiet w sposób bardzo skomplikowany subtelnie upstrzony; pióra na téj części są rudawe, przechodzące w kolor jasno popielatawy ku końcom, z pręgą czarniawo brunatną wzdłuż stosiny, od któréj rozchodzi się zygzakowate subtelne poprzeczne prążkowanie; na brzegach nadlotek i barkówek rzędy białych jewabistych dużych plam. Spód cały rudawo płowy, mniejwięcéj biały na brzuchu, upstrzony grubemi, brunatnemi płomykami podłużnemi, środki piór zajmującemi i mniejwięcéj znacznem poprzecznem pręgowaniem; upierzenie nóg rudawe lub płowe bez żadnych plam. Lotki od nasady rdzawe, daléj coraz więcéj szare, ciemno nakrapiane i poprzecznie brunatno pręgowane; ogon szaro płowy, ciemno mniejwięcéj poprószony, kilka wązkich czarniawych przepasek mniejwięcéj wyraźnych zawiera; spód sterówek jaśniejszy z dość wyraźném pręgowaniem; spód skrzydeł białawy, z czarniawą okrągłą plamą przy nasadzie lotek piérwszego rzędu.

Upierzenie wyżéj opisane dosyć przedstawia rozmaitości: jedne są w ogóle nierównie ciemniejsze, plamistość

mają o wiele wyraźniejszą i piękniejszą, więcéj urozmaiconą, jak na drugich. Samice różnią się tylko wielkością.

Pisklęta świeżo wylęgłe są gęsto białym puchem odziane; można je w takim stanie od innych gatunków rozpoznać po wydatnych kupkach, zapowiadających tak zwane uszy. Następnie gdy pióra zaczynają wyrastać, przybierają barwę szaro żółtawą, ciemnemi prążkami gęsto poprzecznie falowaną; na wiérzchu głowy szaro płowe kupki czubowe są jeszcze widoczniejsze. Okolice oczów są brunatno czarniawe i tęcze już pomarańczowe.

Jaja są znacznie mniejsze od puszczykowych (Strix aluco), eliptyczne, krótkie, pękate lub prawie kuliste; w obu końcach prawie jednakowo zakończone. Skorupa miernie gruba, gładka, drobnemi grudkami zrzadka niekiedy nalepiana, słabo połyskująca, bardzo mało przezroczysta; czysto biała, do światła blado żółtawa.

Długość około 1″6‴; szerokość 1″3‴.

Piękny ten puhacz mieszka na całéj staréj półkuli i żadnym ważnym odmianom nie ulega; egzemplarze europejskie niczém się nie różnią od afrykańskich, ani od pochodzących z wschodniego krańca Syberyi. Zbyt daleko nie posuwa się na północ, w Norwegii wcale już nie bywa. U nas zamieszkuje lasy całego kraju, nigdzie jednak nie znajduje się obficie; z powodu przytém ukrywania się starannego we dnie, zdaje się być nierównie rzadszym, jak jest w istocie. Wszędzie jest miejscowym, w ciężkie tylko zimy zbliża się do budynków, a nawet zdarza się, że wewnątrz nich szuka schronienia, jak tego mieliśmy przykład w ciężkiéj i śnieżnéj zimie roku 1855, w któréj prawie wszystkie do zabudowań przeleciały. Mnóstwo ich wówczas wygubiono, gdyż nieobeznane z życiem tego rodzaju, nie umiały się tak starannie ukrywać przed ludźmi, jak gatunki budynkowe.

Dnie przepędza ukryty w gałęziach, a rzadko po dziurach; o zmierzchu na żer wylatuje i całą noc jest w ruchu. Do zabudowań i ogrodów nie rad się zbliża, chyba, że wydali się w nocy z lasu, a dzień go zaskoczy w otwartém miejscu, w takim razie szuka schronienia po drzewach i krzakach ogrodów; za powrotem nocy spiesznie je opuszcza i do lasów wraca. Przy dziennem

świetle dość dobrze widzi, jednak nie poluje i dobrowolnie się nie porusza; jest ostrożny gdy postrzeże, że go człowiek widzi, umyka zaraz, lecz nie daleko przysiada i tak ciągle się oddala, dopóki jest ścigany.

Żywi się głównie myszami i innemi drobnemi ssącemi, wyjątkowo tylko wybiera z kryjówek uśpione ptaki, a rzadko bardzo może mu się zdarzać spotkanie w lasach ptaków wieczorami lub rano żerujących; jedne tylko jarząbki mogą być u nas wystawione na jego napady. Z tego wypada, że ptak ten powinien być zaliczony do ptaków użytecznych i pod żadnym pozorem prześladowania doświadczać nie powinien.

Gnieździ się w lasach; częściéj w brzegach przy polach lub w małych polnych gajach, jak wewnątrz dużych borów. Sam nigdy gniazda nie ściele, lecz zajmuje stare po wronach, sójkach, grzywaczach, pustułkach i t. p. ptakach, będące pod wierzchołkami, a rzadzéj w połowie wysokości średniowiekowych lub młodych drzew iglastych lub liściowych, i tych wcale nie poprawia, ani też żadnego własnego posłania nie urządza. Do raz zajętego gniazda zwykł na następne lata powracać, dopóki mu coś nie przeszkodzi. W kwietniu niesie 3 lub 4 jaja.

Ptaki te z wiosny póty się tylko wabią, póki samica nie osiędzie na jajach; od tego czasu zachowują się bardzo cicho, co powoduje, że trudno jaja znajdować.

Samica za uderzeniem w drzewo wylatuje z gniazda i siada na sąsiednich drzewach, po oddaleniu się człowieka natychmiast wraca. Dzieci wieczorami jeszcze przed zachodem słońca odzywają się głosem piskliwo skrzypiącym, w jednostajnych przerwach ciągle powtarzanym; wabią się tak przez całą noc i tym sposobem często się zdradzają. Gdy zaczną podrastać, wyłażą często na sąsiednie gałęzie i rzędem obok siebie siedzą, na dzień zaś i w razie najmniejszego niebezpieczeństwa kryją się na gniazdo. Skoro tylko zaczną podlatywać, opuszczają stanowczo już gniazdo i przenoszą się na inne drzewa; dnie przepędzają ukryte w gałęziach, w nocy zaś są bardzo ruchliwe, przelatują ciągle z drzewa na drzewo

i uganiając się za rodzicami, natrętnie dopominają się o żywność.

Póty w blizkości zostają, póki zupełnie nie wyrosną, następnie rozłączają się i każde osobno żyć zaczyna.

Głos tego puhacza jest przeciągły, hukający, dosyć odmienny i łatwy do rozróżnienia od innych sów. Prócz wiosny wabi się także wieczorami i rankami w późnej jesieni, w innych zaś porach roku jest milczący.

PUHACZ WŁAŚCIWY Tyz.— *Bubo maximus* Ranz.

Strix bubo Linn.— Bubo europaeus Less.— Puhacz wyk Waga.— Hibou grad duc Temm.—Der Uhu Bork.—Die grosse Ohreule Brehm.—Vyr Cz.— Филинъ пугачь Ross.

Głowa wielka, szeroka; oczy duże; promieniste okrążenie twarzy bardzo zniżone od strony czoła, sutsze jest naprost dzióba, który w znacznéj części zakrywa, po za nim znowuż jest krótsze, dopiéro na zewnętrznéj stronie oka najdłuższe; szlara od strony szyi tylko wyraźna po bokach twarzy nic się prawie nie odznacza od przyległych jéj piór; czoło szerokie; po nad oczami czuby z kilku piór więcéj zwężonych ku końcom jak u poprzedzającego złożone, około dwóch cali sterczące nad otaczającemi je piórami, na boki pochylone lecz podnoszące się prawie pionowo według woli ptaka. Otwory uszów znacznie mniejsze od poprzedzających, długością nie przechodzą średnicy oka. Nogi po same pazury suto piórami okryte; pazury potężne, mocno zakrzywione i ostre. Skrzydła szerokie, stosunkowo o wiele krótsze, jak u dwóch poprzedzających, złożone zaledwie sięgają końcami do końca ogona; ząbkowanie brzegów skrajnych lotek takie zupełnie, jak u dwóch poprzedzających gatunków. Całe upierzenie sute, delikatne, lecz nie tak wiotkie jak u dwóch pierwszych.

Długość samca stóp 2, siąg stóp 5; długość samicy stóp. 2, cali 2, siąg stóp 5, cali 6; długość dzióba 1″10‴, wysokość w nasadzie 1″2‴; długość skoka 3″3‴, palca średniego 2″, pazura u tegoż 1″6‴, ogona 12″.

Dziób, szpony i obwody powiek czarne; podeszwy szaro cieliste, tęcze pomarańczowe.

Twarz od strony dzióba biaława, od strony ucha szaro rudawa, upstrzona mocno odznaczonemi czarnemi stosinami; wierzch głowy brunatno czarny; na czole popylony gęstemi, drobnemi, rudawemi kropkami i plamkami, które daléj po brzegach piór tylko są widoczne; czuby czarne od wewnętrznéj strony rudawo brzeżyste. Wierzch ciała rudawo płowy, tak mocno czarniawo pstry, że ten ostatni kolor prawie połowę powierzchni zajmuje; spód także rudawo płowy, na każdém piórze szyi i piersi duża płomykowata czarna plama i drobne obok ząbkowanie; daléj na długich bocznych piórach resztę spodu zakrywających płomyki te są coraz węższe ku dołowi tak, że ostatnie ograniczają się tylko do czarnéj stosiny, w poprzek zaś mają po kilkanaście falistych czarniawych prążek. Brzuch i obuwie czarniawo szaremi niewyraźnemi plamkami i prążkami upstrzone; podbródek i duża na szyi plama z piór puchowatych utworzona czysto białe; barkówki rudawo i czarno pstre. Przez sterówki i lotki brudno płowe drobnemi czarniawemi plamkami gęsto nakrapiane kilka czarno brunatnych kres poprzecznych; pokrywy podogonowe płowe, rzędami wązkich czarniawych prążek, podobnie jak pióra boczne pręgowane, lecz pręgi te są więcéj nieregularne, ząbkowane i przerywane.

Samica okazalsza niczém się nie różni, często jednak ma mniejszą białą plamę pod szyją (1). Młode zupełnie upierzone podobne są do starych.

Pisklęta świeżo wylęgłe są odziane białym puchem, na bokach głowy czubki są dużemi kupkami oznaczone; tęcze mają brunatne, te po kilku dniach żółkną, a po dwóch tygodniach, kiedy pióra z między puchu na

(1) Hrabia Tyzenhauz w opisie tego ptaka w Ornitologii powszechnéj utrzymuje, że samica nie ma białego podbródka. Tymczasem dosyć już puhaczów u nas widziałem a nie natrafiłem przecież nigdy na taką samicę; owszem, nietylko że wszystkie miały biały podbródek, ale żadnéj nie brakowało plamy pod szyją; co się zaś tyczy ogólnéj barwy, nie zawsze jest ona światlejszą od samca, zdarzają się bowiem samice od wielu samców ciemniejsze.

wierzch wychodzą, już są pomarańczowe. Nim dorosną, przedstawiają dość znaczne różnice od starych, na spodnich częściach ciała, głowie i karku; pióra w tych miejscach brudno rudawo glinkowate, są subtelnemi, szaremi pręgami w poprzek znaczone; długo nie dostają czubów, które tylko kupkami nad upierzeniem głowy wystającemi są oznaczone.

Jaja stosunkowo do pozornéj wielkości ptaka są za małe, jajowate, krótkie, pękate, mało zwężone w końcu cieńszym i słabo zaostrzone; w końcu grubszym nagle są zaokrąglone. Skorupa chropowata, słabo połyskująca często grudkami nalepiona. Kolor czysto biały, do światła blado żółty.

Długość około 3″, szerokość około 2″ ½‴.

Gatunek ten ze wszystkich sów jest najokazalszy; jedna tylko sowa mszarna (Strix laponica), żyjąca na północy obu lądów, cokolwiek go długością przewyższa, a mało jest takich, które zbliżają się wielkością do niego. Postawa pionowa, napuszysta, wielkie jaskrawe oczy, długie czuby naśladujące uszy zwierząt ssących i potężne uzbrojenie dziwaczną mu i straszną figurę nadają; a przez sute upierzenie zdaje się być nierównie większym, jak jest w istocie. Rozgniewany dziwaczne i śmieszne przybiera postawy: najeża się cały, przychyliwszy się do ziemi roztacza skrzydła, któremi jakby dachem całkowicie się okrywa, z nogi na nogę przestępuje kołysząc się na boki, mruga oczami, dmucha chrapliwie i tak jak wszystkie inne téj familii ptaki silnie szczękami kłapie. Siłę i odwagę posiada stosowną do powierzchowności, napastuje znacznie od siebie większe zwierzęta i ptaki, a mało jest bardzo drapieżnych ptaków, któreby się na niego odważyć mogły. W dzień dobrze widzi, mimo to jednak światła nie lubi i razi go to widocznie: oczy ciągle przymruża, a nawet spokojnie siedzący całkiem je przymyka. Przesiaduje cały dzień ukryty w gęstych gałęziach, lub w ciemnych zakątkach skał i dobrowolnie nie wylatuje; spłoszony przez obławę lub jakikolwiek hałas zrywa się i nizko między drzewami coraz daléj się usuwa. Przed ludźmi cicho obok niego chodzącymi nie rusza się z miejsca i póty zostaje, póki jest pewnym,

że go nie widzą i zdaje się nie zważać na ich obecność; lecz raz ruszony staje się ostrożnym i nie łatwo podejść się już daje. Lata niezbyt szybko, lecz równo i cicho; wieczorem o zmierzchu wylatuje na łowy, ciągnie między drzewami i zdąża nad pola i łąki, gdzie o téj porze najłatwiéj spotyka się ze zdobyczą; przelatując nad polem z lasu do lasu nizko nad ziemią się trzyma.

Jest on mieszkańcem wszystkich górzystych i leśnych okolic Europy i całéj północnéj Azyi, w północnéj Ameryce rzadki, ale był postrzeganym. Ptaki wschodnio-azyatyckie znacznie są odmienne od naszych, a głównie w kolorycie nierównie bledszym; niektórzy uważają je za oddzielny gatunek, właściwiéj jednak za stałą lokalną rassę uważać je wypada. Żyje samotnie po ciemnych lasach, skałach i rozwalinach starych murów między lasami będących; ażeby zaś z własną samicą miał się łączyć tylko na czas lęgowy, przesadzone jest zdanie; w pogodne bowiem jesienne wieczory wabią się wzajemnie i na głos ten do siebie lecą. To tylko pewna, że gniazd w blizkości jedne drugich nie zakładają, co jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż jedne drugim przeszkadzałyby w sposobności wyżywienia rodziny. W krajach górzystych jest najpospolitszy, rzadszy w naszych równinach, jednak znajduje się we wszystkich większych lasach tak w okolicach suchych, jak i błotnistych. Trzyma się najwięcéj ciemnych borów świerkowych i jodłowych niekoniecznie obszernych: zamieszkuje bowiem i małe kępy, byleby odpowiadały wszystkim wymaganym przez niego warunkom i sąsiadowały z wielkiemi lasami. Lubi szczególniéj błotniste ciemne ostępy w blizkości błót i wód położone, na które nocami odbywa bardzo korzystne wycieczki. Wszędzie miejscowy.

W skutek wytrzebiania lasów i niszczenia ptastwa drapieżnego liczba puhaczy widocznie się zmniejsza i niedługo ptak ten zejdzie do rzędu bardzo rzadkich w kraju.

Ze wszystkich naszych ptaków drapieżnych niezawodnie najszkodniejszy: nocna pora w któréj poluje, wielce mu do tego sprzyja i nastręcza z łatwością większéj zwierzyny i ptastwa najwięcéj w tym czasie żerujących. Zający bardzo wiele niszczy, często je po nocy

napada, a przejęcie szponami i kilka silnych razów po głowie wystarcza na zamordowanie tego słabego zwierza; polowanie to zawsze mu się udaje; prócz tego bije młode sarny, cietrzewie, głuszce i inne duże ptaki leśne, szczury, wiewiórki i inne drobne zwierzątka; nie pomija także żab i dużych chrząszczowatych owadów. W okolicach błotnistych najwięcéj morduje kaczek i czajek: mnóstwo piór z tych ptaków przy gniazdach znajdowałem.

Niekiedy drapieżność swą tak daleko posuwa, że odważa się na stare sarny, które dosiadłszy na karku, tłucze dzióbem po głowie i zamordować usiłuje. Widziano nawet rozdartego puhacza przez sarnę, podobnie jak się to zdarza jastrzębiom: rozdzieranym przez zające uciekające po gąszczach. Jeże zabezpieczone od innych drapieżników nie są zdolne zasłonić się przed puhaczem, który dusi je szponami, odgryza głowę i następnie wybiera od strony brzucha mięso i wnętrzności, a samą tylko wierzchnią część skóry kolcami porosłą dokładnie oczyszczoną zostawia. Aby się przekonać o szkodliwości tego ptaka, dość jest jego gniazdo odwiedzać, w czasie wysiadywania i karmienia potomstwa: nikt nie może mieć wyobrażenia, ile się tam znajdzie codziennie świeżéj zwierzyny. W parę dni zaraz gdy na jajach osiądzie, już po kilka zajęcy napoczętych prócz kości po innych znaleźć można. Chłopi myśliwi wiedzą o tém dobrze i gdy któremu uda się wynaleźć puhaczowe gniazdo, nie zważając na szkody jakie ptak ten wyrządza, zostawiają na miejscu i robią się wspólnikami jego rozbojów, codziennie odwiedzając zabierają świeże zapasy zajęcy i dużych ptaków; szczury zaś, wiewiórki i inne tym podobne zwierzęta młodym puhaczom zostawują.

Jako największy szkodnik szczególną uwagę na siebie powinien zwrócić tam, gdzie nie jest jeszcze rzadkim. Trudność wyszukania go w dziennem ukryciu nie łatwém robi spotkanie; najkorzystniéj można go bić na wabia; najstaranniéj zaś należy wyszukiwać i niszczyć ich gniazda, co ułatwić może wabienie się starych w bliskości.

W wyborze miejsca lęgowego są bardzo niestałe: w krajach górzystych najwięcéj na skałach się gnieżdżą,

u nas zaś w starych gniazdach orlików lub innych dużych ptaków drapieżnych, nie wysoko w grubych widłach gęstych drzew iglastych osadzonych, najczęściéj w połowie wysokości drzewa, a często znacznie niżéj. W miejscach błotnistych, spokojnych i mało odwiedzanych wprost na ziemi przy lada jakiém drzewie lub pniaku, w miejscu wzniesioném i suchém; niekiedy na wierzchu obszernego nadpróchniałego pnia, a nawet na kępach wśród dużych błot lub wód międzyleśnych. Na zajęte gniazda po innych ptakach drapieżnych dokłada cokolwiek nowych materyałów, znacznie je rozprzestrzenia, a środek wyściela niedbale mchem, suchemi trawami, liśćmi i drobnemi gałązkami. Sam gniazda nowego nigdy nie ściele na drzewie, przeciwnie na ziemi sam je urządzać musi: mało używa w takim razie gałęzi, lecz gromadzi znaczną ilość traw suchych i szuwarów, które niedbale bez porządku i kształtu układa. Jedno gniazdo na długo mu służy, jeżeli tylko nic nie przeszkadza; od połowy marca zaczyna go odwiedzać i w miarę potrzeby poprawiać.

Przy końcu marca samica niesie dwa jaja, które sama bardzo twardo wysiaduje i łatwo zejść się na gniaździe dozwala. Przy końcu kwietnia wylęgają się pisklęta, na których matka przez kilka dni jeszcze siedzi; i dopiéro wtenczas zaczyna odstępować, gdy w pióra zaczynają porastać i są zdolne do obrony. Od tego czasu dnie pędzi wraz z samcem ukryta w gęstych gałęziach drzew sąsiednich. Za każdém pojawieniem się człowieka lub nieprzyjaznego zwierza w blizkości, stare odzywają się głosem krótkim, przerywanym, do szczekania psa podobnym i często zejść się blizko dozwalają; lecz raz poruszone stają się ostrożnemi i zdaleka pomykają. Chociaż zbytecznie się nie oddalają i ciągle w blizkości gniazda szukają schronienia, nie wracają do dzieci przed zachodem słońca. Wylęgłe w gniaździe na drzewie nie opuszczają go, dopóki nie są zdolne do lotu; przeciwnie z gniazda na ziemi wkrótce wychodzą i przechadzają się po kępach i łomach sąsiednich. Nawiedzone przez człowieka zaraz po jego odejściu zmieniają miejsce i szukają skrytszego. Cała przestrzeń wokoło, podobnie jak

przez młode wilki jest wydeptana i zasłana szczątkami rozmaitych łupów, po czém bardzo łatwo do młodych trafić można. Latające przez kilka tygodni jeszcze trzymają się rodziców i bez ich pomocy obejść się nie mogą.

Głos puhacza potężny, hukający, od którego trafne bardzo nazwisko niemieckie Uhu otrzymał. Co wiosna i jesień wabią się wieczorami i rankami tym głosem, łatwym do naśladowania i zwabienia do siebie ptaka; każdy przyleci, skoro usłyszy i dobrze jest wabiony. Często jednak trzeba wielkiéj cierpliwości, gdyż nie zawsze odrazu się zbliży, ale długo odpowiadając, odlatuje coraz daléj i stara się za sobą mniemanego towarzysza sprowadzić, w końcu dopiéro zniecierpliwiony sam przylatuje.

Wszystkie ptaki widoku jego nie cierpią: skoro go który w dzień zobaczy, zbliża się z krzykiem, na co zlatuje się ze wszystkich stron rozmaite ptastwo, jakoto: wrony, sójki, jastrzębie, orły i wszelkie drobne ptaszęta i natarczywie na niego nacierają. To zlatywanie się ptastwa do puhacza dało początek tak zwanym wronim budkom, korzystnie używanym do bicia ptaków drapieżnych, jak równie do łowienia na lep drobniejszych. Potrzebny do tego jest żywy puhacz, którego się osadza na żerdzi postawionéj w otwartém na wszystkie strony miejscu, sąsiadującém z lasami, których się ptastwo drapieżne trzyma; strzelec ukryty obok w budce, może wygodnie strzelać każdego ptaka nacierającego i niezważającego na niebezpieczeństwo, gdyż go jedynie zajmuje widok tego dziwacznego i strasznego ptaka. Młodo złowiony łatwo się hoduje, ale nie obłaskawia, stary dla dzikości nierównie trudniejszy do użycia; w braku żywego można stawiać wypchanego.

Mimo to, że na wolności nocami tylko poluje, chowany w domu we dnie jada tak dobrze jak w nocy, sam nawet łowi domowe ptaki i zwierzątka, gdy się nierozważnie do niego zbytecznie zbliżają; kury mianowicie padają najczęściéj ofiarą: ściąga je z niezwykłą zręcznością, gdy się która przysunie do klatki, w któréj puhacz siedzi w kącie odęty, nieruchomy, z przymrużonemi oczami tak zupełnie, jak gdyby był obojętnym

na wszystko co go otacza; nagle łapą sięgnie przez szczeble, porwie i wciąga pod siebie. Tak chwyconą raz zdobycz uporczywie trzyma i trudno mu już odebrać, a przynajmniéj nigdy już żywo nie wypuści.

PUHACZ SYCZEK Tyz.— *Bubo Scops.*

Strix scops Linn. — Strix Zorca, Carniolica Auct. — Scops europaeus Less. — Ephialtes scops Blas. — Sowa sówka Jundz. — Sowa leśniaczka Waga. — Le petit duc Buff. — Hibou scops Temm. — Zwergohreule, klein Ohreule Niem. — Vyrecek Cz.

Głowa mierna, odmiennego pod wieloma względami kształtu jak innych gatunków; promieniste okrążenie oczów jest tylko od strony dzióba, od spodu i od strony ucha wyraźne; od czoła zaś i czubków na całéj przestrzeni piórka wierzchu głowy bezpośrednio powieki dotykają; czubki nie są tak jak u innych złożone z piórek nie stosujących się do okolicznego upierzenia, ale utworzone z kępki podnoszącéj się stopniowo od piórek czołowych tak, że czubki te prawie trójkątne, położone na głowie pasują zupełnie do innych piór, a podniesione zadzierają za sobą przyległe im piórka czołowe; najwięcéj są one podobne do uszów kocich; szlara po bokach tylko twarzy wyraźna, a otwory uszne tak jak u puhacza właściwego małe, długością zaledwie średnicy oka wyrównywają. Nogi szczupłe także różnią się znacznie od innych gatunków, albowiem upierzenie tak jak u niektórych dziennych ptaków jest tylko na skokach, palce zaś są zupełnie nagie z obuwiem siatkowatém. Skrzydła jak u innych puhaczów z lotkami 2gą i 3cią najdłuższemi i równemi; ząbkowanie zaś na brzegu 1wszéj i zwężeniu 2giéj bardzo drobne i nie tak zadzierzyste, jak u innych. Złożone skrzydła końcami lotek równają się z końcem ogona.

Długość cali 7; długość dzióba $7\frac{1}{2}'''$, wysokość przy nasadzie $5\frac{1}{2}'''$; długość skoka $1''1\frac{1}{2}'''$, palca średniego $9'''$; ogona $3''$. Dziób i szpony brunatno czarne; palce szaro brunatne; obwody powiek czarne; tęcze żółte.

Cały wierzch ciała bardzo subtelnie upstrzony w ten sposób, że na tle piór rudawo szarém wązkie są czarne płomyczki wzdłuż każdéj stosiny i bardzo drobne, ząbkowane falowanie na całéj przestrzeni piórek; dosyć rozmaity jednak odcień przedstawia się na tych częściach, zależący od odmiennego koloru tła piórek; na tyle głowy i u spodu karku znajdują się półobróżki białawe, na barkówkach zaś i lotkach główny odcień jest popielatawy, a na reszcie szaro rudawy, prócz boków czoła także popielatawych; brzegi barkówek są rudawo białe, czarnemi plamami zakończone. Twarz popielatawa, szaro subtelnie falowana, a końce piórek szlary na bokach twarzy tworzą czarniawą kresę. Spód cały szaro rudawy na piersiach a białawy na brzuchu, z czarnemi grubszemi płomykami jak na wierzchu ciała i z subtelném poprzecznem ciemném falowaniem, przyćmiewającém tło piórek. Na skrajnych chorągiewkach lotek rzędy białych plam; ogon podobnie jak wierzch ciała z ciemnemi i jaśniejszemi obok nich poprzecznemi prążkami; upierzenie skoków rudawe, czarniawo strychowane.

Samica większa niczém się prócz tego nie odznacza. Młode są cokolwiek ciemniejsze.

Jajka są eliptyczne, bardzo krótkie i pękate, w obu końcach prawie jednakowo zaokrąglone; skorupę mają gładką, mocno połyskującą: są czysto białe, skorupa do światła żółtawa bardzo blada. Krymskie jaja są długie 1″2‴, szerokie 1″. Te zaś, których p Moquin Tandon podaje wymiary i które pochodziły z Francyi południowéj, są znacznie mniejsze; długie są 28, 30 i 31 milimetrów, szerokie 21, 21 ½ i 25 milim. (1).

Syczek jest mieszkańcem południowéj i umiarkowanéj Europy, im daléj na południe tém pospolitszy; na północ wcale nie zalatuje. U nas bardzo rzadki, należy niezawodnie do najrzadszych gatunków całéj familii sów. W Litwie według hr. Tyzenhauza chociaż są rzadkie, znajdują się jednak w każdéj porze roku, lecz są znacznie mniejsze od południowych, mało co karliczkę (Strix acadica) w wymiarach przechodzą (2). Zdaje się, że to

(1) Revue et Magazin de Zoologie 1857, p. 500.
(2) Ornitologia hr. Tyzenhauza. T. I, p. 111.

jest odmiana miejscowa stała, niewiadomo zaś, jak daleko się rozciąga i czy uległa także obyczajowym różnicom. Spodziewać się należy, że powinna się także znajdować w północnych okolicach gubernii augustowskiéj: mieszkańcy przeto tamtych stron ważnąby nauce mogli oddać usługę rozpoznaniem jéj i wyjaśnieniem wielu ciekawych okoliczności. W Karpatach syczek nierównie jest pospolitszy, a mianowicie na stronie węgierskiéj.

Gnieździ się w szparach skał, w dziuplach drzew tak w lasach jak i w ogrodach, w dziurach i kryjówkach murów i mieszkań ludzkich. Wszystkie ptaki, które p. Moquin Tandon w południowéj Francyi obserwował, niosły po 4 jaja. Samica przy końcu siedzenia na nich miewa brzuch zupełnie z piór ogołocony, przy dzieciach ciągle w dziurze przesiaduje. Do gniazda, nad którém obserwator ten robił postrzeżenia, samiec znosił regularnie, pilchy, polniki, pokrzewki, jaszczurki i szarańcze, wszystkie bez głów, a nawet te ostatnie owady. Gdy złowił na gniaździe samicę, samiec nie przestawał żywności tak samo dostarczać, lecz w gniaździe nie przesiadywał. Samica nie chciała jeść w niewoli, puścił ją więc i złowił samca, którego musiał także wolnością udarować dla téjże saméj przyczyny. Łowienie to nie odstraszyło ich od gniazda i nie przestały pielęgnować potomstwa, jak przedtém; lecz gdy w kilka dni potém umieścił deszczułeczkę przy otworze, nie zastał nazajutrz ani starych, ani dzieci: ponieważ zaś te ostatnie niezdolne były do lotu, najprawdopodobniéj rodzice uznawszy to za zamiar zdrady, przeniosły je i gdzieindziéj ukryły.

Z krótkiego tego obyczajowego rysu syczka pokazuje się, że podobnie jak wszystkie drobne sowy jest niewinnym i pożytecznym ptaszkiem: ponieważ jednak jest rzadkim u nas, nie ma przeto potrzeby zalecania go osobno, gdyż razem z innemi oszczędzanym być winien.

Przejrzawszy tym sposobem szczegółowo obyczaje wszystkich naszych ptaków drapieżnych, każdy postrzeże, jak mała jest stosunkowa ilość ptaków prawdziwie szko-

dliwych, a jak znaczna prawdziwie pożytecznych. Z tego łatwo bardzo pojąć, jak wielką szkodę wyrządza się krajowi przez nierozważne tępienie wszystkich bez żadnego względu i różnicy i czy nie lepiéj wyrzec się zupełnie tego zadania i zostawić saméj naturze utrzymywanie równowagi tak przez nas samych ciągle nadwerężanéj, jak daléj w podobny sposób gospodarować.

Zebrawszy bowiem wszystkie gatunki ze względu wpływu wywieranego na zwierzostan krajowy, można je objąć w sześciu oddziałach: z których

Pierwszy składać się będzie z samych ptaków szkodliwych.

Drugi z ptaków szkodliwych, lecz przytém rzadszych.

Trzeci ze szkodliwych, lecz tak rzadkich, że żadnego wpływu nie mogą wywierać.

Czwarty pożytecznych, lecz równie rzadkich.

Piąty ptaków, których strona użyteczności przeważa szkodliwość.

Szósty z ptaków wyłącznie użytecznych.

Cały pierwszy oddział wszędzie można przeznaczyć na wytępianie; z drugiego tępić tylko te, które są liczniejsze i tam gdzie szkody są dotkliwsze, a już oszczędzać przez wzgląd na rzadkość tam gdzie są rzadsze; dalsze zaś cztery oddziały wszędzie w kraju naszym oszczędzać, a nawet protegowaćby należało.

Dla zachowania także stopniowania, jakie pojedyncze gatunki w kategoryach tych zajmują, starałem się ułożyć je w porządku zacząwszy od najszkodliwszego jastrzębia pierwszéj, a skończywszy na najpożyteczniejszym puszczyku ostatniéj.

1. Jastrząb (Astur palumbarius), Puhacz właściwy (Bubo maximus), Krogulec (Astur nisus), Kania wielka (Milvus regalis), Kania czarna (Milvus ater), Błotniak błotny (Circus rufus), Kobuz (Falco subbuteo), Drzemlik (Falco aesalon).

2. Rybołów (Pandion haliaetos), Sokół wędrowny (Falco peregrinus), Orzeł przedni (Aquila fulva), Orzeł bielik (Aquila albicilla).

3. Raróg (Falco laniarius), Sowa długoogonowa (Ulula macroura).

4. Sowa jarzębata (Ulula nisoria), Sowa biała (Ulula nyctea), Puhacz syczek (Bubo scops), Sęp płowy (Vultur fulvus), Sęp kasztanowaty (Vultur arrianus), Orzeł włochaty (Aquila pennata), Błotniak blady (Circus pallidus).

5. Puhacz błotny (Bubo brachyotus), Błotniak zbożowy (Circus cyaneus), Błotniak popielaty (Circus cineraceus).

6. Pustułeczka (Falco cenchris), Kobczyk (Falco rufipes), Sówka karliczka (Athene acadica), Sowa włochatka (Ulula dasypus), Krótkoszpon (Circaëtos gallicus), Pszczołojad (Pernis apivorus), Puhacz uszaty (Bubo otus), Puszczyk płomykowaty (Strix flammea), Orlik (Aquila naevia), Myszołów (Buteo vulgaris), Myszołów włochaty (Buteo lagopus), Sówka pódźka (Athene noctua), Pustułka (Falco tinnunculus), Sowa puszczyk (Ulula aluc).

LEGENDY I PIEŚNI
LUDU POLSKIEGO, NOWO ODKRYTE.

PODAŁ DO DRUKU

Wacław Aleksander Maciejowski.

POGLĄD.

Z wdzięcznością wspomniony przezemnie w wydawanéj obecnie Historyi prawodawstw słowiańskich (1), p. Mateusz Gralewski, rodem z Mazewa, pisał do mnie dnia 9 listopada 1859 r. i 1 stycznia 1860 r. ze wsi Żytnogór pod Białocerkwią na Ukrainie, gdzie obecnie zostaje, list następującéj treści:

Biblioteka Warszawska z r. b. za miesiąc sierpień w odcinku „Wiadomości literackie“ zrobiła wezwanie do ziemian, o podanie skutecznéj pomocy w zbieraniu pieśni, melodyj do nich, przysłów, podań, zwyczajów i charakterystyki, również o zwrócenie uwagi na rozmaitość ubiorów, zabudowań, narzędzi, sprzętów rolniczych, i o przechowanie ich w rysunkach.

Czas potemu wielki, bo zmiany w naszym kraju olbrzymim krokiem postępują naprzód. Kto przed kilkunastu laty oglądał nasz kraj, już dziś w wielu okolicach zupełnie go nie pozna. Oczynszowanie zmieniło fizyonomią wiosek, i wprowadza do kmiecych domów nowe zwy-

(1) Patrz tom III, str. 366, w przypisie 3.

czaje i obyczaje. Miałem sposobność przekonać się o tém w Mazewie, i spostrzeżenia moje w tym względzie już są znane panu z mego opowiadania.

Przemiany dotychczasowe, małe są w porównaniu do zmian, jakie mają zajść na całym obszarze Polski: i wiele, wiele uroni się z przeszłości, jeżeli już dziś szczerze nie zaczną pracować nad zachowaniem jéj pamiątek. A lud nasz, bogata to kopalnia nauki. Wprawdzie powtarza to z nas wielu, i niebrak nam na chęci, ale brak zamiłowania przedmiotu.

Lud najniższa warstwa społeczeństwa, a główna podstawa każdéj narodowości i fundament bytu państwowego, za mało zajmuje u nas umysły pracujące dla dobra ogółu. Są tacy, co podają nam obszerne, głębokie wiadomości o krajach od nas oddalonych, a uwagi nie zwracają na rzeczy, które im się same przed oczy nasuwają. W obecnym czasie, inaczéj tego nazwać nie można, jak roztargnieniem umysłu.

Lud nasz bardzo mało jest znany. Niektórzy oprawiają go w ramy sielankowości, inni pogardliwie nań patrzą. A zaiste, lud ten jest taki, jak go wychowała szlachta: są w nim wady i błędy, jakie ona posiada, jest i cnota wysoka. Znam niewiasty wiejskie pełne świątobliwości, i kmieci pełnych prawości i ducha Bożego.

Przed parą laty osiadłem na wsi, by śród ludu żyjąc lepiéj go poznać. Zacząłem od spisywania pieśni i piosneczek. Pieśniami lud nazywa religijne, piosneczkami zaś światowe. Zebrałem i kilka modlitw. Okoliczności przeniosły mię potém do miasta, i niestety, musiałem zaniechać myśli napisania kroniki rocznéj Mazewa, którym się pan tak po ojcowsku opiekujesz. Sądzę że byłaby to księga nader zajmująca, bobym w niéj pomieścił uroczystości kościelne i domowe, sprawy dworu, plebanii, szkoły, karczmy, kompanie odpustowe a głównie częstochowską, odbywające się kwesty zakonne i dziadowskie, chodzenia na jarmarki, brackie zgromadzenia, chrzciny, swaty, miłość i zaloty młodzieży, poetyczne zaręczyny, symboliczne wesela, uczty pogrzebowe, zbieranie podatków, narady gminu, historye rodzin włościańskich, stosunki sąsiedzkie, opowiadania o przeszłości,

teraźniejsze pojęcia, myśli o przyszłości, miejscowe podania, wieści ze świata, gawędy kobiece, leki, zabobony, gusła: zresztą cobym tylko widział, usłyszał i zdążył przenieść na papier. Byłaby to księga ogromna, praca nad nią ciągła, ale praca, jakiéj nie zastąpi na tém polu żadna inna: bobysmy z żywego źródła poznali opinią ludową, i widzieli przynajmniéj jednéj okolicy występki i cnoty, stopień oświaty i duch kierowniczy.

Są myśli piękne w zebranych przezemnie pieśniach i piosneczkach, w części nieznanych, ale o wiele piękniejsze są ich melodye, bo jak lud mówi: „pieśni i nuty uczą się od morskich syren ludzie nadbrzeżni, a od nich dopiéro reszta na świecie.“ Więc nie są one układane, ale płyną z poza świata naszego. Ludzie zwyczajni nie są ich w stanie utworzyć! Samo to określenie początku pieśni, ileż ma w sobie poezyi!“

Tyle z listu p. Gralewskiego wyczytałem.

Winienem dla zrozumienia rzeczy dać czytelnikowi niektóre objaśnienia. Wspomniana w liście wieś Mazew jest dużą, w powiecie łęczyckim leżącą osadą wiejską, którą syn mój wziął od rządu w długoletnie posiadanie. Wieś ta w Bibliotece Warszawskiej (1), historycznie przezemnie opisana, sięga wieków bardzo odległych. Kiedym do niéj r. 1845 pierwszy raz przybył, dopytywałem się zaraz u tamecznego ludu o dawne podania, pieśni, klechdy i t. p. Nie mogłem atoli nic z niego wydobyć. Zbywano mnie krótko, że nic podobnego tu nie ma, że tutejszy lud nie ma dawnych, lecz śpiewa dzisiejsze, które gdzie posłyszy, pieśni. Nie wierzyłem temu, lecz nie było rady dojść do wątku rzeczy i odgadnąć prawdę. P. Mateusz Gralewski, rodak mazewski, doszedł jéj. Mieszkając razem po swym z Kaukazu powrocie przez czas niejaki we wsi z miejscową włościanką Honoratą zamężną Budnerową swą siostrą, spisał tak z ust jéj, jak i przyjaciółek tejże Katarzyny Kraszewskiéj i Marcinowéj Kińskiéj, również włościanek mazewskich, ogłoszone tu drukiem legendy i pieśni. Od śpiewaczek więc a nie od śpiewaków usłyszał je: drugich, bowiem, jak mi pisze, trudno dziś

(1) Rok 1857, tom I, str. 269.

w Polsce dopatrzeć. Nie śpiewają oni chyba w karczmach i to zwyczajne, na uwagę mało zasługujące piosenki.

W końcu winienem dodać, że pieśni, które do druku podaję, będąc wiernym ludu wyrazem, mają archaizmy, które przypiskami starałem się objaśnić. Niedostaje im nuty, która, sądząc po ich wątku, musi być bardzo stara i oryginalna. Warto, ażeby kto z lubowników muzyki ludowéj przejechał się na miejsce, i o nią wymienionych wyżéj śpiewaczek popytał.

I. PIEŚNI CZYLI LEGENDY.

1. O MŁODÉJ GRZESZNICY.

A w sobotę po obiedzie
Chodził Pan Jezus po kolendzie,
I napotkał dziewkę w lesie,
A ta dziewka wodę niesie.
„Dziewko, dziewko, daj téj wody,
Ochłodzę się z téj ochłody."
—„Jabym, Panie, wody dała,
Ale z drzewa liścia napadała,
Kiéj nieczysta."—„Dziewko, dziewko,
Kiejbyś ty taka była czysta,
Jak ta woda przezroczysta!
Trojeś dziatków porodziła
I w téj wodzie potopiła,
I samaś się w niéj umyła.
Dziewka się tak przelękła,
Na kolana aż uklękła.—
„Dziewko, dziewko, nie lękaj się,
Do kościoła, spowiadaj się,
Do kościoła, do spowiedzi,
A siedzi tam kapłan Boży."
Dziewka próg przestępuje,
Ziemia się pod nią rozstępuje.
Tam się długo spowiadała,
Aż się w proch rozsypała.
I przyjechał coś za pan,
W takiéj postaci jak szatan.
I złapał ci ją za włosy,
Wrzucił ci ją w grób najgłębszy.
Trzydzieści lat trzy płynęło,
Wyrosła na niéj mogiła,

Wyrosł ci na niéj róży kwiat
I zapłakał jéj cały świat.
Wyrosła na niéj lilija,
Zapłakała matka miła.
„Matko miła nie płacz ty mnie,
Masz tam w domu jeszcze ich dwie,
Karz je tam lepiéj jako mnie:
Boś ty mnie źle karała,
W wszelkim mym grzechu ostała.“

2. O DUSZACH.

Wstały dusze, zapłakały,
I na smętarz zawołały:
„Smętarz, smętarz, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas“.
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały“ (1).
Wstały dusze, zapłakały,
I na kościół zawołały:
„Kościół, kościół, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas“.
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały.“
Wstały dusze, zapłakały,
I na ziemię zawołały:
„Ziemio, ziemio, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas“.
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały.“
Wstały dusze, zapłakały,
I na lasy zawołały:
„Lesie, lesie, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas.“
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały“.
Wstały dusze, zapłakały,
I na ogień zawołały:
„Ogień, ogień, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas.“
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały“.
Wstały dusze, zapłakały,
I na wodę zawołały:
„Wodo, wodo, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas.“

(1) Odpowiada na prośbę dusz cmentarz.

—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały."
Wstały dusze, zapłakały,
I na obłok zawołały:
„Obłok, obłok, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas."
—„A wyśta się nie słuchały,
W wszelkim grzechuśta ostały."
Wstały dusze, zapłakały,
I na piekło zawołały:
„Piekło, piekło, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas."
A tam w piekle radzi byli,
I na szerz drzwi otworzyli.
Ten najstarszy paszczę rozdarł,
Wszystkie duszyczki pożreć chciał.
A one się tak przelękły,
Na kolana aż uklękły.
„Najświętsza Panno ratuj nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas".
Najświętsza Panna usłyszała,
Czém najprędzéj przybieżała,
Płaszczykiem je swym odziała:
„Pietrze, Pawle, pójdź po klucze,
Roztwórz wrota, puść te dusze."

3. O GRZESZNIKACH.

O święta Polsko, co słychać o tobie,
Śliczne klejnoty utraciłaś sobie.
Ziemia teraz nie rodzi, jak przedtém rodziła,
Czy jéj zakazano, czy się wypleniła?
Ni jéj zakazano, ni się wypleniła,
Bo sama przez się nie będzie rodziła.
Bo przedtém stary lud brzydził się czartami,
Teraz młode dziatki liczą (1) tysiącami.
I liczy, liczy, chodzi po ulicy,
Ojciec, matka słyszy, rózgą nie oćwiczy.
Żebyś ty matko rózgą dziatki siekła,
Wybawiłabyś swoją duszę z piekła.
Ale ty matko rózgi na dziatki żałujesz,
W piekle na siebie smołę gotujesz.
Matka u córki miejsca nie zagrzeje,
Bo się w jéj domu złe przekleństwo dzieje.
„Oj córko, córko, gdzieś tego nawykła (2),

(1) Kluą. (2) Nauczyłaś się.

Bodajżeś była w mym żywocie znikła.
Wykarmiłam cię swojemi piersiami,
Co spojrzę na ciebie, zaleję się łzami."
Brat swego brata domu nie nawidzi,
Bo się bogaty ubogiego wstydzi.
„Oj bracie, bracie, nie wstydźma się siebie,
Na tamtym świecie przyjdziema do siebie."
Siostra u siostry domu nie nawidzi,
Bo się bogata za ubogą wstydzi.
„Oj siostro, siostro, nie wstydźma się siebie,
Na tamtym świecie przyjdziema do siebie.
Oj siostro, siostro, pamiętaj na moje sierostwo,
Nędzić (1) mię bieda, bieda i ubóstwo".
Siostra uboga na niebie króluje,
Siostra bogata w piekle się gotuje.
Przyszedł ojciec do syna, prosi o wspomożenie,
Syn na ojca spojrzał, zle na nim odzienie.
„Oj synu, synu, masz wszystkiego dosyć,
Nie odrzekajże się tego chleba prosić."
Idą ci tam idą te anielskie wody,
Prosi się syn u ojca o kropelkę wody.
„Oj synu, synu, choćbym ci dał całe morze,
Już tobie synu w piekle nie pomoże".
O Boże, Boże z nieba wysokiego,
Racz nie opuszczać ojca ubogiego.

4. O SIEROCIE I MACOSZE.

Chodziła sierota po wsi,
Obsiedli (2) ją źli psi.
Nie umiał się kto obrać (3)
Sieroteczkę ognać.
Obrał ci się obrał
Sam Pan Jezus z nieba,
Kawałeczkiem chleba.
„Oj sieroto gdzież ty idziesz?"
—„Idę stukać, pukać,
Mojéj matki szukać."
—„Ty tam matki nie znajdziesz,
Bieżże na zielony smętarz,
Twoja matka leży
Prosto w wielki oltarz."
—„Kto tam chodzi po moim grobie?"
„Ja, matulu, puśćcie mnie do siebie."
—„Cóż sa (4) będziesz jadła,
Cóż sa będziesz piła?"

(1) Dokucza. (2) Napadli. (3) Nie chciał się nikt podjąć. (4) Tu.

„Będę piasek jadła,
A wodeczkę piła."
—„Bieżże do swojéj macochy,
Niech ci koszulę wypierze."
—„A jak ci mi pierze,
Na pół ze mną *(tak)* zedrze.
A jak ci mię myje,
Nakręca mi szyję;
A jak ci mię czesze,
Po ziemi mię wlecze;
A jak ci mię plecie (1),
Izbę mną zamiecie.
Swoim dzieciąteczkom
Jagiełki w mleczku gotuje,
A mnie sieroteczce
Jeno w skorupeczce,
Jeszcze nie wiele!....
Swoim dzieciąteczkom chleba z maslem daje,
A mnie sieroteczce umacza w popiele.
Swoim dzieciąteczkom na łóżeczku ściele,
A mnie sieroteczce barłożku nie wiele.
Swoim dzieciąteczkom poduszeczki ściele,
A mnie sieroteczkę płachetką odzieje."
Oj przyszło, przyszło dwóch aniołków z nieba.
Wzięli sierotkę na rączkach do nieba;
Oj przyszło, przyszło dwóch czartów z piekła,
Porwali na pazurach macochę do piekła;
Posadzili ją na żelaznym stolcu,
Dali jéj pić smoły, siarki, w opalonym garcu.
„Żeby ja się na tenta świat wróciła,
Nie takby ja sierotce życzyła (2).
Nóżkibym umyła,
A brudbym wypiła.
Już nie rychło, nie rychło, już się zamkła klamka,
Mogłaś wtedy życzyć, kiedyś była matka.

5. PIEŚŃ O Św. HELENIE.

Święta była, święta Halina,
Szukająca (3) świętego syna,
I napotkała zieloną łączkę,
A na tej łączce troje żydowie.
„Wyście żydowie Boga-ście męczyli."
—„O nie my, nie my, starsi tam byli.

(1) Splata włosy. (2) Opiekowała się nią. (3) Gdy która szukała.

Widzisz ty Halino wysoką górę,
A na téj górze klasztor fundują,
A w tym klasztorze trzy groby stoją:
W pierwszym grobie Pan Jezus leży,
A w drugim grobie Matka Najświętsza,
A w trzecim grobie święty Jan klęczy.
Przed Panem Jezusem organy grają,
Przed Matką Najświętszą świece się palą,
Przed świętym Janem lilja kwitnie,
A z téj lilij ptaszek wylata:
Nie jestto ptaszek, tylko syn Boży,
Co się narodził na ten świat Boży.

6. PIEŚŃ O OBRAZIE N. P. M. CZĘSTOCHOWSKIÉJ.

Swięty Łukasz anielista (1)
Prosił Boga Jezu-Chrysta,
Żeby obraz wymalować,
I cześć, chwałę Bogu oddać.
Malował go czas nie mały,
Dwadzieścia lat cztéry były,
Nie mógł ci go wymalować,
Aż się musiał nad nim zdrzymać.
Najświętsza Panienka przemówiła,
Aż Łukasza obudziła:
„Wstań Łukaszu spracowany.
Już twój obraz malowany.
Zaprzągajcie konie, woły,
Weźcie obraz do Częstochowy.
Wieźcie go tam przez ciemny las (2),
Bo tam słońca nigdy nie masz.
Wieźcież go tam na góreczkę,
Na zieloną murawieczkę,
Na zieloną, na zieloną,
Co tam nigdy nie sieczoną.
Będą ci tam z każdéj strony,
Będzie obraz uwielbiony.
Ślepi, chromi, trędowaci,
A sam Pan Bóg z nieba płaci.
Płaci, płaci, płaci jeszcze,
Kto nawiedzi święte miejsce,
Kto nawiedzi obraz czysty,
W niebie odpust wiekuisty."
Cztérech zbójców przyleciało,
Obraz święty szarpać chciało,

(1) Ewangelista. (2) Głębokie lasy otaczały niegdyś Częstochowę.

„Stójcie zbójce, nie szarpajcie,
Bo tu marnie wyginiecie."
A zbójce się tak polękali,
Aże krzyżem popadali.
A tam w piekle karę dają,
Octem, żółcią napawają.
A tam w piekle ścielą łoże
Ostre brzytwy, szydła, noże (1).

II. MODLITWY.

1. MODLITWA PORANNA.

Stoi rószczka kwitnąca,
Przed Panem Jezusem widząca.
Widzę Cię, mój Jezu, przez kapłańskie ręce,
Kapłan Pana Jezusa piastuje,
Moja się dusza raduje.
Raduj się raduj duszo w ciele
Ku lekkiemu skonaniu,
Ku dusznemu zbawieniu.
Ja pójdę we drzwi,
Pan Jezus na mnie wejrzy.
Najświętsza Panienka siedzi za stolikiem,
Przed nią złoty kielich stoi.
Kto te kielichy pijać będzie,
Będzie się Bogu ofiarować.
Najświętsza Panienka poszła do Ogrójca,
Napadła (2) świętego Jana.
„O Janie, a mój Janie,
Nadałeś mi smutku i żałości!
A ten smutek przysięgać będzie,
Na wiek wieków z nami będzie."
—„Najświętsza Panienko, gdzież idziesz?"
„Do tych, co rano śniadają,
Co krzywo przysięgają."
—„Najświętsza Panienko, odpuść im."—
„Nie odpuszczę, aż pójdą po cierniu kolącym,
Po kamieniu gorącym".
Przybądź na ratunek Święty Ojcze Antoni,
Niech przed Bogiem Twoja prośba broni.
I niech z Bogiem, z Duchem w niebie,
Mam przy sobie Ciebie,
Aż na wieki wieków. Amen.

(1) Cztery te wiersze są waryantem téjże pieśni. (2) Zastała tam.

2. DRUGA MODLITWA PORANNA.

(W piątek i w niedzielę śpiewywana).

Przed świtaniem kurzy (1) pieli,
Usłyszeli Matkę Bożą;
A ona szła rajską drogą,
Niesła księgi na lewicy,
A Jezusa po prawicy.
Napotkała Ewanieliją:
„Gdzie to idziesz Panno Maryo?"
—„Do kościoła na jutrznią,
Z jutrzni na ranną mszą,
Z rannéj mszy na wielką."

Kto tę modlitwę będzie mówił w piątek do kośnicy, w niedzielę do rannéj mszy, nie będzie ten w piekle gorzał, ani w wodzie tonął. Amen.

3. MODLITWA WIECZORNA.

Idę ja spać,
Nie mam sobie co posłać,
Pościelę sobie świętą Anielę (2),
Swiętym się krzyżem odzieję.
Ciebie się czarcie nie boję,
Pójdę pod Bożą mękę,
Wezmę sekwię (3) w rękę.
Tyś moja obrona
Z ciężkiego kamienia.
Ustąpcie wszyscy źli
Z cztérech kątów, piąte drzwi.
Będzie tu Najświętsza Panna nocowała
Z anielami, dziewicami.
Otworzył się nowy grób,
Wejrzał na mnie sam miły Bóg:
„Czego pożądasz grzeszny człowiecze?"
—„Pożądam lekkiego skonania,
A po śmierci dusznego zbawienia."
Przybądź na ratunek święty ojcze Antoni (4).

(1) Koguty. (2) Ewangelią. (3) Relikwie. (4) Następuje takież same co w powyższéj modlitwie zakończenie (kto tę modlitwę będzie mówił i t. d.).

4. DRUGA MODLITWA WIECZORNA.

Idę ja spać,
Nie może mi się nic złego stać.
Pan Jezus mię chrzci.
Najświętsza Panienka miłowała,
Święta Anna wianki zmiatała.
Moja Panno wierna mocy,
A strzeżże mię do północy,
Matka Boska do świtania,
A Pan Jezus do skonania. Amen.

5. TRZECIA MODLITWA WIECZORNA.

Święty Antoni, kochany patrunie,
Ty Pana Jezusa najmilszy piastunie,
O piastuj, proszę cię, grzeszną duszę moją,
Którą Ci oddaję pod opiekę Twoją.
Jezus mój drogi stoisz przy drodze,
Rozpięty srodze.
Przy śmierci mojéj
Strzeż duszy mojéj,
Strzeż mię do końca,
Bądź mi obrońca.
Bądź w pogotowiu
W mojemu zdrowiu.
Kto się zasadzi (1),
Zły człek nie wadzi,
Jest anioł ze mną
I stróż przedemną.
Cześć Bogu, chwała na wysokości!
O Jezu mój najukochańszy,
O kwiatyszku najśliczniejszy,
Oblubieńcze mój kochany,
Nadareście (2) spodobany!
Nie opuszczaj służebnice,
Wez odemnie moje serce,
Abym Cię miłowała,
Z tobą wiecznie królowała.
Mieszkał tu sam Pan Bóg święty,
Z wszystkiemi świętymi
Aniołami Bożymi. Amen.

(1) Czatuje na mnie, (2) Bardzo, nader, wielce.

6. MODLITWA DO Św. ANIOŁA STRÓŻA.

Mój Jezu najslodszy!
Spij ze mną we dnie i w nocy,
Kiedy spisz, duszyczka moja czuje,
Serce się raduje.
Aniele Boży Stróżu!
Odstąp czarcie przeklęty,
Bo tu mieszka anioł święty.
Aniele święty, kochanie moje,
Tobie ci się oddaję
Pod opiekę Twoją,
Żebyś mię strzegł, rządził, bronił,
I do żywota wiecznego doprowadził. Amen.

7. MODLITWA O USKROMIENIE (1).

Najświętsza Panienka synka miała,
Do kościołka z Nim bieżała.
Do kościołka na ranną mszą,
A z rannéj mszy na wielką mszą,
A z wielkiéj mszy na nieszpory,
A z nieszporów do Bożego stołu.
A ten stół pozłacany,
Sam Pan Jezus siedział na nim.
Żebyś mi dał Boże z téj główki uskromienie.
Pietrze, Pawle, bieżcie powiadajcie
Malemu, dużemu,
Kto tę modlitwę będzie mówił w piątek i w niedzielę, będą mu sie rajskie wrota rozpierały, a piekielne zamykały aż na wieki wieków. Amen.

8. MODLITWA DO Św. BARBARY.

Swięta Barbaro, perło Jezusowa.
Któraś grzesznica do nieba gotowa,
Przybądź konającemu,
Do śmierci smutnemu.
O Jezu, Jezu, Tyś nadzieja moja,
O wieszże dobrze, że ja sługa Twoja.
Służę ci, służę, służyć obiecuję,
Na tym tu świecie z Tobą rezentuję (2).

(1) Niezrozumiały mi wyraz. (2) Rezyduję, mieszkam.

Światło miłości,
Światło przebiegłości.
Jak ci moja dusza będzie z ciała wychodziła,
Proście, Michale, żeby nie zbłądziła.
Michale Archaniele, nie podajcie jéj ta
Na czartowskie płomienie.
Kiedy sam Pan Jezus na prawicy siędzie,
Czarci ustąpcie, bo nie o was rada (1).
Czarci ustąpili, zawołali „biada!"
O sędzio sprawiedliwy!
Narodził się Jezus u Matki świętosciwéj.
O Matko świętościwa,
Jeszczem ci takiéj męki nie widziała,
Jak ją teraz widzę.
Do krzyża przybitego,
Octem, żółcią napojonego!
A cóż to ta w mojém sercu czuję,
Że kapłan Pana Jezuska piastuje.
Piastujże, piastuj aż na wieki wieków. Amen.

Kto tę modlitwę będzie odmawiał trzy razy na dzień do świętéj Barbary, nie będzie umierał przez (2) jéj ofiary.

9. POWITANIE MIESIĄCA NA NOWIU (3).

Witam cię witam miesiącu,
Niebieski dziedzicu.
Tobie światło, z gwiazd korona,
A mnie zdrowie i fortuna.
Witam cię, witam miesiącu nowy,
Żeby nas nie bolały głowy.
Zdrowaś Marya i t. d.

(1) Bo nie nad wami Bóg swą pieczę rozciąga.
(2) Bez. (3) Bardzo stara pieśń, zabobon ludu wiernie wyrażająca.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Piotr Medyceusz, opera księcia Poniatowskiego.—Pokusa, pięcio-aktowy dramat Feuillet'a.—Gladyatory, Nisarda.— Sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Akademii Nauk.—Kurs literatury Filareta Chasles i Kurs ekonomii politycznéj pana Baudrillart.—Wiadomości literackie.

Wbrew powszechnie przyjętéj zasadzie, zaczynamy to sprawozdanie od rzeczy lekkich, cięższe zaś w dalszym wypowiemy ciągu, mniemając, że taki układ przedmiotów lepszy w naszéj Warszawie, gdzie (jak mówią redaktorowie gazet) publiczność woli łakotki niż bulion. Kto wié, czy odwróciwszy tak porządek półmisków strawy duchowéj, nie możnaby snadniéj przynęcić czytelników do książki, niż prawiąc im *ex abrupto* morały? Wszakże doktorowie od wieków gorzkie leki w cukrowanych zadają pigułkach; rybacy ryby na smaczne łowią robaczki; ptasznicy płoche ptaszki na złote biorą proso; każdy wié, że drugiego uśmiechem nie dyscypliną sobie przyswoi: sami tylko moraliści chcą nudami wabić słuchaczy i dziwią się, że się muchy na ocet nie łapią.

Najciężéj zacząć, pójdzie się daléj, mówi przysłowie polskie, a francuzkie również ze znajomości ludzkiéj natury wysnute, twierdzi, że piérwszy krok tylko kosztuje; po cóż więc mając tak mądre przepisy, umyślnie utrudniać początki?

Wszystko to zważywszy, chociażby nawet poważni czytelnicy *Biblioteki* o lekkomyślność obwinić mieli korrespondenta, zaczynam od deseru—i lekkim faetonem

wyobraźni wyścigając ciężką karocę nauki, biorę za uwerturę, huczną operę księcia Poniatowskiego.

Piotr Medyceusz narobił temi czasy w Paryżu wiele hałasu: dzieła bowiem wszystkich mitrowych autorów mają tę właściwość, że ciągną sto razy dłuższy ogon wielbicieli jak inne tejże wartości utwory, gdzieś w zimnéj mansardzie poczęte. Porównywano Poniatowskiego kolejno do Mercadanta, Cimarosy, Hajdna i Mozarta; byli i tacy, co go nierównie wyżéj od Rossiniego kładli. Nie szukając księciu porównań w siodmém niebie muzyki, ani pomiędzy bożkami melodyi, kolegów— przyznać musimy, że jak na księcia dyletanta, dość piękną ułożył muzykę. W uwerturze prostych zarysów, jak głuchy odgłos dalekiego grzmotu przebiegają późniéj rozwinięte motywa. Introdukcye niektórych oper Meyerbeera, przeładowane posępnemi ozdobami, podobne są do gotyckich przedsionków; pogodna *Introdukcya Medyceusza* ma wykwintny kształt włoskiego perystylu.

Nie odłączając słów od muzyki, przystępuję do rozbioru partycyi, poemat i dekoracye posłużą mi do oznaczenia jéj konturów.

Podnosząca się kurtyna odsłania pałac Medyceuszów w Pizie: świątecznie ubrany jego taras, podpiera rzęd kolumn korynckich. Wspaniały orszak wypełnia te bogate ramy: senatorowie w ponsowych sukniach, duchowieństwo, gwardya w złotych kirysach, pazie, lud i wojsko ciągną processyonalnie na powitanie Piotra Medyceusza, który łaskawie przybył odwiedzić Pizę. Niebawem wchodzi na scenę książe z wielkim inkwizytorem, Fra Antonio, ubranym w biały dominikański habit. Brat księcia Julian, zamieszkały w Pizie, oddaje monarsze klucze miasta. Piotr zadowolony przyjęciem, a bardziéj jeszcze widokiem pięknych dziewic, które się doń uśmiechają, śpiewa od niechcenia ładną epikurejską piosneczkę, kończącą się tą, parę razy powracającą zwrotką:

„Pour fleurons de ma couronne,
„J'ai pris les roses du plaisir."

Podczas śpiewu księcia przybywa Laura Salviati, siostrzenica wielkiego inkwizytora. Zakochany w niéj Julian zazdrosném okiem patrzy na przyjęcie, jakiém ją

brat Piotr zaszczyca; Fra Antonio przeciwnie, z wrażenia, jakie wdzięki Laury na panującym wywarły, buduje już rusztowanie przyszłéj swéj potęgi. Miłość dwojga kochanków, namiętność księcia i ambicya mnicha stopione w jeden kwartet, stanowią piérwszy wybitny ustęp sztuki.

Piotr zostawszy sam na sam z inkwizytorem, prosi go o rękę siostrzenicy. Antonio z układną pokorą, niby przez uległość tylko, poddaje się woli monarchy i śpiéwa charakterystyczną aryą: „Najwyższém prawem naszéj reguły, było zawsze posłuszeństwo." Pieśń ta, mogąca służyć za *pendant* do cavatiny Bazylego w *Cyrulíku*, rozłamuje się na duet: tenorowa nuta zakochanego księcia, haftując złote arabeski, odbija jak promień słońca na ciemném tle mniszego basu.

Po téj scenie zmieniona dekoracya przedstawia pokój Laury, pełen wykwintnych cacek i pokus czarownych. Piękna pani oczekując kochanka kwili miłośnie, a grono niewiast u nóg jéj skupione, szczebioce, niby gniazdo ptasząt do różanéj jutrzenki. W tym przybytku rozkoszy, Julian oznajmia Laurze zamiary Piotra, maluje jego namiętne zapały i proponuje ucieczkę. Duet złożony z dziewiczych skrupułów i zazdrości młodzieńca, dwóch uczuć sprzecznych, które harmonijnie z sobą walczą, zamyka akt piérwszy.

Akt drugi przenosi nas do książęcego ogrodu. W głębi widać szerokie schody marmurowe; we środku wodotrysk przezroczystą kaskadą osłania posąg *Trzech Gracyi*. Książe przybywa z orszakiem, i zaczyna się sławny balet *les Amours de Diane et d'Endymion*. Tańce, ułożone wedle starych weneckich tradycyj, mogą dać wyobrażenie o mitologicznych pantominach, któremi bawiono się na dworach włoskich za świetnych czasów odrodzenia.

Najprzód wbiega girlanda pasterek spłoszonych pogonią bożka— Pana; za niemi wchodzi z nimfami Dyana, niepokojona znów psotami Amora, który jéj się sprzeciwia; skrzydlaty Kupido, odpędzany przez nimfy, kręci się wciąż koło niéj i mierzy w serce bogini, aż nakoniec zatyka w niém strzałę. Wtedy czysta bogini zranione swe serce oddaje Endymionowi. Spostrzegłszy to Pan, przybiega rozgniewany i zabija śmiertelnika, który śmiał roz-

gościć się w jego seraju. Wenus oburzona tak wielką zbrodnią wychodzi z muszli, z któréj tym miłosnym turniejom się przypatrywała, i wskrzesza pasterza, a Pana za karę w posąg marmurowy zmienia.

Przybycie mnicha zakłóca wesołą zabawę: gra on w całéj sztuce rolę stracha w prześciéradle. Tą razą przychodzi oznajmić księciu, że Laura i Julian kochają się bez jego pozwolenia. Piotr chcąc pozbyć się rywala, namawia brata, żeby przewodniczył flocie odpływającéj walczyć z Saracenami. Ale brat odrzuca świetne propozycye: książe się sroży, Laura rozpacza, ksiądz się złości a tymczasem w tym czarnym lesie wzburzonych namiętności, zapala się *luminara*, uroczystość świetlana, która tém jest dla Pizy, czém dla Kantonu *święto latarek*. Co trzy lata starożytne miasto illuminuje na cześć swego patrona świętego Reniera. Za danym znakiem, brzegi Arnu brukują się lampami, a budynki pałają niby drogie klejnoty: tu pałac *Duków* rysuje swe fosforem obznaczone kolumny; tam czarna wieża Ugolina nagle uwydatniona, sterczy, straszna jak paszcza szatańska; na środku rzeki, niby nenufara obsiadła rojem świętojańskich robaczków, jaśnieje biała kaplica *Santa Maria della Spina*. Cudna ta dekoracya kończy akt drugi.

Podniesiona trzeci raz zasłona, odkrywa rybacką chatę. Laura czekając na barkarollę, która ma ją uwiadomić o przybyciu kochanka, śpiéwa modlitwę do Madonny. Niespodziana wizyta Piotra i inkwizytora, wytrąca pannę z pobożnego zachwytu. Następuje scena pokusy: książe chce olśnić dziewczynę blaskiem korony; mnich potrząsa czarnym welonem, który, jak całun, świat jéj zasłoni na wieki, jeżeli rękę księcia odrzuci.

Przyciśnięta tak z dwóch stron Laura, z początku nie pewnym śpiéwa głosem: jęczy, płacze, oburza się i unosi; aż dobiega do egzaltowanego tonu ofiary i męczeństwa. Wtém, słychać za sceną barkarollę, umówiony sygnał miłosny... Darmo wabisz słowiku! już jastrząb porwał twą miłą!— Na skinienie inkwizytora, wchodzi processya mniszek i zabiera Laurę, która w ich ręku drży jak wystraszona przez nietoperze gołębica.

Następuje zmiana dekoracyj: widać *Campo-Santo*, posrebrzone światłem księżyca; czarne cyprysy kołyszą się nad białemi pomnikami. Julian przychodzi modlić się na grobie matki; po modlitwie intonuje hymn powstańczy, rodzaj *Marsellery*, na którą poblizkie organyodpowiadają psalmem umarłych. Scena ta przypomina manierę Danta, kiedy jęki potępieńców muzyką religijną tłumi.

Powstanie rozpoczyna akt czwarty. Piotr ranny godzi się z bratem i pozwala mu się żenić z Laurą. Finał odbywa się w klasztorze. Teatr przedstawia wnętrze klasztornego kościoła; tu obraz smutniejszy niż zakopanie westalki, uderza oczy: processya mniszek krąży pod arkadami; Laura ubrana jak do ślubu, napół martwa, stąpa w posępnym orszaku, którego śpiew monotonny wielbi spokój więzienia. Ofiara od czasu do czasu łkaniem przerywa hymny; rozdzierającym głosem przemawia przez nią młodość, wzdrygająca się na myśl wieczystéj samotności. Widząc jéj rozpacz inkwizytor się zbliża i jeszcze raz złamanéj męża ofiaruje: ona odrzuca; więc przekląwszy jéj upór, każe chórom śpiewać *Dies irae*... Wtedy wieniec zakonnic, jak śmiertelny węzeł, zaciska się około skazanéj, i grobową nutą do snu wiecznego ją kołysze....

Julian i Piotr przybywają za późno; Laura już wykonała śluby... ale nie płaczcie nad nią tkliwi czytelnicy: dwaj Medyceusze są braćmi papieża Leona Xgo, więc dyspensę uzyskają niezawodnie.

Ostatnia ta scena bardzo efektowna, sprowadziła księciu Poniatowskiemu owacyą, którejby mu sam Mozart pozazdrościł.

— *Pokusa*, pięcio-aktowa sztuka Feuilleta, znalazła uprzejme przyjęcie w Vaudevillu. Pan Feuillet, jak Teniers, celuje w malowaniu pokus: umié on zauważać mnóstwo drobiazgów, z których złożone szczęście lub niedola małżonków, i te w salonowy sposób delikatnym pastelem cieniuje na atłasie. Wszystkie te obrazki są receptami na leczenie rozmaitego rodzaju anewryzmów, zakłócających spokój domowy. *Pokusa*, przedstawiająca znowu jednę z takich cudownych kuracyj, przyjętą została dobrze, bo taki przedmiot się nie starzeje, zawsze trafia

do serc niewieścich i porusza je, jako wspomnienie lub przepowiednia.

Niegdyś, pokutnicy, swego najgwałtowniejszego na pustyni kusiciela, zwali *demonem południowym;* pan Feuillet także jest zdania, że pokusa, jawiąca się w trzydziestym roku, owém południu życia, jest najniebezpieczniejszą. Pokazuje się ona znudzonéj lub opuszczonéj kobiécie w niepewnym kształcie, ogarnia ją i roznieca w jéj sercu palący płomień ciekawości. Potém, ze szczytu góry, z któréj ma schodzić, pokazuje jéj królestwo złego ducha, oświecone magiczném światłem: szalone biesiady, nieznane rozkosze, niespodzianki i szały, roją się jak mrowisko na tym szerokim przestworze. Wielka pani, co zna tylko banalną rutynę wielkiego świata, naraz uczuwa chęć poznania namiętności. Spiesz się! woła pokusa, za parę lat już będzie zapóźno, nie zechce cię namiętność, i zejdziesz z tego świata nie wtajemniczona w jéj moce. Kobieta słucha, zrywa się i bieży za piekielną swą przewodnicą. Świat nizki jak przepaść, sprawia zawrót głowy nachylonéj nad nim arystokratycznéj piękności, która się nudzi w swém złotém niebie, ogrodzoném herbowemi tarczami. Wysoko urodzone anioły, zdaniem Feuilleta, najuporczywiéj nad zgubą swą pracują; jest odwaga w ich postanowieniu a rozpęd w upadku: jak amazonki w ogień, tak one pędzą do skandalu.

Ale, jeżeli pokusa częste i łatwe odnosi zwycięztwa w salonach, bywa téż czasami na głowę zbita. Niektóre kobiety walczą z nią z kornelijską energią i przechodzą niepokalane zwrotnikowy pas lat trzydziestu.

Jedną z takich maluje Feuillet w swéj ostatniéj sztuce: bohatérka *Pokusy* daje dobry przykład amazonkom walczącym pod chorągwią obowiązku.

— Od amazonek do *Gladyatorów* tylko krok.

Ostatnie dzieło Nisarda jest zajmującą fotografią namiętności, jakie w dziedzinie literatury i sztuki niegdyś grasowały. Nawet otrzaskany z brutalstwem Veuillota czytelnik, zdumiewa się przeglądając zestawione przez Nisarda próbki polemiki średniowiecznéj, i jakby nie ostrzelany rekrut drży przed pociskami pióra, które

umaczane w żółci pyszałka, zjadliwsze bywa od zatrutéj strzały dzikiego Indyanina.

Dla tegoto zapewne podobieństwa do dzikich zapaśników, Nisard włoskich pisarzy średniowiecznych do gladyatorów porównał, a książkę w któréj o nich mówi, zatytułował: „*Les Gladiateurs de la République des Lettres aux quinzième, seizième et dix-septième Siècles*".

Radzibyśmy zacząć rozbiór téj książki od pocieszającéj uwagi, iż opisywana przez Nisarda epoka literackich zatebków przeminęła niepowrotnie; że za naszych czasów ludzie pióra umieją siebie w drugich a drugich w sobie szanować, i od mętów wzburzonéj żółci uwalniać się inaczéj, jak wylewając je na głowę bliźniego; ale niestety, zbyt częste przykłady w żywe oczy kłamstwoby nam zadały: dlatego, bez téj miłéj przedmowy przystępujemy wprost do średniowiecznych gladyatorów.

Smutny to, a nawet gorszący widok, kiedy umysł wyższy, bogato od Stwórcy uposażony, obraca te święte siły na służenie namiętnościom własnym, lub obronę ciasnego stronnictwa; kiedy człowiek niepospolitych zdolności, cały złoty kapitał zdrowego rozsądku zmienia na fałszywą monetę doktryny i chce za nią kupić szatanowi wszystkie proste duszyczki, dające się łatwo oszołomić krętą wymową tych, co wedle przykazań Machiawella używają jéj, jak zasłony do pokrywania myśli, lub maczugi do zabijania przeciwnika.

Widok taki w pełni swéj brzydoty przedstawiali włoscy pisarze średniowieczni: Filelfo, Poggio, Valla, Scaliger, Scioppius, Garasse i inni, których dzieła w książce swéj rozbiera Nisard.

Jedną z najsławniejszych w téj wojnie była walka Filelfa z Poggim. Filelfo świetny professor w Padwie, późniéj ambasador wenecki w Konstantynopolu, po kilkoletniéj nieobecności powróciwszy ze Wschodu, zastał ojczyznę w opłakanym stanie: Wenecya walczyła z zarazą; zbuntowana Bolonia z oblegającym ją papieżem. Filelfo schronił się więc do Florencyi, gdzie zastał uprzejmie przyjęty przez Medyceuszów. Ale Florencya nie była także wówczas wolna od wojny domowéj: szlachta walczyła z książętami. Filelfo stanął po stronie

szlachty i wydał wojnę popieranym przez lud Medyceuszom.

Niewdzięczność stała się tedy zamówką do walki, którą wydali Wenecyaninowi toskańscy literaci, zdawna na jego talent zézem patrzący. Poczęto od wyszydzania go ustnego na książęcych pokojach. Filelfo na uszczypliwe żarty odpowiedział satyrami, które ściągnęły nań grad odpowiedzi a nawet policzków; szpada i sztylet następnie były w robocie. Odbywszy parę pojedynków, Filelfo przysiągł napisać przeciwko swym wrogom sto satyr, po sto wierszy każda i dotrzymał słowa: napisał je i wydał razem pod tytułem *Hecatosticha*. Dzieło składa się z 10,000 wierszy.

Mocne przejęcie się Martial'em, Petronem i najrozwiozlejszymi pisarzami starożytności, oswoiło autorów odrodzenia z najnieczystszemi obrazami; nie było dla nich zbyt brudnego porównania, ani zbyt grubego przydomku: im grubszy, tém lepszy, im obrzydliwszy, tém go chętniéj rzucali na głowę przeciwnika. Skutkiem bezwstydnego nadużycia słowa, gust publiczności tak się popsuł, że te wszystkie podłące naszczekiwania uważane były przez ówczesne społeczeństwo za dowcipne żarciki, niewinne figle, którym łacina nadawała zawsze pewną powagę. Nisard tém tłumaczy szacunek, którego mimo wzajemnego obrzucania się błotem, używali owi pisarze we Florencyi.

Gladyatorowie literaccy zadawali sobie wzajemnie mniéj więcéj śmiertelne razy: im cios lepiéj był wymierzony, tém tłum na galeryi mocniéj przyklaskiwał walczącym; błąd wymowy, lub niezręczne wyrażenie daleko więcéj byłoby zaszkodziło gladyatorom w opinii widzów, niż bezeceństwa moralne, jakie sobie wyrzucali: te owszem mocno bawiły publiczność. Kolejno tedy autorowie mieszali w swe prywatne życie wszystkie cudzołoztwa i kazirodztwa mitologiczne, i podobni do olimpijskich bożków w karczmie, pysznili się z tych klassycznych reminiscencyj, tak dobrze do okoliczności przystosowanych.

Jesteśmy w prawdziwym kłopocie, chcąc tu przepolszczyć choćby najniewinniejszy ustęp z owych satyr,

z których Nisard tom swój, jak jaskółcze gniazdo ulepił; wybieramy najczystszy: z niego czytelnik poweźmie wyobrażenie, czém są inne. Oto jakiemi słowy Filelfo zaczyna swą polemikę z Poggim:

„Czemuż nie wyrwą ci tego ozora, który nieustannie cenzuruje i szarpie uczciwych ludzi? Błaźnie, powiedz, kto cię wyuczył sztuki potwarczéj? Czyto ten cymbał, waryat Niccoli pożycza ci swego żądła? Wszystkich, których dekoruje cnota, ty atakujesz piórem, nie mogąc językiem ścierplym od opilstwa. Co za przyjemność masz w tém? Podczas kiedy dzień i noc spity jesteś oceanem wina, kiedy twój wielki brzuch, podobny do bezdennéj otchłani, połyka wszystko co żyje w wodzie, w powietrzu i na ziemi, ty wściekasz się, jak cię kto dotknie; a jednak, podły pijaku, sam szkalujesz drugich nieustannie. Czemuż, głupcze, nie włożysz przynajmniéj maski jakiéj cnoty, na któréj ci zbywa, uczciwości naprzykład" i t. d.

Wszystko to Filelfo pisze wierszami. Poggio na to odpowiada mu prozą:

„Z głębokim żalem czytałem, nie satyrę twoją brudną, ale *wymioty* (wyraz ten dotąd w krytyce rzymskiéj używany), któreś w rymowéj formie, będącéj wiernym obrazem twéj duszy, wyrzucił z ust swych nieczystych przeciwko mnie i Niccolemu. Opłakiwałem, iżeś do tyla rozum postradał, że śmiesz wyrzucać drugim własne zepsucie i kłaść w uszy czytelników rzeczy, którychby ostatni łotr nie śmiał powiedzieć bez zarumienienia, ale któremiś ty potwarco słownik obelg zbogacił. Gdybyś nie był najbrudniejszym z ludzi, nie lazłbyś jak wieprz w błoto najobrzydliwszych wyrażeń. Nowy satyrze, jak satyr niewonny, posunąłeś do ostatnich krańców cynizm języka! Z piętnem tak ohydném na czole, wyobrażasz sobie, że się kto zlęknie twych brudnych wierszy, że przed nawozowym odorem twych satyr uciekniemy? Nie bój się! oddamy ci piękne za nadobne"! (è sempre con passione crescente).

W ten sposób odpowiedziawszy zapaśnikowi swojemu, Poggio rzuca się na matkę Filelfa; potém żonę jego od czci i wiary odsądza. Filelfo dowiedziawszy

się znowu, że Poggio ma się żenić, odpowiada mu dyssekcyą jego osoby, mającą na celu obrzydzenie go narzeczonéj.

Tego rodzaju figlami pobawiwszy się przez lat parę, gladyatorowie literaccy godzą się z sobą i żyją w serdecznej przyjaźni, a co dziwniejsza, są przyjmowani na dworze i wszędzie z otwartemi rękami.

Rzecz jasna, że literackie zdolności zastępowały wówczas zupełnie (jak dziś jeszcze po części) charakter i moralność; byle po łacinie, wszystko przełknąć było można: nawet prośba o głowę brata w łacińskim języku napisana, nie była uważana za zbrodnią. „Medyceusze, powiada Nisard, zbyt byli literatami, żeby się mieli gorszyć taką drobnostką".

Poggio, chociaż pisarz papiezki, napisał parę tomów *facecyj* czy powiastek, przy których anegdoty Areciana i Boccacia, jak sielanki wyglądają. Nisard przytacza kilka bardzo dowcipnych. Najważniejszy atoli tytuł Poggia do wdzięczności uczonych stanowią odkryte przez niego starożytne rękopisma, pomiędzy innemi dwanaście komedyj Plauta. Co do jego własnéj łaciny, ta często bywała celem żartów i niepochlebnych uwag. Valla, surowy grammatyk, najostrzéj go krytykował, co dało powód do bezecnéj polemiki: satyry Filelfa są wodą różanną obok utworów spłodzonych w téj grammatycznéj dyspucie.

Nisard opowiada także szczegółowo kłótnią Scaliger'a z Erazmem, wybuchłą z powodu, iż ten ostatni śmiał powstawać na Cycerona, a raczéj na szkołę Cycerońską. „Czytając, mówi Nisard, obelgi, jakie przeciwnik miota na głowę Cycerońskiego krytyka, człek mimowoli wyszukuje mu innych zbrodni: chwilami mniema, iż ów Erazm był zbójem, wodzem Wizygotów lub Ostrogotów, który poprzysiągł zagładę nauk i sztuki, ślubował podłożyć ogień pod wszystkie biblioteki".

Wspomniawszy, że całą zbrodnią Erazma była chęć wprowadzenia drobnych reform do nauki krasomówstwa, niepodobna wstrzymać się od śmiechu, czytając szereg przydomków, od których Scaliger naganę Erazma za-

czyna: „O potworo! O zbrodniarzu! O pijaku! O kacie! O ojcobójco! O koźle"! i t. d.

Kacper Scioppius wydał jeszcze zaciętszą wojnę niektórym panującym monarchom. Historya tego gladyatora ciekawa. Przeszedłszy z religii protestanckiéj na katolicką, z gorliwością neofity dowodził w dziełach swoich, że Henryk IV król francuzki i Jakób król angielski byli plagami ludzkości, potworami, które Bóg w gniewie na ten świat zesłał niby szarańczę lub morowe powietrze. Wielbi Ravaillac'a za to, iż uwolnił ziemię od takiego smoka; sam zaś o sobie powiada, iż jest promotorem trzydziestoletniéj wojny i domaga się zupełnego wytępienia heretyków.

Scioppius jest najoryginalniejszą figurą z czasów owych pedanckich a dzikich kontrowersów. Równie jak Filelfo i wszyscy koledzy, ciało miał skłute szpadą, bo to już była nieunikniona niedogodność rzemiosła, wyróżniał się atoli od nich wstrzemięźliwością żołądkową, która w części każe przebaczyć mu niewstrzemięźliwość języka. Ażeby czytać *bezpiecznie* wszystko, co starożytni napisali o miłości, Scioppius najsurowszym poddawał się postom: garść ryżu, parę liści kapusty lub jeden kartofel wystarczał mu na całodzienne pożywienie. Wątpię, czy który kardynał z taką, jak on hygieną przystępował do czytania Owidyusza, Horacego, Tibulla, Propersa i im podobnych autorów.

Książka Nisarda ulepiona z polemicznego błota, ma tę wielką zasługę, iż może złagodzić wściekliznę literacką i zachęcić do wstrzemięźliwości stylu. Kto ma chętkę się czubić, niech lepiéj wyzwie i zmierzy się z przeciwnikiem, a nie kąsa go jadowitemi okresami, zasłoniwszy sobie piersi stolikiem. Teraz kiedy nie piszemy już po łacinie, zatém wszystko co napisane, każdy rozumie, literaci powinniby wziąć sobie za przykazanie: nie pisz tego, czegobyś w oczy powiedzieć nie śmiał. Lektura „*Gladyatorów*" bardzo do przyjęcia powyższéj zasady usposabia, i to jest, powtarzamy, najważniejsza zaleta ostatniego dzieła Nisarda.

Jeden z artykułów ustawy *Instytutu Francuzkiego*, przepisuje, iż sekretarz akademii nauk jest obowiązany napisać co rok raport z postępu dokonanego w rozmaitych gałęziach nauki przez ubiegłych dni 365 i takowy na publiczném posiedzeniu głośno odczytać. Artykuł ten pozostał dotąd prawie literą martwą. Raport Cuvier'a *O postępie nauk fizycznych*, ogłoszony w roku 1810, sam jeden odpowiedział godnie żądaniu pierwszego konsula. A jednak, jakże ważne dla historyi nauki byłyby takie raporta, w których Cuviery, Aragowie i Flourensy podawaliby światu coroczny wynik swych poszukiwań. Taki *Message* scyentyficzny byłby podobno najciekawszy z wszystkich messażów. Cóżkolwiekbądź, czyto brakiem zdolności czy ochoty, doroczne posiedzenia Akademii Nauk, nie mają takiego ogólnego sprawozdania, a ograniczając się na czytaniu niepowiązanych ułamków prac scyentyficznych, nie odpowiadają ani swemu zadaniu, ani oczekiwaniu powszechności.

Wszyscy reprezentanci nauki i ludzie, których postęp umysłowy obchodzi, przybywają zawsze na te posiedzenia do Instytutu, w nadziei dowiedzenia się ważnych dla rozumu rzeczy i zawsze z nowém podziwieniem słyszą, jak jeden sekretarz wieczysty z bankierską lakonicznością wymienia rozdane nagrody, a drugi czyta niemniéj suchą biografią jakiegoś zmarłego akademika. Takie posiedzenia są istném żartowaniem sobie z publiczności. Jeżeli, jak słychać, cesarz Napoleon ma się zająć reorganizacyą Akademii Nauk, powinienby zacząć od polecenia jéj ścisłego pełnienia rozporządzeń swéj pierwotnéj ustawy.

Zanim to nastąpi, zdajemy sprawę z ostatniego dorocznego posiedzenia akademii nauk, odbytego wedle uproszczonego programu, jakiego trzymać się zwykła.

Skoro prezes pan Sénarmont zagaił posiedzenie, jeden z wieczystych sekretarzy, Elie de Beaumont odczytał raporta komissyj wyznaczonych do rozdawania nagród. Treść tych raportów następująca:

Nagroda astronomii. W ciągu roku 1859 astronomowie francuzcy odkryli jednę tylko planetę *Mnemozynę*. Dostrzegł ją 22 września 1859 r. Robert Luters;

jest ona pięćdziesiątą siódmą w grupie planet teleskopowych, znajdujących się pomiędzy *Marsem* i *Jowiszem*, a ósmą z rzędu, wynalazku tegoż obserwatora. Nagroda astronomiczna Lalanda za rok 1859 została przyznaną panu Luters.

Nagroda mechaniki. Najważniejszy wynalazek w użyciu mechanicznem pary, dokonał roku 1859 pan Giffard, mechanik znany już z kilku poprzednich pomysłów. Wynalazł on teraz tak zwany *injecteur automatique*, przyrząd zastępujący skutecznie pompy *żywiące* (pompes alimentaires) na lokomotywach. Za pomocą jego narzędzia kotły parowe podsycają się same swoją własną parą, która zmieniona w płyn, napowrót do nich ścieka. Za ten praktyczny wynalazek pan Giffard otrzymał od akademii nagrodę *mechaniki* Montyona.

Nagroda statystyki. Raport komissarzy akademickich zawiera długie szczegóły o memoryale pana Duffaud, inżyniera dróg i mostów z departamentu de la Vienne, który daje wykazy autentyczne cen zboża w Poitiers, *przez trzy wieki*, bez przerwy. Sprawozdawca oświadczył, iż nie jest w możności ręczyć za wywody i porównania, objęte obszerną tą pracą; Akademia nagradza tylko całość długich i trudnych poszukiwań, które dostarczyły *faktów* dla statystyki najważniejszych.

Zaszczytna wzmianka w dziale statystycznym została przyznana panu Reboul Deneyrol za dzieło pod tytułem: „*Paupérisme et bienfaisance dans le Bas-Rhin*".

Nagroda sztuk niewyzwolonych, nie została przysądzoną. Dano tylko 1,000 franków zachęty lampiście z Marsylii panu Guigardet, wynalazcy lampy, przeznaczonéj do świecenia robotnikom, pracującym w głębi wody. Lampa ta podwodna ma kształt cylindryczny: ulana z grubego kryształu, wisi pomiędzy dwoma blaszannemi rewerberami; naczynie napełnione mieszaniną alkoholu z terpentyną, stoi w środku; powietrze dochodzi do knota dwoma rurami żelaznemi, wychodzącemi na powierzchnią wody: podobnyż komin jest osadzony nad ogniskiem do wypuszczania spalonego powietrza. Lampa, o któréj mowa, była używaną przy budowie mostu w Kehl: zagłębiona na 20 metrów pod wodę,

funkcyonowała dobrze. Równie pożądane oddała przysługi w poszukiwaniach okrętu rozbitego w okolicy Brestu. Używszy w bassenie Chaillot latarni Guigardeta, przekonano się, że mocne jéj światło może oświecic nawet głębiny wody mętnéj, na promień półtrzecia metra wokoło.

Nagroda Frémont'a. Baron Frémont zapisał Akademii roczny dochód 1,000 fr., jako zapomogę dla „uczonego inżyniera, artysty lub mechanika, któryby potrzebował wsparcia celem dokonania użytecznéj dla Francyi pracy". Akademia uznała za stosowne zatrzymać tę zapomogę przez dwa lata jeszcze dla pana Ruhm-Korff, pracującego nad nowym przyrządem fizycznym. Francya zawdzięcza już temu uczonemu cudzoziemcowi wyborną maszynę elektryczną, znaną pod jego nazwiskiem.

Nagroda Bordin'a, składa się z 3,000 franków, przeznaczonych przez testatora na nagrodę „pracy przyczyniającéj się do postępu nauki i chwały narodowéj". Powyższą nagrodę, wyznaczoną za zdobycze odniesione na polu naukowém, Akademia ofiarowała temu, kto napisze dzieło pod zadanym przez nią niewdzięcznym tytułem: „*Du Métamorphisme des Rochers*". Dzieło to od trzech lat proponowane, dotąd nie znalazło autora; nagroda więc odkłada się na bok. Na ostatniéj sessyi przysądzono tylko z tego funduszu 2,000 fr. panu Daubreé, professorowi geologii wydziału nauk w Strasburgu, a 1,000 franków zachęty inżynierowi Delesse, którzy poczynili pewne w zadanym przedmiocie odkrycia. Zważywszy atoli brak amatorów do rozwiązywania téj zagadki, Akademia zdecydowała się cofnąć z listy swych poruczeń twardą kwestyą metamorfoz skalnych. Zamiast niéj, zadała na rok przyszły kwestyą botaniczną à savoir: „*Etudier la distribution des Vaisseaux du latex dans les divers organes des plantes*".

Nagroda fizyki eksperymentalnéj została przyznaną panu Pasteur za uwagi nad *fermentacyą alkoholiczną*. Publiczność paryzka z nieukontentowaniem dowiedziała się, że znaczną tę nagrodę Akademia dała za nader podrzędne studyum chemiczne. Ażeby czytelnicy nasi nie sądzili, że nie było komu dać téj nagrody; że w braku

uczonych fizyków Akademia francuzka musiała w pracowniach chemicznych szukać laureatów z fizyki eksperymentalnéj—wymieniamy tu dwa ważne dzieła fizyologiczne, które aczkolwiek zwróciły uwagę akademickich komisarzy, nie zostały uwieńczone. 1. Corvisart'a: „*Recherches sur la digestion*". 2. Ollier'a: „*Recherches sur la formation des Os*". To ostatnie dzieło dostało zaszczytną wzmiankę; ważną pracę Corvisart'a odłożono na rok przyszły.

Nagroda medycyny i chirurgii, ufundowana przez Montyona, została rozbita na drobne cząstki i rozdana doktorom w ilości 1,500 franków. Oto ważniejsze prace, za jakie powyższą kwotę płacono: panu Béhier za *Studyum nad gorączką*; panu Giaud za dzieło *O zasadach mechaniki zwierzęcéj*; panu Marcé za dzieło *O obłąkaniu kobiét ciężarnych, położnic i mamek*; panu Larcher za rozprawę *O hypertrofii normalnéj serca w czasie ciąży*; panu Marc d'Espine za *Szkice analityczne statystyki śmiertelności*; panu Robin za *Dociekania rozmaitych rodzajów ślepoty i t. d.*

Nagroda Joecker'a. Chirurg Joecker, zmarły w Ameryce, zapisał 200,000 franków jako jednorazowe wynagrodzenie za ważne dzieło w przedmiocie chemii organicznéj. Akademia po długich staraniach, otrzymała od spadkobierców Joecker'a upoważnienie nie dawania téj summy odrazu, ale przysądzania od niéj procentów za prace w téjże gałęzi nauki dokonane. Wedle téj zasady, dała teraz z tego funduszu 3000 franków panu Wurtz za studyum o świéżo wykopanych kościach skamieniałych.

Nagroda Breànt, czeka na wynalazcę leczenia cholery—i zapewne długo jeszcze na właściciela swego poczeka.

Po odczytaniu raportu z rozdania nagród, któreśmy tu w treści przytoczyli, pan Flourens odczytał pochwałę Thénard'a, zmarłego w 1858 roku chemika. Mierna ta praca, bez żadnéj naukowéj wartości, nawet na Francuzach żadnego nie sprawiła wrażenia. Flourens odmalował tylko, i to blado, Thénara jako człowieka prywatnego i publicznego: portret uczonego zostaje do zrobienia.

Tylko wysoko uczony chemik zdoła odpowiedzieć, jak należy, temu trudnemu zadaniu. Flourens, chociaż wieczysty sekretarz Akademii Nauk, nie jest przecież wszech-wiednym: na ostatniéj sessyi dowiódł nawet, że kiedy chodzi o ocenienie prac naturalisty, elukubracye jego są nader słabe.

A propos Flourensa, zapisać tu należy pogłoskę literacką nie pośledniéj wagi. Słychać, że do czterdziestu akademickich foteli, na których już tylu nieśmiertelnych wymarło, rząd ma dodać trzydzieści nowych krzeseł kuralnych. Podobno nowi członkowie już są obrani.

Jeżeli to prawda, świéży posiłek doda energii Akademii, a przynajmniéj jéj *Słownikowi*. Majak ten, który tylu już zwiódł podróżnych, takim sposobem mógłby być ukończony około roku Pańskiego 1998, chyba że z dykcyonarzem rzecz się ma jak z dzieckiem, o którém przysłowie mówi, że jak ma wiele nianiek, to kuławe.

Cóżkolwiekbądź, jest rzeczą pewną, że każdy z wzdychających do Akademii przez lat dziesięć aspirantów, nie chcąc być wziętym niespodzianie, pisze już swą przemowę. Ale cóż się stanie, skoro ta odparta armia zdobędzie nareszcie warownię? Dziwne zaprawdę, nastąpią spotkania i koleżeństwa. Jakiémże okiem będzie patrzył na About'a biskup orleański? Co odpowie Viennet Gautiemu, skoro tenże powtórzy swoje przykazania: „Czcić muzy; składać ofiary Wenerze; jeździć na pegazie; pić ze źródeł Hippokreny." i t. d.

Liczba ambitnych, którzy w téj chwili są w drodze do Instytutu, przechodzi cyfry znane. Nie ma człowieka w Paryżu, chociażby autora czwartéj części jedno-aktowego *vaudevillu*, któryby z ręką na sumieniu, nie uznawał się godnym wyboru. Z tego można mieć miarę ilości poruszonych intryg i wybijanych protektorom pokłonów. Korzystając z okazyi, kilku literatów ma wnieść, żeby wpuszczono do Instytutu kobiéty. Jeżeli wniosek przejdzie (co wedle francuzkiego przysłowia niechybnie nastąpi), natenczas ojciec Lacordaire pewnie poda się do dymissyi.

Filaret Chasles rozpoczął prelekcye w kollegium francuzkiém. Wysoka dążność tegorocznych lekcyj, czyni je godniejszemi uwagi od poprzednich. P. Chasles, jak wiadomo, wykłada kurs porównawczy literatury północnéj i południowéj. Wdzięczny ten przedmiot daje mu sposobność dotykania arcydzieł całéj ludzkości, wybierania z nich miejsc najpiękniejszych i zestawiania ich z sobą w sposób zajmujący.

W piérwszéj lekcyi, poświęconéj nowo odkrytym ziemiom Australii, wyspom Pidyi, Marquizom i Oceanidom, pan Chasles wedle relacyi missyonarza Ellis, Dumont d'Urville i Perry, opowiadał obyczaje koczujących mieszkańców tamtych stron. W drugiéj lekcyi, idąc metodycznie za postępem ich cywilizacyi, professor rozbierał znakomite dzieła Jerzego Gray, Wilhelma Swaison i Rienzi, o Nowéj Zelandyi, w których ci autorowie opisują stan moralny, i polityczny tego kraju. Świéże odkrycia Niemca Barth'a zawiodły następnie pana Chasles do Afryki, pomiędzy tam zamieszkałe trzody ludzi. Cywilizacya tych *trawożernych* (jak ich zowie) była przedmiotem trzeciéj lekcyi.

W czwartéj Chasles ciągnął daléj analizę obyczajów i położenia socyalnego mieszkańców afrykańskiego kontynentu, dziś przez Europę już odrzuconych w najpołudniowsze swe pustynie. W téj ostatniéj lekcyi, przewodnikiem pana Chasles był missyonarz szkocki Livingstone. W piątéj przytaczał opowiadania podróżnych, wykazujące teraźniejszy stan Hindostanu, a mianowicie wyspy Ceylan, któréj doskonały opis wydał niedawno Emerson Tennent. Szósta lekcya poświęcona była organizacyi wojskowéj i administracyjnéj Chin, wedle relacyi margrabiego Ferrières le Vayer, pp. Davies, Williams i ojca Huc.

W następnych lekcyach professor mówić będzie o biografach XIXgo wieku, autorach *Pamiętników* i *Historyj*. Ostatnia ta serya obejmie Alison'a, Thiersa, Macaulaya, Guizota i Gerwinusa.

Do powyższego kursu p. Chasles dodał drugi: filologii angielskiéj, obejmujący wszystkie fazy historyi gramatycznéj tego języka. W obec takiéj pracy i takiego wy-

kładu, przyznać należy, że pan Chasles nie na próżno nosi nazwę professora francuzkiego kollegium.

— Baudrillart w swym tegorocznym kursie Ekonomii politycznéj mówi o stanowisku kobiét w przemyśle. Zdaniem jego, proletaryat nie jest następstwem wymogów rękodzielń, które zmieniły warunki moralne klassy wyrobniczéj. Fabryka pochłonęła wprawdzie w większéj części życie domowe, wyciągnęła zeń kobiétę i dziecko, na swą korzyść zabrała ojca rodziny; mimo to, p. Baudrillart nie nastaje na rękodzielnie i twierdzi, że tenże sam przemysł, co zadał rany, prędzéj czy późniéj je zagoi.

Czy kobiéta ma się wyłącznie zajmować gospodarstwem domowém, czy téż uczestniczyć w pracach warsztatowych, fabrycznych i rękodzielnych? Odpowiedź na to pytanie była głównem zadaniem początku kursu Baudrillart'a. Zaczął od przytaczania zdań, jakie w téj kwestyi orzekły rozmaite wielkie intelligencye. Większość publicystów i moralistów twierdzi, że największą, a nawet jedyną missyą kobiéty, jest noszenie, karmienie i wychowywanie dzieci tak, żeby były czerstwe, silne, żeby miały zdrowe zmysły i poczucie uczciwości.

Platon nie podzielał téj opinii, i był zdania, że potrzeba przypuścić kobiéty do obowiązków życia publicznego. Oto co w tym względzie mówi w piątéj księdze *Respublika*: „Nie ma professyi wyłącznie przeznaczonéj mężczyznie lub kobiécie z powodu płci. Ponieważ natura rozdzieliła też same władze pomiędzy płcie obie, zatém wszystkie urzęda są wspólną obu własnością. Natura kobiéty równie jak mężczyzny nadaje się do straży państwa: będą więc mogły podzielać z mężami wszystkie prace wojenne i cywilne. Jednakowóż, trzeba miéć wzgląd na ich słabość fizyczną w pracach, jakie się na niewiasty nałoży."

Karol Fourier i Enfantin posuwają daléj rehabilitacyą kobiéty: twierdzą, że zdolności jéj nadają się równie jak męzkie, do nauki. Jako przykład stawiają Hypatią, która była jedną z najznakomitszych filozofów szkoły Alexandryjskiéj; margrabinę du Châtelet, która w XIX wieku przetłumaczyła Newtona; pannę Lachaux, która,

ażeby dopomagać niewdzięcznemu kochankowi, współpracownikowi *Encyklopedyi*, nauczyła się po grecku i po hebrajsku; nakoniec panią Rolland, Dacier i inne uczone francuzkie.

Jan Jakób Roussean twierdził, że uczona kobiéta jest wyjątkiem. „Każda płeć, powiada w *Emilu*, przykłada się do powszechnego dobra, ale każda inaczéj. Poszukiwania prawdy abstrakcyjnéj, zasad, naukowych pewników, wszystkiego co dąży do rozpowszechniania idei, nie jest wydziałem kobiéty: wszystkie jéj nauki powinny się odnosić do praktyki. Co do dzieł genialnych, te przechodzą siły kobiét. Nie mają także dość sprawiedliwości i uwagi, ażeby się mogły odznaczyć w naukach ścisłych."

Cóżkolwiekbądź o tém powiedziano, pan Baudrillart sądzi, że kobiéta może i powinna zająć w przemyśle miejsce szersze od tego, jakie teraz posiada. Jest miejsce pośrednie pomiędzy roszczeniami reformatorów a ciasnemi granicami, które zakreślają białogłowom zwolennicy *statu quo*, i to kobiéty zająć powinny. Baudrillart nie sądzi, jak wielu innych ekonomistów, ażeby zbliżenie niewiasty z warsztatem los jéj pogorszało. Przeciwnie, kobiéty ubogie, w okolicach, gdzie niema fabryk, pracują jak bydlęta: bywają zaprzęgane do pługa, wozu, lub zapędzane do kuźni, gdzie młotami muszą kuć jak mężczyzni. Po wsiach, kobiéty w ogóle, nawet właścicielki, są sługami zmuszonemi do najgrubszéj pracy. W fabrykach zaś, gdzie maszyna przyszła w moc sile ludzkiéj, kobiéta już tak ciężko nie pracuje.

„Eksploatacya wyrobnicy, powiada Baudrillart, nie od czasu zaprowadzenia rękodzielni datuje się. W departamencie Wogezów, gdzie niewiasty wyłącznie haftem się trudnią, płaca ich jest najniższą. Mozolna ta robota, wymagająca ciągłego siedzenia i skurczenia, zawsze prawie pozbawiająca wzroku, lub wpędzająca robotnicę w suchoty, trwająca często ośmnaście godzin na dzień, płaci się dziennie franka, a często piętnaście *sous*, które biorą te wyrobnice, nie mające żadnego pojęcia o cenach miejskich. Toż samo dzieje się ze skubaniem bawełny, czesaniem wełny i wszystkiemi temi morderczemi rzemiosła-

mi, co zabijają kobiéty, lub odbierają im siły do uczciwego życia."

Na poparcie powyższego zdania, professor przytoczył protokuł śledztwa, wyciągniętego w roku 1847 z paryzkiego przemysłu, przez Izbę handlową.

Liczba badanych wyrobników wynosi 204,925 mężczyzn i 112,891 kobiét. W téj liczbie, średnia zapłaty męzkiéj wynosiła 3 franki 80 centymów dziennie; *minimum* pół franka, a *maximum* 35 franków dla małéj liczby wyrobników, których rzemiosło wchodzi już w zakres prac artystycznych.

Średnie zapłaty rozkładają się jak następuje:

157,216 ludzi, mających 3 do 5 franków dziennego wynagrodzenia;

25,453, których płaca nie dochodzi 3 franków;

10,993, pobierających przeszło 5 franków dziennie.

Trzeba pamiętać, że mowa tu o samym Paryżu, w którym wysokość płacy jest wyjątkowa.

Przejdźmy teraz do zapłaty kobiét.

Na 112.891 kobiét pracujących w Paryżu, 7,108 są żonami, córkami lub krewnemi *patronów*, zatem praca ich nie mogła być oceniona.

4,157 płacone są tygodniowo, miesięcznie lub rocznie i w warunkach niedozwalających dokładnego oznaczenia wynagrodzenia.

Zostaje więc 101,626 kobiét, których płacę można ocenić dziennie: z téj liczby 35,085 płatne są od dnia, a 65,540 od sztuki. Średnia płaca jest 1 fran. 63 cent. dziennie: najniższa 15 centymów, najwyższa 20 franków. Powyższe zapłaty dzielą się tak:

950 kobiét pobierających płacę nie wynoszącą 60 centymów.

100,050 zarabiających od 60 centymów do 3 franków.

626, których zapłata przechodzi 3 franki.

Ażeby mieć wyobrażenie o prywacyach, jakich doznawać muszą owe 950 kobiét, których zarobek wynosi około 60 centymów, trzeba pamiętać, że taka wyrobnica gdyby nawet pracowała zawsze, nie wyjmując ani święta, ani niedzieli, ani wieczora, taka praca przynosiłaby jéj rocznie 219 fr. Obrachunki zaś najściślejsze oznaczają wydatki

kobiéty najuboższéj na 248 fr. rocznie, coby jeszcze czyniło 29 fr. deficytu, a rzeczywiście 75 fr. bo roczny przychód tych kobiét nie można cenić wyżéj nad 172 fr.

Pan Baudrillart powiada, że śledztwo 1860 roku jeszcze smutniejsze podaje rezultata jak śledztwo 1847. Zatrzymuje się atoli z jego objawieniem, bo piérwéj, ażeby należycie kwestyą wyczerpać, musi poradzić się kilku dzieł ważnych, odnoszących się do tego przedmiotu, jakoto: L. Blanc, *Travail des femmes*; Buret, *Misere des classes laborieuses*; Blanqui, *Des Classes Ouvrières en France* i t. d.

Wyszedł z druku XVII tom Thiersa *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*: cały poświęcony jest kampanii 1714 r.; dzieli się na trzy księgi: *Invasion, Brienne et Montmirail, Prémiére Abdication.* Jednocześnie wyszedł XII poszyt: *Atlasu do historyi Cesarstwa*, oraz XIV poszyt *winiet i portretów* do tegoż dzieła.

— Trzeci tom Pamiętników Dupen'a także opuścił prasę. Obejmuje peryod od 1832 do 1840 r.

— Nowy tom *Historyi francuzkiéj* Micheleta wyjdzie lada dzień. Obejmie panowanie Ludwika XIV.

— Wyszło nowe dzieło Proudhona pod napisem: „*Economie Politique et la Justice, Examen critique et réfutation des Doctrines economiques.*"

— Dwudziesty piąty tom *Biografii powszechnéj*, zawiera ciekawe artykuły: *Ludwik Filip*, przez pana Reybaud, członka Instytutu; *filozof Locke* przez p. Tissot; *Ludwik XVIIsty* przez pana Boullée, *Macaulay i admirał Mackau*, przez Alfreda Maury i t. d.

— Księgarze paryzcy, właściciele do części dzieł Lamartina, chcąc mu dopomódz do wydźwignienia się z kłopotów, oddali mu jako dożywocie, a w razie śmierci na lat dziesięć, posiadanie wszystkich dzieł, jakie w ciągu życia wierszem lub prozą ogłosił. Lamartine dodaje do tego swoje nieznane prace, i wydaje swe dzieła kompletne, których teraz jest tomów 101. Nowa edycya wspaniała pomieści je w czterdziestu.

KRONIKA LITERACKA.

Biblioteka polska J. K. Turowskiego.

Znakomite stanowisko zajęte przez Bibliotekę Polską, obecnie w Krakowie wychodzącą, w skrzętném zbieraniu pamiątek rodzinnych, skłania nas do przeglądu dzieł w jéj zeszytach umieszczonych. Chcąc zaś krokiem pewniejszym stąpać po téj drodze, a zarazem postawić się w możności jaśniejszego narysowania kierunku, w jakim przedsiewzięcia tego rodzaju jak wydawnictwo krakowskie winny się rozwijać, rzucimy na wstępie kilka uwag. Biblioteka Polska pragnęłaby być, jak sama to wyrzekła w pierwiastkowych swych odezwach, w ręku wszystkich; staraniem jéj przeto być powinno, by ogół mógł i chciał zajmować się jéj publikacyami. Dla urzeczywistnienia zatém téj zacnéj myśli spopularyzowania tyle upragnionego wydawnictwa, potrzeba, by materyały wydawane nasycało ciepło życia ogrzewającego przodków, by promieniło z nich uczucie tętniące w ich piersi. Materyały zaś przedstawiające tylko szeregi zesforowanych z sobą wyrazów, na podobieństwo wojska ustawionego w bojowy ordynek, ale pozbawionego oręża i dowódzców, w których gdzieniegdzie zaledwo prześwituje myśl dziejowa, nie są na dobie, w chwili właśnie, kiedy publiczność łaknie pożywniejszego pokarmu. Tém zaś bardziéj nie są na dobie, obywatele bowiem kraju obfitującego w pamiątki minionych lat, które usilna praca z miłością złączona już zgromadziła w przeróżne muzea i księgozbiory, mogą, a nawet powinni każdą okruszynę z ubiegłych epok nietylko przechować, ale oddać na użytek publiczny. Mieszkańcy zaś ziemi, nie tyle

bogatéj w zgromadzone i uporządkowane już zabytki, powinni przed innemi starać się o rozpowszechnienie tych, jakie są treścią myśli dźwięczącéj w przeszłości.

Ze względu zatém zarówno obudzenia ogólniejszego interesu dla swych publikacyj, jak niemniéj ubóstwa dotychczasowego naszych zbiorów historycznych, pożądaną jest rzeczą, by Biblioteka Polska umiejętnie wybierała w umysłowych zabytkach, zostawionych nam w puściznie po przodkach. W tym więc celu winna zawiązać rozległe stosunki i przez staranne poszukiwanie wydobywać na światło kryjące się w głębi bibliotek skarby, namaszczone głębszą myślą i wiernem zobrazowaniem zamarłych czasów. Drogocennych zaś brylantów, odbijających w sobie życie przodków, dotąd albo wcale nie wydanych, lub jedynie w języku łacińskim ogłoszonych, albo też skutkiem druku w odległych epokach już wyczerpanych, nie brak w literaturze naszéj, niedostatecznie dotąd drogą prassy reprezentowanéj. Dantyszek, Warszewicey, Ponętowski, Piasecki, Nakielski i tylu innych, przedstawiają wspaniały szereg mężów, zasługujących na poznanie i upowszechnienie. Na obojętność zaś i zimnotę dla narodowych zabytków, nie możemy się uskarżać: jak bowiem każdy człowiek z zachwytem buja po falach młodości, tak każdy naród chętnie zapoznaje się z zamkniętą już kartą swéj historyi, zarówno z ciekawości, jak i potrzeby. Niezaprzeczenie albowiem przeszłość jest mistrzynią teraźniejszości, a zarazem nasieniem, z którego wyrosło wszystko co nas otacza. Poznać ją zatém jest potrzebą i pragnieniem ogólném, a zgłębić powinnością tych, którzy chcą użytecznie pracować w dziedzinie myśli, plon przynoszącéj. Bez wątpienia więc byleby Biblioteka Polska wzięła się usilnie do poszukiwań, z tą dobrą chęcią, jaka ją dziś ożywia, przy spotęgowaniu tejże chęci głębokim rozbiorem kierunku, po jakim kroczyć powinna; liczba jéj prenumeratorów wzrośnie o wiele setków, a kraj cały skorzysta skutkiem dokładnego zapoznania się z cnotami i błędami ojców. Czy jednak wydawcy Biblioteki obrali sobie tę drogę, tyle zgodną z uczuciem i rozumem, w rozbiorze seryi wyszłéj w ciągu roku 1859, jakkolwiek pobieżnym, będziemy się starali to wykazać.

Dla wywiązania się więc z założonego przez nas zadania, bez względu na porządkowy numer zeszytów Biblioteki, podzielimy nasze sprawozdanie o niéj na przedmioty, jakie traktuje, tojest: historyą, broszury, poezyą i moralistykę. Unikając jednak zbyt drobnych podziałów, nie rozklassyfikujemy dzieł przedrukowywanych,

stosownie do ich rzadkości w obiegu, lub wartości wewnętrznéj, lecz będziemy je rozbierać w granicy działów tylko co wskazanych.

Ważność zaś nauki historycznéj, jakby w przezroczu zwierciadła odbijającéj ubiegłe życie, skłania nas, byśmy przed innemi przedmiotami przystąpili do sprawozdania z oddziału jéj poświęconemu. Z téj zaś przyczyny wynika, iż Historya narodu polskiego Adama Naruszewicza najprzód zajmie naszą uwagę. Pełne to znaczenia i treściwe dzieło, a najznakomitsze objętością i powagą, jakie w seryi za rok 1859 pokazało się w zeszytach Biblioteki! Ze względu jednak przedruku niniejszéj historyi, widzimy się w potrzebie kilka słów wypowiedzieć.

Nie przybieramy tu na siebie postaci stanowczo wyrokującego, lecz jesteśmy przekonani, że w obec tylu materyałów drogocennych, ogółowi nieznanych, historya Naruszewicza nie była tyle pożądaną, iżby poprzedzała nieznane nam skarby rodzimej wiedzy. Przed laty kilkudziesiąt pierwiastkowe wydana, a późniejszemi edycyami w obiegu pomnożona, powszechnie jest znaną i wcale nie rzadką nawet po drobnych księgozbiorach. Nie przynosi więc innéj zasługi prócz obniżenia ceny Bibliotece Polskiéj jéj przedruk, mogący być zastąpiony rzadszemi a nawet szacowniejszemi dziełami. Powiedzieliśmy szacowniejszemi, gdyż jeśliby śmy nie na rzadkość książki i odległość epoki, z któréj pochodzi, zważali, tylko jedynie cenili wewnętrzną wartość, to znaleźlibyśmy w obecnych czasach wyższe zasługą nad Naruszewicza utwory. A potém, kiedy już Biblioteka uznała potrzebę przedruku wspomnionéj historyi, dlaczegóż nie daje nam całości lecz tylko jéj cząstkę. Zaprawdę pierwsze trzy tomy, dziś przez wydawnictwo pominięte, nie wiele wzbogacają wiedzę badacza dziejów: jestto bowiem raczéj mieszanina tego co różni pisarze powiedzieli o Słowiańszczyznie, niźli sąd samego autora, oparty na analizie i zgłębieniu zabytków historycznych. Nie do wydawnictwa jednak należy rozbiór, czém grzeszy pisarz, gdzie jego słaba strona; publiczność dostając w swe ręce przedruki, powinna rozpoznawać pracę autorów, szczególniéj historyą traktujących w całéj obszerności, nie zaś urywki dowolnie poszarpane. Takie zaś traktowanie przedmiotu żywo obchodzącego ogół, nie może iść na korzyść tegoż ogółu, ani nawet przyczynić się do rozwinięcia w przyszłości wydawnictwa. Z żalem to przewidujemy, gdyż publikacyą Biblioteki jako myśl ze wszech miar zbawienną i pożyteczną, pragnęlibyśmy rozciągnąć na nieskończony szereg lat; materyałów

zaś nie braknie i to prawdziwie cennych, bo rozwidniających uczucie i wiedzę narodową.

Jednocześnie z powyższém dziełem biskupa Łuckiego, w seryi z r. 1859 ogłosiła nam Biblioteka monografią Stefana na Czarncy Czarnieckiego, przez ks. Krajewskiego. Przedruk ten stawia nas w konieczności wypowiedzenia kilku słów o nim. Niewątpliwie ludzie zasłużeni krajowi mieczem, rozumem lub ofiarą z siebie samych niesioną, godni są ze wszech miar ocenienia i uznania powszechnego. A Czarniecki należy właśnie do małéj liczby wybranych, którzy w danéj epoce podpierają swemi silnemi barkami całą budowę społeczeńską do jakiéj należą. Co zresztą najlepiéj dowodzi popularność jego imienia, po dziś dzień u nas ogromna, a tak słusznie pozyskana. Nie idzie jednak zatem, by licząc na popularność wielkiego imienia, liche dziełko poświęcone jego pamięci, nowemi edycyami pomnażać. Gdyby to bowiem było pisemko współczesnéj z wojownikiem chwili, bez względu na swoję wartość literacką, jako materyał dziejowy, słusznie zapełniałoby karty biblioteki; lecz kompilacya nieskończenie późniejsza, oparta na ubogich źródłach, słaba treścią i bez wyższego poglądu, wcale nie zasługiwała na te ze strony wydawnictwa względy. Wszakżeż ruda naszych pamiątek dotąd nie wyczerpana, zawiera tyle szlachetnych kruszców, iż długo jeszcze możemy je wydobywać, nie dotykając się mniéj cennych a nawet jałowych zabytków.

W seryi również zeszłorocznéj ukazał się w Bibliotece „Daryusz tranzakcyi wojennéj, tudzież kontynuacya tegoż Daryusza" Szymona Okólskiego, materyał historyczny z pierwszéj połowy XVII wieku, ważny do poznania stosunków w téj epoce Rzplitéj z kozakami. Rozbierać wartości tego dzieła bynajmniéj nie zamierzamy, wydawnictwo bowiem Biblioteki przyjęło na siebie obowiązek podawać materyały ze wszystkiemi ich zaletami i wadami, obleczone w tęż samę sukienkę, jaka je okrywała przed wiekami. Byleby więc materyał przechowywał minionéj epoki oblicze, byleby nam przynosił dźwięki zagłuchłe w przestrzeni czasu, jest już dobrze wybrany, a takim jest właśnie niniejszy ułamek dziejowy Szymona Okólskiego.

Dziedzina historyi uboga w zeszłorocznéj seryi, zaledwo nam pozwala obok Naruszewicza, Krajewskiego i Okólskiego, postawić ks. Dembołeckiego autora „Przewagi Elearów« i „Wywodu jedynowłasnego państwa świata,« w którym za przykładem współczesnych dziejopisarzy historyą polską od Jadania, Seta i Japheta wywodzi. W wiadomości o życiu i pismach ks. Dembołeckiego Szy-

mona zamieszczonéj przy niniejszym przedruku, wydawnictwo słusznie opiniuje, iż umysł jego był przetężony, a ztąd nie podziela zdania Bentkowskiego iż „Wywód jedynowłasnego państwa świata" był pisanym tylko dla wyszydzenia zaciekań, nie opartych na krytyce historycznéj. Z głębi więc umysłu słabością umysłową rozstrojonego nie mógł wybiedz utwór, piętnem dojrzałości, tak w sądzie jak i przedstawieniu wypadków nacechowany. Rzeczywiście téż pamiętniki o Lisowczykach czyli przewagi Elearów polskich, niższe nawet od mierności jako dzieło sztuki, zasłużyły jedynie na przedruk, jako p miętnik wojenny Lissowczyków, przez naocznego świadka skreś ony. Uważamy również za zasługę wydawnictwu objaśniania udzielane o życiu i pismach autorów, które tak i przy powyższym ustępie dziejowym, jak i w całym ciągu istnienia wydawnictwa ze starannością widzimy prowadzone. Nie jest to bowiem tak łatwą rzeczą, jakby się na pozór zdawać mogło, zbierać o każdym z nich rozpierzchnione po tylu rozmaitych źródłach wiadomości, a przynoszące przez samo rozpowszechnienie się nauki o życiu znakomitszych ludzi, do skarbnicy wiedzy ogólnéj nieobliczone korzyści.

Po wypowiedzeniu naszego zdania co do przedruku dzieł historyą traktujących, przechodzimy do broszur, a to z przyczyny ścisłego związku między niemi istniejącego. W posuwaniu się zaś naszém na tém polu, będziemy postępować porządkiem, zaprowadzonym przez wydawnictwo Biblioteki. Z tego więc powodu, pierwszą, jaką pod rozbiór bierzemy jest »Polska niżna,« broszura pod sam koniec XVI wieku przez ks. Grabowskiego napisana.

Jakkolwiek przebrzmiał oddawna interes, jaki ta broszurka niegdyś mogła wywoływać, zawsze jednak będąc pomnikiem owoczesnego stanu naszéj ojczyzny, budzi pewne zajęcie: historykowi zaś badającemu tajnie téj epoki, może objaśnić punkt zapatrywania się myślących ludzi téj chwili, na wschodnio-południową naszą granicę, i ich naganne zaniedbanie. Przez tegoż autora jednocześnie prawie wydane „Zwierciadło Rzplitéj Polskiéj," z 1598 r. pragnie wskazać rany po organizmie Rzplitéj roztoczone. Nie zawiera wszakże nic nowego: są to bowiem raczéj żale, jakich pełno u nas w każdym niemal kronikarzu, niż rady natchnione polotem wyższego umysłu lub serca. Ztąd więc i propozycye przezeń robione poprawy rządu, w ciasném kółku zamykając się, jawnie przekonywają, iż nie spotykamy się z pamiątką pozostałą po prawdziwie znakomitym mężu.

Krótkie rzeczy potrzebnych ze strony wolności i swobód polskich zebranie. Broszurka z pierwszych lat panowania Zygmunta III-go, okazująca uczucie swobody szlacheckiéj w całéj pełni rozwinięcia. Widocznie też wieje z niéj duch téj swobody, pragnącéj rycerstwo utrzymać na wyżynach, o jakie potęga królewska roztrącić się, a prawa ludu u ich podnóża pełzać pokornie powinny. Skupia więc jéj autor, celem pokazania że tak powiemy legitymiczności władzy szlacheckiéj, rozmaite wypadki ustawy, lub pojedyńcze artykuły, dowodzące właśnie prawowitości téj władzy. Nie podpiera ich wszakże bynajmniéj rozumowaniem, z siebie samego snutém: kroniki, statuta, wszystko to w sobie mieszczą, a nawet daleko zupełniéj. Z czego wynika, iż jak z jednéj strony, materyał, z jakiego to pisemko złożone, obficie jest rozsypanym w pokładach tworzących historyą, tak z drugiéj nie napotykamy w nim żadnéj nowéj myśli, mogącéj je podnieść po nad mrowisko powszednich a nieprzeliczonych utworów, zapełniających tło literatury narodowéj po koniec XVIII wieku. Mowy nawet z czasów Kokoszéj wojny w nim zamieszczone, będące niejako koroną tego pisemka, jako znane dosyć powszechnie z VI-éj księgi Kronik polskich Orzechowskiego w tłumaczeniu Włyńskiego, nie są wcale przyczynkiem posługującym do wzbogacenia ojczystych dziejów. Przedruk jego zatém wówczas tylko byłby na swojém miejscu, gdyby już wyczerpały się zabytki silniéj rozkrywające przeszłość.

W tymże samym kierunku, lecz różna doniosłością poglądu jest następna broszurka: „Naprawa Rzpltéj do elekcyi nowego króla", maleńka objętością, lecz obfitsza treścią od poprzedzającéj. Epoka téż jéj pierwotnego pojawienia się sama już mogła ją pewną żywotnością napoić. Była to bowiem chwila jedna z najpamiętniejszych w dziejach naszych, przejścia najwyższéj władzy z łona jednéj rodziny do nieograniczonego wyboru. Ta zaś nowość położenia, jakkolwiek od wielu poprzedzających ją lat przewidywana, wyprowadziła na światło mnogie zastępy pisarzy politycznych, aż do owéj pory wcale nielicznych. Naraz więc posypały się seciny artykułów jużto przedstawiających pewną ideę, jużto rozbierających kandydaturę rozpierających się współzawodników o tron Jagiellonów. W tym zaś hufcu różnych pomysłów okazała się i niniejsza broszura, jako pomnik owoczesnego sądu, przesiany zdrowemi uwagami, ze wszech miar zasługujący na zajęcie miejsca w Bibliotece Polskiéj.

Wyższa wszakże jeszcze wartością jest broszura trzecia z kolei „O wolności Rzpltéj albo szlacheckiéj" w jednakim z po-

przedzającemi, jakby z tytułu wnosić należało, kierunku pisana, ale nieskończenie różna poglądem. Późniejsza od obudwóch o niewielką przestrzeń czasu, sięga do środka panowania Zygmunta III-go. Andrzéj Wolan jéj autor, znakomity szermierz na polu sporów religijnych, występuje tu jako mąż stanu, i bystre oko zapuszcza w głębiny instytucyi, oraz organizacyi politycznéj i socyalnéj kraju. Czuć wyraźnie, że nie wypowiada całkowicie swéj myśli, krępowany wymaganiami wieku, odważnie jednakże idzie naprzód, by przebojem roztrącić zapory, do zlania się w jednę całość towarzystwu zawadzające. Śmiało możemy powiedzieć, jestto jeden z najcelniejszych zabytków téj epoki, dowodzący, że zdrowe wyobrażenia miały po wszystkie czasy swoich u nas obrońców, z tajni rozumu i serca własnego wysnuwających balsam na sączące krwią rany narodu. Tę ważność dzieła *De libertate politica sive civili* współcześni z Wolanem umieli ocenić, jakto sąd przychylny o niéj wyrzeczony przez Augustyna Rotundusa Mieleskiego obojga praw doktora i wójta wileńskiego przekonywa. Upowszechnienie takiego rodzaju prac i tak szczęśliwie wybranych, przynosi zaszczyt Bibliotece Polskiéj i daje jéj prawo do wdzięczności publicznéj. Więcéj równie dobornie ogłoszonych artykułów, a utrwaloną zostanie z jednéj strony wziętość Biblioteki, a z drugiéj pożytek czytającéj publiczności.

»Votum szlachcica polskiego, ojczyznę wiernie miłującego," broszura z końca XVI wieku, dąży również chociaż na inném polu, do usunięcia niebezpieczeństw otaczających kraj. Myśl ją ożywiająca, tojest przewidywanie smutnych następstw, które w chaotycznym stanie rzeczy owoczesnych autor przeczuwa, podnosi niniejsze pisemko, zkądinąd powszednie do niejakiego znaczenia. Redukując wszakże do niewielu słów nasz sąd, orzekamy: iż należy ono do liczby artykułów biernych, które nie mogą wydawnictwa ani wysoko w opinii postawić, ani téż pozyskanéj umniejszyć. Wiedza bowiem publiczna mało odnosi z niego korzyści, a jedynie zaleca je koloryt, na gruncie miejscowych stosunków urobiony.

Wśród dość licznego szeregu broszur, dała nam Biblioteka w r. z. „Reformacyą obyczajów polskich" ks. Szymona Starowolskiego. Po niefortunnie poprzednio wybranych tegoż autora pisemkach, zaprodukowało nam obecnie wydawnictwo, nieskończenie wyższego znaczenia utwór. A jakkolwiek i w nim Starowolski ulegając powszechnemu skażeniu, piętnującemu owoczesną literaturę, nie umié obrobieniem i formą stanąć wyżéj nad współczesnych; jakkolwiek przeładowywa swą pracę cytacyami, jakby

jedynie dla popisania się z erudycyą wtrąconemi, zawsze jednak przedstawia w niéj rysy dosadnie malujące społeczeństwo, w łonie którego przebywał. Zepsucie, skażenie tamtoczesne, widne jest w Reformacyi, jak łuna pożaru, trawiącego dom ojczysty, zgrozą i boleścią napełniając serce. Do historyi obyczajów polskich pod ostatnim Wazą, jestto nieoceniony materyał, oświecający posępnie, złowrogo, ale niestety sprawiedliwie, wnętrze naszego społeczeństwa. Ztąd więc uważając niniejszy przedruk nie jako wyrób loicznie snującéj się myśli, trwały murującéj z wniosków rzuconych fundament, ale jako pamiątkę pozostałą po wcale niepospolitym mężu, traktującym sprawy domowe z uczuciem poczciwego obywatela; witamy z radością pomienioną pracę w zbiorze Biblioteki Polskiéj. — O jednocześnie z Reformacyą danych tegoż pisarza „Lamencie utrapionéj matki" i Kazaniu na pogrzebie ks. Zadzika, nie możemy równie przychylnego zdania objawić. Pomimo bowiem uwielbienia, wygłoszonego w sprawozdaniu o wyjściu tych broszurek w jednéj z gazet naszych, dla przenikliwości pisarza roztoczonéj w Lamencie utrapionéj matki, z innego zupełnie punktu zapatrujemy się na tę przenikliwość. Boleść albowiem żywo narysowana w téj maleńkiéj broszurce nad rozkładem rodzimego społeczeństwa i przewidywanie smutnych następstw, jakim ono w przyszłości ulegnie, nie jest bynajmniéj poczuciem wkradającego się zepsucia w organizm życiowy Rzplitéj, ale raczéj lament nad upadkiem religii i pobożności, wysnowując z tego upadku fatalne wynikłości. Tego rodzaju przepowiedni, opartych nie na wyrozumowaném pojęciu, ale na widzimisię autora, spotkać możemy tysiące u wszystkich ludów, nie zawsze jednak realizujących się w następującym po nich przebiegu wypadków. Samo więc rzucenie złowrogiéj wieszczby, nie jest dostateczném, by wysoko w opinii stawiać traktacik, zkądinąd zupełnie powszedni. Najwyższą też jego zaletą na zawsze pozostanie, iż napisaném zostało przez Starowolskiego, męża zasłużonego krajowi, nie tylko jako księdza i pisarza, ale jako i obywatela. Kazanie na pogrzebie ks. Zadzika słabe treścią i układem, również nie staje się kwiatkiem, dodającym świetności girlandzie uwitéj z wspomnień ojczystych. Z tych zaś powodów mniemamy, iż tak „Lament utrapionéj matki" jak i „Kazanie na pogrzebie ks. Zadzika" nie przynoszą literaturze naszéj rzeczywistych korzyści, które właśnie pragnęlibyśmy zebrać z wydawnictwa Biblioteki.

Kilka mów i zdań Spytka Ligęzy kasztelana krakowskiego, i Stanisława Karnkowskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego w jeden

zeszycik zebrane, wymownie dowodzą, iż na parę wieków przed ruiną kraju spostrzegano niebezpieczeństwo zagrażające mu, jak również, iż pomimo tego jasnowidztwa nie chciano i nie umiano poświęcić na ofiarę krajowi, stronniczych lub też kastowych uprzedzeń. Szczególniéj mowy Spytka Ligęzy dobitnie to wskazują. Sili się w nich bowiem wykazać sposoby podźwignienia skarbu państwa, nie pomyślawszy nawet o tém, by majątki ziemskie szlachty mogły się stać źródłem dochodu. Błąd wprawdzie powszechnie w Europie panujący, gdzieindziéj jednak wewnętrznem przeobrażeniem, u nas zaś rozsypaniem się w druzgi społeczeństwa zakończony. Chociaż więc wszystkie te maleńkie artykuliki tak Ligęzy jak Karnkowskiego, nie przedstawiają z nowéj strony życia narodu, lub rozwinięcia się faktów, jak niemniéj chociaż znane są powszechnie, dla piętnujących je wszakże rysów, wskroś nasiąkłych pojęciami ludzi i epoki, w jakiéj były pisane, z przyjemnością ujrzeliśmy ich przedruk w wydawnictwie p. Turowskiego.

Ostatnią broszurką w zeszłorocznéj seryi, jest „Myślistwo z Ogary Jana hr. z Ostroroga." Błahość treści w niéj zawartéj, zmusza nas do wyrzeczenia kilku słów.

Pojmujemy, iż najmniejsza drobnostka pozostała po mężu aureolą sławy otoczonym, lub też przez nas ukochanym, może mieć nieocenioną wartość w oczach pojedyńczego człowieka. Pojmujemy również zapał, chociaż go nie podzielamy, dla tabakierek, ostróg i tym podobnych rzeczy, z przyczyny należenia ich niegdyś do tego lub owego bohatera, czy też uczonego, bo indywiduom dozwolonem jest iść za głosem swego serca lub przekonania i przywiązywać wysoką cenę do przedmiotów, nie mających rzeczywistéj wartości. Skoro jednak przechodzimy na publiczną drogę, zupełnie inaczéj przedstawia się stan rzeczy. Tu bowiem nie wolno powodować się fantazyą, lecz jedynie poszukiwaniem użytku ogólnego; tém zaś więcéj w przedsięwzięciu, jakiemu się oddało wydawnictwo Biblioteki. Rozjaśnić wiedzę, nasycać serce, cel zaiste piękny i godny poświęcenia się dlań bezwarunkowego; lecz ten wzniosły cel nie otrzymuje się bynajmniéj przez przedruk broszurek, podobnych do „Myślistwa z ogary." Prócz bowiem tego, iż napisaną była przez wojewodę poznańskiego, ozdobionego tytułem hrabiego, jak również iż pochodzi z XVII wieku, nic za nią więcéj nie przemawia. Nim przystąpimy do nauki, jakie nasi przodkowie mieli pojęcia o myślistwie, nauczmy się gruntownie, jakimi byli na polu bitew, w szrankach obrad i kółku rodzin-

ném. Takich broszurek niech jak najwięcéj daje nam wydawnictwo, a znajdą najżyczliwsze przyjęcie.

Zamknąwszy na myślistwie z ogary roztrząsanie w nowéj sukience pojawiających się broszur, w onią jednak przeszłości silnie przejętych, z kolei przesuwamy się do ocenienia poezyj.

Powiedzieliśmy powyżéj przy rozbiorze przedruku historyi Naruszewicza, iż Biblioteka nie powinna szarpać dzieł, lecz podawać je nam w całości. Przechodząc do oddziału poezyi, sami z sobą będziemy niejako w sprzeczności, gdyż na tém zupełnie innéj natury polu, nietylko objawiamy życzenie, ale głośno wołamy o wyrzucanie tego wszystkiego, co nie zaleca się ani liryzmem, ani zobrazowaniem ubiegłych czasów. Wszakżeż próby rymotwórcze, w różnéj sukience wychylające się na świat boży, są odbiciem uczuć, ogrzewających piersi mieszkańców w danéj chwili, przedstawieniem potęgi ich fantazyi, do jakiéj wznieść się umieli, a poniekąd rozkryciem tajemnic ich życia rodzinnego, domowego. Wszystkie więc utwory przechowujące w sobie przymioty téj natury, niezaprzeczenie są dobrze wybrane. Najpospolicéj zaś potęga słowa i siła natchnienia organizmowi poety przez naturę dane, wiernie mu towarzyszą na ścieżce jego pochodu, rzewnemi, wzniosłemi lub malowniczemi rysami bogacąc wyśpiewane przezeń tony. Wcale jednak szczupłą liczbą o tak potężnych zdolnościach poszczycić się możemy piosenkarzami w dawniejszych czasach. Zwykle oni nie werwą i nastrojem ducha przemawiają do naszéj wyobraźni, lecz rysunkiem obyczajów i życia przodków naszych. Ztąd więc płody ich fantazyi, nie zapełnione tym rysunkiem, podobne są do wyschłych zwłok, w których ślady życia oddawna zagasły. A tém bardziéj są podobne do zimnych wystygłych zwłok, owocześni bowiem piewcy, kształcąc się przedewszystkiem na wzorach Grecyi i Rzymu, więcéj nierównie zajmują się mitologią i bohaterami starożytności niż tradycyami narodowemi i mężami na niwie ojczystéj zasłużonemi. Otóż dla tych powodów, według naszego przekonania bardzo ważnych, nie już naganę na siebie wydawnictwo Biblioteki ściągnęłoby, lecz pochwałę przez staranne oddzielanie i wyrzucanie w przedrukach poezyj z dawnych epok, jałowych w myśl i wspomnienie wierszyków. Poważamy się taką radę udzielić, chociaż może ona wziętą będzie przez wielu za myśl świętokradzką w odniesieniu jéj do ojczystych zabytków. Mniemamy bowiem, że zbieranie pamiątek, uczucie i umysł napawających, jest wyższém nierównie nad gromadzenie tychże pamiątek bez wyboru i myśli przewodniéj; chociaż bynajmniéj nie

zaprzeczamy, iż wszystkie są równie drogie, dla serca ciepłem przeszłości ogrzewającego się. A potém nie możemy nigdy spuścić z uwagi, iż publiczność musi poprzednio zespolić się całą duszą z wydawnictwem, uznać jego zasługi, a nadewszystko zapoznać się bliżéj z zabytkami przodków, zanim każdy frazes lub myśl przez nich pozostawione, z sympatyą i skwapliwością chwytać będzie.

Po rzuceniu tego maleńkiego wstępu, przystępujemy do zdania sprawy z przedruku pism wierszem i prozą Wespazyana Kochowskiego.

Najznakomitszą część objętości w seryi za rok 1859 zajęły wspomnione poezye, gdyż aż 14 zeszytów czyli blizko $^1/_4$ część całorocznego zadania. Podanie w takiéj obfitości jednéj że tak powiemy potrawy, przez znaczny ciąg uczty, winno zalecać się ogromną pożywnością, by publiczność przesytu nie doznała. Niechętnie jednak musimy wyznać powodowani szczerością, iż poezya Kochowskiego właśnie tym przesytem zagraża. Wcale bowiem niepośledni pisarz nasz Wespazyan jako historyk, nader słabym jest poetą. I dlatego też zdrój życia narodowego obficie wkoło niego wytryskujący nie obudza jego uwagi. Napróżno uczucia i namiętności wrą, napróżno okrążają go zewsząd: Kochowski nie z wzorów go otaczających czerpie natchnienie, ale zapożycza kolorów i treści dla swych rymów, u bóstw lub bohaterów Grecyi i Rzymu, chętniéj wyprowadzając na widownią Jowisza, Minerwę, Achila lub Nerona, niż ludzi na ziemi ojczystéj wzrosłych, z któremi właśnie pragnęlibyśmy się serdecznie zapoznać. Oprócz więc kilkunastu fragmentów, żywszych obrobieniem czy werwą, lub zalecających się dagerotypowaniem społeczności, ślizga się wzrok dzisiejszego czytelnika obojętnie, po ogromnéj ilości wierszyków pustych i bezdusznych. Śmiało to możemy powiedzieć, iż gdyby wydawnictwo Biblioteki zamiast dania 14 zeszytów poezyj Kochowskiego, wybrało co lepsze i treściwsze na jeden lub dwa zeszyty: publiczność ochotniéj wzięłaby się do poznania utworów rymowanych autora klimakterów, niźli to zrobi dziś, przymuszona przerzucać karty, błahemi wierszykami zapełnione, dla znalezienia jakiegoś rysu, opromienionego wspomnieniem. Prawdziwą wszakże przysługę oddało literaturze naszéj wydawnictwo Biblioteki wyprowadzeniem na światło „Psalmodii wdzięczności" tegoż autora, dotąd drukiem nieogłoszonych. Psalmodye pełne rzewności i siły, chociaż w mowie niewiązanéj napisane, wdziękiem wyrażenia i siłą uczucia przypominają złote dla języka naszego czasy Zygmuntów, a zarazem stanowią niejako zapowiedź mistrzów no-

wożytnych, na tejże niwie natchnienia, ciepłem serca własnego ogrzewających miliony.

Z innego zupełnie punktu musimy zapatrywać się na przedruk poezyj ks. Stanisława Grochowskiego. Jakże bowiem nieskończenie różni się uczuciem i zapatrywaniem od poprzedniego wierszopisarza, a rzewnością w rytmach przypomina prozę Psalmodyi. Szczególniéj tom pierwszy, obejmujący 4-ry zeszyty, zapełniony jest rymami, dozwalającemi głębiéj zajrzéć w tajniki życia naszych praojców. Ztąd więc przedruk Grochowskiego poezyj uważamy za znakomity przyczynek do rozszerzenia się wiadomości, zarówno przemawiających do serca jak i umysłu naszego.

Wypowiedziawszy nasze zdanie o odbiciu nowém kwiatków niegdyś nęcących wonią i świeżością, a dziś po większéj części zwiędłych i zasuszonych, przystępujemy do ostatniego oddziału w naszém rozklassyfikowaniu, tojest dzieł poświęconych nauce moralnéj, mieszcząc w nim i kazania ks. Birkowskiego, jako ścisłym węzłem z ukształceniem obyczajów spojone. W tym zaś oddziale najprzód, stosownie do porządku przez wydawnictwo zaprowadzonego, zdamy sprawę z przedruku Żywota poczciwego człowieka, Mikołaja Reja z Nagłowic.

Bynajmniéj nie zaprzeczamy, iż pismo rzeczone jest szacownym pomnikiem podrywającego się sądu Jagiellońskiéj Polski, wszczepiającéj w pień obcy po części, pojęcia rodzime o człowieku i warunkach jego bytu. Sądu, jaki mógł rozkwitnąć w zakresie wiedzy ówczesnéj, która wzmocniona analizą i syntezą głębokich umysłów, jak Vico, Grotius, Montesquieu i Bossuet miała przyjść do jaśniejszego pojęcia dróg, jakie ludzkość przebiegała, a zarazem do schwycenia wątku, związującego przeszłość z przyszłością w jednę całość. Jestto więc migotliwy połysk téj myśli, co następnie roztoczyła się w olbrzymie światło, promieniami swojemi ogrzewające cały cywilizowany świat. Z tego zaś krótkiego poglądu wytryskuje przekonanie, iż pod względem wartości ze wszech miar zasługiwał rzeczony traktat na zajęcie miejsca w zeszytach Biblioteki. Nie tyle jednak miał prawa do przedruku z tytułu wyczerpania w obiegu księgarskim. Pomijając bowiem dawniejszych trzy wydań, dziś nadzwyczaj rzadkich, był w zbiorze pisarzy polskich Gałęzowskiego w niezbyt oddalonéj epoce drukowanym, któregoto zbioru pisarzy bardzo łatwo jeszcze i obecnie można dostać w handlu księgarskim. Biblioteka zatém Polska podając nam na nowo Żywot Poczciwego Człowieka, zwróciła jedynie uwagę na wartość dzieła, nie zaś jego wyczerpa-

nie w obiegu. My zaś gorąco pragnęlibyśmy, a z nami zapewne ogół publiczności, by obadwa te względy kierowały wydawnictwem Biblioteki na drodze przyszłego jéj rozwijania się.

Naostatek przychodzi nam mówić o „Kazaniach przygodnych i pogrzebowych" ks. Fabijana Birkowskiego, które pomimo wkradającego się już w piśmiennictwo nasze skażenia smaku, jako pomnik uświetniony iskrami talentu, głęboko nasiąkły pamiątkami przeszłości, z szczerą radością witamy w Bibliotece Polskiéj.

Obok wszystkich wymienionych tu przedruków, dokończyło wydawnictwo w roku ubiegłym przedruku Herbarza Bartosza Paprockiego w r. 1858 rozpoczętego. O ważności dokonanéj tym przedrukiem przysługi dla zajmującéj się historyą publiczności, nie potrzebujemy się rozpisywać. Biblioteka wydaniem tego jednego dzieła, zdobywała już sobie sympatyą ogółu, a czujemy się w obowiązku wyrzec, iż dopełniła to wydanie z całą sumiennością, wzbogacając je waryantami przy końcu Herbarza zamieszczonemi.

Dokonawszy treściwego przeglądu wszystkich dzieł, broszur, traktatów w seryi na rok 1859 zamieszczonych, ze stanowiska sprawozdawcy, poczytujemy sobie za obowiązek zwrócić uwagę Bibliot ki na względy innéj natury, a niemniéj zdaniem naszém wpływ wywrzeć zdolne na jéj przyszłość i pożytek ogólny.

Zaniedbanie nauki języka łacińskiego, niegdyś w kraju naszym tak upowszechnionego, że każdy niemal szlachcic umiał nim dzielnie władać, wymaga, by wydawcy Biblioteki w przedrukach dawnych dzieł pamiętali o téj przemianie w łonie narodu dokonanéj. Inaczéj bowiem, zeszyty Biblioteki przesiane obficie łaciną, stają się niezrozumiałemi dla ogółu, a dostępnemi jedynie dla nielicznéj falangi uczonych, wyłącznie naukom oddanéj. Ztąd więc koniecznem się staje, by w nowém odbiciu umysłowych pamiątek przodków naszych, wydawnictwo obok łacińskiego tekstu mieściło i polskie jego tłumaczenie. O zatracenie zaś tym sposobem barwy dawnéj, wydawnictwo obawy miéć nie powinno, gdyż pozory wszędzie i zawsze ustępować winny miejsca istocie rzeczy a raczéj pożytkowi publicznemu. A sam przypuszczenie ogółu za pomocą przepolszczenia frazesów łacińskich, do zrozumienia całego toku dzieł przedrukowywanych, zapewniając korzyść publiczną, tém samém wynagrodzi aż nadto dostatecznie zniknięcie barwy dawnéj, na każdéj kartce nastrzępionéj makaronizmami. W imię zebrać się przez ogół mających plonów, a nawet interesu samegoż

wydawnictwa, domagamy się téj zmiany w przyszłych publikacyach Biblioteki.

Kończąc nasze krytyczne uwagi o Bibliotece, objawiamy życzenie w czystéj formie rady, by wydawnictwo nadal nie przeplatało, sposobem dotąd praktykowanym nowo przedrukowywanych dzieł. W każdém bowiem piśmie, redagowaném na tle codziennego życia, pojmujemy przerwy wydarzać się mogące w raz już rozpoczętych artykułach. A to właśnie z przyczyny, iż życie publiczne i umysłowe, rozlewające się tylu różnorodnemi korytami, może zmusić redakcyą do zawieszenia na pewny czas drukujący się artykuł, by zrobić miejsce dla kwestyi głębszego znaczenia lub niecierpliwiéj przez ogół wyczekiwanych. Co zupełnie nie może się zastosować do wydawnictwa Biblioteki. Wszystkie bowiem przez nią w świat rzucane zeszyty, nie obudzając interesu bieżącéj chwili, a li tylko przedstawiając się jako pamiątki sercu drogie, z większą dogodnością dla prenumeratorów wychodzić będą w nieprzerwanym ciągu, niż jak to ma miejsce dziś, kiedy przed skończeniem przedruku jednego dzieła, rozpoczyna się przedruk kilku innych, a ztąd z roku na rok pozostają zwykle najważniejsze niewykończonemi. Jestto drobna na pozór okoliczność, a jednak może się stać powodem posądzania Biblioteki o spekulacyą: by przewłoką w wydawaniu z roku na rok najcenniejszych utworów, zmusić większą liczbę osób do prenumeraty. Opiniujemy w tym względzie głównie dlatego, gdyż szczerze pragnęlibyśmy, by pięknemu zadaniu, towarzyszyła zawsze bez żadnego cienia zarzutu i szlachetność w wykonaniu.

Na powyższéj uwadze zamkniemy nasz krytyczny pogląd nad seryą Biblioteki z r. 1859, by choć kilku wyrazami dotknąć drogi, na jakiéj w przyszłości widzieć ją pragnęlibyśmy.

Z tego, cośmy już dotąd powiedzieli, jasno pokazuje się, iż zamiar i cel wydawnictwa Biblioteki budzi w nas żywo sympatyą; iż serdecznie przyklaskując samemu jéj zadaniu, oraz głównemu kierunkowi, po jakim kroczy naprzód, pragnęlibyśmy widzieć i środki realizujące to zadanie szczęśliwiéj wybranemi. Przeniknieni więc przekonaniem, iż w użytecznych dla dobra powszechnego przedsięwzięciach, współczuciem i radą powinniśmy wzajemnie się wspierać, projektujemy Bibliotece na przyszłość dzieła, zdaniem naszém mogące rozszerzyć pożytek ogólny, jakoteż zapewnić dla niejże saméj przychylność publiczną.

Już w roku zeszłym proponowaliśmy wydawnictwu częściowe w zeszytach Biblioteki ogłoszenie Tomicyanów; obecnie po-

wracamy do tejże saméj propozycyi. Nie wątpimy albowiem, że umiejętne wybranie celniejszych epizodów, listów, życiorysów a nawet wierszy ze wspomnionych akt, obok ich przetłumaczenia na język rodzimy, stałoby się dla ogółu pożywnym a nawet pożądanym pokarmem. Nigdzie bowiem w zabytkach piśmiennych Jagiellońskiéj epoki z równie dagerotypową dokładnością, nie jest odrysowanym charakter i sprawy narodu owych czasów, jak w tym nieocenionym skarbie, zamykającym obraz najpiękniejszéj chwili bytu naszego. Projektujemy zaś dlatego częściowe wybranie celniejszych ustępów, gdyż wielotomowe Tomicyana wraz z ich tłomaczeniem, przedstawiają się jako zadanie, któremu wyłącznie, przynajmniéj na pewny czas, wydawnictwo oddaćby się musiało. Biblioteka zaś umiejętnie wybrane materyały z różnych epok drukując, obok łatwiejszego spopularyzowania się, przyniesie nawet większą korzyść publiczności, niżby to zrobiła przez obznajmienie jéj z jednym tylko peryodem dziejów naszych.

Obok Tomicyanów uważamy listy przez znakomitości owoczesne do Karnkowskiego biskupa kujawskiego a następnie prymasa pisane, jakotéż przez niego do różnych osób, godnemi zajęcia miejsca w zeszytach Biblioteki. Listy te bowiem wydane po łacinie przy 2-gim tomie edycyi lipskiéj Długosza rzucają wielkie światło na sprawy religijne Polski z XVI wieku, a ztąd ich rozpowszechnienie w języku rodzimym byłoby nader pożądaném.

Również uważamy „Poloneutichie albo Królestwa Polskiego szczęście a przytém W. Ks. Litewskiego, a potém tegoż szczęścia szwankowanie" w latach 1612 i 13, opisane przez Andrzeja z Lubieńca Lubienieckiego, znajdującą się w rękopiśmie polskim w bibliotece Ossolińskich, zasługującą na rozpowszechnienie przez wydawnictwo Biblioteki. Pomimo bowiem iż w traktacie rzeczonym znaczną część zajmują wypisy wyciągnięte z greckich i łacińskich pisarzy, wiele jednak w sobie mieści ojczystych wspomnień z czasów Zygmuntów, Henryka Walezyusza, Stefana Batorego i pierwszéj połowy Zygmunta III-go szczegółowo opowiedzianych.

Niemniéj Klimaktery Wespazyana Kochowskiego po dokładném ich przetłumaczeniu, ze wszech miar zasługiwałyby zająć miejsce w wydawnictwie Biblioteki. Dokonane bowiem dotąd ich przepolszczenie w wydaniu Raczyńskiego, a 4-éj zaś księgi Augusta Mosbacha, jako słabe a w wielu nawet miejscach nie wierne, nie przynoszą krajowéj literaturze rzeczywistego użytku.

Nareszcie Epistollae Familiares Załuskiego, zamykające w sobie szczegóły, bogacące wiedzę narodową, po ich przepolszczeniu pod każdym względem godnemi byłyby rozpowszechnienia.

Nie chcąc obciążać artykułu naszego spisem bibliograficznym, ograniczamy się na kilku wymienionych tu dziełach, ożywieni nadzieją, iż nadal wydawnictwo obierze drogę, która zaspokoi wymagania najsurowszéj krytyki. Rzucanie zasiewu, przynieść mającego plon zapewniający milionom zdrowy pokarm, jest jedném z najpiękniejszych zadań, jakie człowiek przedsięwziąć może. A to właśnie zadanie wydawnictwo Biblioteki podjęło się praktycznie przeprowadzić. Na tém więc przez nie zaszczytnie zajętém stanowisku słusznie spodziewać się może zachęty i uznania od ogółu, rozmiłowanego w pamiątkach rodzinnych. I myśmy téż występując ze sprawozdaniem z przeszłorocznéj seryi, objawieniem ostrzejszego sądu, lub żywszego słowa, pragnęli jedynie przyczynić się do rozwinięcia téj prawdziwie interesującéj publikacyi. Tą życzliwością przeniknieni, wskazaliśmy słabe i małą wartość w sobie mieszczące przedruki, lub też znane dostatecznie zkądinąd, by zwróceniem uwagi wydawnictwa na tyle ważną część jego zadania, dozwolić mu w przyszłości uchronić się od usterków, zarówno ogółowi jak przedsięwzięciu szkodliwych. Nie arcydzieł domagamy się od wydawnictwa Biblioteki, o które w każdéj literaturze trudno, lecz rzeczy wartością i treścią zajmujących, a przyczyniających się do uchylenia zasłony, przyćmiewającéj życie naszych praojców. Jakkolwiek więc czujemy i pojmujemy, iż wydawnictwo Biblioteki idąc szlakiem nowym i nieutartym musiało walczyć i łamać się z tysiącami trudności, wzywamy je wszakże w imię dobra ogólnego, do pracy na polu tak szczęśliwie staraniami dotąd podjętemi przygotowaném, do zbierania coraz obfitszych korzyści. A wzywamy je z przeświadczeniem, iż odtąd starannie oddzielać będzie chude ziarna od pełnych: bo tylko tym sposobem spełni swe poczciwe zadanie, tojest, wpoi zamiłowanie powszechne do ojczystych zabytków.

Aleksander Adamowicz

Słówko o mennicy Łobżenickiéj.

Pan Przyborowski podał do marcowego poszytu Biblioteki Warszawskiéj, artykuł pod napisem *Mennica Łobżeńska*, w którym autemi wyciągami z akt miejskich łobzenickich dowodzi,

że w Łobżenicy była za panowania Zygmunta III, mennica i legalność téj mennicy przeciw konstytucyi 1601 roku opiewającéj: „*Mennice wszystkie, w których ludzie prywatni po rożnych miastach i miasteczkach* in suum commodum *pieniądze bili aby* exnunc *z niesione były rozkazujemy, czego starostowie dojrzeć i bronić mają* (1), usiłuje podeprzeć tém, że akta miejskie w Łobżenicy nazywają Beckera, bijącego tam niegdyś zdawkową monetę, *mencarzem łobżeńskim*. Jużcić skoro Becker bił w Łobżenicy pieniądze, prawnie, czy nieprawnie, i miał tam chatę drewnianą, z jakich się wówczas całe miasteczko składało, w któréj warsztat swój mincarski założył, akta wójtowskie i radzieckie tego miasteczka nie mogły go nazywać *mencarzem* pacanowskim, lub osieckim, tylko *łobżeńskim*, a jego chatę mennicą. Ale nie idzie zatém bynajmniéj, aby Becker postępując wbrew uchwale sejmowéj z roku 1601, bijąc pieniądze z krzywdą skarbu królewskiego *in commodum suum*, a może *in commodum* właściciela Łobżenicy, bo zapewne musiał za to coś dworowi opłacać, nie był fałszerzem bez względu na to, jaką wartość wewnętrzną miały pieniążki, rozrzucane po kraju z jego pokątnéj mennicy: bez względu na to, czy Becker lub właściciele Łobżenicy mieli przywiléj królewski (2) na mennicę, lub nie, bo król uchwał sejmowych nie mógł obalać, a uchwał sejmowych niewydawano téż na igra-

(1) Konstytucye późniejsze nie uchyliły nigdy konstytucyi z roku 1601, co do zakazu bicia monet przez ludzi prywatnych; był on zatém wciąż obowiązującym.

(2) Ale ani Becker, ani Krotowski i Sieniawski, właściciele Łobżenicy, nie posiadali królewskiego przywileju na mennicę. Becker bił poprzednio monetę w Poznaniu na mocy przywileju danego Poznaniowi: nie miał go zatém na osobę swoję, bo mając, oblatowałby go był w aktach grodzkich i miejskich, jak inni mincarze wielkopolscy robili. W podobnym razie zrobiłby był toż samo Krotowski, który w aktach grodzkich kontrakt swój z Czarnkowską o Wielań oblatował. Kontrakt ten przechował się dotąd szczęśliwie w tych aktach. Za cóżby się nie miał w tych samych aktach przechować przywiléj Krotowskiego na mennicę, gdyby go oblatował; a posiadając takowy przywiléj, oblatowałby go był niezawodnie, i to nie w jednym grodzie. Łobżenica, mała mieścina szlachecka, nie mogła także mieć przywileju na mennicę, bo niema wdziejach naszych przykładu, aby monarchowie polscy miastom szlachekim nadawali prawo bicia monety. Rzecz więc jasna, że Becker biję bezprawnie pieniążki w Łobżenicy, był fałszerzem, a jego kuźnia nie może być uważaną za mennicę krajową. Jeżeli ją jednak p. Przyborowski za taką chce koniecznie uważać, niemam nic przeciwko temu. Niech więc nie ubolewa, że nateraz nie może jeszcze wykazać, jakiém prawem istniała. Powiem mu jednak, że istniała prawem możnowładcy, dla którego konstytucye i prawa krajowe były martwą literą.

szkę, lubo niestety, przyznać trzeba, że w dawnéj Pólsce gwałcono je bezkarnie nieraz, niestokroć, zwłaszcza za panowania Zygmunta III, za którego rządów wojny z Szwecyą, Moskwą, Turcyą, najazdy Tatarów, bunty Kozaków, rokosz Zebrzydowskiego, związki wojskowe, reakcya religijna i t. p. odwracały uwagę rządu i narodu od spraw wewnętrznych kraju nierównie większéj wagi, niż są owe *ternary łobżeńskie*. Mógł je zatém w takowym stanie kraju Becker, siedzący pod protekcyą możnowładzcy w Łobżenicy, bić sobie swobodnie i bezkarnie przez długi przeciąg czasu: co też i robił.

Znany powszechnie historyograf wielkopolski, który bynajmniéj nie rości pretensyi do p. Przyborowskiego, aby mu *cześć* oddawał, nie przeczył też nigdy, aby w Łobżenicy nie bito drobnych pieniążków; owszem w przytoczonym przez p. Przyborowskiego Numerze Kroniki Warszawskiéj powiedział wyraźnie, że mincarz poznański Becker, wyniósłszy się cichaczem z Poznania do Łobżenicy, bił tam bezprawnie, a zatém jako fałszerz, drobną monetę; ale słowom p. Przyborowskiego: „*Zagadniony od Karola Beyera zacząłem się krzątać za śladami mennictwa w Łobżenicy i znalazło się (czytaj: znalazłem) przynajmniéj tyle śladów, że te ślady dla numizmatyków były dowodami dostatecznemi istnienia mennicy nad rzeczką Łobżanką*", zaprzecza w imię prawdy i nauki jak najuroczyściéj. Pan Przyborowski chce tu uchodzić za odkrywcielа owéj, *si Diis placet*, mennicy łobżenickiéj, ale się ani domyśla, że odkrył Amerykę po Kolumbie. O téj bowiem jego mennicy *łobżeńskiéj* i o pieniążkach w niéj bitych wspomnieli już: Wojciech Gostkowski w książce: *Sposób jakim góry złote i srebrne w Królestwie Polskiém naprawić* i t. d. i redaktor pisma peryodycznego: *Thornische Nachrichten von gelehrten Sachen*, z roku 1763, a może jeszcze i inni. Dowodzenie zatém istnienia wiadomèj już zkądinąd rzeczy, przez p. Przyborowskiego wyciągami z akt łobżenickich o *mencarzach łobżeńskich, mencarkach Dorotach*, było zbytecznem i wygląda tak, jakby *np.* kto chciał dowodzić wyciągami z metryki koronnéj, że Zygmunt III był królem polskim. Wyciągi p. Przyborowskiego łobżeńskie mogą się wprawdzie przydać do jakiéj monografii, ale nie okazują w p. P. bynajmniéj *takiego badacza, któryby sumiennem zbadaniem przedmiotu i stanowczém wystąpieniem oszczędził numizmatykom dalsze mozoły*, bo dowodził bez potrzeby rzecz już dobrze wiadomą, a nie dowiódł niewiadomèj, tojest nie dowiódł, że rzecz ta była legalną. Takich też *mencarzów łobżeńskich* p. Przyborowskiego

znalazłoby się bez liku po innych miasteczkach i miastach Korony i Litwy w aktach ich *urzędowych*, bo w przeciwnym razie konstytucya z roku 1601, nie byłaby wspominała o ludziach prywatnych, którzy po *różnych miastach* i *miasteczkach* pieniądze bili. Gdyby p. Przyborowski z akt jakiego miasteczka wyśledził takiego *mencarza*, o jakich konstytucya z r. 1601 mówi, (a znalazłby może jakie wskazówki do odkrycia takich *mencarzy* w rozporządzeniach podskarbich koronnych, Dulskiego, Stanisławskiego, Warszyckiego, oblatowanych w aktach grodów wielkopolskich, które ma pod swoim dozorem) natenczas: *historyograf wielkopolski*, wykrzyknąłby: cześć konserwatorowi archiw krajowych, który z skarbów powierzonych pieczy swojéj umie dla dobra nauki korzystać! Ale za swoje wyciągi łobżenickie, które mu może jeszcze inny jaki badacz wielkopolski nadesłał z akt, których kart p. Przyborowski nietylko *godziny*, ale może i minuty nie przewracał, nie zasługuje p. Przyborowski nietylko na *cześć*, ale nawet na podziękowanie (1).

J. Łukaszewicz.

(1) Redakcya Biblioteki Warszawskiéj, zamieszczając niniejsze słówko p. Ł. uważa jednak za swój obowiązek nadmienić, iż wcale nie podziela wynurzonego powyżéj zdania, jakoby p. Przyborowski na wdzięczność naszę nie zasługiwał. Że w dziełach XVII i XVIII wieku, dowody na istnienie mennicy łobżeńskiéj także się teraz wynalazły, nie umniejsza to zasług p. Przyborowskiemu; dzieła te bowiem są rzadkie, dla ogółu nieprzystępne, a nawet uszły uwagi autorów naszych numizmatycznych. W specyalnych bowiem dziełach temu przedmiotowi poświęconych, jako to: Numizmatyce krajowéj K. W. Bandtkiego, Monetach dawnéj Polski Ignacego Zagórskiego, niemniéj we wszystkich drukowanych katalogach zbiorów numizmatycznych polskich Wilh. X. Radziwiłła, R. St. Reichla, Mikockiego, Mathego ect., znajdujemy nieodmiennie monety w Łobżenicy bite, zamieszczone jako łobzowskie. Błąd ten sprostował pierwszy p. Przyborowski i téj zasługi nikt mu ująć nie może; następnie wywiązała się w dziennikach przydługa polemika, w któréj po jednéj stronie występowali p. Przyborowski i Karol Beyer, po drugiéj bezimienni, utrzymujący z początku, iż w Łobżenicy wcale mennicy niebyło; powoli jednak strony się zbliżyły tak, iż dzisiaj nikt jéj istnienia nie zaprzecza, a spór się tylko o jéj prawność wiedzie. Redakcya Biblioteki zamieściwszy więc w zeszycie marcowym b. r. swego pisma pracę p. Przyborowskiego, teraz zaś uzupełnienia p. Łukaszewicza, oświadcza, iż o tyle tylko dalsze artykuły zamieszczać będzie mogła, o ile one nowo wykryte materyały do dziejów polskiego mincartwa zawierać będą. (*Przyp. red.*).

Poemata mniejsze i strofy ulotne, Jana Chęcińskiego. Warszawa. 1860 *r.*

Ziarna i plewy. Pisma oryginalne i tłumaczone przez Władysława Sabowskiego. Warszawa. 1860 *r.*

Tehe czyli zburzenie Aułu-Dubby, powieść kaukazka, przez W. Dawida. Warszawa. 1860 *r.*

Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich, przekład Romana Żmorskiego. Warszawa. 1860 *r.*

Gdyby nam p. Chęciński nie był znany zkądinąd, tojest z poematu: „*Aniol* i *Czart*" i z komedyi: „*Szlachectwo duszy*", to z obecnego zbiorku słabe, mylne nawet moglibyśmy o nim powziąć wyobrażenie. Zbiorek ten przedstawiony, jako pierwotna próba, uderzyłby nas i zdziwił udatnością formy zewnętrznéj, posuniętą częstokroć aż do wyszukania; ale gdyby go przyszło rozebrać z tych strojow, które są do nabycia kosztem cierpliwości, przy lekkiéj choćby pomocy wrodzonego gustu, to jakiżby z pod tych sztucznych ornamentów wychylił się naturalny wdzięk? Trochę dowcipu, trochę ciepła dla wewnętrznéj formy; fantazyi daleko mniéj; a myśli więcéj zaczerpanéj z zewnątrz, niż samodzielnéj. Zdaje się, że pierwszy Syrokomla wprowadził do literatury naszéj poetyczne komentarze przysłów narodowych; p. Chęciński też pochwycił tę sposobność, aby napisać dwa blade wiersze: *Zamki na lodzie* i *Nie ma złéj drogi do mojéj niebogi*. Dziś zapewne tegoby już nie zrobił, przekonanym będąc, że przysłowie już samo z siebie jest prześliczną kroplą karminu wyciśniętą z drzewa myśli i doświadczenia, i że ta rumiana kropla rozpuszczona w beczce słów bynajmniéj jéj nie zaczerwieni, a sama barwę utraci. Zarzut zbytniéj rozciągłości w formie stosunkowo do treści, możnaby również zastosować do gawędy *Pan Gramola*, w któréj autor tonem krotochwilnym okazuje, że złodziéj na dorobku szkodliwszym jest i niebezpieczniejszym od tego, który już się dorobił: zaletą takich spostrzeżeń, jeśli objawiają się w poetyckiéj formie, jest werwa epigramatyczna, któréj tajemnicy dotąd po śmierci Krasickiego jeszcze nie odszukano; bez téj zalety trudno nam taki temat pojąć w poezyi. Na rachunek *gawędy* weszło u nas dużo podobnych tematów; gdybyśmy się nie opamiętali, to nareszcie każda anegdota równém prawem wtoczyłaby się

w rymowaną strofę, a wtedy musielibyśmy się postarać o nową definicyą poezyi.—Prawdziwie poetyczny żywioł znalazł p. Chęciński w kilku podaniach ludowych, jak: *Kłos pszeniczny* i *Skrzypki z inkluzem*; totéż tu, mianowicie w ostatnim wierszu zadrgało silniéj jego artystyczne serce. Trafił on tam na swój przedmiot: Grześ, jak raz zagrał na swoich skrzypeczkach, tak nic już pieśni z duszy wyrwać mu nie może; daremnie codzienna potrzeba wzywa go do pługa, daremny głos rodziców i boleść kochanki; Grześ nie zna, nie czuje innéj potrzeby, nie słyszy innego głosu tylko głos pieśni, która śpiewa w jego piersi: on za nią pójdzie samotny, w nędzy i niedoli aż do grobu, nie umilknie aż w ziemi. Tak pojął poeta tego podaniowego inkluza i w prostym śpiewie zawarł całe życie poświęceń i téj bolesnéj rozkoszy, jakiéj doznają prawdziwi wyznawcy sztuki. Grześ walczył długo i boleśnie pomiędzy miłością dla sztuki, a miłością rodziców i kochanki, którzy wzywali go do pracy, do codziennego trybu życia; a nie mogąc dłużéj wytrzymać téj walki, z rozpaczą rozbił zaczarowaną skrzypkę: umilkła pieśń a z nią umilkło i życie, które było pieśnią:

Od Grzesiowéj mogiły
Wóz powraca się luzem.
Oj, cóżeście zrobiły
Cudne skrzypki z inkluzem!

Kto was dotknie się ręką,
Już nie będzie sposobu:—
Albo jemu z piosenką,
Albo bez niéj do grobu!

Niemniéj rzewnym i prawdziwym jest wierszyk p. t. „*Obrazek w chacie*", który wyobraża Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem. Chłopię wiejskie bierze sobie ten obrazek za świadka i sędziego wszystkich swych czynów i zamiarów; uważa, iż święci na obrazku, jakoby żywi, to uśmiechują się, to płaczą, w miarę jak szczęście lub niedola zagląda do chaty; to znów chmurném spoglądają okiem, kiedy chcieliby zganić jakiś postępek, lub wzajemnie radość powiewa z ich oblicza na widok pięknego czynu: i tak to chłopię w oczach świętych znajduje dla siebie drogoskaz życia i cnoty, świadectwo Opatrzności. Cały ten obrazek jest jedném tchnieniem prostoty, wypowiadającéj uczucie szczeréj pobożności.

Oprócz tego cośmy wyżéj wymienili, znajduje się w tym zbiorku jeszcze kilkanaście drobnostek, pośród których odróżnia się sarkazmem wierszyk *Dwa motyle*, a mazur *Jagna i Stach*, dosadną dykcyą; o reszcie trudno coś powiedzieć: nie jestto bowiem praca ducha poetycznego, tylko raczéj *far niente* lite-

rackie, bardzo eleganckie, to prawda, ale więcéj sztambuchowego znaczenia. Pośród tych jednak drobnostek napotykamy jeden urywek na ostatniéj zamieszczony stronnicy, który lubo bez pretensyi, zawiera może więcéj istotnego uczucia, niż cała książka, jestto: *Mowa pogrzebowa*, którą autor napół ze śmiechem, napół z płaczem napisał dla *siebie*. Największym błędem tego utworu jest to, że go autor napisał o lat kilkadziesiąt zawcześnie; a co do reszty, tak on mniéj więcéj sam siebie opisuje:

A był-to człek nie lada, miał liczne zalety,
Kawałek komedyanta, trochę wierszoklety,
Krótkie życie przepędził w scenicznym mozole,
A już-to najwyborniéj grał amantów role!
Bywało miłosnego uda bohatera,
W śmiesznych się miejscach na płacz, w smutnych na śmiech zbiera.
A do grobowéj deski manija mu nie zbrzydła,
Stawiać zamki na lodzie, gryzmolić wierszydła.
A i serce miał pono, niezłym był kolegą,
Tylko zawsze był kwaśny: djabli wiedzą czego.
Miał i wady... ba! komuż mieć się ich nie zdarzy?
Z cnót największą, nie cierpiał plotek i plotkarzy:
Niechże się garstka ziemi posypie na trumnę,
Zmarł Jan; z wszystkich dzieł jego, to pierwsze rozumne!

Ponieważ całą tę mowę uważamy za żart, przeto nie protestujemy, tembardziéj, że i sam autor już nieraz temu zbyt jawnie zaprzeczył i niezawodnie będzie więcéj podobnych zaprzeczeń, gdyż p. Chęciński jest jednym z tych dziwnych a rzadkich ludzi, którzy więcéj dotrzymują niż przyrzekli; dowodem nawet byłby obecny zbiór jego poetyckich drobnostek, gdyby te, jak na obietnicę, nie przyszły za późno.

— Nie wiem, czy kto obszerniéj dotknął piórem krytycznem prac p. Sabowskiego: nie są-to wprawdzie rzeczy, z którychby pysznić się mogło piśmiennictwo nasze, ale nie wszystko też jest tak nic nie znaczące, aby zasługiwało na pełne szacunku i obojętności milczenie. Poczynającemu zawsze należy się słowo moralnéj zachęty lub zniechęcenia, jedno i drugie zarówno ważne, jeżeli je ktoś sprawiedliwie wypowié: któregoż więc mamy użyć w zastosowaniu do obecnych p. Sabowskiego utworów? Jużto ktoby trafił na sposób zniechęcenia nas do pisania wierszy, miałby prawo niezaprzeczone do kilkuset dni odpustu; bo tych wierszy tyle się u nas rodzi, a przez nie tyle wyłazi na wierzch próżniactwa, marnotrawstwa czasu i tyle szkolnych egzercycyj, że doprawdy zachęta szkodliwszą byłaby od znie-

chęcenia. Kto ma duszę prawdziwie poetyczną, talent niezaprzeczony, ten kieruje się tajemniczemi poszeptami niewidzialnéj muzy, a bynajmniéj nie uwagami krytyki; gromy jéj go nie oniemią, oklaski nie ogłuszą, spostrzeżenia nie podniosą. Krytyka jest tylko komentarzem dzieła względem ogółu, nie zaś nauczycielką, rozumie się, w rzeczach natchnienia: co innego w rzeczach namysłu i rozumowéj analizy. Nie łudźmy się tedy jakimś często, lecz bezzasadnie powtarzanym frazesem, że krytyka wytyka kierunki w dziedzinie estetyki: ideał bowiem nie jestto abstrakcya wylęgła w jakiéjkolwiek szkole, ale jestto żyjący dogmat religii piękna, promień objawienia powszechnego, tradycya odwieczna, którą sztuka w swobodzie swéj poprawia, upięknia lub kazi; a zasługa i działanie krytyki polega tylko na tém, iż ona jest pierwszą, która, jako przednia straż umysłowa, zdąża śladem twórców, prowadząc za sobą mniéj pospieszny ogół i sądzi to, na co patrzy, czego dotyka. Dlatego też nie wiem, jakiém prawem p. Sabowski składa w przemowie obowiązek na krytykę, aby z plonu, który on czytelnikowi ofiaruje, wywiała *plewy* tak, iżby czyste zostało się ziarno. Jako igraszka słów, jestto może dowcipnie powiedziane, ale my zapytamy się go najniedowcipniéj, dla czegóżto sam autor w tém nie uprzedził krytyki, i zapytamy się go na seryo, pytanie to stosując do téj mianowicie części zbioru, który nosi tytuł: *Rymy okolicznościowe*. Jest ich tu wprawdzie niewiele, sześć tylko, a w kilkunastu kartkach, na których się mieszczą, zawierają one kilka figlarnie rymowanych koncepcików w sam raz do Momusa: takie wiersze piszą się massami po wszystkich powiatach, nie unieśmiertelniając się drukiem, i ta chwalebna wstrzemięźliwość nadaje im jakąś specyalną wartość, którą druk, przeciwnie, odbiera. Ton sarkastyczny prowadzony dość żywo przewodniczy innemu także działowi p. t. *Drobne pisma*, które rzeczywiście zbyt są drobne, aby mogły być przedmiotem dłuższego zastanowienia. Młody autor dobrze włada językiem, rymuje po większéj części wspaniale; ale myśl jego w nader ciasném obraca się kółku: ani wyżéj podlecieć, ani ciepła z siebie wydobyć nie może; dlatego też piszący ubiega się o koncepta i najchętniéj chwyta, gdzie może jakieś komiczne przypadłości, które rzeczywiście umie wypowiedzieć z pewną dobroduszną, jeszcze komiczniejszą naiwnością, czasem znowu ze zbyt wydatnym uśmieszkiem satyra. W każdym jednak razie pochop do konceptów uniósł go za

daleko: wiersz p. t. *Kapusta*, tu umieszczony już jako reprodukcya, a przedstawiający trywialny opis téj rośliny i jéj patologicznych działań, jest dowodem tak złego smaku i takiéj nieoględności na godność pisarską, że nie pojmujemy, jakim sposobem aż dwa razy mógł ukazać się w druku.

Mocne poczucie ujemności i brzydoty, jakie niezaprzeczenie posiada autor i jakiego istotnie w dobréj używa sprawie, usposabiają go do satyry, która tu na szerokiém tle rozwinęła się w powieści: *Józia i Zosia*. Obrazek to wzięty z realnego życia, dość żywo przedstawiający prawdę, ale prawdę jednostronną i najszkaradniejszą, w wierszach przeciwnie niepospolitego wdzięku i niezmyślonéj siły komicznéj. W rzeczy tego rodzaju nie obfituje piśmiennictwo nasze, a ten utwór p. Sabowskiego odznacza się pewną oryginalnością, jeśli odrzucimy wpływy, jakie na autorze mogło wywrzeć czytanie takich utworów, jak Don Juan lub Oniegin. To pewna, że p. Sabowski dziś już umiał się odróżnić: na złe nie oburza się nigdy, nie wiem nawet, czyby potrafił wydać silniejszy okrzyk; ale odziewa się jakimś płaszczykiem spokoju, spogląda z ustronia na świat, unikając zwrócenia na siebie uwagi, i dopiero cichutko ale nielitościwie wyśmiewa się z niego. W obecnéj nawet powieści tak sobie zdradliwie postąpił, że z początku wszystkich troje bohaterów można było wziąć za próbki ideałów, aż tu dopiéro potém rozwija się cała parada nicestwa i cynizmu. Sarkazm jego nie pochodzi jednak z piersi przepalonéj uczuciami: nie są to świetne żużle wulkanu, to już widać naturalne zimno ale nie pozbawione fantazyi, która jednak zewnętrzną tylko formą zbliża się do poezyi, a w gruncie jest sobie jowialną prozą powszednich dykteryek. O ile dotąd widać, obrał sobie p. Sabowski stanowisko Demokryta; nie do nas należy spychać go ztamtąd i prowadzić w sfery zapału i walki, jeśli on do tych sfer sam nie czuje usposobienia, przekładając po woli czy po niewoli bierne stanowisko zimnego obserwatora: o tém wszakże możemy go zapewnić, że tą drogą nie wchodzili ale zstępowali prawdziwi mistrze.

— Utalentowani pisarze nasi, których okoliczności zbliżyły do Kaukazu, odkryli nam część téj dziko-majestatycznéj panoramy; do liczby ich należy i p. Wincenty Dawid. Czytaliśmy dawniéj w tém piśmie kilka jego ustępów z podróży, prozą; dzisiaj spotykamy go tam z lirą w ręku. Czy zawód minstrela odpowiada zdolnościom p. Dawida, jest to jeszcze dla nas zapytaniem, na które jego *Tchs* nie daje odpowiedzi; ale, o ile znamy zkądinąd

p. Dawida, wiemy, iż jest człowiekiem estetycznie ukształconym i dlatego dziwimy się, że nie dopatrzył, jak ubogim jest w żywioły poetyczne wybrany przez niego przedmiot. Treść zaczerpnięta z życia kaukazkiego, może być albo prostą mozaiką obyczajów, a wtedy, ograniczając się na samém obrazowaniu, w miarę pochwycenia idealnéj prawdy, w miarę żywości kolorytu, stanie się poetycznym obrazkiem, albo też rzuci się w wir namiętności i wtedy musi dramatyzować. Tu autor chciał połączyć jedno z drugiém i w obojgu przepłynął po powierzchni. Bohaterem jego jest prosty i najprozaiczniejszy zdrajca, który mszcząc się za odmówienie narzeczonéj, naprowadza giaurów na auł swego przeciwnika. Są wprawdzie przykłady nawet bardzo świetne, mianowicie w literaturze angielskiéj, że złoczyńcy stanowią istotę całych poematów; to nie sprzeciwia się założeniu poezyi: szkaradzieństwo szatana może zachwycić w obrazie doskonałością w odbiciu myśli, trafnością ideału złego: ale ta swego rodzaju piękność zależy na wybornem przedstawieniu wnętrza przedmiotu, wszystkich odcieniów zgrozy duchowéj, na wykazaniu rozmaitych sprężynek téj piekielnéj maszyny, jaką jest dusza złego człowieka. Tu zaś p. Dawid sam nie wié, co ze swym bohaterem począć i jak nim zaimponować. Nasamprzód każe mu spełnić kilka świetnych czynów wojennych, któreby go uczyniły godnym ręki córy wojowników; a gdy pomimo to, rodzina wbrew przyrzeczeniu odmawia mu jéj, Issan siada na konia, za chwilę widzimy go w obozie nieprzyjaciół, za drugą już im przewodniczy w góry; po zburzeniu aułu znika nam z oczu zupełnie i znowu wychodzi, aby zabraną do niewoli *Tehę* uprowadzić. Uprowadzenie to jednak nie jest owocem jego dzielności, to owszem tylko fawor przeciwników; Issan tuląc do siebie narzeczoną, która, z całéj powieści niewiadomo nawet, czy go kocha czy nie, spostrzegł na jéj szyi krzyżyk, pamiątkę poczciwego chrześcianina, który nią opiekował się w niewoli: widok ten wściekłością przejął Issana, dziki Czeczeniec topi nóż w piersi narzeczonéj a sam ginie bez wieści. Wszystko to stanowi szereg faktów, które o ile są prawdziwe o tyle stanowią pewną charakterystykę, godną zapisania w rejestrze wiadomości o Kaukazie, ale z poezyą nie mają one żadnego związku, bo stoją tylko jako rezultaty bez najmniejszego psychicznego obrobienia. Poeta tak oszczędza swych bohaterów, że prócz jednéj sceny w więzieniu Tehy z uczciwym żołnierzem, wszystko wreszcie sam za nich robi i mówi, kommentuje stan ich usposobień w pe-

wnych momentach, gruppuje lub rozdziela, istnie jak dyrektor figur mechanicznych: a to nie jest sposób, którym się dramat życia wyraża; wypadek, zdarzenie, katastrofa, to jeszcze nie materyał do poezyi, to dopiéro farba i płótno, jeszcze potrzeba ręki i serca. P. Dawid, jako pisarz, któremu i w prozie niebrak uczucia, dał nam tu kilka pięknych zwyczajowych epizodów, zajął nas kilką szczegółami natury i wojny kaukazkiéj; te rzeczy mogłyby pryncypalne miejsce zajmować w pamiętniku, a tu, jako dodatki do dramatu, nie stanowią jego wartości. Najsmutniejszą tu jeszcze uczynić musimy uwagę, ale i nieodzowną, bo cokolwiek można wybaczyć piszącemu, nigdy wszakże lekceważenia, (nie powiadamy nieznajomości) języka, w jakim pisze. Niechże nam więc p. Dawid wyjaśni, zkąd się wzięły w jego powieści następujące wyrażenia:

(Str. 8) pieśń przerywana *od* huku bębnów.

(Str. 20) nie brak tu było *w* mięsie ni nabiałach, ni *w* żadnym napoju.

(Str. 21) mszcząc Sucheckiego *śmierci* i swych *zgubę*:

Są to tylko uchybienia grammatyczne, nielicząc uchybień stylowych, których tu wyraźnie p. Dawid nie pragnął się ustrzegać. Ze wszystkiego pokazuje się, że to praca napisana dawno i nietknięta spoczywała w tece, dopóki jéj, po napisaniu, pierwszy nie odczytał zecer.

— Pośród rozmaitych i rozmaitéj wartości produkcyj i reprodukcyj poetyckich, jakich nam początek bieżącego roku dostarczył, zabłąkał się i jeden przekład: *Lazarica*. Prawda, że to tylko przekład, a zatém nie można porównywać go z pracami oryginalnemi; rzecz to cudza, do nas przeniesiona tylko w gościnę; ale niech nam wybaczą autorowie, o których mówiliśmy poprzednio: wolelibyśmy od nich przekład podobny, niż te płody samodzielnego natchnienia, jakiemi nas w obecnych zbiorach swych obdarzyli. Jakiéjże to czci godzien jest naród, który ma podobną Lazaricę: to nie piosneczka, nie utwór, do któregoby przykładać można miarę tylko estetyki: to głos wszechstronny całego narodu, który echem przechodzi z pokolenia w pokolenie, a nie ma przerwy, przestanku w téj wielkiej pieśni, bo ją cała bez wyjątku trzymilionowa ludność śpiewa tonem wspólnéj tradycyi, wspólnych klęsk i tryumfów, doli i niedoli. Taką to wielką pieśnią jest epopeja serbska, któréj cząstkę, cykl jeden, stanowi obecna nam Lazarica. Chcąc zapatrywać się na epopeję serbską, trzeba porzucić myśl wszelkiéj poezyi książkowéj, spo-

rządzonéj już według pewnego kryteryum estetycznego, ale porównać ją z dwiema innemi bliżéj znajomemi naszemu europejskiemu światu, tojest: homeryczną i ossyańską. Mogą pomiędzy niemi trzema zachodzić pewne różnice miejscowe co do pojęć, serbska jest już bowiem chrześciańską, późniejszą: różnice co do formy i wartości artystycznéj; ale zasada, popęd i okoliczności tworzenia są też same. Tu i owdzie widzimy społeczeństwo jednolite, jednostki równouprawnione, bez różnic co do wychowania, prerogatyw stanu, obyczaju, a temsamém i interesu politycznego; więc też epopeja serbska tak dobrze jak grecka nie jest wyłącznością pewnéj klassy, jak średniowieczna *minna*, nie jest *ludową* w znaczeniu dzisiejszém, to jest wyrazem uczuć nieruchomego pokładu społeczeńskiego; ale w zupełności *narodową*, gdyż w narodzie serbskim jak dawniéj tak i dziś nie ma rozdziału ludności, nie ma przeto rozdziału uczuć i widoków: tam kmieć i rycerz są w jednéj osobie. Lazarica jest to zbiór rapsodów, odnoszących się do jednego równie wielkiego jak bolesnego faktu, tojest bitwy na Kosowém polu, która położyła koniec samodzielnemu politycznemu bytowi carstwa serbskiego. Bohaterami pieśni są: car Lazar, wojewodowie: Miłosz, Obylicz, Jug-Bogdan, i inni mniéj historyczni, którzy w świętéj polegli sprawie. Wielkie było poświęcenie tych ludzi, ale też i wielką dla nich miłością naród rozbrzmiał w tych prostych pieśniach; każde tam słowo jest głosem czci i wdzięczności z głębi duszy pochodzącym; czujemy, czytając, że bezimienny poeta ze łzami w sercu dotykał tych relikwij narodowych i serdecznym żalem jęczał nad każdym prochem. Serbowie nie oddzielili sprawy kraju od zasług dla ojczyzny niebieskiéj: car Lazar jest dla nich świętym, a ostatnia pieśń Lazarycy zawiera niewymownie piękną tradycyą ostatniego pogrzebu ukochanego cara. Wiadomo, że Lazar żywcem przez Turków pojmany, został ściętym i ciało jego pochowano na miejscu, a pieśń dodaje, że nie widziano gdzie padła głowa. Widział ją tylko jeden Turczyn młody, urodzony z matki Serbki, i podjął ją ze czcią i wrzucił w głęboką krynicę, gdzie leżała przez czterdzieści lat; a gdy po latach czterdziestu młodzi powoźnicy podeszli tam po wodę, jeden z nich spójrzawszy na dno ujrzał jakoby miesiąc jasny, ale drugi przeczuciem odgadł prawie, i sięgnąwszy ręką, wydobył z krynicy głowę cara, która toczyła się po polu, aż dotoczyła się do miejsca, gdzie leżało ciało i zrosła się z niém. Dopieróż lud z zakonnikami i wszystkiemi pa-

tryarchy modlił się do świętego, ażeby wskazał, w któréj cerkwi chce pozostać na spoczynek; a

Święty nie chciał w żadną cerkiew cudzą;
Chciał spoczywać w własnéj cerkwi swojéj,
W swojéj cerkwi pysznéj Rawanicy,
Pod wysoką Kuczają— płaniną,—
Co ją kiedyś sam car wybudował,
Wybudował jeszcze za żywota,
Cerkiew Bogu, wieczny dom dla siebie,
Własnym groszem, własném mieniem swojém,
Bez łzy jednéj ubogiego ludu.

Ze wszystkich pieśni serbskich, które literatura nasza zawdzięcza przekładom p. Zmorskiego, Lazaryca z saméj treści jest najbardziéj interesującą, ale i bezpośrednio jako poezya, śliczne to dzieło. Umiejętny przekład zachował nam cały charakter prostoty i wdzięku oryginalnéj formy; wiersz rymowy dodałby zapewne uroku tłumaczeniu polskiemu, ale wtedy jużby nie leżało w mocy tłumacza pozostawić w każdym szczególe nietkniętém piętno oryginału. Poprzestajemy więc na tém co jest, szanując pracę, która obeznaje nas z treścią i formą poezyi najdzielniejszego z bratnich nam plemion (1).

dnia 3 Kwietnia 1860 r.

Kazimierz Kaszewski.

Kilka słów z powodu zdania p. Szajnochy o dwóch groszach łanowych, i opisu Zjazdu Koszyckiego, przez tegoż.

W znakomitém dziele swojém Jadwiga i Jagiełło, którego drugie wydanie jest obecnie zapowiedzianém, p. Szajnocha poświęcił dopisek czwarty do tomu I, uzasadnieniu zdania swojego o dwóch groszach łanowych.

Według p. Szajnochy, drobna szlachta uprawiająca własną ręką swój zagon, była obowiązana płacić poradlne. Przywodzi p. Szajnocha w poparciu tego zdania wyrazy Lelewela i Kromera i powołuje się na historyą prawa Bandtkiego; mnie zaś przypisuje zdanie przeciwne.

Rzeczywiście zachodzi między p. Szajnochą i mną różnica w zdaniu, lecz różnica ta dotyczy raczéj odmiennego zapatrywa-

(1) W obecnym czasie wyszła też u nas z druku *Wieża siedmiu wodzów* p. Zmorskiego, ale przemilczamy o niéj, gdyż jeszcze w r. 1858 w tomie III Biblioteki ocenilišmy ten piękny poemat, podług wydania lwowskiego.
(Przyp. aut.).

nia się na znaczenie historyczne tak zwanéj drobnéj szlachty, niż wytkniętego przezeń punktu.

W dawnych pomnikach prawa polskiego, gdziekolwiek, pod względem podatkowym, mowa jest o szlachcie w ogóle, rozumianą przez to bywa szlachta mająca kmieci; z oddzielnych postanowień, nieraz na szarym, że tak powiem, końcu ustaw zamieszczonych, wykazuje się dopiéro, że to co o szlachcie w ogóle wyrzeczono, nie stosuje się do szlachty nie mającéj kmieci.

Za takim trybem wyrażania się dawnych ustaw polskich poszedłem i ja w mojéj rozprawie o finansach XIV i XV wieku; mówiąc o szlachcie w ogóle, rozumiałem przez to szlachtę mającą kmieci; stosunków szlachty kmieci nie mającéj, dotknąłem tylko tam, gdzie pojedyncze przezemnie rozbierane ustawy, podawały do tego sposobność.

Już z tych ostatnich ustaw, uważny czytelnik mógł powziąć przekonanie, że rozporządzenia podatkowe, o szlachcie w ogóle mówiące, odnoszą się właściwie tylko do wyższéj warstwy téj klassy ludności.

Nie od rzeczy będzie przecież szereg powołanych, w pracy w r. 1849 dokonanéj ustaw, zwiększyć pomnikiem nader ważnym i właśnie na stosunki drobnéj szlachty mocne światło rzucającym.

Pomnikiem tym jest potwierdzenie przez Zygmunta I artykułów ułożonych na Zjeździe Warszawskim, które Mazowsze zastrzegło sobie przy przyłączeniu go do Korony (Bandtkie, Jus polonicum str. 465 i n.).

W przywileju królewskim wydanym na sejmie Piotrkowskim 27 grudnia 1529 r. uchylone zostają nasamprzód wszelkie dawniejsze ciężary przez szlachtę ponoszone (*census*,... et universi redditus antiqui, ad quos ante nobiles ducatus Masoviae erant obligati dominis suis ducibus). Następnie po ogólném zatwierdzeniu praw i przywilejów, mieści się artykuł o opłacie poradlnego w słowach:

Nobilitas et subditi omnes nostri in ipso ducatu nil aliud nobis solvere tenebuntur nisi prout Nobilitas Majoris Poloniae solvere consuevit de qualibet włoka seu laneo agri locati et possessi duos grossos census alias poradlne, praeter eos qui habent jura censum non solvere (1) aut etiam minus quam duos grossos solvere consueverunt, hi in juribus eorum conservari debent."

(1) W objaśnieniu porównaj ustawę z r. 1507, Vol. Leg. I, pag, 364. Licet universi dignitarii terrarum et praesertim in Masovia suplicaverint ut

Przywiedziony w oryginale ustęp, odnosząc się do obowiązków podatkowych szlachty w ogóle, a nawet i wszystkich innych poddanych, mógłby naprowadzać na myśl, że przedmiot podatkowy jest w nim całkowicie wyczerpany.

Tymczasem końcowy (przed formułą potwierdzenia) artykuł przywileju pod nadpisem: benigna ratio pauperum nobilium: zwraca się raz jeszcze, ze względem na szlachtę drobną, do obowiązku podatkowego, wykazując zarazem jak odmienne były stosunki téj szlachty od zamożniejszéj braci.

Artykuł brzmi: Habere semper volumus benignam rationem pauperis nobilitatis, ut deinceps contribuant non a capitibus prout ante solvebant, sed de agris quos et quantum aliquis eorum possidet.

Widzimy ztąd, że drobna szlachta płaciła na Mazowszu od głowy (a capitibus) aż do przyłączenia tego księztwa do Korony; że i po tém przyłączeniu od podatku wolną być nie miała, lecz płacić go winna była z posiadanéj przez siebie roli, kiedy tymczasem obowiązek podatkowy ciążył szlachtę zamożniejszą tylko z włók kmieciami osadzonych. Takie bowiem jest znaczenie wyrazów de quolibet laneo agri locati et possessi, jak starałem się wykazać w rozprawie o finansach w XIV i XV wieku.

W reszcie kraju obowiązek podatkowy szlachty drobnéj był, jak mniemam w dawniejszych czasach, ten sam co na Mazowszu przed przyłączeniem go do Korony. Obowiązek ten uległ wcześniejszemu przekształceniu, lecz ślad dawnéj tożsamości pozostał się widoczny.

W historyi prawodawstwa finansowego polskiego, panowanie Zygmunta Starego stanowi niezapełnioną dotąd szczerbę. Z epoki téj posiadamy tylko ustawę z r. 1520 o pogłównem zamieszczoną u Januszowskiego fol. 326, opuszczoną zaś w Vol. Leg., tudzież urządzenia poborowe z r. 1527.

Pomniki prawodawstwa finansowego obfitsze są do czasów Zygmunta Augusta. W ustawach owoczesnych drobna szlachta

liberi sint a solutione exactionis nostrae duorum grossorum, nos tamen libertatem ipsam dictae exactionis non solvendae Palatinis dumtaxat et Castellanis loco Palatinorum Castellanatus obtinentibus damus concedimusque; volumus tamen quod in singulis terris et capitaneatibus, locorum capitanei census et proventus quoslibet, tempore predecessorum nostrorum et praesertim in terris nostris Masoviae Ducum tempore per Dignitarios percipi solitos, eisdem dignitariis terrestribus exsolvant.

(nazywana nobiles pauperes, colonos et census non habentes, szlachta uboga kmieci ani czynszów nie mający) regularnie jest pociągana do publicznego podatku, a to „według starych zwyczajów i quitancyi." Po artykule nakładającym na szlachtę drobną ten ciężar, następuje drugi, stanowiący, że gdzie na jednym łanie siedzi kilku szlachty, wszyscy razem tylko za jeden łan płacić mają (Vol. Leg. II str. 601, 663, 711, 734 i t. d.). To zastrzeżenie przypominające w treści swojéj, treść końcowego ustępu Mazowieckiego przywileju, zdaje się wskazywać, że i w reszcie kraju drobna szlachta od głowy niegdyś podatek płaciła.

Za takiém przypuszczeniem przemawia pierwotna jedność społecznego i prawnego stanu Mazowsza z resztą kraju; jedność chwilowo zatarta, z powodu opóźnionego rozwinięcia się Mazowsza, lecz stanowiąca wspólne tło praw polskich i mazowieckich.

Aby to zdanie bliżéj uzasadnić, aby wykazać o ile prawa mazowieckie mogą posłużyć za podstawę wniosków co do stanu prawnego reszty kraju, nie będzie może zbytecznem bliżéj wyjaśnić stosunek praw polskich i mazowieckich, chociażby w odniesieniu do jednego tylko przedmiotu; zwłaszcza że nam to poda sposobność ocenienia innych zdań p. Szajnochy, wyrzeczonych w opisie Koszyckiego zjazdu, to jest téj części dzieła, do któréj uczyniony został rozbierany powyżéj dopisek.

P. Szajnocha mniema, że głównym powodem oporu Wielkopolan przeciwko żądaniom króla Ludwika wnoszonym w Koszycach było, co do następstwa na tron jednéj z córek królewskich, zagłada dawnego obyczaju, wynikające ze spadkobierstwa niewiast, rozerwanie herbowej braterskości" co do żądania dwóch groszy z łanu „bezpośrednie, pieniężnie do ostatniego poniżenia wiodące niebezpieczeństwo."

Z Wielkopolski, według p. Szajnochy zagrażał „rygoryzm starodawnego obyczaju i gminowładztwa chodaczków," a „uznaną przez Małopolan w Wiślicy możność dziedziczenia żeńskiego odpychała nietylko Wielkopolska, lecz i cała reszta Polski jak tylko mogła najdłużéj, aż do Zygmuntów" (zwłaszcza Mazowsze" dodaje w przypisku autor).

Takie orzeczenia mocno trącą przesadą. Że wpływ cywilizacyi mocniéj i wcześniéj działał na Małopolskę, gdzie była stolica kraju, a późniéj i główna jego szkoła, niż na Wielkopolskę, na to chętnie zgadzam się z p. Szajnochą. Lecz Wielkopolska, a nawet Mazowsze, opierając się dłużéj wpływowi czasu, nie były przecież krajami gminowładztwa chodaczkowego, ani

też w mniemanéj przewadze politycznéj drobnéj szlachty, nad większymi posiadaczami, upatrywać można sprężyny tłumaczyć nam mające owoczesne wypadki.

Nie wiem o ile zasadném jest twierdzenie p. Szajnochy, że drobna szlachta była liczniéj w Wielkoposce, niż w Małopolsce osiadła; niezawodném jest przecież to, że klassycznym krajem szlachty drobnéj pozostało Mazowsze. Jeżeli gdzie zatém, to na Mazowszu, wpływ tego elementu społecznego powinien był być przeważniejszy. Widzieliśmy przecież z przywileju 1529 roku, jak poniżone było rzeczywiste stanowisko szlachty drobnéj.

Ogólną cechą ustaw mazowieckich jest to, iż odpowiadają stanowi społecznemu, jaki znacznie wcześniéj istniał w reszcie kraju. Uznał to już uczony wydawca starodawnych prawa polskiego pomników, Antoni Helcel, wyrażając się o statutach mazowieckich, jak następuje (str. 267).

„Właściwa ważność naukowa (ustaw mazowieckich) jest w treści saméj tych ustaw, które więcéj zachowały śladów prastarego zwyczajowego prawa przodków naszych, niż koronne, wcześniejsze nawet co do daty Kazimierza Wgo statuta."

Jedną z cech najwięcéj charakteryzujących stan rozwinięcia społecznego, którego stan prawny jest tylko odbiciem; są ustawy odnoszące się do spadków. Na rozwoju téj gałęzi prawa, najłatwiéj może będzie wykazać, o jaki przeciąg czasu Mazowsze wyprzedzić się dało innym częściom Polski.

Ze wszystkich ustaw Kazimierza W., ustawy odnoszące się do spadków, najwięcéj może nabawiły kłopotu nielicznych dotąd badaczów historyi naszego prawa. Upatrywano w tych ustawach sprzeczności, które różnemi sposobami starano się usunąć. Nie zupełnie szczęśliwy był w téj mierze Przeszkodziński; hrabia Stadnicki rzecz raczéj zaciemnił niż wyjaśnił.

Obydwaj ci badacze ustawy Kazimierza Wgo, odnoszące się do spadkowości córek, uważają za prawa saméj tylko Wielkopolski. Gdy zaś jedna z tych ustaw prawa spadkowości (1) córkom w dobrach rodowych zaprzecza, druga je przyznaje, dla usunięcia téj sprzeczności, Przeszkodziński przypuszcza, że

(1) Ustawy owoczesne odróżniają prawo następstwa *(succedere)* od prawa dziedzictwa *(haereditare)*. Pierwsze dawało tylko tytuł do objęcia w posiadanie dóbr, z których przecież można było być skupionym. Prawa spadkowe córek, o ile za Kaz. W. uznane były, ograniczały się tylko do prawa następstwa.

ustawa zaprzeczająca spadkowości, była prawem ogólném; ustawa przyznająca spadkowość, zwyczajem miejscowym, może Sieradzkim, w Piotrkowie odrzuconym i do prawodawstwa Kazimierzowego wciśniętym jedynie jako przepis prowincyonalny, który następnie zwyczaj upowszechnił, tak, że na zjeździe warteńskim, zasadę przez niego głoszoną za podstawę innych przepisów przyjęto. (Bibl. Warsz. z r. 1851, tom XLIII str. 226—227).

Hrabia Stadnicki znowu ustawę przyznającą spadkowość córek uważa za dawny zwyczaj Wielkopolski; ustawę odmawiającą téj spadkowości, za innowacyą Kazimierza W., usuniętą następnie statutem warteńskim. (Bibl. Warsz. 1859 wrzesień str. 627).

Mniemam, że to ostatnie zdanie, rozwój historyczny praw polskich o spadkach, zupełnie wykrzywia; trafniejsze w ogóle zapatrywanie się Przeszkodzińskiego, nie jeden przecież szczegół w fałszywém świetle przedstawia.

Zgodnie z Helclem uważam ustawę Kazimierzowską przychylniejszą spadkowości córek za przepis Małopolski. Skłaniają mnie do tego, oprócz pobudek przywiedzionych przez Helcla (Starod. Pomn. str. CLXXIII), ogólniejsze względy. Gdyby przepis art. 164 był nie małopolskim lecz wielkopolskim, to prawodawstwo Małopolski nie obejmowałoby ustawy urządzającej prawa spadkowe córek; prawodawstwo zaś wielkopolskie, obok niewątpliwie przyznanego mu przepisu odmawiającego spadkowości córek, mieściłoby przepis drugi, pierwszemu wręcz nieledwie przeciwny. Oba te przypuszczenia mało są prawdopodobne; drugie z nich tworzy nadto sprzeczność, usunąć się dającą tylko domysłami pozbawionemi gruntownéj zasady.

Badaczowi obeznanemu z rzeczą, niepotrzeba dowodzić, że spadkowość córek była innowacyą na polu najdawniejszego prawa polskiego: ze wszystkiego co wiemy o stanie społecznym i roli historycznéj, jaką odegrały dwie części Polski, Małą i Wielkopolską zwane, wnosić się godzi, że do przyjęcia takiéj innowacyi pochopniejszą się okazała Mało niż Wielkopolska. Opór Wielkopolan przeciw powołaniu do korony jednéj z córek Ludwika, dając nam obraz ich pojęć społecznych w czasach nieco późniejszych od Kazimierzowskiego prawodawstwa, rzuca tém samém odblask na stan prawny Wielkopolski.

Najprostszém zatém, najwięcéj stosunkowi historycznemu Mało i Wielkopolski odpowiedniém jest przypuszczenie, że ustawa Kazimierzowska przychylniejsza spadkowości córek jest

małopolską, tak jak niewątpliwie wielkopolską jest ustawa spadkowości téj przeciwna.

Obie te ustawy zresztą, noszą na sobie, chociaż w różnym stopniu, piętno charakteryzujące epoki przejścia, epoki ścierania się dawnych pojęć z nowemi. Dla téj niepewności stanowiska samychże ustaw, wyrozumienie ich stało się trudném, a tekstu w najrozmaitszy sposób zostały poprzekręcane. W gruncie przecież pomimo odmian tekstu, myśl zostaje ta sama.

Uważając co do ustawy wielkopolskiéj za tekst autentyczniejszy drugą wersyą Helcla, jako pełniejszą i loiczniejszą, któréj on też sam dał pierwszeństwo, (str. 186), znika większa część trudności, w wyrozumieniu téj, nie celującéj zresztą jasnością ustawy.

Ustawa ma na oku dwa głównie przypadki: pierwszy, gdy córki za życia rodziców w gotowiźnie wyposażone nie zostały; drugi, gdy nastąpiło takie, jedynie stanowcze, wyposażenie. Na przypadek pierwszy podane są zasady stanowienia wysokości posagu, z zastrzeżeniem dla braci i dalszych krewnych po mieczu, prawa posiadania dóbr. Jeżeli ojciec za życia wyznaczył córkom, jak mu to wolno było, posag w dobrach kupnych lub nadanych (ex Regia donatione obtenta, deservita), bracia mogli po śmierci ojca też dobra posiąść, spłaciwszy udziały sióstr przy życiu pozostających (1). Na przypadek drugi przyznana niewzruszalność wyposażenia rodzicielskiego, a jeśli (po śmierci rodziców) synowie się nie pozostaną, to dobra rodowe obejmą krewni, nic za nie córkom wyposażonym nie dając, dobra kupne i nadane przejdą wprawdzie na córki, ale krewni spłacić je z nich mogą. Nareszcie ustawa wyłącza kobiety od spadków w linii bocznéj (puścizna).

Druga ustawa Kazimierza W., którą z Helclem za małopolską uważamy, zachowuje wyposażenie sióstr przez braci, czyli odmawia siostrom, mającym braci, prawa do spadku, opierając się w tém na zwyczaju. Lecz gdy po śmierci ojca same tylko córki zostaną, dobra ojcowskie na nie spadać mają, a braciom stryjecznym służy już tylko prawo zarządzić oszacowanie dóbr i spłacić siostry stryjeczne gotowizną; czego jeśli w ciągu roku nie dopełnią, dobra przy córkach pozostać mają na zawsze.

(1) Portiones quae fuerint superstites, udziały córek, które (lub których potomstwo), ojca przeżyły. Porówn. tłum. polskie u Helcla str. 137.

I w téj więc drugiéj ustawie, prawodawca nie śmie stanowczo zrywać ze starym zwyczajem; pozostawia braciom stryjecznym prawo wykupu dóbr spadkiem na niewiasty przeszłych: lecz zdążając uboczną drogą do celu, prawodawca wykonaniu prawa wykupu stawia ograniczenia, które prawo to w gruncie niweczą.

Szranki Kazimierzowego prawodawstwa wkrótce okazały się za ciasne. Bieg czasu je przełamał, a rozwinięcie pojęć społecznych zniosło. Stanowcze uchylenie pierwszeństwa do dóbr spadkowych dalszych krewnych męzkich przed córkami, nie zostało przecież wyrzeczone żadną ustawą. Działalność prawodawcza i w późniejszych czasach dość u nas słaba, drugorzędne zajmowała miejsce wówczas, kiedy prawo pisane zaledwie się zjawiło, kiedy nikt nie marzył nawet, iżby to prawo wszystkie stosunki społeczne urządzać i niemal jedyną normę sprawiedliwości stanowić mogło, kiedy zwyczaj wszechwładnie prawa stanowił, zmieniał i znosił.

Prawo pisane za Kazimierza uległo objaśnieniom, dopełnieniom i zmianom dopiéro za Władysława Jagiełły. W ciągu lat kilkudziesięciu upłynionych między jednem a drugiem prawodawstwem stan prawny kraju zmienił się stanowczo. Prawodawca warteński nie potrzebował znosić prawa dziedziczenia dalszych krewnych męzkich z pierwszeństwem przed córkami, ani nawet prawa wykupu, bo prawa te pomimo zamieszczenia ich w pisanych ustawach, wyszły ze zwyczaju i tylko nadużycia przez prawodawcę potępione o ich dawniejszém istnieniu przypominają. Zdarzało się, że dalsi krewni trzymali przy sobie sieroty braci nie mające i wydając je za mąż, wyjednywali przez zawarte z mężami sierót umowy, zrzeczenie się dóbr spadkowych, kontentując ich posagiem. Takie umowy prawodawca warteński za nieważne uznaje; pomimo wszelkich zastrzeżeń do uchylenia prawa spadkowego córek zmierzających, córki przy témże prawie utrzymuje. Do umów tego rodzaju nie byłaby przecie uciekała się chciwość, gdyby na podstawie prawa cele swoje osiągnąć mogła.

Okazuje się ztąd, że zwyczaj nadający prawo wykupu, a nawet pierwszeństwa do spadku krewnym męzkim przed córkami, ustał znacznie pierwéj przed zjazdem warteńskim, skoro ustawy tego zjazdu, zwyczaju przestarzałego wyraźnie nie znoszą i zajmują się tylko powściągnięciem nadużyć, przez

które starano wyłamać się z pod stanu prawnego, jaki się w nowszych czasach ustalił.

Z epoki pośredniéj między prawodawstwem Kazimierzowém a statutem warteńskim nie mamy zabytków prawodawstwa urządzających stosunki prywatne. Lecz w téj epoce właśnie nastąpiło zjednoczenie pod wspólném berłem Litwy z Polską; starano się stan prawny Litwy w głównych zasadach przywieść do jedności ze stanem prawnym Polski. Wydane w tym duchu przywileje stanowią zarazem skazówkę, jaki był równoczesny stan prawodawstwa polskiego. Źródło to nie dostarcza przecież w przedmiocie nas zajmującym stanowczych objaśnień. Użyte w przywileju Horodelskim (Działyński. Str. 13) z r. 1413 wyrażenie: post mortem patris *liberi* non debent bonis hereditariis privari, sed ea cum suis successoribus possidere, obejmując nietylko płeć męzką lecz i żeńską (liberi), za ustaleniem się w owym czasie prawa spadkowego córek, dość silnie przemawia. Obojętniejszemi są w téj mierze słowa przywileju z r. 1387 (ibid. str. 2). Pozostawiając wdowę w posiadaniu dóbr mężowskich do czasu wejścia przez nią w nowe związki małżeńskie, przywiléj na ten przypadek stanowi: bonis et possessionibus hujusmodi, circa pueros, si fuerint, si vero non, extunc circa proximiores ejusdem sui mariti derelictis. Użyty tu wyraz pueri oznacza wprawdzie czasem dzieci bez różnicy płci; zwyczajniéj przecież do samych tylko synów się ściąga.

Wypadkiem naszego przeglądu pomników prawa polskiego jest; że prawo wykupu córek z dóbr spadkowych służące dalszym krewnym męzkim, chyląc się do upadku już za czasów Kazimierza W. nie wiele panowanie tego monarchy przetrwało i po za wiek XIV nie sięga.

Porównajmy teraz z tak osiągniętym wypadkiem rozwój prawny Mazowsza. Mamy w tym przedmiocie świadectwo autentyczne nader ważne i zajmujące, w dekrecie króla Zygmunta I wydanym na sejmie krakowskim w r. 1532 w poniedziałek przed świętem Oczyszczenia N. Panny (Bandtkie, str. 414—416).

W dekrecie tym król nadmienia, że z księztwa mazowieckiego przychodziły przed niego i jego radę liczne spory, dotyczące praw spadkowych córek. Bracia stryjeczni i dalsi krewni, a nawet prawonabywcy tychże, wykupywali i wyganiali kobiety z dóbr po rodzicach dziedzicznych, jakie w braku rodzeństwa męzkiego na nie przeszły. Gdy co do prawa spadkowego córek zachodziła niezgodność zdań, król odesłał rzecz na zjazd war-

szawski odbyć się mający w celu spisania praw i zwyczajów mazowieckich, a tymczasem sprawy tego rodzaju w roztrzygnieniu zawiesił. Zjazd warszawski odbył się w r. 1531; spisali na nim Mazury swoje prawa i zwyczaje; w jednéj tylko kwestyi dotyczącéj dziedziczenia niewiast, nie mogli przyjść do zgody. Jedni utrzymywali, że córki braci nie mające, dobra w spadku po rodzicach obejmują i w nich dziedziczą; drudzy odwołując się do starego obyczaju, twierdzili, że kobiety prawa dziedziczenia nie mają i przez braci stryjecznych i dalszych krewnych skupione być mogą.

Król rozpoznając te spory, stwierdza naprzód rzeczywisty stan prawny jaki był co do tego punktu na Mazowszu.

Obie strony zgodziły się na to, że prawo wykupu było ogólném prawidłem. lecz, że książęta mazowieccy mogli uwalniać i rzeczywiście uwalniali różne domy szlacheckie od prawa wykupu, ustalając w tych domach dziedziczenie niewiast.

Król z uwagi, że większość i to zdrowiéj myślących była za przypuszczeniem kobiet do sukcessyi; że zwyczaj dozwalający wykupu jest przeciwny „prawu pospolitemu, przyrodzonemu, boskiemu zarówno jak i ludzkiemu,“ zwyczaj wykupu stanowczo uchylił, utrzymując przecież w swéj mocy przeciwne wyroki w sądach mazowieckich zapadłe przed zawieszeniem spraw tego rodzaju. Usilne prośby stronników starego zwyczaju, tyle jednak wymogły, że król biorąc na uwagę, „jak trudną jest nagła zmiana starego nawyknienia, i że kto sam dobrowolnie ciężar na siebie przyjmuje na niesprawiedliwość żalić się nie może“ przyrzekł, że tym, którzyby pragnęli usunąć kobiety od dziedziczenia dóbr swoich, wyda na to przywileje, jeżeli się z tém żądaniem w ciągu jednego roku zgłoszą. Po upływie zaś tego czasu, dekret miał obowiązywać wszystkich, którzyby przywileju nie otrzymali.

W taki sposób mądry i umiarkowany monarcha załatwiał sprawy nowo przyłączonego księstwa i dążył do wyraźnie przez siebie wypowiedzianego celu, przywiedzenia do jedności Mazowsza z Koroną. Spór o dziedzictwo niewiast odtąd ustał. Nie wiemy czyli i w jakiéj liczbie zgłoszono się do monarchy o wydanie przywilejów, dawny porządek dziedziczenia zatwierdzających, lecz gdy w późniejszych czasach, śladów wyjątkowego porządku spadkowego dostrzedz nam się nie zdarzyło, sądzić można, że przywileje, jeżeli wydane były, z biegiem czasu i postępem wyobrażeń zarzucone zostały.

Tak więc zwyczaj, który już w końcu XIVgo wieku przestał istnieć w Koronie, przetrwał na Mazowszu prawie do środka XVI wieku; zniesienie onego pożądane przez większość, napotkało jeszcze wówczas w mniejszości, zacięty opór. Półtora wieku, można to wyrzec, stan prawny Mazowsza opóźnił się w swoim rozwoju w stosunku do reszty kraju; to co z prawodawstwa mazowieckiego, Monarcha, jako przeciwne boskim i ludzkim prawom uchylił, było przed półtora wiekiem powszechném prawem krajowém.

Wywód nasz utwierdzając ogólny wniosek co do stosunku praw mazowieckich i polskich, dozwala zarazem z większą pewnością twierdzić, że obowiązek drobnéj szlachty do płacenia pogłównego, zniesiony w r. 1529 na Mazowszu, był kiedyś powszechny w kraju.

Przypisywać drobnéj szlachcie taki wpływ na sprawy krajowe, jak to w opisie Zjazdu Koszyckiego p. Szajnocha czyni, jest zdaniem mojém zupełnie błędnym na sprawy krajowe poglądem. Nie tylko drobna, ale nawet średnia szlachta nie miała w owe czasy stanowczego głosu w sprawach publicznych. Zasadnie twierdzi Helcel (str CXL), że w wieku XIII faktyczna potęga i wpływ możnowładzców był najsilniejszy i zaćmiewał monarchiczną książąt władzę. Kardynalne stosunki społeczeństw nie ulegają nigdy nagłym zmianom; wpływ i znaczenie klass społecznych stopniowo tylko maleje lub wzrasta. Wpływ możnowładztwa nie ustał z wiekiem XIII, w wieku XIV i XV był jeszcze przeważnym. Przełom téj przewagi, na korzyść średniéj szlachty, stanowi panowanie Zygmunta Starego. Historyczną postacią w któréj uwydatniła się i w pełnym lubo krótkotrwałym blasku zajaśniała przewaga polityczna średniéj szlachty, był dopiero wielki kanclerz i hetman Zamoyski. Nieugięty ten przeciwnik domu austryackiego, opierając się na średniéj szlachcie, któréj dążenia najświetniéj przedstawiał, od któréj namiętności i uprzedzeń wolnym nie był, w równości szlacheckiéj szukał podstawy swojego systematu politycznego. W dalszych czasach upadła równowaga między możnowładztwem i szlachtą; lecz oddziaływanie na siebie dwóch tych najważniejszych czynników politycznego społeczeństwa nie ustało; jest owszem główną może sprężyną, poruszającą dziejowe zjawiska.

Polityczna przewaga średniéj szlachty, nie podniosła przecież w równéj mierze szlachty drobnéj, która nie uzyskała samoistnego wpływu na sprawy krajowe, nietylko w czasach Koszyckiego Zjazdu, lecz nawet do samego upadku dawnéj rzeczypospolitéj. *F. Z.*

Pan starosta Zakrzewski. Wydał Michał Grabowski. Kijów. Nakładem Leona Idzikowskiego. 1860. (W drukarni Gazety Codziennéj w Warszawie). W 8-ce. Str. 157. P. Michał Grabowski przerwał wreszcie długie milczenie swoje napisaniem przedmowy, w któréj pewna gorycz przebija. Z rękopismu, *Starosta Zakrzewski*, ogłoszony był pierwiastkowo w *Pamiętnikach umysłowych*. „Wydawca pan Kirkor (pisze M. Grabowski) oświadczył, że rękopism udzielony został przezemnie: wszelako zdarzyło mi się późniéj spotykać wzmianki w dziennikach i pismach, jakoby *Starosta Zakrzewski* był mojém dziełem *i to mi jedynie wytłumaczyć mogło obojętność, z jakową ten piękny utwór został spotkany.* Dzieło to nie jest moje, wyszło ono z pod pióra nieodżałowanego Jakóba Ciechońskiego, marszałka zasławskiego. Listem swoim z d. 19 września 1842 pozwolił mi on rozporządzić swoim rękopismem według méj woli i zdania, jakoż udzieliłem go wtedy p. Kirkorowi na korzyść wileńskiego polskiego teatru. Okoliczności ówczesne przeszkodziły ogłoszeniu całkowitemu; dopełniając tego teraz, życzę sobie nietylko, żeby w zupełności to dzieło zostało znajome, ale nadto, żeby pobudzić osoby, w których ręku muszą się znajdować rękopisma inne ś. p. Jakóba Ciechońskiego, aby wydały je na widok publiczny".

Wydanie tego oświadania w *Pamiętnikach umysłowych*, żywo zajęło uwagę wszystkich miłośników przeszłości: ale mało były znane i upowszechnione; przecież wysoką ich wówczas wartość każdy oceniał. Przywiedziemy tu sąd p. Grabowskiego o tym utworze zmarłego Ciechońskiego.

„Starosta Zakrzewski, jest obrazek jedyny w swoim rodzaju: zupełny i dokończony w artystycznym względzie, jest najwierzytelniejszą biografią; mogę o tém zapewnić, bo w pierwszéj mojéj młodości znałem doskonale oryginał tego wizerunku. Z powodu stosunków rodzinnych widywałem często pana starostę i słuchałem nieraz tych samych opowiadań, które powtórzył brat jego synowéj. Wydziwić się tylko nie mogę, jak się udało autorowi powtórzyć je tak doskonale, tak charakterystycznie i tak swobodnie? Co tém bardziéj podziwienia godne, zważywszy ogólny charakter tamtoczesnéj literatury, utwory zwykłych upodobań spółczesnych jemu literatów i własne inne płody samego Ciechońskiego. Wprawdzie wtedy, kiedy on pisał swojego Starostę Zakrzewskiego, znajome już były *Pamiętniki Soplicy*, ale nie można żadną miarą wziąć dzieła, o którém mówimy, za naśladowanie tamtych. Jestto utwór zupełnie swobodnego natchnienia: Ciechoński napisał je bez reminiscencyi, bez wzoru, bez żadnego literackiego zakroju, tak samo jak Rzewuski swoje, i to jest jedyne między dwoma podobieństwo. Owszem, należy przyznać, że autor *Starosty Zakrzewskiego*, natrafił odrazu na formę zupełniejszą od soplicowskiéj i swojemu obrazkowi staroświeczyzny dał obszerniejsze ramy, jedność i dokończoność, których żadna z pojedynczych wspomnień Soplicy niema".

Godząc się na ocenę co do wartości samego utworu, musimy zwrócić uwagę, iż łatwo rozumiemy i pojmujemy mistrzowskie skreślenie obrazu z przeszłości, ręką mniéj na inném polu zdolną. Tajemnica tego leży nie w talencie *inwencyi*, ale w szczęśliwych po większéj części okolicznościach. Każdy z umiejących władać piórem mniejszego nawet talentu, jeżeli wiernie potrafi pochwycić postać żyjącą z upłynionéj przeszłości, jeżeli zdoła wiernie oddać żywe słowo podania, stworzy obraz godny podziwu krytyka. To nie *Pan Tadeusz*, gdzie geniusz wielkiego poety wydatniéje na każdéj karcie, gdzie z mrocznych w dziecinnym wieku pochwytanych wspomnień, postaci, utworzył wielką całość tak różnolitą a bogatą. Autor *Pamiątek Soplicy*, żywém słowem tradycyi zasilony, sięgający pamięcią jeszcze dawne czasy, zachowując styl nawet *Stanisławowskiego* okresu, tym właśnie narodowym żywiołom zawdzięcza wartość swoich obrazków. W innych utworach, gdzie tylko złota nić tradycyi przerwana, czyż jest chociaż ślad tego talentu? Postacie to stare, żywe słowo podania dało wątek Polowi do jego utworów, jak Zygmuntowi Kaczkowskiemu do jego powieści, jak Chodźce do obrazów litewskich. Ale sąto talenta, które szczególniéj Pol i Kaczkowski (bo Chodźko nie próbował sił swoich w innéj sferze) i bez wątka tradycyi utrzymują się na stanowisku swojém. Mieliśmy próbki zdolnych pisarzy, którzy nie znając dawnych postaci, ani tradycyj, usiłowali z wyobraźni wysnuć obrazki przeszłości: próżnamozoła: na pierwszéj stronnicy jużeś poznał fałszerstwo. Prawda tylko szczęśliwie pochwycona i z prostotą oddana, żywe słowo podania, może dać nam obrazy téj wartości, jak Starosta Zakrzewski.

Zabobon czyli Krakowiacy i Górale. Zabawka dramatyczna ze śpiewkami w 3 aktach, przez Jana Nepomucena Kamińskiego. Warszawa. W drukarni Aleksandra Gins. 1859. W 8-ce Str. 140. Zgasły nie tak dawno autor, znany dyrektor sceny polskiéj we Lwowie i zasłużony pisarz, pomiędzy wielu utworami wydał w r. 1821 tę sztukę, jako dalszy ciąg niezapomnianych *Krakowiaków i Górali*, Wojciecha Bogusławskiego. Wzorem mu była ta opera założyciela teatru narodowego: *do zabobonu*, napisał muzykę Karol Kurpiński.

Sztuka ta wielkie miała powodzenie tak na scenie warszawskiéj, jak i na innych; wiele pieśni upowszechniło się w kraju, jak np. *W mieście dziwne obyczaje* i inne. Osoby po większéj części są te same co w *Góralach* Bogusławskiego, bo też sam Kamiński w przemowie przyznaje, że w ślady swego poprzednika wstępował. Pierwsze wydanie do rzadkości już należy, jak i wiele prac innych zmarłego pisarza. Owóż syn jego osiadły teraz w Warszawie, znany już chlubnie artysta opery naszéj, przy pomocy przyjaciela ś. p. Kamińskiego, Ludwika Pietrusińskiego, postanowił ogłosić drukiem prace ważniejsze ojca swego.

Na początek téj publikacyi wybrał *Zubobon*, jako tom pierwszy pism J. N. Kamińskiego, ale wydawnictwo urządzone jest bardzo przystępnie, bo tomikami oddzielnie się przedaje z właściwym przedmiotowi tytułem; ogólny zaś nadpis, który służy do całéj publikacyi, jest na końcu umieszczony.

Tomik II stanowić będzie zbiór poezyj, wydany we Lwowie jeszcze przez samego autora, a mało u nas znany p. n.: *Haliczanka*. Obszerny poemat na czele ma napis: *Wieczory kasztelana*. Zbiór ten stawia najwymowniejszy dowód wysokiego talentu J. N. Kamińskiego. Do tego wydawnictwa wnijdą przekłady z Szyllera tak ballad, jak dramatów: *Obozu Wallensteina* i *Dwaj Pikolomini*.

Ze sztuk dramatycznych, któremi zasilał scenę polską, a pisał je już oryginalnie, już naśladował, już wprost tłumaczył, złożyłby się piękny zbiorek po uczynieniu starannego wyboru. Kamiński zapamiętał dawne postacie polskie i umiał je odtwarzać i wprowadzać na scenę. W *Twardowskim na Krzemionkach*, farsie dramatycznéj, która miała wielkie powodzenie, tak wybornie wskrzesił sławnego czarodzieja Twardowskiego, że postać ta łudziła urokiem, prawdą tych czasów, w których żył i zasłynął. Sztuka ta, chociażby dla saméj Twardowskiego postaci godna druku. Prawda, że rolę tę oddał nieporównany w rolach polskich Nowakowski mistrz Rychtera, a który maleje obok swego wzoru. Kto widział Nowakowskiego w roli Cześnika w *Zemście* Fredry na scenie lwowskiéj, a patrzał na grę Rychtera na scenie naszéj, ten może sądzić o mistrzowstwie pierwszego i talencie artysty.

W małych krotochwilach wprowadzał typy szlachty zaściankowéj Kamiński z wielkiém powodzeniem. Ta wierność w postaciach, z których jedne należą do rzadkości, drugie zupełnie znikły, nadają tym utworom niepoślednią wartość; zebrane razem i wydane, byłyby pięknym darem dla literatury naszéj, tak ubogiéj w dramatycznéj gałęzi.

Rozdzieleni, mało znaliśmy prac J. N. Kamińskiego; pierwszy rozgłos większy zyskał przez *Haliczanina* r. 1830 z rozprawy o filozoficzności języka polskiego. Ale właśnie, nie w niéj leżą przeważne jego zasługi: utrzymanie sceny polskiéj, utwory dramatyczne i wiele poezyj godnych téj nazwy, nadają mu prawo do wdzięcznéj u potomnych pamięci.

Sztuka, którą mamy w nowym teraz przedruku, wyszła raz pierwszy we Lwowie nakładem K. B. Pfaffa w r. 1821. (W 8-ce. Str. 160). Zdobi je staloryt Michała Stachowicza, przedstawiający wesele krakowskie, na czele którego pląsa organista z młynarką; Krakowiacy i górale pomieszani, składają orszak weselny; za karczmą widać młyn wodny, a zdala na wzgórzu mogiłę Wandy. Wszystkie postacie wybornie z prawdą oddane, przenoszą myśl naszą do owéj ziemi, w któréj tylko lud ochoczy a dzielny oddaje się z równym zapałem tańcom i zabawie, jak, ważniejszym sprawom, gdy serce jego silniéj uderzy.

Stary Biuralista, przez Antoniego Nowosielskiego. Kijów. Nakładem Leona Idzikowskiego. 1860 r. W 8-ce. Str. 92. (W drukarni Gazety Codziennéj). Jestto mały obrazek, ale pełen prostoty i rzewności, malujący życie niższego urzędnika, kancelisty biurowego, Józefa Koźlickiego. Autor opowiadanie swoje oddał w kształcie listów, z papierów, jakby po zmarłym biuraliście pozostałych. Prosta treść: Józef Koźlicki, po skończeniu szkół u ks. Bazylianów, odznaczał się w kaligraficznem pisaniu: ta zdolność otworzyła mu drogę do jednego z biur kijowskich w stopniu kancelisty czyli przepisywacza. Mając szczupłą pensyą, zaledwie wystarczającą na skromne utrzymanie życia, w ciężkiéj pracy strawił młodość i wiek czerstwy; nie spostrzegł, jak szybko mignęły lata, kiedy głowa wyłysiała i włosy pobielały. Zgarbiony pracą ciągłą i mozolną, kończąc rok 58 życia, w dzień swoich imienin, przypomina sobie dnie szczęśliwe lat dziecinnych młodości, ojca, matkę i rodzinę. Miał serce pełne uczuć, pragnące miłości: ale dotąd nie mógł pomyśléć o słodkim związku małżeńskim, unikał każdego zbliżenia do kobiet i w jarzmie pracy zestarzał się i styrał. Nie był to wiek tak późny, gdyby żył na wsi, chociażby oddał się najmozolniejszym trudom; lat 58 nie potyrałyby go tak nielitościwie, nie zmiedołężniły, bo ruch, powietrze i praca, hartując jego siły, dałyby mu czerstwość i zdrowie. Zamknięty w mieście, przykuty do stolika biurowego, przedwcześnie zestarzał i nie sam daje ten smutny przykład: rzućmy wokoło siebie oczyma, a podobnych towarzyszów znędznionych przed czasem, na setki liczyć możemy. Czuł on swe osamotnienie i sieroctwo, trawiła go jakaś tęsknota. Długie noce grubéj jesieni i zimowe trawił bezsennie, zdawały mu się wiecznemi. Gdy pozytywka zagrała poloneza Ogińskiego, płakał jak dziecko. Z wiosną zaczął przechadzki. Na cmentarzu spotkał krewniaczkę swoję, Teklę Sikorską płaczącą nad mogiłą ojca. Sierota bez wsparcia, opuszczona, znajduje troskliwego opiekuna w starym kanceliście: obmyślił jéj mieszkanie i ze szczupłych funduszów dzieli się, jak z ukochaném dziecięciem. Rozpoczęła się pomiędzy sierotą i opiekunem korrespondencya, bo stary biuralista przywalony pracą, nie mógł często jéj odwiedzać, jakby życzył sobie. Ale pełniąc sumiennie obowiązki opiekuna, biedak ani spostrzegł, jak się zakochał w młodéj i pięknéj dziewczynie; serce jego silnie uderzyło: pokochał pierwszą miłością.

Stary Józef odżył tém uczuciem, ale zarazem uczuł głębiéj swoje biedne położenie. Tymczasem ukochana krewniaczka spotyka pana Dziewońskiego, dawnego znajomego, majętnego obywatela, który ofiaruje jéj swoją rękę i dostatek. Sierota przyjmuje. Biedny Józef teraz dopiéro poznaje całą potęgę swéj miłości: bezsenność i gorączka naprzemiany go trapi: w rozpaczy, szuka ulgi w trunku, i on nieposzlakowanéj trzeźwości, tarza się nieraz w błocie, aż go dziesiętnicy odprowadzają do domu. Pełen rze-

wności jest jego list, a to list ostatni, w którym się ukochanéj sierocie tłumaczy z zarzutu pijaństwa.

List Tekli pisany do przyjaciołki swojéj, zamyka całą opowieść: krótki przywiedziemy ustęp:

„Kiedyśmy przyjechali do kościoła, do ślubu, jam szukała go oczyma na ganku kościelnym i chciałam mu upaść do nóg jak ojcu, niechby pobłogosławił jeszcze raz sierotę, ale na ganku nie było go. Miałam zamiar, wyjeżdżając do kościoła, zajechać do jego mieszkania, ale bałam się powiedzieć o tém panu Dziewońskiemu, który i tak nas naglił. Kiedym w kościele wymówiła pierwsze słowo przysięgi, zdawało się mi, że z ciemnego kąta kaplicy dało się słyszéć jakieś łkanie, jakby rzewny płacz dziecięcia. Może mi się tak wydało. Ale któżby za mną płakał jeżeli nie on? On jeden tylko na świecie kochał mnie tak bezinteresownie, tak gorąco, nie śmiejąc wyznać swéj miłości. Kiedyśmy po śniadaniu wyjechali z mężem w drogę na wieś, niedaleko posłyszałam krzyki i dobrze mi znajomy głos, którego echo odbiło mi się w sercu; to on wołał: „mateczko, dziecko moje rodzone, puśćcie mnie, puśćcie". Rzuciłam okiem na trotoar, z szynku dwóch dziesiętników prowadziło go pod ręce. On wyciągał do mnie ramiona, jak dziecko, płacząc i łkając. Łzy gorące oblały mi twarz całą, serce ścisnęło się boleśnie, zakryłam się chustką, bojąc się mego męża, który siedział obok mnie zamyślony, czy w złym humorze. Józef, dobry Józef! On jeden mnie kochał. Miałażbym ja być przyczyną jego zguby"?

Tak było, jak pisze w tym liście: stary biuralista umarł w rozpaczy, gdy mu wydarli istotę, którą tak serdecznie ukochał, dla któréj nie mógł pieszczotliwszego dobrać wyrazu, jak *mateczki:* bo wspomnienie matki, słodziło mu dawniéj chwile samotne.

Widzimy, jak prosta jest treść powiastki p. Nowosielskiego, a jednak zajmuje i żywe wywołuje wzruszenie, prawdą uczuć i postaci, prostotą i rzewnością. Język piękny i czysty, żadnym obcym zwrotem nie przypomina pierwiastkowych prac tego pisarza, pełnych pod tym względem usterków. Widzimy tu staranność o drogi nam skarbiec ojczystéj mowy.

Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach. Warszawa. Nakładem F. S. Dmochowskiego 1860 r. w 8ce str. 314. W drukarni J. Jaworskiego.— Wydawca, w szlachetnéj chęci upowszechnienia wiadomości o dawném życiu domowém naszych przodków, ogłosił to dzieło, wabiące tytułem, ale bardzo poślednéj wartości. Za główne źródło, jak pisze we wstępie, wziął Kitowicza, Gołębiowskiego i Maciejowskiego: ależ niemasz w tém wszystkiém wiadomości, które przy dzisiejszym stanie nauki są niezbędne. Zacnéj pamięci Łukasz Gołębiowski, wiele zrobił na swoje czasy, wydaniem czterech tomów, po-

święconych opisom życia domowego: z tych właśnie najsłabiéj opracowany jest *lud polski*, bo go nie znał zblizka, zbierał zasłyszane wiadomostki, lub wprost przepisywał i to jeszcze nie wiernie.

Trzydzieści lat ubiega od czasu ogłoszenia prac jego: jak w wielu rzeczach, postąpiliśmy w poznaniu dziejów wewnętrznych tak i co do badań ludu naszego. Dziś to, co pisał o Krakowiakach, Góralach i innych, już nie warte druku; mamy świeższe, dokładniejsze i wierniejsze opisy i badania.

Co do Kitowicza, którego na cząstki Gołębiowski podrobiwszy, odebrał pracy jego całą wartość, należało lepiéj wydawcy poczerpnąć u samego źródła. Proste wypisy a ciągłe z Kitowicza gdzie maluje różne stany, miałyby wyższą wartość bez porównania, nad brane z drugiéj i to nieudolnéj ręki. Wszakże Kitowicza, mógł mieć na zawołanie wydawca, czemuż nie korzystał? Książkę, o któréj mówimy, przeznaczył, jak sam wyraża, dla młodzieży. Piękny cel zaprawdę, ależ dlatego samego, należy najstosowniejszy wybór uczynić, aby podać młodemu pokoleniu opracowane należycie materyały. Tych już teraz nie braknie, niewolno nam narzekać na niedostatek: trzeba tylko znać wszystkie i umieć stosowny wybór uczynić. Książka, jaką mamy pod ręką, nie odpowiada założeniu swemu: a szkoda, bo jeden koszt druku i papieru, lubo więcéj byłoby pracy z wielu dzieł ułożyć szykowny obraz przeszłości, niż bez mozołu przedrukowywać głównie Gołębiowskiego.

ROZMAITOŚCI.

Rzadkie druki dzieł polskich.

Ile mi wiadomo, żaden z dawniejszych i nowszych bibliografów naszych nie wspomniał o następujących dziełach:

1. *Komedia Justina y Konstanciey, brata s siostrą, iaką im Ociec naukę po sobie zostawiał, daiąc mieysce napirwey uczciwey Staroscі, y iey mistrzowi Mądrości. Też o nieprzespyeczności swiata y affekciech przyrodzonych człowieku, s strony ciała y dusze. Potym o słabey radzye żenskiey płci. Na przykład wszem którzy swe dzyatki rostropnie chować żądaią.* Niżéj herb Prawdzic z napisem naokoł *Przeciw Prawdzie Rozumu Nic*, a pod nim: *Teraz nowo uczyniona.* Na końcu: *W Krakowie Drukował Matys Wirzbięta, Roku Pańskiego 1557.* 8-vo sig. G. 5. Na drugiéj stronie karty tytułowéj zdania z Pisma św. Starego i Nowego Przymierza. Poczem na następującéj karcie: *Wszem Polakom dobrym krześcianom Marcin Bielski S. P. V.* prozą. Daléj następuje: *Przełożenie rzeczy pirwsze tey to komedicy*, wierszem. Potém: *ku czytedlnikowi* wierszem. Daléj: *Osoby rozmawiające w tey komedicy.* Komedyą tę albo raczéj traktat moralny wierszem dyalogowany dzieli Bielski nie na akty tylko na *sprawy*, których tu jest trzy. W sprawę pierwszą wchodzą: Ojciec, Starość, Mądrość, Niemoc, Pokusa, Aniol i t. d. Po tém wszystkiém następuje: *Mistrz ku swoim książkom mówi.* Rozmowa ta Bielskiego z swoją książką, zawiera w sobie niektóre prawdziwie piękne miejsca, przypominające *Pieśń o ziemi naszéj*, Pola, i rzuca nie małe światło na żywot naszego historyka poety, przytaczając szczegóły, o których biograf jego Ossoliński nie wiedział. Rozmowę tę tak Bielski zaczyna:

„Idźcie na świat moje książki,
Przedajcie się za pieniążki.
Próżno tu kogo winować!
Musicie w świat pielgrzymować;
Idźcie, idźcie w cudze kraje,
Bo nam wiele niedostaje:
Marnieśmy czasy strawili,
Niceśmy nie wysłużyli,
Panowie nam zeszli z świata,
Zawiodłszy nas w dalsze lata;
W obce ręce skarby dali,
A nas na odpust posłali.
Nad nadzieje nam się stało
Wspominać to po tém mało i t. d. (niewarto).

Książki wymawiają się jak mogą od podróży. Mówią, że niebezpiecznie jest iść między ludzi, którym w niczem dogodzić nie można, że rozum za dostatkiem chodzi, a zdanie ubogiego nie wiele waży i t. p. Na to odpowiada im mistrz:

„Nie możeć to inaczej być,
Musicie między ludzi iść.
Sroka gdy głodna szczebiece,
Wszystkie strachy odmiece,
Ku domowi przyskakuje
Gdzie swoją żywność poczuje.
Mnich też jeździ po terminie,
A wzdy nigdzie nie zaginie.
Wilk na miejscu nie utyje,
Choć wie, iż nań czynią kije.
Każdy więc o sobie czuje
Gdy potrzeba nakazuje i t. d."

Na to odpowiadają książki:

„Miły mistrzu, co dolega ciebie,
Iż nas nagle wypychasz od siebie?
Zaż ty nie masz poczciwéj żywności,
Kiedy będziesz chciał mieszkać w mierności?
Wszakże, jeźli swój pożytek baczysz,
Pójdziem wszędzie, gdzie rozkazać raczysz."

Mistrz.

„Żal nie wiecie, w każdym domu
Trzeba statków, trzeba plonu,
Trzeba na żonę, na dzieci,
Przeto z mieszka grosz wyleci.
Zapłać dziewkom, zapłać chłopom,
Niesporo w stodole snopom,
Bo się do tych ubiegamy,
Kiedy mieszki próżne mamy.
A gdy zasię nie dostanie,
Będzie żonki narzekanie:
„Aniś ty mistrz, ni bakałarz,
Ani kapłan, ani gospodarz,
Wszystko nad księgami leżysz,
Do roboty nie dobieżysz,
Ani ze psy, ani z ptaki,
Nie chcę cię mieć między żaki,
Ani też między doktory;
Pódź z widłami do obory,
Boć lepak księgi popalę,
Swoje imienie oddalę;
Musisz często ruchać nogą,
Boś mię wziął w kuczę ubogą:
Nie zasiali jeszcze chłopi,
O dziesięcinę klną popi,
Tobiećbyto o tem chodzić
Jakobyto postanowić."
Czasem się z tego wyśmiewam,
Czasem się też i rozgniewam;
Czasem się też z nią udam w rzecz,
Czasem też od niéj idę przecz."

Teraz książki nakłaniają się do podróży, ale mistrza zapytują:

„Lecz nie wiemy gdzie iść pierwéj mamy,
Wstyd nas będzie za swe tanie kramy."

Mistrz.

Idźcie naprzód ku królowi,
Ku jego majestatowi,
Toć jest przełożony wielki,
Dawa mu cześć człowiek wszelki,
A jest człowiek jeszcze młody,
Któmu nadobnéj urody,
Wdzięczny, miły i bogobojny,
Swoim służebnikom hojny.
Łaskawie was słuchać będzie,
Gdzie przyjdziecie k'niemu, wszędzie
Idźcie śmiele a przespiecznie,
Ukłońcie się mu statecznie;
Człowiek ci też jako drugi,
Trzeba mu rad, trzeba sługi,
Trzeba pisarzów, kantorów,
Geńców (?), krotofil, doktorów.

Powiedźcie mu: królu miły!
My cię książki nawidziły,
Posłał nas mistrz sobie kwoli,
Bo mu niedostało soli,
Niedostało wiele rzeczy,
Których nie miewał na pieczy.
Już się zstarzał piórem płużąc,
Rzeczypospolitéj służąc,
Pisał wszem polskie rzeczy rad,
On się na to pierwéj obrał,
Drogę impresorom podał
Pisma polskie imprymować,
Raczże go z łaski darować.
Obszedłszy króla, biskupy,
Idźcież do Wielickiéj żupy,
Do pana swego żupnika,
Wielkiego żup urzędnika.
Ten was ochotnie przywita,
Bo z rozsądkiem dobrze czyta,
Baczny, stały w sprawach, wierny,
W swych postępkach bardzo mierny.
Pan podżupek tejże sprawy
Będzie też na was łaskawy,
Przyjmie wdzięcznie to czytanie,
Bo ma dobre rozeznanie.
Karbarz, sztygar i ważnicy,
Wszystko sprawni urzędnicy;
Bijcie czołem wszystkim społu,
Mieli mię tam w cześć u stołu,
Powiedźcie im co nowego,
Kochają się oni z tego:
Bo tam umie czytać każdy,
Wielkie sprawy mają zawzdy.
Pojdziecie potem do Rusi,
Boć wzdy swe nawiedzić musi,
Zwłaszcza do ziemie przemyskiéj,
Słachty z dawna towarzyskiéj,
Tamem się chował z młodych lat,
Każdy mi się zachował rad;
Lud tam z dobrym rozeznaniem,
Pochadzajcie jedno za nim,
Tak na wsiach jako i w mieście
Powolnie się im rozmieście;
Ku wszystkiemu wam pomogą,
Nie wypuszczą was z ułogą.
Idźcież potém na Podole,
Powiedzcie o méj stodole,
Także o pustéj oborze,
Iż wasz mistrz już sobie orze,
Nie ma wołów, nie ma koni,
Jeden kłopot drugi goni.
Trzeba zaprządz do grabarki,
Sucho na młyn, rzadkie miarki.
Wstąpicie też do Bełzanów,
Naszéj braci Mazoszanów,
Do moich stryjów Prawdziców,
Także po żonie Okszyców;
Są wielkiego zawołania,
Dzierżą się pisma, czytania.
Idźcież też śmiele do Litwy,
Nie zwiedzieć nikt z wami bitwy,
Wielcy tam rządzą panowie,
Dobrze baczni na rozmowie,
Radzi też pismo czytają,
Bo wielkie urzędy mają.
Powiedźcie im powolności
By was przyjęli w swe włości.
Potém też do Prus pojdziecie,
Nowy zakon swój wezmiecie (1),
Ukażcie Seklucianowi,
Polskiemu kaznodziejowi.
Powiedźcie mu: nie pisz bystrze,
Boś przyszedł na pirwsze mistrze,
Nowy zakon ten twój mdleje,
Ścisnęły go przywileje,
Któreś pod winą wyprawił,
Swojeś łakomstwo objawił;
Ma bydź pismo święte spolne
Ku pisaniu wszystkim wolne.
A gdy będziecie w Mazoszu,
Przedajcie się po dwu groszu,
Bo tam ziemia bardzo ludna,
Pani gładka, panna cudna,
Przeto niedarowne wdowy,
Nie da wołu, ani krowy,
Często na biesiadach siedzą,
Wszystko sami spiją, zjedzą,
Lecz dobry obyczaj mają,
Radzi po polsku czytają.
Potém do Polski pojdziecie,
Swoim się ofiarujecie,
Bo tam rodziny dosyć mam,
Co przemogę, to im rozdam,
Was swojej prace książeczki
Za jedne upomineczki.
Niemamci skarbów, myślistwa,
Ani z kupcy towarzystwa,
Toć są moje krotofile,
Jedne z przodku, drugie w tyle,
Książki a papieru karta,
Miasto wyżełka a charta."

2. *Prorocthwo Methodiusza S. Biskupa miast Tyrskich y męczennika chwalebnego, ktory gdi był trzyman pod Dioklecianem Cesarzem w więzyeniu dla słowa Bożego przez niemały czas, thedy z obiawienia Anioła Pańskiego, wydał wiele pisma potrzebnego, a zwłasz-*

(1) Zdaje się, że Bielski tłumaczył Nowy Testament na język polski.

cza o stworzeniu świata począwszy od Adama aż do dnia sądnego. Niżéj drzeworyt wystawiający zamek obronny, z którego baszty jednéj Metodyusz wychyla głowę, a anioł stojący przed basztą czyta mu z rozwartéj księgi objawienia. 8-vo bez roku i miejsca druku rig. S. III. Na końcu jednak znak drukarni Szarfenbergowskiéj. Jestto przekład z łacińskiego języka ramoty, przypisywanéj mylnie św. Metodyuszowi, wyszłéj najpierw w Bazylei r. 1498 pod tytułem: *Methodii Tyriorum episcopi Revelationes.* Tłumacz polski jakiś Michał Hey Stawicki, dedykował swój przekład Janowi z Służewa, wojewodzie brzeskiemu, staroście konińskiemu, zmarłemu 1580 roku. Z dedykacyi Służewskiemu i z przedmowy do czytelnika: „*Prawie statecznemu w wierze Pana Jezu Krysta człowiekowi krześciańskiemu*" i t. d. nie można się niczego dowiedzieć, kto był ten Hey Stawicki. W dedykacyi Służewskiemu nazwał się *służebniczkim* tegoż. Gdy Służewski, podług Niesieckiego, był wojewodą brzeskim od roku 1562 do 1580, *Proroctwo* to musiało wyjść z druku około 1570 roku. Język w niém polski zakrawa bardzo na styl Rejowski, rzecz sama nie warta była przekładu na język ojczysty; ale nie można się dziwić, że ją Hey Stawicki przekładał w XVI wieku, gdy ją w drugiéj połowie XVIII wieku autorowie dzieła „*Geschichte des gegenwärtigen Krieges zwischen Russland, Polen und der Ottomannischen Pforte*" w 31 części w przekładzie niemieckim umieścili.

List Zofii, księżnéj brunświckiéj do Andrzeja Opalińskiego, późniéj marszałka w. koronnego.

„Miłościwy Panie Marszałku! Szczęścia każdego i zdrowia dobrego sprzyjamy i winszujemy od Pana Boga W. M. na długie czasy!

„Nie jest W. M. tajno, z czem Król J. M. i Królowa J. M. szwedzka, pani siostra nasza najmilsza i miłościwa, także i my na dzień elekcyi nowo obranego Pana Króla J. M. Polskiego posełałyśmy ku W. M., wszem senatorom koronnym, jako i ku innym stanom, w czem jako Króla i Królowéj J. M. szwedzkiéj, także i nasze posły raczyliście W. M. odprawić. Iż nam do wszystkiego teraźniejszy ten czas, tojest przyszły sejm koronacyi Króla J. M. pokazać i naznaczyć raczyliście W. M. z takową obietnicą, jakoby się sprawiedliwości naszéj a ostatecznéj woli Króla J. M. sławnéj

pamięci nieboszczyka Pana brata naszego miłościwego, a nigdy niezapamiętałego dosyć stało, także i potrzebom a zawołaniu stanu Królewny JMCi Anny Panny siostry naszéj najmilszéj obmyśliło i tak się postanowiło, jako rzecz sama potrzebowała. Za co W. M. pilnie i bardzo dziękujemy i poselając tam posły nasze ku Królowi J. M. nowo obranemu Panu i ku wszem stanom koronnym, nie chcieliśmy zaniechać, abyśmy im osobliwie ku W. Mości nie mieli poruczyć w tych większych sprawach i potrzebach słowy się odnieść i powiedzieć nie mało, którym aby W. M. dostateczną wiarę dadź raczył, pilnie żądamy. Jednak tego pisaniem tym swym języka naszego przyrodzonego jako zalecić W. M. sprawiedliwość naszę jasną a niewątpliwą tem więcéj potrzeby to zaczęte sieroctwo wielkie a stan opuszczały Królewnéj JMCi Anny Panny siostry naszéj najmilszéj zaniechać nie mogłyśmy, o który gdzieby W. M. tak nie raczyli statecznie obmyślić a ku temuż skutkowi swemu i sobie sławnemu i przystojnemu z pociechą nas przyjacioł wszech przywieść sprawy a rzeczy i stan Jej Mci, tedy nie wiem, jako one nadzieje i dufności wielkie o sobie i zadziałaniu wielkiem a.... sobie i wszystkiéj Koronie i przodkom swym od sławnych przodków naszych przez tak wiele wieków Królów Ich M. uczynilibyście W. M. dosyć. Raczże tedy W. M. to pokazać z miejsca swego a pociągnąć i inne, aby ta nie została sierotą, która wierze i opiece jest zostawiona. O czem szerzej posłowie nasi. Co Pan Bóg będzie W. M. płacił, a my wszelkiem dobrem chcemy W. M. zadziałować. Dan na naszym zamku Szenigu (1) 8 Januarii Anno Domini 1574."

Pod tym listem, który zapewne Niemiec, nie znający dobrze języka polskiego pisał, podpisała się własnoręcznie: „Sophya s lasky boży Krolewna polska, xyęszna brunszwyczka y leneburska ręką własną."

Wyjątek z listu Henryka Kałussowskiego.

Washington D. C.—United States of America.
30 stycznia 1860 r.

Szanowny Panie!

List pisany przezemnie d. 9 grudnia z. r., zapewne dotąd był już udzielony panu, jeżeli porze téj roku właściwe burze nie opó-

(1) Może dzisiejsze miasteczko Sehöningen.

źniły lub może nawet zatopiły go kędyś na oceanie. Dla skrócenia ile być może z méj strony postępu już i tak blizko wieku zaległych praw, może nadużyję cierpliwości pańskiéj, i powtórzę w treści i to com już pisał.

Nikt od skonu generała Kazimierza Pułaskiego nie zjawił się, coby prawa poległego w sposób jakikolwiek podniósł przed kongresem, albo przed legislaturami Georgii i Karoliny południowéj. Wyjąć trzeba jednak jakiegoś pretendenta, którego nazwiska wyczytać nie mogłem, imienia Pułaski, na danym rewersie na znaczną dość kwotę, a przez familią p. Bowen mi udzielonego dla ich ciekawości; ze stylu jednak i ortografii wnosząc, jako téż z opowiadanych historyj już jako wychodźca z r. 1815, już z rozwiązanego wojska ówczesnego r. zdaje się, że mniemany synowiec był albo żydem albo w najlepsze Niemcem, obeznanym trochę z Polską. Skorzystawszy on z łatwowierności gościnnéj i dobrodusznéj patryotów znikł nakoniec, zostawiwszy smutne za sobą wrażenie na długie lata. W lat kilka potém niejaki Bogusławski, wracający z St. Domingo, zajechał umyślnie do Savanny widzieć i uczcić grób wuja swego ś. p. generała, ale tą razą mało więcéj prócz gościnności znalazł. P. Bogusławski krewny, czy nie krewny westchnąwszy nad nieuczczoną pamiątką i mogiłą wuja odjechać miał do Europy. To było około lat 1817 i 1820. Odtąd imię Pułaskiego nie wystąpiło ani razu publicznie prócz w kilku lekkich fejletonach lub powieściach ulotnych, lub w zręcznéj odzie przeznaczonéj dla szkół do zaprawy w deklamacyi i uczuć patryotycznych; aż dopiéro około r. 1830 okazał się pamflet uwłaczający odwadze generała, który wywołał odpowiedź w broszurze pod tytułem: „*Pułaski revendicated*,“ skutek téj ostatniéj był: że stan Georgii rozkazał urządzić loteryą, z któréj przychód posłużył na wystawienie pomnika w Sawanah przed czterma laty.

Na początku r. 1840 przybyłem do Nowego Yorku i zastałem już różnych szukających sukcessyi Kościuszki; przywiązane do téj okoliczności przygody i inne powody podsunęły mi myśl dopytywania się, co się stało z prawami zasługi Pułaskiego. Z potocznych rozmów, z badań ogólnych, z poszukiwań w urzędowych aktach, mało się albo nic wybadać nie można było. Aż nakoniec w Zbiorze praw zwanych (Statutes of Large) publicznych *całych* Zjednoczonych Stanów pokazało się: 1° decyzya piérwszego kongresu, tycząca wynagrodzenia za lata służby, za rany, za zabitych, przyznane sukcessorom. Daléj zastanowiły uwagę moją: List Armstrongowi przypisywany a upominający się dobitnie o wynagrodzenie, który sprowadził konwencyą w Burdentown o kilka mil od Filadelfii: na mocy téj zaręczono tymczasowo pięcio-letni żołd zaległy wypłacić, a resztę zostawując do lepszych czasów. Z kolei decyzya kongresu postawienia pomnika generałowi Pułaskiemu r. 1789, nigdy dotąd ani wykonana, ani podniesiona.

Następnie akta i bile kongresu z r. 1799 i z różnych czasów rezolucye w legislaturach Nowo-Yorskiéj, Virginii, obu Karolin, Georgii i t. d. nadaiące pensye, jednorazowe summy, trakty ziem nawet bardzo znaczne, bo generał La Fayette otrzymał kilkanaście mil kwadratowych we Florydzie w r. 1824; pułkownik amerykańskich inżynierów, a nasz późniéj generał Kościuszko, miał 500 akrów ziemi w najpiękniejszéj części Ohio, kędy dziś stoi miasto stołeczne Stanu Columbus, nadto 6,000, dolarów w gotowych pieniądzach z tytułu zaległego żołdu; a późniéj wielu mniejszych i wyższych oficerów nawet żołnierzy, wdów; późniéj sukcessorowie generała Skuben a najpowniéj spadkobiercy generała de Kalb mieli sobie przez kongres przyznane dukat. 40,000 (dolarów). Te przyznania i wynagrodzenia, nadania i pensye nie ustają jeszcze mimo ogólnie obowiązujących aktów z lat 1850, 1852 i 1855, przez który kongres zrobił prawo należące wszystkim zarówno do 160 akrów ziemi, którą supplikant może wybrać, kędy mu się podoba. Akta te nie przesądzają wcale praw aplikacyi nowych, podniesienia praw, nie stanowią żadnego przedawnienia. Z tego pan widzi, że jeśli nikt praw generała Pułaskiego nie podniósł, nikt mu, ani sukcessorom jego nic nie przyznał, ale sukcessorowie mają pełne nie nadwątlone prawo do wszystkiego, co generałowi z prawa i *munificencyi* kongresu należy. O téj ostatniéj nie wspomniałbym, gdyby nie była pod kontrolą całych Zjednoczonych Stanów, i pod musem opinii publicznej. kwestyi wielkiéj tu wagi. Acz pewne kwoty pieniężne przechodziły przez ręce jego, on pensyi nie brał, ani jako generał, ani wynagrodzenie za rany jego nikomu przelane nie było; jako po zabitym pod Savannah, sukcessorowie mają zupełne prawo, tém bardziéj, że towarzysze jego spadkobiercy jego towarzyszów zostali sowicie przez kongres Zjed. Stanów opatrzeni; że rany jego i lata zasług były równe lub dłuższe niż generała de Kalb; że sukcessorowie mieszkali w kraju odległym, pod okolicznościami mniéj sprzyjającemi do wszelkich praw poszukiwania. Nakoniec że *right of presedences* prawo do przeszłych decyzyi jest uznaném prawem z zasady: pozostaje sukcessorom tedy tylko o przeprowadzenie tego prawa przed kongres: kwestya prosto starania, czujności, jeśli nie mogę powiedzieć, zabiegów.

Kapitału, ziemi nie ma i nie było oznaczonych, co z wielu względów na lepsze wychodzi, bo możeby los ich spotkał jak inne suksessye, ale jest czyste nie zawikłane, nie skrzyżowane żadnym kompromitującym krokiem, prawo do upominania się i dowiedzenia tego prawa spadkobierców w prostéj czyli najbliższéj linii, przez rodowód, metryki, zeznania jako więcéj nikt do téj sukcessyi po ś. p. K. Pułaskim prawnie rościć nie może pretensyi, według praw krajowych na Wołyniu czy w Królestwie, w Litwie czy w Rossyi.

Henryk Kałussowski.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

ROBERT BROWN (*).

We wszystkich dziełach botanicznych, obok nazwiska Linneusza, trzy inne ciągle powtarzane bywają: Adriana Wawrzyńca Jussieu, Augusta Pyrama de Candolla i Roberta Browna. Trzéj ci uczeni przewodniczyli nowéj epoce nauki a świetność przyszłéj przygotowali. Ogarniający Linneusza geniusz okrył ziemię siecią systematu: i powstały państwa, klassy, rządy, rodzaje i gatunki właściwemi cechami odznaczone. Adryan Wawrzyniec Jussieu objął lolicznie podzielone przez Linneusza państwo roślin i uszykował według cech, na drodze syntezy zdobytych, w tak nazwany układ przyrodzony. Tak powstał pierwszy zarys, wzniosła się według niego wspaniała budowa, lecz potrzebowała jeszcze koniecznego wykończenia. Sześć dziesiątków lat krzątało się około ostatecznego jéj rozprzestrzenienia i wygładzenia: obszar jéj powiększył de Candolle, wzniósł i pogłębił Robert Brown.

Oświecany własnemi na drodze analitycznéj poszukiwaniami, zapuszczał się w najciemniejsze tajniki organizacyi roślinnéj, badał ją od samego początku, śledził w wieku jéj młodym, i tak przychodził do wykrycia praw rozwoju rośliny. Na téjto drodze wykrywał podobieństwa utajone i rozdzielał pozornie tylko podobne, a ciągle tym kierunkiem postępując, niekiedy instynktowo wynajdował najskrytsze podobieństwa w pozornie odmiennych postaciach.

Głosząc prawo wykryte o stosunku liczbowym roślin, odpowiednim różnym strefom ziemi, Brown nadał pewniejszą podstawę geografii roślinnéj.

Tak Brown rozjaśniał różne części botaniki; nawet zagrzebany w ubiegłych wiekach wielki dział roślin nie uszedł głębokiego, właściwego mu badania. Wziąwszy na uwagę obszar wiedzy

(*) Rzecz w części wzięta z mowy Martiusa czytanéj w Akademii mnichowskiéj.

i głębokość poglądu w badaniach Browna, rzec o nim można, że był największym, jaki kiedy był, znawcą roślin. Przeto nic dziwnego, że kiedy go Nestor niemieckich naturalistów Humboldt, księciem botaników, *Botanicorum facile princeps* mianował, wszyscy badacze jednozgodnie to powtórzyli.

Epoka Roberta Browna odznaczała się podróżami do najodleglejszych okolic ziemi, celem zwiększenia zbiorów roślin, odbywanemi. Były to wycieczki, które zdaje się przedsiębrano celem przypatrzenia się zdaleka, jakby wzrokiem ptaka w górze zawisłego, różnobarwnemu kobiercowi, okrywającemu nagość ziemi.

Uczeni podróżnicy składali tak nazwanych systematyków, porządkujących stosy roślin według cech na zewnątrz rośliny dostrzeżonych. Pozostawały ważniejsze badania budowy wewnętrznéj, praw rozwoju i życia rośliny, czém zajął się drugi rodzaj uczonych. Zajęcie to nie wymagało wielkiéj ruchawości, trudów nieoddzielnych od podróży, zatrzymywało w zaciszu domowém, w pracowni: tam to oddawano się doświadczeniom, obliczano, ważono, rozwikływano splątane prawa, przewodniczące prostemu pozornie życiu roślin. Botanika jako nauka powstała z szarzanéj przez starość i zużytéj nauki o ciałach pojedyńczych (simplicia). Zajmowali się nią lekarze: do nichto należał i Brown. Ale twórczy ten umysł rozszerzył i wytknął jéj nowy kierunek poza torem, jakim dotychczas postępowała. Na tejto drodze pojawili się phytofizycy i phyto-chemicy i postępują nią ciągle.

Robert Brown był synem Jana Browna, biskupa anglikańskiego w Montrose w Szkocyi. Tu Karol Brown urodził się d. 21 grudnia 1773 roku z matki Heleny z domu Taylor; początki nauk przyjął w domu, wyższe w kollegium Marischal w Aberdeen. W tamtejszym także uniwersytecie rozpoczął nauki lekarskie, a w r. 1795 w Edymburgu ukończył. Wykładu botaniki słuchał od professora Rutheforda, lecz niebawem i sił własnych doświadczał, położywszy sobie zadanie zbadać dokładnie florę krajową. Roku ostatecznie wymienionego wszedł jako lekarz do służby wojskowéj.

Spotkana w Irlandyi niepozorna roślina Eriocaulon Septangulare, jedyny w Europie reprezentant rodziny Ameryce właściwéj, była powodem, iż R. Brown zajął się botaniką. Gdy bowiem 1798 roku dążył z nowozaciężnymi żołnierzami swego pułku do Londynu, spotkał się w drodze z przyjacielem Dr. Withering; ten skłonił go, aby za przybyciem swém do Londynu odwiedził Dra Dryander i przedstawił mu postrzeżenia swe zrobione nad wspomnioną rośliną. Doktor Dryander światły botanik, bibliotekarz Józefa Banksa, zdumiał się nad głębokością postrzeżeń i donośnością wniosków z nich wyprowadzonych; ztąd młodego lekarza przedstawił Banksowi jako przyszłego mistrza botaniki. Przepowiednia ta tyle sprawiła na Banksie, iż odtąd roztaczał nad nim prawdziwie ojcowską opiekę. Brown przez ciąg 5-miesięcznego pobytu w Londynie zapraszany przez Banksa, uczęszczał na głośne

swego czasu śniadania literackie niedzielne. W końcu roku 1801 opuścił Londyn, nominowany na przedstawienie Banksa naturalistą wyprawy naukowéj na okręcie Investigator, dowodzonym przez kapitana Flindersa. Wyprawa miała przeznaczenie udać się do nowo odkrytéj części świata, w któréj już Forsterowie i Józef Banks bogate zgromadzili zbiory. W grudniu przybili do przylądka Leeuvin, leżącego na południowo-zachodnim wyskoku lądu Australii. Przegląd miejscowości rozpoczęto od zatoki Jerzego III-go w kierunku ku wschodowi.

Z Brownem był razem najsłynniejszy malarz roślin ówczesny Ferdynand Bauer, wyćwiczony w Wiedniu pod Jacquinem a towarzysz Sibthorpa w podróży do Grecyi. Jan Franklin, zaginiony niedawno w podróży do bieguna północnego, należał także do wyprawy. W r. 1803 dostrzeżono, że okręt, na którym przybyli, już był niezdatnym do podróży; Flinders udał się do Anglii po inny statek. W drodze wszakże pomimo listu bezpieczeństwa przez rząd francuzki wydanego, wzięty został do niewoli wojennéj i na wyspie św. Maurycego przez lat sześć był zatrzymany. W czasie tego Robert Brown i Bauer badali florę okolic Nowéj południowéj Walii, wyspy Kent i Wandimensland, poczém z owocem podróży 3,900 gatunków roślin, 1,600 rysunkami i rękopismami zawierającemi postrzeżenia czynione na żyjących roślinach, wrócili 1805 r. do Anglii. Za powrotem do kraju Brown mianowany został bibliotekarzem Towarzystwa Linneuszowego. W r. 1810 umarł Dryander, miejsce jego zajął Brown jako bibliotekarz i dyrektor zbioru przedmiotów naturalnych. Właściciel tych zbiorów naukowych szlachetny Banks, oceniając jak należy przymioty swego przyjaciela i chcąc po swéj śmierci zabezpieczyć przyszłość Browna, oznacza mu płacę, oddaje w dożywocie zbiory i dopiéro po jego śmierci prawo własności dla Brittisch Museum przekazuje.

Otoczony najbogatszemi naukowemi zbiorami, zajął się Brown badaniami dotyczącemi roślin wspomnionéj nowéj części świata. W 1810 r. wyszła na widok I-sza część Flory Nowéj Hollandyi. Dzieło to wywołało niespodziane podziwienie znawców: odnosiło się bowiem do nowych pełnych interesu przedmiotów, było owocem głębokich poszukiwań, trafnych poglądów i właściwie wyprowadzanych wniosków. Poglądy w niém zawarte były wskazówką znawcom do wykrywania nowych. Układ przyrodzony roślin, mało dotychczas mający zwolenników w Anglii, za ukazaniem się Flory Nowéj Hollandyi najzupełniejsze zyskał uznanie. Kiedy jednak znawcy przedmiotu, dzieło wspomnione księgą złotą *librum aureum* nazwali i epokę postępu nauki od jéj ukazania się liczyć zamierzyli, to krytyka znowu w Przeglądzie edymburgskim zamieszczona, powstała przeciw czystości łaciny, jaką pisane było. To było powodem, że Brown cofnął dzieło z obiegu, i dopiéro wydanie drugie na stałym lądzie ukazało się w Izys Okena a powtórnie przez Nees Essenbecka, który zalety wysokie dzieła światu wykazał. Żałować przychodzi, że dzieło

nie zostało ukończone; dodatek tylko do ogłoszonéj części ukazał się w r. 1830 zawierający nowo odkryte gatunki z rodziny Proteaceae. Inne przecież dzieło Plantae Javanicae rariores wydał wspólnie z przyjaciołmi Tomaszem Horsfield i Janem Benett 1838—1852. Za to poszukiwania monograficzne ogłaszał w pismach towarzystw naukowych, albo dołączał do sprawozdań z różnych podróży (1). Obierał on zwykle najtrudniejsze zadania; przedmioty w szczątkowym stanie z najniedostępniejszych okolic Afryki mógł tylko Robert Brown oznaczyć. W każdéj gałęzi nauki botaniki wpływ światła jego rozjaśniał cienie napotykane. Morfologia, historya rozwoju rośliny, geografia statystyka, rośliny żyjące i zaginione, przejrzane i wzbogacone zostały wielkiéj wagi postrzeżeniami. Żadnéj też części roślinnéj, badać Brown nie zaniedbał. Od mikroskopijnego ziarnka, z którego mech się rozwija, od tak nazwanego jajka roślinnego, aż do kwiatu, od pręcików, aż do pyłku, do zawiązku nasiennego i owocu: wszystkie organa roślinne badał porownawczo w rozmaitych rodzinach i rozwojowym przebiegu. Nim jeszcze Nees v. Essenbeck, Röper, Ernest Mayer, Link, Braun zabrali się do poszukiwań morfologicznych, to już Brown w odległéj Australii mnogiemi postrzeżeniami wsparty, wykrywał prawa morfologii i porównawcze czynił badania.

W najpierwszych już pismach wykazuje Brown ważność początkowego stanu i całego rozwoju w charakterystyce rodzin, a więc wykończeniu ostatecznem układu przyrodzonego. Poszukiwania w tym kierunku przez niego robione, badania okoliczności do jajka roślinnego i pyłku kwiatowego odnoszące się, wpłynęły przeważnie na wyjaśnienie pierw ciemnéj nauki o czynności zapłodnienia roślin. Gdy Amici (1823 r.) dostrzegł wydłużenie w przewód błonki pyłek okrywającéj, Brown wykazał (1831—1833) przeznaczenie przewodu pyłkowego, wyjaśnił bowiem jak przewód ten zstępuje wśród wydrążenia szyjki słupkowéj aż do jajka roślinnego.

(1) Pisma rozmaite R. Browna przed rokiem 1833 drukiem ogłoszone wydał C. G. Nees v. Essenbeck w tłumaczeniu niemieckiém, przez różnych botaników dokonaném. Pismo peryodyczne Bonplandia ogłasza z korrespondencyi londyńskiéj pod d. 20 marca r. b., że towarzystwo naukowe Raja (Ray Society), zamierzyło swym kosztem wydać wszystkie dzieła Browna w tekscie oryginalnym i opiekę nad wydaniem poruczyło panu J. J. Benett. Z doniesienia tego wnioskowaćby można, iż towarzystwo to postanowiło zrobić przysługę naukową wydaniem prac Browna. Bynajmniéj, stosując się bowiem do ustawy stowarzyszenia, nie puszcza dzieł nakładem swym ogłaszanych w handel księgarski. Nie rozumiemy zaprawdę celów tego rodzaju stowarzyszeń: zamiast bowiem dążności do rozpowszechnienia najrozleglejszego prac takich niepobieżnych ale ściśle naukowych, w ręku każdego botanika ciągle potrzebnych, przeszkadza przez to innemu wydaniu, stanowi zawadę poznaniu prac pożytecznych i postęp przez to nauki tamuje.

Praca ta Browna uznana przez towarzystwo nauk londyńskie za bardzo ważną, wynagrodzona medalem Copleya, wpłynęła następnie na sprostowanie poglądu o płci roślin i czynności upłodnienia. Poszukiwania te stanowią oś, około której krążą nowe głośne badania w tym przedmiocie. Z ulepszeniem mikroskopu, tego nieocenionéj wartości narzędzia, który Brown uczynił niezbędnem dla botanika filozofa, delikatne poszukiwania tego rodzaju zjednały sobie licznych zwolenników. Zakres poszukiwań tych obejmował początkowo same tylko tak zwane jawnopłciowe rośliny, później rozszerzonego i do skrytopłciowych a nawet na to pole widzenia wprowadzają sąsiedni dział zwierzęcy. Poszukiwania komórki roślinnej dotyczące, spowodowały następnie badania Schawna nad komorką zwierzęcą, i odtąd śledzenia rozwoju komórki roślinnéj i zwierzęcéj stały się za pośrednictwem Browna podstawą nauki biologii w państwie roślin i zwierząt. Z uczuciem żywej radości zapatrujem się na tego rodzaju badania, w których prawda i błąd stanowią teraz ogniwa; ogniwa błędu jest nadzieja odpadną, pozostałe zaś złożą łańcuch prawdy.

Przed tego rodzaju trudnemi poszukiwaniami, zajmował się Brown pracami na polu układu roślinnego. Do układu państwa roślinnego, wprowadził pewniki i niewzruszone podstawy, tak, że można rzec, iż układ przyrodzony Brown dopiéro przyrodzonym uczynił. Żaden botanik nie posiadał tak bogatych zasobów poszukiwań nad budową roślin, iżby z nich wyprowadził wnioski morfologiczne, przydatne do budowy układu przyrodzonego. Dosyć porównać sławne, podstawę układów stanowiące dzieło Adr. Waw. Jussieu z późniejszemi tego rodzaju dziełami, a nie powstrzymamy się od podziwienia nad mnóstwem poprawek i odmian następnie wprowadzonych a nazwiskiem Browna oznaczonych. Obszerne dzieła Decandolla, Mejssnera, Endlichera, na każdéj stronnicy świadczą, o zdumiewającéj czynności Browna.

Wielce uczący byłby bliższy rozbiór pism Browna. Tam to bowiem badane są najskrytsze prawa rozwoju roślin, położone najczęściéj przez niego samego zadania, wątpliwości i zasady naukowe a umiejętnie rozwiązane.

Prace botanika jak zoologa, stanowiące część tak nazwaną opisującą, jako przeznaczone do wykazania terminami naukowemi cech, czy rodzajowych, czy innych stopni podziałów, są zawsze systematycznie ułożone, wszystkie do siebie podobne, tam styl jest dla wszystkich jeden; takich prac wielkie mnóstwo pozostało w spuściźnie dla nauki, w takich pracach ścisłość tylko jest na stronie Browna: wreszcie zaś są innym podobne; ale kiedy Brown rozprawiał z jakiego tematu naukowego, wówczas porywał znawcę, umysł jego wielce ruchliwy gromadził obfitość faktów i postrzeżeń, stawił z odległych obrębów przeciwieństwa, objaśniał wątpliwości dane, wydatne stosował do przypadków niejasnych, unosił i prowadzić zdał się czytelnika wśród wielkiego ogrodu przyrodzenia i jakby z kwiatka na kwiatek, od prawdy do prawdy

przechodził. Na tém kończąc przegląd jego prac naukowych, wspomnim pobieżnie o jego stronie moralnéj, w któréj przebijały się dobroć serca, litość, któréj dowody dawał w czuwaniu po tygodniach i miesiącach przy łożu cierpiących. Zadziwiająca skromność cechowała całe jego życie.

Jakżeż to skromnie występował z zasobami naukowych wiadomości, któż częściéj kiedy od niego mówił: „ja tego nie wiem.“ Ktoby w tém, że był drażliwy na krytyki a czuły na uznanie prac swoich, widział górowanie miłości własnéj, tenby się całkiem mylił: zamiłowanie to prawdy robiło, iż przyjaciel ten spokoju występował dla odparcia błędu. Nigdy też nie potępiał słabości ludzkich, ale zapalczywie gromił przewrotność. Nikt chętniéj i sumienniéj nad Browna nie spieszył uwielbić prawdziwą zasługę, ależ pogardą obdarzał niezasłużone zaszczyty.

Wielu obznajmionych z pracami Browna zastanawiało, że mąż ten górującéj nauki, członek wielu towarzystw uczonych, nie zajął wystawnego miejsca w społeczeństwie—dziwiło, że rzadko Browna spotykano w bogatych salonach Londynu.

Zdawało się, że go nie poznano. I owszem! znano jego zalety. Ofiarowano mu katedry botaniki uniwersytetów w Aberdeen, w Edymburgu i Glasgowie: żadnéj nie przyjął; do Glasgowa tylko przedstawił przyjaciela swego Wilhelma Jacksona Hooker; był członkiem siedmiu towarzystw uczonych a między temi Instytutu francuzkiego; w 1832 otrzymał od uniwersytetu Oxfordzkiego dyplom honorowy doktora praw; na przedstawienie Aleks. Humboldta król pruski przesłał mu order zasługi; podczas ministerstwa Roberta Peela, królowa angielska uposażyła go prebendą za naukowe zasługi 5.000 franków wynoszącą.

W roku już 1810 był członkiem Towarzystwa królewskiego (Royal-Society) 1822 Linneuszowskiego, w 1828 r. vice-prezydentem, w 1849 prezydentem, ale od tego obowiązku dla sędziwego wieku 1853 się usunął. Miłośnik osobliwszy domowego zacisza, nie przyjął nigdy ofiarowanych mu obowiązków korrespondenta. Zdaleka od wrzawy świata śledził prawa rządzące roślinami, zatapiał się w rozmyślaniach nad obranym tematem, wiele nocy przesiedział w fotelu nad czytaniem i rozważaniem. Rzadko zwiedzał towarzystwa, gdzie zajmująco prowadził opowiadanie, albo też przysłuchiwał się z przymrużonemi oczyma. Długoletni jego przyjaciel powiedział o nim, że ruchy jego odbywały się między dwoma krańcami, oddzielającemi go od wielkiego świata, między skromnością a współczuciem dla ludzkiéj niedoli. Dla niewielu przyjaciół wyszukanie był gościnny i uprzejmy. Zbiory przez Banksa na dożywocie mu dane już 1829 r. przesłał do Britisch Muzeum, i przy tych zbiorach pełnił obowiązki rządcy (Keeper).

Powierzchowność Browna przedstawiała wierny typ anglosaksoński. Wzrostu wysokiego, wysmukły, posuwał się szybkim krokiem w prostéj postawie, która dopiéro pochyliła się w osta-

tnich latach wieku. Do ostatniego jeszcze roku życia zachował świeżość władz umysłowych. Był bezżenny i ostatnią latorośla rodziny. W dniu 10 czerwca 1858 r. zgasło to ognisko światła naukowego. Między kwiatami Australii na cmentarzu Konsaal-Green złożone zostało w ziemi obok przyjaciół i towarzyszów nauki Karola König. Dav. Don Menzies i Wallicha. Roślina Browna z rodziny motylkowych przez Jacquina nadane na cześć Brownea otrzymała nazwisko. Tajemniczy, zadziwiający, z niewyjaśnionych stanowczo dotąd przyczyn pochodzący ruch ciałek drobnych w cieczach je rozpuszczających przez mikroskop postrzegany, ruchu także Browna nosi miano. *X. J. W.*

CHEMIA.

✱ *Barwa zielona liści.* W dniu 27 lutego r. b. p. Fremy zawiadomił akademią umiejętności paryzką o wypadkach swych poszukiwań, tyczących się barwika zielonego liści. Pismo *L' Institut* w ten sposób zdaje z tego sprawę.

Pomimo licznych prac w powyższym przedmiocie, wiele jeszcze zostało do zrobienia. Niektórzy mniemali, jakoby barwa zielona liści pochodziła od pierwiastku właściwego bezpośredniego, który nazwano *chlorofillą*; inni znowu przypuszczali, że to ubarwienie nadaje mieszanina różnych ciał. Jedni sądzili, że chlorofilla zawiera w sobie azot, drudzy znowu, że składa się tylko z trzech zwykłych pierwiastków, wchodzących do ciał żywotnych; świeżo zaś odkryto, że ona ma żelazo, podobnie jak istota ubarwiająca krew. Zważając, że takie różnice w zdaniach pochodzić muszą ztąd, iż nieotrzymano czystego barwika zielonego liści, za pomocą środków rozbioru bezpośredniego, rozpoczął p. Fremy nowe poszukiwania, a z tych okazało się, że zieloność liści pochodzi od mieszaniny dwóch ciał, błękitnego, i żółtego, które wydzielił on w następujący sposób.

Dodając wodanu glinki do roztworu wyskokowego chlorofilli, barwik z początku nie łączy się z niedokwasem metalowym, ale roztworzywszy powyższy płyn wyskokowy, znaczną ilością wody, połączenie to uskutecznić się może. Zmieniając warunki doświadczenia, chlorofilla w części zostanie rozdzielona. Ponieważ w mocnym płynie wyskokowym, rozpuszczony pierwiastek żółty, zdaje się mieć mniejsze powinowactwo do glinki, niż inne barwiki; otrzymuje się więc lakę bardzo ciemno zieloną, wyskok zaś zatrzymuje istotę pięknie żółtą. Przeciwnie, gdy ciecz roztworzona zostanie znaczną ilością wody, cała istota ubarwiająca złączy się z glinką i wyda lakę zielono-żółtawą, podobną z pozoru do ubarwienia liści. Postę-

pując w ten sposób, wydzieli się pewna ilość pierwiastku żółtego, ale rozdwojenia daléj się nie przeprowadzi, i nie otrzyma się laki błękitnéj.

Uważając na powyższe okoliczności, wpadł Fremy na myśl, że gdyby użyto odczynników słabych do rozłożenia związku glinki z chlorofillą, możeby dało się dójść do wydzielenia pierwiastków stanowiących zieleń liści. Robiąc doświadczenia z obojętnemi rozpuszczalnikami, jak wyskok bezwodny, eter, siarczyk węgla i olejek terpentynowy, przekonał się, że płyny te niejednakowo rozkładają związki glinki z barwikiem. Jedne z nich, jak siarczyk węgla wywierają wpływ szczególny na związek glinki z pierwiastkiem żółtym, mogą więc być użyte do wydzielenia téj barwy, a tym sposobem do zciemnienia ciała zielonego w pozostałości; inne znowu jak eter, wyskok lub olejek terpentynowy, zachowują się jednakowo z różnemi częściami tworzącemi lakę, i wyłączają ciało zielone z barwą jego pierwotną. Używając naprzemian tych różnych rozpuszczalników, ale dopiéro po zastosowaniu siarczyku węgla: otrzymał istotę zieloną, wpadającą w ciemniejszy błękit niż poprzednia. I tą więc drogą, zmieniono tylko odcień barwy zielonéj, ale rozdziału jéj nieuskuteczniono.

W tém położeniu rzeczy, Fremy postanowił użyć innego sposobu, wychodząc z téj zasady, że gdyby można było odbarwić istotę zieloną liści i przywrócić następnie pierwotną jéj zieleń, możeby się dało uchwycić barwiki w chwili ich przemiany, i wydzielić je wprzódy, nim na nowo się pomieszają. Myśl tę urzeczywistnił przy następnych okolicznościach.

Ponieważ ciała odbarwiające wiele barwików, nie działają na chlorofillę, użył Fremy do tego celu zasad solnych, bo przekonał się, że one zmieniają zieleń liści na żółto; ta zaś ostatnia barwa rozpuszcza się z łatwością w wyskoku. Niniejszy pierwiastek żółty, podobnie jak zielony, może tworzyć z glinką związek nierozpuszczalny, czyli piękną lakę żółtą, któréj barwik rozpuszcza się w cieczach obojętnych, jak np. wyskoku, eterze i siarczyku węgla. Nie długo zapewne, przemysł korzystać będzie z powyższych lak zielonéj i żółtéj, które tak łatwo z liści otrzymywać się dają. Używając odczynników kwaśnych, np. kwasu solnego, można poprzedniéj istocie żółtéj rozpuszczonéj w wyskoku, przywrócić jéj pierwotną barwę zieloną. Tym sposobem znalazł Fremy to czego szukał, bo mógł rozkładać dowolnie i znowu przywracać barwik liści. Ale pozostało do odpowiedzi drugie trudniejsze pytanie, jakimby sposobem oddzielić, w chwili połączenia, dwa pierwiastki składające barwę zieloną; to zaś w następujący sposób zostało rozwiązane:

Użył Fremy w tym celu dwóch cieczy, które nie jednakowo się zachowywały z obudwoma pierwiastkami barwy zielonéj i nie mogły się łączyć z sobą; tojest: eteru i kwasu sol-

nego. Płyn ten drugi nietylko rozpuszcza ciało ubarwiające liści, ale gdy barwa będzie zniszczona, na nowo ją przywraca. Doświadczenia poprzednie wykryły także, że ciało żółte mocno rozpuszcza się w eterze.

W celu oddzielenia od siebie dwóch istot, wlano w flaszkę szczelnie zamkniętą, mieszaninę z dwóch części eteru z jedną kwasu solnego roztworzonego małą ilością wody. Poczém wstrząsając długo, nasycono eter kwasem solnym; doświadczenie bowiem pokazało, że gdyby kwas był bardzo mocny, rozłożyłby barwik a eter w powyższy sposób zakwaszony, sprzyja mocniejszemu rozpuszczaniu. Nalewając tego płynu na ciała powstałe z odbarwionéj chrolofilli, i mącąc to przez kilka chwil, spostrzeżemy, że eter zatrzyma istotę żółtą liści i ubarwi się pięknie żółto, a kwas solny, poprzednio już odbarwionéj chlorofilli, przywraca wspaniałą barwę błękitną. Tym sposobem dwa barwiki chlorofilli, tojest błękitny i żółty zostają rozdzielone, i już więcéj połączyć się nie mogą dla utworzenia zieleni, ponieważ są rozpuszczone w dwóch różnego gatunku cieczach, tojest eterze i kwasie. Skoro jednak otrzyma się osobno z powyższych płynów obadwa barwiki, i rozpuści je w wyskoku; po zmieszaniu ich z sobą, powstanie zieleń, zupełnie taka jak w chlorofilli.

Powyższy barwik żółty rozpuszczalny w eterze nazwany został przez p. Fremy *filoksantyną* (phylloxanthine), a błękitny zaś będący wpłynie kwaśnym, *filocyaniną* (phyllocyanine).

Ale wynalazca nie poprzestał jeszcze na tém odkryciu, lecz starał się wydzielić bezpośrednio dwa barwiki zawarte w liściach, czyli inaczéj mówiąc, zmienić ciało zielone w żółte i błękitne; i to także mu się udało. Nalewając na chlorofillę, otrzymaną za pośrednictwem wyskoku, mieszaniny kwasu solnego z eterem, zieleń z początku brunatnieje a potém rozdziela się na filocyaninę, która ubarwi błękitno ciecz kwaśną, i filoksantynę nadającą barwę żółtą eterowi. Doświadczenie to wykonane być może z chlorofillą, lub téż wysuszonemi liściami zielonemi.

P. Fremy porównywał ciało żółte młodych kiełków roślinnych, z powyższą istotą żółtą wydzieloną z liści, i okazał, że obiedwie mają jednakowe własności.

Kończąc swoje sprawozdanie, wynalazca oddał zasłużony hołd myśli p. Chevreul'a, który zaleca wykonywać rozbiór ostateczny jedynie na ciałach zupełnie czystych, a nigdy nie zaniedbywać rozbioru bezpośredniego organicznego, na co dzisiaj mało zwracają uwagi: tym tylko bowiem sposobem, chemia będzie mogła przyjść do rozwiązania zadań, uznanéj przez ogół ważności.

* Z pracy p. Fremy: *o gumie i powstawaniu jéj w roślinach*, przytaczamy następne wyprowadzone przez niego za pośredni-

ctwem doświadczeń wnioski, które dają wyobrażenie o niniejszym przedmiocie:

1. Guma arabska nie jest pierwiastkiem bezpośrednim obojętnym, ale jest związkiem wapna z bardzo słabym kwasem rozpuszczalnym w wodzie, który nazywa się *gumowym*. Otrzymać można ten kwas gumowy, rozkładając gumę kwasem szczawiowym.

2. Kwas gumowy ogrzewany, lub też nalewany stężonym kwasem siarkowym, zmienia się w istotę równoskładną, nierozpuszczalną nawet w wodzie wrzącéj; czyli w kwas *metagumowy*.

3. Kwas metagumowy z zasadami, a szczególniéj z wapnem, tworzy guman wapna, która to sól ma wszystkie własności gumy arabskiéj.

4. Części nie rozpuszczalne i galaretowe, znajdujące się w tkance włóknistéj pewnych gum, w mięsistym nasienniku niektórych owoców, utworzone są z kwasu metagumowego, połączonego z wapnem. Powyższa sól wapienna, pod wpływem rozmaitych okoliczności, może uledz różnym zmianom równoskładnym, nabyć rozpuszczalności i przejść w *guman wapna*, czyli gumę. Ostatnie to zjawisko tłumaczy nam, jakim sposobem guma tworzy się w roślinach.

5. Nie wszystkie gumy rozpuszczalne zawierają w sobie jednakowy pierwiastek: w gumie np. Basorskiéj, znajduje się ciało podobne do kwasu metagumowego; ale ten kwas, połączony z wapnem, wydaje gumę, która tworzy osad z octanem obojętnym ołowiu; wiadomo zaś, że powyższy odczynnik nie mąci się z gumą arabską.

6. Uważając jak łatwo gumy rozpuszczalne, w różnych okolicznościach mogą przejść w nierozpuszczalne; spodziewać się należy, że przemysł oparty na powyższych wskazówkach, będzie mógł użyć gumy, tak jak dziś używa białka, do utwierdzania barw nie rozpuszczalnych.

J. B...a.

KORRESPONDENCYA.

Odezwa do miłujących mowę ojczystą.

Mamy słownik Lindego rozmiarem swoim tak obszerny, że mało narodów podobnym poszczycić się może, a jednakże czujemy, że dalekim jest jeszcze od doskonałości, że wiele w nim opuszczeń, niedostatków i niedokładności, a ztąd łatwy wniosek: że bogactwo wyrazów w naszym języku jest daleko większe i dopełniać go należy troskliwém zbieraniem z mowy żywéj ludu. Ileż wyrazów przestarzałych, czyli tak zwanych archaizmów dzisiaj dla nas nie ma żadnego znaczenia, a przecież one kiedyś były w powszechnym obiegu i często się dziś w mowie ludu pojawiają, który z wiernością nieporównaną dochowuje nam zabytków przeszłości. Co większa biedzimy się często z terminologią, bo nam braknie wyrazów na oznaczenie niektórych naukowych pojęć, na które nam tylko nasuwają się w niedostatku własnych, wyrazy obce, jednakże bez nich nam niekiedy łatwo obejść się przyjdzie, gdy poznamy własne. Do tego jedyna drogą jest przysłuchiwać się mówie ludu, na którą działanie obczyzny tyle nie wywarło wpływu, i dlatego w większéj pozostając czystości i pierwotności, może nam dużo dostarczyć materyałów nie tylko do zastępowania wyrazów obcych ale i do tworzenia nowych. W mowie ludu, jest jeszcze nietknięta może, a bogata kopalnia choć surowego kruszcu łatwego do obrobienia. Przerozmaite stosunki, w jakie obywatele i kapłani wchodzą z tymże, i najbliższe zetknięcie się ich z sobą dostarczają im obfitéj sposobności uczenia się od niego w praktycznéj szkole życia tego, czego się ogół nie nauczy z książek. Każda okolica, każde zatrudnienie, czy w dziedzinie gospodarstwa, czy w dziedzinie przemysłu, handlu, leśnictwa, rybołóstwa, żeglugi, hodowli zwierząt i innych, dostarczyć mogą nowych, albo mniej znanych, albo z innem znaczeniem niż powszechnie znane używanych wy-

razów. Ku temu celowi nie wystarczą usiłowania niektórych ludzi zamiłowanych w badaniu mowy ojczystéj: tu potrzeba działania zbiorowego, potrzeba zespolenia wszystkich, że tak powiem, sił pojedynczych, potrzeba uzbrojenia uwagi na zjawiska mowy ludowéj w różnych prowincyach pewne osobliwości językowe przedstawiających, aby dójść do zbiorku słowników osobnych, prowincyonalne wyrazy, wyrażenia i różne sposoby wymawiania tychże samych nieraz wyrazów, podających. Pod tym względem wyprzedziły nas inne narody, więcéj dbałe o własność językową. Przytoczmy na poparcie twierdzenia naszego, co już Francuzi, Rossyanie, Włosi i Niemcy zdziałali na téj drodze, zbierając tak zwane idyjotyzmy czyli prowincyonalizmy, tojest wyrazy i wyrażenia pojedynczych prowincyj pewnym językiem mówiących, a czém się my, ze wstydem naszym wyznajmy, poszczycić nie możem:

Vocabulaire du Berry et des provinces voisines. Paris 1839.

Essai d'un dictionnaire Comtois-François. Besançon 1753.

Glossaire Génévois. Genevè 1819.

Vocabulaire Langrois. Langres 1822.

Vocabulaire des mots en usage dans le département de la Meuse. Paris 1833.

Опытъ областнаго Великорускаго Словаря и Дополненія къ областному Великорусскому Словарю, (przeszło 70 arkuszy druku in 4to majori).

Vocabulario Bresciano. Brescia 1759.

Vocabulario Bolognese. Bologna 1835.

Vocabulario Ferrarese. Ferrara 1805.

Vocabulario Montovano. Mantova 1827.

Vocabulario Milanese. Milano 1841—44.

Vocabulario Piemontese. Torino 1843.

Vocabulario Veneziano e Padovano.

Vocabulario, delle parole del. dial: Napolet. Napoli 1789.

Nuovo dizionario Siciliano. Palermo 1838.

v. *Klein* Deutsches Provinzialwörterbuch. 2 Bände. Frankfurt und Leipzig 1792.

J. A. Schmeller. Beyerisches Wörterbuch. 4 Theile. Stuttgart und Tübingen. 1827—1837.

Versuch eines oberhessischen Wörterbuchs. Frankfurt 1767.

Versuch eines österreichischen Idiotikon.

M. Höfer. Etymologisches Wörterbuch der in Oberdeutschland, vorzüglich aber in Oestreich üblichen Mundarten. 3 Theile. Linz 1815.

J. G. Berndt. Versuch zu einem Schlesischen Idiotikon.

J. C. v. Schmid. Versuch eines Schwäbischen Idiotikon. Berlin. 1795.

J. T. Schütze Holsteinisches Idiotikon. 3 Theile. Hamburg. 1800—1802.

J. E. Müller. Probe eines Pommerschen Wörterbuchs. Greifswalde 1756.

J. K. Döhnert. Platt-Deutsches Wörterbuch. Stralsund. 1781. i t. d.

Do was więc, zacni obywatele, kapłani i miłośnicy ojczystéj mowy zwracam mą prośbę, abyście o ile wam możność pozwoli, bo o dobréj chęci nie wątpię, zechcieli spisywać wyrazy i wyrażenia w poszczególnych prowincyjach między ludemkrążące i cząstkowo takowe pocztą franko wprost do Redakcyi Biblijoteki Warszawskiéj nadsyłać. Nie trudno będzie, czy to nazwiska części pojedyńczych ciała ludzkiego, czy imiona zwierząt, roślin, chorób, lekarstw, części wozu, zabudowań gospodarskich, sprzętów domowych, naczyń, ubiorów, stanów wyróżnianych między włościanami, czeladzi, najemników, drużyny, zjawisk powietrznych, i przeróżnych czynności i t. d. jakie się nawiną, pojedynczo zanotować. Tym zaś sposobem, gdy każdy, czy w rzeczy, na któréj nazwisko przypadkowo usłyszy lub w przedmiocie swoim ulubionym i najwięcéj siebie tylko obchodzącym, czy w myślistwie, czy w jakiéjkolwiekbądź gałęzi zutrudnienia, lub po prostu ze stosunków potocznego życia, wyraz jaki zanotuje: to bardzo prędko niepostrzeżenie, prawie zbiegną się z całego kraju tysiące wyrazów i wyrażeń, które uporządkowane, i naukowo objaśnione, utworzą prawdziwy skarbiec mowy polskiéj, i staną się podwaliną prac badaczów mowy polskiéj. Zasługa będzie się należeć wszystkim, bo tu każdy swój wdowi grosz dorzucić może; a jak praca będzie wspólna, tak i zasługa wspólną być musi.

Drogę do tego otwiéra nam zasłużony w piśmiennictwie naszém professor A. Waga, z którego spisu abecadłowego wyrazów ludowego języka w okolicach Łomży, Wizny i przyległych, Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj nadesłanego, niektóre za normę przywodzimy:

Bezdusznik, człowiek bez litości i lubiący innym dokuczać.

Bolączka, choroba, a szczególniéj dysenteryja i gorączka.

Bultać, kłócić ciecz w butelce, beczce, i. t. p. tak, że głos wydaje czyli *bulta* (chlupie).

Chlust, rz. m. kilkoletnia brzoza ścięta i wraz z gałęźmi i liśćmi do wycierania sadzy w kominach i t. d. używana. Wiecha.

Chorobnik, duch choroby: „Bodaj ich chorobnik porwał! Idź do chorobnika!“ (złe życzenie, jak idź do czarta).

Cmucić, sł. szałamonić, zwodzić. *Ćmuciciel*, impostor, szarlatan.

Cupień albo czupień, rz. m. (zapewnie czub), wierzchołek cieńki czego, np. drzewa. „W samym czupniu“ w samym wierzchołku.

Dęga, sztaba u wierzei, od jednéj ich połowy na drugą zachodząca, dla uchwycenia jéj końca skoblem i zamknięcia tym spobem wierzei.

Dórzeć, *odórzeć*, (właściwie durzeć) działać jak ogłupiały. Dórzeje, odórzał, ten kto zbyt granice wesołości przekracza.

Draka, owca.

Dźwięga, pokarm, który bydlę powtórnie żuje. Bydlę żuje dźwięgę.

Gamgać się, bujać się. Rzecz uwieszona, gdy zostaje w ruchu, mówią *gamga się*.

Gruszyć, febra go gruszy, febra go łamie, napastuje.

Karślak, drzewo tak pokrzywione nizkie i sękowate, że jedynie na opał zdać się może.

Kuczno, tęskno, *kuczyć się*, nudzić się.

Pościań, cień od przedmiotu przy świetle rzucony (dlatego, że najwyraźniejszy cień osób, okazuje się na ścianach).

Rękal drogoskaz.

Stwora, stworzenie, utwór. Mówi się: „jedyna stwora“ okazując zadziwienie nad podobieństwem jednéj istoty do drugiéj.

Żywina, *żywinka*: bydło, bydełko, trzoda, trzodka (używa się mianowicie mówiąc o krowach). Inwentarz żywy.

Mam nadzieję, że głos mój podniesiony w imię wspólnego dobra, nie będzie daremny.

Stanisław Mikucki.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Marzec 1860 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. T. II, zeszyt 15, 16, 17. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 543—656, 657—768, 769—880 (*Awak-Barcelona*), okł. druk., każdy zeszyt kop. 35.

Roscher Wilhelm. Zasady ekonomii politycznéj dla poświęcających się téj nauce i trudniących się stosowaniem jéj do spraw życia społecznego, z niemieckiego przełożył podług trzeciéj powiększonéj i poprawnéj edycyi *F. S. Kupiszeński.* Warszawa, 1860, druk Banku Polskiego, w 8ce większ., str. XXXVI, 636, okł. druk., rs. 2 k. 25.

Thiers Adolf. Historya konsulatu i cesarstwa, dzieło ozdobione rycinami. Przekład z francuzkiego. T. VIII, zeszyt XLVI i XLVII. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce większ., str. 123 i od 129—240, okł. druk.

Ligori Alfons Św. Zegar męki Pańskiéj czyli Rozważania i ubolewania nad cierpieniami Jezusa Chrystusa Boga-człowieka, przełożył z francuzkiego ks. M. J. Z. K. Ś. T. Warszawa, 1860, druk KKs. Missyonarzy, w 12ce, str. 203 i spisu rzeczy nieliczb. 1, okł. druk., kop. 30.

Почтовой дорожникъ Царства Польскаго (съ картою). Составленный въ Январѣ мѣсяцѣ 1860 года, str. 55. Tabella traktów pocztowych w Królestwie Polskiém (z mappą). Ułożona w miesiącu styczniu 1860 roku, str. 56, w 8ce, druk J. Glücksberga.

Prawo cywilne obowiązujące w Królestwie Polskiém wydał *Stanisław Zawadzki.* (Kodeks cywilny Królestwa Polskiego ar. 17 do 225 włącznie). T. I, zeszyt II i III. Warszawa, 1860, nakł. wydawcy, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. od 97—192, 193—288, każdy zeszyt kop. 30.

Kolonista jakich mało, obrazek wiejski, z natury skreślił *Kwiryn Wierzeja*. Z trzema drzeworytami. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 120, kop. 60.

Nabożeństwo siedmiu niedziel na cześć świętego Józefa z odpustem zupełnym na każdą z tych niedziel, z francuzkiego. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 16ce, str. 30.

Haffer W. Kultura łąk, przełożył (z niemieckiego) na język polski *Albin Kohn*. Z drzeworytami w tekście i tablicami litografowanemi. Warszawa, 1860. Nakł. zakładu rolniczo-przemysłowo-leśnego Ostrowskiego i Spół., druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 518 i spisu rzeczy nieliczb. 2.

Biblioteka popularna nauk przyrodzonych podług niemieckiego oryginału *A. Bernsteina*. X. O praktycznem opalaniu, przełożył *Stanisław Löwenhard*. Warszawa, 1860, nakł. K. Bernsteina, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. 156 i spisu przedmiotów nieliczb. 2, okł. druk., każdy tom k. 60.

Miniszewski Józef. Życie w parafii, opowiadanie Cześnikiewicza. Justyna. T. I, str. 235, T. II, str. 213. Kronika plebana. T. III, str. 196. Warszawa, 1860, w 8ce, druk J. Jaworskiego, okł. druk., każdy tom rs. 1 k. 20.

Carpantier Marya. Rady dla prowadzących ochrony. Dzieło uwieńczone przez Akademią francuzką. Tłumaczenie z francuzkiego. Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. XII, 117 i spisu rzeczy 1, kop. 50.

Neugebauer Ludwik Adolf. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. Dzieło ozdobione drzeworytami. T. 1, zesz. 4. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. od 193—272.

Dmochowski Franciszek Salezy. Sprawa graniczna, powieść z tegoczesnych zdarzeń. Warszawa, 1860, nakł. wydawcy, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 249, kop. 90.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Rozrywki dla młodocianego wieku etc. Serya III, T. II, cz. I, str. 144, okł. druk., zawiera:

Wskrzeszenie Łazarza, poezya. Józef Paszkowski. Iwanko, powieść p. *Leona Kunickiego*. List drugi: Matka do córki o tegoczesnéj literaturze. Kwiaty z nieba, legenda. Wspomnienia Anglii i Szkocyi, pani Bucher Stowe. Wiadomości z nauk przyrodzonych: O wymoczkach, p. *St. Chomętowskiego*. Starościna Dobrzańska, p. *Al. z Ch. Borkowską*.

Gwiazdka, przez *Aleksandra Niewiarowskiego*. Zeszyt VI. str. od 153—182. Zesz. VII, str. 183—212.

Księga świata. Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, historyi etc. Poczet drugi, rok piérwszy, zeszyt XII, 1859, str. od 193—232 i spisu rzeczy str. nieliczb. 2, zawiera:

Rauch, rzeźbiarz, z wizerunkiem sztychowanym. Dawny rycerz polski. Jan Guttenberg i sztuka drukarska w ogóle a w szczególności

w Polsce, z drzeworytem, p. *S.* Sprawozdanie popularne z dziedziny nauk przyrodzonych i przemysłu, p. *J. B. W.* Hardy, Molier i scena nasza w owych wiekach. Szarańcza i liściec, z ryciną, p. *J. Janisz*.... Jan Karol Leonard Sismondi, p. *S.* Obrazki z podróży po Alpach. Krokodyl i władzca jego ojczyzny, z ryciną. Niektóre rysy oświaty Chińczyków i ich zwyczajów (ciąg dal.), p. *S.* Urywki z pism Dra Macieja Ł. Do tego zeszytu dołączono rycinę mód i deseni, tudzież opis rycin mód i deseni str. 4.

Poczet drugi, rok drugi, zesz. I. 1860, str. 44, zawiera:

Margaritta Benedetta, z miedziorytem. Niektóre rysy oświaty Chińczyków i ich zwyczajów, z dwoma drzeworytami, p. *S.* Tajemnice Oceanu, podług Schleidena, p. *Stan. Chomętowskiego.* Wołosi i Multańczycy, z ryciną kolorowaną. Krótki rys stanu włościan w wiekach średnich we Francyi. Westeras z niedrukowanych rękopismów *J. Albertrandego.* Arboga, Orebro Wadstena, p. *J. A.* Czapla, ślepowron, bąk, z ryciną kolorowaną, p. *S.* Spontini i Kurpiński, z 3 drzeworytami, p. *S.* Kolumna Zygmunta III i wodociągi w Saskim Ogrodzie, z dwiema rycinami litografowanemi na jednéj tablicy. Margaritta Benedetta (dokoń.), p. *A. S.*

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Serya 2. T. V, N. 3. Miesiąc marzec, 1860, str. od 241—360, zawiera:

Wykład Pisma Swiętego: Przybytek Boga śród narodu Hebreów, p. ks. *W. Serwatowskiego.* Listy Fenelona o częstéj komunii (dokoń.). Radom i fara nowo-radomska do 1800 roku, p. ks. *Józefa Gackiego* (ciąg dal.). Korrespondencye. Co rozumieć przez gościnność. Szkoły dla dorosłych klassy rzemieślniczéj w Paryżu. Kolegium amerykańskie w Lowanium. Zakłady dobroczynne w Paryżu. Kronika kościelna i Rozmaitości.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Serya III, T. I, poszyt II. Miesiąc luty, 1860, str. od 75—do 143, zawiera:

O wpływie pijaństwa na rozwijanie chorób nerwowych i umysłowych, p. *Bartł. Frydrycha.* Zdanie sprawy z czynności Tow. lek. war. w r. 1859, przez sekretarza Towarz. Dra *Dybka.* Sprawozdania i wiadomości z pism zagranicznych. Część urzędową.

Poszyt III. Miesiąc marzec, 1860, str. 147—215, zawiera:

Filip Ricord i jego szkoła, p. *Beniamina Rosenbluma.* Czynności Towarzystwa lekarskiego. Sprawozdania szpitalne za r. 1859. Bibliografią. Wyciągi z pism zagranicznych. Część urzędową.

Tygodnik lekarski. N. 7—12 zawierają:

Sycianko: Postrzeżenia lekarskie w szpitalu i w praktyce prywatnéj w ciągu r. 1858 zebrane. *Warszauer:* Listy z Wiednia. *Groer:* Spostrzeżenia w wydziale chirurgicznym szpitala starozakonnych w Warszawie zebrane. *Kr.:* Spostrzeżenia nad leczeniem choroby wenerycznéj przez szczepienie limfą ospową. *Rollet* Jod i tegoczesne jego

zastosowanie w medycynie. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego. *Natanson*: Odezwa prof. Virchowa do lekarzy. Szpitale w Królestwie Polskiém. *Łuczkiewicz:* O hysteryi. *Sciborowski*: Wyciągi z pism zagranicznych. Wiadomości miejscowe. Postrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Miesiąc marzec, 1860. N. 10—13 zawierają:

Znaczenie pieśni w muzyce dzisiejszéj i jéj duch. Początkowa nauka muzyki. Pobieżny przegląd muzykalij, ofiarowanych do wyboru abonentom na Ruch Muzyczny w r. 1860. Organy w Kazimierzu nad Wisłą, p. *Fr. Stevicha*. Spohr, p. *J. W. Wasilewskiego*. Ruch muzykalny u niektórych plemion Słowian południowych, p. *Oskara Kolberga*. Krótki rys historyi powszechnéj muzyki (ciąg dal.). Korrespondencye. Gazeta muzyczna.

Tygodnik illustrowany. Miesiąc marzec, 1860. N. 23—27 zawierają:

Jan Czeczot, z drzeworytem, p. *Jana Prusinowskiego*. Inowrocław, z 3 drzeworytami. Pożajście z drzeworytem. Harfa, poezya, z 2 drzeworytami. Stanisław Jachowicz (dokoń.). Wiadomość o monstrancyi w kościele farnym w mieście Brzezinach, z drzeworytem. Brat Piotr kwestarz zakonu OO. Bernardynów w Warszawie, z drzeworytem. Karniowice, z drzeworytem. Mikołaj Potocki starosta kaniowski, z cynkotypem i z drzeworytem. Historya jedynaczki w 22 obrazkach, z pięcią drzeworytami. Po naszemu, komedya w 2 aktach wierszem, p. *Zygmunta Hlebickiego Józefowicza*. Odezwa autora uwag nad dziełem Micheleta p. n.: „L'amour." Józef Paszkowski, z drzeworytem. Wódz polski w ubiorze wojennym, z drzeworytem. Niedziela i poniedziałek, dwie sceny z życia rzemieślniczego, z dwoma drzeworytami, p. *Henryka Pilatego*. Zoilus, z drzeworytem. Teodor Narbutt, z drzeworytem, p. *Juliana Bartoszewicza*. List *Kazim. Wład. Wójcickiego* do redakcyi. Ubiory włościan i mieszczan z okolic Brześcia, Kobrynia, Prużany, z 3 drzeworytami, p. *Józ. Ign. Kraszewskiego*. Kościół Św. Krzyża w Wrocławiu, z drzeworytem. Obrazy wielko-polskie, p. *F. S.* Ruch dziennikarski w Galicyi. Ambicya, humoreska *Władysława Maleszewskiego* (ciąg dal.). Grobowce Opalińskich w Rytwianach, z drzeworytem. Ks. Jakób Falkowski i Instytut głuchoniemych i ślepych w Warszawie, z dwoma drzeworytami. Kościół Franciszkański w Nowém Mieście Korczynie. Kronika tygodniowa, p. *Wacława Szymanowskiego*. Kronika literatury bieżącéj. Kronika sztuk pięknych. Sprawozdania z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. Poezye. Korrespondencye. Rozmaitości. Szachy. Rebusy.

Magazyn mód. Miesiąc marzec, 1860. N. 10— 13 zawierają:

Malutki obrazek z karnawałowego ruchu Warszawy, p. *R. S.* O kaktusach, podług Schleidena. Kamienica na Podwalu, rysunek z pamięci, p. *Ludwika Brzozowskiego*. Wyjątek z listu do F. S. Gwiazdka. Korrespondencye. Nowości zagraniczne. Poezye. Mody. Opisy rycin mód. Rozmaitości. Przypomnienia ogrodnicze. Przepisy kuchenne. Szarady.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc marzec, 1860 roku. N. 10—13 zawierają: Zdrowaś Marya. Garderobiana (dokoń.). Rady dla włościan z Hygieny popularnéj. O literaturze niepisanéj i o poezyi ludowéj. Rada w radę przed chałupą Godziny po robocie. Maciéj Kukliński. Kościołek w Tatrach polskich. Lampka w kościołku. Przemiana rzeczy najpośledniejszych w najprzedniejsze, dokonywająca się sposobem rzemieślniczym. Kasper Ostatek. Kasper Miaskowski. Hodowanie pijawek, wybór miejscowości, wody i innych koniecznych warunków. Poezye. Rozmaitości.

Gazeta Warszawska. Miesiąc marzec, 1860. N. 58—87 zawierają: Szandor Kowacz, szkic, p. *Teod. Tom. Jeża* (dokoń.). Listy z nad brzegów Krożenty: Korrespondencya Ignacego Domejki (p. *Michała Balińskiego*). Korrespondencya z Poznania: Statystyka wyznania rzym.-katol. w W. Ks. Poznańskiém. Nowości z literatury naukowéj, francuzkiéj, p. Dra *Wilhelma Lubelskiego*. Puszcza Białowiezka i Żubry. Sprawozdanie z zebrania Towarzystwa nawozów sztucznych. Przegląd literatury zagranicznéj: La femme par J. Michelet, p. *Edwarda Siwinskiego*. Pierwsze księgarnie w Warszawie. Plotkarz, komedya w 4 aktach, wierszem, p. *Józefa Korzeniowskiego*. Listy z Wieluńskiego, p. *Ludwika Niemojewskiego*. Małe podróże po odległych krajach: II. Dzień w łóżku. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości naukowe, literackie i bieżące.

Gazeta Codzienna. Miesiąc marzec, 1860. N. 58—87 zawierają: Kartki z przejażdżki po Europie, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Kronika paryzka, p. *Z. K.* Boska komedya, rozbiór *F. Henryka Lewestama*. Silva rerum, p. *J. I. Kraszewskiego*: Pracownie artystów: I. Władysław Oleszczyński. Listy włoskie. Droga żelazna między Pińskiem i Grodnem. Dzieje serca, komedya w 3ch aktach, p. *Wacława Szymanowskiego*. Listy potoczne *Wiktoryna Zielińskiego*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Drobiazgi. Co tam słychać? Nowiny. Wiadomości naukowe i literackie.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc marzec, 1860. N. 58—87 zawierają: Korrespondencya z przejażdżki, szkic obyczajowy, p. *W. B...icz*. O kartoflach. Stacho parobek, powiastka wieśniacza, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Ś. p. Stanisław Dzwonkowski. Żona która męża za nosi wodzi, szkic obyczajowy. Wyjątek ze sprawozdania Tow. umiejęt. w Pradze Czeskiéj, odnoszący się do prof. Henryka Sucheckiego. Listy o gubernii Płockiéj. Podróże tajemnicze, p. *H. Przybysławskiego*. Znakomitości tegoczesne: I. Karol-Albert i Wiktor Emmanuel królowie sard. II Lord Palmerston. III. Mac-Mahon. IV. Generał Filangieri. V. Humboldt. VI. Napoleon III. Kilka słów o Szlązku. Korrespondencye. Kronika warszawska tygodniowa. Kroniczka przemysłowa. Rozmaitości. Wiadomości literackie i bieżące.

Kuryer Warszawski. Miesiąc marzec, 1860. N. 58—87.

Gazeta Rządowa. Miesiąc marzec, 1860. N. 48—72 zawierają:

Urządzenia dla dróg żelaznych w Królestwie Polskiem Towarzystwom prywatnym ustąpionych. Ustawa dla Pensyonatu przy Gimnazyum w Lublinie.

Warszawska gazeta policyjna. Miesiąc marzec, 1860. N. 61—91 zawierają: Talia kart. Obrona Kwebeku w 1690 r. Siostra Rozalia.

Warschauer Zeitung. M. März, 1860. N. 50—75 zawierają:

Bilder aus Amerika, mitgetheilt v. Fr. Freistädter. *Fräulein Sobieradzka, v.* J. I Kraszewski, *uebersetzt v.* E. W(oike). *Pindar. Breslauer Briefe. Literarisches aus Deutschland, v.* Fr. von der Zeil. *Der Rangstreit der Nadeln, nach* Theodor Drobisch. *Die Winterfreuden des Naturkundigen, v.* C. A. Roszmaszler. *Zwei Hamburger und zwei Bremer Reisende. Einige Worte über Obstkultur. Der Geisterbeschwörer Dunglas Home. Ueber die Einführung der Glocken auf den Kirchen. Das Deutsche Element in Nord-Amerika. Palmsontag oder Palmenfest. Statistisches. Musikalisches. Handelsnachrichten. Lokalbericht. Provinzialbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc marzec, 1860, N. 16—24 zawierają:

Myśli rolnika z powiatu pułtuskiego w przedmiocie oczynszowania i uregulowania ostatecznie stosunków włościan i mieszczan rolników w dobrach ziemskich prywatnych w Król. Polsk. (ciąg dal.). Jeszcze o chowie ryb, p. *T. Kotarskiego.* Objaśnienia tyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem, dla użytku właścicieli ziemi, podane przez dom komissowy Aleksander Makowski et Comp. w Gdańsku (ciąg dal.). Jak gospodarowano dawniéj a jak dziś. Targi. Spostrzeżenia przy sprzedaży opasów krajowych na Pradze a okowity w Warszawie, p. *J. D.* Ostrzeżenie dla obywateli ziemian, a w szczególności dla właścicieli lasów, p. *Aleksandra Baudouin.* O nawodnieniach, p. *M. T.* Wady głównie się przeciwiące dobremu, moralnemu i materyalnemu kierunkowi włościan. Kilka słów do rolników łomżyńskich. Pamiętnik dla gospodarzy wiejskich, wydany przez Towarzystwo rolnicze w Król. Pol. Kilka słów o żniwiarce normandzkiéj p. Mazier, i o torfiarce p. Brosowskiego, p. *O. Ar.* Przesadzanie drzew starych, p. *Z. G.* Spychacz konny do kopienia siana. Do p. Adama Poniatowskiego w Żytomierzu, z okoliczności żniwiarek, p. *Jana ks. Pietraszek.* Objaśnienie artykułu w N. 10 Korrespondenta przez p. M. R. o cukrowniach w ogólności, p. *K. L.* Listy do redakcyi. Korrespondencye. Korrespondencye handlowe. Wiadomości handlowe.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc marzec, 1860. N. 8—11 zawierają:

Słówko w kwestyi kolowacizny owiec, p. *Rutkowskiego.* Jeszcze o fabrykach w Porębie, p. *B. Aleksandrowicza.* Piśmiennictwo rolnicze: Przegląd krytyczny kalendarzy na rok 1860 w Warszawie wydanych. Nauka uprawy łąk przez Leona Kąkolewskiego, p. *Franciszka Kozielskiego.* Panowie i officyaliści, p. *Ko. Wal.* O pastewnych trawach i ziołach, p. *M. Jackowskiego.* Aforyzmy gospodarskie. Pogląd geograficzny na produkcyę zboża, p. *K.* Machina do prania bielizny, p. *A. Bobrownickiego.* Leśnictwo polskie: Odpo-

wiedź na recenzyę, p. *Benedykta Aleksandrowicza*. O uprawie buraków cukrowych na Ukrainie, oraz narzędziach przy niéj używanych wyrabianych w Białéj Cerkwi w fabryce machin Władysława Mentzel. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Ebann W. Jäger-polka composée pour le piano. Op. 15. Kowno. Éditeurs S. J. Gabryłowicz, lith. J. V. Fleck, str. 3, kop. 15.

Ebann W. Michel-polka pour piano. Op. 16. Kowno. Edit. S. J. Gabryłowicz, lith. J. V. Vleck. str. 3, kop. 15.

Ebann W. Panowie do mazura! mazur na fortepian, op. 18. Kowno, nakł. S. J. Gabryłowicza, lith J. V. Fleck, str. 3, kop. 15.

Ebann W. Duszinka-polka pour piano, op. 17. Kowno, Edit. S. J. Gabryłowicz, lith. J. V. Fleck, str. 3, k. 15.

Pfanhauser Karol. Mazur z mazurów. skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. R. Friedleina. lit. J. V. Fleck, str. 3, k. 15.

Sosnkowski Joseph. La Belle blonde polka pour le piano. Varsovie, lith. A. Pecq et Comp., kop. 22½.

Sosnkowski Józef. Mazurek do śpiewu: „Ach którego kochać mam," z towarzyszeniem fortepianu, słowa *M. K.* Warszawa, nakł. sztycharni nut A Dzwonkowskiego, litogr. A. Pecq et Comp., str. 5, okł. podwójna, piérwsza wyobraża ułana zalecającego się dziewczynie wiejskiéj, litografowana p. *W. Walkiewicza*, kop. 40.

Carr Victor. Le Prince Imperial, nouveau quadrille français tiré des motifs des Operas. Varsovie, chez J. Kaufmann et Comp., lith. W. Otto, str. 9, kop. 37½.

Teichman Antoni. Nie trać żadnéj chwilki życia! Piosneczka na Mezza Soprano z towarzyszeniem fortepianu. Warszawa, nakł. R. Friedleina, lit. J. V. Fleck, str. 3, kop. 15.

Zientarski Romuald. Muzyka kościelna choralna i figuralna używana przy obrzędach kościoła rzymsko-katolickiego. Warszawa, litogr. K. Tytz, zeszyt 9, od str. 89—100, kop. 75.

Kroczyński Władysław. Mazur skomponowany na fortepian, litogr. P. Kresse, str. 3, k. 15.

Kratzer André. Chanson Polonaise en forme de Mazurka pour le piano. Varsovie, au Bureau de Musique de A. Dzwonkowski et Comp. lith. A. Pecq et Comp., str. 5, kop. 22½.

Miserere z opery *Verdego:* „Trubadur" do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, litogr. J. V. Fleck, str. 5, kop. 30.

Stalewska Jadwiga. Przelotne myśli, walce skomponowane na fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., lith. W. Otto, str. 11, k. 45.

Modleniewicz Feliks. Drobnostka polka, skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., lit. W. Otto, str. 5, kop. 22½.

Plater Karol. Do upadłego mazur skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., str. 5, k. $22^1/_2$.

Orthwein Ludwik. Anna polka na fortepian. Warszawa, nakl. G. Gebethnera i Spół., lit. W. Otto, str. 5, kop. $22^1/_2$.

Wenniger Marya J. B. Souvenir de Wasylówka, Invitation a la Mazurka, grand morceau de concert pour le piano. Ouvre 8. Varsovie, chez G. Gebethner et Comp., lith. W. Otto, str. 21, kop. $97^1/_2$.

Moniuszko Stanisław. Hrabina, opera w 3 aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego. Uwertura na sam fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., lit. W. Otto, str. 19, kop. 75.

Kratzer André. Chanson polonaise variée pour le piano. Nouvelle edition. Proprieté de l'Auteur. Varsovie, lith. A. Pecq et Comp., str. 7.

Studziński Karol. Dziewcze i gołąb', śpiew z towarzyszeniem fortepianu, poezya *A. E. Odyńca*. Warszawa, nakł. sztycharni nut A. Dzwonkowskiego i Sp., str. 7, kop. 30.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Pamiątka familijna. Obrona zamku w mieście Dobrzyniu, nad Wisłą, przez starostę Jana Chełmickiego z Płomian, w miesiącu sierpniu r. 1409 na 11 miesięcy przed bitwą Grunwaldzką. Przedstawia chwilę, w której Krzyżacy przeważną siłą do ostatniego z broniącéj się załogi w pień wycinają. Władysław Jagiełło król polski, wynagradzając ten czyn bohaterskiego męztwa, obdarował sukcesorów dowódzcy Jana Chełmickiego donacyą, objętą ponownym przywilejem króla Kazimierza Jagiellończyka z daty w dniu Nawrócenia św. Pawła r. 1455 w Brześciu Kujawskim. Według kroniki Długosza i Kromera w opisie Ziemi Dobrzyńskiéj przez W. H. Gawareckiego. U góry po prawéj stronie: „Przeszłość im dalsza tem urodziwsza, tem od serc ludzkich kochańsza. Z. K." Rys. *F. Sypniewski*, litogr. M. Fajans, fol. podłużne.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1860.—Nie ustają ani zajęcie, ani zapał publiczność w słuchaniu prelekcyj z nauk przyrodzonych w Resursie Kupieckiéj. Sala obszerna jest ciągle przepełniona słuchaczami.

— Na scenie naszéj mieliśmy dwa oddawna oczekiwane przedstawienia: „Listu żelaznego," tragedyi Antoniego Małeckiego, i komedyi Józefa Korzeniowskiego „Konkurent i mąż." Pierwsza, przez nietrafne powierzenie roli głównéj p. Rychterowi, która do jego talentu nie przy-

staje wcale, nie zdobyła tak świetnego powodzenia, na jakie zasługuje: druga coraz więcéj zwabia publiczność, poparta grą wyborną naszych artystów. Na drugiém przedstawieniu „Konkurenta i męża" publiczność wśród zapału powszechnego, wywołała sędziwego autora; gdy się wychylił z loży, grzmot oklasków był piękną nagrodą za ten utwor, pełen wdzięku i wartości artystycznéj.

— Druk tomu 3 „Encyklopedyi powszechnéj" w tych dniach się kończy i bez przerwy rozpocznie się tom 4. W nim mamy już koniec litery *B* i początek litery *C*. O ile się zdaje, że sześć tomów zajmą litery *A*, *B*, *C* i *D*, za to *E*, *F*, *G*, *H*, złożą tom jeden, jak *J* i *I*, *L* i *Ł*; na dalszych literach, jak *O*, *T*, *U*, *V*, *X*, *Y*, *Ż*, *Z*, znajdą się oszczędności, które wróżą, że w XX tomach cała ta wielka publikacya zamkniętą zostanie. Obecnie drukuje się *Bo* i jest blizkie końca. Wielu spółpracowników nadesłało już artykuły do litery *C*.

— „Tygodnik illustrowany," który tak przychylnego doznał przyjęcia, że liczy z górą 3,500 prenumeratorów, coraz się więcéj rozwija i udoskonala. Z przygotowanych materyałów wyższéj wartości, możemy tu wspomnieć: „Obrazki Karpat," w których nietylko mamy piękniejsze strony téj uroczéj krainy, ale i lud góralski, pasterzy, na miejscu fotografowanych. Szereg życiorysów znamienitych mężów polskich, zajmie wszystkich uwagę. Z powieści wymienimy utwory Władysława Anczyca, Leona Kunickiego i w. i. Zabytki starożytności krajowych, jak zbroje dawne, kostiumy, znajdą pomieszczenie: słowem, równie redakcya, jak wydawca, położyli usilne starania, ażeby pismu temu nietylko nadać powab popularny, ale rzeczywistą wartością zrobić Tygodnik illustrowany księgą, która będzie ozdobą każdéj biblioteki prywatnéj.

— Ogłaszamy część nowéj pracy znanego chlubnie na polu powieściopisarstwa Zygmunta Kaczkowskiego p. n.: „Kobieta." O całości tego studyum w obszernych ramach objaśnia list tego autora, pisany do K. Wł. Wójcickiego, z którego załączamy ustęp:

„Biorąc się do téj pracy, przyjąłem trzy zasady: 1) aby się głównie zatrudnić temi czasami, które nie są obrobione w dziele pańskiém p. t. „Niewiasty polskie," t. j. od początku po wiek XVI, i wykazać, jakie niewiasta polska przeszła losy i na jakich drogach zrobiła się taką, jaką ją znamy od wieku XVI.

2) Aby mieć głównie wzgląd na to, iż historya nasza tych wieków, jest u nas co do szczegółów bardzo mało znaną.

3) Aby się nie zakuwać w żaden system poważny i ścisły, i cały wykład uczynić ile możności dla jak największego ogółu przystępnym.

Tak tedy wygląda całość. Trzy czwarte części jéj zajmują czasy po wiek XVI. W nich, oprócz tego, co do Biblioteki Warszawskiéj posłałem, wykładam rzeczy następujące: a) sprawę ludowego stronnictwa, aż do jego upadku za Bolesława Śmiałego, i sympatyą naszéj niewiasty z tą sprawą; przyczém dowodzę, że mniemane zepsucie za Bolesława Śmiałego nie było niém w samej istocie, tylko będąc poprostu powrotem do dawnych ślubów pogańskich, było daleko więcéj sprawą polityczno-społeczną, niżeli czysto obyczajową. b) Opowiadam, czém było całe rycerstwo średniowieczne w Europie: prostuję romantyczne o niém mniemania, opisuję szczegółowo rycerstwo niemieckie i jego wpływy na obyczaje

w Polsce. Wracam się tutaj do czasów pogańskich i wykazuję szczegółowo różnicę pogańską a chrześciańsko-rycerską: określam rolę kobiéty tam i tutaj, i opisuję jéj losy w wiekach XII, XIII i XIV. Z tém przechodzę do królowéj Jadwigi. c) Charakter, losy i żywot Jadwigi opisuję jak najdokładniéj: wykazuję, że ona dopiéro jest piérwszym wzorem chrześciańsko-rycerskiéj kobiéty, i dowodzę, że po czasach, w których się jeszcze ciągle ze sobą mieszały dawne wyobrażenia pogańskie ze spaczonemi wyobrażeniami zepsutego obyczajowo rycerstwa, od niéj dopiéro zaczyna się u nas prawdziwa cześć i dobra dola niewiasty. Tę dosyć długą rozprawę, kończę wyliczeniem zasług Jadwigi i rzutem oka na obyczaje w XV wieku. d) Przechodzę nareszcie w wiek XVI, gdzie się zajmuję rozbiorem i określeniem znaczenia ówczesnych satyr, odnośnie do rzeczywistego stanu obyczajów. W zapatrywaniu się na tę ważną kwestyą, zgadzam się z panem zupełnie, z wyjątkiem wszakże mniemania, jakoby było naówczas zepsucie po wielkich dworach. Zawsze było tylko po miastach, ale po wielkich dworach nie było go nawet jeszcze wtedy. Ja przynajmniéj nie mogę żadnych na to odszukać dowodów. Rej, Kochanowski, Górnicki, nie świadczą o tém; satyry także nie. Jakoż prócz jakiejś niesprawdzonéj bajki o Dorocie Tęczyńskiéj i jakiemś zabójstwie w domu Radziwiłłów, nic więcej nie mogę znaleźć. Pod wielkimi dworami rozumiem oczywiście tylko Tęczyńskich, Tarnowskich, Ossolińskich i tym podobnych. Jestem więc zdania, że było zepsucie, ale tylko po miastach i pomiędzy tą klassą szlachty, która się pięła do wielkich panów, a niestać ją było na to. Byłato zawsze najlichsza klassa w Polsce i najlichsze tam bywały kobiéty. Czasy późniejsze, mięszanie się narodowości w arystokracyi, napływające zepsucie, rozwody, ohydne czasy Stanisława Augusta, obyczajowe zepsucie za Księztwa Warszawskiego, pokryte elegancyą francuzką, jako rzeczy dobrze już znane, przechodzę pobieżnie. Ale za to zatrzymuję się nad odżywieniem zdrowego uczucia przez romantyzm, i kończę rzecz całą obrazem naszéj najukochańszéj babki, która się jeszcze do naszych dochowała czasów. Tyle obejmuje część 1 mojéj kobiéty. Część 2, w któréj będę mówił o czasach dzisiejszych i powalę zasady Micheleta przynajmniéj dla nas, opierając się na zasadach historyi, religii i psychologii, jeszcze nie jest zaczęta i Bóg wié, kiedy ją przyjdzie napisać."

— Otrzymujemy wiadomość z Poznania, że doktor Antoni Mieczyński napisał obszerną rozprawę o życiu Sebastyana Klonowicza. Składa się z trzech części, z których piérwsza obejmuje życiorys, druga pogląd na pisma Klonowicza, trzecia wiadomości bibliograficzne. Mamy w niéj nieznane dotąd szczegóły Dowiadujemy się z niéj, że Klonowicz w 9 roku życia był na Węgrzech, a w 19 w czeskim Kromołowie; że następnie udał się do Krakowa, zkąd przeniósł się do Lwowa, gdzie przez cztery lata przebywał; od r. 1580 udał się do Lublina i tam aż do śmierci pozostał. Około r. 1586 został rajcą lubelskim, a przed r. 1600 burmistrzem; obok zaś tego był wójtem psarskim, a Psary należały do księży Benedyktynów: ztąd pochodzi stosunek jego przyjacielski do Benedyktynów Sieciechowskich, a mianowicie do słynnego ich opata, potém biskupa kijowskiego, księdza Wereszczyńskiego, którego pisma Klonowicz tłumaczył. Téj zażyłości z zakonnikami zawdzięczamy Flisa. Co nie-

zmiernie ważną jest rzeczą w badaniach tych, to dowody Dra Mieczyńskiego, że 42 zwrotek w tym poemacie jest podrobionych. Dobrze byłoby, żeby szanowny autor przyłożył rękę do wydania krytycznego wszystkich pism Klonowicza, jak już mamy Miaskowskiego. Przyrzekano nam pisma Jana Kochanowskiego w staranniej edecyi, ale napróżno dotąd oczekujemy spełnienia obietnicy.

— Wdowa po Ludwiku Osińskim ma zamiar, przy pomocy jednego z miłośników piśmiennictwa krajowego, wydać zbiór całkowity wszystkich prac jego. Oddawna należało to uczynić dla uczczenia pamięci zasłużonego professora, którego imię długo miało wielki rozgłos w kraju. Czas, by położyć także chociażby najskromniejszy kamień grobowy z prostym napisem na mogile ziemnéj, któréj ślad już znika na cmentarzu powązkowskim Taka niedbałość nie do przebaczenia.

— Dr Gruszczyński ogłosił drukiem (nakład J. K. Żupańskiego) w r. b. dwie prelekcye, miane w kółku towarzyskiém w r. 1858 i 1859: „O Mickiewiczu" ze stanowiska narodowego i „Wojna chocimska" Wacława Potockiego; piérwsza obrona zbyteczna; o wojnie chocimskiéj, nasze pismo zaraz po wyjściu podało szczegółową wiadomość z piękniejszemi wyjątkami, wskazując wysoką wartość téj epopei narodowéj. Dr Gruszczyński, lubo powtarza nasze zdanie niemal dosłownie, nie wspomniał nawet, że Biblioteka Warszawska była pierwszą, która oceniła należycie ten świetny zabytek przeszłości.

— „Rozrywek dla młodocianego wieku," S. z Ż. Pruszakowéj, skończył się tom drugi, czyli sześć poszytów. Oprócz wielu zajmujących artykułów tak treścią, jak artystycznem obrobieniem, zwracamy uwagę czytelników naszych na dwa obszerne życiorysy pióra redaktorki: Józefa Paszkowskiego, pułkownika b. wojsk polskich, i ks. Karola Antoniewicza, sławnego kaznodziei i pisarza.

— Wydawca Album wileńskiego, p. Kazimierz Wilczyński, przygotowywa nową publikacyą: „Ołtarzyk ostrobramski," ułożony przez jednego z kapłanów, znanego powszechnie ze swej pobożności i wymowy kaznodziejskiéj; zawierać będzie: 1) Historyą Ostrej bramy J. I. Kraszewskiego. 2) Nabożeństwo szczególne do N. P. Ostrobramskiéj, zebrane z dawnych ksiąg, i nabożeństwa przygodne i całoroczne. Cała książka kładać się będzie z tysiąca kilkuset stronnic: zdobić ją będą 24 obrazki, rytowane na stali przez celniejszych mistrzów w Paryżu, podług starożytnych obrazów, znajdujących się w dawnych kościołach polskich.

— P. Józef Baranowski, wynalazca sygnałów automatycznych, zastępujących na kolejach rządowych służbę rozstawioną po drodze dla ostrzegania o nadchodzących pociągach, otrzymał po długiém oczekiwaniu w Anglii dnia 23 marca r. b. dozwolenie zrobienia doświadczeń na kolei North London, i takowe wybornie mu się powiodły. W pośród oczekiwania na proby swoich sygnałów, wynalazł maszynkę do kopiowania listów, niezbędną dla każdego domu handlowego, którą nazwał *Copiotype portatif*, ważącą zaledwie 4 funty angielskie, a kosztującą 5 do 6 szylingów. Sposób ten z układu swego tak jest prosty, że lada dziecko może odciskać kopie listów bez naruszenia czystości oryginału. Musi ten wynalazek mieć wszystkie warunki praktyczności, kiedy natychmiast

jeden z negocyantów londyńskich, p. Lund, ofiarował wspólnictwo swoje do jego eksploatacyi na wielką skalę.

— We Lwowie rozpoczęto druk dzieł następnych: 1) Dokładne rysunki podług zbioru ptaków krajowych hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego; rysuje Tomaszkiewicz, chromolitografią zajmie się zakład Pillera. 2) Popularny wykład wszystkich nauk (mianowicie: matematyki, miernictwa, fizyki i kosmografii dla ludu) 3) Tegoż wykład botaniki, głównie podług dzieła niemieckiego Müllera.

— Antoni Wieniarski, znany powieściopisarz, napisał komedyą „Chłopi i koloniści," która ma być przedstawioną na Teatrze Rozmaitości.

— „Postęp." pismo w Wiedniu wydawane, wychodzi bez przerwy, ogłasza nawet zadania konkursowe a redaktor przeznaczył, jako premium, medal złoty za rozwiązanie pytania: „Co jest przeszkodą rozwoju przemysłowego w krajach polskich?" Termin ostateczny do przesłania tej rozprawy do redakcyi naznaczył na dzień 1 grudnia 1860 r.

— Aleksander Tyszyński, osiadłszy w ustroni wiejskiéj, w gubernii wileńskiej we wsi Miassocie, i objąwszy gospodarstwo, długi czas mało co dawał wiedzieć o sobie. Teraz dowiadujemy się, że ciągle pracował w tej zaciszy i przygotował rękopism do druku p. n.: „Książka o biegu dziejów czyli Logika filozofii praktycznéj." Treść tego dzieła sam p. daje w liście do K. Wł. W., z którego ustęp ten wypisujemy:

„Jestto przebieżenie w zarysie zewnętrznych i wewnętrznych dziejów powszechnych od początku do czasów naszych, dodanie wniosku o przyszłych i wreszcie wyprowadzenie ztąd reguły dziennej dla każdego. Wszyscy chcą filozofii praktycznej, ale filozofia praktyczna nie da się wyprowadzić z żadnej z tych logik, jakie są dotąd: jeżeli filozofia nasza krajowa stać się ma z gruntu nową, powinna wyjść z logiki z gruntu nowej. Filozofia dziś wprawdzie, jakto mówią, wszędzie zbankrutowała (widzę to i w niemieckiéj, któréj pisma, w poznawaniu pisni ludzkich, zajęły mnie nad wszystko, i w biegu któréj starałem się być zawsze); nie idzie jednak za tem, iżby i żyć przestała: może to być skutkiem przyczyny takiej, iż za żywy jest na te lata rozkwit innych pierwiastków ludzkich; może być skutkiem winy nie filozofii a filozofów i t. p.; a jednak jestto pewna, że literatura żadnego kraju nie może się nazwać rzetelnie bogatą, kraj rzetelnie znaczącym, jeżeli nie odznaczy ich filozofia, czy to dlatego, że stan tej gałęzi wpływa na stan zastosowań t. j. uprawy innych gałęzi w tym kraju, czy też dlatego, że zjawienie się téj gałęzi, jest znakiem dojścia krajowego myślenia do kwiatu myślenia."

— Stanisław Bratkowski, znany autor „Teoryi pisania listów," wydanych w r. 1829 w Warszawie, ogłosił teraz prenumeratę w Paryżu na nowe wydanie poprawne i powiększone p. n.: „Rzecz o pisaniu listów dla użytku młodych Polek i szkół żeńskich". „Wzory (pisze w prospekcie) były dostarczane w dawniejszych czasach przez ś. p. Klementynę z Tańskich Hoffmanową: dosyć wskazać to źródło, aby zapewnić o właściwości wyboru. Są także listy pisane przez same Polki. Do wzorów są dołączone niektóre listy wielkich pisarzy naszych, a mianowicie Krasickiego. Na końcu kilka listów francuzkich w tłumaczeniu, dla obznajomienia i porównania." Cena pięć franków.

— Otrzymaliśmy z własnoręcznej notatki ś. p. Karola Sienkiewicza wiadomość o pismach ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, i tę podajemy dla bibliografów naszych: 1) Katechizm dla kadetów b. d. 2) Panna na wydaniu, komedya, r. 1774. 3) Pysznoskąpski, komedya (pod imieniem Belgrama) 1774. 4) Bliźnięta, tłumaczenie komedyi Renarda 1775. 5) Gracz, komedya z tegoż autora 1776. 6) Kawa, komedya 1779. 7) Listy Doświadczyńskiego (bezimiennie) 1783. 8) Umiastowskiego proces sądowy w subselach litewskich, 1782 (można w części uważać za dzieło księcia, pisane było za jego radą, gdy był marszałkiem Trybunału litewskiego). 9) Myśli o pismach polskich, 1801 r., druga edycya 1810 r. 10) O elekcyi Henryka Walezyusza przez Choisain, wydane tłumaczenie pod imieniem Turskiego.

— W Wilnie główny redaktor Kuryera Wileńskiego, któreto pismo coraz więcej się rozwija i nabiera przeważnego znaczenia w naszej prassie peryodycznej, założył drukarnią zasobną, odpowiednią dzisiejszym potrzebom, i podejmuje nakłady Z dzieł wyszłych z druku, przytaczamy: 1) Skarbiec dyplomatów papiezkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów, posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi Litewskiej i ościennych im krajów, zebrał i w treści opisał Ignacy Daniłowicz, tom 1. Z pozgonnych rękopismów, znajdujących się w bibliotece Muzeum wileńskiego, wydał Jan Sidorowicz. 2) O Tryptyku z wystawy archeologicznej krakowskiej i kilka z tego powodu uwag nad architekturą i rzeźbą gotyckiego stylu, napisał Józef Kremer. 3) Chatka ojca Toma czyli Życie Murzynów w stanach niewolniczych Ameryki Północnej, romans pani Biczer Stow (Beecher Stowe). 4) Wyjście Izraelitów, powieść z angielskiego. 5) Walentyna, dramat w pięciu aktach Frejtaga, przełożył D. C. Chodźko.

— Zakład typograficzny Józefata Ohryzki w Petersburgu ciągle czynny, odznacza się równie ozdobnemi jak staranemi wydaniami. Oprócz pomnikowego przedruku Voluminów Legum, których już otrzymaliśmy cztery tomy, wyszły z tej drukarni: 1) Zasady ekonomii politycznej z niektóremi zastosowaniami do ekonomii społecznej, z angielskiego John Stuart Mill'a. Tłumaczyli R. P. i B., nakład jednego z tłumaczy. 2) Dzieje żywota i utworów Goethego, oraz zarysy wieku jego i współczesnych mu mężów znakomitych, podług ogłoszonych i nieogłoszonych drukiem źródeł. Dzieło C. H. Lewesa, z angielskiego przełożył i własnemi uwagami w tekście samym i dopiskach poczynionemi powiększył A. Nowosielski, 2 tomy. 3) Uwagi o nadużyciu spirytusowych napojów 4) Snoby, utwor humorystyczny Thackeray'a, tłumaczenie z angielskiego. 5) Żywoty biskupów wileńskich.

— Drukarnia J. Zawadzkiego w Wilnie wkrótce zacznie drukować „Silva rerum," powieść staropolską K. Wł. Wójcickiego w 2 tomach. Małe z niej wyjątki przed kilką laty ogłosił Dziennik Warszawski. Osnowana na podaniach krajowych, obejmuje okres czasów, głównie ostatnich czasów rzeczypospolitej do r. 1830.

— Dzieło Eustachego Marylskiego, „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych," już wyszło z pod prasy drukarskiej. Obejmuje spis wszystkich rodaków, spoczywających na cmentarzu katolickim drezdeńskim, a zamyka je pomnik grobowy księcia Józefa Poniatowskiego

nad Elsterą. Format zastosowany do „Cmentarza Powązkowskiego" K. Wł. Wójcickiego, jako niejako dalszy ciąg jego. Zacny nasz autor i ziemianin, pragnąc zebrać wszystkie pomniki rodaków rozsypane po obcych ziemiach, nie ustaje w poszukiwaniach i znaczne potemu zebrał zasoby. Zgłosił się w tym celu do znamienitego rzeźbiarza Henryka Dmochowskiego, zamieszkałego w Washingtonie w Ameryce, który wkrótce wraca do kraju. Z listu tego artysty, datowanego 28 marca r. b. z Washington'u, przywiedziem tu zajmujący ustęp: „W połowie przyszłego miesiąca jadę na południe do miasta Savannah. To miasto wystawiło piękny i okazały pomnik Kazimierzowi Pułaskiemu, który zginął pod jego murami w r. 1779. Postaram się o dokładny cieniorys (fotograf) tegoż pomnika, a opisanie sam zrobię. Innych Polaków w Ameryce nie wiem nagrobków; po większej części nie bogaci rodacy nasi tutaj, nie mogą się zdobyć na wydatek podobny i skromnie w cieniu leżą. Jest w West-Point pomnik wystawiony dla generała Kościuszki przez uczniów tamecznéj szkoły wojskowéj, któréj on był pierwszym założycielem, na wzór dawnéj szkoły kadetów u nas. We Francyi w mieście Tours wzniosłem pomnik przyjacielowi memu W. Pietkiewiczowi, na który rysunek miałem od ś. p. Dawida d'Angers. Kolosalny biust Kazimierza Pułaskiego, mojéj roboty, będzie stał wkrótce w Kapitolu."

— Tragiczny wypadek, opisany przez Łukasza Górnickiego, sprawy księżnéj Ostrogskiéj, służący za przedmiot do dramatów J. I. Kraszewskiemu i Szujskiemu, upowszechnił się w ogóle, lubo nie dość jeszcze wyjaśniony, co spowodować mogło Zborowskiego, pana świetnego rodu, że tak zawzięcie ścigał poza granicami rzeczypospolitéj nieszczęśliwego Dymitra Sanguszkę i zamordował jako banitę, biorąc na siebie obowiązek kata. Teraz otrzymujem śliczny sztych nagrobka Sanguszki, wydany staraniem kapłana czeskiego Franciszka Petery. Sąto na glansowanym papierze dwie ćwiartki w 8ce. Na pierwszéj napis: „Náhrobek Dimitra Sanguszka vojvody Litevského 3 únvra 1554 w Javomiri zahitého objeveny v chrámě sv. Mikuláse u vemném meste Jaromiri v Cechách od Kneze. Frantiska Petery Rohoznického farare nekdy Belokradskeho, onda Museu Kralovst. Ceskeho a dedictvi sv. Jana Nepomuckého dne 19 Listopadu 1859." Na drugiéj rysunek nagrobku. W okrągłym wieńcu, na polu tarczowém, w zupełnéj zbroi, z wzniesioną szablą ponad głową na koniu, jest postać męża słynnéj Halszki. Kamień grobowy stanowi prostokąt. Na nim czytamy następne napisy: „Hoc. loco conditur. Corpus. Clari. Martinus. Zborowski. Trucidavit. Thu. Lieszy. Knize. Dimithr Sanduscko-wycz. Starosta. Czyrkawski. Y Kaynowsky. Rodu. Wyelkiego. Knize. Lithewskie. Olgierdowa. Kthurego zamordowal. y zabil. Nieszliachethnitk. Marczin Zborowski. Niemyawszy. do. niego. zadny. przciciny. 1554." Napis ten mieści się nad i pod wizerunkiem Dymitra. Po bokach są napisy, łączące się z nagłówkiem: „Lithvaie. Ducis. Dithr. Saduskovie. Ex. Ma-tilica. Olgierdoru. *Fallia* nati. Capitaei, Cyrkowie—et. Kayonie Quem." Pomnik ten, który rzuca wieczyście plamę na morderstwo Zborowskiego, zapewne znajdzie miejsce w Tygodniku illustrowanym. Przedmiot to ważny i zajmujący.

— Tomasz Padurra, zamieszkały pod Kijowem w ustroni wiejskiéj, który tyle lat wieści o sobie nie dał żadnéj, nadesłał dwa wyjątki z orygi-

nalnego poematu, p. n.: „Podróż Czajld Harolda po Słowiańszczyźnie,", wierszem polskim z pierwszéj pieśni, z drugiéj po rusku z przekładem polskim. Nie mamy wyjaśnienia, który tekst za główny uważać, ale możemy sądzić o rozmiarach wielkich tego utworu, widząc w pierwszéj, strofy oznaczone numerem 352, drugiéj 266. Z tych ustępów już wnioskować można o wysokiéj wartości poetycznéj tego utworu.

— Na Wystawie obrazów w Krakowie, obraz pędzla Leopolda Loffera, przedstawiający ostatnie chwile Stefana Czarnieckiego, trzyma pierwszeństwo. Treścią obrazu są dwie akcye: pożegnanie z ulubionym koniem i ukazująca się we drzwiach deputacya niosąca buławę, zlewają się w jednéj scenie, nie rozdzielając interesu. W głębi słabo oświeconéj chaty spoczywa Czarniecki: z wysileniem widać dźwignął się z wezgłowia, aby ręką pogłaskać przyprowadzonego mu konia, którego melancholiczne wejrzenie i roztwarte nozdrze wietrzą unoszącą się śmierć nad głową ukochanego pana. Towarzysze łojów, domownicy, otaczają łoże, odwracając głowy, jakby się sromali łez wyciśniętych uroczystą chwilą. U nóg na pierwszym planie klęczy ks. Dąbrowski ku widzom plecami, na boku stoi kielich, oleje święte, dla wytłumaczenia, że się już najważniejszy akt odprawił, a nadeszła godzina ostatnich z światem uścisków i pożegnań. W głębi, w otwartych drzwiach ukazują się jacyś dygnitarze, niosący na poduszce buławę. Czarniecki zajęty ulubionym rumakiem, nie zwraca na nich uwagi, równie jak wszyscy obecni. W obec majestatu śmierci, honory te, to tylko ironia życia. Sprawozdawca gazety Czas (nr. 95), z którego treść obrazu podajemy, unosi się głównie nad cudowną głową hetmana i kończy temi słowy: „W dziejach naszego malarstwa podobno jest to najznamienitszy i w wyższém znaczeniu historyczny utwor. Bez zarumienienia się moglibyśmy pokazać go za granicą i nie dziwionoby się, że u nas pod twardem niebem rodzą się talenta, mogące z szczęśliwszemi krajami rywalizować".

— Gdy śmierć Adama Jochera przerwała wszelkie nadzieje dalszego ciągu oczekiwanego „Obrazu bibliograficznego," p. Adam Zawadzki, który firmę domu swego tak świetnie utrzymuje i użytecznie, zamierza, jako dalszy ciąg téj publikacyi, podług już planu F. Bentkowskiego prowadzić. Plan to lepszy i dogodniejszy. Tym sposobem trzy pierwsze tomy będą stanowić początek zamierzonego dzieła, które nie powątpiewamy, że znajdzie chętny pokup u miłośników rzeczy ojczystych. W r. b. ma się dawno zapowiedziany przez nas rozpocząć druk wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego tak prozą, jak wierszem. Piękna to myśl i śliczny dar dla literatury ojczystej. Wnijdą tu, oprócz dawniejszych utworów tego pisarza dramatów i powieści, wszystkie utwory do ostatnich czasów; a gdy co nowego napisze (o czém nie wątpimy, przy takiej dojrzałości talentu i tak młodym jeszcze uczuciu artystycznem), wejdzie w tomy ostatnie. Publikacya ta w ozdobnem i starannem wydaniu obejmie z górą dwadzieścia tomów.

— Franciszek Maciejowski, sędzia appelacyjny Królestwa, ukończył już ostatnią redakcyą „Historyi prawa rzymskiego"

— W Lublinie na restauracyą dawnego kościoła Panien Brygidek dziś Wizytek, zbierane są składki. Kościół ten wystawił Władysław Jagiełło na pamiątkę zwycięztwa pod Grunwaldem nad Krzyżakami.

— Gazeta Codzienna przywiodła wiersz Adama Mickiewicza nieznany, wypisany z albumu ś. p. Hermanowéj. z domu Borejkównéj. Powtarzamy go tu w całości:

„Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wązką ścieszką łączącą dwa morza.
Wszyscy z przeszłości mglistéj w przyszłość lecim mroczną;
Jedni najprościéj dążą i najrychléj spoczną;
Drugich na stronę wiodą łudzące widoki,
Plony, ogrójce wdzięków i stawy opoki.
Szczęśliwi! jeśli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni.

— Nasz artysta Tytus Maleszewski na wielkim arkuszu wydał 39 popiersi królów polskich, zacząwszy od Mieczysława I, a kończąc na Stanisławie Auguście. Publikacya ta wielkiego może być użytku przy uczeniu dziejów ojczystych dla młodéj dziatwy polskiéj.

— Załączamy ustawę Towarzystwa entomologicznego rossyjskiego w Petersburgu, jak była ogłoszoną w dodatku do nr. 8 Senackich Wiadomości:

A. *Cel Towarzystwa.*

§ 1. Towarzystwo entomologiczne rossyjskie ma: *a)* dopomagać rozszerzaniu się wiadomości entomologicznych w Rossyi; *b)* zbadać zwierzęta stawowate krajowe; *c)* badać i ogłaszać wypadki poszukiwań, tyczących się pożytku lub szkód przez nie zrządzanych, tudzież sposoby niszczenia owadów szkodliwych; *d)* aklimatyzować owady pożyteczne; *e)* zbliżyć z sobą entomologów rossyjskich, ułatwiać ich stosunki tak wzajemne, jako téż z naturalistami i towarzystwami zagranicznemi.

B. *Skład Towarzystwa.*

§ 2. Towarzystwo składa się z nieograniczonéj liczby członków, z pomiędzy których będą wybierani na czas członkowie zarządu, mającego zawiadywać administracyjną częścią Towarzystwa.

§ 3. Członkowie dzielą się na: *a)* honorowych i *b)* rzeczywistych.

§ 4. Skład zarządu Towarzystwa: *a)* prezes; *b)* vice prezes; *c)* jeden lub dwóch sekretarzy; *d)* redaktor; *e)* kassyer; *f)* konserwator.

C. *Wybór członków i zarządu.*

§ 5. Na członków tak honorowych, jak czynnych, mogą być wybierane osoby obojga płci i wszelkiego stanu.

§ 6. Na członków honorowych przedstawia zarząd uczonych, którzy odkryciami i dziełami swojémi przynieśli rzeczywiste przysługi dla entomologii, albo osoby, które przyłożyły się do wzrostu Towarzystwa.

§ 7. Na członków rzeczywistych przyjmowane będą osoby, zajmujące się wyłącznie entomologią i objawiające chęci służenia Towarzystwu; kandydaci powinni być przedstawiani przez 3 członków Towarzystwa.

§ 8. W liczbę członków rzeczywistych wchodzą założyciele Towarzystwa, którzy urzeczywistnili pomysł jego założenia. Każdemu z nich

dopóki będzie należał do Towarzystwa, ma służyć przywilej dawania dwóch głosów we wszelkich głosowaniach.

§ 9. Inni członkowie, tak honorowi jak rzeczywiści, mają prawo dawać jeden głos tylko.

§ 10. Jak jedni, tak drudzy na posiedzeniu tylko poddawani być mogą głosowaniu; po przedstawieniu są przyjęci większością głosów członków obecnych.

§ 11. Zgromadzenie ma prawo głosować, a wypadek głosowania uważa się za ważny, jeśli obecnych członków nie było mniej nad 15.

§ 12. Założyciele i członkowie rzeczywiści składają po 5 r. na 17 maja każdego roku, z wyjątkiem jednakże dla członków zagranicznych, którzy żadnej opłaty nie wnoszą. Przy wstąpieniu do Towarzystwa, członkowie mieszkający w Rossyi, płacą jednorazowo po 3 r. za dyplom.

§ 13. Kto z członków rzeczywistych (obejmując tu i założycieli) wniesie jednorazowo 50 r., ten uwalnia się na zawsze od rocznej opłaty.

§ 14. Na członków honorowych nie wkłada się obowiązku opłat rocznych, lecz wszelka ofiara z ich strony na korzyść Towarzystwa, będzie przyjęta z wdzięcznością.

§ 15. Ponieważ istnienie Towarzystwa ent. ross. zawis'o jedynie od współudziału krajowych entomologów, przeto życzyć sobie należy, aby nikt od rocznéj pieniężnéj opłaty nie był uwalnianym, i dlatego nie uiszczenie przez dwa lata naznaczonéj wkładki, uważać się będzie za chęć wystąpienia z Towarzystwa.

§ 16. Jeśliby się zdarzył powód kogokolwiek z entomologów żyjących w Rossyi przedstawić dla ważnych przyczyn na członka niepłacącego, to aby wybór taki miał wagę, potrzeba jednomyślności członków obecnych na tem zgromadzeniu.

§ 17. Członkowie zarządu są obierani na rok jeden na posiedzeniu rocznem w maju, z pomiędzy członków mieszkających stale w Petersburgu. Po upływie roku prezes zmienia się koniecznie, i jeżeli Towarzystwo życzy sobie tego, to na jego miejsce wstępuje vice-prezes. Sekretarze, redaktor, kassyer i konserwator, mogą pozostawać dłużéj niż rok, lecz na to powinno być corocznie objawione życzenie Twa większością głosów. Viceprezes nie może pozostawać dłużéj nad rok jeden.

D. *O zgromadzaniu się i ekskursyach.*

§ 18. Towarzystwo rezyduje w Petersburgu i zgromadza się w zimie raz co miesiąc, a w razach nadzwyczajnych może być zwoływane i częściej. Od maja do sierpnia włącznie, zamiast zgromadzeń odprawia, według rozporządzenia zarządu, praktyczne ekskursye entomologiczne, tak w okolicach stolicy jak i innych stronach kraju, dla zbierania i badania na miejscu spotykanych tam owadów.

§ 19. Prócz tego członkowie zarządu powinni się zgromadzać dla narad, na wezwanie prezesa, który może wezwać na nie jeszcze jednego lub kilku członków Towarzystwa, jeśli to za pożyteczne osądzi.

§ 20. Wszystkie kwestye, tak naukowe jak gospodarcze, rozstrzygają się większością głosów przez tajne głosowanie gałkami czy to na zgromadzeniach Twa, czy też w zarządzie. Na przypadek równości głosów, prezes rozstrzyga kwestyą.

§ 21. Corocznie w maju ma być Towarzystwu przedstawione roczne sprawozdanie o jego naukowych działaniach i złożony rachunek z jego funduszów. W tym celu wybiera Towarzystwo na zgromadzeniu zwyczajném kwietniowem z pomiędzy członków obecnych komissyą do przejrzenia czynności i summ Twa, tudzież rachunków zarządu. Kommissya ta składa się z 3 członków wybranych tajném głosowaniem przez kartki, na których każdy pisze nazwiska 3 kandydatów. Raport komissyi, wyrażony na piśmie, należy do sprawozdania i z niém razem ma być odczytany w całości, ze wszystkiemi uwagami komissyi, na rocznem zgromadzeniu Towarzystwa.

§ 22. Kandydatów na prezesa i vice-prezesa przedstawia zarząd. Na prezesa, przeszłego vice-prezesa i prócz niego 2 jeszcze członków. Na vice-prezesa 3 członków; głosowanie odbywa się przez kartki; mający największą liczbę głosów zostaje prezesem i vice-prezesem. Potém następuje podobném głosowaniem obiór członków zarządu przez samo zgromadzenie, bez udziału zarządu.

§ 23. Na posiedzeniach zwyczajnych Towarzystwa żadne odczyty i propozycye, nie mające związku z naukami przyrodzonemi, miejsca mieć nie mogą, i obowiązkiem jest prezesa nie dozwalać takowych. Członkowie, mający do odczytania swoje rozprawy, powinni przed otwarciem posiedzenia zawiadomić o tém prezesa, który naznacza kolej odczytom.

§ 24. Każdy członek Towarzystwa ma prawo przyprowadzić z sobą na posiedzenie jednego gościa.

E. *O publikacyach i zbiorach Towarzystwa.*

§ 25. Towarzystwo ma wydawać według możności i potrzeby swoje Roczniki i inne dzieła entomologiczne, tyczące się nauki lub pożytku publicznego, w języku ross., jak i w innych językach. i do tego naznacza się umyślnie wybrany redaktor, zostający pod kierunkiem zarządu.

§ 26. Towarzystwo ma własną pieczęć z napisem: *Towarzystwo Entomologiczne Ross. w Petersburgu*, pod którą przesyła wszelkie korrespondencye i wyciska ją na dyplomatach członków Twa. Pieczęć przechowuje się w zarządzie.

§ 27. Towarzystwo ma zwrócić usiłowania swoje na złożenie całkowitego zbioru dokładnie naukowo poznaczanych owadów, mianowicie rossyjskich.

F. *O dodatkach do ustawy.*

§ 28. Zgromadzeniu ogólnemu pozostawia się prawo uzupełniać i rozwijać niniejszą ustawę artykułami dodatkowemi, w miarę jak się da uczuć potrzeba tego; wszakże w niczém nie zmieniać jéj podstawy. Dodatki te wtedy tylko otrzymają moc obowiązującą, jeśli przy głosowaniu okaże się za niemi nie mniéj jak $^3/_4$ głosów członków obecnych, a następnie zatwierdzone zostaną przepisanym porządkiem.

Niniejsza ustawa na piérwszy początek wprowadza się sposobem próby na 3 lata.

Kraków. W drukarni uniwersyteckiéj kończy się druk *Rocznika* ordynacyi Myszkowskich mieszczący starannie przez A. Z. Helcla wydane listy do panowania Jana Sobieskiego. W drukarni Czecha wyszło

w nowej edycyi panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego Albertrandego, pomnożone dodatkami poprzednio ogłoszonemi p. Edwarda Raczyńskiego. Wydawnictwo katolickie W. Wielogłowskiego ukończyło druk *Tatrów* w XXIV obrazach, opisanych wierszem przez Bogusza Zyg. Stęczyńskiego. W *Ognisku* drukuje się w dodatkach Podróż do wyspy Jersey przez Korzelińskiego, autora podróży do Austr.lii. W drukarni *Czasu* wychodzi *Historya naturalna i hodowla ptaków* zabawnych i użytecznych, przez Konstantego Pietruskiego Teofil Żebrawski wydaje *Opis motylów krajowych:* będzie to pierwsze dzieło w tym przedmiocie w języku naszym. Biblioteka Polska J. K Turowskiego wciąż na drodze postępu w myśli swojéj rozwija się szczęśliwie. Poselstwa Polskie do Turcyi, opracowane przez J. I. Kraszewskiego i *Zbiór mów staropolskich*, przez Antoniego Małeckiego, są tego najlepszym dowodem. *Dodatku Czasu* wyszło trzy zeszyty, czyli tom pierwszy za r. b. Znaną już jest wysoka wartość téj publikacyi. Zwracamy uwagę, że w zeszytach z lutego i marca nie ma przeglądów politycznych zwykle dodawanych. Opuszczenie tych bezbarwnych rozpraw, zajmujących niepotrzebnie miejsce w piśmie literackiem, uważamy za rzecz wielce użyteczną dla samego *Dodatku*.

Lwów. Professor Małecki napisał *Grammatykę polską* dla użytku szkolnego. Pisarz ten przygotowywa do druku tragedyą p. n. *Jadwiga*. Po *Żelaznym Liście* spodziewamy się czegoś znakomitego. W Żytomierzu K. Szajnochy drukują się: *Opowiadania o Janie III.* Bielowski w *Monumentach* drukuje kronikę *Thietmara*. Henryk Schmidt ogłasza: „Pogląd na żywot i pisma Hugona Kołłątaja". *Michał Suchorowski* wydał: „Wieniec pieśni żebrackich z żywotów świętych i innych podań prawdziwych z nutami i objaśnieniami."

† Dnia 3 kwietnia r. b. umarł w Wilnie ś. p. Adam Jocher b. professor b. uniwersytetu wileńskiego. Urodzony w r. 1791 liczył lat 69. Zasłużony pracownik na niwie literackiéj, piękne zostawia po sobie wspomnienie. Pogrzeb jego świetny, najlepszym jest dowodem, jakiem go otaczano współczuciem za życia.

† Dnia 19 b. m. i r. umarł w Wilnie Karol Podczaszyński b professor uniwersytetu wileńskiego w 70 roku życia. Znany z prac naukowych w przedmiocie budownictwa, do których głównie należą: *Słownik architektury* i *Początki* téjże nauki w 3 tomach z rycinami.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 18 (30) Kwietnia 1860 r.—Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Marzec*, 1860.**

Marzec, 1860. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ʰ14ᵐ45ˢ,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wilgotność średnia dziennia
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	z dészczu	z śniegu	
1		746.53	749 39	752.77	754.85	750.88	0°.0	+ 1°.2	+ 1°.5	— 1°.9	+0° 20	śnieg	pochmurny	praw. poch.	poch. śnieg	Z.	PnZ.	Z.	PdZ.		4.6	87.8
2		756.69	757.15	758.68	760.09	758.15	— 0.5	+ 1.5	+ 1 0	— 2.3	— 0 07	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z	Z.	Z.	Z.			89.0
3		760.20	760.51	758.96	758.19	759.46	— 3.4	+ 0.8	+ 2.3	— 2.0	— 0.57	pochmurny	napół pog.	napół pog.	poch. śnieg	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.			89.5
4		756.53	756.69	755.04	751.14	754.85	— 1.9	+ 1.2	+ 2.7	— 1.5	+ 0.12	pochmurny	poch. mgła	pogodny	pogodny	Pd.	Z.	Pd.	Pd.		1.0	86.5
5		746.44	745.12	744.50	745.67	745.43	— 1.4	+ 1.1	+ 1.3	+ 0.8	+ 0.45	śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		2.4	81.8
6		746.75	747.34	747.75	748.08	747.48	+ 0.2	+ 2.0	+ 2.7	— 0.6	+ 0.82	pochmurny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.			82.2
7	☽.	748.32	749.46	747.97	746.16	747.98	— 0.7	— 0.2	+ 0.4	— 0.7	— 0.30	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.			89.5
8	Rów.	743.58	743.50	744.12	745.39	744.15	— 2.1	— 1.5	— 2.6	— 5.4	— 2.90	śnieg	napół pog.	śnieg	śnieg	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		7.0	98.2
9	Perig.	745.74	746.00	746.29	746.77	746.20	— 8.4	— 5.6	— 4.2	— 9.4	— 6.90	śnieg	napół pog.	śnieg	pogodny	Pń.	Z.	Z.	Pd.		3.6	90.0
10		744.61	743.79	742.64	743.16	743.55	— 10.5	— 7.4	— 4.0	— 9.6	— 7.88	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	PnZ.			86.0
11		742.24	742.62	742.61	743.82	742.82	— 6.8	— 5.0	— 5.0	— 6.9	— 5.92	śnieg	pochmurny	śnieg	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		4.4	83.0
12		744.40	745.18	745.51	746.54	745.41	— 10.1	— 5.0	— 4.2	— 7.3	— 6.65	pochmurny	pogodny	napół pog.	napół pog.	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.			83.2
13		747.16	747.27	746.27	746.50	746.80	— 13.6	— 7.6	— 0.9	— 8.6	— 7.67	pr. pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.			86.2
14	☾.	745.74	746.00	745.54	746.20	745.87	— 13.2	— 6.7	+ 1.0	— 3.4	— 5.57	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			82.2
15		746.56	746.67	746.47	747.38	746.77	— 6.0	— 1.5	— 2.8	— 5.4	— 3.92	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			94.5
16		747.50	748.84	750.14	752.65	749.78	— 6.2	— 2.1	+ 1.8	— 2.7	— 2.30	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.			89.2
17		755.45	757.15	758.22	759.22	757.51	— 3.9	+ 0.8	+ 3.5	— 2.1	— 0.42	poch. mgła	pogodny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.			87.0
18		759.03	759.24	757 09	755.49	757.71	— 8.0	— 2.5	+ 3.8	— 0.2	— 1.67	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.			81.2
19		753.26	752.96	753.39	756.19	753.95	— 1.9	+ 1.7	+ 3.3	+ 0.6	+ 0.92	pochmurny	pochmurny	dészcz dr.	mgła gruba	Pd.	PdW.	Pd.	Z.	1.4		90.3
20	Apog.	758.17	759.01	759.01	758.87	758.77	— 1.1	+ 2.0	+ 4.3	— 0.7	+ 1.12	mgła gruba	napół p. m.	pr. pogodny	pogodny	Z.	PdW.	PdW.	PdW.			91.8
21	Rów.	757.14	756.23	753.38	750.75	754.37	— 3.1	+ 0.8	+ 2.5	— 4.0	— 0.95	pogodny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			84.8
22	●.	746.59	745.51	745.27	745.84	745.80	— 6.3	— 1.1	+ 3.5	+ 1.4	— 0.62	pogodny	napół pog.	poch. dész.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		4.4	84.5
23		746.47	749.12	749.49	750.07	748.79	— 0.2	+ 2.1	+ 4.3	— 1.5	+ 1.18	śnieg	poch. mgła	praw. poch.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	—			93.2
24		748.56	746.92	742.09	739.20	744.19	— 3.7	— 1.0	+ 3.1	+ 1.9	+ 0.07	mgła gruba	mgła	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		4.4	86.2
25		735.97	736.80	736.10	735.66	736.13	+ 2.)	+ 5.0	+ 4.3	+ 1.0	+ 3.08	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.			87.5
26		736.19	736.51	736.10	737.07	736.47	— 1.9	+ 3.4	+ 6.4	+ 1.6	+ 2.37	pr. pogodny	pochmurny	napół pog.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.			80.5
27		738.51	738.76	739 12	740.13	739.13	+ 1.0	+ 2.7	+ 5.0	+ 1.0	+ 2.42	dészcz dr.	pochmurny	napół pog.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	1.2		83.5
28		738.96	739.20	738.24	736.26	738.16	— 0.2	+ 1.6	+ 4.6	+ 0.3	+ 1.57	napół pog.	śnieg	praw. poch.	śnieg	PdZ	Z.	PdZ.	PdW.		2.4	86.2
29		741 81	743.53	743 52	742.57	742.86	— 0.3	+ 2.2	+ 3.4	0.0	+ 1.32	pochmurny	pochmurny	napół pog.	napół pog.	PnZ.	PdZ.	PdZ.	PdW.		4.6	92.2
30	☽.	738.51	737.61	736 19	740.12	738.11	+ 0.4	+ 1.4	+ 0.4	0.0	+ 0.55	śnieg	śnieg	śnieg	pochmurny	PdW.	W.	PnW.	PnW.		11.2	96.5
31		746.81	748.81	747.31	744.67	746.90	— 3 6	— 0.3	+ 2.9	+ 0.5	— 0.12	pogodny	pogodny	praw. poch.	napół pog.	PnZ.	Z.	PdW.	Pd			86.5
Śred.		747.43	747.84	747.33	747.57	747.56	—3°.72	—0°.51	+1° 48	—0°.16	—1°.23									2.6	50.0	87.4

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.56	27	7.39
Najwyżéj barometr dochodził d. 4 o g. 10 r.	760.51	28	1.13
Najniżéj — — d. 25 o g. 10 w.	735.66	27	2.12
Średnia dzienna zmiana barometru	3.77		1.67
Największa dzienna zmiana barometru d. 24—25 o g. 10 r.	12.59		5.69
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	1.52		0.67
od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	749.08	27	8.06
Średnia temperatura marca wynosi	— 1°.23	C. —	0°.98 R.
i ta jest mniejsza o	1.63	„	1.31 „
od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	+ 0.40	„ +	0.33 „
Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 4 w.	+ 6.4	„ +	5.1 „
Największe zimno — d. 13 o g. 6 r.	— 13.6	„ —	10.9 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.97	„	1.57 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 14—15 o g. 6 r.	7.2	„	5.7 „

Termomehograf wskazał: Maximum + 7°.0 R. d. 25 po południu.
Minimum — 11°.6 R. d. 13 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 84.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.24 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o dwie setne mniejsza od normalnéj (87.1).

Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni miesięczny jest 27.1 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło 60 stopni d. 18 o g. 10 r. przy niebie pogodném i mgle opadającéj.

Ilość wody co do wysokości z deszczu 2.6 mil. czyli 1.15 lin. par.; ze śniegu 50.0 mil. czyli 22.15 lin. par.; razem wody z deszczu i śniegu 52.6 mil. czyli 23.30 lin. par.; większa o 11.6 mil. czyli o 5.0 lin. par. od stanu normalnego (41.0 mil. czyli 18.3 lin. par.).

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 14, pochmurnych 14.

Dni deszczu 3 (d. 19, 25, 27).
— śniegu 13 (d. 1, 3, 5, 6, 7, 8, 9, 11, 12, 13, 27. 28, 20).
— mgły 5 (d. 7, 9, 17, 20, 24).
— gradu 1 (d. 27).

Wiatrów mocnych 8 (1 PnW.; 4 PdW.; 1 PdZ.; 1 Z.; 1 PnZ.)

Wiatr panujący Południowo-Wschodni; częste były także Zachodnie i Południowe.

Marzec r. b. pod względem stanu nieba i temperatury był zmienny; w początku i końcu łagodny, wśrodku osobliwie od d. 7 do 22 t. j. od Pełni do Nowiu, mroźny, w śnieg obfity, w ogóle o 1.31 stop. R. zimniejszy niż zwykle. W ciągu całego miesiąca stan temperatury zmienił się 28 razy. Dni: 25, 26, 27, 28 były ciepłe; przeciwnie dni: 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 18 mroźne. Wody z śniegu spadło 22.15 lin. par. t. j. przeszło dwa razy wyżéj niż zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był nieco pogodniejszy niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 4,4:8,6:18,0; w r. b. stosunek tych dni jest 2:14:14.

Plamy na słońcu pokazywały się liczne i znaczne, osobliwie w dniach: 10, 12, 13, 14, 18, 21.

Lody na Wiśle od strony Pragi puściły dnia 27, a od strony Warszawy dnia 29.

Wysokość wody na r. Wiśle największa dochodziła stóp 14 cali 6 d. 30.
„ „ „ najmniejsza „ stóp 4 cali 2 d. 2.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem co dzień o godzinie 8 rano.

Uwaga. W kolumnie drugiéj pod napisem: *Odmiany księżyca. Rów.* znaczy iż w dniu obok położonym księżyc znajduje się na Równiku niebieskim (d. 7, 21). *Perig.* (Perigeum) iż jest w *Punkcie przyziemnym* t. j. najbliżéj ziemi (d. 7). *Apog.* (Apogeum) iż jest w *Punkcie odziemnym* t. j. najdaléj od ziemi (d. 20).

JAKÓB Z KOBYLAN

KASZTELAN GNIEŹNIEŃSKI, STAROSTA BRZESKI

1407 — 1454.

PRZEZ

J. T. L.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Pamiętamy, jak professor Przyborowski, naczelnik archiwum akt dawnych w Poznaniu, twierdził, że niemałą pod względem obyczajów wartość mają rozmaite *extempora*, rozrzucone po dawnych sądowych książkach na marginesach, okładkach i na niezapisanych kartach czyli tak nazwaném *vacuum*. Ilekroć potém przeglądałem akta dawne naszéj ziemi, któréj przeszłość tyle nam jest miła, zawsze przychodziło mi uznać słuszność powyższego zdania. Przebiegając i zastanawiając się nad szeregiem urywków, poznałem, że mimo swoją doraźność przedstawiają pewną całość i noszą zawsze cechę właściwą wiekowi, zmieniającą się stopniowo z każdém pokoleniem.

W wieku XV urywkami temi są hymny, wzniesienia duszy do Boga, najczęściéj w nierymowym białym wierszu łacińskim, dźwięcznym i ponętnym, a którego myśl bez przesady zawsze trafna, poważna i mądra.

W w. XVI w czasach odrodzenia się nauk, urywki owe przybierają ducha świeckiego i zrzucając sukienkę duchowną, biorą za wzór pisarzy starożytnych; obok

tego przebija się w nich praktyczne zapatrywanie się na świat, środki dostąpienia zamożności, sławy, utrwalenia pomyślności narodu przez zamiłowanie potocznych i skromnych prawd w życiu, ducha, którego niezbyt słusznie gromił Kochanowski, który natchnął piękną polszczyzną *Dworzanina* Górnickiego, a który utrzymany w karbach i skierowany zręcznie, bez przesady, bez gminnych uniesień, wart był dalszego rozwinięcia i większego utrwalenia.

W w. XVII a szczególnie w połowie jego, rubaszność (*jovialitas*) zastępuje nadobniejsze wzory: wojny domowe, zakłócenia polityczne, jakieś zamącenie w umysłach, upadek obyczajów i skromności odbijają się w owych orzeczeniach dorywczych.

W wieku XVIII brak uczuć religijnych i głębszych przekonań łatwo daje się odgadnąć z nabożnych ale cierpkich, górnych ale czczych frazesów, znamion społeczeństwa wyłączającego się od rzewnéj prostoty religii i warunków życia.

Jakób z Kobylan herbu Grzymała, do którego życiorysu brzeska grodzka księga podaje nam jeden ciekawy szczegół, wspomniany jest u Długosza pod r. 1407, jako zamieszany w oskarżeniu o wierność małżeńską przeciwko królowéj Annie Cylijskiéj. Oskarżenie uznane zostało następnie za potwarz, ale Jakób z Kobylan trzy lata przepędził w więzieniu na zamku lwowskim. W r. 1412 wspomniany jest jako mający udział w igrzyskach rycerskich na zjeździe w Budzie. W roku 1413 podpisuje akt unii w Hrodle, a w r. 1428 przyjmuje udział w wyprawie Witolda na Nowogrod; w r. 1435 dowodzi polskiemi posiłkami przeciwko Świdrygajle, jak świadczy Paprocki.

„W poniedziałek po czwartéj niedzieli po Wielkanocy, czyli przed uroczystością ś. Urbana, powiada pisarz aktów brzeskich, waleczny pan Jakób z Kobylan kasztelan gnieźnieński i starosta brzeski, wypłacił dług naturze".

Jan z Kobylan stolnik krakowski i starosta brzeski kwituje szlachtę, ziemian, mieszczan, młynarzy i kmieci z uiszczenia opłaty win, które należały się jemu, oraz

bratu jego. Daléj: „Jaśnie Wielmożny Jan z Kobylan stolnik krakowski i starosta brzeski odstąpił rzeczone starostwo brzeskie Wielmożnemu Piotrowi z Oporowa wojewodzie łęczyckiemu w poniedziałek po świętéj Małgorzacie r. 1454". Następuje za tém w polskim języku czterowiersz:

O Jeruzalem Jeruzalem
I s brzeszczym by tho vyedzało
They by dobrey drużijny plakalo
Y sylnye zalovalo.
Thele thobye Pyetrze.

Ostatni ustęp do życia Jakóba z Kobylan, brzmi jak następuje (1): „Wielmożny Jakób kasztelan gnieźnieński i starosta brzeski, dosięgnął kresu swojego żywota w poniedziałek w nazajutrze czwartéj niedzieli po Wielkiéjnocy, czyli w wigilią uroczystości ś. Urbana roku 1454, jako w skróceniu zawiera się wyżéj: mąż co się zowie dzielny, waleczny, wielkiego ducha, postawny, skromny, szczodry, uprzejmy i niepospolitym w obejściu jaśniejący wdziękiem, o którego znakomitéj dzielności, sprawności i zacności sąsiednie okolice wiedziały ze świadectwa czynu, a sława prawdomowna w najdalsze

(1) Magnificus Jacobus Castellanus Gnesnensis et Capitaneus Brestensis diem vitae suae clausit extremum, feria secunda post dominicam Cantate, alias ante Urbani, de anno Domini 1454, ut superius in modico continetur: vir utique strenuus, fortis, animosus, speciosus, modestus, largus, affabilis et omnium morum venustate corruscans, de cujus tanta strenuitate, abilitate et nobilitate, ejus excellentia vicinae provinciae ipsius facti testificatione cognoscebant, et fama veriloqua continuo praedicabat in remotis. Adveniente in partes Poloniae viro Anglico strenuo, forti et nimium animoso, secum regulam deferente, sibi quaerere similem arte pugnandi in torneamento et hastiludio, hic priusquam pervenit ad Serenissimum dominum et dominum Kazimirum Regem Poloniae, cujus militis fama loquax per plurima mundi loca auribus multorum innotuit et ipsi Serenissimo Domino Regi cujus curiam visitavit. Cui Jacobo de Cobilanii divae memoriae ex quo adventus tanti militis sibi innotuit, in multorum suorum comitiva obviam exivit: quem fronte hilari et laeta facie recipiens, fovet amplexibus signis salutationis exhilarat, dulcium verborum praeconiis, mirifico fulgore conversationis, intima amicitia et dulci caritate eum invitabat, causam sui adventus sciscitans; cui respondit, quod esset miles strenuus de Anglia et plurimas provincias visitavit, ut inveniret sibi socium in ludo pugnandi in torneamento et hastiludio; ille Jacobus accersito domino Rege, corde humili devotissime supplicavit, ut

rozniosła je strony. Zdarzyło się w onych czasach, że przybył do polskiéj ziemi Anglik, mąż arcyśmiały i wielkiego serca, który był sobie przyjął za prawidło szukać równiennika w rycerskich gonitwach, oraz w sztuce zażywania kopii. Ten zanim się jeszcze stawił przed Najjaśniejszym panem a królem polskim Kazimierzem, wielomowna sława rozszedłszy się o nim w wielu częściach świata doszła uszów wielu, a między innemi do wiadomości Najjaśniejszego króla jegomości, którego dwór też nawiedził. Świętéj pamięci nieboszczyk ów Jakób z Kobylan dowiedziawszy się o przybyciu takiego rycerza, natychmiast w licznym orszaku swoich wyszedł na jego spotkanie i przywitawszy z rozjaśnioném czołem, a wesołą twarzą, ściskał go w objęciach, weselił słodką wyrazów swych treścią, oraz w cudnéj urokiem rozmowie z serdeczną przyjaźnią i uprzejmą miłością zapraszał, pytał o powody jego tu przybycia; na co ów odpowiedział, jako jest biegłym rycerzem z Anglii i jako wiele odwiedził już krajów, aby wynaléźć sobie towarzysza w gonitwach turnieju, oraz zażywaniu kopii. Wtenczas ów Jakób z pokorą i uszanowaniem do króla się obróciwszy, prosił, aby angielskiemu rycerzowi owemu mógł zostać towarzyszem broni. Jakoż król jegomość nie odmówił mu przyzwolenia na żądaną walkę, w przekonaniu, że nie pośledniejszym jest od owego Anglika

socius dicti militis Anglici in exercitio foret armorum. Et pugnam ei postulanti non denegavit assensum, sciens non minori strenuitate et fortitudine vigere, quam ipsum Anglicum. Propterea in Castro Cracoviensi, praefati milites, Jacobus et Anglicus in conspectu Regis et totius ejus curiae pugnaverunt. Primum invicem se securibus mutuo agrediuntur; fatigati ex nimia pugna ab invicem separantur. Ex requie modica reassumptis viribus, admittuntur secundo ad pugnandum; mora non modica pugnantibus, iterum per milites commissos per Serenissimum dominum Regem separantur: et post pusillum iterum pugnaverunt, et cum vidissent milites deputati pugnae ipsum Anglicum fere deficere, mutuo separantur, et nihilominus tam hospiti Anglico quam Jacobo, honor militaris per Serenissimum dominum Regem generose donatur. Dato eis intervallo pro requie unius diei admittuntur hastiludio: sed ille Anglicus non expers fraudis volens Jacobum adlatus hasta acuta figere, hastą sua ad sepem medium positam fortiter percussit, et fortitudine sui ictus ab equo cecidit et scapulam sibi diruit; itaque amplius ludere nequivit. Deinde honor militaris cum donis copiosis, ipsi Jacobo per Serenissimum dominum Regem tribuitur maximus". Akt. Brzes. Grodz. 1451 — 1460. 2.

w dzielności i męztwie. W skutek tego obaj rycerze, Jakób i Anglik, w przytomności króla i całego dworu walczyli ze sobą na krakowskim Zamku. Natarłszy na się wzajem z toporami, walczyli dzielnie, dopóki znużonych już nie rozłączono; po krótkim wypoczynku nabrawszy znów siły, przypuszczeni zostają do powtórnéj walki. Kiedy dość długo trwały już zapasy, rycerze wyznaczeni ku temu od Jego królewskiéj mości, rozłączają ich znowu. Po małém wytchnieniu rozpoczętą na nowo między nimi walkę przerwali jeszcze przeznaczeni ku temu rycerze, widząc, że ów Anglik całkiem już prawie ustawał na siłach; pomimo tego, tak gość ów Anglik jako i Jakób z równą czcią rycerską przez króla podjęci zostali. Dawszy im jeden dzień na odpoczynek, przypuszczono ich znowu do ćwiczenia z kopią; ale ów Anglik nie bez podstępu chcąc bok Jakóbowi przeszyć ostrzem włóczni, uderzył mocno swą kopią w środkową przegrodę, a siłą zamachu wyrzucony z siodła, wyłamał sobie łopatkę i walczyć dłużéj nie był w stanie. Poczém wszelkie zaszczyty rycerskie wraz z hojnemi dary król jegomość oddał Jakóbowi.

LITERATURA ANGIELSKA.

DUGALD STEWART I FILOZOFIA SZKOCKA.

Oddawna ubolewano nad tém, że nie ma kompletnego wydania dzieł Dugalda Stewarta. Wydanie takowe wyszło obecnie na widok publiczny i niewątpliwie przyjęte będzie przez wszystkie osoby oddające się filozoficznym badaniom, jako szacowny dar tak ze strony wydawcy, który się zajmował tą publikacyą, jak ze strony księgarza, który na nią łożył. Dugald Stewart, wedle uznania najgorętszych jego zwolenników, nie był jednakże myślicielem oryginalnym. Można mu nawet zarzucić pewien rodzaj nieśmiałości; umysł jego, daleki od awanturowania się, grzeszy może zbytkiem oględności. Może się więc zdarzyć, że piérwszém uczuciem, jakie się obudzi w niejednym z jego czytelników, będzie uczucie niezadowolenia. Ale, z drugiéj strony, Dugald Stewart posiadał przymiot rzadkiéj jasności i gdy się widzi, czytając jego pisma, z jaką łatwością ręka przewraca karty jednę po drugiéj, nie wahając się na chwilę; gdy się zarazem uważa, jak łatwo umysł przyswaja sobie myśli w tych pismach zawarte, nie spotykając nic takiego coby go zatrzymywało, nic takiego coby go wprowadzało w wątpliwość, ani jednego wyrazu nawet, któryby potrzebował objaśnienia, to jakkolwiek się uznaje, że jego pomysłom i stylowi brak niekiedy siły, niepodobna jest nie podziwiać daru wykładu, jaki autor posiada i niepospolitego talentu, jaki ma do uczynienia przystępnemi doktryn, które rozwija. Pod tym względem Dugald Stewart nie ma sobie równego i z pomiędzy pisarzy, którzy sobie założyli popularyzować filozoficzne doktryny, nie ma zaiste żadnego, któryby miał wpływ tak wielki, i któryby tyle znakomitych ukształcił umy-

słów, jak nasz filozof. To też dzieła jego mają wartość, na jakiéj zazwyczaj zbywa dziełom tych, co tylko sformułowali doktryny, przekazane przez kogoś drugiego, i dłużéj zapewne żyć będą, niż inne dzieła w tym rodzaju.

Gdybyśmy chcieli określić naturę zdolności Dugalda Stewarta, powiedzielibyśmy, że był raczéj znakomitym mówcą, niż pisarzem. Dowodzi tego nadzwyczajna popularność, jaką miał z tytułu professora, z drugiéj zaś strony przekonywają o tém wady, jakie się napotyka w jego pismach. W ogólności, dzieła jego, podobnie jak wszelkie inne pisane w celu użycia ich do ustnego wykładu, zalecają się raczéj jasnością niż głębokością, gładkością raczéj niż mocą wysłowienia. Mógł w prawdzie Dugald Stewart, kiedy mu nie chodziło o krasomówcze względy, pisać z wielką siłą; pokazuje się to z jego *Historyi filozofii*, którą napisał do *Encyklopedyi brytańskiéj*. Historya ta jest nie tylko wzorem filozoficznego stylu, ale ma nadto wartość wewnętrzną, która ją stawia wyżéj nad wszelkie inne dzieła w tym rodzaju, chociaż nie jest niczém więcéj jak rysem. Największą jednak sławę, jak się to już nadmieniło, ma Dugald Stewart jako professor-mówca. „Posiadał on, mówi lord Cockburn, jeden z jego uczniów, nadzwyczajną delikatność słuchu, tak co do muzyki, jak i co do mowy, i w rozmowie równego mu nie znałem. Był on jednym z najznakomitszych dydaktycznych mówców, jacy kiedykolwiek istnieli, i gdyby był żył w dawnych wiekach, byłby był po sobie zostawił wspomnienie na równi z najwymowniejszymi mówcami starożytności."

Drugą przyczyną, która niezależnie od krasomówczego talentu Dugalda Stewarta, przyczyniła się do podniesienia jego wykładu, była samaż tego wykładu natura. W pismach jego, równie jak na katedrze, uderza odrazu dążność praktyczna, i jeżeli można się tak wyrazić, kierunek pozytywny. Będąc nie tylko filozofem ale i człowiekiem światowym, Stewart nie mógł poprzestać na czystych metafizycznych abstrakcyach. Przedewszystkiem chodziło mu o rezultaty rzeczywiste. Według niego, celem filozofii jest poznanie ducha ludzkiego, a dojść do tego nie można bez studyowania tego ducha w jego objawach.

W rzeczywistości to więc dziedzinie filozof powinien czerpać źródła swéj wiedzy; ilekroć razy spuszcza z uwagi tę rzeczywistość dla bujania w sferach abstrakcyi, zbłąka się niezawodnie. Jeżeli jednak, w oczach Dugalda Stewarta, zadaniem filo-

zofii jest poznanie ducha ludzkiego, przeznaczeniem jéj jest zarazem pożytkowanie z tego poznania gwoli rozwiązywania kwestyj socyalnych. Filozofia, według niego, ma więc cel ściśle praktyczny, i wszelka spekulacya, nie zmierzająca do wypadków téj natury, jest zwodniczą, jeżeli nie błędną i niebezpieczną. Takie były, w streszczeniu, pojęcia Dugalda Stewarta o filozofii, jéj przedmiocie, jéj przeznaczeniu i metodzie, według jakiéj powinna być traktowaną.

Potém co się powiedziało, można sobie wystawić właściwą cechę, jaką miéć musiał jego wykład. Mając sobie powierzony zarazem kurs filozofii moralnéj i ekonomii politycznéj, Dugald Stewart nie tylko miewał oddzielne prelekcye o ekonomii politycznéj, ale i przy rozwijaniu zasadniczych praw umysłu ludzkiego, często mu się zdarzało rozbiérać kwestye czysto-praktyczne. Znajdują się za dni naszych, filozofowie utopiści, którzy hołdując czystéj metafizycznéj spekulacyi i gardząc rzeczywistością życia, gorszą się tém, że w szkockich uniwersytetach professor moralności jest zarazem professorem ekonomii politycznéj. Jedném z zadań, jakie sobie założyło towarzystwo mające na celu poprawę uniwersyteckiego wykładu, jest rozdzielenie tych dwóch katedr. Takie wyobrażenia nie istniały w czasie, w którym Dugald Stewart miewał swe prelekcye; zdarzało się wszelako, że jego słuchacze doznawali pewnego rodzaju zdumienia, gdy professor wśród filozoficznego traktatu, przechodził do przedmiotów wprost interes socyalny mających na celu. Lord Cockburn, któregośmy już cytowali, podaje nam w tym względzie następujące szczegóły. „Nie rzadko się trafiało ujrzéć uśmiech na twarzy niektórych audytorów, gdy słyszeli professora rozprawiającego o rzeczach, które zdawały się nieodpowiedniemi godności akademickiéj katedry. Wyraz *zboże* dziwnie brzmiał w klassie moralności, a wyraz *drawback* (zwrot cła) zdawał się czynić ujmę ustom Stewarta." Ponieważ kwestye socyalne miały dlań najwięcéj powabu, najbardziéj więc nad niemi lubił się rozwodzić. Tak np. mówiąc o „uogólnianiu" czyni długą dygressyą do „zachowywania i gwałcenia ogólnych zasad w polityce."

Lubo w kursach swoich nie dotykał nigdy materyj mających związek z bieżącą polityką, ponieważ jednak żył w chwilach największego wrzenia francuzkiéj rewolucyi, niepodobna było, aby zastanawiając się nad następstwami politycznemi i re-

ligijnemi, jakie ten wielki wypadek miał za sobą pociągnąć, przemilczał w wykładzie swoim o tych kwestyach zupełnie. Nadużycia terroryzmu, które zdawały się wykazywać pewną łączność pomiędzy ateizmem a wolnością, nastręczyły mu raz sposobność, gdy mówił o obowiązku moralnym, do uczynienia wycieczki aż w dziedzinę teologii naturalnéj. Można powziąć wyobrażenie z przykładów, jakieśmy przytoczyli, o naturze wykładu Dugalda Stewarta. Przykłady te są dostateczne do wykazania, o ile to ciągłe stosowanie filozoficznych idei do kwestyj socyalnych, a nawet do chwilowych okoliczności, musiało być płodném w dobre rezultaty, nadając zarazem badaniom metafizycznym powab, któregoby inaczéj nie miały. Jeżeli teraz weźmiemy na uwagę, że prelekcye Stewarta o ekonomii politycznéj były, jeżeli nie jedynemi podówczas w uczelniach Wielkiéj Brytanii, to przynajmniéj jedynemi, w których ten przedmiot był traktowany z prawdziwie wyższego i oryginalnego stanowiska, łatwo pojmiemy niesłychany rozgłos, jaki miał wykład Stewarta. Nie tylko ze wszystkich zakątków Anglii, ale i ze wszystkich stron świata, tak z Ameryki jak z Europy, zbiegali się uczniowie dla słuchania jego prelekcyj. Lord Palmerston i jego brat, niegdyś poseł przy dworze neapolitańskim, oraz wielka liczba tych prawodawców, których urodzenie przeznaczało do parostwa, lord Ashburton, lord Powencourt, hrabiowie: Warwick, Dudlej i Selkirk, tudzież markiz Lothian odebrali wychowanie w jego domu. Znajdujemy także pomiędzy jego uczniami, chociaż nie byli z liczby jego pensyonarzy: lorda Lansdowna, lorda Broughama, lorda Johna Russela, lorda Webb Seymoura, Sir Roberta Inglis, sir Walter Scotta, sir Archibalda Alisona. lorda Cockburna, lorda Jeffrey, Franciszka Hornera, Sydneja Smitha, lorda Lauderdale, lorda Dundonalda i wielu innych im podobnych. Skoro takie imiona historyczne figurują pomiędzy uczniami Dugalda Stewarta, widoczna rzecz, że zbiór jego pism powinien rzucać wielkie światło na doktryny naszego czasu i dopomódz nam wielce do zrozumienia kierunku nadanego polityce Anglii. Ale dzieła Dugalda Stewarta nie tylko mają historyczną wartość, mają jeszcze ważność wpływową w obecnym czasie; pokazując bowiem uniwersytetom szkockim, jaki był prawdziwy charakter szkockiéj filozofii w epoce jéj największego blasku, będą mogły się przyczynić do wydobycia téj filozofii ze stanu niepewności,

w jakim się dziś znajduje i wprowadzić ją na drogę prawdziwéj szkockiéj metody. Starać się będziemy to wyjaśnić.

Ta dążność praktyczna, którąśmy u Dugalda Stewarta zauważyli, napotyka się, w sposób mniéj więcéj wydatny w całéj filozofii szkockiéj, od jéj zawiązku. Jest ona charakterystyczną cechą téj filozofii, która wychodząc zawsze z praktycznego punktu, przechodzi pole czystéj spekulacyi, nie pozostając na niém, i wraca do kwestyj praktycznych. W tém leży powód tych wszystkich zarzutów, które metafizycy niemieccy, miłośnicy abstrakcyi, czynią całemu systematowi szkockiemu. Dosyć nam będzie w téj mierze przypomnieć uwagę Fryderyka Szlegla, że główną myślą, zajmującą nie tylko Adama Smitha, ale i wszystkich szkockich filozofów, jest pomyślność ich kraju; że myśl ta jest tłem dla wszystkich innych i celem, do którego zmierzają wszelkie ich spekulacye, którym ona służy, że tak powiemy, za oś obrotową. Uwaga ta niemieckiego krytyka jest ze wszech miar słuszną, i mniemamy, że wielu Szkotów bez racyi na nią powstaje; powinniby ją raczéj uważać za pochwałę oddaną metodzie szkockiéj. Ta dążność do prędkiego porzucania metafizycznych problematów, dla zajęcia się kwestyami bliżéj nas obchodzącemi w polityce i w teologii, jest w ogólności dążnością wszystkich szkockich filozofów, i charakteryzuje bardzo dobrze proces, jaki myśl szkocka odbywa. Ten proces, ten bieg myśli szkockiéj nigdzie się lepiéj nie objawia jak w zawodzie literackim Humego. Hume, którego sceptycyzm jak wiadomo, był punktem wyjścia dla wszystkich prac filozoficznych, od końca zeszłego wieku, bądź to w Niemczech, bądź w Anglii dokonanych, zaczął od metafizyki. Bardzo młodo, miał bowiem dopiéro lat dwadzieścia pięć, wydał on *Traktat o naturze ludzkiéj*, dzieło znakomite, w którém z śmiałością właściwą młodemu wiekowi, dochodzi pierwiastków ducha ludzkiego, i z niezachwianą logiką wprowadza w system filozoficzne pojęcia swego czasu. Przyjmując pewne premissy na pozór nic nie znaczące, a których w owym czasie nikt nie myślał zbijać, Hume dowodzi z nieprzepartą siłą, że myśl jest złudzeniem, a byt przypadkowością; że władze nasze są nader zwodnicze i w sprzeczności jedne z drugiemi; że nic nas nie może upewnić o istnieniu Bóstwa, i że natura przyczyn jest dla naszego umysłu nieprzystępną i że wiara w świat zewnętrzny jest skutkiem przywyknienia; że na-

reszcie nie mamy żadnéj racyi wierzyć w naszą identyczność (1), i że wszelka teorya filozoficzna, mająca na celu wykazanie, iż jesteśmy zdolni do samopoznania i świadomości naszego bytu, może wprawdzie pochlebiać naszéj próżności, ale na niczem racyonalném nie polega. Z tak kompletnego sceptycyzmu wypływa ta praktyczna nauka, że spekulacya do niczego nie może doprowadzić i że umysł ludzki powinien dla siebie szukać karmi gdzieindziéj, a nie w czczych i w pustych sferach spekulacyi metafizycznéj. Zaczem Hume zwrócił się na pole politycznych badań, i ogłosił niebawem swoje *Polityczne rozprawy*, które utorowały drogę Adamowi Smith, a które rzeczywiście zawierają w sobie zaród tego wszystkiego, co było następnie w przedmiocie sztuki rządzenia za zasadę podaném. Od polityki przeszedł do historyi i skreślił ten obraz dziejów brytańskich, który pomimo swoich wad, jest dotąd jeszcze najlepszą historyą Anglii. Taką to drogę, w oryginalny sposób, przebiegł Hume i niejeden z współczesnych mu pisarzy podążył jego śladem; jak np. Adam Fergusson, który będąc professorem filozofii moralnéj przy edymburskim uniwersytecie, zwrócił całą swoję czynność na pole politycznych kwestyj, i napisał *Historyą społeczeństwa*, tudzież *Postępy rzeczypospolitéj rzymskiéj*, dzieła, które dziś jeszcze mogą być z pożytkiem czytane. Wymienimy tu także Adama Smitha, który przeszedłszy z katedry logiki na katedrę filozofii moralnéj, dał światu *Teoryą moralnych uczuć*, a potém sformułował nową naukę w dziele *O bogactwie narodów*. Możnaby jeszcze nadmienić, że tą samą drogą udał się niejeden z jego następców, a mianowicie sir James Mackintosh, którego życie jako filozofa, polityka i historyka tak jest znane, iż możemy na saméj tylko wzmiance o nim poprzestać.

Praktyczna ta dążność, właściwa wszystkim szkockim myślicielom, jest z resztą, jakeśmy to już powiedzieli, zupełnie zgodną z zasadniczemi ideami samejże szkockiéj filozofii. Gdybyśmy chcieli tę filozofią zcharakteryzować, powiedzielibyśmy, że jest zarazem walką z sceptycyzmem i protestacyą przeciw metafizyce. Ciągle ma ona przed oczyma sceptycyzm Humego, który jest dla niéj zarazem przestrogą i groźbą. Zniewolony względami, któremi go krępuje teologia i prawo, myślący Szkot uznaje

(1) Termin filozoficzny, mianowicie przez Szellinga w systemacie jego używany, na oznaczenie tożsamości ideału z rzeczywistością.

Przyp. tłóm.

za potrzebne stawać w oppozycyi przeciw sceptykom, i dowodzi zgodności religii z rozumem, potrzeby odróżnienia tego co jest sprawiedliwem od tego co jest niesprawiedliwem, powagi wewnętrznego przeświadczenia i swobody woli. Uznaje to za potrzebne, bo z drugiéj strony jest w zgodzie z sceptykiem, uważając metafizykę jako naukę bezowocną i nie łudząc się co do dosiągłości władz ludzkich. Dlatego też poczytuje za niezbędny wstęp do badań, któremi się zajmuje, krytyczne studyowanie ducha ludzkiego, zastanawianie się nad różnemi jego władzami, oznaczanie ich atrybucyj, a to dla wykazania metafizykom, czego te władze dokonać nie mogą, a sceptykom, czego mogą dokonać. Z takiemi to przedwstępnemi badaniami, z takiemi to krytycznemi studyami ducha ludzkiego wiąże się imię filozofii szkockiéj. Główną téj filozofii podstawą jest odnoszenie się do *rozsądku*. Według téj filozofii, wszelkie kwestye będące dla metafizyków przedmiotem wiecznych sporów, począwszy od téj, która się dotyczy rzeczywistego istnienia zewnętrznego świata, aż do kategoryi wolnéj woli, nie dadzą się rozwiązać inaczéj, jak w sposób wewnętrznem przeświadczeniem wskazany, a wiarą powszechną stwierdzony. Wejść w siebie, radzić się swego przeświadczenia, oto jest według szkockich zasad, prawdziwa filozofia, wszelka inna jest mrzonką. Tą to drogą duch przychodzi do poznania siebie, a przez to samopoznanie, ustrzegając się z jednéj strony szkopułów sceptycyzmu, a z drugiéj zwodniczych złudzeń metafizyki, przychodzi do stania się panem siebie, tojest do wolności. Wtedy to, ale dopiéro wtedy, myśliciel przebiegłszy zakres czystéj spekulacyi i znalazłszy w tym przebiegu wolność, ten jedyny owoc, jaki mu spekulacya dać może, powinien ją opuścić i oddać się rozważaniu rzeczy, które mu w sposób racyonalny poznać wolno. Duch jego będąc wtedy panem siebie, i czerpiąc nową siłę w wiedzy, do czego jest, a do czego nie jest zdolny, może przystąpić do rozbioru kwestyj odnoszących się do osobistéj odpowiedzialności, do rządu społeczeństw, do pomyślności narodów i do postępu ludzkości, które to kwestye zresztą są jedynie, rzeczywiście zajmującemi dla człowieka i stanowią najszlachetniejszy przedmiot studyów, jakim się może poświęcać. Taką jest przynajmniéj w ogólnych rysach, filozofia szkocka.

Nie możemy pominąć uwagi, że praktyczna ta dążność filozofii szkockiéj, przebija się we wszystkich filozoficznych spekulacyach Anglii. Wymienimy z naszych czasów, Johna Stuarta

Milla i Herberta Spencera, którzy się psychologii oddawali na równi z spekulacyami, mającemi za przedmiot społeczeństwo. Jeżeli cofając się w przeszłość porównamy ludzi, którzy w dziedzinie filozofii zrobili sobie imię, takich jak Bakon, Hobbes, Locke i Berkeley, z wielkimi myślicielami stałego lądu, bądź to we Francyi, bądź w Niemczech, jak np. z Descartem, z Leibnitzem, z Kantem i Heglem, to prędko spostrzeżemy różnicę pomiędzy nimi, tak pod względem metody, jak kierunku nadanego myślom. Zdaje się jakoby dla wszystkich angielskich myślicieli zadaniem wyłącznem filozofii było rozwiązywanie kwestyj, które podnoszą bieżące wypadki polityczne lub socyalne. Czytając Bakona rozmawiamy z mężem stanu, zupełnie oddanym ludzkości. Hobbes, którego pogląd mniéj jest rozległy i któremu brak podniosłości ducha, nie troszczy się o nic innego jak o politykę; przy tłumaczeniu nawet Tucydydesa idzie mu tylko o wykazanie, w jakie błędy popaść może rząd demokratyczny. Locke nie przestaje być w naszych oczach człowiekiem światowym; filozof u niego nie pozwala nam zapomnieć ani o autorze *Listów o tolerancyi*, ani o człowieku wplątanym w intrygi stronnictwa, który koleje tegoż stronnictwa podzielał. Nawet Berkeleja system nie jest bez dążności praktycznéj, któréj się nie domyślają ci, co o jego systemacie mają wiadomość z drugiéj ręki. Wielu ma za filozoficzną zagadkę system idealizmu, do którego imię Berkleja jest przywiązane, za chimeryczny wymysł, w prostocie ducha osnuty ku zabawce filozofów i zawróceniu głów ludzkich. Nic mniéj zgodnego z prawdą. Teorya Berkeleja jest w gruncie najzupełniéj logiczną i ma cel praktyczny: jest to broń wymierzona przeciw ateuszom przeszłego wieku, dla powstrzymania potoku niedowiarstwa; Berkelej przedsięwziął dowieść, że Bóg nie tylko istnieje, ale i ciągle na nas wpływa; że wszystko co czujemy, wszystko czego się dotykamy, wszystko co widzimy jest wynikiem ciągłego Jego na nas wpływu; że w Nim żyjemy i w Nim się poruszamy; że wreszcie jedném słowem, wszelkie wrażenia, jakie zmysły nasze przyjmują, a z których zdajemy sobie sprawę, nie są dowodem materyalnego zewnętrznego świata, ale Bóstwa, Bóstwa zawsze obecnego, które sprawia w umysłach naszych wrażenia i z tych wrażeń wyprowadza myśli. Uważany ze stanowiska idei panujących w owym czasie, system Berkeleja nie ulega żadnemu zarzutowi; a co się tyczy samegoż filozofa, już przez to samo, że w systemacie swoim chciał stawić

tamę ateizmowi, nie zasługuje on bynajmniéj na uczynioną mu przyganę, że pisał metafizyczne romanse. Niéma zresztą pomiędzy Anglikami i Szkotami, którzy sobie w świecie intellektualnym zrobili jakąś sławę, ani jednego, któremuby słusznie można było uczynić ten rodzaj zarzutu.

Filozofia szkocka, na któréj przeszłość zapatrywaliśmy się dotąd, zostaje teraz, jak nam się zdaje, w stanie przesilenia, któreby ją mogło sprowadzić z właściwéj drogi, gdyby się przedłużyło. Zdaje nam się w rzeczy saméj, że ona w ostatnich latach dąży do stania się mniéj praktyczną; że za bardzo się zajmuje metafizycznemi spekulacyami, a mniéj kwestyami społecznemi, że wreszcie zupełnie zaniedbuje historyi. Poczytywano za wielkie złe, że w edymburgskim uniwersytecie katedry logiki i filozofii moralnéj powierzanemi były pospolicie ludziom wybranym, raczéj w skutku ich politycznych stosunków i z powodu ich religijnych doktryn, jak ze względu na ich naukową zasługę. Przyznając, że wybory czynione głównie z politycznych i religijnych względów mogą pociągnąć za sobą pewne niedogodności, mniemamy, że z drugiéj strony mogą miéć one wyborne rezultaty: zaprowadzając bowiem ściślejszy związek pomiędzy uniwersyteckim wykładem, a ruchem idei, odbywającym się w społeczeństwie, nadaje się temu wykładowi dążność więcéj praktyczną, a zatem czyni się go żywotniejszym. Żalono się, że nominacye na katedry filozofii, zajmowane poprzednio przez sir Williama Hamiltona i professora Wilsona, udzielono raczéj z pobudek politycznych i teologicznych, a nie z uwagi na zasługę kandydatów: co do nas gotowibyśmy się z tego cieszyć, gdyby w skutku tego spekulacye filozoficzne w uniwersytecie edymburgskim, przybrały dążność wyraźniéj zmierzającą do tego co obchodzi państwo i religią. Tego zresztą spodziéwać się pozwala wybornie skréślony rys filozofii racyonalnéj, który świéżo wydał teraźniejszy professor filozofii, jako program swego wykładu; podobnież wnosić można z znakomitéj rozprawy o pięknem, którą professor języka greckiego ogłosił, jak niemniéj z dzieł treści politycznéj pp. Lorimer i Dove, że niéma tak wielkiego niebezpieczeństwa, aby spekulacya szkocka stała się mniéj praktyczną w swéj dążności. Są wszakże dwie okoliczności, na które zwrócić należy uwagę, bo źle w téj mierze rokują. Jedną jest zamierzone przez Towarzystwo reformy uniwersytetów szkockich, oddzielenie katedry ekonomii politycznéj od katedry moralności, o któremeśmy

już powyżéj wzmiankowali. Rezultat tego rozdziału byłby taki, że filozofia moralna nie miałaby odtąd żadnego zetknięcia z rzeczywistém życiem, i stałaby się tylko prostém intellektualném ćwiczeniem; ekonomia zaś polityczna, zredukowana do kwestyj statystycznych i finansowych, nie miałaby żadnéj łączności z prawami moralnemi i duchowemi potrzebami społeczeństwa. Zdaje nam się, że związek, jaki pomiędzy nauką polityki a filozofią moralną w szkole szkockiéj zawsze istniał, miał zawsze korzystny wpływ na obiedwie te nauki, bo tym sposobem suche formuły ekonomii politycznéj stawały się humunitarniejszemi, a zawiłe metafizyczne badania wchodziły na pole zastosowania. Drugą złą wróżbą, o któréj winniśmy wspomnieć, jest upadek nauk historycznych w szkockich uniwersytetach. Badania filozoficzne zawsze się muszą zbłąkać, jeżeli nie znajdują przeciwwagi w historyi. Wiadomo, że w naszych czasach dwaj mężowie, odznaczających się metafizycznych zdolności, mówimy tu o sir Williamie Hamiltonie i o professorze Ferrier, z Saint-Andrew, dostali się na katedrę filozofii, przeszedłszy przez katedrę historyi, która jest jedném z niezbędnych ogniw w systemacie wykładu, jaki z dawna miał miejsce w szkockich uniwersytetach. Nateraz, katedra ta historyi zajmowana jest przez pewnego professora, mającego niejaką sławę, jako starożytnik, ale który, czy to z powodu, że uczniowie mało mają zamiłowania w historyi, czy też z innych powodów, nigdy nie zdołał skompletować klassy. Co się tyczy uniwersytetu w Saint-Andrew, podobno że tam katedra historyi zamieniona została na katedrę historyi naturalnéj! To zaniedbanie historycznych nauk jest faktem, nad którym trzeba ubolewać. Jest ono przeciwne wszelkim tradycyom ducha szkockiego, który uprawiając zawsze historyą na równi z filozofią, użyzniając tym sposobem jednę przez drugą, otrzymywał zawsze w tych dwóch gałęziach nauk moralnych najpiękniejsze wypadki. Zaniedbanie to jest tém nadzwyczajniejsze, że wszędzie na stałym lądzie filozofowie porzucają czystą spekulacyą i szukają w historyi broni dla swego racyonalizmu.

(*Z Timesu*).

JAN HUNIAD

WOJEWODA.

NAPISAŁ

Karol Sosnowski.

ROZDZIAŁ III.

WARNEŃSKA WYPRAWA.

Przygotowania do nowéj wyprawy, odradzanie Brankowicza i skłonienie Amurata do pokoju.— Traktat w Szegiedynie, abdykacya sułtana.— Wiadomości o posiłkach Zachodu, i zerwanie pokoju za wpływem Cezaryniego, pospieszne przygotowania, przeprawa Dunaju, widzenie się i rady Drakuły, zdobycie Szumny, Petreczu, zajęcie Warny, Galaty. — Wiadomość o przeprawie Turków przez Bosfor, narady wojenne, bitwa Warneńska. — Śmierć Władysława. — Uwagi.

Świetne powodzenie wyprawy wywołało ogólną radość w Europie. Przekonano się, że strasznych Turków można zwyciężyć, i wstydzono się, że tego dotąd nie uczyniono. Wiele państw teraz obiecało wystąpić z stanowczą pomocą: Wenecya, Genua, Filip książe Burgundyi, Jan Paleolog cesarz grecki, przysłali ambasadorów do Budy, oświadczając posiłki w wojsku, we flocie i w pieniądzach. Papież zachęcał wszystkich najbardziéj: zawiadomił, że książe Karamanii, tajemny sprzymierzeniec chrześcian, chce powstać przeciwko sułtana. Rachowano także, że Kastryota i Brankowicz z posiłkami się przyłączą. Wszystkie okoliczności były za wojną. Władysław odpocząwszy po trudach, podniecony dymem pochwał, zdawał się także zatém

skłaniać. Jedni Polacy doradzali mu umiarkowanie i zwlekanie działań wojennych: przedstawiali, że stronnictwo Pogrobowca, będącego pod opieką Fryderyka cesarza, nie uspokoiło się. Hetman jego Iskra zajmował ciągle wiele miast w północnych Węgrzech. W Polsce i Litwie były zamieszania, rozboje i kłótnie: koniecznie pragniono dla uspokojenia powrotu króla. Sejm madziarski, zwołany na dzień świętego Jerzego, z ochotą uchwalił podatki i zaciągi na nową wyprawę. Wojna więc w tym roku jeszcze udecydowana i Huniadowi polecono staranie nad przygotowaniami.

Jeden Brankowicz nie wierzył wcale w wypędzenie Turka; widział z doświadczenia, że państwa europejskie, zajęte swojemi kłótniami, kończyły swą pomoc na ułudnych obietnicach; że Węgry są zniszczone i rozdzielone, Polska zawichrzona, niepojmując swéj korzyści w rozszerzeniu swego wpływu, i połączeniu z pobratymczemi ludami, słabe i nieznaczące siły wyprawi. Ostatnia kampania mimo świetności i chwały, rzeczywiście nie wiele zrobiła, gdyż mu państwa nie wywalczyła, ani sułtana do zwrócenia synów nie zmusiła. Zamyślił więc korzystać naprzód z przestrachu Amurata, i tajemnie przez jego przedajnych ulubieńców do pokoju skłaniał; padyszach nie był dalekim od tego, widział kraj swój wyniszczony ciągłemi wojnami, posiadłości swe w Azyi i Europie zagrożone, tęsknił za odpoczynkiem i chciał pocieszyć siostrę oswobodzeniem jéj męża. Zawiązał z nim stosunki, i dał poznać, że jeżeli mu pomoże do zawarcia pokoju, to gotów jest zwrócić mu dobrowolnie jego państwo i synów. Brankowicz pewny już jednej strony, udał się do Huniada o poradę niby. Przedstawił mu korzyści traktatu, niepewność wojny, i w końcu potrafił przekonać go o korzyściach dla kraju i przyjęcia warunków Amurata. Na ich przedstawienie Władysław łatwo się zgodził na przyjęcie posłów w Szegedynie 15 czerwca.

W dniu naznaczonym przybył poseł renegat grecki, otoczony świetnym orszakiem. Wprowadzony do mieszkania królewskiego, poseł jakby przez omyłkę obrócił się z mową do Huniada biorąc go za króla; wywiedziony z błędu zaczął zręcznie przemawiać o korzyściach pokoju, o zmiennym losie, że sułtan mimo klęsk poniesionych ma

jeszcze ogromne siły do prowadzenia wojny; jedynie szczera chęć zgody, skłania go do traktatu: mowa ta przez jakiś zwrot umysłów do pokoju, przyjęta była z oklaskami. Zaczęto więc umawiać się. Amurat odstępował despocie Serbią i Hercegowinę z fortecami Smederewem, Gołubaczem, Szchirkioj i Kruszewcem; oddawał jego synów, uznawał, zwierzchnictwo króla węgierskiego nad Wołoszą, i ofiarował wykupu za Mahmut Cielebiego 70 tysięcy dukatów. Inni jeńcy mieli być bez rachuby wymienieni, a pokój obowiązywać ma lat dziesięć. Korzystne te warunki podobały się wszystkim; połowa lata już mijała, posiłków nie było widać, czas do wyprawy znowu się spóźnia; Cezaryni milczał: większość więc skłoniła wahającego się króla do pokoju; 12 lipca traktat został podpisany przez Władysława; 15 lipca potwierdzony przez sejm, a 4 sierpnia został uroczyście przyjęty i zaprzysiężony. Wojewoda Huniad przysiągł na ewangelią w imieniu króla i narodu; Turcy na koran w imieniu sułtana: przyczém] określono im czas do wykonania warunków umowy. Huniad w nagrodę zasług otrzymał od króla zamki i włości, które dotychczas były naznaczone Brankowiczowi na utrzymanie. Amurat po zawarciu pokoju, ubezpieczywszy granice państwa, a wewnątrz porządek i ciszę, postanowił zrzucić kłopotliwy ciężar rządu, oddać się praktykom i rozmyślaniom religijnym, zamienić blask majestatu na spokojny i cichy żywot. Odkrył swój zamiar wezyrowi mówiąc: „Usilnie do tej chwili trudniąc się dobrem ludu bożego, wypleniałem z łona kraju cierń buntów i niezgody, i pokonywałem obcych nieprzyjaciół. Gotów zawsze do obrony wiary, nigdy nie zszedłem z konia, w jéj sprawie chętnie odważałem mój żywot. Zgromieni mym kordem nieprzyjaciele pozostają w cichości i poszanowaniu naszych granic; chcę więc teraz odetchnąć po kłopotach krajowych i wojennéj wrzawie, poświęcając resztę życia na bogobojne ćwiczenia i dobre uczynki. Wzgarda blasku korony jest przymiotem świątobliwych; tak zwane zaś panowanie, nic innego, jedno burzliwe waśnie i niespokojność. Poznałem cały urok i omamienie świetnéj godności i najrozciąglejszéj władzy; lecz wygnałem z méj duszy marne błyskotki wielkości, i widzę, że gdy jéj nie będzie, nie będzie trosk doskwierających; kiedy nie będzie rozkosznéj z róż

pościeli, nie będzie też cierni; gdy miodu mieć nie będę, nie będzie much uprzykrzonych, ani os brzydkich i jadowitych; a wtenczas świeże powaby przyrodzenia i przyjaźń szczera i bezinteresowna, hojnie mi stratę szumnego niepokoju nagrodzą. Dni kilka mojego bytu poświęcę na wspomnienie Stwórcy, zapominając o nikczemnym i zdradliwym świecie: dopełniałem długo mój powinności, mogę więc żądać odpoczynku. Nie będę miał więcéj tronu, korony, żołnierza; pokutą winy moje postaram się nagrodzić, a życie uprzyjemnić spokojnością, modłami i czytaniem koranu. Polecę się dobroci Wszechmocnego; wspomnę imię Jego w ustronném zaciszu, zdala od marności świata; zaszczepię i będę miłość Jego pielęgnował w mém sercu; będę rozważał Jego wielkość i śledził mądrości Jego rządów. Mahomet. Han będzie moim następcą; niech tu przybywa co najprędzéj, niech na mojém miejscu osiądzie. Tuszę zeń chwałę i szczęście dla kraju; posiada naukę, łagodność i szczodrobliwość; niech będzie stróżem dziedzictwa Osmana; niech mu sława, cześć i szczęście, nieodstępnie towarzyszą. Niech sobą przypomni ludowi wielkie swych przodków czyny, niech ukrzywdzonym sprawiedliwość wymierzy.“ Przywiedliśmy całą tę mowę dla pokazania szlachetności jeżeli nie czynów to przynajmniéj zasad Amurata. Przynajmniéj nie brakowało mu wyobrażenia o dobrych zaletach i powinnościach władcy ziemskiego. Mahomet uwiadomiony o woli ojca, przybybył spiesznie z Magnezyi do Edrene, (Adryanopol), gdzie ze zwykłemi obrzędami zasiadł na tronie ottomańskim. Amurat zostawiwszy mu do rady swych dawnych ministrów, sam w towarzystwie Ishak paszy pojechał do Magnezyi, gdzie przywdział habit derwiszów. Zaledwie posłowie tureccy odjechali, kiedy przyszły listy, które zupełnie położenie rzeczy zmieniły. Kardynał Franciszek Albert Condolmieri donosił, że flota któréj był admirałem, znajduje się już na wodach Helespontu; że Ibrahim Karman Ogłu gotów jest do powstania; że zawiadomił o Amuracie, który dostawszy pomieszania zmysłów, błąka się po górach i płaszczyznach Sarychanu, pędząc zniewieściałe życie w pośrodku kobiet i biesiadników, ster zaś rządu złożył w słabe i niepewne ręce młodzieńca. „Teraz, mówił pora uderzyć na wspólnego wroga; druga podobna się nie

zdarzy, a opieszałość ciężko przyjdzie pożałować.“ Dwór konstantynopolski potwierdzał także te wiadomości; ostrzegał, żeby nie wierzyć przedstawieniom pokojowym renegata greckiego, gdyż sułtan jest w bardzo złém położeniu. Że nie wypada królowi zostawiać ich samych, kiedy do wojny już się przygotowali, zwłaszcza gdy taka dobra i pewna okoliczność się zdarza. Władysław zmartwiony, nie pewny co robić, zażądał rady od sejmu. Przeczytane depesze zrobiły ogromne wrażenie, wszyscy żałowali pospiechu w zawarciu pokoju, i zerwanie go już się zaczęło rodzić w umysłach. Partye się tworzą: Huniad jest za utrzymaniem traktatu: oświadcza, że nie trzeba było wiązać się przysięgą, ale raz ją dawszy, należy dotrzymać. Widząc wahanie się jeszcze, powstał kardynał legat, i dowodzi długo i wymownie, że traktat powinien być zerwany, że nie powinno się tracić czasu na czcze rozprawy, gdy go tak mało zostaje do prowadzenia wojny. Że wojna nie była prowadzona tylko w interesie Węgier, ale całego chrześciaństwa; pokój więc przez ogół powinien być zawarty. Poseł turecki był renegat, człowiek bez czci i wiary, wszelkie więc zobowiązania z takim człowiekiem są marnemi słowami i nieważne. Turcy sami nie dotrzymali, gdyż dopiéro po upłynionym terminie wydali zamki i ziemie. Ceremonia religijna, jaką jest przysięga, nie może być obrócona na szkodę i zgubę tejże religii. Że jeżeli uczyniono Turkom zobowiązanie pokoju, to pierwéj jeszcze przyrzeczono pomoc uciśnionemu chrześciaństwu. Pokój i przyjaźń z Turkami, są oderwaniem i odszczepieństwem od wiary. Zasady religijne przemawiają tylko za wojną z poganami. Władza naczelna kościoła ma prawo zwolnienia od przysięgi, i nigdy użycie tego prawa potrzebniejszém nie było jak teraz; że on przysięgę złożoną rozwiązuje i traktat unieważnia. Mowa ta zręczna, przyjęta była z zapałem i radością, i zdecydowała wojnę. Władysław poszedł za popędem ogólnym. Najdłużéj opierał się Huniad: odwoływano się do jego uczuć patryotycznych, do nienawiści przeciw muzułmanom, do czci dla papieża. Zachęcano go obietnicą królestwa Bułgaryi, które jego odwagą i talentom miało być zdobyte. Naciśnięty tak ze wszystkich stron, choć niechętnie, musiał się zgodzić także na wojnę. Brankowicz dowiedziawszy się o chęci zerwania traktatu,

posłał przyjaciela swego Dymitra Karłowicza, znakomitego pana serbskiego, z radą, aby się wstrzymać od kroków nieprzyjacielskich. Za główne powody stawiał, że wróciwszy do kraju zniszczonego, przez który wszystkie pochody zawsze się odbywały, musi go urządzić, uspokoić, zamki odbudować i bronią i załogą opatrzyć. Że korzystn éj czas rozejmu przeczekać, wzmocnić się, i dopiéro dobrze przygotowanym, wojnę rozpocząc. Wtedy będzie w stanie wystawić do 50 tysięcy wojska, i sam na czele jego na rozkazy króla się odda. Wszystko to jednak nic nie pomogło; wymowa kardynała przeważyła, naraziwszy króla i rycerzy nietylko na poświęcenie życia i mienia, ale na poświęcenie honoru i słowa. Dyplomacya owczesna mając cel wytknięty, jeszcze mniéj jak dzisiaj uważała na środki: dla widoków korzyści, bez wahania łamała zobowiązania, wszystkiego używała, aby dopiąć swego. Naturalnie że każdéj stronie wydawało się, że dąży do dobrego, że złe sposoby są tylko konieczném lekarstwem, że idzie drogą przeznaczoną z góry, i kiedyś za to dostąpi nagrody, a historya zrozumié konieczność. Przerwane przygotowania wojenne rozpoczęto gorliwie na nowo; werbowano nowe zaciągi, dopełniano stare. Rozesłano wezwania zachęcające do przyjęcia krzyża; naprawiano broń, przygotowano żywność i wozy. Huniad pospieszył do Siedmiogrodu, gdzie wydał 63 tysiące dukatów na wystawienie swego pocztu; zbliżenie się wojny ożywiło jego zapał, i już nic nie żałował do godnego wystąpienia. Z tém wszystkiém liczba wojsk była bardzo szczupła: nie wynosiła bowiem połowy przeszłorocznéj kampanii; Polacy zwiedzeni pokojem, wystąpili w szczupłéj bardzo liczbie. Krzyżowcy także nie z taką skwapliwością zbierali się. Rachowano tylko jeszcze na pomoc Skinder Beja, do którego Władysław teraz list z wezwaniem napisał, i na Drakułę, hospodara wołoskiego. Cała armia liczyła do 20 tysięcy, w tem było 16 tysięcy jazdy i cztery pieszych krzyżaków, gdy 20 września występowała z Szegedynu, i skierowała się do Orszowy. Król z małym orszakiem wstąpił do Smederewa, zobaczyć się z despotą i skłonić go do udziału. Jerzy Władysława przyjął wspaniale, wystawił piękne namioty, zwłaszcza królewski złotem wyszywany, perłami i drogiemi kamieniami wysadzany: obsypał

jego i dworzan kosztownemi podarunkami, podarował dzielne rumaki i 50 tysięcy dukatów na koszta wojny; ale nie mając nadziei w pomyślność, od współdziałania się wymówił. Jerzy odgrywał tu podwójną rolę: przed królem, którego nie chciał jednakże obrazić tłumaczył się zniszczeniem kraju i brakiem sił; sułtana, którego się obawiał i więcéj zyskać się spodziewał, uwiadamiał potajemnie o ruchach i zamiarach wojsk, i o swojéj ku niemu przychylności; i niby tym sposobem pokoju z nim nie zrywał. Na obu więc ramionach płaszcz nosił, i od obu w każdym razie się zapewnił. W języku wyższym nazywa się to zręczną dyplomacyą, u ludzi prostego serca i umysłu zdradą. Gdyby się był szczerze połączył z Władysławem, możeby ta wyprawa tak smutnego końca nie miała. Król w krótce dogonił swe wojsko, z którem 3 października przeprawił się pod Orszową przez Dunaj, i pociągnął do Widinu. Tutaj radzono, żeby zwrócić się na prawo, dróżkami przez góry zwane Stara Płanina do Zofii i iść do Tracyi przeszłoroczną drogą, spodziewając się, że Amurat nie przygotowany, nie będzie wstanie dobrze je bronić, a dużo zyska się czasu i drogi. Rozsądne to i prawdopodobne przedstawienie rozbiło się o bagaże. Dwa tysiące wozów miała armia, napełnionych przy ówczesnym sposobie wojowania niepotrzebnemi rzeczami. Armia zdobywcza, złożona po większéj części z jazdy, wcale ich mieć nie powinna, zwłaszcza że ludność miejscowa była im bardzo przychylna. Zapomniano zupełnie o kraju, w którym wojować myślano, że nie wiele dróg wozowych liczy; że Turcy prawie ich nie używali: natomiast kładli bagaże na konie, osły lub wielbłądy, tym sposobem byli zwinniejsi, cały kraj we wszystkich kierunkach z łatwością mogli przebiegać. Postanowiono więc iść drogą szeroką i wygodną, choć znacznie dalszą, brzegiem Dunaju ciągnącą się aż do morza Czarnego; tam spotkawszy się z flotą sprzymierzoną, rzucić się na prawo przez którykolwiek z licznych wąwozów Bałkanu, na spotkanie z wojskiem cesarza greckiego, i dopiéro uderzyć na główne siedlisko Turków w Adryanopolu.

16 października Władysław stanął pod Nikopolem, miastem warownem i bogatém; w tak późnéj porze nie chciano tracić czasu i ludzi na zdobywaniu go: spalono

tylko przedmieścia i posunięto się daléj. Dzielny dowódzca miasta Muhamed Bej nie zaniedbał korzystać z tego i odnowić pamięć klęski Zygmunta: upatrzywszy porę, napadł niespodzianie na tylne straże i zabrał do niewoli wielu pancernych i dla ożywienia odwagi islamu posłał powiązanych do padyszacha. Niedaleko ztąd przybył do Władysława z pozdrowieniem wojewoda wołoski Drakul, słynny naokoło z swych okrucieństw i barbarzyństwa, tutaj jednakże rozsądnym się pokazał. Zobaczywszy szczupłe wojska, z jakiém się porywano na zgromienie Turków, i przed nadchodzącą zimą, doradzał szczerze królowi cofnąć się nazad i czekać lepszéj pory i większych sił: „Sułtan gdy na łowy wyjeżdża, mówił, więcéj ma towarzyszy myśliwych, niż Ty pod chorągwiami zbrojnych. Twoi żołnierze mogą męztwem, dzielnością ręki, niezachwianą wiarą przewyższać Turków, ale liczbą, karnością wojskową, niewymowną zręcznością w nacieraniu, nigdy im sprostać nie zdołają". Wielu z obecnych zdanie to podzielało, ale kardynał odparł, przywodząc posiłki, jakie ich czekają: na morzu flota, co nie przepuści Turków z Azyi, a na lądzie na spotkanie idące wojska greckie. Drakula tém zachwiany, widząc swe rady odrzucone, rachując także na szczęście Władysława i zdolności Huniada, chciał na wszelki wypadek obie strony mieć za sobą, sam się więc został, ale zostawił w obozie syna z czterema tysiącami jeźdźców, z tajném poleceniem nie narażania się zbytecznie. Przytém Władysławowi dał na wypadek nieszczęścia dwóch przewodników znających dobrze okolicę i dwa najszybsze konie. Koło Ruszczuka opuszczono dolinę Dunaju, wzięto się na prawo ku brzegom Kamczyka (Panizus), na którym spalono 28 małych statków, przeznaczonych do przeprawy na Dunaju. Ponieważ zaczęto przechodzić przez wzgórzyste okolice, podzielono się na dwie kolumny: Huniad ze swoim oddziałem i Wołochami na czele, potém wozy z bagażami, w tyle król i Cezaryni. Bułgary dotychczas witali króla z radością i jako oswobodziciela od ciężkiéj niewoli; ale jak żołnierze chrześciańscy zaczęli rabować i świątynie znieważać, przychylność mieszkańców zaczęła stygnąć i od zbawicieli oddalać. Wiele miast i wsi spalono lub z gruntu zburzono bez potrzeby. Władysław starał się powstrzy-

mywać i karał nadużycia, ale trudno charakteru i żądzy wojska przerobić, kiedy dowódzcy sami wojny od zdobyczy nie umieli oddzielać. Król pięknie pisał w rozkazie dziennym: „że nikt bardziéj, jak my, nie powinien szanować świętości religijnych, bo za nie walczymy. Wiele bardzo na orężu i na własnéj sile polegać można, ale na Bogu najwięcéj, który zmazanym świętokradztwem nietylko nie przybędzie na pomoc, ale jeszcze przeciwko nam stanie, aby zemścić się za swoje świątynie, za ołtarze i świętości, jeżeli się tak od haniebnego rozboju nie powstrzymamy". Władysław widząc, że nie ochroni wszystkiego, starał się przynajmniéj obronić to co najwięcéj naród rozdrażnia, tojest znieważenie kościoła. Dla złagodzenia znowu fanatyzmu muzułmańskiego i zmniejszenia ich oporu dał wolność kilkunastu jeńcom tureckim z listami, zapewniającemi życie i majątek tym, którzy się dobrowolnie poddadzą, oraz z wezwaniem, żeby najechany kraj opuścili i do Azyi się przenieśli. Wiele też miast w skutku tego, jak z Moharaczu, Warny (Odissus-Constantia), z Kowarny i Galaty dobrowolnie się wynieśli, tylko Szumen (Szumla) i Pezechium (Petrocz-Prawody, po turecku Parawadi) zaufani w wyniosłość swych skał i siłę murów opierały się; ponieważ jednak leżały na drodze ku morzu i w razie odwrotu obawiano się, żeby takowéj nie przecięły, z wielką stratą szturmem zdobyto. W Petreczu 5,000 nieprzyjaciół zginęło. Z Polaków odznaczyli się: Jan Tarnowski i Leszek Bobrzycki, tamten przy wyłamaniu bram dwa razy został ranny, ten zaś pierwszy na mury wskoczył i innym do wdarcia się pomógł. Ztąd zbliżono się ku Czarnemu morzu, zajęto bez oporu Warnę, Galatę, Kowarnę; zatrzymano się koło pierwszego miasta głównie dla słabości króla, któremu wrzód się zrobił na lewém udzie i dotkliwe bole sprawiał; naparzanie zrobiwszy czekano, aż materya wyjdzie i pozwoli przywdziać zbroję i konia dosiąść. Tu przybyły listy od Franciszka Condolmieri kardynała i synowca Eugeniusza IV, dowódcy galer papiezkich, że Amurat z ogromném wojskiem przebył ciaśninę i spieszy z pomocą zagrożonym krajom.

Turcy w Adryanopolu dowiedzieli się z przestrachem o zerwaniu przymierza i o szybkiéj wyprawie krzyżowców,

Pierwszą wiadomość o tém przysłał zdaje się Brankowicz. Paszowie na walnéj radzie widząc niedoświadczenie młodego sułtana w tak groźném niebezpieczeństwie, rachowali bowiem do 80,000 wojska Władysława, postanowili prosić Amurata o przybycie do stolicy i objęcie nazad władzy. Stary padyszach szybko zbiera wojska i znalazłszy Helespont i morze Marmora zajęte od floty chrześciańskiéj liczącéj do 65 dużych galer, zwrócił się na Isłak-obad do Bosforu i tam w najwęższém miejscu, gdzie dziś stoją zamki Anadołu Hisary i Rumili Hisar z pomocą najętych statków genueńskich w porcie konstantynopolitańskim, płacąc po dukacie za głowę, przeprawił całe swe wojsko. Wielki wezyr Chalil pasza instynktem wojennym prowadzony, przybył z wojskiem z Adryanopola w toż samo miejsce i rozstawiwszy działa, zasłaniał przeprawę. Cesarz grecki nikczemną tu odegrał rolę: podbudzał Władysława do wojny, a nie umiał czy nie chciał bronić przeprawy Turkom przez Bosfor. Patrzał nawet przez szpary, jak najmowano w porcie statki genueńskie. Chciał osłabiać jednych przez drugich, sam zaś zachowując bierną neutralność, zbierać korzyści. Podobno nawet dwór bizantyjski spodziewał się więcéj zyskać od dzikich Turków jak od zachodniego chrześciaństwa, które słabe i bezskuteczne robiło usiłowania w sprawie wschodnich odszczepieńców. Historycy ówczesni greccy, Chalkokondyles i Dukos dla pokrycia téj hańby fałszywie oznaczyli przeprawę sułtana przez Dardanele koło Czanak Kalesi. Jan Paleolog odjechał był nawet do Serbii na gody weselne synowicy swojéj Heleny z Lazarem najmłodszym synem despoty. Straż nad Dardanelami poruczył bratu swemu Konstantemu. Sprawiedliwe jest zdanie Gibbona, że żadna choćby najczarniejsza zbrodnia nie jest do wiary nie podobna, gdy idzie rzecz o Grekach.

Amurat złączywszy pod Adryanopolem wszystkie swe wojska, przechodzi spiesznie Bałkany i przez Prawadi zbliża się ku Warnie. Jednocześnie nie wielki oddział pod wodzą syna Mahometa zajmuje Szumen dla przecięcia odwrotu krzyżowcom i zabezpieczenia własnego tyłu.

Siódmego dnia swego pobytu nad Czarném morzem, szpiegi i nocne ognie zawiadomiły Władysława o przyby-

ciu Turków. Podwojono straże nocne i placówki, kazano przygotować się do bitwy, a tymczasem naradzano się co robić. Kardynał był zdania, żeby okopać się, wozami zastawić i czekać na przybycie floty, której wkrótce można się spodziewać. Z pomocą jéj wojsk można będzie z większą pewnoscią o zwycięztwo stoczyć bitwę. Wielu doradzało natychmiastowy i spieszny odwrót: utrzymywali, że kiedy flota chrześciańska nie potrafiła wstrzymać przeprawy, tembardziéj teraz nie można rachować na jéj pomoc. Siły są zamałe do zmierzenia się w otwartym boju; w razie przegranéj wszystko stracone, gdyż linia odwrotu jest w rękach niewiernych. Huniad był za bitwą: „tyle razy los nam służył w nierównych bojach, dlaczego teraz ma nas zawieść? Czekanie do niczego nie prowadzi, chyba do osłabienia i ogłodzenia; flota choćby przybyła, to żołnierz morski nie wiele na lądzie pomoże. Odwrót znów sprowadzi upadek ducha; Turcy ciągle nas będą szarpać z tyłu i z boku i albo nas zmuszą do ucieczki w nieładzie, albo do stoczenia bitwy. Lepiéj więc teraz uderzyć, kiedy żołnierz ma zaufanie, a nieprzyjaciel pamięta niedawne swe klęski. „Król i większość zgodzili się na to, i dla jedności w dowództwie, oddali się bezwarunkowo pod rozkazy zwycięzcy z pod Szeben, Waskapu i Bałkanu.

Przestrzeń, na któréj była bitwa stoczona, jest doliną pagórkowatą, nierówną, pochyloną nieco ku południowi, rozciąga się na parę wiorst od Warny ku wsi Paszakioj; na północ i zachód zamknięta jest górami, zarosłemi lasami, na południe długiém jeziorem, zwaném Liman Dewno, które powstało z zatrzymania biegu rzeczki przez ławy piasczyste od strony morza; na wschód między Limanem i morzem leży miasto Warna, forteca i główne miasto portowe Bułgaryi. Główne drogi schodzące się tutaj są następne: jedna idąca brzegiem morza na północ, prowadzi do Sylistryi i na Dobrudżę; dwie na zachód do Dewny i Kozłudzi, prowadzące przez Szumen do środka kraju; do niéj przytykają drogi wychodzące z wąwozów Bałkanu, któremi przyszła armia turecka i jedna na południe idąca po ławie piasczystéj w góry Bałkańskie, mogąca się czémkolwiek zamknąć. Powierzchnia pola bitwy nie wynosiła, jak dwie lub trzy wiorsty kwadratowe.

Huniad obejrzawszy dokładnie pozycyą, następnie uszykował wojska królewskie: na prawém skrzydle od gór północnych postawił największe siły, wielką chorągiew węgierską pod dowództwem Franciszka z Tallocz bana Slawonii, zwanego przez skrócenie Franko banem i przy nim Szymona z Rozgoni biskupa agryjskiego. Skrzydło to było kluczem bitwy, gdyż klęska tu poniesiona odcinała linią odwrotu i tłoczyła armią na pewne zniszczenie między morze i Liman. Na lewém skrzydle koło Limanu stanęło pięć mniejszych chorągwi węgierskich i Wołochy Drakuli. Środek zajmował kardynał Cezaryni z krzyżowcami. Drugą linią bojową i rezerwę zarazem stanowił na prawém skrzydle Jan biskup waradyjski z chorągwią świętego Władysława, i oddział Polaków Leszka Bobrzyckiego, który jednocześnie dowodził i taborem rozłożonym tutaj dla zasłonięcia odkrytego skrzydła; w środku stanął król Władysław na czele 500 nadwornego polskiego i węgierskiego żołnierza; sztandar królewski z wyobrażeniem świętego Jerzego niósł Stefan z Bator. Huniad ze swym oddziałem stanął przy królu.

Turcy uszykowali się w półkole: lewe skrzydło pod wodzą Karadża Bejlerbeja Anatolii; prawe przy Limanie pod Turachanem Bejlerbejem Rumelii. W środku w rezerwie stanął Amurat ze swą waleczną piechotą janczarską.

O świcie oba wojska, w dniu 10 listopada stanęły w pogotowiu i czekały blasku jutrzenki do rozpoczęcia morderczéj bitwy. Chwila to ważna i uroczysta: nie jeden ostatni raz widzi świat Boży, rachuje się z życiem, trwoga i niepewność ogarnia nawet zahartowane serce, wierni i niewierni polecają się Bogu. Wodzom tylko w téj chwili najmniéj wolno myśléć o sobie, zgadując zamiary nieprzyjaciela, wydając ostatnie rozporządzenia: cały ich umysł zajęty jest marzeniem zwycięztwa. Nareszcie dzień się zrobił i przeciw zwyczajowi hasło do walki zabrzmiało u Turków: 6,000 spahów spuszcza się ze wzgórz ku prawemu skrzydłu, rozsypuje się, przepatrując siły i pozycyą krzyżowców: widząc ich szczupłość i nieruchomość zbliżają się coraz bliżéj i chcąc wywabić z szeregów obsypują chmurą strzał. Franko ban zatrzymuje zapał i niecierpliwość swoich, i dopiéro kiedy spahy zanadto się zbliżyli, puszcza się ze swojemi, jednym pędem rozbija

i siedzi na karku uciekającym w góry. Karadża widząc klęskę swéj przedniéj straży, leci z główną siłą im na pomoc: na chwilę zatrzymuje chorągiew bana, a nawet spędza ich z góry, ale na dolinie formuje Franko swoich, zmykają i równają się szeregi i cwałem z miejsca uderzają na tłumy Bejlerbeja; jedna chwila niepewnéj walki i znowu przewaga za krzyżem. Na widok tego powodzenia biskup waradyjski i Szymon z Rozgoni, chciwi spotkania się z Ottomanem, chcąc połączonemi siłami stanowczą zadać klęskę, posuwają się śmiało naprzód; ale skutek nie odpowiada dobrym ich chęciom: natrafiwszy na przeważające siły i przytém czy słabo uderzyli, czy rozbiegły się szeregi, nim dotarły do wroga, Turczyn ich rozbija i rozprasza zupełnie. Biskup waradyjski chcąc przejechać przez bagno będące pod górą ku północy, lgnie w błocie i topi się. Szymon z Rozgoni wrócił do swoich, ale późniéj zginął bez śladu. Turcy korzystając z powodzenia i zmęczone szeregi Franko bana zmuszają do odwrotu i gonią je aż do taboru, gdzie resztki zebrane z rozbitych oddziałów bronią się walecznie. Leszek Bobrzycki z Polakami dzielnie odcina napady, ale ranny kilkakrotnie spada umierający z konia; przewaga jest zupełnie na stronie Karadży; zaczynają już zdobywać tabor i rabować wozy. W téj chwili bitwa robi się ogólną: Turcy napadają na wojsko kardynała legata i lewe skrzydło. Król i Huniad widząc zupełną porażkę swoich na prawém skrzydle, lecą tam ze swemi oddziałami na pomoc, szarżują wściekle na odsłonięte boki Osmanów; Karadża ginie od cięcia Władysława i tém dzielném uderzeniem odbierają im zwycięztwo i ożywiają swoich. Król gonił ich jeszcze ze 2,000 kroków, potém za radą Huniada zwraca się do środka, by i tam zadać stanowcze ciosy. Wojewoda ze swym oddziałem popędził na lewe skrzydło, które już się uginało pod naciskiem Tarachana Bejlerbeja. Pomoc ta w samą porę wszędzie wygraną przynosi. Cała linia krzyżowców posuwa się z okrzykiem naprzód. Ottomani bezładnie uciekają; szczęście znowu, lecz niestety na chwilę zwróciło się do chrześcian. Przy osobie sułtana prócz janczarskiéj piechoty i starych bejów nikt nie pozostał; przerażenie i rozsypka były powszechne. Amurat przez chwilę myślał sam o ucieczce,

ale zatrzymany od dzielnych janczarów, wzniósł umysł do Boga i modlił się głośno: „Panie, zawołał, przez godność królów wypływającą z Twéj potęgi, przez waleczność i gorliwość wojowników wiary, szafujących krwią i życiem dla obrony praw Twoich! Boże! przez największego i ostatniego z proroków, który Twe prawdy objawił ludziom, co wskazał drogę do Twéj łaski, któregoś Ty nad wszystkie wywyższył stworzenia! przez czystość jego niebiańskiéj duszy, przez światło, którém on jaśnieje, nie oddawaj wojowników islamu na zdeptanie ludu, wykarmionego w sromotnym błędzie, nie uznającego Twéj potęgi! Nie przywalaj obrońców wiary hańbą zwycięztwa niewiernych. Dopełnij Twéj obietnicy, danéj w słowach, iż: „Zwycięztwo wiernych będzie dla nas powinnością". „Podnieś Twą potęgą rzucone wiary znamiona". Tak sułtan błagał pomocy nieba i stanąwszy jak mur granitowy, własnym przykładem wzniecił zwątlone męztwo swoich żołnierzy. Bóg wysłuchał jego modlitwy. Krzyżowcy, zamiast połączonemi siłami uderzyć na ostatnią zaporę i zapewnić sobie zwycięztwo, bez względu na przykład i rozkazy króla i hetmana, rozsypują się za łupem i zostawiają Władysława samego z małą garstką nadwornego żołnierza. Jagiellończyk, zagrzany bojem i powodzeniem, nie zważa na liczbę; na dzielnym koniu z szablą w ręku wybiega przed swoich i zagrzewa słowem i czynem do ostatniego na janczarów ataku. W téj chwili Huniad zapewniwszy zwycięztwo na lewém skrzydle, nadbiega zobaczyć króla; widząc zimném i doświadczoném okiem małą garstkę rycerzy, których Władysław prowadzi na zgniecenie tureckiéj piechoty, namawia go do zatrzymania i zebrania większych sił, ale króla nie tak łatwo było ostudzić w bitwie i przywieźć do rozwagi; za całą odpowiedź spina konia i pędzi naprzód. Sułtan widząc ten słaby zamach, każe rozstąpić się janczarom na obie strony i gdy jak dzik raniony w pośrodek nich wpadnie, nagle zemknąć się i zabiciem zuchwałego gianra dokonać Bogu przyjemnego czynu. Tak się téż stało. Władysław z kilkoma towarzyszami wpada, ale janczar stary Hodża Chaur silném uderzeniem topora rani mu konia i obala, i przytłoczonemu ciężarem ucina głowę jataganem i zatknąwszy na włóczni, składa padyszachowi. Większa część orszaku została wy-

kłuta lub rozsiekana. Huniad z garstką swoich walczył czas jakiś, chcąc przynajmniéj ciało królewskie od niewoli uratować, ale widząc gwałtowny opór janczarów i rzędniejących wkoło siebie towarzyszy, cofa się do obozu. Śmierć króla magicznym sposobem zmieniła role: zwycięzcy uciekającemi, uciekający zwycięzcami. Sułtan uradowany i dumny, kazał uderzyć w kotły na znak tryumfu. Ottomani zawracają konie, zbierają się i widząc pomieszanych i rozsypanych chrześcian, z nową nadzieją uderzają. Wojewoda zbiera koło obozu swoich, ożywia, zachęca, tłumaczy, że nie przyszli jedynie dla króla, ale dla obrony i utwierdzenia wiary: nic nie pomaga; krzyżowcy straciwszy ducha przez śmierć Władysława, ostro zaatakowani, nie widzieli innego środka, jak ucieczkę. Kardynał legat, ustąpić doradza i sam ustępuje; wszystko więc widząc stracone, Huniad pod wieczór cofa się ku górom i Dunajowi. Amurat wykrzyknąwszy: „Chwała niech będzie Bogu za zwycięztwo", posyła w pogoń Dawer paszę z rumelskiém wojskiem. Ten przez dwa dni i dwie noce uciekających ciągle mordował, lub zabierał w niewolą. Kardynał legat, znienawidzony od wszystkich w końcu za nieszczęsne namowy do złamania traktatu, w ucieczce zabity został. Huniad z kilkoma wiernemi dostał się szczęśliwie do Dunaju i Wołoszy; mała garstka Polaków i Węgrów w rozsypce z największém niebezpieczeństwem i wysileniem potrafiła ucieczką uratować się od zguby. Na drugi dzień Turcy zdobyli tabor, załogę wyrznęli, a łupy zabrali; było bowiem 250 wozów samemi bogactwy napełnionych. Amurat przejeżdżając się późniéj po bojowisku w towarzystwie dowódzcy przybocznéj straży Azeb beja, zapytał: „co znaczy Azebie, że między tylu niedowiarkami żadnego z siwą brodą nie widać"? „Padyszachu, odpowiedział, gdyby się pomiędzy niemi choć jeden sędziwy znajdował starzec, nigdyby to się z niemi nie stało; płochość to młodości tak drogo im kosztuje". Głowa nieszczęsnego Władysława w naczyniu z miodem zanurzona, żeby się zachowała od zepsucia, wraz z listem donoszącym o zwycięztwie, posłaną została do Brussy, dawnéj stolicy państwa, aby na widok narodu była tamże wystawiona. Subaszy (rodzaj burmistrza) Dzubbe Ali bej skoro o zbliżeniu posłańców się dowiedział,

aż do Nilufur rzeki z mieszkańcami na spotkanie wyszedł; tu ją wydobywszy, obmyto i na widok publiczny okazano. Ztąd cała ludność poszła przez Ołdemkiesilmisz nazad do Brussy, gdzie utkwioną na włóczni głowę z okrzykami radości po ulicach obnoszono.

Oprócz tego i do innych władców posłał sułtan z doniesieniem o tak pomyślnym dla siebie wypadku; do każdego listu, dla widoczniejszego okazania zwycięzkiéj przewagi islamu, dodał po kilku jeńców, okrytych ciężką zbroją żelazną i kajdanami. Dla sułtana Egiptu posłał 25 pancernych. Mając wojska ogromnie osłabione samém zwycięztwem, nie mógł korzystać, żeby przenieść wojnę na ziemię węgierską; ograniczył się tylko zwyczajną pogonią. Wróciwszy do Adryanopola, zatrzymał już władzę, a syna odesłał do Magnezyi.

Rozważając bitwę warneńską, widzimy, że nawet w najgorszych okolicznościach i zawodach jeszcze wygraną być mogła: cała jazda muzułmańska była już rozbita i gdyby nie rozsypanie się krzyżowców za zdobyczą i nie szalona bez zastanowienia odwaga Władysława, rozpaczliwy opór janczarów nicby nie pomógł. W tych czasach rozbicie kawaleryi zwykle decydowało wszystko, a piechota, działa i obóz, były późniéj łatwym łupem zwycięzcy. Historycy niesłusznie potępiają szarżę biskupów: była ona w swym czasie i miejscu dobrze wykonana; w spotkaniach jazdy koniecznie potrzebne dwie lub trzy linie, żeby piérwszą zwycięztwem samém pomieszaną, świeżą i wyrównaną zastąpić, i ten co najdłużéj zachowa nietkniętą rezerwę, ten zwykle górę otrzymuje. Biskupom to jedno zarzucić można, że ją odrazu miękko i słabo wykonali i dlatego została nietylko bez skutku, ale sprowadziła klęskę na prawe skrzydło. W ogóle karności i wyrobienia wojsko nie miało, kiedy raz użyte chorągwie już się zebrać i prowadzić nie dały. Daleko ważniejsze błędy co do przyjęcia bitwy w tak złém stanowisku ciążą na Huniadzie. Pozycya między morzem, Limanem i armią nieprzyjacielską, przy jednéj i wątpliwéj drodze odwrotu ku Dunajowi, była nadzwyczaj nierozsądną i niebezpieczną. Tylko z przeważającemi siłami, dającemi pewność zwycięztwa, można zaniedbywać tak ważne zasady doświadczenia, i gdyby

armia turecka nie była tak z początku rozbita i potrafiła utrzymać się przy taborach, ani jedna noga chrześciańska nie uszłaby z téj matni. Walcząc z równemi siłami i z równém prawdopodobieństwem wygranéj, każda armia zabezpiecza sobie odwrót i tém w nieszczęściu ratuje się; jeżeli jest jakakolwiek przeszkoda niezwyciężona z tyłu, wszystko musi ginąć lub pójść w niewolą. Na wieść o przybyciu Amurata, kiedy wszystkie posiłki króla zawiodły, nawet z zamiarem spotkania się należało szybko się cofnąć do Prawadi lub lepiéj do Szumny, i tam z zapewnionym powrotem do kraju stoczyć stanowczą bitwę. Ruchy Turków pod tym względem były daleko wyższe i zręczniejsze, organizacya ich piechoty daleko doskonalsza, choć to wszystko były dzieci zawojowanych ludów; tém się tłumaczy ciągłe ich zdobycze w XV i XVI wieku: dopiéro kiedy sztuka wojskowa u nich stanęła, a zepsucie i niedołężność zastąpiła dawną dzielność wojowniczą sułtanów i paszów, w Europie zaś nauka i organizacya wojenna wysoko posunęła, zaczęto kruszyć potęgę Ottomanów i postrach przez nich wywierany znikł na zawsze. Współcześni jednak tę niespodzianą klęskę nie przypisali błędom wojennym, ale tworzyli sobie różne nadzwyczajne przyczyny: mówiono, że konie polękały się wielbłą lów, i rozniosły swych jezdców; że umyślnie rozsypano pieniądze, których zgarnianiem zajęci krzyżowcy, dali się wtedy niespodzianie napaść i pobić. Długosz współczesny, zwyczajem narodowym krzyknął, że zdrada, i obwinił natychmiast o to Huniada, choć całe życie jego i obowiązek wdzięczności dla Władysława, a spodziewana nieprzychylność Pogrobowca za odstąpienie matki, co innego kazały wnosić. Inni pobożniejsi, wyżsi niby duchem, widzieli w tém karę Bożą, i oburzali się głównie na legata papiezkiego, jako podbudzacza do krzywoprzysięstwa; przypisywali dobrodusznie zwycięztwo Amurata modlitwie do Chrystusa o pomszczenie zniewagi jego imienia; dodawali nawet, że miał traktat Szegedyński zanadrzem. Historycy tureccy jednak na złamanie pokoju w cale nie piorunują: było to wówczas tak zwykłe, Turcy sami tak często to robili, że to ich w cale nie uderzało. Traktaty pokoju dawniéj i teraz o tyle mają poszanowania, o ile są słuszne i obu stronom zapewniają równie korzyści.

Jak tylko są wymuszone przez mocniejszego orężem czy okolicznościami, druga strona mimo wszelkich zapewnień i przysiąg, przy pierwszéj sposobności starać się będzie o zerwanie narzuconéj krzywdy. A pozorów do tego historya nam pokazuje, że nigdy nie brakło. Trzeba więc albo je pilnować z bronią w pogotowiu, albo się zgodzić na sprawiedliwe warunki. Turcy jednak byli świeżemi zaborcami, wydalić się dobrowolnie z Europy nie chcieli, a środków do utrzymania swéj władzy wcale nie wybierali; pokój więc z niemi był tylko zawieszeniem i przygotowaniem do nowéj wojny. Wina więc ciąży za zły wybór czasu i nie wystarczające przygotowanie.

Należy tu jeszcze nadmienić, że wszystkie posiłki, na które Władysław rachował, zupełnie zawiodły; oprócz bowiem zdradliwéj nieczynności Brankowicza i Jana Paleologa, nieznaczącéj pomocy Drakuli, bezużyteczności zupełnéj floty sprzymierzonéj na Helesponcie, Skinderbej, który na czele swych hufców chciał iść na pomoc królowi, został zatrzymany w górach południowych serbskich przez despotę, który kazał przejścia pod Białą Cerkwią obwarować i niedozwolić przechodu. Teść Skinderbeja Aranites Tofla Golemus jeden z książąt Epiru, nie mógł zdążyć do obozu Władysława, gdyż papież Eugeniusz IV, dopiéro 7 października 1444 roku uwolnił go w Rzymie od przysięgi sułtanowi wykonanéj. Z Polaków także nie wielu miało udziału, głównie dla nagłego zerwania pokoju. Piotr Wapowski dla zaciągów do kraju wysłany, dopiéro po śmierci króla we 2,000 do Węgier zdążył. Pomiędzy poległemi Długosz wymienia Jana Majora i Jana Gratusa Tarnowskich, Marcina i Stanisława z Rożnowa synów Zawiszy Czarnego, z ocalonych Grzegorza z Sanoka arcybiskupa lwowskiego, Jana rzeszowskiego później krakowskiego, Pawła z Garbowa chełmskiego biskupów, Alberta z Żychlina podkanclerzego, Jana Wątróbkę ze Strzelczy kanonika krakowskiego, Andrzeja z Sienna, Jana z Borowna, Marcina Chorapca, Piotra z Latoszyna, którzy z niewoli tureckiéj szczęśliwie uciekli. Poległych i pozostałych w jassyrze było niezawodnie daleko więcéj, przytém każdy ze szlachty tu wymienionéj miał kilku lub kilkunastu ludzi w swym poczcie.

ROZDZIAŁ IV.

WYPRAWA NA KOSOWE POLE I OBRONA BIELGRADU.

Powrót Huniada z Wołoszy, wybór Władysława Pogrobowca na króla; zemsta nad Drakulem; Huniad gubernatorem Węgier.— Poskromienie Ulrycha księcia Cylli; wojna z cesarzem Fryderykiem III i pokój z nim.— Przygotowanie do wyprawy przeciw Turkom wraz z Kastryotą; odmowa do udziału Brankowicza.— Bitwa na Kosowém polu; zdrada Wołochów; Huniad w niewoli u Serbów; powrót do kraju, nienawiść magnatów ku niemu; wojna z Iskrą; złożenie władzy gubernatorskiéj, podziękowania młodego króla, napad Mahometa II na Brankowicza i odsiecz Huniada.— Oblężenie Bielgradu, bitwa na Dunaju, szturm, opór Huniada i Kapistrana. — Śmierć bohatéra. — Uwagi nad jego charakterem.— Źródła do jego życiorysu.

Huniad w przeciągu dwóch dni i dwóch nocy przebył przestrzeń z Warny do Dunaju, na którą zwykle potrzeba od 4 do 5 dni, dostał się szczęśliwie do Wołoszy, ale zamiast schronienia, znalazł niewolą. Drakula chcąc się zasłużyć sułtanowi, chciał go zabić naprzód, później przez chciwość zamknął go w więzieniu, spodziewając się ogromnego wykupu za znakomitego jeńca. Dopiero kiedy stany węgierskie dowiedziawszy się o tém, zagroziły, że ogniem i mieczem zniszczą całą Wołoszę, jeżeli natychmiast go nie uwolni, przestraszony hospodar przepraszał go, obsypał podarunkami, i sam z świetnym orszakiem odprowadził do granicy siedmiogrodzkiéj. Wojewoda przybywszy do Budy, dla uspokojenia kraju, dla wzmocnienia go przez połączenie stronnictw, doradził wybór Władysława Pogrobowca. Sejm zgadza się na to, i ogłosiwszy Władysława V królem węgierskim, posyła po niego i koronę świętego Szczepana deputacyą do Fryderyka III cesarza niemieckiego, a Huniadowi powierza bezpieczeństwo kraju, mianując dowódcą naczelnym Siedmiogrodu i dolnego Dunaju. Jednocześnie wojewoda pisze do papieża, opisując mu bitwę warneńską, i prosząc o nadesłanie pomocy, dla wspólnéj obrony chrześciaństwa. Nie czekając jednakże na skutek, dowiedziawszy się, że Turcy koło Sawy plądrują, zbiera wojska, uderza niespodzianie, i w przeciągu kilku godzin znosi zupełnie. To była pierwsza zemsta za kleskę pod Warną. Pamiętając podłe

postępowanie z sobą Drakuli, Huniad nie odpoczywa, ale pędzi na Wołoszczyznę, kraj niszczy i pali, a schwytawszy szczęśliwie hospodara i jego starszego syna, obu ścina, a na jego miejsce mianuje Dana i zapewnia nad krajem zwierzchnictwo Węgier. Jeszcze nie powrócił z wyprawy, gdy sejm mianuje go gubernatorem generalnym całych Węgier, i wyprawia na poskromienie Ulrycha cyllejskiego. Chciwy i zepsuty ten książę, uwolniony przez Jagellończyka za wstawieniem Elżbiety, z niewoli, nie przestawał pod pozorem przywiązania do Pogrobowca, burzyć i niszczyć kraju, znosić się z Fryderykiem, któremu powydawał niektóre miasta, mianowicie Jaworin, świeżo zaś po śmierci Thallonego bana Kroacyi, zagarnął biskupstwo zagrabskie i Aurane. Huniad wpada do jego dziedzicznego państwa, pustoszy go swoim zwyczajem, i zmusza Ulrycha do poddania się i błagania o łaskę. Idąc za szlachetnością serca, zwraca mu wszystko pod warunkiem, że zachowa się spokojnie i poprzestanie swych roszczeń do krajów węgierskich. Posłowie wysłani do Fryderyka powrócili bez skutku. Cesarz obawiając się stracić wpływ z wydaniem dziecka i korony, a może mając zamiary zagarnięcia kiedyś Węgier, zwiekał bez końca pod rozmaitemi pozorami. Żądał, żeby Władysława wybór uroczystą uchwałą sejmu był ogłoszony; żeby Preszburg był mu wydany, gdzie miał się pod jego dozorem wychowywać młody król; koronę św. Szczepana, jako niepotrzebną jeszcze, obiecał oddać dopiéro przy koronacyi.

5 czerwca 1446 zebrał się liczny sejm na równinach Rakos pod Peszten; narady odbywały się konno i zbrojno. Ogłoszono ze wszystkiemi obrzędami Władysława, z wyboru i urodzenia królem węgierskim, a do jego pełnoletności mianowano gubernatorem czyli regentem państwa Janosza z Huniad. Władza jego co do wypowiedzenia wojny, zawierania pokoju, powierzania najwyższych godności krajowych była ograniczona, i w tém był obowiązany odwoływać się o potwierdzenie do sejmu. Zresztą zachowano mu wszystkie prerogatywy królewskie, i zalecono starać się o wyrwanie Władysława z rąk cesarza, zwrot korony i miast zajętych jeszcze Niemcami. Gubernator obejmując władzę, wykonał przysięgę sakramentalną: „Na Boga, żeby mnie towa-

rzyszył, na Najświętszą Pannę Maryą, żeby dla mnie błagała miłosierdzia boskiego, na wszystkich świętych, żeby wstawili się o łaskę, na najświętsze ciało Pana Jezusa, żeby zapewniło moje zbawienie w ostatniéj chwili; na ziemię, żeby przyjęła kości moje i nie wyrzuciła ich trzeciego dnia; na moje potomstwo, żeby nie wygasło; na sąd ostateczny, żebym mógł oglądać oblicze Boże i nie był pogrążony w ogniu wiecznym, przysięgam: że użyję całych mych sił do wykonania wszystkich warunków uchwały sejmowéj, postanowionych na korzyść i pożytek królestwa; nie zrobię i nie pozwolę nikomu zrobić przeciwko któremukolwiek z nich.“ Huniad widząc, że na drodze pokoju trudno jest z cesarzem niemieckim się porozumieć, który wiecznie na najsłuszniejsze żądania znajdował wykręty i zwłoki, uciekł do swego sposobu i wypowiedział mu wojnę. Na czele 10 tysięcy wpada do Austryi, niszczy całe arcyksięstwo, Styryą, Illiryą, podszedł pod Neustadt, gdzie się schronił Fryderyk, i którego zima tylko ocaliła od oblężenia a może i niewoli, i z ogromnemi łupami wrócił do Węgier. Była to wojna podjazdowa, niszcząca, gdyż cesarz niemając posiłków z Rzeszy, nie śmiał występować w pole, trzymał się obronnie po umocnionych miastach. Widząc jednak, czego bardzo nie lubił, że wojna na ostro i długo się zanosi, za pośrednictwem kardynała legata Saint Angeli zawarł rozejm na dwa lata, nim pokój stanowczy się ułoży. Cesarz zatrzymywał Preszburg, Köszeg, a brat jego Albert Frakno i Kismarton zastawione jeszcze przez Elżbietę; wszystkie inne miasta, a mianowicie Raab będzie zwrócony; Władysław zostanie na wychowaniu na dworze rzymskim, za którego utrzymanie płaconém będzie rocznie 24,000 dukatów: Władza Huniada jako regenta państwa jest uznaną.

Traktat ten, choć nie świetny i nie spełniał zamierzonych poleceń, jednak przynajmniéj zapewniał pokój, powracał większą część oderwanych miast, i dawał czas myśleć o bliższym i niebezpieczniejszym wrogu ze Wschodu. Dlatego sejm bez wahania go potwierdził; mianował przytém po śmierci palatyna Hederwara na tę godność bana Slawonii Władysława Garę. Parę lat pokoju Huniad obrócił na zagojenie ran, zagładzenie spustoszeń zadanych wojną domową i wojnami zagranicznemi. Chociaż Turcy cicho sie-

dzieli i nie odważali się niepokoić Węgier, gubernator jednakże powoli i nieznacznie gotował nowe siły, marząc o nowéj wyprawie, któraby pomściła śmierć króla i zmyła hańbę przegranéj. Póki potęga Osmanów nie będzie złamaną i skruszoną w zarodzie, zawsze postrach i niepewność będą grozić krajowi. Chwilowy pokój służy tylko do przygotowań wojennych. Póki sułtan jest silny i ma na skinienie liczne wojska, nigdy mu wierzyć ani ufać nie można; w upatrzonéj chwili wpadnie on niespodzianie, stratuje, zniszczy i zabierze. Walka i zdobycz są instytucyą, religią, i weszły w podstawy bytu państwa. Korzystniéj więc uprzedzić i zaczepną prowadzić wojnę, jak stać wiecznie w pogotowiu i co chwila lękać się napadu.

Pobudzającym do nowéj wyprawy był sławny Jan Kastryota; choć umiał zniszczyć cztery armie Ottomanów posłanych dla jego uśmierzenia, widział w ciągłych walkach rzedniejące szeregi swoich wojowników i słabnące siły swego kraju. Góry i odwaga mieszkańców broniły jeszcze jego księztwo od niewoli, ale liczebna przewaga prędzéj czy późniéj musiała zwyciężyć. Pisał do wszystkich władców Europy o pomoc, ale zamiast żołnierzy, odbierał tylko znane obietnice i wonne pochwały swojéj waleczności. Jeden Huniad, związany spólnością sprawy i położenia, zgodził się razem z nim walczyć i jeszcze w tym roku wyprawę rozpocząć. Podług umowy Węgrzy pociągną na południe ku Macedonii, Albańczycy na wschód, i miejscem spotkania naznaczono sławne pobojowisko serbskie, Kosowe Pole. Namawiano jeszcze do współudziału Brankowicza, ale ostróżny i podejrzliwy, więcéj ufając swéj zręczności dyplomatycznéj i wpływom haremowym swéj córki Maryi, którą dał dla zjednania Amuratowi, odmówił poselstwu mówiąc: „Wiécie, żeśmy przez te sześć lat byli w zgodzie z cesarzem tureckim, i ślubowaliśmy nic przeciw niemu nie działać; on nam podobnież ślubował. Wyście namówili króla Władysława na to, żeby im nie dotrzymano przymierza, i zebrawszy wojska ciągnęliście na Turków bez mojéj rady, a ja natenczas nie mogłem być gotów z królem jechać, i musiałem w domu pozostać. Ileście na tém zyskali, wiadomo chrześciaństwu całemu, a mnie tego żal bardzo aż dotąd. Przetoż, panie Jankule gubernatorze, daję to ci wiedzieć,

że ja bez króla na Turków jechać nie myślę, ani chcę. Przyczyńcie się najpierwéj do tego, żebyśmy króla mieli, a ja będę gotów ze wszystkiemi ludźmi mojemi ciągnąć, obok wielmożności królewskiéj, i uczynię to chętnie bez wszelkiéj wymówki. A jeśli, pomimo téj rady, pociągniecie na Turków, pamiętajcie, że tego późniéj żałować będziecie, żeście méj rady usłuchać nie chcieli, jako i pierwéj rada moja byłaby wam ku większemu pożytkowi wyszła. Za którą radą i król Władysław sławnéj pamięci, jeszczeby z nami dotąd był pozostał; wszakoż zostawmy to woli Boskiéj.“ Usłyszawszy to gubernator, rozśmiał się na poselstwo i rzekł: „Wspomoże mi Pan Bóg i da mi zwycięztwo nad pogany, znajdę ja was i w Smederewie.“ Na te słowa odpowiedział despot: „Niechaj jedzie z panem Bogiem jako umyślił, a jakomy myślimy komu, tak nam daj Panie Boże.“ Powtórnie wysłał poselstwo Huniad do Brankowicza, żądając przynajmniéj swobodnego przejścia przez jego ziemie, aż na Kosowe Pole. Despota zgodził się rad nie rad i przykazał swemu ludowi, żeby przechód Węgrów był bezpieczny, i żeby im okazali dobrą wolą, jak jemu samemu, pod utratą jego łaski.

Huniad zebrawszy do 24 tysięcy zbrojnych, w tém 8 tysięcy Wołochów przyprowadzonych przez hospodara Dana, i 2 tysiące wozów zbrojnych muszkieterami i artylleryą niemiecką. Na początku października 1448 roku po upałach letnich wyruszył. Dunaj przebyto w dwóch miejscach: Węgrzy pod Kubinem naprzeciw ujścia Morawy i Smederewa; Wołochy przy Wrotach żelaznych koło Turn Sewerin. Przybywszy do Serbii, jeszcze raz wezwano despotę do współdziałania, chociaż napróżno.

Brankowicz oprócz powodów, głośno wyjawionych, miał tajną zawiść przeciw gubernatorowi za zniszczenie i upokorzenie zięcia jego księcia Cylli. Jedna złość wyradza drugą. Węgrzy rozgniewani o obojętność w tak świętéj sprawie, ostro obchodzili się z mieszkańcami, i przechód ich był również niszczący jak Ottomanów. Despota za to zdaje się znowu zawiadomił dwór adryanopolski o zamiarach i sprzymierzeńcu Huniada. Amurat ze zwykłą sobie bystrością, zgromadził ogromne wojska, do 80 tysięcy, i pospieszył uprzedzić połączenie Janka potępieńca ze zdradliwym

Skinder bejem, zajmując węzeł dróg w mieście Pristinie na szerokiém Kosowem Polu. Huniad przeszedłszy brzegiem Morawy całą Serbią i jéj południowe góry, przyszedł już był na toż miejsce, oczekując przybycia Kastryoty. [Spotkawszy tu Turków prędzéj niż się spodziewał, domyślił się, że wąwozy prowadzące do Albanii muszą być przez nich obsadzone i drugi raz fatalném nieszczęściem droga jedynemu sprzymierzeńcowi zamknięta. Choć mógł mu wyrzucać powolność, że bliżéj będąc jeszcze nie przybył, zbliżenie wojsk było tak blizkie, że albo bitwę przyjąć, albo natychmiast cofać się wypadało. Huniad bez wahania wybiera pierwsze, to się zgadzało z charakterem narodu i jego; nadzieja zwycięztwa jeszcze mu się uśmiechała; a w końcu w tych czasach rycerskich, prędzéj przebaczano bitwę przegraną, jak bojaźliwe choć rozsądne cofanie.

Kosowe Pole, po madziarsku Rigomezo, rozciąga się szeroko nad brzegami Sitnicy, ograniczone w dali skalistemi górami. Węgrzy obwarowawszy obóz taborem z wozów, uzbroiwszy działami i piechotą, sami wystąpili na otwarte pole, i uszykowali się w 38 oddziałach we wschody czyli eszelony, każdy pod oddzielnym dowodcą, nakształt klinu ukośnego przeciw półksiężycowi Ottomanów. Amurat stanął ze swemi starym zwyczajem: wojska rumelskie na prawo, anatolskie na lewo, a sam w pośrodku w rezerwie z janczarami. 17 października we czwartek przyszło do pierwszego spotkania. Zaczęło się od pojedyńczych utarczek i harców: najwięcéj zwrócił uwagę jeden Madziar, na zgrabnym i szybkim koniu, który niespodzianie wysunąwszy się z szeregu, pędził galopem ku spahom, osadził przed niemi konia, i wywijając krzywą szablą nad głową, dawał do zrozumienia, że chciałby z jednym z nich spotkać się pojedyńczo; nie długo czekał, strojnie i bogato ubrany spah ottomański wyleciał naprzeciw: w jednéj chwili dwa okrzyki Jezus i Allach i dwa cięcia spotkały się w powietrzu. Obaj zręcznie razy odbijają, zręcznie powodują rumakami i w każdém zetknięciu stawają sobie zawsze po prawéj stronie. Madziar i Osman zapalają się coraz więcéj, ochraniając siebie, porąbali konie, oba padają; lecz zrywają się w chwili i na pieszo rozpoczynają walkę. Wojska tymczasem zbliżały się ku sobie: ziemia tętni coraz głośniéj,

dowódcy do siły liczebnéj, do porządku i zapału, dodają siłę pędu, w jednéj chwili obie strony cwałują i pojedyncza rozprawa zginęła nie rozwiązana. Szwadrony węgierskie, prowadzone przez Huniada, zanurzają się w objęcia islamu, rąbiąc szalenie na prawo i lewo, krwawą drogę torują sobie do buńczuka sułtana. Lecz ramię morduje się od uderzeń, jednego zabitego dwóch zastępuje, pole zasłane trupami koni i ludzi, coraz więcéj utrudnia poruszenia. Skrzydła niewiernych zbliżają się do siebie i stalową obręczą ściskają kolumnę madziarską. Wojsko Huniada coraz wolniéj się posuwa, a kiedy dotarli do janczarów, nie wytrzymali gradu strzał i cofnęli się. Szeregi w szybkim biegu potargały się, Turcy z boku coraz więcej naciskają. Węgrzy biją się teraz o swobodny odwrot do obozu, i mimo jawnéj przewagi nieprzyjaciół, cięcia szabli otwierają im drogę. Strzelcy siedzący na wozach ułatwili im wejście i zatrzymali natarczywą pogoń. O północy niezmordowany Huniad, spodziewając się znaleźć Turków uśpionych i niedbałych w dumie zwycięztwa, wykonywa atak nocny, pamiętając świetne jego skutki w długiéj wyprawie, ale i Amurat pamiętał to także i gęste straże na około rozstawił. Za pierwszém pokazaniem się nieprzyjaciela, wszystko wczas ostrzeżone stanęło pod bronią, i gotowością swą niespodziewaną do dzielnego odporu, zmusili zaraz Węgrów do cofnięcia się.

Nazajutrz Huniad wyprowadza swoje szwadrony, jeszcze raz w szerokiém polu probując szczęścia, rozpoczyna zaciętą bitwę; ale Amurat poznał już swoją przewagę i zamierzył wykonać stanowcze poruszenie: wojska anatolskie rozwinęły się same, wytrzymując cały nacisk chrześcian, a tymczasem Turachan bej z Rumelczykami z daleka obchodzi i wpada nagle pomiędzy obóz i tylne szeregi Węgrów. Huniad wrębując się śmiało naprzód i myśląc o możliwości zwycięztwa, nagle zobaczył się odciętym i otoczonym. Popłoch się rzucił i bitwa odrazu zmieniła charakter; teraz Turcy ostro nacierają, radując się ze zguby dumnych giaurów. Hospodar wołoski Dan, widząc pewną przegraną, chcąc podłością ratować życie, podczas bitwy, przez wysłańców umawia się z wielkim wezyrem Chalil paszą i przechodzi na stronę niewiernych. Huniad otoczony bije się jak lew zażarty i śmiertelne ciosy na około za-

daje. Szwadrony pomieszały się w jednę nie foremną massę, piersiami swemi zasłaniają ukochanego wodza i walczą o wspólne ocalenie. Przerzynają się z trudnością przez chmary Ottomanów, i każdy krok ku ojczyźnie drogo opłacają. Zostawując obóz jego losowi, którego nie są wstanie obronić, kieruje się na prawo coraz już mniejsza garstka towarzyszy. Wybrnąwszy cokolwiek z krwawych uścisków, cofanie zamienia się w otwartą ucieczkę, i jezdcy powierzają swoje zbawienie szybkości nóg końskich.

Obóz, w którym pozostała piechota, artyllerya wtedy mało skuteczna i zbyt ciężka, nie widząc ocalenia ani w poddaniu ani w ucieczce, rozpaczliwie się broniła i dopiéro na drugi dzień tojest 19 października wpadła w ręce zwycięzcy. Amurat wszystkim jeńcom kazał głowy ucinać i na kupę składać. Rozdawszy zdobycz wrócił do Adryanopola, gotując się na drugi rok wpaść w góry Albanii, na poskromienie Skinder beja.

Huniad na szybkim koniu potrafił ujść pogoni, lecz niebezpieczeństwa jeszcze nie uniknął. Serby dowiedziawszy się o klęsce Węgrów, mszcząc się za złe ich obchodzenie w czasie przechodu, napadali i mordowali teraz uciekających. Nieznając dobrze drogi, spotkawszy jednego wieśniaka, z szablą przy piersi, zmusił go do prowadzenia się do Biełgradu: było to w okolicy zwanéj Zachurze; wieśniak poznawszy po stroju i mowie, że to jakiś znakomity Madziar, poprowadził go do ludnéj wsi, gdzie go znużonego i osłabionego zdradliwie schwytano i związano. Jeden ze starszyny wiejskiéj, niejaki Stefan Bojanowicz odwiózł go despocie do Smederewa. Brankowicz nierad był z takiego jeńca, który mu tylko kłopoty przynosił i jak najprędzéj opatrzywszy go wspaniale do Węgier odesłał. Później wiele miał za to od sułtana wymówek i nieprzyjemności, że Janka potępieńca przez swą ziemię przepuścił; i gdyby był Amurat w czas wiedział o pobycie jego w Smederewie, niezawodnieby pospieszył tam go obledz i schwytać.

Szlachta średnia i biedniejsza przyjęła w Szegedynie swego gubernatora z radością i przywiązaniem, magnaci tylko przez zawiść korzystając z jego nieszczęścia pochmurno i z wymówkami. Klęska Rigomezo ośmieliła ich, zaczęli mówić i pisać wszędzie, że kraj zanadto zaufał jego talen-

tom i odwadze, że drugi raz stracił najpiękniejszy kwiat młodzieży i prawie całe wojsko naprożno. Przed papieżem i władcami Zachodu wystawiali go jako człowieka dumnego, zarozumiałego i chciwego panowania. Głosy te znalazły echo u tych wszystkich zwłaszcza, którzy mieli sobie do wyrzucenia obojętność w wyprawie krzyżowéj. Mikołaj V papież w skutku tego przysłał posła z radą zaprzestania wojen zaczepnych, które tyle kosztują ludzi i pieniędzy, a natomiast zająć się urządzeniem i uspokojeniem wewnętrznem. Była to niejako nagana Huniada. Gubernator chcąc wzmocnić swoje stronnictwo i w części zabezpieczyć się od magnatów zazdroszczących mu wyniesienia i władzy, z Brankowiczem połączył się węzłami rodzinnemi, prosząc o jego wnuczkę a córkę księcia Cyllii w małżeństwo dla syna młodszego Macieja. Z palatynem Władysławem Garą i z wojewodą siedmiogrodzkim Mikołajem Ujlaki zawarł przymierze braterskie, potwierdzone przysięgą, że wspólnie będą się wspierać i działać razem na pożytek królestwa. W tym celu będą się starać o uspokojenie kraju, o odebranie Władysława Pogrobowca z rąk niemieckich; nie będą się ubiegać o urzędy i godności ze szkodą drugiego, zgoła będą sobie pomagać we wszystkich sprawach publicznych i prywatnych. 1450 roku zwołał sejm do Pesztu, wystawił swoje postępowanie i zapytał, czy przyjmują solidarną odpowiedzialność za wszystko co on zrobił; większość posłów znając jego przywiązanie i poświęcenie dla kraju, okrzykiem potwierdzenia odpowiedziała mu. Zaspokojony tém, nie wiedząc że tém bardziéj magnaci rozdrażnieni są przeciw niemu, zbiera wojska i wyrusza do północnych Węgier, gdzie ciągle jeszcze przesiadywał Iskra ze swemi czeskiemi i niemieckiemi oddziałami. Zbliżywszy się pod umocniony Łosoncz, głównego siedliska burzycieli, nie mając dosyć sił do oblegania, zwołuje do pomocy insurekcyą z okolicznych komitatów. W parę dni po przybyciu tejże, Huniada w nocy budzi wrzawa wojenna: zbiera swe hufce i ze zdumieniem widzi, że cała insurekcya, pod dowództwem magnatów będąca, bez jego wiedzy oddaliła się. Przed przeważającemi siłami czeskiemi, przymuszony jest odstąpić oblężenia. W drodze dowiaduje się od jednego przypadkiem rannego magnata, Mikołaja Bebeck z Pelsöcz, który przed śmiercią wyznał,

że cała ta sprawa była umówiona, że Iskra w skutku zawiadomienia zrobił wycieczkę w nocy. Powodowany jednak dumą i obowiązkiem, na własny koszt robi zaciągi i wzmocniwszy swe hufce, na nowo rozpoczyna wojnę. Miasta obwarowane, jak Saag, Rosnyo, Szepsi, Deunchen zdobywa z łatwością; Iskra z Brandis nie może się utrzymać w polu przed nim i cofa się ku granicom Morawii; odebrawszy znaczne posiłki z Czech, występuje nagle na równinę i okazuje gotowość do spotkania. Huniad rad z tego, że przecież stanowczą bitwę stoczy i raz zatargi uśmierzy, szykuje swoich, gdy nagle przylata kuryer, z rozkazem od sejmu zaprzestać wojny i podpisać umowę, jaką stany zawarły z nieprzyjacielem bez jego wiedzy. Zniechęcony, choć widział w tém intrygę nieprzychylnych sobie magnatów wydzierających mu sławę i korzyść spodziewanego zwycięztwa, musiał usłuchać i zgodzić się. Dowódca czeski za zaprzestanie wojny dostawał 10 tysięcy florenów złotych, i nie oddawał żadnéj fortecy.

Widząc ogólną niechęć ku sobie narodu, oślepionego oszczerstwami panów, poprzestał myśléć o nowéj wojnie z Turkami (1451), a dla zabezpieczenia granic zawarł z nimi na lat trzy rozejm. Fryderyk III opierał się ciągle z wydaniem Władysława: gdy Czechy, Morawia i Austrya podbudzone przez Huniada również tego zażądały, zwlókł jeszcze czas jakiś podróżą do Rzymu, gdzie pojechał się koronować wraz z wychowańcem. Dopiéro po powrocie, gdy wszyscy wojną zagrozili, a nawet oblegli go w Neustadt, 1452 roku zmuszony został zgodzić się i zawrzéć umowę, mocą któréj Pogrobowiec mający już lat 12 pod opieką wuja Ulrycha księcia Cylli będzie zaprowadzony do Wiednia, gdzie zgromadzeni posłowie wszystkich jego dziedzicznych krajów umówią się, gdzie ma daléj przebywać; jeńcy nawzajem będą wydani, fortece zaś w królestwie węgierskiém w zastawie za summy pożyczone Elżbiecie zatrzyma. 6 listopada zjechali się posłowie wszystkich państw Władysława, sami najznakomitsi dygnitarze. Z Węgier przyjechali: gubernator Denys arcybiskup esztergomski, czterech biskupów, palatyn Gara, wojewoda Ujlaki i posłowie miast królewskich. Sprawa z cesarzem ciągnęła się długo, ponieważ rościł ogromne pretensye za wychowanie

króla i za summy pożyczone. Po długich targach ze skąpym i chciwym cesarzem zgodzono się za wszystko razem 70,000 florenów złotych. Sprawa jednak załatwiona była na pozór, gdyż dopiéro przy wypłacie summy miał nastąpić zwrot miast i korony; a tyle Węgrzy nie byli w stanie zaraz wyliczyć. Niedługo potém, na początku stycznia 1453 roku Huniad złożył władzę gubernatora, którą piastował przez lat 6, w ręce króla. Cesarz i Ulrych ostatni od wojny 1445 roku, mimo pokrewieństwa, tajemny i najzaciętszy przeciwnik Huniada, wpływali na młodociany umysł króla, żeby nie powierzał daléj mu władzy, oczerniając najokropniéj i wszystko złe jemu przypisując: wystawiali nawet, że ze szkodą jego dąży do opanowania tronu. Król był wahający, jednak przekonany od przyjaciół Huniada, o fałszach, jakie na niego puszczono, przy uroczystém odbieraniu władzy, w nagrodę zasług mianował dziedzicznym hrabią Besztercze wraz z donacyą, potwierdził go w godności wojewody siedmiogrodzkiego, naczelnego dowódzcy armii i fortec, oraz zawiadowcą dochodów publicznych. Poczém Władysław udał się do Preszburga, gdzie złożył przysięgę królewską, a odebrał podobnąż od magnatów i zgromadzenia, ogłosił amnestyą zupełną za wszystkie winy popełnione od śmierci swego ojca, kazał wrócić dobra nieprawnie zabrane i zburzyć wszystkie nowe fortece. Potwierdził wszystkie działania Huniada podczas jego zarządu i powtórnie potwierdził dyplomem wszystkie urzędy, godności i majątki, jakie tylko posiadał.

Po śmierci Amurata w 1451 roku wstąpił na tron Mahomet II przebywający dotąd w Magnezyi; w pierwszych latach panowania ze wszystkiemi prawie monarchami był w pokoju, ale rozdrażniony przez cesarza greckiego, zebrał ogromną armią i z wielkiém przerażeniem dowiedziała się Europa o wzięciu krwawym szturmem Konstantynopola (1453). Raz zasmakowawszy w zdobyczach, ciągle już wojny zaborcze prowadził; sąsiednie państwa z trwogą oczekiwały, kiedy straszny wróg na granicach się pokaże. Węgry nie łudziły się także, że wkrótce przyjdzie im staczać śmiertelne z nim boje. Sejm na każdy wypadek postanowił znaczne podatki, kazał powiększyć zaciągi, przygotować się insurekcyi. Posłowie jeszcze się nie rozjechali,

kiedy Mahomet wybrał się na zdobycie Węgier i kazał być Brankowiczowi w 25 dniach gotowym do współdziałania. Despota przestraszony, poznawszy politykę stanowczą sułtana, że w każdym razie państwo zamienią w paszalik, a on dla spokoju i pewności straci głowę—zatrzymuje posłów, zbiera hufce i uzbraja fortece i błaga Węgrów o pomoc. Jeszcze termin nie upłynął, kiedy przednia straż turecka widząc przewrotność despoty, wpada gwałtownie, opanowywa Ostrawicę i podstępuje pod Smederewo. Huniad nie bacząc na dawne postępowanie Brankowicza, mając przed oczami wspólne niebezpieczeństwo, gdyż z upadkiem Serbii, granic węgierskich przyjdzie bronić, zbiera hufce i spieszy na pomoc. Wiedząc, że mury smederewskie wytrzymają długo jeszcze oblężenie, idzie brzegiem Dunaju w kraje bułgarskie i rabując i niszcząc siedziby Turków, zmusza ich do cofnięcia się i bronienia własnych siedlisk. Odwołany na chwilę do Kroacyi, gdzie znowu wpadł Ulrych, poleciał tam ze swemi hufcami bronić od chrześciańskiego wroga. Tymczasem główne siły z sułtanem przychodzą, powtórnie zajmują całą Serbią i oblegają stolicę despoty. Smederewo jednak dzięki grubym murom i rozpaczliwej obronie mieszkańców i załogi trzyma się dzielnie, i odpiera wszystkie wysilenia zdobywcy Stambułu. Mahomet znudzony długiém oblężeniem i zimną porą, opuszcza obóz, zostawiając dowództwo Ferecz bejowi. Huniad przepędziwszy księcia Cylli, wraca spiesznie na odsiecz despocie; przeprawia sie przez Sawę i z rozwiniętemi szeregami podchodzi pod Smederewo. Bej zobaczywszy sztandary znanego sobie dobrze Janka, nie czeka bitwy, ale zwinąwszy namioty, spiesznie się cofa w górę Morawy. Nie tak łatwo jest uciec jednak przed natarczywą pogonią: przyciśnięty do rzeki, zmuszony jest przyjąć bitwę. W kilku godzinach wojsko jego rozbite, sam dostaje się do niewoli. Wojewoda jeńców zostawia despocie, a sam z łupami w tryumfie wraca do Bielgradu. Przybywszy potém na chwilę do domu, pasował na rycerza jedenastoletniego syna swego Macieja, mówiąc: „W Imię Boga, Najświętszej Panny, świętego Stefana i świętego Władysława, wyświęcam cię na rycerza Węgier. Bądź dobry, prawy i odważny”.

Powaga i władza Huniada była jeszcze tak znakomita, że drażniła ciągle dumę panów, i nie pozwoliła im ani zapomnieć zazdrości, ani poprzestać intryg i oszczerstw. Przy królu, głównym ich poplecznikiem był Ulrych. Chociaż na chwilę na żądanie stanów austryackich był oddalony do swego księztwa, gdzie niespokojny jego charakter wywołał nowe poskromienie wojewody, potrafił później znowu się wkręcić i jeszcze bardziej podbudzał Władysława przeciw niemu. Za namową jego kazano Huniadowi przybyć do Wiednia dla wytłumaczenia się z zarzutów. Natychmiast wybrał się w podróż, przestrzeżony wczas jednak, że zasadzkę na jego życie zrobiono, zatrzymał się, tłumacząc, że król węgierski nie ma prawa go badać za granicami swego państwa. Tém chociaż wybawił się od sideł zastawionych, w oczach Władysława potwierdził wzbudzone podejrzenia, i rozdział i obojętność między niemi wzrosła jeszcze bardziej.

Zaborcze panowanie Mahometa II pobudziło znowu papieży Mikołaja a później Kaliksta do głoszenia wojny krzyżowéj i szukania zapory przeciwko jego potędze. Na państwa zachodnie lub cesarstwo niemieckie nie można było rachować: obojętność ich budziła się wtedy, gdy ogień dochodził do ich dachu, a świetne nawet obietnice kończyły się małoznaczącą pomocą. Prędzéj nawet z ludu przypiął kto krzyż, zagrzany słowami apostołów obrony wiary, jak samolubni i chciwi ich monarchowie. Potrzeba zmuszała szukać środków na miejscu zagrożoném. Dwóch było zawsze pogromców islamizmu: Huniad i Kastryota. Ostatni jednak tylko wśród niebotycznych skał Albanii z dzikiemi swemi góralami umiał zadawać straszne ciosy napastującym go paszom. Padyszach przerażony klęskami, zostawił go nawet w pokoju. Ale na równinę zejść on nie mógł; u siebie każdy mieszkaniec był doskonałym żołnierzem i za swoją rodzinę, mienie i wolność bił się szalenie; do stoczenia walki na polu potrzeba było regularnego wojska, a szczególniéj w ówczesnych czasach żelazem okrytéj jazdy. Dlatego mimo swéj sławy mógł tylko niepokoić ich z boku, ale nigdy nie porywać się na zadanie stanowczego ciosu. Zostawał więc tylko Huniad i Węgry, którzy mogli wystawić i poprowadzić do boju do 30,000

wybornego wojska. Dodawszy jeszcze trochę Serbów, Wołochów i krzyżowców z innych stron, mogłaby się przy zgodzie i zapale utworzyć potężna armia do walczenia z sułtanem z prawdopodobieństwem wygranéj. Dwór rzymski wysyła do spraw dyplomatycznych kardynała dyakona Saint Angeli, a do pobudzenia do udziału ludu, pobożnego i wymownego Franciszkana Jana Kapistrano (1). Przedewszystkiem trzeba było zaprowadzić zgodę między oburzonym wojewodą a rozgniewanym królem; pisał papież do rozmaitych panów i biskupów, mających wpływy o usunięcie nieporozumień. Denys arcybiskup esztergomski pojechał w tym celu do Władysława, wystawił w prawdziwém świetle jego czyny, umiarkowanie w użyciu władzy, wskazał źródła potwarzy i zaręczył za jego wierność. Król skłonił się do zgody. Huniad choć zrażony i podejrzliwy, na widok niebezpieczeństwa zapomniał o wszystkiém i poddał się przedstawionym warunkom. Otrzymuje naczelne dowództwo przeciw Ottomanom, administracyą budżetu rocznego przez sejm wyznaczonego, a zrzeka się zaś dowództwa fortec nie będących na granicy tureckiéj, i syna Macieja oddaje w zakład na wychowanie do dworu. Dla publicznego okazania harmonii, Władysław wydaje dyplom 28 kwietnia 1456 r. potwierdzający po raz drugi wszystkie tytuły i donacye wojewody, a w dwa tygodnie późniéj darowuje mu zamek Budisza wraz z włościami leżący w Rascii, ale na straconéj prawie pozycyi.

15 czerwca 1456 roku Mahomet II przybywa pod mury Bielgradu: armia jego liczy do 150,000, 200 dział i ogromne zapasy amunicyi i żywności. Do tego flotylla z małych statków przybywa z Widynu dla przecięcia zupełnie związku od Dunaju i Sawy. Rozpoczeto natychmiast roboty oblężnicze: sułtan postanowił w 15 dniach

(1) Jan Kapistrano urodzony w 1385 roku w Kapistrano w Abruzach, królestwie neapolitańskiém. Był z początku urzędnikiem sądowym; sprzykrzywszy sobie ten stan, wszedł później do zakonu świętego Franciszka. Odznaczył się wymową i gorliwością w czasie konsylium florenckiego, przy połączeniu się kościoła greckiego z rzymskim, i bohaterską odwagą przy obronie Bielgradu. Umarł w 1456 roku. Papież Aleksander VIII kanonizował go na świętego w 1690 r. Święto jego obchodzoném bywa 23 października.

koniecznie zdobyć miasto. Zdobywca Konstantynopola nie przypuszczał, żeby tutaj mogło go spotkać niepowodzenie. W Bielgradzie dowodził na czele nielicznéj załogi Michał Szilagyi szwagier wojewody; dawno spodziewając się napadu, ponaprawiał mury, rozszerzył rowy, przygotował prochy i magazyny. Na widok Turków zamknął bramy, rozstawił działa i ludzi, gońcem dał znać do Budy i postanowił czekając odsieczy bronić się do upadłego. Na tę wiadomość mimo postrachu ogólnego podwojono gorliwość i przyspieszono zebranie wojsk. Kapistrano z dwoma towarzyszami Janem Tagliacozzo i Mikołajem Fara, nie znając języków miejscowych, dawno już przebiegali Niemcy, Polskę i Węgry, głosząc bullę papieża wzywającą do obrony chrześciaństwa. Zapał ich i wymowa skłoniła kilkadziesiąt tysięcy ludu do przyjęcia krzyża i pospieszenia na pole walki. Najwięcéj liczono pomiędzy krzyżowcami wieśniaków, mieszczan, księży, żebraków i różnych awanturników, a prawie nic panów. W Węgrzech magnaci przez zawiść do wodza nie wspierali wyprawy. Huniad na swój koszt zebrał 10,000 jazdy, przyłącza je do nielicznych chorągwi królewskich, zwołuje insurrekcyą i naznacza na miejsce zborne Szegedyn. Nie wielkie jednak wydało to owoce: kilka tysięcy szlachty i trzech okolicznych panów, razem armia węgierska do 20,000 dochodzi. Czekano dni parę na Kapistrana i niedługo zobaczono ogromne tłumy różnobarwne do 60,000 dochodzące, pieszo, źle ubrane i gorzéj uzbrojone, piki, widły i kosy, stanowiło całą ich broń; ale ich siłę stanowił nieustraszony zapał i fanatyzm wiary. Dla wodzów wtedy i teraz massa taka nieuszykowana, nieuzbrojona, często samowolna, niewiele przedstawiała wartości: więcéj zjé, jak warta, mawiano; a jednakże zręcznie użyta stosownie do miejscowości, nienarażona na strzały i szarże, ale odrazu w ręczny bój wprowadzona, biła się wściekle i nieraz cudowne zwycięztwo odnosiła. Huniad jednak z początku jéj nie ufał i tylko potrzebą przyciśnięty do działania użył. Widząc, że nikt nie przybywa, a z taką liczbą trudno długo na jedném miejscu się wyżywić, wyruszono z Szegedynu i puszczono się prawym brze-

giem Cisy. Najpierwszą trudnością było dostać się do Bielgradu. Miasto leży na dolinie przy zbiegu dwóch rzek Sawy i Dunaju, zamek na górze, otoczone było ze wszystkich stron, tak, że wszelki związek był przerwany. Można było przeprawić się spokojnie powyżéj Sawy i dopiéro uderzyć na oblegających, ale Huniad nie ufał swoim siłom, i dla pewności przełożył dostać się niespodzianie do warowni i razem z załogą trzymać się odpornie. Wiedział, że Turcy nie lubią długich oblężeń i zwykle przed zimą w razie niepomyślnym cofali się. Zbiera więc szybko i tajemnie na Cisie i Dunaju ze 200 małych łodzi, wsiada z wyborową osadą i Franciszkanem i puszcza się śmiało z pędem wody, a reszta armii szła jednocześnie brzegiem. Turcy nie spodziewali się takiego napadu i ze zdumieniem gotowali się do obrony. Linia ich statków, mimo kotwic, odrazu rozerwała się pod naciskiem floty, pędzonéj bystrym nurtem rzeki: statki pomieszały się, brzegi zbliżone przytrzymano hakami i rozpoczęto krwawy ręczny bój. Huniad z szablą, Kapistrano krzyżem zachęcają swoich i wskakują na nieprzyjacielski pokład. Ottomani bronią się walecznie, przewaga jeszcze na żadną stronę się nie przechyla, gdy nagle z Bielgradu wypływa 40 łodzi, ukrytych dotychczas i uderzają na niewiernych z tyłu. Wzięci we dwa ognie, Turcy nie śmią się już opierać, wyrywają się tylko z śmiertelnych uścisków i uciekają z całym pędem wody i wysileniem wioseł, szukając zbawienia poniżéj Dunaju. Cztery galery zdobyto, trzy zatopiono i droga otwarta: to trofea dzisiejszego zwycięztwa.

Przybycie Huniada ożywiło załogę; pomnożone zastępy obrońców, odświeżone zapasy, wolna komunikacya z krajem, zrobiły nadzieje długiego oporu. Wzięto się teraz energicznie do naprawy murów, oczyszczenia i zgłębienia foss i małemi wycieczkami ciągle niepokojono nieprzyjacielskie przekopy. Mahomet widząc, że ani głodem, ani regularném oblężeniem miasta do poddania nie zmusi, a wiele czasu straci, każe podwajać ogień z dział i pierwszym wyłomem zamyśla krwawym szturmem sprawę zakończyć. Artylerya z ogromnych

armat złożona, zręcznie usłużona przez renegatów chrześciańskich, podwaja swe usiłowania. Nauczyli oni niewiernych, że dla prędszego zrobienia wyłomu ogień na pewne tylko punkta skierować i strzelać jedynie do podnóża murów. Skutek odpowiada ich nauce od gęstych ześrodkowanych strzałów, ściany się walą i gruzem zasypują rowy. Wyłom gotowy, janczary na znak sułtana z okrzykiem rzucają się naprzód. Uzbrojeni strzelbą i szablą, po wystrzale zarzucają niepotrzebną broń na plecy i korzystając z dymu i zamieszania, sroższy ręczny bój zawiązują. Pierwszego uderzenia nie wytrzymują Węgrzy, mimo rozpaczliwego męztwa są rozbici, zmieszani i przepędzeni za drugą linią obrony. Huniad zbiera swoich, szykuje, zachęca i prowadzi do drugiego ataku, chcąc koniecznie odebrać utracone miasto. Walka zawzięta rozpoczyna się na nowo i rozszerza się po ulicach i placach. Domy zapalone dodają krwawego blasku; ludzie mordują się na kupach gruzu i po stosach trupów. Franciszkanie do krzyża miecz przyłączyli i biją się na przodzie jak prości żołnierze. Wszystkie te wysilenia są jednak naprożne: nie można przełamać walecznych janczarów. Liczba ich rośnie co moment, i po okropnych ofiarach krzyżowcy zmuszeni powtórnie schronić się do zamku. Wojewoda z garstką wiernych towarzyszy trzymał się jeszcze w tłumie nieprzyjaciół, wałem z poległych się opasał i groźnie zaprzeczał zwycięztwa Ottomanom. Ale obecność jego tutaj nie jest potrzebną: wódz pamięta, że jego ramię choćby najdzielniejsze, same niewiele co zrobi; że chcąc zwycięztwo wydrzeć, potrzeba ożywić, uporządkować massy i z temi dopiéro sprawę popierać: głowa jego, nie ręka, jest im koniecznie potrzebna. Przerzyna się więc do zamku i tam się do nowéj walki sposobi. Turcy zachęceni pomyślnością, przystawiają drabiny i wdzierają się na mury, zatykają workami strzelnice zasłaniając się od strzałów, a szerokie turbany ochraniają im głowy od ukropu i rozpalonéj siarki rzuconéj z góry. W tych chwilach ostatecznych niebezpieczeństwa, Huniad i Kapistrano nie tracą głowy, zgromadzają rozproszone hufce, ożywiają upadłego ducha i zagrzewają do ostatniéj

walki. Kapistrano wystawia im śmierć pewną, haniebną, jeżeli Turków nie wyprą; pada na kolana i odmawia głośno namiętnie modlitwę, błagając Boga o pomoc i zaklina w końcu krzyżowców zginąć bohatérsko, albo zwyciężyć. Kolumna z kilku tysięcy złożona, rozpłomieniona, wściekła, wybiega. Wojewoda, Franciszkanie i Piotr braciszek z chorągwią Matki Boskiéj na czele, prowadzą ją, i jak lawina śnieżna spuszczają się z góry z niesłychanym impetem, uderzając na niewiernych. Ten zapęd szalony, ślepy, przewraca tłumy Osmanów: zacięta walka krótko trwa tym razem, bo chrześcianie nie zasłaniając swych piersi, same cięcia śmiertelne zadają, i w jednéj chwili niezwyciężone hufce janczarów wypierają z miasta. Liczne tłumy innych krzyżowców, co zrazu nie śmiały wystąpić, teraz wychodzą ze swego ukrycia i rzucają się dla pokrycia wstydu w największy war bitwy. Huniad zręcznie kieruje zapałem wojska, wszystkie punkta stracone odzyskał, wyłomy oczyścił. Chrześcianie uniesieni zwycięztwem, wychodzą za mury, i napadają na szańce i baterye. Mahomet w gniewie i złości widząc wyciętą swą najlepszą piechotę i tak niespodzianą klęskę, na czele jazdy rzuca się na giaurów, chcąc przynajmniéj działa ocalić. Ale strumień nie tak łatwo powstrzymać, ani szarży na porzniętéj przekopami ziemi wykonać. Sultan ranny w nogę pada, i unieslony jest przez swoich, kilku bejów koło niego ginie. Jazda nie mając miejsca do rozwinięcia, ani do pędu, cofa się, zostawiając armaty na zgubę. Krzyżowcy widząc wszystko w popłochu, zapragnęli zdobyć obóz turecki, w kosztowne rzeczy zwykle zaopatrzony, wysunęli się śmiało daléj naprzód, ale tutaj już zupełna równina: spahy napadli i zmusili waleczny lecz nieuszykowany tłum ze stratą do odwrotu. Dumny sułtan straciwszy do 24,000 zabitych w oblężeniu i szturmie, zabrawszy na stu wozach rannych, w nocy spiesznie się cofnął.

Po cofnięciu się Turków Huniad Władysławowi, a Kapistrano Kalikstowi III donieśli o szczegółach zwycięztwa, przypisując ją głównie nieograniczonéj łasce boskiéj. Obrona Bielgradu wyczerpała siły wojewody, ciągła walka, bezsenność, niepokój, zużyły go, i dostał

powolnéj, niszczącéj febry. Dla świeżego powietrza przeniesiono go do Zemlina, zmiana miejsca jednak, usilne staranie lekarzy, modlitwy tylu przyjaciół, nic nie pomogły; choroba co dzień się wzmagała, i wkrótce stracono nadzieję uratowania starego wodza. Kapistran, który go nie odstępował, gdy widział zbliżający się kres życia bohatéra, uwiadomił go o tém, ostrzegając, żeby urządził swe sprawy doczesne i przygotował się do życia wiecznego. Huniad przyjął to jak prawdziwy żołnierz, z rezygnacyą i spokojem. Nieraz on śmierci w oczy zaglądał, tyle krwi ottomańskiéj dla chwały Chrystusa wytoczył, czegożby miał teraz jéj się lękać. Przywołał swych synów, Władysława hrabiego Posony (1), co nie ustępował w dzielności ojcu, i tu świetnie przy jego boku walczył. i małego Macieja, co blask swego rodu miał przyodziać purpurą królewską; zalecił im poświęcać się zawsze dla kraju, dla chrześciaństwa, i kochać się nawzajem, poczém uściskał i pobłogosławił na ciernistą drogę życia. Wezwał potém towarzyszy broni, dziękował im za ich przywiązanie, wierność, zalecił zgodę i miłość kraju. Tymczasowym naczelnym wodzem, aż do rozkazu króla, mianował syna swego Władysława. Polecił im w opiekę żonę i swych stronników, uściskał ręce i pożegnał na zawsze. Teraz zajął się zbawieniem duszy, Kapistrano go wyspowiadał, rozgrzeszył, Sakramentu nie czuł się godnym przyjąć w swym domu, kazał się na noszach zanieść do kościoła, i tam otoczony wierną drużyną, modlącą się za kochanego wodza, przyjął Przenajświętszą Hostyą. Siły go opuściły zupełnie, czuł zbliżający się swój koniec i nie chciał już wracac do domu. Zaniesiono go do przyległéj kaplicy, położono na ziemi, zapalono w około świéce, czterech braci franciszkanów niedawnych wojaków, ponurym głosem zaśpiewało *De profundis*, Kapistrano czytał modlitwy za umierających: kilka chwil jeszcze, a duch bohatéra poleciał wysoko.

Radość Węgrów z oswobodzenia Bielgradu, przerwała wieść o śmierci Huniada. Cały kraj pokrył się żałobą, i długo opłakiwał stratę swego obrońcy. Władysław, choć

(1) Miał ten tytuł nadany od króla w 1453 roku. *Teleki.*

go nie lubił, uniesiony prądem opinii publicznéj, udawał żal po nim, i potwierdził synowi władzę, jaką mu ojciec oddał. Ciało Jana z Huniad, barona Szöreny, hrabiego Temeswaru, wojewody siedmiogrodzkiego, byłego gubernatora Węgier, naczelnego wodza, było przeniesione i pochowane uroczyście w *Dżilua Fehervar* (Albe-Julie) w Siedmiogrodzie. Obok niego położono berło, na znak, że choć tytułu nie posiadał, to posiadał władzę królewską.

Wzrostu był średniego, silnéj i zręcznéj postaci; twarz duża koścista, miała wyraz surowy i dumny. W życiu był skromny, umiarkowany, przywykły w ciągłych wyprawach do trudów i niewygód, nie umiał w pokoju zbytków i rozkoszy używać. Jedną rzecz lubił, i na co nie żałował: to świetne ubranie, broń kosztowną i dzielne konie. W tłumie magnatów, po najwspanialszym stroju, można go było rozpoznać; latający dołman podbity był sobolowém futrem i połyskującym haftem; pióro czaple w dyamentowéj oprawie powiewało nad kolpakiem; na arabskim rumaku czaprak lśnił się od złota; szabla i buława drogiemi kamieniami wysadzana.

Przepych w wystąpieniu był u Węgrów zabytkiem oryentalnego pochodzenia, i żaden ubiór nad ich, na tyle kosztowności nie pozwalał i tak pięknie nie wyglądał. Ożenił się bardzo młodo z zacną i piękną Elżbietą Szilagy, siostrą dowódcy Bielgradu; miał z nią dwóch synów: Władysława i Macieja; dla niéj był zawsze wiernym i przywiązanym małżonkiem.

Huniad całe życie poświęcił na usługi kraju, a głównie na obronę od rosnącéj szybko potęgi sułtanów. Za swoje czyny i waleczność dorobił się władzy i bogactw, ale pamiętał, że te dary królów, nietylko były wynagrodzeniem za dokonane dzieła, ale również zachęceniem i podaniem środków do dalszych. Dlatego w każdéj potrzebie, swoim kosztem wystawiał liczne poczty, a jak na prywatnego nawet ogromne. Pomagały mu do tego ogromne zdobycze, które po pomyślnéj wojnie zbierał, a w tych czasach były uważane za słuszne i prawe. Jako wódz posiadał rzadki dar zjednania, zaufania i miłości żołnierza; mimo karności, jaką się starał utrzymać, umiał słowem, gestem ożywić szeregi i do zwycięzkiéj szarży

poprowadzić. W XV wieku był to najdzielniejszy generał kawaleryi: zdawało mu się, że jezdcy wszystko stratują i przełamią; częste powodzenie dawało mu tę pewność i śmiałość w bitwach, i nigdy do otwartego boju piechoty nie używał. Stosownie do charakteru narodowego, prowadził zawsze zaczepne wojny, i dalekie i długie przedsiebrał wyprawy. Jak się raz wysunął naprzód, dla fałszywego wojskowego wstydu nie cofał się nigdy, i często drogo tę dumę przypłacił. Nie potrzebnie także używał taborów czeskich; w młodości, gdy z Zygmuntem robił wyprawy na Husytów, widział, jak trudno było je zdobywać, ale Husyci wojnę prowadzili głównie piechotą, i wozami musieli się zasłaniać od szarży w polu. Huniad zaś wojował jazdą, i dlatego mu one zawadzały i opóźniały marsze, a wrazie klęski nie oglądano się na nie, i zostawiano na pastwę nieprzyjacielowi. Był człowiekiem głębokiéj wiary, ze czcią i posłuszeństwem dla papieża, przebaczającym łatwo urazy. Śmiało można go nazwać rycerzem chrześciaństwa, bohatérem Węgier, gdyż umiał gromić niewiernych, zasłaniać swój kraj od niewoli islamu; którego imie długo zostało postrachem u wroga, a chlubą i ukochaném u swoich.

Źródła do dziejów Huniada.

Fessler. — Geschichte der Ungarn und ihrer Landsassen, t. 10. Lipsk. 1822 r.

Hammer.—Geschicte des Osmanischen Reichs, t. 10. Pest. 1833.

Charles-Luis-Chossin.—La Hongrie, Jean de Hunyad. Paris. 1859.

Palaułow.— Rumunskija hospodarstwa, Walochia i Moldawia. Petersburg 1859.

Segur.— Histoire du Bas Empire, t 2. Paris 1857.

Sękowski.— Collectanea z dziejopisów tureckich, t. 2. Warszawa 1824.

Pamiętniki Janczara Polaka. Warszawa 1828.

Wapowski — Dzieje korony Polskiéj i W. Ks. litewskiego, z przypisami Mikołaja Malinowskiego, t. 3. Wilno 1847.

Kromer.— O sprawach, dziejach i wszystkich innych potocznościach koronnych polskich, tłumaczenie Marcina Błażowskiego. Warszawa 1767.

Neigebauer.— Die Süd Slawen und deren Länder. Lipsk 1851.

Kallimach.— O królu Władysławie, czyli o klęsce warneńskiéj, tłumaczył Michał Gliszczyński. Warszawa 1854.

Moraczewski Jędrzéj.— Dzieje rzeczypospolitéj polskiéj, t. 4. Poznań 1851.

Grigorowicz.— O Serbii (po rusku). Kazań 1859.

Jan Thurocz.— Chronica Hungarorum.

Katona.— Historia critica regum Hungariae.

Bonfinio d'Ascoli.— Rerum Hungaricarum, decades tres.

Pray.— Historia regum Hungariae.

Schwandtner.— Scriptores rerum Hungaricarum veteres ac genuini.

Teleki Józef.— Hunyodiak Kora Maggororszagon.

Aeneasz Silviusz.— Epistola.

Engel.— Geschichte der Ungarn.

Długosz.— Historia Poloniae.

W Warszawie,
d. 31 grudnia 1859 roku.

KOBIETA.

STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Zygmunta Kaczkowskiego.

III.

WPROWADZENIE CHRZEŚCIAŃSKIÉJ RELIGII DO POLSKI.

Przyjęcie chrześciańskiéj religii stało się dla nas pod wielą, można śmiało powiedzieć, że pod wszystkiemi względami niezmiernie ważnym wypadkiem. Nie ulega wątpieniu, iż takie gruntowne przeobrażenie, jakiego uznanie Chrystusowéj nauki dokonywało zazwyczaj i jeszcze dziś dokonywa w społeczeństwach pogańskich, pociągało za sobą wszędzie skutki niezmiernie ważne: skutki te jednak nie miały nigdzie tak wielkiego, tak widomego, i że tak powiem, tak bardzo historycznego znaczenia, jak u nas. Dziwnym bowiem sposobem przyjęcie prawdziwéj wiary stało się zarazem naszego bytu politycznego kolébką. My, jako naród i jako państwo, w jedność społeczną spojone i w rodzinę europejskich narodów przyjęte, powstaliśmy z naszych siedzib moczarnych dopiéro z krzyżem w prawicy (1).

(1) Nikomu zapewne nie jest niewiadomém, iż Polanie czyli Polacy mieli już byt swój społeczny na parę wieków przed chrześciaństwa przyjęciem. W najnowszych czasach okazały się nawet naukowe wywody, posuwające tego bytu początek w czasy bardzo odległe. Ale gdyby go posunięto w czasy najodleglejsze, był to zawsze byt taki, którego nie mo-

Powtarzając tę znaną prawdę, nie można zapomnieć o tém, że ten byt polityczny nie urósł u nas równocześnie z przyjęciem wiary, która wedle słowiańskiego obrządku rozkrzewiła się u nas daleko wcześniéj; ale dopiéro wtedy, kiedy król z całym a przynajmniéj z większą częścią narodu uznał się synem katolickiego kościoła. Może być, że uznanie naszego politycznego bytu przez apostolską stolicę i rzymskiego cesarza, dwie najwyższe podówczas władze na ziemi, nie było w innym wypadku możebném, choć zresztą inni doczekali się tego uznania trwając w obrządku słowiańskim; jednakże prawda ta zawsze zostanie niezaprzeczoną, iż te dwa ważne zdarzenia zbiegły się z sobą tak jednocześnie, jak gdyby razem leżały były w urnie przeznaczeń, z któréj je wyrzuciła jedna ręka wszechmocna. My w całéj naszéj przeszłości żyjemy prawie tylko dla wiary, zowiemy ją naszą *matką i rodzicielką* (1), walczymy za nią mężnie i niezmordowanie, nazywamy się z chlubą jéj rycerzami, a kościół jest jakby naszą ojczyzną.

Z takim tedy wspaniałym darem doczesnym, jak byt polityczny przez całą Europę uznany, weszła do nas chrześciańska

żna nazwać bytem społecznym, tylko po prostu istnieniem. Gdzie niema pewnéj, choćby się zmieniającéj kolejno, ale w swym gruncie trwałéj więzi społecznéj, tam niema bytu, któryby można nazwać społecznym. A jakaż-to była ta więź społeczna naówczas? Były prawa, albo nie były: a zastępowały je obyczaje. Bywali władzcy, a czasem i tych nie było. Nietylko rządy, prawa i urządzenia, ale nawet główne podziały kraju, tak jak geograficzne granice, były podówczas niestałe. O gminowładztwie tych wieków wiele dziś mówią i piszą, ale czy dał nam kto choć jakiekolwiek o niem wyobrażenie? Są to wszystko sny tylko, tak jak sennem, nieuchwyconém, niestałém było ówczesne istnienie. A jak dalece niestałém, nieuchwyconém było ówczesne istnienie, najlepszy dowód w tém, iż nie potrzeba było ani jednego wieku na to, ażeby zaginęła jego tradycya. Jak głębokie korzenie żywota, tak długa potém zazwyczaj nić tradycyi. A tu tymczasem już za pierwszych następców Bolesława Chrobrego a zapewne już i za niego samego nie wiedziano, co się działo przed Mieczysławem. Gdyby było wiedziano, byliby kronikarze spisali a przynajmniéj z pewnością byłby zapisał Gallus, który spisywał wszystko, co mu *narrabant seniores*. Cóżkolwiekbądź, to rzeczą pewną, że przynajmniéj byt polityczny, przez Europę uznany, zaczął się dopiéro za Mieczysława I, a i on go zaczął dopiéro wtedy, kiedy przyjął chrzest i religią wedle łacińskiego obrządku.

(1) Nazwanie wiary „matką i rodzicielką“ znajdujemy w bardzo wielu starych pismach, w nabożnych pieśniach i książkach. W manifestach i innych pismach publicznych z czasów konfederacyi barskiéj najczęściéj się ono powtarza.

religia; a nie moglibyśmy byli tego daru utrzymać, a tém mniéj użyć go zaraz tak głośno, jak się to stało pod panowaniem Bolesława Chrobrego, gdyby taż sama religia nie była nas natchnęła duchem zupełnie innym i nie wywarła stanowczych wpływów na nasze usposobienia rodzinne, społeczne i polityczne.

Jakie te wpływy były pod wszystkiemi innemi względami, nie tutaj miejsce wyliczać; ale trzeba powiedzieć, iż były one dla kobiety tak ważne, że zmieniły zupełnie dotychczasowe jéj stanowisko tak w rodzinie, jak w społeczeństwie.

Dla tém dokładniejszego zrozumienia tych wpływów zbawiennych i nieocenionych, nie od rzeczy może będzie przypomnieć w krótkości, jakiemi się one okazały jeszcze przed wielą wiekami wprzódy w pogańskim Rzymie.

Los kobiety u Rzymian, choć to był naród najpotężniejszy, najoświeceńszy i bez wątpienia najsumienniejszy ze wszystkich narodów przedchrześciańskich, nie o wiele był lepszym, niż w Polsce, a pod niektóremi względami nawet i gorszym. Stary Rzymianin czcił tak samo w sposób zmysłowy dziewice, czynił je kapłankami i prorokiniami, jak nasz praojciec Polanin; ale też także tak samo jego niewiasta, nie mająca żadnéj statecznéj podstawy dla siebie w moralnie pojętém małżeństwie, żyła w lekceważeniu i poniewierce. Nie było wprawdzie jednoczesnego wielożeństwa u Rzymian, ale z przyczyny prawie całkiem dowolnych, bo na żądanie stron obydwóch nigdy nieodmawianych rozwodów, panowało wielożeństwo kolejne. Totéż rozwody były tam rzeczą codzienną. Bywali mężowie, którzy pojmowali po kilkanaście żon po kolei; bywały żony, które się rozwodziły po kilkanaście razy. Uczucie moralności w ogóle, a szczególnie uczucie czci i poszanowania dla kobiéty było w tym wielkim narodzie tak małém, że nawet jeden z najznakomitszych tego narodu mężów, tak wysoko ceniony mówca Cycero, porzucił jednę ze swoich żon tylko dlatego, ażeby się z taką ożenić, która mogła swoim majątkiem popłacić jego ogromne długi. Przy takim stanie powszechnego uczucia i powszechnéj opinii, kobiéta mogła mieć i miała w saméj istocie tylko o tyle jakieś znaczenie, o ile go jéj dawało jéj macierzyństwo, bardzo wysoko cenione przez Rzymian. Im większa była jéj płodność, tém więcéj ją szanowano; innego do szacunku powodu nie umiano wynaleźć. Małżonkę niepłodną, albo w czémbądź niedogodną, a choćby tylko zaczynającą z wdzięków młodości okwitać, wypędzał małżonek z domu, mówiąc do niéj bez zająknienia: „Za-

bieraj twoje manatki i wychodź" (1). Były tam wprawdzie jakieś poważniejsze o rodzinie pojęcia, niżeli u pogan innych: znano się na wartości familijnych tradycyj, umiano nawet w sposób rozumny i piękny określać przeznaczenie małżeństwa: ale wyobrażenia te, jako światełka błędne, czysto ziemskiéj natury i nie oświetlone żadnym promieniem z nieba, błąkały się tylko pomiędzy nie wielą wybranych, a ogół myślał inaczéj. Jakoż i najzacniejszy żenił się tylko dlatego, ażeby się prawowitych dochował dzieci: rozwodził się z lada kaprysu, a nawet przy żonie najlepszéj łamał wiarę małżeńską i nie kajał się najwyuzdańszéj swawoli, bo mu tego nie zabraniało ani jego pogańskie sumienie, ani żadna ustawa społeczna, ani opinia publiczna. Totéż takie tam były kobiéty. Porzucały swych mężów także z lada kaprysu, a nawet i z samego znudzenia, uczestniczyły w najohydniejszych bachanaliach i orgiach, a niektóre z nich, zajmujące nawet najwyższe stanowiska w hierarchii społecznéj, doprowadzały się do takiego stopnia bezwstydu i rozpasania, że imiona ich, jako straszliwe odgłosy piekła grasującego po ziemi, aż do naszych dochowały się czasów. Nie widzimy téż, krom plastycznego na malarstwo i rzeźbę, żadnego innego tych kobiét wpływu na literaturę i sztuki piękne, na obyczaje i narodową oświatę; a lubo zdarzają się czasem w swoim rodzaju dość wzniosłe i piękne postacie jakichś Lukrecyj albo Kornelij, jednak jak z jednéj strony nie wytrzymują one żadnego porównania z wzorami kobiét chrześciańskich, tak znowu z drugiéj są to przykłady tak rzadkie, że liczba kobiét, otoczonych uwielbieniem całego świata, tylko z trzech wieków następnych przesypuje z górą wszystkie cnotliwe kobiéty w całéj historyi starego Rzymu. Takie téż mieli o nich wyobrażenie ich własni bracia. Miano je za stworzenia bezrozumne, bezmyślne, pozbawione zdrowego rozsądku i zdrowego uczucia, żyjące tylko, nieokiełzaną swą wyobraźnią i krwią burzliwą, która je oddawała na pastwę wszystkim namiętnościom. Owoczesna kobiéta była to zresztą naturalna sprzymierzeńczyni szatana, któréj życia głównem znamieniem było kuszenie mężczyzny do złego. Niektórzy szli jeszcze daléj i odmawiali jéj nawet imienia człowieka, a zdanie: *mulieres homines non esse*, nie było wcale rzadkością. Najgenialniejsi nawet nie odbiegali od tego zdania: a kiedy Pliniusz nazywa ją poprostu zwierzęciem, tyle sławiony z rozumu L. A. Seneca jeszcze go o wiele

(1) Juvenalis. Satyr. VI.

przenosi, bo mówi: że kobieta jestto zwierzę dzikie, bezwstydne i niepohamowane w swych żądzach (1). Napisał może te dzikie słowa, sławny rozumem lecz także nie bardzo umiejący hamować swoich namiętności, syn pierworodny retora ze swego korsykańskiego wygnania, w które go wtrącily istotnie bezwstydnéj Messaliny kabały; ależ nie o wiele grzeczniéj wyrażają się wszyscy, a nawet ci, którzy celują subtelnością uczucia i zdolnością poetyckiego natchnienia. Cóżkolwiekbądź, kobieta starego Rzymu, w którym w ogóle wielką cześć oddawano przemocy, była jak najzupełniéj przemożoną przez silniejszego mężczyznę, a skutkiem tego, jak również skutkiem pojęć niedostatecznych i płytkich o wszystkich celach ziemskiego życia, stała się istotą tylko cielesną, odgrywała rolę tylko cielesną i jako stworzenie tak nizkie była oddana na poniewierkę i wzgardę.

W tak nędznym stanie zastała kobietę Chrystusowa nauka, a mając przed sobą wzniosły cel podnoszenia wszystkiego, co niesprawiedliwie zostało zniżoném, zaraz się jéj niedoli ujęła: i uczyniła to mądrość boska z gruntownością, tylko sobie saméj właściwą. Jak we wszystkich kierunkach, tak i tu także, nietylko jasną i niewątpliwą wytknęła drogę na przyszłość, ale zarazem sporządziła téj drodze dziwnie głębcką i niewzruszoną podstawę. Tym celem przed wszystkiem inném ów grzech pierworodny, którego brzemie tak przeważnie ciążyło na barkach kobiéty, został zmazany. Nieszczęsna postać Ewy, kuszącéj swojego męża do grzechu, usunęła się w głąb zachmurzoną, a na jéj miejsce wystąpiła prześliczna, niebieskiém światłem opromieniona postać Dziewicy z dziecięciem na ręku, porodzoném bez zmazy. Ten cud prawdziwy, ten utwór Boży a przytém arcydzieło poezyi tak wzniosłe, że najzłośliwsze dowcipy filozofów pogańskich nie potrafiły zaćmić jego blasków uroczych a najgenialniejsi poganie musieli przed niém ugiąć kolano (2), stało się czynem odkupienia kobiéty. Już ona odtąd nie jest stworzeniem

(1) L. A. Seneca. De constantia sapientis. C. XIV.

(2) Wiadomo jest, jak głębokim i jak wytrwałym poganinem był Goethe. *Der grosse Heide*, to jego zwykłe nazwisko. Nie mógł on znieść wszystkiego, co nam przyniosła katolicka religia. To téż się rzucał na postacie najświętsze i z tego względu napisał wiele plugastwa. Mimo to przecież dla postaci Najśw. Panny wielkie miał uwielbienie, zawsze się do tego przyznawał a nawet niejedną dziwnie piękną utworzył pieśń z tego nieprzebranego motywu.

wątpliwego znaczenia, nie jest wspólnicą szatana a kusicielką mężczyzny, ale jest niewątpliwie człowiekiem, jest nawet więcéj, bo najczystszą dziewicą, oblubienicą samego Boga, wspólnicą Ducha, matką człowieka i orędowniczką pomiędzy niebem a ziemią. Jéj lekka stopa stała się teraz tak silną, że mogła zdruzgotać głowę szatana-węża; jéj godność tak wysoką i świętą, że mogła wydać na świat Boga-człowieka; jéj serce takie czyste i wielkie i kochające, że mogła ku sobie obudzić, nie pogańsko-cielesną, ale duchową miłość całego świata. Jakże to wielka odmiana, jakże odmienna teraz jéj postać, jak wcale inna przyszłość dziś przed nią! Inne też odtąd jest wcale jéj stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, a wszystkie jéj prawa zostają obwarowane rozkazem Bożym.

Kamieniem węgielnym i jedyną podstawą, na któréj może się oprzeć bezpiecznie los i cała dola kobiéty, jest małżeństwo: to też chcąc to stanowisko ustalić i ten los ubezpieczyć, z szczególną troskliwością zajęła się Chrystusowa nauka określeniem natury i stanu małżeństwa. Jakoż wszystko, co w téj mierze postanowiła, jest pełne najgłębszéj mądrości i tak gruntowne, że najprzenikliwszy dowcip ludzki nie potrafił nic dodać do tego. Krótka ta zresztą nauka jest tak wszechstronna i przewidująca, że to, co służy ku wyswobodzeniu kobiéty z pod jarzma przemocy i odbudowaniu jéj praw przyrodzonych, staje się razem najwalniejszą podstawą rodziny, nierozerwaną społeczeństwa więzią, silną dla moralności warownią i niewyczerpaném źródłem szczęścia dla ludzi. A jak przytém to wszystko jest pojedyncze i proste! Cóż nam w téj mierze nakazuje chrześciańska religia? Oto od tego czasu wielożeństwo ustaje i nie może mieć miejsca pod żadną formą i pod żadnym warunkiem. Każdy mąż będzie miał jednę żonę a każda żona jednego męża. Żona porzuci ojca i matkę i pójdzie w dom swego męża, ażeby tam przyjąć jego stan i nazwisko i podzielić z nim jego łoże i strawę, jego prawa i pracę. Ona mu się odda w uległość i posłuszeństwo, a on się stanie za to jéj żywicielem i opiekunem. I będą połączeni ze sobą miłością, i staną się jakoby jedna dusza w dwóch ciałach. A tak żyć będą w miłości i równości pod jednem imieniem, pod jednym dachem, w jednych uciechach i smutkach; i nie opuszczą siebie do grobu, bo co Bóg związał, tego nikt nie rozwiąże (1). Takie to krótkie są słowa, ale temi

(1) Zaledwie tu potrzebuję wspominać, bo któż o tém nie wie, że kościół katolicki nie dopuszcza rozwodów. To, co my nazywamy rozwodem,

słowami został stworzony nowy świat dla kobiety, a w tym świecie ubezpieczona jéj ludzka godność, wysokie jéj stanowisko w rodzinie jako żony i matki, wzniosłe jéj wreszcie w społeczeństwie znaczenie, jako téj, która jest opiekunką i wychowawczynią przyszłych pokoleń.

Stary Rzym, nie można mu tego odmówić, miał dosyć silne przeczucie tego, iż potęga narodu zależy od jego więzi społecznéj, więź społeczna od stanu rodziny, a stan rodziny od stanowiska kobiéty. Dlatego starał się on o to usilnie, ażeby kobiéta nie była upośledzoną w swych prawach; ale szukając dla niéj zbawienia przy saméj ziemi a nie umiejąc po nią zasięgnąć wyżéj, nie był w stanie uczynić dla niéj więcéj, jak zrobić ją ile możności swobodną i wolną. Liczne téż w téj mierze powydawano tam ustawy, niezmiernie uwzględniające kobiétę a nawet tak dla niéj przychylne, iż jak pod wielą innemi, tak i pod tym względem żaden z pogańskich narodów nie dorównał Rzymianom. Tak np. miała ona tam prawo do posagu z rodzicielskiego majątku, co podobno pod owe czasy nigdzie miejsca nie miało. Posag ten był jéj nietykalną własnością nawet gdy za mąż poszła: nie mogła go ani przez rozrzutność mężowską, ani przez własną swą lekkomyślność utracić, nie mogła go nawet darować swemu mężowi. Były i inne prawa, już jéj swobodę, już niby jakieś znaczenie mające na celu, a koroną ich wolność opuszczenia męża prawie każdego czasu. Ale jakie to wszystko przyniosło skutki, widzieliśmy wyżéj. Nie mogło to nawet inaczéj być: bo wolność kobiéty, oparta na niewłaściwéj podstawie i rozprzestrzeniona w niewłaściwym zakresie, nie może jéj przynieść nic innego, jak tylko wzgardę i poniżenie. Widzieliśmy to w ostatnich wiekach starego Rzymu; widzieliśmy to samo w cza-

jest tylko unieważnieniem ślubu, uznaniem go za nie były. Separacya *a thoro et mensa*, która zresztą jeszcze mniéj jest rozwodem, jest tylko przez kościół cierpianą jako konieczne złe, lecz niema żadnego uprawnienia w Chrystusowéj nauce. Przyzwolenie na nią wyniknęło z konieczności i ma swe źródło w tolerancyi katolickiego kościoła, a jéj początek, jak mi się zdaje, odnosi się jeszcze do piérwszéj połowy V wieku. Do tego czasu bowiem, z powodu zanadto silnego oporu powszechności rzymskiéj, do częstych rozwodów przyzwyczajonéj, musiano jeszcze zezwalać na zupełne rozwody; dopiéro molewijskie koncylium, zebrane w roku 416, ograniczyło rozwody do tego stopnia, iż rozłączonym małżonkom nie wolno było ponownych zawierać związków. Była to tedy separacya, która z małemi zmianami trwa w katolickim świecie do dziś dnia.

sie rewolucyi francuzkiéj; widzimy jeszcze często i dzisiaj na tak zwanych emancypowanych kobietach, którym głośno i szumnie mija połowa życia: lecz za to drugą połowę spędzają zwykle zapomniane i upośledzone, często w ohydzie i nędzy a zawsze w szyderstwie i wzgardzie, doświadczanéj nawet od tychże samych, którzy dawniéj czołgając się do ich kolan wonne im przynosili kadzidła.

Inaczéj pojęła podstawę istnienia i zakres działania kobiéty Chrystusowa nauka, i w innym je duchu stworzyła. Mądrość Boża, widząc kobietę słabą i takiéj nieograniczonéj swobody ani potrzebującą, ani używać zdolną, oddała ją w posłuszeństwo mężowi; lecz odbierając jéj przez to cząstkę wolności, bez któréj wcale obejść się może, dała jéj za to dozgonną miłość i silne ramię mężczyzny, dwa wielkie dary, dwa skarby, bez których jéj istnienie jest niepodobném: czyniąc ją zaś wspólną i równą a dożywotnią uczestniczką dóbr swego męża, uczyniła ją daleko bogatszą: bo będąc pierwéj w najlepszym razie tylko właścicielką swego posagu, z którym mogła być wypędzoną na życie tułacze, stała się teraz panią całéj fortuny, którą posiada małżeństwo, i stała się nią do grobu.

Chrystusowa nauka oddając żonę w posłuszeństwo mężowi, nie pozwalając jéj niezawisłéj odgrywać roli na świecie, nie wyznaczając dla niéj miejsc honorowych po cyrkach i zbiegowiskach, nie dopuszczając jéj swego męża wedle woli porzucać, i w ogóle przywięzując ją niewolniczo do domowego ogniska, ścieśniła wprawdzie dawny jéj zakres działania a nawet zakres swobody: ale natomiast oddała jéj całe królestwo, dom i rodzinę, pod wielowładne rozkazy i w tém królestwie włożyła jéj brylantową koronę na głowę. Wielkie to rzeczy! Ale chrześciańska religia zrobiła dla kobiéty jeszcze daleko więcéj. Nadała ona małżeństwu, temu wyłącznemu królestwu kobiéty, wcale inne znaczenie. Za czasów pogańskich małżeństwo było tylko prostą umową: zeszło się dwoje ludzi, podali sobie ręce, oddali placek na żertwę bogom, i na tém koniec. Zamieszkali potém dom jeden i żyli wspólnie ze sobą; ale nie zaprzysięgli sobie żadnego innego wspólnictwa, pozostawiając sobie wyłączną własność dóbr swoich a razem wolność porzucenia się w chwili znudzenia. Chrystusowa nauka, zmieniając warunki małżeństwa, nietylko zmieniła jego naturę, ale czyniąc je sakramentem związała go z niebem a jednocześnie podniosła go do znaczenia, nieznanego żadnemu z pogańskich narodów. To bowiem, co u nich

było tylko wzajemną umową, zamieniło się tutaj w obopólną *ofiarę*. Chrześciańska dziewica przynosi swemu mężowi wszystko w ofierze, co najdroższego posiada na ziemi; poświęca mu się z duszą i ciałem i poświęca mu się do grobu: a on jéj również poświęca wszystko, co ma i mieć będzie, swoję młodość i siłę, swoje dobytki i pracę, swoję miłość i opiekę na całe życie. Ona go czyni wyłącznym panem swojéj całéj istoty, wszystkich dni swoich i godzin, a on jéj za to oddaje dom swój i czyni ją panią całéj domowéj zagrody. Wielka to jest ze stron obydwóch ofiara, największa, jaką można zrobić w tém życiu. Wzniosła to jest ofiara, bo mająca na celu dobro i szczęście ludzkości, a przytém święta, bo wiąże ją niebo błogosławieństwem swojém. Tak podnosząc małżeństwo do wysokości ofiary, podniosła Chrystusowa nauka zarazem i kobiétę do téj wysokości, a nauczając ją, iż może się także poświęcić, wskazała jéj drogę, po któréj, ominąwszy śluby małżeńskie, może się wznieść na te wyniosłe szczyty, na których człowiek czyni Bogu ze siebie samego ofiarę, które i dla niéj stały się odtąd dostępne, a których ani przeczucia nie miały wszystkie światy przedchrześciańskie.

Wcale też inną stała się teraz kobiéta.

Błyszczała ona szumnie natenczas, kiedy ubrana w szerokie zwoje tyryjskiéj purpury, w perły lidyjskie i złoto, zasiadała na wysokiéj trybunie cyrku, a woń syryjska spadała na nią w kropelkach i kwiaty się do nóg sypały: ale jakże brzydką była natenczas, kiedy w tym cyrku, z roziskrzonemi oczyma, z zapienionemi usty, konającemu gladyatorowi dawała znak, aby dla jéj uciechy umierał! jakże ohydną wtedy, kiedy z wieńcem pomiętych kwiatów na głowie, obnażona na-poły, pijana winem i żądzą, uczestniczyła w orgiach bachanckich! a jakże biedną natenczas, kiedy wypędzona przez męża, z małym węzełkiem swych szat niedodartych, szła w wiekuiste tułactwo!.....

Dziś, kiedy ją Pan Bóg ukochał, Duch Święty nawiedził, a Syn podniósł z poniewierki i wzgardy, nie pragnie ona wysokich trybun na zbiegowiskach, krwi swego bliźniego nie żąda, głośnéj publiki unika i jest pokorną jak dziécię a cichą jako woda stojąca. Ma ona także swe cyrki, swoje bachalie i orgie, swoje cierpienia: ale jakżeżto inne są rzeczy i jakże odmiennie w nich ona wygląda!

Oto najpierwéj widzimy ją u boku jéj męża, jak przytuliła swą piękną głowę do jego szerokiéj piersi a w jéj oczach błękitnych, jak gdyby lekką mgłą osłoniętych, całe niebo się mą-

rzy. Czy śni o Matce-Dziewicy z małém Dzieciątkiem na ręku; czy widzi oczyma duszy te męczennice, te święte, które w koloseum oddano lwom na pożarcie; czy na niebie jéj wyobraźni snują się tylko chmurki różowe i złote jak kwiaty rozsypane po łące: nie wiemy. Ale widzimy, że tak oparta o silną postać swojego męża, jest jako powój kwitnący, który się przypiął do czarnéj, krzewami zarosłéj skały, wspiął się cichutko do szczytu i ztamtąd zwiesił kwiatów niebieskich i listków zielonych tysiące. Jakaż cudowna to ręka, która tę czarną i twardą skałę obwinęła tak jasnym i miękkim powojem! Gdyby ten powój był téj skały nie znalazł i pozostał samotny, byłby był musiał pełzać jak płaz po ziemi, byłby dosięgnął ciernia albo kałuży i zgnił lub zeschł przed czasem. Gdyby ta skała była została sama, tak czarna, zimna, zarośnięta i porozpadana, byłaby straszném dziwem w naturze i każde oko uciekałoby od niéj. Tak razem oboje jakże uroczy, jak wdzięczny dają nam obraz! Słabiutki powój znalazł w tej skale silną dla siebie podporę, znalazł powietrze i słońce i życie, a pnąc się po jéj szczelinach w górę, wyniósł się na wysokość jéj szczytu: ponura łaska zyskała uśmiech i wdzięki i niestraciwszy nic ze swéj jędrności i siły, stała się serca i oka ludzkiego przybytkiem. W takiéj miłości i zgodzie, w takiéj harmonii świateł i cieni, stać oni będą na bożém słońcu tak długo, aż skała mchami zarośnie, skruszy się, w proch się rozsypie i zamieni w mogiłę; i powój zeschnie na-poły, coraz mniéj będzie kwiecistym, coraz ciemniéj zielonym, zczernieje wreszcie, ale i w téj żałobie szczątków swéj skały nie rzuci a ostatni kwiat jego zakwitnie na szczycie mogiły.....

Daléj widzimy ją w obrębie jéj domowego królestwa. W całém obejściu, we wszystkich najodleglejszych kącikach, w świetlicy i w komorze, w ogrodzie i w sadzie, widać gospodarną jéj rękę, czucie jéj serca, wdzięk jéj umysłu, ład jéj rozsądku: bo ona jest słońcem, która to całe królęstwo oświeca, ożywia, ogrzewa. Kto ukochane dziateczki otrzymał w darze od Boga, kto je wykarmił, wypieścił, wyżywił; kto je nauczył pacierza, ojczystego języka, miłości bliźnich, uprzejmości, skromności; kto w nich rozbudził litość i miłosierdzie, wpoił szlachetność i poświęcenie i roztlił pierwszą iskierkę miłości ojczyzny: to ona. Kto stroskanego męża rozchmurzył czoło, kto jego bole ukoił, rozpacz przytłumił, do modlitwy nakłonił i obrazek

Chrystusa Pana nad jego łóżkiem zawiesił: to ona. Kto swawolną czeladkę miłościwą powagą wziął w kluby, przyzwyczaił do pracy, od grzechów strzeże i wpaja w nią bojaźń Boga a posłuszeństwo dla starszych: to ona. Kto domek rodzinny rozszerzył, upiększył, ozdobił kwiatami, pozasiewał grządeczki, drzewka w ogrodzie zasadził, pszczółki zgromadził; kto ponapełniał dostatkiem komory i skrzynie, kto ciągle zbiera, porządkuje, gromadzi, teraźniejszości panuje, o przyszłości pamięta: to ona, to wszystko ona! Bo mąż tylko zyskuje i traci, a ona wszystko gromadzi, bogaci, i dzierżąc klucz, berło swoje, przy sobie, na warowne zamki zamyka. Jéj też to ręka, jak róg Amalthei, hojnością darów rozkwita, a darów tych hojność niewyczerpana, bo nad nią unosi się duch Boży, który w jéj rękach wszystko podwaja, napełnia i mnoży. Ją miłość dzieci, ją wdzięczność żywionych sierotek, ją cześć otacza czeladki, bo ona jest ich aniołem-stróżem; a kiedy się po swym domu przechadza, kłosy się przed nią kłaniają, kwiaty się do nóg jéj ścielą, drzewa jéj pokłon oddają, bo mąż gdzieś daleko sławę lub szczęście zdobywa, a ona jest tutaj królową. I oto jest cyrk jéj, jéj własny—wyniosła, zaszczytna, przez chrześciaństwo dopiéro wzniesiona dla niéj trybuna.

Widzimy ją potém jeszcze w wznioślejszéj postaci. Oto dziś przyszedł Dzień Zaduszny, pokutny, a na tym dniu postanowiła ona sutą wyprawić biesiadę. I zbiegło się przed jéj dom gości sowito, a wszystko to dawni goście jéj oblubieńca i mistrza, Chrystusa Pana: ubodzy i chorzy, odarci i ranni, łazarze. Ten połamany boleścią przywlókł się na kulach; drugiego przyniesiono na noszach; trzeciego ociemniałego przywiodło wynędzniałe pachołę; kobiéta zżółkła w chorobie otoczona gromadką zgłodniałych dziatek; dziewczyna głucha i niema; przygarbiona staruszka stuletnia. I wyszła ku nim chrześciańska małżonka, za nią niesiono żywność i leki, a lud ubogi witał ją wzniesionemi rękami i modlitwami, jak świętą. Zstąpiła ze swego tronu królowa i poniżyła się ciałem, ażeby się duchem jeszcze tém wyżéj wyniosła. I oto dzieli własnemi rękami pomiędzy głodne chléb, owoce i ryby, nagie odziewa szatami, chorym udziela leków. Chleba i leków nie brakło, ale szat jéj zabrakło: a wtedy zrzuciła ze siebie rańtuch dzierzgany i okryła odartą staruszkę; oddarła płat ze swéj szaty i okryła ranę kaleki. I oto stoi ta nowoczesna bachantka wpólnaga: ale się obna-

żyła dlatego, ażeby pookrywać ubogie; pijana żądzą, lecz żądzą nakarmienia zgłodniałych; a nie z kwiatami zmiętemi ale z promieniem niebieskim około głowy, i nie wśród sprośnych okrzyków, ale wśród szmeru zbożnéj modlitwy, którą lud Boży posyła za nią do nieba. Otóż jéj orgie i bachanalie!

I przyszły na nią z kolei cierpienia, wielkie cierpienia. Oto jéj mąż, stając odważnie w obronie spraw narodowych, sprawiedliwości i prawdy, padł pod włóczniami rozhukanego żołdactwa. Przyniesiono jego śmiertelne zwłoki do domu, a płacz i lament rozgłośny powitał je w progu. Owdowiała królowa rzuciła się w bolu na ziemię, wijąc się w prochu przed Bogiem, ażeby jéj dał siłę do zniesienia takiego ciosu. Nie powinna ona już teraz umierać na grobie męża, bo w domu pozostała chrześciańska rodzina, którym Bóg zabezpieczył po śmierci męża macierzyńską opiekę. I udzielił jéj Stwórca cząstki wszechmocnéj siły, i wstała, i z zakrzepłemi łzami na twarzy, lecz z mocą duszy, jakiéj użyczyć może tylko chrześciańska religia, odprowadziła zwłoki swojego męża na miejsce wiekuistego spoczynku. I powróciła do domu, z którego ją nawet po śmierci męża nikt nie może wypędzić, bo skutkiem obudzonego ludzkiego uczucia, skutkiem chrześciańskiego poszanowania dla matki, ma ona tam zapewnione królowanie do śmierci. Powychodziły już za mąż jéj córki, podorastali synowie, podzielili się nawet już ojcowską fortuną; ale przez cześć świątobliwą dla matki, przez miłość dla niéj, którą Chrystus Pan wskrzesił w piersi człowieka i uczynił duchem ożywczym rodziny, dom ten, w którym spędziła swe życie, pozostaje jéj pomieszkaniem do śmierci, a najpiękniejsze w nim miejsce, najmilsze dla niéj, to, które ona sobie sama wybrała, jéj nietykalną własnością. Tak kończy ona swe życie, schylona smutkiem, przygarbiona żałobą, ale wspaniała powagą wieku, majestatyczną mądrością, któréj Bóg jéj użycza przed grobem, a którą w chrześciańskiéj pokolenia czci jakby świętość w liczne już pokolenia rozrosła a związkiem krwi silnie ze sobą złączona rodzina.

Do tego stopnia znaczenia, powagi i wyniosłości wywyższyła kobietę chrześciańska religia, a wysokie to stanowisko w rodzinie i społeczeństwie przez niewyczerpaną swą mądrość uczyniła tak równo dostępném dla wszystkich, iż osięgają go tak samo królowe, jak kobiety z warstw najuboższych: a nie osięgają te tylko, które wiedzione umysłem i sercem pogań-

skiém, odwróciły się od przeczystéj Matki-Dziewicy a poszedłszy w trop Ewy, sprzymierzeńczyni szatana, za marne błyskotki świata, za blichtry ziemskie i doczesne rozkosze, oddały się dobrowolnie w poniżenie i wzgardę.

Wszakże chrześciańską kobiétę widzimy często jeszcze daleko wyżéj, czasem nawet na takich wyniosłych wyżynach ducha, że ledwie ją oko nasze dosięgnie. Któż bowiem doścignie ją swoim ziemskim umysłem wtedy, kiedy wzgardziwszy wszelkiemi ziemskiemi rozkoszami dla siebie i powiedziawszy sobie za przewodem Boga-człowieka: że jéj szczęście i życie nie z tego jest świata, już tu za życia zabiła swe ciało i sprowadziła niebo na ziemię? Któż ją opisze natenczas, kiedy ubrana w białą szatę, znak niewinności, purpurową przepaskę, znak krwi, którą niebawem za wiarę wyleje, z oczyma podniesionemi ku niebu, z rękami wyciągniętemi przed siebie, postępuje naprzód w arenie cyrku, śród wyjących oklasków barbarzyńskiego ludu, naprzeciw dzikim zwierzętom lub gladyatorom? Kto otworzy święte postacie Paulii i Eustachii, Waleryi i Felicyty, Zofii albo Pulcheryi? Nie: żadne nię obdarzone łaską najwyższą pióro się na te obrazy nie zerwie, bo na samo wspomnienie tych postaci nadziemskich dreszcz świątobliwa przenika umysł nawet najśmielszy i rzuca go w pokorze na ziemię.

Takie to łaski wysokie, dobrodziejstwa tak hojne, dary takie nadziemskie, rozlała na kobiétę chrześciańska religia.

I możeż się znaleźć kobieta, któraby całą siłą swojego serca i duszy nie objęła téj świętéj nauki, przynoszącéj dla niéj zbawienie? Możeż się zdarzyć kobiéta niereligijna i niepobożna? Możeż się wreszcie zdarzyć umysł taki przewrotny, któryby jéj poradził porzucić tę świętą wiarę, która ją wybawiła ze zwierzęcéj niewoli, podniosła z poniżenia i wzgardy, a wrócić do uwielbienia natury i utworzenia nowożytnego pogaństwa?

A przecież się to śni głowom nawet genialnym, wytwarzającym nowe pojęcia miłości, małżeństwa, rodziny, albo tracącym swoje zdolności i pracę w służbie szatana nad teoryami emancypacyi.

Nie tutaj miejsce jest opowiadać, jakie były dalsze skutki wyzwolenia kobiéty przez chrześciańską religią. Również nie będę się nad tem rozwodził, że skutki te nawet i w starym Rzy-

mie, nad sklepieniami katakumb, owéj kolebki od Boga zesłanéj wiary, nie zostały odniesione odrazu. Kilka wieków trzeba było na to, wiele krwi ofiarniczéj, wiele męczeńskich śmierci, zanim krzyż Zbawiciela w pogańską ziemię wetknięty, rozbujał w drzewo bogate i tyle przyniósł owoców, że mógł niemi wszystkich pożywić. Jeszcze do dziś dnia nie rozrosły się tak szeroko jego korzenie, ażeby całą objęły ziemię i wypleniły wszystkie chwasty pogaństwa. Jego nieskończona przyszłość w wieczności, na przekor tym, którym się zdaje, że się już zestarzało, ma jeszcze wieki młodości przed sobą na ziemi.... Ale to trzeba powiedzieć, że jakie skutki przyniosła dla kobiéty chrześciańska religia w pogańskim Rzymie, takie same sprawiła także w pogańskiéj Polsce. I tak jak w Rzymie, jak u wszystkich innych narodów, nie zaraz się okazały te skutki w całéj swojéj świetności a przynajmniéj nie zaraz rozprzestrzeniły się po całym narodzie; tak również w Polsce wielkie to dzieło dokonywało się bardzo pomału.

Wprowadzenie chrześciaństwa do Polski nie jest jeszcze dotychczas we wszystkich swoich szczegółach wyjaśnioném dostatnio. Zapisane przez Mateusza (1), a potém szeroko rozpowszechnione podanie, jakoby Mieczysław I za namową czeskiéj księżniczki Dobrówki i sam się ochrzcił i „cały naród" do przyjęcia chrześciańskiéj religii zniewolił, nie utrzymało się w obec badań późniejszych. Prawdopodobnie znaliśmy już chrześciańską naukę o wiele wcześniéj przed Mieczysławem. Są wieści, jakoby Ziemowit już był chrześcianinem. Są nawet domysły bardzo prawdopodobne, że sam Mieczysław I pomimo swoich żon siedmiu, które utrzymywał aż do pojęcia Dobrówki i pomimo kronikarskich wieści o chrzcie jego późniejszym, już był chrześcianinem wedle słowiańskiego obrządku. Domysły te, które zresztą coraz to więcéj zyskują zwolenników, okazują się jeszcze bardziéj podobnemi do prawdy natenczas, jeżeli słuszny wzgląd zwrócimy na to, że kiedy kronikarskie podania głoszą nas jeszcze na wskróś poganami, prawie wszystkie otaczające nas plemiona dawno już znają naukę Chrystusa. Idea tak wzniosła, szerząca się z szybkością pożaru, ogarniająca

(1) *Dobrówkam matrimonio copulat etc.* Mathaeus, II, 9. p. 640, 641.

fanatyzmem umysły i serca, nie mogła przynajmniéj ubocznemi drogami nie wciskać się do nas, kiedy już ogarnęła wszystkich dokoła. Mamy nawet na to dowody, chociaż tylko częściowe, ale niezaprzeczone. Tak wiemy pewnie, że już przed ochrzczeniem się Mieczysława za namową Dobrówki (958) był biskup Jordan w Poznaniu, a Poznań było to jędrnie polskie miasto natenczas i należało już wtedy do magdeburskiego biskupstwa (1). Wiemy daléj, że kiedy Cyryll i Metodyusz nawracali Morawią, znajdował się w Polsce osobno do niéj wyprawiony apostoł, któremu Wiznog było na imię (2). Wiemy nareszcie, że w owych czasach jużto z powodu wojen, już prześladowań, wielu chrześcian się chroniło do Polski, a nie czytamy nigdzie i nie możemy dopuścić po znanéj nam łagodności charakteru wszystkich w ogóle Słowian, ażeby Polanie tak zresztą gościnni i także w jednego Boga wierzący, wypędzali od siebie albo prześladowali tych gości. Owszem, przyjmowali ich chętnie i słuchali pilnie opowiadanéj przez nich o nowéj wierze nauki: a tak się szerzyła pomału, jeżeli nie sama chrześciańska religia w swéj zupełności, to przynajmniéj jéj główne zasady, przyjęte przez nią pojęcia i wyobrażenia. Jakoż można to przyjąć prawie z pewnością, że jak w późniejszych czasach, kiedy już chrześciaństwo się rozkrzewiło zupełnie, nie mało jeszcze znajdowało się pogan w kątach odległych; jak jeszcze za Miechowity a nawet i za Bielskiego znajdowały się w Polsce żywe ślady czci bałwochwalczéj: tak również przed urzędowém wprowadzeniem chrześciaństwa przez Mieczysława, było już u nas chrześcian nie mało, to chrzczonych wedle słowiańskiego obrządku, to nie ochrzczonych jeszcze a naukę tę wyznawających, to nareszcie przynajmniéj od pogaństwa odpadłych, a do przyjęcia nowéj wiary przygotowanych. Prawda ta okaże się nam jeszcze tém więcéj niezaprzeczoną, jeżeli sobie zechcemy przypomnieć zkądinąd, iż każda wiara nie szerzy się z początku, jako religia, która obowiązuje, wiąże, *religat*; tylko, jako idea, jako nauka, zasada, szkoła wierzenia, myślenia i rozumowania; a dopiéro potém po jéj zupełném pojęciu, po zrozumieniu, po przyznaniu się do niéj, szerzą się przywiązujące do niéj obrządki. Tak się to działo jeszcze za życia Chrystusa Pana, tak w starym

(1) Thietmar. II, 14.
(2) Lelewel podł. Strzedowskiego *Moravia sacra* II. 8, p. 231.

Rzymie, tak we wszystkich narodach innych, tak nareszcie i w Polsce, z tą tylko różnicą, iż tam, gdzie tę nową wiarę prześladowano, nowowiercy wiązali się ściśléj ze sobą, sprzysięgali się wiązać się symbolami czyli obrządkami i przez to wiara wkorzeniała się głębiéj, a pociągająca ku sobie jeszcze urokiem męczeństwa, szerzyła się prędzéj: tu zaś, gdzie jéj nikt nie bronił przystępu, szerzyła się zwolna i długo tylko jako idea, którą jeden przyjął w całości, drugi w połowie, a trzeci wyrozumiawszy, do dalszego zostawił namysłu. Szerzyła się jednak nie leniwo i już przed Mieczysławem musiała być bardzo upowszechnioną, kiedy ten król postanowiwszy się ochrzcić, znalazł tak znaczną liczbę naśladowców w narodzie, iż ztąd urosło podanie, że się cały naród z nim ochrzcił.

Ale kto najgoręcéj téj nowéj wiary się chwycił, kto się najdzielniéj przyczynił do jéj rozkrzewienia, to były niezawodnie kobiéty. Nie mamy na to dowodów z czasów przed-Mieczysławowskich, bo ztamtąd na nic nie mamy dowodów; ale sam rozmysł, choćby i powierzchowny, zastąpi tym razem najdobitniejsze dowody. Widzieliśmy los i dolę kobiety czasu pogaństwa: widzieliśmy, co jéj przyniosła chrześciańska religia: czyż nie musiała się ona całém sercem rozkochać w takiéj nauce, która ją wyzwalała z pod jarzma, choćby tylko niewoli i wielożeństwa? A przecież przynosiła jéj ona jeszcze daleko więcéj, o czém z artykułami wiary stugłośne dochodziły ją wieści. Te wieści chwytała ona z ciekawością więźnia, któremu oddźwierny prawi o blizkim dniu jego wolności; jak jest łatwowierna z natury, uwierzyła w nie pewnie bez najmniejszego oporu; bujna jéj wyobraźnia jeszcze je o wiele rozszerzyła i przyozdobiła, a wrodzona jéj gadatliwość roznosiła je tak szeroko, jak tylko mogła dosięgnąć. Wszakże daleko większą rolę, niż te naturalne przymioty, odgrywało zapewne w téj sprawie jéj serce. Przywiązywała się ona do téj cudownéj nauki z gorącą a zwykłą sobie miłością, pragnęła niecierpliwie i wrząco przyjścia téj upragnionéj przez siebie wiary i może jeszcze poganką, jeszcze w haremie swego wielożennego męża, modliła się do Boga chrześciańskiego, ażeby czémprędzéj zstąpił na te niwy moczarne i uczynił ją żoną i matką i panią wyłączną rodziny, tak, jak się to działo u chrześcian.

Kobiéty wszędzie daleko goręcéj imały się Chrystusowéj nauki, niżeli mężczyzni i wszędzie wysokie około jéj rozprze-

strzenienia położyły zasługi. Nie policzone są, jak wiadomo, imiona męczennic z pierwszych wieków chrześciańskiego Rzymu. Listy Ojców kościoła w wielkiéj liczbie pisane do kobiét, świadczą bardzo wymownie, jak wiele z nich oddawało się mozolnym naukom Pisma Swiętego, cudzoziemskich języków a nawet filozofów dawniejszych, ażeby mogły dokładnie zrozumieć rozmaicie podówczas wykładaną naukę Chrystusa i rozszerzać ją między niewierne. I wiele z nich wyrównało apostolską zasługą mężczyznom, Ojcom kościoła i świętym. Niektóre z nich błyszczą do dziś dnia, jako nieporównane przykłady dla apostołów i missyonarzy. A kto w starym Rzymie najpilniéj uczęszczał na nabożeństwa, za które czekała śmierć lub więzienie; kto najgorliwiéj strzegł ołtarzy i grobów; kto przechowywał w swych domach wysłanników i apostołów; kto z najprawdziwszém pojęciem ofiary pielęgnował rannych i chorych; kto się dorabiał czci tak powszechnéj, że nawet najdziksi żołdacy musieli ją wyznawać i okazywać: to były wszystko kobiéty. Kiedy barbarzyńcy zalali Rzym i swoim ciężarem przygnietli, tak rozpadające się twierdze państwa, jak świeżo co zbudowane chrześciańskiéj religii przybytki, przez kogóż to nowa wiara wciska się w ich szeregi? Oto przez ich własne żony i córki. Nowo pobudowane klasztory napełniają się dziewicami Anglo-Sasów i Franków, które z gorliwością godną podziwu oddają się nauce Pisma Świętego i szerzą je między niewierne, a Ojcowie kościoła pisując do nich nauczające listy, opiekują się niemi tak samo, jak ich poprzednicy świętemi męczennicami, oddawanemi na śmierć lub katusze. Niewieście klasztory stały się najgłówniejszym przybytkiem wiary, szerzącéj się w ciemnych lasach Germanii: i można to śmiało powiedzieć, iż mało jest w Europie narodów, któreby nawrócenia swego nie miały do zawdzięczenia kobiétom. Pracowały one z zapałem, nieznanym męzkiemu plemieniu, nad rozkrzewieniem Chrystusowéj nauki, a przykład nauczający podporę i pomoc znajdowały zawsze w swych siostrach wyniosłych, ozdobionych koroną. Tak winna Francya zaprowadzenie chrześciaństwa u siebie Klotyldzie, małżonce Klodoweusza; za jéj przykładem poszły Teodolinda, małżonka Agilulfa i żona Ingolda św. Hermenegilda, a Berta przyczyniła się wielce do rozszerzenia téj wiary w Anglii. Bulgarowie przyjęli Chrystusową naukę za przewodem kobiety; Gizella siostra cesarza Henryka II uczyniła to samo dla Węgrów;

Włodzimierz ruski zawdzięcza chrześciaństwo swéj żonie a siostrze cesarzów Bazylego i Konstantyna; a czeska księżniczka Dobrówka kładzie za warunek ślubu Mieczysławowi chrześciaństwa przyjęcie, przybywa do Polski na czele licznego duchownego orszaku (1) i łamie posty po kilka razy (2), ażeby swojego męża przy wierze świętéj utrzymać i za jego przykładem naród do wiary nawrócić.

Zdarzenie to stało się przedmiotem niezwyczajnego podziwu po całéj Polsce. Pierwszy to raz od czasu bajecznéj Wandy, kobiéta zajęła miejsce takie wyniosłe, a zarazem tak pełne rzeczywistego znaczenia, pełne stanowczych wpływów i władzy. Odmówiła panującego książęcia od wielożeństwa, odszczepiła go na zawsze od wiary wyznawanéj dotychczas, zniewoliła do przyjęcia swojéj religii i zasiadła z nim wespół na tronie, ażeby wyłącznie z nim dzielić koronę i berło. Co więcéj! zdobyła sobie jednocześnie nową krainę, krainę serca, uczucia, wiary, w któréj poczęła panować wyłącznie i samowładnie. Jéj mąż Mieczysław, który ją sam do łamania postów nakłaniał, który wedle wyraźnego świadectwa za te złamane posty musiał sowite czynić na korzyść żoninéj władzy ustępstwa (3), pewnie się sam apostolstwem nie trudnił, pewnie się do téj wielkiéj duchowéj sprawy nie mieszał, zostawiając jéj ster samowładny w ręku swéj żony. Ona téż to najgłówniéj z pomocą licznego a ze sobą przywiezionego orszaku kleryków i księży nawróciła społeczeństwo pogańskie do wiary, udzielając świętego chrztu, krusząc bałwochwalcze posągi i znosząc barbarzyńskie zwyczaje. Tak wystąpiła w Polsce po raz piérwszy kobiéta w niewidzianéj dotychczas, wzniosłéj, wspaniałéj i z każdego względu majestatycznéj postaci. Sprawiło to na umyśle kobiét głębokie, przejmujące wrażenie. Upośledzone dotychczas, sponiewierane, wzgardzone, obaczyły one teraz przed sobą cały świat nowy, ujrzały przyszłość tak wspaniałą i świetną, o jakiéj dotąd ledwie marzyły. Znały już główne zasady téj nowéj wiary, lecz nie myślały nigdy, ażeby ona była zarazem tak

(1) *Cum magno secularis et ecclesiastice religionis apparatu.* Gallus. c. V. p. 32.

(2) *Namque in quadragesima* etc. Thietmar. Nota Bandt. tamże p. 33.

(3) *Haec sponte sua fecit ad tempus male, ut postea diu operari valuisset bene, etc.* Thietmar. IV. 35.

pewną drogą, wiodącą do wyjarzmienia ich z dotychczasowéj niewoli i zapewnienia im tak świetnéj przyszłości. Teraz to na własne oczy ujrzały—i ujrzały wysoko, na wyniosłościach tronu w promieniach majestatu ziemskiego. Chwyciły się téż téj nowéj drogi z całą siłą swéj wrzącéj duszy, z całą energią odradzającego się w nowych ideach umysłu. Porzucały cześć bałwochwalczą, tak dla nich ohydną i uciążliwą, bez żadnego namysłu, a biegły na skrzydłach ptaka, wypuszczonego z klatki, do stóp tego tronu, gdzie w takim majestacie powagi i władzy, z wyciągniętemi ku nim ramiony siedziała ich zbawicielka. I przyjmowały ze czcią świątobliwą chrzest nowéj wiary, uwalniający niewiastę od dotychczasowych ślubów pogańskich a zapewniający dziewicę, że odtąd nie będzie już porywaną w wielożenne małżeństwo. Powróciwszy do domu, szerzyły jak najgorliwiéj tę nową wiarę, która im tyle przynosiła zbawienia.

Tak zostały założone pierwsze trwałe podstawy do zmiany losu i całéj doli kobiéty.

KILKA SŁÓW
O LICHWIE I O KREDYCIE W KRAJU NASZYM (*).

Od kiedy zapamiętać mogę, słyszałem w kraju naszym utyskiwania właścicieli ziemskich na brak pieniędzy, na lichwę i na upadek kredytu; lecz skargi te nigdy może nie były tak ogólne jak właśnie teraz, kiedy dobre ceny produktów zbożowych, łatwość ich zbytu, instytucye kredytowe w kraju istniejące, zdają się sprzyjać ruchowi pomnażających się kapitałów rozporządzalnych. Taki stan rzeczy zwrócić winien uwagę ludzi specyalnych i spowodować ich do śledzenia rzeczywistych przyczyn tak nienormalnego zjawiska.

Chcąc zająć się zbadaniem tego przedmiotu, trzeba przedewszystkiem zgodzić się na to z nowoczesnemi ekonomistami, że stopa procentowa jest ruchomą, zawi-

(*) Redakcya zamieszcza chętnie powyższy artykuł bankiera Mathiasa Rosena, jako traktujący o kwestyi kredytu właścicieli ziemskich naszego kraju—przedmiocie tak żywotnym dla rolnictwa krajowego. Redakcya ma nadzieję, że ogłoszenie powyższego artykułu wywoła wszechstronną dyskussyą nie tylko co do sposobu zapewnienia wypłacalności zaciągniętych długów w terminie, i co do przymusu osobistego, ale także i rozbiór innych warunków kredytu ziemskiego, tudzież podanie sposobu usunięcia wielu innych żywiołów kredytowi temu nieprzyjaznych. Redakcya gotową będzie zamieścić w swém piśmie rozprawy za i przeciw, w przekonaniu, że tylko wszechstronny rozbiór doprowadzić może do zdrowego sądu w téj ważnéj dla ogółu materyi.

słą od okoliczności towarzyszących ruchowi kapitału, tak jak jest ruchomą cena wszelkich płodów i wyrobów, że przeto lichwa w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, prawu nie sprzeciwia się: lichwa bowiem właściwa jest pożyczką, połączoną z podejściem, oszustwem i innemi prawem kryminalném karanemi działaniami na szkodę pożyczającego. Nie jest zaś lichwą procent umówiony, którego wysokość stale oznaczyć się nie daje, lecz ta zawisłą jest od dobréj woli stron; w Anglii téż, w Prusach i w wielu innych państwach niemieckich zniesiono przepisy ograniczające stopę procentową.

I rozważmy, czy nie z wszelką słusznością, prawodawstwo uległo pod tym względem koniecznym modyfikacyom: czy naprzykład bankier, który w Hamburgu w miesiącu grudniu 1857 r. w czasie wielkiego przesilenia finansowego, pobierał 2% *na miesiąc*, był wówczas lichwiarzem, a przestał nim być w lutym 1858 r. kiedy żądał już tylko 2% *na rok*. Czyliż właściciel ziemski, którego produkcya pszenicy kosztuje np. 20 złotych za korzec, dopuszcza się lichwy, kiedy nie przestając na ofiarowanéj mu cenie np. 30 złp. na jesieni, doczekuje ceny złp. 40, 50, 60 lub wyższéj jeszcze i z takową spotyka się istotnie w ciągu kilku lub kilkunastu miesięcy. Każdy przyzna, że rolnik produkujący pszenicę, naraża się na skutki nieurodzaju lub bezcenności płodów rolnych, ma więc prawo korzystać z okoliczności kompensujących stratę doznawaną w latach rolnictwu nieprzyjaźnych; stosując to rozumowanie do korzyści procentowych, jakie lokacya kapitałów zapewniać może, przyznać wypada, że wypożyczający pieniądze, o ile naraża swój kapitał, słusznie wysokością stopy procentowéj chce pokryć szansę utraty kapitału.

Pieniądz jest towarem. Wartość jego czasowa, czyli, co na jedno wychodzi, wysokość stopy procentowéj, zależną jest z jednéj strony od stosunku ofiarowania kapi-

tałów do ich potrzeby, z drugiéj strony od stopnia niebezpieczeństwa, na jakie naraża się wypożyczający pod względem odbioru swego kapitału, a co najważniejsza, odbioru, *w terminie umówionym.*

Mylném jest mniemanie jakoby wysoka stopa procentowa i brak kredytu, brakiem pieniędzy zwany, w kraju naszym wywiązywały się z rzeczywistéj niedostateczności kapitałów. Najwymowniejszym przeciwko temu dowodem jest wysoki kurs naszych listów zastawnych. Inne są podług mnie powody trudności, na jakie rolnicy szukający kredytu natrafiają: powody te łatwo znaleźć można, gdy się wejdzie w położenie wypożyczającego.

Kapitalista wypożyczający pieniądze kieruje się w działaniach swoich, uwagą na stosunkową odpowiedzialność majątkową pożyczającego, tudzież na jego skwapliwość w uiszczaniu się na terminie. Warunki pożyczki zawisłemi są zresztą od obfitości gotowizny rozporządzalnéj w daném miejscu i czasie. Niewchodząc w rozbiór téj ostatniéj okoliczności, która w ścisłym jest związku z ogólnym stanem kredytu w Europie (1), zobaczymy tylko, czyli w powszechności u nas, właściciele ziemscy, poszukujący kredytu, dostarczają w każdym razie obiedwie wyżéj określone rękojmie, od których kredyt głównie zależy. W tym kierunku posunąwszy badania, każdy przyzna, że w kraju naszym nie dość uznania znajdzie ta zasada, gdzieindziéj w obyczaj wzrosła, że pewność odebrania wypożyczonego kapitału *w terminie*, jest

(1) Stan kredytu w Europie zawisł od ogólnego stanu handlowo-finansowego i od spodziewanych wypadków politycznych.

W zwyczajnych okolicznościach, brak pieniędzy istnieć nie może, gdyż na każdym punkcie Europy brak ten natychmiast da się kredytem zastąpić. Śmiało téż powiedzieć można, że kiedy w wielkich stolicach handlu europejskiego czuć się daje brak pieniędzy, to jest oznaką że ogólny kredyt jest zachwiany obawą przyszłych niewiadomych wypadków lub najściem wielkiego jakiego, a rzadko zdarzającego się kataklizmu handlowego, jak był ten, który przeżyliśmy w r. 1857.

węgielnym kamieniem wszelkiego kredytu, podstawą zaufania między kapitalistą a pożyczającym; a bez tego zaufania, samo zabezpieczenie rzeczowe, nader mało ma znaczenia dla kapitalisty. I ten to jest powód, że kiedy ogromna większość właścicieli ziemskich przedstawia u nas zupełną odpowiedzialność majątkową, a ztąd ma nabyte prawa do otrzymania kredytu, obywatele ziemscy w powszechności z trudnością otrzymują takowy i wysoko opłacać go muszą: bo kapitaliści nie mają rękojmi prawnéj, że będą zapłaceni w terminie, a dobrowolne uszanowanie terminów, nie weszło dotąd w obyczaj ziemiański, pomimo że nikomu nie jest tajném, że ścisłe dochowanie terminów ze strony pożyczających, jest dla bankierów i wszelkich instytucyj bankowych warunkiem istnienia. Wszelkie operacye bankowe oparte są na wzajemnych kredytach. Zaległości więc, w mających wpłynąć funduszach, nie tylko zmuszają bankiera do zastąpienia ich pożyczonemi od innych kapitałami, od których procent opłacać musi, ale nieraz zagrażają całemu jego położeniu. W epokach naprzykład, w których kredyt ogólny jest zachwiany, niewpływanie należności pieniężnych w terminie, zmusza nieraz wypożyczającego, aby gwałtownie spieniężał wszelkiego rodzaju posiadane wartości, w celu zebrania potrzebnéj gotowizny na pokrycie należności, których sam jest dłużnikiem. Dlatego to w czasach przesilenia, widzimy tyle domów bardzo zamożnych, zmuszonych zawiesić odrazu wypłaty, a rozpoczynających takowe na nowo, po upływie niedługiego nawet czasu, np. dwóch lub trzech miesięcy, w ciągu których inne domy zalegające w wypłatach potrafiły zaległości swe pokryć. Takie chwilowe tylko wstrzymywanie wypłat jest już dla domu handlowego bardzo dotkliwém, a środki zaradcze nawet, przy krótko trwającém zaleganiu należnych w terminie kapitałów, już są nader kosztowne; cóż dopiéro powiedzieć o zaległościach, które tylko za pomocą

mozolnéj i długoletniéj procedury odebrane być mogą? Czyż procent zwyczajny może równoważyć niebezpieczeństwo, na jakie w takim razie wypożyczający jest wystawiony?

Dlatego też właściciel ziemski, choćby najzupełniéj majątkowo odpowiedzialny, jeśli nie zwykł dotrzymywać terminu, daleko trudniéj otrzymuje kredyt, i daleko wyższy opłaca procent, niźli ten, który przy mniejszéj odpowiedzialności, ściśle przestrzega terminu wypłaty.

Dlatego nie waham się twierdzić, że ów brak kredytu, na który nasi właściciele ziemscy się uskarżają, jest skutkiem logicznym *nieścisłego uiszczania się w terminach właściwych*, czemu okoliczności miejscowe poniekąd sprzyjają.

Nieuiszczanie się w terminie, nie naraża właścicieli ziemskich na żadne natychmiastowe niebezpieczeństwa ani nawet przykrości, z powodu istniejących przekonań, że nie ubliża ich honorowi w obliczu współobywateli uchybienie terminu, byleby tylko odpowiedzialność majątkowa dłużnika, nie była wątpliwą. Właściciele ziemscy nie dosyć uwzględniają, jak wielkie szkody zrządzić może ich niewypłatność w terminie umówionym; zdają się temu niewierzyć: ztąd płynie obojętność obywateli na termina, a niechęć kapitalistów do powierzania im funduszów. Inny charakter mają stosunki kupieckie: kupcy nabyli jeszcze przeświadczenia, że tylko akuratność daje kredyt i wzbudza zaufanie; opierając całe istnienie swe na kredycie, pilnują terminu wypłaty jako przykazania Boskiego; kupiec wszakże niepłacący w terminie, ulega dwóm naraz niebezpieczeństwom: może być napiętnowanym hańbiącą cechą bankructwa i zarazem pozbawionym osobistéj wolności. Właściciel ziemski, nie płacąc w terminie, nie zostaje ani bankrutem, ani wolności swéj na chwilę nawet nie traci. Jeżeliby chciał, mógłby jawnie i w obliczu swego wierzyciela używać funduszów rozpo-

rządzalnych, a nawet strwonić całe posiadane mienie, zanimby wierzyciel przeszkodzić temu zdołał środkami prawnemi; przeciwnie u kupca, procedura istniejąca dozwala na natychmiastowe zajęcie całego majątku i zabezpieczenie go tym sposobem od roztrwonienia. Bacznym też jest kupiec, aby nie naraził się na następstwa wynikające z zastosowania praw handlowych; a chociaż surowe przepisy praw tych, jak się z praktyki przekonywamy, wykonywane bywają tylko względem ludzi złéj wiary, dają one jednak moralną rękojmię wierzycielowi w powszechności a ułatwiając każdemu potrzebującemu otrzymanie kredytu, zmuszają go zarazem do ścisłego przestrzegania terminu wypłaty.

Jeżeli więc właściciele ziemscy w kraju naszym, nie mogą otrzymać kredytu odpowiadającego potrzebom rolnictwa, to nie dlatego, jak to niektórzy utrzymują, że kapitaliści podają sobie ręce, w celu korzystania z obywateli (bo gdyby tak było, toby i kupcy byli także przedmiotem tego samego przemysłu). Przyczyna tego utrudzenia kredytu leży w tém niezawodnie, że właściciel ziemski, gdyby długu swego nie płacił w terminie, nie podlega żadnéj bezcześci w opinii publicznéj; a w zwyczajnéj procedurze prawnéj znajduje osłonę przeciw nastawaniu wierzyciela, aby mu dług bezzwłocznie został zapłacony; poszukiwany drogą cywilną od wywindykowania przez wierzyciela przypadającéj mu należności, przez długie lata zasłaniać się może, a tymczasem wierzyciel musi płacić co sam winien natychmiast i to pod rygorem przymusu osobistego i bankructwa. Nie dość na tém, że wypożyczający na straty tym sposobem jest narażony, dłużnik pomawia go jeszcze o lichwiarstwo, co wszystkich kapitalistów od tego rodzaju stosunków odstręczać musi. O ile to ostatnie twierdzenie jest prawdą, mamy dowód w tém, że sami właściciele ziemscy, posiadający kapitały, nie chętnie wchodzą z innemi rolnikami w sto-

sunki pieniężne, lecz wolą raczéj albo handlującemu pożyczać, albo ograniczać się na mniejszym dochodzie i trzymać fundusze swe w listach zastawnych. Wszak znane u nas przysłowie powiada: „chcesz kupić sobie nieprzyjaciela, pożycz mu pieniędzy."

Tak więc głównie w różnicy moralnych i materyalnych skutków, którym podlegają kupcy i niekupcy, wrazie nie uiszczania się w terminie, szukać należy przyczyny, dla któréj ci ostatni, nie znajdują kredytu lub opłacać muszą stopę procentową, wcale zkądinąd nie odpowiednią ich majątkowéj odpowiedzialności.

Tu także znajdujemy powód, dla którego nawet Bank Polski, eskontujący weksle kupieckie, obywatelom ziemskim kredytu nie udziela, jak tylko na zupełnie specyalnych i charakter zastawu na sobie noszących warunkach. Twierdzenie to nie jest zresztą oparte na czczéj tylko teoryi. W krajach, gdzie długi wekslowe właścicieli ziemskich poszukiwane być mogą podług procedury handlowéj, weksle obywateli ziemskich równie są cenione z wekslami bankierskiemi i kupieckiemi, a rolnictwo mając tani i obfity kapitał, dojść tam mogło do wysokiego stopnia rozwoju i doskonałości.

Nie mało też utrudnia obywatelom ziemskim obroty kredytowe ta okoliczność, że się dobrowolnie stawiają w potrzebie nazbyt rozległego kredytu, już to nabywając dobra za wielkie w stosunku do osobistéj zamożności nabywcy, już też rozszerzając zakres wydatków codziennych w stosunku do imiennéj wartości majątków, na których oczyszczenie z ciążących długów, przedewszystkiem oszczędzone dochody swe gromadzićby powinni. W obec takich stosunków szukanie kredytu staje się potrzebą codzienną. Groźne skutki z nieuiszczenia się w terminie podług prawa handlowego wynikające, ostrzegające o niebezpieczeństwie, byłyby hamulcem na nieoględne po-

stępowanie. Niepotrzebując na kredycie opierać posiadania za wielkich obszarów ziemi, używanoby kredytu do samego tylko obrotu, a przy pracy i oszczędności, zostawianoby dzieciom kawałek ziemi porządnie zagospodarowany, zamiast owych wielkich majątków ziemskich, mocno obdłużonych, przechodzących częstokroć w spuściźnie w ręce spekulantów subhastacyjnych.

Tak to, zniesienie przywileju, poza którym zostają teraz właściele ziemscy, byłoby dla nich korzyścią, a nie szkodą. Zadaniem też Towarzystwa Rolniczego, które tak silną dłonią ujęło przyszłość naszego rolnictwa, powinno być między innemi wyjaśnienie, iż usuwanie trudności, na jakie właściciele ziemscy w uzyskiwaniu kredytu natrafiają, od nich samych w wielkiéj mierze zależy. Towarzystwo robi wprawdzie już dziś usiłowania ku podniesieniu kredytu za pomocą domów rolniczych, aleć i te domy istnieć nie mogą tylko pod warunkiem, że im termina ściśle dotrzymywane będą: inaczéj albo muszą ustać w swych chwalebnych dążnościach, albo będą zmuszone ograniczyć działania swoje, skierować je na wydatne tylko osobistości, lub szukać w każdym wypadku gwarancyi w zastawie płodów rolniczych. A jednak warunkiem swobodnego ruchu handlowego, jest, aby bez zastawu, bez wielkiéj reputacyi bogactwa, mieć można kredyt; aby samo obywatelstwo nadawało w pewnym zakresie prawo do pomocy kredytowéj, tak dalece, iżby ją znajdowali ci właśnie, którzy nie mają gotowych zasobów w płodach i wyrobach, ani wielkiego majątku, ale mają pracę wytrwałą i oszczędność, obok niezłomnéj woli, jak najściślejszego dotrzymywania terminów. Żadna zapewne w świecie instytucya bankowa, pamiętna na swe własne istnienie, nie będzie wypożyczać bez pewności zwrotu w *terminie*, a niepewność ta istnieć będzie, dopóki uszanowanie dla terminów, nie zapanuje nad wszystkiemi względami pobocznemi.

Jeżeli więc chcemy podnieść i rozkrzewić kredyt powszechny w kraju naszym, jeżeli chcemy obniżyć stopę procentową i nadać rolnictwu nowe życie przez wprowadzenie obfitego kapitału obrotowego, jeżeli chcemy postawić się w możności zniesienia bez bolów, spodziewanego przejścia z pańszczyznianego do parobczanego gospodarstwa, to pamiętajmy, że niezbędnym warunkiem w ulepszaniu położenia ziemiaństwa krajowego, jest podniesienie poszanowania dla zobowiązań terminowych do znaczenia obowiązku honorowego, na straży zaś tego niechaj stanie opinia publiczna, nieubłagane prawo.

Historya handlu uczy nas, że po zrównaniu rolnika z kupcem pod względem uległości prawu handlowemu, stosunki między dającym a potrzebującym kredytu, wprowadzone zostały w wielu krajach na drogę pewności, akuratności i poszanowania dla przyjętych zobowiązań, kapitały zaś poprzednio ukryte, na jaw tym sposobem wyprowadzone zostały, i na umiarkowaną stopę procentową były ofiarowywane.

Mathias Rosen.

BURGRAFOWIE

DRAMAT W TRZECH CZĘŚCIACH

WIKTORA HUGO.

TŁUMACZYŁ

Kazimierz Kaszewski.

CZĘŚĆ DRUGA.

ŻEBRAK.

OSOBY.

Job.	Regina.
Magnus.	Guanhumara.
Hatto.	Burgrafowie i książęta.
Gorlois.	Niewolnicy.
Otbert.	Żebrak.

Paziowie, żołnierze, łucznicy, halabardnicy.

SALA ZBROI.

Na lewo drzwi. W głębi galerya z zębatemi wieżycami, za któremi widzieć można horyzont. Mury nagie bazaltowe. Całość dzika, ponura; uzbrojenia całkowite pozawieszane na wszystkich słupach. Przy podniesieniu się kortyny, ŻEBRAK stoi na przedzie sceny, oparty na kiju, z okiem w ziemię spuszczoném, zdaje się miotany bolesnemi myślami.

SCENA I.

ŻEBRAK *sam.*

A więc pora, by wszystko na kartę postawić;
Poświęceniem wszystkiego wszystko można zbawić,
Byle Bóg mi dopomógł!... O kraju kochany!
Jak twe syny ohydli, jak krwawe twe rany!
Wygnaniec, jakimże cię zastaję w téj chwili!
Wygnali Władysława, Filipa zabili,
A Henryka otruli. Do tego spokojnie
Sprzedali tego chrześcian Achilla, Lwie Serce!
A więc wszystko w upadku, wszystko w poniewierce;
Nie ma zgody, prysnęły wszystkie państwa spojnie.
W tym kraju, niegdyś mężnych przybytku i sławy,
Są Flamandy, Saksony, Franki i Morawy,
Lotaryngi, Bawary, tylko Niemca nie ma.
Każdy swe powołanie wypełnia jak mniema:
Mnichy śpiewają, każą i kadzidłem dymią,
Paź za swym panem nosi znamiona potęgi,
Baronowie rabują, a królowie drzymią.
Ci co nie łupią drugich, to znów niedołęgi,
Jak za władców salickich drżąc... o co nie wiedzieć,
Umieją tylko stękać i w kościele siedzieć!
Zostali źli lub podli, drapieżność lub błoto.
Palatyn, jako krajczy, miał przecież na sejmie
Piérwszy głos po Trewirze;—przedał go za złoto;
Będzież miał z niemi rozkosz, kto dziś rząd obejmie.
Król Czechów, nędzny sklawon, elektorem został:
Każdy, aby w możności sąsiadowi sprostał,
Rozciąga prawo pięści, zgrozę i ohydę.
Lemiesz, rzucon pod nogi, przetwarza się w dzidę;
Kosy stają do boju, porzuciwszy żniwo.
Pożar niszczy domostwa, włóczą się cyganie:
Cygan w chacie wieśniaka ma na zawołanie
W uściech dziką piosenkę, w kieszeni krzesiwo.
Wandale wzięli Berlin, Gdańsk mają poganie,
We Wrocławiu Mongoły, o hańbo, o wstydzie!
To trzeba duszy nie miéć, by żyć w téj ohydzie.
Pieniądz znikł. Wsie i grody nędzne, zubożałe;
Któż dziś skończy w Strasburgu tę wieżową strzałę,
Kiedy chorągiew miejską przedajnie wręczyli
Żydom, co się w domowych wojnach spanoszyli?
Upadek!... miały Niemcy ogromne przestrzenie:
Z Holandyi, Luksenburga, zostały nam cienie.
A gdzie Gieldrya, Lombardya i inne gromady.

I Polska się wyzuła obowiązków wszelkich...
By odeprzéć stanowczo silnych wojsk napady,
Ulm i Augsburg za słabę mają palisady:
Giną dzieła Karolów i Ottonów wielkich.
Tymczasem Duńczyk grozi; Anglia rozsadza
Gwelfów i Gibelinów, a Lotaryng zdradza;
W Turynie tleje ogień i Brabant nie drzymie;
Filip August jest silny; Genua grzywien żąda,
Interdykt wisi ciągle, Ojciec święty w Rzymie
Wahająco i dumnie na Niemcy spogląda.
I przy takiém nieszczęściu, które kraj spotyka,
W obec tylu zawichrzeń, nie ma przewodnika!
Elektory w rozprzęgu, z krzywd państwa bogaci,
Temu wręczają berło, kto im lepiéj płaci;
I tak, jako męczennik zbity, pokrwawiony,
Umiéra, cztérema końmi darty w cztéry strony:
Takto biédne cesarstwo w opłakanéj dobie
Cztérej władcy nieprawi drą, każdy ku sobie.
O Niemcy! Niemcy! Niemcy!... nieszczęsne trzykrotnie!

(Głowa jego opada na piersi, wychodzi wolnym krokiem głębią. Otbert, który wszedł od kilku chwil, prowadzi za nim oczami. Żebrak znika za schodami galeryi. Odrazu twarz Otberta rozjaśnia się radością i zadziwieniem. Regina ukazuje się w głębi teatru, w stronie przeciwnéj téj, którą wyszedł żebrak. Regina promieniejąca szczęściem i radością).

SCENA II.

OTBERT, REGINA.

OTBERT.

Regino!... czy być może?... tyżeśto istotnie?

REGINA.

Ja, Otbercie!... patrz... mogę mówić i oddychać,
Chodzić o własnéj sile, szczerze się uśmiéchać;
Nie czuję żadnych cierpień ani żadnéj trwogi,
Jestem szczęśliwa, żyję dla ciebie, mój drogi!

OTBERT
(patrząc na nią).

O Boże!

REGINA.

Sen spokojny miałam jakich mało,
Twe imie w moich ustach chyba go przerwało;
Czułam, że żadna boleść duszy méj nie tłoczy;
A gdy wschodzące słońce rozkryło me oczy,

Mnie się zdało, że jestem nowo narodzona:
Ptaszki mi pod oknami nuciły wesoło,
Kwiaty dyszały wonią z otwartego łona;
A ja z duszą radosną szukałam w około
Tego, co miłą wonią wiało pod niebiosy
I co z niebios w rozkoszne odbrzmiewało głosy;
A witając ze łzami, jakby drogą zgubę,
Szeptałam: to ja, ptaszki; to ja, kwiatki lube!
Tyś mi wrócił, Otbercie, zdrowie i wesele,

(pokazując flakonik)

Tym płynem ty wydarłeś śmierć z mojego łona,
A teraz mnie, kochanku, wyrwij z rąk Hattona.

OTBERT.

Moja droga Regino, uroczy aniele!
Dokonam tego dzieła, tak przynajmniéj mniemam;
Lecz ty mnie nie podziwiaj, ja odwagi nie mam,
Nie mam cnoty: ja działam miłością jedyną.
Żyjesz!... więc dla mnie nowy dzień świta, Regino!
Żyjesz!... a więc ja nową czuję duszę w sobie.
Ale spojrzyjże, spojrzyj!... Boże, co za wdzięki!...
I nie cierpisz?

REGINA.

Nie: dziś już nie myślę o grobie.

OTBERT.

A więc dzięki Ci, Boże!

REGINA.

Oh! i tobie dzięki!

(Oboje pozostają przez chwilę w uściśnieniu. Następnie Regina wyrywa się z rąk Otberta).

Hrabia mnie oczekuje, muszę pójść koniecznie;
Przyszłam tylko powiedzieć, że cię kocham wiecznie:
Żegnam cię.

OTBERT.

Wracaj!

REGINA.

Chwilkę, mój luby, zabawię.

OTBERT

(pada na kolana i oczy do nieba podnosi).

Za jéj zdrowie, ja Ciebie, Panie, błogosławię.

(Guanhumara ukazuje się w głębi teatru).

SCENA III.

OTBERT, GUANHUMARA.

GUANHUMARA
(kładąc rękę na ramieniu Otberta).

A co?

OTBERT
(z przerażeniem).

Ah! Guanhumara!

GUANHUMARA.

Masz dowód mej mocy
I zarazem, że umiem spełnić przyrzeczenia.

OTBERT.

I ja spełnię.

GUANHUMARA.

Pamiętaj, bez zastanowienia?

OTBERT.

Bez litości, bez względu, kogo dłoń twa wskaże.

GUANHUMARA.

Więc, by dotrzymać słowa, dzisiaj o północy
Przyjdziesz...

OTBERT.

Gdzie?

GUANHUMARA.

Tam, pod wieżę o czarnym sztandarze.

OTBERT.

Ah, nikt z ludzi w to miejsce straszliwe nie chodzi
I mówią, że mur, który potoku dotyka ...

GUANHUMARA.

Ma po sobie krwi ślady... To krew męczennika.

OTBERT.

A więc widzisz, krew plami i piecze.

GUANHUMARA.

Krew chłodzi
I czyści.

OTBERT.

Więc rozkazuj, twój niewolnik czeka.
Co mam robić pod wieżą?

GUANHUMARA.

Znajdziesz tam człowieka
Samotnego i w masce.

OTBERT.

Daléj?

GUANHUMARA.

Pójdziesz za nim.

OTBERT.

Dobrze.

(Guanhumara chwyta sztylet z za pasa Otberta i wlepia okropny wzrok w jego klingę, potém oczy podnosi w górę).

GUANHUMARA.

Wzywam was!... nieba i przestworza tonie,
I twój, o! czarna nocy, majestat posępny,
I ciebie lazurowy, cichy nieboskłonie!
I was mury, i ciebie pręcie nieodstępny,
I was dęby, co w cieniach kryjecie przechodnia!
Zaświadczcie! ja poświęcam pod ten nóż ofiarny
Foska, barona lasów, skał i dolin.... zbrodnia,
Co stary jak wy dęby, jak ty nocy czarny.

OTBERT.

Któż ten Fosko?

GUANHUMARA.

Ten, który dziś trupem zostanie
Z twéj ręki o północy.

(Oddaje mu sztylet i wychodzi przez galeryą w głębi, spostrzegłszy Joba i Reginę, którzy wchodzą z przeciwnéj strony).

OTBERT
(sam).

Nieba!

SCENA IV.

OTBERT, REGINA, JOB.

REGINA
(wchodzi żywo i odwraca się do hrabiego Joba, który idzie za nią wolnemi krokami).

Patrzcie, panie,
Jak ja biegam.

(Zbliża się wolno do Otberta, który zdaje się słuchać jeszcze ostatnich słów Guanhumary i wejścia ich nie spostrzegł).

Otbercie!...

OTBERT
(przebudzony z zamyślenia).

Ah! witam.

JOB.

Dziś zrana
Dusza ma jeszcze srożej była skołatana.
Słowa żebraka, który przybył do nas wczora,
Dziwnemi po mej głowie snuły się głoskami.
(Do Reginy).
To myślałem o tobie, żeś śmiertelnie chora,
To o cieniu twéj matki, błądzącym nad nami...
(Do Otberta).
A wtém Regina wbiega do mojéj komnaty
Uśmiechająca, świeża, jak wiosenne kwiaty...
Sam nie wiem, czy mam śmiać się, czy płakać, o dziwo!
A ona mi powiada: „patrz, jestem szczęśliwą,
Winnam to Otbertowi;" ja więc ją za rękę,
A chodźmyż mu serdeczną wynurzyć podziękę.

REGINA
(wesoło).

I biegliśmy oboje.

JOB
(do Otberta).

Istna tajemnica?
Moja Regina zdrowa!... ledwie oczom wierzę.
Jak ci się to udało? powiedzno mi szczerze.

OTBERT.

Ten napój mi sprzedała z zamku niewolnica.

JOB.

Wolność jéj!... sto mark złota, winnice i pola!
Daruję życie wszystkim tu na śmierć skazanym,
Wolność tysiącu kmieciom,
(Do Reginy).
przez ciebie wybranym;
Niech twój powrót do życia ta uświęci wola.
(Bierze ją za rękę).
O! jakiejże radości pełne serce moje!
(Patrzy na nią z rozrzewnieniem).
A przytém tak mi błogo widzieć was oboje!
(Postępuje kilka kroków na przód teatru i zdaje się wpadać w głębokie zamyślenie).
Prawda, jestem przeklęty, samotny i stary;
Mieszkam w gronie mych przodków w ustronnéj wieżycy,

Patrzę, posępny władca, posępnéj dzielnicy,
Na smijące się w cieniach mojéj myśli mary.
Niestety, wszystko czarne. Powiodęż oczami
Wdal po Niemczech, cóż widzę? tam siepacze sami
Sieją w szale okrucieństw morderstwa, napaści;
Tysiąc ramion to państwo ciągnie do przepaści,
I chyba Bóg mu ześle jakiego olbrzyma,
Który mu rękę poda i w upadku wstrzyma:
Kraj mnie dręczy! A spojrzę po mojém plemieniu,
To żyje w nienawiści, w zdradach, poniżeniu;
Syn staje przeciw ojcu i godzi na życie,
Pod starym wilkiem wilczek ostrzy zęby skrycie:
Ród mnie przeraża! W siebie jeśli oczy skłonię,
Drżę, blednę, pot śmiertelny zlewa moje skronie.
Każde wspomnienie, które pamięć mi przywodzi,
W czarnéj, ohydnéj masce przed oczami chodzi;
Wszędzie czarno i straszno. W mym rodzie potwory.
W moim kraju szatany, w méj duszy upiory!
Toż gdy oko przelękłe czarnych widm orszakiem
I téj trojakiéj nocy widzeniem trojakiem,
Szukając dnia i Boga wzbija się do nieba,
Wtedyto po tym mroku widzieć mi potrzeba
Was dwoje, jak nad głową dwa światłe promienie,
Jako święte na progu piekła objawienie.
Wy kiedy cnotą zdobni przedemną stajecie,
Ty w dziewiczéj czystości, ty z męztwem młodziana,
I kiedy patrzę na was, to mi się zdajecie
Jak dwa dobre anioły nad ciałem szatana!

OTBERT
(n. s.).

Przebóg!

REGINA.

Panie!...

JOB.

Oh, pójdźcie moje lube dzieci!
Pójdźcie w moje objęcia!
(Do Otberta, patrząc mu z czułością w oczy).
Twój wzrok prawdą świeci.
O! czuć w tobie wiernego przysięgi obrońcę,
Czuć, że ona dla ciebie czém dla orła słońce,
Czém magnes dla żelaza. O! wzrok tobie świadkiem.
(Do Reginy).
Prawda?

REGINA.

On mnie ocalił.

JOB.

I ja przed upadkiem
Byłem jemu podobny: mężny, prawy, czysty,
Jak miecz i jak dziewica.

(Do Reginy).

Gdy wpatrzę się w niego,
W to szlachetne oblicze i w ten wzrok przejrzysty,
Wraz o synu ostatnim wspomnienia me biegą.
Gdy mi Bóg téj dozwolił doczekać pociechy,
Sądziłem, że przebaczył moje ciężkie grzechy.
Syn w starości!... i jakiż dar niebieski inny
Może się z tym porównać? Ja téż zdjęty szałem,
Na głos jego z radości śmiałem się, płakałem,
Bo człek gdy wielce stary, to wielce dziecinny.
Wciąż przy jego kolysce bawię się z nim, pieszczę,
Rozmawiam z nim bez przerwy cały dzień od rana,
Wieczorem białą główkę kładę na kolana,
On już zasnął, nie czuje, a mnie nie dość jeszcze.
Jak on za mną pogwarzał pociesznie i mile,
Jak klaskał w rączki gdy mu coś się podobało,
I miał na roczek życia dowcipu nie mało.
Znał mnie dobrze, a szukał gdym odszedł na chwilę,
To znowu gdy się rozśmiał, jam miał w duszy słońce...
Ja chciałem z niego zrobić rycerza, obrońcę,
Dałem mu imie Jerzy... Aż raz w rannéj porze...
Gdy bawił się na polu... Regino, być może,
Ty będziesz kiedyś matką... oh, przez Boga w niebie,
Nie puszczaj nigdy dzieci daleko od siebie!
Mnie ukradli mojego, ukradli!... mój Boże!..
Dla żydów... by swój szabas jego krwią skropili...
I ja wciąż płaczę po nim, tak jak w pierwszéj chwili.
On był moją rozkoszą... to był mój król mały...
Gdy w mojéj białéj brodzie jego rączki drgały,
Ja, pijany miłością, czułem w starém łonie
To co dusza znękana, gdy w nią niebo wionie!...
Nie dziw, że gdy to szczęście nieba mi zabrały,
Jam przeżył lat dwadzieścia we łzach i żałobie.

(Do Otberta).

On byłby w twoim wieku, patrzyłby tak pięknie,
I miałby tę niewinność, którą kocham w tobie.
O! pójdź w moje objęcia, bo mi serce pęknie!

(Od kilku chwil Guanhumara weszła i uważa z głębi teatru, nie będąc widziana. Job namiętnie przyciska Otberta do piersi i płacze).

Otbercie! ty mi dzisiaj zastępujesz syna:
Wzrok, twarz, łagodność, wszystko mi go przypomina.
To on, powtarzam sobie; a gdy głos twój dźwięknie,
Gdy się wpatrzę w twe rysy, podobieństwa władza,

To go przywodzi na myśl, to znów uprowadza.
Bądź mym synem....

OTBERT.

Oh, panie!...

JOB.

Ty, biédny sierota,
Którego całém mieniem jest męztwo i cnota,
Choć bez ojca, bez matki, prawie bez imienia,
Lecz wielki sercem, skory do wzniosłego czynu,
Czy ty się téż domyślasz moich słów znaczenia,
Gdy cisnę cię do piersi i mówię ci, synu!...
To ma znaczyć...

(Do obojga).

Słuchajcie!—że pędzić w milczeniu
Dnie przy starcu, co stoi jedną nogą w grobie,
Od rana do wieczora żyć jakby w więzieniu,
Gdy młodzian i dziewica wzdychają ku sobie,
Zbyt byłoby nieznośnie, wbrew prawom, opacznie,
Jeżeliby nie można, gdy chwila po temu,
Przez ramie starca, który spogląda nieznacznie,

(Do Otberta).

To uśmiechnąć się ku niéj,

(Do Reginy).

To mrugnąć ku niemu.
Co znaczy, że staruszek poznał się na rzeczy,
Że złączy was oboje i los zabezpieczy!

REGINA

(w uniesieniu radości).

Nieba!...

JOB

(do Reginy z uśmiechem).

To cię wyleczy, widzisz, do ostatka.

OTBERT.

Jakto.

JOB

(do Reginy).

Ciebie opiece méj zleciła matka...
Potém wkrótce umarła, a po niéj, o Boże!
Straciłem siedmiu synów, najdzielniejszych może,
I Jerzego, to moje najmilejsze dziecię,
I małżonkę i wszystko com kochał na świecie.
Takito smutny widok wszystkich starców czeka,
Jak miesiąc po miesiącu wschodzi i ucieka.
Tak snuje się żałoba od pory do pory
I coraz wchodzą czarne do domu ubiory!

Oby ciebie przynajmniéj uchowały nieba,
Mój kwiatku ukochany! Zatrułby cię Hatto!
Ja rzekłem do twéj matki: „umieraj spokojnie,
Twa córka, mojém dzieckiem; jeśli będzie trzeba,
Ja za nią krew wytoczę"—i przysiągłem na to!

REGINA.

Dobry ojcze!...

JOB
(do Otberta).

Ty rośnij, szukaj sławy w wojnie:
Nie masz nic, ja ci daję burg Kammenberg, który
Stanowi lenność mojéj Heppenheffu góry.
Zdążaj krokiem zdobywców do zaszczytnéj mety!
Jam jest synem dwóch matek—szabli i kobiety.
Nieprawém dzieckiem grafa, ale prawym synem
Czynów moich. I ty więc zdobądź ojca czynem,
Wstępuj w me ślady.

(N. s.)

Byle nie w zbrodnie.

(Głośno).

Ja sobie
Dawno to ułożyłem, by rzecz ślubem skończyć
I wolnego łucznika węzłem krwi połączyć
Z wolnym baronem, i to com zamierzył, zrobię.
Ja wiem, że to zbyt przykro dla ciebie byłoby,
Jak pies przy lwie zgrzybiałym, jak paź u hrabiego,
Stać przy nim niewolniczo od doby do doby.
Nie, chłopcze, ja cię kocham, ale nie dlatego.—
O! jakkolwiekbądź, stary nie takie złe licho,
Lecz lękam się Hattona; więc pamiętaj, cicho,
Żadnych zwad, bo pewnieby noże zaigrały.

(Ciszéj).

Z méj wieżycy jest wyjście za zamkowe wały;
Ja mam klucze. Pod wieczór dam dobrą załogę,
Reszta już twoją rzeczą—gotujcież się w drogę.

OTBERT.

Lecz...

JOB
(z uśmiechem).

Może nie chcesz?

OTBERT.

Panie!... całemi piersiami
Chłonę tę rajską rozkosz.

JOB.

Więc precz z uwagami.
Jak tylko słońce zajdzie, w drogę! i szczęść Boże!...
Hattona czém zatrudnię... Już ja to ułożę;
Ślub wasz w Kaub się odbędzie.
(Guanhumara po pilném wysłuchaniu wszystkiego uchodzi. Job bierze ich pod ręce i tkliwie na nich spogląda).
Ależ, moi mili!
Mówcie mi, że jesteście szczęśliwi w téj chwili.

REGINA.

Dobry ojcze!...

JOB.

Toż od was należy mi przecie,
W uśmiechu pożegnania, przyjacielskie słowo.
Niestety! cóż ja poczne, gdy wy odejdziecie,
Jak chmury czarnych nieszczęść pękną mi nad głową.
(Do Reginy).
Bo widzisz, moja miła, to ciężar nie lada,
Podniosę go na chwilę i znów na mnie spada!
(Do Otberta).
Guntera, kapelana mego, zabierzecie.
Ej! wszystko pójdzie dobrze, ufam w łasce nieba...
Tylkoż nie płaczcie... mnieć to odwagi potrzeba...
Przecież się jeszcze kiedy zobaczym na świecie.
Co tam że stary płacze, łza bywa zasługą;
Wreszcie Bóg chcieć nie może, bym cierpiał zbyt długo.
(Wyrywa się z ich objęć, do Otberta).
Furtę znasz, ja cię tylko otwierać nauczę;
Poczekaj, zaraz przyjdę, przyniosę ci klucze.
(Wychodzi drzwiami na lewo).

SCENA V.

OTBERT, REGINA.

OTBERT
(patrzy za odchodzącym z niejakiém pomieszaniem).

Nieba! jak mętną falą moje myśli płyną!
Porzucić ten burg straszny, uciekać z Reginą!...
O nie, ja chyba marzę, nie! to senność błoga.
Nie budźcież mnie... Lecz prawda, to ty, moja droga!...
Jesteś mą narzeczoną, jesteś żoną prawie,
Uciekajmyż natychmiast!... staw czoło obawie!
Tam raj święty, tu piekło; oh! za długo zwlekam,
Wszak uciekam do szczęścia, przed zbrodnią uciekam!

REGINA.

Co ty mówisz?

OTBERT.

Nie bój się, nie opuszczę ciebie!
Lecz przysięga!... jam przysiągł... przysiągł szatanowi,
Co tam... ucieknę. Ty mnie osądź Boże w niebie!...
Wdzięczność ci dobry starcze, jesteśmy gotowi...
Uchodźmy, pora sprzyja, można liczyć na to,
Że nas nikt nie zatrzyma.

(Na ostatnie wyrazy Guanhumara wróciła przez galeryą w głębi. Prowadzi z sobą Hattona, wskazując mu palcem Otberta i Reginę, złączonych w miłosném uściśnieniu. Hatto daje znak, na który tłoczą się za nim książęta, burgrafowie i żołnierze. Margrabia wskazuje im palcem kochanków, którzy zatopieni w sobie nic nie widzą ani słyszą. W chwili gdy Otbert odwraca się, uprowadzając Reginę, Hatto występuje przed nim. Guanhumara znika).

SCENA VI.

OTBERT, REGINA, HATTO, MAGNUS, GORLOIS, *burgrafowie*, *książęta*, GIANNILARO, *żołnierze*, *potém*, ŻEBRAK *następnie* JOB.

HATTO
(do Otberta).

Nikt? oprócz mnie!

REGINA.

Hatto!

HATTO
(do łuczników).

Wziąść ich pod straż!

OTBERT
(dobywając miecza i giestem wstrzymując żołnierzy).

Margrabio, czyny twe dowiodły,
Żeś nikczemnik i zdrajca, żeś fałszerz i podły.
Wiem o tém; teraz chciałbym przekonać się zblizka,
Czy na dnie twego serca, brudów ściekowiska,
Téj obrzydłéj kałuży, hańby i bezprawia,
Leży strach, jako osad, co zbrodnia zostawia
Po sobie. Kiedyć larwa zuchwalstwa obleci,
Gdy ta dłoń całą twoją nikczemność wyświeci,
Wtedy coś wart, z tych panów każdy się przekona,
Do których ty niegodny wmieszałeś się grona.
Ja tu przedstawiam reńską hrabiankę udzielną,
Reginę, i oświadczam, że ta cna dziewica

Gardzi tobą, mnie swoim wyborem zaszczyca;
I wzywam cię, Hattonie, na walkę śmiertelną
Nad Wisprę, której nurt o cztery mile ciecze.
Na wszelką broń: na lance, na noże, na miecze;
W zamkniętych szrankach, pieszo; bez przyłbic, bez tarczy;
Bez wytchnienia, bez przerwy, póki sił wystarczy,
Aż jeden trupem padnie. Giń lub odbierz życie.

(Regina omdlewa, służebnice ją unoszą. Otbert zastępuje drogę łucznikom, którzy chcą się zbliżyć).

Ani kroku!... ja mówię z panami. słyszycie...

(Do książąt).

Panowie, których w licznem widzę tutaj gronie:
Książe Gerhard, Cadwalla i ty Pendragonie,
Proszę, iżbyście byli zaświadczyć gotowi,
Żem ja wyciął policzek temu burgrafowi,
Używając praw moich wolnego-łucznika,
By w oczach wolnych-hrabiów skarcić nikczemnika.

(Rzuca rękawicę w twarz Hattonowi, wchodzi Żebrak i miesza się w tłum obecnych).

HATTO.

Dozwoliłem ci mówić...

(Do panów).

Wierzcie mi, panowie,
Że mój miecz drgał ze zgrozy przy téj jego mowie.

(Do Otberta).

Teraz ja ciebie pytam: któż ty jesteś bratku,
Że się ośmielasz na mnie swe podnosić ramie?
Królewicz, książe, baron, choć szlachcic w ostatku?
Imie twe? każesz zwać się Otbertem.

(Do panów).

On kłamie.

(Do Otberta).

Kłamiesz, bo twoje imie nie jest Otbert wcale:
Powiem ci zkąd się wziąłeś, coś wart, ty junaku!
Zwiesz się Jorg Spadacelli i żadnego znaku
Szlachectwa nie masz. Widzisz, znam cię doskonale.
Twój ojciec był z Korsyki, matka z Carogrodu;
Jesteś więc niewolnikiem z imienia i rodu.
Precz!...

(Do obecnych).

Panowie!... jeżeli który z was powstanie
W obronie tego kmotra, przyjmuję wyzwanie
I stanę z nim gdziekolwiek na walkę zażartą
Z dwoma nożami w ręku i piersią otwartą.

(Do Otberta).

Lecz ty podły włóczęgo, korsykańskie zwierze,

(Odpycha nogą rękawiczkę Otberta).

Sługom rzuć rękawicę.

OTBERT.

Nędzny!

ŻEBRAK

(postępując krok, do Hattona).

Hola, panie,
Ja mam lat dziewięćdziesiąt. lecz się z tobą zmierzę;
Proszę o miecz.

(Rzuca kij i zdejmuje miecz z wiązek zbroi zawieszonych na ścianie).

HATTO

(wybuchając śmiechem).

To widzę zbiera się na gody;
Brakowało trefnisia, byłby dobór wszelki.

(Do Żebraka).

Kto jesteś?

ŻEBRAK.

Frydrych z Szwabii, zwany Rudobrody.

MAGNUS.

To on!

(Ogólne zdziwienie. Wszyscy rozstępują się i tworzą rodzaj wielkiego koła. Żebrak w środku; prawą ręką dobywa z pod łachmanów krzyż na szyi przywiązany i podnosi go w górę, lewą rękę ma opartą na mieczu utkwionym w ziemię).

ŻEBRAK.

Oto krzyż, który nosił Karol Wielki.

(Wszyscy rzucają okiem na krzyż, chwila milczenia; on mówi dalej).

Ja, Frydrych, ziemi szwabskiéj władca urodzony,
Wybrany królem Rzymian, cesarz uwieńczony,
Miecznik Boży, Burgundyi król i Arelatu,
Żem znieważył grób, w którym spoczął Karol Wielki,
Za to zrzekłszy się tronu, blasków majestatu,
Gorzki-m kielich pokuty spełnił do kropelki.
Lat dwadzieścia w pustelni, niewidzialny światu,
Żyłem ze skał ziołami, wodą ze strumienia,
Jak mara, której pasterz lękał się zbliżenia.
Świat mię liczył oddawna między umarłemi;
Ale ja, słysząc kraju bolesne wołanie,
Rzuciłem dobrowolne grobowe wygnanie
I rzekłem: czas, bym głowę wychylił z pod ziemi.
Poznajecież mnie?

MAGNUS

(zbliżając się).

Odsłoń, cezarze, to ramię.

ŻEBRAK.

Chcesz zapewne obaczyć wypalone znamię.

(Uchyla rękawa).

Patrz!

(*Magnus schyla się, uważnie ogląda ramię żebraka, następnie prostuje się*).

MAGNUS

(*do obecnych*).

Obecni! wierzajcie świadectwu Magnusa,
To jest istotnie cesarz Frydrych Barbarussa.

(*Osłupienie do najwyższego stopnia. Koło się rozszerza. Cesarz oparty o miecz, odwraca się do obecnych i prowadzi po nich groźnem wejrzeniem*).

CESARZ.

Słyszeliście mnie niegdyś, gdy tą samą drogą
Wkraczałem brzęcząc zlotą u nogi ostrogą;
Przypatrzcież się burgrafy: to pan!... poznajecie?
Który podbił Europę i wskrzesił na świecie
Stare Niemcy, Ottonów poważne dzierżawy.
Pod którego wyroki ufni w dobréj wierze,
Cesarskiéj i szlacheckiéj, poddali swe sprawy
Trzej królowie w Mersburgu, dwaj w Rzymie papieże;
Ten, co skronie Wiktora tiarą papiezką,
A Swenona koroną ozdobił królewską;
Ten, co nogą rozwalił stary tron Hermana,
Ten, co gromił koleją w Tracyi i w Ikonie
Cesarza Izaaka, Kalifa Arslana;
Ten, co stłumiwszy bunty w Pizie i Ankonie,
Depcząc po przeniewierstwach, zdradach i niezgodach,
Chwycił szeroką dłonią Włochy o stu grodach;
Ten sam z groźbą na ustach powstaje przed wami.

(*postępuje krok, wszyscy ustępują*).

Radziłem sobie z królmi, poradzę z wilkami....
Jam karcił szubienicą hersztów upór hardy,
Strzaskał tłumne Alberta-Dzika halabardy;
Henryka Lwa jam rozdarł rękoma własnemi
I rozdzieliłem jego prowincje i księztwa
Między czternastu panów w nagrodę ich męztwa;
Gdziem stąpił, ziemia drżała pod stopy mojemi.
Wreszcie przez lat trzydzieści, kamień po kamieniu,
Rozwalałem wieżyce wasze po Nadreniu.
Poznajecież mnie dzisiaj zbójeccy mocarze?
O! jam przyszedł ukrócić mego państwa nędzę,
Ja was wszystkich dziś z liczby żyjących wymażę,
Na cztery wiatry niecne popioły rozpędzę!

(*Obraca się do łuczników*).

Wasi żołnierze, ręczę, za mną pójść gotowi:
Oni służyli sławie wprzód niźli wstydowi,
Bronili wespół ze mną kraju i ołtarza
I nie jeden z nich pomni starego cesarza;
Wszak prawda towarzysze? prawda weterani?

(*do burgrafów*).

Ha! burzyciele siedzib, zbójce wyuzdani,

Moja śmierć was wskrzesiła... Teraz! Nie wierzycie?
To ja... patrzcie, dotknijcie!...

(*Chodzi pośród nich szerokiem krokiem, wszyscy się rozstępują*).

Wy sobie mówicie:
Jesteśmy rycerzami, mamy swe dzielnice,
Jesteśmy hrabiów syny, dostojni szlachcice,
Równi ojcom.—Wy równi? o! karły niegodni:
Oni byli zuchwali, ale nie wyrodni.
Oni przy trąb odgłosie, z chorągwią na czele,
W otwartéj wojnie zbrojne czynili napady,
Czy bronią w broń, czy w tłumach, nacierali śmiele,
Wskok przebywali mosty strącone z arkady:
Oni do baszt sterczących śród najwyższéj góry
Pięli się po drabinie opartéj o mury,
Choć gięła się pod niemi, chociaż na ich karki
Leciały kłody drzewa, strugi wrzącéj siarki;
Albo pnąc się po linie na zamek wysoki,
Bujani przez noc całą nad paszczą otchłani,
Ryczeli nie jak ludzie, ale jak szatani,
Których wicher rozbijał o granit opoki.
A gdy ich strofowano za te nocne szturmy,
Oni w zbrojnych szeregach, przy rozgłosie surmy,
Jeden przeciw dwudziestu, otwarcie nie skrycie,
Czekali na wschód słońca, na władcy przybycie.
Tak zyskiwali zamki, grody i krainy:
To téż nie dziw, że pośród powszechnéj ruiny
Po pół wiecznych zapasach, okupionych bólem
Cesarstwa i ich własnym, przez olbrzymie czyny
Mały bywał książęciem, wielki bywał królem!
Ale wy jak sępowie, jako krokodyle,
Skryci w chróstu lub łozy zgęszczone badyle,
Niemi, nikczemni, z nożem rozbójniczym w dłoni,
W jakiém cuchnącém bagnie, w zbójeckiéj ustroni,
Lękając się, by pies was nie kąsił przypadkiem,
Nocą, śród dróg mniéj pewnych, czyhacie ukradkiem,
Aż brzęknie dzwonek mula, stąpnie krok człowieka:
Na jednego przechodnia stu zbrodniarzy czeka,
I bajże do jaskini dzielić się łupami....
I wam-to, nocni łowce, równać się z ojcami,
Którzy byli bezprawni, ale nie bezczelni,
Wielcy obok największych, z najdzielniejszych dzielni.
O! inne wcale wasze, inne ich koleje,
Oni byli zdobywcy, a wy co?.... złodzieje!

(*Burgrafowie spuszczają głowy z ponurém upokorzeniem przestrachu i gniewu. On mówi dalej*).

Gdybyście mieli serca, dusze, to nareście
Powiedziałbym wam z góry: Zbyt podli jesteście!

I w jakiejżeto chwili i w jakichto czasach
Trudnicie się, barony, rozbojami w lasach?
W chwili, kiedy ojczyzna w grobie nieszczęść tonie?
O podłyż syn, co matkę obdziera przy zgonie.
Ona płacze przed niebem na to okrucieństwo
I cichym skonu głosem mówi wam: Przekleństwo!
Co ona szepcząc mówi, ja głośno wyrażam
Jako cesarz, nie jako wasz gość. Tak! powtarzam,
Przekleństwo!! ja od dzisiaj w moje prawa wchodzę,
I sam skarany, drugich będę karał srodze.
(*Spostrzega dwóch margrabiów, Platona i Gilisę, i idzie prosto ku nim*).
Czy to teraz tu wasze miejsce, margrafowie?
Tu, nad brzegami Renu? cóż sejm na to powie?
Wy tutaj ucztujecie w tém bandytów gronie,
A tymczasem od wschodniéj granicy rżą konie
I horda Azyatyków w bramy Wiednia wkracza.
(*rozkazującym giestem*).
Na granice! a radzę wam wspomnieć czasami
Ernesta-Kiryśnika, Heinricha-Brodacza.
My straż mamy nad wieżą, a wy nad rowami!
Do granic!!
(*Spostrzegając Zoaglia Giannilara*).
Giannilaro! wszak to twe nazwisko?
Tyś tutaj niepotrzebny, wracaj w swe siedlisko.
(*Do Pendragona Bretanii*).
Co od nas chce sir Uther? jeszcze i Bretony,
Wszyscyż awanturnicy ściągnęli w te strony!...
(*Do margrafów Platona i Gilicy*).
Margrafowie zapłacą po tysiąc mark kary.
(*Do hrabiego Łupusa*).
Młodość wielka, lecz za to zepsucie bez miary.
Jesteś niczem! uwalniam twe miasto z poddaństwa.
(*Do księcia Gerharda*).
Hrabiankę Izabellę ty wyzułeś z państwa;
Krzywoprzysiężco! będziesz sądzony z kolei:
Ja wraz cesarską izbę zwołam w Bazylei
I tam publicznie, książe, przy wszem zgromadzeniu,
Będziesz szedł całą milę z żydem na ramieniu.
(*Do żołnierzy*).
Zwolnić więźniów, niech w pęta, z których się wyzują,
Swą własną ręką nogi burgrafów okują!
(*Do burgrafów*).
Prawda? to nie na rękę zbudzić się tak wcześnie!
Wy, siedząc z czarą w dłoni śród podniebnéj góry,
Rozgłośne uczt, miłostek, wykrzykując pieśnie,
Wesołoście w swą zdobycz wpijali pazury;
I rwąc w sztuki mój naród, me państwo przy śmierci,
Darli pomiędzy siebie krwawe ciała ćwierci!

Aż w niedostępnéj jamie waszéj, nieczekany
Staje przed wami mściciel groźny, niezbłagany;
Jak orzeł, gdy na sępy drapieżne z chmur spada,
Cesarz na wasze wieże stąpił nogą... Biada!...

(*Wszyscy zdają się uderzeni śmiertelnym przestrachem. Od kilku chwil Job wszedł i w milczeniu stanął między rycerstwem. Magnus sam słuchał cesarza bez pomieszania i wciąż patrzył na niego z uwagą. Gdy Barbarossa skończył, Magnus jeszcze raz zmierzył go od stóp do głów, następnie twarz jego przybiera ponury wyraz wesela i wściekłości*).

MAGNUS
(*patrząc na cesarza*).

To on z duszą i ciałem!

(*Rozpycha potężnym giestem żołnierzy i panów, idzie w głąb teatru, dwoma krokami przestępuje sześć schodów, chwyta dwiema pięściami za wieżyce galeryi i woła grzmiącym głosem na zewnątrz*).

Hej! potroić straże!
Górą most! spuścić bronę! obsadzić strzelnice!
Tysiąc ludzi na wąwoz, tysiąc na wieżyce!
(*Schodzi*).
On sam się w ręce oddał!

(*Zakładając nakrzyż ręce i patrząc oko w oko cesarzowi*).

Kłaniam ci, o słońce!
Lecz gdzież to dwór podziales, gdzie cesarscy gońce?
A prędkoż zagrzmią trąby na twe powitanie?
Tyś sobie rzekł: Ich baszty rozorzę, rozkopię,
A kiedy głaz na głazie na nich nie zostanie,
Jak w Pizie i Lubece posieję konopie.
Lecz cóżto? pusto, głucho, najjaśniejszy panie.
Sam jesteś, to twój zwyczaj, wiem, ty jesteś skory
Do takich samorzutnych awantur, cezarze;
Tyś jedném cięciem szabli zdobył Tars i Kori,
Głosem, wzrokiem, skinieniem, płoszysz zbrojne straże,
Gdy ci braknie zastępów, rzucisz groźne imie;
Takeś zrobił w Genui, Utrechcie i Rzymie.
Ikon upadł przed tobą, pierzchnęli Lombardy,
Widząc raz jak w piekielnym twoich ust powiewie
Strzęsły się z trzaskiem liście na żelaznem drzewie;
Lecz nam w oczy nie rzucisz bezkarnie pogardy.
Śmialem się w duchu, gdyś ty z tryumfu obliczem
(*Wskazując na łuczników*).
Mówił im: Weterani, towarzysze losu,
I ani drgnął z nich żaden, ani wydał głosu,
A czemu? bo ty, panie, tutaj jesteś niczem.
W tym burgu sam mój ojciec jest panem i głową,
Oni przed Bogiem nawet czynią co on każe;
Dla zbójcy nie świętego próżno gościa, cezarze!
A ty już nim nie jesteś, bo twe własne słowo.
(*Wskazując na Joba*).

Czy widzisz tego starca?—to mój ojciec, który
Spalił ci ramię, kiedyś te szturmował góry.
O! ciebie poznać lepiej po zniewagi słowie,
Niż po świętym oleju przyschłym na twéj głowie!
Zawiść była w was obu, stara jak wy sami,
Obaście za swojemi gonili głowami,
Aż on wziął twoją. Stoisz tutaj sam i nagi,
Ha, Frytzu Hohenstaufen! masz-że dość odwagi
Spojrzeć nam wszystkim w oczy i nie drżeć przed nami!
O lepiejbyś był wyszedł królu Arelatu,
Gdybyś swéj głowy z grobu nie ukazał światu,
Albo usiadł gdzie w głębi afrykańskiéj puszczy,
W obec zgłodniałéj hien i tygrysów tłuszczy,
Niż żeś na ten próg stąpił, za którym pół wieka
Zemsta z toporem w dłoni głodna na cię czeka!

(*Podczas mowy Magnusa w milczeniu ustawili się potrójnym szeregiem żołnierze uzbrojeni od stóp do głów, nad któremi powiewa chorągiew burgu pół czarna, pół czerwona, pośród któréj haftowany topór w paszczęcém polu, a nad toporem napis: „Monti comam viro caput.” Cesarz ani na krok nie odstępując, trzyma w granicach szacunku cały ten tłum. Wtém gdy Magnus skończył, jeden z burgrafów dobywa miecza*).

CADWALLA
(*dobywając. miecza*).

O! cezarze, cezarze, zwróć nam cytadelle.

DARIUSZ
(*podobnież*).

Zwróć nam burgi, śród których ptastwo gniazda ściele.

HATTO
(*podobnież*).

Zwróć nam zmarłych przyjaciół, którzy po ruinach
Przechodzą się, gdy nocą wicher płacze w trzcinach.

MAGNUS
(*chwytając topór*).

Tyś wyszedł z grobu, ja cię znów tam wtrącić muszę,
Abym zemstę nasycił, rozradował duszę.
On powstał! świat radośnie wykrzyknie ku tobie,
A echo z tych gór na to odpowie: On w grobie!
Drżyj więc, dziś naszym krzywdom zadosyć się stanie!

(*Burgrafowie z dobytemi mieczami naciskają cesarzu z ogromnym wrzaskiem. Job wychodzi z tłumu i podnosi rękę, wszyscy milkną*).

JOB
(*do cesarza*).

Mój syn prawdę powiedział, najjaśniejszy panie,
Tyś moim wrogiem... Jamto, ja żołnierz zuchwały,
Bezprawia rękę wzniósł na twój majestat święty.
Lecz ja chcę, aby Niemcy na świecie istniały,
A kraj mój z szczytu sławy nad przepaść zepchnięty!

Zbaw gol.... patrz, jam się piérwszy na kolana rzucił
Przed mym władcą, którego mój mi Bóg powrócił!
(*Klęka przed Barbarossą i odwraca się ku burgrafom, dając im znak, aby uklękli*).
Uklęknijcie! precz miecze.
(*Wszyscy panowie klękają rzucając miecze, oprócz Magnusa. Job mówi daléj na kolanach zwracając się do cesarza*).
Twoja dłoń jedyna
Może ludy ocalić; zlituj się nad niemi,
Boć cesarstwu ostatnia bije już godzina;
Lecz jest jeszcze dwóch Niemców na niemieckiéj ziemi:
Ty i ja, to wystarczy.
(*Wskazując na burgrafów*).
Co do tych młodzików,
Przebacz im, panie: żartuj z ich nikczemnych krzyków,
Boć to nie wie co robi.
(*Do Magnusa, który stoi*).
Magnus!
(*Magnus miotany ponurą niechęcią waha się, nareszcie na powtórny giest ojca, klęka. Job mówi daléj*).
Zawsze, panie,
Barony i poddani, łowcy i włościanie,
Niecierpieli się wzajem, wzajem się waśnili,
Zawsze góra z doliną szły siła na siły,
Wiesz o tém; więc w téj świętéj wyznaję ci chwili,
Że barony źle czynią, że góry zbłądziły!
(*Wstając do żołnierzy*).
Rozkuć więźniów!
(*Żołnierze w milczeniu rozkuwają niewolników, którzy podczas téj sceny stanęli w galeryi w głębi teatru. Job do burgrafów*).
Wy za-się, burgrafy, ich pęta
Włóżcie; tak kazał cezar: wola jego święta.
(*Burgrafowie powstają zagniewani. Job patrzy na nich z powagą*).
Ja naprzód.
(*Daje znak jednemu żołnierzowi, aby mu na szyję zarzucił pręt żelazny. Żołnierz spuszcza głowę i odwraca oczy. Job powtarza skinienie. Inni burgrafowie dają się okuć bez oporu. Job z łańcuchem na szyi odwraca się do cesarza*).
Otóż masz nas, władco, po swéj woli:
Job składa pod twe nogi swą stu-letnią głowę
I on w pętach i wszyscy. Lecz jeśli niedoli
Mężów, których znękały burze piorunowe,
Zechcesz ulżyć cokolwiek, wysłuchaj mnie, panie!
Prosimy cię o łaskę ostatnią, jedyną:
Gdy wojsko pod twą wodzą na granicach stanie,
Pozwól nam pójść za swoją wojenną drużyną,
Tak jak jesteśmy teraz, w pętach i pokorze;
Postaw nas z mieczem w dłoni, twarzą w twarz z wrogami,

Z najdzikszemi na świecie, z Turkiem, z Wandalami;
A choć będą liczniejsi niż na łanach zboże,
Niźli śniegi zimowe i wiosenne grady,
My rzucim się zacięcie w najśmielsze gromady
I nie opuścim ramion, aż wszystkich wysieczem.
Tak pod twą wodzą, królu, i z pomocą Boską
Łotrów zgładzim powrozem, bohatérów mieczem!

KAPITAN ŁUCZNIKÓW BURGU

(*zbliża się do Joba i schyla się dla wzięcia rozkazów*).

Czy....

(*Job daje mu znak, aby udał się do cesarza, który milczący i nieruchomy stoi w głębi teatru. Kapitan odwraca się do cesarza z głębokim ukłonem*).

Najjaśniejszy panie!

CESARZ

(*wskazując na burgrafów*).

Do więzienia!

(*Żołnierze uprowadzają burgrafów, prócz Joba, który pozostaje na skinienie cesarza; wszyscy inni wychodzą. Gdy pozostali sami, Fryderyk przystępuje do Joba i odejmuje mu łańcuch. Job patrzy na to wszystko w zdziwieniu... Chwila milczenia*).

CESARZ

(*patrząc mu w oczy*).

Fosko!

JOB

(*drżąc z przerażenia*).

O nieba!

CESARZ

(*kładąc palec na usta*).

Cicho....

JOB

(*n. s.*).

Boże, czy mnie słuch uwodzi?

CESARZ.

Niech Fosko czeka na mnie tam gdzie co noc chodzi.

CZĘŚĆ TRZECIA.

PIECZARA.

OSOBY.

Job.	Regina.
Guanhumara.	Cesarz.
Otbert.	Dwaj zamaskowani.

Loch ponury o nizkiém i kabłąkowatém sklepieniu, pozór jego wilgotny i straszny. Kawałki obicia zniszczonego przez czas, wiszą tu i owdzie na murze. Na prawo okno, w okratowaniu którego widać trzy kraty złamane i jak gdyby gwałtownie pogięte. Na lewo ławka i stół z kamienia, prostéj roboty. W głębi, w mroku rodzaj galeryi, w któréj dają się spostrzegać słupy podtrzymujące pochyłość archiwolt. Noc: promień księżyca wpada przez okno i odbija kształt prosty i biały na przeciwległym murze. Przy wzniesieniu kortyny JOB jest sam w lochu, siedzi na kamiennéj ławie, zatopiony w ponurém rozmyślaniu. Zapalona latarnia stoi przy jego nogach. Odziany jest opończą z grubego sukna.

SCENA I.

JOB *sam.*

Co do mnie cesarz mówił? co odpowiedziałem?
Jam chyba źle usłyszał lub źle zrozumiałem.
Od wczoraj czuję siebie marą i w zwątpieniu
Idę kędyś na oślep, w bezdroż, błędnym krokiem,
I ślady drogi nikną i jakby w marzeniu
Rzeczywiste przedmioty przed mym ciemnym wzrokiem
Mierzchną, jakby zakryte gęstéj mgły obłokiem.
(*Zamyśla się*).
Z umysłem nieszczęśliwych czart igra złośliwie;
Ja pewnie marzę tylko, lecz marzę straszliwie!
Niestety! w sercu, w którém płomień bolu żarzy,
Jeśli cnota zadrzymie, o! to zbrodnia marzy.
Młodość śni o tryumfach, starość śni o karze:
Dwa sny w dwóch końcach losu. Ale pierwszy kłamie;

A drugi?

(*Chwila milczenia*).

Oh! nateraz o tém tylko marzę,
Że się mój gmach wysoki nademną załamie.
Dziś Frydrych Rudobrody w moim domu włada,
O boleści! Lecz mniejsza... powinność nie bada;
Podałem dłoń krajowi w najcięższéj potrzebie.

(*Zamyśla się*).

Cesarz! byliśmy wzajem widmami dla siebie,
I patrzyliśmy w siebie wzajemnie zdumieni,
Jak dwa błędne olbrzymy na gruzów przestrzeni!
Każdy z nas nad przepaścią dotrwał nieugięty,
My jesteśmy najwyższą przeszłości opoką;
Nowy wiek wszystko chłonął, lecz jego odmęty
Nie dosięgły głów naszych, tu im za wysoko.

(*Zagłębia się w myślach*).

Jeden z nas padnie.... To ja. Mnie-to mrok zasunie.
Strasznyto będzie łoskot, gdy ma góra runie.
Jutro już Ren, mój ojciec i mych czynów świadek,
Opowie w starych Niemczech ten dziw, ten upadek;
Jutroto jego fale szeroko rozniosą
Ten wielki pojedynek Joba z Barbarossą!
Żegnam was czarne szturmy! was olbrzymie boje!
Jutro zdala od synów, pozbawion wassali,
Zobaczę, jeśli patrzyć będą oczy moje,
Jak przechodnie po drodze będą wyśmiewali,
Jak się naigrawać będą z tego Joba, który
Sto lat walcząc o każdą stopę swojéj góry,
Dotrwał w krwawéj z cezarem i Rzymem rozterce,
A dziś mu ptak cesarski żywcem porze serce.
O Niemcy! a więc jutro nareszcie ujrzycie
Ten widok niespodziany, straszny, okazały;
Ten upadek kolossu, to krwawe przybicie
Ostatniego burgrafa do ostatniéj skały.

(*Wstaje*).

Jakto? więc ty masz upaść, hrabio Jobie? Cicho!
Choć na grobowym progu zamilcz stara pycho!

(*Spogląda naokoło siebie*).

To tu, w podobnéj nocy... odległa to pora...
Już temu lat sześćdziesiąt, dla mnie zawsze wczora...
Okropność!!...

(*Opada na ławę, zakrywa twarz rękami i płacze*).

Odtąd co noc w tym mroku sklepienia
Zbrodnia moja po kropli sączyła boleśnie
Ten krwawy pot, co zwie się zgryzotą sumienia.
Tu ja rozmawiam z temi, co zmarli przedwcześnie.
Od téj straszliwéj pory, Boże!... na me skronie
Bezssenność powaliła ołowiane dłonie;

A jeśli zdołam zasnąć, to dwa białe cienie
Włóczą się przed oczami, lejąc krwi strumienie.

(*Wstaje i idzie na przód sceny*).

W oczach gór, co sięgają pod niebieskie stropy,
Ja stu-letni rozbójnik, osiwiały w boju,
Zyskałem okrzyk świata, zdumienie Europy;
Ale, morderca, zyskać nie mogłem pokoju:
Żadnéj sławie sumienia uwieść się nie uda.
Świat myślał, że mnie zwycięztw upoiły cuda;
A ja tymczasem tutaj z wieczora do rana
Lat sześćdziesiąt pokutne zginałem kolana!
Te mury, mego burgu kryjówki podziemne,
One tylko widziały to wnętrze nikczemne
Méj fałszywéj, popiołem przywalonéj chwały!
Trąby tryumfy moje światu rozgrzmiewały;
Byłem potężny, grozą wiały me sztandary;
Byłem hrabią cesarstwa, lwem śród méj pieczary:
Lecz kiedy wszystko drżało, nikło na me imie,
Zbrodnia, ten szpetny karzeł, żył we mnie olbrzymie;
Śmiał się śród rozgłośnego tryumfów okrzyku,
I gryząc w serce, wołał: nędzniku! nędzniku!

(*Podnosząc ręce do nieba*).

O! Donato, Ginevra! niewinne ofiary!
Przebaczycież katowi w dzień sądu i kary?
Ah! tłuc piersi i kamień wygniatać kolanem,
Niebo wypełnić prośbą i skruchą przed Panem,
To nie dosyć. Nic w doli mojéj się nie zmienia,
Nic dla mnie prócz przekleństwa, śmierci, potępienia!

(*Siada*).

Miałem ja i potomstwo i przesławne przodki;
Dziś burg upadł, syn stary, a wnuki wyrodki.
Jerzego postradałem, a Otbert, Regina,
Ta miłość mojéj duszy ostatnia, jedyna,
Bo dusza kochać musi, jako tchnienie boże....
I oni gdzieś przepadli w mym zburzonym dworze.
Szukałem ich napróżno: zniknęli oboje,
To nadto... trzeba umrzeć!

(*Dobywa z za pasa sztylet*).

Zawsze serce moje
Tu coś ciągnie.

(*Odwraca się do głębin podziemia*).

Bracie mój! w ostatniéj godzinie...
Bracie! Donato!... przebacz, przybądź tu z pociechą!
Joba nie ma! Zlituj się nad Foskiem!...

GŁOS
(*w ciemnościach cichy jak szemranie*).

Kainie!

JOB
(*zmieszany*).

Co to jest? ktoś tu mówił... Nie, to pewnie echo:
Gdyby kto mówił do mnie, to mówiłby z grobu,
Bo, prócz mnie, nikt z żyjących dziś nie wié sposobu
Wejścia do tego lochu; a ci co wiedzieli,
Tu z méj ręki przed laty sześćdziesiąt zginęli.
(*Postępuje krok ku głębi teatru*).
Błagam cię ze skruszoném sercem: niebianinie!...
Męczenniku!... zmiłuj się nad Foskiem!

GŁOS.

Kainie!

JOB
(*powstaje z przerażeniem*).

Dziwna rzecz! głos wyraźny uszu mych dolata!
Dobrze! ktokolwiek jesteś, z jakiegobądź świata,
Duchu! wzywam cię! uderz w to łono przeklęte!
Wolę zginąć, niżeli w téj mroku dziedzinie
Słyszéć to straszne echo, to echo zawzięte,
Które gdy mówię, *Fosko* odbrzmiewa...

GŁOS
(*coraz ciszéj, jakby niknął w głębokościach*).

Kainie!
Kainie!

JOB.

Ah!

GŁOS.

Kainie!

JOB.

Boże nieśmiertelny!
Wielki Boże! oh, przerwij to moje męczeństwo,
Ten zawrót, który czuję, przechodzi w szaleństwo!
Odurza mnie, upaja jakiś płyn piekielny!
O jak się we mnie wściekle chichocze zgryzota...
To sen ciężki, okropny mym umysłem miota,
A w tym lochu straszniejszy nad wszelkie wyrazy.
O głosie! co zstępujesz z umarłego świata,
Co chcesz odemnie? jestem na twoje rozkazy:
Zapytaj, a odpowiem...

(*Kobieta zasłonięta, czarno ubrana, z lampą w ręku, ukazuje się w głębi teatru. Wychodzi z poza lewego filaru*).

SCENA II.

JOB, GUANHUMARA.

GUANHUMARA
(zasłonięta).

Gdzie podziałeś brata?

JOB
(z przestrachem).

Kto ty jesteś, kobieto?

GUANHUMARA.

Wszędzie niewolnica,
Ale tutaj królowa. Tak to, hrabio Jobie,
Ten burg podwójny, znany nie samemu tobie;
O! i mnie każda jego wiadoma tajnica.
Twojém jest, co na słońcu promienisto płonie,
Lecz co mrok cieniem oblókł, to moje, baroniel
(Idzie zwolna ku niemu).

JOB.

Kto ty jesteś, kobieto?

GUANHUMARA.

Spotkałam cię przecie!
Opowiem ci zdarzenie, oh! przebrzydłéj treści:
Dawno już... wielu odtąd ubyło na świecie;
Stuletni, mieli wówczas ledwie lat czterdzieści.
W chłodną noc października, tak jak dzisiaj, panie;
Zimny księżyca promień
(Obraca się i pokazuje na mur oblany światłem księżycowém)
Wodził po téj ścianie
Blade światła pasemko, a w cieniu filara
(Wskazując zakąt podziemia)
W miłosném uściśnieniu stała młoda para....
Wtém wszedł ktoś z mieczem w dłoni....

JOB.

Ah!

GUANHUMARA.

Czy znasz tę sprawę?
(Wskazując na ławę kamienną).
Fosko! Wszak tu Donata padły zwłoki krwawe?
(Chwyta Joba za rękę).
Oto dłoń, co morderczym ugodziła grotem
W pierś brata.

JOB.

I ty uderz, ale nie mów o tém....

GUANHUMARA
(prowadząc go do okna).

Patrz, tém oknem zrzucony w ten potok burzliwy
Donato z mastalerzem, co zwał się Sfrondaty,
I by przeszły ich ciała, jeden kat straszliwy
Swoją stalową ręką złamał te trzy kraty.

(Bierze go znowu za rękę).

Ta ręka, dzisiaj trzcina, to ta, hrabio Jobie!

JOB.

Litości!

GUANHUMARA.

Tutaj także, przypominasz sobie?
Litości! łamiąc ręce, kobieta wołała;
Ale nikczemny zbójca, rozkazał bezczelnie
Związać ją

(Wskazując na taflę kamienną).

tu! a potém śmiejąc się piekielnie,
Sam obręcz niewolniczą przykuł do jéj ciała.

(Unosi suknię i pokazuje mu pręt wrosły w jéj bosą nogę).

JOB.

Ginevra!

GUANHUMARA.

Któréj imię pięknie brzmi w Italii,
Lecz ją ludzie z północy Guanhumarą zwali;
Starość, ta druga północ, swą dłonią obrzydłą
Z lubookiéj dziewicy zrobiła straszydło.

(Unosi zasłonę i ukazuje Jobowi oblicze ponure i znędzniałe).

Ty dziś umrzesz.

JOB.

Oh dzięki!

GUANHUMARA.

Zanim spoczniesz w grobie,
Nie kwap się z dziękczynieniem. Jerzy syn twój żyje.

JOB.

Co ty mówisz?

GUANHUMARA.

Jam jego przywłaszczyła sobie,
Miał wtedy w ten łańcuszek owiniętą szyję.

(Dobywa z zanadrza i rzuca mu łańcuszek dziecinny z pereł i złota. Job chwyta go i okrywa pocałowaniami, potém pada na kolana przed nią).

JOB.

Ah! przez litość, kobieto, ja cierpiałem tyle;
U nóg twoich zaklinam cię, przez Boga w niebie,
Pokaż mi moje dziecko, pokaż choć na chwilę!

GUANHUMARA.

Zaraz on sam tu przyjdzie zamordować ciebie,

JOB
(powstając ze zgrozą).

A więc go na potwora musiałaś wychować,
Gdy mniemasz, że syn zechce ojca zamordować.

GUANHUMARA.

To Otbert!

JOB
(podnosząc ręce do nieba).

Dzięki niebu! i jam o tém marzył,
Lecz Otberta Bóg w same cnoty uposażył,
Próżno liczysz na niego.

GUANHUMARA.

Słuchaj, wiem co robię!
Tyś szedł po świetle dziennem, a ja w nocy cieniach,
I nie czułeś jak zwolna pełzałam ku tobie,
A więc ocknij się, Fosko, choć w węża pierścieniach!
Podczas gdyś ty z cesarzem rozmawiał w zebraniu,
Ja byłam u Reginy w twém własném mieszkaniu;
Byłyśmy same; ona z méj ręki wypiła
Wszechwładny napój.... zobacz jaka jego siła.

(Wchodzą w głębi galeryi prawą stroną dwaj ludzie zamaskowani, ubrani czarno, niosący trumnę okrytą czarném suknem: postępują wolnym krokiem w głębi. Job biegnie ku nim. Zatrzymują się).

JOB.

Trumna!

(Przestraszony odchyla czarny całun, dwaj ludzie nie wzbraniają mu. Job spostrzega w trumnie bladą postać Reginy).

Regina!

(do Guanhumary).

Tyś ją zabiła, potworze!

GUANHUMARA.

Jeszcze nie: to powszednia jest igraszka moja:
Dla was ona nie żyje, dla mnie ożyć może.

JOB.

Cóż ją zdoła ocucić z tego snu?

GUANHUMARA.

Krew twoja!
Podług woli Otberta niech się wszystko stanie.
(Wyciąga rękę ku trumnie).
Lecz przysięgam! na zgrozę, którą krzywda niecci,
Na słońce, co ogniście nad Korsyką świeci;
Na ślady krwi, co dotąd błyszczą na téj ścianie,
I na ten zimny szkielet, który śpi w potoku,
Że ta trumna nie wyjdzie pustą z tego mroku.
(Dwaj ludzie odchodzą z trumną i znikają w stronie przeciwnéj téj, którą weszli).
(Do Joba).
Niechaj Otbert wybiera, jéj śmierć, albo twoję!
A jeśli uciec zechcesz, to zginą oboje.

JOB
(zakrywając twarz rękami).

Okropność.

GUANHUMARA.

Umrzyj stary! niech Regina żyje.

JOB.

Posłuchaj mnie raz jeszcze, nim mnie grób zakryje!
Wyrwij mi serce z piersi, wytocz krew mą— zgodą,
Byle czystą została jego dusza młoda.
Kobieto! czyż ci jednéj nie dosyć ofiary?
Wszak znasz moje rodzeństwo!.. Oh, ja zbrodniarz stary
Musiałem żyć śród sprosnych czartów tego piekła,
Co z méj wyrosło zbrodni: patrzéć w każdej chwili
Na ohydnych padalców, którzy się zrodzili
Z kropel krwi, co z mojego puginału ściekła!
Wiem! kto siał zbrodnie, karę musi mieć na żniwo:
Tyś mnie w jakieś piekielne uplątała skręty,
Czegóż chcesz więcéj? we mnie masz ofiarę żywą!
I ja, w synach i wnukach od Boga przeklęty,
Nie mam ci tego za złe, owszem— ależ przecie
Oszczędź moje ostatnie, a niewinne dziecię.
On ci nic nie zawinił, za cóż własne ramie
Ma mu wypiec na czole ojcobójstwa znamię!
Bo jeżeliś Ginevro! konieczném uznała
Pozbawić mnie ostatniéj pociechy przy grobie,
Jeżeliś mi najdroższe dziecię odebrała,
Ja ci o to najmniejszych wyrzutów nie robię;
Wzięłaś i wychowałaś go, zdrowo, przy sobie,
I byłaś jakby matką téj lubéj dziecinie;
Widziałaś, tegoć szczęścia zazdroszczę jedynie,
Jak on, orlęcia oko zapuszczał w to życie,
Czułaś na łonie pierwsze jego serca bicie,

Lubowałaś się jego dziecinném pojęciem,
Pierwszą muzyką duszy.... On jest twém dziecięciem
Tak niemal jak i mojém.... Wierz mi, przez Bóg żywy!
Ten cios nad wszelki wyraz był dla mnie straszliwy.
Jam dosyć ukarany! Kiedym wówczas rano
Dowiedział się, że syna z domu mi porwano,
Piorun raził mą duszę, padłem na bruk głową
I w szaleństwie to jedno powtarzałem słowo:
— Gdzie mój syn?! gdzie mój Jerzy?! Wyobraźże sobie,
W jakiéj boleści żyłem i w jakiéj żałobie
Po stracie tego dziecka rozpaczając co dnia!
Dziś twój zamiar straszliwszy niźli moja zbrodnia!
Porzuć go, zastanów się. Jakto? on.... morderca!
On, mój syn, co w anielskiéj niewinności żyje:
Cofnij się jeśli serce w twojéj piersi bije.

GUANHUMARA.

Serce! tyś mi je wydarł— ja dziś nie mam serca!

JOB.

Oh! wiem, że się nie skryję śród całego świata
Przed twą zemstą; lecz pozwól z innéj ginąć ręki.

GUANHUMARA.

Nie: syn ojca zabije— gdzie brat zabił brata.

JOB

(*Klęka, składa ręce i włóczy się u nóg Guanhumary*).

Ginevro! niech cię wzruszy głos okropnéj męki!

GUANHUMARA.

A ty dałżeś się wzruszyć, kiedym ci przed laty
Bezprzytomna u nóg się włóczyła po ziemi;
Kiedym cię za nim łzami prosiła krwawemi:
A tyś go porwał, przebił i rzucił za kraty.
Groziłam ci, że kiedyś pomszczę nas oboje.
A tyś rzekł: «Mścij się! jam już pomścił się za swoje».

JOB

(*wciąż na klęczkach*).

Przebacz! przebacz! jam ciebie kochał do szaleństwa.
Zazdrościłem!

GUANHUMARA.

Milcz!

(*Wznosząc oczy do nieba*).

To już nadmiar bezeceństwa.
Żeby para szatanów w tym ponurym grobie
Śmiała, miłości świętą! wspominać o tobie!

(Do Joba).

O tak! i ja kochałam— kiedyś... w dawne lata!
Oddaj mi bratobójco! oddaj mi Donata!

JOB

(wstając z ponurą rezygnacyą).

Czy Otbert wié, że ojca w tém miejscu zabije?

GUANHUMARA.

Nie wié: całą tę sprawę mrok nocy pokryje;
Wié tylko, że zbrodniarza jako kat ugodzi.
Giń niepoznany, chętnie sama-ć to doradzam;

(Odpina swoją czarną zasłonę i rzuca mu).

Zakryj się tą zasłoną i milcz.... Ktoś nadchodzi,
A więc poleć się Bogu.... To on.... nie przeszkadzam,
Lecz pomnij, że Regina żyć lub umrzeć może;
Rozprawcież się więc oba— żegnam!

JOB

(padając na kolana przy kamiennéj ławie).

Wielki Boże!

(Okrywa sobie głowę zasłoną i pozostaje na klęczkach nieruchomy, w postaci modlącego się. Prawą stroną galeryi wchodzi człowiek w czarném ubraniu i zamaskowany, jak dwaj poprzedni, z pochodnią w ręku. Daje znak komuś idącemu za nim, aby wszedł. To Otbert blady, obłąkany, nieprzytomny. W chwili gdy Otbert wchodzi i gdy później mówi, Job pozostaje nieporuszony. Jak tylko Otbert wszedł, zamaskowany znika).

SCENA III.

JOB, OTBERT.

OTBERT.

Gdzież jestem? Boże! Cóż za przybytek grobowy?

(Spoglądając na około siebie).

Mój przewodnik już zniknął... dziwny strach mną miota,
Więc już tu, drżę.... oh! duszno... krew bije do głowy....

(Spostrzegając Joba).

Cóż to za mara?

(Kładzie rękę na głowie Joba).

Przebóg to żywa istota!

(Job klęczy nieporuszony).

Czuję żem zlodowaciał pod morderstwa tchnieniem,
Więc tu jest rusztowanie? Tu stoi ofiara?
Fosko, który masz upaść pod zemsty ramieniem,
Czy to ty?... Nic nie mówi.... Więc to on, ta mara!
O! ktobądź jesteś, powiedz— ja się sobą brzydzę,
Lecz nic nie wiem, twa wina jest dla mnie tajemną.
Powiedz— czemu cię tutaj nieruchomym widzę?
Czemu groźny i straszny nie stajesz przedemną?

Jesteśmy sobie wzajem obadwa nie znani,
Lecz czy wiesz, że dłoń moja, to nie dłoń siepacza,
Że ja tu jestem tylko sługą srogiéj pani,
Którać tę straszną karę z méj dłoni przeznacza.
Czy wiesz, że tu się włóczy jakiś kir złowrogi,
W którego fałdach moje uplątane nogi?
A czy nie znasz Reginy, mojego kochania,
Któréj oko w méj duszy rodzi świt zarania?
Ona tam— jéj oblicze całun śmierci kryje,
I nie prędzéj powstanie, aż ja cię zabiję.
A więc zmiłuj się, starcze! duszo litościwa!
Patrz jaka na tę zbrodnią zgroza mnie ogarnia,
Do któréj nie ugięta konieczność wyzywa,
I powiedz nieszczęsnemu jeszcze na tym świecie
Choć słówko przebaczenia! oh— co za męczarnia!

JOB
(wstaje i odwraca się).

Otbercie! mój Otbercie! moje drogie dziecię!

OTBERT.

Panie!

JOB
(przyciskając go w uniesieniu do piersi).

Dusza się gwałtem ku niemu wyrywa!
Do téj męki milczenia już mi zbrakło siły!
Ja, dzisiaj stary nędznik, we łzach, w pośmiewisku,
Nie, ja nie mogę umrzeć bez twego uścisku!
(Okrywa twarz Otberta pocałunkami).
Pójdź—pójdź, niech ci się dobrze przypatrzę, mój miły,
Ja rok cały patrzyłem na ciebie— a przecie
Dziś cię dopiéro widzę, moje drogie dziecię!
(Patrzy na niego w upojeniu).
Młodzian dwudziestoletni— ślicznyż kwiat, mój Boże!
Uchyl czoło, niech na niém skrzepłe usta złożę!
Przed chwilą gdyś ty mówił, ja jak skamieniały
Milczałem— lecz się we mnie wnętrzności targały.—
Daję-ć, Otbercie, miecz mój co wisi na ścianie
I chorągwie co w bojach tryumfalnie wiały,
I hełm co mnie w niejednéj zasłaniał potrzebie.
O! chciałbym, byś sam przez się, mógł chrobry młodzianie,
Czytać w głębi méj duszy ile kocham ciebie.
Błogosławię cię!... Boże użycz mu łask wszelkich;
Daj mu długie jak moje, lecz mniéj gorzkie lata;
Niechaj ma spokój w domu i rozgłos u świata;
Niech grono zacnych synów i jak ojciec wielkich
Podpiera jego kroki drżące a wspaniałe,
Kiedy te czarne włosy wiek przebarwi w białe.

OTBERT.

Ah! panie.

JOB

(rozciągając nad nim dłonie).

Błogosławię go.... ziemio i nieba!
Niechaj każdy czyn jego i każda potrzeba
Rozkwita mu na szczęście.— A teraz mój miły,
Wiesz— już nie jestem ojcem, nie jestem mocarzem,
Straciłem całe mienie w rozterce z cesarzem,
Aby ocalić Niemcy. Widzisz, nie mam siły,
Aby się dłuższém życiem na téj ziemi męczyć;
Lecz nie ufam méj dłoni— ty chciéj ją wyręczyć.
(Wyciąga z pochwy sztylet Otberta i pokazuje nań).
Do ciebie się w tej ważnéj potrzebie uciekam.

OTBERT

(z przestrachem).

Do mnie? lecz wiecież panie, że ja również czekam....

JOB.

Jakiegoś Fosko....

OTBERT.

Tak jest

JOB.

To ja!

OTBERT

(odstępuje i prowadzi oczami na około siebie).

Oh! litości!
Wzywam was czarni goście podziemnéj ruiny!
Was widma, i was duchy północnéj godziny:
To on, przedmiot czci mojéj i mojéj miłości!....
Zlitujcie się nad nami w chwili zatracenia!....
Wszystko milczy!... okropność!... to Job!... Boże w niebie!
(Uroczyście i z rozpaczą).
O! starcze— święta głowo! półbożku Nadrenia,
Ja nigdy nie podniosę méj ręki na ciebie.

JOB.

Otbercie! grobowego uchyl mi kamienia.
Wiedz, że jestem zbrodniarzem wywołanym z świata,
A twoja siostra w niebie— małżonka na świecie,
Którą ty uratować poprzysiągłeś przecie,
Regina, tam jest— leży martwa, lodowata;
Mówiłeś, że chociażbyś widział pod nogami
Otwartą przepaść piekła, w płomieniach, bezdenną,
To walczyć o nią będziesz nawet z szatanami
I okupisz jéj życie własnéj duszy ceną.

Owóż dziś ona leży tam, w téj czarnéj jamie,
Gdzie nad jéj ciałem wisi groźne śmierci ramie!
Uratuj ją!

OTBERT
(obłąkany).

Więc mówisz że mnie słowo wiąże?

JOB.

Jakże możesz się wahać? Uważ— z jednéj strony,
Ja stary potępieniec— występkiem shańbiony,
Więcéj jastrząb niż orzeł, rozbójnik niż książe;
Ja, na którego życie pełne krwawej chwały,
Nieraz pod tronem Boga pioruny szemrały!
A patrzaj!—z drugiéj strony— w poranku żywota,
Woła na ciebie miłość i piękność i cnota!
Kobieta co cię kocha! dziecie które błaga!
Wierzaj mi, byłaby to nawet nierozwaga,
Chwiać się między łachmanem plugawym, wzgardzonymn,
A purpurową szatą Pańskiego anioła:
Ona chce żyć, ja umrzeć. Wszystko na cię woła.
Wygodź jednym zamachem dwojgu uciśnionym,
Jeśli nas kochasz....

OTBERT.

Boże!

JOB.

Uwolnij nas razem:
Ją od niechybnéj śmierci, a mnie
(Wskazując na sztylet).
tém żelazem
Od wyrzutów sumienia.

OTBERT
(dobywając sztyleta).

Więc!.....
(zatrzymuje się).

JOB.

Cóż cię odwodzi?

OTBERT.

Panie! okropna myśl mi do głowy przychodzi.
Wszak sam mówiłeś do nas dzisiejszego ranka,
Że ci dziecię przed laty ukradła cyganka —
Kto wie — dziś nadzwyczajne snują się wypadki:—
I ja się wychowałem u obcéj mi matki—
Gdybym ja był tém dzieckiem— ty mym ojcem.

JOB
(na stronie).

Boże!

(Głośno).
Upamiętaj się, chłopcze! zkądże to mniemanie!
Ty nie jesteś tém dzieckiem— nie, to być nie może.

OTBERT.

A jednakże tak często zwiesz mnie synem, panie!

JOB.

Bo cię kocham.... przywykłem.... to tak słodkie miano.

OTBERT.

A ja czuję....

JOB.

Cóż znowu!

OTBERT.

Słyszę w sercu mojém,
Jakiś głos....

JOB.

Ten głos łudzi twą duszę stroskaną.

OTBERT
(załamując ręce).

Panie! panie! a gdybym ja był dzieckiem twojém!!!...

JOB.

Zapewniam cię, Otbercie, że to być nie może:
Miałem dowód... (*na str.*) już nie wiem co czynić—mój Boże!
(*głośno*) Iż moje dziecię żydzi na szabas zabili.....
Trupa mi odniesiono.... Sam przecież słyszałeś,
Jakem mówił dziś rano.

OTBERT.

Nie!

JOB.

Oh! zapomniałeś!....
Nie, nie jesteś mym synem.... nie wątp ani chwili.
Gdyby nie dowód, który jawnie temu przeczy,
Ja sam miałbym wątpliwość w téj zawiłéj rzeczy;
Rad nawet jestem, żeśmy na to przypuszczenie przyszli,
By ci je raz na zawsze wyrugować z myśli.
Słuchaj, jak umrę, gdyby jakowy oszczerca,
Wmawiał ci, by zakłócić pokój twego serca,
Że Job był twoim ojcem— nie wierz jego mowie;
To byłoby oszustwo.... Pojmujesz sam przecie,
Że staremu wspomnienie zaciera się w głowie,
Lecz wiesz, że żydzi w szabas zabijają dziecie;

Tak to zginął mój Jerzy, lat dwadzieścia przeszło,
Miałem na to dowody.... ciało porzucili ...
Bądź spokojny, mój synu!.... Patrz znów... każdéj chwili...
Zwę cię synem.... to widzisz, już mi w zwyczaj weszło.
O! możesz bez obawy ukrócić mą mękę,
A ja, sam widzisz, cierpię nad wszelkie wyrazy,
I całuję twe czoło i ściskam twą rękę,
Która chociaż uderzy, zostanie bez zmazy.
O tak, ja jestem pewny, najpewniejszy w świecie,—
Nie! najdroższy Otbercie! tyś nie moje dziecię!

GŁOS
(w ukryciu).

Regina jeszcze tylko kwadrans czekać może.

JOB.

Czy słyszałeś Otbercie?

OTBERT.

O potężny Boże,
Boże przeznaczeń! widzisz, żem walczył do zbytku,
Mnie czarci upoili w tym zgrozy przybytku,
Gdzie w oczy starym zbrodniom ma się stawić nowa,
Pod wyziewem morderstwa pęka moja głowa,
Czy tych lochów powietrze zaraża sumienie,
(W obłąkaniu).
Czy ten stary mur jeszcze czuje krwi pragnienie!

JOB
(kładąc mu w rękę sztylet).

Tak jest.

OTBERT.

Nie potrącaj mnie!

JOB.

Uderz!

OTBERT.

Ja się boję!
Nad tą zbrodni przepaścią nie wiem czy dostoję,
Jestem gotów na wszystko.... już sobą nie władam;
Nie potrącaj mnie, panie, widzisz że upadam!

JOB.

Więc uratuj niewinność i ukarz zbrodniarza!

OTBERT
(chwytając za sztylet).

Czyż nie widzisz, że coraz mniéj ta myśl mnie zraża,
Nie widzisz, żem przytomny ledwie przez połowę?
Że mi te widma w maskach upoiły głowę,

Podżegły siłą jakąś trucizną szatańską?
Która wlała w me serce duszę korsykańską?
Że tam moja Regina konająca czeka—
A tu wilczyca mruczy i z głodu się wścieka.

JOB.

Czas! czas! abym pokutą moje obmył zbrodnie!
Brat mnie błagał, a jam go odepchnął niegodnie,
I ty mnie nie oszczędzaj.— Jam jest szatan stary,
Ty, bądź tu Archaniołem zwycięztwa i kary.

OTBERT
(podnosząc sztylet).

Mimowolnie z méj dłoni morderstwo wylata.

JOB
(klęka).

Patrz, jam tutaj własnego zamordował brata,
Uderz więc!.... jam litości nie miał nad Donatem,
To był brat mój!....

(Otbert, jak szalony, bezprzytomnie podnosi sztylet; już się zamierza uderzyć, wtém ktoś go chwyta za rękę: odwraca się i spostrzega cesarza).

SCENA IV.

CIŻ, CESARZ, *potém* GUANHUMARA, *następnie* REGINA.

CESARZ.

Wstrzymaj się! ja jestem tym bratem.

(Otbert upuszcza nóż, Job wstaje i wpatruje się w cesarza; Guanhumara wychyla głowę z poza lewego filaru i patrzy).

JOB
(do cesarza).

Ty, panie!

OTBERT.

Cesarz!

CESARZ
(do Joba).

Nie wiem z jakiego powodu,
Nasz ojciec w twoim zamku mnie ukrył za młodu.

JOB.

Mój brat!

CESARZ.

Chociaż krew ze mnie płynęła obficie,
Jednak z nią razem całe nie ubiegło życie.
Pomnę, gdyś nad potokiem rzekł w dzikim zapędzie
Z za tych krat:
„Grób dla ciebie, dla mnie piekło będzie."

JOB.

Prawda, oh! same nieba ciosy me odbiły.

CESARZ.

Pasterze mnie znaleźli.

JOB
(*padając na kolana*).

A więc czekam kary;
Pomścij się, skarz złoczyńcę!

CESARZ.

Powstań, bracie stary.
Uściśnijmy się raczéj przed progiem mogiły;
Przebaczam ci.
(*podnosi go i całuje*).

JOB.

O Boże!

GUANHUMARA
(*postępując krok*).

Więc zemsta ustaje.
Donato żyje, drogą odzyskałam zgubę,
Odbierzcie zatem wszyscy to co wam jest lube:
Wszystko to, com wam w zemście wydarła, oddaję.
(*Do Joba*).
Tobie syna.
(*Do Otberta*).
A tobie małżonkę.

(*Robi znaki w powietrzu. Regina okryta biało ukazuje się w głębi galeryi na lewo: idzie jakby w odurzeniu wsparta na dwóch zamaskowanych. Spostrzega Otberta i pada w jego objęcia, wydając głośny okrzyk*).

OTBERT.

Regina!
(*Do Joba*).
Mój ojcze!

REGINA.

Nieba!

JOB
(*wznosząc oczy do nieba*).

Boże!

GUANHUMARA
(*w głębi*).

Grób się dopomina.
Trzeba umrzeć!

(*Przykłada do ust flakonik. Cesarz spiesznie do niéj podchodzi*).

CESARZ.

Co robisz?

GUANHUMARA.

Przysięgły me usta,
Że trumna z pod tych sklepień dziś nie wyjdzie pusta.

CESARZ.

Ginevro!

GUANHUMARA
(*padając u nóg cesarza*).

Téj trucizny szybkie jest działanie.
Żegnam cię, moj Donato!

(*Umiera*).

CESARZ
(*powstając*).

I ja idę w drogę.....

JOB.

Pozostań z nami, władco!

CESARZ.

Nie, bracie: nie mogę.
Ty obejmij nad Renem dawne panowanie....
Odchodząc, zostawuję światu namiestnika,
Bo właśnie herold państwa ogłasza w téj chwili,
Że książęta na sejmie w Spirze uradzili,
Uznać cesarzem wnuka mego Fryderyka.
Jestto mąż zdrowéj rady i dostatni w cnoty;
Jemu zostawiam berło, wam życia kłopoty:
A sam, bracie, odchodzę— krzyż unosząc z sobą.
Chciałem tylko, nim skończę długą życia mękę,
Rozciągnąć raz ostatni opiekuńczą rękę,
Jak monarcha nad ludem, jako brat nad tobą,
Cokolwiek bądź....gdy człowiek w kraj przyszłości wkracza,
Szczęsny gdy błogosławi!

(*Wszyscy klękają pod błogosławieństwem cesarza*).

JOB
(*całując mu rękę*).

Wielki gdy przebacza!

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Thiersa XVII tom Historyi Konsulatu i Cesarstwa. — Nowy tom Historyi francuzkiéj Micheleta *Louis XIV et la révocation de l'Edit de Nantes*. — Historya panowania Filipa IIgo przez amerykańskiego dziejopisa Prescotta. — Trzy studya Macaulaya. — Laryngoscop, wynalazek Węgra Czermaka. — Wynalazek panny Cléret. — Zorza północna. — Wiadomości literackie.

Historya jest najwyższą mentorką rozumu ludzkiego: korzystając z jéj nauk kierownicy ludzkości nie powinniby błądzić, bo następstwa wszech rzeczy wytyka; ludzkość nie powinnaby rozpaczać, bo uczy czekać cierpliwie i wierzyć w przyszłość. Rozumié się, iż mówimy tu o historyi w właściwém znaczeniu tego wyrazu, nie o téj fantastycznéj, która od niejakiego czasu w tak wielkiéj jest modzie: taka historya może zabawić umysł przez chwilę, ale go nie pokrzepi.

Dzięki Bogu, nie wszyscy jeszcze dziejopisowie francuzcy utracili gust badań poważnych, nie wszyscy, jak tego dowodzi XVII tom *Historyi Konsulatu* i *Cesarstwa*, stali się narzędziami stronnictw lub panegirystami wygranéj sprawy.

Tom XVII obejmuje wypadki zaszłe w Europie od 1 listopada 1813 do 4 kwietnia 1814 roku.

Kampania 1812 r. opisana przez Thiersa w poprzednim tomie, dowodzi, że Napoleon sądził nakoniec zdrowo, jeżeli nie pozycyą swoją, to przynajmniéj naturę swéj władzy, władzy opartéj na zdumiewaniu opinii publicznéj, zatém urok swój mogącéj tylko stałą pomocą szczęścia utrzymywać. Wiedząc dobrze, że w dniu, w którym szczęście

go opuści, stanie się dla świata tylko obalonem bożyszczem, Napoleon po strasznych klęskach domagał się gwałtem cudów od swego geniuszu, a męztwa od swych żołnierzy. Ale blizkim ten upadku, kto na łasce fortuny żyje nadzieją cudu.

Po kampanii rossyjskiéj, podczas kiedy nadmiar niedoli i perspektywa jeszcze smutniejszéj przyszłości pogrążyły Francyą w grubéj żałobie, senat dziękował Napoleonowi, że nie zwątpił o państwie i przemówił doń, jakby powrócił z Moskwy zwycięzcą. Hołdy te, składane przez reprezentacyą narodu, żałość powszechną zapędziły w ciasne rodzinne kółka, a powierzchowność Francyi znów się wypogodziła. Broń, amunicya, konie i żołnierze, jakby siłą czarów z pod ziemi wywołane, ukazały się znowu; nowe powstały armie i kampania 1813 r. rozpoczęła się zwycięzkim marszem, który był przegrywką do finalnéj katastrofy.

Zwodnicze uśmiechy powodzenia pod Lutzen i Wurtzen oddały Napoleonowi jego najzgubniejsze złudzenia. Zdawało mu się, iż odzyskał zabłąkaną na Północy gwiazdę i na oślep rzucił się w zamęt wojenny. W Dreznie sam jeden zrównoważył sprzymierzoną Europę; w Pradze trzymał w ręku świetny pokój; ale duma, z któréj nie umiał złożyć ofiary, pomieszała mu rozum, i wnet nie odwołalny upadek bohatéra ogłosiła światu przegrana pod Lipskiem. W dniu téj klęski stało się już widocznem, że partya mniéj pomiędzy Napoleonem a Europą, jak pomiędzy Napoleonem a Francyą rozgrywać się będzie.

Ażeby ocalić cesarstwo, potrzeba było rozpocząć walkę 1792 roku, a walka taka nie była już możebną. Znużeni dziesięcioletniém ciśnieniem, wycieńczeni dwudziestu latami wojny, Francuzi nie mieli już ani téj siły, ani tego młodzieńczego zapału, który 1792 r., ojców ich, pozwem wolności zelektryzowanych, pchnął na obronę granic rzeczypospolitéj. Francya w 1813 r. więcéj niż kiedy zagrożona i więcéj niż kiedy bezsilna, trzymała się Napoleona, bo czuła, iż prawdę powiedział w sławnéj swéj do ciała prawodawczego przemowie, mówiąc, iż sam jeden zbawić ją może. Tak więc przeklinając go w duszy, jako sprawcę wszystkiego złego, naród szedł za nim.

W tym peryodzie cesarstwa rozpoczynają się sceny dorównywające epizodom wielkiéj rewolucyi; widzimy niemniejsze, jak wówczas, rozdwojenia i zwady. W obec nieprzyjaciół napływających na granice Francyi władze krajowe się rozdzieliły.

Ciało prawodawcze tak długo uległe i nieme, odzyskuje głos i dopomina się od Napoleona dotrzymania przysięgi wykonanéj przy wstąpieniu na tron, przysięgi, którą się zobowiązał zachować naturalne granice Francyi po Ren, Alpy i Pirenee. Pod tym warunkiem ciało prawodawcze obiecuje mu pomoc i posłuszeństwo, ale zarazem daje do zrozumienia, że zapewniwszy powyższe granice, nie będzie już miał żadnego powodu prowadzenia wojny i powinien wszystko poświęcić interesowi pokoju.

Po kwestyi zewnętrznéj wytoczono kwestyą wewnętrzną. Francya jednogłośnie zaprotestowała przeciw samowoli, jaka na niéj ciążyła. „W tym względzie, powiada Thiers (str. 171), każdy wytaczał słuszne zażalenia: podatki wybierane bezprawnie, prześladowania w zastosowaniu praw dotyczących konskrypcyi, nieznośne nadużycia w rekwizycyach pobieranych w naturze, nielegalne aresztowania, nieprawne trzymanie w więzieniu i t. d.: we wszystkich tego rodzaju sprawach fakta były liczne".

Niewczesne te rekryminacye oburzyły Napoleona; w mowie z gwałtowności sławnéj oświadczył senatowi, że aby wytaczać podobne skargi, powinien był czekać mniéj niebezpiecznéj chwili.

Zbyteczna przypominać tutaj szczegóły owéj pamiętnéj zwady, którą gorące szały powodzenia i mroźne podmuchy przegranéj, podniecały przez długie trzy miesiące, a w któréj Napoleon, podpierany bohatérstwem resztki swych legionów, pokazał raz ostatni światu cudotwórczość swego geniuszu i upór swego nieugiętego charakteru.

Obraz tych nędz, bolów, klęsk i ruin był już po sto razy kreślony, ale nigdzie tak plastycznie, jak w XVII tomie *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*. Thiers wykazuje siły dwóch armij i obroty ich z nadzwyczajną jasnością. Niepodobna wskazać dokładniéj z jednéj strony niezliczone, ciągle luzowane hufce monarchów sprzymierzonych, ata-

kujące na wszystkich punktach, z drugiéj naprzeciw tych potężnych sił nieprzyjaciela, garstkę francuzkich żołnierzy, dziesiątkowaną nieustannie bez nadziei posiłku.

Tutaj nastręcza się problemat często poruszany przez polityków i wojskowych: czy Napoleon zamiast rozpraszać swoje siły, nie powinien był raczéj stoczyć jednéj z owych walnych bitew, w których kierowaniu nie miał sobie równego wodza? Ale podobne pytania można mnożyć bez końca, bo w owych chwilach wszystko w postępowaniu Napoleona jest nie wytłumaczone: stojąc nad przepaścią, odrzuca korzystny pokój; potém poruczywszy innym sprawy państwa, drzémie w Fontainebleau; nakoniec spada z tronu prędzéj, niż nań wstąpił.

Co do kwestyi, czy Napoleon dobrze lub źle zrobił, że nie wydał walnéj bitwy sprzymierzonym, to pytanie wydaje nam się równie ważne, jak to, czy Hannibal słusznie lub niesłusznie uczynił, że nie poszedł na Rzym po bitwie pod Kannami. Zresztą, jeżeli są czytelnicy, których rozwiązanie tego pytania obchodzi, odsyłamy ich do Thiersa, który z niecywilną bystrością kwestye wojskowe rozstrzyga.

Teraz przystąpmy do głównego rozdziału tomu XVII, tojest do *konkluzyi*, w któréj p. Thiers streszcza najważniejsze wypadki cesarstwa i sądzi cesarza.

Sąd swój o Napoleonie Thiers wyraża w pięciu słowach: „polityka jego jest przyczyną jego upadku".

Wszyscy prawie historycy od kampanii rossyjskiéj datują osłabienie wojennego geniuszu Napoleona: Thiers twierdzi, że to fałsz. Wyjąwszy kilku dni osłupienia po odwrocie z Moskwy, geniusz cesarza nie osłabł nawet pod Waterloo. Wielkie katastrofy, jakich doznał, tłumaczą się nie omdleniem geniuszu niezachwianego aż do ostatniéj chwili, ale zaślepieniem woli przywykłéj do łamania wszelkich przeszkód i gardzenia wszelkiemi przestrogami.

Powyższego twierdzenia Thiers dowodzi wyliczeniem głównych błędów, które Napoleon popełnił od 1803 do 1814 roku; wskazuje ich sześć: przebiegnijmy je kolejno.

W końcu 1803 r. Francya, gdzie wszystko prędko się zapomina, nie myślała już o ośmnastym *brumairze*, dniu, w którym generał Bonaparte przywłaszczył sobie dykta-

turę. Dziewięć *coups d'etat*, popełnionych w niespełna siedmiu latach, obrzydziło jéj intrygi wszystkich stronnictw; spokojna, wyłącznie interesami swemi zajęta, zwycięzka pani swych przeznaczeń Francya chciała tylko dwóch rzeczy: pokoju i utrzymania rzeczypospolitéj.

Bonaparte używał wtedy władzy nieograniczonéj. Fundatorowie rzeczypospolitéj, których dzielność tak wysoko chorągiew rewolucyjną podniosła, zeszli z politycznéj widowni; najsławniejsi polegli na wyłomie, reszta rozegnana, oczerniona lub wygnana, tłumiła po kryjówkach wyrzuty lub żale. Nic zatém nie brakowało rządowi konsularnemu, ażeby potęgą porządku prowadzić daléj to, co rewolucya tak drogo krwią i energią swoją okupiła. „Czegóż mógł jeszcze pragnąć dla siebie i Francyi szczęśliwy śmiertelnik, który stał się jéj naczelnikiem? pyta Thiers: tego jedynie życzyć był powinien, żeby pozostać wiernym téj polityce, która była polityką siły wzmocnionéj umiarkowaniem".

Szczęśliwy śmiertelnik zapragnął jednak korony i stało się cesarstwo.

„Od tego czasu, mówi daléj Thiers (str. 888), ów bohater, ów mędrzec, którego świat podziwiał, przestał panować nad sobą. Rozjątrzony napaścią emigrantów zamieszkałych w Londynie, Bonaparte *silną politykę konsulatu zastąpił ślepą i rozkiełznaną polityką cesarstwa.* Byłto pierwszy z wielkich błędów pierwszego konsula, najważniejszy, bo stał się źródłem wszystkich następnych".

Kładąc się w królewskie łoże (jak się sam wyraził na wyspie Św. Heleny) Bonaparte tron swój stromo ociosał i gniazdo swe usłał niby orzeł na skalnéj iglicy. W téj chwili dziejopisowie zwyczajni widzą w nim szczęśliwca w objęciach fortuny; świat oficyalny, jak zwykle w takich razach bywa, klęka przed nim; Thiers atoli mniéj jest uderzony splendorem cesarstwa jak trudnościami, które konsul cesarzowi przekazał.

W końcu 1802 roku, zdawało się, że Francya okryta chwałą, nie ma już nieprzyjaciół do walczenia: pokój zakwitł swobodnie, strzeżony piersiami wolnych synów ojczyzny; wbrew prawom zawarte przymierza zostały przecięte mieczem; Francya złożyła światu dowody militarnéj i cy-

wilnéj wyższości; mogła wichrzyć Hiszpanią, zająć Holandyą, wcielić Genuę, ale pojmując, że bez sprawiedliwości i umiarkowania nie ma w potędze rękojmi ani nadziei trwania, wolała przymierza niż podboje. Granice jéj wtedy dochodziły do Alp i Renu; Włochy były wyswobodzone aż po Adygę; Szwajcarya uposażona aktem pośrednictwa; Prusy z polityką Francyi wiązał interes. „Nie zobowiązując się zbytecznie w sprawach Niemiec, mieliśmy w ręku naszym, powiada Thiers, szalę interesów niemieckich.” Zostawała tylko Anglia, która wciągnięta przykładem stałego lądu, podpisując pokój w Amiens, uznała wszystkie zdobycze francuzkie, nawet zabór Antwerpii. „Mieliśmy już tylko względem niéj jednę trudność do pokonania, mówi Thiers, tojest, postępowaniem przyjaznem wyjednać sobie u niéj przebaczenie tylu w tak krótkim czasie nabytych wielkości: co łatwo zrobić było można, bo Anglicy admirowali pierwszego konsula z całą żywością i zakochaniem brytaniczném, co najmniéj równém paryzkiemu.”

W téj to pozycyi wybornéj, kiedy Francyi tak wiele zależało na dowiedzeniu światu, że polityką jéj rządzą tylko widoki dobra ogólnego, Bonaparte rozjątrzony na angielskie dzienniki i panflety wydawane w Londynie, na nowo wepchnął Europę w wojnę, która miała trwać lat dziesięć, uczynić problemat z zasady niepodległości narodów i doprowadzić Francyą do najfatalniejszych katastrof. „W tym razie mógł był wzgardzić, pisze Thiers, boć nikt z wyższego szczytu jak pierwszy konsul nie patrzył na niegodziwości i potwarze.

Jednak inaczéj się stało. Pokój w Amiens, zawarty 25 marca 1802 roku, trwał rok tylko. Lord Witworth opuścił Paryż 13 maja 1803 roku, a Napoleon rozpoczął na wielką skalę wojenne przybory.

Nie ograniczając się na przygotowywaniu wyprawy bulońskiéj pod oczyma niespokojnéj Europy, Napoleon jedzie do Medyolanu, kładzie na swą głowę koronę żelazną i oświadcza państwom, że Genua jest przyłączoną do cesarstwa. „W téjże chwili, powiada Thiers, koalicya europejska związała się na nowo, a wojna z Anglią zmieniła się w wojnę kontynentalną.”

Pierwszego października 1805 roku Napoleon przeszedł Ren i rozpoczął owę przesławną kampanią, niezrównaną pod względem wagi i szybkości wypadków. Bitwa pod Austerlitz wtrąciła Europę w osłupienie podziwu, a Napoleona wyniosła do szczytu potęgi. Odtąd rządził absolutnie: tworzył dla swéj rodziny księztwa i królestwa; sprzymierzeńcy jego wyglądali jak blade satelity lub hołdownicy; pan samowładny, mieczem przecinał wszystkie kwestye, które polityka powinna była rozwiązywać. Mógł wtedy zwyciężyć Anglią, zawrzeć pokój ze stałym lądem i wrócić do warunków pokoju amieńskiego. Zamiast tego wielkiego rezultatu, „*szukał w zwycięztwie austerlickiém okazyi do monarchii powszechnéj*, niezmiernego cesarstwa, opartego na królestwach wazali." Zabrał więc Neapol dla Józefa, Lombardyą dla Eugeniusza, Holandyą dla Ludwika, a Niemcom, które odbudował, narzucił Niemcy francuzkie, z których Prusy i Austryą wykluczył. Tak więc, upokarzając lub miażdżąc podbite potencye, Napoleon nie zostawił im innego ratunku prócz rozpacznéj wojny. „To jest, pisze Thiers, drugi wielki błąd Napoleona, błąd, który ostatecznie zaangażował go w drogę polityki podbójczéj."

Trzeci błąd popełnił Napoleon w Tylży. Zniósłszy wojsko pruskie pod Jena, a sprzymierzonych pod Friedlandem, mógł był łatwiéj niż pod Austerlitz związać Prusy z Francyą, zaspokoić Austryą, powstrzymać Rossyą i zmusić osamotnioną Anglią do złożenia broni. Nie uczynił tego. „*Chcąc usystematyzować swe błędy*, (Thiers str. 892) *ażeby je podwyższyć we własnych oczach, Napoleon skasował w myśli większą część państw europejskich, a w ich miejscu chciał tylko widzieć dwa wielkie cesarstwa, wschodnie i zachodnie, oparte jedno na drugiém i mogące sobie pozwalać wszelkich nadużyć, jakich może dopuszczać się władza nad ujarzmionym światem.* Owo przymierze z Rossyą, które stało się odtąd jedyną podstawą jego polityki, musiało być albo fałszem, albo zamachem na Europę: fałszem, jeżeli chciał sobie wszystkiego pozwolić nie dozwalając nic Rossyi; zamachem przeciw Europie, jeżeli otwierało sprzymierzeńcowi drogę do Konstantynopola."

Po bitwie pod Jena i zawarciu pokoju tylżyckiego, cały świat polityczny uległ Napoleonowi: Rossya, Prusy

i Dania popierały widoki jego przeciw Anglii; Hiszpania, więcéj poddanka niż sprzymierzona, słuchała rozkazów; które jéj cesarz francuzki z głębi Niemiec przysyłał.

Wojsko francuzkie w walkach, których ani powodu ani celu nie znało, dokazywało cudów waleczności. Ale po wypadkach bayońskich urok cesarskich rozkazów pobladł.... Francya dumna ze swych legionów zaczęła jęczeć pod ciężarem wawrzynów. *Zajęcie Hiszpanii* jest czwartym z błędów głównych, które Thiers w panowaniu Napoleona widzi. „Ten czwarty błąd cesarza jest największy, powiada, bo pociągnął za sobą ruinę wojska francuzkiego, jedynéj podpory dynastyi Bonapartów, odkąd Napoleon z panowania swego panowanie siły uczynił."

Dla tłumu, Napoleon był jeszcze zawsze królem królów, ale ci co w zawierusze wypadków zachowali krew zimną, ci co obserwowali podczas kiedy świat się entuzyazmował, zaczęli już wątpić i przewidywać niełaskę fortuny.

Małżeństwo z Maryą Ludwiką stwierdziło złowieszcze przewidzenia zimnych obserwatorów. Widząc, że Napoleon wpadł w sidła swych nieprzyjaciół, i już tylko z punktu dumy zapatruje się na wypadki, nie trudno było zgadnąć, iż zerwawszy przez ten związek z rewolucyą, będzie mniéj straszny królom, a mniéj drogi żołnierzom.

Wojna hiszpańska odżywiła wszystkie nienawiści i nadzieje; poczęła się fermentacya na stałym lądzie, ale wrażenie bitwy pod Wagram powstrzymało szemrania. Wtém, nagle Napoleon zaczyna głośno narzekać na cesarza Aleksandra i wydawszy proklamacyą, która uszczęśliwiła Anglików, *puszcza się w drogę do Rossyi.*

„To był, powiada Thiers, piąty z wielkich jego błędów. Trudno nam wyrzec o ile był większy lub mniejszy od poprzednich; niepodobna osądzić, który najważniejszy: czy *zmienienie konsulatu w cesarstwo i zerwanie pokoju amieńskiego*; czy *marzenie o monarchii powszechnéj* po bitwie austerlickiéj; czy *oparcie swéj polityki na przymierzu z Rossyą* po Friedlandzie; czy *zabrnięcie w wojnę z Hiszpanią*; czy *puszczenie się do Moskwy.*" (str. 895).

Po straszliwym odwrocie, Napoleon mógł jeszcze podnieść swój urok, ale nadzieja odzyskania za jednym zamachem wszystkiego, spowodowała szósty błąd główny „osta-

tni, powiada Thiers, bo ciągnący za sobą ruinę. Błędem tym było *odrzucenie warunków pragskich i rozwleczenie promienia operacyj wojennych z Drezna do Berlina*, kiedy koncentrując siły swoje za Elbą, mógł zająć niezdobytą pozycyą."

W kilka miesięcy, dodaje historyk, Napoleon pozostał sam jeden na świecie, ze swą dumą i wojskiem, wojskiem wybornem, ale rozproszonem od Kadyksu do Kowna.

Zwyciężając wciąż i wciąż gardząc przeszkodami, cesarz Francuzów ściągnął w końcu na swą głowę taką ich massę, że go zagniotły. Cóż znalazł wtedy około siebie? nienawistnych rywali, oszukujących służalców, groźnych nieprzyjaciół i nieumiejących go bronić przyjaciół. Żołnierze pozostali aż do końca bohatérami, ale pomiędzy starszyzną mnóstwo znalazło się odstępców. Bezludna skała na oceanie stała się w ówczas jedynym piedestałem dla kolosa, co tak długo wielkością swą Europę przygniatał.

Taki jest sąd Thiersa o Napoleonie, sąd trzeźwy i rozumny zapewne, ale zdaniem naszém, zbyt poziomy. Thiers uważa Napoleona za zdobywcę z rodzaju azyatyckich despotów: do rodziny Aleksandrów, Annibalów i Cezarów go liczy. Tak jak wielka rewolucya francuzka jest dla niego *kataklizmem*, tak Napoleon *meteorem*. Przyczyny wielkich przeobrażeń socyalnych, jakich wielki wódz dokonał, nie widzi; nie może również dojrzéć celu owéj nieustannéj Napoleońskiéj czynności. Rozsądny rachmistrz, pełen Filipowego ducha, Thiers nie pojmował nigdy opatrznego posłannictwa Francyi. W tym punkcie, nawet *Memoryał Św. Heleny*, gdzie są komentarze do wszystkich czynów i zamiarów Napoleona, nie otwiera mu oczu: rzekłbyś, że nie czytał owych kart bolesnych, na których więziony olbrzym ciągle powtarza: gdybym był to lub owe państwo szanował, nie byłbym dziś tutaj...

Ale Thiers tego nie rozumie i nic w tém dziwnego: minister, który wniósł do Francyi sławną formułę, „*le roi régne et ne gouverne pas*", nie mógł rozumiéc monarchy, który był *sam* wolą i czynem; nie mógł pojąć wzniosłości władzy, któréj cały materyalny splendor ograniczał się na tapczanie i solówce do pisania proklamacyj. Napoleon nie dał wolności Francyi, ale jej panowanie przygotował.

Thiers tego nie rozumie: on zna tylko jednę zasadę: *pryncypium równowagi*; cały nią zajęty, wyrzuca Napoleonowi, że podniósł sprawę niektórych narodowości.

Podobne wyrzuty w oczach niektórych czytelników, odejmują wiele uroku téj z innych względów znakomitéj książce; pewne zdania i zasady tak dalece niecierpliwią gorętsze serca, iż mszcząc się, z książki Thiersa wyciągają tę szyderczą konkluzyą, że gdyby Napoleon był równie rozsądny jak Ludwik Filip, kiedy Thiers był jego ministrem, byłby był prawdziwie wielkim mężem.

Ale taki sens moralny z dzieła Thiersa snują tylko malkontenci; zaspokojeni (a do takich autor należy) twierdzą, że Thiers sądzi sprawiedliwie i ze swego stanowiska uważając rzeczy, mają słuszność.

Wydany w tych dniach nowy tom *Historyi francuzkiéj* Micheleta, obejmuje panowanie Ludwika XIV. Przepaść dzieli poglądy dwóch sławnych dziejopisów francuzkich. Autor *Historyi Cesarstwa* ciągle na ziemi, autor *Historyi Rewolucyi* ciągle w obłokach, jak orzeł szybuje, ledwie czasami na górnych szczytach odpoczywając.

Ważny ustęp z dziejów Francyi obecnie publiczności podany, jak wszystkie prace historyczne Micheleta napisany jest tak węzłowato, że tylko doskonale znający historyą francuzką czytelnik może zrozumieć, o co chodzi. Właściwie mówiąc, Michelet nie pisze historyi dla nauki ogółu, ale podaje syntezę dziejów Francyi, dla oświecenia historyków swego kraju. Jego *Historya Rewolucyi* podobnież napisana: kto poprzednio nie przygotuje się do jéj zrozumienia, nie dowié się od innych pisarzy szczegółowego toku wypadków, ten bardzo mało z dzieła Micheleta się nauczy. Wielki historyk Francyi przemawia jak professor uniwersytetu do akademików, którzy znają doskonale historyą.

Ponieważ jednak uczucie zawsze przepełnia wzniosłą duszę Micheleta, pomiędzy lakonicznym przebiegiem faktów politycznych, znajdują się zawsze, niby kwiaty w rozpadlinach skały, liryczne ustępy artystycznego kształtu i lubéj woni. Kilka takich kwiatów napotkaliśmy w rozdziale

„*Wojna Holenderska* (1672),“ i posyłamy czytelnikom naszym małą z nich równiankę.

Gorący przyjaciel Holendrów, a surowy sędzia książąt Oranii i Ludwika XIV, Michelet temi uwagami rozpoczyna opis owéj wojny, którą potężna Francya mały kraik zgnieść chciała.

...„Nie była to wojna z cudzoziemcami, ale wojna domowa. Holandya była Francyą; nasi królowie ją wspierali; nasza najlepsza krew tam przeszła; w Holandyi byliśmy więcéj niż u siebie: tuśmy żyli, a tamećmy myśleli. Holendrzy mówili po francuzku. Na ulicach Harlemu, na rotterdamskich wybrzeżach, słychać tylko było język francuzki; Francuz sądził się tam w ojczyźnie: we Francyi rozumnéj i rozsądnéj. W Hadze to, znalazł Francuz słowo idei nowoczesnéj, która cały ruch rozpoczęła: „*Myślę, więc jestem.*“

„Któż zapładniał tę holenderską Francyą? doskonałe bezpieczeństwo tego kraju, wspaniałomyślna opieka, którą dawał każdemu. Czemu Descartes przekładał jego mgły nad słońce Turenii? spytajcie Rembrandta. On daje czuć najlepiéj ciepło błogosławionego ogniska, przy którém myślała wolność, napawając się sobą, przeglądając się w świetle skoncentrowanéj refleksyi dopatrywała rzeczy ważnych, których nie widać w dzień słoneczny.

„Rzekłbyś, że natura oddawała się chętniéj ożywczemu ciepłu holenderskiego kominka. Przy nim to dumającemu Swammerdamowi odsłoniła lubość rodzinnego życia, Graaf'owi inne nieskończoności: tajemnice i cierpienia, które czynią kobiétę powabem i westchnieniem domu. Jakaż poezya jest poetyczną obok téj? Jakaż fikcya może rywalizować z tym zachwytem prawdy? Rembrandt wiedział dobrze, że nie ma potrzeby wymyślać próżnych cudów; że powinien tylko malować szatanów Miltona i Tytanie Szekspira. Rodzina, promień światła, nawet nie promień, ale ostatni odblysk gasnącego ogniska—tém on zdobywa serca. W jednym jego obrazie, matka wytężając słuch, usypia; córka czyta biblią, pomiędzy niemi stoi kołyska z dzieckiem. Gdzież jest ojciec? daleko! może w Indyach. A jeźli utonie, co się stanie z tém słodkiém gniazdeczkiém? Na ten obraz patrząc, strach mnie bierze... słyszę szum oceanu i straszniejszą jeszcze nawałnicę inwazyi...

„Co mnie przeraża widząc tu zbliżającą się wojnę, to to, że ognisko domowe, które tu piękniéj niż gdziekolwiek się pali, ma być zniszczone. Dom odkrywa nam wszystko: obszerne gmachy, w których obozowano w wiekach średnich, nudne koszary, które zaprowadził wiek XVII, dowodzą aż nadto nędzy ówczesnego żywota. W końcu panowania Ludwika XIV, zjawiła się inna plaga: ciemny entre-sol i tak zwana *mansarda*, poddasze bez komina, na którém drży od zimna służący i marznie dziewczyna szyjąca po styczniowych nocach.

„Jakżeż daleko ztąd do wygodnego domu Holendra! Nie wspaniały to był domek, ale zawsze miły i poczciwy; często byłato tylko chata z bocianem na dachu i jaskółczemi gniazdami u okien; ale jakże tam błogo płynęło życie, jakie tam stateczne czucie tlało, jaka święta panowała gościnność!

...„Holandya tak dobrze od morza obwarowana, nigdy nie pomyślała o sypaniu grobel zabezpieczających od napływu ludzi, co do niéj dążyli zewsząd, po większéj części głodni, nieszczęśliwi i prześladowani. Wszystko jednak nie było czyste w téj powodzi. Jeżeli francuzcy emigranci przynosili dobre obyczaje i trzeźwego ducha, to wiele kału napływało z Północy: bandy awanturników, żołnierzy na sprzedaż, leniwych rzemieślników, wszystko to przychodziło zasiąść do wielkiéj misy, która nie wykluczała nikogo.“

„Ów rząd oszczędny, którego naczelnik Witt pobierał trzy tysiące liwrów pensyi rocznéj, płacił bardzo drogo najmniejszą usługę; ochraniał ludzi, chciał żeby byli szczęśliwi; tak dalece był ojcowski, że syn emigranta już sądził się Holendrem, a syn jego już dopominał się praw krzywdzących swych gospodarzy i dobrodziejów: powstawał przeciwko bohatérskiéj rasie, która złamała Filipa II.“

„Ztąd dwa żywioły zgubne: 1. nowo zbogaceni mieszczanie, 2. uboga massa przybyszów, którą zbogaceni posługiwali się przeciw prawdziwym Holendrom, przeciwko Wittom i Ruyterom. Taki rząd chwalebny, zaszczyt ludzkiéj natury, mógł trwać wiecznie, gdyby wszystkie złe żywioły nie znalazły wodza w księciu Oranii, wojskowym naczelniku szlachty ze stałego lądu i awanturniczych żołnierzy.“

...„Na ów kraj sprawiedliwy, spiknęły się tedy największe potencye świata. Zagrożony ze wszęd inwazyą, Witt podał śmiałą radę atakowania przemożnego wroga, spalenia magazynów i tym sposobem zamknięcia drzwi nieprzyjacielowi. Bohaterski plan został wykonany przez bohaterów. Ruyter zszedłszy niespodzianie połączone floty angielsko-francuzkie i wydawszy im krwawą bitwę, najwścieklejszą z bitew owego wieku, takie klęski im zadał, że już nie mogli myśléć o wylądowaniu.“

„Dwudziestego czerwca 1672 roku Holandya została ocaloną.

„Historycy, którzy poźniéj pod wpływem domu książąt Oranii pisali, jednozgodnie twierdzą, że stronnictwo Wittów i Ruyterów, partya republikańska staro-holenderska, która właściwie stanowiła ojczyznę, była *nieoględna*; 2. że w chwili inwazyi pokazała się *słabą*. Powtarzając te dwa fałsze, chcą wmówić w ludzi, że Holandyą zbawiło to, co było w niéj najmniéj holenderskiego: nowe mieszczaństwo wylęgłe z emigrantów, żołnierstwo i śmiecie wszech-narodów. Dla nich to wszystko jest narodem: ten lud zbawił ojczyznę poddając się panu. A ponieważ przeszkodą do tego byli mianowicie Wittowie, dobrze się stało, że ich pozabijano. Piękna mi zwalniająca okoliczność dla partyi, którą książęta Oranii użyli do bezecnego czynu.

„Prawda jest wprost przeciwną. Nie od księcia Oranii wyszła inicyatywa rozpacznéj obrony: daleki od téj myśli książe prosił stanów powszechnych, żeby mu pozwoliły układać się z Ludwikiem XIV i żądać od niego straży dla dóbr swoich. Starzy urzędnicy amsterdamscy pierwsi powiedzieli, że trzeba zerwać układy i bronić się. Na ich pozew, owo zgromadzenie, które *słabém* zowią, powstało i przysięgło walczyć aż do śmierci.

„Wielki przykład dał wtedy Amsterdam. On pierwszy otworzył upusty, poprzerywał tamy i oddał oceanowi prześliczny kraj, który go otaczał. Było to ogromne poświęcenie; nie łąki tam zalano, ale wille, pałace, najbogatsze domy, przecudne szklarnie, ogrody egzotyczne: skarby, które czyniły z tego kraju powszechne muzeum świata! Holandya wszystkiemi bogactwami swemi okupiwszy wolność, poczuła, że wolny duch jéj nie poległ wraz z jéj bo-

hatéraini, ale na niezwyciężonéj flocie żyje, i gotowa była drugi raz zrobić co uczyniła, bo poczuła się dość silną, żeby wszystko stworzyć na nowo."

Do rzędu ważnych publikacyj historycznych należy policzyć także *Historyą panowania Filipa II.*, któréj trzeci tom wyszedł w tych czasach, a czwarty i ostatni ukaże się niebawem.

Zmarły przed dwoma laty autor tego dzieła, Prescott, obywatel Stanów Zjednoczonych, pisał z nieznaną w Europie swobodą i młodzieńczością. Praktyczny i bystry umysł tego historyka, surowy i szeroki poglad jego, zjednał mu na Zachodzie przydomek nowoczesnego Thucydydesa. Kto czytał pierwsze trzy tomy Historyi Filipa hiszpańskiego, przyzna, że nie ma wielkiéj przesady w tém pochlebném porównaniu.

Historya pięćdziesięcioletniego panowania Filipa II, jest historyą całego świata. W półwiekowym tym dramacie, walczą nietylko narody, ale idee i religie, walczy przeszłość z przyszłością.

Pierwszy tom dzieła rozpoczyna się abdykacyą Karola V, a kończy jego śmiercią. Autor opowiada w nim, jakie wychowanie odbierał Filip II. Okazywał on od dzieciństwa wielką zdolność do spraw publicznych; w chwili poruczenia mu regencyi, z łatwością przyszło ojcu wtajemniczyć młodzieńca w sekreta polityki, w któréj miał się ćwiczyć rządząc pod jego okiem Hiszpanią.

Karol V był przedewszystkiem Flamandem; Filip II, był Hiszpanem w całém znaczeniu tego słowa. Poznali to odrazu poddane mu Flamandy po oziębłości, z jaką przybywszy do Brukselli hołdy ich przyznawał. Smutne przeczucie ostrzegło szlachtę flamandzką, że nie może się niczego dobrego spodziewać od swego nowego pana. Na posiedzeniu abdykacyjném Karola, wszyscy panowie zalali się łzami wszyscy...; z wyrazem trwogi i miłości zwrócili oczy na starego cesarza, opartego na ramieniu Wilhelma, księcia Oranii, który miał być niezmordowanym przeciwnikiem młodego króla i najzaciętszym wrogiem monarchii hiszpańskiéj.

Scena abdykacyi znakomicie przez Prescotta opisana, czyniłaby większe wrażenie, gdyby czytelnik nie wiedział, że główny jéj aktor na pół tylko usunie się z widowni, że z za kulisy będzie rządził jak przed abdykacyą, i udając świętoszka, w najlepsze snuł podstępne intrygi.

Karol V, w klasztorze traci zupełnie wielkość i dostojeństwo, jakie go otaczało na tronie: staje się bigotem drobnéj miary, trawi życie na leczeniu się z niestrawności i klepaniu pacierzy, przeplatając te dwa zajęcia najdziwniejszemi hipokondrycznemi pomysłami. Prescott między innemi, powołując się na poważne świadectwa, zaręcza, że anekdota, któréj często zaprzeczają, jakoby Karol kazał przy sobie pogrzeb swój obchodzić, jest prawdziwą; autor dodaje, iż do odbycia téj proby, wiécéj niż skrucha, skłoniła cesarza chęć dopilnowania osobiście żałobnéj ceremonii: bał się, żeby z pogrzebnego obrzędu nie ukradziono mu jakiego szczegółu etykiety, o którą zawsze dbał wielce.

Oparta na nowych, nader licznych dokumentach, historya Prescotta odznacza się zarówno oryginalnością szczegółów, jak wysokością poglądu. Biegły polityk, wymowny, często ironiczny pisarz, Prescott łączy w sobie wszystkie zalety dziejopisa; księga jego jest szczytném świadectwem kultury moralnéj kraju tak często oczernianego i społeczności, którą tyle systematycznych oburzeń, podżeganych interesami kasty, bombarduje nieustannie.

Prescott umarł krótko przed Macaulayem. Anglia i Ameryka jednocześnie prawie utraciły swych wielkich historyków. Prescott, dorównywający talentem Macaulayowi, obrał sobie przedmiot trudniejszy. Jakżeż skomplikowany obraz przedstawia wiek XVI! jakaż tu mnogość rozmaitych charakterów i indywidualności potężnych, ile wojen, ile rewolucyj, ile ważnych wypadków! Turcy odparci do Konstantynopola, Maurowie do Afryki, Włochy zagrożone orężem hiszpańskim, Holandya wyswobodzona, papieztwo złączone z królewskością dla gromienia reformy: świat cały jednym placem boju. Jeżeli wiek XVI nie oglądał tryumfu wolności, to niezawodnie przygotował przegraną ducha średniowiecznego. We Francyi wtedy monarchia na ruinach feudalizmu ufundowała ów światły despotyzm, do którego ciągle dążyła, a który tak głębokie w kraju zapuścił korzenie.

Nie ma dla Francuzów ciekawszéj historyi jak dzieje owéj epoki. Dlatego wolnomyślni krytycy tutejsi przyjęli z wielką radością dzieło, w którém ona tak sprawiedliwie jest skreśloną przez obywatela wolnego kraju.

Historya Filipa IIgo, w tłumaczeniu francuzkiém, wkrótce wyjdzie z druku.

Panowie Lisse i Petroz pod tytułem: „*Historya i Krytyka*“ wydali francuzki przekład trzech studyów, które Macaulay przed dwudziestą laty do przeglądu edymburgskiego napisał. W tych artykułach dziejopis angielski skreślił charakterystykę lorda Clive, Hastings'a i Pitt'a. Złożyła się z nich bardzo zajmująca książka: powyższe portrety są już popularne w Anglii jak pamięć wszystkich mężów, których Macaulay jest Plutarchem. Delacroix wydał kiedyś tajemnicę związku artysty z wzorem. „Malarz, powiada on, powinien górować nad swym modelem; pod tym warunkiem człowiek trzymający pióro czy pędzel, może wziąć udział w sławie swego bohatéra.“

Talent podnosi Macaulaya do wysokości jego wzorów. Szkice jego, jak portrety mistrzów, uderzają przedewszystkiem szczerością, któréj się wszyscy wielcy ludzie od malarzy swoich domagają. „Maluj mnie takim, jakim jestem, mówił Olivier Cromwell do swego malarza, jeżeli skasujesz blizny i zmarszczki, nie dam ci ani szelinga.“ Wielki lord dbał głównie o wyraz swéj twarzy: bał się, ażeby mu malarz różową cerą zniewieściałego Jakóba, śladów męztwa i znoju nie zamazał; chodziło mu o to jedynie, żeby artysta przekazał potomności rysy, na których Opatrzność wielkiemi zgłoskami wypisała wszystkie posłannictwa jego cnoty, odwagę, geniusz polityczny, wytrwałość i stałość—a czas głębokiemi bruzdy dopisał wszystkie stoczone boje, i wszystkie noce bezsenne, które nad pełnieniem owéj missyi przedumał.

Pewność konturów świadczy, że Macaulay uważnie wzory swe studyował.

Lord Clive, pierwszy z rzędu, jest fundatorem panowania angielskiego w Indyach. Anglia nie wydała może równie wielkiego w wojnie i w radzie męża. Prosty komissant w służbie kompanii wtedy, kiedy taż była jeszcze tylko

stowarzyszeniem handlowém, Clivé przybywszy do Madras był w takiéj nędzy, że chciał sobie odebrać życie: po dwakroć przykładał pistolet do piersi i podwakroć mordercza broń nie puściła zabójczéj kuli. Wtedy, jak Wallenstein, po kilku daremnych samobójczych zamachach, powiedział sobie, że go Opatrzność do spełnienia jakichś wyższych celów przeznacza i postanowił żyć.

W kilka dni potém, fortuna zadała kłamstwo temu proroctwu. Madras zaatakowany niespodzianie, kapitulował, a Clive dostał się do niewoli.

Nie straciwszy jednak nadziei, uciekł do innego angielskiego obozu, wziął broń i walczył uparcie: wnet ów młodzian, nie zdolny do rachunków kupieckich, pokazał się dzielnym wojakiem. Odwaga jego, zimna krew i wytrawność sądu, wkrótce zwróciła nań uwagę powszechną. Odtąd awansował tak szybko, że w czterdziestym roku życia posiadał już nieograniczone zaufanie ziomków i milion franków dochodu, a co większa, zręcznością swą i odwagą zdobył dla kraju ogromne państwo.

Żywot Hastings'a niemniéj jest nadzwyczajny. Około 1740 roku był on biednym sierotą, uczącym się sylabizować w wiejskiéj szkółce; w 1750 znajdujemy go już urzędnikiem w Kalkucie; w 1785 porzuciwszy dobrowolnie wice-królestwo Bengalu, wrócił do ojczyzny okryty sławą. W dzień odjazdu tłumy ludzi, uszykowane szpalerem obok drogi, całowały ręce jego i żegnały jak dobroczyńcę. Clive i Hastings dziś jeszcze są dla angielskiéj młodzieży bodźcem do awanturniczych zamorskich wypraw.

Powróciwszy do ojczyzny obaj ci wielcy ludzie nie spoczęli na wezgłowiu sławy. Tak jeden jak drugi, oskarżony przez zazdrosnych, musiał stawać przed sądem, ale sława ich wyszła cało z tych zatargów.

Życie Wilhelma Pitt'a daje pojęcie namiętności politycznych w Anglii. Żaden człowiek stanu nie przeżył w tym kraju burzliwszego żywota: najprzód dyskutowany gwałtownie, potém napadany wściekle, Pitt nakoniec geniuszem swym pokonał wszystkich nieprzyjaciół i cały naród do uwielbienia zmusił.

Obaczywszy ojczyznę wplątaną w niebezpieczną kłótnię, grożącą jéj upokorzeniem a może zgubą, Pitt wydobył

z siebie skarby wymowy śmiałéj i w nagrodę zaufania dał krajowi zwycięztwo. Późniéj, kiedy już usunął się od władzy, szacunek trzech królestw eskortował go wszędzie. Teraz jeszcze głos jego, osłabły w zgiełku życia publicznego i parlamentarnéj wrzawie, ciągle brzmi w uszach współobywateli jako patryotyczna pobudka, a młodzież w pełni talentu i siły sposobiąca się do publicznéj służby zawsze w milczeniu słucha słów potężnego reprezentanta najdzielniejszego pokolenia Wielkiéj Brytanii.

Poezya tych ról wzniosłych przepełnia Macaulaya, tryska z każdego słowa. Czytając ten tom młodzieńczych prac jego, człek czuje drżenie, jakiegoby doznawał na widok zmartwychwstałego bohatéra. Cześć pisarzowi, który tak umie wskrzeszać umarłych żywym na pożytek, tojest na prawdziwą chwałę Bożą.

Pan Czermak, Węgier, professor fizyologii w Peszcie, wynalazł i przywiózł do Paryża, tak zwany *laryngoscop*, przyrząd, za pomocą którego doktor może obejrzéć całe wnętrze gardła, aż do najgłębszych jego komórek. Wynalazek nie zupełnie jest nowy. Doktor Turck w 1858 roku, wpadł pierwszy na pomysł narzędzia do oświecenia gardła, wynalazek jego atoli, nader skomplikowany, nie mógł być wprowadzony w praktykę. Udoskonalenia, jakie w nim poczynił Czermak, czynią go bez porównania praktyczniejszym, jednakowoż, i takim jak jest, nie w każdéj chorobie gardlanej będzie mógł być użyty, z powodu drażliwości organów, które dotyka.

Kilka prób udało się szczęśliwie w szpitalach paryzkich: oświeciwszy wnętrze grdyki, wycięto parę wrzodów i raków przedtém śmiertelnych. Doktorowie tutejsi przytomni operacyom, przyznali, że przyrząd Czermaka może oddać wielkie przysługi medycynie, odkrywając przed okiem lekarza organa, których stan tylko po dźwięku głosu pacyenta dotąd zgadywać trzeba było.

Nie trudno wystawić sobie, jak za pomocą żywego nader światła, można oświecić wnętrze gardła; dla lepszego jednak zrozumienia rzeczy podajemy tu kilka szczegółów o przyrządzie Czermaka i sposobie, w jaki go aplikuje.

Chory z szeroko otwartemi ustami nieco naprzód pochylony, siada naprzeciw operatora, opierając ręce na ko-

lanach; lekarz wkłada mu najprzód w usta sprężynę, mocno przyciskającą język do dolnéj szczęki, poczém naprzeciwko stawia lampę gazową, za którą umieszczone zwierciadło kieruje promień w chore gardło. Skoro otwór gardlany oświetli się w ten sposób, operator wpuszcza weń drugie zwierciadło wielkości trzygroszówki, przytwierdzone do giętkiego fiszbinu; wtedy ściany gardła, oświecone promieniem od wielkiego lustra, odbijają się w małém lusterku, które znowu przez refleksyą cały obraz pokazuje w dużém.

Kto nie widział, nie może mieć wyobrażenia, jak wybornie za pomocą tych dwóch zwierciadeł można zrewidować najgłębsze zaułki gardła. U wprawnych do tego rodzaju operacyi pacyentów można nawet widzieć funkcyonujący mechanizm organu wokalnego: skoro pacyent wydaje głos, widać grę strun głosowych.

Ale, ażeby dojść do podobnych rezultatów, trzeba wdrożyć pacyenta do znoszenia w gardle obcego ciała. Pan Czermak najlepsze proby dokonywa na własném gardle: doświadczenia, jakie czynił przy kolegach, pokazując im z niepojętą dokładnością wszystkie zaułki grdyki, cały kanał oddechowy i początek otworów nosowych, zdumiewały patrzących.

Przyrząd jest więc dobry; chodzi tylko o to, że nie do każdego chorego da się zastosować. Trzeba w istocie osobnéj nauki i wyjątkowéj cierpliwości ze strony pacyenta, ażeby mógł znieść w głębi gardła dotknięcie owego zwierciadła. Jeżeli nie jest obdarzony wyjątkową niedrażliwością, będzie musiał długo się wprawiać, zanim zdoła skutecznie się oprzeć kaszlowi, wymiotom, lub wysileniom wymiotowym, do których naturalnie pobudza obecność kości w gardle (lusterko musi podobne czynić wrażenie).

Przyrząd Czermaka nie da się w żadnym razie zastosować do dzieci najwięcéj chorobom gardlanym podległych. Przy zapaleniu gardła, kiedy toż jest spuchłe i bolące, ani myśléć o rewizyi zwierciadlanéj.

Z tego wszystkiego wypada, że *laryngoscop* rzadko używanym będzie; główne a może jedyne przysługi odda w chorobach chronicznych, w których nie ma gwałtownego bolu, zatém pacyent będzie mógł powoli wprawić się do aplikacyi przyrządu.

— Ważniejszą przysługę oddała ludzkości panna Clé-ret, guwernantka w Paryżu: wynalazła nieomylny sposób przywracania słuchu. *Dziennik oświaty publicznéj* ogłasza raport kommissyi medycznéj, dotyczący tego wynalazku. Sposób leczenia bardzo prosty: codzień wlewa się w ucho głuchemu, *eter siarczany* w ilości 5, 6 i 8 kropel. Po dwudziestu dniach zawiesza się na tydzień kuracya, żeby lekarstwo nie straciło skuteczności. Kommissya oświadcza: „iż lekarstwo pokazuje się *nieomylne;* dzieciom mianowicie w ciągu miesiąca słuch przywraca". Przysądzono pannie Cléret wielką nagrodę Montyona, ale biedaczka korzystać z niéj nie może: zbyt ucieszona swym wynalazkiem, zwaryowała.

W pierwszych dniach kwietnia gwałtowne drgania igły magnesowéj, poprzedzające zwykle zjawisko zorzy północnéj zawiadomiły, astronomów paryzkich o blizkiém ukazaniu się tego fenomenu. Jakoż z 9 na 10 kwietnia o pół do dziesiątéj wieczorem pan Coulvier-Gravier, cierpliwy meteorologista luksemburgskiego pałacu, ujrzał łunę czerwoną, która wnet niewidzianego w tych strefach nabrała blasku. Zorza przechodząc rozmaite fazy kolorytu, raz bledsza, to znów czerwieńsza, trwała parę godzin; dopiéro około północy znikła zupełnie.

Skoro się pokazała, przez ogniste jéj smugi przebiegła spadająca gwiazda pierwszéj wielkości. Zjawisko było nader ciekawe. Gwiazda na chwilę zaćmiona promieniem zorzy, znikła, i dopiéro przeleciawszy go, znowu się pokazała. P. Coulvier-Gravier widzi w tym fakcie nowy dowód na poparcie twierdzenia, które w pracy swéj o *Meteorach* ogłosił, tojest: że pas, w którym zapalają się przelatujące meteory, leży po nad pasem, w którym płoną zorze borealne.

— Wyszedł nowy „*Rocznik literacko-dramatyczny*" pana Vapereau. „*l'Année musicale*" pana Scudo; „*l'Année Agricole*" pana Heuze i *l'Année historique* pana Zeller, wyjdą w tym miesiącu.

— Karol Mazade wydał książkę pod tytułem: „*Nowe Włochy*". Książka ta jest niejako prologiem do wypadków zaszłych od roku we Włoszech. Autor opowiada wojny i rewolucye, które poprzedziły świetną kampanią 1859;

kreśli portrety wodzów, konspiratorów i monarchów, między któremi najwięcéj uderza smętna postać Karola Alberta, owego słabego króla, męczennika jezuitów, który kolejno był despotą, rewolucyonistą to liberałem, i wśród tych wszystkich przemian zawsze ku niepodległości włoskiéj zmierzał: Mazade tłumaczy to zagadkowe życie.

— Pod tytułem: „*Instruction de l'Empereur François à ses enfants*" pan Thechener wydał ciekawy rękopis, pokazujący szczegółowo, w jakich zasadach była wychowana Marya-Antonina. Jestto niby obrona królowéj, składająca na karb wychowania zbrodnie przypisane jéj charakterowi. Dokument poprzedza przedmowa, w któréj autor dyskutuje wszystkie błędy wyrzucane żonie Ludwika XVI. Rycerz łamiący lance za królową, nie podniósł przyłbicy, ale znać, że to musi być szlachcic staréj daty: czuć to po drażliwości, z jaką honoru swojéj damy broni. Bezimienny obrońca, nie zmieszany argumentami Michelet'a, który nawet w swój *katechizm narodowy* wpisał ów fatalny pewnik: „kto zgubił króla? — królowa", — nie przypuszcza ze strony Maryi-Antoniny żadnéj zdrady przeciw narodowi. Z całéj téj przedmowy to tylko ciekawego dowiedzieć się można, iż największemi nieprzyjaciołmi królowéj byli jéj dworacy i krewni. Ciotka jéj Adelajda i hrabia Prowancyi najpierwsi roznieśli po Paryżu oskarżenia, które ją zawiodły na rusztowanie, a co ważniejsza, stały się z czasem wiarą narodu.

— Michał Nicolas wydał uczone dzieło pod napisem: „*Des doctrines religieuses des Juifs, pendant les deux siècles antérieurs à l'ère chrétienne*".

— Ministeryum wojny wydało: „*Historykon służby artyleryjskiéj w oblężeniu Sebastopola*". Ważna ta publikacya wzięła za godło „*Arte et perseverantia*". Redagowali ją oficerowie artyleryi wedle dokumentów oficyalnych pod dozorem samego ministra wojny. Jednym z głównych autorów dzieła był słynny z talentów wojskowych poległy we Włoszech generał Auger. Poległego zastąpił generał Leboeuf. Dzieło jest podobno nader ważne dla artylerzystów.

KILKA UWAG NAD PRAWEM
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
O POŻYCZKACH PODWYŻSZONYCH.

Upragniona i z takiém utęsknieniem oczekiwana ustawa o powiększonych nad dotychczasową skalę pożyczkach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, uzyskała już Najwyższe zatwierdzenie.

Znane nam są szczegółowe téj ustawy rozporządzenia; nawet przed jéj urzędowém ogłoszeniem, możemy je w tém miejscu skréślić i rozebrać treściwie: poda nam to sposobność uwydatnić główny charakter téj ustawy i wskazać, czego po niéj kraj, a w szczególności nasi ziemianie oczekiwać mają.

Treść ustawy, w mowie będącéj, jest następująca:

Na dobra, które, według dotychczasowych zasad, pożyczkę Towarzystwa uzyskać mogły lub już uzyskały, udzielane zostaną pożyczki nowe i dodatkowe na dotychczasowéj, ale rozszerzonéj zasadzie, tojest, że pożyczki udzielane będą w $^3/_5$ częściach szacunku ustanowionego w sposób następujący. Wzięty pięć razy podatek ofiary, uważany jako czysty dochód z dóbr, mnożony będzie przez 40; tam zaś, gdzie dobra mają lasy urządzone lub włościan oczynszowanych, przez 45; a przez 50 tam, gdzie i lasy urządzono i włościan oczynszowano.

Udzielanie takich pożyczek poprzedzane będzie bliższém przekonaniem się o szacunku dóbr, według instrukcyi tym celem przepisać się mającéj, i z tém je-

szcze ograniczeniem, że udzielić się mogąca pożyczka nie będzie w żadnym razie przenosić połowy szacunku hypotecznego lub taks urzędowych, i że na takie tylko dobra pożyczka podwyższona przyznaną zostanie, które poprzednio usuną spory graniczne. Pożyczki odnowione udzielane teraz nie będą.

Dla pożyczek w taki sposób przyznawanych, utworzoną zostanie serya 2 okresu III, poczynającego się od roku 1853, a kończącego się w roku 1881. Wysokość rat półrocznych na procent i umorzenie pobieraną będzie w jednostajnéj do końca okresu i tak ustosunkowanéj wysokości, że listy zastawne 2 seryi znajdą się za pośrednictwem tych opłat umorzone spółcześnie z ostateczném umorzeniem listów zastawnych okresu III na zasadzie prawa z roku 1853 wypuszczonych.

Wolno będzie właścicielowi spłacić naraz zaległość amortyzacyjną za wszystkie półrocza od początku okresu ubiegłe, a to gotowizną lub w listach zastawnych seryi 2 po cenie ich imiennéj; tudzież spłacać w takichże listach i również po cenie ich imiennéj jednę trzecią część rat bieżących, opłacie amortyzacyjnéj wyrównywającą.

Wolno także będzie dyrekcyi głównéj z funduszu, na każde półrocze oznaczonego, zakupywać listy zastawne 2 seryi, a o ile tym sposobem nie zostanie w którém półroczu umorzoną odpowiednia summa listów zastawnych, zarządzone będzie ich losowanie.

Udzielanie pożyczek kończyć się będzie z końcem roku 1863; dla właścicieli jednak, którzy i po tym terminie zgłoszą się z dowodami oczynszowania włościan lub urządzenia lasów, udzielanie pożyczek trwać będzie do końca roku 1866.

Odpowiedzialność ogólna za pożyczki w ten sposób zaciągnięte, ściągać się będzie do tych tylko dóbr, które ją otrzymają.

Zresztą wszelkie rozporządzenia praw o Towarzystwie kredytowém ziemskiém, tudzież instrukcyj i przepisów dodatkowych, w rozwinięciu tych praw wydanych, utrzymane są w swéj mocy.

W rozbiorze téj ustawy mówić będziemy:

1) o sposobie, w jaki władze Towarzystwa przekonywać się będą o szacunku dóbr, dla udzielenia na nie pożyczek podwyższonych; o bezpieczeństwie tychże pożyczek i wystawianych na nie listach zastawnych;
2) o zastrzeżeniach, jakie poraz piérwszy z instytucyą Towarzystwa kredytowego znajdują się złączone;
3) o sposobie, w jaki pożyczki te uorganizowane zostają; nakoniec
4) o wszelkich innych rozporządzeniach, do pożyczek tych odnoszących się.

Co do 1^go. Prawo z r. 1825 uważając podatek ofiary pięć razy wzięty za czysty dochód z dóbr, a ten pomnożony przez 20 za ich szacunek, i przyjmując zasadę, że do $^3/_5$ wysokości tak ustanowionego szacunku pożyczki Towarzystwa udzielane być mogą, przewidziało zarazem wypadki, w których taki sposób szacowania dóbr okazać się może niedostatecznym, i dozwoliło dlatego na mnożenie onego dochodu z ofiary wynajdywanego przez cyfrę niższą lub wyższą od 20, niższą bez oznaczenia, a nie wyższą jak 25.

W prawie z roku 1838, które obok pożyczek odnowionych, dozwoliło także zaciągać pożyczki nowe i dodatkowe, zasada ta bez żadnego jéj rozszerzenia zatrzymaną została i wówczas nie zamierzano nawet zastąpić ją inną.

W epoce powtórnego odnowienia miano już wprawdzie podobną myśl, ale i wówczas, tojest w roku 1853, skończyło się na utrzymaniu dotychczasowéj zasady bez jakiejkolwiek jéj zmiany.

I nie bez powodów tak postąpiono.

W owéj epoce upływało już lat 15 od prawa z roku 1838. Umorzone tym przeciągiem czasu pożyczki Towarzystwa wynosiły już znaczną summę, bo przeszło 40 na sto, czyli dwie piąte.

Jednoczesna w téj epoce emissya listów zastawnych tak na pożyczki odnowione, umorzeniu temu odpowiadające, jak i na pożyczki, na jakiejbądź zasadzie podwyższone, byłaby istotnie mogła wprowadzić naraz w cyrkulacyą zbyt wielką ilość tych papierów. Bezpieczniéj

było nie narażać się na to. W owéj więc epoce ostrożność głównie doradzała dozwolić jedynie albo na pożyczki podwyższone, albo na pożyczki odnowione; a przyjęto ten ostatni środek, jako już znany i pomyślnie na zasadzie prawa z roku 1838 przeprowadzony.

Dopiéro więc obecnie i w epoce, w któréj o odnowieniu pożyczek tylko przeciągiem niespełna lat siedmiu w jednéj szóstéj części umorzonych, mowy być nie mogło, rozszerzenie dotychczasowéj zasady szacowania dóbr poraz piérwszy wchodzi w praktyczną zastosowanie, a to nie na zasadzie taks, ale w tym samym kierunku, jaki prawem zasadniczém z roku 1825 wskazany został, tojest przez podwyższenie mnożnika ofiary, który podniesiony być może nad 25 do 40, a przy warunkach, o jakich niżéj powiemy, do 45 lub do 50.

Przedewszystkiem można sobie zadać pytanie, dlaczego system ten przełożony został nad sporządzanie formalnych taks, na jakich opartą jest wysokość pożyczek przez wszystkie towarzystwa kredytowe niemieckie udzielanych?

Wzgląd na koszta i zwłokę nie mógł już obecnie być tyle przeważnym, jak w roku 1825; bo dziś mamy już wiele dóbr pomierzonych, należycie uregulowanych; mamy po temu więcéj materyałów, doświadczenia i ludzi uzdatnionych, a wreszcie nie poprzedza nas epoka moratoryów, które wymagając przedewszystkiem szybkiego ratunku, doradzały, i nie bez słusznych powodów, przyjęcie dla Towarzystwa wówczas okresem 28-letnim ściśle oznaczonego, zasady raczéj doraźnéj, choć już wtedy z niedostateczności swéj i nierówności znanéj, niż zasady taks prawidłowych.

Obecnie inne, ale niemniéj ważne względy przemawiały za wstrzymaniem się jeszcze od przyjęcia zasady taksowéj, a zatrzymaniem dotychczasowéj zasady z podatku ofiary czerpanéj.

Brak normalnego rozgraniczenia, prawem z roku 1818 uchwalonego, lubo nie stał się przeszkodą do zaprowadzenia w siedm lat potém instytucyi Towarzystwa kredytowego i do dwukrotnego, w granicach prawem z roku 1825 zakreślonych, odnawiania pożyczek tegoż

Towarzystwa w latach 1838 i 1853; przywodzony był jednak na drodze urzędowéj za jednę z przeszkód, nie dopuszczających ich udzielania na zasadzie taks prawidłowych, i można niewątpić, że i dziś stałby mu na przeszkodzie w doprowadzeniu na téj drodze pożyczek Towarzystwa do stopnia najwyższego, w jakim udzielane byćby mogły.

Oprócz tego, czynności przygotowawcze do regulacyi podatków gruntowych, ukazem Najwyższym z d. 29 grudnia (10 stycznia) 184$^{8}/_{9}$ r. nakazanéj, są już podobno znacznie posunięte. A przytém można także i godzi spodziewać się, że postanowienie Rady Administracyjnéj z d. 16 (28) grudnia 1858 roku, tudzież wydane w jego rozwinięciu rozporządzenia, ułatwiające oczynszowanie włościan w dobrach prywatnych na zasadzie dobrowolnych umów, i usuwające, ile było można, trudności, od lat kilkunastu pod tym względem istniejące, a ku czemu także skierowane są i dążenia Towarzystwa rolniczego, sprawią, że oczynszowanie to szybciéj jak dotąd postępować będzie.

Byłoby więc w istocie mniéj właściwą rzeczą, gdyby w chwili rozwijania się tych przeważnych reform w stosunkach ziemiańskich, tak bezpośredni i dotykalny związek z szacunkiem dóbr mających, i kiedy jeszcze w interesie normalnego rozgraniczenia pozostaje wszystko do zrobienia, gdyby, mówię, dziś właśnie miano jednak zarządzać formalne szacowanie dóbr, celem udzielania na nie pożyczek Towarzystwa.

Wszystkie te względy doradzałyby raczéj odroczenie udzielania pożyczek podwyższonych do chwili stanowczego uregulowania tych stosunków, lub przynajmniéj do chwili większego zbliżenia epoki takiego urządzenia się; ponieważ jednak dwie tak ważne czynności, jakiemi są regulacya podatków gruntowych i oczynszowanie włościan, potrzebują z natury rzeczy, nawet przy pośpiechu, zabrać nie mało czasu; czekając więc na ich ukończenie, doczekalibyśmy się znowu takiego zbiegu okoliczności, że po upływie lat kilkunastu od roku 1853, tojest po upływie takiego czasu, w jakim dotąd brane były po dwakroć pożyczki na część umorzoną, emissya listów na

pożyczki podwyższone natrafiłaby na epokę udzielania pożyczek odnowionych, co znowu, jak dawniéj, stałby się mogło przeszkodą w wyjednaniu zezwolenia na pożyczki podwyższone, i przechylić szalę za udzieleniem samych pożyczek odnowionych.

Właściwiéj zatém było nie czekać ani na uregulowanie podatków gruntowych, ani na oczynszowanie włościan, a przystąpić już teraz do udzielania pożyczek podwyższonych, tak mocno przez kraj upragnionych, i istotnie potrzebnych, ale udzielać je nie na zasadzie taks, które z powodów wyżéj przywiedzionych nie mogłyby jeszcze być dosyć zasadne, i zapewne nie zostałyby dozwolone, a dozwolone doprowadziłby mogły do zbyt wielkiego naraz podwyższenia pożyczek i do nagłego wprowadzenia w cyrkulacyą zbyt wielkiéj ilości listów zastawnych.

Pośrednia droga była tu zatém konieczną, a w kierunku tym postępując, nie można było znaleźć innéj, więcéj stosownéj od téj, jaką obrano w znaném już w prawie z roku 1825 powiększaniu mnożnika ofiary. Wychodzi to na jedno, jak gdyby w prawie z roku 1825 nadano już władzom Towarzystwa możność podwyższania mnożnika wyżéj 25. O to więc tylko chodzić mogło, aby podwyższenie owego mnożnika umiarkować w sposób odpowiadający ile można i potrzebie stowarzyszonych i wszystkim tym względom kredytu dotyczącym, jakich z uwagi spuszczać nie należało.

W taki sposób pojmując przyjętą dziś zasadę do szacowania dóbr, uważamy, że przyjęcie mnożnika ofiary na 40, a w szczególnych wypadkach na 45, a nawet na 50, jest skalą wszystkim tym warunkom czyniącą zadość.

Dla właścicieli dóbr pożyczki takie mieć już będą nie małe znaczenie; dla tych albowiem, którzy ją uzyskają z mnożnika 40 [a tymi mogą być wszyscy, choć lasów nie urządzą i włościan nie oczynszują], pożyczki wynosić będą $^3/_5$ wysokości pożyczki udzielonéj na zasadzie dotychczasowego mnożnika, na 25 przyjętego; w miarę zaś jak oczynszują włościan i urządzą lasy, dobrać będą mogli pożyczkę zastosowaną do wysokości mnożnika 45

lub 50, a zatém w $^4/_5$ częściach lub w ilości wyrównywającéj dotychczasowéj pożyczce.

Wprawdzie pożyczki udzielane do wysokości pewnéj części szacunku, taksą formalną wynalezionego, naprzykład do połowy, mogłyby właścicielom, małą dotąd ofiarę opłacającym, i z wszelkim dla instytucyi bezpieczeństwem zapewnić kredyt numerycznie wyższy, niż na zasadzie mnożnika, do 50 podniesionego, a w każdym razie zasada taka doprowadziłaby wszystkie dobra w kraju do jednostajnie równego udziału w pożyczkach Towarzystwa, któregoto przymiotu zasada z ofiary czerpana nie posiada; ale ponieważ, jak już tego więcéj dowodzić nie potrzeba, udzielanie pożyczek na zasadzie taks nie było jeszcze na czasie, i ponieważ nie chodziło i chodzić nie mogło o udzielanie pożyczek w stopniu najwyższym, do jakiego właśnie zasada taks doprowadzić mogła, wyznać musimy, że rozszerzenie dotychczasowéj zasady czyni już potrzebom właścicieli tyle zadość, ile na teraz było można. Nie doprowadzi to jeszcze wszystkich dóbr w kraju do jednostajnie równego udziału w pożyczkach Towarzystwa, ale jednak będzie już niejakiém ich wyrównaniem; bo jak skoro pożyczka Towarzystwa w żadnym razie przechodzić nie może połowy szacunku hypotecznego lub taks urzędowych, tém samém dobra, małą opłacające ofiarę, uzyskać zdołają wyższą stosunkowo pożyczkę, niż takie dobra, które na podstawie ofiary stosunkowo większéj, większą téż stosunkowo mają już pożyczkę. Idzie także za tém, że mogą znaleźć się dobra, w których żadna na teraz pożyczka udzieloną być nie będzie mogła lub w bardzo małéj ilości, a takiemi będą wszystkie te, w których pożyczki dotychczasowe wyrównywają już lub się bardzo zbliżają do połowy ich szacunku hypotecznego lub taks urzędowych. Ale dobrom w takim już stopniu pożyczką Towarzystwa kredytowego obciążonym, nie pomogłaby wiele i zasada taksowa.

Oceńmy teraz bezpieczeństwo rzeczowe udzielać się mających pożyczek na zasadzie obecnie w prawie przyjętéj.

Według sprawozdania Dyrekcyi Głównéj ogół pożyczek Towarzystwa kredytowego na dobrach rządo-

wych i prywatnych Towarzystwu zastawionych i w hypotekach zapisanych, wynosił z końcem pierwszego półrocza 1859 roku summę rs. 54,981,000; z téj do dóbr własności prywatnéj odnosi się summa około rs. 44 milionów.

Według znowu wiadomości zaczerpniętych z ksiąg wieczystych, szacunek dóbr prywatnych stowarzyszonych przedstawia summę około 181 milionów rubli; dotychczasowe zatém pożyczki Towarzystwa nie wyczerpują $^1/_4$ części szacunku hypotecznego. Biorąc po szczególe guberniami okazuje się: że w obu oddziałach gubernii warszawskiéj i w gubernii płockiéj wynoszą zaledwie 16 i 18 na sto, czyli $^1/_6$ lub $^1/_5$ część tego szacunku. W gubernii augustowskiéj i w oddziale radomskim gubernii radomskiéj wynoszą one 25 lub 26, tojest $^1/_4$; ale tam nawet gdzie są najwyższe, tojest w obu oddziałach gubernii lubelskiéj i w oddziale kieleckim gubernii radomskiéj wynoszą 32 lub 34 na sto, tojest około $^1/_3$.

Biorąc znowu po szczególe dobrami dostrzegamy, że w niektórych pożyczki nie dochodzą $^1/_{10}$, a nawet $^1/_{15}$ części ich szacunku. W innych zaś przechodzą $^1/_3$ i dochodzą do połowy tegoż szacunku. To téż bez względu na te statystyczne wiadomości, tylko do zbiorowych przecięciowych wypadków doprowadzić mogące, władze Towarzystwa mają przedewszystkiem obowiązek przekonywania się o szacunku każdych po szczególe dóbr pożyczkę podwyższoną otrzymujących. Taki obowiązek mają one wprawdzie i dotąd. Stowarzyszeni wzywani są o ostrzeganie Dyrekcyi Szczegółowéj, czyli szacunek z ofiary ustanowiony nie jest wyższym od rzeczywistego, a Dyrekcye szczegółowe mogą nawet zsyłać delegowanych na grunt, jeżeli zaszło ostrzeżenie względem udzielenia pożyczki, lub jeżeliby właściciel nie dostarczał dowodów przekonywających o bezpieczeństwie pożyczki, żądanéj z mnożnika nad 20 i do 25 podniesionego.

Ale ani prawo z roku 1825 ani późniejsze rozporządzenia nie przepisały, w jakim sposobie badanie i sprawdzanie dochodów ma mieć miejsce; polegano pod tym względem na dopiéro wymienionych środkach ostrożności, na świadomości miejscowéj osób, do składu władz

Towarzystwa należących, i na znanéj powszechnie z umiarkowania zasadzie szacowania z mnożnika 25 przenosić nie mogącego.

Wieloletnie doświadczenie okazało, że środki te były zupełnie wystarczające, obecnie jednak, przy pożyczkach udzielanych na wyższą skalę od dotychczasowych, nie poprzestano na tych tylko środkach charakter wyjątkowy mających, ale owszem zastrzeżono wygotowanie specyalnéj instrukcyi do bliższego oceniania szacunku dóbr, i włożono na władze Towarzystwa obowiązek, aby w sposób instrukcyą tą wskazany przekonywały się o szacunku każdych po szczególe dóbr, a zatém niedopiéro na wypadek otrzymania ostrzeżenia; i jeszcze z tym warunkiem, że pożyczka udzielona nie może przenosić połowy szacunku hypotecznego lub taks urzędowych.

Szacunek hypoteczny dóbr Towarzystwu zastawionych wynoszący jak widzieliśmy summę około 181 milionów, opiera się na aktach nabycia w hypotekach ujawniowych, które tam wszędzie, gdzie dobra z rąk do rąk nie przechodziły, odnoszą się do epoki mniéj więcéj odległéj, a tém samém nie mogły jeszcze uwzględnić podwyższenia szacunku dóbr, jakie skutkiem postępu i rozwinięcia ogólnego przemysłu krajowego, budowy dróg bitych i kolei żelaznych, tudzież dokonanych amelioracyj, nastąpiło nie zaprzeczenie.

Rozległość dóbr prywatnych w całym kraju wynosi bez mała 500,000 włók (499,645) miary nowopolskiéj. Dopuszczam, że 100,000 włók odchodzi na te dobra prywatne, które pożyczki nie zaciągnęły lub zaciągnąć nie mogły, pozostaje na przestrzeń dóbr prywatnych stowarzyszonych 400,000 włók, co z szacunku rs. 181 milionów, odnoszącego się także do dóbr prywatnych stowarzyszonych, daje w przecięciu na włókę rs. 450 czyli zł. 3,000. Biorąc po szczególe dobrami, znajdziemy i nie małą liczbę takich, w których cena włóki nie dochodzi téj summy, a znajdują się i takie, w których i rs. 300 nie wynosi. Ale za to większa nierównie jest ilość takich dóbr, w których cena włóki przenosi zł. 3,000, a niejednokrotnie cena ta jest znakomicie wyższą, a są okolice, w których dochodzi do złotych kilkunastu tysięcy. I tak:

w obu oddziałach gubernii warszawskiéj, obszerniejszéj od dwóch razem wziętych gubernij płockiéj i augustowskiéj, cena włóki z rzadkiemi wyjątkami, jest wiele więcéj wartą jak rs. 450; i toż samo ma miejsce w nie małéj części każdéj innéj gubernii.

Według kadastru obowiązkowego ubezpieczenia nieruchomości wiejskich w całym kraju, wartość budowli do assekuracyi podana wynosi przeszło 110 milionów rubli srebrnych, w co jeszcze nie wchodzi przewyżka wartości murów tylko w pewnéj części do ubezpieczenia przyjmowanych. Potrącając na budowle w dobrach rządowych, tudzież w dobrach Towarzystwu nie zastawionych, jednę trzecią część całéj téj assekuracyi, pozostanie na dobra prywatne przesło 72 milionów rubli, tak, że na jednę z 400,000 włók, pozostających pod przestrzenią dóbr prywatnych stowarzyszonych, wypada wartość samych budowli na rubli srebr. 180.

Cena więc przecięciowa włóki zł. 3,000, jaką tu za podstawę naszego rachunku przyjmujemy, uważaną być musi, za cenę bardzo umiarkowaną (1).

Zobaczmy teraz, jaką część tego szacunku zająć mogą pożyczki Towarzystwa po ich podwyższeniu, na skutek nowo zapadłego prawa.

Dopuszczam najwyższy stopień tych pożyczek, tojest: że we wszystkich dobrach lasy zostaną urządzone i włościanie oczynszowani, i że tém samém pożyczki Towarzystwa będą mogły być udzielone na wszelkie dobra z mnożnika w stopniu najwyższym dozwolonego, tojest pięćdziesięciu. Owoż nawet w takiém przypuszczeniu, (które przecież nigdy miejsca mieć nie może), pożyczki Towarzystwa, przy stosunku, jaki już dziś zachodzi między szacunkiem hypotecznym a wysokością dotychczasowych pożyczek, i przy zasadzie nie przekraczania w żadnym razie połowy tego szacunku, pożyczki Towarzystwa, jakie

(1) P. Adolf Kurtz w rozbiorze uczynionego przez Towarzystwo Rolnicze pytania, dotyczącego kierunku rolnictwa krajowego, podaje średnią u nas wartość morgi na zł. 150, czyli włóki na 4,500, i stawia ją w porównaniu z ceną średnią ziemi we Francyi i w Anglii, w pierwszéj po złotych 1,000, a w drugiéj po zł. 2,000 za morgę, tojest po zł. 30,000 lub 60,000 za włókę.

obecnie udzielane być mogą, wyniosą w gubernii warszawskiéj obu oddziałach, płockiéj a nawet radomskiéj w oddziale radomskim, tyle ile wynoszą dotychczasowe pożyczki, tojest: 16—18 i 25 na sto. W gubernii augustowskiéj tudzież w gubernii radomskiéj oddziale kieleckim i w gubernii lubelskiéj obu oddziałach, gdzie pożyczki dotychczasowe wynoszą 26—32 i 34 na sto, pożyczki podwyższone nie będą już mogły wynosić drugie tyle, ale jednak wyniosą 24—18 lub 16 na sto.

Wypadki te są wprawdzie zawsze tylko przecięciowe i przybliżone, bo niewątpliwie znajdzie się mianowicie w tych ostatnich guberniach pewna część dóbr, które w mniejszym jeszcze stosunku dobrać będą mogły pożyczkę, a nawet takie, które jéj wcale nie uzyskają. Zawsze przecież doprowadzają do tego ogólnego liczebnego wypadku, że pożyczki podwyższone nie przejdą wysokości pożyczek odnowionych nowych i dodatkowych na zasadzie prawa z r. 1853 udzielonych, tojest summy 28 milionów rubli. Z dotychczasowych pożyczek w hypotekach zapisanych odnosi się do dóbr prywatnych summa około 44 milionów rubli, przybędzie obecnie 28 milionów i będzie razem 72 milionów rubli. Ale summie téj nie dorówna nigdy ani rzeczywisty dług Towarzystwa, dobra prywatne obciążający, ani wysokość listów zastawnych na pożyczki te wystawionych, a w obiegu pozostających.

Z summy pierwszéj 44 milionów jest już dziś umorzoną $^1/_6$ część długu przez spłatę takiéjże części listów wylosowanych. Emissya drugiéj summy 28 milionów trwać będzie lat 6. W tych także sześciu latach umarzać się będą obie summy 44 i 28 milionów, i w odpowiedniéj ilości spłacać listy zastawne. Z końcem roku 1866 uczyni to kilkanaście milionów rubli, tak, że jak przybliżony rachunek okazuje, nie będzie chwili czasu, w którejby nieumorzony dług Towarzystwa dobra prywatne obciążający, i rzeczywista wysokość listów zastawnych na te pożyczki wystawionych, a w obiegu pozostających, przenosiła summę 55 milionów rubli.

W stosunku do owego szacunku hypotecznego dóbr prywatnych stowarzyszonych, summę 181,000,000 rubli wynoszącego, a wykazującego, jak widzieliśmy minimum

tego szacunku, dług rzeczywisty dóbr w pożyczkach Towarzystwa dotychczasowych i podwyższonych wynosić będzie niespełna $^1/_3$ część tego szacunku, i nie będzie jeszcze dorównywał wartości budowli w tych dobrach istniejących.

Ani więc wątpić można, że pożyczki podwyższone będą mieć bezpieczeństwo rzeczowe, równie pewne i niezawodne, jak pożyczki dotychczasowe.

W tém miejscu pomówmy także o kursie listów zastawnych w ogólności, a w szczególności tych, jakie na pożyczki podwyższone wystawione zostaną.

Nie biorąc na uwagę szczególnych okoliczności, jakie na kurs papierów publicznych w ogólności, a w szczególności i na kurs listów zastawnych wpływać mogą, a jakich pod rachubę podciągnąć nie można; zależy on głównie od bezpieczeństwa rzeczowego udzielanych pożyczek, na które listy zastawne wystawione zostały; od wysokości emissyi i od szczególnych rozporządzeń na utrzymanie kursu wpływać mogących.

Pod względem bezpieczeństwa pożyczek Towarzystwa, a tém samém i bezpieczeństwa listów na te pożyczki wystawionych i wystawić się według niniejszego prawa mających, rzecz już dopiéro rozebrana.

Pod względem wysokości emissyi listów zastawnych ta także jest już nam znana, wynosi albowiem może tęż samą summę 28,000,000 rubli, jaką z przybliżonego obrachunku wynosić mogą podwyższone pożyczki Towarzystwa. Emissya téj wysokości wyrównywa emissyi listów, jaka miała miejsce na zasadzie prawa z roku 1853, ale jéj nie przenosi. Owoż doświadczenie nabyte przy téj ostatniéj emissyi, tudzież przy emissyi poprzedniczéj z roku 1838 okazuje, że w pierwszym tylko roku po uchwaleniu tych praw kurs listów zastawnych zniżał się o parę procentów, ale że zaraz w roku drugim wracał do dawnéj stopy. I obecnie zatém wnosić można, że obniżenie kursu może być tylko nie wielkie i czasowe: zwłaszcza, że projektowana emissya rozłożoną będzie na przeciąg lat sześciu, tojest do końca roku 1866, w którym skończy się możność otrzymywania pożyczek podwyższonych; że w ciągu tych sześciu lat nie wszyscy

właściciele uzyskać ją zdołają z mnożnika do 50 podwyższonego; że w tym także przeciągu czasu umorzonych zostanie listów zastawnych do obu seryj okresu III należących kilkanaście milionów rubli, jak niemniéj, że nowe prawo obejmuje niektóre rozporządzenia, o których niżej mówić będziemy, a które na utrzymanie kursu listów zastawnych tylko korzystnie wpływać mogą.

Wszystkie te cyfry doprowadzają do przekonania, że gdyby szło o samo tylko bezpieczeństwo rzeczowe, podwyższenie pożyczek mogłoby mieć miejsce w wyższym jeszcze stopniu; ale ponieważ zasada taks prawidłowych, szacunek rzeczywisty dóbr najlepiéj wykryć mogących, nie była jeszcze na czasie, a nie o to chodziło, aby pożyczkami podwyższonemi wyczerpać całą możność udzielania pożyczek, kiedy i owszem chodziło o to, aby możności téj nie wyczerpać, lecz udzielając pożyczki w wysokości wyrównywającéj mniéj więcéj tym, jakie były udzielone w latach 1838 i 1853, wypróbować, że tak powiem, możność dalszego a zasadnego ich udzielania i na przyszłość, musimy uznać, że przyjęty obecnie system znajduje się pod każdym względem usprawiedliwiony.

Biorąc wszystko na wagę rozumu, nie można nawet nie uznać, że środek, jakiego użyto, jest tym właśnie, jaki w naszém położeniu jest najlepszym i najwłaściwszym.

On to sprawia, że szanując przeszłość nie porzucamy nagle i bez koniecznéj potrzeby zasady z podatku ofiary czerpanéj, a tak pomyślnie Towarzystwu kredytowemu przez lat 35 posługującéj, ale że zatrzymując ją jeszcze, czynimy z niéj stopniowe i racyonalne przejście do systematu taksowego, a to do czasu, w którym warunki zasadnego sporządzania taks, a mianowicie regulacya stosunków włościańskich daléj postąpi, i że, aby ten czas przyspieszyć, mieć będziemy interes w dokładaniu usiłowań, aby dzieło oczynszowania włościan tak przeważnie potrzebne i już konieczne, zostało ile można najrychléj w całym kraju przeprowadzone.

Godzi się téż rachować na to, że jak skoro to nastąpi i jak skoro podatek ofiary wszedłszy w ogólną

regulacyą podatków gruntowych, nie będzie już mógł posługiwać do dalszych pożyczek Towarzystwa, jakie w przyszłości udzielane być mogą, przyjęcie zasady taksowéj stanie się nieuchronném, a tém będzie łatwiejsze, że włożony obecnie na władze Towarzystwa obowiązek bliższego przekonywania się o szacunku każdych po szczególe dóbr, nagromadzi tymczasem więcéj materyałów taksowych, zapozna je ściśléj ze szczegółami ich szacunku, i wypróbuje wypłacalność dóbr, jak niemniéj, że przyjęcie w owéj epoce zasady taksowéj nie wpłynie już w sposób znaczący na podwyższenie ogólnéj wierzytelności Towarzystwa i ilości cyrkulujących listów zastawnych, a doprowadzi wszystkie już dobra w kraju do jednostajnego udziału w dogodnościach z pożyczek Towarzystwa wypływających, i rozpoczęte niniejszém prawem dzieło stopniowego wyrównania tych dogodności i właściwszego zastosowania ich do rzeczywistego obecnego szacunku dóbr doprowadzi do końca.

Postępujemy więc zwolna krokiem pewnym bez przeskoków, ale i bez obawy zawodów, tojest tak właśnie, jak w rzeczach kredytu postępować należy, a przytém postępujemy z dobrze obmyślanym programem na przyszłość. Mając budowę mocną i z trwałemi fundamentami, lecz w obszerności swéj niedostateczną, nie rozrzucamy jéj z gruntu, aby w tém samém miejscu wybudować gmach nowy; ale te trwałe i wypróbowane fundamenta wzmacniając i rozszerzając, wznosimy z materyałów, jakie mamy, i przysposabiamy nowe jeszcze mury i nowe piętra: i tym sposobem według możności i potrzeby rozprzestrzeniamy gmach dotychczasowy.

W tém miejscu możemy sobie zadać drugie jeszcze pytanie, tojest: czy udzielania pożyczek podwyższonych, jakie obecném prawem dozwolone zostało, można było spodziewać się wcześniéj jeszcze?

Pytanie to stawiamy sobie nie dlatego, że do rozszerzenia skali pożyczek przygotowywano się już dawniéj, jakto istotnie czynić należało, ale że były pojedyncze zdania za wcześniejszém wprowadzeniem w wykonanie rozszerzenia téj skali. Pomijam tu epokę z przed roku 1853, w tym albowiem roku i z przyczyn, jakie

już wyżéj wskazaliśmy, w miejsce projektowanego w rozmaity sposób rozszerzenia działalności Towarzystwa kredytowego, dozwolono jedynie na pożyczki odnowione. Pytanie więc ogranicza się na tém:

czy po zapadnięciu prawa z r. 1853 można było rozszerzenie téj działalności wcześniéj jeszcze uzyskać?

Artykuł 23 powołanego prawa z r. 1853 przepisuje, że: „aż do zupełnego wycofania z obiegu listów zastawnych należących do II okresu umorzenia kończącego się w r. 1866, żadne nowe wypuszczenie listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego podobne obecnemu miejsca mieć nie może".

Zastrzeżenie takie znane i w prawie z r. 1838 (art. 34) spowodowane było głównie tém, że z uwagi na utrzymanie listów zastawnych w dobrym kursie, nie chciano dopuścić w żadnym razie takiego wypadku, aby jednocześnie znaléźć się mogły w cyrkulacyi listy zastawne aż do trzech okresów z różnemi terminami umorzenia należące; a właśnie ten wypadek mógłby był mieć miejsce, gdyby dalsze odnowienie pożyczek w okresie, który byłby czwartym z kolei, przyszło do skutku przed rokiem 1866, tojest przed epoką, w któréjby dopiéro listy zastawne okresu II znalazły się według prawa umorzone.

Okazuje się ztąd, że gdyby nie miano zamiaru dozwalać obecnie na rozszerzenie zasady w udzielaniu pożyczek Towarzystwa, dośćby było nie przyspieszać umorzenia listów zastawnych II okresu i czekać tym celem upływu roku 1866.

A przecież władze Towarzystwa kredytowego nietylko trudniły się gorliwie wycofaniem wcześniejszém listów zastawnych II okresu, drogą dozwolonéj im w prawie zamiany na listy zastawne III okresu, i w téj mierze bynajmniéj wstrzymywane nie były, ale nawet jak nam dobrze wiadomo, w zamiarze większego jeszcze przyspieszenia wycofania listów zastawnych II okresu, upoważnione zostały przez władzę wyższą, aby w dwóch ostatnich losowaniach półrocznych dodały do funduszu ich losowania kwoty znakomite i takie, aby za ich po-

średnictwem wylosowaną była do umorzenia w kwietniu r. b. całkowita pozostająca w obiegu ilość tych listów.

Dopiéro téż przy tych środkach stać się mogło i stało się zadość warunkowi możności udzielania pożyczek prawem z roku 1853 wyraźnie zastrzeżonemu. Wycofanie z obiegu listów zastawnych I okresu nastąpiło w roku 1852, tojest tylko dwa lata przed ich umorzeniem, prawem z roku 1825 na rok 1854 oznaczoném. Takież wycofanie listów zastawnych II okresu nastąpiło trzy razy wcześniéj, bo na lat sześć przed rokiem 1866, a tylko w lat siedm po ostatniéj emissyi listów zastawnych z r. 1853; aby zaś i wcześniéj jeszcze nastąpić mogło, naprzykład w lat 5 lub 6 od roku 1853, tego nawet nie dozwalały rózporządzalne fundusze własność Towarzystwa stanowiące, które jakkolwiek wzrosły były do summy blizko 3,000,000 rubli, to przecież i przedewszystkiém potrzebowały starczyć na różne nieuchronne i biegnące potrzeby Towarzystwa, a mianowicie na pokrywanie czasowych niedoborów w ratach półrocznych i na dodawanie w sposób, jaki dotąd miał miejsce, do funduszu półrocznych losowań procentu amortyzacyjnego za właścicieli, którzy się z przystąpieniem do pożyczki Towarzystwa opóźnili. Zaliczenia na niedobory odzyskiwane są mniéj więcéj w ciągu roku i bez straty; ale zawsze nowe niedobory, a raczéj opóźnienia w opłacie rat biegnących następują i zachodzą jedne na drugie, tak, że potrzeba funduszu gotowego na te niedobory jest zawsze znaczną i z natury rzeczy ciągłą; zastępowanie zaś procentu amortyzacyjnego zwraca się dotąd funduszowi Towarzystwa także bez straty, ale stopniowo i w ciągu tylu półroczy, ile ich upłynęło od daty rozpoczęcia okresu III w r. 1853, do daty uzyskania pożyczki, a zatém niekiedy w siedmiu latach. A jeszcze i na to baczyć należy, że toż samo prawo z roku 1853, które w artykule 23 możność udzielania dalszych pożyczek zrobiło zawisłą od poprzedniego wycofania z obiegu listów zastawnych II okresu, zastrzegło zarazem w artykule 19, że:

jak skoro listy te z obiegu wycofane zostaną, władze Towarzystwa przedstawią rządowi projekt

w przedmiocie oznaczenia na przyszłość wysokości kapitału rezerwowego Towarzystwa, oraz wskazania celów użyteczności ogólnéj, na które część funduszów Towarzystwa, po utworzeniu kapitału rezerwowego pozostająca, będzie mogła być użytą.

Wycofać więc z obiegu listy zastawne II okresu wcześniéj niż to nastąpiło, naprzykład w r. 1858, kiedy ich ilość wynosiła jeszcze około 5,000,000 rubli i używać na to funduszu własności Towarzystwa, który dziś niespełna 3,000,000 rubli, a wówczas nie tyle jeszcze wynosił, a używać tak, aby z tego także a nie z innego funduszu utworzyć kapitał rezerwowy na wszystkie potrzeby Towarzystwa starczyć mogący, tudzież drugi oddzielny fundusz na cele użyteczności ogólnéj, i taki, któryby zaraz funkcyonował i na zaspokojenie potrzeb tamtych odwróconym być nie mógł, było zaprawdę zadaniem, którego rozwiązanie przy tych środkach graniczyło z niepodobieństwem, i zaprawdę także wyznać trzeba, że wycofanie ich w roku bieżącym było także zadaniem nader trudném, które też rozwiązaném zostało, jak o tém niżéj jeszcze powiemy, w związku z obmyśleniem nowéj kombinacyi, dotyczącéj opłaty rat biegnących łącznie z procentem amortyzacyjnym zaległym.

W przedmiocie tym i to nadmienić wypada, że lubo listy zastawne II okresu w ostatniém półroczu wylosowane, mogą być zapłacone i umorzone nie wcześniéj jak w czerwcu r. b., w którym są płatne, to jednak nie czekając tego terminu mamy już prawo dozwalające udzielania pożyczek podwyższonych z zastrzeżeniem jedynie, że przed przystąpieniem do ich udzielania złożony będzie rządowi raport z zupełnego wycofania z obiegu listów zastawnych II okresu. Przy emissyi z roku 1853 nie pospieszono się tyle, dopiéro bowiem w rok po wycofaniu z obiegu listów zastawnych I okresu, co nastąpiło w roku 1852, zapadło prawo z d. $^{8}/_{20}$ kwietnia 1853 roku, na mocy którego udzielano pożyczki od włącznie drugiego półrocza tegoż roku. Nadmieniamy wreszcie i to, że aby rzeczywiste udzielanie pożyczek podwyższonych przyspieszyć ile tylko można i ile położenie

rzeczy dozwalało, władze Towarzystwa nawet przed uzyskaniem Najwyższego zatwierdzenia prawa o tych pożyczkach, wezwane zostały, jak nam dobrze wiadomo, do przygotowawczych w téj mierze prac i zbierania potrzebnych materyałów i czynnością tą są właśnie zajęte.

Widzimy więc, że w przedmiocie rozszerzenia zasad instytucyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego i zastosowania wysokości pożyczek do podwyższonéj rzeczywistéj wartości dóbr, zrobiono obecnie wszystko co było można, w sposób jak było można i w czasie, który w żadnym już razie więcéj przyspieszonym być nie mógł.

A skoro tak jest, godzi się w tém miejscu zwrócić uwagę, że jakkolwiek potrzeba podwyższonych pożyczek upoważniać mogła do objawiania pod tym względem życzeń kraju, to jednak użalania się niektórych na jakoby niechęć lub niepotrzebną zwłokę, były, jak skutek okazał, nieuzasadnione i niesprawiedliwe. Tylko przy dobréj a rozważnéj woli, przy zespoleniu wielu przeważnych usiłowań, a opiekuńczém poparciu w górze, skutek ten dał się teraz uzyskać.

Co do 2go. Przystąpmy teraz do rozbioru rozporządzeń, jakie poraz pierwszy znajdujemy u nas złączone z instytucyą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Pierwszy z nich stanowi, że gdzie są spory graniczne, tam, aż do ich usunięcia pożyczka Towarzystwa udzieloną być nie może.

Ma to związek z prawem o normalném rozgraniczeniu z dnia $^{14}/_{20}$ kwietnia 1818 roku. Cel prawa tego był podwójny:

Jeden, aby liczne i zadawnione spory graniczne, przekazane nam w puściźnie klęskami krajowemi i licznemi zmianami w prawodastwie, zostały w terminie pod prekluzyą oznaczonym stanowczo pokończone, i w tym celu przepisano oddzielne sporne postępowanie sądowe; drugi, aby również w epoce oznaczonéj wszystkie bez wyjątku dobra nieruchome zostały między sobą normalnie rozgraniczone, i dowody takiego rozgraniczenia do ksiąg wieczystych wniesione, co posłużyłoby zarazem do zupełnego rozwinięcia prawa hypotecznego, według którego

w dziale I, opisaną być ma nieruchomość przedmiotem hypoteki będąca.

Osiągnięcie pierwszego celu umorzyć miało procesa już istniejące, osiągnięcie zaś drugiego miało zagrodzić im drogę na przyszłość; oba zaś w połączeniu upewnić miały wartość dóbr nieruchomych pod względem ich przestrzeni, i nadać téj wartości przymiot większego ustalenia; przymiot, jakiego dotąd nie mają, bo choć w hypotece niema objawionego sporu granicznego, to jednak przy granicach w sposób trwały nieoznaczonych i dwustronnie nieprzyjętych, istnieć mogą na gruncie powody do takich sporów.

Jak wiadomo, prawo to dla rozmaitych i ważnych przeszkód nie weszło w wykonanie. Procesa graniczne idą zwykłym jak dawniéj biegiem, a lubo od roku 1818 przez upływ lat 42ch wiele z nich pokończonych zostało na drodze ugodnéj, sądowéj lub przez przedawnienie, nie rzadko jednak sądy potrzebują jeszcze zajmować się niemi. Pojmujemy, że dla téj pozostałéj ilości sporów granicznych i po upływie tak długiego czasu może już byłoby mniéj właściwém wprowadzać w wykonanie prawo z r. 1818 w całéj swéj obszerności; niemniéj przecież pożądaném jest rychłe doprowadzenie do końca i tych pozostałych, choćby już nie tak licznych procesów granicznych, a to nietylko w interesie dóbr w procesa te powikłanych, ale i w interesie ogólnego kredytu ziemskiego.

Instytucya téż kredytowa jaką jest nasze Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, ogarniając ogół nieruchomości ziemskich przyczynić się może i powinna do osiągnięcia tak pożądanego celu.

Wiemy, że najznaczniejsza część dóbr pożyczkę Towarzystwa zaciągnąć mogących należy już do stowarzyszenia kredytowego ziemskiego. Te, które dotąd do niego nie przystąpiły, a jest ich mała tylko liczba, mogą to jeszcze uczynić w terminie do końca 1866 roku, jaki nowém prawem jest zakreślony. Korzyści i dogodności, jakie przedstawiają pożyczki tego Towarzystwa, jakich żadną inną równie dogodną zastąpić u nas niepodobna, skłoni zapewne wszystkich właścicieli dóbr, jednych do dobra-

nia, drugich do zaciągnięcia pożyczek w zakresie większym niż to dotąd miało miejsce; a że ci z pomiędzy nich, którzy w procesa graniczne są powikłani, zaciągnąć ich nie zdołają, póki tych procesów nie ukończą, godzi się spodziewać, że albo chętniéj przystąpią do zgody, albo gdzie zgoda niepodobna, że ile można przyspieszą proces.

Tak więc przy łączności interesu stron zwaśnionych, i już bez potrzeby wprowadzania w wykonanie oddzielnego postępowania spornego, jakie zamierzone było prawem z r. 1818, dopięty być może na drodze samoistnego działania jeden z dwóch celów, prawem tém zamierzonych, tojest przyspieszenie i ukończenie procesów granicznych już istniejących: a jak na téj drodze postąpimy, nie będzie tak dalece przeszkody do normalnego między sobą rozgraniczenia wszystkich dóbr kraju, tojest takiego, które nawet wrazie naruszenia lub zniknięcia znaków granicznych, dozwoli je z łatwością i ścisłością przywrócić.

Kodeks cywilny w artykule 646 dozwala już każdemu poszczególnie właścicielowi zobowiązać sąsiada do odgraniczenia kosztem wspólnym stykających się własności. Oto więc głównie chodzić będzie, aby tę prawną możność, z któréj dotąd nie wielu korzystało, podnieść do stopnia obowiązku, i obowiązek ten uogólnić, a zarazem ułatwić jego wykonanie, i w taki sposób: aby w czasie, jaki oznaczonym być może dzieło ogólnego rozgraniczenia między sobą wszystkich dóbr w kraju i na zasadach jednostajnych ukończone, i w hypotekach ujawnione być mogło. Prawo z r. 1818 obejmuje już w téj mierze przepisy. Możeby wypadało przejrzéć je jeszcze, i do obecnego położenia rzeczy zastosować; pod tymi względami pośrednictwo władz rządowych jest nieuchronne. Towarzystwo Rolnicze podejmując skwapliwie wszystkie kwestye rolnictwa krajowego dotyczące, znajdzie także bezwątpienia środki ku temu celowi zdążające, a jak na skutek wszystkich tych działań normalne rozgraniczenie w niedługim przeciągu czasu dokonane zostanie, dopięty tém samém będzie i drugi cel prawa z r. 1818, tojest zagrodzi się wszystkim tym procesom grani-

cznym, jakie przy nieuregulowanych geometrycznie i dwustronnie granicach, i w braku ujawnienia ich w księgach wieczystych, mogłyby z jakichbądź powodów powstać w przyszłości, a tém samém utrwali się wartość dóbr pod względem ich przestrzeni, i ułatwi przyszłe sporządzanie taks zasadnych.

Trafném więc znajdujemy wymienione wyżéj rozporządzenie prawa o pożyczkach Towarzystwa nad dotychczasową skalę powiększonych. Weszło ono, jak o tém wiemy, w tekst prawa na skutek inicyatywy i zniesienia się Dyrektorów głównych, sprawiedliwości i skarbu.

Gdyby podobne rozporządzenie weszło było do prawa z r. 1838 lub 1853, o pożyczkach w listach zastawnych II, lub III okresu, bylibyśmy pod tym ważnym względem daléj zapewne posunięci, a może bylibyśmy już doszli do normalnego rozgraniczenia, którego brak przywodzony był za jeden z powodów nierozszerzania działalności instytucyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, i oddalania epoki oparcia pożyczek tego Towarzystwa na zasadzie taks prawidłowych.

Jeżeli jednak przy znanéj z umiarkowania swego dotychczasowéj zasadzie wynajdywania szacunku dóbr z mnożnika najwyżéj do 25ciu podniesionego, bezpieczeństwo pożyczek Towarzystwa obchodzić się mogło i obchodziło bez ustalenia granic dóbr, i nie było jeszcze tak dalece tytułu do zamieszczenia w dotychczasowych prawach o pożyczkach Towarzystwa zastrzeżenia co do ukończenia sporów granicznych, to dziś, przy podwyższonéj skali pożyczek, należało dla samego bezpieczeństwa rzeczonego tychże pożyczek, choćby nawet innych nie było powodów, przyjąć podobne zastrzeżenie: i w téj to potrzebie bezpieczeństwa rzeczowego upatrujemy główne tego rozporządzenia motiwum i nader usprawiedliwiony tytuł do figurowania w prawie o podwyższonych pożyczkach Towarzystwa.

W tym także kierunku znajdujemy w obecném prawie dwa inne rozporządzenia, dotyczące urządzenia lasów i oczynszowania włościan, odpowiednio zasadom postanowienia Rady Administracyjnéj z d. $^{16}/_{28}$ grudnia 1858 r. Polegają one na tém, że na dobra, w których

lasy nie są jeszcze urządzone, a włościanie wieczyście nie oczynszowani, tam wysokość pożyczek Towarzystwa stosowaną będzie do szacunku wynajdywanego z mnożnika, najwyżéj do 40 podniesionego; tam zaś, gdzie albo lasy są urządzone, albo włościanie oczynszowani, tam pożyczki udzielane być mogą z mnożnika 45, a z mnożnika 50, za maximum przyjętego tam tylko, gdzie są i lasy urządzone i włościanie wieczyście oczynszowani.

Nie ulega wątpliwości, że ustalenie wartości dóbr ziemskich zależy nietylko od ustalenia ich granic i przestrzeni, ale także i wewnętrznego ich urządzenia.

Do głównych warunków takiego urządzenia policzamy regulacyą stosunków włościańskich za pośrednictwem oczynszowania, tudzież zaprowadzenie porządnych gospodarstw leśnych, tak mało jeszcze w kraju upowszechnionych.

I jedno i drugie staje się dziś potrzebą i nieledwie koniecznością. Nie idzie przecież za tém, aby możność uzyskania pożyczki Towarzystwa warunkowaną być potrzebowała i warunkowaną być mogła poprzedniém dokonaniem tych choć tak potrzebnych i koniecznych czynności wewnętrznego urządzenia dóbr.

A najprzód co do oczynszowania włościan. Wiadomo, że oczynszowanie nie inaczéj nastąpić może, jak na zasadzie dobrowolnych układów; już więc z téj tylko wychodząc zasady, nie można było, ani nie należało oczynszowania tego kłaść za warunek udzielania pożyczek Towarzystwa. Wyglądałoby to na rodzaj przymusu, na właścicieli nałożonego, a przymus taki działałby wprost przeciwnie dążeniu do oczynszowania. Że włościanie upatrywaliby w tém powód do zwlekania dobrowolnych układów, o tém ani wątpić można; a również nie może ulegać zaprzeczeniu, że i właścicielowi dóbr, zostającemu pod naciskiem długów niekiedy wysoko procentowych i wymagalnych, i nie mającemu właśnie dlatego pewności utrzymania się przy saméj własności dóbr, będzie i trudniéj i mniéj pilno przystąpić do oczynszowania, niż takiemu, który te uciążliwe długi na pożyczkę Towarzystwa zamieni, lub który nie mając długów uzyska ją do rąk właśnie w epoce, w któréj, z po-

wodu oczynszowania, większego jak dotąd kapitału potrzebować będzie. Warunkowanie udzielania pożyczek Towarzystwa poprzedniém oczynszowaniem włościan, nie byłoby przytém w zgodzie z ukazem Najwyższym z d. $^{8}/_{20}$ kwietnia 1853 r., który między innemi dlatego dozwolił na dalsze udzielanie pożyczek Towarzystwa kredytowego, że uznawał, iż pożyczki te (słowa ukazu) podadzą właścicielom dóbr sposobność rychlejszego i lepszego majątków swych urządzenia za pośrednictwem oczynszowania włościan. Jestto więc kwestya już przesądzona. Co miało być wypływem prawa z roku 1853 o pożyczkach Towarzystwa kredytowego, to w późniejszém nieco prawie o takichże pożyczkach nie mogło być stawiane jako ich warunek.

Dla usprawiedliwienia podobnego warunku, trzeba było módz dokumentnie dowieść, że pożyczki Towarzystwa kredytowego nietylko nie stają się ułatwieniem oczynszowania, jak to uznał ukaz Najwyższy z r. 1853, ale i owszem, że oczynszowaniu temu przeszkadzają.

Doświadczenie inaczéj nauczało. Z ogólnéj ilości 208,982 osad włościańskich w dobrach prywatnych, pozostaje jeszcze osad 124,840 nie oczynszowanych; osad zaś czynszowych jest 52,506, a czynszowo pańszczyznianych 31,636, razem 84,142, a z téj liczby znaczna część oczynszowaną została właśnie w epoce egzystencyi Towarzystwa kredytowego od r. 1825. Że w epoce téj, a mianowicie od roku 1853, oczynszowanie nie więcéj postąpiło, tego na karb instytucyi Towarzystwa kredytowego policzać nie można. Były po temu przeszkody i trudności, których tu zbytecznie wymieniać; ale że za trudność taką nie poczytywano pożyczek Towarzystwa, dowodem jest postanowienie Rady Administracyjnej z dnia $^{16}/_{28}$ grudnia 1858, którego celem jest właśnie usunięcie tych przeszkód, a które przecież przyjmując w oczynszowaniu zasadę dobrowolnych umów, nie uczyniło ją w czémkolwiek zawisłą od pożyczek Towarzystwa.

Czekać z udzielaniem pożyczek podwyższonych na poprzednie oczynszowanie włościan, wychodziłoby przytém na jedno, co ich wcale nie udzielać i obywać się

jedynie pożyczkami odnawianemi w dotychczasowym zakresie. W miarę czekania umarzać się będą pożyczki dotychczasowe; gdyby więc, pomimo nieudzielania pożyczek podwyższonych, dzieło oczynszowania włościan na zasadzie dobrowolnych umów w lat kilka dokonaném zostało, a tém samém gdyby spełniony został warunek możności uzyskania pożyczek podwyższonych, to znowu emissya listów zastawnych na pożyczki odnowione i podwyższone podniosłaby się tak znacznie, iż powtórnie, jak w roku 1853, stałby się mogła powodem do ograniczenia się na samych pożyczkach odnowionych. Ale jeżeli z tych wszystkich powodów nie można było, ani wypadało udzielania pożyczek podwyższonych czynić zawisłem od poprzedniego oczynszowania włościan, które z widoku dobra ogólnego mogło komu zdawać się potrzebne, to jednak przyjęcie w nowém prawie zasady, że na dobra z włościanami oczynszowanymi udzieloną być może pożyczka nieco wyższa od téj, jak na dobra nieoczynszowane, znajdujemy duchowi obowiązujących przepisów nie przeciwném, oczynszowania nie utrudniającém i zupełnie właściwém.

Nie jest przeciwne duchowi obowiązujących przepisów, bo właściciel i bez oczynszowania włościan może uzyskać pożyczkę, tylko nieco w niższym stopniu, a zawsze znaczną, bo wyrównywającą $^3/_5$ częściom pożyczki dotychczasowéj lub nawet $^4/_5$, jeżeli ma lasy urządzone. Nie utrudni oczynszowania, bo właściciel uzyskując pożyczkę z podwyższonego mnożnika do 40 lub 45, albo spłaci nią odpowiednią ilość długów wymagalnych i uciążliwych, albo nawet uzyska do rąk tak mu potrzebny do oczynszowania kapitał obrotowy; nietylko więc nie utrudni oczynszowania, ale raczéj może mu dopomódz i stać się do niego niejaką zachętą. Jest wreszcie zupełnie właściwe, bo nie ulega zaprzeczeniu, że dobra z włościanami już oczynszowanemi, są w wartości swéj więcéj ustalone od dóbr pod tym względem nieuregulowanych: że zatem już z tego jednego powodu zdolne są znieść stosunkowo wyższą pożyczkę Towarzystwa; a ta jedna okoliczność jest już dostatecznym i gło-

wnym tytułem zamieszczenia podobnéj zasady w prawie o pożyczkach Towarzystwa kredytowego.

Dowód na to i w tém znajdujemy, że pod względem stopnia możności uzyskania pożyczki podwyższonéj, dobra z włościanami nieoczynszowanymi są zupełnie porównane z dobrami, nie mającemi wcale włościan podchodzących pod ukaz z dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 r. Nie mogło już tu chodzić ani o oczynszowanie włościan, bo tych tam nie ma, ani o przeznaczenie jakichbądź przestrzeni pod nowe ich osiedlenie, bo tego ani ów ukaz z r. 1846, ani późniejsze rozporządzenia wcale nie obejmują. Znać więc, że dobra takie poczytywano za mniéj ustalone w wartości swojéj od dóbr z włościanami oczynszowanymi.

I tak jest rzeczywiście:

Dobra bez włościan osiadłych potrzebują zarówno z dobrami włościan oczynszowanych mającymi, większego kapitału na utrzymanie sprzężaju i robocizny folwarcznéj, a wystawione są przytém na niepewność najmu w większym stopniu niż dobra z włościanami osiadłymi, którzy nawet po oczynszowaniu nie przestaną tworzyć ludności miejscowéj, zapewniającéj większą łatwość dobrowolnego najmu niż tam, gdzie najem ten obcą i daléj osiadłą ludnością zaspakajać trzeba.

Zamieszczenie w prawie przepisu o możności uzyskania wyższéj nieco pożyczki na dobra z lasami urządzonemi, znajduje także swoją podstawę w uznaniu, że dobra z lasami nieurządzonemi są w wartości swojéj mniéj ustalone, i że zapobieganie nadużyciom w użytkowaniu lasów, samą wartość dóbr zmniejszyć mogącym, jest w nich trudniejsze.

Że ten, a nie inny wzgląd przewodniczył takiemu zastrzeżeniu, znajdujemy dowód nietylko w tém, że i na dobra, gdzie lasy nie urządzone, pożyczka nieco w niższym stosunku udzieloną być może, ale i w tém, że przepis ten wszedł jakby w zastąpieniu myśli, jaką kiedyś miano, co do udzielania pożyczek dodatkowych na wartość lasów nie wchodzących do lustracyów z r. 1789, a jaką zaniechano; lasy albowiem, lubo nie wchodziły do lustracyów powyższych, stanowią przecież już i teraz

bezpieczeństwo rzeczowe dla pożyczek Towarzystwa, a przytém pożyczki na lasy dając się zastosować jedynie na korzyść majątków, w przestrzenie leśne obfitujących, nie miałyby charakteru pomocy powszechnéj, jaki pożyczki Towarzystwa dotąd miały i mieć powinny.

Urządzenie lasów jest czynnością w wykonaniu łatwą, wielkich kosztów, czasu i zachodów nie wymagającą, i dokonywaną być może jednostronnie, według życzenia właściciela. Pod wszystkiemi temi względami jest ono czynnością bez porównania łatwiejszą od oczynszowania włościan, tak, że nie jeden właściciel w uzyskaniu wyższéj pożyczki z mnożnika o 5 podniesionego, znajdzie zachętę do urządzenia lasów, tak samo, jakto miało miejsce przy pożyczkach hypotecznych przez Skarb i Bank Polski udzielanych, gdzie urządzenie lasów lubo za warunek nieodzowny uzyskania tych pożyczek położone było, nie odstręczało jednak właścicieli od współubiegania się do tych pożyczek.

Nie przeto wywodzić ztąd można wniosek, że stopniowanie wysokości pożyczki od regulacyi lasów zawisłe, przyjęte zostało w nowém prawie dla zachęty do tejże regulacyi, a nie z powodu większego ustalenia wartości majątków z lasami urządzonemi, jak już to wyżéj wywiedliśmy. Gdyby chciano tylko zachęcać do regulacyi lasów, toby zapewne przyjęto za prawidło, że regulacya taka daje prawo do wzięcia pożyczki nie z mnożnika 5, ale dajmy 2 razy wyższego, tojest 10. Że jednak nie przyjęto takiego prawidła, które zmniejszając o tyle możność pozyskania pożyczek na dobra nie mające lasów urządzonych, stałoby się niejako przynagleniem do regulacyi lasów; znać, że nie chciano mu odbierać charakteru głównego, tojest podwyższenia i utrwalenia rękojmi rzeczowéj.

Co do 3^go Powiedzieliśmy w wstępie, że pożyczki podwyższone udzielane będą w seryi 2 dotychczasowego okresu III, tak, że jednocześnie z pożyczkami okresu III seryi 1, tojest w r. 1881, umorzone zostaną.

Obecnie można sobie zadać pytanie, dlaczego nie urządzono ich w nowym okresie, z kolei czwartym, poczynającym się od roku bieżącego?

Za przyjęciem okresu IV przemawiać mogła uwaga, że przystępujący do pożyczek nie potrzebowaliby zwracać w ratach bieżących procentu amortyzacyjnego za czas ubiegły od roku 1853. Uwaga ta byłaby nawet wielkiego znaczenia, gdyby zatrzymano dotychczasowy system spłacania zaległéj amortyzacyi w tylu tylko półroczach, ile ich ubiegło od daty rozpoczęcia okresu; wówczas albowiem, i przez odpowiedni przeciąg czasu, wysokość rat biegnących podnieśćby się mogła do stopnia, jaki dla niejednego stałby się uciążliwym. Ale jak skoro urządzając pożyczki w seryi 2 okresu III, przyjęto zasadę, że zwrot amortyzacyi mieć będzie miejsce w całym ciągu okresu, tojest do roku 1881, powiększenie rat biegnących półrocznych, jakiego już uniknąć nie można, schodzi do rozmiaru nierównie mniejszego, a nie przechodzącego jaki dotąd miał miejsce.

I w rzeczy saméj raty biegnące z procentem amortyzacyjnym, jakie opóźniający się z przystąpieniem do pożyczki dotąd opłacać potrzebowali, musiały być tak znaczne, że w wysokości swéj przechodziły niekiedy te, jakie przy nowym rozkładzie zaległéj amortyzacyi mieć będą miejsce; a gdy i tamte bez trudności z dochodów dóbr płacone były, nie było ważnego powodu urządzać obecnie nowego okresu dla pożyczek jedynie podwyższonych, a udzielanych tylko w lat siedm od roku 1853, w którym okres III utworzony został. Mówię dla pożyczek jedynie podwyższonych, bo gdyby z pożyczkami podwyższonemi udzielane być miały i pożyczki odnowione, lub gdyby dawano te ostatnie, i choćby tylko siedmioletniemu umorzeniu wyrównywające, nie możnaby już ograniczyć się na utworzeniu seryi 2 dotychczasowego okresu, aleby już koniecznie trzeba było urządzić nowy okres. W pożyczkach odnowionych stowarzyszeni opłacają raty w dotychczasowéj niepowiększonéj wysokości; aby więc obok takiego urządzenia uszanować nabyte prawa posiadaczy dawnych listów do umorzenia po cenie imiennéj w terminie prawem oznaczonym i nie późniéj, trzeba dla listów zastawnych na takie pożyczki wypuszczonych, obmyślać środki zapewnienia im odpowiedniego funduszu umorzenia, z takim skutkiem, aby

obok bliżéj już do końca posuniętego umorzenia listów dawniejszych, umarzane były także, w progressyi ściśle prawem oznaczonéj, i listy zastawne, wystawione na pożyczki odnowione. Pomiędzy środkami tymi najważniejszą przy obu odnowieniach z roku 1838 i 1853 była operacya konwersyi listów dawnych na listy nowo wypuszczone, tojest wyprowadzanie z obiegu listów silniejszą amortyzacyą mających, a wprowadzanie w miejsce ich w obieg listów zastawnych, z amortyzacyą mniéj silną, a dłużéj jeszcze trwać mającą, i dla takiejto operacyi tworzenię przy każdéj odnowionéj pożyczce nowych okresów było koniecznością.

Inne jest położenie rzeczy przy pożyczkach dodatkowych, jakiemi właśnie będą obecne: od pożyczek tych opłacane są oddzielne raty na procent i umorzenie; nie ma więc tu żadnéj potrzeby obmyślania innych środków dla umorzenia listów na takie pożyczki wystawionych, a tém samém nie ma konieczności tworzenia dla nich nowego okresu.

Utworzenie takiego nowego okresu w lat tylko siedm od okresu III z roku 1853, pociągałoby przytém za sobą tę konieczność, że nietylko odnowienie pożyczek okresu III z roku 1853 przypadłoby mniejwięcéj w lat siedm od daty pożyczek obecnie dozwolonych, tojest około roku 1867, ale także odnowienie teraźniejszych pożyczek z r. b. przypadłoby na rok 1874, a zatém w 14 lat od daty emissyi, a w lat siedm od daty odnowienia z roku 1853, i tak daléj, odnawianie pożyczek po upływie lat 14 od ich zaciągnięcia, powtarzaćby się potrzebowało co lat siedm.

Co lat siedm także przybywałby nowy znowu okres i co lat siedm zachodziłaby znowu potrzeba konwersyi listów zastawnych dawnych na nowe.

Przyjęciem seryi 2 okresu III unika się tych zawiłości i upraszcza mechanizm pożyczek podwyższonych, udzielanych w siedm lat po odnowieniu z roku 1853, a w siedm lat przed dalszém odnowieniem. Obok tego, ponieważ listy zastawne II okresu są już dziś w zupełności wylosowane, idzie zatém, że dla niedopuszczenia cyrkulacyi obok siebie aż trzech rodzajów listów zastawnych z trzema oddzielnemi terminami umorzenia, nie

będzie już zachodzić potrzeba przyspieszania środkami nadzwyczajnemi, zawsze z kosztem połączonemi, wycofania z obiegu listów zastawnych najdawniejszego okresu; obecnie albowiem, nawet w razie dalszego odnowienia pożyczek i konwersyi z takiém odnawianiem połączonéj, istnieć mogą tylko dwa a nie trzy rodzaje listów zastawnych z oddzielnemi terminami umorzenia, tak, że o poprzedniém wycofaniu z obiegu listów przedostatniéj emissyi, już i mowy być nie może.

I tego wreszcie z uwagi spuszczać nie można, że zrównanie terminu amortyzacyi wszystkich listów zastawnych w obiegu pozostających, jakie skutkiem emissyi seryi 2 okresu III mieć będzie miejsce, wpłynąć korzystnie może na kurs listów zastawnych; doświadczenie bowiem uczy, że listy zastawne z bliższym terminem umorzenia, są wyżéj na giełdach notowane od listów z terminem odleglejszym.

Co do 4go. Z kolei przychodzi nam zastanowić się nad niektóremi specyalnemi rozporządzeniami w prawie, o którém mowa, zastrzeżonemi, jakoto:

o odpowiedzialności ogólnéj stowarzyszonych, i

o sposobie umarzania listów zastawnych i wpływie, jaki to na ich kurs wywierać może.

1) Podobnie, jakto miało miejsce przy udzielaniu pożyczek na zasadzie praw z roku 1838 i 1853, odpowiedzialność ogólna stowarzyszonych, tojest taka, jaką oznaczyły artykuły 23 i 34 ustawy zasadniczéj z dnia $^{1}/_{13}$ czerwca 1825 roku, zastosowaną obecnie została jedynie do tych dóbr, które pożyczki te zaciągną.

Do takiéj odpowiedzialności pomimo upływu lat 34, Towarzystwo Kredytowe nie potrzebowało odwoływać się dotąd, i wątpić nie można, że przy wielkich ostrożnościach, jakiemi teraz udzielanie każdéj po szczególe pożyczki otoczone zostało, nie będzie i w przyszłości w podobnéj potrzebie.

Dla uszanowania jednak pod każdym względem praw właścicieli dóbr, ktorzy należąc do okresu III z r. 1853, nie zaciągną dla jakichbądź powodów pożyczek dodatkowych, jak i uszanowania praw posiadaczy listów zastawnych na zasadzie powołanego prawa z r. 1853 wypuszczonych, słusznem jest, że emissya dodatkowa, jaka już

następować będzie na zasadzie mnożnika nad 25 podwyższonego, ma dla siebie wyraźnie zastrzeżoną oddzielną odpowiedzialność ogólną.

2. W prawie z r. 1825 urządzenie umorzenia listów zastawnych za pośrednictwem losowania, było poniekąd koniecznością: jak skoro albowiem prawo to przyjęło zasadę, że wierzyciele przed tém prawem zahypotekowani obowiązani są przyjąć zapłatę w listach zastawnych po cenie ich imiennéj, potrzeba było dać im zapewnienie, że listy zastawne częściowo i w miarę uzbieranego funduszu amortyzacyjnego, spłacone będą gotowizną również po cenie imiennéj, i że los sam oznaczy, które listy przed innemi, po téj cenie spłacane zostaną. Prawo z r. 1838 przyjąwszy zasadę dopłaty różnicy kursu przez dłużnego właściciela, nie potrzebowało tém samém trzymać się ściśle tego prawidła, i dlatego przyjęło dobrowolną wymianę listów, tudzież włożyło na Bank Polski, na rzecz Towarzystwa działający, obowiązek, aby w każdém półroczu wnosił do kassy Dyrekcyi Głównéj w gotowiźnie taką summę, jaka w stosunku do ilości dawnych listów zastawnych z obiegu drogą tą dobrowolnéj wymiany wycofanych, potrzebną się okaże do uzupełnienia funduszu amortyzacyjnego: późniéj modyfikacya ta rozszerzoną jeszcze została, a prawo z roku 1853 dozwoliło władzom Towarzystwa wycofać listy zastawne, nietylko drogą dobrowolnéj wymiany, ale także i drogą dodatkowego losowania zwiększając summę na amortyzacyą przeznaczoną w miarę zamożności posiadanych przez Towarzystwo funduszów.

Nakoniec prawo obecne wprowadza dalszą jeszcze pod względem losowania listów zastawnych modyfikacyą, stanowiąc: że przedewszystkiém władze Towarzystwa obowiązane są przyjmować od właścicieli na rzecz zaległéj amortyzacyi, tudzież na procent amortyzacyjny w ratach bieżących uiszczany, listy zastawne III okresu drugiéj seryi w imiennéj wartości, i że o ile tym sposobem wysokość listów zastawnych w każdém półroczu do umorzenia przeznaczona, nie zostanie w ratach zapłacona, wolno jest Dyrekcyi wykupować je, a dopiéro jeżeliby zapłata i wykupno nie wyrównywały wysokości listów do umorzenia przypadających, nastąpić musi aż do dopełnienia téj wysokości losowanie tychże listów. Tak

więc losowania półroczne, które według prawa z r. 1825 były jedynym środkiem umorzenia listów zastawnych, są dziś uważane jako środek posiłkowy, i tylko na wypadek: jeśli otrzymana na drodze zapłaty procentów amortyzacyjnych, lub na drodze wykupna ilość listów zastawnych nie wyrówna wysokości funduszu do umorzenia listów w każdém półroczu przeznaczonego, co wtedy mianowicie mieć może miejsce, kiedy przy wysokim kursie listów zastawnych właściciele nie będą mieć interesu płacić niemi rat amortyzacyjnych.

Zmianę tę poczytujemy za istotne ulepszenie dotychczasowych przepisów o umorzeniu listów zastawnych.

A najprzód, nic nie przeszkadza, aby właściciele nie mieli mieć prawa opłacania téj części rat biegnących, która wyobraża procent amortyzacyjny, nie koniecznie gotowizną, ale i listami zastawnemi po cenie imiennéj, bo i Towarzystwo na nic innego téj gotowizny użyć nie mogło jak na spłatę listów zastawnych w tym tylko celu losowanych, a to również po cenie ich imiennéj. Jestto więc tylko uproszczenie operacyi umorzenia, bo zamiast odbierać gotowiznę w zapłacie rat amortyzacyjnych, losować listy, a wylosowane spłacać i kassować, władze Towarzystwa obowiązane są odbierać wprost od dłużników listy zastawne dobrowolnie przez nich uiszczone i takowe jako umorzone kassować.

A przytém dotychczasowe półroczne losowania prowadziły za sobą niedogodności, o jakich tu wspomnieć wypada.

Losowanie listów do umorzenia wskazywanych, pociąga za sobą obowiązek zgłoszenia się z niemi w terminie po zapłatę. Obowiązek ten, zwłaszcza jeżeli kurs listów nie wylosowanych zbliża się do ceny imiennéj tych papierów, staje się dla posiadaczy listów niedogodnym, a niejednokrotnie naraża ich na straty, bo jeżeli tylko posiadacz listu zastawnego niewiedząc o dokonaném jego wylosowaniu, zrealizuje kupony półroczne wraz z listem wylosowane, i jako takie już nie procentujące, wówczas przy wypłacie kapitału potrąconą ma sobie wartość ubiegłych kuponów, co wychodzi na jedno, jak gdyby mu kapitał przestał procentować. Aby

nie nabyć listu wylosowanego, i aby następnie wiedzieć, w którém półroczu listy zastawne zostały lub nie zostały wylosowane, trzeba zachowywać i starannie przeglądać tabelle półrocznych listów wylosowanych, co z każdém przybywającém półroczem staje się dla posiadaczy listów i ich nabywców trudniejszém, zwłaszcza też dla zagranicznych, którym trudniéj być musi powziąć na czasie wiadomość o dokonaném wylosowaniu, i którzy dla odebrania swéj należności muszą przytém ponosić koszta przesyłki listów w naturze.

System obecnie przyjęty zaradza tym niedogodnościom, a przemawia za nim i to: że spłacanie listów wylosowanych natrafia i na takie, których posiadacze spieniężyć nie potrzebowali, dobrowolna zaś spłata amortyzacyi listami zastawnemi, bądź jednorazowie bądź częściowo dokonywana, tudzież dobrowolne ich wykupno wywołuje konkurencyą do kupna tych właśnie listów, które są wystawione na sprzedaż i szukają umieszczenia, co korzystnie na kurs tych papierów oddziałać musi. Można nawet spodziewać się, że obok środków prawem przewidzianych, jakie pod względem utrzymania w dobrym kursie listów zastawnych obecnie wypuścić się mających nie mogą być bez wpływu, nie znajdzie się żadna znaczna różnica między kursem listów zastawnych obu seryj okresu III, a może uzyskają na targach jedno tylko notowanie.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o oddzielnym wprawdzie lecz będącym w związku z prawem o pożyczkach podwyższonych Ukazie Najwyższym, który w wykonaniu artykułu 19 prawa z roku 1853 i po wycofaniu z obiegu listów zastawnych II okresu, rozdziela fundusz, własność Towarzystwa stanowiący, na kapitał rezerwowy tegoż Towarzystwa do wysokości udzielonych pożyczek zastosowany, i na fundusz użyteczności ogólnéj.

Kapitał rezerwowy oznaczony został na 3% od wysokości pożyczek, tojest w summie wyrównywającéj jednéj opłacie półrocznéj. Dotychczasowe doświadczenie jest rękomią, że fundusz ten, który jeszcze wzrastać może, okaże się dostatecznym, zwłaszcza, że skutkiem przyjęcia nowego rozkładu amortyzacyi zaległéj do końca okresu,

Towarzystwo kredytowe nie będzie już miało potrzeby zastępowania właścicieli w opłacie rat zaległych amortyzacyjnych, co zawsze znaczną stanowiło rubrykę.

Co zaś do funduszu użyteczności ogólnéj, ten oznaczony został w całéj resztującéj obecnéj własności Towarzystwa, tojest w summie rs. 1,269,400.

Za cel téj użyteczności wskazane są pożyczki stowarzyszonym właścicielom, ale tym tylko, którzy włościan oczynszują. Nie będziemy się rozwodzić nad dowodzeniem, że właśnie teraz nie można było oznaczyć celu téj użyteczności więcéj stosownego, więcéj potrzebnego i więcéj odpowiedniego naturze funduszu własności Towarzystwa, z którego powstaje fundusz użyteczności ogólnéj. To tylko raczéj pozostaje nam nadmienić, że fundusz ten kontrolowanym będzie w zupełnéj oddzielności od kapitału rezerwowego Towarzystwa; że ubytki na tym kapitale nie mogą wpływać na zmniejszenie funduszu użyteczności ogólnéj; że procenta pobierane od obrotu tego funduszu policzane będą wyłącznie na korzyść tegoż funduszu, i że tém samém fundusz ten nie ma żadnéj łączności z kapitałem rezerwowym Towarzystwa.

Tym sposobem operacye kredytowe funduszu użyteczności ogólnéj nie mogą w żadnym razie wywierać jakiegobądź wpływu na czynności Towarzystwa, co uważamy za nader ważne i kredyt listów zastawnych interesujące; a że administracya tego funduszu poruczoną została władzom Towarzystwa, nastąpiło to zapewne nietylko dlatego, że pochodzi z własności Towarzystwa kredytowego, ale i dlatego także, że Towarzystwo za pośrednictwem władz lokalnych, jakiemi są Dyrekcye szczegółowe i przy pomocy radców swoich z miejscowemi stosunkami dobrze obznajmionych, lepiéj jak ktobądź funduszami temi administrować zdoła.

Oddzielna instrukcya oznaczy dopiéro sposób udzielania z tego funduszu pożyczek, wysokość procentu, sposób zabezpieczenia i termina zwrotu: nie jesteśmy więc w możności udzielić naszym czytelnikom bliższych pod tym względem spostrzeżeń.

Takiém jest prawo o pożyczkach podwyższonych Towarzystwa.

Zapatrując się na podobne instytucye zagraniczne, a w szczególności na Towarzystwo kredytowe w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, nie możemy jak winszować sobie, że działalność naszego Towarzystwa rozszerzoną zostaje w sposób, który nie za jego zmianę, ale tylko za jego rozwinięcie i stopniowe a rozważne przejście do systematu taks prawidłowych uważany być może, i że z instytucyą tą złączono takie zastrzeżenia, które nie uwłaczając jéj zasadom, owszem: opierając się na nich i wzmacniając je jeszcze, zdolne są przytém zachęcić właścicieli dóbr do przyspieszenia takiéj regulacyi swych majątków, jaka kojarzy w sobie własny ich interes z interesem ogólnym, i które nawet podają im po temu środki ułatwiające.

Wszyscy zatém i ile do kogo należy, stańmy na straży téj tyle dla kraju zbawiennéj instytucyi, a zakończmy wynurzeniem gorącego życzenia o bliższe jeszcze uznanie téj prawdy, że nie wymagalne a znaczną część szacunku dóbr zajmujące, pożyczki Towarzystwa kredytowego ułatwiają zarówno tak utrzymanie się przy majątkach ziemskich, jak i ich nabywanie przez trzecich; że zatém będąc w posiadaniu tych majątków nie powinniśmy dać się z nich wywłaszczać. To już tylko od nas samych zależy. Tylko przy troskliwym a oszczędnym zarządzie i punktualném wykonywaniu naszych zobowiązań, celu tego dopiąć, i położenie nasze majątkowe stanowczo polepszyć możemy. Bez naszego współdziałania instytucye choćby najlepsze nic jeszcze nie pomogą, a przy tém współdziałaniu staną się dla nas i szkołą i pomocą. Że na dobréj jesteśmy drodze, nie mało oznak, ale nie mało także pozostaje do życzenia.

W Bogu więc nadzieja, a wdzięczność tym, którzy nam teraz wyjednali rozszerzenie działalności instytucyi Towarzystwa kredytowego, te nasze usiłowania skutecznie wspierać mogącéj.

POCHWAŁA HISTORYCZNA

LUDWIKA JAKÓBA THENARD'A,

CZYTANA NA POSIEDZENIU AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI INSTYTUTU FRANCYI, W DNIU 30 STYCZNIA 1860 r. PRZEZ P. FLOURENS.

W dniu 30 stycznia r. b., podług sprawozdań dzienników naukowych francuzkich, sala akademicka pałacu Mazariniego zaledwo objąć mogła cisnących się słuchaczy; krzesła przeznaczone dla członków Instytutu, były wszystkie zajęte, bo z grona pięciu akademij, do składu jego wchodzących, zgromadzili się najznakomitsi mężowie nauki, dla oddania hołdu pamięci Thenard'a zmarłego 20 czerwca 1857 r., która w dniu tym miała być uczczoną mową p. Flourens.

Mowa ta, ogólnie skréślona więcéj pod względem literackim, nie ze wszystkiem zadowoliła słuchaczy, bo z niéj, jako pisanéj stylem szczególnym i humorystycznym, nie można wśród różnych drobiazgowości i anegdot niezupełnie zgodnych z poważną uroczystością obchodu, powziąć odrazu całkowitego wyobrażenia o wysokiém stanowisku naukowém, zajmowaném w swoim czasie przez znakomitego chemika: dlatego znajdujemy do niéj dodatki, jakby objaśnienia w pismach czasowych francuzkich. Zamierzywszy podług niéj podać rys życia Thenard'a, nie tłumaczyłem dosłownie wyrażeń uczonego akademika, ale zebrawszy co mi się zdawało w nich najciekawszego, z małemi sprostowaniami dzienników

późniejszych, przedstawiam rzecz niniejszą jako budzić mogącą pewne zajęcie.

Jeden jeszcze szczegółowy powód zachęcał mnie do niniejszéj pracy, tojest poczucie, iż ze względu na osobę, rzecz może nie będzie obojętnie przyjętą; pamięć bowiem Thenard'a u wielu mych kolegów zostawiła miłe wspomnienia, skoro przypomnimy sobie, jak będąc uczniami b. szkoły głównéj warszawskiéj, słuchaliśmy wykładu chemii podług dzieła owego mistrza w sztuce nauczania, które długo wszędzie niemal, było głównym przewodnikiem oddających się téj umiejętności.

Oto jest w wolnym przekładzie zaczęcie mowy p. Flourens.

Alchemia, córka łatwowierności i zamiłowania rzeczy nadzwyczajnych, dawna jak świat, wprowadzoną do Europy została przez Arabów. Obiecywała ona *bogactwa* i *zdrowie*, i dlatego z uniesieniem została powitaną. Dążyła do odkrycia *kamienia filozoficznego*, istoty tajemniczéj, za pomocą któréj spodziewano się zmienić wszystkie metale w złoto, uleczyć wszelkie choroby, przedłużyć zakres życia i nauczyć ludzi sposobu znoszenia się z duchami.

Tysiące żarliwych zwolenników rzuciło się do poszukiwania tych urojeń, ale z pośród ciemności błysła czasami jakowa iskierka, i ci niezmordowani poszukiwacze, przekazali nam jednak swoje śmiałe zdobycze: proch bowiem strzelniczy, wyskok, kwasy mineralne, antymon, winny im swoje odkrycie. Roger Bakon, Rajmond Lull, Walentyn, Paracels, Wan-Helmont i t. p., przedstawiają czasy bohaterskie chemii, bo ta nauka uznaje ich za swoich twórców.

Lemery około r. 1666 w swéj pracowni nauczał publicznie w Paryżu téj nauki, on rozgłosił wtedy to, co nazywano *tajemnicami chemii*, a tłumacząc je sposobem jasnym i przystępnym, znakomicie wpłynął na postęp umiejętności.

Ale nauka dopiéro wtedy na pewniejszéj opiera się podstawie, gdy pojedyncze w niéj wypadki w jeden węzeł związane zostaną. Odnosząc wszystkie ówczesne dane, do wielkiego zjawiska gorenia, Stahl, lekarz nie-

miecki, starał się to ostatnie wytłumaczyć za pośrednictwem wywiązującego się pierwiastku urojonego, nazwanego *flogistonem*. Przez lat pięćdziesiąt teorya ta przyjętą była w Europie naukowéj, aż dopiéro Francuz, człowiek genialny, rozrzucił ten budynek i ustanowił odtąd wielki okres dla chemii.

Lavoisier wystąpił naprzód z wykazaniem, że powietrze, w którém żyjemy, składa się z dwóch gazów: kwasorodu niezbędnego do oddychania i palenia, i azotu nie wpływającego do téj czynności; daléj wykrył, że istota żyjąca w kwasorodzie, oddycha dzielniéj niż w powietrzu zwyczajném, w azocie zaś umiera; następnie nauczył, że palenie bez kwasorodu odbywać się nie może, a naostatek dowiódł, że metale przy ich prażeniu zwiększają swą wagę dlatego, że kwasoród połączył się z niemi. On wreszcie ogłosił, że kwasoród jest pierwiastkiem ukwaszającym.

Trudno w nauce widzieć coś piękniejszego i prostszego nad zbiór powyższych wyobrażeń. Pod wpływem teoryi Lavoisier'a, postęp chemii jakby cudownie się rozwijał. Sława tego człowieka głośno brzmiała na świecie, gdy potworne świętokradztwo koniec położyło życiu, a pozostawiło jego ojczyznie wieczną żałobę i wyrzuty.

Berthollet, Fourcroy i Monge pozostali wtedy wyobrazicielami chemii, którato nauka, zyskując codziennie na nowych zastosowaniach, postępowała olbrzymim krokiem ku takiemu upowszechnieniu, jakiego żadnéj z jéj siostr nie podobnaby osiągnąć.

W owym czasie trzech młodzieńców Szampanii porzucało dach ojczysty, udając się do Paryża; jeden z nich pragnął być lekarzem, a dwóch aptekarzami: najśmielszy poważył się marzyć i o założeniu przy swéj pracowni małego kramiku korzennego. W upojeniu słodkiemi nadziejami dążyli do swego celu, a gdy już go dosięgali, przyszło na myśl najprzezorniejszemu rozpoznać wspólne zasoby pieniężne, a wypadkiem tego było, że na osobę przypadnie 16 soldów dziennie.

Z wiadomością o swych zasobach młodzieńcy skierowali się ku części Paryża, zwanéj dzielnicą łacińską,

a tam znowu wstąpili na najwyższe piętro domu: szczęśliwi, iż znaleźli w nim izdebkę do wspólnego zamieszkania. Teraz myśléć należało o zaspokojeniu najgwałtowniejszéj z potrzeb. Młodzieniec praktyczniejszy, który przeglądał budżet, podjął się zbadać sąsiedztwo. Pod tymże samym gościnnym dachem mieściło się gospodarstwo jednego z tych poczciwych mieszkańców Owernii, którzy dla nabycia z czasem kawałka ziemi i możności dokończenia życia w swoich górach, roznoszą przez lat trzydzieści wodę i węgiel. W układach z Owerniaczką młodzieniec odmalował swe położenie i zasoby, i jakkolwiek nie łatwą było rzeczą z małemi środkami zaspokoić w r. 1794 piérwsze potrzeby życia, jednak Ludwik Jakób Thenard, urodzony 4 maja 1777 r., skończył rzecz korzystnie i tym sposobem pozostał w Paryżu.

W stolicy téj, dwóch głośnéj sławy mężów wykładało wówczas chemią: bystrością pojęcia, wykładem jasnym a naukowym, Fourcroy zyskał powszechną sławę; Vauquelin, mniéj błyszczący, a więcéj opierający się na doświadczeniach, usilną pracą gromadził przedmioty dla wzbogacenia nauki.

Młody Thenard najusilniéj uczęszczał na ich wykład i wkrótce się przekonał, że nic rozumiéć nie może. Potrzeba było w inny sposób rozpocząć naukę. Biédny wówczas Vauquelin tych tylko uczniów przyjmował do swéj pracowni, którzy mogli zapłacić miesięcznie 20 franków. Thenard nie mogąc zadość temu uczynić, przedstawił swoje położonie, niedostatek, chęć do pracy, błagając o przyjęcie chociażby za prostego pomocnika; ale Vauquelin, zapomniawszy swego niegdyś położenia, prośbie jego odmówił, i gdyby nie wstawienie się obecnych wtedy panien Fourcroy, nie byłby wszedł Thenard do pracowni znakomitego chemika.

Trzy lata upłynęły, bez zmiany w ciężkiém położeniu naszego młodzieńca, gdy pewnego razu Vauquelin przyzwawszy swego piérwszego pomocnika rzekł: „Oto jest kawałek berylu, zechciéj mnie zawiadomić o jego częściach składowych.” Przy powyższych doświadczeniach Thenard był użyty do pomocy, nic jednak nowego

nie wykryto. Ale po miesiącu, ten ostatni chemik oznajmił swemu mistrzowi, że beryl zawiera ciało nowe. Vauquelin sprawdził wynalazek, a zdziwiony bystrością ucznia, spuścił się na niego w ostatecznych poszukiwaniach, których wypadkiem był otrzymany kawałek glucyny.

W kilka dni potem Thenard zatrudniał się w pracowni przygotowaniami do lekcyi; słuchacze uczcili oklaskami wchodzącego professora, gdy ten w następny odezwał się sposób: „Panowie, odkryto ciało nowe: od pewnego czasu przypuszczałem, że beryl je zawiera; wasz współtowarzysz Thenard oddał mi tę trudną usługę, zarobił więc na wasz szacunek; jestto bowiem chemik, który zajdzie daleko i zapewne daléj odemnie."

Niedługo potem Vauquelin wyrobił mu miejsce professora, a wtedy Thenard miał sposobność przysłuchiwaniem się w teatrze, nabyć zmiany w tonie głosu i ruchach, przygotowując się w przyszłości do uniknienia niebezpieczeństw katedry publicznéj. Wkrótce znowu Vauquelin i Fourcroy postarali się, iż mianowany został powtarzającym nauki w szkole politechnicznéj.

Od roku 1799, czyli czasu, w którym piérwszy swój pamiętnik przedstawił Thenard Akademii umiejętności, corocznie przez pół wieku udzielał jéj owoców swoich prac, stanowiących zasady w nauce, sztukach i przemyśle.

Pewnego razu wezwany został niespodzianie do ministra spraw wewnętrznych, a skoro się stawił, rzekł do niego Chaptal: nie mamy ultramariny, która zawsze była rzadką i drogą, zakład zaś w Sèvres potrzebuje błękitu, opierającego się działaniu wielkiego ognia; oto jest 1500 franków za wynalezienie barwy z własnościami przezemnie wskazanemi. Napróżno Thenard chciał odpowiedzieć, przerwał mu bowiem Chaptal wyrazem: idź pan i przynoś mi jak najprędzéj błękit pożądany. Po miesiącu, pyszne odcienia błękitu na naczyniach sewrskich, świadczyły o otrzymanym skutku.

Około roku 1803 Thenard okazał, że mniemany kwas zoonowy był kwasem octowym, nie czystym. A chociaż kwas powyższy wykrył Berthollet, wówczas na szczycie chwały stojący, nie przestał jednak wspierać swego młodego i bystrego przeciwnika.

W tym czasie w szkole zwanéj Ateneum, nauczał także Thenard; a wkrótce Vauquelin opuszczając miejsce w kollegium francuzkiém, wyjednał zamianowanie go na katedrę, która tak się przyczyniła do rozgłośnéj jego wziętości.

Kilka tylko lat oddzielało Thenard'a od nieszczęśliwego najścia zagranicznego, zagrażającego granicom Francyi, przeciw któremu należało stwarzać broń i przybory wojenne; wtedyto na głos ojczyzny ujrzano wznoszące się ulepszone zakłady odlewania armat, otrzymywania saletry, oraz urządzania telegrafów i balonów. Monge i Berthollet udzielali tu najwięcéj pomocy rozumu: ten ostatni wtajemniczył w swe odkrycia tego, którego już poprzednio z powodu bystrości umysłu i zamiłowania pracy, wybrał był na powtarzającego swój wykład publiczny. W owym czasie Gay-Lussac ogłosił piérwsze swoje pismo naukowe, odznaczające się zdrowym sądem i wielką jasnością. Jednakowość położenia złączyła go z Thenardem, i obadwa wezwani byli do podzielania przyjemności pracy w ustroniu Arcueil, obraném za mieszkanie przez Berthollet'a. Tamto do wpływu takiego mistrza dołączył Laplace swoją wznioślejszą i dobroczynną działalność, przyjmując w opiekę grono młodych uczonych.

Około także tego czasu, wielka nowina przebiegła świat naukowy. Berzelius okazał, że rozłączyć można stosem wolty ciała złożone; Davy zaś używając silniejszych przyrządów, rozłożył dwa alkalia stałe, dotąd uważane za pierwiastki; w potażu i sodzie wykrył kwasoród złączony z dwoma metalami, które nazwał potasem i sodem. Następnie zajął się rozbiorem ziem alkalicznych, z których każda wydała mu właściwy metal, a wszystkie posiadały wspólny pierwiastek kwasoród. Wtedyto w piśmie, pełném widoków śmiałych, odsłonił ten uczony niektóre głębsze zależności, łączące siły chemiczne z elektrycznemi i powinowactwa z elektrycznością. Pod wpływem szlachetnego uniesienia, Instytut Francyi przyznał temu pismu wielką nagrodę, wyznaczoną za przyczynienie się do postępu galwanizmu. Chociaż zaś wojna ogólna wrzała, dozwolono Humphremu Davy przybyć dla jéj odebrania. Byłato bowiem tylko sprawiedliwość.

„Czy to tak obojętnie należy patrzyć na powyższe zwycięztwo Anglików," powiedział z niecierpliwością Napoleon do Berthollet'a, i olbrzymi stos galwaniczny, z rozkazu jego zbudowany, powierzony został Thenard'owi i Gay-Lussac'owi. Ci zaś donieśli wkrótce Akademii, że na mocy zwyczajnych powinowactw, otrzymali w większéj obfitości nowe ciała, niż przez działanie stosu. Następnie używając potasu i sodu, metali przez Dave'go odkrytych, wydzielili nowe ciało, które nazwali borem.

Jakkolwiek sam Davy uznał wyższość postępowania chemicznego przy wydzielaniu metali: ale utrzymywał zarazem, że bor znany mu już był poprzednio; Thenard i Gay-Lussac słusznie nie chcieli na to przystać, lecz znowu przypuszczali, że potas i sód nie są pierwiastkami, tylko alkaliami połączonemi z wodorodem, czyli wodorodkami. Na to słusznie im odpowiedział uczony angielski, że gdyby to było prawdą, wtedy i bor byłby tylko wodorodkiem kwasu borowego. Uwagą tą spór został zakończony.

W jednym z pamiętników, w którym młodzi zapaśnicy podtrzymywali walkę z swymi zamorskimi przeciwnikami, Thenard i Gay-Lussac umieścili te wyrazy: „Przypuszczać można, że nadkwas solny (Sniadecki), jest pierwiastkiem."

Podobne zdanie było wypływem licznych doświadczeń, w których za pośrednictwem potasu, starano się w powyższym kwasie wykryć kwasoród. Rzecz ta była bardzo ważną, bo gdyby nadkwas solny okazał się pierwiastkiem, przybyłoby nowe ciało, służące do ukwaszania, i wielką szczerbę poniosłaby teorya Lavoisier'a. Przestraszeni następstwami i powstrzymywani niezachwianém przekonaniem Berthollet'a, nie ośmielili się do wystąpienia stanowczego.

Na Anglią spadł zaszczyt powyższego wynalazku, bo Davy przyjął nadkwas solny za pierwiastek, nadał mu imię chloryny lub chloru, ale zarazem uznał, że piérwsze ślady nowego ciała ukwasaradniającego, należą się poszukiwaniom dwóch swoich współzapaśników. Tym sposobem zmieniła się wielka teorya Lavoisier'a, ale dlatego

nie przestanie ona być jednym z najświetniejszych pomników, wzniesionych przez geniusz francuzki postępowi ludzkich wiadomości.

Ciągłe usiłowania i długa praca zwiększyła wiadomości i rozgłos dwóch młodych przyjaciół. Przez cały czas sporów, w ten sposób zespoili w sobie jednę i tęż samę odpowiedzialność, że zagraniczni uczeni sądzili, jakoby jedna tylko osoba występowała do walki.

Gdy w r. 1809 zaczęto nauczać w Sorbonie, wezwano obudwóch naszych przedstawicieli nauki wojującéj, do udziału w téj pracy. Natłok uczniów, nie mogących się pomieścić w salach nauczania, wywołał potrzebę ogłoszenia drukiem wykładu. Tym sposobem w r. 1813 wyszło w cztérech tomach piérwsze wydanie chemii Thenard'a, a szóste czyli ostatnie, w roku 1836. Każde z tych wydań było owocem usilnéj pracy, w któréj odbijał się cały postęp ówczesnéj nauki. Dzieło to przez ćwierć wieku wyłącznie panowało w zakładach naukowych, a śmiało rzec można, że cała prawie Europa od Thenard'a uczyła się chemii; wielu zaś znakomitych chemików francuzkich i zagranicznych, z chlubą przyznaje, iż jemu są winni swoje wykształcenie.

Po utracie Fourcroy, Instytut Francyi za staraniem Gay-Lussac'a wybrał jednogłośnie Thenard'a do objęcia zaszczytnego po nim miejsca.

Rozgłos coraz silniejszy o wykładzie Thenard'a, stawał się bodźcem dla jego miłości własnéj. Podobny on był w godzinie nauczania do dowódzcy, rozporządzającego z zapałem na polu bitwy; nie licząc na rzeczy nieprzewidziane, ograniczając liczbę doświadczeń, chciał, aby te odznaczały się ścisłością, ważnością i przedstawieniem w czasie właściwym. W razie niepowodzenia, nie oszczędzał swoich pomocników, ale wkrótce wracał do zwykłéj łagodności; mawiał bowiem, że na wykładzie publicznym, tylko wyłącznie na samych uczniów zważać należy; professor zaś, pomocnicy i pracownia, powinni być temu celowi poświęcani.

Odkrycie wody ukwasorodnionéj, zawdzięcza nauka bystrości umysłu Thenard'a; w następny bowiem sposób opowiada on o tym ważnym dla niéj wynalazku:

„Byłoto w roku 1818, wykładałem wówczas w Sorbonie rzecz o solach.

Aby metale mogły łączyć się z kwasami, mówiłem, potrzeba je ukwasorodnić, i to tylko do pewnego stopnia; bo jeżeli ilość kwasorodu będzie za wielka, niedokwas w części utraca swoje powinowactwo. Za przykład przytoczyłem niedokwas drugi baru i jednocześnie przypomniałem sobie, że doświadczenie nie było wykonane. Zaraz po wejściu do pracowni, zażądałem baryty przesyconéj kwasorodem, którą zarobiłem z wodą na ciasto; z drugiéj strony roztworzyłem kwas solny kawałkami lodu, aby ciepło płynu wskazywało zero; poczém zmieszałem wszystko, i z wielkiém podziwieniem mojém baryta rozpuszczała się bez widocznego zaburzenia. Rozmyślając nad powyższém nieprawidłowém zjawiskiem, wróciwszy na następne posiedzenie, ujrzałem małe kulki przyczepione do ścian naczynia, podobnie jak spostrzega się w kieliszku, winem szampańskiém napełnionym; ze środka płynu wydobywało się nieco baniek powietrznych. Ogrzawszy cokolwiek ciecz, ujrzałem gaz z niéj wychodzący, który po zanurzeniu tlącego się patyczka, okazał własności kwasorodu. Nie wiem jak odbyłem następującą potém lekcyą, tak bowiem mocno byłem zajęty."

Jakkolwiek Thenard sądził z początku, iż odkrył jeden z kwasów przesyconych kwasorodem, wkrótce jednak przekonał się, że podobne kwasy nie istnieją. Czyżby to miała być woda, która się ukwasorodnia? Zaledwie ta myśl jak błyskawica nasunęła się naszemu badaczowi, a zaraz doświadczeniem potwierdził przypuszczenie.

Woda więc ukwasorodniona weszła w dziedzinę nauki, nowa droga płodna w wypadki, otwartą została dla Thenard'a. Rozgłos rozszedł się po całéj uczonéj Europie, chemicy zagraniczni przybywali widzieć powyższe doświadczenia i Berzelius porzucił Sztokolm, dla powitania nowo narodzonego odkrycia.

Przybywszy do Paryża, chemik szwedzki poszedł do Thenard'a, a chociaż nigdy wprzódy się nie widzieli, jakby przez jakie prawo powinowactwa, natychmiast się poznali. Obadwa ludzie dobrzy, zapaleni do umiłowanéj

nauki, niezdolni do zazdrości, wkrótce złączeni zostali zażyłością dawnych przyjaciół. „Przychodzę, rzekł poważny Szwed, zebrać wiadomości w waszéj chemicznéj Francyi, przez ciebie tak wsławionéj i wzbogaconéj; wszak będę mógł widzieć twoję wodę ukwasorodnioną?" Mówił daléj o Gay-Lussac'u, jego jodzie, tym nowym pierwiastku, którego własności tak jasno przez wynalazcę zostały opisane; o sinniku (cyanogenie), istocie złożonéj, która w swych związkach zachowuje się, jakby była pierwiastkiem. Thénard wywzajemniając się wielkiemu swemu współzawodnikowi, nądmienił o jego pięknéj teoryi stosunków chemicznych, która oświeciła jak pochodnia chemią. Czas jednak było się rozłączyć, Thenard pospieszył do Sorbony, z trudnością docisnął się do katedry i zacząwszy swój wykład, gdy zwrócił przypadkiem oczy w ubocze słuchalni, zmieszał się, zaczął się jąkać i wreszcie do niepokojących się słuchaczy powiedział: „Panowie, nie dziwcie się memu roztargnieniu, Berzelius jest między nami." Zaledwo wymówił te słowa, otoczono kołem sławnego cudzoziemca, a obok uszanowania, sala tak hałaśliwie zabrzmiała oklaskami, że zacny Berzelius został wzajemnie niemi zmieszany. Zwyciężony uprzejmością, dozwolił się przeprowadzić na krzesło przyległe katedrze; często zaś późniéj powtarzał, że niepodobna przy takich uczniach być złym professorem.

Od roku 1810 Thenard był professorem w Instytucie politechnicznym, równy wiekiem, złączony pracą i przyjaźnią, z sławnym zastępem, rzucającym tak żywy blask na tę wzorową szkołę: pokochał ją uczuciem synowskiém, cieszył się z jéj powodzenia, uważając każde w niéj kształcące się pokolenie, jako zapowiednią uwieczniającéj ją sławy.

Od roku 1814 był członkiem komitetu przemysłowego.

W roku 1815 mianowany był członkiem legii honorowéj.

W roku 1821 został dziekanem wydziału nauk.

W roku 1825 Karol X. udzielił mu tytuł barona.

Były jednak czasy, w których Thenard występował jako dworak, i do tego jeszcze bardzo zręczny, z powodu następnéj okoliczności. Z uwielbieniem podziwiał on wspaniałe malowidła kopuły Panteonu. Wielkie wspomnienia dziejów narodowych Francyi, tak pięknie opowiedziane czarodziejskim pęzlem Gros'a, za ich odsłonieniem wzbudziły podziw powszechny, ale po przejściu piérwszego wrażenia, w kilka zaledwie miesięcy spostrzeżono plamy; Gros poznał wielkość niebezpieczeństwa, wilgoć bowiem przeniknęła kamienie, a malowidło wzdęte odpadać zaczęło. Nic mogło ukoić rozpaczy artysty ani współczucie ogółu, ani troskliwość panującego, bo bolesno mu było widzieć rozdartą kartę, na któréj imię jego w téj epopei było zapisane.

Na piérwszą wiadomość o zmartwieniu Gros'a, jego przyjaciel Thenard zaczął robić doświadczenia i wykrył sposób, przez który najbardziéj dziurkowate kamienie mogą nie przepuszczać wilgoci. Pewny swego, udał się do pracowni Gros'a i zapytał się go, czy w razie upewnienia, że barwa nie zniknie, rozpocząłby odnowienie kopuły. Na niemiłą odpowiedź Gros'a, Thenard przypomniawszy sobie, że większych niegrzeczności dawniéj doświadczał od Fourcroy, w swéj pracowni oczekiwał artysty. Jakoż niebawem drzwi się otworzyły i Gros głosem wzruszonym zapytał się, czyliby to, co chemik obiecywał, było rzeczą możebną. Za okazaniem mu skutków, artysta udał się do Tuileryów, a wkrótce, z polecenia władzy, Thenard wspólnie z d'Arcet'em chlubnie ukończył swe zadanie.

W roku 1830 mianowany był radcą uniwersytetu.

„Od czasu swego wejścia do rady, mówi Saint-Marc-Girardin, wyświadczył Thenard największe naukom przysługi; nie cierpiący nadużyć, surowy dla opieszałych, jak najmocniéj popierał prawdziwe ulepszenia. Jakkolwiek wielu rzeczami mógł szczycić się Thenard, nie widziałem jednak, aby co go robiło dumniejszym i bardziéj zadowolonym, nad myśl, że szkoły krajowe są w położeniu kwitnącém."

Przez lat cztéry Thenard należał do Izby deputowanych, nie robiąc o to zachodów; a gdy wybierano po

nim następcę, z radością udając się na miejsce wyborów, powiedział: „Chcę być przytomnym przy obchodzie odrodzenia méj wolności."

W roku 1832 w ten sposób przemówił do młodego księcia, który był do niego wysłany: „Ponieważ miejsce deputowanego nie okazało się dla mnie stosowne, nie życzyłbym sobie i parostwa, zwłaszcza, iż porzucam życie polityczne." Jednak Thenard należał do Izby wyższéj francuzkiéj, i jako jéj członek, domagał się opieki rządu dla wdów sławnych uczonych, o przedrukowanie dzieł Laplace'a, o przejrzenie praw o wychowaniu, a niektóre zadania, tyczące się przemysłu krajowego, były przez niego gruntownie rozbierane. Ale w ogóle parostwo, tytuł barona, bogactwo, wielkość, w jego oczach stanowiły tylko powłoczkę, okrywającą najchlubniejsze prawa prostego i ścisłego naukowego pracownika ogromnego rozgłosu.

Przez ciąg 47 lat swego zawodu akademickiego, widziano Thenard'a szczerze zachęcającego tych, w których okazywał się ślad naukowéj nadziei, i gorąco przyklaskującego każdéj pracy postępowéj.

Thenard był wzrostu wysokiego, oko jego bystre zdradzało przenikliwość, zdrowie miał silne, a jednak przypadek zagroził jego życiu. W czasie wykładu w szkole politechnicznéj, brakło jednego razu jakiegoś przedmiotu, potrzebnego do doświadczenia. Professor żądał go niecierpliwie, a w czasie szukania, dla zyskania niejako czasu, wziął szklankę płynu i prędko bez zastanowienia poniósł go do ust; wkrótce potem z zimną krwią powiedział: „Panowie, otrułem się." Wśród powszechnego zamieszania, Thenard okazał, iż ciecz wzięta była sublimatem; spieszne atoli użycie białka, zapobiegło nieszczęściu.

Wśród zasłużonéj sławy, Thenard otoczony szacunkiem powszechnym, doznał najdotkliwszych cierpień domowych: utracił bowiem żonę, dzieci i wielu członków swojéj rodziny, a pozostał mu tylko jeden syn, już w dziedzinie chemii odznaczające zajmujący miejsce.

Wdzięczne wspomnienie upłynionych czasów, natchnęło Thenarda myślą założenia *Towarzystwa przyjaciół*

nauk, którego jednym z celów jest wspieranie pozostałych rodzin nie zamożnych uczonych, i pomaganie biédnym, na pole naukowe wstępującym. Wprowadziwszy do niego wszystkich swoich przyjaciół i uposażywszy znakomicie, zgasł, wymawiając następne wyrazy: „Spodziewam się, że utworzyłem zawiązek, nie dający się zerwać, i sądzę, że oddający się naukom lub ich zastosowaniom, a nawet umiejący tylko je cenić, nie rozdzielnie pracować będą dla ich popierania."

Sieroty, wdowy, biédni poczynający—tak kończy swą mowę p. Flourens—pozdrówcie głosem wdzięczności grób tego męża, którego ostatnie myśli były o was!

Józef Bełza.

ABECADŁOWY SPIS WYRAZÓW

LUDOWEGO JĘZYKA W OKOLICACH ŁOMŻY, WIZNY I PRZYLEGŁYCH.

Przez samo uszanowanie dla zabytków odległéj przeszłości, język ludu nie może być zostawiony zapomnieniu lub pogardzie. Niektóre nawet jego wyrazy mają naukową wartość, ponieważ są źródłosłowami wykształconéj mowy dzisiejszéj, a zdarza się i to, że żywcem użyte były przez autorów, jako ich prowincyalizmy, których przeto znaczenia w ludowym języku szukać potrzeba; nasze bowiem słowniki nie są jeszcze tak zupełne, ażeby i te obejmowały wyrazy. Że do zupełności słownika i one należą, o tém nikt nie będzie wątpił, a na zebranie ich nie ma innego sposobu, jak przysłuchując się mowie ludzi prostych, zapisać każdy z określeniem jego znaczenia. Że zaś najdokładniéj dopełnić może tego, kto urodził się i wychował tam gdzie ta mowa żyje, z tego względu odważam się podać niniejszy spis abecadłowy wyrazów moich stron rodzinnych, mniemając, że gdy i insi to samo co do swoich uczynią, język nasz piśmienny dzieła lexykografów przyszłych będą mogły w zupełności wystawić (*).

A.

Ajno, *adv.* tam! (wskazując).

Ajw, *ajwo*, tu. „Pódź ajwo, pódź ajw" pojdź tu.

(*) Te tylko podaję, które nie znajdują się w słowniku Lindego. Wyraz, obok którego położyłem gwiazdkę *, znajduje się wprawdzie w słowniku Lindego, lecz albo nie z tém znaczeniem, albo inaczéj grammatycznie uważany.

Ajwela! excl. (w skład tego wykrzyknika wchodzi wyraz *ajw*, czyli *tu*. *Aksula! excl.* w skład tego wykrzyknika wchodzi wyraz *k'sobie*. } Głosy pastuchów na świnie.

Apem adv. otworem, na rozcież. Drzwi zostawił apem" (zostawił otwarte).

Arwan, p. *rwan*.

Aszka! głos którym pastuchy świnie zapędzają.

B.

Bachnąć, verb. act. walnąć, uderzyć czem wielkiém zamachem.

Bućto adv. (przysłowek złożony z *ba* i *to*) ale prawda (postrzegając się).

Bajtałachy plur. opowiadania rozciągłe a nie użyteczne, mowa nic do rzeczy. „Prawić bajtałachy" prawić nic do rzeczy.

* *Bałaban*, człowiek nieruchawy (bałwan); wielki kartofel (może dlatego, że do bałowania zdatny).

Bałdyga, niezgrabny, nierówny a wielki kij albo łodyga. To nazwisko daje się i człowiekowi podobnych przymiotów.

Bałować, jeść wiele, pakować w siebie.

Basłonić, gadać baśnie, mówić niezgrabnie, nie obudzając interesu, mówić z obrazą uszu, wiele pleść.

Bebech subst. to co wypycha. *Bebechy plur.* wnętrzności (pogardliwie), nikczemna pościel.

Bedżgać, p. *paciać*.

Bekowisko. „Zbiegają się jak na bekowisko." Gdzie jest bydlę zarznięte, tam zbiegają się inne bydlęta i ryczą; to nazywają *bekowiskiem*.

Bełk subst. m. brzuch. *Bełkowaty adj.* brzuchaty.

Bestystwo subst. n. brzydastwo, paskustwo.

Bezdusznik, człowiek bez litości i lubiący innym dokuczać.

* *Ból.* „Idź do bóla, idź do bolów ciężkich!" (Ból uosobiony).

Bolączka, choroba, a szczególnie dysenterya i gorączka.

Brzycz subst f. kwiat brzeziny, olszyny, leszczyny i t. p. kotek (*amentum*). Wiadomo, iż ten wyraz *brzyc* użyty jest w myślistwie ptaszém, pod cietrzewiem.

Brzydastwo p. *Bestystwo*.

* *Buchnąć*, wywróciwszy się upaść i uderzyć o ziemię.

Bultać, kłócić ciecz w butelce, w beczce i t. p. tak że głos wydaje, czyli *bulta* (chlupie).

C.

Chachmęcić, plątać, kręcić dla ukrycia winy w kłamstwie. *Zachachmęcić*, zakręcić. *Syn.* zamytlić, zatarchlować.

* *Chachmęt*, ten co zwykł *zachachmęcać*, poplątać zeznania lub fakta dla ukrycia złéj sprawy.

Chełchun, chłus, kłamca (wyraz pogardy).

Chląd subst. m. Chlądy, młode sosny wyniosłe a cienkie, cieńsze od *galaków* (p. ten wyraz), do grodzenia płota zdatne.

Chlust subst. m. kilkoletnia brzoza ścięta, i wraz z gałęźmi i liśćmi do wycierania sadzy w kominach i t. p. używana. Wiecha.

Chłus, kłamca.

Chojniak, (od *choina* czyli sosnina), mała młoda sosna. *Chojniaki* chróśniaki sosnowe, tojest maleńkie sosny, pewną rozległość miejsca zarastające.

Chorobnik, duch choroby. Bodaj cię chorobnik porwał! Idź do chorobnika! (złe życzenia, jak *idź do czarta!* i t. p.).

* *Chuchać*, ogrzewać parą z ust wypuszczaną, jak *dmuchać* oziębiać. Ztąd przenośnie *chuchać*, znaczy pielęgnować bardzo troskliwie.

Ciachać częstotl. i ciachnąć *jednotl.* smagać i smagnąć. „Ciachnął rózgą“ (smagnął tak, że świst wydała).

Ciapać, niezręcznie a bardziéj niedość silnie ciąć, ciupać, dziobać. „Nie umie rąbać, tylko ciapie.“ *Item* jeść nieobyczajnie, ciapać gębą, dźwięgać. „Ciapu groch, ciapu kapustę,“ przysłowie o człowieku bez własnéj determinacyi i który na wszystko łatwo przystaje.

Cip! cip! Głos którym się kurczęta zwołują.

* *Ciupa*, indyka stara. Ciupka, pokrzywa żegawka (*Urtica urens*).

Cmucić, szalamanić, zwodzić. *Cmuciciel*, impostor, szarlatan.

Ćpać, ustawicznie jeść.

Cudeńka dimin. od cud, cudo, *plur.* „Cudeńka z nim wyrabia“, pastwi się nad nim, dokazuje z nim.

Cupień, p. *czupień*.

Czupień, (Mazurzy wymawiają *cupień*) *subst. m. genit.* czupnia (zapewnie od *czub*), wierzchołek cienki czego, np. drzewa. „W samym czupniu“ w samym wierzchołku.

Czy go! czy go! Głos którym zwoływają się gęsi.

D.

Derdem, *adv.* (a może *ablat.* od *dérd*, *dérdanie?)* od *dérdać* tojest, jak mówi Linde (pod *dyrdać*), drobnemi krokami

śpiesznie bieżyć. „pobiegł derdem," pobiegł śpiesznym truchtem.

* *Dęga*, sztaba u wierzei, od jednéj ich połowy na drugą zachodząca, dla uchwycenia jéj końca skoblem i zamknięcia tym sposobem wierzei.

Doczynek, doczynienie. „Mało ma doczynku" mało ma roboty, zajęcia.

Dórzeć, odórzeć (właściwie * *durzeć verb. n.*) działać jak ogłupiały. *Dorzeje, odórzał.* ten kto zbyt granice wesołości przekracza.

Draka, owca.

* *Drapacz subst. f. drapąka*, stara zużyta miotła; *item* koń lichy, wywłoka.

* *Dykterya, plur. dykterye*, powieść, powieści.

Dziakło subst. n. (u Lindego mylnie * dziakieł *subst. m.*) w Rajgrodzkiém daremszczyzna.

Dzień subst. f. (nie mówi się *in nominat.* dzienia, jak u Lindego), baré, *dimin. dzianka.*

Dziurgiem adv. niektórzy mówią zamiast *ciurkiem*, tojest strumieniem. „Przy dystylacyi ciecz powinna odchodzić kroplami, nie *ciurkiem* czyli dziurgiem.

Dzwięga, pokarm który bydlę powtórnie żuje. „Bydlę żuje dźwięgę."

Dzwięgać, ustami podczas jedzenia głośno poruszać. „Dźwięganie przy jedzeniu, jest nieprzyzwoity obyczaj."

E.

Eć! contract. od się, od siebie: głos którym się zachęca lewego wołu w sosze, zkąd on zowie się *ećnym.* P. *kse.*

Ećny, p. *eć.*

F.

* *Furman.* Mówi się: *na furmanach* zżęte zboże leży na polu, nim zostanie w snopy powiązane. Gdzieindziéj mówią *na garściach.*

G.

Galak subst. m. od goły, sosna w tym wzroście, że zdatna już jest na krokiew.

Galanty adv. wyborny, dogodny, zgrabny, trafny. *Galanto* adv. „Galanty chłopak, galanty nóż, galanto się sprawił."

Gamajda, człowiek opuszczony, zaniedbujący się; nieporządny

Gamgać się, bujać się. Rzecz uwieszona gdy zostaje w ruchu, mówią *gamga się*.

* *Gąstać*, ustawicznie łajać, gderać.

Gibotać, gibotać się, od * *gibać; gibocze się, giba się*, chwieje się lub gnie się rzecz taka która niewzruszona stać powinna.

Gogać: „aż goga go, ażeby się skłócił“ aż go cóś porusza wewnątrz, aż go coś pali.

Gomolaty, to samo co * gomoły *(muticus)*, bez rogów.

Gorzno adv. gorzko, przykro.

Gramdyga, postać wysoka a niezgrabna.

Gromejza, gromla, dromla i drumla, znane żelazko, które za przyłożeniem do ust tchnących i trąceniem sprężyny, wydaje tony nakształt harmoniki.

Gruszyć: „febra go gruszy“ febra go łamie, napastuje.

Gulu! gulu! Głos którym zwoływają indyki.

Guła subst. f. indyka.

H.

Hardować, być hardym.

Holopy plur. nogi (z pogardą). „Wyciągnął holopy“ przenośnie umarł.

J.

* *Jedorny, adj.* jedyny (Linde uważa ten wyraz za przestarzały).

Jegla, jeglia, jodła.

* *Jeżeli adv.* jakoby. „Chłop wysoki jeżeli dąb.“

Judasznik, judaszница, straszny, dziwacznego kształtu, ubioru, dziwnych zwyczajów człowiek: mężczyzna lub kobieta. W szkolnych dyalogach XVI wieku i dawniejszych, silono się na wystawienie straszliwym Judasza, ubierając go w najdziwaczniejsze stroje.

K.

Kaliwo, subst. n. źdźbło. „Ani kaliwa“ ani źdźbła.

Kargol, subst. m. malec, krępy. „Zziąbł jak kargol“ skurczył się od zimna.

Karślak, drzewo tak pokrzywione, niskie i sękowate, że jedynie na opał zdać się może.

Ki? kiż? genit. kiego? *abbr.* jaki? jakiego? „Kiż tam djabeł?“ „Po kiegoż licha.“

Kiepsać się: zaczepiać się, zagabać się, figlować, swawolić.

Kiziak, kizica, źrebak, źrebica.

Kobielaty, kobielasty, w środku biały a z dwóch końców ciemnego koloru. „Kobielata krowa."

Kocmych, Koczmeluch } nieczysty chłopiec.

Komel subst. m. genit. komla, *plur.* komle; łodyga sucha łamiąca się; badyl.

Komelanem v. kolemanem *adv.* prędko, z pośpiechem, kawałem się ciskając. „Pobiegł komelanem."

Korknąć verb. n. ironicznie umrzeć.

Korsać częst. korsnąć jednotl. potrącać, trącić.

Krętu wętu, przysłowie, gdy kto wpadnie w kłopot z którego nagle wyjść usiłuje.

Kse contract. ku sobie; k'sobie, głos którym oracz zachęca prawego wołu w sosze, zkąd on zowie się *ksebnym,* p. *eć.*

Ksebny p. *kse.*

Kuczno adv. tęskno, p. *kuczyć się.*

Kuczy! kuczy! głos którym się kury zwoływają.

* *Kuczyć się* (komu), nudzić się. *Kuczno adv.* tęskno. „Tu mi się kuczy, tu mi kuczno," tu mi się nudzi, tu mi tęskno.

Kukrzysko, miejsce na którém ślad tylko czegoś pozostał. „Wilki zjadły wołu po którym tylko kukrzysko zostało." *Item,* miejsce urodzenia. „Tu moje kukrzysko."

* *Kupa:* brać się w kupy, wziąć się w kupę, seryo co przedsiębrać, nie na żarty poczynać.

Kurdupel, to samo co malec, ale z większą pogardą.

Kuszpiel, nóż zdarty lub przyłamany.

L.

Lotr, lotun (od *latać*), skłonny do częstego wybiegania.

Ludeńkowie plur. diminut. od ludzie, w zadziwieniu albo żądając ratunku. „Ludeńkowie! ratujcie!"

Ł.

Łabaj, chodak rozdeptany, luźny na nogę, uciążający chodzenie. Przenośnie: człowiek niezgrabnie stąpający.

* *Łomić,* (Mazury wymawiają *łonić*), przeorywać, przyczem się przełamują skiby powydzierane pierwszém oraniem, radlić.

Łoński, przeszłoroczny od * *łoni,* przeszłego roku. Są to *opposita* tego * *latoś,* * *latosi* (tego roku, toroczny). „Łońskiego roku."

Łotoszyć, wyłotoszyć, trzepać (czynność kijem wykonywana). „Wyłotoszył mu skórę," wybił go.

M.

Mamrać, (Mazury wymawiają *memrać*), grzebaniem nieład sprawiać. *Rozmamrany*, cały w nieładzie, nieporządnie poukładany; człowiek rozmamrany, na którym odzież pognieciona i nie pozapinana: „Nie ogarnął zboża w śpichlerzu, tylko je rozmamrał.“ „Mamrze w potrawach.“

Mechrać, pomechrać (zapewne postać mchu nadać), pomszyć, poplątać, pomiąć. *Pomechrany*, (* pomiechrany), poplątany, pognieciony. Mówi się także *rozmechrany*.

Memel „zamieszanie *jak w memlu.*“ Podobieństwo wzięte od rzeki Memla, której wody mają być w częstem zakłóceniu.

Mezgotać się verb. n. wydawać blask migający, błyszczyć się migocącém światłem.

* *Miętosić*, (jakby miękczyć przez wygniecenie), gnieść; wygniatać, miąć. *Zmiętoszony*, bardzo pognieciony, pomięty.

* *Muc*, *mucyk*, *mucek*, trywialnie każdy pies.

Mydłować, dążyć do zatarcia złego postępku dla ujścia kary. *Zmydłował*, uszedł kary.

Mytlić, *mytłać*, gmatwać, powikłać, kręcić. „Nie mówi prawdy, ale mytli.“

N.

Nacudować się, *sł. dok.* od *dok.* * cudować, wydziwiać, dziwne rzeczy wyrabiać. „Takci Falibowski nacudował się nad nim i namęczył.“ *Pamiętn. Paska.* Napastwił się.

Nagrywać sł. częstotl. „Choroba go nagrywa“ zaczyna działać. „Ból nagrywa“ zaczynać boleć.

Nakci, *nakże abbr.* jednakci, jednakże, wszakże.

Napałęczyć się, nadarzyć się (ironicznie od *pałęka*, błoto którego szukać nie trzeba).

Narocznie adv. p. *enarocza.*

Natorny adj. gniewliwy, łatwo obrażający się.

Natoż adv. naumyślnie; na przekor, na złość. („A właśnie jak natoż drobny deszczyk przetrzepując“ i t. d. *Błażowski*, *Kronika Kromera.* Bitwa pod Grunwald.).

Niczego, *niczegowaty adj.* ten który ujdzie, dosyć piękny, dosyć zdatny. „Mężczyzna niczegowaty.“ „Ten kawaler wcale niczego“ (wcale do rzeczy).

* *Niechać*, *imperativ. niechaj! niechajcie* (*sinite.* Evang. Marc. XV, 36): przestać, dać pokój.

Niedojda subst. m. człowiek rozlazły, niezdolny działać, jakoby nie doszedł, nie dokończył się. Podobny temu znajomszy wyraz *niezdara.*

Niewdziaj subst. m. wzgardliwie o człowieku nieumiejącym sobie dać rady, że nawet okryć się (odziać) zaniedbuje.

Niewiada, (Mazury wymawiają *nie wieda*) *adv.* niewiadomo. „Bajał niewiada co" niewiedzieć co.

Nota! notażeno! excl. głos na biorących się do jakiéj spólnéj czynności. Bierzcie się! weźcie się!

Nyszkować, jestto źle wymawiane * *myszkować.* Linde znaczenie tego słowa mylnie tłumaczy mówiąc: „czatować na co jak kot na myszy, łapać, smykać" i przykłady które zamieszcza, nie zgadzają się z tém określeniem. *Myszkować* znaczy prawie to co *bobrować,* tojest szukając czego (jak mysz gdy pożywienia szuka) wszędzie zajrzeć, wszystko poruszyć, przewrócić i t. p.

O.

* *Obar,* drzazga czyli łuczywo żywicą oblane. Linde nie wytłumaczył tego wyrazu.

Obcałapić, całemi ramionami objąć, oblapić, zewsząd objąć.

* *Obertas,* znajomy taniec (walec w przeciwną stronę) w którym kręcić się potrzeba; ztąd obertasy, zamiast obroty, kłopoty i t. p.

Oberwaniec (wyraz pogardy), obdartus, obszarpaniec.

Obszejty subst. plur. (zapewne z niemieckiego), oporządy, wiele doczynienia.

Obycharzony adj. oswojony z czém, obznajomiony.

Obycharzyć się, oswoić się, otrzaskać się z czém.

Odmianek, subst. m. nie taki jak inni, odrodek (wyraz wzgardy) o człowieku który się sprzeciwia, który działa naprzekor.

Odydarmo adv. wyraz utworzony z brzmienia tych: *ot i darmo.* „Tak się uparł, że odydarmo, nie można było nic wskórać," (*Syn.* ani weź).

Okanny adj. trudny, z trudem nabywający się.

Okomon, przekręcony wyraz *ekonom.*

Onen pronom. (od * *on*), ów.

Oprócz ka adv. oprócz.

Ordaka subst. f. nieczysta chusta, szmata, gałgan, łachman, rzecz małéj wartości.

Ordzić, (po niemiec. *rutschen*). Ordzi, gdy coś, co powinno łagodnie się posuwać, drze i rysuje przedmiot po którym się posuwa.

* *Orendować, orędować:* nakazać, dać znać, uwiadomiać.

Otoknąć, wytoknąć, opłókać, wypłókać (od *otok*, ciecz).

* *Otrok*, mąż (z małżeństwa). „Wyraj mi otroka."

Owten pronom. on, ów.

Owtędy adv. owo tędy.

P.

Paciać, paćkać i bedźgać, nieostrożnie albo niezgrabnie przerabiać czyli mieszać co mokrego; ztąd źle malować. *Zapaćkany*, poszpecony mokremi nieczystościami.

Pałęka, błoto, kałuża.

Pałyga, rzecz kształtu pałki (ironicznie głowa nierozumna). *Cf.* bałdyga.

Pardusić (może *parą dusić*), nędznie, nieumiejętnie gotować. „Ledwie mi upardusił ów obiad."

Patrzelisko, albo stosina, batog, biczysko, kozica, kij od bicza.

Pedy albo sędła, znajomy przyrząd do noszenia wiader albo kubłów, złożony z drążka kładącego się poziomo na kark, a u końców mającego prostopadle zwieszone haki do zachwycania wiader, rękami ujmowane.

Petecya, (z łaciń. *petitio*) prośba, żebranina. „Iść po petecyi" po prośbie, po żebraninie.

Piechowisko, trzon od wideł.

Piska, subst. f. (od *pisać*), jajko malowane na Wielkanoc.

Pokraka, pokracz, (zapewne od *kroczyć*), pohańbienie, podeptanie tak, że się litość obudza. „Wielka pokracz stała się z nim." „Cóżto za pokraka!"

Pościan, cień od przedmiotu przy świetle rzucony (dlatego że najwyraźniejszy cień osób okazuje się na ścianach).

Prowiąsło, (gdzieindziéj mówią *powrosło)* sznur ukręcony ze słomy, czyli pas, do związania kula targanéj słomy.

Przećko, adv. abbr. przeciwko.

Przycupnąć, na krótki czas położywszy się zadrzymać.

Przysięztwo, przysięganie się, zaklinanie się.

Przywąkroić się, (Linde ma *przywąkronić* (sic): niepotrzebnie lub dla interesu przywiązać się. „Przywąkroił się" mówi się o takim który się przywiązał a nie był pożądany.

Pyskal, który pyskuje.

Pyskować, wygadywać niewdzięcznemi słowy, ganić dobrodziejstwa życzliwych sobie.

R.

* *Rajtar*; „biegnie jak rajtar", biegnie nagle i bez uwagi, że wpaść może na co lub na kogo. (Rajtar, w dawném wojsku ciężki kawalerzysta).

Rant (z niemieck. *Rand*) brzeg. „Na rancie talara jest napis". Rant ostry, rant tępy.

Rebej, szyderskie przezwisko żyda.

Reta, ratunek. Używa się mianowicie w wykrzykniku: „Rety"! ratujcie!

Retenta plur. „Chodzi po retentach" próżnuje, bąki strzela.

Rębas (wymawiają *rembas*), grubian, który bez względu na grzeczność prawdę objawia.

Rękal, drogoskaz, słup na rozstajnéj drodze, wskazujący kierunki dróg ręką, na któréj te kierunki są wypisane.

Rosować (gdzieindziéj mówią *plonować*) tylko o kwitnieniu zbóż trawiastych. „Żyto rosuje", żyto plonuje.

Rozkurczenie od * *rozkurczyć*, rozpostarcie się. „Tu nie ma rozkurczenia", tu ciasno.

Rozrach subst. m. roztrzepaniec, nieuważny, dziki.

Rwan (od * *rwać*) *particip.* Używa się tylko w wykrzykniku: „A rwan djablu"! porwan. (Niech będzie porwany od djabła).

* *Rwetes*, *tretes* (w Lindem *tertes*), szarpanina i hałas w zamieszaniu.

Rychtyk adv. (z niem. *richtig*), ten zły wyraz często się powtarza w mowie Mazurów tam, gdzie inni mówią *akurat*.

S.

Sadzonka, drzewko przeznaczone do posadzenia. „Sadzonki wyłamują nad drogami".

Schludny adj. schludnie adv. Te wyrazy słyszałem zawsze w znaczeniu zręczny, giętki, zręcznie, nie zaś w znaczeniu czysty, jakby *oppos.* niechluj, niechlujny, niechlujstwo. Tych ostatnich *oppos.* są ochlujny, ochlujność.

* *Sepet*, zawinięcie, paka powstająca z wwiązania rzeczy w chustkę, albo w płachtę.

Sędla, p. *Pedy*.

Siemieniaty adj. jarzębaty. „Siemieniata kura".

Sileczny adj. silny, mocny; *silecznie adv.* zamiast silnie. Cf. *straszeczny.*

Sioje pronom. „Ni toje ni sioje" (ni to ni owo); *adv.* „ni tudy ni siudy" (ni tu ni owdzie; „ni tu ni siu" (nigdzie).

Siuchna subst. f. (z pieszczotami), owca.

Skał subst. m. skalik dimin. kawałek drzażdżki, kawałek odszczepany drewna (zadra), jaki często w ciało załazi. Skalik, ostry patyczek.

Skulepa, pogardliwe nazwisko kobiety w latach podeszłéj.

Skweres subst. m. (może to samo co * *kweres*), ambaras, kłopot połączony z zamieszaniem.

Słych subst. m. zasłyszenie. Tylko w tém: „Ani widu, ani słychu". „Ani słychu o nim".

Stosina subst. f. to samo co *patrzelisko*, batog, biczysko i t. p.

Straszeczny adj. straszny, straszliwy. *Straszecznie adv.* strasznie. Cf. *sileczny.*

Stwora, stworzenie, utwór. Mówi się: „jedyna stwora", okazując zadziwienie nad podobieństwem jednéj istoty do drugiéj: syna do ojca, portretu do oryginału i t. p.

Szczezor subst. m. tak w Rajgrodzkiém nazywają drąg utkwiony pionowo, wokoło którego siano się stoży. Podkład z desek lub gałęzi pod stóg, zowie się tamże *łożyskiem.*

Szczwoł subst. m. wszelka baldaszkowa roślina dzika.

Szpel subst. m. (z niemieck. *Speil*), to samo co *skał, skalik.*

T.

Tarach, to samo co *rozrach.*

Taśl taśl głos, którym się przywołują kaczęta.

Terlica, Mazurzy tak wymawiają wyraz * *tarlica.*

Tretes p. *rwetes.*

Tudy p. *sioje.*

U.

Umarlak, zmarlak (Mazur wymawia * *umerlak, zmerlak* i w tym kształcie dostały się te wyrazy do słown. Lindego, lecz nie z całkowitém znaczeniem): człowiek umarły, a przez podobieństwo i żyjący, lecz do umarłego podobny.

Urzecha subst. f. (w Rajgrodzkiém) grzęda, skład, oziemek w ogrodzie warzywnym.

Uwal subst. m. (od *uwalić się*, położyć się): człowiek ciężki, który częściéj wypoczywa, położywszy się, niż robi. *Uwalowaty adj.* prawie uwal. Cf. *wałkuń.*

W.

Wałkuń, wałkunić się, nie, jak Linde, * *wałkon*, * *wałkonić się*.

Wankować (z niem. *wanken*): zamiast brać się do roboty, przechadzać się bezczynnie, a tu i owdzie zaglądać.

* *Wańtuch* przenośnie: człowiek niezgrabny i nieczysto ubrany.

Wąklica (właściwie *wąglica*) stary garnek, mogący już tylko służyć na przechowywanie węgli lub popiołu.

Wbarcić się (od * *barć*) wedrzeć się z trudnością na co wysokiego (jak niedźwiedź na barć).

Wej! exel. widź! patrz! *Wejże*, patrzno. *Wejcie, wejta!* patrzcie! *Wenowejta!* (wy jeno widźta *dual.*): patrzcie no tam, spojrzyjcie no!

Wid, ujrzenie, używa się tylko w tém przysłowiu: „Ani widu, ani słychu". P. *słych*.

* *Wklepać* w kogo co, wmówić w niego, a częstotl. *wklepiać*, „Nie wklepiaj we mnie tego, czego nie mówiłem".

* *Wychopień* (gdzieindziéj *podpłomyk*) placek z ciasta na chleb razowy, cienki i płaski dlatego, żeby obok chleba położony na brzegu, prędzéj się upiekł.

* *Wydębić*, z trudem wydostać. „Nie mogę z moich dłużników grosza wydębić". „U tego pana ledwie wydębisz należytość.

Wykantopić, zakantopić (*exterminare*): wyniszczyć ze śladem, wytracić, zatracić, zagubić.

Wykołupać, wyłupić.

Wyłotoszyć p. *łotoszyć*.

Wytoknąć p. *otoknąć*.

Wyzia! wyzia go! (weź go): głos którym szczuje się psami. Na charta woła się: *A wyzia go!* (a weź go), z czego myśliwi utworzyli wyraz *Ahyżha*. P. *Terminol. łow. Kozłowskiego*.

Z.

Zabeczeć: „bodajeś zabeczał", bodajeś stał się bydlęciem.

Zachachmęcić, p. *chachmęcić*.

Zakantopić, p. *wykantopić*.

Zaknypać (z niem. *verknippen*), zawiązać węzłem do rozwiązania trudnym.

Zamanąwszy adverbial. co chwila, coraz. „Zamanąwszy, to sobie przypomni". Co chwila to przypomni sobie,

Zamarsnąć, konwulsyom uledz". „Zamarśnie mnie" konwulsye mnie porwą. *Zamarśnienie subst. n.* konwulsye.

* *Zapęziały, zapęzieć* (Mazury mówią *zapeziały, zapeziać*). Skarłowaciały, niedorosły, skarłowacieć, zakarleć.

* *Zapiać verb. neutr.* odurzeć. „Bodajeś zapiał", bodajeś ogłupiał, rozum stracił.

Zasłapać (w Krakowskiém): „koń zasłapał", nogę za powróz przełożył, przestąpił.

Zatarchlować: zaplątać, zakręcić, zatrzeć (w czynie). *Syn.* zachachmęcić.

Zawalidroga subst. m. człowiek gnuśny, który sam nic dobrego nie robiąc, drugim na przeszkodzie stawa.

Zawilec verb. n. pokręcić się. „Bodajeś zawiłała"! bodajeś pokręciła się (jak w niektórych kalectwach). * *Zawiły*, pokręcony (np. drzewo zawiłe).

Zbiegielec subst. m. (u Lindego * *zbieglec*) człowiek zkądsi zbiegły. „Zbiegielców niebezpieczna przyjmować do służby".

Zbuk subst. m. jajko zaśmiardłe.

Zchajać, skraść. *Syn.* zemknąć, zcapić, zchopić, zwędzić, zciągnąć, sprzątnąć, zchuchnąć i t. d.

Zchopić (od * *chapnąć?*): ukraść.

Zchuchnąć, skraść.

Zkiela? zkąd? z której strony? *Ztela:* ztąd, z téj strony. „Zkiela jedziecie"? (zkąd jedziecie). „Nie można ztela zaczynać". (nie można ztąd zaczynać).

Znarocza, znaroka, narocznie adv. umyślnie, na urząd. „Kamień znarocza położony", umyślnie położony.

Zpaszować verb. n. stracić fantazyą, humor, niekorzystnie się zmienić.

Ż.

Żeno, zakończenie tryb. rozk. nalegające. „Idźcie żeno. Róbcie żeno", idźcieżno, róbcieżno.

* *Żywina, diminut. żywinka:* bydło, bydełko, trzoda, trzódka (używa się mianowicie, mówiąc o krowach). Inwentarz żywy.

KRONIKA LITERACKA.

Ofiara i Sumienie. Dramat opowiedziany przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1860 r.

Cóż ma być osnową dramatu, jeżeli nie walka żywiołów w duchu ludzkim utajonych: im wyższe żywioły, tém bój szlachetniejszy, tém dzielniejszego potrzebuje barda. Czemu to wrażenia spokoju, lubo przyjemne, są tak mało zadawalniające; czemu przeciwnie walka zawsze nas ma gorącémi świadkami, a walczący zwracają najwięcéj sympatyi? Bo oni pełnią swoją powinność, bo walka jest przynależnością naszego życia i kardynalnym warunkiem bytu; każdego z nas Bóg, przy urodzeniu, zbrojąc rozumem i wolą, pasował na rycerza. Nie każdy wprawdzie tę zbroję dochowa do grobu: jeden przegra ją w kości, jak ów książę normandzki; drugi przekuje na świecące blaszki, inny dobrowolnie porzuci na drodze, bo mu za ciężka; i dlatego to tak mało bohatérów na świecie rzeczywistym, kiedy po nich zwykle do książkowego uciekać się musim. Fikcya albo stwarza wzory czyli ideały, albo téż stawia magiczne zwierciadło przed społeczeństwem: utwór, który mamy przed sobą, należy do téj drugiéj kategoryi; obraz jest wierny, nie dziwmy się nędzy, jaka zeń wyziera. Dramat dzisiejszy, (którego forma w starożytności nieznana równie jak wodewilu), bywa historyą lada jakiego błędu lub nieszczęścia: pisany dla tłumu, drobnemi zasilając się żywiołami, na drobnych téż poprzestaje bohatérach; jest to tylko pewna modyfikacya powieści, do któréj on tak się ma jak trajedya do epopei. Obecny téż utwór, lubo w formie opowiadawczéj, ale z dramatycznym napisany zakrojem, mógłby równém prawem, przy stosownéj a nawet nie wielkiéj zmianie, stać się dziełem scenicznem bez nadwerężenia swéj este-

tycznéj wartości w obec dzisiejszych wymagań. Tak już nawykliśmy patrzéć na pigmejczyków, czy to na świecie, czy na scenie, że nieraziłaby nas pospolitość figur piérwszego planu, widzielibyśmy owszem prawdę realną, za którą każdy dzień, całość towarzyska, świadectwo daje.

Górującą figurą w téj powieści jest postać znana, przedstawiana po tysiąc razy, ale chyba nieśmiertelna—to kobiéta zalotna bez serca: jest to bez wątpienia materyał, który na długo jeszcze wystarczy powieściopisarzom, sięgającym głębiéj w stosunki towarzyskie. Młoda wdowa, zamożna, lekceważąca opinią, wodząca za sobą tłumy wielbicieli, obrachowała, że trzeba cóś zrobić i dla przyszłości, ażeby mieć zachowanie w świecie wówczas, gdy zaczną przekwitać powaby, dziś tak straszne dla rozumnych a dla głupich śmiertelne. W tym celu zwróciła uwagę na pana *Adama* sąsiedniego obywatela i jego to przeznaczyła na kortynę swéj nie shańbionéj wprawdzie, ale plochéj przeszłości. Wybór jéj był arcy-dyplomatyczny; pan Adam, człowiek energicznych nerwów, siłą woli i bark imponujący całemu towarzystwu, nietylko, że potrafiłby utrzymać w rygorze potwarców, ale co większa, zaszczytem ręki swéj unieważniłby z gruntu wszelkie rozsiewane od dawna pozory i podejrzenia, którym on jednak, wyższy nad wszelkie posłuchy pokątnego oszczerstwa, dotychczas nie dawał wiary. Tego spodziewała się *Eleonora* po Adamie i rachubaby jéj nie omyliła. Autor w całym utworze nie myślał o ideale, chciał być tylko wiernym kronikarzem obecności, i dlatego w Adamie nakréślił człowieka, o jakich ocieramy się codzień, jacy nie stoją zbyt nizko, aby niemi pogardzać, ani zbyt wysoko, żeby ich podziwiać: używają imienia ludzi porządnych i obywateli z charakterem, a w gruncie są to niedołęgi, na których nic liczyć nie można; potrzeba tylko ku temu sposobności, któraby znaglała, ażeby człowiek koniecznie godność ludzką okazać musiał. Adam, odważny zmysłami, silny pięścią, hojny i prawy, mógł być brylantem dla krecich oczu sąsiadów; postawion w warunkach, gdzie trzeba było rozwinąć się czynnie w obec światła zasady niewzruszonéj, okazał się kamieniem bardzo lichego gatunku. Szukając narzeczonéj, znalazł ją w cichéj i skromnéj *Tekli*, córce obywatelskiéj; ale zwabiony zalotami *Eleonory*, porzucił rozkochaną, umiérającą z miłości narzeczoną, aby upaść do nóg eleganckiéj i energicznéj wdowie. Małżeński związek tych dwojga istot zmysłowych, harmonia ich zalet i ułomności, wzajemne ich na siebie oddziaływanie, możeby i zapewniły im zobopólne zadowolenie, możeby sa-

ma Tekla śmiercią przypłaciła rozłączenie z kochankiem, ale byłoby to tylko nieszczęście, i tylko jedno. Lecz tu przychodzi fatum: Eleonora pomimo zbliżającego się ślubu z Adamem, nie mogła wyrzec się rozkoszy uwodzenia drugich, na czém zszedł ją właśnie przypadkiem narzeczony. Czem tylko można zelżyć kobiétę *dobrze* wychowaną, wszystkiego pozwolił sobie Adam na pożegnanie niewiernéj, i za karę powrócił do zapomnianéj, nieszczęśliwéj Tekli. Otóż tu właśnie sekret: jak go téż przyjmie dawna narzeczona? Na nieszczęście znalazł znowu bierność i niedołęztwo. Autor zręcznie zataił nam wrażenie, jakie ten powrót uczynił na Tekli: i jako zakochana mogła doznać niewymownej radości, ale jako dziewica zacna, mogłaż zbliżyć się do człowieka, który ją poświęcił dla zalotnicy, mogłaż kiedykolwiek liczyć na jego miłość i charakter, na jakiekolwiek szczęście domowe, mogłaż do tego stopnia poniżyć się w godności kobiécéj? To wszystko jednak uczyniła Tekla i poszła do ślubu z Adamem. Uważamy ten obrót rzeczy za wypadek wyjątkowy, który potrzebnym był autorowi jako środek architektoniczny; bo chcieć uważać to za jeden z charakterystycznych rysów społeczeńskich, byłoby więcéj niż niesprawiedliwością, niż satyrą—byłoby to traktowaniem społeczeństwa *en canaille*; któraż bowiem z zacnych dziewic, nie przeniosłaby raczéj śmierci ciała nad takie poniżenie ducha. Adam, co najwięcéj, mógł był oszukać kochankę, podejść pozorami wielkości, tak jak podchodził innych; ale tu wystąpił on zbyt jawnie, stosunek z Eleonorą zdarł z niego lwią skórę; Tekla wiedziała komu się oddaje. Ażeby usprawiedliwić tak dziwne postąpienie, autor stawia z jednéj strony nieuleczoną miłość Tekli, z drugiéj—zły wpływ rodziców; ale to nie jest dostateczne. Miłość, która nie zważa na względy moralne, jest tylko pociągiem cielesnym, nie zaś niebiańskiém uczuciem, a zatém nie godzi się taka miłość z charakterem zacności, w jakim przedstawioną jest Tekla:—z drugiéj strony, lubo matka jéj jest suchą egoistką, a ojciec istotą tylko przeżuwającą, jednak Tekla ma przyjaciołkę w osobie dawnéj nauczycielki, kobiécie z wielkiém sercem i doskonale pojmującéj stan rzeczy; ona jest aniołem opiekuńczym Tekli, życie za nią oddać gotowa—a nie zdołała przecież powstrzymać jéj nad przepaścią. Są to kwestye, które uchodzą z uwagi w czasie kompozycyi, a wychodzą na jaw dopiéro, kiedy całość jest skończoną.—Gdyby chodziło tylko o względy moralne, powieść w tém miejscu mogłaby się skończyć, gdyż w obec takich warunków łatwo odgadnąć można dalsze losy Adama i Tekli; ale

to nie było dosyć dla artysty-obserwatora: p. Korzeniowski chciał uplastycznić tę niedolę moralną, okazać na jaw zapamiętałość namiętności i w tym celu pomiędzy dwojgiem małżonków postawił furyą na zgubę ich zawziętą.

Eleonora upokorzona do głębi duszy, przejęta wściekłością nie zlękła się jednak hałasów Adama; czuła snadź prawdziwość prostego przysłowia o krowie, która dużo ryczy;—powlokła tylko za odchodzącym oczyma rozdrażnionéj lwicy i poprzysięgła zemstę, jaką tylko szatańska dusza doradzić jéj mogła. Przybrała postać nieszczęśliwéj, niesprawiedliwie dotkniętéj ofiary: stała się pobożną, umiała wmówić w ogół przekonanie o swéj niewinności, do czego posłużył ten pozor, że młodzieniec, z którym zszedł ją Adam, jest jéj krewnym, którego studencką miłość ona chciała mu wybić z głowy braterskiemi rady: słowem, dyplomacya ta doszła aż do Adama i zrobiła na nim wrażenie. Odtąd spotykał on ją na każdym kroku, jak widmo drażniące wszystkiemi powabami duszy i ciała: cicha i łagodna żona znikła w cieniu tego widma; Adam, smutny niedołęga, przykuty do nóg Eleonory, wlecze się razem z nią w kałużę ostatniéj hańby i rozbestwienia. Tego właśnie życzyła sobie Eleonora; ona powiedziała za odchodzącym: „a gdy będziesz u nóg moich leżał ze zwiędłém sercem, z wyssaném ciałem, z uczuciem zmarnowanego życia, wtedy rzucę ci przed oczy to świadectwo, któremuś uwierzył, i przypomnę ci to miejsce, gdzieś zdeptał upadłą istotę, którą mogłeś i powinieneś był podnieść.“—Trzeba mieć tak artystyczne pióro, jak pan Korzeniowski, ażeby określić stan tego człowieka i całą zgrozę wewnętrzną, jaka nim szarpie: jego słowa, postępki, zamiary, malują waryata, którego wyraźnie djabeł wziął na wychowanie i uśmiecha się swojemu dziełu. Adam jest niby upojony, szczęśliwy miłością Eleonory, ale szczęściu temu, smutniéj niż na pogrzebie, przydzwania jęk bolejącéj żony i jak sęp szarpie sumienie występnego męża; chciałby się oderwać od tak okropnego szczęścia, a tu siła i powab rozkoszy ciągnie napowrót nieprzeparcie i do reszty zalewa rozum, tak, ażeby nigdy się nieopamiętał. Straszno spojrzéć w głąb duszy Adama i zajrzéć do jego domu w chwili, kiedy po kilku dniach niebytności powraca doń upojony najbezwstydniejszym trunkiem: na co spojrzy, ostatni sprzęt nawet czyni mu wyrzut, że z najdroższego przybytku, jaki człowiek na ziemi posiada, uczynił grobowisko; że kiedy do innych domów z obliczem ojca rodziny zawitało słońce i wszystko rozjaśniło się i każdy szczęśliwy biegnie na jego spotkanie, tymczasem on spotyka

oblicza ponure, odwracające się, aby łzę obetrzéć lub wyrzut zataić, więc zgryzota i nuda znów go niebawem wypędza tam, zkąd jéj zaczerpał.

Cóż przez ten czas dzieje się z żoną? To łatwo odgadnąć, ale nie łatwo z nią sympatyzować. Tekla cierpi tylko, umiéra z boleści, ale nic nie czyni, aby złemu zapobiedz: co gorsza, w rozpaczliwéj względem męża bierności, pozwala mu wprowadzić Eleonorę do domu i poddaje się z nią stosunkom towarzyskim.

Niech nam tu wolno będzie zrobić uwagę, że to już nieprawda. O ile Adam jest ogólnym typem miernego człowieka, nie umiejącego się wznieść ponad zmysły, o ile wszystkie jego perypetye są doskonale zaobserwowane i dzielnie przedstawione, o tyle taka bierność kobiéty uczciwéj jest niepodobną: gdyby tak wreszcie było, mielibyśmy wtedy Adama aż do pewnego punktu za wytłómaczonego: bo przyznam się, że żona w niczem i nigdy nie stawiająca oporu, nawet tam gdzie widzi wyraźną zgubę lub hańbę ukochanego męża, łagodna nie już jak człowiek, ale jak owca, w żaden sposób męża do siebie przywiązać nie może ani miłością ani nawet szacunkiem. Nie przeczymy, że to może być najhistoryczniejszym faktem, ale fakt pojedyńczy w niczém nie zobowiązuje poety; to nie jest pryzmat do jego poszukiwań stosowny: to rzecz statystyki moralnéj. Obserwator przywiązuje się do szczegółów i dostarcza danych, filozof poszukuje ogółu: pisarz posiadający dopiéro oba te przymioty jest ideałem pisarza. Jeżeliby ktoś w przedstawionym przez p. Korzeniowskiego obrazie, szukał jakiéj prawdy etycznéj, znalazłby owszem smutny i nierzetelny rezultat; bo uważmy, złość tylko uosobiona w Eleonorze jest silną i czynną; cnota w Tekli, bierną i nieruchawą;—nie można więc ztąd wyprowadzać etycznych wniosków, ale patrzéć na charakter Tekli jako na coś oderwanego i nienormalnego, kiedy przeciwnie w Eleonorze zniewoleni jesteśmy podziwiać dokładność rysów natury tego właśnie charakteru, do jakiego ją autor powołał.

Oręż, którego Eleonora ku zemście swéj użyła, był obosieczny: zadał on śmierć moralną Adamowi, o śmierć męczeńską przyprawił jego żonę. Wśród balu, który Adam wydał w domu swym dla Eleonory, Tekla lubo już bardzo chora, na surowy jednak rozkaz męża, ubiéra się i przychodzi na salę, a zaledwie przestąpiła próg, widząc męża wirującego z Eleonorą w szalonym walcu,—pada i kona. Cios ten ogłuszył Adama: dotąd nie wierzył jak daleko sięga zbrodnia, któréj się dopuszczał; teraz zatrzęsło mu się w piersi całe piekło przeszłości skupione w jedną

chwilę; życie szału skończyło się, rozpoczęło życie zgryzoty bez promienia słońca, bez nadziei. Odepchnął stanowczo ohydną wspólniczkę zbrodni i pozostał sam z grobem małżonki, z żarzewiem w sercu i obłędem w myśli. Bliżsi mu uczuciem, potępiając występnego, ale litując się nad nieszczęśliwym, pragnęli mu powrócić spokój; ale któż zdolny jest odebrać pamięć, a w obec takiego świadka, może się pomieścić spokój? Najszczerzéj zajętą była nim Eleonora, która, jak za lepszych dni widziała w nim tylko przedmiot spekulacyi, tak dziś powzięła dla niego prawdziwsze uczucie i sama nawet bez udania zabierała się ku lepszéj drodze:—ale łaska Boża nie jest na zawołanie.

Tu autor nader trafnie pochwycił duchową stronę. Ta kobieta, potężna kiedy była złą, szybko i umiejętnie idąca do celu; okazała się niedołężną, dziecinną nawet, kiedy bez prawa i zasługi chciała rękę do dobrego przyłożyć. Zgadzamy się w tém zupełnie z autorem:—nie ten, co życie całe przebył w skalaniu i poniewierce, może stać się dobrym, kiedy mu się podoba; nie ten, co bezkarnie szpecił siebie i drugich, może okryć się szatą dobrodziejstwa, którą Bóg czystych tylko i prawych przyozdobił. Marna to i jałowa dobroczynność, która ze skalanéj podaje się ręki; nie wyrośnie z niéj nic tylko zgorszenie. Dopóki z szatanem miała zmowę Eleonora, dopóty wszystko jéj szło jak z płatka; kiedy chciała porozumieć się z aniołem, już on jéj nie słyszał, już on był od niéj daleko. Ażeby wyleczyć Adama z obłędu i monomanii, która go wciąż straszyła widmem żony, wychodzącéj ze swego pokoju do sali balowéj, w któréj śmierć znalazła, Eleonora chciała użyć jakiegoś środka homeopatycznego. Ubrała się więc w strój podobny temu, jaki w owéj chwili miała na sobie nieboszka, zebrała jakieś towarzystwo przebrane za Krakowiaków, i tak w zamaskowaném gronie, z muzyką udała się wieczorem do domu Adama, z którym znajdowało się kilku jego przyjaciół. Zajazd ten złe na wszystkich zrobił wrażenie; po kilku ustępach maskaradowych, Eleonora upatrzywszy stosowną chwilę, zdjęła maskę i wyszła z pokoju Tekli do salonu, co spostrzegłszy z nienacka Adam, przerażony, wybełkotał kilka gwałtownych słów, zamierzył się krzesłemna s prawczyną tych nieszczęść, i skonał; a wspólniczka jego, wypędzona przez obecnych, z uczuciem straszliwszém niż rozpacz, z załamanemi rękoma, zawołała odchodząc: — „Biada mi! już dla mnie nie ma zbawienia!“

Tak się tedy skończył ten domowy dramat; o dalszych losach Eleonory zamilczał autor, stracił widać jéj ślady; ale gdyby się był

zapytał znajomych, to ci pewnie widzieli ją w kilka miesięcy potém, gdzie na paryzkim salonie piękniejszą niż kiedykolwiek, wdzięczącą się do jakiego sekretarza ambasady lub kapitana od zuawów;—bo to jak kogo natura i szatan wezmą w opiekę, to mu jéj i całe życie nie poskąpią.

W powyższém sprawozdaniu, łącząc spostrzeżenia nasze z treścią intrygi, staraliśmy się określić psychiczny przebieg tego dramatu, pomijając szczegóły obrazowe, jakie autor z wdziękiem niemałym tu i owdzie rozsypał. Nie wspominaliśmy też o charakterach osób drugorzędnych, jak: pieczeniarz domowy na chlebie Eleonory, rodzice Tekli, których potworność z niemiłosierną rzetelnością nakréślił autor, podobnie jak powiatowe plotkarki, które tu grają znakomitą rolę: wszystko to dopełnia całości obrazu, ożywia go i urozmaica lubo głównie i niemal wyłącznie w ujemnéj stronie życia; opuściliśmy powtarzam, te szczegóły, bo nas głównie obchodziła wewnętrzna strona, do odmalowania któréj autor dobrze przyłożył ręki, bez czegoby rzecz cieniem tylko była nie ciałem. Jako powieść, forma mniejszych wymagań i mieszcząca wszystko co ma jakikolwiek związek z życiem, utwór ten jest zajmującym i wytrzyma artystyczną próbę, bo napisany z werwą i dowcipem obok niezaprzeczenie trafnych i wcale niepowierzchownych obserwacyj bieżącego życia. Ale jaki byłby to z tego dramat (mówimy tu o estetycznéj formie), gdyby pozostał w tym stanie, to doprawdy trudno nam odpowiedzieć.—Mężczyzna, wstrętny i oburzająco niedołężny, a niby Samson; jego Dalila, toż to potwór ale rzeczywiście mogący wstrząsnąć człowiekiem; Tekla—uczciwa wprawdzie, ale tak blada, że jéj nie widać, a zatém niewywo ująca sympatyi; inne postacie są już podrzędne i redukujące się więcéj do komedyi. Pomimo więc wszystkich katastrof i wstrząśnień, serce słuchacza nie ma się za kim obrócić, nie ma ani jednéj postaci, którejby z utęsknieniem wyglądał na scenie widz niecierpliwy dodatnich wrażeń, coby go uniosły gdzieś w strony zapału i rozkoszy duchowéj. Mnie się zdaje, że ażeby ten dramat mógł być nietylko *opowiedzianym* ale *odegranym*, potrzebaby koniecznie charakter Tekli nietylko wzmocnić ale zupełnie przeistoczyć, bo w tym składzie, na niéj tylko jednéj spoczywać może warunek czystego ideału i téj fatalistycznéj walki, bez któréj nie istnieje rzeczywisty dramat. Lecz w tym razie, niechże ta figura będzie żyjącą i czynną; jeśli ma umrzéć, to niechajże ginie jak bohatér na straży dobra, nie jak trzcina naciśnięta gwałtownością wiatru, niema i w jedno miejsce wrosła.

Dnia 1 maja 1860 r. *Kazimierz Kaszewski.*

Chemiczne Sprawy Żywotne, przez A. Kryszkę, Dra Medycyny. Warszawa. Nakładem I. Klukowskiego i Rafalskiego. Ulica Miodowa. Nr. 497 lit. C. 1855 r.

Sztuka lekarska zawdzięcza naukom przyrodzonym, olbrzymi swój krok, uczyniony na drodze postępu, w ostatnich czasach. Z pomiędzy wszystkich gałęzi nauk przyrodzonych, chemia bez zaprzeczenia oddała jéj największe usługi. Od czasu zastosowania téj nauki do fizyologii i patologii, medycyna zaczęła otrząsać się z jarzma ślepego empiryzmu i wstępować z bezdroży na drogę rozumową (racyonalną). Tutaj okazała się w całém świetle ważność chemii: chemia odkryła nam tajemniczą zasłonę, okrywającą sprawy żywotne naszego organizmu; wytłumaczyła zjawiska towarzyszące najważniejszym życiowym procesom; nauczyła pojmować, na czem zależy bieg spraw żywotnych zdrowego organizmu; pokazała zmiany, którym ulega chory organizm, i tym sposobem podała rozumowe sposoby przywracania go do stanu normalnego. Błędem byłoby naturalnie mniemać, że sama li tylko chemia, bez pomocy innych nauk, zdolna jest objaśnić wszystkie żywotne sprawy organizmu; zostawiona saméj sobie, nie wieleby zdziałała na téj drodze, gdyby jéj nie wspiérała fizyologia, jak również ta ostatnia, bez pomocy chemii, nie zdołałaby wytłumaczyć największéj liczby spraw żywotnych organizmu. Chemia więc wspiérana przez fizyologią, czyli *chemia fizyologiczna*, może nam jedynie wyjaśnić sprawy żywotne organizmu.

Nazwa sama *chemia fizyologiczna* wskazuje już cel, do którego zdąża ta nauka. Chemia fizyologiczna powinna przedstawić nam dokładny opis wszystkich pierwiastków, wchodzących w skład organizmu, wykazać ich początek i przemiany, którym ulegają przy rozmaitych okolicznościach, wskazać następnie rolę, jaką każdy z nich odgrywa w organizmie i jego żywotnych sprawach, i tym sposobem wytłumaczyć cały bieg procesu żywotnego. Ten jest cel chemii fizyologicznéj, który, aby mogła dopiąć, musi z całą dokładnością obrobić wymienione przez nas szczegóły.

Literatura zagraniczna obfituje w dzieła odnoszące się do dziedziny nauk przyrodzonych i medycznych, nasza przeciwnie, jest w nie bardzo uboga. W Niemczech, Francyi lub Anglii, nie łatwo napisać nowe dzieło, z dziedziny wymienionych nauk, bo powtórzenie tego co już było wiadome, bez wprowadzenia własnych odkryć, lub doskonalszéj metody w wyłożeniu znanych już przedmiotów,

czytająca powszechność odrzuci, i autor w bardzo krótkim czasie doczeka się zapomnienia. U nas rzecz się ma zupełnie inaczéj. Proste przetłómaczenie obcego dzieła, przerobienie go, lub jakataka kompilacya, bardzo często wystarcza na zjednanie autorowi nazwy uczonego.

Pan Kryszka w przedmowie do swego dzieła *Sprawy chemiczno-żywotne* oświadcza, że chęć rozpowszechnienia wiadomości z tak ważnéj a jeszcze całkowicie nowéj nauki, jaką jest chemia fizyologiczna, spowodowała go do napisania wyżéj wspomnionego dzieła. Obaczmyż więc o ile dzieło p. Kryszki odpowiada zamierzonemu przezeń celowi.

W układzie swego dzieła, p. Kryszka trzyma się, bardzo słusznie, dzieła professora Lehmanna; rozdziela je więc na trzy części. W piérwszéj mówi o *pojedynczych tworach żywotnych zwierzęcych*, w drugiéj: o *sokach* i *tkankach zwierzęcych*, w trzeciéj nakoniec o *zmianie materyi* (o przemianach materyi w organizmie).

We wstępie autor daje pojęcie o elementarnych wiadomościach z chemii ogólnéj, mówi pokrótce o powinowactwie, o równoważnikach, o teoryi atomistycznéj, elektrochemicznéj; przechodzi następnie do rozkładu związków organicznych przez wpływ powietrza; przebiega w krótkości wszystkie rodzaje fermentacyi (robień); mówi o procesie butwienia, gnicia, próchnienia; o wpływie ciepła na rozkład ciał organicznych; o działaniu odczynników, o zmydlaniu i następnie o użyteczności chemii przy zastosowaniu jéj do fizyologii, i nakoniec o podziale chemii fizyologicznéj.

Wstęp do podobnego dzieła, jakiém jest przez nas obecnie rozbierane, stanowi najważniejszą część jego. We wstępie bowiem rozwijają się piérwsze pojęcia i wiadomości, niezbędne do gruntownego zrozumienia dalszych części dzieła; jeżeli wstęp chybia celu, z pewnością całe dzieło również go nie dopnie. Wstęp do dzieła p. Kryszki, zupełnie nie odpowiada celowi. Ważność rozbiéranych w nim przedmiotów, wymaga daleko obszerniejszéj o nich mowy, tymczasem autor poświęcił każdemu z nich zaledwie kilka słów.

Brak miejsca nie dozwala nam robić zbyt licznych wypisów z dzieła p. Kryszki, na potwierdzenie naszego zdania, lecz łaskawy czytelnik sam się łatwo przekona o prawdzie naszego sądu, czytając zaraz piérwsze stronnice wspomnionego dzieła. O powinowactwie, jego rodzajach, o równoważnikach, teoryi atomistycznéj, elektrochemicznéj, o rodnikach, autor krótko mówi, tak, że nie mający poprzednio żadnych wiadomości z chemii ogólnéj,

z opisu autora nie nabierze żadnego pojęcia o rzeczonych szczegółach. Lecz autor odpowié, że dzieło swe pisał dla znających chemię ogólną; lecz jakże uniewinni się z krótkości opisu, tak ważnych procesów chemicznych, jakiemi są wszystkie rodzaje fermentacyi, butwienie, wpływ ciepła na rozkład materyi organicznych; jakimże sposobem autor zdoła wytłómaczyć w dalszych częściach swego dzieła, rozmaite żywotne procesa organizmu, opierające się na procesach chemicznych, tak powierzchownie przez niego traktowanych? W opisie, naprzykład, fermentacyi wyskokowéj, autor wspomniał tylko o zjawiskach jéj towarzyszących, nie wdając się bynajmniéj w rozbiór przyczyn tych zjawisk, bo oznaczenie stopnia temperatury, przy którym odbywa się fermentacya, powiedzenie, że obecność drożdży i przystęp powietrza jest konieczny przy rozpadaniu się cukru na wyskok i na kwas węglany, czyli przy jego fermentacyi, bynajmniéj nie stanowi naukowego rozbioru przyczyn, wywołujących te zjawiska. A przecież dokładne wyłożenie i zrozumienie tak ważnego procesu chemicznego, jakim jest w ogóle fermentacya, może rzucić wielkie światło na wiele procesów żywotnych: p. Kryszka nie zwraca na to uwagi. Mniemania Berzeliusa o fermentacyi i piękną teoryę Liebiga, autor zawarł w następnych wyrazach, które jednakże wcale nie dają nam pojęcia o zdaniu tych dwóch chemików. „Wyroby fermentacyi wyskokowéj,—mówi autor—nie znajdują się gotowe w cukrze, ale powstają za wpływem drożdży, którym Berzelius przypisywał siłę *katalityczną*, Mitscherlich działanie przez zetknięcie, w czém Liebig widzi jedynie udzielenie się chemicznego ruchu (1).“ Cóż to jest siła *katalityczna* Berzeliusa? Co to jest *zetknięcie* Mitscherlicha? *Ruch chemiczny* Liebiga? Czy przytoczone wyżéj słowa autora rozwiązują te pytania? Opis innych rodzai fermentacyi grzeszy tém samém co i opis fermantacyi wyskokowéj. Opis procesu gnicia i butwienia, jakkolwiek krótki, tę ma jednakże przewagę nad opisem fermentacyi, że dokładniéj tłómaczy zjawiska towarzyszące tym dwóm procesom, i objaśnia za pomocą wzoru (formuły) chemiczne przemiany, butwiejącéj materyi. Daléj autor rozbiéra wpływ ciepła na rozkład materyj organicznych.

Rozebrawszy wpływ ciepła na materye organiczne, p. Kryszka przechodzi do rozbioru wpływu *odczynników chemicznych* na rozkład tychże materyj. „Trzecim powodem organicznych rozkła-

(1) Str. 14.

dów, mówi autor, są *odczynniki chemiczne.* Odczynniki jako silnie działające środki, znoszą równowagę w tworach żywotnych, zmieniają ugrupowanie ich pierwiastków: już to zastępując jednę z ich części i tworząc niedokwasy inb chlorki, jużto powodując stowarzyszenia, jużto nakoniec wpływem katalitycznym albo przez zetknięcie.“ Wpływem katalitycznym? Czyż naprawdę autor wierzy w siłę katalityczną? W wyraz bez znaczenia, w siłę, o któréj Liebig powiedział: że oprócz nowego wyrazu greckiego, nic więcéj nie wprowadziła do nauki.

Rozbiérając wpływ kwasów mineralnych na związki organiczne, autor za zbyt mało zastanawia się nad tym przedmiotem; z tego co powiedział, nikt nie nabędzie należytego pojęcia o zachowywaniu się wspomnionych kwasów z materyami organicznemi. Przeczytajmy np. o działaniu kwasu siarczanego, tak znakomitą rolę odgrywającego w chemii organicznéj, a łatwo przekonamy się o prawdzie naszego sądu. „Działanie kwasów, mówi autor, na twory organiczne nie daje się jeszcze pod ogólną formułę podciągnąć. Szczegółowo zaś: kwas siarczany dla wielkiego do wody powinowactwa, albo ją odbiéra gotową, albo usposabia kwasoród do jéj utworzenia, przyczém jeżeli się saletroród w rozkładaném ciele znajdował, zwykle amoniak powstaje, a pozostałość mniéj więcéj obfituje lub ogałaca się z saletrorodu. Tenże kwas drugą razą traci swój własny kwasoród i przemieniając się na podkwas siarczany, ukwasza wodoród i węgiel, w czasie czego zwykle zjawiają się kwasy stowarzyszone. Nakoniec niezmieniając się bynajmniéj kwas siarczany obudza przeobrażenie się np. wyskoku na eter (1).“ Działanie kwasu saletrzanego i solnego, autor opisał daleko jeszcze krótszemi słowy. Działanie alkaliów i zasad na związki organiczne, autor opisał następnemi słowami: „Gryzące i stałe zasady, alkalia uspasabiają ciała żywotne do ukwaszania się na prawdziwe kwasy, przez przyjęcie kwasorodu rozłożonéj wody, a po oswobodzeniu się wodorodu, powstają gnojany, occiany i szczawiany. Węglany zaś jedynie przy przepędzaniu, jeżeli ciało było bezsaletrorodne, gdyż w przeciwnym razie amoniak otrzymamy. Zasady łącząc się z kwasami tłuszczów dają *mydła* co *zmydlaniem* ich zowiemy (2).“ Czy przywiedzione tu słowa autora, dają dokładne pojęcie o zachowywaniu się alkaliów i zasad ze związkami organicznemi, i czy dostatecznie objaśniają tyle mający znaczenia w chemii organicznej, proces *zmydlania?*

(1) Str. 19. (2) Str. 19.

Wyłożywszy w ten sposób, początkowe wiadomości z chemii ogólnéj, autor kończy wstęp do swego dzieła, rozbiorem ważności chemii fizyologicznéj, wskazuje cel jéj i ostrożności, jakie należy zachować przy zastosowywaniu téj nauki do praktycznéj medycyny i przechodzi następnie do części piérwszéj swego dzieła, zawiérającéj rzecz o *pojedyńczych tworach zwierzęcych żywotnych.*

W części piérwszéj autor zbija naprzód dawny przesąd, jakoby pierwiastki wchodzące w skład ciała zwierzęcego traciły swe pierwotne własności i dopiéro w życiu nabywały ich w wyższym stopniu; mówi następnie o konieczności łączenia badań chemicznych z fizyologicznemi, ponieważ każdy z pierwiastków chemicznych, wchodzących w skład organizmu, ma w nim znaczenie fizyologiczne, należy więc oprócz oznaczenia składu, wskazania początku tych pierwiastków i przemian, którym ulegają w organizmie, zwracać ciągle uwagę na fizyologiczne ich znaczenie. Autor mówi daléj, że z jednakowości chemicznéj pierwiastków, wynika jednakowość znaczenia ich fizyologicznego, i dlatego przy badaniach fizyologiczno-chemicznych pierwiastków, wchodzących w skład organizmu, niezbędném jest, dokładne oznaczenie ich składu *procentowego, elementarnego* i następnie oznaczenie *wyrazu* (formuły) *rozumowego.* Autor nie daje nam jasnego pojęcia o wyrazie *rozumowym*; następne słowa autora zawiérają jego określenie: „Stosunek ten ukrywa się nietylko w ilości atomów, ale i w ich ugrupowaniu, czyli, że oprócz wyrazu *elementarnego* przybywa nam wyraz *rozumowy* z zachowywania się i sposobu rozkładu, tojest wydawania przetworów lub z analogii wyprowadzony (1).“ Podług więc autora *wyraz rozumowy,* oznacza sposób ugrupowania atomów pierwiastków tworzących pewien związek chemiczny, czyli jego budowę. Mniemanie to autora podziela dzisiaj znaczna jeszcze liczba chemików, nie mogących się rozstać z dawnemi przesądami. Wyrazy (formuły) związków chemicznych nie wyrażają sposobu ugrupowania atomów, lecz wyrażają tylko wszystkie możebne metamorfozy tych związków. Gdyby budowę atomistyczną (ugrupowanie) związków chemicznych wyrażały formuły, które wyprowadzają się ze sposobu tworzenia się tych związków, wtedy np. siarczan baryty miałby trojakie ugrupowanie atomów, ponieważ tworzy się naprzód przez połączenie wprost kwasu siarczanego SO_3 z barytą Ba_2O czyli mamy wyraz SO_3+Ba_2O ozna-

(1) Str. 25.

czający budowę tego związku; następnie SO_2 łącząc się z Ba_2O_2 daje siarczan baryty, czyli mamy znowu wyraz $SO_2+Ba_2O_2$. oznaczający również budowę siarczanu baryty: nakoniec SBa_2 łącząc się z O_4, daje także siarczan baryty: mamy więc jeszcze trzeci wyraz SBa_2+O_4 oznaczający budowę rzeczonéj soli. Któraż z tych formuł wyraża rzeczywistą budowę siarczanu baryty? Wszystkie trzy jednakie mają do tego prawo. Piérwszą formułę przyjmujemy, dwie następne odrzucamy, dlatego, że piérwsza tłómaczy nam najlepiéj znaczną liczbę reakcyj chemicznych; nie dlatego zaś, że niby oznacza rzeczywiste ugrupowanie atomów (budowę). Przed kilkunastu laty Gerhardt starał się dowieść, że formuły chemiczne nie mają tego znaczenia, jakie im powszechnie przypisywano; dzisiaj prawie wszyscy zgadzają się już ze zdaniem Gerhardta, należało więc i autorowi albo się z niém zgodzić, albo téż go obalić. Określenie Gerhardta wyrazu rozumowego, podług naszego zdania, zupełnie odpowiada dzisiejszemu stanowisku chemii. „Représenter un corps par une *formule rationelle*—mówi on—c'est resumer par de signes de convention un certain nombre d'equations dans lesquelles figure ces corps, un autre corps étant pris pour unité de comparaison. De formules rationelles sont donc en quelque sorte des équations contractées (1)." Jeden i tenże sam związek może mieć kilka wyrazów rozumowych, zależy to bowiem od reakcyj, którym ulega w pewnych okolicznościach. I tak, weźmy np. olejek gorzkich migdałów: związek ten w największéj liczbie reakcyj zachowuje się jak związek rodnika *benzoilu* z wodorem, wyraz więc jego jest następny H,CyH_5O. Działaniem tlenu powietrza, olejek gorzkich migdałów, przechodzi w kwas benzoesowy z wydzieleniem wody.

$$H_2\left\{\begin{matrix}C_7H_5O\\C_7H_5O\end{matrix}\right. + OO = O\left\{\begin{matrix}C_7H_5O\\C_7H_5O\end{matrix}\right. + OH_2$$

Kwas benzoesowy bezwodny

zachowuje się więc jako związek wodoru z benzoilem.

Z chlorem podobnież się zachowuje:

$$H,C_7H_5O + ClCl = Cl,C_7H_5O + ClH$$

Chlorobenzamid

Tenże sam chlorek benzoilu z wodorkiem miedzi daje olejek gorzkich migdałów i chlorek miedzi:

$$Cl,C_7H_5O + HCu_2 = H,C_7H_5O + Cl,Cu_2$$

Olejek gorzk. migdał.

(1) Gerhardt Chimie Organique. T. IV, p. 566.

Widzimy więc z tego, że wyraz rozumowy H,CyH_5O olejku gorzkich migdałów, wyraża dokładnie przytoczone tu reakcye tego związku. Lecz w niektórych przypadkach, działanie wywiera się nie na 1 at. wodoru wspomnionego związku, lecz przenosi się na tlen; olejek więc gorzkich migdałów zachowuje się w tym przypadku nie jak związek wodorowy, lecz jak tlenek. Podobny przypadek ma miejsce przy działaniu amoniaku, anilinu i siarkowodoru na olejek gorzkich migdałów:

$$\underbrace{N_2\begin{Bmatrix}H_3\\H_3\end{Bmatrix}}_{\text{Amoniak}}+3O\underbrace{\begin{Bmatrix}C_7H_5\\H\end{Bmatrix}}_{\text{Olejek gorz. migd.}}=\underbrace{N_2\begin{Bmatrix}(C_7H_5)_3\\H_3\end{Bmatrix}}_{\text{Hydrobenzoamid}}+3O\begin{Bmatrix}H\\H\end{Bmatrix}$$

Z anilinem zaś:

$$\underbrace{N\begin{Bmatrix}C_6H_5\\H\\H\end{Bmatrix}}_{\text{Anilin}}+O\underbrace{\begin{Bmatrix}C_7H_5\\H\end{Bmatrix}}_{\text{Olejek gorz. migd.}}=\underbrace{N\begin{Bmatrix}C_6H_5\\C_7H_5+O\\H\end{Bmatrix}}_{\text{Benzoiloanilid}}\begin{Bmatrix}H\\H\end{Bmatrix}$$

Widzimy więc z tego. że olejek gorzkich migdałów ma dwie zupełnie sprawiedliwe formuły racyonalne: jest on zarazem i wodorkiem rodnika C_7H_5O i tlenkiem rodnika C_7H_5. Przykład przez nas przytoczony, zdaje się, że dostatecznie przekonywa o bezzasadności dawniejszych pojęć o wyrazach związków chemicznych i stwierdza zdanie Gerhardta. Brak miejsca nie dozwala nam bardziéj rozprzestrzenić się nad tém i kilkoma jeszcze przykładami poprzeć nasz sąd; lecz mniemamy, że to co przytoczyliśmy, wykazuje niedostateczność określenia wyrazów chemicznych w ogóle, a wyrazu rozumowego w szczególności p. Kryszki. Czytelnika chcącego się bardziéj w tym względzie zapoznać ze zdaniem Gerhardta, odsyłamy do jego dzieła (Chimie organique t. IV); sami zaś nie możemy się wstrzymać od przytoczenia tu na zakończenie słów tego chemika o znaczeniu wyrazów chemicznych: „Les formules chimiques—mówi on—ne sont pas destinées à representer l'arangement des atomes; mais elles ont pour but de rendre évidentes, de la maniére la plus simple et la plus exacte, les relations qui rattachent les corps entre eux sous le rapport des transformations (1).“

Po skreśleniu wstępu do ozęści piérwszéj, o którym dopiéro co mówiliśmy, autor przechodzi do opisu pojedyńczych tworów żywotnych zwierzęcych. Opisuje naprzód organiczne, następnie zaś mineralne. Opisy pierwiastków nie grzeszą już niedokładno-

(1) Gerhardt Chimie organique. T. IV, p. 566.

ścią, zauważaną przez nas we wstępie do rozbieranego dzieła, jakkolwiek niektóre z nich, według nas, są zakrótkie i niedostatecznie wyjaśniają ich reakcye chemiczne.

W opisie cukru, autor za zbyt mało zastanawia się nad jego własnościami. Cukier odgrywa dosyć znaczną rolę w organizmie, należało więc obszerniéj powiedzieć o jego własnościach chemicznych. Próbę *Trommera*, służącą do wykrywania rzeczonéj materyi, autor za zbyt pobieżnie opisał; to samo odnosi się do próby *Hellera*. Autor powinien był wytłómaczyć proces chemiczny tych prób, podać następnie sposób przygotowania używanych do prób roztworów, i nakoniec opisać sposób postępowania, przy wykrywaniu cukru, za pomocą rzeczonych prób, w rozmaitych częściach organizmu. Autor wątpi o bytności cukru we krwi, a przecież piękne prace Cl. Bernarda pokazały, że cukier znajduje się we krwi żyły *wątrobowéj* i który ginie następnie w dalszym przebiegu krwi tego naczynia. Tutaj autor choć przynajmniéj w skróceniu powinien był wyłożyć poszukiwania Bernarda nad powstawaniem cukru w organizmie: uczyniwszy to, autor uniknąłby błędu, który popełnił przy ocenieniu użyteczności cukru w organizmie. Podług autora, cukier służy w organizmie do utrzymania ciepła zwierzęcego, przez gorzenie tego produktu podczas oddychania, i do utworzenia tłuszczów i żółci. Prace zaś Bernarda dowiodły, że cukier służy do utworzenia we krwi kulek, i ułatwia mechanizm obiegu krwi. Brak miejsca nie dozwala nam bardziéj drobiazgowo wyłożyć prace Bernarda nad cukrem tworzącym się w organizmie; łaskawego czytelnika, pragnącego lepiéj poznać znaczenie cukru tak w organizmie zdrowym jak również i chorym, odsyłamy do dzieła wspomnionego autora (1). Beszta tworów żywotnych w dziele p. Kryszki obrobiona dokładnie, związki mineralne wchodzące w skład organizmu, jak i również przypadkowo w nim znajdujące się, opisane dostatecznie; lecz autor nie podał sposobów odkrywania ich obecności, w rozmaitych częściach organizmu, co jest nader ważném. Nie dosyć bowiem jest wymienić pierwiastki znajdujące się w pewnym organizmie, lecz trzeba jeszcze wskazać sposoby przekonania się o ich obecności; na doświadczeniu kilku uczonych dzisiaj poprzestawać niepodobna: doświadczenie wymaga również *krytyki*, którą jest *powtórzone doświadczenie*. Podając rezultaty doświadczeń, należy podać

(1) Leçons de phisiologie experimentale par M. Claude Bernard. Paris 1855.

i sposoby, za pomocą których też doświadczenia były robione; od sposobu bowiem, w jaki wykonano doświadczenie, zależy wartość wyprowadzonych z niego wniosków. Na związkach mineralnych, wchodzących w skład organizmów żywotnych, p. Kryszka kończy część piérwszą swego dzieła i przechodzi do drugiéj: *o sokach i tkankach zwierzęcych.*

W drugiéj części autor powiedziawszy o ważności fizyologii przy badaniach chemicznych soków i tkanek zwierzęcych, przechodzi wprost do szczegółowego ich opisywania. Opisuje naprzód soki, po nich zaś tkanki. Opisy tkanek i soków odznaczają się dokładnością; lecz pomimo tego, mamy to do zarzucenią autorowi, że w wielu miejscach mało zwrócił uwagi na okoliczności zasługujące na większe zastanowienie. Przy opisywaniu np. śliny, autor powinien był powiedzieć, jakim sposobem otrzymuje się najważniejszy jéj pierwiastek *ptyalin.* W témże samém miejscu autor wypowiada swoje własne mniemanie o przyczynie gnicia dziąseł u małych dzieci i o próchnieniu zębów u osób niedyetycznie żyjących: „Prawda—mówi autor—że ja chemicznemi rozbiorami przypuszczeń moich udowodnić nie jestem wstanie, ale gnicie dziąseł u małych źle karmionych dzieci, oraz próchnienie zębów u młodych niedyetycznie żyjących osób, od zepsutéj (kwaśnéj) śliny wyprowadzam, przeciwko czemu środki gorzkie, w gwałtownych razach z kwasem siarczanym, nigdy mnie nie zawodziły (1)." Nauki przyrodzone słusznie nazywają naukami doświadczenia, naukami obserwacyi; domysły, teorye, rozumowania, niepoparte doświadczeniem, faktami, nie mają żadnego znaczenia. Pan Kryszka na słowo każe nam wierzyć w swoje zdanie; w nauce, którą wykłada w swojém dziele, autoryteta nie wystarczają na podtrzymanie jakiejkolwiek opinii, jeżeli za nią nie przemawia doświadczenie i fakta. Zresztą jeżeli szkodliwe działanie śliny należy przypisać obecności w niéj kwasu, w takim razie chcąc zniszczyć to szkodliwe działanie, należy za pomocą środków lekarskich usunąć ten kwas; autor zaś nietylko, że go nie usuwa, ale jeszcze w gwałtownych razach, do środków gorzkich, wcale nie usuwających kwasu, dodaje silnego kwasu mineralnego.

Najważniejszym sokiem organizmu zwierzęcego jest krew: poznanie jéj własności fizyoznych i chemicznych jest bez zaprzeczenia największem i najtrudniejszém zadaniem dla lekarza. Autor opisał krew z całą możebną dokładnością, lecz nie zwrócił

(1) Str. 91.

uwagi na jéj temperaturę. Krew nie we wszystkich naczyniach ma jednakowy stopień ciepła. Krew żyły *zwrotnéj* ma niższy stopień od krwi żyły *wątrobowéj*; rozmaite okoliczności, którym może podlegać organizm, mają również przeważny wpływ na stopień ciepła krwi. Dokładna znajomość temperatury krwi w różnych naczyniach, objaśnia rozmaitość jéj składu w tychże naczyniach, i rzuca wielkie światło na *ciepło zwierzęce*. Z powodu braku miejsca nie możemy obszerniéj zająć się tym przedmiotem i przytoczyć tablice stopni ciepła krwi w rozmaitych naczyniach przy rozmaitych okolicznościach, wyprowadzone przez *Bernarda* i *Walferdina*; czytelnika zaś, chcącego ten przedmiot głębiéj poznać, odsyłamy do dzieła Cl. Bernarda (1). Przy opisywaniu uryny, autorowi należało zwrócić większą uwagę na chorobę zwaną *słodkomoczem* (diabetes): należało wytłumaczyć, zkąd się bierze cukier w urynie podczas téj choroby, i jakie okoliczności sprawiają zjawianie się jego w tym płynie. Piękne prace Bernarda nad tym przedmiotem, dostarczyłyby autorowi dostatecznego materyału. W rozdziale o kościach, autor powinien był wyłożyć doświadczenia Flourens'a nad ich wzrastaniem.

Pierwsze dwie części, rozbieranego przez nas dzieła, są wstępem a raczéj materyałem dla trzeciéj, traktującéj o *zmianach materyi w organizmie*. W pierwszych dwóch częściach opisane są pierwiastki i części składowe organizmu, zmiany, którym one ulegają pod wpływem rozmaitych okoliczności: w trzeciéj, na mocy danych zawartych w dwóch piérwszych, należy wskazać, jak się zachowują w organizmie, czyli co się z niemi dzieje podczas najważniejszych życiowych procesów, jakiemi są trawienie, oddychanie i t. p.

Autor we wstępie do téj części, którą bardzo słusznie uważa za najważniejszą dla lekarza, mówi o fałszywém zapatrywaniu się dawniejszych uczonych na procesa żywotne, których przyczyny dopatrywali się w sile *żywotnéj*, równie nie zrozumiałéj dla nich, jak i skutki, które jéj przypisywali. Autor słusznie bardzo odrzuca *siłę żywotną*, lecz sąd wydany przez niego na przyjmujących ją dotąd jeszcze, zdaje się nam za ostry. Siła żywotna, rzeczywiście jest to tylko wyraz bez znaczenia: lecz niektórzy uczeni przyjmujący ją dotąd, bynajmniéj nie upatrują w niéj przyczyny zjawisk życiowych, lecz rozumieją pod nią, zbiór wszystkich pro-

(1) Leçons de phisiologie experimentale par M. Claude Bernard, Paris 1855.

cesów i zjawisk żywotnych. Zdanie Schlejdena, że siła żywotna jestto *x*, które najprawdopodobniéj równa się *0* (zeru), zdaje nam się być zupełnie sprawiedliwém. Autor mówi daléj o siłach molekularnych i przechodzi do rozbioru warunków życia roślin, aby tym sposobem wykazać różnicę i w jaśniejszém świetle przedstawić obraz życia zwierzęcego.

Życie roślin autor skréśla krótkiemi lecz jasnemi słowami. Mówi on o budowie anatomicznéj roślin, następnie o właściwém ich życiu, tojest o stwarzaniu z pierwiastków mineralnych, czerpanych z zewnątrz, związków organicznych. Skreśliwszy życie roślin, autor przechodzi do rozdziału o *stanowisku tworów zwierzęcych*. W tym rozdziale wykazuje naprzód różnicę życia roślin od życia zwierząt, mówi następnie o czterech grupach tworów żywotnych, napotykanych w organizmie zwierzęcym, a mianowicie o *połączeniach proteinowych*, *tłuszczach*, *wodnikach węgla i solach mineralnych*. Mówi daléj szczegółowo o ważności każdéj z tych grup, o roli odgrywanéj przez nie w procesach żywotnych, sposobie powstawania i o zmianach, którym ulegają w organizmie. Rozbiór życia roślin i stanowiska tworów zwierzęcych, stanowią wstęp w dziele p. Kryszki, do bardziéj szczegółowego rozbioru ważniejszych procesów żywotnych, mianowie: *trawienia*, *oddychania* i *odkarmienia*.

W rozdziale o *trawieniu*, autor z początku określa ten proces, następnie przechodzi do szczegółowego opisu zmian, wywołanych przez ten proces, w zwykle używanych pokarmach, składających się z błonnika, gumm, krochmalu, cukru, tłuszczów i materyj proteinowych. Daléj mówi autor, o ilości soków trawiących, ich znaczeniu, o wpływie nerwów i strawności pokarmów. Cały ten proces, według naszego zdania, autor traktuje za zbyt pobieżnie; ważność jego w całkowitym procesie życia za nadto jest znaczna, aby kilka kartek mogło wystarczyć dla dokładnego wyjaśnienia go. Autor szczególniéj za mało zwrócił uwagi na wytłumaczenie wpływu soków zwierzęcych (ślina, sok żołądkowy i t. p.) na pokarmy, na czynność nerwów i stopień temperatury, przy którym proces ten odbywać się może. W inném miejscu obszerniéj powiemy o wpływie temperatury na procesa żywotne.

W rozdziale o *oddychaniu*, autor mówi o mylném zapatrywaniu się lekarzy na niektóre procesa żywotne, nadając im znaczenie, którego bynajmniéj w organizmie nie posiadają. Do takich procesów autor zalicza *oddychanie*. „Śmiało więc odzywam się— mówi autor—że przechodząc do oddychania, sprawy żywotnéj ja-

ko osobnéj, zwyczajem uświęconéj, nie odróżniam go od innych wydzielań, owszem obok nich je kładę, chociaż żadnym organicznym tworem nie nacechowane i całkowicie fizycznie uskuteczniające się; wszystkie zaś wydzielania za zbieralniki użytecznych jeszcze lub bynajmniéj już nieprzydatnych odpadków przy ogólném odkarmianiu poczytuję (1).“ Proces więc oddychania autor poczytuje za tożsamy (identyczny) z procesami wydzielań. Co to jest wydzielenie lub wydzielanie? Wydzielenie jest to przygotowywanie, wyrabianie przez organy pewnych tworów. Tu należą wydzielanie potu przez gruczołki potowe, śliny, soku gastrycznego i t. p. Proces oddychania obok podobnych procesów położyć w żaden sposób nie podobna. Gdybyśmy wyraz *wydzielanie* lub *wydzielenie*, uważali za synonim wyrazu *oddzielanie* lub *oddzielenie*, czyli proces *wydzielania* brali za toż samy z procesem *oddzielenia*, to i w tym razie trudno stawić proces oddychania obok procesów *oddzielenia*, toejst oddychanie zaliczyć do téj saméj kategoryi co i oddzielanie uryny (2). Zresztą sam autor zbija się własnemi słowami, mówiąc daléj, że chociaż żadnym tworem nie nacechowane, przecież go (oddychanie) do wydzielań zalicza. Proces oddychania nie jest wcale procesem wydzielania, jest on tylko prostą wymianą fizyczną kwasu węglanego na tlen. Płuca nie są organem podobnym do gruczołów ślinnych lub do nerek, lecz po prostu przestrzenią, w któréj krew pochłania fizycznie tlen, a oddaje kwas węglany. Określiwszy tym sposobem proces oddychania, autor przystępuje do opisu szczegółów tego procesu; w końcu mówi o cieple zwierzęcém.

Z tego, co autor powiedział o niém, możemy tylko następujące wyciągnąć wnioski, że zwierzęta posiadają własne ciepło, że jego są najprawdopodobniéj chemiczne objawy, daléj, że chociaż Liebig rozdzielił pokarmy na odkarmiające i oddychalne (3), tojest przez kwasoród z powietrza czerpany rozkładane, nie miał przecie zamiaru nauczać o opalaniu organizmu jak mieszkania w zimie. Nic więcéj o cieple zwierzęcém nie możemy wyciągnąć ze słów p. Kryszki. Dawna teorya ciepła zwierzęcego, uważa za jego przyczynę palenie się krwi w płucach; po przekonaniu się zaś, że krew bynajmniéj nie łączy się z tlenem w płucach, lecz tylko

(1) Str. 275 i 276.

(2) Nerki oddzielają ze krwi gotowe już materye, które znajdujemy w urynie.

(3) Mówię językiem p. Kryszki.

go pochłania, czyli, że się nie pali, musiano zaprzestać upatrywać przyczynę ciepła zwierzęcego w oddychaniu. Źródłem ciepła zwierzęcego, jak to dowiódł Cl. Bernard, jest działalność wątroby. Krew wychodząca z wątroby ma wyższą temperaturę od krwi do niéj wchodzącéj; w miarę oddalania się od swego źródła ochładza się coraz bardziéj, a mieszając się w sercu z krwią chłodniejszą, pochodzącą z innych części organizmu, znacznie zniża swą temperaturę. Doświadczenia wielu uczonych dowodzące, że temperatura krwi obu połów serca znacznie się różni, są mylne, dlatego, że były robione po śmierci zwierzęcia. Prawa bowiem połowa serca, według doświadczeń Cl. Bernarda i Walferdina, prędzéj się oziębia od lewéj; ztąd to właśnie mylny wyprowadzono wniosek, że krew prawéj połowy serca ma niższy stopień ciepła od krwi lewéj połowy. Temperatura krwi prawéj i lewéj połowy serca, w żyjącym organizmie, wcale się nie różni albo też bardzo nieznacznie; doświadczenia Cl. Bernarda i Walferdina robione na żywym baranie, najwymowniéj o tém przekonywają. Źródłem więc ciepła i przyczyną jego w organizmie, jest działalność wątroby: niszcząc tę działalność niszczymy zarazem i ciepło organizmu, czyli go zabijamy. Przecinając nerw *pneumogastricus* w okolicy szyi, niszczymy działalność wątroby: przestaje ona wyrabiać cukier, temperatura organizmu zniża się i wkrótce następuje śmierć, nie dlatego, jak większość utrzymuje, że zniesiona czynność nerwu pobudzającego żołądek do trawienia, lecz dlatego, że trawienie może odbywać się tylko przy wyższéj temperaturze; przecięcie zaś nerwu spowodowało oziębienie całego organizmu. Umieszczając pod skórą zwierzęcia truciznę zwaną *curara*, znosimy funkcyą wątroby; temperatura organizmu znacznie się zniża i wkrótce następuje śmierć. Gdy zaraz po nastąpionéj śmierci, wyjmiemy wątrobę, to łatwo możemy się przekonać, że ona nie zawiéra wcale cukru; wystawiwszy ją zaś przez pewien przeciąg czasu, na działanie temperatury $+40^0$ i następnie próbując na cukier, znajdujemy go; utworzył się więc w niéj przez wpływ podniesionego stopnia ciepła. Z tego widzimy, jak ważną rolę odgrywa stopień temperatury, w procesach żywotnych. Brak miejsca nie dozwala nam, obszerniéj wyłożyć ten przedmiot, chcącego zaś go poznać lepiéj, odsyłamy do dzieła Cl. Bernarda (1). Pan Kryszka wcale nam nie wytłumaczył tyle ważnego zjawiska, jakiém jest ciepło zwierzęce, o doświadczeniach i teoryi Bernarda wcale

(1) Leçons de phisiologie experimentale. Paris 1855.

nie wspomniał; należało jednakże autorowi rozebrać ją, przyjąć ją lub zbić; zbywać zaś milczeniem, nietylko jest ujmą dla męża, któremu nauka zawdzięcza swe olbrzymie postępy, lecz i dla społeczeństwa, któremu autor przedstawia swą pracę, uważając go albo za niezdolne pojąć nowszych rezultatów nauki, albo za dające się lada czém zadowolnić.

W rozdziale o *odkarmianiu*, autor z początku określa ten proces; następnie mówi o trudności dokładnego zbadania tego procesu, o pokarmach; odróżnia w nich części rzeczywiście odkarmiające (karma), rozdziela je następnie na plastyczne i służące do oddychania, przytacza rozbiory materyj używanych na pokarm, i następnie przechodzi do opisania szczegółów tego procesu. W ogóle rozdział ten ze wszystkich jest najlepiéj opracowany; żółcią tylko autor za mało się zajął i o cieple zwierzęcém nie więcéj powiedział nad to, co mówił o niém na właściwém miejscu.

Tyle o wewnętrznéj stronie dzieła p. Kryszki, powiedzmy teraz nieco o zewnętrznéj.

Wiek dzisiejszy, nietylko od utworów literatury pięknéj, lecz i od dzieł ściśle naukowych, wymaga oprócz treści, poprawnego języka i stylu. Największą pochwałą dzieł specyalnych, traktujących o ścisłych naukach jest bez zaprzeczenia to zdanie: „*dają się czytać tak lekko jak romans.*“ Do takich dzieł należą pisma Leonarda i Leopolda Buchа o geologii, Dumas'a i Liebiga o chemii, Cl. Bernarda o fizyologii i innych. Minął już czas, w którym wyłącznie tylko język łaciński był językiem naukowym, dzisiaj języki żyjące zajęły jego miejsce. Języki narodów zachodnich nagięły się już dzisiaj do potrzeb nauki, bez uciekania się o pomoc do obcych narzeczy: są one w stanie wyrazić wszelką myśl i odpowiedzieć najzupełniéj obecnemu stanowisku nauki. Nasz język równie giętki i bogaty jak zachodnie, najzupełniéj odpowiada wymaganiom nauki, i jeszcze tę ma wyższość nad językami zachodniemi, że należąc do innéj familii nie może wprost przerabiać, jak to one czynią, wyrazów łacińskich na swoje, lecz musi, w razie potrzeby, stwarzać własne, przez co ma zapewniony ciągły wzrost i postęp. Od zewnętrznéj strony dzieł specyalnych naukowych wymagamy poprawności wyrazów technicznych (nomenklatury) i języka.

Pan Kryszka oświadcza w przedmowie, że chcąc być powszechnie rozumianym, będzie używał wyrazów jak najbardziéj rozpowszechnionych, i dlatego właśnie zatrzymuje następne wy-

razy: *kwasoród*, *wodoród*, *saletroród*. Gdyby wszyscy podobnie postępowali jak p. Kryszka, natenczas język naukowy, pomimo szybkiego posuwania się naprzód nauki, byłby ciągle jednaki. W miarę postępu nauki musi się kształcić i postępować i język naukowy.

Wyrazy składające mowę ludzką, tworzyły się wedle pewnych stałych rozumowych prawideł, a nie według prostego *widzimisię* czyjegokolwiek. Przedmioty, z któremi lud miał do czynienia, nazwał je rozumowo i odpowiednio, te zaś z któremi on nie miał do czynienia, nazwijmyż my podobnie jak on odpowiednio i rozumowo. Kwasoród, wodoród, saletroród źle malują rzeczone pierwiastki, nadając im własności, których nie posiadają. Siarka, złoto, żelazo, bynajmniéj nie określają własności tych pierwiastków, i dlatego są dobre. Projekt słownictwa chemicznego, ułożony przez dwunastu uczonych warszawskich, pojął błędność tych nazw, i zamiast nich, podał nowe, mianowicie *tlen*, *wodór*, *azot*, które nie określając wprost żadnéj z własności tych pierwiastków, zbliżają się do wyrazów przez lud tworzonych, które są najlepszemi. Pan Kryszka wypowiedziawszy swe bardzo słuszne zdanie, przeciw nowo pozakładanym u nas warsztatom wyrazów technicznych, tak daléj mówi: „Nie wchodząc tedy w domowe okoliczności kwasorodu, wodorodu i saletrorodu, pozostawiłem im tytuł rodzicielstwa, chociażby dla pamięci Śniadeckiego (1).“ Od czasów Śniadeckiego wiele już lat upłynęło, nauka postąpiła olbrzymim krokiem, potrzeba więc przekształcenia języka przez niego używanego stała się nieodzowną. Za nadto wiele zrobił Śniadecki na polu narodowego oświecenia i literatury, aby pamięć o nim trzeba było zachowywać, w używaniu wyrazów przez niego do nauki wprowadzonych; zresztą dzisiejsze słownictwo chemiczne opiéra się na zasadach podanych przez niego. Podobne naśladowanie ciągle jednego człowieka, przypomina zwyczaje Chińczyków, którzy dotąd jeszcze wciąż naśladują i komentują Konfucyusza, nie starając się wcale utworzyć co nowego. Bardzo wdzięczni jesteśmy p. Kryszce za wprowadzenie do nauki wyrazu *karma*, na oznaczenie części istotnie pożywnéj w pokarmach. Lecz żadnym sposobem nie możemy zgodzić się na oznaczenie własności jakiegokolwiek pierwiastku, łączenia się z innym i roznoszenia go przez to następnie po całym organizmie, wyrazem *przewoźnik np. „Soda jest przewoźnikiem kwasu węglanego,*

(1) Przedmowa. Str. V.

kulki krwi są przewoźnikiem kwasorodu.“ Nowo utworzone przez autora przymiotniki i przysłówki; *nieunikalny, oddychalny, nieunikalnie, niezaprzeczalnie*, nie zdają się być zgodne z duchem języka. Słowo *umnożyć*, używane przez autora, nie wchodzi w skład wyrazów języka polskiego; wyraz *ustrój* również nie jest właściwy naszemu językowi. Pan Kryszka używa wyrazów *nadskórek, nadbłonnik*, zamiast *naskórek, nabłonek*, przecież one na skórze, na błonie, a nie nad niemi leżą. Z powodu trzymania się słownictwa Śniadeckiego, które już dzisiaj nie odpowiada wymaganiom nauki, p. Kryszka używa: *ukwaszony* zamiast utleniony, *niedokwas* zamiast *tlenek, siarczyk* zamiast *siarek, saletrorodny* zamiast *azotowy, occian* zamiast *octan* i t. d.

Styl p. Kryszki jest ciężki, męczący nadzwyczaj uwagę czytelnika, i w wielu miejscach za bardzo ucinkowy. Język pełen grammatycznych błędów i niewłaściwych wyrażeń dziełu traktującemu poważnie o nauce. I tak na str. 46. autor tak mówi o kwasach azotowych: „Krokiem tym są kwasy saletrorodne stowarzyszone; przez nie cała chemiczna podstawa mogłaby runąć, ale cierpliwości, bo najczęściéj nie znamy towarzyszów i ich własności, jakkolwiek *oni* łatwo w znane nam alkaloidy przechodzić *zwykli*.“ Imiona rzeczowne ludzkie męzkie, w liczbie mnogiéj zachowują rodzaj męzki, wszystkie zaś inne rzeczowniki rodzaju męzkiego, w liczbie mnogiéj są rodzaju nijakiego; *towarzysz*, w przytoczoném zdaniu, nie jest wcale rzeczownikiem ludzkim, lecz służy za nazwę dla rzeczy martwéj, a zatém powinien się odmieniać podług prawideł odmiany rzeczowników nieludzkich rodzaju męzkiego. Więc nie „*oni łatwo w znane nam alkaloidy przechodzić zwykli*,“ lecz należało powiedzieć: „*one łatwo w znane nam alkaloidy przechodzić zwykły*.“ Bardzo być może, że ktoś zarzuci nam złą chęć, z powodu powyższéj uwagi naszéj, lecz tak nie jest. Przytoczone przez nas wyrażenie, znajduje się rzeczywiście w dziele p. Kryszki i bynajmniéj na karb omyłek zecera policzoném być nie może. Powszechne lekceważenie, przez największą część dzisiejszych autorów, praw i ducha języka wkłada na nas święty obowiązek, głośno i bez żadnych wahań, podobne błędy wytykać. Na str. 82 autor następującém zdaniem zbija mniemanie Orfila o bytności arszeniku w kościach: „Arszenik wchodzi w skład kości, błędnie mniemał Orfila.“ Podobne wyrażenie jak to, które znajdujemy na str. 98. nie powinno mieć miejsca w dziele poważném. Jest ono następujące: „Przechodząc jednakże od polycholii aż do melancholii, żółć jest najniewinniej-

szą, bo to nie żaden czynnik ale wyrób tylko, nie przyczyna ale raczéj uboczny skutek, dla żółtości swéj i goryczy nader dowolnie obwiniany, *właśnie jak gdybyśmy w miejscu złodzieja rzecz skradzioną potępiać chcieli.*" Następne wyrażenie na str. 114 „Odchody stolcowe chemicznie poszukiwać jest arcy nieprzyjemne i zmudne zatrudnienie, co w samym już Berzeliusie niezadowolnienie obudzało" nie jest właściwe poważnemu dziełu. Następujące wyjątki dają próbkę stylu p. Kryszki:

Na str. 85 „Jak grad latają dyatezy Hemie lub Urie zwane, zaledwie je kto pochwycić zdoła, a one już stopniały, przeszły do *historyi*, zniknęły z praktyki, bo pogrzebane na cmentarzach, jeżeli je sprawdzić poważono się. Frerichsa uremią, wzniesioną na zaczynie we krwi przez Schmidta napomknionym, zwalił ostatecznie Zimmermann. Freyowi podobało się wyprowadzić z rozdziału pokarmów przez Liebiga na karmiące i oddychaniu służące, że tran zabierając wiele kwasorodu w płucach przenosi używających go, jakby w sztuczną stajenną atmosferę. Piérwszy za życia doczeka się zapomnienia, o drugim nawet od początku pamiętać nie warto."

Na str. 209: „Włos oto rodzi się zdrowym i dopiéro po wyrośnięciu rozpada się i psuje. Daléj proszę mi powiedzieć kogo zwinięty kołtun z poprzednich cierpień wyleczył? czy Polacy goląc dawniéj głowy zdrowiem i siłą ustępowali dzisiejszemu pokoleniu, od dzieciństwa do owych obmierzłych bisiorow przyzwyczajonemu, a za lada wietrzykiem na tysiączne zniewieściałego ciała dolegliwości zapadającemu. Przeciwnie gdyby tego była potrzeba pokazałbym, że obciąwszy niepotrzebne kłęby zlepionych włosów, najczęściéj za gniazdo robactwu służące, z innego stanowiska rzeczy biorąc, chorych i z dolegliwości i z przesądu ostatecznie wyleczyłem."

Na str. 253 autor mówi: „Liebig i francuzcy szperacze." Wyraz szperacz dzisiaj ma znaczenie śmieszne, w potocznéj mowie może być jeszcze użyty, lecz nigdy w języku poważnym, naukowym. O dziele p. Kryszki można wyrzec słusznie to, co wyrzekł prof. Onacewicz nie zupełnie sprawiedliwie, o dziełach ojca naszéj historyi, „*Szkoda że nie jest na język polski przełożone.*"

Wypowiedzieliśmy zdanie nasze o dziele p. Kryszki, w celu wykazania rzeczywistéj jego wartości. Na sąd nasz nie wpływały żadne zewnętrzne okoliczności. Bez najmniejszych uprzedzeń, z jak największą bezstronnością i z zamiarem li tylko wykazania prawdy, wzięliśmy się do rozbioru rzeczonego dzieła. Może zarzucą

nam, że zapóźno przedsięwzięliśmy rozbiór dzieła, liczącego już lat kilka swego istnienia. Na to odpowiemy, że stanowisko, jakieby to dzieło zająć mogło z powodu założenia w kraju naszym szkoły lekarskiéj, głównie nas do tego zmusiło.

P. Kryszka należy do szczupłéj liczby w naszym kraju lekarzy, zajmujących się naukową medycyną; słusznie przeto możemy po nim wymagać wzbogacenia ojczystéj literatury, gruntownemi dziełami lekarskiemi. Niech p. Kryszka wtajemniczy się w dzieła złotego wieku naszego piśmiennictwa, a znajdzie w nich obfity materyał dla utworzenia prawdziwie polskiego języka naukowego; niech następnie z większą ścisłością i z przejęciem się *ważnością przedmiotu*, weźmie się do opracowywania rozmaitych gałęzi swéj sztuki, a z pewnością odda znnkomite usługi krajowéj medycynie, zasłuży na wdzięczność wzrastającego obecnie młodego pokolenia lekarzy i na wdzięczność ziomków, która jest większą nagrodą, od wszelkich premiów, tak hojnie dzisiaj rozrzucanych przez rozmaite instytucye i towarzystwa.

Adolf Pieńkowski.

ROZMAITOŚCI.

KONRAD WALLENROD.

Słowa Adama Mickiewicza, muzyka Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego.

Kompozytor nasz Ignacy Dobrzyński, przedsięwziął olbrzymią pracę napisania muzyki do *Konrada Wallenroda* Mickiewicza. Pomysł to szczęśliwy, lubo przedstawiający dla kompozytora niezmiernie wiele trudności, tak ze względu na obszerność poematu nie dającą się z łatwością ująć w formę odpowiednią na przedstawienie go w muzyce, jako też z powodu wysokiego nastroju uczuć i dramatyczności akcyj w nim się zawierających. Jeżeli nie jeden z kompozytorów wpadłszy na podobną myśl, porzuciłby ją prędzéj jeszcze, aniżeli mu ona przyszła do głowy, przestraszony zuchwałością przedsięwzięcia: Dobrzyński ukształcony i doświadczony artysta, powziąwszy ją, nie opuścił jéj, aż duchowym intelligencyi wzrokiem, nie rozpatrzył się w niéj, nie zbadał i nie zważył gruntownie, czyli do wspaniałego owego poematu, podobna jest muzykę napisać, czyli własne twórczego talentu zasoby, wystarczą mu na godne wywiązanie się z tak zuchwałego zamiaru.

W początkach zaraz powstania téj moralnéj w łonie kompozytora, a nie znanéj nikomu pracy, nie mając jeszcze stanowczo zakréślonego planu co do całości i formy dzieła, jakby tylko na próbę sił własnych, ułożył muzykę do tekstu:

Z Maryenburskiéj wieży zadzwoniono,
Z obradnéj sali idą do kaplicy:
Najpiérwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha
I śpiewa hymny do Świętego Ducha.

I na koncercie swoim, dnia 19 czerwca 1859 roku danym w salach redutowych, wykonał. Jest to ustęp w formie marsza, rozpoczynający się odgłosem dzwonów, w pośród którego kiedy niekiedy huk armat daje się słyszeć, jakby wzywający mnichów-rycerzy na walną, stanowczą w wielkich okolicznościach naradę. Dźwięki instrumentów metalowych robią na słuchaczach dziwne, a uroczyste wrażenie: zdaje się, że chrzęst zbroi, że odbijające się o sklepienia zamczyska ciężkie stąpania Krzyżaków, uobecniają się i uplastyczniają w umyśle zajętém baczną rozwagą téj deklamacyi orkiestrowéj. Ponury deseń melodyjny w trzeciej części tego marsza powierzony wiolonczellom, rozlewa jakiś głęboki urok smutku, jak gdyby ciężar ślubów zakonnych gniótł duszę pragnącą swobody myśli i czynu i za takowemi tęskniącą.

Publiczność z niezmiernem zajęciem przysłuchiwała się téj wspaniałéj kompozycyi; wrażenie, jakiego doznała było głębokie: znawcy zaś sądząc po owéj pierwszéj próbie, korzystne powzięli przekonanie o możliwości urzeczywistnienia tego olbrzymiego zamiaru. Dobrzyński widząc, że dzieło jego dobrze zrozumiane i przyjęte zostało, z zapałem wziął się do dalszéj pracy; ale w saméj naturze tekstu, silne zaraz znalazł przeszkody. Przejęty czcią dla utworu wielkiego poety, słusznie uwielbianego przez naród cały, pojął jak straszną ściągnąłby na siebie odpowiedzialność, gdyby się poważył samowolnie przerabiać go dla swoich muzykalnych widoków; a jednakże bez usunięcia licznych opisowych ustępów, albo znacznego skrócenia innych nawet dyalogowych, niepodobna było przystępować do podobnego przedsięwzięcia. W tém właśnie leżała najważniejsza przeszkoda paraliżująca w samym początku gorące chęci Dobrzyńskiego; ażeby rozwinąć ów węzeł gordyjski, nie pozostawało mu nic innego, jak udać się po radę do ludzi światłych, uczonych, w rzeczach literatury narodowéj posiadających znakomite poważanie, a wyłożywszy im swoje kompozytorskie plany, z ich zdań i uwag, osiągnąć duchowy pożytek. Jakoż wkrótce w mieszkaniu kompozytora, zebrał się komitet złożony z Wójcickiego, Kaszewskiego, Krajewskiego i J. Królikowskiego (artysty dramatycznego), a po stosownych z Dobrzyńskim naradach, po sumiennem i troskliwém rozpatrzeniu poematu, celem zastosowania go do warunków koniecznych w sferach muzykalności, wziąwszy do serca sprawę mogącą miéć ze względu na uznany od powszechności talent kompozytora, ważne bardzo w dziedzinie sztuki naszéj ojczystéj znaczenie, wypracowali plan, który tutaj uwadze czytelników zaraz przedstawimy, w przekonaniu, że z niego powezmą pojęcie o treści i formie całego dzieła.

Libretto *Wallenroda* składać się będzie z 15 numerów podzielonych na trzy części:

CZĘŚĆ I.

Nr 1. Obiór i pochód Krzyżaków do Świątyni.

Jest to właśnie ten ustęp, o jakim wyżéj już wspominaliśmy, napisany na samą orkiestrę, a stanowiący uwerturę do owego muzykalnego poematu. Po nim zaraz idzie:

Nr 2. Hymn do Ducha Świętego.

(*Chór.*)

„Duchu światło Boże!
Gołąbku Syonu i t. d."

Ponieważ to wszystko, co po Hymnie następuje, jako opowiadanie poety może być bez skaleczenia całości opuszczoném, więc kompozytor przystępuje odrazu do miejsca, w którém akcya się rozpoczyna, poprzedziwszy tę zmianę sytuacyi stosowną przegrywką orkiestrową:

Nr 3. Recitatiwo Aldony, Halbana i chór Krzyżaków.

ALDONA.

Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki.
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał?
Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie:
Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało,
Jeszczeby w twojéj duszy pozostało
Wiele dawnego: wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie.

HALBAN.

Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,
Konrad, dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
Słowo rycerskie: na jutrzejszéj radzie
On mistrzem naszym!

CHÓR KRZYŻAKÓW.

Zgoda, zgoda, zgoda!
Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje zakon! niech pogaństwo zginie!

Nr 4. Halban.

(Pieśń o Wilii, w całości).

Wilia, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica i t. d.

Nr 5. Deklamacya i Pieśń z Wieży.

Ustęp ten rozpoczynający w poemacie rozdział III, chociaż jest tylko opowiadaniem, z powodu jednakże związku, jaki

ma z *Pieśnią z Wieży*, zatrzymanym został w sposobie melodramatycznym (deklamacya na tle muzyki orkiestrowéj), aż do wiersza:

„Stary porządek wywraca opacznie."

poczém zaraz następuje *Pieśń z Wieży*, śpiewana w całości przez Aldonę.

Skoro ostatni wiersz ostatniéj strofy: „Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję," zadźwięczał w uszach słuchaczy, natychmiast Konrad się odzywa:

Nr 6. Recitatiwo Wallenroda, deklamacya i arya.

KONRAD.

Gdzież jestem?—tu słychać nadzieję?
Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście;
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwéj żądano w zamęście...
i t. d. aż do głosu

z *Wieży*.

Nr 7. Duet Aldony i Konrada.

Ustęp niniejszy, ze względu na głębokie i namiętne uczucie, lubo wpadające niekiedy w sentymentalną sielankowość, byłby nadzwyczaj wdzięcznym dla muzyki, ale środki techniczne téj sztuki, nie są w stanie rozmiarem formy muzycznéj sprostać liczbie wierszy. Zbyt wiele strun serca tu jest poruszonych, zbyt wiele słów na ich wypowiedzenie użyto, ażeby je melodyą wyrazić, ażeby głosy ludzkie były w stanie takowe w sposób zadowalniający wytłumaczyć. Dobrzyński zrazu chciał zrobić z tego duet na sopran i tenor; należało więc poczynić liczne skrócenia, a zatém znacznie osłabić piękność samego poematu. Ale komitet rozpatrzywszy się w nim uważnie, osądził, iż tego uczynić nie można i poradził kompozytorowi całą tę sytuacyą wyrazić li tylko muzyką instrumentalną, czyli w orkiestrze. Biorąc rzecz ze stanowiska czysto muzykalnego, zdaje nam się, iż pomimo mistrzowskiego nawet opracowania niniejszego ustępu, cel będzie chybiony; bo jeżeli głosy ludzkie, a z niemi słowa poety, oddające dosadnie treść poematu żywém słowem, zupełnie tutaj odsuniemy, jak wyrazić rozmowę Aldony z Konradem? które z instrumentów orkiestrowych są w stanie miejsce ich zastąpić? Skrzypce i wiolonczella? przy najzręczniejszém ich użyciu, będzie to tylko urywek charakteru koncertowego, blado i niedokładnie malujący ową potęgę uczuć ludzkich, targanych naprzemian wspomnieniami lat dziecinnych, wspomnieniami ukochanego kraju i gwałtowną namiętnością nieszczęśliwéj miłości. W miejscu tem, radzimy kompozytorowi, zanim przystąpi do układania muzyki, ażeby się dobrze namyślił: niech raczéj odrzuci wiersze mające pośredni tyl-

ko związek w rozmowie dwojga kochanków, a zachowa jedynie te, które są nieodzownem ogniwem ich psychologicznej treści; albo niech cały ten ustęp składający się z 164 wierszy, zachowa w deklamacyi i niechaj ją wesprze i spotęguje muzyką, sposobem melodramatycznym ułożoną. Lecz ponieważ po téj rozmowie następuje znów opowiadanie poety, jakie Dobrzyński za poradą komitetu chciał w osobnym numerze niby melodram przeprowadzić, a jakie zdaniem naszém zbyteczne jest, bo jeżeli całe to dzieło przeznaczone na scenę, więc akcya artysty, przedstawiającego Konrada, wyrazi to wszystko bez opowiadania, albo jeżeli to ma być symfonia w salach koncertowych wykonywana, to tém mniéj ów ustęp potrzebny, którego tu w całości czytelnikom przedstawiamy.

Nr 8. Deklamacya melodramatyczna.

(*Halban zapewne*).

„Umilknął, z wieży słychać tylko jęki;
W milczeniu długie przeciekły godziny.
Noc rozrzedniała i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichéj wody.
Pomiędzy liściem drzemiącéj krzewiny
Ze szmerem ranne powiewają chłody,
Ptaszęta cichém ozwały się pieniem,
Umilkły znowu, i długiém milczeniem
Znać dają, że się zbudziły zawcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę poglądał boleśnie;
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spojrzał; już ranek: opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrot pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika."

Rozrzedzająca się noc, promienie wschodzącej jutrzenki, szmer liści, pienia rozbudzonych ptasząt, którym słowik przewodzi: oto właśnie przedmiot dla muzyki instrumentalnéj niesłychanie bogaty i łatwy do uplastycznienia, lecz zarazem nużący zbytecznie uwagę słuchaczy obciążoną już wysłuchaniem siedmiu po sobie bez przerwy następujących numerów. Nam się zdaje, że można go wyrzucić albo przynajmniej ograniczyć do szczupłéj o ile być może przegrywki orkiestrowéj, kończącéj tym niby sielankowym obrazem, poprzedni wielki duet Aldony z Konradem. Wybierając pomiędzy 7 i 8 numerem, ostatni stosowniejszym się pokazuje dla opracowania czysto instrumentalnego, nigdy zaś *głos z wieży*, z natury swojéj na dyalog prze-

znaczony i będący jednym z najważniejszych ustępów *Wallenroda*.

CZĘŚĆ II.

Nr 9. Uczta.

Jak pierwszą część, tak i drugą rozpoczyna sama orkiestra: tam marszem Krzyżaków, tutaj ich ucztą; w końcu:

KONRAD.

Innego chcę barda,
Zakonnik— rycerz innéj chcę piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak halas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pijany.
Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie, taka piosnka nasza:
Kto ją zaśpiewa? kto?

WAJDELOTA.

Ja!

Nr 10. Pieśń Wajdeloty.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jéj przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć
i t. d. aż do miejsca:
Ty czasem dzierżysz i broń archaniola.

Później wypuszcza się wierszy czterdzieści sześć i znów Wajdelota ciągnie swą pieśń:

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości, gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiewam: uczcie się Litwini!

Otóż teraz następuje *Powieść*; Wajdelota deklamuje albo raczéj czyta bez muzyki, gdyż niepodobieństwem jest do tak obszernego ustępu muzykę wprowadzać; gdyby i tu dało się wycisnąć treść tylko samego poematu, wówczas możnaby ułożyć go melodramatycznie: cały utwór zyskałby na tem wielce i nie utrącałby charakteru czysto lirycznego, w jakim zostać powinien. Czytanie, chociażby wykonane w sposób nic do życzenia niepozostawiający, dziwnie i ubogo wśród symfonii wydać się musi, gdy nie jest, a chociażby było nawet podparte dźwiękami harmonii. Potrzeba koniecznie pomyśléć nad tém i spróbować, czy nie znajdzie się jaki środek na liryczne przedstawienie téj *powieści*. Naszém zdaniem, ściśle biorąc rzeczy, *powieść* ta może być zupełnie wyrzuconą; Wajdelota mógłby poprzestać na wierszu *pieśni*: „Jak ich przodkowie niegdyś całe życie," opuścić ostatnie cztery wiersze i zaraz:

Nr 11. Konrad.

Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj,
Albo daj lutnię; czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

(Wyrywa lutnię Wajdelocie), śpiéwa balladę:

ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady
i t. d. aż do końca.

Na téj balladzie kończy się część II.

CZĘŚĆ III.

Nr 12. Wojna.

Cały ten numer powierzony jest orkiestrze; onato ma w formie ustępu symfonicznego zgrozę wojny odmalować, poczém następuje:

Nr 13. Oskarżenie.

Recitativo i Chór.

(Jeden z dwunastu zamaskowanych sędziów).

Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem i t. d.

aż do miejsca:

Sędziowie! ja na mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, berezyę, zdradę.

Nr 14. Pożegnanie.

Dla tych samych powodów co w numerze 7, ustęp ten przeznacza kompozytor samej tylko orkiestrze. Wyłożyliśmy już przyczyny, dla których niepochwalamy tego sposobu układania muzyki w miejscu, gdzie poeta użył formy dyalogowéj. *Pożegnanie* pomiędzy Aldoną i Alfem czyli Konradem, jest ustępem niezmiernie lirycznym, składającym się wprawdzie ze 180 wierszy w poemacie, ależ dającym się łatwiéj jeszcze niż poprzedni zastosować pod muzykę, jeżeli pewną liczbę mniéj potrzebnych wierszy się wypuści. Sytuacya numeru 14-go podobna jest nieco do sławnego duetu w czwartym akcie *Hugonotów*; nie mamy konieczności zapewniać, że jeżeli kompozytor wniknie głęboko w myśl wieszcza, który ją nieśmiertelném piórem nakreślił, znajdzie w natchnieniu swojém pomysły, godnie w dźwiękach harmonii je wyrażające.

Najwyższego dramatycznego efektu będzie niechybnie ustęp ostatni, czyli:

Nr 15. Konrad, Halban, chór Krzyżaków.

KONRAD.

Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów, wierny sługo;
Pójdę ku wieży, bywaj zdrów na długo,
Może na wieki: posłuchaj Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę: opuść to mieszkanie.
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić;
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć
W godzinę skonu, prócz jéj i prócz ciebie.
Bądź zdrów, Halbanie, ona będzie wiedzieć,
Ty rzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóżto? słyszysz? w bramę kołatano.
Kto idzie?

CHÓR.

Biada, biada, biada!

KONRAD.

Starcze! rozumiesz co ten łoskot znaczy?
I czegóż myślisz? masz nalaną czaszę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze.

HALBAN.

Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu!
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć, ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;

Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości
Z téj pieśni wstanie mściciel naszych kości.

(Krzyżacy wchodzą).

CHÓR.

Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu;
Oto jest starzec, kapelan zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.

KONRAD.

Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów,
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady.
Ja to sprawiłem, jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson, jedném wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem.

Oto jest obraz treści *Wallenroda*, do któréj Dobrzyński podjął się muzykę napisać.

Przedstawiwszy uwadze czytelników cały plan dzieła, zdaje nam się, że powezmą już mniéj więcéj dokładne o całości jego wyobrażenie. Jak widzimy z numerów 7, 10 i 14, sprawa ta wymaga jeszcze zastanowienia, nim ostatecznie rozstrzygniętą zostanie. Teraz zachodzi pytanie mające ścisły związek z niemi: czy kompozytor myśli pracę swoją na scenę więc w formę teatralno-dramatyczną ją odziać, czy tylko jako *symfonią* albo *kantatę* przedstawić? W jednym i drugim przypadku, zmiany tekstu są konieczne i nieuniknione, jeżeli właściwy rezultat ma je uwieńczyć. Kto oswojony jest z warunkami sceniczności, ten pojmie z treści powyżéj przytoczonéj, jak nie wiele zmian potrzeba będzie w nim poczynić, a o ile potężniejszy efekt się wydobędzie z całéj téj muzykalnéj pracy. Wprawdzie, kompozytor obaczy się w szrankach znacznie do swobodnego polotu natchnienia ścieśnionych, ale téż stokrotnie więcéj zasobami sceniczności posiłkowanym zostanie. W drugim przypadku wolniejsze ma pole działania, fantazyi muzykalnéj szersze koło ma sobie zostawione, lecz zamknięte w granicach sali koncertowéj. Na scenie dekoracye, kostiumy, akcya śpiewaków, w pewnym stopniu może się obejść bez tekstu objaśniającego, ułatwić zrozumienie danéj w dramacie chwili; żywe słowo poparte owemi teatralnemi czynnikami, silniéj do duszy słuchaczy wniknąć,

nawet samą muzykę snadniéj zrozumiałą uczynić może. Na estradzie zaś koncertowéj, ogołoconéj z tych wszystkich scenicznych akcessoryów, ona sama tylko wspiérać i objaśniać tekst musi dźwiękami harmonii, deseniem melodyi zastępując wszystkich innych w wystawie dramatycznéj pośredników. Dla tych więc powodów, możeby lepiéj było nadać *Wallenrodowi* formę teatralną? W każdym jednakże razie, kompozytor chociażby do symfonicznéj stanowczo się przechylił, powinien o ile możności pamiętać o scenie. Znakomity utwór Felicyana Dawida *Pustynia*, jako *Odo-symfonia*, za granicą zwykle w salach koncertowych niegdyś przedstawiana, u nas wystawioną była na scenie, a ci, co mieli sposobność widzieć ją tak podwójnie wykonaną, naszemu sposobowi przedstawienia pierwszeństwo oddają, bo efekt dzieła nierównie świetniejszy i na słuchaczach potężniejsze czyniący wrażenie.

Na utwór takich rozmiarów, jak *Wallenrod* naprzykład, kompozytor w ciągu najdłuższego nawet swego zawodu, nie często zdobyć się może; więc jeżeli sumiennie do tak olbrzymiéj i trudnéj pracy się zabiéra, niechże wprzód na drodze rozumowania wyczerpie kwestyą wszechstronnie; zupełna świadomość celu do którego się z pewném postanowieniem dąży, ułatwia niesłychanie i oświeca drogi, po jakich w dziedzinie sztuki kroczyć mu przyjdzie; półśrodkami nikt wielkich rzeczy nie dokona.

Na 15 numerów w ten sposób przez komitet dla Dobrzyńskiego do całości dzieła wybranych, 9 jest już muzycznie opracowanych; z tych nr 1 czyli Marsz Krzyżaków zupełnie wykończony, kompozytor dał nam poznać na zeszłorocznym swoim koncercie; dwa inne czyli Chór Krzyżaków należący do numeru 2-go, a w części i do 3-go, tudzież *Pieśń Wajdeloty* numer 10, w dniu 13 stycznia b. r. w poufném zgromadzeniu artystyczno-literackiém wykonał. Ze względu na szerokość i piękność stylu, oraz głębokość pomysłów muzycznych, należą one bez zaprzeczenia do najwspanialszych utworów, jakiemi sztuka nasza muzyczna w tych czasach pochlubić się może. Jest w nich siła deklamacyi i uczucia, posunięta do granic nie zwykłych; szczególniéj w chórze poczynającym się od słów:

„Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon; niech pogaństwo zginie!"

prowadzenie męzkich głosów w rozmaitych modulacyach tonacyi Des *(twardej)*, zdumiewające i porywająco jest. Rzewność znów melodyi w *pieśni Wajdeloty*, mianowicie w miejscu:

„O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła"....

zachwyca wdziękiem swoim. Troschel artysta opery, oddał ją z nieporównaną siłą deklamacyi i umiejętném władaniem głosu zaszczyt mu przynoszącém. Staranność wykonania, lubo tylko

z towarzyszeniem fortepianu i podwójnego kwartetu smyczkowego, pod przewodnictwem samego kompozytora, była wzorowa, a chociaż ustępy te przedstawione tak szczupłemi środkami, więc wydające się jako sztych zdjęty z olejnego obrazu, przecież wrażenie wywołały głębokie, bo w sercu każdego z słuchaczy, potęga słów największego z naszych poetów, ozdobiona szatą wzniosłego muzycznego natchnienia, w całéj swéj idealnéj piękności ukazała się na piedestale sztuki. Jeżeli inne ustępy podobne będą do tych, o których mowa, Dobrzyński nie tylko w oczach rodaków, ale w oczach całego świata muzykalnego, okryje się chwałą, odpowiednią wysokiéj jego w sztuce zasłudze.

Maurycy Karasowski.

Dorota kasztelanowa Czechowska.

Hojny wydawca, któremu winniśmy „Lites", „Tomiciana", „Dzieje Unii", nieraz utyskuje, że spółczesne pokolenie skłonniejsze jest do pisania, niżeli do czytania, skorsze do wywnętrzenia się, niżeli do ślęczenia i poważnego poświęcenia się wielkiéj sprawie nauki. Mimowolnie przyszło na pamięć twierdzenie weterana naszych lubowników przeszłości, gdyśmy przepatrywali w ostatnich zeszytach Bibl. Warsz. artykuł p. t: „Kobieta". Jakkolwiek z sądem o téj pracy należy się wstrzymać aż do całkowitego jéj ogłoszenia, chcemy wszakże zwrócić uwagę na dwa ustępy korrespondencyi do zacnego redaktora B. W., w któréj skreślając plan zamierzonéj pracy sz. autor między innemi powiada, że Jadwiga *„dopiéro jest pierwszym wzorem chrześciańsko rycerskiéj kobiety, od niéj dopiero zaczyna się u nas prawdziwa cześć i dobra dola niewiasty"*. Czyżto nasze dzieje rozpoczynają się od dnia ogłoszenia dzieła: „Jadwiga i Jagiełło", dzieła znakomitego, ale wydanego dopiéro w r. 1850? Możnaż zapomnieć o Judycie, tak śmiało, zręcznie, zgodnie z powołaniem kobiety i z oklaskiem narodu miarkującéj potężny umysł Bolesława? pominąć Salomeę, Jadwigę szlązką, Kunegundę nareszcie, o któréj lud w Sandeckiém przechował taką żywą pamięć i takie uwielbienie, oddźwięk uwielbienia dawnych pokoleń, a o któréj Kunegundzie z XV w. dziejopisarz, nieraz nader surowy, wyrzekł tę wzniosłą pochwałę: *„nil praeter coelestia desideravit"*. W drugim ustępie zaprzeczając zepsuciu zwyczajów kobiét XVI wieku (z czem się bezwzględnie zgadzamy, ponieważ pojedyncze przeciw temu twierdzeniu przykłady za podstawę do ogólnych zarysów służyć nie mogą), autor powiada: *„Jakoż prócz jakiéjś niesprawdzonéj bajki o Dorocie Tęczyńskiéj*

i t. d. nic więcéj nie mogę znaléźć". W następującym akcie zachowała się pamięć ciemnego dramatu z życia domowego, w którym kobieta odgrywa straszną rolę mężobójczyni: „Konrad z Bożéj łaski książę mazowiecki, ruski etc. (1). Urodzony wierny nam i mily! Otrzymawszy wczora pismo Króla Jegomości Polskiego, jako (tenże) na sejmie walnym świeżo odprawionym w Piotrkowie za jednozgodną wolą prałatów i czestników wszystkich ziem Królestwa wywołał onę złą białogłowę Dorotę, która zabiła prawego swojego małżonka wielmożnego niegdyś Jakóba kasztelana Czechowskiego i wyrok takowy ogłosić polecił: my przeto pod zachowaniem laski naszéj za wspólną zgodą prałatów i czestników naszych zebranych z nami na zjeździe w Nowém Mieście polecamy tobie, abyś za pośrednictwem woźnego przez trzy dni jarmarczne, czyli przez wszystkie dni targowe w roku rozkazał głosić na wszystkich rogach rynku, aby żaden człowiek z naszych ziem Mazowsza, onéj złéj niewiasty w domu albo posiadłościach swoich przechowywać nie śmiał, pod utratą gardła i mienia. Nie ważąc się postąpić wbrew niniejszemu pod zachowaniem laski naszéj. Dan na zjeździe w Nowém Mieście w poniedziałek ś. Maurycego, roku Pańskiego 1467."

J. T. L.

(1) „Conrad. Dei gra. dux Mazoviae, Russiaeq. etc. Gnose noster fidelis dilect. quia scripta pridie domii. Regis Poloniae habuim. quo in Convencon. gnali. in Pyotrkow nupime. celebrata unanimi voluntate cum Prelat. et Baronib. suis de omnibu. terris Regni ipm. illam malam femam. Dorotheam, quae interfecit olim Magnificum Jacobum Castem. Czechowien. virum suum legittm. praescribi fecit et proclamari demandavit. Qtus. ec. nos tibi mandam. sub obtentu gre. no. una voluntate concordati cum Prelat. et Baronib. nris. in Convencon. Novyemyesto nobiscum congregat. qtus. voce preconica per tres dies forenses aut per oms. dies fori annual. proclamar. facies in om. acie Circuli ut null. hom. in Terris nris Mazoviae, illam malam femam. svare. in suis domib. aut dominiis audeat sub perdicion. colli et Bonis ipius. Aliter face. non ausuri sub obtentu gratiae nostrae. Dat. in Convencon. Novemyesto f. secunda Sanctorum Militum Anno Dm. 1467. Akt. Ziems. Grod. Warszaw. 4. 1466—77. W Akt. Ziems. Krak. z r. 1518 zdarzyło się nam czytać następującéj treści sprawę: „1518. Valent. de Wronowo recognovit q. exns. servus infidelis olim Joannis Conarski de Conari et Coritho hres. cum lab. Andr a srvito. et Bartek ko. de eadem Koritho de mandato nob. Cathne. de Coritho uxor. eiusd. olim Conarski... import. ligns. et stramin. sub lectu balneu. s. domicul. ubi id. olim Joan. Conarski dormitu. hbuit. hostis clausis ead. domicul... igne combusrt... Valent. recognovit qd. fuit amator carnaltr. pdcte. Kather. Valent. et Barthek ligat. stram. prtav. ad instanc. Katlier."

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Kwiecień 1860 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. T. II, zeszyt 18, 19. T. III, zesz. 20. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 881—992, 993—1088, spisu rzeczy XVII, 112 *(Barcelonnette-Bełc)*, okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

Sz. X. Trzydniowe przysposobienie się do spowiedzi wielkanocnéj. Warszawa, 1860, druk KKs. Missonarzy, w 12ce, str. 62, kop. 15.

Złota książeczka czyli Nauka pokory prowadzącéj do doskonałości chrześciańskiéj. Przekład z francuzkiego. Warszawa, 1860, druk KKs. Missyonarzy, w 12ce, str. 64, kop. 15.

Głos wołającego: Drogi Twoje okaż mi Panie, a ścieżek Twoich naucz mnie (Ps. 24 v. 4), czyli Nowy układ nabożeństwa katolickiego na osnowie Pisma Św. jakotéż pism Ojców kościoła i najznakomitszych ascetów dopełniony. Przez ojca na pamiątkę dzieciom a dla pożytku wszystkich wiernych Chrystusowych. Warszawa, 1860, druk KKs. Missyonarzy, w 12ce, str. 704, rsr. 1.

M. B. C. Nowy i łatwy sposób nauczenia się w krótkim czasie po angielsku bez nauczyciela. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 8ce mniejsz., str. 92, k. 60.

Pik Jakób. O doborze i używaniu okularów i innych szkieł ocznych, z 26 drzeworytami. Warszawa, 1860, druk A. Gins, w 12ce, str. VIII, 47.

Sądownictwo w Królestwie Polskiem. Magistratury sądowe, ich skład i etat płacy. Dla użytku urzędowego w r. 1860. Warszawa, druk Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości, w 12ce, str. V i 112.

Wizerunki królów i książąt panujących w Polsce od Mieczysława I do Stanisława Augusta. Zebrane i rysowane według autentycznych źródeł

przez *Aleksandra Lessera*. 40 portretów w formacie zmniejszonym. Warszawa, 1860, nakł. A. Dzwonkowskiego i Spół., druk J. Jaworskiego, w 4ce, str. 19. Wizerunków 4: 1) Mieczysław. 2) Bolesław I Wielki-Chrobry. 3) Mieczysław II Gnuśny. 4) Kazimierz I Odnowiciel. Całe dzieło rs. 5, każdy zeszyt z 4 portr. kop. 60, każdy portret kop. 30, tekst bez portr. kop. 30.

Prawo cywilne obowiązujące w Królestwie Polskiem, wydał *Stanisław Zawadzki*. T. 1, zesz. IV. Prawo o małżeństwie, z r. 1806. ar. 34 do 249, oraz Kodeks Napoleona, w nowym przekładzie, ar. 1 do 140. Warszawa, 1860, nakł. wydawcy, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. od 289—384, okł. druk., każdy zeszyt kop. 30.

Małopolski M. ks. Kazania parafialne świąteczne. Warszawa, 1860, druk J. Tomaszewskiego, w 8ce, str. 325 i regestru 1, rs. 1.

Katalog czytelni polskiéj Michała Frühlinga. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 12ce, str. 86, kop. 7½.

Smoleniec Deodat ks. Paschalia chrześciańska, tojest: O kalendarzach chrześciańskich i obrachowaniu dnia wielkanocnego. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 386, III.

Wolf Emil. Przewodnik do rozbiorów chemicznych ciał ważnych w gospodarstwie, przetłumaczył *Tadeusz Kowalski*. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 96 i spisu rzeczy nieliczb. 2, k. 50.

Hlebicki-Józefowicz Zygmunt. Po naszemu, komedya w 2 aktach wierszem, nagrodzona akcessitem na konkursie w lutym 1860 roku, przedstawiona dwukrotnie przez amatorów na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa, 1860, nakł. i druk J. Ungra, w 12ce, str. 56, k. 30.

Elsenberg J. Droga wiary albo Przewodnik religijny dla młodzieży wyznania mojżeszowego. Czwarte poprawione wydanie. Warszawa, 1860, druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. 75.

Nauka praktyczna języka francuzkiego na sposób jak wszyscy uczą się rodowitego języka przez oglądanie i nazywanie przedmiotów, obejmująca 300 rycin i więcéj 20,000 fraz najwięcéj z dykcyonarza Akademii francuzkiéj czerpanych i w sposobie rozmów ułożonych (przez *Kulikiewicza*). Wychodzić będzie poszytami. Poszyt 1. Warszawa, 1860, nakł. drzeworytni J. Minheymera, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. II, 200, tablic VII, k. 50.

Rocznik urzędowy obejmujący spis naczelnych władz Cesarstwa oraz wszelkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1860. Warszawa, druk J. Jaworskiego, w 12ce, str. nieliczb. 19, liczb. 362, dodatku 49, XCIV, (Адресъ-Календарь или списокъ главныхъ властей Имперіи и всехъ властей и чиновниковъ Царства Польскаво на 1860 годъ. Г. Варшава, въ тип. И. Яворскаго), rs. 1 k. 30.

Nijoła, kantata mitologiczna, muzyka Stanisława Moniuszki. Warszawa, 1860, nakł. Instytutu muzycznego warszawskiego, druk J. Jaworskiego, w 12ce, str. 12, kop. 10.

Gliszczynski Michał. Rozmaitości naukowe i literackie. Tomik 6. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk K. Kowalewskiego, w 12ce, str. 142 zawiera: Antoni Muczkowski. Księga I kroniki Galla.

Czerniawski Karol. O tańcach narodowych z poglądem historycznym i estetycznym na tańce różnych narodów a w szczególności na tańce polskie. Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. przedmowy i spisu rzeczy nieliczb. 4, liczb. 119. W końcu dołączono: Muzyka do tańców polskich i do śpiewu, litogr. W. Otto, str. 15, rs. 1 k. 50.

Znakomitości tegoczesne. Zarysy zebrane z najnowszych źródeł. Napoleon III, Wiktor-Emmanuel, Lord Palmerston, Hrabia Cavour, Lord Derby, Humboldt, Marszałek Mac-Mahon, Lamoricière, Filangieri. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 12ce, str. 116 (przedruk z Kroniki wiadomości kraj. i zagr.), k. 35.

Русская азбука съ 120 роскрашенными картинами заключающая въ себѣ легкую методу ученія. Варшава (1860), иждивеніемъ литогр. Одессера, типогр. Цсурскаго, w 12ce, str. 48, k. 35.

Prokop ks. K. Miesiąc Maryi dla odprawiających to nabożeństwo ułożony a na szczególną cześć Niepokalanego Poczęcia Boga-Rodzicy ofiarowany. Wydanie 5 pomnożone. Warszawa. 1860, nakł. i własność KKs. Missyonarzy, w 12ce, str. 152, okł. druk. kop. 20.

Rozmyślania dla osób duchownych na uroczystości całego roku, w celu oświecenia się w obowiązkach swego stanu, oraz podania gruntownéj nauki ludowi chrześciańskiemu ułożone (przekład z łacińskiego). Część III. Warszawa, 1860, nakł. i druk KKs. Missyonarzy, w 8ce, str. 268, okł. druk. rs. 1.

Hirschfeld Ludwik i Korzeniowski Hipolit. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. T. IV. Neurologia i Aesthesiologia czyli Opis układu nerwowego i przyrządów zmysłowych człowieka wraz z uwagami fizyologicznemi przez *Ludwika Hirschfelda.* Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, zeszyt 1, str. IV, 62, k. 40.

Piosenki lirnika polskiego. T. 1. Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 8ce mniejsz., str. 96, kop. 30.

Neugebauer Ludwik Adolf. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. Dzieło ozdobione drzeworytami. T. 1. Zeszyt 5. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. od 273— 336, k. 30.

Podręczny spis chronologiczny panujących w Polsce od Mieczysława I do Stanisława Augusta (z wymienieniem ich żon, dzieci i t. p.). Warszawa. 1860, nakł. litografii A. Dzwonkowskiego i Spół., druk J. Ungra, w 8ce większ., str. 19 (taż sama broszurka dołączona jako tekst do wydania p. t.: Wizerunki królów i książąt panujących w Polsce etc.), k. 30.

Maryński Eustachy. Pomniki i mogiły Polaków na cmentarzach zagranicznych. Z 7 kolorowanemi rycinami. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 4ce, str. 56, okł. druk. rs. 2 k. 25.

Królowie polscy. Wizerunki zebrane i rysowane przez *Aleksandra Lessera*, objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza.* Warszawa, 1860, nakl. i litogr. A Pecq et Comp., druk J. Ungra, fol. zesz. 15, str. 6 i przedmowy 2 nieliczb. Tekst po polsku i po francuzku. (Wizerunków 4: Fryderyka Augusta króla saskiego księcia warszawskiego, NN. Cesarzy wszech Rossyi Królów polskich: Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II).

DZIEŁA ZBIOROWE.

Gwiazdka, przez Aleksandra Niewiarowskiego. T. I. Zeszyt VIII, str. od 213—242. Zesz. IX, str. od 243—272. T. II. Zesz. X, str. 30.

Księga świata etc. Zeszyt II, 1860, str. od 45—80, zawiera:

Zdarzenie nad jeziorem Brienz. Giserstwo, zecerstwo i preserstwo w ogólności. Jeleń i łanie kanadyjskie. Franciszek Rymkiewicz, Godebski, Liberadzki, p. *S.* Kobiéty na Wschodzie. Zwaliska miasta Arigentu w Sycylii. Cezary Kantu, p. *S.* Wspomnienie o Malicach. Turcy. Canova rzeźbiarz.

Rozrywki dla młodocianego wieku etc. Serya III. T. II. Część II, str. od 145—288 zawiera:

Miłościwe lato. Starościna Dobrzańska, p. *Al. z Ch. Borkowską* (dokoń.). Józef Paszkowski (dokoń.). Literatura polska: Czasy Jagiellońskie, czytanie czwarte. Rozmyślanie, p. *Władysława R.* Iwanko, powieść, p. *Leona Kunickiego* (dokoń.). Wspomnienia Anglii i Szkocyi, pani Bucher Stove. Do smutnéj dziewicy, p. *Maryę Ilnicką.* Wiadomości z nauk przyrodzonych: O wnętrzakach, p. *St. Chomętowskiego.*

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religino-moralny. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 4, str. od 361—480 zawiera:

Kościół archikatedralno-metropolitalny w Mohylewie. Wykład Pisma Świętego: Urząd Boży na ziemi czyli kapłaństwo, p. *ks. W. Serwatowskiego.* Kilka słów o bibliotekach naszych. Rzym i Londyn. Sprawozdanie z rozpraw Towarzystwu rolniczemu nadesłanych. Korrespondencye. Missye w Chinach. Przyczynek do historyi zażywania tabaki i palenia tytuniu. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna. Kronika kościelna i Rozmaitości.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Miesiąc marzec, 1860. Poszyt 3, str. VI, od 361—834, spisu rzeczy tomu XXXVIII, VII, tab. 2, zawiera:

Czynności komitetu Towarzystwa rol. w Król. Pol. Obraz czynności trzeciego ogólnego zebrania Tow. rol. w Król. Pol. w m. lutym 1860. Walne posiedzenia. Czynności sekcyi ogólnéj. Ogłoszenia Tow. rol. Sprawozdanie z handlu gdańskiego za m. styczeń i luty 1860, p. *Aleksandra Makowskiego.* Przegląd wiadomości przez korrespondentów Tow. rol. w Król. Pol. za m. luty 1860 r. nadesłanych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. styczeń 1860 roku.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Serya III, T. I, poszyt IV. Miesiąc kwiecień, 1860, str. od 219—312, zawiera:

O Białaczce (Leukaemia), p. Dra *Łuczk.* Cięcie cesarskie, p. Dra *Gliszczyńskiego.* Balneologia: Busk w r. 1859, p. *Dymnickiego* (Spr. Dr *Sciborowski).* Sprawozdania szpitalne. Wyciągi i wiadomości

z pism zagranicznych. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Tygodnik lekarski. N. 13—16 zawierają:

Chałubiński: Wstęp do patalogii i terapii szczegółowéj. *Sycianko:* Spostrzeżenia lekarskie w szpitalu i w praktyce prywatnéj w ciągu roku 1858 zebrane (dokoń.). *Łuczkiewicz:* O hysteryi. *Dymnicki:* Sprawozdanie z chorób leczonych u zdrojowiska w Busku podczas pory kąpielowéj r. 1859. Sprawozdanie z funduszów kassy wsparcia. *Warszauer:* Listy z Wiednia. *Sciborowski:* Przegląd czynności szpitala św. Aleksandra w Willanowie w r. 1859. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. *Strzelbicki:* Leczenie żółtaczki łagodnéj. *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. Wiadomości urzędowe. Wiadomości miejscowe. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 14—17 zawierają:

Pierwszy w Warszawie koncert na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego. Jeszcze kilka słów o wydawanéj przez R. Zientarskiego muzyce kościelnéj. Poranki muzykalne panów Łady i Pistora. List i odpowiedź. Krótki rys historyi powszechnéj muzyki (ciąg dal.). O głosie, echo prelekcyi P. prof. Przystańskiego. Pierwsze przedstawienie tragedyi p. Małeckiego: „List żelazny," p. *A. A. K.* Drugi w Warszawie koncert na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego. Korrespondencye. Gazeta muzyczna.

Magazyn mód. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 14—18 zawierają:

Kamienica na Podwalu, rysunek z pamięci, p. *Ludwika Brzozowskiego.* Rodzina Robuste. Wielkanoc, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego.* Poezye. Korrespondencye. Gwiazdka (p. *Aleksandra Niewiarowskiego).* Myśli. Nowości zagraniczne. Mody. Opisy rycin mód. Przypomnienia ogrodnicze. Przepisy kuchenne. Szarady. Rozmaitości.

Tygodnik illustrowany. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 28—31 zawierają:

Michał Stachowicz, z drzeworytem. Treny żałobne stolików od kart, wiersz *Wacława Szymanowskiego.* Kościół parafialny w Stobnicy, z drzeworytem. Kropielnica w kościele Jeżowskim, z drzeworytem. Wielki czwartek. Staropolskie święcone, z drzeworytem, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego.* Historya jedynaczki w 22 obrazkach, z czterema drzeworytami (ciąg dal.). Pierwsze przedstawienie na żytomierskim teatrze komedyi „Dla miłego grosza," p. *Adama Pługa (Pietkiewicza).* Obrazy wielkopolskie (dok.). Księgarz uliczny, obrazek z Wilna, p. *Wł. Syrokomlę (Ludwika Kondratowicza).* Ignacy Chodźko, z drzeworytem. Zwyczaje wielkanocne nad Wartą, p. *F. S.* Kościół Latyczowski, z drzeworytem, p. *Bolesława z Ukrainy.* Pałacyk po Firlejach w Bronowicach, z drzeworytem, p. *W. T.* Wróżka, obraz Loefflera, z drzeworytem. Przegląd piśmienniczy, p. *Juliana Bartoszewicza.* Dr Wilhelm Malcz, z drzeworytem. List żelazny, tragedya Małeckiego, rozbiór *Wacława Szymanowskiego.* Malborg, z dwoma drzeworytami. Opinia. Słów kilka o konkursach na komedye. Kommunikacye, przemysł i handel. Jezioro świerkow,

podanie litewskie, skreślił *Bolesław Brzoza*. Ks. Gabryel Baudouin i Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie, z dwoma drzeworytami. List *Tadeusza Padalicy (Zenona Fisza)* z Ukrainy, z trzema drzeworytami. Okropna noc w garderobie teatralnéj, ramotka. Sprawozdania z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. Kronika sztuk pięknych. Kronika tygodniowa (p. *Wacława Szymanowskiego)*. Korrespondencye. Myśli oderwane. Rozmaitości. Szachy. Zadania wieżowe. Zadania konikowe. Rebusy.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 14—18 zawierają: Pusty kościołek. O pijawkach (dokoń.). O podaniach ludowych czyli literaturze niepisanéj. Czartowa. Szymon Szymonowicz. Nagroda i pomoc. Sér. Odezwa przełożonej PP. Maryawitek w Częstochowie. Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych. Szkółka w Brzozówce. Godziny po robocie. Zuzanna Amenda. Rady dla włościan z hygieny popularnéj. Dąbrówka. Swięty Wojciech męczennik. Rada w radę po kościele. Stanisław Lubomirski. Poezye. Rozmaitości.

Gazeta Warszawska. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 88—113 zawierają: Przegląd literatury zagranicznéj: „La Femme, par J. Michelet", p. *Edwarda Siwińskiego* (ciąg dalszy). Sprawozdania z prelekcyj w Resursie Kupieckiéj, p. *Józefa Keniga*. Porwanie Jakóba i Konstantego Sobieskich przez Augusta II d. 27 lutego 1704 r. Kiedy u nas powstało święcone. Kilka słów *A. E. Odyńca* z powodu recenzyi poezyi jego. Literatura krajowa: „Dzieje serca, komedya Wacł. Szymanowskiego," „Po naszemu, komedya Zygmunta Hlebickiego-Józefowicza." O Domie zleceń rolników płockich. Ceny warszawskie produktów i różnych wyrobów przed trzystu laty. Przegląd teatralny: „List żelazny, tragedya Antoniego Małeckiego," p. *Józefa Keniga*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.

Gazeta Codzienna. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 88—113 zawierają: Listy włoskie. Sprawozdania z prelekcyj w Resursie Kupieckiéj. Przegląd teatralny: Purytanie, opera Belliniego. O melancholii osobliwszego rodzaju, prelekcya Cześnikiewicza *(Miniszewskiego)*. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Wzorowa ferma w Służewie. Przegląd nauk społecznych, p. *L(udwika) W(ołowskiego)*. Przegląd literatury krajowéj: Nowe utwory Wład. Syrokomli, Wieża siedmiu wodzów przez Romana Zmorskiego, Mazepa, poemat Byrona, przekład Michała Chodźki, p. *F. Henryka Lewestama*. Powieść o niewoli pogańskiéj, p. *Karola Szajnocha*. Dom zleceń rolników kaliskich. Literatura zagraniczna: Friedmann Bach przez E. Brachvogla. Goethe i Byron, rozprawa *Adama Mickiewicza*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. Nowiny.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 88—113 zawierają: Kilka słów o Szlązku (ciąg dalszy). p. *K.* Znakomitości tegoczesne: Napoleon III, Cavour, Lamoricière, Lord Derby. Myśli o wychowa-

niu przez Eleonorę Ziemięcką. Kobiéty w nędzy, p. *Eleonorę Ziemięcką.* Pomysły do studyów o cyrkulacyi pieniędzy w Europie. Przegląd literacki: Śmieciński, powieść szachecko-ukraińska Aleksandra Grozy, p. *Franciszka Salezego Dmochowskiego.* Życie w parafii J. A. Miniszewskiego, p. *Tegoż.* List żelazny, tragedya Antoniego Małeckiego, p. *Tegoż.* Kuryer Wileński, p. *Tegoż.* Anna, opowiadanie p. *Eleonorę Ziemięcką.* Listy o gubernii Płockiéj. Mąż i żona od Boga przeznaczona, obrazek ziemiański. Kilka słów o lwach warszawskich, Instytucie muzycznym i konkursach, p. *H. Przybysławskiego.* Syn obywatelski, obrazek p. *Aleksandra Niewiarowskiego.* Sprawozdania o prelekcyach w Resursie Kupieckiéj. Korrespondencye. Rozmaitości. Wiadomości bieżące, literackie i naukowe.

Kuryer Warszawski. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 88—113.

Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 73—95 zawierają:

Ustawa dla pensyonatu przy gimnazyum w Lublinie (dokoń). Ukaz Najwyższy o zaprzestaniu poszukiwań majątków ruchomych i nieruchomych należących do osób mających udział w powstaniu 1830 r. Taryfa stacyi telegraficznéj w Warszawie dla korrespondencyi wewnętrznéj. Traktat telegraficzny między Rossyą i Austryą oraz Prusami. Instrukcya dla dostawy płodów gospodarstwa wiejskiego i przemysłu na wystawę urządzaną przez cesarskie wolne Towarzystwo ekonomiczne.

Warszawska gazeta policyjna. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 92—121 zawierają:

Chata węglarza. Wycieczka do Tetuanu. Pergolezo.

Warschauer Zeitung. M. April, 1860. N. 76—99 zawierają:

Grüner Donnerstag. Geschichtliche Nachricht von der alten Kaufmannsinnung in Warschau, v. F. M. Sobieszczański. - *Charfreitag, oder der Gedächtnisstag des Todes Jesu. Wiktor Hugo und sein neuestes Werk: „La legende des siecles," v.* R. V. *Die grosse Vierlebensfrage, nach* Th. Drobisch. *Ein Irthum und seine Folgen, nach einer Erzählung* J. Korzeniowski's, *frei bearbeitet v.* J. V. Fritz. *Breslauer Briefe, v.* Fr. Freistadter. *Literarische Notizen. Lokalbericht. Aus der Provinz. Handelsnachrichten. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 25—32 zawierają:

Uwagi do artykułu p. Baudouin o sprzedaży drzewa, p. *Edwarda Pohlens.* Kilka słów przeciw solidarności włościan w opłacie czynszów, p. *Ł.* Odpowiedź p. Bogdaszewskiemu, p. *Nowińskiego.* O kwitach tymczasowych z odrobionego szarwarku, p. *Jana Wilanda.* Kwestya bieżąca, p. *S. K.* Zwróceuie uwagi na potrzebę niektórych doświadczeń rolniczych, p. ks. *Adama Jakóbowskiego.* Jeszcze nowa żniwiarka, p. *Rotarskiego.* Jeszcze kilka słów o lasach prywatnych, p. *Auleitnera.* Przegląd dzieła: „Zasady pszczolnictwa zastosowane do konstrukcyi ula ramowego napisał ks. Jan Dolinowski," p. *Z. G.* Karmienie zwierząt papką. O współkach leśnych do-

radzanych przez Towarzystwo rolnicze, p. *Edwarda Pohlensa*. Sierp, kosa i żniwiarki, p. *Jana Wilanda*. O wpływie nawozów na łąki, p. *Juliana Zalińskiego*. O hodowli bydła w stosunku do ras zagranicznych, a mianowicie do ras szwajcarskich, p. *Izydora Jackowskiego*. Sprawozdanie z obrad Komitetu Towarzystwa rolniczego, mianowicie pod względem kwestyi oczynszowania włościan, p. *Horbowskiego*. Łączenie zrazów drzew owocowych z korzeniami. Korrespondencyé. Wiadomości handlowe. Drobiazgi. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc kwiecień, 1860. N. 12—15 zawierają:

Czy mamy uprawiać łubin lub nie? p. *A. K.* Piśmiennictwo rolnicze: Ocenienie wewnętrznéj wartości książki: „Zasady praktycznego miernictwa i niwellacyi do użytku gospodarzy wiejskich przez Juliusza Schedling." Uszlachetnianie rasy bydła krajowego pod względem mleczności i mięsistości, p. *S. G.* Gawędy leśnika, p. *Aleksandra Polujańskiego*. Zimowanie inwentarzy i speranda gospodarska, p. *Leona Kąkolewskiego*. O potrzebie upiększenia wsi polskich, p. *Józefa Lompę*. Rolnik polski czyli przypomnienia zajęć gospodarskich w ciągu roku dokonywanych. O drożdżach prasowanych jako wyrobie gorzelanym, p. *J. M.* Kwestya włościańska. Kołowacizna owiec, p. *Zalewskiego*. O wartości pożywnéj wywaru, p. *J. Z.* Wojna wołkom i molom zbożowym wypowiedziana przez greczkosieja polskiego. Nowiny gospodarskie. Korrespondencye gospodarskie. Rozmaitości. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Zientarski Romuald. Muzyka kościelna chorałna i figuralna używana przy obrządkach kościoła rzymsko-katolickiego. Warszawa, lit. K. Tytz, zeszyt 10, str. od 101—112, k. 75.

Studziński Karol. Modlitwa do Matki Boskiéj na śpiew z towarzyszeniem fortepianu. Warszawa, litogr. W. Otto, str. 5, k. 30.

Kolberg Oskar. Król pasterzy obrazek z życia ludu wiejskiego w Kujawach przez *T. L.* N. 3. Chór i pastorella: „Wschodem słońce błyszczy," str. 13, kop. 50. N. 4. Romans Rózi: „Zkąd ten niepokój," str. 7, kop. 30. Warszawa, nakł. i litogr. W. Otto.

Oborski F. Wiktorya polka. Op. 5. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 3, k. 30.

Roguski Gustaw. Łzy, śpiew z towarzyszeniem fortepianu. Dz. 5. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 7, k. 30.

Gnatkowski Adam. Mazurek: „Żem dziewczyna jak malina, każdy mówi mi chłopczyna," śpiew z towarzyszeniem fortepianu, ofiarowany Polkom. Op. 286. Warszawa, nakł. sztycharni nut A. Dzwonkowskiego i Spół., str. 5, kop. $22\frac{1}{2}$.

Modżelewski Michał. Piosnka dziewczęcia z sielanki: „Wioska" J. I. Kraszewskiego. Warszawa, nakł. R. Friedleina, litogr. W. Otto, str. 11, kop. 45.

Nowakowski Józef. Niepewność, romans, śpiew z towarzyszeniem fortepianu i violencelli (ad libitum). Warszawa, nakł. autora, lit. J. V. Fleck, str. 7, kop. 30.

Grossmann Ludwik. Ostatnie pożegnanie, śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa *Henryka Przybysławskiego.* Op. 17. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i Spół., lit. W. Otto, str. 5, k. 22½.

Noch Ryszard. Marsz uroczysty skomponowany na orkiestrę z chórem i ułożony na fortepian, wykonany w d. 28 marca 1860 w koncercie na dochód Instytutu muzycznego. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., sztych. nut A. Dzwonkowskiego i Spół., str. 11, kop. 45.

Zbiór ulubionych tańców. *Strauss J.* Słowik polka na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann, litog. W. Otto, str. 5, kop. 15.

Krajewska Idalia. Amalia polka, ułożona na fortepian. Warszawa, lit. W. Otto, str. 3, k. 15.

Monczyński R. Les charmes de Cracovie, fantaisie Nationale pour le piano. Op. 20. Varsovie, lit. A. Dzwonkowski et Comp., str. 15, k. 90.

Tańce narodowe polskie. Mazury różnych autorów na fortepian zebrane przez *Andrzeja Kratzera* Krakowianina. Zeszyt I, 4 mazury, str. 10, kop. 60. Zeszyt II, 5 mazurów, str. 11, kop. 60. Zeszyt III, 5 mazurów, str. 11, kop. 60. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i Spół. Okładka rysunku H. Pilati, chromolitografowana, litografował L. Piechaczek.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Królowie polscy, rysowani i zebrani przez *Tytusa Maleszewskiego*, litografował Walkiewicz w litogr. M. Fajansa, fol. wielkie, rs. 2.

Widok miasta Warszawy z wysokości 200 sążni. *Vue de la ville de Varsovie à vol d'oiseau.* Najstarsza pieczęć miasta Warszawy. Teraźniejsza pieczęć miasta Warszawy (litogr. A. Pecq et Comp.), fol. wielkie.

Popławski (Ignacy) (portret). Ojcu sierot, Zgromadzenie centralne Warsz. Tow. Dobr. decyzyą swoją z d. 30 listopada (12 grudnia) r. 1859, na pamiątkę. Litografował z natury *Maksymilian Fajans.* Odbito w litogr. M. Fajansa, fol.

Fryderyk Augnst, król saski, książe warszawski, urodz. d, 23 grudnia 1760 r. um. d. 5 maja 1827 r. (portret), podpis fac-ximile, lit. *H. Aschenbrenner*, odbito w litogr. A. Dzwonkowskiego i Spół., fol.

Wizerunki N. P. Maryi Białynickiéj. Chromolit M. Fajansa w Warszawie w 4ce.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Maj 1860 r.—Mieszkańcy Warszawy, szanujący dawne zwyczaje miejscowe, w licznych tłumach zaczęli pielgrzymkę na św. Bonifacego do Czerniakowa, a na drugi dzień Zielonych Świątek przechadzkę i przejażdżkę do Bielan. Już od niedzieli rano nie brakło gości pieszych na Bielanach, którzy po nabożeństwie w kościele księży Kamedułów, pragnęli używać świeżego powietrza. Ale zimno dokuczliwe, trwające dzień cały i poniedziałek do południa, zmniejszały coraz ich grono. W poniedziałek, skoro słońce zajaśniało, od godziny 5 po południu, był prawie szereg nieprzerwany pojazdów i dorożek, spieszących na Bielany; ale dawnej świetności, jaką jaśniała ta modna przejażdżka, w niczém nie przypominał. Tygodnik illustrowany podał w drzeworytach Czerniaków i Bielany, wraz z odpowiednim tekstem, dzieje obu tych miejsc i dawny przepych, jakim jaśniała przejażdżka bielańska.

— Otrzymujemy wiadomość, że pozostała wdowa po ś. p. Ludwiku Osińskim, professorze b. uniwersytetu warszawskiego, zajmuje się wydaniem pism swego męża. Główną pracę, przejrzenia i uporządkowania pozostałych rękopismów, przyjął na siebie p. Franciszek Salezy Dmochowski. Spodziewamy się, że zasłużony ten literat należycie wywiąże się z przyjętego obowiązku, tembardziej, że go wiązały stosunki przyjaźni ze zmarłym professorem.

My tu, dla przypomnienia wszystkich prac ś. p. Ludwika Osińskiego, podajemy spis takowych, o ile je znamy: Przekłady tragedyj Kornela: 1) Horacyusze, drukowane w Warszawie 1802 r. w 8ce (rozbiór w Pamiętniku warszawskim Fr. Dmochowskiego, T. VII). 2) Cyd (w rękopiśmie, wyjątki drukowane w Pamiętniku warszawskim 1807 r. 3) Cynna, wyjątki w Pamięt. Warsz. 1809 N. 4. Woltera: 4) Alzyra, wyjątki w Pamięt. War. 1801. 5) Dramat z Belloa: „Gabryella de Vergy." 6) Komedya Pigault Lebrun: „Rywale samych siebie," 7) Król Lear i 8) Otello, murzyn wenecki (z Ducisa). 9) Ifigenia, tragedya Rasyna z opery z włoskiego tłumaczone. 10) Intryga w oknach. 11) Szewc. 12) Horacyusze i Kuryacysze. 13) Żony przemienne. 14) Wieśniaczka dowcipna. 15) Dziadek. 16) Andromeda, drama liryczna wierszem, z przekładem francuzkim prozą, przedstawiona w obec cesarza Napoleona I na Teatrze narodowym w Warszawie z muzyką Elsnera, drukowane w Warszawie 1807 r. 17) Spór Ajaxa i Ulissesa o zbroje Achillesa z przemian Ovidiusza (drukowany w Rocznikach Towarzystwa przyj. nauk T. IV, str. 201). 18) Wiersz o sztuce aktorskiéj ofiarowany aktorce zaczynającéj (w Pamięt. Warsz. 1803, T. X, str. 121. 19) Wiersz na pochwałę Kopernika (w Roczniku Tow. W. przyj. nauk, T. 8, str. 56). 20) Wiersz na powrót zwycięzkiego wojska z wyprawy 1809 r. (w Pamięt. Warsz. T. X, i w Rocznikach T. W. P. Nauk, T. 8). 21) Wiersz o dobroczynności (w Rocznikach T. W. P. Nauk, T. 4, 155). 22) Wiersz na wychód z Warszawy pułku gwardyi

polsko-cesarskiéj 1808 r. w rękopiśmie). 23) Zbiór zabawek, wierszem L. O. Warsz. 1804. Proza: 24) O życiu i pismach Franciszka Dmochowskiego (w Pamięt. Warsz. 1809, T. I, str. 304. Roczniki Tow. W. P. Nauk, T. 8, str. 120. 25) Obrona pułkownika Siemianowskiego (w Pamięt. Warsz. 1810. T. I, str. 41. 26) Rozbiór tragedyi Fr. Wężyka p. n. „Gliński" (w Pamięt. Warsz. 1810, T. III. 27) Prelekcye o literaturze w uniwersytecie warszawskim (w rękopiśmie).

— W sprawie zapisu ś. p. Konstantego Świdzińskiego, tak żywo obchodzącéj ogół, otrzymaliśmy pierwszą wiadomość za pośrednictwem Kuryera Warszawskiego z d. 1 maja w tych słowach: „Z Radomia *zbyt smutną* (???!) dla nas czyniny wiadomość, że dnia 28 kwietnia r. b. przed rejentem M. Przychockim margrabia Wielopolski odstąpił zapisu ś. p. Konstantego Świdzińskiego, na rzecz jego rodzeństwa. Akt zrzeczenia się, prawie od tych wyrazów zaczyna się: „Przyjąłem zapis i postępowałem o ile możność dozwoliła w myśli testatora; lecz egzekutorowie testamentu zamiast mi dopomagać, narażają mnie na liczne procesa, z tego powodu zrzekam się w zupełności zapisu i t. d." *Nam się zdaje, że teraz dopiero cel zapisu jest zniweczony z bolesną stratą pamiątek krajowych!*"

Nazajutrz, t. j. d. 2 maja b. r., Gazeta Warszawska ogłosiła następny list otrzymany sztafetą:

Radom, 28 kwietnia 1860 r.

„W tej chwili podpisany został akt przed rejentem Przychockim między hrabią Zygmuntem Wielopolskim, jako pełnomocnikiem ojca swego margrabiego Myszkowskiego, a rodziną ś. p. Konstantego Świdzińskiego, w którym pan margrabia zrzeka się na rzecz tejże rodziny całego spadku po ś. p. Konstantym Świdzińskim. *De facto* nie ma więc testamentu, ale jest *w sercu i sumieniu rodziny*, która o ile będzie mogła wykonać zamiary Konstantego Świdzińskiego, przekona publiczność akt dzisiejszy, który niebawem w piśmie waszém ogłoszony zapewne zostanie. Między warunkami, jakie na nas włożone zostały, znajduje się punkt, w którym zobowiązaliśmy się całą bibliotekę i zbiory w przeciągu miesiąca zabrać z Książa; w tym więc celu wzywamy pana Edwarda Nowakowskiego, b. bibliotekarza w Sulgostowie, gdziekolwiek się znajduje, aby na nasz koszt natychmiast do Sulgostowa przybył. Ogłoszona sprzedaż przez licytacyą dóbr Sulgostowa na dzień 16 maja r. b. miejsca mieć nie będzie, co się czyni dla wiadomości osób interesowanych."

Tytus Świdziński.

Przytaczamy tu te dwa dokumenta dotyczące się téj sprawy, następnie nieomieszkamy podać w całości aktu zrzeczenia się margrabiego Wielopolskiego i odpowiedzi egzekutorów testamentu.

— W przepysznie wydaném dziele w Berlinie 1852 r. p. n. *Alterthümer und Kunstdenkmäle Hauses Hohenzollern v. Rudolf Schilkried*, jest śliczny wizerunek chromolitografowany Zofii córki Kazimierza Jagiellończyka, żony Fryderyka starszego margrabiego brandeburskiego z jej czterema córkami, nadto tablice heraldyczne tego związku, co wszystko nieobojętném jest dla naszych dziejów.

— Na polu dramatycznem pokazują się nowe niepospolite zdolności. Józef Szujski, tłumacz Eszyla tragedyi, zwrócił uwagę dramatem

swoim p. n. „Halszka," ogłoszonym w Dodatku do Czasu. Teraz wykończył nowy dramat „Upadek i śmierć króla Jana III;" wyjątki nam udzielone pokazują, że p. Szujski może dać nam prawdziwie polski dramat, oczekiwany dotąd napróżno.—Redaktorowi Gazety Codziennéj bezimiennie nadesłano komedyą p. n. „Imieniny," wierszem pisaną. Znawcy unoszą się nad tym utworem.

— Rękopism ważnéj pracy, „Opisanie hydrograficzno-statystyczne Dźwiny zachodniéj, oraz rodzajów i gatunków ryb w niéj żyjących," przez hr. Adama Platera, ma być ogłoszony drukiem, według sprawozdania prezesa kommissyi archeologicznéj wileńskiéj.

— W skutek odezwy naszéj w Wiadomościach literackich z. r. (m. sierpnia), p. Mateusz Gralewski zebrane Legendy i pieśni ludu polskiego na Mazowszu przesłał W. A. Maciejowskiemu, które ogłosiliśmy w zeszycie majowym. Spodziewamy się, że nasi zacni ziemianie, zbliżeni więcéj do ludu, okażą więcéj gorliwości, niż dotąd, w zbieraniu podań, pieśni i obrzędów, których najbliższymi są świadkami, mając na uwadze wielką usługę, jaką tą pracą oddadzą literaturze ojczystéj. W ciągu ostatniego pół wieku kraj nasz ulegał różnym zmianom i klęskom: wśród nich najwyraźniéj uderza zatrata wielu dawnych obrzędów i obchodów, a z niemi podań i pieśni do nich przywiązanych. Resztki, jakie ocalały, mogą być jeszcze zachowane od zupełnéj zagłady, spisywaniem pozostałych. Tego mogą tylko dopełnić jedynie dobréj woli ziemianie.—Po wielu okolicach ziemi naszéj są szczególnego składu wyniosłe usypiska ziemne, które rozmiarami swemi wyrównywają lub przewyższają nawet słynne pod Krakowem mogiły Wandy i Krakusa. Takie ogromne usypisko oglądaliśmy niedawno na gruntach miasta Rawy i folwarku Głuchówek. Podanie miejscowe, jak zwykle nazywa je okopami szwedzkiemi, ale po bliższém rozpatrzeniu, łatwo mylność téj nazwy ocenić można. Nie ma bowiem żadnego podobieństwa do wałów, sypanych na prędce, dla ustawienia dział, ale jest ogromna mogiła, któréj tak wysokość, jak obszerność wyraźnie poświadczają, że pracy długoletniéj wymagała i była raczéj usypiskiem religijném, gdzie pogańscy mieszkańcy téj ziemi ofiary składali. Wieść miejscowa mówi o skarbach ukrytych; jakoż jeden z dobrodusznych właścicieli ziemskich przed niedawnemi laty, z niemałym nakładem, zaczął poszukiwania: pozostały téj pracy dotąd widoczne ślady. Miano znaleźć jakieś pojedyńcze monety, nic przecie podanie miejscowe nie mówi, czy co więcéj znaleziono, jak urny i zabytki metalowe.

— Gazeta Codzienna w N. 112 mieści korrespondencyą L. W. z Paryża, która z powodu naukowego przedmiotu i samego tytułu swego nie przez wszystkich jest czytaną, zawiera przecież nieobojętną dla nas wiadomość, że Instytut francuzki zwrócił uwagę na dwóch ziomków naszych przy układaniu listy zagranicznych uczonych, między którymi wybiera kandydatów na wakujące miejsca korrespondentów swoich.

„Posada korespondenta Instytutu francuzkiego (pisze autor) jest wysoko cenioną przez uczonych całego świata; wybór takowy jest zaszczytny, gdyż nikt się o niego ubiegać nie może. Samo więc umieszczenie na liście kandydatów, stanowi nader chwalebny sąd o pracach przedstawianych osób. Zwykła lista na wakujące miejsca składa się z trzech imion; tym razem wydział ekonomii politycznéj wskazał na każde miejsce

cztérech kandydatów. Wydział polityki administracyjnéj i finansów podać ma Fryd. hr. Skarbka i Augusta Cieszkowskiego."

Przytoczywszy nazwiska kandydatów, wybranych w tym wydziale, i rozebrawszy ich zasługi, mówi daléj L. W.:

„Już lat przeszło trzydzieści od wydania piérwszego dzieła Fryderyka hr. Skarbka: „O teoryi bogactwa społecznego" (Théorie des richesses sociales). Napisana po francuzku ta książka, zjednała sobie pochlebny sąd uczonéj Europy. Ważniejszym jeszcze utworem są „Zasady gospodarstwa narodowego" w 4 tomach, ekonomii politycznéj czystéj i ekonomii politycznéj zastosowanéj poświęcone, a językiem polskim kréślone. Rozgłos téj pracy mniéj obszerny, gdyż w granicach kraju jedynie rozszerzyć się może; lecz przysługa tém znakomitsza, nie zostaje bez winnéj nagrody: jużto nowe dzieło zwróciło uwagę Instytutu francuzkiego."

Smutno jest wspomnieć na to, że to dzieło, którego dwa piérwsze tomy wyszły przed dwoma laty, a trzeci w roku zeszłym, tak przeszło w kraju niepostrzeżenie, że oprócz prostych doniesień księgarskich i jednéj pobieżnéj wzmianki o tomie trzecim, nie doczekało poważnego rozbioru. Zapewne zwrócenie nań uwagi Instytutu francuzkiego może pobudzić którego z uczonych, że złoży sprawozdanie o wartości téj pracy dawnego professora uniwersytetu warszawskiego.

Wiadomo nam, że autor pracuje nad czwartym tomem, mającym zawierać gospodarstwo narodowe, stosowane do przemysłu rękodzielnego i do handlu.

— Wyszła „Nauka praktyczna języka francuzkiego na sposób jak wszyscy uczą się rodowitego języka przez oglądanie i nazywanie przedmiotów, obejmująca 300 rycin (drzeworytów) i więcéj jak 2,000 fraz, najwięcéj z Dykcyonarza akademii francuzkiéj czerpanych i w sposobie rozmów ułożonych." Wychodzi zeszytami i właśnie piérwszy mamy przed sobą. Autorem jest emeryt b. sędzia Kulikiewicz. Wyborny to sposób nauczania obcego języka: spodziewamy się, że dzieło to, wielkiéj praktyczności i użytku, znajdzie jak najprzychylniejsze przyjęcie i upowszechnienie.

— Pomnik na starym cmentarzu powązkowskim przy katakumbach wzniesiono ze składek dla ś. p. Stanisława Jachowicza. Sam pomnik odznacza się artystyczném wykonaniem, dłuta znanego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego. Na podstawie część piramidy ściętéj wieńczy godło zbawienia. W niższéj mieści się popiersie zmarłego, przyjaciela dzieci i zasłużonego pisarza. Boki zdobią dwie wypukłe rzeźby: dziewczynki i chłopczyka, zajętych pilnie uczeniem się. Na głównym froncie czytamy taki napis:

„Stanisławowi Jachowiczowi, opiekunowi sierot, Rodacy.
Jego rodziną był kraj cały,
Jego dziećmi wszystkie dzieci polskie,
Jego dobrem było dobro braci biédniejszych,
On się uszczęśliwiał szczęściem drugich.
Urodził się w Dzikowie (w Galicyi) d. 17 kwietnia 1796 r. Umarł d. 24 grudnia 1857 r."

— Zapowiedziane przez nas dzieło Eustachego Marylskiego, „Pomniki i mogiły Polaków na cmentarzach zagranicznych," wyszło z pod

prasy, z siedmią kolorowanemi rycinami, w formacie takim, jak „Cmentarz Powązkowski" K. Wł. Wójcickiego. Obszerniejsze sprawozdanie o téj ważnéj pracy podamy w właściwym dziale pisma naszego.

— Przy opisach dawnéj stolicy naszéj Krakowa, nie dołączono opisu miejscowego cmentarza głównie dlatego, że jakkolwiek założony był w r. 1794, znamienitsze osoby chowano po kościołach i dopiero od r. 1816 stanowczo grzebania po świątyniach Pańskich zabroniono. Pomimo to, wiele już spoczęło na cmentarzu krakowskim rodaków, godnych naszego wspomnienia. Wymienimy tu tylko niektórych: Jacek Przybylski, tak niesłusznie ośmieszony przez naszych klassyków, do którego życiorysu ciekawe i obfite materyały zebrał szanowny Ambroży Grabowski, przyjaciel zmarłego; Jerzy Samuel Bandtkie, poeta Wasilewski, Żygliński, Hilary Meciszewski, J. Muczkowski i w. i. Spodziewamy się, że p. Józef Łepkowski najwłaściwiéj mógłby się téj pracy podjąć i najlepiéj wykonać. A czas potemu, by oddać hołd należny zmarłéj naszéj braci!

— W numerze 29 Kuryera wileńskiego, w odcinku, ciekawą wiadomość czytamy o Mickiewiczu, po rossyjsku, którą w przekładzie przytaczamy:

„Otrzymaliśmy następujący ciekawy wielce list od znanego uczonego rossyjskiego A. A. Skalkowskiego z Odessy."

„W moich papierach znalazłem następującą notatkę. W lipcu 1825 przyjechałem do Moskwy, żeby skończyć kursa uniwersyteckie rozpoczęte w Wilnie. Znalazłem tutaj Mickiewicza: mieszkał wtenczas w domu Nowosilcowa, razem z Jeżowskim i Malewskim. Właśnie pisał poemat Konrada Wallenroda. Przypominam sobie, że czytał, albo lepiéj mówiąc improwizował w przytomności Puszkina i Polewoja balladę „Alpuphara:" przypominam sobie, jak wtedy siedział na środku pokoju z długim cybuchem w ręku, z oczyma zwróconemi jak zwykle na podłogę. Deklamował swój zachwycający utwór, a w chwilach wytchnienia, młody Kaczyński przygrywał ulubione melodye Mickiewicza, czém go nadzwyczaj pobudzał i ożywiał. Po skończeniu, Puszkin zawołał. „Ach! żebym ja był Mickiewiczem!" Na co Budrewicz odpowiedział: „Vous l'êtes déja, moins l'érudition." W lipcu 1826 r. pojechałem do domu, w gubernią kijowską, a Mickiewicz do Petersburga, gdzie i został. Przy pożegnaniu napisał w mojém album stosowne wiersze, które zachowałem jako świętość.

Wiersze te są następujące:

Do Imionnika A. S.

„Słychać że *pud* souvenirów pobrałeś z Rusinek
Które ci pozyskała czułość, albo sztuka;
Niechże i przyjaźń kilka życzeń w upominek
Do sentymentalnego wpakuje *sunduka* (1):
Czy jedziesz w kraje lodów czy na dworzec słońca,
Obyś zawsze tam jeździł, gdzie ci się podoba,
Oby na twym kompasie u jednego końca
Zawsze było życzenie— na drugim żałoba."

— Znany artysta malarz Rodakowski, bawiący w Paryżu, pracuje nad obrazem przedstawiającym Sobieskiego, przyjmującego posłów przed

(1) Kufra.

wyprawą wiedeńską. Obraz ten będzie przedstawiony na przyszłéj wystawie paryzkiéj.

— Stefan Giller podpisujący się Stefanem z Opatówka, autor ślicznego „Curiculum vitae Matiasza, które drukowaliśmy w Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie lutowym r. b. pracuje nad dalszym ciągiem téj poetycznéj opowieści dawnych czasów, w któréj umiał tak cudnie oddać i postacie stare i koloryt upłynionych czasów.

— Gabryella Żmichowska, znana z niepospolitego talentu, tak wierszem jak prozą, drukuje zbiór pism swoich. Rozrzucone po wielu pismach peryodycznych, zebrane teraz razem, dadzą świadectwo, na jak zaszczytném stanowisku w literaturze naszej stanąć ma prawo.

— W r. 1852 wydał w Pradze Czeskiéj Józef Bolesław Podstrowski „Słownik kieszonkowy polsko-czeski (Kapešni Slovnik polsko-českij) (str. VIII, 477, 40, w 12ce). Odpowiedział on potrzebie naglącéj Czechów, którzy chcieli się bliżéj zapoznać z piśmiennictwem polskiém. Od téj pory już ósmy rok upływa, a nie mamy słownika czesko-polskiego, dla naszéj właśnie wygody, dla poznania utworów nowszéj literatury czeskiéj. Zwracamy na to uwagę naszych szlachetnych pobratymców.

— W Paryżu nowego wydania dzieł Adama Mickiewicza wyszły tomy III, obejmujące całkowity poemat „Dziady“ Tomy IV i V mieszczą „Pana Tadeusza“ Tomy VII—XI zawierają przedruk francuzki „Cours de literature.“ Tom II i VI, wyjdą w październiku r. b, tom zaś pierwszy w styczniu 1861 r. Z wypuszczeniem tomu 1go, wydawcy dlatego się opóźniają, ażeby zebrać wszystkie poezye Mickiewicza. Na zapytanie: Dlaczego kurs literatury słowiańskiéj, nie jest ogłoszony po polsku, ale w języku francuzkim? Odpowiadają wydawcy: „Dlatego, że Mickiewicz w kollegium francuzkiém wykładał go po francuzku, że polskie wydanie jest tłumaczeniem T. Wrotnowskiego, dopełnioném z notat stenografowanych, które późniéj przejrzane i przez autora poprawione służyły do wydania francuzkiego.“ Z pierwszéj nieznanéj części Dziadów, Czas ogłosił pieśń młodego pachołęcia, którą śpiewa wnuk dla dziadka swego ślepego. Przytaczamy ją w całości:

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błądził śród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
Co tam czarów, co tam strachów.
W jednem sklepisku zapadłem,
Jak dziwny rodzaj pokuty:
Na łańcuchu przed zwierciadłem,
Stoi młodzieniec okuty,
Stoi, a z ludzkiéj postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś cząstkę traci,
I powoli wrasta w kamień.
Aż do piersi już był głazem,
A jeszcze mu błyszczą lica,
Męztwa i siły wyrazem,
Czułością świeci źrenica.
„Kto jesteś? zaklęty rzeczo,
Coś te gmachy zdobył śmiało,
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało?“
— „Kto jestem! o, drży świat cały,
Przed mą szablą, na me słowa,
Wielkiéj mocy, większej chwały.
Jestem rycerzem z Twardowa.“
—„Twardowa? Za moich czasów,
Nie słyszałem o nazwisku;
Ni śród wojennych zapasów,
Ni na rycerskiém igrzysku;
Nie zgadnę jak długie lata,
Mogłem w więzieniu przesiedzieć,
Ty świeżo wracasz ze świata,
Musisz mi o nim powiedzieć.
Czy dotąd Olgierda ramie,
Naszą Litwę wiodąc w pole,
Po dawnemu Niemcy łamie,
Tratuje stepy Mogoł?“
—„Olgierd? Ach, już przeminęło
Dwieście lat po stracie męża:
Lecz z jego wnuków Jagiełło,
Teraz walczy i zwycięża.“

—„Co słyszę! Jeszcze dwa słowa,
Mów! w twoich błędnych obiegach,
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
Na Świtezi naszéj brzegach?
Czy tam ludzie nie mówili,
O Poraju silnéj ręki,
I o nadobnéj Maryli,
Któréj on ubóstwiał wdzięki?"
—„Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju,
Ani o jego kochance.
Po co pytać? czasu strata!
Gdy cię wyrwę z téj opoki,
Wszystkie ciekawości świata,
Własnemi odwiedzisz kroki.
Znam czarodziejską naukę,
Wiem dzielność tego zwierciadła,
Wraz go na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa spadła."
To mówiąc, nagłym zamachem
Dobył miecza i przymierza:
Ale młodzieniec z przestrachem
„Stój!" zawołał na rycerza:
Weźmij zwierciadło ze ściany
I podaj je w moje ręce:
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce."
Wziął i westchnął, twarz mu zbladła,
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadła,
I cały stał się kamieniem.

Wydawcy oświadczają, że trzymają się stałych reguł co do pisowni, położonych przez Mrozińskiego i b. Towarzystwo przyjaciół nauk. Dobra to myśl, i rozumna zasada, uznawania zasłużonéj powagi literackiéj i wyrozumowanéj. Życzyćby należało, ażeby redakcye wszystkich pism naszych przypomniały sobie te reguły, i wzięły za obowiązek sumienia, nie kalania jak dotąd ojczystego języka, zwrotami i wyrazami wcale nie polskiemi, i trzymały się jednostajnéj pisowni.

— W Poznaniu zaczęto wydawać „Tygodnik katolicki" i pismo dla ludu p. n. „Rok wiejski". Widzimy, jak żywo się krzątają literaci polscy o pisma ludowe; my mamy „Czytelnię Niedzielną", wkrótce ujrzymy „Kmiotka"; w innych częściach dawnéj Polski pojawiają się także tego rodzaju publikacye. Zwrot ten przy oczyszczaniu i usamowolnieniu ludu bogate wydać może owoce w przyszłości.

— Professor Stanisław Przystański wygotował dzieło traktujące o warunkach akustycznych sal zebrań publicznych. O ile wiadomo, przedmiotem téj ważnéj rozprawy będą uwagi dotyczące teatrów, sal koncertowych i audytoryj.

— Gazeta Warszawska w Nr. 131 z r. b. poświęca ustęp Tygodnikowi illustrowanemu, który w ciągu kilku miesięcy potrafił był swój zapewnić i stać się pożądaném pismem w kółkach rodzin naszych. Nie godzimy się wszakże na wszystkie myśli, jakie szanowny sprawozdawca objawił. „Każde pismo illustrowane (pisze) nie tyle tekstem, tojest artykułami, ile obrazkami stoi, a dotąd trzeba przyznać, stosunkowo było ich w Tygodniku za mało". To właśnie zdanie uważamy za zupełnie mylne: pismo bowiem jedyne, jak nasz Tygodnik, może się głównie utrzymać doborową treścią artykułów, bo smak naszéj publiczności wykształcony, nie poprzestanie na samych obrazkach, chociażby najartystyczniéj wykonanych; w piśmie takiém przy drzeworytach pięknych treść musi być zajmującą i doborową. Że Tygodnik w dobrze obmyślanym planie obiedwie strony tak artystyczną jak i literacką mając na celu, tak świetnie się rozwinął; zyskał też współczucie czytającéj publiczności, znaczne grono prenumeratorów, około 3,500, i nie wątpimy, że stąpając po téj drodze i polepszając pismo swoje, powiększy ich koło. Godzimy się w zupełności ze sprawozdawcą Gazety Warszawskiéj co do zarzutu drukowania doniesień na ostatniéj

stronnicy w każdym numerze co drugi tydzień powiększonym o pół arkusza. Pierwsi podnieśliśmy głos przeciwko temu, żałując tak pięknego papieru i druku, a głównie miejsca, które zapełnić mogłyby zajmujące artykuły i podnieść wartość wyżej samego pisma. Grono współpracowników już zapewnionych daje rękojmią wydawcy, że obawy braku doborowych artykułów mieć nie może. Inna jest rzecz z drzeworytami: żądanie większej ich liczby, okazuje, że sprawozdawca nie ocenił trudności nie przełamanych i ogromnych kosztów, jakie one wymagają. Zakład drzeworytniczy, jaki zaprowadził wydawca p. Unger dla Tygodnika, jest pierwszym w naszym kraju: artystów krajowych, drzeworytników tak mała liczba, że wystarczyć potrzebom obecnym tego pisma nie mogą: młodzież nasza w tym zawodzie dopiero się zaczyna kształcić. Zanim przeto wydawca nie rozwinie należycie swego zakładu i nie przygotuje zdolnych drzeworytników krajowych, żądania takie uważamy za przedwczesne i nieusprawiedliwione.

— Wydawcy Wzorów sztuki średniowiecznéj ogłosili prospekt na serye trzecią i ostatnią téj szacownej publikacyi. Ze smutkiem przeczytaliśmy tę zapowiedź, że to ma być serya ostatnia, tembardziéj, że zabytków nie objętych we Wzorach jeszcze ogromna liczba pozostała niedotkniętą. Przekonani jesteśmy, że wydawców powstrzymuje nie to, że dotąd kosztów nakładu nie pokryli, ale że nie znaleźli zasłużonego współczucia i praca ich szacowna nie rozpowszechniła się, jakby powinna i jak zamierzali. Smutny a znaczący jestto objaw, że dzieła poważnéj treści i wysokiéj wartości nie mają pokupu, gdy najlichsza powiastka znajduje chętnych licznych zwolenników. Taki towar popłatny, za nim téż ubiegają się nakładcy. Serya 3 i ostatnia Wzorów, obejmie: cztery tablice z miniaturami z księgi cechów krakowskich, Baltazara Bema: przedstawiające malarzy, kupców, krawców i rzemieślników; zabytki z czasów pogańskich pochodzące z wykopalisk krajowych, pomiędzy innemi i posąg Światowida z muzeum Towarzystwa naukowego krakowskiego, jako najcelniejszy z tego rodzaju pomników. Siodła, rzędy, pasy, klejnoty, hełmy i karabele z ostatniéj wystawy krakowskiéj, tarczę Zygmuntowską z pozostałości po Tadeuszu Czackim, nalewkę i czarę z kryształu górnego, dar wdzięczności króla duńskiego Stefanowi Czarnieckiemu przechowywany u potomków bohatéra w Tykocinie, malowania z części sklepienia kaplicy Jagiellońskiéj w Krakowie. Wielki ołtarz u Panny Maryi w Krakowie, arcydzieło Wita Stwosza, drzwi spiżowe gnieźnieńskie z legendą ś. Wojciecha, portrety Kazimierza Jagiellończyka (z obrazu spółczesnego odkrytego w Kolonii), oraz córek jego: Barbary księżnéj saskiéj (pędzla Cranacha w Dreznie), Zofii księżnéj brandeburskiéj (w Ansbach) i Jadwigi księżnéj bawarskiéj (w Burghausen). Pomniki ze spiżu grobowe z kościołów krakowskich, należące do najcelniejszych pomników sztuki u nas, obrazy olejne z XVI wieku, w Bodzęcinie i innych kościołach ziemi naszéj po dziś dzień przechowywane, wreszcie piękne zabytki historyczne polskie znajdujące się w muzeum starożytności w Moskwie i w zbrojowni cesarskiéj w Carskiem siele. Dwie serye poprzednie Wzorów tych, tak starannie wydanych i z tak wielkim nakładem przez pp. Aleksandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, nie zyskały dotąd w żadném piśmie naszém

żadnego poważnego i naukowego rozbioru; czas przecież oddać co należy tak ważnej publikacyi, a jedynej w literaturze naszéj.

— W starem Mazowszu a w dzisiejszéj gubernii płockiej, w powiecie pułtuskim, na północno wschodniéj stronie miasta Makowa pokazują dwa kopce, o których utrzymuje się miejscowe podanie, że są usypane na pamiątkę śmierci ostatnich dwóch książąt mazowieckich: Janusza i Stanisława w latach 1524 i 1525 zmarłych, których nagrobek znajduje się obok wielkiego ołtarza w kościele metropolitalnym ś. Jana w Warszawie. Jeden z tych kopców bardziéj ku wschodowi obrócony, obszerniejszy jest w obwodzie, ale za to niższy nieco od drugiego; co może i ztąd pochodzić, że od wierzchu w niedawnych czasach rozkopany został. Obwód tego kopca u dołu 50 kroków wynosi, a kształt z powodu rozkopania niby dwupiętrowy. Drugi nieco wyższy, ale 45 tylko kroków w obwodzie wymierzający, jest tylko pojedynczym i leży o 20 kroków od pierwszego nieco ku północy. Kto te kopce sypał, czy przywiązani Mazurowie do dawnych swych książąt, czy też królowa Bona, która po ich śmierci w oprawie zagarnęła całe Mazowsze, trudno się dowiedzieć na miejscu, a w historyi nic o tém nie zdarzyło się nam czytać. W każdym razie, już dlatego samego kopce te są ciekawe, że podanie nie przywiązuje do nich ani grobów aryańskich, ani szańców szwedzkich, jak do innych, ale wiernie, każdy mieszczanin Makowa spytany, odpowiada, że to są kopce ostatnich książąt mazowieckich. Sprawozdawca Gazety Warszawskiéj (Nr. 136), z któréj całą tę wiadomość poczerpujemy, w końcu pisze: „Z tem wszystkiem nie zdaje się nam, aby to podanie było prawdziwe, gdyż wyżéj wspomnieni książęta ani takiéj miłości w kraju nie mieli, ani też życiem swojem, ni śmiercią nie zasłużyli, aby im po zgonie, jak bohaterom jakim mogiły sypano". Godząc się na to, że nie zasłużyli może na tak zaszczytną pamiątkę, nie możemy powtórzyć, że miłości w kraju nie mieli. Sprawozdawca snać zapomniał, co podają współcześni i naoczni świadkowie, jak Mazurowie szczerze przywiązani do ostatnich Piastowskich potomków i ostatnich z książąt mazowieckich, szczerze żałowali ich przedwczesnego zgonu, jaka powszechna wcałem księztwie panowała żałoba, jak srodze się mścili na tych wszystkich, którzy według ich mniemania byli przyczyną nie naturalnego ich zgonu. Z ich śmiercią w kwiecie wieku Mazowsze utracało swoją niepodległość, a ta myśl żal większy pobudzała: ztąd prędzéj wierzymy, że przywiązani Makowianie, w których pamięci żywo przechowywała się pamięć ostatnich książąt, starodawnym obyczajem wysypali kopce ziemne dla ich uczczenia. Rzucona myśl, czy czasem Bona nie kazała usypać ich, jest zupełnie nie trafna. Włoszka murowała zamki wprawdzie, ale w Mazowszu, które dostała w oprawie, wyzuwszy ze wszystkich praw rodzoną ich siostrę, i obszedłszy się z nią nieludzko: cóż za powód miała pod Makowem sypać mogiły na uczczenie tych właśnie książąt, których spadek ogarnęła, a pamięć rada była do szczętu zatracić. Szanujmy stare podania przywiązane do miejscowości, nie tłumaczmy ich fałszywie: czas może nie długi przyjdzie, gdzie znajdziemy lepsze dowody do ocenienia ich prawdy.

— Grono miłośników ojczystego języka zamierza wziąć się do ułożenia słownika języka polskiego, któryby odpowiadał wszelkim wymaganiom obecnego stanu i rozwoju literatury naszéj i umysłowości. Przedruk Lindego lwowski odświeżył w pamięci pracę już znaną, ale jak na dziś niedostateczną: Maurycy Orgelbrand przyspieszając wydawnictwo słownika, zawiódł oczekiwanie i nie odpowiedział zadaniu. Przedwstępne prace i pierwsze zasady już położono: ochotników sumiennych i zdolnych nie brakuje. Wszystkie nauki objęte w nim zostaną, a co najważniejsza, ustaloną już zostanie terminologia nauk przyrodzonych, w których (szczególnie też w fizyce i chemii) chaos niesłychany panował, najszkodliwszy rozwojowi tych nauk. Hieronim Łabęcki przygotowany słownik górniczy obejmujący 16000 wyrazów, szlachetnie ofiarował do nowego słownika mozolny owoc swej pracy lat

kilkunastu; z innych gałęzi nauk zapewnioną jest pomoc: nie przepomnianym też będzie i język ludowy. Powolnie pójdzie ta olbrzymia praca, ale gruntownie obmyślona nauką mężów, którzy udział w niéj wzięli lub wezmą, daje rękojmią, że z czasem złoży się pomnikowe dzieło. O dalszym postępie i rozwoju danego planu nie omieszkamy uwiadomić czytelników naszych.

— W innym kółku, zebrani w szczupłe kółko literaci nasi, poświęcającysię nauce historyi krajowéj, postanowili mozolną a wielce użyteczną pracę. Wiedząc z doświadczenia, jak trudno wiedzieć, gdzie, w jakiém piśmie drukowane były, czy rozprawy opracowane, czy materyały do dziejów ojczystych, archeologii, numizmatyki, wykopalisk i t. p. uznając potrzebę ułożenia spisu dokładnego, co gdziekolwiek już wydrukowano: rozebrali pomiędzy siebie, tak pisma peryodyczne jak i zbiorowe, i podług ułożonej normy, zabierają się do szczegółowych wykazów. Skoro praca ta zmudna, ukończoną zostanie, ułożą następnie systematycznie całość i ogłoszą drukiem. Każdy z pracujących na niwie dziejowéj uzna wielki użytek z téj pracy, która nietylko dla badaczy będzie wskazówką ułatwiającą poszukiwania w danym przedmiocie, ale może posłużyć zarazem i zachęcić, do wydania rozrzuconych tych materyałów dziś mało dostępnych w jedno dzieło. Rzucono myśl także, ażeby przy tych spisach zwracać pilną uwagę na miejsca wykopalisk, w których znajdywano tak urny, jak różne zabytki metalowe: a uzupełniwszy wszelkie w téj mierze wiadomości, ułożyć mappę takowych wykopalisk, która może wielkie rzucić światło na badania nasze archeologiczne. Pracy téj podjęli się bez żadnych widoków nagrody, pracownicy sumienni, którzy pojmują ważność zadania i użytek dla przyszłości. Spodziewamy się po znanéj ich gorliwości, że wciągu roku, w znacznéj części, dokonają powziętego zamiaru. O postępie téj pracy, od czasu do czasu złożymy sprawozdanie.

Pocieszającą jest myślą, że w obecnych czasach znaleźli się prawdziwi literaci, którzy bezinteresownie, w imię potrzeby i pożytku ogólnego, chętnie ofiarują czas i pracę, skierowane na przedmioty, które nie dadzą ani zysku, ani rozgłosu. Widać, że Opatrzność utrzymuje jeszcze, choć w małém kółku prawdziwych kapłanów nauki, ów duch obywatelski, który dawniéj był nierozłączny z zawodem pisarza polskiego. Prace ich, wprawdzie przez lekkomyślnych poszły nieraz w pośmiech i urągowisko, ale obecnie umiarkowanie bierze górę, i wdzięczna potomność odda hołd należny ich poświęceniu i zasłudze.

† Dnia 5 maja r. b. umarł w Płocku w 73 roku życia ś. p. Michał Szubert b. professor uniwersytetu warszawskiego, dyrektor ogrodu botanicznego w Warszawie. Zwłoki jego przewiezione, pochowane zostały na cmentarzu ewangelickim naszego miasta.

† Dnia 20 maja r. b. umarł w Warszawie ś. p. Andrzéj Radwański w 59 roku życia, emeryt, b. professor gimnazyum gubernialnego, magister filozofii, członek komitetu egzaminacyjnego, znany z wielu prac naukowych ogłaszanych drukiem od r. 1837, głównie poświęconych fizyce i chemii; od r. 1829 do 1830 redagował Pamiętnik technologiczny *Piast*.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 19 (31) Maja 1860 r.— Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień. 1860.

Kwiecień, 1860. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ·14ᵐ·45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokość w milim	
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	dész-czu	śnie-gu
1		740.98	740 07	739.47	740.85	740.09	— 0°.3	+ 7°.2	+11°.3	+ 6°.3	+6° 27	77.8	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdZ.		
2		742.00	742.40	740.60	740.83	741.46	+ 2.9	+ 8.4	+ 9 4	+ 5.0	8.42	90.7	pogodny	napół pog.	deszcz	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.	4.0	
3	Rów.	741.81	741.78	741.21	744 25	742.19	1.9	9.9	12.5	7.4	7.92	71.2	pogodny	pogodny	deszcz dr.	deszcz	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.	3.9	
4	Perig.	745.63	747.40	747.77	750.79	747.89	3.6	6.4	8.5	2.7	5.30	82.8	napół pog.	napół pog.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.	6.8	
5	☽.	753.89	755.20	753.01	752.48	753.64	1.0	2.5	1.9	1.3	2.92	77.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	PdW.	PdW.		
6		752.76	754.33	754.46	755.42	754.24	— 0.1	6.4	9.5	4.8	5.15	65.0	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.		
7		757.12	756.62	754.94	752.25	755.23	1.7	7.0	8.5	5.3	5.62	63.7	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
8		749.14	749.23	747.23	745.95	747.89	4.6	5.8	11.8	8.5	7.67	82.2	pochmurny	dész. b. dr.	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	1.6	
9		744.22	743.17	741.74	741.00	742.53	8.7	16.2	19.7	12.7	14.32	75.0	poch. dész.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.	4.8	
10		739.86	740.03	741.40	744.15	741.36	9.1	14.0	6.3	4.9	8.57	89.5	pochmurny	praw. poch.	deszcz	pochmurny	Pd.	Pd.	PnZ.	PnZ.	2.4	
11		745.25	746.73	748.35	750.12	747.61	4.0	4.0	4.0	2.5	4.62	93.8	pochmurny	dészcz	dészcz	deszcz	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.	2.6	
12		750.60	751.45	751.66	752.19	751.47	2.4	3.3	3.7	3.2	3.15	93.0	pochmurny	dészcz	deszcz	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	6.0	
13	☾.	751.83	751.96	751.58	752.34	751.93	2.5	3.9	6.1	6.0	4.62	93.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
14		753.62	754.68	755.56	758.28	755.53	5.4	10.3	13.3	7.8	9.20	73.5	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
15		761.34	762.30	761.96	762.70	762.07	1.9	3.7	8.3	5.0	4.72	60.0	pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	W.	W.	W.	PnW.		
16	Apog.	763.59	764.09	762.41	762.41	763.12	0.5	7.2	10.2	5.4	4.82	59.2	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnW.	W.	W.	PnW.		
17		761.97	761.51	758.37	757.40	759.81	2.7	9.8	12.7	6.5	7.92	84.0	napół pog.	napół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		
18	Rów.	754 14	752.48	748 58	745.99	750.30	3.9	12.3	16.2	9.0	10.35	62.2	pogodny	pogodny	napół pog.	pr. pogoduy	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
19		742 99	742.32	740 86	740.76	741.73	5.9	14.5	16.6	11.2	12.05	65.2	praw. poch.	napół pog.	pochmurny	deszcz	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
20		739.38	739.12	738.17	738.83	738.88	8.1	13.0	15.4	8.5	11.22	63.0	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	1.6	
21	●.	739.14	739.56	740.50	740.82	740.00	7.3	9.5	12.0	8.1	9.22	76.2	dészcz dr.	pochmurny	praw. poch.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
22		742.97	744.36	746.21	747.70	745.31	5.0	6.0	7.1	3.5	5.40	76.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
23		748.33	749.36	748.98	749.52	749.05	2.3	8.8	12.1	6.3	7.38	68.2	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z.	PdZ.	PdZ	Z.		
24		750.08	750.66	750.46	750.58	750.44	5.4	9.9	11.2	5.4	7.98	70.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.		
25		750.69	750.79	749.66	749.90	750.26	3.7	11.2	14.6	7.9	9.35	68.2	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PnW.	W.		
26		748.20	747.13	745.23	745.59	746.54	5.6	14.3	15.4	9.1	11.10	74.5	napół pog.	napół pog.	napół pog.	deszcz	PnW.	W.	PdW.	PdW.	4.6	
27		746.03	747.50	748 16	750.52	748.05	8.7	12.0	14.9	8.2	10.95	76.2	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PnZ.	4.4	
28	☽.	751.70	751.74	750.38	751.12	751.26	5.2	10.8	16.4	11.0	10.85	84.2	poch. mgl.	napół pog.	pochmurny	pochmurny	—	PnW.	Pn.	W.	4.8	
29		751 65	753.82	754.97	757.66	757.52	10.0	13.0	11.4	11.0	11.35	91.5	pochmurny	dészcz	deszcz	pr. pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	Pn.	9.6	
30		759.47	760.68	760.42	761.60	760.54	8.7	12.9	15.8	11.0	12.10	83.0	napół pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.	5.0	
Śre.		749.36	750.05	749.14	749.80	749.50	+4°.41	+9°.14	+11° 39	+6°.85	8°.01	79.7									62.1	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.50	27	8.25
Najwyżéj barometr dochodził d. 16 o g. 10 r.	764.09	28	2.72
Najniżéj — — d. 20 o g. 4 w.	738.17	27	3.23
Średnia dzienna zmiana barometru	3.66		1.62
Największa dzienna zmiana barometru d. 17—18 o g. 10 w.	11.41		5.05
Średnia wysokość barometru jest większa o	1.07		0.47
od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	748.43	27	7.78
Średnia temperatura kwietnia wynosi	+ 8°.01	C.	+ 6°.41 R.
i ta jest większa o	0.80	„	0.64 „
od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających	+ 7.21	„	+ 5.77 „
Największe ciepło było d. 19 o g. 4 w.	+ 16.6	„	+ 13.3 „
Największe zimno — d. 1 rano	— 0.3	„	— 0.2 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.67	„	2.14 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 4 w.	13.34	„	10.67 „

Termometrograf wskazał: Maximum + 17 .0 R. d. 9 po południu.
Minimum — 0°.2 R. d. 1 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 79.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6.91 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o pięć setnych większa od normalnéj (74.2).

Ilość wody spadłéj z dészczu co do wysokości wynosi 62.1 mil. czyli 27.51 lin. par.; większa o 23.15 mil. czyli o 10.2 lin. par., od ilości wody jaka zwykle w tym miesiącu spada (38.95 mil. czyli 17.26 lin. par.).

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 13, pochmurnych 13.
Dni dészczu 13 (d. 2, 4, 3, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 21, 24, 27, 28).
— śniegu 0.
— mgły 1 (d. 13).
— błyskawic bez grzmotu 2 (d. 3, 9).
— błyskawic i grzmotu 3 d. 26, 27, 29).
Wiatrów mocnych 4 (2 W., 2 PdW.); Wichrów 1 Pd.
Wiatr panujący Południowo-Wschodni.

Kwiecień r. b. był ciepły, wilgotny, w dészcz obfity, mniéj pogodny niż zwykle o 0.64 stop. R. cieplejszy niż w stanie normalnym. Dni: 9, 18, 19, 20, 26, 27, 28, 29, 30 były znacznie ciepłe; przeciwnie dni: 5, 11, 12, 13, 15, 16, 22 chłodne. Przy częstych dészczach i ciepłem powietrzu, roślinność wcześniéj się obudziła. Grzmoty, błyskawice a nawet pioruny, wcześnie się pojawiły; d. 3 po raz pierwszy w Warszawie widziano błyskawice. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniéj pogodny niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,4 : 11,3 : 13,3; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 4 : 13 : 13. Stan średni elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia jest 19 stopni; największe natężenie siły elektrydznéj dochodziło 70 stopni d. 11.

Plamy na słońcu pojawiały się liczne, osobliwie w dniach: 3, 4, 6, 7, 14, 15, 18, 19, 20, 25.

Wysokość wody na r. Wiśle największa dochodziła stóp 18 cali 10 d. 7.
„ „ „ najmniejsza „ stóp 5 cali 11 d. 30.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem co dzień o godzinie 8 rano.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1860.

—

Materyały historyczne.

Stron.

Układy Zapolskie 1582 r., przez *Leopolda Huberta*..... 54
Jan Hulniad wojewoda, napisał *Karol Sosnowski*..... 289, 573
Jerzy Niemierzyc podkomorzy kijowski, starosta owrucki i krzemieniecki. Przyczynek do historyi panowania Jana Kazimierza, przez *J. Łukaszewicza*..... 355
List Zofii księżnej brunświckiej do Andrzeja Opalińskiego, później marszałka w. koronnego..... 516
Jakób z Kobylan kasztelan gnieźnieński, starosta brzeski 1407—1454, przez *J. T. L.*..... 557
Dorota kasztelanowa Czechowska. Przez *J. T. L.*..... 796

Biografie.

O życiu i pismach autora Pojaty, napisał *Kajetan Kotowski*..... 1
Robert Brown, przez *X. J. W.*..... 520
Pochwała historyczna Ludwika Jakóba Thenard'a, czytana na posiedzeniu Akademii Umiejętności instytutu Francyi, w dniu 30 stycznia 1860 r. przez p. Flourens. Przez *Józefa Bełzę*..... 735

Nauki społeczne.

Stron.

Kilka słów o lichwie i o kredycie w kraju naszym, przez *Mathiasa Rsoena*..... 631

Kilka uwag nad prawem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego o pożyczkach podwyższonych..... 701

Literatura.

Kobiéta. Studyum historyczno-obyczajowe. I. Rzecz o historyi kobiéty. II. Wieści historyczne. III. Wprowadzenie chrześciańskiéj religii do Polski, przez *Zygmunta Kaczkowskiego* 28. 371, 612

Literatura francuzka. La Légende des Siècles par Victor Hugo..... 72

Literatura angielska..... 98

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. *Historya wolności religijnéj we Francyi*, przez p. Dargaud. Hugona przekład *Dzieł kompletnych Szekspira*: „Ryszard III", „Burza."—*Tragiczna Grecya*, przekład Leona Halévy.—Prawnuczka Racina. — *Historya Chorągwi*, dramat epiczny w dwunastu obrazach.— Wiadomości literackie..... 157

Legendy i pieśni ludu polskiego nowo odkryte. Podał do druku *Wacław Alexander Maciejowskił*..... 434

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Piotr Medyceusz, opera księcia Poniatowskiego. — Pokusa, pięcio-aktowy dramat Feuillet'a. — Gladyatory, Nisarda. — Sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Akademii Nauk.— Kurs literatury Filareta Chasles i Kurs ekonomii politycznéj pana Baudrillart.— Wiadomości literackie..... 448

Literatura angielska. Dugald Stewart i filozofia szkocka..... 562

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Thiersa XVII tom Historyi Konsulatu i Cesarstwa — Nowy tom Historyi francuzkiéj Micheleta *Louis XVI et la révocation de l'Edit de Nantes*.—Historya panowania Filipa IIgo przez amerykańskiego dziejopisa Prescotta.— Trzy studya Macaulaya.— Laryngoscop, wynalazek Węgra Czermaka.—Wynalazek panny Cleret.—Zorza północna.— Wiadomości literackie..... 680

Bibliografia dawniejsza polska.

Rzadkie druki dzieł polskich..... 513

Dramata.

Burgrafowie dramat w trzech częściach Wiktora Hugo. Tłumaczył *Kazimierz Kaszewski*..... 318, 640

Sztuki piękne.

Stron.

Konrad Wallenrod. Słowa Adama Mickiewicza, muzyka Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego. Przez *Maurycego Karasowskiego*..... 796

Filologia.

Abecadłowy spis wyrazów ludowego języka w okolicach Łomży, Wizny i przyległych..... 748

Rozbiory.

Poezye Włodzimierza Wolskiego. Tom I i II. Wilno. 1859. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 177

Ocenny pogląd na dzieło: Przegląd form grammatycznych języka staropolskiego. Lwów. 1857. Przez *Feliksa Żochowskiego*..... 188

Legenda wieków. (La légende de Siècles). Tom I i II. Przez *Władysława Chomętowskiego*..... 213

Biblioteka polska J. K. Turowskiego, przez *Alexandra Adamowicza*. 469

Słówko o mennicy Łobżenickiéj, przez *J. Łukaszewicza*..... 484

Poemata mniejsze i strofy ulotne Jana Chęcińskiego. Warszawa. 1860. — Ziarna i plewy. Pisma oryginalne i tłumaczone przez Władysława Sabowskiego. Warszawa. 1860. — Tehe czyli zburzenie Aułu-Dubby, powieść kaukazka, przez W. Dawida. Warszawa. 1860. — Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich, przekład Romana Zmorskiego. Warszawa. 1860. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 488

Kilka słów z powodu zdania p. Szajnochy o dwóch groszach łanowych, i opisu Zjazdu Koszyckiego, przez tegoż. Przez *F. Z.*..... 496

Pan starosta Zakrzewski. Wydał Michał Grabowski. Kijów. 1860..... 507

Zabobon czyli Krakowiacy i Górale. Zabawka dramatyczna ze śpiewkami w 3 aktach, przez Jana Nepomucena Kamińskiego. Warszawa. 1859..... 508

Stary Biuralista, przez Antoniego Nowosielskiego. Kijów. 1860..... 510

Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach. Warszawa. 1860..... 511

Ofiara i Sumienie. Dramat opowiedziany przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1860. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 761

Chemiczne Sprawy Żywotne, przez A. Kryszkę, Dra Medycyny. Warszawa. 1855. Przez *Adolfa Pieńkowskiego*..... 768

Matematyka.

O najprostszym sposobie wynajdowania średniéj geometrycznie proporcyonalnéj między dwiema liniami danemi, wyznaczaniu pewnych punktów ellipsy, tudzież o wzorach na powierzchnią pasa kulistego i na objętość niektórych brył obrotowych. Przez *A. F.*..... 229

Wiadomości z nauk.

Stron.

O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiém, przez *Władysława Taczanowskiego*..... 119, 394
Chemia, przez *J. B...ę*..... 526

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, Zdanie sprawy w przedmiocie zadań przez ces. król. Towarzystwo Naukowe Krakowskie do nagrody ogłoszonych..... 252
Wyjątek z listu Henryka Kałussowskiego..... 517
Odezwa do miłujących mowę ojczystą, przez *Stanisława Mikuckiego*. 530

Kronika bibliograficzna..... 259, 534, 798

Wiadomości literackie..... 267, 541, 807
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:
za miesiąc luty r. b. 285
— — marzec r. b. 553
— — kwiecień r. b..... 817

